Biblioteka Sejmu Śląskiego
4620
1905 I

493

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

Ogólnego zbioru Tom 257.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1905.—Tom I.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1905.

4620/1905/1
II

30.000

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 декабря 1904 года.

X-14358
4620/1905 II 1.

Rok Nowy.

Rok wschodzący — rok Nowy witamy.

Witać wschodzące pragnieniem — żegnać myślą ubiegłe, jest więcej niż zwyczajem, jest przyrodzoną naturą, koniecznością, podobną tej, która nam każe w poranek zabierać się do pracy a gdy wieczorna zamigoce gwiazda odpocząć i zamyśleć się w ciszy.

Jest w dziele dnia godzina myśli — godzina przedświtu i zmroku — szara godzina. W jej szarości spływają kształty, aby zamierać w noce lub rodzić się ku światłu. Na Anioł Pański o godzinie tej dzwonią. Gdyby pory takiej nie było w trudzie i wypoczywaniu człowieka — i dzień nie miałby harmonii żadnej i byłaby praca i dążenie o rytmie maszyn nie o rytmie duszy.

Nie zmęczenie jedynie i wyczerpanie, potrzeba naturalna fizycznego spoczynku każe nam oderwać się od bieżącej chwili; — silniejsze tu panuje prawo — prawo ładu i miary, które żąda, byśmy nie żyli w męcie wypadków, ale dążyli do stroju i kształtu w każdem działaniu, w każdem przedsięwzięciu. Jak rzeźbiarz dotknięciem palców z niekształtnej gliny dobywający żywe podobieństwo ustaje na chwilę i mierzy okiem z dalszego odstępu swą pracę— tak każda myśl chce mieć ten odstęp konieczny, to skupienie się w sobie, który nowy rozpęd zapowiada i gotuje.

I w Pisma Świętego opowieści—siódmego dnia stworzenia objął wzrokiem Bóg swoje dzieło i rzekł: dobrem jest. Niedziela Boża jest tą symboliczną pauzą—obrazem nietylko spoczynku, — ale osądzenia czynu myślą twórczą.

Człowiek musi podzielić czas, dążący niewstrzymanie jak dźwięków fale, jak słów szeregi dzieli—zespala w strój, wiąże w rytmiczność i harmonijne akordy.

Dlatego Rok Nowy od niepamięci czasów święcą ludzie na ziemi, utrwaliwszy wśród kolei dni dzień taki, który stać ma na rozdrożu. A choć zmienną i krętą nieraz niespodziewanie strugą płynie życie — i niema często wspólności między chwilą, w której spełniają się czyny i rodzą wypadki—a uświęconą dni nowych godziną,—przecież zarania lat i wieków łączyć pragniemy z przeobrażeniami dziejów, — i jest w tem prawda żywa.

Wiek dziewiętnasty w ostatniej swojej dobie niedaremno zrodził w umysłach uczucie, że są obumierające czasy i obumierający ludzie, — że to „fin de siècle“ nie jest przypadkowem określeniem, ale nastrojem opanowującym wielu. Młody wiek dwudziesty budzi się w innym nastroju. Zaledwie lat kilka upłynęło od kiedy przebrzmiało podzwonne zgasłemu stuleciu, a w świecie poczyna się coś zmieniać i wschodzące myśli odbiegają od tej zmęczonej, — ironicznej zadumy, w której trawiły się nazbyt długo, a zdają się nabierać odwagi do czynu.

Nowy wiek rozpoczęły dzieje, — a to nie może być obojętnością umysłów.

I widzimy jak po długiej ciszy ostatniego ćwierćwiecza, poczynają na przedsięwzięcia trudne godzić narody, jakby ocknięte do żywszej woli.

Rozpoczyna Anglia walkę o zapewnienie sobie południowej Afryki, Francya szuka zdobyczy u Marokańskich wybrzeży, Ameryka wyborem Rooseveldta stwierdza chęć śmiałych przedsięwzięć i zwycięztw imperyalizmu, a Niemcy ze zdwojoną usilnością prowadzą przygotowawczą pracę u granic habsburskiej monarchii.

W taką to porę wybuchła wojna na Dalekim Wschodzie—już dzisiaj jedna z najkrwawszych jakie znają dzieje.

A kiedy pierwsze śniegi ścielą się na naszej ziemi białą okrywą,—tam na Mandżurskich polach szare wojska

w pomroczne zimowe dni dzierżą straż nad rzeką Szache, nad mroźną doliną, która być może grobem tysięcy.

W jednej i drugiej armii na okopach trwa cisza, — gdzieniegdzie przerywana znienacka. Ludzie w norach wykopanych, jak w kretowisku ukryci, czekają dnia, w którym zamieć gorsza od śnieżnego huraganu przejdzie przez dolinę spustoszeniem.

Na polach wojny szara godzina... Zdawać się może iż nad wrogimi okopami dzwonią gdzieś na wysokości,— daleko, głucho — dziwne dzwony.—

W taką to porę gwiazda pierwsza wejdzie w dzień Nowego Roku.

A w Państwie, które wysłało te tysiące do dalekiej wschodniej krainy, będą gwiazdę tę ludzie witali z uczuciem zamyślonem. Jest w tem uczuciu zmieszana troska i otucha. Długie miesiące wojny zmusiły umysły do głębokiej rozwagi—i ludzie wstąpić w siebie zapragnęli. Oto poczęły rodzić się myśli rozliczne i świtać nadzieje. Ku przedświtowi Nowego Roku zwracają się oczy i serca. — I w naszym kraju zwracają się porównie i tętna zdają się żywiej bić jakby w oczekiwaniu.—

Z wysokości Tronu idzie głos zapowiadający nowy wymiar prawa i powołanie sił zbiorowych do pracy na różnych polach społecznego życia.

Czegoż nam życzyć sobie w takiej chwili — bratniem kochającem życzeniem?

Oto przedewszystkiem dobrej—zgodnej woli. Zgody, byśmy w łącznej i wspólnej dobrej woli umieli wzajem utrzymać tą harmonię uczuć, z jakiej się rodzi powaga. A trzeba powagi, którą daje stałość dobrze skierowana, z wzajemnego wyrozumienia się zrosła.

Życzyć następnie, byśmy w oczekiwaniu nie zapominali o codziennym obowiązku—o pracy—nie byli jak owe ewangeliczne niewiasty, które z niedbałości oliwy do lamp swoich nie sposobiły. Łatwo dla nadziei większych przepomnieć o mniejszych ale koniecznych sprawach, — trud-

niejszych nieraz dlatego, że mniej zapalających myśli, mniej dalekich.

Życzyć wreszcie społecznego rozumu, który jest w równowadze, tej sile potężnej, nie dającej zamierać nadziei. Byśmy poddając się złudnym często zawsze łatwym i ponętnym podszeptom wyobraźni, nie wmówili w siebie takiej konieczności jutra, która się w rzeczywistości nie zmieni tak łatwo, jak się widnokrąg pragnień rozrasta i zmienia.

Ślepy optymizm i pessymizm ślepy—to ta sama niecnota, jeno na innym krańcu myśli. Ztąd jedno rodzi drugie, a po nadziei rozkołysanej szeroko przychodzi gorzka niechęć i niewiara. Nie nerwami, ale wolą silną i myślą jasną sterować trzeba łódź — a im trudniejsza przeprawa, tem więcej spokoju potrzeba. I spokój taki śmielszym tysiąckrotnie od nerwowej śmiałości, gdyż probierzem opanowania trudu — jest panowanie nad sobą.

Mówią, że stary James Rotszyld na biurku swojem te umieścił słowa: *„A jednak może być inaczej“*—i przed powzięciem ważnych postanowień, miał je w pamięci i ważył.

Może być zawsze inaczej. Życie ma to w sobie, że, mimo podobieństwa, dni są zawsze różne, jak różni są ludzie i nikomu nie dano wyczytać przyszłości i przesądzać prawdy. Jest w tem może klątwa każdej myśli, każdej sprawy ludzkiej, ale jest zarazem i pociecha, że niema tak trudnej doli, której nie przemoże wytrwałość.

Wytrwałość ludzie i ludy zdobywają spokojną ale nieustanną pracą, która się niczem nie zraża i nawet bez nadziei bliskiego osiągnięcia celu działa, czerpiąc siłę w zrozumieniu obowiązku.

Point n'est besoin d'espérer pour réussir ni de réussir pour persévérer—mówił wielki Wilhelm Orański—i w takiem postanowieniu czyniąc, — przybliżał nadzieje.

Cokolwiek bądź przyniosą losy najbliższe, jak się zarysują dni Roku Nowego,—dla nas przedewszystkiem rękojmia przyszłości we własnej zgodzie — własnej pracy i własnej rozwadze.

Adam Krasiński.

Młodość Słowackiego

1809—1836.

Staną ci sny... jak liczny wróg
I stworzysz świat... jak tworzy Bóg...
Ale nie świat realnych scen,
Lecz nikły świat—jak ze snu—sen.
Słowacki: *Samuel Zborowski.*

I.

Uwagi wstępne.

Do znamion dowodzących wielkości danego twórcy zalicza Ruskin najpierw wybór szlachetnego przedmiotu, potem miłość piękna, dalej prawdę, wreszcie inwencyę. Kto nie umie wybrać przedmiotu dość doniosłego, by porwać ogół, kto zataić chce nicość treści mistrzostwem techniki i ekspresyi, kto nie zdoła w swój pomysł wlać jak największej ilości piękna, kto nie potrafi osiągnąć niezbędnej sumy prawdy i odwraca się z pogardą od życia, kto nie dowiedzie wreszcie wyższej siły wyobraźni w inwencyi treści, rozmaitości sytuacyj, efektach plastycznych, ten nie ma znamion wielkości. Jeżeli w twórcy uda się znaleść te znamiona, staje on w rzędzie tych, o których powiada Brunetière, że tworzą metafizykę objawioną obrazami i stworzoną, by działać na serce.

Metafizyka ta zmienia się w każdym narodzie i epoce i wygląda inaczej w Indyach, inaczej w poezyi hebrajskiej, inaczej w Grecyi, Rzymie, w wiekach średnich, za Odrodzenia, u Szekspira lub Molière'a, u wielkich klassyków niemieckich, za romantyzmu i realizmu, dziś wreszcie, gdy wziął górę indywidualizm lubujący się w symbolach, fantastyczny i wizyonerski, nastrojowy i wskrzeszający chętnie pomysły wielkich romantyków. Schopenhauer, stojący niejako na przełomie od kantowskiego idealizmu do

realizmu, zaczyna swe najwybitniejsze dzieło *Die Welt als Wille und Vorstellung* od myśli, że świat jest własnem wyobrażeniem każdego. Odbija się on w świadomości każdego podmiotowo i streszcza w zasadzie, że nie ma przedmiotu bez podmiotu. A już najwyraźniej widać to w sztuce i to w tej jej dobie rozwoju, w której była ona podmiotową jak nigdy przedtem.

Wiek dopiero miniony widział w swej pierwszej połowie inteligencyę na usługach uczucia a uczucie na usługach wyobraźni. Ciekawy to fakt a utrudniający badanie duszy czasu i duszy jednostek go składających. Psychologia doświadczalna czy racyonalna, ma z epoką romantyczną dużo kłopotu i błądzi omackiem, jak zwiedziony mgłą turysta po rozdrożach górskich. Obserwacya i rozumowanie winny tu postępować z całą ostrożnością a krytyk musi mieć koniecznie rozwagę psychologa, jeżeli chce zajrzeć w te głębie i rozświecić je do dna. Romantycy, to przeważnie wypadki wyjątkowe, rzadkie i wyobrażające wszystkie stany umysłu, nie wyłączając nawet psychologii chorobowej czyli teratologii. I wprawdzie musi się studyować nie oznaki stanów duszy romantycznej, ale oznaki oznak, niemniej spostrzeżenia mogą być trafne, gdy nie pominiemy najbłahszego faktu tyczącego się psychologii tego czasu.

Czuciowość, inteligencya, wola tej epoki, przedstawia tyle niespodzianek i sekretów, artyzm tyle odcieni i wyrazów, że nasz umysł musi dokonywać nie rzadko dużych wysiłków, kontrolować swe spostrzeżenia zewnętrzne, utożsamiać się niejako z świadomością tej epoki, by dojść do sądów stanowiących syntezę naszych wyobrażeń, do wniosków będących wynikiem sądów. A Słowacki jest może najzawikłańszą i najwięcej sprzecznych rozumowań wywołującą indywidualnością, choć wyobraźnię dzielił z Mickiewiczem i Krasińskim, umiejącymi ją jednak utrzymać w równowadze i mierze. Wrażliwy na wpływy otoczenia, co było jego wadą, ale i giętki niesłychanie i subtelny jak Musset, począł tworzyć na podstawie czystej wyobraźni romantycznej, wznosił się powoli do wyżyn sztuki tak pojętej, utonął wreszcie w mistycyzmie filozoficznym, politycznym, społecznym, jak Michelet, i rzadko tylko zatrzymywał się niby szybujący w przestworach ptak na skale całego lub półrealizmu, tyle cennego i wytwornego u pani Sand lub Balzaca. Jego siła, polot, tęgość leżą w kierunku odwrotnym od realizmu, a uczuciowość walczy w nim o lepsze z wyobraźnią, biorącą częściej górę i stanowiącą u niego, który nie umiał wyjść prawie z siebie, zasadniczą właściwość.

Wszystkie znamiona wielkości ma, bo i podniosłe przedmioty i miłość piękna, i prawdy nie mało i niewyczerpaną inwencyę.

Miał i ma wpływ też niezmierny i naśladowano i naśladuje się go ciągle. A przecież był to człowiek bez równowagi władz psychicznych tyle zadziwiającej w Goethem lub Mickiewiczu; przypominał nawet w zachwianiu i rozstroju tych władz największych z wielkich, a jednak nie znalazł ani wtedy, ani dziś nawet, zgodnego uznania swej wielkości. Przekładał nad wszystko ułudę, marzycielskość, chwiejność, nastrojowość, falistość i w ogóle to, co czaruje mieszaniną drgającego wzruszenia i wykwintnej ironii. Był zawsze, nawet w latach dojrzalszych, młodym i jakby nie zupełnie zrównoważonym, gdyż trzeba pamiętać, że umiera mając lat czterdzieści a dochodzi do wierzchołkowego punktu natchnienia mając lat trzydzieści. To jest poeta młody do śmierci, wiecznie szukający swego ideału, zmęczony gonitwą za nim i znów rozpoczynający ją po przerwie, a cierpiący często srogo, boleśnie, nieuleczalnie. Ma wdzięk osobny, nieznany u Mickiewicza, mającego hart i tęgość, dojrzałość i równowagę, nawet w mistycznych wylewach drezdeńskich *Dziadów*.

Krasiński, jak de Vigny, najwięcej myślał z nich trzech, ale jego natchnienie wiecznie czerpiące z zagadnień ogólnych, odznaczało się brakiem łatwości poetyckiej, było czemś wypracowanem, nierównem, nie bez wahań i obniżeń, z wyjątkiem chyba *Irydyona*. Stoi godnie obok nich, jako najmniej podmiotowy i najwięcej bezobisty, gdy przeciwnie Słowacki wyraża najskrajniejszy i przeciągający się do końca indywidualizm osobisty. Ten indywidualizm, to nie tylko wytworna ironia Musseta, ale smutek pełen odcieni i zmian, głębi i rozmaitości, raz miękki i nieuchwytny, raz szeroki i namiętny, raz zgryźliwy i sarkastyczny, a zawsze pełen wspomnień przeszłości i usiłowanego, zwłaszcza później, roztopienia się w smutku zbiorowym, nigdy banalny i podobny do innych, zróżniczkowany prędko i oryginalny. W poezyi tej wibruje cały Słowacki, jego najskrytsze uczucia wewnętrzne i wrażenia zewnętrzne, uzmysławianie niekiedy w sposób najwyższy piękna, często w średni lub niższy, przeważnie odrębny i wart drobiazgowego rozbioru. A choć nie wszystko da się matematycznie określić i prędzej wypada odczuć piękność niejako dynamiczną tej poezyi, usiłowanie przedmiotowe a unikające w myśl teorji Brunetière'a tego, co w ogólnej ewolucyi ducha i talentu poety, jest drugorzędnem, dodatkowem, podporządkowanem — może rozjaśnić wiele.

Może pokazać narodziny tego genialnego talentu, jego organizowanie się i pracę assymilacyi najróżnorodniejszych pierwiastków, rozrost i wysamodzielnienie się już w latach młodości, doj-

ście do ostatniej granicy i mistrzostwo w latach dojrzalszych a potem słabnięcie, opadanie a nawet w tem opadaniu podloty wysokie a nawet w powtarzaniu tony nowe i nieznane. Nie chodzi tu o obraz żywy, barwny, powieściowy, życie poety, szczegóły niewątpliwie cenne, ale obojętne dla rozwoju talentu, anegdoty i przejścia bez znaczenia i związku z poezyą; cel jest inny i streszcza się w zagadnieniach następujących. Unikając wszelkiej drobiazgowości i fejletonowości, nie mając zamiaru rozsnuwać pasma życia poety od kolebki do śmierci, ani rozbierać któregokolwiek z utworów, pragnę najpierw na podstawie poezyi i ogłoszonych dotąd zapisków i korespondencyi wyszłej z rąk samego poety, określić zwięźle główne linje żywota i charakteru Słowackiego, uwzględniając jego poglądy ogólne czyli filozoficzne, społeczne, polityczne, pojęcie poezyi i jej celu, zamiłowania artystyczne i organizacyę jego umysłu, uczuciowość i wyobraźnię, z kolei przystąpię do szczegółowego rozbioru utworów tak młodości, jak lat dojrzalszych, roztrząsając sposób jego tworzenia, kompozycyę, plastykę i kolorystykę, rytmy i rymy, znaczenie i wpływ na współczesnych i późniejszych.

Praca to czysto analityczna, a razem syntetyczna, użytkująca wszelkie dotychczasowe zdobycze krytyki, dotyczącej poety i rozmyślnie porzucająca biograficzny sposób traktowania przedmiotu, w który wplatano lub nie rozbiory utworów, a zwracając się przedewszystkiem do zasadniczej tendencyi poezyi romantycznej ma za zadanie określić stosunek poety do niej, jego miotanie się, poszukiwania, wysiłki w różnych kierunkach i sferach na tle ogólnem wieku. Jako wzór do naśladowania służyć tu mogą pyszne studya literackie Fagueta, pełne subtelnych analiz i określeń pisarzy przez dzieła. Indywidua poetyckie, nie ogół poezyi, jest celem podobnych usiłowań, w których wszelka teorya i naciąganie do niej, wszelka anegdotyczność, poetyzowanie i koloryzowanie musi być usunięte w imię rozumu, jasności, prawdy, unikających pozoru, prawdopodobieństwa, impresyonizmu, dowolności i czepiania się szczegółów, bez pamięci o całości. Żadnego liryzmu w takiem studyum, ale rozbiór syntetyczny i dążący do związania twórcy z jakimś prądem cywilizacyi ogólnej — oto zadanie krytyki czysto realistycznej i naukowej a wolnej od doktryneryzmu. Że przywiązuje ona znaczenie do indywidualizmu objawiającego się przez dzieła, nic dziwnego; stanowił on, jak wiemy, główne źródło literackie od czasów co najmniej pani de Staël, Chateaubrianda, Byrona, niemieckich romantyków, Mickiewicza, Leopardiego i innych.

Wszystko polegało tam właśnie na niezależności indywidualnej, choć odźwierciedlało też to co ogólne, wieczne, nieskończone. Im więcej kto posiadał tego indywidualizmu z dawnych lub nowych, tem więcej znajdował uznania; wyrażało się to najwięcej plastycznie, barwnie, odrębnie od konwencyonalizmu przedromantycznego i syntetycznie. Odrzucano omówienia i nazywano rzeczy po imieniu, reguły i podziały poetyckie; żądano prawdy piękna, wolności dla sztuki, choć utrzymano pewne konwencye, jak na przykład wiersz, koncentracyę artystyczną, wybór tematu. Słowo oderwane, styl zbyt sztuczny, ogólnikowy, mało wyrazisty a pochodzący z braku fantazyi i należytego daru obserwatorskiego, takiego nawet artysty, jak Krasicki—znikły, ustępując miejsca śmiałości, tęczowości, plastyce, rozmaitości języka i wierszowania. Zmieniła się publiczność, zmieniły zastępy czytelników i zmieniła fizyonomia literatury, której przemiany dokonał wedle słusznego poglądu Brunetière'a—Rousseau. A choć znał go i Krasicki i nasi pseudoklasycy, ta natura najwięcej *impressionable*, pełna zmysłowości, rozgoryczenia, odcieni ledwie dostrzegalnych, zatopienia w własnej jaźni, zrodziła tyle ponurych egzystencyj, tyle żalów i zboczeń, tyle szaleństw i wzlotów. A do tego dodajmy jeszcze oddziaływanie Chateaubrianda i Byrona. Ta hiperestezya wrażliwości, wysnuta z zamiłowania u nas Rousseau i jego naśladowców, jeszcze w pierwszej ćwierci ubiegłego wieku, dawała powód do nieustannych cierpień, rozczarowań i rozpaczy, a że poeta nasz pochłaniał go nie raz, świadczą nie tylko egzemplarze dzieł genewskiego marzyciela znajdujące się w jego biblioteczce, jego określenie własnej lektury i charakteru matki zawarte w pamiętniku, podobnym szczerością do *Confessions* Rousseau, ale i mnogie ustępy z korespondencyi.

Zimnej krwi, trzeźwości, posiadania siebie, nie miał nikt, kto jak matka poety i on sam, przejął się podobną literaturą; marzycielskość, próżność, uczuciowość, nerwowość wzrosły odtąd nadmiernie i żywiołowo. Jednakże ten sam Rousseau wszczepił pokoleniu romantycznemu nie tylko kult samego siebie, ale i potrzebę doskonalenia się, poczucie obowiązku, ideał moralny, lekceważenie rozumu a oparcie wszystkiego na instynkcie i uczuciu, zamiłowanie zapału i polotu, ciepłe barwy stylu. Porywy serca miały być argumentami, a rozmyślanie nad sobą, przeniesione z religji, miało stworzyć literaturę całkiem liryczną w pojęciu i wykonaniu. Wrażenia osobiste, poczucie znikomości, podmiotowość wiecznie chwiejna i w ostatecznościach, szczerość nieco upoetyzowana ale jawna i bez osłon, zawarta w *Confessions*, dążenie do prawdy nieokreśło-

nej a przecież koniecznej, przykrawanej nawet w malowaniu natury do własnego temperamentu i chwilowych stanów, — to treść wewnętrzna Słowackiego i jego poezyi. Brunetière zauważa, że Rousseau zwracając ludzkość ku przeszłości, jej początkom i przemianom, rozniecił miłość rzeczy minionych i stworzył perspektywy dalekie i niezmierzone. W istocie, takie postacie jak Chateaubriand, Walter Scott i inni malarze przeszłości dziejowej, dowodziliby tego dość wyraźnie; zarazem zamiłowanie rzeczy zewnętrznych, wypukłych, kolorystycznych, tak widoczne u Słowackiego i romantyków francuskich i innych, pochodziłoby od niego. Wpływ Rousseau, jako patryarchy romantyzmu, stanowił zatem podkład zasadniczy jego charakteru i poezyi; poeta chciał zawsze żyć górnie i poetycznie, a nie tylko wtedy, gdy bawiąc w Genewie pisał do matki 27 kwietnia 1834 r., że pragnąłby „pojechać do Clarens i w miejscu gdzie Heloiza żyła, przeżyć kilka miesięcy“ — oczywiście w rojeniach, mizantropii, zatopieniu w sobie.

Uczucie, powiększone sztuką, zajęcie sobą, podziw dla siebie, rodzaj emfazy i krańcowego egotyzmu byłoby jednak stworzyło Lamartine'a melancholicznego, elegijnego, słodkiego i jednostajnego; by dopełnić ideału romantyka, za wzór służyć musieli Chateaubriand i Byron z ich bohaterami, pełnymi zagadkowości, fatalności, goryczy, ironii, otoczeni tajemnicą zbrodni i miłości, nie przystający bardzo do usposobień francuskich, jak i niemieckich, a rozwinięci i modelowani najrozmaiciej na tle ruchliwej, żądnej nowości i wrażliwej natury słowiańskiej Słowackiego lub Lermontowa. Brückner podkreśla znaczenie sentymentalnej lektury Słowackiego i kobiecość jego temperamentu i poezyi; postacie kobiece dość nieudatne u bardziej męskiego Mickiewicza stworzył dopiero w poezyi polskiej nieporównany *Psychologe und Bildner des Weibes* Słowacki. Ten feminizm, przypominający rolę Racine'a w dziejach teatru francuskiego, odbił się i w postaciach męskich, ale znów dzięki nie tylko miękkiemu temperamentowi poety, lecz wpływowi Rousseau i romantyzmu francuskiego. A był on potężny, gdyż rozlał się wszędzie, za granicę danego okresu, sięgnął do najdalszej przyszłości poezyi. Górowały w nim, jakby dwa prądy to jest podmiotowy i przedmiotowy, mieszając się ze sobą i ustępując kolejno, gdyż równocześnie prawie powstawały obok siebie dzieła obu kierunków. Mimo to źródło było jedno, a tkwiło w Rousseau.

A że dołączyła się do tego reakcya spirytualistyczna, to rzecz naturalna, skoro Rousseau był jej zwolennikiem w swym *Emile*, skoro w ślad za nim poszli Chateaubriand, romantycy francuscy, Byron, romantycy niemieccy i polscy, przesiąknięci w do-

datku idealizmem Kanta, Fichtego, Schellinga, Hegla i kończący na mistycyzmie przeszłowiecznym Swedenborga, Saint-Martina i współczesnym Wrońskiego o tendencyi mesyanistycznej, wyłożonej w *Prodrome du messianisme* i *Prolegomènes du messianisme*. Te posiewy padają na duszę dotkniętą, mimo wszczepionych uczuć chrześcijańskich, wolteryańskim sceptycyzmem i rozwijają tę poezyę duszy, która stanowi jądro romantyzmu i twórczość Słowackiego. Dusza jego pod tymi wpływami cofnęła się na wewnątrz i zbierała wrażenia najróżnorodniejsze; następnie wyrzucała kolejno własne wizye ledwo ukształcone, delikatne, drżące i osobiste zawsze i do końca. Była to reakcya jak najskrajniejsza przeciw przedmiotowości i zmysłowości klassycznej, potępienie materyi i prawdy, czerpanej z rzeczywistości zmysłowej, w imię wiary w nadzmysłowość, umożebnionej przez spirytualizm zalecany przez mistyków. Wszystkie wahania indywidualne, uniesienia, nieokreślone zrywanie się ku naturze, doskonałości, nieskończoności—stały się treścią tej poezyi; natura Słowackiego, to nie dekoracya, ale jak u romantyków francuskich świątynia i zwierciadło nieskończoności, powiększone i zharmonizowane z kameleonowemi zmianami i nastrojami, nieustannie krańcowymi i natężonymi, jak w *Beniowskim:*

Lubiłem takie dusze dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawiczne trochę, trochę mętne,
Nawet gdy w ciało się straszne obloką,
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką;
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybuchnę marząc w różach kolor czarny.

A że poezya ta, nawskroś metafizyczna i nie lubiąca dogmatów, unikała jasności, określoności, wyrazistości, to tłómaczyło się jej charakterem i tendencyą, wedle której Bóg nawiedza duszę poety i prowadzi ją do rozwiązania najtajniejszych zagadek bytu.

Spokój i równowaga musiały się zachwiać w podobnych okolicznościach, a widocznym przykładem tego zachwiania są nie tylko drezdeńskie *Dziady*, ale cała poezya Słowackiego a po części i Krasińskiego. Wszystko tu wyrywa się ku nieskończoności, wszystko walczy i ściera się z sobą, wszystko napięte jest na najwyższe tony bohaterskie i unika poziomu ziemskiego, a chce być poważnem, głębokiem, uroczystem. Ten romantyzm podmiotowy i dostrzegalny w swych wzlotach mistycznych już u Chateaubrianda,

potem u Tiecka i Nowalisa, potem u naszych mistyków daje poezyi nastrój wzniosły, wieszczy, natchniony. Lamennais potępił surowo wszelką obojętność i pomnożył jeszcze apostolską gorliwość romantyków. Poeta, to objawiciel prawdy a natchnienie przychodzi mu ze sfer nadziemskich; poezya wedle Saint-Martina jest *la plus sublime des productions des facultés de l'homme*. Rousseau przygotował to pojęcie przez swój *Contrat social*, również mistycy przeszłowieczni i współcześni, nie wyłączając filozofów idealistów, i dlatego Hugo uważa się za pochodnię ludzkości, a nasi romantycy za posłańców mesyanistycznej epoki Ducha św. To wychowanie i prąd czasu z dodatkiem jak u nas, ukochania kraju, spotęgowanego klęskami, jak wyznaje Słowacki również w *Beniowskim:*

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę — tych grobów co się w Polszcze mnożą,
Trochę — tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę — tych duchów ognistych, co trwożą
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą,
I będą chodzić skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą — dręcząc.

Poezya nasza, jak i francuska, nie zamknęła się bowiem na podobieństwo niemieckiej w kraju czystych marzeń i fantazyi w myśl żądań Nowalisa; ona kochała przeszłość i teraźniejszość nie tylko z pobudek artystycznych i odczuwała bóle i poślubiała mimo swego egotyzmu nadzieje i dzieliła wiary narodowe, jak żadna inna i dlatego w kosmopolityzmie ogólnym stanowi właśnie wyjątek osobny i nieznany dotąd obcym dostatecznie. Fantastyczność tej poezyi, to głównie wpływ niemiecki i angielski; reszta to francuskie i nasze własne.

W ten sposób poezya romantyków, a szczególnie Słowackiego, przybiera na siłach i stwarza całe światy z wyobraźni mgliste, barwne, tajemnicze a pełne symboliczności, rozdwojeń, widziadeł, zagadkowości, kaprysów i tej wibracyi uczuciowej, wstrząsającej jak głos dzwonów powietrze i napełniającej nas echami nie słyszanemi w epoce realizmu poetyckiego. Nim nastąpi przesilenie i zwrot do realizmu, Słowacki kończy swą działalność i życie. W Paryżu po r. 1840 następuje już reakcya klasyczna, ale panowanie romantyzmu nie kończy się jeszcze nawet we Francyi a poezya Słowackiego jest również ciągle wedle słów Lamartine'a córką entuzyazmu i natchnienia, wyrazem idealnym i tajemniczym tego, co jest w nas najbardziej eterycznem i niewypowiedzianem,

zmysłem harmonijnym boleści i rozkoszy ducha zgodnie z testamentem poety wierzącego mimo rozczarowań i obojętności ogółu, że pozostanie po nim

ta siła fatalna
Co mi żywemu na nic...

A gdzieindziej określił ją sam Słowacki, że była jak „ze snu sen.“ Żaden krytyk nie umiałby nazwać ją mądrzej, choć tylekrotnie odmawia się poecie zmysłu rzeczywistości. Słowacki był najwięcej krańcowym egotystą z naszych romantyków, jak w tej mierze chyba Chateaubriand, ale umiał sądzić czasem siebie lepiej niż tamten, a tak trzeźwo jak Rousseau. I tak otwarcie zarazem. Nie można zaś zaprzeczyć, że w tej otwartości jest często wielkość nieopisana, bo też jak Chateaubriand, miał poeta, jak powiada bohater pierwszego René, *la puissance de créer des mondes...*

II.

Pierwsze lata. Zarody charakteru.

Był więc Słowacki całe życie młodym, co stanowi jego naturę i właściwość. Był nim nawet w latach dojrzalszych. Drażliwy i nerwowy do chorobliwości, chwiejny w uczuciach sprzecznych ironii i entuzyazmu, zazdrości i szlachetności, wiary i sceptycyzmu, sarkazmu i czułości—był egoistą ale nie obojętnym na sprawy ogólne, bez wyrachowania i oschłości, chcącym kochać i być kochanym. Ale jego niesłychana drażliwość odczuwała każdy ostrzejszy kant w ludzkiej naturze, zrażała się w lot, zatruwała jadem podejrzeń i w pogoni za ideałem kłuła ciągle o brutalne kolce nie zdolna pogodzić się z tem, co życie daje i niesie. Łatwość zrażania się była u niego przysłowiową, skąd płynął niewysychający nigdy smutek, wrodzony po części a więcej rozwinięty sentymentalną lekturą, smutek pełen melancholii, rzewności, goryczy, mizantropii, tęsknoty, smutek różny w różnych latach i dostrojony poniekąd do zewnętrznego wyglądu poety. Jego życie jak życie Rousseau, wygląda jakby powieść; a że umiał je sądzić mądrze, świadczy wiele ustępów poezyi i wyznań poufnych i każe wierzyć, że była w nim, jak mówi w *Podróży na Wschód*, istotna „religia smutku.“

Oprócz smutku, stanowiącego u niego rys pokrewny z Chateaubriandem, a może i przejętego w pewnej mierze od niego,

była w nim duma rodząca zawody, optymistyczne sądy o sobie, naiwności i śmieszności, popełniane nieświadomie czasem. Zwiększała ten nastrój wyobraźnia, unikająca rzeczywistości, widząca wszystko inaczej, zmieniająca barwę rzeczy jaskrawo. Wyobraźnia sprawiła, że począł lekceważyć ludzi i świat, który nie harmonizował z jego treścią, drażnił go i niecierpliwił, odpychał i rozczarował, z czego rodził się smutek jeszcze surowszy, ponury, wynaturzony prawie, choć nie bez czaru. Poezya była jego właściwem życiem i ona też zachowała jego rysy mało upoetyzowane. Ona jest jego biografią, w której prawdę od zmyślenia oddzielić łatwo, biografią romantyka w właściwem słowa znaczeniu, którego charakterowi odpowiada ona najpełniej i najprawdziwiej... Tej biografii pierwszym rozdziałem jest tedy „poemat serca," różny niezmiernie od sielskości i anielskości dzieciństwa i chłopięctwa Mickiewicza, ale jako poetycka wizya nie tylko szczera lecz i doniosła, skoro Małecki od niej właśnie rozpoczął swą monografię. Jest w *Godzinie myśli* skreślonej w ośm lat mniej więcej po wypadkach Słowacki znany skądinąd, ciągle zmienny i ciągle ten sam od chwili rosnącej świadomości i rozwoju władz psychicznych. Maluje się tu nie szczerzej od Rousseau i Chateaubrianda, z całym wrodzonym i rozwiniętym lekturą romantyków pessymizmem, goryczą, niechęcią do świata, niepokojem, chorobliwością, egoizmem i pogardą otoczenia, stylem, który go cechuje często, nieco naciągniętym, gorączkowym, polichromicznym i mieniącym się jak „lśniące rozpryśnionych mozaik kamienie." Podobieństwo z Reném Chateaubrianda jest bijące a melancholia ta-sama i zgodna z krajobrazem. Analogia zupełna, to same zamiłowanie samotności i smutku, rozmyślań i odosobnienie wspólnie z przyjacielem, jak tam z Amelią.

Niema w tem prostoty, ale jest urok ponury, tajemniczy, zagadkowy, niepokojący i pociągający, jako objawienie duszy, wyrastającej nad średnią miarę, formującej się dopiero, z wielkiej rodziny romantyków, pełnych rozdwojenia i pessymizmu, ale i niepospolitych duchem i talentem. Jest tu poeta bez pokostu klassycznego, widocznego jeszcze u początkującego Mickiewicza, charakterystyczny w każdym ustępie, krańcowy i kameleonowy, melancholik i sceptyk, nie ledwie od chwili, gdy w głębokim parowie górskim, nad srebrzystą Ikwą, w mieście z białych dworków złożonem i w cieniu liceum krzemienieckiego, ujrzał światło dzienne 23 sierpnia 1809 r. Syn poety pseudoklasycznego ale teorytyka, jak wykazałem to gdzieindziej, niepośledniego i przejętego ideami estetyków niemieckich, miał spełnić zasadę swego ojca,

wedle której twórcy bez wyobraźni „mogą zachować wszelkie prawidła i przepisy, które rozum i rozsądek dyktuje, ale nie zdołają się wynieść do wysokich wyobrażeń piękności.“ Euzebiusz Słowacki potępiał więc wybujałość racyonalizmu suchego i bezdusznego i jeżeli nie odczuł całej wagi wypowiedzianego zdania, odczuł je jego syn i urzeczywistnił najrozleglej. Nie zaczął swych studyów od Boileau, La Harpe'a, pseudoklasyków, jak to czynił jeszcze Mickiewicz, przyznający się do tego w swej rewolucyjnej rozprawie, ogłoszonej w lat cztery po ukazaniu się dzieł ojca poety. Natura wykwintna ojca, pełna dążeń najdzielniejszych, a czasem zgryźliwości i smutku bez przyczyny, zamiłowana w marzeniu i pięknie, to tło charakteru genialnego syna; dodajmy do tego żywy, uczuciowy, subtelny temperament matki, rozczytującej się od dzieciństwa w sentymentalnych wyznaniach Rousseau i jego szkoły, a powstanie indywidualność nawskroś liryczna, podmiotowa, poetyzująca, pełna marzeń, nerwowa, wyrafinowana, kulturna ale i chorobliwa; świadczą o tem już rysy twarzy tego dziecka o oczach wielkich, czarnych, nosie nieco dużym, ale zgrabnym, cerze śniadej i włosach kręcących się w ciemne loki. To syn poety i poetki duszą i inny od genialniejszego, choć ze zdrowej, czerstwej, tęgiej rasy drobno-szlacheckiej—Mickiewicza. Hoesick opowiada barwnie o zamiłowaniu do poezyi w rodzinie Słowackich, o poetyczności tego dworku krzemienieckiego z dwiema topolami przy schodkach i w „dolinie mgłą zawianej,“ mgłą oddalenia przesłaniającą wyrazistość konturów. Dwuletniem dzieckiem opuszcza Juljusz kąt rodzinny i wchodzi w sferę najwięcej intelektualną Polski, której pierwiastki wchłonął i spotęgował do najwyższej po Mickiewiczu piękności.

Zaduma ojcowska wyglądała już z twarzy dziecka jak z oblicza Anhellego, a w około niego rozgrywały się kolejno epopeje napoleońskie, śmierć ojca, powrót do dworku dziadowskiego, nieszczęsne wyjście powtórne za mąż matki, mające wzniecić tyle kwasów między dwoma genialnymi romantykami. Piętrzyły się już groźne fale, mające zatrząść równowagą i spokojem ducha tej delikatnej organizacyi, znikała arkadyjska atmosfera szlacheckiego dworku, przypominająca dzieciństwo Lamartine'a; dziecko o tęsknym wyrazie twarzyczki, melancholijnych oczach, ze skrzydełkami i łuczkiem Amora na obrazie Rustema, miało niebawem schmurzyć się ponuro, gorzko, byronicznie. Wstawało pierwsze nieszczęście życia, dwuznaczna i niesympatyczna postać ojczyma Bécu, którego nie mógł kochać wcześnie dojrzewający chłopiec. Jak w życiu Chateaubrianda był to fakt pewnego znaczenia; milczy o tym ojczymie

poeta w swym pamiętniku, choć przecież spowiada się otwarcie; szczegół to znamienny, jak i znamiennem jest zarozumienie o sobie, które u innego byłoby śmiesznością, ale jemu przypada czasem do twarzy. Z jakim wdziękiem i prostotą opowiada swój przyjazd do Wilna z matką i ojczymem i płacz na grobie ojca, gdyż „o łzy u mnie nie było trudno.“ Trudno też nie przyznać, że pisząc swą *Godzinę myśli* lubował się jednak w swem nieszczęściu i rozmyślaniu nad niem, bo było to właściwem romantykom i naturalnem, jak ich smutek i poczucie nicości wszystkiego. Nie można wyrzucać mu tego, gdyż nauczył się tak czuć od innych. Był przecież duszą niepospolitą i poetą, jak nikt obok niego u nas, jeżeli pod tem rozumieć będziemy jego usposobienie wiecznie krańcowe i styl równie krańcowy i podmiotowy. Że była to jednak słoneczna faza życia, dowodzą nie tylko reminiscencye dzieciństwa zawarte w *Złotej Czaszce* ale i sam fakt zwrócenia się do przeszłości w wymienionym poemacie.

Patryarchalne życie familijne w Krzemieńcu nie przeszkodziło, że dojrzałość umysłowa dziecka była zdumiewającą; rozwijała się żywiołowo bez względu na otoczenie cichego dworku szlacheckiego, czy u znajomych we dworze wierzchowieckim na Podolu, skąd umysł chłopięcy zaczerpnął tyle kolorytu swojskiego w *Beniowskim*, czy wreszcie za pobytu w Wilnie, gdzie ośmioletni syn poety począł składać wiersze. On czuł tu już pewien powiew wyższy, kulturalny, wytworny, do którego dostać się było jego ambicyą. Dostrajał się tedy czytując bez wyboru książki z biblioteki matki a pospiesznie i gorączkowo, gdyż, jak mówi pamiętnik, „pochlebiało mi to, gdy całą przez dzień mogłem przeczytać.“ Tak poszły rzędem prócz bajek Krasickiego, Homer, Wergiljusz, Rochefoucauld, Plutarch i inni nieznani; wyobraźnia zaludniała się wizyami nie dość jeszcze pojętemi a uderzającemi głównie nadzwyczajnością wątku i barwnością tła. A pamięć tych rzeczy była u niego ogromną i echa wrażeń doznanych odbić się miały po latach wielu. I kiedy nadeszły w r. 1819 lata szkolne, indywidualność chłopca już była naszkicowana i odbijała poczuciem wewnętrznem wyższości nad kolegami w klasie, gdzie

> Siedziało dwoje dzieci — *niezmięszani w tłumie*
> Oba we *współzawodnej wykarmieni dumie*...

W obec przyjaciela jednak, czternastoletniego Spitznagla, owa duma zmieniała się w poufały szacunek i oddanie. Pod tym względem nie warto nawet kontrolować poezyi pamiętnikiem. Słowacki jest cały w poezyi.

Jeżeli smutek jest duszą jego duszy, to także i duma głęboka i zakorzeniona. Opowiada o niej naiwnie i szuka kontrastów jak Chateaubriand między sobą i otoczeniem. To nie próżność tylko, ale duma nienasycona i chroniczna, która pociąga za sobą gorycz, a potem niesmak do wszystkiego i do siebie. Jednem słowem René Chateaubrianda, dusza gorąca i niespokojna, unikająca pospolitości i uważająca się za przeznaczoną do wielkich zadań, wiecznie w niezgodzie marzenia z rzeczywistością, lubiąca swój smutek, jak konieczne dziedzictwo, nieszczęśliwa istotnie i której każdy akt żywszy był wynikiem takiego stanu ducha.

Na razie był to zawiązek, ale wskazywał na przyszłość posępną i niepewną. Ze starszym od siebie Spitznaglem musiał chłopak zapoznać się z poezyą epiczną Tassa, Miltona, Klopstocka, Voltaire'a, Ossyana, Byrona, Walter Scota i Goethego, a nawet z Swedenborgiem. Przedmioty szkolne zbywali tem łatwiej, że pozwalały na to wyjątkowe zdolności a wyobraźnia rozniecała się jaskrawo wydając rojenia śmielsze z każdą chwilą. I tak

budowali gmachy
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu Tytanowemi grożące zamachy.

Zastanawia u obu zajęcie się Swedenborgiem i jego mistycznemi teoryami, przejętemi może z francuskiego przekładu *La nouvelle Jerusalem* wtedy właśnie ogłoszonego. Było to zajęcie się jednym z objawów spirytualistycznej reakcyi, ogarniającej ówczesną umysłowość i docierającej nawet do głów chłopięcych. Ta reakcya — wroga sceptycyzmowi wieku oświeconego — stała w związku z religijnymi poglądami Rousseau i spływała się w dziwny sposób z pessymizmem Chateaubrianda i Byrona tak wtedy rozpowszechnionym, jak dziś zmysłowość z mistycyzmem u Huysmansa lub Przybyszewskiego. I dlatego Słowacki, gdy znajdzie się we Francyi, nie pójdzie ani za ściśle religijnym prądem, przenikającym odłam emigracyi, kupiącej się około Mickiewicza pod działaniem Lamennais'go, który wyda mu się zbyt dogmatykiem i demokratą, ani za ultramontańskiemi zasadami, które miały swe źródło w poglądach Chateaubrianda, Bonalda, de Maistre'a, które wyznawali w kraju Rzewuski i Grabowski. Pozostanie odosobniony i niezdecydowany długo, tonąc w jakimś metafizycznym smutku, przepojonym stale zwątpieniem i rzadko tylko wybuchającym pragnieniem dogmatu. Teraz świat na pozór pusty

i materyalny zaludnił się w wyobraźni studentów wileńskich nieskończonością istot go ożywiających i każdy z nich w myśl Swedenborga rozwijał w sobie ów *sens interne*, o którym ten ostatni mówi tylokrotnie i marzył o związku ze światem duchów, który ma wpływ na świat naturalny[1]). Gdy się było jak Słowacki artystą z pochodzenia i urodzenia, obdarzonym przeczuloną wrażliwością i wyrafinowaniem nerwów, czuło się odrazu ciasnotę sensualizmu sceptycznego i nie mogącego być podstawą wielkiej sztuki. Romantyzm miał od powstania kierunek metafizyczny a on był romantykiem z tej samej plejady, której wódz zarzucał pseudoklasycyzmowi martwotę prawd naukowych i głosił potrzebę prawd żywych, cudu, serca...

W ten sposób gotował się poeta do swego zawodu lekturą Swedenborga, którego teorye wykładano nawet w specyalnych szkołach w Anglii, rozszerzano współcześnie przez czasopisma i broszury, popularyzowano przez agitacyjną działalność towarzystw we Francyi, Niemczech, Szwecyi a sporadycznie i u nas. Wiadomo, że, zrazu kartezyanin, zwrócił się Swedenborg do studyum magnetyzmu, tak u nas w epoce romantyzmu modnego i został wizyonerem i spirytystą, głosząc, że tajemnice leżące poza rozumem nie są mu przeciwne, choć rozum ich nie odkryje. Biblię wskazywał jako źródło wiedzy i objaśniał ją samodzielnie w *Arcana coelestia*[2]). Szczególnie mógł szwedzki mistyk oddziałać na wyobraźnię swą astronomią i kosmogonią nader oryginalną, oraz teoryą magnetycznej inklinacyi; jego poglądy na psychologię, w której dusza miała być pośredniczką między skończonością a nieskończonością, określona była jako *fluidum spirituosum*, a jej życie jako właściwe życie i odrębne od naturalnego, sprzeczne były z tem wszystkiem, co głosili sensualiści. Jeżeli teorye takie nie były bez wpływu na tak potężne umysły jak Goethe, Herder, Schelling, Schlegel, trudno dziwić się ich oddziaływaniu na młodziutkiego chłopaka. Wszak najtrzeźwiejsi, jak Balzac, przyjmowali je za swoje a student wileński szybował śmiało przez zawrotne głębie rojeń mistyka o przyszłej epoce św. Jana, o pochodzeniu aniołów, o zamieszkałych światach, o ciele niematerialnem. Odpowiadał ten mistycyzm jego uczuciowości odrzucającej rozum wraz z Mickiewiczem, stwarzał w nim atmosferę całkiem odrębną od

[1]) *Der Verkehr zwischen Seele und Körper...* von Em. Swedenborg. Frankfurt v. M. 1880.

[2]) *Em. Swedenborgs System der Naturphilosophie...* von H. Schlieper. Berlin 1901 str. 8—9.

powszedniej, wysubtelniał instynkta i pogrążał w czystym idealiźmie. Tu leżał zaród jego poezyi, nurzającej się często w blaskach nadziemskich; stąd szedł brak realizmu, tak częsty u Słowackiego, stąd czystość jego kreacyj kobiecych, poczucie wieczności przywiązania, przywiązanie dla Śniadeckiej, legendowej dziecka kochanki. Słowacki był wtedy nie pierwszym okkultystą u nas, ale jako poeta *in potentia* pierwszym poetą okkultystą. Wierząc w niezawodność magnetyzmu i istnienia magnetycznego fluidum, głośnego od czasów Mesmera, marzył o działaniu na odległość, o zdolności poddawania innym pewnych myśli i uczuć, o wyrobieniu w sobie instynktu transcendentalnego. Zaostrzenie jego wrażliwości duchowej nastąpiło u niego znacznie wcześniej niż u Mickiewicza, który wyrabia ją sobie dopiero za pobytu w Petersburgu w rozmowach z Oleszkiewiczem i rozwija następnie tak gorliwie, że wiarę w Towiańskiego nazwał skutkiem całego swego życia duchowego, którego pierwszym poetyckim objawem—ballada *Romantyczność*.

I Słowacki, zgodnie z poglądem Swedenborga, wyrażonym w *De coelo et inferno*, myśli już teraz, że dusza jest siłą, która przedstawia się jako wola świadoma, działająca na odległość, nadludzka i która, nim stworzyła bohaterów *Króla Duchów*, teraz

W duszy dziecinnej, woli czarnoksięska siła,
Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana czuciem,
Niewyjawione słowy — często w ludzi biła.
Zaczarowania wolą nazwali — uczuciem,
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
Którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnym, niemym duszy głosem.

I dziwnie idealnie wyglądał ten chłopak podobny do cherubinka z obrazu Murilla, jak wyraził się barwnie Odyniec. Wyróżniał się od wszystkich powierzchownością, grymaśnem usposobieniem, drażliwością, inteligencyą, kiedy w dwunastym roku życia mógł oponować przeciw kultowi klassyka Racine'a. A tymczasem wychodzą *Ballady i romanse* i cały świat fantastyczny widziadeł i snów genialnego romantyka zapada w tę duszę pokrewną nastrojem Mickiewiczowi, młodą, otwartą na wszelkie wpływy i chwytającą to, co w poezyi było nadzwyczajnego, zagadkowego, kolorystycznego. W około niego mówiono o Chateaubriandzie, Byronie, poezyach Moora i Walter Scota, poetycznem życiu romantyków i ich bohaterów i oto młody chłopak począł jak oni, żyć na wewnątrz, w sobie samym, jak René. Stwarzał

w sobie całe światy, wyobrażał kraje dalekie, marzył o unicestwieniu wyrastającem z gorzkiego poczucia różnicy między sobą i otoczeniem. Azya była w modzie w Europie, począwszy od zarania wieku ośmnastego a przeciwieństwo tego świata wschodniego z naszym budziło setki rojeń rozkosznych i gorących. Montesquieu dał hasło swemi *Lettres persanes*, a za nim poszli inni. A że krajobrazy wschodnie są jaskrawsze niż nasze, jak obyczaje i stroje, więc krajobraz wschodni będzie stanem umysłu, wyrazem nastroju, sekretem i efektem sztuki romantycznej od Chateaubrianda i Byrona. Słowacki i Spitznagel szukają tedy, wzorem romantyków na Wschodzie, wzruszeń artystycznych a choć nie otrzymują wrażeń bezpośrednich, przestają na tem, co czytają o nim a ich duma, gorycz, sarkazm, ironia, egotyzm, zamknięty na otoczenie, zażywa tam wolności, gorączkuje się tonami, szuka nastroju, jak to czynił Chateaubriand w *Atali* i *Itinéraire* znanym im z pewnością:

Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
Piękne były, czarowne, *nieraz o nich marzę.*
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
Myśl moja, niewstrzymana w te krainy goni,
Chciałbym, jak duch w kwiecistej roztopić się woni,
Chciałbym, *jak liść nieznany paść tam w głębi lasów.*

Chateaubriand choć chrześcijanin był pessymistą z instynktu; wileński mistyk jest nim także, przez swą uczuciowość, a zwłaszcza wyobraźnię, przez lekturę romantyków i zamknięcie w sobie samym, które sprawiało, że jak René odczuwał *charmes secrets et ineffables d'une âme jouissant d'elle même* i pragnął unicestwienia. Egotyzm tu nieznany w tym stopniu u Mickiewicza, wylanego więcej na zewnątrz i czerpiącego w związku z ludźmi niebieskie wesele duszy.

W młodziutkim mistyku i marzycielu to zamiłowanie siebie jest zupełne i zgodne z nastrojem Chateaubrianda. Charakter to jeszcze nie wyrobiony, ale zarody już są. On nie pisze może jeszcze, albo próbuje dopiero, ale poezya wypełnia tę szesnastoletnią głowę i szuka ujścia nieśmiało. Przeczuł ją w nim Mickiewicz w rozmowach z panią Bécu; niemniej ten chłopak rozmarzony, zmęczony, rozczarowany pierwej nim zaczął żyć na prawdę, nie mógł wywierać miłego wrażenia na genialnym filarecie, o tendencyi bardzo altruistycznej mimo swego indywidualizmu. Było w jego przyszłym rywalu dużo pozy, ale i szczerości, zważywszy

że to nerwowy i chorobliwy temperament syna poety. Wyraz tego nastroju jest w *Godzinie myśli* pewnie jaskrawszy i głębszy niż był w istocie u szesnastoletniego chłopca, ale mogły być też jego powody realne. Mogła być nim wstrząsająca grozą śmierć ojczyma nie bez wpływu na delikatny organizm, a najwięcej zaważył ów smutek odziedziczony po ojcu, bez powodu i nieuleczalny. Nieskory do uśmiechów i melancholik z urodzenia, jak Chateaubriand,

Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał wspomnień powtórzony echem,
Smutny i połamany przyszłością niepewną,
I na wesołą chwilę twarzą patrzał rzewną;
A nieszczęście przyjmował pół smutnym uśmiechem
Patrząc na nie z przyszłości...

Tak czuł René a także Eudore z *Martyrs*, który jak Słowacki czytający ten głośny wtedy romans, przebiegł w kilku latach *les illusions d'une longue vie.*

III.

Studya uniwersyteckie. Pierwsze wiersze.

Nadszedł czas, w którym gimnazyasta marzący o Swedenborgu i Wschodzie wstąpił na wydział nauk moralnych i politycznych wileńskiego uniwersytetu. Hoesick przypuszcza, że chodził już od r. 1825 na wykłady Borowskiego, obznajomionego, jak jego poprzednik Euzebiusz Słowacki, z teoryami estetyków niemieckich, wielbiciela pieśni gminnych i narodowości w literaturze w myśl Herdera i pani de Staël. Przypuszczenia swego nie popiera żadnym dowodem, a rzecz byłaby to wcale nie obojętna. Słowacki lubił wspominać o tych czasach, ale o Borowskim milczy zupełnie, nie pomijając nawet pamiętnika doszłego do nas zresztą we fragmentach. Myślę więc, że o jakimkolwiek wpływie Borowskiego nie może być mowy. Był najpewniej sam dla siebie przewodnikiem i chodząc obowiązkowo na wykłady prawne, czytał co chciał, nie ujmując niczego w system podobny do tego, który widzimy w wykształceniu Mickiewicza. Dla tego ostatniego podstawą wykształcenia był świat starożytny i jego literatura interpretowana

przez usta znakomitego filologa Groddka; miara i prawda jego poezyi czerpały stąd swój początek, a zarazem posłużyły mu za sprawdzian piękna w poglądzie na literaturę pseudoklasyczną. Mimo tak zwanej germanomanii i brytanomanii czasów kowieńskich, cechowała Mickiewicza nieznana u innych romantyków równowaga, godna takiego znawcy starożytnych, jak Goethe. Słowacki szedł tylko za popędem wrodzonych skłonności i jako młodszy znacznie od wodza romantyków, czerpał swe pojęcia i wzory bezpośrednio z poezyi romantycznej, zbliżając się poziomem wykształcenia i tendencyami do Lamartine'a i Hugo, dla których wzorem byli również Chateaubriand i Byron. Najwięcej z pewnością obchodziła go teraz zresztą Śniadecka, do której paliła się już szesnastoletnia wyobraźnia gimnazyasty; była przecież niepospolita urodą i inteligencyą, a pochodziła z tej samej duchowej rodziny, co matka poety, z dodatkiem pierwiastku byrońskiego, który tamtej, jako kobiecie starszej, mniej był znany i zrozumiały. Oczytana tak w literaturze francuskiej, że pisała płynnie w tym języku, kokietowała młodzika, nie dbając o skutki, gdy ideałem jej był inny; grą swą rozmarzała go i urastała do rozmiarów bóstwa w oczach naiwnego a rozkochanego przynajmniej wyobraźnią. Bez miłości, i to nieszczęśliwej, trudno było wyobrazić sobie romantyka, wywodzącego się od Rousseau i jemu podobnych; zawczasu więc chmury zbierały się na jego niebie i rzecz dziwna, pierwsza ta miłość miała być znów w wyobraźni ostatnią. Pamiętnik jest bardzo małomówny w tym względzie, a przecież poezya mówi o tem dużo. Czy może kochał on tylko swe marzenie i echo tego marzenia, jak Chateaubriand? Zdaje się, że tak i że gdy kochał, to nie oddawał się, ale pożyczał, a raczej lubił, gdy jego kochano i uwielbiano. Miłość dla Śniadeckiej, to tylko objaw jego egotyzmu, co zastanawia zarazem, że on zna siebie doskonale, rozbiera bez bólu, opisuje i obserwuje, jak Rousseau. Nim zacznie pisać pamiętnik, opisze się wiele razy i całego jego duchowego życia obraz ówczesny mieści się w *Godzinie myśli*.

Zajęty jest ciągle sobą i w tej jego samotności światy rojeń zrywają się mu w duszy. Wierzył, że się kocha i szczególnie na wsi, w bliskich od Wilna Jaszunach przeżywał chwile upojeń nad pięknością i czarem duszy ukochanej. W mieście był dyskretniejszy, może dlatego, żeby go nie wyśmiewano, że kocha starszą od siebie. Jeżeli mamy wierzyć wynurzeniu, przychodziła mu wtedy myśl samobójstwa, od którego wstrzymywała go tylko ona; serce wzdymało się smutkiem strasznym, wyobraźnia szukała wrażeń silnych i oszałamiających:

A dziecię bólem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach, ludzi chowało się tłumu,
I biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą — sosn słuchając szumu;
Tam uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze...

Znacznie pogodniejszą i pełną twarzy przyjaznych była młodość Mickiewicza; Słowacki nie ma dłużej i serdeczniej oddanych przyjaciół, z wyjątkiem kobiet, i przechodzi życie samotny, jak Chateaubriand. Nie zapominajmy, że miał za wiele dumy, nie taił swego stanu a ten stan, to pessymizm częścią instynktowy a więcej nabyty. On sam opowiada, że kochając się w Śniadeckiej utworzył sobie charakter podobny do ciemnego charakteru powieści Byrona i marzył, jak tamten, o puszczeniu się w świat poezyi, którym dla romantyków tego pokroju był Wschód. Czy znał Byrona bezpośrednio, nie wiemy; czytał o nim niewątpliwie po czasopismach polskich i francuskich, znał zapewne niektóre dzieła z przekładów. Tak rosły w nim: indywidualizm, zamiłowanie ponurości, ironia i sceptycyzm; jeżeli zapalał się czasem dla ideałów przyświecających niedawno rozpędzonej młodzieży wileńskiej, marzył o miłości i oddaniu się jednej istocie, o własnem *ja* pod wpływem takiej lektury zapomnieć nie mógł i osobista duma była mu wtedy pobudką tworzenia. Nim dojdzie zwolna do wewnętrznej harmonii i względnego wyjaśnienia, jest w jego duszy jakiś stan wrzenia, rozdarcia, analizy i wypowiada się nie tylko w *Godzinie myśli*, kończącej niejako w r. 1833 ten pierwszy okres rozwoju jego charakteru, ale w całym szeregu utworów w tym okresie napisanych. Zapewne do zgorzknienia, choćby powierzchownego, przyczyniła się tu miłość dla Śniadeckiej i dlatego zdaje się nie mógł on w tym chorobliwym nastroju stworzyć nic wydatniejszego, póki w Genewie doszedł do względnej równowagi i głębszego pojęcia swego zadania poetyckiego. Ma przecież przeczucie tego zadania, jak wykażemy niżej; ale teraz, wszystkie skłonności psychiczne pędzą go do wyrażenia własnych stanów i rozstrojów ducha. Ideał moralny Rousseau i romantyków nie świeci mu jeszcze i jego poezya, czyniąca zresztą pierwsze kroki, odbija mocno od tego, co przyniesie epoka genewska. Czytywał obok Byrona niewątpliwie, jak sądzi Hoesick, Zaleskiego i Malczewskiego. Myślę, że na razie może być tylko mowa o pierwszym, więcej popularnym, niż drugim, rozsławionym dopiero przez Mochnackiego. Pierwszy znany utwór poety z 26 sierpnia 1826 r. p. t. *Duma*

ukraińska, przypomina raczej próby epickie Zaleskiego niż dumki proste, szczere, swobodne, lekkie.

Bohater jej Ruńko, którego narzeczoną porwano w jasyr, jest smutny, jak poeta, który zauważa też melancholicznie:

Źle, gdy z wiosną liść opada,
Źle, gdy młode więdną kwiaty.

Ta sama nuta goryczy, nieznana Zaleskiemu, tętni w sonetach napisanych w rok później i znów jako finał powraca refleksya podobna:

Tak, choć szczęście nie wraca, gdy raz człeka mija,
Czasem przed zgonem uśmiech na licu osiada,
Ale i w tym uśmiechu już się śmierć przebija.

Ukrainizm Słowackiego ograniczał się w dumie do tła zapożyczonego może z *Dumy o hetmanie Kosińskim;* tu w sonetach pessymizm jest już tak wyraźny, że zbliża się do nastroju Malczewskiego i dziwnie przypomina go nawet frazeologią poetycką. Zaleski, jak zaznaczył raz Chmielowski, nie szukał w poezyi chwały, nie wysuwał siebie, nie szamotał się wśród bezdeni zwątpień; Malczewski nie miał również tyle beznadziejnego pessymizmu i podmiotowości, którą rozwinie wnet młodziutki liryk. On zaczyna od pessymizmu, wywołanego może odmową Śniadeckiej; przychodzi na myśl też wpływ *Renégo*, którego znał najprawdopodobniej, skoro czytywał jego pogodniejszą odmianę i echo liryki Lamartine'a. Na razie, jak de Vigny, był poczynający życie poeta najciężej dotknięty byronizmem i należał do tej samej rodziny, co René, Lara i im podobni. Jest pełen krzyków zwątpienia i nie spodziewa się niczego; pociechą będzie dla niego natura, jak dla Chateaubrianda i Lamartine'a. Rzuca się na jej łono, co wskazuje, że to jeszcze smutek uleczalny, gdy taka okoliczność, czysto zewnętrzna, może zaważyć i ulżyć. Nie znał takiej ulgi de Vigny lub Leopardi. A może duma i smutek były także pociechą? Inaczej nie mógłby tyle pisać o nich, odkrywać się bez rezerwy, być istotnie i sympatycznie szczerym. A on się śmiał przecież nie raz i dumnie jak de Vigny w *Colère de Samson* i pochylony pod ciężarem smutku miał czasem chwile jasne wtedy i później. Ale dla jedności poetyckiego obrazu utrzymywał przecież, że po odmowie Śniadeckiej, to lekceważone przez starszych i ją samą dziecko

bladą twarzą upadło na wieki;
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.

Bo dziecko miało *dumę wielkiego człowieka*
Przeczuciem nakarmioną...
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście, ani w Boga.

Wieczny pessymizm maż być odtąd nutą jego poezyi? Nie; ale długo tak być miało, bo pessymizm, ironia, sceptycyzm Chateaubrianda lub Byrona są bezgraniczne i stanowią chorobę moralną, która uniemożliwia wiarę w cokolwiek. Wyobraźnia działała tu podwójnie. Oto zwiększała tragiczność wypadku a zarazem była fermentem w ogólnym rozwoju ducha poety. Gdyby miało tak trwać ciągle, pessymizm ten zabiłby, osłabił, wyssał, przeżarł całą jego energię duchową i twórczą; na szczęście, na dnie tej duszy spały inne instynkty zdrowsze i wyższe.

A rzecz to nie bez znaczenia. To jest wielki poeta *in potentia* a jego pesymizm koturnowy jest artystycznym w całej pełni; z niego wyszły przeważnie jego twory młodości nie wyłączając pogodniejszej epoki genewskiej. On czuje pewnie jak romantycy francuscy, że geniusz jest darem wzniosłym i fatalnym i jako taki jest podobny do de Vigny'ego, gdy pisał swego *Moïse*, odbijającego od innych zadowolonych banalnem szczęściem, zrodzonem z braku poczucia swej nikczemności i słabości:

Et cependant, Seigneur, je ne suis pas heureux,
Vous m'avez fait vieillir puissant et solitaire,
Laissez moi m'endormir du sommeil de la terre!...

Nie ma w wileńskim studencie jeszcze nienawiści ludzi *Araba*, ale zjawi się ona jako drugie stadyum jego pesymizmu, po którem nie nastąpi już, jak u de Vigny'ego, stoicyzm, ale odrodzenie duchowe z każdym rokiem energiczniejsze i namiętniejsze. Śmierć Spitznagla nie była bez wpływu na to usposobienie, choć ustęp autobiografii poety, dotyczący tej kwestyi, jest nieco za suchy i za spokojny. Chcielibyśmy, by widok trupa samobójcy i przyjaciela wpłynął bardziej rozdzierająco na tę duszę wrażliwą i wywołał krzyk zgrozy, bólu, żalu, ale widocznie „romans życia nieskłamany niczem“ wymagał tego. Odzwyczaił się pewnie od przyjaciela w ciągu jego nieobecności trzechletniej i począł żyć dalej bez zmiany. Ale pesymizm już trawił tę duszę, a nadto pragnienie

sławy i duma, o których mówi Lambro do swej kochanki. Podróż do Odessy w r. 1827, upamiętniona w powieści *Le roi de Ladawa* nie ma znaczenia tutaj; jak słusznie podniósł Hoesick, pomogła mu ona tylko do odtworzenia tła podolskiego, gdy pisał *Beniowskiego* i *Wacława*. Szukał pewnie efektów świetlanych i obserwował koloryt miejscowy zgodnie z poglądami romantyków. Jak George Sand umiał on później odmienić to wszystko i przeinaczyć w głębi swej wyobraźni, grupować stosownie do potrzeby, stwarzać kombinacye samoistne, zmienne, wizyonerskie. Jeżeli mowa o romantykach francuskich, nie obojętną rzeczą jest zetknięcie się Słowackiego z liryką Lamartine'a, którą zachwycał się szczególnie po powrocie z Odessy w Jaszunach ze Śniadecką. *Méditations poétiques* tego ostatniego miały wtedy rozgłos ogromny wszędzie i niewątpliwie czarowały wileńskiego studenta. Wszakże i on posiadał swą Elwirę, około której skupiły się jego najtajniejsze uczucia i on zanurzał się w własnej jaźni, pieścił się z swymi zawodami, interesował zagadnieniem, czem jest człowiek i jego przeznaczenie. Sam wyznaje, że te wiersze mu „z myśli wyjść nie mogły“ a może i Śniadecka jak Elwira zrobiła swego wielbiciela poetą. Poezya kładła balsam na tę ranę, niezbyt zresztą groźną i dotkliwą. Wrażliwość potrzebuje podniety, by nabyć energii, a ona była nią z pewnością i to pierwszą i ostatnią była i najsilniejszą z uczuć — wedle zapewnienia poety.

Ciekawym jest fakt, że zapamiętał i przytacza w swym pamiętniku poeta właśnie *Golfe de Baïa*, pełną wdzięku, elegijną, miękką, lekko zmysłową i tak podobną melancholią do poematu *Szanfary* na pozór wschodniego a w istocie lamartinowskiego w treści i pojęciu:

Są w świecie serca, które w młode lata
Straciwszy szczęście w *samym życia kwiecie*,
Nie mogą w niebo ulecieć ze świata,
Żyją a przecież nie żyją na świecie.

Żyjąc więc w świecie „serca i duszy,“ pisał te słowa w czasie zajęcia się Lamartine'm czyli w zimie r. 1828 i są one echem tej poezyi nawskróś osobistej, nieczułej na to, co działo się w około, melancholicznej łagodnie i miękkiej. Kto czytał *Szanfarego*, spostrzegł idealizm unikający ziemi, oddany rozmyślaniu i marzeniu, podziwiający piękno w sobie i przyrodzie, daleki od goryczy i woni byronizmu. Poemat jest jednostajny, rozlewny, ale łatwy i świetlany, jak liryka lamartinowska. Gdy w sonetach czuć było robotę, tu wiersz płynął improwizatorsko, a treść rozwijała się delikatnie,

dyskretnie, wyszukanie, choć nieco płytko i bez siły. To poezya prawie nie materyalna i błękitna w swym idealizmie, a obca pesymizmowi już wtedy dostrzegalnemu. Kończyły się jednak lata uniwersyteckie i nastąpiło pożegnanie z Śniadecką upoetyzowane w *Kordyanie*. Przypominało scenę pożegnania z *Dziadów* wileńskich i pamiętał o niej niewątpliwie poeta, gdy żegnał się ze Śniadecką. Tylko tamten, Gustaw, pozostał z krwawą raną na piersiach a kochanek Ludki, odzyskał po krótkiem wzruszeniu, do którego przyznaje się w pamiętniku, nawet „zmysły, rozsądek, dumę.“ Znaczy to, że miłość nie była szczerą, skoro mógł myśleć jeszcze wtedy o dumie. Analogia z Chateaubriandem, którego, jak utrzymuje Hoesick, czytał wtedy gorliwie, nasuwa się mimowolnie; opowiada tę chwilę z prostotą, która każe wierzyć w prawdę tych słów. Duma, to tyran straszny, który zniweczył w nim miłość życia i zniechęcił nawet do miłości kobiety. On czuł się stworzony do wielkich przeznaczeń, a czuł w około siebie małość a raczej zdawało mu się, że widzi ją wszędzie. Był polskim René, dzikim, niespokojnym, szukającym wrażeń, cierpiącym wiernie z rozdwojenia między prawdą a wizyą, sofistą niekiedy, gdy mówi, że Śniadecka nic go już nie obchodziła, znudzonym, samotnym wśród ponurych przyjemności serca melancholicznego. Z takim zapasem uczuć rzucił się w „świat ciemny,“ by ten stan psychiczny odtworzyć w szeregu poematów odrębnych bardzo, mimo zapożyczeń i podobieństw od reszty polskiej romantyki, do których lata uniwersyteckie były tylko przygotowaniem.

Znalazł się teraz na wsi a raczej przejeżdżając z Wilna do Krzemieńca, z Krzemieńca do Wierzchówki, z Krzemieńca na Litwę i znów do Krzemieńca, skąd wyjechał ostatecznie do Warszawy 15 lutego 1829 r., w atmosferze mniej podniecającej i sielskiej, w dworku dziadostwa Januszewskich czysto staropolskim i odbitym tak poetycznie w *Złotej Czaszce*. Promienny to byt, dni bez myśli prawie o przyszłości, życie z dnia na dzień, o którem nawet wspomnienia Śniadeckiej zacierały się jak mgła pod słońca promieniami. Gorycz wyssana z lektury słabła i pozostawała najwyżej zaduma znajdującą ukojenie w widokach podziwianych w czasie wędrówek z całym młodzieńczym entuzyazmem. Kto jak on umiał zapamiętać i odtworzyć później krajobrazy podolskie w *Roi de Ladawa* i *Beniowskim*, patrzył dużo i z rozmysłem. Już Chateaubriand nauczył go zatapiać się w przyrodzie i na jej tle malować stany duszy w sposób najsubtelniejszy. Ale uczeń przewyższył mistrza rozmaitością, nowością, świeżością, nie mającą nic konwencyonalnego; jak u Chateaubrianda pejzaż symbolizuje u nie-

go nastroje. I rzeczywiście nie można czytać poety bez pewnego nastroju; wtedy dopiero czyta się go z pietyzmem obcym tłumowi żądnemu wrażeń silnych, obcym każdemu z nas, gdy nie jesteśmy sami. A on bawił właśnie w stronach rodzinnych w jesieni, gdy wszysto nastraja się na ton elegijny, gdy wszystko skłania do marzeń, gdy łatwiej uspokoić się po bólach nawet najdotkliwszych, gdy poezya polskiej jesieni usposabia melancholicznie, jak w *l'Automne* Lamartine'a. Pierwsza miłość zawiodła, miłość prawie dziewicza, niedotknięta zmysłowym powiewem i oto dziewiętnastoletni młodzieniec snuje nić wspomnień i szuka wyrazu na nie, by wyszły poetycznie i kolorystycznie. Wspomnienie tej miłości, nie ledwie chłopięcej, to zasadnicza jego podnieta i droga do poezyi. Czytał pewnie Malczewskiego i upajał się *Sonetami krymskimi* nie dawno wyszłymi; pobudzała go jeszcze, jak przypuszcza Hoesick znajomość z Korzeniowskim w Krzemieńcu, sięgającym po laury dramatyczne i to w stylu bardziej romantycznym niż pseudoklasycznym. Ale trzeba było myśleć zarazem o karyerze i obrać zawód zapewniający chleb; chwila to ciężka i brutalna, a mająca na razie tyle powabu, że poszukiwanie zawodu mogło go przenieść w świat inny i napoić nowemi wrażeniami. A że był przekonany oddawna, że życie romantycznego poety winno być romantyczne, i choć nie potrzebuje wielu wypadków, chce, aby te wypadki były czyste i wznoszące duszę, więc roił o tych wypadkach i czekał ich niecierpliwie. To już czyste pojęcie Lamartine'a, idealistyczne, unikające brzydoty, szukające piękna wszędzie, szukające koniecznie wielkich rzeczy i czystego powietrza, zgodne z rodzajem uczuciowości Słowackiego wyrafinowanej i marzycielskiej. Uczył się też, jak powiada, po angielsku dla Byrona, malował pejzaże a co najważniejsza, czytał dużo „dla nabrania wiadomości." Fantazyował już o tragedyi, jak niegdyś ojciec, i to tragedyi o Mahomecie, może pod wpływem szerzącego się u nas, za przykładem francuskim i Byrona oryentalizmu w poezyi.

Miała to być tragedya romantyczna jak dramaty francuskie, w którą weszłyby może reminiscencye Byrona. Zdaje się, że czytał wtedy więcej niż tworzył, tem więcej, że małomiasteczkowa atmosfera mało nastrajała poetycznie i łatwiej przyszło mu pochłaniać zasoby licealnej biblioteki krzemienieckiej, niż pisać. Wielokrotnie mówi się o egotyzmie poety, obcym sprawom ogólnym; nie jest to słusznem, nawet w owych latach, a sprzeciwia się temu poglądowi nie tylko poezya z czasów powstania, ale i fragment p.

t. *Poeta i Natchnienie*, pisany wprawdzie w r. 1844, ale mieszczący reminiscencye wczasów krzemienieckich:

Raz ja nad Ikwą po mych łąkach jasnych
Błądząc, *znudzony* błękitem i kwiatem,
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
Co perły lekkim obwodzi szkarłatem
Jasny się palił i twoje oblicze
Skrzyło, jak słońce myśli tajemnicze.

Znudzony, że mój głos tu niepomaga
Ludziom w niewoli, ogień serca pije,
A ciągłej szczęścia ofiary wymaga,
I ciągle serca mego jadłem żyje,
A tu na świecie różna jakaś waga
Waży wypadki...

Wtedy widok zabitego ptaszęcia, nad którem rozpaczali rodzice nie wierzący w śmierć maleństwa, pobudza rozmarzonego młodzieńca do pięknej apostrofy patryotycznej. To fakt przeczący wyobrażeniom utartym, które odnoszą obudzenie się narodowego wieszcza w poecie, dopiero do epoki genewskiej. Że był wtedy przeważnie egotystą, nie zaprzeczam; niemniej myśli kordyanowskie nurtowały go czasem i nie rozwinęły się dostatecznie tylko, aby wybuchnąć tęczową fontanną poezyi. A tymczasem nadeszły czasy warszawskie.

(d. c. n.). TADEUSZ GRABOWSKI.

PRZEMIANY.[1]

Powieść współczesna.

XVI.

— Tylko pamiętaj — mówił do Pawła pan Michał; gdy dojeżdżali do Jaworowa — nie wygadaj się z czem niepotrzebnem przed Skibowskim. Kwestyę pieniężną ja będę traktował, ale w razie, gdyby ciebie zaczepił, masz mu powiedzieć, jak pisałem, że to jest pożyczka grona ziemian, którzy w uznaniu jego zasług i. t. d... Stary próżny jest i dumny i tylko pod tą postacią przyjmie.

Mijali właśnie zgliszcza czarne, okropne, gdzieniegdzie sterczały jeszcze zwęglone „szuła,“ albo leżały posmalone belki, tak jak runęły, zdawało się, że pełga po nich żółty, ohydny, zły płomyk, i oczy szukały w popieliskach iskry tlejącej, przyczyny nieszczęścia. Ale na zmiażdżonych, zdruzgotanych zwłokach, na przeraźliwych szczątkach spoczywał już zimny i martwy całun. Jaskółki zwinne i świegotliwe krążyły nisko nad ziemią. Dzień był pochmurny i cichy.

— Potem—ciągnął dalej p. Michał—nie czyń żadnej wzmianki o synu, bo umarł. Z panną gadaj o wszystkiem, byle nie o gospodarstwie, a im niebotyczniej, tem lepiej.

— Stryj musztruje mnie jak pensyonarkę—zaśmiał się Paweł.

---

[1]) Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417.

— Bo, widzisz, chodzi mi o to, żebyś się podobał — trochę znacząco wytłómaczył stryj. — Wydajesz mi się markotnym... Co? To Kamieńczyce...

I spojrzał swemi jasnemi, dobremi, a mimo to budzącemi zaniepokojenie, oczami w Pawła.

— Tak jakoś...

— Nie dziwię się tobie... Nie znoszę takiej atmosfery, jak tam... Fałsz... Kamieniecka wyobraża sobie, że ja boleję nad zerwaniem stosunków. Nie bywałbym bez tego, a ona chwali się...— urwał — używają najpiękniejszych kostiumów, najwznioślejszych słów do przykrycia szpetoty dusz... I to mnie wyprowadza z siebie! W Jaworowie odetchniesz!..

Paweł po raz pierwszy dostrzegł w słowach stryja złośliwej ironji i w głosie akcentu zajadłości. Wolał nic nie mówić.

A nie gniewasz się na mnie za daninę, którąm ciebie obarczył? — pytał jeszcze pan Michał.

I znowu popatrzał Pawłowi w twarz.

— Jeżeli to rzeczywiście jest człowiek tak wybitny...

— Zobaczysz...

Powóz zatrzymał się już przed gankiem. Kilka głów dziewczęcych wyjrzało przez okna. Dzikie wino zieloną szatą oblokło wszystkie ściany domu.

— Pięć córek, pięć córek! — tragicznie szepnął p. Michał.

— Za dużo, czy za mało?

— Cicho...

W przedpokoju spotkała ich Hanka, w sztywnej perkalowej sukni, zmieszana, zarumieniona, radosna.

Pan Michał całował jej ręce. Zarumieniła się jeszcze mocniej, wydymała swoje małe kapryśne różowe usta. Była śliczna.

— Jakże zdrowie ojca pani?

— Dziękuję, nie jest gorzej. Tatuś w gabinecie czeka na panów...

Blask serdeczności rozchmurzył twarz p. Seweryna, gdy wstawał z trudem ze swego ceratowego fotelu — na powitanie p. Michała.

— Dawno już nie widziałem kochanego pana.

— I ja również... bardzo żałuję... nie mogłem wcześniej... ze szczerem współczuciem.... plątał się p. Michał.

— Niech panowie siadają — twardo rzekł gospodarz.

Była chwila kłopotliwego milczenia. W dużym, nadzwyczajnie skromnym gabinecie nad stołami, nad książkami i pismami, nad talerzami z próbkami nasion, dokoła szczupłego żelaznego łóżka unosił się smutek zimny i może oschły. Czarny, wielkich rozmiarów

krzyż, rysował się żałobnie na białej ścianie. Z okna, do połowy zasłoniętego przez bujne sploty dzikiego wina, wlewało się światło zielonawe, jak gdyby trupie. Nie było tutaj much, ani kurzu, żadna ozdoba także, żaden miły a nieużyteczny drobiazg nie rozweselał tego pokoju, gdzie na ceratowym fotelu milczał sam, zda się, surowy obowiązek.

— Przerwaliśmy głośne czytanie? — odezwał się nareszcie p. Michał.

— Tak, trochę...

— Szanowny pan zażywa wczasu a córka wdzięcznie na lutenice przygrywa jak za Janowych dni.. pani czytała własne poezye, panno Hanko?

Skibowski machnął ręką.

— Niech mi Pan nie buntuje córki. Minęły już tamte czasy wytchnienia i lutni... Teraz jest praca.

I skierował ku Pawłowi wzrok, jak gdyby do niego stosował tę uwagę.

— Poezye! — mówił potem — cóż po poezyi? Było trzech wielkich — i już ich zapomniano. Kto patrzy na ich wzory, kto kształci ducha podług ich nauk... Inne czasy!...— zamyślił się.

— A literatura dzisiejsza — wyrzekał dalej — tyle warta, co świątynia z barwnego papieru. Może i piękne na niej malunki i floresy — ale lada podmuch... I nie rozumiem ich, tak jak nie rozumiem nikogo! Pan może myśli — patrzał w pana Michała—iż jest jakiś tam sens w tem, co ona bazgrze...

Hanka spuściła głowę.

— Rymy, sny, aluzye czy iluzye, westchnienia, słowa górne i uroczyste...

Musiał go gniewać ten przedmiot, bo mówił coraz głośniej.

— ...Sensu za trzy grosze! gwiazdy odbite w morzu, struga krwi na białych, marmurowych schodach, płacz w lesie po nocy, jakaś wędrująca po świecie gotycka katedra, kamienie na polu w szary dżdżysty dzień... To są jej tematy! Kto to zrozumie albo odczuje... jaka krew? czyj płacz? poco i jak ta katedra chodzi po ziemi?!

— Ojcze!—szepnęła córka.

Pohamował się.

Zapanowało milczenie.

— Pan, jak słyszałem — zwrócił się Skibowski do Pawła — przyjechał w nasze strony, żeby osiąść w majątku. Bardzo to pochwalam, bardzo pochwalam — powtórzył, badawczo i bez ceremonii przypatrując się Pawłowi.—Nie dość jest doić krowę, trzeba ją dobrze karmić i lubić!.. Inaczej padnie—i nas nie będzie...

Sumował chwilę.

— Cóż pana sprowadziło z szerokiego świata w ten zapadły zakątek?—egzaminował dalej.— Bo nie miłość roli! Zapewne niestrawność, przesyt wrażeń i uciech...

— Na każdy postępek wpływa dużo przyczyn, proszę pana— sucho, dotknięty profesorskim tonem gospodarza, odparł Paweł.

— Czemukolwiek zawdzięczamy przyjazd pana zawsze szczerze mu radzi jesteśmy. Do marnotrawnych synów wyciągamy z przebaczeniem ramiona. I młodych sił, młodych głów bardzo tu potrzeba.

— Mam nadzieję — świdrował Pawła surowym sędziowskim wejrzeniem — że pan niekoniecznie pójdzie w ślady tych, którzy tutaj czynią hałas pracą społeczną, jeżdżą i gadają, obierają, głosują, budują raz na rok we wrześniu wystawy, kłaniają się, biją czołem... Złe plemię i zła droga! Hałaśliwy pozór.. W rzeczywistości nic niema prócz potrzeby ruchu i żądzy użycia.

— Lew Mierzejewski — wstawił Paweł.

— Lew Mierzejewski... Tak... człowiek niezaprzeczenie wybitny ale czy i on nie popełnił błędów... Zresztą podobno usuwa się...

Pan Seweryn wszedł na ulubiony temat i długo a zgryźliwie prawił o Ugodzińskiem Towarzystwie Rolniczem, jego działaczach i działaniach, o miejscowem ziemiaństwie, o przebrzmiałym programie, w który on jedyny może wierzył jeszcze w stronach ugodzińskich...

Obecni słuchali posłusznie a z pewnem znudzeniem.

— Jabym chciał z panem dobrodziejem trochę na osobności... kilka poufnych słów—nieśmiało poprosił p. Michał, gdy nastąpiła przerwa.

— I owszem... jestem do usług—Skibowski spojrzał po otaczających—ale mnie staremu trudno się ruszać—może państwo do salonu...

— Pana może dziwi sposób mówienia tatusia — już w bawialni powiedziała Hanka—trzeba przywyknąć... nie umie inaczej i z każdym tak samo....

— Gdy człowiek tak wybitny....—bąknął Paweł.

I nudzili się przez chwil niemało koło tradycyjnego stołu z lampą, popielnicą—konchą, talerzem ze spłowiałemi biletami wizytowemi i albumem, gawędząc sztywnie, z wymuszeniem o rzeczach błahych, najbardziej obojętnych. Panna nie miała wprawy towarzyskiej zupełnie, Paweł posiadał jej nieco więcej, ale trapiła go rozterka, rosnąca tu, w półciemnym, pustym, zgoła nie zamieszkałym pokoju. I chciało mu się, zapewne jak staroświeckiemu

olbrzymiemu fortepianowi, jak fotelom w szpitalnych pokrowcach wymknąć się stąd czemprędzej na świeże powietrze, między drzewa, na wolną przestrzeń. Przez okna obrośnięte dzikiem winem wchodziło światło leniwe i blade, o zielonym, trupim odcieniu. Nizki wychylony sufit zdawał się wisieć nad samą głową i ciężył.

— Pan dużo podróżował? — pytała Hanka.

— Dużo pani.

— I widział pan stare gotyckie tumy?...

— Nie pamiętam... zresztą tak...

Paweł przyglądał się bladej, smutnej twarzy Hanki, w której paliły się dziwnym płomieniem jej dziwne, czarne, jakby wiecznie zdumione, wiecznie kędyś wpatrzone oczy... Długie przecudne rzęsy gasiły raz po raz płomień spojrzenia... Wydatne, małe, bardzo różowe, kapryśne usta, ziemskie i żądne, stanowiły kontrast... Wydawała mu się śliczną...

„Jeżeli pokocha kogo, — to na życie, wiernie, z bezgranicznem oddaniem, słodka i cicha... Może już kocha?...“

I wyrwał mu się nagle z suchego serca krzyk tęsknoty za takiem kochaniem, wiernem, cichem, czystem, za takim miłującym cieniem...

— W życiu trzeba brać i zdobywać — mówił tymczasem, trzeba dążyć, pracować i walczyć.

Na ustach jej zadrżały jakieś słowa.

— Pani zaprzecza?

— Nie, nie — zmieszała się.

— Niech pani powie! — nastawał.

— Pomyślałam, że człowiek rodzi się z pewnem przeznaczeniem. Wstała żeby otworzyć okno. Jej sztywna, nakrochmalona, perkalowa spódnica szurgotała.

— Dlaczego pani otwarła okno? — spytał.

— Bo motyl bił się o szyby...

— Człowiekowi nikt nie dopomaga, gdy tak samo tłucze się o szybę — rzekł pół żartobliwie.

— Tak panie — zgodziła się cicho.

Paweł znowu patrzał na nią. Ogarniało go dziwne uczucie, złożone ze współczucia dla siebie, ze współczucia dla niej.

— Może to prawda, że człowiek przychodzi na świat z pewnem przeznaczeniem — powiedział cierpko.

I myślał o sobie, stanął mu w pamięci czas spędzony w Kamieńczycach i tamto wszystko...

— Ale trzeba iść swoją drogą — dodał — i dźwigać przeznaczenie, chociażby ono było zimne jak lód...

Nigdy jeszcze podobne słowa nie poruszały mu warg.

„A mógłbym być, a byłbym z nią bezgranicznie szczęśliwym — pomyślał znowu — gdybym ją pokochał, gdyby ona mnie... Miłujący cień...

Patrzał w nią z bliska a wydawała mu się nieskończenie daleką, i chłodną, jak gdyby odbicie żywej osoby w źwierciadle, jak gdyby portret, widziany po przez szereg sal... Dlaczego tak było?.. Tamta... potarł sobie czoło. Tamta... I polubił od pierwszej chwili tę cichą, smutną, zadumaną pannę, i rozmawiałby z nią otwarcie a serdecznie i dzieliłby z nią troski swoje, gdyby ją znał lepiej; ale wciąż wydawała mu się bardzo daleką i chłodną, jak gdyby odbicie żywej osoby w odległem zwierciadle, jak gdyby portret, widziany po przez szereg sal... Dlaczego?

Hankę nużył ten gość, którego należało bawić. Wciąż zadawała pytania; rozmowa rwała się... Odczuwała rozterkę gościa, odgadywała w spojrzeniach jego cierpienie. A sama miała ciężki dzień, odbiegła ją zupełnie wiara w siebie i w życie, postanowiła poddać się i wyrzec się, wykreślić siebie z pomiędzy tych, którzy żyją... W nocy odczytała wszystkie utwory swoje -z męką i trwogą — i zwiesiła ręce, bo dojrzała ich lichotę... Chciała zniszczyć... A ojciec dokuczał, żeby objęła posadę lektorki u pani Opolskiej... Miał podobno napisać...

Nigdy i za nic!..

Gdyby nie gość, położyłaby na stole, swoją ciężką obolałą głowę... W tym mrocznym, sztywnym pokoju spędziła niegdyś godziny szczęścia. Teraz wyrosły przed nią... Patrzała im w twarze, w okropne uśmiechnięte oblicza nieboszczyków... Lampa paliła się na stole... Jego dźwięczny, męski śmiech... Śpiewał u fortepianu...

Tymczasem zabawiała gościa, mówiąc coś o porach roku, o złych drogach na jesień i wiosnę, o proboszczu...

We drzwiach ukazał się Skibowski, zmieniony do niepoznania. Kroczył, prosty i rzeźki, z jasną łuną na czole. Wyciągnął rękę do Pawła giestem nieco monarszym i rzekł:

— Stryj pana zwiastował mi przed chwilą dobrą nowinę. Nie spodziewałem się...

Opanowało go wzruszenie. Nie mogąc wydobyć głosu, targał swój piękny wąs i srożył brwi.

Pan Michał stał ze zwieszoną głową, jak na bolesnej pokucie.

— Starałem się dawać społeczeństwu... nie brałem nigdy. Wolałbym i teraz... — słowa rwały się p. Sewerynowi. — Ale społeczeństwo to wielki władca... dziękuję..

Skibowski rozrzewnił się znowu... Pawłowi wydało się, iż p. Michał tłumił szlochanie. Była ciężka chwila.

— Szczęśliwy jestem... bardzo mi miło... — wybąkał Paweł. Gospodarz wziął go w objęcia, jeszcze raz uściskał p. Michała, miał łzy w oczach.

— Szczególnie rad jestem — zaczął potym już pewnym głosem—że widzę przed sobą w delegacji od ogółu—młodego. Dbałem zawsze o sąd młodych, bo to jest sąd serca i sąd przyszłości... Tak, doczekałem się...

Położył na stole swoją szeroką dłoń, jak gdyby coś zagarniał, rozpostarł palce, patrzał.

— Nie wiodło mi się w życiu — mówił wolno — Głazy wyrastały na mojej drodze, rozmaite niedole chłostały mnie. Szedłem i kochałem... I wierzyłem niezłomnie w was i w tę ziemię. Wrosłem w nią, tkwiłem w niej całem jestestwem, służyłem wam — i nie zawiodłem się na niej, na ziemi rodzicielce i na was. Nie zawiodłem się... Oto nagroda... Wyrażając mi uznanie, dajecie świadectwo, żem poznał drogę... Tylko miłująca praca, tylko praca, poczęta z miłości...

Pan Michał pochylił się do Hanki.

— A pani zawsze blada, zawsze smutna, panno Hanko?—szepnął — chciałbym już raz zobaczyć panią wesołą...

— Ludzie szaleją za panią... Taki Turowski... Pani to nie cieszy?..

— Panie...—prosiła.

— Już i na panią przyszła pora szaleć... Młodzieńców dużo w okolicy... Doprawdy warto! Miłość niewzajemna jest piekłem w niebie, miłość wzajemna z piekła uczyni niebo — żartował dobrodusznie.

Jej dziwnie jakoś na białem czole drżały wąskie, ciemne brwi.

Pan Michał zmienił ton.

— Ciężko jest pani—mówił poważnie—zgaduję, widzę. Każde dotknięcie o twarde ściany życia boli panią, szkoda młodości,..

— Już minęła... poddałam się...

— Niech pani tego nie mówi! To rezygnacya zwątpienia, to szept nieuleczalnego na łożu szpitalnem... Boże! Co bym ja dał, żeby rozjaśnić dokoła pani.....

Tymczasem cicho z herbatą na tacy wsunęła się drobna, i wątła pani Krystyna.

— Krystynko!—po prezentacji i przywitaniach zawołał Skibowski—Oto ci panowie przyjechali w imieniu całego grona obywateli zaofiarować mi pomoc społeczeństwa.

Pani Krystyna jakoś dziwnie brzęknęła szklanką. Usiadła szybko, rzekłbyś zdjęta nagle znużeniem i, splótszy spracowane dłonie na czarnej zrudziałej spódnicy, słuchała.

Gdy mąż skończył, nie odezwała się żadnem dziękczynnem słowem. W tej samej pozie, ciągle jakby zmordowana czy zamyślona, patrzała w przestrzeń.

— Cóż tak milczysz, Krystynko?.. — zarwał ją p. Seweryn — to nie jest rzecz błaha... Na taki objaw uznania ludzie czekają nieraz aż do grobu—i napróżno.

Ona westchnęła.

— Dziwna jesteś, Krystynko — już niecierpliwie rzekł mąż— zbudź się, daj nam herbaty, przynieś wina!..

Skoczyła wówczas i wprawnie a żwawo jęła krzątać się koło podwieczorka. Usadowiła cztery młodsze córki, rozdzieliła między nie z chleb z powidłami i z serem, przyrządziła lekarstwo dla męża, sprzątnęła zastawę, sama piła z pośpiechem—potem wyszła bez pożegnania, zabrawszy z sobą dzieciarnię. Nie próbowała nawet odezwać się do gości. Jej stroskane oczy ciągle z niepokojem badały męża... Ten zaś poprostu promieniał. Wnosił toasty— za Towarzystwo Rolnicze z pominięciem prezesa, którego nie lubił, za grono ludzi dobrej woli w ręce ich przedstawicieli, za tych, którzy poświęcili się miłującej pracy, i t. p., wychylał kieliszek po kieliszku... Radość, gość rzadki i dawny, napełniła sztywny, urzędowy salon. Tylko Hanka, cicha i nieruchoma, błądziła gdzieś myślą daleko.

....Prawda, Hanko? — zwrócił się niespodzianie p. Seweryn do córki.

— Tak, ojcze — odparła drgnąwszy.

— Mówisz „tak," a postępujesz zupełnie na przekór — rzekł z niecierpliwą niechęcią. — Wyobraź sobie, panie Michale, ona za nic nie chce przyjąć miejsca lektorki u pani Opolskiej... Gdzież twój zapał do pracy?!

Pochyliła głowę.

— Pani dziwnie umie odosabniać się — zagadał do niej p. Michał, korzystając z jakiejś sposobnej chwili. — Badałem panią... Pani wciąż przebywała w swojem własnem, dalekiem królestwie...

Uśmiechnęła się.

— Każdy ma jakieś królestwo... w imaginacyi...

— Pani jest bardzo dalekie... „Wyspa ideału przerznięta rzeką łez..." Zaświeci jeszcze nad nią słońce...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Zaświeci pani... ja to wiem... — urwał nagle.

Oczy jego jakby z tkliwą pieszczotą dotknęły jej bladej twarzy, czoła, ubogich, popielatych włosów, wydatnych, bardzo różowych, kapryśnych ust...

Lubił ją od tak dawna, lubili się serdecznie, gawędzili, patrzał jej w duszę, żałował... Przywiózł Pawła z pewnym wyraźnym zamiarem... Teraz zdradziecka myśl na chwilę powstała w sercu.... Dotykał pieszczotliwem spojrzeniem tej biednej, znękanej, smutnej, drogiej głowy... Serce drżało jak gdyby od bolesnego pocałowania umiłowanych ust... Trysnął blask... Dla czegóżby nie?.. Możeby jeszcze... Może...

Długiemi rzęsami zasłoniła oczy przed jego wejrzeniem.

Chwila mijała.

— Jakież masz urodzaje w Nowinach, panie Michale? głośno pytał Skibowski.

— Ciepły kwiecień, mokry maj, będzie żyto, gdyby gaj...

— Ano tak. U mnie koniczyny były bajeczne na żużlach sypanych pod oziminy... Ale to ciebie nie zajmuje!

— Ależ, owszem bardzo.

— Tak jak mnie muzyka. Łacinnik z ciebie, panie Michale. A na nieszczęście, rolnicy u nas jak owi hetmani dzielą się na trzy gatunki: łacina, pierzyna, dziecina...

— Któryż rodzaj najgorszy?

— Ambo meliores. Zresztą wolę już łacinników... przynajmniej nie demoralizujesz nikogo...

Nagle urwał i wlepił w gościa spojrzenie prawie sędziowskie.

— U ciebie wszystko po dawnemu?—spytał krótko.

Pan Michał poczerwieniał i nie powiedział nic.

— Źle, panie Michale, — ciszej indagował Skibowski — źle! Tyle razy mówiłem ci: działaj otwarcie. Boisz się sądu świata? Co? Ludzie nazwą to mezaliansem! Sądy Boże i przepisy Boże ważniejsze. Jakiż to przykład dajesz swoim włościanom? Oni widzą i wiedzą wszystko...

Pan Michał nie podniósł zwieszonej głowy. Na jedno mgnienie wyrysowała się przed nim ta... „Fiokła“ taką, jaką wracała od udoju z zapachem obory i mleczywa w fałdach spódnicy, z zachwytami nad świeżo urodzoną ciełuchą, z plotkami folwarcznemi...

— Zrób to dla mnie starego—prosił gospodarz—lubię ciebie niezmiernie i szanuję i masz w oczach moich tę jedną skazę... Kto inny doradzałby ukryć złe, ja twierdzę, że trzeba je zamienić w dobro i błogosławieństwo Boże... Masz syna... Przyrzekasz, panie Michale? miękkim, serdecznym głosem, którym przemawiał rzadko, nalegał p. Seweryn.

— Chciałbym bardzo... zamyślam... — wyjąkał udręczony gość.

— Pani jest samotną śród młodych sióstr— mówił do Hanki Paweł-- samotność czasami udręcza.

— Zajęcia, książki...

— I każdy marzy, że kiedyś z kim będzie mógł podzielić wszystkie swoje myśli, że znajdzie kogoś...

Były to słowa niespodziane na ustach Pawła... Stłumił je. Cień zaszedł jej twarz i odwróciła się.

— Pawełku, już konie, — naglił p. Michał, znękany rozmową ze Skibowskim.

Nastąpiło pożegnanie. Seweryn rozrzewnił się, dziękował raz jeszcze, pytał o nazwiska ofiarodawców.

— Jeżeli sekret to sekret—mówił—ale to dziwna! Chwalimy się skwapliwie każdym łotrostwem,—dobro ukrywamy. Niezaminowski należy?

Niezaminowski był prezesem Towarzystwa Rolniczego, którego—może zawistnie—nie lubił.

— Tak.

— Patrzcie i on, i on także...—Cieszył się.

— Bolesna była ta komedya — odezwał się p. Michał już za Jaworowem—Musiałem kłamać—a on wszystkiemu uwierzył...

— Przykro było—lakonicznie zauważył Paweł.

Jechali w milczeniu.

— A panna Skibowska śliczna—rzekł później nieco Paweł— i musi być dobra, bardzo dobra... I w niej coś jest... cicha.

— Tak - dosyć sucho zgodził się p. Michał.

Przywiózł Pawła do Skibowskich z pewnym wyraźnym zamiarem czy projektem, ale teraz jego zachwyty nie sprawiły mu radości. Unikał oczu bratanka, myślał nad czemś... Na czystem jego, marzącem czole tkwiła chmura.

Pamiętał słowa Skibowskiego i znowu widział swój pusty dom, pełny cennych sprzętów, pełny dni, które w nim minęły, dni szarych i samotnych, gorzkich, niekiedy żałobnych, zrzadka jasnych,—dni życia...

Szły—i przeszły i przeszło życie...

...W długie wieczory jesienne i zimowe po przeczytaniu gazet słuchał nieskończonych opowiadań Fiokły, o oborze, o kłótniach fornali, o żydach — oszukańcach, o ochmistrzyni księdza — staruszka, z którą ona była w przyjaźni, o księdzu—staruszku...

...w jadalnym pokoju szemrał zegar staroświecki, za oknami huczał wicher, pani Tekla robiła igłą i gadała, gadała... Słu-

chał tej gawędy codziennej, pospolitej, powszedniej, szarej, jak życie głuchego zaścianka, jak życie...

Na wspomnienie tych wieczorów ogarnęło go znudzone, ckliwe, ziewające zniechęcenie.

...bywał w Jaworowie u Skibowskich... wyjeżdżał rozpromieniony, uśmiechał się z wesela przez całą drogę, uśmiechał się, i promieniał tam, w posępnym, półciemnym salonie Jaworowskim...

...czasami chodzili z Hanką we dwoje po wysokich alejach... jej dusza otwierała się przed nim ufnie, mówił jej dobre słowa, mówił nieraz o sobie...

...marzyli nieraz jak gdyby dwoje młodych, patrzali oboje w wodę bezdenną i przezroczą, na tej samej miedzy spotykały się ich dusze...

Dzisiaj jedyny raz zadrżało w nim serce, młode, spragnione... napraszało się...

...Mogłoby to być... Mogłożby to być?

— Żeń się z panną Skibowską, Pawełku — głuchym głosem powiedział pan Michał—to wyjątkowa panna, a żenić się trzeba...— nie patrzał na bratanka.

— Nie, stryju—nie zaraz odparł Paweł — nie mogę... ja nie ożenię się chyba...

Paweł zasępił się. Jechali w milczeniu.

Kilka wiorst za Jaworowem wyminął ich i ukłonił się galopujący jeździec.

— Marcin Turowski — mruknął p. Michał.

— Ach ten...

— Dlaczego ten... To chory człowiek.

— Nieznośny—prawie z nienawiścią szepnął Paweł.

— „Dźwigajmy brzemiona jedni drugich," jak mówi twój patron, „dźwigajmy brzemiona jedni drugich." —cicho powiedział p. Michał.

Łagodny zmierzch mżył już nad światem.

XVII.

Marcin Turowski gnał. Droga była równa, sucha i twarda, i biegł za nim szybki takt galopowego tupotu. Pochylony w siodle, mocno ściskał konia kolanami i z rozkoszą wystawiał twarz na chłodzący pęd powietrza. Lubił taką jazdę.

Szlachetny, wysokiej krwi rumak sunął w długich miarowych susach, nie dotknięty nawet rózgą. Strzygł uszami i przezornie omijał każdą na gościńcu zawadę, o którą mogłaby potknąć się jego pewna noga, parskał. Na cienkiej, lśniącej, spoconej szyi rysowały się delikatne żyły, i tam, gdzie cugle tarły o subtelny aksamit skóry, występowały białe mydliny piany. Lecieli tak już ze trzy wiorsty, i koń, który znał swego pana, wiedział, że nie zwolnią aż do domu. I cieszył się w duchu, bo chciało mu się już do stajni. Zbliżała się godzina obroku... Codziennie o tej samej godzinie metalowy garniec dźwięknął, trącony o drzewo żłobu, i sypał się suchy, z suchym szelestem, złoty, smakowity owies. A on niecierpliwie przestępował z kopyta na kopyto, rżał cicho, serdecznie, łechtany mile w nozdrzach drogocennym zapachem, wzdragał się...

Gniady wałach nie znał innych radości...

Owies, zimna, dobra czysta woda o zachodzie słońca w rzece, sen na świeżej i suchej podściółce...

Zdarzało się, że zjawiała się, gdy on szybko chrupał owies otyła kobieta i wygarniała mu garściami ziarno do fartucha i szła nie do innych koni, ale precz ze stajni. Zdaleka już odróżniał śpieszne klapanie jej złodziejskiego chodu, i bał się tych odwiedzin i strzygł uszami za najlżejszym szelestem...

Zapadał zmierzch... Tam w stajni on t. j. furman musiał już zadać obrok... Wałach wydłużył skoki... Ale dużo jeszcze upłynie czasu... On t. j. stangret będzie oprowadzał go po podwórzu długo i wolno (przyczem nieraz zapomina rozluźnić popręg) poetm słomą, która szorstko łaskocze, obetrze mu grzbiet, potem wyjmie z pyska nieznośne o kwaskowatym smaku żelazo, wreszcie klaśnie go dłonią po boku — na znak, że może iść na miejsce. W stajni dużo much. Za drabiną naręcz siana, które pocznie skubać ot tak, dla zabawy w oczekiwaniu, aż usłyszy szelest i brzęk w tamtym końcu stajni, gdzie leży wór ze złotem, suchem, smacznem, pachnącem ziarnem... Garniec metalowo dźwięknie o drzewo żłobu...

Koń jednostajnie, rytmicznie wyrzucał lewą przednią nogę i strzygł uszami, badając znane, z daleka i o zmroku przybierające nieraz dziwaczne pozory, przedmioty. Oto pień wywróconego drzewa, oto tamten duży kamień, oto jest mostek, który zadygoce pod kopytami, oto krzak, który dziwnie porusza liśćmi, jakby strzygł uszami... nie krzak, coś żywego!.. już chciało mu się fiknąć w bok i zmykać, ale mądry rumak przypomniał sobie onegdajszą bolesną pręgę rózgi za taki sam skok, przypomniał, że to opóźniło powrót, że wiele razy objeżdżali dokoła pień, którego

sią przeraził—i opanował trwogę... krzak, krzak—myślał uspokojony, pędząc dalej—a liście ruszały się tak dziwnie, zupełnie jak gdyby ktoś żywy nastawiał uszu...

Mknęli. Jeździec cmoktaniem jeszcze zachęcał do biegu... Dokąd mu się śpieszy?—zastanawiał się wałach—do domu? A następnego dnia znowu wyruszymy, tą samą drogą i w tę samą stronę, daleko, aż na pagórek, między drzewa, po przez które widać: dom z oknami, cały zielony, obrośnięty gałęźmi o dużych liściach, które nie mają smaku, domy bez okien, gdzie mieszkają krowy i konie, połyskliwy staw... Z tęsknotą, z upragnieniem poglądał zwykle ku wodzie... A on t. j. jeździec (to był drugi on) kładł się na ziemi i leżał długo...

I teraz zadrżała mu noga w prawym strzemieniu... Wyjmie ją, zsiądzie... Nie, nie wyjmuje nogi!.. Tylko zły jest... podnosi rózgę... Rumak poczuł chłodne mrowie w łopatce, po której zwykle smagał go jeździec, i dobył sił... i wyciągnął się.

Oto już słychać szczekanie czarnego psa, który czasami przychodzi w odwiedziny... zaraz stajnia... Garniec metalicznie dźwięknie o drzewo żłobu...

Marcin oddał konia chłopakowi i leniwie powlókł się ku domowi. Najkrótsza ścieżka prowadziła koło zabudowań folwarcznych.

Jedno z okien w czworaku, gdzie jak dzikie stworzenia gnieżdżą się fornale (których on jest chlebodawcą i dobrodziejem) jest oświetlone. Dochodzą stamtąd monotonne pacierzowe szepty... Co to znaczy?

— Śmierć—mruknął—śmierć nie omija ani pałaców sterczących dumnie, ani ubogich izb... ktoś przeniósł się do lepszego świata... Cudowna pocieszająca terminologia! poszedł na piwo do Abrahama... jeszcze piękniej! opuścił padół płaczu... Mordował się tu na mój rachunek, głodził się, nie dosypiał, gryzły go pchły, pluskwy i wszy, tam—na zaświatowych łąkach (cudownie, poetycznie!) zazna wszystkich rozkoszy.

Rzuciwszy okiem przez otwarte okno, ujrzał zmarłą kobietę, jeszcze niestarą, w nowej sukni, w trzewikach, których odmawiała sobie za życia, na tapczanie, z poduszką w czystej poszewce pod ciężką, cichą głową. Paliły się w wysokich lichtarzach kościelne świece, kilka dziadów, przez okulary, jąkając się, z wyłojonych książek odczytywało modlitwy.

Niedostrzeżony przez nikogo patrzał. W ciasnej i brudnej, z obrzydliwemi sprzętami izbie, był świąteczny spokój śmierci. Baba, popychana za życia, poniewierana, bita przez męża, przez ekonoma, krzykliwa i kłótliwa, w dnie targowe pijana, spracowana

od rana do wieczora, w niechlujnych łachmanach — teraz ustrojona, uroczysta, cicha i poważna królowała, budziła postrach i cześć. Żółte, łagodne światło świec w wysokich kościelnych lichtarzach kładło na jej wychudłą, bladą, o zapadniętych policzkach i oczach twarz migotliwe uśmiechy duchowego rozpromienienia, którego nie znała na ziemi... Ta cicha, biała twarz zdawała się śnić o czemś radośnie, zaciśnięte wargi, gdyby mogły, szeptałyby jakieś marzące, dobrotliwe wyrazy, zawarte powieki, gdyby dźwignęły się, ukazałyby źrenice, wpatrzone kędyś daleko... I znowuż opadłyby nad znużonemi oczami powieki, ażeby trwało śnienie...

W Marcinie zastygła ironia. Przyglądał się.

Chwiały się płomienie świec, dziady jąkały się nad psalmem, mucha chodziła po zimnem czole nieboszczki.

„Synowie człowieczy pókiż ciężkiego serca? przecz miłujecie marność i szukacie kłamstwa? Wiedzcież, iż dziwnym uczynił Pan świętego swego...“ rozlegał się urywany, monotonny bełkot sylabizujących bezmyślnie staruszków.

Mąż zmarłej siedział apatycznie na łóżku. Rano chodził do miasteczka po sprawunki i do księdza, przed którym popłakiwał, trochę z żalu, trochę, żeby wyprosić tańszy pogrzeb, sam z desek zbił domowinę, teraz jakby wciąż czekał na coś... Nie poznawał żony. Zmarła na tapczanie nie była już tą Hanną, którą bił, która stawiała przed nim na stole dymiącą misę, z którą od tylu lat kładł się do łóżka... Była inną, obcą, daleką, inną...

I dzieci nie poznawały matki. Starsze, wróciwszy z roboty, poszły kędyś, młodsze stały zaciekawione, zdumione... Marcin także nie poznawał... Myślał, iż oto jest koniec życia pełnego kłótni i zgryzot, pracy i głodu, pijaństwa i niedoli, koniec istnienia, które było niby trwanie zwierzęcia, koniec człowieka... Co roku połóg, co roku dziecko, jedne rodziły się, inne umierały, marna strawa, krótki sen, garnki, wódka, kury, prosiak i krowa... obszywała dzieci i męża, prała, gotowała, kradła dla krowy, którą zapewne kochała, trawę, kradła ziarno dla kur i wieprza...

Marcin przydybał ją nieraz na przebiegłem złodziejstwie, matka narzekała na nią, kłóciły się wrzaskliwie o jakieś płótno...

Takie istnienie! Gorzki smutek zaprawił myśli Marcina, ale jednocześnie, może po raz pierwszy bez odrazy i buntu patrzał w śmierć, w złoty od blasku świec całun wiekuistej ciszy, pod którym ukoiły się zwłoki... Martwe, śniące oblicze, uśmiechało się radośnie, na piersi leżały chłodne, sztywne, umyte ręce, rade, że już spoczną na zawsze, że nigdy nie dotkną trudu... po

zimnym czole, po policzkach czynnie i pracowicie snuła uprzykrzona mucha, ciągle ta sama.

„Zmiłuj się nademną, Panie, bomci chory; uzdrów mię Panie, boć strwożone są kości moje“—mozolnie, z przestankami śród sylab, jąkając się, bąkał dziad.

„I dusza moja strwożona jest bardzo: ale ty, Panie pókiż?“—odpowiadał drugi.

Na przyzbie gawędziły baby. Mówiły o nieboszczce, wzdychając często gęsto, wycierając nos w palce, o jej zaletach, o zdarzeniach jej życia, o jej chorobie i śmierci... Jak pluskanie kropel deszczowych to gadanie napełniało uszy Marcina.

Nagle skoczył i olbrzymiemi krokami ruszył do domu.

Pchnął jedne drzwi i drugie i stanął przed matką, która przy marnym kawałku świecy, naklejonej na brzegu komody, liczyła miedziaki. Był blady jak płótno, ogromne dłonie trzęsły mu się.

— Co zrobiłaś?—zaczął dygoczącym głosem.

Turowską chwyciło przerażenie. Szybkim ruchem zgarnęła pieniądze do szuflady i zamknęła ją na klucz.

— Co zrobiłaś?—powtórzył strasznym, zduszonym szeptem—od czego umarła Hanna?

— Alboż ja wiem! zmarło się jej — spróbowała ostudzić go cynizmem.

— Mów prawdę! słyszałem — pytał, przysuwając się.—Baby opowiadają... Sam słyszałem... Baby gadały...—Słowa nie mogły przecisnąć mu się przez zdławione gardło.

Turowska zerwała się z zydla.

— Jak ty śmiesz! — poczęła krzyczeć piskliwie—jak ty możesz! ja twoja matka... Jakieś babskie plotki — a ty do mnie z pięściami... Ja twoja matka... I to nazywa się syn!

— Milcz! huknął.

— Ty milcz! —wrzeszczała — ja matka. Posłuszeństwa wymagam, przeklnę, wypędzę... Księdzu powiem... Babskie plotki, on wierzy i śmie pytać...

— Bo to do ciebie podobne—syknął.

— Precz nikczemny!—broniła się krzykiem, pewna przewagi—ja kryminału na sumieniu nie mam, ja chwalić Boga zbrodni nie popełniłam, w więzieniu nie siedziałam... A kto z więzienia, ten każdego podejrzewa... Ja mam czyste sumienie, i spokojnie przed sądem Bożym stanę... pracuję, strzegę, czuwam, ja dla twego dobra, ja, jak pies dozoruję, jak sługa bezpłatna...

Patrzał jej przenikliwie z nienawiścią, z urąganiem w oczy.

— Nie prawda? — spytał dotykając niemal twarzą twarzy— nie prawda?

I nagle chwycił ją w mocne ręce i potrząsł.

— Ratunku!—krzyczała—ratunku! zabije matkę. Ale puścił ją niebawem, pełen obrzydzenia, i wyszedł, rzuciwszy drzwiami.

Wywrócony niedopałek świecy zgasł. Matka zawodziła w ciemności.

W swoim pokoju przekręcił klucz w zamku dwa razy i runął zmożony na otomanę.

Jeszcze wrzała w nim nienawiść, płynąca z bólu, ze wstydu, z hańby i zaciskały się pięści.

Bał się siebie i dlatego zamknął drzwi na klucz; przynajmniej nie przyjdzie tu — matka.

Nie miał wątpliwości co do prawdy tamtych babskich szeptów. Przypomniały mu się ciągłe kłótnie, wrzaskliwe, kończące się nieraz na bójce matki z Hanną o jakieś płótno, o grzyby, o rozmaite przedmioty, które znikały ze spiżarni. Nieraz na podwórzu u czworaków czyniło się piekło, rozwścieczone kobiety skakały sobie do oczu.

Teraz tamta spoczęła z uśmiechem jasnym...

Marcin łamał, darł, gniótł w palcach fiszbinową szpicrózgę. Zgromadziły się w nim wszystkie żale, skojarzyły się wszystkie gorzkie chwile życia, które zawdzięczał matce, wszystkie upokorzenia i rany serca.

Nie potrzebował wspominać—pamiętał.

Dzieckiem krył się po czarnych kątach, czołgał się, bojąc się ludzi, bo wszyscy lokatorowie kamienicy przy ulicy Boleść byli dłużnikami matki, wszyscy klęli, złorzeczyli... Nazywali go... Mniejsza o nazwę... Łzy tamtych kobiet, żon rzemieślników, padały na serce dziecka i piekły... słyszał uniżone prośby, pochlebstwa, potem straszne wyrazy i drżał z bojaźni w swojej kryjówce. Raz próbował wstawić się za kimś, za matką Antka, z którym się bawił—ale ona była nieubłaganą. I łzy padały na serce dziecka i piekły... Zostały wszystkie, wyżarły, zatruły...

W szkole ubogo ubrany syn lichwiarki wstydził się... Skąd oni wiedzieli, ci okrutni malcy? I nauczyciele spoglądali na niego inaczej... Dwa razy do roku matka napełniała kurytarze płaczem i, łapiąc po kolei wszystkich belfrów, prosiła o zwolnienie od wpisu. Te sceny miały swoją sławę...

Potem zamieszkał w pałacu przy bogatym koledze, któremu pomagał — „za wikt i opierunek.“ We wspaniałym, jadalnym pokoju, gdzie na ścianach majaczyły portrety, rozwieszone w trzech

szeregach, jedne pod drugiemi, przy ogromnym stole zajmował miejsce na końcu, przed boną paryżanką, za starą łakomą rezydentką. Lokaj nalewał mu wino jak wszystkim u szarego kresu tylko w niedziele i święta...

Patrząc w szeregi portretów, w mundury, w gwiazdy, w kontusze, myślał o przeszłości — i budował przyszłość... Ukochał przyszłość..., tam, w pałacu.

Potem były lata pracy, upojenia, gromkie lata...

Teraz czuje znużenie.

Jak on wytrzyma to życie, które jest jak obmierzła spróchniałość zgniłego, toczonego pleśnią drzewa?

Zniechęcenie niby wierny pies przyszło mu do nogi... po przez ściany dolatuje krzykliwe zawodzenie matki. Zastukał wściekle obcasami, żeby zgłuszyć ten głos...

Znowu uprzytomniła mu się cała ohyda rzeczy podsłuchanej. Bolała go nienawiść.

Nie żałował tamtej kobiety, tylko nienawiść szarpała, gryzła, bolała, rzekłbyś głęboka rana od armatniego pocisku... A życie popłynie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, takie same, w tym domu, spróchniałe, zgniłe, cuchnące, popłyną dnie, jak płynęły...

Na cóż mu się zdała siła, która przewala się w nim, ryk buntu, który wyrywa się z piersi?

Gniewną piersią z groźbą potrząsa ku przeznaczeniu—i cóż?

Miałby potęgi i mocy dosyć, żeby jednem pchnięciem zburzyć ten świat—i odbudować na nowo—i cóż?

Hanko, Hanko!—zawołało w nim nagle.

Było to pragnienie szczęścia.

Hanko, Hanko!.. cicha i czysta przyjdź tu, bo tak mi potrzeba ciebie, czystości twojej i dobroci—nieśmiało, jakby w modlitwie, drżąc przed śmiechem rozumu, szeptało serce.

Hanko, Hanko! znużony jestem, sam jeden na świecie, zbolały — przyjdź do mnie, zejdź. Oto cicho proszę... Hanko, Hanko...

Usta twoje, Hanko...

Za drzwiami jęczała matka.

— Marcysiu otwórz! otwórz! Matka prosi. Nie gniewaj się, nie wierz... kłamią...

Milczał.

— Marcysiu wpuść mnie... Nie będę... Marcysiu... Boję się... Wysłuchaj, opowiem... Matka twoja... Boję się... Nie rób sobie nic złego...

Począł chrapać głośno, udając, że śpi.

XVIII.

Mnogie kłopoty, niby szczury po starem domostwie, snuły się dokoła Pawła w Naborowie, a pomiędzy szczurów pełzały kąśliwe węże zgryzot, wiły się śliskie żmije upokorzeń, łaziły nieznośne ropuchy trosk. Z zamiarów, z reform, z przedsięwzięć, z energicznego poczynania wyrosły bujnie na niwie jego działalności chwasty zawodu, i żadne z dobroczynnych ziarn społecznej myśli nie wzeszło. Trochę jak w piśmie świętem: niektóre z ziarn padły na opoczyste, inne—„przylecieli ptacy powietrzni i pozobali je.“

Łudził się w ową raźną niedzielę, gdy, sypnąwszy na chaty obietnicami łask, wracał wesoły w blaskach konającej zorzy do domu i nizał na sznur chełpliwego zadowolenia swoje mądre a tak bliskie urzeczywistnienia pomysły.

Aleja brzozowa, prowadząca do wsi, porastała trawą, której nie przytarły stopy chłopów, „ciągnących gromadami do opiekuńczego dworu,“ zwiększyło się oddalenie, ukazały się przeszkody nie do przebycia. Z warunków, któremi dziedzic podparł umowę bratniego pożycia, żaden spełnionym nie został.

Łąki były pokoszone, po lasach pasło się bydło, znaki graniczne leżały wywrócone, siekiery stukały w biały dzień... Z milczącym uporem, może z zuchwałem szyderstwem, chłopi tratowali prawo, sprawiedliwość, poszanowanie pana i obowiązek wdzięczności, tratowali najlepsze zamiary pana.

I Paweł nie ponowił swoich odwiedzin.

Chodził zato na wzgórze, z którego widać było barwny wachlarz, pstrą szachownicę włościańskich pól, długi sznur zabudowań Naborowszczyzny, białą piaszczystą drogę do miasteczka, wioskowy cmentarz śród sosen...

Pagórek stanowił jego niepodzielną własność i mógł na nim siadywać bezpiecznie, panować wzrokiem nad okolicą, sięgać myślą tam, kędy nie zdołał jeszcze sięgnąć czynem... To też przychodził niemal codziennie z książką, której nawet nie otwierał, tonął w zgryźliwych zadumach, spoglądał.

Upływały godziny. W ostatnich brzozach zniszczonej alei szumiał wiatr, na niebie mijały obłoki, słońce świeciło albo kryło się za chmury, gwarzyło ptastwo. Bywały dnie upalne, martwe, w które świat, zdawało się, grążył się w błękitnej omdlałości,

i dnie pochmurne i ciche, dnie o łagodnym, zamyślonym obliczu, jak zwykle w lecie...

Paweł nie badał czarownych zmian, które dokonywały się w przyrodzie, nie wsłuchiwał się w wiekuisty rytm jej żywotnego serca, nie miłował słodkiej tajemnicy bytu, która szeleściła, śpiewała, szumiała, pachniała, zieleniała i kwitła dokoła niego— zajmowała go tylko wieś.

A wieś żyła swojem życiem. O tej samej godzinie wychodzili mężczyźni z kosami na ramieniu i kobiety z grabiami, o tej samej godzinie dzieci i baby niosły dwojaki, o tej samej godzinie był powrót, nad którym niby chorągiew płynęła w wieczornym powietrzu pieśń... A przez dzień cały na łące, widnej z pagórka, miarowo posuwał się sprawny szereg kosców, odzywał się szczękający żal naklepywań, wznosiły się wysokie stożkowate kopice, odjeżdżały wozy z zielonom, wonnem sianem... czasami dzieciak siedział na samym wierzchu i bił z uciechy rękami, jak gdyby ptak skrzydłami... potem przyszły żniwa, na złotych niwach, gorące i znojne, pochylone białe żnieje zdawały się płynąć w złocistej toni zbóż. Spowite niemowlę kwiliło na miedzy. Boże! jaka tęsknota zawodziła w monotonnej, nieskończonej pieśni, która napełniała przestrzeń, przestrzeń błękitną i słoneczną, świat kwitnący, radosny. Jęk odwiecznej niedoli, cierpliwa skarga, niepocieszony żal... Skarżyła się niedola bierna, uległa, beznadziejna, niedola, która wie, że nie przeminie... Pawłowi chciało się zatknąć uszy i odejść — nawet w nocy, gdy wszystko cichło, słyszał tę pieśń żałosną — zostawał jednak.

Przed wzrokiem jego rozsnuwało się życie jednostajne, pracowite, powolne... Było coś uroczystego, coś ważnego w tej pracy i w tem życiu; było i jeszcze coś, czego nie umiał na razie określić. Patrzał tylko z zajęciem.

Oto chłopak pędzi w obłokach kurzawy konie z noclegu czy na nocleg. Na drodze tupot. Konie o długich ogonach i grzywach zbijają się do kupy, chłopak galopuje, oklep na chudym grzbiecie kobyły i śmieje się; rży źrebak ..

Oto wraca stado z pastwiska: marne, brzuchate krowy. Stary dziad wlecze się za niemi, uwijają się wyrostki. Różowy pył zawisł nad drogą. Czereda dzieci wysypała ze wsi: każde śpieszy na spotkanie swojej krowy.

Oto stuletnia staruszka zwołuje na łące gęsi...

Oto z ulicy wysuwa się pogrzeb. Na drabiniastym wozie prosta, czarna, z białym krzyżem trumna. Kilku mężczyzn bez czapek idzie za wozem — śpiewają. Wydaje się, iż uczyniła się

cisza... Wolno po piasku toczy się wóz, poważnie płyną żałobne tony. Z kapliczki śród sosen, gdzie jest cmentarz, odzywa się dzwon, jękliwy, śpieszny, drobny, „chodź, chodź—woła ten głos— chodź, chodź.“ Wóz toczy się wolno, wolno płynie pogrzebowe pienie. Wydaje się, iż uczyniła się cisza...

Paweł zdejmował kapelusz, długo patrzał w ślad za wozem z trumną, rękopis odczytu wymykał mu się z rąk. Orszak krył się między sosnami, dzwon wołał w błękitach jękliwie i z pośpiechem, potem milkł — i wracali wszyscy żwawo do wsi.

Paweł znowu przeprowadzał ich wzrokiem.

Często teraz nawiedzało go dumanie, z którem płynął bez określonego kierunku — ani do brzegu ani od brzegu — a prawie bezwiednie, nie mogąc znurtować dna. Coś niosło go... płynął, i poczynał tajać w nim zawzięty gniew i już skłonny był darować urazy... przychodziło uczucie nieznane, na którego spodzie leżała myśl, jeszcze niejasna i drżąca, myśl—noworodek, dobywająca się nieśmiało z głębin serca... Ale wnet deptał po niej i chwytał dla ocalenia siebie za program, za odczyt, za pogląd, którym karmił się od roku i dla odegnania zadumy wracał do domu, gdzie przy lampie pracował do nocy nad odczytem.

Około odczytu tego i procesu ze wsią o sporne grunta, łąki i służebności, który to proces, energicznie popychany przez Pawła, miał roztrzygnąć się w sierpniu czy wrześniu, obracało się obecnie jego życie. Rozumował tak: nie udało mu się rozpocząć zamierzonej działalności z winy niesfornych, niekarnych, hardych, zbuntowanych chłopów, rzuci więc tymczasem myśl swoją w społeczeństwo, ażeby ziarno zakiełkowało chociaż gdziekolwiek, potem, gdy upokorzy i złamie włościan sąsiadów, gdy nauczy ich poszanowania prawa i własności, gdy wykształci ich — pójdzie między chaty z czynem.

Więc czekał z niecierpliwością sierpnia, żeby wygrać proces i wygłosić odczyt na jesiennem zebraniu Ugodzińskiego Towarzystwa Rolniczego—i nudził się. Mimo nawału zajęć, mimo rachunków, listów, książek, wycieczek do gospodarstwa. miał ciagle poczucie, że nowa epoka życia jeszcze się nie rozpoczęła, że on sam wciąż jeszcze w stanie zawieszenia. I zapewne dlatego nudził się. Zgoła inaczej wyobrażał sobie swoje istnienie naborowskie przed wyjazdem z Warszawy. Wybierał się trochę jak głównodowodzący na kampanię, trochę jak apostoł, trochę jak ten, który przez podbicie odległej prowincyi chce zyskać rozgłos—a dnie mijały szare. Nie było tu tymczasem co zdobywać, nie było czemu służyć. W charakterze zaś jego splatały się te dwie żądze:

żądza pierwszeństwa (sławy, chwały, uznania, stanowiska) i żądza pracy na pożytek ogółu. Od młodości był posłusznym jednej i drugiej. Poświęcił się nauce, przekonany o swoich niepospolitych zdolnościach, a zatem pewny świetnego powodzenia, lecz także dlatego, iż wierzył w naukę, jako w olbrzymią dźwignię postępu, nieśmiertelną mistrzynię życia. Doznawszy na tym szlaku zawodu, zwątpił o sobie i przechodził ciężkie męki. Był bliski samobójstwa, potem bliski wstąpienia w szeregi najbardziej skrajnych polityków. Na szczęście przyszła dobroczynna teorya ziemiańska. Paweł, gruntowny i dokładny we wszystkim, nie przyjął jej lekkomyślnie albo połowicznie. Przetrawiał ją wiele miesięcy, aż urosła w nim w pogląd wszechstronny, niezłomny i ścisły niby jędrna kula z jednego ulana metalu.

Paweł stał się ziemianinem do szpiku kości i w każdym calu i, uwierzywszy w ziemianina, postanowił być ziemianinem przykładnym. Wypracował program. Przedewszystkiem oddalił dzierżawców, żeby gospodarować na własną rękę i stworzyć wzorową fermę rolnictwa, zapisał się na członka do miejscowego Towarzystwa Rolniczego, zagłębił się w dzieła agronomiczne, w statystykę i etnografję okolic, które miał zamieszkać, przejął się uczuciami synowskiemi dla kościoła katolickiego nie z potrzeby ducha wszakże, ale z zasady wyrozumowanej i przez politykę. I miał rozpocząć służbę społeczną...

Miał dźwigać rolnictwo, wzbogacać kraj, dźwigać stan włościański — dla wzbogacenia kraju i odżegnania przypuszczalnego pojawienia się stronnictw skrajnych, wspierać kościół. Najbardziej zależało mu na kwestyi włościańskiej, gdyż, o ile rozejrzał się w stosunkach, nikt nie zajął się nią dotychczas z należytą uwagą... kwestyę tę traktował w owym odczycie, który dojrzewał już w Warszawie, który pisał od pierwszego niemal dnia przyjazdu, w którym zamknął całego siebie, i dlatego tak rozległe i niecierpliwe na nim budował nadzieje. Przypuszczał, iż to będzie chwila, w której stanie przed społeczeństwem, jako zwiastun, w której z naciągniętej oddawna cięciwy wyrzuci się strzała... Ambicya, karmiona przez lat tyle piątkami, dziś głodna, kleciła tryumfalne łuki, wiła wieńce i wiązała wstęgi...

Tymczasem dnie mijały, szare, uciążliwe. Gospodarstwo w zaniedbanym majątku nie mogło dawać pociech, chłopi trwali w uporze, pieniądze uchodziły jak woda przez skrzętne, oszczędne jego ręce, czworaki wyrastały powoli, fornale mimo podwyższonych zasług i zamiany nędznych niemlecznych krów na mleczne, witali go zawsze pochmurnie, obojętnie...

Po powrocie z Kamieńczyc Paweł napisał dwa długie, szczere, ważne, pełne myśli listy: do Lwa Mierzejewskiego, którego uważał poniekąd za wodza swego, i do hrabiego Tobiasza. Od pierwszego spodziewał się wyrazów powitalnych, wyrazów uznania, pochwały i zachęty, od drugiego — zajmującej polemiki. Ale odpowiedzi nie było. Milczeli obaj: i wielki ziemianin, i tamten dziwak, mistyczny kochanek grobów, romantyk. Gryzło to Pawła. Ale nie ustawał w pracy. Jeździł, chodził, rachował, naradzał się z rządcą, czytał...

Wieczorami, z rękami w kieszeniach przechadzał się do późna po swoich milczących i nudnych starokawalerskich pokojach i myślał, jak zwykle dokładnie i ściśle, wytrwale, czyniąc swój codzienny „rachunek myśli.“ Zjawiały się myśli, które tłumił, które spychał z powierzchni świadomości tak jak się spycha z łodzi natrętnego topielca z obawy, żeby przeładowana łódź nie poszła na dno... Bo kazał tamtym myślom pójść na dno... Ale wypływały co jakiś czas i ukazywały nad wodą swoje kuszące oblicza syren, przedziwnie uśmiechnięte. Wówczas przerywał „rachunek myśli,“ przerywał spacer po pustych i niemych pokojach, siadał przed biurkiem, brał dziennik, który stawał się coraz suchszym, coraz mniej szczerym... Nie dotykał w nim pewnych przedmiotów, osób, uczuć...

Przed samem udaniem się na spoczynek otwierał okno dla przewietrzenia pokoju, dla odświeżenia zmęczonej głowy, i patrzał w noc.

W ciemności rozległego podwórza wznosiły się niby skamieniały olbrzym martwe ruiny byłego pałacu. Z dali świeciły żółto, mrugały okna folwarczne, za któremi o tej porze wieczerzały rodziny; i Paweł, jakkolwiek znał te okropne przybytki na wylot, spoglądał ku nim z zazdrością, z dziwną, nie usprawiedliwioną przed rozumem zazdrością... W dnie świąteczne biegły stamtąd dźwięki to skrzypiec, to harmoniki to innego jakiegoś narzędzia, może swojskiej fujarki. Zapewne tańczono...

Ogromny pałac, niby tułowie skamieniałego olbrzyma, milczał, milczały puste, oświetlone, starokawalerskie pokoje dziedzica. W kuchni nuciła młoda kucharzowa, która szyła coś dla czworga dzieci albo dla męża, zajętego kołysaniem niemowlęcia. Pod osłoną krzaków chłopiec kredensowy szeptał z kimś, Paweł cofał się dyskretnie, rozbierał się, kładł się. Ale sen przybywał nie zawsze. Czasami gasły wszystkie światła i wszystkie odgłosy, a dziedzic wciąż jeszcze bezsennemi oczami spoglądał w mrok pokoju. I ukazywały mu się kuszące, przedziwnie uśmiechnięte oblicza myśli,

które cisnął na dno, które za dnia spychał ze świadomości tak, jak się spycha z łodzi natrętnego topielca w obawie, żeby łódź przeładowana ciężarem nie poszła na dno...

Poco one trapią mu spoczynek?

Bosy wracał do okna i zanurzał się w ciemną i cichą już noc.

Wówczas niewidzialnie podnosiła się kurtyna, zszyta z obowiązków, z zasad, z rozumowań, z nakazów ambicyi, i roztaczał się przed bezsennemi jego oczami obraz czarodziejski, do którego tęskniło serce.

I ten, który marzył przed tym snem, był innym, nowym człowiekiem.

Boże — tęskniło serce — dlaczego zawsze ten chłód i pustka? Inni inaczej... Kochania drogie i czyste, kochania dobre i wierne wyciągają ku innym ramiona na drogach życia, cienie miłujące wędrują za niemi... A ja?!

Czekaj, czekaj... może jeszcze... może jeszcze i ty...—marzyło w bezbrzeżnej tęsknocie serce.

Ale w winie smutku rozmakały piołuny rozczarowań i podejmowała się gorycz. Dlaczego jego takim, jakim jest, jego brzydkiego, nieśmiałego, nieelokwentnego Pawła Naborowskiego z obwisłą wargą, na patykowatych nogach, nie pokochał nikt dotąd, dlaczego nikt nie pokochał jego myśli i serca, dlaczego żaden cień słodki i cichy nie szepnął mu: „idź, pójdę za tobą...“ Dlaczego?

Tam były tylko obłuda i fałsz, rachuby, samolubstwo, kłamne pozory, jedwabna sieć...

Zakrywał twarz rękami.

A on pokochał... pokochał i nie może zapomnieć!..

Oto usta lgną do tamtej białej, miękiej, spoczywającej na sukni ręki, oto usta pragną tamtych ust, i świecą przed nim te oczy świecące i senny uśmiech przejmuje go dreszczem, i ogarnia go ten uśmiech i mówi do niego... I szedłby do niej...

— To jest miłość—myślał z przerażeniem—miłość, która nie przejdzie, ale złamie mu życie. Nie może zapomnieć... Nie może...

(d. c. n.). KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

Neowitalizm dzisiejszy i jego geneza.

Kiedy miano zbudować most wiszący nad wodospadem Niagarą, a zachodziła trudność w przeprowadzeniu z jednego brzegu na drugi pierwszych wiązań, jeden z inżynierów wpadł podobno na myśl puszczenia latawca, na długiej uwiązanego nici. Wiatr przeniósł go szczęśliwie na drugą stronę. Tak przeprowadzone zostało pierwsze, aczkolwiek słabe bardzo, połączenie obu brzegów. Przy pomocy nici przerzucono na brzeg przeciwny sznurek, za jego pośrednictwem liny, linami łańcuchy, a tak zbudowano wreszcie stały, potężny most, wiszący po nad niedostępną przepaścią. Ów latawiec to — hipoteza; trwała budowla — to gmach nauki, wzniesiony przy jej pomocy.

Hipoteza — to konstrukcya myślowa, mająca niemal zawsze znaczenie pomocnicze, prowizoryczne, tymczasowe; pod jej wpływem umysł ludzki zwraca się ku nowym dziedzinom badania, kieruje ostrze swej krytyki ku starym budowlom, które częstokroć zwala i niszczy, by na ich gruzach wznosić gmachy nowe, trwalsze. Hipotezy prowadzą umysły badaczy na szlaki poszukiwań empirycznych i same częstokroć giną bez śladu, zapładniając ducha dążeniem do nowych dociekań i przyczyniając się pośrednio do nowych wielkich odkryć naukowych. To też głęboką jest prawdą, że lepsza byle jaka hipoteza, oparta naturalnie na pewnym zasobie ścisłych faktów, niż brak wszelkiej. A prawda ta stosuje się tak do całych dziedzin wiedzy ludzkiej, jak i do poszczególnych jej zagadnień.

Jednym z takich wielkich problematów biologii jest geneza celowych urządzeń w organizmie. Jak w machinie, przez człowieka zbudowanej, każde kółko, każda sprężyna lub sztabka, ka-

żdy pas, wszelka śrubka ma swój cel określony, a całość harmonijnie jest złożona, by umożliwić jej funkcyonowanie, tak i w ustroju wszelki narząd ma budowę ściśle zastosowaną do pewnej, wyłącznej czynności, a całość stanowi dziwnie harmonijne zespolenie różnorodnych części, warunkujące zawiły proces życiowy.

Jak powstały na drodze rozwoju przyrodzonego, naturalnego owe urządzenia o charakterze celowym w organizmach, owe tysiączne, jak dziś mówimy, przystosowania w ich budowie i czynnościach, — oto jedno z zagadnień, o którego rozwiązanie kusili się najwięksi myśliciele. Gdy jedni rezygnowali ze zrozumienia tego problematu, inni stawiali śmiałe hipotezy, które w mniej lub więcej zadawalniający sposób wyjaśniały liczne z odnośnych faktów.

Emanuel Kant nie wierzył niemal w możność naturalnego objaśnienia faktów takich. W jednym z najważniejszych pism swoich, a mianowicie w „Historyi naturalnej nieba“ (1755) powiada on: „Dajcie mi materyę, a ja zbuduję Wam z niej świat (t. j. system słoneczny). Ale nie możemy powiedzieć: „dajcie mi materyę, a ja Wam pokażę, jak z niej może powstać gąsienica lub ziele.“ A w swej „Kritik der Urteilskraft“ (1790) powiada on (§ 75): „Pewnem jest, że nie możemy dostatecznie poznać, a tem mniej wyjaśnić sobie, na mechanicznych tylko zasadach przyrody istot organizowanych oraz ich uzdolnienia wewnętrznego (deren innere Möglichkeit); a jest to tak pewnem, że śmiało powiemy, iż człowiek nie może przypuszczać lub spodziewać się, aby powstał kiedykolwiek *Newton*, który uczyniłby zrozumiałem istnienie źdźbła trawy na podstawie praw przyrody, działających bez z góry zakreślonego celu; poznania tego musimy raczej odmówić człowiekowi.“

Umysł ludzki nie skory jest jednak do rezygnacyi. Nie zrażają go piętrzące się trudności, a gdzie go empiryzm zawodzi, tam ucieka się on do przypuszczeń, do hipotez, opartych na pewnej liczbie poznanych faktów, aby za ich pomocą wyjaśnić je sobie i skierować myśl ku nowym dziedzinom badania. Gdy zaś w dociekaniach swoich sprowadza on liczne, różnorodne, niepowiązane z sobą fakty do jednej kategoryi, gdy znaczną ilość niewiadomych redukuje do jednej lub do kilku, znajduje już znaczne zadowolenie w swej pracy badawczej i posuwa się tym sposobem naprzód w wyjaśnianiu zagadnień. Wykrycie np., że różne rodzaje energii, jak mechanicznej, cieplnej, świetlnej, elektrycznej, to tylko różne objawy jednej jej postaci — to wielka zdobycz myśli ludzkiej, bo mamy tu sprowadzenie szeregu zjawisk różnorodnych do jednego, zredukowanie wielu niewiadomych do jednej tylko.

Otóż pozornie celowe urządzenie organizmu, cudowny mechanizm ustroju, stanowiący niezmiernie skomplikowaną, a tak znakomicie do czynności swoich zastosowaną machinę, oraz harmonijne współdziałanie wszystkich tych czynności, składające się na całość procesu życiowego — wszystko to oddawna zastanawiało biologów. Gdy jedni starali się objaśnić te zjawiska na podstawie praw naturalnych, to inni wprowadzili hipotetyczny jakiś czynnik, specyficzną „siłę życiową," która miała tłómaczyć swoiste właściwości żyjącego ustroju. Pierwsi — to *mechaniści*, ostatni — *witaliści*. Zazwyczaj oznacza się mianem mechanistów tych, którzy przypuszczają, że organizmem rządzą wyłącznie tylko prawa fizyko-chemiczne, że biologia — to fizyka i chemia ustroju. Mojem zdaniem, jak to niżej jeszcze szczegółowiej wyłuszczę, określenie takie jest za ciasne; mechaniści — to ci, co tłómaczą zjawiska biologiczne hipotezami, opartemi na prawach naturalnych, podlegających badaniu; witaliści natomiast wprowadzają do biologii czynniki idealistyczne, transcendentalne, nadprzyrodzone, nie podlegające badaniu empirycznemu. Tak pojęte: mechanizm i witalizm przedstawiają dwa poglądy krańcowe, nie dziw przeto, że w dziejach myśli ludzkiej widzimy często jaskrawy między niemi konflikt.

Ilekroć, wskutek znacznego rozwoju wiedzy biologicznej i wielkich odkryć w jej dziedzinie, stawały się zrozumiałemi pewne, pozornie celowe urządzenia w organizmach, jasnemi pewne złożone przystosowania, a wytłómaczenie ich pochodzenia przez prawa naturalne wydawało się możliwem, tylekroć brał górę mechanizm. Ilekroć zaś pewne fenomeny życiowe, a zwłaszcza geneza urządzeń o charakterze celowym w życiu organizmów stawały się niezupełnie jasne i przez znane nam prawa naturalne w zupełności wytłómaczyć się nie dawały — tylekroć hydra witalizmu opanowywała umysły badaczy, dążących do objaśniania rzeczy naturalnych przez pojęcia mgliste, nieokreślone, nie podlegające badaniu empirycznemu.

Witalistą był np. *Arystoteles*, przyjmujący jakieś tajemnicze, celowo działające siły w organizmach, t. zw. entelechie. Witalistą był słynny szwajcarski fizyolog XVI wieku, *Paracelsus*, zwany „reformatorem z Einsiedeln." Oparł on swą naukę na pojęciach filozoficznych neo-platonistów, był panteistą, przyjmował, że cała przyroda przeniknięta jest duchem Bożym, a więc, że i w każdem stworzeniu bytuje „ogień niebiański" i „balsam australiczny ducha Bożego." Wszelkie celowe czynności, odbywające się w żywym ustroju, spełnia tedy cząstka owego ducha,

zamieszkująca organizm. Tego maszynistę nazywa *Paracelsus* „Archeus," „Vulcanus," „Schmelzer" i t. d. „Der Archeus im Menschen alle die Vulkanischen Kunst vollbringt, ordnet; schickt und fügt alle Ding in Kraft der gebnen Kunst von Gott, in sein Wesen, ein jegliches in sein letzte Materia." Wszelkie czynności fizyologiczne organizmu są sprawą owego archeusza, który rządzi się poszczególnemi narządami ciała, jak kuchta naczyniami i statkami; nawet trawienie pokarmu jest dziełem tego mistrza: „Archeusz rządzi się w żołądku... i robi z pokarmu, co należy, podobnie jak kowal, który wyrabia z żelaza, co tylko zechce." Chemiczna przemiana materyi odbywa się również w ustroju pod wpływem tajemniczych archeuszów, ciało bowiem ludzkie składa się, w mniemaniu Paracelsa, z części całkowicie i niezupełnie palnych oraz z ogniotrwałych, do których należy „siarka, rtęć i sól," a oto podczas życia części te rozkładają się i na nowo się tworzą pod wpływem archeusza!

Kontynuatorem tych grubo witalistycznych poglądów Paracelsa był słynny fizyolog XVII wieku *van Helmont*. I on, podobnie jak jego poprzednik, łączył pojęcia przyrodnicze z transcendentalnemi, nadprzyrodzonemi. Odróżniał on w człowieku dwie dusze, rodzaj duumviratu, jedną — nieśmiertelną, drugą — śmiertelną. Śmiertelna jest właśnie ową siłą życiową, owym archeuszem, a została ona przez grzech pierworodny oddzielona od duszy nieśmiertelnej. Ale gdy Paracelsus zadowalniał się jednym archeuszem, to v. Helmontowi potrzeba było do objaśnienia życia i celowych jego urządzeń całego sztabu archeuszów, niejako armii dyablików (t. zw. archaei insiti), podwładnych głównemu archeuszowi (t. zw. archaeus influus). Od współdziałania tego sztabu duchów zależą wszelkie procesy życiowe. Podczas gorączki i dreszczów archeusze energicznie się ruszają, aby wypędzić z organizmu niepotrzebne substancye.

Przez cały wiek XVIII poglądy witalistyczne górowały nad mechanistycznemi, które w wieku XVI i XVII, pod wpływem świetnego rozwoju mechaniki, fizyki i astronomii (*Galileusz, Kepler, Newton, Mariotte*) oraz indukcyjnej metodologii *Bacona*, miały w części przewagę nad pierwszemi.

W wieku XVIII kontynuatorem witalistycznych poglądów Paracelsa i van Helmonta był słynny chemik i fizyolog *Stahl*, a że cieszył się on wielkim autorytetem, poglądy jego znaczny wywarły wpływ na innych także uczonych ówczesnych. Do spotęgowania się poglądów witalistycznych XVIII wieku, jako nieopartych na badaniach empirycznych, przyczyniły się też w wy-

sokim stopniu skrajnie idealistyczne systematy filozoficzne *Berkeley*'a i *Leibnitz*'a; zwłaszcza nawskroś mglista monadologia tego ostatniego sprzyjała bardzo rozwojowi witalizmu. *Stahl*, podobnie jak *van Helmont*, był animistą. Jego zdaniem „dusza wytwarza ciało dla swoich celów; narządy ciała nie żyją, lecz są tylko ożywiane przez duszę.“ Ani anatomia, ani fizyka i chemia nie tłómaczą nam — twierdzi *Stahl* — żadnych zjawisk życiowych, te ostatnie bowiem są jedynie wynikiem tego, że dusza (anima) ożywia ciało. Ona to, ta duchowa, rozumna siła sprawia, iż w organizmie jest tak wiele mądrych, celowych urządzeń.

To pojęcie specyficznej siły, rządzącej ustrojem żywym, a co najważniejsza, warunkującej celowość wszystkich jego czynności i celowej budowy narządów — pojęcie to kołatało się pod różnemi nazwami przez cały wiek XVIII i początek XIX-go. Wszystkie zagadnienia biologiczne tłómaczono sobie w sposób bardzo wygodny, niekłopotliwy przez ową siłę życiową. Dlaczego związki organiczne wytwarzają się tylko w organizmach? Bo tworzą się tam one pod wpływem siły życiowej. Dlaczego kwaśny sok żołądkowy trawi pokarm, a nie trawi ścianek samego żołądka? Bo owe ścianki są żywe, chroni je więc od strawienia siła życiowa, w nich zawarta. Słowem, ona ochrania, kształtuje ustrój i mądrze nim rządzi. Szczególniejszą tajemniczością odznaczają się procesy rozwojowe, embryonalne w życiu ustroju zwierzęcego. Tu kształtować się zaczyna jakiś fałd, z którego później ma powstać np. system nerwowy, ówdzie tworzy się jakaś brózdka w miejscu ściśle określonem, aby dać początek sercu, tam znów jakaś wypuklina się pojawia, aby wytworzyć w przyszłości płuca i t. d. i t. d. Tu też największe jest pole do fantazyowania na punkcie specyalnych archeuszów, lub innych pierwiastków duchowych, z całą świadomością celu stwarzających te różne zawiązki. Otóż przez długi czas, a mianowicie przez większą część XVIII-go stulecia, sądzono, że nic się właściwie nie tworzy w płodzie; że wszystkie części ciała przyszłego ustroju i wszystkie jego czynności znajdują się już w miniaturze w jaju, względnie w plemniku, a rozwój płodu polega tylko na rozroście owych zawiązków przedistniejących, czyli praeformowanych (stąd nazwa: teorya praeformacyi). Ale gdy badania empiryczne wykazały całą bezzasadność takiego poglądu; gdy się przekonano, że, przeciwnie, nic nie istnieje gotowego, lecz że każdy narząd, każda część ciała stopniowo się rozwija i kształtuje, a każda czynność stopniowo też się różnicuje i doskonali w płodzie; gdy więc w końcu XVIII-go i na początku XIX-go stulecia owa teo-

rya praeformacyi została pogrzebana, a zjawiło się pytanie, co jest czynnikiem owych przekształceń w rozwijającym się płodzie, dążących do wytworzenia doskonałego organizmu — odpowiedź na to brzmiała: siła życiowa, uduchowniony pierwiastek, tkwiący w rozwijającym się zarodku, niejako archeusz zarodka, t. zw. przez Blumenbacha „tryb twórczy“ (*nisus formativus*). Słowem, wszędzie i zawsze mądrze działające siły, czy to w organizmie dorosłym, czy to powstającym dopiero, kształtują życie w sposób celowy!

Ale wiedza ludzka, niestrudzona w swych dociekaniach i wieczna w źródłach, nie zadowolniła się hipotezą o istnieniu specyficznej siły, celowo działającej w ustrojach. Zaczęto bliżej analizować czynności życiowe, a oto przed umysłem badaczy rozwarły się nowe widnokręgi, które spowodowały gwałtowny przewrót w poglądach dotychczasowych.

Wöhler i *Justus Liebieg* otrzymują na początku trzeciego lat dziesiątka ubiegłego wieku sztucznie, na drodze syntezy chemicznej, t. zw. mocznik, produkt rozkładu ciał białkowatych, odbywającego się podczas życia w ciele zwierzęcem. Okazało się więc, że pewne organiczne ciała azotowe, których powstawanie przypisywano tylko organizmom, a mianowicie ich sile życiowej, mogą też się tworzyć po za obrębem organizmu. Za tem odkryciem poszły liczne inne; dokonano sztucznej syntezy w laboratoryum chemicznem licznych bardzo związków organicznych, o których błędnie dotąd sądzono, że powstawać mogą wyłącznie w żywych organizmach, pod wpływem siły życiowej. To jedno osłabiło już bardzo wiarę w specyficzność siły tej. Ale jednocześnie następuje szereg innych odkryć doniosłych. Postępy fizyki i mechaniki, zwłaszcza optyki, termodynamiki, akustyki i elektryki, pozwoliły zrozumieć fizyczne podstawy ruchów zwierzęcych (prace *E. H. Weber*'a, *Marey*'a i innych), wykazały, że oko jest ciemnią optyczną ze wszystkiemi jej akcesoryami, oraz że w budowie jego odnaleźć można mnóstwo błędów, które w dokładnym przyrządzie fizycznym bywają w znacznej mierze usuwane; że ucho — to aparat akustyczny bardzo skomplikowany; wykryto fizyczne podstawy powstawania głosu i t. d. Chemia i fizyka wykazały, że trawienie — to szereg reakcyj chemicznych różnych soków trawiących na pokarmy; że wsysanie części pożywnych — to jeden z objawów przesiąkania (dyffuzyi), opartego na podstawach czysto fizykalnych; że organizm o stałej ciepłocie ciała — to machina cieplikowa, w której odbywa się bezustanne spalanie, przyczem energia chemiczna przechodzi w cieplną, ta zaś we wszelkie inne

rodzaje energii, produkowane przez żywy organizm. Słowem, okazało się, że liczne bardzo procesy życiowe dają się objaśnić na zasadzie praw fizyko-chemicznych, rządzących też zjawiskami przyrody nieorganicznej. Jak każde nowe idee, tak i te znalazły wkrótce bardzo gorących wyznawców; zdawało się, że najgłębsze zagadki życia będą wyjaśnione na tej drodze, a cały szereg badaczy w piątem i szóstem dziesięcioleciu ubiegłego wieku wystąpił z krytyką namiętną idei siły życiowej, głosząc poglądy mechanistyczne, które przeciwstawiano witalistycznym. Szczególniej zaciętą walkę przeciw starym poglądom prowadzili *Moleschott*, który w słynnem swem dziele „Kreislauf des Lebens“ wołał, że „pochodnia życia rozkłada się odtąd na siły fizyczne i chemiczne,“ oraz znakomity fizyolog i filozof, *Lotze*, który starał się wyrugować bezpowrotnie pojęcie siły życiowej w patologii i terapii, zastępując w tych naukach kierunek witalistyczny przez mechanistyczny („Patologia i terapia ogólna, jako nauki mechanistyczne i przyrodnicze,“ 1842).

Tak tedy w fizyologii pojęcie siły życiowej zdawało się być zupełnie zbędnem, idea tej siły przestarzałą. Poglądy nowe, mechanistyczne w nauce o życiu nie tłómaczyły jeszcze atoli jednej grupy faktów, bardzo rozległej, faktów, które w przeważnej mierze przyczyniły się do przyjęcia jakiejś specyficznej siły życiowej, twórczej, jakiegoś tajemniczego *nisus formativus*. Mam tu na myśli kwestyę celowej budowy organizmu, faktu, iż każda część ciała służy ku pożytkowi ustroju jako całości, lub też ku zachowaniu gatunku; faktu, iż każdy organizm przystosowany jest znakomicie do warunków, śród których żyje, a tych przystosowań znamy miliony w każdej dziedzinie życia ustrojów. Spójrzmy tylko na jeden, choćby jakikolwiek bądź ustrój, np. na wieloryba, ssaka przystosowanego do życia w wodzie, a przekonamy się niebawem, że każdy szczegół organizacyi przystosowany jest do tych szczególnych warunków, śród których przebywa zwierzę. Olbrzymie cielsko ma postać wrzecionowatą, do prucia wody się nadającą, odnóża przednie przekształcone są w silne pletwy, a tylne całkiem prawie zanikły, natomiast potężnie jest rozwinięta pletwa ogonowa, ustawiona poziomo i poruszana zapomocą potężnych też mięśni. Wykonywując tą pletwą ruchy obrotowe, zwierzę posuwa się energicznie naprzód, podobnie jak wielki statek przy pomocy śruby okrętowej, w tyle umieszczonej. Włos, właściwy ssakom lądowym, zanikł, bo przeszkadzałby przy ruchach w wodzie, skóra jest więc naga, a tarcie jej o wodę podczas pływania, zmniejsza się przez to w wysokim stopniu; dla zmniejsze-

nia ciężaru gatunkowego ciała tego olbrzyma, rozwinął się pod skórą potężny pokład tłuszczu, aż blizko na 40 ctm. gruby; nadto i kości przesiąknięte są tłuszczem, a olbrzymie płuca, wypełnione powietrzem, zmniejszają również ciężar gatunkowy ciała, ułatwiając wznoszenie się w wodzie. Ów gruby pokład tłuszczu ochrania też ciało tego ciepłokrwistego zwierzęcia przed zbytnią utratą ciepła w zimnym żywiole. Nozdrza mieszczą się na grzbietowej stronie głowy, pozwalając zwierzęciu oddychać, gdy całe niemal ciało jest zanurzone a tylko wierzch głowy z wody się wychyla. A dalej, posiadając tak olbrzymie rozmiary, wieloryb musi też pobierać olbrzymią ilość pożywienia, nie karmi się przeto pojedyńczemi zwierzętami lecz całemi ich stadami, a takie stadne zwierzęta morskie, np. różne mięczaki, skorupiaki, są wprawdzie drobne, ale tworzą gromady całemi milami nieraz się ciągnące. Aby pochłaniać stada tych drobnych zwierząt, wieloryb posiada paszczę olbrzymią, bo mogącą, jak wiadomo, pomieścić łódź z kilkunastu ludźmi. Ze sklepienia paszczy tej zwieszają się pasy fiszbinowe, rozstrzępione na liczne włókna, niby kraty; zwierzę pochłonąwszy wraz z wodą tysiące drobnych stworzeń, przymyka paszczę i przecedza przez te włókna wodę, a wówczas zatrzymują się pomiędzy niemi, jak na sitku, zwierzątka, które wieloryb łyka przy pomocy olbrzymiego języka mięsistego, a że zwierzątka są drobne, przełyk jest bardzo wązki, bo taki najzupełniej odpowiada też celowi swemu. Przytoczyłem umyślnie szczegółowiej nieco ten przykład, aby na nim zilustrować, jak dokładnem jest przystosowanie organizmu do warunków jego życia, a to samo, co wieloryba, tyczy się każdego bez wyjątku jestestwa czy to zwierzęcego, czy roślinnego. Tysiączne urządzenia, które możnaby niejako nazwać celowemi, nieskończenie różnorodne w swych przejawach, znamionują wszystkie bez wyjątku ustroje. Otóż zrozumienie tego, jaką to drogą powstały w organizmach te przystosowania pożyteczne, nastręczało biologom nieprzezwyciężone trudności. *Kant*, jak powiedzieliśmy, nie wierzył w to, aby umysł ludzki mógł dociec genezy tych celowych pozornie urządzeń w organizmach. Zwolennicy siły życiowej sądzili, że ona to właśnie, ta rozumna uduchowniona siła, tkwiąca w ustrojach, ów „nisus formativus," owa „vis vitalis" czy też „spiritus rector" mądrze i celowo stwarza te wszystkie urządzenia, podobne do urządzeń w machinie, przez myślącego człowieka celowo zbudowanej.

Otóż wyjaśnić na drodze mechanistycznej, czysto przyrodniczej genezę urządzeń pożytecznych w organizmach i ich przysto-

sowań rozlicznych — usiłowała teorya doboru naturalnego *Darwina*, w początku drugiej połowy minionego stulecia. Ona też zadała najdotkliwszy cios witalizmowi. *Ernest Haeckel*, jak wiadomo, jeden z najgorętszych tej teoryi obrońców, przytoczył w jednem z dawniejszych dzieł swoich słowa *Kanta*, na które wyżej zwróciliśmy uwagę i wołał z entuzyazmem: Co *Emanuel Kant* uważał za niemożliwe do rozwiązania, za przekraczające zdolności pojmowania umysłu ludzkiego, a mianowicie problemat celowości w budowie i czynnościach jestestw żyjących — to rozwiązał *Darwin* zapomocą swojej prostej, a tak przekonywającej teoryi doboru naturalnego!

Idea filozofa angielskiego była, jak wiadomo, bardzo prostą. Człowiek stwarza rozmaite rasy zwierząt domowych lub roślin uprawnych z pewnym celem, rozwija w nich pewne szczególne właściwości, czy to swoiste jakieś barwy lub kształty u kwiatów albo owoców, czy to osobliwe właściwości w budowie swoich owiec, bydła, koni i t. d., — własności, jakie dlań są korzystne. Czyni to drogą doboru sztucznego, dobierając do rozpłodu osobniki, u których dana cecha najsilniej jest wykształcona i tym sposobem potęgując tę cechę drogą dziedziczności w szeregu pokoleń kolejnych. Na łonie przyrody powstają również przez prawo zmienności osobniki z różnemi zboczeniami od typu rodzicielskiego, a oto w walce o byt czyli we współzawodnictwie życiowem zwyciężają te osobniki, które posiadają pewne zboczenia korzystne dla nich w owej walce; ztąd w ciągu długiego szeregu pokoleń wytwarzają się osobniki o szczególnie spotęgowanych pewnych cechach korzystnych, czyli powstają pewne nowe odmiany, które z czasem, gdy owe cechy jeszcze bardziej w nich się spotęgują, tworzą nowe gatunki. Osobniki więc, posiadając cechy korzystne, czy to np. barwę podobną do otoczenia i zabezpieczającą je przed wzrokiem nieprzyjaciół, czy to siłę wielką, czy zdolność szybkiego biegu lub lotu, czy to szczególnie korzystne dla nich obyczaje życia lub t. p., mają charakter istot celowo zbudowanych, jakkolwiek owe urządzenia celowe powstały mechanicznie, dzięki dziedziczności, zmienności, walce o byt i doborowi naturalnemu. Nadto warunki zewnętrzne działają też bezpośrednio na organizmy, np. zwierzęta, żyjące w jaskiniach i nie używające oczu swoich, tracą je powoli wskutek nieużywania, jak to przed Darwinem przyjmował Lamarck. Ów bezpośredni wpływ różnych czynników zewnętrznych na organizmy współdziała z doborem naturalnym, stwarzając różnorodne postaci, przystosowują-

ce się znakomicie w swej budowie i w swych czynnościach do warunków bytu.

W teoryi doboru naturalnego było mało stosunkowo elementu hipotetycznego. Że istnieje dziedziczność i zmienność, to fakty; że pomiędzy jestestwami organicznemi toczy się bezustannie walka o byt w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, to również fakt, że w tej walce zwyciężają osobniki lepiej uposażone, to wniosek tak prawdopodobny, że trudno się o niego spierać, — a więc, że drogą doboru zachowują się osobniki z cechami korzystnemi i że tym sposobem właściwości, mające charakter urządzeń celowych, potęgują się i rozwijają u organizmów na drodze czysto mechanicznej, naturalnej — wniosek ten narzuca się nam z koniecznością logiczną.

Nie dziw więc, że teorya doboru naturalnego wywarła tak niezwykły w dziejach nauki wpływ na światopogląd badaczy. Ostrze krytyki dosięgło ją jednak niebawem, a rzecz interesująca, że im więcej pod ożywczym jej wpływem rozwijały się nauki biologiczne, zwłaszcza zaś morfologia zwierząt, tem więcej głosów zwracało się przeciwko niej. Gdy jedni wszystko przez nią tłómaczyć usiłowali, jak np. *Weismann* („Die Allmacht der Naturzüchtung"), który jej działanie nazywa „wszechpotężnem," to inni słusznie twierdzili, że teorya doboru naturalnego nie tłómaczy wszystkich faktów z dziedziny nauki o powstawaniu gatunków, a jeszcze inni wprost jej odmawiali wszelkiego niemal znaczenia. Nie tu miejsce, abym rozpatrywał liczne i różnorodne zarzuty, stawiane teoryi, o której mowa, zarzuty, które częstokroć wynikały z nienależytego jej pojmowania, a jak ją błędnie pojmowali liczni uczeni, wynika to najoczywiściej z faktu, iż często stawiano jej zarzuty dyametralnie sobie przeciwne! Dopóki przez zasadę doboru chciano tłómaczyć przystosowania zwierząt lub roślin, jako całości, do warunków świata zewnętrznego, np. do barwy otoczenia, do życia w pustyniach, w głębinach morskich, podziemiach i t. p., lub przystosowania do innych ustrojów, z którymi pozostają w zależności biologicznej, dopóty zasada doboru wystarczała w większości wypadków do wyjaśnienia genezy odnośnych urządzeń celowych. Z postępem wiedzy, zwłaszcza zaś w miarę doskonalenia się techniki badań mikroskopowych, biologowie poznawali niezmiernie interesujące dziedziny faktów, co do budowy i czynności protoplazmy, owego elementarnego podścieliska życia, co do biologii komórki organicznej, struktury wewnętrznej ustroju, oraz czynników jego rozwoju embryonalnego. Fakty te przekonały ich, że już najprostsze elementy życiowe noszą

wyraźne piętno urządzeń celowych, że w tych elementach tkwią niejako warunki do wytworzenia owych doskonałych, przedziwnie celowi swemu odpowiadających stosunków struktury i czynności, ku korzyści całego organizmu.

Tak np. przekonano się, że protoplazma (zaródź) odznacza się przeważnie budową piankowatą (*Bütschli*), t. j. że część jej stalsza, gęściejsza tworzy przegródki, po trzy w jednym punkcie się schodzące, a część płynna wypełnia przestrzenie pomiędzy owemi przegródkami, jak w piankach sztucznie wytworzonych. Ale oto taka piankowata budowa protoplazmy pozwala na zetknięcie się z sobą możliwie największej powierzchni obu jej składników, a dlatego też wzajemne oddziaływanie na siebie części stałych i płynnych w zarodzi jest przy takiej jej budowie idealnie najlepszem, jest *stanem najbardziej celowi odpowiadającym*. Albo np. poznano bliżej mechanizm dzielenia się komórki. Odbywa się tu proces bardzo złożony; występują grube włókna pętlicowate wewnątrz jądra komórkowego, układające się w pewien szczególny sposób w określonym porządku, z matematyczną niemal ścisłością. Włókna te dzielą się wzdłuż na dwie połowy, z których jedna przenika później do jednej, druga do drugiej komórki potomnej, powstających z podziału komórki macierzystej; a podczas podziału tego występują nadto pewne punkty środkowe (centra), dokoła których pojawiają się nader liczne, kurczliwe włókienka w protoplazmie, promienisto przebiegające i t. d. Słowem, mamy tu niezmiernie skomplikowany mechanizm, nader złożony i kunsztowny aparat, który funkcyonuje jak machina, ściśle i dokładnie, w celu równomiernego rozdziału i rozmieszczenia wszystkich składników komórki macierzystej w obu komórkach potomnych.

Albo weźmy jeszcze inny przykład. Odetnijmy sztucznie jakiemuś np. robakowi część ciała, kilka odcinków (segmentów) głowowych lub ogonowych. Już w kilka godzin po operacyi zauważymy zadziwiającą reakcyę organizmu, rana zamknie się naprzód tymczasowo, aby zabezpieczyć ciało przed wpływami zewnętrznymi; po tem szybkiem, tymczasowem zamknięciu zaczyna się ona zamykać na dobre, dokładnie i zupełnie; cząstki przeciętych tkanin zostają uprzątane przez wędrujące komórki, które masowo przybywają w okolicę rany, pochłaniają owe cząstki i trawią je, uprzątając tym sposobem niepotrzebne jakby gruzy. Słowem, rozpoczyna się w organizmie *celowa jakby działalność*, prowadząca do zagojenia się rany i odrośnięcia utraconej części ciała. Taka regeneracya czyli odrodzenie się — to jeden z wielu t. zw. *samoochronnych* środków organizmu, jedna z jego

zdolności *samoregulacyjnych*. Takich urządzeń samoregulacyjnych poznano w nowszych czasach bardzo wiele, a wszystkie one noszą z natury rzeczy charakter urządzeń celowych, ponieważ prowadzą do uregulowania zakłóconego porządku. Wreszcie jeszcze przykład z innej dziedziny. Kości ludzkie i zwierzęce składają się ze spoistej, zbitej powłoki zewnętrznej oraz z t. zw. istoty gąbczastej wewnątrz (pars compacta et spongiosa); ta ostatnia składa się z licznych beleczek, misternie z sobą powiązanych i łukowato w pewnych określonych kierunkach w każdej kości przebiegających. Otóż przekonano się, że układ tych beleczek nie jest dowolny, lecz że odpowiada on ściśle zasadom mechaniki, że podobnie jak np. w mostach wiszących, belki i wiązania żelazne przebiegają w ten sposób, aby przy najmniejszej wadze mostu osiągniętą została największa jego wytrzymałość, tak też i w kościach owe beleczki (t. zw. *trajectoria*) mają układ ściśle określony, dzięki czemu kość przy najmniejszej wadze zyskuje największą wytrzymałość w kierunku, w jakim wywierany zostaje na nią najznaczniejszy ucisk, lub w jakim przyczepiają się do niej i ciągną ją mięśnie (Druck und Zug). Słowem, w urządzeniu owych sklepień beleczkowatych w kości mamy skomplikowany mechanizm celowy, znakomicie odpowiadający zadaniu, jakie kości spełniają w organizmie.

Otóż geneza wszystkich podobnych *mechanizmów wewnętrznych* w ciele ustroju, mechanizmów zilustrowanych na powyższych kilku przykładach, nie łatwo daje się wyjaśnić przez zasadę doboru naturalnego. Chodzi tu o bardzo skomplikowane stosunki, tyczące się struktury i czynności elementarnych składników ciała, a rozwój tychże trudno objaśnić przez walkę o byt i dobór naturalny. Trudno np. twierdzić stanowczo, czy szczególny układ kurczliwych włókienek w komórkach podczas ich dzielenia się przynosił organizmom korzyść w walce o byt i czy układ ten mógł się udoskonalić przez dobór naturalny, albo trudno też twierdzić, że w walce o byt zwyciężały osobniki, których kości zawierały układ beleczek najbardziej zbliżony do owego idealnego układu, odpowiadającego zasadom mechaniki. Liczni biologowie uznawali też niezastosowalność idei doboru do tych dziedzin rozwoju organicznego. Słowem, dopóki chodziło o ogólne wytłómaczenie pewnych przystosowań w budowie organizmów do warunków otoczenia, do świata zewnętrznego, dopóty idea walki o byt, jaką te organizmy staczają z innemi ustrojami oraz idea doboru naturalnego były dla wielu badaczy wystarczającymi czynnikami. Odkąd zaś chodzić zaczęło o wytłómaczenie celo-

wych mechanizmów w komórkach organicznych, w elementarnych składnikach ciała, odtąd ów zbyt ogólnikowy czynnik doboru nie zadawalniał już wielu biologów.

Dziwny więc powstał rozdźwięk wśród badaczy życia. Ci z nich, którzy ze stanowiska oekologicznego badali zwierzęta na łonie przyrody, wśród warunków świata otaczającego, np. obserwowali t. zw. mimicry czyli naśladownictwo, przystosowanie się barw i kształtów ciała zwierząt do otoczenia, którzy badali życie w otchłaniach morskich i widzieli np. zanikające oczy, a rozwijające się silniej narządy dotykowe u istot zamieszkujących ciemne głębie oceanów; ci, którzy badali np. zjawiska t. zw. wspólnictwa (symbiozy) t. j. wzajemnego pożycia różnych gatunków zwierząt lub roślin ku zobopólnej ich korzyści i t. d., — słowem, ci wszyscy, którzy mieli na widoku grube, że tak powiem, objawy przystosowania się ustrojów do otoczenia, ci wszyscy wierzyli nadal w potężne znaczenie walki o byt i doboru naturalnego. Ci zaś, którzy badali złożone mechanizmy w elementarnych składnikach ciała, słowem, anatomowie i fizyologowie dociekający najwewnętrzniejszych sprężyn życiowych w ustrojach, widząc również celowe niejako urządzenia w owych mechanizmach, coraz mniej zadowalniali się ogólnikową ideą walki o byt i doboru. Liczba tych niezadowolonych wzrastała w ostatnich latach z dniem każdym, a w miejsce zasady doboru zaczęto szukać innych czynników, które mogłyby objaśnić genezę owych mechanizmów. A że chodziło tu przeważnie o genezę procesów wewnętrznych, o wyjaśnienie głębszych przejawów przystosowania w ciele jestestw żyjących — ztąd większość hipotez odnośnych przenosiła punkt ciężkości na wewnętrzne stosunki biologiczne. Tak powstały np. teorye o siłach wewnętrznych (innere Kräfte), tkwiących jakoby w organizowanej substancyi (jak to przypuszczał np. *Naegeli*) i powodujących rodowy rozwój świata organicznego w pewnym określonym kierunku; stąd pojęcia o t. zw. *ortogenezie* (*Eimer*) t. j. o przekształceniu się ustrojów w ich rozwoju rodowym przez *konieczny* szereg zmian w pewnym tylko kierunku. Stąd też idea Roux'a *walki o byt w organizmie*, idea przenosząca Darwinowską zasadę walki o byt i doboru naturalnego pośród ustrojów na łonie przyrody — w obręb organizmu, idea, według której walczą z sobą niejako składowe części komórek, komórki same, tkanki i narządy w obrębie samego ustroju. Jedne części ustępować muszą miejsca innym wskutek gorszych warunków odżywiania się, przez co w ciągu pokoleń pozostają w organizmach tylko części najlepiej przystosowane, najbardziej celowo funkcyonujące.

Stąd dalsza idea Roux'a t. zw. *funkcyonalnego przystosowywania się* części ciała ustrojów, oparta w części na idei Lamarcka, używania i nieużywania organów w związku z warunkami zewnętrznymi. A rzecz uwagi godna, że nawet biologowie, którzy głosili „wszechpotęgę zasady doboru naturalnego," którzy przez nią wytłómaczyć usiłowali wszelkie przystosowania w świecie organizmów, musieli wobec nowszych odkryć w dziedzinie nauki o dziedziczności uciec się do hipotez, dotyczących struktury komórek rozrodczych, aby przez nie wytłómaczyć działanie doboru. Mam tu na myśli *Augusta Weismanna* z jego teoryą plazmy zarodkowej, z jego hipotetycznemi „bioforami, idami, idantami" i t. d., z jego przypuszczalną metastrukturą materyi organizowanej.

Jak nowo-powstające teorye naukowe zyskują sobie częstokroć zagorzałych i przesadnych zwolenników, bezkrytycznie je przyjmujących, tak też i naodwrót, gdy pewne teorye okazują się niewystarczającemi do objaśnienia nowych faktów, zyskują one sobie często nieprzejednanych wrogów, którzy bezkrytycznie je potępiają, odsądzając je od wszystkiego, co nawet było w nich pewnem i krytyce niepodlegającem. Tak się też stało z teoryą doboru naturalnego, czyli z właściwym darwinizmem. Wobec usiłowań wprowadzenia innych teoryj w miejsce doboru naturalnego i wobec powszechnego niemal przekonania, że nie wszystkie zjawiska biologiczne można objaśnić przez zasadę doboru, pojawiły się namiętne krytyki darwinizmu, w czambuł go potępiające. Roznamiętnienie doszło do tego, że niektórzy zoologowie, jak *Dreyer* i *Driesch*, wyprawili już stypę pogrzebową teoryi doboru naturalnego. *Driesch* po namiętnym artykule, wydrukowanym w r. 1896 w „Biologisches Centralblat" wyraża się takiemi słowy: „Darwinizm należy już do historyi, podobnie jak inne curiosum naszego wieku, filozofia Hegla; obie są waryacyami na temat, w jaki sposób prowadzić za nos całą generacyę..." W innem miejscu mówi *Driesch* o „degeneracyi mózgu u darwinistów." Tu wszakże zwracamy uwagę czytelnika na to, że wszyscy naukowi krytycy darwinizmu pojmowali przez ten wyraz li tylko teoryę doboru naturalnego, a nie teoryę descendencyi czyli ewolucyi, którą Darwin wprawdzie ugruntował, lecz nie był jej twórcą, a którą wszystkie bez wyjątku, tysiączne fakta w tak znakomity sposób stwierdziły, że nie nosi ona więcej charakteru hipotetycznego. Że zaś postaci organiczne są zmienne, że jedne z nich wymierają, a inne się tworzą, że powstają nowe rasy roślin i zwierząt, to wszystko są fakta w niezbity sposób stwierdzające prawdziwość teoryi descendencyi.

Z podkopaniem atoli wiary w bezwzględną prawdziwość teoryi doboru naturalnego, która w sposób mechanistyczny, czysto przyrodniczy, usiłowała wytłómaczyć genezę przystosowań, czyli celowych niejako urządzeń w jestestwach żyjących, zaczęły obok nowych teoryj, opartych na zasadach przyrodniczych, pojawiać się również poglądy metafizyczne, zaczęły budzić się z letargu dawne, nazawsze zdawało się pogrzebane idee witalistyczne. Taką jest mojem zdaniem przyczyna owej dziwnej fali powrotnej ku dawnemu witalizmowi, ochrzczonej mianem neowitalizmu.

Zwolennikami neowitalizmu są liczni dosyć uczeni współcześni, *Dreyer*, *Driesch*, *G. Wolff*, *Bunge*, zwłaszcza zaś zasłużony botanik niemiecki *J. Reinke*. Wszyscy ci uczeni zgadzają się z sobą co do tego, że zjawiska życiowe nie dadzą się objaśnić przez zwykłe prawa fizyczne i chemiczne, rządzące przyrodą martwą, lecz że w ustrojach działają nadto pewne siły specyficzne, pewne czynniki sui generis, które przedewszystkiem tłómaczą nam celowe urządzenia oraz niezliczone przystosowania biologiczne w świecie ustrojowym.

Różnice w odnośnych poglądach u różnych wymienionych wyżej badaczy są natury drugorzędnej, nie istotnej, dlatego też sądzę, że zupełnie jasnego pojęcia o istocie neowitalizmu nabrać można przez dokładniejsze rozpatrzenie poglądów któregokolwiekbądź ze spółczesnych zwolenników tego kierunku. Zatrzymamy się na zapatrywaniach prof. *J. Reinke*'go, który naprzód w dziele z r. 1899 p. t. „Die Welt als That," a następnie w odczycie, wygłoszonym w r. z. na międzynarodowym kongresie filozofów w Genewie sformułował szczegółowo swoje stanowisko. (Odczyt ten ogłoszony został w postaci uzupełnionej we wrześniu r. b. w „Biologisches Centralblatt" p. t. „Der Neovitalismus und die Finalität in der Biologie").

„Analiza chemiczna wykazuje — mówi *Reinke* — że ciało ludzkie i zwierzęce składa się z węgla, wodoru, tlenu, azotu, siarki, fosforu i niektórych metali; analiza fizyczna poucza nas, że różne postaci energii przechodzą w organizmie jedne w drugie. Ale czyż można z właściwości powyższych pierwiastków lub z czynnych postaci energii wyprowadzić organizm z jego narządami zmysłowymi, organami trawienia lub oddychania, układem mięsnym i nerwowym, a nareszcie ze zdolnością myślenia i woli? Czyż *celowe* współistnienie różnych części oka, ucha, płuc i t. d. można wyprowadzić z własności elementów chemicznych? Czyż którąkolwiekbądź z owych złożonych harmonij zdołamy objaśnić

chemicznie lub fizycznie, chociażby tylko ze względu na możliwość jej istnienia?

„Możnaby powiedzieć — twierdzi dalej nasz autor — że tu nie chodzi o pierwiastki chemiczne, lecz o połączenie tychże. A podobnie jak białka, węglowodany, tłuszcze i t. d. są czemś zupełnie innem, niż zawarte w nich ciała proste, tak też i związki organiczne w ustroju, czyż nie mogą wytwarzać soczewek, siatkówek, naczyniek włoskowatych i t. d. przez kombinacye ich chemicznych i energietycznych właściwości? Z pewnością tak jest, ale nie dzięki energiom, które właściwe są tym związkom chemicznym, jako takim. Albowiem gdy związki te będą ua siebie oddziaływały, to nie wytworzy się jeszcze z tego organizm."

Pod tym względem *Reinke* podziela stanowisko *Kanta* i przytacza na poparcie poglądów swoich poniższy ustęp z dzieła tego myśliciela „Kritik der Urtheilskraft": „Istota organizowana nie jest wprost machiną, albowiem ta ostatnia posiada tylko siłę *poruszającą*, pierwsza zaś zawiera w sobie siłę *twórczą*, jaką udziela materyom, jej nie posiadającym (organizuje je), a więc rozmnażającą się siłę twórczą, która przez samą zdolność ruchową (mechanizm) nie może być wyjaśniona..."

„Machina — powiada dalej *Reinke* — wprowadzoną zostaje w ruch przez energię zzewnątrz jej dostarczoną. Życie jest również podtrzymywane przez prąd energii, spływający ze słońca w postaci promieni eteru, ażeby nagromadzić w zielonej roślinie potencyał energii chemicznej, która jest źródłem procesów życiowych wszystkich komórek niezielonych w państwie roślinnem i zwierzęcem. W machinach energia czynna ma do spełnienia szczególne zadania, które mogą być urzeczywistnione jedynie tylko przez specyficzną strukturę machiny. W młynie np. konieczną jest swoista konstrukcya w tym celu, aby energię wiatru, wody spadającej lub prężności pary zużyć do mielenia ziarn na mąkę; aby nakręconą sprężynę zmusić to do mierzenia czasu, to do poruszania zabawki. W machinach zatem muszą się przyłączać do energii czynnej szczególne siły, które zależą od konfiguracyi, a które nazywamy zwykle warunkami machiny; ja nazywać je będę *siłami systemowemi* (Systemkräfte), w odróżnieniu od sił energietycznych, jakkolwiek one ujawniają się przez energietyczne środki twardości i elastyczności materyału machiny...

„O ile organizm porównywamy do machiny, to i jemu musimy przypisać takie siły systemowe, obok energii w nim czynnej.

„Technicyzmy," np. machiny lub dzieła sztuki, nie są w zupełności dla nas zrozumiałe, jeżeli widzimy w nich tylko energie

i siły systemowe, które wskazują energiom drogę. Istnienie machiny jest dla nas tylko wówczas względnie przez to zrozumiałe, iż znamy siły, które ją stworzyły. Są niemi — inteligencya i zręczność człowieka. O organizmie i jego częściach — mówi dalej *Reinke* — nie wiemy wszelako nic podobnego. Ustrój powstaje przez rozmnażanie się i rozwój, przez dziedziczność cech, jakie osobniki tegoż gatunku posiadały poprzednio. Jest to zasadnicza różnica w porównaniu z machinami. Lecz i w organizmie — twierdzi nasz autor — są niewątpliwie czynnemi siły, które go budują, które z komórki jajowej wytwarzają np. człowieka z wszystkiemi właściwościami ciała i duszy. Bezzasadnem najzupełniej byłoby przypuszczenie, iż siły te są energiami. Że są to siły systemowe — tego nie można wyłączyć; nie jest to zupełnie niemożliwe, lecz niema faktów, któreby za tem przemawiały. Struktura gotowej machiny oraz powstawanie jej w rękach technika — to dwie rzeczy, o całe niebo od siebie różne; nie znamy żadnej machiny, którąby sama siebie wytwarzała i rozmnażała się. Dlatego to właśnie — twierdzi *Reinke* — należy odróżnić jako przyczyny wytwarzania się organizmów roślin i zwierząt oraz pojedyńczych ich narządów i części ciała, np. oka, trzecią grupę sił, stających ponad energiami i siłami systemowemi, a nazywanych przez Reinke'go *dominantami*. „*Dominanty są analogiczne duchowo cielesnemu udziałowi człowieka w wytwarzaniu technicyzmów.*“

A więc jak technik swoimi pomysłami buduje machinę, tak owe dominanty Reinke'go, tkwiące, niby archeusze van Helmontowskie, w organizmie, rządzą nim celowo i rozumnie. „Dominanty są inteligentnymi siłami w najszerszem słowa tego znaczeniu, a że ta inteligencya jest nieświadomą, to rozumie się samo przez się.“ Jak sobie botanik niemiecki wyobraża działanie owych dominantów, wynika to z następującego przedstawienia rzeczy. Jeżeli np. w żywym ustroju komórka pobiera jakiś węglowodan, a przy oddychaniu przekształca energię potencyalną w kinetyczną, to owa przemiana energii odbywa się pod kierunkiem określonych dominantów w protoplazmie. „Jeżeli gruczoły żołądkowe wydzielają w określonym czasie pepsynę i kwas solny, to odbywa się to pod wpływem dominantów.“ Dominanty działają jak „inteligentni chemicy,“ a wszystkie procesy chemiczne w organizmie podlegają ich wpływowi, np. przemiana cukru w skrobię, synteza cukru z kwasu węglanego i wody. Instynkty zwierzęce są również objawami działania dominantów. *Reinke* odróżnia zatem różne rodzaje dominantów np.: „Wachsthums,-

Fortpflanzungs,- Vererbungsdominanten.“ One to budują ze związków chemicznych organizowane ciała roślinne i zwierzęce, oraz zmuszają komórki zarodkowe do wyprodukowania określonych postaci, odpowiadających charakterowi gatunku. Ze śmiercią zwierzęcia lub rośliny giną dominanty bez śladu, podobnie jak duchowe zdolności człowieka, podczas gdy energie, jakkolwiek w zmienionej postaci, są niezniszczalne.

Reinke rozpatruje wreszcie wzajemne stosunki pomiędzy energiami i dominantami. Jak z jednej strony te ostatnie działają na energie, naginają je i kierują niemi, tak znów z drugiej strony dominanty zależą od energij. W dojrzałem, suchem nasieniu roślinnem drzemią niejako dominanty, jak w zegarku nienakręconym. Skoro jednak nasionko padnie na grunt wilgotny i wodą się nasyci, wówczas rozpoczyna się przemiana energii potencyalnej w kinetyczną, a nieczynne dotąd dominanty kształtujące, rozpoczynają swoją działalność twórczą. Dominanty te produkują wówczas nowe dominanty, które są zależne od poprzednich, a zarówno też od energij, zawartych w zarodku oraz od tych, jakie zzewnątrz działają na cały układ, przyczem porządek następstwa nowoprzybywających dominantów w każdym osobniku tego samego gatunku, jest stały. Działalność dominantów może być powstrzymana lub pobudzona, w miarę tego, czy dopływ energii ustaje lub też na nowo się rozpoczyna. W żadnym atoli razie same energie nie są miarodajne, gdy chodzi o kształtowanie organizmu. Światło, ciepło, wilgoć, pokarmy działają zawsze za pośrednictwem sił systemowych na dominanty, dopiero więc pośrednio przez wpływ swój na materyał budowlany komórek wywierają działanie przekształcające, a takie wzajemne oddziaływania pomiędzy dominantami i energiami, ujawniają się w przystosowaniach organizmu do świata zewnętrznego.

Oto poglądy neowitalistyczne jednego z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku.

Zapatrywania innych witalistów są w zasadzie bardzo podobne do idei *Reinke*'go; różnice polegają głównie na odmiennych nazwach dla owych tajemniczych, kierowniczych sił w ustroju, warunkujących celowość w budowie i czynnościach organizmu. *Driesch* np. w pracy swojej p. t. „Die organischen Regulationen“ z r. 1901, przyjmuje t. zw. *entelechie* (nazwa zapożyczona z metafizyki Arystotelesa) jako swoiste siły, celowo działające w organizmie; jedne entelechie — podobnie jak dominanty Reinke'go — wytwarzają podczas rozwoju zarodka inne ich rodzaje, a tak każda niemal funkcya w ustroju, do pewnego celu służąca, ma być

kierowaną przez specyalną entelechię. Cały sztab rozumnie działających entelechij warunkuje tedy rozwój i życie organizmu.

Jeżeli porównamy to, co powiedzieliśmy o neowitalizmie z poglądami dawnych witalistów, np. *van Helmonta* lub *Stahla*, dojdziemy do wniosku, że niema pomiędzy witalizmem a neowitalizmem żadnej różnicy zasadniczej. Czyż owe rozumnie, celowo działające dominanty lub entelechie nie są zupełnie podobne do van Helmontowskich archeuszów? Czyż pogląd Reinke'go, iż np. wydzielanie soków trawiących i trawienie w żołądku kierowane są przez swoistą dominantę, nie przypomina żywo idei Paracelsa „der Archeus meistert im Magen," że archeusz rządzi się w żołądku jak kucharz przy kominie! A czyż pogląd Reinke'go, że dominanty są analogiczne duchowo-cielesnemu udziałowi człowieka, budującego np. machinę, że są one siłami celowo a więc inteligentnie działającymi; czyż pogląd taki różni się w czemkolwiekbądź zasadniczo od animizmu Stahla? Mojem zdaniem, są to tylko nowe terminy dla starych, na pewien czas wycofanych z nauki pojęć i pod tym względem dzielę w zupełności zapatrywanie p. *Wł. Biegańskiego*, który w interesującem dziełku swojem o „Neowitalizmie we współczesnej biologii," 1904, uważa ten nowy kierunek tylko za falę powrotną.

A teraz pozostaje nam jeszcze odpowiedzieć na ważne pytanie, czy poglądy neowitalistów wnoszą coś do nauki? Z tego, co już wyżej powiedzieliśmy, wynika najoczywiściej, że neowitalizm powstał głównie wskutek tego, iż teorya, która dotychczas tłómaczyła nam na drodze przyrodniczej genezę przystosowań, pochodzenie celowych urządzeń w organizmach, t. j. teorya doboru naturalnego, uległa krytyce i okazała się w wielu wypadkach niewystarczającą. A historya wiedzy uczy, że ilekroć umysł ludzki nie umie sobie czegoś wytłómaczyć na drodze naturalnej, sięga po objaśnienie nadprzyrodzone, metafizyczne. Taką metafizyką jest neowitalizm Reinke'go, Driescha i innych podobnych przyrodników. Wprowadzają oni do nauki pojęcia, których analiza przyrodnicza, ściśle naukowa—jest niemożliwa; objaśnienie zaś zjawisk przyrody przez pojęcia metafizyczne nie jest żadnem objaśnieniem. Powiedzieć, że geneza przystosowań i celowych urządzeń w organizmie jest nam nieznana, lub powiedzieć, że jest ona wynikiem działania archeuszów, dominantów, entelechij lub innych czynników, których żadnemi środkami badać nie potrafimy, których istoty nie znamy, które są czemś całkiem nieuchwytnem, o których sądzimy tylko po przypuszczalnie przez nie powodowanych skutkach — to na jedno wychodzi! Antropomorfizo-

wanie zjawisk przyrody było i jest zawsze bezużytecznem; a przypisywanie organizmowi sił, podobnych do inteligencyi mechanika, budującego machinę, to przecie najgrubszy antropomorfizm, nie różniący się w zasadzie od antropomorfizmu ludów pierwotnych. Te, nie pojmując np. mechanizmu machiny parowej, przypisują ruch jej działaniu chochlików, a w przyrodzie wszędzie widzą duchy i siły, podobne do tych, jakiemi obdarzony jest człowiek. Tak więc wogóle hipotezy neowitalistyczne są poronione, o ile mają istotnie wyjaśniać genezę pewnych zjawisk biologicznych.

Nadto pojęcie celowości w tem znaczeniu, jak je biorą neowitaliści, jest nawskroś nieprzyrodnicze. Mojem zdaniem, koniecznem jest odróżnianie dwóch rodzajów celowości, za przykładem dawnych filozofów. Nazwałbym je *celowością aprioryczną* i *aposterioryczną*, a nie wdając się w ich określenie, zilustruję na przykładzie ich różnicę. Człowiek ucywilizowany, chodząc po twardym gruncie i pragnąc oszczędzić sobie przykrych wrażeń dotykowych oraz zabezpieczyć delikatne części swej skóry od wpływów zewnętrznych, wdziewa obuwie o twardej, ochronnej podeszwie. Człowiek prosty, stąpając po ziemi od urodzenia, naraża naskórek stóp swoich na ucisk, na działanie ciągłych bodźców, wskutek których naskórek ten grubieje bardzo znacznie, wytwarzając potężną rogową warstwę ochronną. Ta zgrubiała skóra na dolnej powierzchni stopy spełnia podobną rolę jak sztuczna skóra podeszwy, ma ona na celu umożliwienie stąpania bez przykrych wrażeń po twardym gruncie i ochronę głębszych, delikatniejszych części skóry. Neowitalista powie, że powstanie takiej naturalnej podeszwy na stopach czy to ludzi pierwotnych, czy to zwierząt stopochodowych, jako urządzenie celowe, mogło powstać pod wpływem dominanty czy entelechii, rozumnie, celowo działającej. W rzeczywistości atoli, mamy tu dwa wyniki działania w skutkach swych wprawdzie celowego, ale co do genezy swej całkiem odmiennego; w pierwszym wypadku był cel z góry zakreślony, aprioryczny, w ostatnim celowy efekt, wywołany działaniem, nie z góry podjętem, lecz przez długotrwały, przyrodniczy wpływ pewnego bodźca; jest to celowość w zjawisku przyrodniczem aposterioryczna.

Otóż neowitaliści, napotykając na każdym kroku celowe urządzenia w organizmach, zapominają o tem, że urządzenia te nie mają, co do genezy swej, nic wspólnego z celowością aprioryczną, a stąd ów antropomorfizm w ich poglądach, animizm, wymagający obecności w ustroju sił rozumnie, celowo działających. Urządzenia celowe powstawać mogą na drodze zupełnie

naturalnej, czy to wprost jako skutek długotrwałego działania pewnych podniet, czy to — jak np. w przypadkach ochronnego ubarwienia lub naśladownictwa — przez współdziałanie doboru naturalnego, dzięki któremu zachowują się przy życiu osobniki, w najbardziej celowy sposób reagujące na dane bodźce (przystosowania funkcyonalne). Biologia dzisiejsza może wyjaśnić powstanie wielu bardzo przystosowań przez czynniki naturalne, np. rozrost lub zanik pewnych organów wskutek spotęgowanej lub zmniejszonej ich funkcyi pod wpływem warunków zewnętrznych (stopniowy zanik oczu u zwierząt w ciemności żyjących, rozwój lub zanik barwników skóry pod wpływem różnych stosunków oświetlenia i t. p.). Nie ma ona potrzeby uciekania się do transcendentalnego pojęcia siły życiowej, które zresztą nie objaśnia zgoła w sposób zadowalniający genezy stosunków biologicznych.

Czy więc owe prądy neowitalistyczne pozostaną bez wszelkiego dodatniego wpływu dla wiedzy biologicznej? Na to pytanie nie możemy odpowiedzieć twierdząco, pomimo, iż uważamy neowitalizm za kierunek w zasadzie błędny, za poronioną całkiem próbę istotnego objaśnienia faktów biologicznych. Przedewszystkiem będzie on miał w dziejach nauki pewną zasługę, jako reakcya przeciwko skrajnemu mechanizmowi w fizyologii. Życie nie jest tylko sumą zjawisk fizycznych i chemicznych, zachodzących w organizmie, jak to sądzili błędnie niektórzy biologowie w początku drugiej połowy ubiegłego stulecia. Możemy poznać najdokładniej naturę fizyczną protoplazmy, podścieliska procesów życiowych, możemy zbadać skład chemiczny wszystkich złożonych ciał białkowatych, których mieszaninę stanowi protoplazma, możemy nawet z postępem chemii organicznej syntetycznie wytworzyć w laboratoryum wszystkie owe ciała białkowate, a z pewnością na tej jedynie drodze nie stworzymy jeszcze żywej protoplazmy, nie zbudujemy komórki. Albowiem ciała chemiczne mają tylko własności chemiczne i fizyczne, życie zaś może występować dopiero tam, gdzie jest materya *organizowana*, t. j. gdzie różne związki chemiczne wytwarzają wyższe skupienia materyi, w której drobiny fizyczne (molekuły) łączą się w określone grupy, warunkujące ową organizacyę, budowę swoistą. Dlatego też dla poznania procesów życiowych konieczne są, obok metod fizycznych i chemicznych, metody swoiste, czysto biologiczne, badające budowę organizmu, strukturę materyalnego podścieliska życia oraz liczne związane z nią fenomeny, niezależne od składu chemicznego materyi. Podobnie więc jak możemy badać statuę Venery Milońskiej pod względem formy i idei, jaką ta forma

wyraża, niezależnie od fizycznych i chemicznych własności marmuru, z którego jest wykonana, tak też i organizm poznawać możemy jako formę i jako mechanizm od tej formy zawisły, niezależnie od fizycznych i chemicznych właściwości materyałów, z jakich jest on zbudowany. Otóż ta reakcya przeciwko skrajnemu mechanizmowi drugiej połowy ubiegłego wieku powstała w znacznej mierze w łączności z neowitalizmem i w części pod jego wpływem, a najlepszy tego dowód, że niektórzy z najwybitniejszych neowitalistów dzisiejszych, np. *Driesch*, wzbogacili właśnie biologię w liczne fakta, które dotyczą fenomenów związanych z organizacyą, z formą ustrojów (np. fakty tyczące się t. zw. regulacyj organicznych). W ostatnich latach pod wpływem prac *Wilhelma Roux'a*, *Driesch* i wielu innych powstała nauka o t. zw. urządzeniach samoregulacyjnych (Selbstregulationen) w ustrojach, poczęto zajmować się badaniem wpływu różnych podniet na morfologiczne stosunki ustrojów (formative Reize), poczęto badać *genezę form* organicznych, wprowadziwszy, jako środek badania, eksperyment do morfologii (nauki o budowie, o formie), podczas gdy do niedawna jeszcze stosowano doświadczenie tylko w nauce o czynnościach (fizyologii) — a wszystkie te prądy w nowoczesnej biologii powstały na tle idei o specyficzności zjawisk biologicznych. Idei zaś takiej sprzyjają naturalnie poglądy witalistyczne, które bronią odrębności, specyficzności zjawisk życiowych.

Pomimo tedy, że neowitalizm nie ma racyi bytu, że nie ugruntowany na ściśle empirycznych podstawach, nie utrzyma się niewątpliwie w nauce, podobnie jak jego poprzednik — witalizm, spełni on swą rolę, jako hipoteza. Albowiem hipoteza, jak to zaznaczyłem na wstępie, może być, jak ów latawiec, czemś przelotnem i krótkotrwałem, a pomimo to posłużyć może do wzniesienia trwałej budowli. Nad Niagarą wznosi się wspaniały, potężny most, pomimo, że już śladu niema owego latawca pomocniczego, który umożliwił pierwsze połączenie obu brzegów ponad rozhukanym żywiołem. Zginie zapewne i neowitalizm, jak zginął skrajny mechanizm Moleschott'a — bo to tylko hipotezy pomocnicze, ułatwiające badanie, dzięki któremu wznosi się wciąż wyżej i wyżej, rośnie i potężnieje wspaniały gmach wiedzy ludzkiej! Rysują się i walą zręby, wiązania, a trwała świątynia wiedzy, wznoszona przy ich pomocy, sięga coraz wyżej i umacnia się w swych postawach.

Prof. Dr. Józef Nusbaum.

IBSEN

w świetle swoich listów.

Umilkła hałaśliwa do niedawna około Ibsena wrzawa. Ucichły namiętne krzyki oburzenia, przebrzmiały szalone oklaski podczas przedstawień teatralnych jego dzieł, ustały gorączkowe spory o wartość czy przewrotność jego idei, prowadzone w czasopismach, z mównic i w towarzyskich pogawędkach. Czyżby jednak ta cisza oznaczała zapomnienie jego imienia? Spytajmy dyrektora teatru: czy scena jego może stać na wyżynie współczesnej sztuki nie grając Ibsena? Odpowie, że Ibsen jest i musi być jego chlebem codziennym, a razem i najlepszym przysmakiem. Spytajmy aktora: czy mógłby nie grać ibsenowskich ról, co więcej, czy gdy, ich materyalnie nie grał, nie grałby ich przecież, nie odtwarzałby ich istoty w innych postaciach innych poetów? Odpowie, że nie, odpowie, że tych kreacyj nie porzuci.

Ibsenowi bogowie dali to, czego, w tym przynajmniej stopniu może nikomu jeszcze nie użyczyli. Dali mu za życia wejść do skarbnicy historyi i do szpichlerza teraźniejszości zarazem, widzieć koło swych poetyckich dzieł rzesze wdzięcznych słuchaczów i przetworzyć temi samemi utworami ich myśl i uczucie prawie aż do najtajniejszego zwoju mózgowego, do najgłębszej komórki serca. Komu bowiem, prócz niego, ten wielki los przypadł w udziale? Pewnie, że nie dwom innym pisarzom współczesnym, dwom jedynym, godnym zestawienia z nim. Kiedy w r. 1900 Ibsen ogłosił swój ostatni dramat „Gdy my umarli obudzimy się,“ nazwał go „dramatycznym epilogiem.“ Przypuszczenie, iż należy przez to zrozumieć zakończenie poetyckiej twórczości, na razie przynajmniej—a minęło już stosunkowo dość czasu—okazało się, słusznem.

Równocześnie zaś w dwóch wielkich księgarniach: Gyldendala w Kopenhadze i S. Fischera w Berlinie wychodziło do niedawna pierwsze zbiorowe wydanie dzieł Ibsena, tam w norweskim oryginale, tu w autoryzowanym przez autora niemieckim, dziewięć wielkich tomów obejmujące. Fakt to znaczący, dowodzący—jak np. w podobnych wypadkach u Goethego lub Lessinga—że twórca czyni z pełną samowiedzą obrachunek epoki swej działalności. Ponieważ zaś u starca, dźwigającego brzemię przeszło ośmdziesięciu lat, niepodobna nawet myśleć o rozpoczęciu nowego okresu, zamknięcie poprzedniego jest zarazem końcem literackiej pracy w ogóle. Zbiorowa edycya jakiś czas miała mieć jeszcze jeden dodatkowy tom, któryby nadał jej jeszcze wyraźniej charakter ostatecznego obrachunku. Oto Ibsen zamierzał napisać autobiografię. Pisze o tym planie w r. 1880 do kierownika duńskiej księgarni, ma już nawet tytuł dla pracy: „Ze Skien do Rzymu," chciał czytelnika prowadzić przez smutne dzieciństwo, chmurną młodość i na obczyznie spędzony wiek męski. Księgarz, z nieznanych nam powodów, do projektu się nie zapalił, poetę od niego na krótko odstręczył. Ale już w następnym roku Ibsen w rozmowie z pewnym rzymskim przyjacielem, ponownie plany autobiografii układa, dodając do nich charakterystyczny komentarz: „Ludzie myślą, żem w biegu lat zmieniał swe poglądy i bardzo się w tem mylą. W rzeczywistości mój rozwój jest ściśle konsekwentnym. Sam potrafię dokładnie pokazać nić przewodnią mego całego rozwoju, jedność moich idei i ich powolny rozwój, i właśnie zamierzam spisać wspomnienia, które udowodnią, że dzisiaj jestem dokładnie tym samym, jakim byłem, gdym sam siebie po raz pierwszy znalazł." Z wyjątkiem drobnego rozdziału wspomnień z dzieciństwa, które Henryk Jäger w r. 1888 ogłosił w swej biografii Ibsena, świat z owych zamierzonych zapisków nie posiada nic.

A szkoda ogromna. Mimo olbrzymio rozrosłej literatury krytycznej, szerszy ogół o twórcy tych dramatów, które chciwie czyta, gorączkowo w ich scenicznym przebiegu ogląda, wie bardzo mało. Najprzód niedostateczną jest nasza znajomość życia poety, zewnętrznych jego przemian i wydarzeń. Nietylko np. my Polacy nie mamy ani jednej, wyraźnie ani jednej, biograficznej pracy o Ibsenie, bodaj w zarysie, lecz niezwykle nielicznemi są jego życiorysy i w innych językach (prócz Jägera zadowala pod tym względem chyba tylko ilustrowana monografia Rudolfa Lothara z r. 1902), a i te w szczegółach są nierzadko ciemne i pobieżne i muszą być takiemi, w obec zagadkowości, otaczającej do dziś dnia wiele chwil z życia starca. Już tu więc autobiografia roz-

wiałaby wiele mgły, może i niejeden powtarzany publicznie fałsz usunęła. Lecz jeszcze więcej dokonałaby w dziedzinie autentycznej interpretacyi utworów poety, jego poglądu na sztukę, poezyę i na wszechświat. Bo w tem wszystkiem mimo stosu mądrych i głębokich książek—zagadek, nieporozumień jest wiele, kto wie, czy nie więcej niż w znajomości życiorysu, tłómaczącej się przynajmniej ubóstwem dotyczącej literatury. Nikt bowiem nie potrafi powiedzieć, gdzie poeta dramatyczny przemawia z głębi własnego serca, a gdzie jest jedynie pośrednikiem pomiędzy osobami dramatu a publicznością. Gdy w r. 1903 we wspomnianem zbiorowem wydaniu, jako jego pierwszy tom ukazały się - u nas prawie zupełnie nieznane — liryki Ibsena, treści erotycznej, politycznej, społecznej, patryotycznej, dalej liczniejsze od nich prozaiczne rozprawy, wreszcie przemowy publiczne, już wtedy musiało się dojść do przekonania, że na podstawie wyłącznie samych tylko utworów dramatycznych skonstruowane wyobrażenie Ibsena, rozpowszechnione nietylko w tłumie maluczkich, ale i w gromadce uświadomionych, w wielu, nieraz zasadniczych punktach nie odzwierciedla rzeczywistości, prawdy, jest czasem wprost jej karykaturą. Wszak o tych mylnych lub powierzchownych sądach mówił Ibsen do swego rzymskiego przyjaciela, a ów, do dziś dnia trwający spór: Ibsen — optymista czy pesymista, Ibsen—idealista czy realista—czy nie ucichłby na głos jedynie rozstrzygającej autobiografii?...

Tego głosu już nie usłyszymy: starcza niemoc wytrąciła pióro ze spracowanej dłoni. Żalu do niej jednak nie miejmy, bo oto właśnie obecna chwila darzy nas jednym ekwiwalentem zamierzonej a nienapisanej autobiografii: równocześnie ze znanej już nam księgarni Gyldendala w Kopenhadze i z berlińskiej S. Fischera wyszedł w pierwszych dniach listopada pokaźny tom z napisem *Listy Ibsena.*[1]) Chociaż tej książki wtajemniczeni zdawna spodziewali się, chodziły jednak po świecie głuche pogłoski, że i tym razem zamiar spełznie na niczem: to mówiono, że listy zaginęły nie tyle u adresatów, ile w jakiś tajemniczy sposób w drodze od odbiorców do wydawców, to znowu, że poeta dawszy poprzednio pozwolenie na ich ogłoszenie, cofnął je potem. Obawy

[1]) W dalszym ciągu czerpiemy z niemieckiego wydawnia: *Briefe von Henrik Ibsen.* Herausgegeben mit Einleitung und Anmerkungen von Julius und Halvdan Koht (S. Fischer Verlag. Berlin 1905, 8° str. LXIV i 536). Liczby, podane w nawiasach oznaczają numery listów w tym zbiorze. (P. a.)

się nie sprawdziły, ukazał się obszerny volumen, obejmujący materjał zaiste bogaty: dwieście trzydzieści ośm listów rozsypanych na przestrzeni lat przeszło pięćdziesięciu (1849—1900), napisanych do więcej niż siedemdziesięciu osób, między któremi są tak wybitne, jak B. Björnson, J. Brandes, E. Grieg—to „epilog“ doprawdy stokroć cenniejszy od tamtego „dramatycznego“ z przed czterech lat. Prawda, że—jak wydawcy przyznają—ogłoszona tu korespondencya wykazuje pewne braki i luki np. w sercowych sprawach poety, nawet odnośnie do późniejszej jego żony, Zuzanny Thoresen; prawda i to, że posiadając tylko listy przez Ibsena a nie i do niego pisane, mamy, niejako, by użyć porównania wypowiedzianego przez Brandesa wśród podobnych okoliczności, z dyalogu tylko słowa jednej z dwóch osób a słów drugiej chyba domyślać się możemy; prawda to wszystko, lecz pamiętać należy, że listy w jednym przecież względzie górują nad autobiografią. Choćby poeta był w zasadzie i zamiarze jak można najgorętszym wyznawcą prawdy, nieuniknionym niemal jest niebezpieczeństwo zabarwienia tej szczerej spowiedzi względami na współczesnych i potomnych. Listom to nie grozi, bo pisane do osób prywatnych, dobrze znajomych, czasem serdecznie przywiązanych, bez wszelkiej ubocznej myśli, dają najrzetelniejsze, najczystsze odbicie stosunków i stanu duszy piszącego, tem bardziej urozmaicony, że są wytworem mnóstwa chwil rozsianych na wielkiej połaci czasu, a nie wstecznem reprodukowaniem minionych lat.

Nie zamierzamy streszczać tych listów, zdawać sprawy aż do najdrobniejszych szczegółów z ich materyalnej zawartości. Pragniemy — w myśl słów postawionych na czele niniejszej rozprawy — pokazać Ibsena w świetle jego własnych listów, określić, o ile one przyczyniają się do prawdziwszego, dokładniejszego i głębszego poznania jego życia i, jego ducha i jego utworów. Źle postępuje, kto chcąc drugiemu las pokazać, karczuje go, wycina drzewa i w porządnie ułożone stosy je układa, a potem przyjaciela na nagi zrąb prowadzi; lepiej nie waląc dębów siekierą być przyjacielowi wśród nich przewodnikiem, oko i umysł jego sposobnym uczynić do poznania ich piękności, obfitości i pożytku.

*

* *

Zaczynająca się dopiero z r. 1849 korespondencya może o czasach dzieciństwa poety tylko pośrednio i retrospektywnie mówić. Tych wspomnień jest niewiele, prawie rażąco mało. Czasem tylko jakiemuś ciekawemu pisarzowi, pracującemu nad jego biografią, Ibsen poda drobne szczegóły, np. o swem pochodzeniu z rodziny niegdyś wybitnej, później zubożałej, lub niejasne twierdzenie, że szkocka krew jego matki „pozostawiła w nim wcale głębokie ślady“ (225), to znowu opowie nieco o swych malarskich studyach w rodzinnem Skien lub prozaiczniejszem zajęciu ucznia aptekarskiego w Grimstad, gdzie aż do r. 1849 wytrwał. Lecz tych reminiscencyj skąpo, a wymownem jest chyba właśnie ta ich rzadkość i niezwykły chłód. Charakterystycznym jest brak listów do najbliższych osób: pomiędzy adresatami nie ma wcale rodziców, chociaż żyli; siostra w ich spisie dwa razy, wuj raz występuje. O śmierci matki i ojca Ibsen dowiaduje się z „zagranicznych dzienników i z listu siostry“ (134) a i wtedy nie ma nic więcej do powiedzenia nad słowa podziękowania dla krewnych, którzy jego rodziców pielęgnowali. Czuje, iż takie zachowanie się „obcym wydać się może dobrowolnem i umyślnem zobojętnieniem a przynajmniej stałem oddaleniem się od rodziny“ i probuje się tłómaczyć. Ale usprawiedliwienie znowu przykrym chłodem wieje: „Nieubłagane okoliczności i stosunki od samego początku były istotną tego przyczyną... Od czternastego roku życia musiałem sam o siebie się troszczyć. Musiałem ciężko walczyć często i długo, by utorować sobie drogę i dojść do tej mety, u której dzisiaj stoję. Jeślim więc w tych wszystkich latach walk tak niezmiernie rzadko do domu pisał, to istotną tego przyczyną to było, żem moim rodzicom ani pomocą, ani oparciem być nie mógł. Wydawało mi się bezcelowem pisać, gdym faktycznie i praktycznie działać nie mógł.“ (134) Listy do obcych, np. do Björnsona, odsłaniają głębiej źródła rozłamu: mowa tam o konfliktach na tle wyobrażeń i poglądów życiowych, szczególnie religijnych, wskutek których nie mogło istnieć duchowe pomiędzy synem a rodzicami pokrewieństwo, a przyszły autor *Dzikiej kaczki* rzucił dom ojcowski, „nie mogąc wytrzymać w stanie połowicznego rozumienia się wzajemnego.“ (44) Brandes mówi w jednym z listów do Nietzschego, że „Ibsen jako człowiek, niestety, nie jest tak wielkim, jak jako poeta.“ Może i nam to spostrzeżenie się w dalszym ciągu gwałtem narzuci, lecz tu nie o sprzeczności pomiędzy poetą a człowiekiem, ale o zupełnej zgodzie pomiędzy nimi się przekonywujemy. Ta sama żelazna konsekwencya, rzekłoby się niemal: ta sama zaciętość, która przenika wszystkie dramaty Ibsena późniejszej, dojrzalszej epoki, wycisnęła piętno i na domowym

i rodzinnym stosunku poety. A jednak chociaż tam sprzeczność, tu zgoda zachodzi, wrażenie w obu razach jest równie przykre. Nieubłagana konsekwencya podnosi tragiczną grozę *Widm*, lecz w familijnem pożyciu odstąpienie od niej, choćby połączone z chwilowem przemilczeniem swych przekonań, jest jakoś naturalniejszem, bardziej ludzkiem.

Ibsen jednak nietylko z rodziną zerwał: nie łączy go żadna serdeczna nić z ubogiem miasteczkiem, gdzie stała przecież jego kolebka, nawet do pewnego stopnia nie ma związku pomiędzy poetą a krajem, którego najsławniejszym jest synem. Szekspir na stare lata z burzliwego, wielkostołecznego życia cofa się w zacisze rodzinnego Stratfordu, dokąd zresztą już i poprzednio nieraz wolnym czasem zaglądał—Ibsen po r. 1850 nigdy do tej chwili nie odwiedził skromnego miasteczka Skien, chociaż w r. 1874 i 1885 był w Norwegii, mimo że jak wykazały najnowsze badania, lokalne wspomnienia ze Skien odzywają się w wielu jego dziełach. Odstręczało go jednak od cichej, dzisiaj zaledwie dziesięć tysięcy mieszkańców liczącej mieściny, i to wszystko, co—jak niebawem się dowiemy—stawało pomiędzy nim a ojczystym krajem i ta ciasnota widnokręgu, jaka zawsze i wszędzie zapadłą prowincyę cechuje: w listach raz po raz czytamy twierdzenie, że tylko w ruchliwych środowiskach współczesnej kultury, w Rzymie lub Monachium, w najgorszym razie w Dreznie, było właściwe pole rozwoju indywidualności tego zakresu, co Ibsen. I trzeba było dopiero nieszczęścia wielkiej pożogi w r. 1886, by serce poety przecież raz zabiło żywszem współczuciem dla rodzinnego miasta. Pisany w pięć lat potem i do tej katastrofy odnoszący się list do siostry, Jadwigi Stousland, w całym zbiorze jest może jedyną oazą serdecznej uczuciowości. Bo nie dość, że Ibsen prawie sentymentalnie patrzy na pożar, który spalił „dom, gdzie się urodził, gdzie spędził pierwsze lata dziecinne—kościół, stary kościół z aniołem pod sklepieniem, wszystko, co było w związku z jego najdawniejszemi wspomnieniami;“ nie dość i na tem, że z czułym wyrzutem pyta: „czyż nie musiałem wtedy z Wami głęboko i osobiście być dotkniętym ciosami, jakie spadły na nasze wspólne miasto rodzinne?“—jeszcze wydatniejszym wyrazem obudzonego po tyloletniem uśpieniu przywiązania jest zapewnienie, że chciałby razem z nimi obchodzić uroczyste otwarcie nowego Domu uroczystego, który powstałe z gruzów w piękniejszym kształcie miasto w r. 1891 obchodziło: „Gdybym tylko przy tej sposobności mógł wziąć w tem udział! Ze znajomych mojego dzieciństwa zapewne tylko bardzo niewielu znalazłbym. Stałbym w kole nowego, obcego mi

pokolenia. Ale w gruncie ono nie jest mi tak obcem. W tych wszystkich długich latach nieobecności zawsze mi się wydawało, jak gdybym wciąż, jak dawniej, należał do mego miasta rodzinnego.“ I gdyby nie to, że teraz zasadniczo wierszy nie pisze, poświęciłby drogiemu Skien pieśń. Niechaj więc siostra przynajmniej list ten odczyta obcym, „aby wszyscy wiedzieli, że w myślach był także z nimi często, w ich troskach i ich nadziejach jaśniejszych dni.“ (221).

Prawda, że to jedyne świadectwo łączności z macierzystem miastem pisał starzec sądzący i o całej Norwegii pobłażliwiej niż to przegląda z listów w młodzieńczym i męskim wieku. Stajemy znowu w obec objawu, który da się łatwo zrozumieć, wytłómaczyć, może nawet usprawiedliwić, a jednak mimo to przykrym i bolesnym być nie przestaje. Norwegia nie wydała większego talentu nad Ibsena, lecz była materyalnie gruntem dla wielu jego utworów, nie umiłowaną piastunką ich autora. W całej korespondencyi, obejmującej przeszło pięćdziesiąt lat i dużo więcej niż dwieście listów, nie ma ani jednego słowa patryotycznej dla ojczystego kraju miłości, natomiast co krok potyka się o kamienie potępienia, rzucane i na stolicę i na państwo i na rząd i na ludność i na prasę i na krytyków i na wszystko wogóle, co jest norweskiem. Wyniknęło to wcześci z zasadniczego stanowiska, które Ibsen zajmuje, zapewne pod tym względem samotniejszy jeszcze niż pod innemi. „W każdym razie co do mnie—mówi Ibsen—ja tę ewolucyę już przebyłem. Zacząłem od tego, żem się czuł Norwegiem, potem rozwinąłem się na Skandynawczyka a teraz doszedłem do ogólnego germanizmu“ (206). Pomińmy milczeniem powątpienie, kiedy to Ibsen był Norwegiem? w każdym razie musiało to być przed r. 1849 jeszcze, z którego pochodzi pierwszy list; nie pytajmy też, dokąd doszedł poeta dzisiaj, w lat szesnaście po napisaniu tego listu do Brandesa, bo w innym czytamy: „Co do mnie, mam zawsze uczucie nieustannego pochodu naprzód. Gdzie ja sam stałem pisząc swe rozmaite książki, tam stoi teraz zbity tłum. Ale ja sam teraz już tam nie jestem, — ja jestem gdzieindziej, dalej, jak ufam“ (172). Lecz i przy takich ogólnych przekonaniach można było naprawdę dla ojczyzny mieć więcej względów, bodaj przebaczenia. „Tu nad fjordami mam kraj *urodzenia;* ale — ale — ale: gdzie znajdę kraj mej ojczyzny?“ (230) pyta poeta przybywszy na krótki pobyt do stolicy Norwegii, bo „osiedlić się tam na stałe, byłoby dla niego zupełną niemożliwością; nigdzie nie czułby się tak bezdomnym“ (206). Z Norwegii „wszystko złe na niego spada“ (85) „Jak zdala żyć poza Włochami, a przedewszystkiem, jak będzie

możliwem w Chrystyanii żyć, jest dla niego poprostu niepojętem.“ (47) Gdy był tam „po dziesięciu latach nieobecności, czuł jak pierś dosłownie kurczyła mu się z przygnębienia i niesmaku“ (182). Oto kilka dowolnie wybranych cytat. Na ich uzasadnienie nie starczy chyba samej odrazy do choćby najgorszych politycznych czy literackich stosunków w ojczyznie tak samo, jak fałszywie chrapliwym głosem szarpie cicho każdego patryoty zdanie, że „najlepszem, co nasz kraj mogłoby spotkać, byłoby jakieś wielkie narodowe nieszczęście. Jeśli się go nie może przetrwać, to się nie ma prawa żyć.“ (47). To znowu oznaka tej straszliwej konsekwencyi czy zaciętości Ibsena... Ale prawda, raz i jego chwyta się na niekonsekwencyi, szkoda istotnie, że raz tylko: W r. 1885 „zajmuje go silnie myśl, by—kupić sobie willę, raczej domek wiejski, w pobliżu Chrystyanii nad fjodrem, gdzieby można żyć w zupełnem odosobnieniu i tylko dla pracy...“ (187). Parę stronic wstecz czyta się o owem przygnębieniu, jakie go w stolicy Norwegii ogarniało, parę stronic dalej o absolutnej niemożliwości osiedlenia się w ojczyznie... *Nemo propheta in sua patria.* Tu trzeba ten aforyzm wspak obrócić: bliski światu, zimny dla ojczyzny... A przecież on tej ojczyzny potrzebował; o jej pomoc, jak rychło obaczymy, to usilnie, to natarczywie prosił...

Przedtem jeszcze należy nawiązać na nowo zerwaną nić biograficzną. Już wcześnie w Grimstad Ibsen jął się pióra. Listy do przyjaciela z tych lat, Ole Schulernda, przenoszą czytelnika w znaną zresztą tragedyę młodzieńczego pierwiosnka dramatycznej muzy poety; *Catilina* złożony dyrekcyi teatru w Chrystyanii, doznaje sromotnego odrzucenia, ale niebawem wychodzi w druku za pieniądze uczynnego Ole. Później twórca nieraz jeszcze o tem dziele z sympatyą mówił. Boć ono powstało „w filisterskiem miasteczku, gdzie poeta nie miał możności, wydobycia z siebie tego, co w nim się burzyło — chyba tylko w szalonych psotach i rozmaitej swawoli, co na niego znowu sprowadzało niechęć szanownych mieszczuchów, nie mogących przenieść się w świat, o którym on w samotności myślał“ (74). Więc chociaż krytyka—i słusznie—skarciła wady i słabości sztuki, poeta „czuje, jak ściśle ona jest związana z ówczesnemi jego życiowemi stosunkami i jak mieści w sobie niejednokrotnie zarodki tego, co później w jego twórczości na jaw wyszło“ (114). Zaginął natomiast inny utwór z tych lat, uważany przez poetę za jego „główne dzieło,“ „narodowo-historyczna nowela, nazwana *Więźniem z Akershuus* a oparta na smutnych losach Chrystyana Lofthuusa“ (2) ofiary walk chłopskich w Danii, w ośmnastym wieku. Rzecz pozostała zresztą fragmentem,

Ibsen musiał przygotowywać się do egzaminu abituryenckiego a niebawem otrzymał w założonym przez Ole Bulla narodowym teatrze w Bergen posadę poety domowego i instruktora scenicznego. Ważny to moment w jego życiu, bo za otrzymane od dyrekcyi stypendyum po raz pierwszy wyjeżdża za granicę, aby studyować literaturę dramatyczną i urządzenia teatralne.

W Bergen zawartą została znajomość z Zuzanną Thoresen, która w r. 1858 miała zostać żoną poety. Że w odtworzeniu miłosnych przejść Ibsena, niniejsza korespondecya tak małomowną jest, temu oczywiście dziwić się nie wolno. Raz tylko dowiadujemy się, że miłość ku Zuzannie nie była u Henryka pierwszą. Czterdziestoletnim już mężczyzną będąc Ibsen pamięta jeszcze, że *Pani Inger na Oestrot* „polega na szybko nawiązanej i gwałtownie zerwanej miłostce, do której odnoszą się także niektóre mniejsze utwory, jak *Kwiaty polne i rośliny doniczkowe*, *Melodya ptaków* i t. d. (74). W listach są zamieszczone jedynie wierszowane oświadczyny przyszłej żonie. Ten poetycki list jest ogromnie ciekawym dowodem, jak jednolitą indywidualnością był Ibsen od pierwszych lat skrystalizowania się jego jaźni, jak zasadniczy ton jego intellektu dominował we wszystkich objawach jego życia, nawet w miłości, która zazwyczaj ukazuje człowieka z odmiennej strony. Poeta na balu, słucha nęcącej muzyki, patrzy na kręcące się w takt walca strojne pary: panie „chytrze się uśmiechające,“ panów schlebiających damom, chociaż ani jedna, ani druga strona słowom tym nie wierzy, ulegając jednak ich odurzającej woni. „I nie ma tu nikogo, ktoby pojął, jak nieznośnym i czczym jest ten świat, nikogo, ktoby zrozumiał, że pod osłoną wesołości kryje się cały ból próżnicy.“ Lecz nie: jest jedna w tej rzeszy milcząca a wymowna, z tajemną troską w oku, z zadumaną myślą na czole, z niespokojną tęsknotą w sercu, jedna nieznajdująca w życiu spokoju: to Ona—Zuzanna Thoresen. Ach, marzy poeta, gdyby ją mógł obrać za „królowę swych myśli,“ wtedyby popłynęły z jego piersi najsłodsze pienia, jak ptak swobodny szybowałby w przestworach, odźwierciedlając w swej pieśni cały czar życia — ach, gdyby Ją mógł obrać „królową swych myśli“ (5). I poszli razem w burzliwe życie i żyli z sobą zgodnie: Ibsen w kilkadziesiąt lat potem nietylko okolicznościowo wyznaje, że gdy cała opinia norweska potępiła go za wynikłą z pragnienia wolności, *Komedyę miłości*, to żona jedna książkę chwaliła, lecz w słowach u niego tak niezwykle serdecznych oddaje jej sprawiedliwość, że „jest charakterem, jakiego on właśnie potrzebuje: wielką w swym sposobie myślenia i prawie nieokiełznaną w swojej nienawiści małostkowych

względów“ (74). Obcy dla rodziny losem mu danej, Ibsen miał gorące serce dla rodziny, którą sobie sam stworzył: gdy mu się urodził syn, dbał starannie o jego wychowanie, kształcąc go na obczyznie prosi, prawie nudzi znajomych sprawunkami książek szkolnych norweskich, później w trosce o karyerę młodego Sigurda czasem nawet do żądań zbyt natarczywych się posuwa. Nawet teściowa, głośna w Skandynawii autorka chłopskich dramatów i opowiadań, pani Magdalena Thoresen, cieszy się szczerą życzliwością zięcia, często do niej i poufale piszącego, chętnie udzielającego jej literackich rad i wskazówek, prawda, że i z bezwzględną otwartością nieraz bardzo surowo jej utwory krytykującego.

Ciasno było Ibsenowi w rodzinnej ziemi. Duch jego rwał się do szerokiego świata, odwracał się z coraz większym wstrętem od tamtejszych stosunków, których fałsz, czczość i pustą frazeologię ujawniła mu jeszcze bardziej namiętna polemika tocząca się około jego pierwszych dramatów. Wyjechać na swój własny koszt nie mógł: wszak był tak biednym, że od bogatszych przyjaciół musiał przyjmować pieniężne wsparcie. Próbował więc drogi, którą już raz szczęśliwie poszedł: chciał uzyskać publiczne stypendyum. Dnia 6. sierpnia r. 1860 pisze do norweskiego rządu i króla „pokorną“ prośbą o udzielenie mu z funduszu przeznaczonego dla artystów i uczonych na podróże za granicę, zapomogi celem „studyowania przez sześć miesięcy dramatycznej sztuki i literatury w Londynie, Paryżu, większych miastach niemieckich, Kopenhadze i Stockholmie“ (9). Podanie, przez petenta „pokornem“ nazwane, w rzeczywistości jest bardzo energiczne. Mimo to pozostało bez skutku (zapomogi udzielono dwom innym poetom, między nimi Björnsonowi), czem jednak Ibsen nie dał się zrazić. Nieszczędzi papieru i atramentu i petycyonuje z wytrwałością doprawdy zadziwiającą: dnia 14 marca 1862 wysyła podanie do „akademickiego kolegium uniwersytetu w Chrystyanii“ prosząc o zasiłek na podróż po kraju, celem sporządzenia spisu pieśni ludowych i starych sag. Zapomogę dostaje, za rok zdaje sprawę z użycia pieniędzy, zapowiada wydanie—nigdy nie ogłoszonego—zbioru norweskich podań, a w trzy dni potem już się o nowe stypendyum ubiega, znowu z pomyślnym skutkiem. To poetę ośmiela. W lutym r. 1863 rząd postanowił przedstawić sejmowi wniosek, by Björnsonowi udzielono rocznej pensyi w kwocie 400 talarów; w marcu Ibsen żąda takiej samej rocznej „gaży“ dla umożliwienia dalszej działalności literackiej. Wymienia swe dotychczasowe dzieła (między niemi i niedrukowaną *Noc św. Jana*) a w końcu tak pisze śmiało: „W tych okolicznościach musiałem zrobić długi... a po-

nieważ tutaj, w kraju, nie mam absolutnie widoków polepszenia mojego położenia życiowego, widziałem się zmuszonym, poczynić pierwsze kroki, by na wiosnę wyemigrować do Danii. Porzucić ojczyznę i działalność, którą dotychczas uważałem i teraz jeszcze uważam za właściwy cel mego życia, to jest jednak krok, na który niewymownie ciężko się decyduję, i tylko, aby tego kroku, jeśli możliwe, uniknąć probuję ostatniego środka, najpokorniej wznosząc i t. d.“ (13). A więc jest już i „najpokorniejsza“ groźba ekspatryowania się, groźba zresztą, nawiasem mówiąc u Ibsena jeszcze raz powtarzająca się: w r. 1883 żąda dla syna Sigurda rządowego stypendyum, „czyniąc — na życzenie syna — ostatnią próbę zachowania go jako norweskiego obywatela“ (175). Mimo całej czci dla Ibsena-poety doprawdy z pewnem zadowoleniem dowiadujemy się, że ani król, ani rząd nie ulękli się tej groźby emigracyi: uchwalono „przejść nad petycyą Ibsena do porządku dziennego.“ On zaś... nie opuścił ojczyzny, tylko... wniósł nowe podanie, tym razem już nie grożąc, ale przekładając wymownie, że liczne i wielkie trudności, z któremi tutaj, w kraju, autor musi walczyć, potęguje jeszcze zupełny brak sposobności przyswojenia sobie podstaw ogólnego wykształcenia, uchodzącego w innych państwach za konieczny warunek szczęśliwej i możliwie najskuteczniejszej działalności w zawodzie, do którego petent sądzi się być powołanym“ (14). Nie gniewając się za poprzednią odmowę, tem bardziej cieszymy się, że to spokojniejsze i taktowniejsze podanie wywarło lepsze wrażenie i miało pomyślniejszy skutek: rząd we wrześniu r. 1863 wypłacił Ibsenowi stypendyum na podróż—nie żądaną płacę roczną—i poeta na wiosnę przez Kopenhagę i Berlin udał się do Włoch.

I my tam za nim pójdziemy, przedtem jednak uzupełniając ten ustęp dodajmy, że poeta nie raz jeszcze z państwowej i narodowej szczodrobliwości korzystał. Z Rzymu prosi w r. 1865 „królewskie norweskie towarzystwo umiejętności“ o stypendyum, którego jednak mimo wstawiennictwa dobrze w tych kołach widzianego Björnsona na razie nie otrzymał; dopiero na powtórną prośbę przyjaciela, uczona korporacya udziela Ibsenowi znacznie skromniejszego zasiłku na pobyt w Rzymie „celem ukończenia jednego z rozpoczętych dramatów na tle rzymskich dziejów,“ cierpliwie siedem lat na owo dzieło — *Cezar i Galilejczyk*—czekając. W rok po tej prośbie poeta w tonie, jak sam się później wyraził, bardzo płaczliwym, zwraca się do króla Karola z najpoddańszem podaniem o udzielenie mu rocznej pensji, by mógł „wyłącznie żyć dla swego poetyckiego powołania.“ Nie podobna bez współczucia i szacunku czytać motywów prośby: „Nie o byt bez

trosk walczę, ale o dzieło całego życia, włożone na mnie — jak niezłomnie wierzę i wiem, przez Boga—o zadanie życiowe, które wydaje mi się najważniejszem i najpotrzebniejszem dla Norwegii: obudzić naród, nauczyć go myśleć górnie... Od Waszej Królewskiej Mości zależy, czy będę musiał umilknąć i ugiąć się przed najboleśniejszem zaparciem się, które duszę człowieka spotkać może — przed wyrzeczeniem się swego dzieła w tem życiu, przed koniecznością opuszczenia pola, chociaż wiem, że dana mi jest broń duchowa do tej walki; a to dla mnie jest największem: bom aż do dziś dnia nigdy z pola nie ustąpił" (26). Na szczęście norweski storthing (sejm) prawie demonstracyjnie wszystkiemi głosami, przeciwko czterem, uwzględniając ciężkie położenie poety, wniosek rządowy bez dyskusyi uchwalił. Lecz raz jeszcze sprawa pieniężnego poparcia Ibsena zajmowała obradujące stany Norwegii. W r. 1881 napisał on obszerny list, prawie memoryał do oddanego sobie burmistrza Chrystyanii i posła sejmowego Hagbarda Bernera tłómacząc mu, że on i Björnson ponoszą poważne straty w skutek tego, że Norwegia nie przystąpiła była wówczas jeszcze do konwencyi międzynarodowej literackiej, chroniącej prawa autorskie. Nie żąda przyjęcia tej umowy, bo to miałoby złe dla państwa skutki np. podrożenie wolnych dotychczas przekładów dzieł obcych, ale chce dla siebie i przyjaciela ryczałtowego wynagrodzenia. W jakiej wysokości? tego wyraźnie nie oznacza, tylko z ironią przypomina że „sejm szwedzki Nordenskiöldowi i Palandrowi, gdy znaleźli t. zw. północno-wschodnie przejście, udzielił po 4 tys. koron rocznie. Pozwalam sobie zastanowić się nad możliwością, że Björnson i ja na dalszych poetyckich wyprawach, może znaleźliśmy rozmaite północno wschodnie i północno zachodnie przejścia, któremi w przyszłości narody północy tak samo płynąć będą, jak drogą otworzoną przez Palandra i Nordenskiölda (151). Pismo w niektórych miejscach zaprawione żółcią i sofisteryą, mimo wpływowego poparcia przez Bernera i jego politycznych zwolników, spełzło na niczem. I nie mogło być inaczej: wszak opierało się na podstawie z gruntu fałszywej, bo Norwegia nie mogła nic zrobić dla obrony autorskich praw pisarzów, drukujących swe książki *w Danii*. Nawet, gdy w r. 1896 Norwegia przystąpiła do międzynarodowego związku, Ibsen na tem nic nie skorzystał, bo prawnie był i jest duńskim pisarzem. Czy nie widać w tem słusznej zemsty obrażonego przez Ibsena patryotyzmu?.. Nemezys—może to wyraz zanadto silny? — dotknęła Ibsena tam, gdzie był dość wrażliwym. Bo dbał on i bardzo o materyalną stronę swej działalności, o zarobek i dorobek. Naturalnie nikt rozsądny nie będzie z tego po-

wodu wytaczał sławnemu pisarzowi procesu—choćby dla tego, że Ibsen miał przecież żonę i syna, — owszem ten czysto ludzki rys charakteru ożywia groźną jego postać, tem więcej, że nieraz niepozbawionym jest rzadkiego a pożądanego, odcienia lekkiego humoru. Tak swobodnie a przyjaźnie uśmiecha się czytelnik listu z października r. 1866, w którym poeta z „wiecznego miasta“ prosi swego uprzejmego wydawcę, Fryderyka Hegla, by na jego rachunek zakupił los kopenhaskiej loterji klasowej. „Nie żebym koniecznie liczył na wygraną, ale to sprowadza pewne oczekiwanie, dla mnie przyjemne.“ (36). A w następnym roku cieszy się, że „spekulacya loteryjna dobrze się rozpoczęła“ (40), i nieraz dopytuje się, co w tej sprawie słychać. Ba! nadchodzi nawet czas, kiedy Ibsen odgrywa rolę kapitalisty, gra na giełdzie (167), chociaż co prawda tylko ze skromnemi sukcesami, bo przyznaje, że „wcale jeszcze tyle odłożyć nie zdołał, aby to mogło wystarczyć dla niego i jego rodziny, gdyby zaprzestał pracy literackiej“ (183). Tu i owdzie tylko troska o pieniężny effekt utworów może nieco za daleko idzie. Tak jest bezprzecznie wtedy, gdy *Pretendentów do korony* wbrew radzie wydawcy nie chce w książce Björnsonowi poświęcić bo „właśnie w klasach, kupujących książki, utworzyła się silna przeciw niemu partya“ (67). Motywowane to wprawdzie względem na interes wydawcy, ale i piecza o własną kieszeń przechyliła szalę na tę właśnie stronę. Któż jednak rzuci kamieniem na Ibsena za te ludzkie słabostki, do których wreszcie zaliczyć trzeba i wielką, zbyt wielką grzeczność wobec krytyków, piszących o nim, zwłaszcza do obcych gazet, oraz wrażliwość na ordery, przez jakiś czas kamień obrazy pomiędzy nim a Björnsonem.

*

* *

Uzyskawszy więc upragnione stypendyum, pojechał Ibsen w r. 1864 do Włoch. Rzeczą biografii poety i studyum o jego dziełach wykazać jaki olbrzymi wpływ wywarł na nim czteroletni pobyt na klasycznej ziemi. Ale i tu, na zasadzie jedynie jego listów stwierdzić trzeba, że od czasów Goethego, który niemal dokładnie przed stu właśnie laty wyrwawszy się z Weimaru dążył na południe, nikt z poetów nie uległ w tym stopniu, co Ibsen, czarowi włoskiego nieba, starożytnej sztuki. Analogia ta sięga głębiej jeszcze, a dotyczy zarazem i szczegółów. Jak Goethe zastanawiając się później

nad skutkami włoskiej podróży podzielił je na negatywne: zerwanie z małostkowością weimarskich ówczesnych stosunków, i pozytywne: wzbogacenie umysłu wrażeniami włoskiego krajobrazu i włoskiej sztuki, tak i u Ibsena dźwięczą harmonijnie obie te strony. Po półtorarocznym pobycie pisze do teściowej: „Roztrzygającem i znaczącem dla mnie było, że osiągnąłem dostateczny dystans od naszych własnych stosunków, by ujrzeć czczość poza dobrowolnie spłodzonem kłamstwem naszego tak zwanego życia publicznego i marność tej frazeologii, której nigdy nie brak słów, gdy chodzi o gadanie o „wielkich sprawach," która jednak nie ma potrzebnej do wielkiego czynu woli, mocy czy poczucia obowiązku. Jakżeż często słyszy się w Norwegii poczciwców w ograniczonem zadowolnieniu z siebie mówiących o norweskiej stateczności, co w gruncie rzeczy nic nie oznacza innego, jak ową letnią średnią temperaturę krwi, niedozwalającą porządnemu człowiekowi popełnić głupstwa w wielkim stylu. Trzoda jest dobrze wyćwiczona, temu niepodobna zaprzeczyć; jeden krok, jeden takt. Wierzaj mi: tutaj jest inaczej! Prawda że wartoby z północy zachować sobie niewątpliwie tę lub ową ludzką właściwość, tu czuje się jednak, że jest coś, co znaczy więcej niż bystra głowa—jest: wielka dusza. Znam w Piemoncie, Genui, Navarze, Alessandrii matki, które odbierały ze szkoły swych czternastoletnich chłopaków, by im kazać brać udział w awanturniczej wyprawie Garibaldiego na Piemont; a wszak wtedy chodziło nie o ratowanie własnego kraju, lecz o urzeczywistnienie pewnej myśli. A jak sądzisz—ilu naszych posłów sejmowych zrobiłoby tak samo, gdyby nieprzyjaciel wtargnął do naszego kraju? U nas zaraz mówi się o niemożliwości, gdy dążenia przewyższają żądania dnia codziennego" (22). Ceniąc wysoko to oświadczenie poety, musimy jednak zauważyć, że wywołane ono zostało samem w ogóle oddaleniem się od kraju, a nie specyalnie włoskim pobytem. Istotnie spostrzegać się daje u Ibsena to, co i u Goethego jest widocznem; obaj podróż włoską tak dalece słupem granicznym w swem życiu i rozwoju czynią, że Włochom przypisują nawet wpływy od nich niezależne. U Ibsena przewrót w pojęciach był tem większy, że droga, która z ojczyzny do Italii prowadziła, wiodła go przez znaczne i znaczące wypadki i stosunki polityczne. W r. 1864 wybuchła wojna duńsko-niemiecka, w kwietniu widział Ibsen w Berlinie szalony tryumf Niemców na wieść, o zdobyciu szturmem szańców w Düppel, słyszał „wycia tłumów" (18) odczuł całą patryotyczną boleść Danii i właśnie z tej jej żałoby wziął nadzieję w przyszłość narodu: bo dopóki naród może się smucić, dopóty także żyje" (22). Wtedy też skrystalizowało się

w nim pojęcie o bezwartościowości państwa, o wartości narodu: „Państwo da się zniszczyć, naród nie“ (18). Nawet po utracie bytu państwowego można żyć jako naród; żydzi np. zdaniem Ibsena byli i państwem i narodem; żydowskie państwo leży w gruzach, żydowski naród żyje.

Jeśli tego ustalenia się politycznego i narodowego poglądu Ibsena dokonało w ogóle znaczne oddalenie od Skandynawii, to Włochy spełniły i jako takie, ogromnie wiele. Pytając się sam siebie, na czem polega istotna zdobycz jego podróży, odpowiada, że na tem, iż „moment estetyczny, któremu dawniej całkowicie ulegał, poniekąd z siebie wypędził, mianowicie o ile moment ten był izolowany i miał pretensyę znaczyć sam przez się. Estetyka w tem znaczeniu wydaje mi się być takiem samem przekleństwem dla poezyi, jakiem jest teologia dla religii“ (20). To synteza; szczegóły są jeszcze wyraźniejsze. Rzym podziałał na niego tak silnie, ze na jakiś czas zupełnie go opanował, uczynił go niezdolnym do pracy literackiej. Nie od razu wszedł w doskonałe porozumienie że sztuką starożytną. „Nie rozumiem jej związku z naszym czasem, nie widzę iluzyi, a przedewszystkiem osobistego i indywidualnego wyrazu w dziele, jak i w twórcy, i darmo: często, tam gdzie inni prawa widzą, ja dostrzegam tylko przyzwyczajenia. Zdaje mi się, jakoby dzieła starożytnej plastyki... raczej przez współczesny świat, który ich powstawanie widział, były stworzone, niż przez tego lub owego mistrza. I właśnie dlatego, że wielu naszych rzeźbiarzów myli się, tworząc jeszcze w naszych czasach takie dzieła w glinie lub marmurze—Michała Anioła, Berniniego i jego szkołę rozumiem lepiej; te zuchy miały odwagę, od czasu do czasu popełnić jakie szaleństwo. Architektura bardziej mocą owładnęła. A jednak ani sztuka starożytna, ani jej późniejsi spadkobiercy, nie przemawiają do mnie tak jak gotyk. Dla mnie katedra medyolańska jest czemś najpotężniejszem, co na tem polu da się pomyśleć. Mąż, który mógł wymyślić plan takiego dzieła, mógłby był także w wolnych chwilach wpaść na pomysł, by zrobić księżyc i rzucić go w przestwór świata.“ (17). Więc zrazu wrażenia Ibsena siłą równe impressyom Goethego, poszły wprost przeciwną drogą. Niebawem jednak ich kierunki się zbliżyły ku sobie. W cztery miesiące po poprzednim liście do Björnsona, ten sam adresat otrzymuje od przyjaciela odmiennie słowa, podobniejsze już do poglądów twórcy *Ifigenii w Tauris*, aczkolwiek jeszcze niezupełnie z niemi zgodne: „Coraz bardziej piękność starożytnej sztuki rzeźbiarskiej pojmuję, jak to przewidziałeś w swoim liście. Przychodzi to jak błyskawica, ale taki jeden błysk rzuca światło na wielkie płaszczyzny. Czy

pamiętasz „tragiczną muzę,“ która w sali Watykanu tam poza rotundą stoi?“ Żadne dzieło rzeźbiarskie we Włoszech nie podziałało na mnie w tym stopniu rozjaśniająco, co to. Śmiem niemal twierdzić, że wtedy dopiero poznałem, czem była grecka tragedya. Ta nieopisanie górna, wielka i cicha radość w wyrazie twarzy, głowa bogato liściem uwieńczona, mająca w sobie zarazem coś nadziemsko marzącego i bachanckiego, oczy patrzące razem w jej wnętrze i daleko, daleko poza cel swych spojrzeń—taką była grecka tragedya. Statua Demostenesa w Lateranie, Faun w Villa Borghese i Faun Praxitelesa w Watykanie, pokazały mi również życie i istotę Greków i dały zrozumienie tego, co w piękności jest właściwie nieśmiertelnem“ (18). A nietylko martwe zabytki sztuki podziwiał: „Jak cudowną jest tutaj przyroda! W kształtach i barwach nieopisana harmonia. Często całe dni lecą gdzieś pomiędzy grobami na Via latina lub na starej Via Appia i wierzę, że takie próżniactwo nie może być nazwane stratą czasu.“ (18). Zwiedzał też wytrwale „wieczne miasto“ wzdłuż i wszerz, zapuszczał się i w okolicę, w dzierżawy państwa kościelnego „pieszo, z tobołkiem na plecach“ (28), przekonywując się osobiście, ile przesady jest w popularnych opowiadaniach o włoskich bandytach.

I na ogólny nastrój człowieka i poety Rzym podziałał ożywczo. Dowodów współczesnych w korrespondencyi wiele. „Tu jest cudownie—pięknie jak w bajce! Mam zdolność do pracy i siłę, że zdołałbym niedźwiedzia powalić,“ (18) pisze raz z niezwykłą żywością, dodając niżej: „Co się mego wewnętrznego człowieka tyczy, to zdaje mi się, żem pod pewnemi względami bardzo się zmienił; a jednak sądzę, że nigdy bardziej nie byłem sobą.“ „Wszystko tu olbrzymie a przecież ponad wszystkiem panuje nieopisany pokój. Ani polityka, ani duch handlowy, ani wojskowość nie nadają ludności jednostronnej cechy. Ona nie wiele może i nie wiele wie, to pewna: ale jest nieopisanie piękną i doskonałą i prawdziwą i cichą. Tu powinieneś jakiś czas żyć!“ (22). Jeszcze w kilkanaście lat potem, gdy zmienił się i stan Rzymu i Ibsena o nim sąd, poeta ze szczerą wdzięcznością wspominał „Rzym z jego idealnym spokojem, pożycie ze swobodnym światem artystycznym, byt, dający się porównać jedynie z nastrojem Szekspirowskiego *As you like it*“ (74). Nadszedł co prawda czas, kiedy i na tem słońcu ukazały się ciemne plamy...

Rzym zachęcił poetę do pracy. Korzystając z „najwspanialszego spokoju do pisania“ zabrał się do „większego poematu i przygotowywał tragedyę *Julian Apostata*,—pracę, w którą zagłębił się z ogromną radością, wierząc stanowczo w jej powodzenie. Na

wiosnę (r. 1865) a w każdym razie w ciągu lata spodziewał się obie rzeczy wykończyć“ (17). Stało się inaczej. Ów „większy poemat nie zachował się, wiadomo tylko, że Ibsen istotnie z początkiem r. 1865 odczytał pierwszą pieśń eposu o treści zbliżonej do *Związku młodzieży*. Rzymska tragedya zaś, dla której — jak już wiemy, norweskie Towarzystwo naukowe udzieliło poecie zasiłku, miała ukazać się znacznie później dopiero. Na razie ustąpiła miejsca innemu, współczesnemu tematowi—*Brandowi*. I tego znaczącego przesilenia echa odnajdziemy w niniejszych listach. Dokonało się ono w najwspanialszej bazylice świata, do której poeta razu pewnego wstąpił, zniechęcony zbyt powolnym postępem pracy. W kościele św. Piotra nagle spadła na niego zdolność zaklęcia „w silny i jasny kształt tego, co chciał powiedzieć.“ Teraz odrzucił od siebie precz wszystko, nad czem od roku bezskutecznie się mozolił, i w połowie lipca (1865) rozpoczął nową rzecz, która szła mu tak szybko, jak nic dotąd. Nową jest ona w tem znaczeniu, że zaczął ją pisać; ale materyał i nastrój jak zmora ciężył nad nim, odkąd owe liczne nieprzyjemne wydarzenia w ojczyznie spowodowały go do wglądnięcia w siebie samego i życie narodu, do rozmyślania o rzeczach, które dawniej przelotnie obok niego się przesuwały, nie zajmując w każdym razie poważnie jego uwagi. „Jest to poemat dramatyczny na tle teraźniejszości, poważna treść, pięć aktów w wierszach rymowanych. Czwarty akt zaraz będzie gotowy, a piąty, czuję to, mogę w ciągu tygodnia napisać. Pracuję przed i popołudniu, czegom dawniej nigdy nie mógł robić. Tu jest cudowny spokój; nie mam znajomości; nie czytam nic tylko biblię, a ta jest silną i mocną (20). Jakie uczucia i myśli piszący się *Brand* w poecie ostatecznie z embryologicznego stanu do dojrzałości doprowadził, dowodzą dalsze ustępy tego listu z Ariccio, maleńkiej mieściny w górach albańskich. „Czyż nie jest to niezmiernym darem szczęścia, módz pisać! Ale jest przytem i wielka odpowiedzialność; a mam teraz powagi, by to odczuć i być twardym wobec samego siebie.“ Ale i wobec innych. Trafnie już wtedy bowiem przeczuwał, że nowa praca posłów storthingu (nieprzychylnych mu) nie usposobi łagodniej dla niego ale niechaj go Bóg skarze, jeśliby z tego powodu mógł lub chciał skreślić choć jeden wiersz, któryby im nie smakował, tym duszom w kieszonkowym formacie! Raczej do końca życia być żebrakiem! Jeśli sam w tem być nie może, co pisze, to wszystko jest kłamstwem i humbugiem, a tego jego kraj ma i tak dosyć.“ I nie uląkł się i pisał dalej a „mimo biedy i troski był wtedy nieopisanie szczęśliwy, czuł w sobie zapał krzyżowców, nie było nic, z czemby

walczyć brakowało mu odwagi.“ (23). Książka wyszła wreszcie, lecz wtedy zaczęła się dopiero męka oczekiwania przedstawienia scenicznego, niepokój o wrażenie, jakie dramat wywoła, zwłaszcza tam, na północy. „Chcę i będę miał raz zwycięstwo“ (23) pisał wtedy do serdecznego druha, lecz okrzykiem tym chciał przygłuszyć opanowującą go nerwową niecierpliwość, której dowodów Koresponedncya nie skąpi. „Chociaż najzupełniej jestem pewny, że mam słuszność, nie wiem jednak, czy wielu na swoją stronę przeciągnę. Często z niepokojem myślę o tem, jakiego przyjęcia dzieło dozna“ (24). Kilkakrotnie zabiera głos, by usunąć mylne objaśnienia dramatycznego poematu, a niektóre sprostowania godne są trwałej uwagi. Protestuje Ibsen najprzód, i to nieraz, przeciwko uważaniu sławnego filozofa duńskiego Kierkegaarda za model tytułowej postaci przyznając, że miał jednak model „co tak samo autorowi komedyj jest potrzebnem, jak malarzowi lub rzeźbiarzowi“ (58). Ostrzega również z naciskiem przed zbytniem podkreślaniem duchownego charakteru bohatera. „Że Brand jest księdzem, to rzecz w gruncie rzeczy obojętna. Żądanie: wszystko albo nic, znaczy we wszelkich stosunkach życiowych, w miłości, sztuce i t. d. Brandem jestem ja sam w moich najlepszych chwilach (74). Ze szczególną jednak werwą odtrąca od siebie odpowiedzialność za możliwe skutki utworu: „*Brand* jest całkowicie i zupełnie dziełem estetycznem – i ani odrobiną czemś innem. Co może zburzył lub zbudował, to mnie absolutnie nic nie obchodzi. Powstał w swoim czasie, jako rezultat momentów przeżytych w myśli nie w rzeczywistości. Było dla mnie koniecznością, przez poetyckie tworzenie uwolnić się od tego, z czem się we wnętrzu duszy już załatwiłem. I gdym się tego w ten sposób pozbył, książka nie miała żadnego więcej dla mnie interesu (71). Do tego ogólnego zastrzeżenia, tak żywo przypominającego stanowisko, jakie Goethe napisawszy *Werthera* zajął w obec jego treści, dodajmy inne, bardziej szczegółowe, gdzie autor broni się przed zarzutem, że *Brand* stał się wodą na młyn pietyzmu. „Taksamo możnaby zarzucić Lutrowi, że wprowadził do świata filisterstwo; to przecież nie leżało w jego zamiarze i winić go za to niepodobna.“ (60).

Wiele z cytowanych przy *Brandzie* słów Ibsena, wyjętych jest z listów do Björnsona. Nie najliczniejsze w tym zbiorze, bo ilościowo przygniecione korespondencycą z Brandesem i kopenhaskim wydawcą Fryderykiem Heglem, są one mimo to najważniejszą grupą w tym obszernym tomie i słusznie zaznacza Przedmowa, że dopiero teraz na podstawie ogłoszonej Korespondencyi

można dać obraz historycznego rozwoju stosunku obu mężów, łączącego w sobie w miarę przebiegu błogosławioną jedność Schillera i Goethego z dramatyczną sprzecznością Mickiewicza i Słowackiego. Poznali się w r. 1850 w Chrystyanii, rozłączyli niebawem, gdy Ibsen poszedł do Bergen, spotkali razem na *Uroczystości w Solhang*, którą Ibsen napisał, Björnsen gorąco rodakom polecał; taksamo było i w obec „Bohaterów z Helgolandu," potem Björnstjerne zajął miejsce Henryka na stanowisku dyrektora teatru, aż r. 1859 na pewien czas łączy ich w stolicy ojczyzny serdeczna przyjaźń. Pierwszy potem podróżuje, Ibsen zostaje w kraju i wzajem jego utwory z zapałem publicznie ocenia. Znowu są społem w Chrystyanii, związani tem ściślej patryotycznym bólem, któremu sceptyczny Ibsen ulega bardziej niż wierzący w zwycięstwo dobrej sprawy Björnson. I na szczęście optymista w tej przyjaźni nad pesymistą góruje. Zagrzewa go swą własną wiarą, pomaga mu i w wywalczeniu sobie lepszego losu: pośredniczy w pozyskaniu dla przyjaciela ważnych protektorów, wspiera go w sprawie stypendyów państwowych, zaznajamia go z zasobnym a życzliwym wydawcą. Całkiem naturalnie listy z Rzymu zawierają „podziękowanie za wszystko, co dotychczas dla Ibsena zrobił" i zapewnienie, że „po powrocie całem sercem przyłączy się do niego we wszystkiem" (18), i jeszcze raz podziękowanie „za wszystką piękność, którą w czasie podróży w siebie wchłonął." Pobyt we Włoszech serdeczności bynajmniej nie osłabił, owszem niepomiernie ją wzmocnił. W cytowanym już raz liście stwierdzającym, że poeta ma świadomość wielkiej dostojności, ale i odpowiedzialności swego powołania, wyraźnie przyznaje komu ją zawdzięcza: „Pewien estetyk w Kopenhadze powiedział raz, gdym tam był: „Chrystus jest przecież najbardziej zajmującym fenomenem w historyi powszechnej,"— estetyk rozkoszował się nim, jak sybaryta widokiem ostrygi. Aby się stać takiem zwierzątkiem, byłem co prawda zawsze zanadto silnym; co jednak zrobiliby byli ze mnie rozmaici głupcy pełni *esprit*, gdyby mnie byli mieli bez przeszkody, nie wiem, a tym, który im w tem przeszkodził, byłeś Ty, kochany Björnsonie. Tyś miał wzrok dostatecznie zaostrzony, dla mnie i dla siebie, by widzieć, że to, czego mi potrzeba, schodzi się z tem, coś mi dał i co mi dawać chcesz. Zdaje mi się, że mam ci nieskończenie wiele powiedzieć, rozlewa się to nademną niby rzeka i nieporządnie; ale gdybym chciał wszystko spisać, żadne porto listowe nie starczyłoby!" (20).

Któż mógł oczekiwać bliskości rozstroju? A jednak stało się tak w skutek nieszczęsnej polityki. Björnson rzucił się w ramiona lewicy sejmowej, szermierzem był narodowej niezależności i demo-

kracyi, Ibsen natomiast był wyznawcą zjednoczenia wszystkich państw skandynawskich, sprzyjał raczej prawicy, która to rozgłaszała przesadnie, kując broń polityczną z *Peer Gynta* i *Związku młodzieży*, chociaż poeta w istocie nigdy do żadnego stronnictwa nie należał i słusznie mógł o sobie powiedzieć: „Chcę, samotny *franctireur*, stać tam na przedniej straży i na własną rękę działać“ (161). Raz po raz drobne sprawy i przykrości zaciemniały horyzont przyjaźni. Za dług, z lat dawnych niezapłacony, zlicytowano Ibsenowi pozostawione w teatrze w Bergen meble, co gorsza i papiery, za co poeta bolesne czynił Björnsonowi wyrzuty, że temu nie przeszkodził. Polityka niezmordowanie podminowuje gmach przyjaźni. Dochodzi do tego, że na zaproszenie do współpracownictwa w pewnym czasopismie Ibsen odpowiada kategorycznem: nie. „W Kopenhaskiej Korrespondencyi norweskiego *Morgenblad* jest, jak czytam, pan B. Björnson, wymieniony, jako domniemany współwydawca czasopisma. Już ta okoliczność byłaby sama przez się rozstrzygającą dla mnie, gdybym nawet nie miał całej masy innych powodów“ (51). W listach do Brandesa i Hegla czytamy bardzo surowe zdania o Björnsonie, jako człowieku i polityku, a jednak jest i żal, że przyszło do zerwania, i życzenie rychłego pojednania, i wreszcie nadzieja, że ono nastąpi. Swoją drogą walka trwa, nawet coraz namiętniejsza. Wszak w r. 1872 podejrzywając dawnego druha o zdradę narodową, o zmienność chorągiewki obracającej się według wiatru, Ibsen ogłosił gwałtowny poemat przeciw temu „kapłanowi pangermanizmu,“ zastrzegając się w listach, że bynajmniej nie chciał szydzić z Niemiec, jako takich. Björnson znowu gniewał się na Ibsena za jego utwory, drwił z niego za jego ordery, potępiał go za jego rzekomy „ateizm.“ Dopiero około r. 1880 poczyna dokonywać się zbliżenie: z jednej strony Björnson nawraca się do ibsenowskich idei prawdy i wolności, z drugiej Ibsen, autor *Widm*, zrywa i zewnętrznie z konserwatystami. „Jedynym, który w Norwegii otwarcie, z mocą i odwagą wystąpił w mojej obronie, był Björnson. Można się było tego spodziewać. Zaprawdę ma on wielką, królewską duszę i nigdy mu tego nie zapomnę,“ pisze wtedy poeta (161). I rzeczywiście, gdy Björnson w sierpniu r. 1882 obchodził dwudziestopięciolecie literackiej działalności, Ibsen posłał mu z Gossensass w Tyrolu obszerne pismo, z którego niestety tylko urywek się dochował: „W dziejach literatury Twoje dzieła stoją w pierwszym szeregu i stać tam zawsze będą. Gdybym jednak oznaczyć chciał, jaki napis powinien kiedyś dostać Twój pomnik, te słowa wybrałbym: Jego życie było jego najlepszym poematem. A — w swem prowadzeniu życia siebie samego

rzealizować, to jest, jak sądzę, najwyższym szczytem ludzkich dążeń. To zadanie mamy wszyscy, jeden jak i drugi: ale iluż je wypacza!...' (164). Zwaśnieni, pojednali się, w r. 1884, widzieli się w Schwaz w Tyrolu po więcej niż dwudziestoletniej przerwie, odtąd panuje między nimi zgoda, wzmocniona jeszcze związkiem rodzinnym: w r. 1892 jedyny syn poety, Sigurd Ibsen, poślubił córkę Björnsona Bergliot.

Ta przyjaźń i w życiu i korespondencyi Ibsena najwięcej zajmuje. Współzawodniczyć mógłby z nią chyba jeden stosunek do Jerzego Brandesa. Listów tu znacznie więcej i nikt im znaczenia nie odmówi. Już w r. 1867 Ibsen przeczuł, że „ten człowiek (Brandes) kiedyś odegra dużą rolę w nauce i wyższych stosunkach życiowych" (43), a w r. 1870 wzywał go wprost, by „był jednym z przywódców akcyi zrewolucyonizowania ducha ludzkiego." (77). A jednak bądź co bądź jesteśmy tu w innej atmosferze niż w obec związku Ibsena z Björnsonem. Dużo w tych listach nieraz bardzo ciekawych uwag poety o własnych dziełach (często polemika z sądami Brandesa), za dużo może hymnów pochwalnych na cześć krytyka, zawsze jednak mimo wspólności ideowej nie ma tego serdecznego tonu, który dźwięczy w listach do Björnsona z okresów przyjaźni z nim, a nawet przytłumiony daje się jednak słyszeć w listach o Björnsonie z czasów rozdwojenia.

*

* *

Lecz znowu wzgląd na pokrewieństwo danych momentów spowodował przerwanie chronologicznego wywodu. Zostawiliśmy poetę troszczącego się o losy świeżo wydanego *Branda*. Mimo całego niepokoju, Ibsen zabrał się do „wielkiego dramatycznego poematu, z jedną z nawpół mistycznych, nawpół bajecznych postaci z nowszego okresu niższego ludu w Norwegii, jako główną. Będzie to rzecz do *Branda* zupełnie niepodobna, bez bezpośredniej polemiki i t. d." (39). *Peer Gynt* w listopadzie r. 1867 opuścił tłocznie drukarskie, Ibsen pisał wtedy do wydawcy: „Jestem ciekawy, jakiego przyjęcia dzieło dozna; ale niespokojny nie jestem, bo napisałem je po dojrzałej rozwadze." Jeszcze raz zawiódł się po części, bo często, prawie aż do ostatnich czasów wypadało mu to prostować błędne pojęcia, to wyjaśniać ciemne zagadki. Dzięki temu Listy i tu dostarczają wiele pożądanego materyału. Słyszy-

my z własnych ust poety, że „w *Peer Gyncie* użył stosunków i wspomnień własnego dzieciństwa za pewnego rodzaju model przy przedstawieniu życia w domu bogatego Jona Gynta“ (166), a „do Aasy (podobnie jak do Ingi w *Pretendentach do Korony*) była mu, z pewną konieczną przesadą, własna matka modelem“ (74). To dzieło, „że wszystkich jego książek jego zdaniem najmniej sposobne do tego, by być zrozumianem poza skandynawskiemi krajami“ (146), powstało jednak zdaleka od ojczyzny „w południowej Italii, na Ischii i w Sorrento. W tak wielkiej odległości od przyszłego koła czytelników pisarz staje się bezwzględnym“ (74) a jednak „w Norwegii i Danii o wiele więcej wyczytano satyry, niż poeta zamierzał. Dlaczegoż nie można książki cytać jako poematu? A przecież jako taki została napisana. Satyryczne ustępy są tam wcale izolowane. Ale jeśli dzisiejsi Norwegowie, jak wolno z pozorów sądzić, w osobie Peer Gynta siebie rozpoznają, to niechże ci poczciwi ludzie załatwią to z sobą“ (46). Zresztą „wielu uważa rzecz za najlepszą książkę“ (93) poety, on sam zaś bierze ją w obronę przed zarzutami ze strony Brandesa. „Korzę się oczywiście przed prawami piękna; ale nie dbam o jego tradycyjne przepisy. Pan przytaczasz Michała Anioła; według mego zdania nikt bardziej od niego nie nagrzeszył przeciw tradycyom piękna; lecz wszystko, co stworzył jest mimo to pięknem: bo ma charakter. Sztuka Rafaela właściwie nigdy mnie nie zachwycała; jego postaci pochodzą z okresu przed grzechem pierworodnym,— a w ogóle, południowiec ma inną estetykę od nas. On chce piękna formalnego; dla nas nawet coś formalnie niepiękne może, być pięknem na mocy zawartej w niem prawdy“ (60). I do bardziej szczegółowej sprawy muzyki Edvarda Griega do *Peer Gynta*, Korrespondencya przynosi wiele wyjaśnień (111). Na inscenizacyę utworu autor patrzał nieufnie, powtarzając kilkakrotnie, że rzecz „nie jest na scenę obliczona“ (154).

Tymczasem w jesieni r. 1868 Ibsen opuścił Włochy i osiadł na razie w Dreznie, nowej pracy oddany, którą „nosił w głowie przez całe lato, gdzie stał lub szedł,“ pracę napisaną prozą i dla teatru przeznaczoną. Pisał „w harmonii, znajdując się w szczęśliwem usposobieniu“ (49). Tem dziełem był *Związek młodzieży*. Poeta zamierzał zrazu dać mu inny tytuł: *Pan Bóg & Co.* (49). Pomysł dziwaczny i gorszący, to też Hegel domagał się usunięcia tego dodatku. Ibsen ustąpił zastrzegając się jednak, że „tem wyrażeniem nie mógłby się nikt zgorszyć, ktoby przedtem przeczytał sztukę. Nie ma tam ani słowa o religii; ale o tem nie można uprzednio wiedzieć, i dlatego mógłby drugi tytuł wywołać

zgorszenie, a więc precz z nim!“ Dramat zresztą „będzie pod artystycznym względem tak przetrawiony, jak żaden“ z dotychczasowych. I tu znowu poeta tworzył według żywych wzorów, chociaż i tu ostrzega przed poszukiwaniem ściśle oznaczonych modeli; gniewa go to, iż Björnson czuje się dotkniętym upatrując siebie w figurze Steusgarda, kiedy przecie tylko jego „zgubna i nawskroś kłamliwa klika partyjna była mu modelem“ (62). Sztuka jest „prostą komedyą, niczem więcej“ (58) znajdzie się w niej tylko „skromną powszedniość, żadnych silnych wstrząśnień duszy tu nie ma, żadnych głębokich nastrojów, a przedewszystkiem żadnych izolowanych myśli. ...Rzecz jest napisana prozą i dlatego z silnem realistycznem zabarwieniem. Formę traktował ze starannością i między innemi dokazał tej sztuczki, że daje sobie radę bez jednego monologu, nawet bez jednego słówka „na stronie“ (59).

Nadszedł pamiętny rok 1870, rok zaboru Rzymu i wojny francusko-niemieckiej. Ibsen przebywał wtedy w Niemczech w Dreznie i żywo się rozwojem współczesnych wypadków zajmował. W październiku nie dostrzega w saskiej stolicy „ani śladu zapału wojennego; co dzienniki o tem mówią, jest prostym wymysłem. Kraj cierpi straszliwie; wszelka czynność tak dobrze, jak wstrzymana; niedorostków i ojców rodzin średniego wieku powołują pod chorągiew i posyłają do Francyi; prawie każda rodzina ma żałobę...“ (76). W listopadzie „nastrój tamtejszy jest bardzo przygnębionym, a nawet poddanie się Metzu nie wzbudziło żadnej radości... Francuscy jeńcy doznają tu bardzo dobrego obchodzenia, a znoszą niewolę ze swobodą nie do uwierzenia. Mam wrażenie, jak gdyby wielu z nich było bardzo zadowolonych, że tanim kosztem wydobyli się z afery. W piwiarniach rozprawiają szczególnie podoficerowie: krytykują generałów, wszystko możliwe, prócz siebie. O położenie we Francyi zdają się nie troszczyć. Ale to całkiem naturalne u narodu rewolucyjnego bez karności i dyscypliny“ (76). Oddanie Rzymu młodemu królestwu włoskiemu nie budzi zachwytu w Ibsenie, który tak pisze do Brandesa: „A więc tedy wzięto Rzym nam, ludziom a poruczono politykom. Dokądże teraz mamy iść? Rzym był jedynem spokojnem miejscem w Europie, jedynem miejscem, korzystającem z prawdziwej wolności, wolności od politycznej tyranii wolnościowej. Zdaje mi się, że po tem, co tam zaszło nigdy go już nie zobaczę. Zniknie teraz wszystko, co było rozkosznem, bezpośredniem, zniknie brud; za każdego polityka, który tam powstanie, jeden artysta zginie. A potem to wspaniałe dążenie do wolności — teraz już z tem koniec. Tak, ja przynajmniej muszę powiedzieć, że jedyną rzeczą, którą

na wolności kocham, jest walka o nią; z posiadania nic sobie nie robię.“ (77). Myśli raz potrącone snują się dalej, dochodzą do wyższej syntezy: „Wypadki światowe zajmują mnie przeważnie. Stara illuzoryczna Francya rozbita; gdy raz jeszcze rozbiją się nowe faktyczne Prusy, jednym skokiem ujrzymy się w pośrodku tworzącej się epoki dziejów. Hej! jak wtedy idee w około nas zapadać się będą! I doprawdy czas już na to będzie! Z czego my teraz żyjemy, to przecież wszystko są tylko okruchy ze stołu rewolucyi przeszłego wieku, i dość już długo jedliśmy ten pokarm i przeżuwali. Pojęcia domagają się nowej treści i nowego wyjaśnienia. Wolność, równość i braterstwo nie są tem, czem były za dni ś. p. gilotyny. Oto czego politycy nie chcą zrozumieć i dlatego nienawidzę ich. Ludzie chcą tylko rewolucyi specyalnych, rewolucyj w sprawach zagranicznych, politycznych i t. d. Ale to wszystko śmieszna drobnostka. Zrewolucyonizowanie ducha ludzkiego, oto cel“ (77). Jak dla ojczyzny własnej pragnął wielkiej katastrofy narodowej tak teraz „Francyi obecne nieszczęście uważa za największe szczęście, jakie ten naród mogło spotkać. A co się tyczy kwestyi wolności, to ogranicza się ona, jak sądzę, na sporze o słowa. Nikt mnie nie przekona, jakoby wolność była równoznaczną z polityczną wolnością. Co Pan (Brandes) wolnością nazywasz, nazywam ja wolnościami; a co ja nazywam walką za wolność, nie jest przecież niczem innem jak ciągłem, żywem przyswajaniem sobie idei wolności. Kto wolność posiada inaczej niż jako cel dążenia, ten posiada ją martwą i bezduszną, bo pojęcie wolności ma przecież tę właściwość, że w miarę przyswajania się ciągle się rozszerza, a więc kto podczas walki staje i mówi: teraz mam ją!—pokazuje przez to właśnie, że ją stracił. A właśnie ten martwy sposób posiadania pewnego ściśle określonego stanowiska wolnościowego, jest charakterystycznym dla związków państwowych; i dlatego właśnie mówiłem, że nie jest to dobrem. Prawda, może być czemś dobrem, posiadać wolność wyboru, wolność od podatku i t. d.; ale dla kogo to jest dobrem? Dla obywatela, nie dla indywiduum. Indywiduum jednak absolutnie nie ma rozumowej konieczności, być obywatelem. Przeciwnie. Państwo jest przekleństwem dla indywiduum... Państwo musi iść precz! W *tej* rewolucyi wezmę i ja udział!...“ (79). Jak znamiennemi są te słowa Ibsena! A jednak jeszcze tego samego roku 1871 na widok upadku komuny paryskiej przyznaje, że przeczy on jego teoryom. „Teraz na długo idea zburzona“ lecz zaraz dodaje nieugięty doktryner: „Ale tkwi w niej zdrowe ziarno i raz doczeka się ona urzeczywistnienia już bez wszelkiej karykatury“ (81).

Pod wpływem tych epokowych wypadków ukazał się w r. 1873 dramat *Cezar i Galilejczyk*. Stwierdza to sam poeta pisząc w pietnaście lat potem: „*Cezar i Galilejczyk* jest pierwszem dziełem, które napisałem pod wpływem niemieckiego życia duchowego. Gdym w jesieni r. 1868 z Rzymu przybył i w Dreznie zamieszkał, przywiozłem z sobą plan *Związku młodzieży* i sztukę tej samej zimy napisałem. Do *Cezar i Galilejczyka* porobiłem podczas czteroletniego pobytu w Rzymie rozmaite historyczne studya i przeróżne notatki, alem nie nakreślił jasnego planu, a tem mniej cośkolwiek ze sztuki napisał. Mój pogląd życiowy był wtedy jeszcze narodowo-skandynawskim i dlatego nie mogłem dojść do ładu z obcym przedmiotem. Potem przeżyłem wielki czas w Niemczech, rok wojny i dalszy rozwój. To wszystko pod wieloma względami miało na mnie przetwarzający wpływ. Mój pogląd na dzieje świata i na życie ludzkie był dotychczas narodowym. Teraz doszedłem do poglądu szczepowego i tak mogłem napisać *Cezar i Galilejczyka*. Dramat był na wiosnę r. 1875 ukończony“ (198). Pomijając niejasność czy mylność łączenia germańskiego poczucia szczepowego z motywem wschodnio-rzymskim, mamy tu podane dwie ostateczne granice czasu, w których obrębie wielka dziesięcioaktowa tragedya powstała: 1864—1873. Odnośne listy dowodzą przedewszystkiem poważnych studyów, jakie poeta do tego dramatu robił: tak np. w r. 1869 prosi wydawcę o Listov'a rozprawę o Julianie Apostacie, wspomina we dwa lata potem, że zna dzieła Neandra i Dawida Straussa („jego książka zawiera jednak tylko stek rozumowań, a na to sam zdobyć się mogę. Ja potrzebuję faktów“ (82); a jeszcze w r. 1873 tuż przed drukiem książki pyta obszernie o pisownię i formę greckich imion, tłómacząc, że „jak wiadomo nie jest wielkim Grekiem“ (100) i póki odpowiedzi nie otrzyma, wstrzymuje wysyłkę rękopismu. Pracował nad tem dziełem z żelazną energią i wielkim wysiłkiem. „To będzie moje główne dzieło i zajmuje wszystkie moje myśli i cały czas“ (82). W r. 1871 „nowa praca bezustanku postępuje, a pierwsza część *Julian i przyjaciele mądrości* jest już na czysto przepisana... Nad drugą częścią pracuje teraz pilnie; pójdzie ona prędzej i będzie daleko krótszą; trzecia natomiast trochę dłuższą. Całość prawdopodobnie wyniesie 200—300 stron, wszystko prozą, co do formy najbliżej *Pretendentów do korony* (86). W r. 1872 na wiosnę „druga część wnet będzie gotową. Trzecia i ostatnia to zabawka“ (92); a jednak widocznie było to złudzenie, bo z końcem maja Brandes czytał w liście te słowa: „Z *Julianem* mocuję się ustawicznie. Chciałbym wobec Pana wyspowiadać się z tej sztuki, lecz czuję, że to niemożliwe,

bez obawy nieporozumienia“ (95). W skwarze lata „potwór *Julian* trzyma go silnie w szponach“ (96), dwie części: *Julian i przyjaciele mądrości* oraz *Juliana odstępstwo* są gotowe, brak jeszcze trzeciej *Julian na tronie cesarskim*, a bez niej poeta dzieła ogłaszać nie chce, zwłaszcza, że przed końcem roku spodziewa się ją ukończyć. Tymczasem list z lutego 1873 mówi już tylko o dwóch częściach składających całość: *Cezara odstępstwo* i *Cesarz Julian* tak, jak jest obecnie. Czem miała być ta tragedya w pojęciu twórcy, jak zmieszał w niej dwa pierwiastki, osobisty i historyczny, zrozumie się uwzględniwszy odpowiednie ustępy korespondencyi. „Sztuka przedstawia walkę pomiędzy dwiema wrogiemi potęgami życia światów, walkę powtarzającą się po wszystkie czasy, i na podstawie tej uniwersalności nazywa książkę „dramatem światowo-historycznym.“ Zresztą w charakterze Juliana, jak w największej części tego, com w dojrzalszych latach napisał, znajduje się więcej pierwiastku duchowo przeżytego niż to wobec publiczności mógłbym usprawiedliwić. Ale zarazem jest to realistyczny dramat—całkiem i nawskroś. Postaci te widziałem, widziałem przed oczyma w świetle ich czasu—i chcę, żeby tak i czytelnicy zrobili“ (103). „A jednak mimo to wiele auto-anatomii tkwi w sztuce“ (102). „Jest to część mego własnego duchowego życia, którą w tej książce złożyłem: co opisuję, przeżyłem sam w innych formach, a wybór historycznego tematu stoi także w związku z ruchami naszego własnego czasu, w związku ściślejszym niż na razie możnaby sądzić. Uważam to w ogóle za nieodzowny warunek każdego współczesnego traktowania tak odległego przedmiotu, jeżeli ze stanowiska poezyi ma budzić interes“ (99). „Podczas pisania *Juliana* stałem się pewnego rodzaju fatalistą; ale ta sztuka mimo to będzie niejako sztandarem. Nie mniej Pan zresztą obawy przed jakąkolwiek tendencyą; ja patrzę na charaktery, na krzyżujące się plany, na *historyę* i nic mnie nie obchodzi morał całości, przypuściwszy oczywiście, że Pan przez morał historyi nie rozumie jej filozofii: bo, że ta ostatnia koniecznie wystąpi na jaw, jako ostateczny sąd o walce i zwycięstwie, rozumie się samo przez się“ (84). To też na Björnsona zarzut „ateizmu“ nie chce odpowiadać, broniąc się tylko, że „dał ułamek dziejów ludzkości“ (107). Broni i prozaicznej formy dramatu, której użył zamierzając wywołać iluzyę rzeczywistości. Chciał czytelnikowi dać wrażenie, że to, co czyta, jest rzeczywistem wydarzeniem. Gdybym był użył wiersza, sprzeciwiłbym się własnemu zamiarowi i zadaniu. Te liczne codzienne i nieznaczące charaktery, które umyślnie do sztuki wprowadziłem, zatarłyby się i pomieszały, gdybym im był kazał mó-

wić w takcie rytmicznym. My już nie żyjemy w czasach Szekspira, a w kołach rzeźbiarzów wprost mówi się o tem, by posągi malować w naturalnych kolorach... Mój dramat nie jest tragedyą w starszym stylu; chciałem przedstawić ludzi i dlatego nie mogłem im kazać używać mowy bogów" (110).

Po krótkiej przerwie, w ciągu której jedynie *Catilina* poraz wtóry wyszedł, ukazały się *Podpory społeczeństwa*, w korespondencyi niemal pominięte—„pewnego rodzaju przeciwieństwo do *Związku młodzieży*"—(123), potem w r. 1879 *Nora*. I o niej listy milczą zrazu, stają się wymownemi dopiero w sprawie o sławnej czy osławionej zmiany zakończenia dla artystki niemieckiej pani Niemaun-Raabe (zmieniony tekst ostatniej sceny podało poraz pierwszy dosłownie *Das literarische Echo* II 969 i n.). Jak wiadomo w tej redakcyi Nora nie porzuca męża lecz zostaje u niego przez wzgląd na małe dzieci: „O, popełniam grzech przeciwko sobie samej, lecz nie mogę ich porzucić!" Ibsen zajmuje tu stanowisko nie zupełnie konsekwentne: dał pozwolenie na tę zmianę, nazywając ją jednak „barbarzyńskiem zgwałceniem" sztuki (142), a potem znowu gniewał się, że według tego nowego tekstu rzecz tu i owdzie grano. Wogóle po r. 1875 strumień korespondencyi płynie skąpiej a i pozatem rzadziej dorównywa sile dawniejszej. Prawda, że czasem i teraz poeta dotknięty do żywego żachnie się energicznie.

Tak jest np. z *Widmami*, które wywołały szaloną burzę, potop broszur, artykułów, mów przeważnie potępiających utwór, odsądzających autora od czci i wiary (książka wyszła, jak się z listów dowiadujemy, odrazu w 10,000 egzemplarzy). Ibsena dochodził ten zgiełk, lecz „znosił go z zupełnym spokojem duszy. Był na coś takiego przygotowany. Gdy wyszła *Komedya* miłości, podniesiono w Norwegii podobnie dziki hałas. Przeciwko *Peer Gyntowi* także piorunowano, niemniej przeciw *Podporom społeczeństwa* i *Domowi lalek*. Krzyk i teraz umilknie jak dawniej" (157). Zresztą „nie mógł na to mieć względu. To byłoby tchórzostwem" (158). Gdy wrzawa nieustawała lecz owszem wzmagała się, poeta już nie spokojnie ją mimo uszu puszcza, ale to lży „sforę psów łańcuchowych, szczekających za nim" (161), to – bardzo charakterystycznie— przyznaje, że „być może, iż ten dramat pod niejednym względem jest za śmiałym" (162), to wreszcie najobszerniej broni się i do sądu przyszłości odwołuje: „Usiłuje się uczynić mniej odpowiedzialnym za poglądy wypowiedziane przez poszczególne osoby dramatu. A przecież w całej książce nie ma ani jednego poglądu, ani jednego wyrażenia, idącego na rachunek autora. Dobrze się tego strzegł.

Metoda, rodzaj techniki, będącej podstawą formy tego dzieła, sam przez się zabronił autorowi, ujawnić się w dyalogu. „Moim zamiarem było w czytelniku wywołać wrażenie, że podczas czytania przeżywa szmat rzeczywistości. Nic zaś w wyższym stopniu nie byłoby się temu zamiarowi sprzeciwiało, jak gdyby poglądy autora zostały wcielone do dyalogu. I czyż w ojczyznie mej sądzą, że nie mam o tyle dramatycznej krytyki, aby to spostrzedz? O, niewątpliwie! Uznałem to i według tego postąpiłem. W żadnej z moich sztuk autor nie stoi tak daleko, nie jest tak nieobecnym jak w tym dramacie. Mówiono dalej, że książka propaguje nihilizm. Bynajmniej. Ona w ogóle nie zajmuje się, propagowaniem czegokolwiek. Ona tylko wskazuje na to, że pod powierzchnią burzy się nihilizm, u nas i gdzieindziej. I to musi być. Taki pastor Manders zawsze wyzywać będzie do walki jakąś panią Alving. A właśnie dlatego, że jest ona kobietą, raz zacząwszy dojdzie do ostatecznej granicy“ (159). Toteż nie trwoży się o przyszłość dramatu: „W niezbyt długim czasie wejdzie w umysły naszych poczciwców zrozumienie. Ale te zbutwiałe od starości kreatury, które w ten sposób na utwór napadły, spotka kiedyś, w przyszłej historyi literatury, miażdżący sąd. Do mojej książki należy przyszłość. Te łotry, które podniosły na nią hałas, nie mają związku nawet ze swoją rzeczywistą, żywą teraźniejszością.“ (163).

Z tego gniewu poety narodził się *Wróg ludu* chociaż w miarę pisania, jak dowodzi korespondencya, wracała równowaga. Z początkiem stycznia r. 1882 Ibsen pisze do Brandesa o walce przeciw *Widmom* i o polityce, i tu poraz pierwszy wyraźnie się czyta tezę dr. Stockmanna: „Björnson mówi: większość ma zawsze słuszność. Ja natomiast z konieczności muszę mówić: mniejszość ma zawsze słuszność.“ (158). Praca nad nowem dziełem go uspokaja. „Będzie to tym razem sztuka pokojowa, którą będą mogli czytać radcy państwa i wielcy handlarze i ich damy i przed którą teatry nie będą potrzebowały się wzdragać“ (163)—mówi o niej z ironią. A przesyłając wydawcy rękopis, taki list dołącza: „Zajmowanie się tą robotą zabawiało mnie, i odczuwam teraz, kiedym się z tem załatwił, coś jakby tęsknotę i czczość. Doktor Stockmann i ja zgadzaliśmy się jakoś z sobą. Harmonizujemy z sobą pod niejednym względem: ale doktor jest głową bardziej chaotyczną niż ja i ma prócz tego rozmaite inne właściwości, z powodu których nie można mu brać za złe pewnych wyrzeczeń, których może tak łatwo nie zniesionoby, gdybym ja je wypowiadał“ (165). A więc znowu przestroga, by autora z bohaterem dramatu nie identyfikować. Zasadniczej idei broni Ibsen wobec Brandesa: „Pan ma naturalnie

racyę, mówiąc, żeśmy wszyscy powinni się starać o rozszerzenie naszych poglądów. A ja zostanę przy tem, że duchowy bojownik przedniej straży nigdy nie *może* zgromadzić około siebie większości. Za dziesięć lat większość może będzie stać na stanowisku dr. Stockmanna w zgromadzeniu ludowem. Ale wszak przez te dziesięć lat doktor nie stał w miejscu; on znowu ma pierwszeństwo o dziesięć lat przed większością. Większość, massa, tłum nigdy go nie dogoni: on nie może nigdy mieć większości za sobą. Co do mnie, mam w każdym razie świadomość nieustannego postępowania naprzód. Gdzie stałem, pisząc moje rozmaite książki; tam stoi teraz zbity tłum. Ale ja sam tam już nie jestem, - jestem gdzieindziej, dalej, jak ufam" (172).

Dalsze, końcowe listy już tylko poszczególnych kłosów dostarczają; snopka z nich związać niepodobna. Więc krótki ustęp o *Dzikiej kaczce*, w której autor użył odmiennej metody, spodziewając się, że młodszą generacyę pisarzów zachęci do wstąpienia na nową drogę; więc echa przykrego nieporozumienia w r. 1885 z norweskimi studentami, w którem z pewnych ust padło określenie iż „wielki poeta okazał przy tej sposobności, że ma małe wymiary," więc dłuższe zdanie o *Rosmersholmie*, że *leitmotivem*, jest wezwanie do pracy. Ale pozatem sztuka mówi o walce, którą każdy poważny człowiek z sobą toczyć musi, aby swój sposób życia pogodzić ze swym rozumem. Rozmaite funkcye ducha nie rozwijają się bowiem w jednem indywiduum obok siebie i równomiernie. Popęd przyswajania sobie pędzi naprzód od korzyści do korzyści. Poczucie moralności zaś, „sumienie" jest bardzo konserwatywnem. Ma swe korzenie w tradycyi i w ogóle w przeszłości. Z tego powstaje indywidualny konflikt" (197). Więc idzie dalej stwierdzenie wpływu norweskiej autorki na *Panią z morza*, wreszcie w listach do hr. Maurycege Prozora, pośrednika pomiędzy Ibsenem a francuską literaturą, parę uwag o *Heddzie Gabler*, dlatego tak nazwanej, by uwydatnić, że bohaterka jako osobistość „raczej za córkę swego ojca, niż za żonę swego męża ma być uważaną" (219).

*

* *

Ani wyczerpanie treści Korespodencyi Ibsena, ani odtworzenie rozwoju życia jego i twórczości nie było naszem zadaniem. Chcieliśmy, wierni napisowi niniejszej pracy, pokazać Ibsena w świetle jego listów, i to tak zewnętrzne koleje jego losów, jak i dzie-

je jego dzieł, o ile oczywiście w jednem i drugiem Korrespondencya istotnie światła dostarcza. A tu mimo świadomości, że czasem bądź tych promieni brak zupełnie, bądź za słabe są, by doszczętnie rozproszyć panujące ciemności, niepodobna nie przyznać, że Listy obecnie ogłoszone i w biograficznym i historyczno-literackim kierunku przynoszą dużo. Wiele sądów, zwłaszcza o Ibsenie-człowieku, prostują, wiele innych uzupełniają, wreszcie za wiele jeszcze innych, nieistniejących na razie przynajmniej, staną zastępczo. Tylko o jednem pamiętać trzeba: ten tom może i powinien być dopełnieniem i poprzednich, przez Ibsena i innych, przez obcych o nim napisanych. Ale zawsze tylko dopełnieniem, kontrolowanem przez tamte i wzajem je kontrolującem. Tego na tem miejscu podjąć się ani nie chcieliśmy, ani nie mogliśmy, bo na wyczerpującą o Ibsenie monografię, dzisiaj jeszcze, gdy człowiek żyje, chociaż poeta zapewne już umilkł, jeszcze nie czas. Tego dokona przyszłość. A wtedy „Listy“ bądź co bądź na szali zaważą nie mniej, niż w sądzie współczesnych.

Dr. Józef Flach.

Z Parnasu hamburskiego.

(Ryszard Dehmel-Detlev von Liliencron i Gustav Falke.)

Bezdomne kapłanki Apollina, tułając się od wieków po świecie, nie znalazły jeszcze dotychczas obiecanej ziemi, gdzieby im przyznano prawa, jakiemi się cieszyły w starożytnej Helladzie; nigdzie nie witano ich okrzykami radości i tryumfu, nigdzie słowa ich natchnione nie znajdowały ogólnego oddźwięku, jak to bywało w pięknej, słonecznej ich ojczyźnie, gdzie naród cały pod odkrytem niebem, na kamiennych ławach teatru brał udział w misteryach sztuki. Ani na dworach królików maurytańskich, ani pod cichemi sklepieniami gotyckiemi samotnych klasztorów, ani śród przepychu, w jaki się zazwyczaj stroił wiek renesansu, ani w wyrafinowanej piękności pałaców królewskich i kamienic mieszczańskich z czasów rococo i barocco, tęsknota ich nie znalazła ukojenia. Wszędzie czekał je tylko krótki odpoczynek, po którym znów szare życie tułacze ciągnęło się smutnem pasmem bezsłonecznych i beznadziejnych dni. Wędrówki te odwieczne i połączone z niemi transformacye przyczyniły się do nadania muzom charakteru międzynarodowego, który stanowi dziś ich cechę charakterystyczną, objawiającą się niemal codziennie w wielkich współczesnych centrach cywilizacyi.

Muzy nowożytne nie unikają zgiełku wielkich miast, pomimo że niechętnie długo w nim przebywają. Tem to różnią się one od swych poprzedniczek, które żyły w zacisznych gajach, gdzie świeży powiew niepokalanej natury chłodził ich wawrzynem uwieńczone skronie, szepcąc im do klasycznie pięknego różowego uszka słowa natchnienia; gdzie mirty, pinie i cyprysy wdzięcznym kołem otaczały sączące się srebrnemi strugami na blado marmurowe płyty ruczaje; gdzie na białych, kwiatami i złotem zdobnych ołtarzach, pośród aksamitnej zieleni łąk dymiły się kadzielnice ofiarne, a niczem nie krępowany wzrok lubował się wielką pięknością gór i łąk, lasów i pól, morza i nieba. Zato muzy dni dzi-

siejszych, obeznane ze wszystkiemi wynalazkami współczesnemi, posługują się parą i elektrycznością, fotografują i badają, studyują ekonomię polityczną i psychiatryę, zwiedzają wystawy międzynarodowe, zajmują się reprodukcyą wszystkich stylów i eksperymentami, mającemi na celu stworzenie nowej sztuki, a osiągnięte rezultaty niezwłocznie całemu światu objawiają, który co prawda nie słucha ich z wielką uwagą, ale zato poniekąd zmuszony jest słuchać.

W podobny sposób przeistoczyli się również kapłani muz. Dziś poeta stoi pośród szumiących fal życia. Słowa jego roznoszą potężne skrzydła pary i elektryczności w najodleglejsze zakątki świata, telegraf, telefon i prasa drukarska są jego niemymi sprzymierzeńcami, wielkie środowiska życia—jego polem działalności. Pomimo to nowożytny poeta nie wyrzekł się piękności natury. Przeciwnie, z niej płyną mu, jak od niepamiętnych czasów, kryniczne potoki natchnienia. Obecnie, piękne dzielnice pozamiejskie, odznaczające się wszelkim komfortem współczesnym i posiadające znakomitą komunikacyę z poblizkiemi centrami wielkomiejskiemi, przedstawiają dla artystów odpowiednie ustronia. Telefon na biurku w pracowni ułatwia porozumiewanie się z miastem: z nakładcą, redaktorem, dyrekcyą teatralną... Przez otwarte okna napływa świeże tchnienie pól, łąk i lasów, a cisza samotni szepce do nich głosami tajemniczemi.

Tak żyje tutaj w Niemczech większa część artystów, ponieważ życie to nie kosztuje bynajmniej drożej, niż w mieście, a zalety mieszkania poza gwarem i zaduchem miejskim przeważają szalę na korzyść tych małych pośród lasów i ogrodów leżących will, w których można, przy skromnych wymaganiach, znaleźć już pomieszkanie za 250—300 rubli rocznie. Wszystkie miasta w Niemczech posiadają swój... „Konstancin“ i „Skolimów,“ z tą tylko różnicą, jeśli je będziemy porównywać z Warszawą, że komunikacya pomiędzy miastem a temi sielankowemi ustroniami, jest tutaj o wiele lepsza, niż w Warszawie. Hamburg odznacza się szczególniej pod względem wygodnych mieszkań pozamiejskich, które dzięki bogactwu wodnemu, prześlicznym wzgórzystym brzegom Elby, lasom, opasującym miasto ze wschodu, z południa i północy szerokim wałem zieloności, świeżemu morskiemu powietrzu i znakomitej komunikacyi wszystkich, choćby najbardziej oddalonych punktów z centrem, posiadają zalety, które tylko poczęści osłabić mogą zimową porą dość gęste mgły i wilgotny klimat, zmuszający każdego mieszkańca Hamburga do nierozstawania się przez cały rok z parasolem. Hamburg nie znającemu go przedstawić się może w wyobraźni, jako ponura gromada szarych, zadymionych

domów, skupionych wkrąg brudnego portu i cisnących się wzdłuż wązkich kanałów, które gęstą siecią całe miasto przerzynają. Tak było niegdyś, ale dzięki kilku prawie doszczętnym pożarom i pamiętnej cholerze w roku 1892 obraz ten zmienił się na lepsze. Dziś tylko jeszcze jedna dzielnica przypomina dawne czasy, ale i jej dnie już policzone.

Hamburg wbrew wszelkim oczekiwaniom posiada co prawda niewielką, ale niemniej bardzo doborową kolonię artystyczną. Pomiędzy poetami mieszkają tutaj trzej najwybitniejsi poeci niemieccy, a mianowicie: Liliencron, Dehmel i Falke.

Parowce dążące na falach Elby z Hamburga ku morzu przepływają około prześlicznej, na wzgórzu położonej, wioski rybackiej „Blankenese“ (po polsku „biały nos“), oddalonej o ½ godziny drogi od Hamburga. Liczne wille świecą białością swych ścian śród zieleni drzew, a widok, jaki się z góry oczom przedstawia, obejmuje szerokie przestrzenie wód, liczne wioski rybackie, sylwetkę portu hamburskiego i niebieski pas gór. W tem pięknem ustroniu, mającem w sobie coś z uroku morza, mieszka Ryszard Dehmel. Ostatnia faza twórczości Dehmela to poezye dla dzieci. Zwrot ten w twórczości poety, którego dotychczasowe utwory były nacechowane tytaniczną potęgą, jest dziwny i niewytłómaczony. Od dziesięciu lat imię Dehmel'a należy do najwybitniejszych w literaturze niemieckiej, pomimo że sławę jego, ugruntowaną przez zbiór poezyj „Aber die Liebe“ (1893) uszczupliły nieco następne utwory. Jest to zresztą poniekąd charakterystyczną cechą młodoniemieckich poetów, że żaden z nich nie dotrzymuje obietnic, jakie początkowa twórczość niemal każdego z nich zdawała się rokować. Ani Otto Juliusz Bierbaum, ani Gustaw Falke, ani Arno Holz ani Dehmel nie dotrzymali ich.

Dehmel, który obecnie ma lat 40, rozpoczął swoją twórczość w 30-tym roku życia pod sztandarem idei Nietzschego, porzuciwszy swą dotychczasową pracę na polu asekuracyjnem. Niezmiernie oryginalna forma, szczególniej zaś cykl poezyj „do Wenery“ znajdujący się w powyżej wymienionym zbiorze „Aber die Liebe“ i odznaczający się nietylko niezmierną śmiałością słowa, ale i niekiedy... brakiem dobrego smaku, przyczynił się do wywołania sensacyi, towarzyszącej pojawieniu się Dehmela na widnokręgu literatury. Niestety, z biegiem czasu forma jego utworów poetyckich przeszła w manierę, a brak szczerości i dobrego smaku coraz częściej dawał się odczuwać. Pomimo to utwory jego „Erlösungen“ „Weib und Welt“ i „Zwei Menschen“ zawierają prześliczne miejsca. Gdyby można było zrobić wybór poezyj Dehmela (jak to już

częściowo sam Dehmel w swem prześlicznem dziełku „Ausgewählte Gedichte,“ wyd. r. 1901., wykonał), odrzucając $^2/_3$ z tego co napisał, to otrzymalibyśmy spory tom, a może i dwa tomy poezyj, które pod względem formy i treści możnaby śmiało zaliczyć do najlepszych utworów współczesnej literatury niemieckiej.

Pamiętny mi jest dotychczas wieczór literacki w Lipsku, podczas którego po raz pierwszy spotkałem się z Dehmelem. Wystawiano jego dramat „Bliźni.“ (der Mitmensch.)

Wysmukła postać, czarny kędzierzawy zarost, ciemne pukle włosów spadające na błyszczące fosforycznym blaskiem oczy, namiętne, szeroko rozwarte nozdrza i dwie bolesne zmarszczki idące od nosa ku kątom pełnych, karminowych warg... Postać ta poruszająca się jakby pod wpływem ukrytych sił wulkanicznych, lada chwila gotowych wybuchnąć gorącą lawą słów, robi wrażenie demoniczne i dziwnym lękiem przejmuje serce. Ale urok ten słabnie, gdy deklamuje swe utwory. Słowa torując sobie z trudem drogę, dosięgają duszy słuchacza.

Pomiędzy utworami Dehmela znajduje się jeden, który w kilku słowach jasno i dokładnie charakteryzuje jego nastrój duchowy, dlatego pragnąc uzupełnić naszkicowaną sylwetkę poety, pozwalam sobie zacytować go.

*) Raum! Raum! brich Bahnen wilde Brust!
Ich fühl's und staune jede Nacht
dass nicht blos eine Sonne lacht;
Das Leben ist des Lebens Lust!
Hinein, hinein mit blinden Händen,
du hast noch nie das Ziel gewusst;
zehntausend Sterne, aller Enden,
zehntausend Sonnen stehn und spenden
uns ihre Strahlen in die Brust.

Do najzażylszych przyjaciół Dehmela należy 60-cio letni baron Detlev von Liliencron, uznany przez całe Niemcy za najpierwszego poetę naszych czasów. Koleje życiowe Liliencrona są nader

*) Miejsca! toruj drogę dzika piersi! Czuję i każda noc przejmuje mnie podziwem, że przestwór lśni tysiącem jasnych słońc. Gdyż rozkosz życia jest prawdziwem życiem. Chwytaj ją, chwytaj ślepemi rękoma! Komuż cel bytu dobrze jest wiadomy? Tysiące gwiazd na jasnem niebie lśnią, tysiące słońc cię błogosławią!

ciekawe. Pracę swoją twórczą rozpoczął Liliencron dopiero w 40-ym roku życia, gdy wystąpiwszy w randze kapitana z armii pruskiej, w której służył przez dwadzieścia prawie lat, biorąc udział w kampanii austryjackiej i wojnie francusko-pruskiej, osiadł w pobliżu Hamburga. Utwory Liliencrona, z których jeden: „Muzyka“ znany jest w Warszawie, posiadają wszystkie właściwości kryształowego kielicha, napełnionego po brzegi lśniącem złotem węgrzyna. Jasne, mieniące się różnobarwnemi refleksami, które promienną aureolą otaczają ich dyamentowe kształty, napełnione po brzegi złotem genialnego humoru, są one cudnym, intensywnie pachnącym kobiercem kwiatów na polu współczesnej literatury niemieckiej. Wszechstronność, jaką się odznacza talent Liliencrona, młodzieńczy ogień, niesłychana wyobraźnia i z głębi duszy płynąca oryginalność, nadają poezyi jego cechy charakterystyczne. Duch jego, pomimo lat, młody jest i sprężysty, jak skrzydła sokole. Wznosi się też z łatwością ponad wszelkie przesądy stanu i narodowości. Pomimo tego nie można zaprzeczyć, że niejeden z jego utworów posiada dość silne zabarwienie pruskie. Ale jak młody olbrzym, na którego wdziano szaty zwykłego śmiertelnika, jednem naprężeniem muskułów rozrywa szwy swego niewygodnego ubioru, tak Liliencron, pomimo tradycyi pruskiej, której składa niekiedy swą daninę, daje tonom ogólnie ludzkim przewagę, czem potwierdza prawdę, że każda wielka sztuka jest objawem międzynarodowym.

Liliencron jest nawskróś arystokratą. Czytając jego poezye, można go sobie wystawić jako potomka olbrzymich, jasnowłosych bohaterów fryzlandzkich, pana wielkich włości, harcującego na swym arabskim rumaku ze sforą psów przez własne ugory i ścierniska, lub błąkającego się godzinami z fuzyą, w srebro oprawną, po olbrzymich kniejach swoich wielkopańskich posiadłości. Taki obraz kreśliła moja wyobraźnia, gdym czytał jego utwory. Później miałem sposobność poznać Liliencrona. Nizki, wyprostowany, z krótko przystrzyżonym włosem, z rudym wąsem nad niezwykle miękkiemi, trochę złośliwemi ustami, z impertynenckim zadartym nosem i parą zamglonych, dziecinnych, niebieskich oczu—wydał mi się zupełnie innym. Wtedy to dopiero poznałem główną cechę jego charakteru: ową potężną wyobraźnię poety-marzyciela, która potrafiła ożywić sny atawistyczne jego duszy, która z takim mistrzowstwem uchwyciła obrazy jego wizyi i skromną rzeczywistość niezamożnego emeryta napełniła blaskiem książęcego przepychu.

Willa, którą Liliencron zamieszkuje wraz ze swoją drugą żoną, kucharką z zawodu, położona pośród lasów holsztyńskich,

w pobliżu pierwszej stacyi kolei żelaznej pomiędzy Hamburgiem a Lubeką, jest bardzo skromnym domkiem, a stan finansowy poety bynajmniej nie jest tak świetny, ażeby go stać było na kobierce perskie, lwie i tygrysie skóry, srebrem i perłową massą zdobną broń i piękne dzieła sztuki, jakby to czytelnik „Poggfreda“ (znakomity poemat Liliencrona) mógł przypuszczać. Pensyjka w wysokości 2000 marek rocznie, jaką cesarz Wilhelm II w roku przeszłym z własnej szkatuły mu wyznaczył, skromna emerytura i dochody z jego utworów literackich — oto wszystko, czem rozporządza Liliencron. Widać naród niemiecki, pomimo swego dobrobytu materyalnego, nie może zdobyć się na odpowiednie uczczenie geniusza, pomimo że mu na przykładach, w jaki sposób należy czcić wielkich poetów, nie powinno zbywać. Szkoda, że żaden z panów należących do przeszłorocznego komitetu jubileuszowego dla uczczenia Liliencrona, który wówczas kończył lat 60, nie wiedział, w jaki sposób obchodzono u nas jubileusz Sienkiewicza lub Maryi Konopnickiej. Zdziwienie ich nie miałoby zapewne granic, wobec faktu, że duch i dobra wola więcej zdziałać potrafią, niż bogactwo i potęga...

Niedawno byłem u Gustawa Falke'go. W cichem ustroniu, w jasnej kamienicy przedmiejskiej, której front zwrócony jest ku polom, której balkony kamienne zdobią pnące się bluszcze i czerwone pelargonie, mieszka na drugiem piętrze, zdala od zgiełku wielkomiejskiego, ten poeta hamburski par excellence, któremu bogate miasto Hamburg w uznaniu jego zasług poetyckich wyznaczyło roczną pensyę w wysokości aż 3000 marek.

Falke miał 40 lat, gdy zaczął pisać pierwsze swoje utwory. Sławny już podówczas Liliencron, któremu wiersze Falke'go wpadły do rąk, zainteresował się nieznanym poetą. W ten sposób Falke został „odkryty.“ Serdeczna przyjaźń zawiązała się pomiędzy byłym kapitanem wojsk pruskich a ubogim nauczycielem muzyki, którego przeciwne losy nader długo nieubłaganie prześladowały. Teraz obaj, jako blizcy sąsiedzi, mieszkają w Hamburgu.

Stan finansowy Falke'go z biegiem czasu znacznie się polepszył, o czem świadczy fakt, że był w stanie zbudować według własnego planu domek w pobliżu Hamburga, na skraju lasku jodłowego, do którego się wkrótce zamierza przenieść.

Powierzchowność Falke'go robi niezmiernie miłe wrażenie... Poważne, uduchownione rysy jego twarzy, okolonej lekko posiwiałym płowym włosem, smutne oczy i nerwowe, białe, ogromnie ruchliwe ręce... Dobroć idzie od tego człowieka niezwykła... Widać po nim, że w walce życiowej wiele przecierpieć musiał,

lecz pomimo to wiary w życie nie utracił. Głęboka melancholia patrzy mu z oczu, ale rezygnacya gładzi wszystkie ostre zmarszczki. Rezygnacya jest charakterystyczną cechą jego twórczości poetyckiej.

Gustaw Falke mówi mało i źle, jak wszyscy synowie północy. Mowa jego zbyt jest urywana. Częstokroć zatrzymuje się w środku zdania, jakby w obawie, że za wiele powiedział. Zato humor jego jest niewyczerpany, a łagodny uśmiech towarzyszący jego wesołym uwagom ma w sobie wiele uroku. Uroku, który roztaczają wokół siebie duchy dobre, ludzie szlachetni.

...Mówimy o literaturze, o ostatnim utworze Falke'go „Der gestiefelte Kater," który jest czemś w rodzaju poematu Goethego „Reinecke Fuchs" i o nowym zbiorze jego poezyj, mającym wyjść na początku przyszłego roku. W końcu proszę go, ażeby mi jeden z ulubionych utworów przeczytał... Przez duże okna pada jasny promień słońca na olbrzymi okrągły stół, otoczony mnóstwem foteli, wkoło którego zbierają się co tydzień członkowie towarzystwa literackiego. Spotkać tam można całą inteligencyę tutejszą, a niekiedy i Liliencrona lub Dehmela. Na łagodnem, szaroniebieskiem tle obicia widnieją obrazy mistrzów współczesnych: Boeklin, Thoma, Stuck, Trübner; piękne wazy i czary nowożytne stoją tu i owdzie na konsolach i stolikach mahoniowych, nigdzie niema ani firanek, ani portyer. Cisza zalega pokój. Przystąpiwszy do szafy wyjmuje poeta mały w ciemno-niebieski safian oprawny tomik i czyta półgłosem.

*) Mein Weib und all mein holder Kreis,
mein Kind und all mein lachend Glück,
ich rühre an die Saite leis,
wie hell klingt es zurück.
Nur manchmal, wenn von ferne ich
Die grossen Ströme rauschen höre,
wenn sich der vollern Lebenschöre,

*) Żoneczka miła, mój kochany dom, dziecina moja, me słoneczne szczęście!... Gdy dotknę zcicha strun tych czarodziejskich, jasnemi tony dźwięczy moja pieśń. Lecz czasem, gdy zdaleka słyszę szum wielkich, wszechpotężnych rzek, gdy potężniejszych życia chórów śpiew zakradnie się w mej samotności ciszę, okrzykiem skargi serce moje drży: „Światła, och więcej światła dajcie mi!" A odwróciwszy mu stęsknioną twarz, krwawiące serce w wasze dłonie składam, aż znów miłości cud przepędzi strach i taktem duszy po dawnemu władam, z tęsknotą godzę obowiązku brzemię pod cichą strzechą, gdzie me szczęście drzemie.

ein Ton in meine Stille schlich,
Schrei' laut ich auf und hebe Klag',
mehr Licht, mehr Licht — um einen Tag!
Und blutend leg' ich abgewandt,
mein Herz in eure Liebeshand,
bis es von aller Angst entbunden
nun wieder seinen Takt gefunden,
den Gleichtakt zwischen Wunsch und Pflicht,
Herddämmerglück — Herddämmerlicht!

...Skończył, oparłszy posiwiałą głowę na dłoni... I cicho było naokół. Słychać było tylko zegar ścienny, oddalony szum tramwajów elektrycznych i szelest zeschłych liści jesiennych w ogrodzie... Myśl moja na skrzydłach poezyi uleciała w krainy piękna, które dla poety, bez względu na wiek, narodowość i stan, posiada jednakowe pieszczoty i zachwyty...

J. K.

Na scenie i na estradzie.

I.

Rok miniony skończył się pod niepokojącemi dla naszego teatru wróżbami.

Używam liczby pojedyńczej, — bo łatwo się domyśleć, że wszelkie złowrogie horoskopy jednej zawsze scenie zagrażają: — scenie dramatycznej. Opera — oczywiście włoska — jako rozdawczyni uciech kosmopolitycznych, korzysta bez troski z uprzywilejowanej sytuacyi. Ona pochłania dochody całego trójjedynego królestwa dramatu, muzyki i krotochwili; ona, przy pełnej nawet widowni, przy podnoszonych o 50% cenach, gromadzi w księgach kasowych długi; ona z całym spokojem patrzy na to, jak wszyscy i wszystko naokoło mozoli się nad płaceniem tych długów; ona wreszcie nie wątpi ani na chwilę, że krociowe deficyty, któremi obciąża teatr, na cudze barki będą zwalone. Dźwiga je też, jak powszechnie wiadomo, teatr Rozmaitości; i biada mu, jeżeli się pochyli pod tym ciężarem. A chylić się musi. Mały, ciasny, brudny i źle prowadzony teatrzyk dokazuje i tak cudów, jeżeli koniec z końcem wiąże a nawet zyski przynosi. Więc postawić temu Kopciuszkowi dylemat: „albo wyrównasz zrobiony nie przez siebie deficyt, albo *sam* poniesiesz jego następstwa,“ — to brzmi doprawdy jak wyrok zagłady.

Tak jednak przedstawia się w rezultacie cała sprawa; i wątpię, żeby ostrze tego dylematu mogło się przytępić w naradach Komisyi, badającej obecny stan rzeczy. Z góry bowiem przewidzieć można jakie będą wyniki takich narad, dopóki Komisye szukają przyczyn niedomagań finansowych wszędzie, tylko nie tam, gdzie one tkwią rzeczywiście; dopóki fikcyjnym punktem wyjścia wszelkich dociekań jest osobliwszy paradoks: *„ponieważ* wszystkie teatry warszawskie, jedną objęte dyrekcyą, wspólny posiadają budżet, *więc* teatr Rozmaitości nie ma prawa powiedzieć,

że sam na siebie zarabia, tem mniej, że daje superatę, bo nie zarabia tak dużo i nie daje takiej superaty, żeby mógł cudze długi pozaspokajać.“ Otóż na tym wyłącznie gruncie obradują od dłuższego już czasu wszystkie następujące po sobie Komisye, o czem piszący te słowa miał niejednokrotnie sposobność przekonać się z własnego doświadczenia. Sztuka, poziom artystyczny sceny, europejska w repertuarze i w grze artystów kultura, — to wszystko ma dla obradujących znaczenie „literackiego frazesu;“ natomiast hasła: „dochód, kasa,“ niby uderzenia dzwonu alarmowego biją na trwogę przedewszystkiem nad teatrem Rozmaitości.

Czy ten teatr Rozmaitości jest takim, jakim być powinien i może przy swoich środkach artystycznych; co w nim zrobiono, żeby te środki odpowiednio dla sztuki zużytkować; czy ta scena znajduje się na takiej wysokości, żeby mogła wytrzymać porównanie z zagranicznemi teatrami, zaostrzającemi wymagania rozpodróżowanej publiczności? — te kwestye nikogo w sferach decydujących nie zaprzątają. Zamiast zapytać, czy dramat ma kierownictwo, wszyscy go na wyścigi pytają: czy ma pieniądze?

A on niema tyle ile od niego wymagają i mieć tyle nie może; bo tylko pełna sala przez cały okrągły rok zdobyłaby mu tytuł solidnego płatnika cudzych długów, taki zaś teatr nie istnieje na świecie i może egzystować tylko w wyobraźni... kasyerów.

Na nieszczęście wyobraźnia tego właśnie gatunku wytwarza teatrowi Rozmaitości sytuacyę coraz dokuczliwszą, czyniąc go odpowiedzialnym za urojone winy, wraz z dwiema innemi winowajczyniami, których prawie wymieniać nie potrzeba, bo tradycyjnie, co pewien czas, wzywano je przed trybunał różnych dyrekcyj. Winien tedy jest dramat, że „nie przyciąga“ publiczności; winna krytyka, że „odciąga“ publiczność i winna publiczność, że da się „pociągnąć“ krytyce i nie „ciągnie“ do teatru. Jakim sposobem kombinują się i kojarzą te „winy,“ które według zwykłej, zdrowej logiki nie mogą współistnieć, bo jedna drugą wyłącza — nad tem oskarżyciele głowy sobie nie łamią: znaleźli winnych, to im wystarcza, to przedewszystkiem na zewnątrz odwraca uwagę od zła wewnętrznego. A co w tem uderza jako najcharakterystyczniejsze — to samo pojęcie rzekomej „winy.“ Słuchając tych grawaminów gromadzonych przeciw scenie, rozporządzającej takim materyałem artystycznym, jak teatr Rozmaitości; przeciw takiej orędowniczce literatury i sztuki, jak krytyka; przeciw takiej społecznej duszy, jak publiczność, — możnaby mniemać, że tu chodzi o sprzeniewierzenie się jakimś wielkim poetycznym i artystycznym ideałom; a tu tymczasem cała wina wszystkich na tem

właściwie polega, że za mało kasie przysparzają pieniędzy i cała treść oskarżenia wysnuta jest z koniugacyi słowa „ciągnąć,“ jakgdyby treścią stosunku między teatrem, publicznością i krytyką była jakaś mieszanina moralnego przymusu z kuglarską przynętą.

Nie naszą naturalnie rzeczą jest stawać w tej sprawie na stanowisku kasyerskiem, zastanawiać się nad tem, czy zadaniem teatru rządowego jest gonitwa za dobrymi interesami i rozmyślać na temat co mają począć literatura, sztuka i krytyka, żeby żyć w zgodzie z kasą, żeby ją widzieć sytą, uśmiechniętą i łaskawą? Natomiast nie zawadzi objąć jednym rzutem oka sytuacyę i zdać sobie z tego sprawę, jak ona w tej chwili istotnie wygląda?

Pomyślny stan każdej sceny zawisł niewątpliwie od trzech głównych czynników: od dobrego repertuaru, od dobrych aktorów, którzyby dobrze grali ten repertuar i od publiczności, któraby, smakując w takim repertuarze, zapewniła teatrowi podstawy materyalnego bytu. Harmonię między tymi czynnikami podtrzymywać powinna krytyka, podnosząca wszystko, co teatr wytwarza pięknego, kontrolująca wszystko, co w teatrze jest grzechem przeciwko Pięknu i Sztuce. Jakże się przedstawiają u nas te kardynalne warunki egzystencyi sceny?

Wiemy wszyscy, co trzymać o repertuarze teatru Rozmaitości. Niema go właściwie, bo niema nikogo, ktoby go wytworzyć potrafił. Jest coś, co paroksyzmami daje znaki nie życia, lecz choroby, zwanej *ataxią* reżyserską. Repertuar naszej sceny dramatycznej podobny jest do tabetyka, próbującego siły w nogach i zdolności oryentacyjnej w mózgu. Zamknie oczy i idzie przed siebie, pewny, że stawia kroki w jakimś oznaczonym kierunku; chwiejąc się, zbacza na prawo, to znów skręca na lewo; tu natknie się na Shakespeara, tam potrąci Ibsena, ówdzie o Fredrę zawadzi, gdzieindziej szturgnie młodą literaturę, ale to wszystko z zamkniętemi oczami, z drgawkami w uginających się kolanach. A tymczasem kierunek, który miał być prosto wytkniętym i zmierzać do jakiegoś ideowego celu, został gdzieś na boku: repertuar szedł i idzie zygzakiem, od przypadku do przypadku. Rządzi w nim nie myśl, tylko traf ślepy. I gdybyż w tych rzutach fantastycznych była istotnie fantazya, idąca za popędem literackich czy artystycznych uniesień! Ale niema jej, niema przedewszystkiem odrobiny szczerości. Jest natomiast jakaś wymuszona dla literatury atencya; jest pod osłoną wielkiej estymy lekceważenie, jeżeli nie pogarda; jest wyławianie z niej nazwisk, któreby, jak w pewnych towarzystwach akcyjnych, powagą swoją osłaniały grę zwyżkową na podejrzane wartości.

Tam, gdzie repertuar chodzi po omacku, trudno wymagać od aktorów pracy ożywionej jakąś wspólną dla wszystkich przewodnią ideą. I oni też sprawują swoje obowiązki *vom Fall zu Fall*. Nie czując w kierownictwie planu, widząc je wahającem, chimerycznem, nie umiejącem spożytkować sił rozporządzalnych, lub, co gorsza, marnującem je świadomie za podszeptem prywaty, ograniczają się do pełnienia ściśle tego, co do nich należy. O zapałach, uniesieniach, entuzyazmach, o namiętnem do sztuki zamiłowaniu mowy być nie może; to wszystko wytwarza tylko atmosfera artystyczna, a aktorzy obracać się muszą w atmosferze buchalteryjnej, gdzie oceniają ich produkcye, jak robotę kantorzystów w instytucyi finansowej. Na pracę ich w takich warunkach różni rozmaicie mogą patrzeć i pojedyńcze jej momenty mogą niejednokrotnie wywoływać tu i owdzie odmienne sądy. Na ogół jednak nikt temu zaprzeczyć nie może, że teatr Rozmaitości posiada materyał, który umiejętna ręka urabiaćby mogła i doskonalić, dźwigając ku celom coraz idealniejszym. Idzie tylko właśnie o tę umiejętną rękę.

A publiczność?

Skarżono się na nią chronicznie od niepamiętnych czasów. „Dzisiejsza publiczność teatralna — mówi Köberle w swej książce z przed ćwierć wieku *Die Theaterkrisis* — która równie materyalistycznie myśli, jak prozaicznie czuje, dopomina się na pozór podniosłej sceny, ale stawia przytem takie żądania, przy których scena może tylko na nizkim stać poziomie. Większość wymaga widowisk przyjemnie zmysły łechcących, a próżnych wszelkiej strawy duchowej. Wymaganiom tym odpowiadają operety ze świetną wystawą, w zakresie zaś repertuaru dramatycznego wyroby, odbijające z fotograficzną wiernością nikłe bańki, które unoszą się nad powierzchnią chwili bieżącej. Pod pewnemi względami zmysł krytyczny współczesnej publiczności wydaje się ostrzejszym. Widz w naszych czasach nie poddaje się łatwo, nie posiada wyrozumiałości dawniejszego spektatora i często uśmiecha się z politowaniem na widok tego, co niegdyś do łez wzruszać mogło. Natomiast publiczność dzisiejsza utraciła pierwotną i łatwo zapalną wrażliwość wobec tego, co prawdziwie piękne i wzniosłe, nie zastąpiwszy tej straty estetycznie wykształconem poczuciem. Po wielkich zwłaszcza miastach przejawia się ten znudzony przesyt, odzywa się utyskiwanie na brak w sztuce drażniących przypraw — a widz podobny jest do zepsutego dziecka, które w niczem nie znajduje zadowolenia, właściwie nawet nie wie na czem owo zupełne zadowolenie polegaćby mogło.“

Czy wiele dzisiaj zmian wypadłoby wprowadzić do tej definicyi? Czy nie najłatwiej byłoby uogólnić i rozszerzyć na wszystkie czasy, jako zasadniczą charakterystykę wszelkiej publiczności, znany sarkazm Astolfa:

„Ten prawdę, tamten dowcip, ten koziołki lubi.“

Zapewne — ale gdyby nawet publiczność, jako tłum, pozostawała zawsze i wszędzie jednaką w swej psychologicznej treści, to zmienia się naokoło niej to właśnie, w imię czego wymagają od niej wewnętrznego przekształcenia; zmieniają się pojęcia „prawdziwego piękna i wzniosłości,“ zmienia się istota „estetycznego poczucia“ i może dlatego właśnie pozostaje niezmienionym w odpornych masach objaw, cechujący za czasów Köberlego widza, który „w niczem nie znajduje zadowolenia, — właściwie nawet nie wie na czem owo zupełne zadowolenie polegaćby mogło.“

Nie wie tego i dzisiejszy widz; czy jednak wiele więcej wiedzą ci, którzy za to doń roszczą pretensye i którzy na niego z góry spoglądają, pogardliwie wzruszając ramionami?

Ten widz czy słuchacz stoi dziś przed mnóstwem nierozjaśnionych dotychczas znaków zapytania. Co jest treścią sztuki: czy wierne w dziełach jej odbicie tego, co nas otacza, czy też indywidualna wizya artysty, wywołana w jego duszy światem zewnętrznym? A jeżeli wewnętrzne „widzenia“ twórcy stanowić mają jedyny do tworzenia materyał, to gdzie kryteryum, orzekające o ich artystycznem dostojeństwie, gdzie granica, oddzielająca kreacyę od mistyfikacyi, szczerość od kuglarstwa? „To się czuje“ — odpowiada zwykle nowożytna estetyka; ale podobnie odpowiadali niegdyś ci, co swoją estetykę na tak zwanym „smaku“ budowali, na owym smaku, który podówczas równie mało mówił, jak obecnie niewiele wyraża „czucie“ i który tak samo rozdrabniał się wtedy na różne indywidualne, równouprawnione „smaki,“ jak w tej chwili każde „czucie“ wypowiada się samodzielnie, nawet samowładnie, odmawiając wyższości, przewagi innemu „czuciu.“ *Inde irae.* Dlaczego wyrazem nowożytnej duszy w rzeźbie ma być rozmyślne zaniedbanie plastyki kształtów, wynurzających się mozolnie z kamiennego złomu w grubo ukutym szkicu? Dlaczego na miano niekulturalnego hebesa zarabia każdy, kto z kilku brudnych smug i kleksów, rzuconych na płótno z „królewską“ dla zmysłów wzgardą, nie „wyczuwa“ tego „nastroju,“ którego mu natura nigdy nie dała, a który miał towarzyszyć malarzowi przy farbowaniu owego płótna? Jakim sposobem swawole asymetryi i orgie linij krzywych mają w patrzącym na budynek wywoływać wrażenie harmonii architektonicznej?

Jeżeli takie rozdźwięki występują w sztukach plastycznych — gorzej nierównie jest w teatrze. Rzeźba, architektura, malarstwo operują materyałem martwym, technicznie dla publiczności niedostępnym, stąd względna jeszcze powściągliwość jej sądów i jakiś lęk wobec domniemanej walki ducha artysty z przetwarzaną przezeń materyą. To, co publiczność widzi na scenie, jest wtórnem przeżywaniem tego, co się składa na jej egzystencyę. Poeta posługuje się żywymi ludźmi, do spotęgowania kipiących w niej objawów życia. Czy to będzie życie uczucia, czy myśli — wszystko jedno; dramaturgowi trudniej już wystąpić z „wizyą“ zasuggestyonowaną przez rzeczywistość, bo najbardziej nawet abstrakcyjne jego widzenie musi najniklejszemi bodaj nićmi zaczepić się o żywy ustrój społeczny, w którym widz jest bądź co bądź równie żywym atomem. I wtedy, jak w obrazie o barwę, w rzeźbie o plastykę, w architekturze o linię, w dramacie występuje spór o światopoglądy, wplecione z konieczności w indywidualne wizye poety. Dlaczego pesymizm ma posiadać wyłączny patent na głębię, a optymizm naznaczony jest piętnem płytkości? Dlaczego cierpienie ma być czemś wyższem od radości, skoro oboje wyrosły na jednem drzewie „wiadomości złego i dobrego.“ Jakiem prawem poczucie szczęścia utożsamia się z głupotą? Dlaczego śmierć chce być dostojniejszą od życia, a tragedya artystyczniejszą od komedyi? Skąd wyłączny przywilej tragizmu dla jednostki, walczącej ze społecznością, a aureola bohaterstwa dla „nadludzi,“ którzy w tej walce jaknajwięcej serc podepczą i sumień znieprawią? Dlaczego o losach ludzkości rozstrzygać ma tryumf indywiduum i ujarzmienie społeczeństwa, a zwycięzcą musi być koniecznie poeta albo artysta, wojujący erotycznemi wybuchami? Dlaczego w tych śmiertelnych zapasach miłość uzbraja kobietę w ową żagiew, podpalającą prochy pod ustrojem społecznym, a lirę daje w rękę mężczyźnie, aby jak karykatura Nerona śpiewał pieśń nietzscheańską na zgliszczach i rumowiskach?

Zadużo jest tych „dlaczego,“ żeby się w nich publiczność oryentować mogła; to też nie miejmy do niej zbyt daleko sięgających pretensyj, nie traktujmy jej taniem określeniem „filisterstwa;“ wszak i literatura przedstawia w tej chwili obraz podobnej bezradności. Naturalizm pogrzebano, choć właściwie nie umarł, bo nie wystąpiło po nim nic istotnie nowego, przynajmniej nic takiego coby dłuższą trwałość zapowiadało. Znane prawo przypływu i odpływu wszechrzeczy, z góry przygotowało drogę pisarzom, którzy zluzowali naturalistów na placówkach twórczości; w kierunku łatwym do przewidzenia, uciekali oni od świata

przedmiotowego w pozaświat idej, które o czasie ani przestrzeni nic wiedzieć nie chciały. W tej ucieczce urodził się symbolizm. Ale symbolistów zmogły niebezpieczeństwa drogi. Nie mieli przedewszystkiem takiej szczerości w zamieszkiwanej dziedzinie, jaką prawdziwi naturaliści wykazali wobec realnego środowiska. A potem, symboliści wpatrywali się w ten wyższy świat nie pod kątem ogólnoludzkim, ale w jakiejś wyosobnionej artystycznej perspektywie. Nie brakło im może lotnego ducha, ani estetycznego uzdolnienia — brakowało im indywidualności. Więc może sztuka narodowa? Tej śpiewają dziś wszędzie w kosmopolitycznych knajpach wesołe *De profundis*; echa już i do nas doleciały i nasi kieszonkowi europejczycy próbują także na ten temat kastratowych głosów. Cóż tedy i jak będzie? Jedynie historya daje na to odpowiedź. Jeżeli rzucimy okiem wstecz na dawniejsze nieco dzieje literatury, przekonamy się, że tylko te epoki coś trwałego wydały, wśród których snuje się ciągła nić, łącząca z sobą dzieła literatury i sztuki. W odblaskach tej złotej przędzy przedstawia się potomnym to, co się „duchem czasu“ nazywa. Nie widać dziś tej nici — co bynajmniej nie upoważnia do twierdzenia, że jej zgoła niema. Kryje się może w obłędnym labiryncie twórczych aspiracyj, którego ścieżki nigdy jeszcze tak jak dzisiaj nie były poplątane. Szukać tedy trzeba, szukać, oświetlając co piękne wszędzie, gdzie się je po drodze spotyka.

I to jest rola krytyki.

Rola nie łatwa. Nie łatwo oderwać czyste piękno od ideowego podłoża, na którem niechętnie staje widz i dźwignąć je dla niego na taką wyżynę, gdzie poezya opromienia kreacye zarówno anarchisty Ibsena, jak mistyka Maeterlincka, jak artysty d'Annunzia. Nie łatwo wyrwać publiczność bodaj na chwilę z jej więzi życiowej tak całkowicie, żeby swobodnie poruszać się i oddychać mogła w światach, gdzie odmienne od niej dusze własnemi szybują szlakami. Najtrudniej jednak nagiąć ją do nowożytnej poetyki dramatu, domagającej się wprost od poety, ażeby jego koncepcya życia krążyła jak krew w dziele, które stworzył. „Niema dramatu tam, gdzie nie kipią uczucia, zrodzone ze stosunku Człowieka z Nieskończonością;“ „Tragedya, w której starcia wielkich namiętności nie dadzą się sprowadzić do zasadniczego konfliktu między Indywiduum i Kosmosem, nie jest żadną tragedyą.“ Tak mówi p. Samuel Lubliński w swoim „Bilansie modernizmu“ (*Die Bilanz der Moderne*) — mówi, jak zresztą w całej ciekawej książce, radykalnemi aforyzmami. Można za nim tak daleko nie podążać; to jednak pewna, że stosunek tych dwóch

czynników szuka sobie na scenie form plastycznych, za pomocą których mógłby ziścić najwyższe zadanie sztuki: wyrazić duszę ludzką. Między tą Psychą a duszą publiczności krytyka usiłuje zawsze nawiązać nici duchowe, choćby i wtedy, gdy, jak u Przybyszewskiego, rozmiłowana w Życiu kochanka Amora stoi wobec nas w nagich kształtach i trzymając w ręku pochodnię Śmierci, przy jej świetle wpatruje się z namiętnym tragizmem w klasyczne formy Erosa. Jeżeli takie usiłowania nie często udają się krytyce, to dlatego, że widz z natury w tłumie konserwatywny, nieufnie usposobiony względem dzieł, wytrącających go z osiągniętej życiem równowagi, nie wierzy nadto i teatrowi, gdzie ta literatura do niego przemawia. Nie wierzy — bo nie czuje tam duszy twórczej, zdolnej suggestyą świadomie przez repertuar kierowaną, pobudzić ze sceny do twórczej pracy myśl widza i wnikliwość krytyki. Taka synteza możliwa jest tylko w ognisku sztuki — publiczność zaś ma do czynienia ze sklepikiem, gdzie próbuje się sprzedawać różne towary i oblicza się, który będzie najpopłatniejszy. Na czyją korzyść wypadł ostateczny rachunek — nie wiemy i wyznajemy, że jest nam to zupełnie obojętne, że nas wogóle nic nie obchodzi, czy teatr, któremu brakuje duszy, ma dużo lub mało pieniędzy. Nie mniej zanotować trzeba pogłoski o zamierzonych jakoby a wielce charakterystycznych sposobach wyrównania tego, co w języku wiadomej nam buchalteryi nazywa się „deficytem teatru Rozmaitości.“ W chwili, kiedy przedstawienia operowe z udziałem Bellincioni i Anzelmiego kosztują więcej niż przynoszą, mowa jest podobno o przepołowieniu płac i o zredukowaniu personelu dramatycznego. Słychać nawet, że zmartwychwstała myśl wydzierżawienia teatru Rozmaitości.

II.

Myśl nie nowa. Bardzo niedawno błąkała się po kulisach, szerząc tam popłoch, przerażenie; przed dwudziestu kilku laty zjawiła się w konkretnej formie podania do rządu, podpisanego przez spółkę prywatnych osób. Do jakiego stopnia fakt, że projekt przedsiębiorców mógł być wówczas nadesłany tutejszym sferom oficyalnym, wyrażał intencyę rządu oddania teatru w ręce prywatne,—nie wiemy, tak samo, jak nie mamy danych do stwierdzenia prawdopodobieństwa odzywającej się na nowo pogłoski; ale sama zasada dzierżawy prywatnej, zastosowanej do teatrów rządowych,

jest równie sporną dziś, jak nią była wtedy. Tylko, że w tej chwili wątpliwość na inną może przechyliłaby się stronę.

Sytuacya pod pewnym względem nie zmieniła się wcale. Ćwierć wieku temu, zupełnie tak jak obecnie, stwierdzono, że teatr warszawski potrzebuje reform we wszystkich gałęziach, począwszy od budynku brzydkiego, niewygodnego i w razie pożaru niebezpiecznego; od kostiumów, dekoracyj i rekwizytów, aż do zreorganizowania i podźwignięcia podupadłej opery polskiej, do odżywienia świeżemi siłami dramatu i komedyi,—na co potrzeba było pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Przed dwudziestu kilku laty, podobnie jak teraz, ustanowiono Komisyę do rozpatrzenia stanu rzeczy w teatrze i do zaradzenia jego niedomaganiom. Komisya, jak zwykle, niczemu nie zaradziła; natomiast z zewnątrz zaproponowano heroiczne lekarstwo: dzierżawę na fantastycznych warunkach, bo na podstawie zrzeczenia się przez przedsiębiorcę subwencyi, wtedy właśnie, gdy najwięcej potrzeba było pieniędzy i na zasadzie deklaracyi, że antreprener podejmuje się wyzysk wszystkich gałęzi obu teatrów: to jest dramatu, komedyi, opery i baletu prowadzić na własną rękę. Publiczność cieszyła się; uznawała nawet za rzecz naturalną w ręku przedsiębiorcy to, co za anomalię w ręku rządu uważa — monopol, prawo pobierania szóstej części ze wszelkich widowisk i wyrażała zadowolenie swoje w ogólnikach o wyższości prywatnej inicyatywy, w których bardzo dobre i postępowe życzenia plątały się z nieznajomością warunków, potrzebnych do urzeczywistnienia takich desideratów.

Piszący te słowa nie stanął wówczas w rzędzie ucieszonych i zadowolonych; przeciwnie, z całych sił zaprotestował gdzieindziej przeciwko takiej kombinacyi, a nie brakło mu do tego protestu argumentów, zdobytych badaniem miejscowych stosunków i popartych przykładami obcych krajów, przekonywającemi o niezbitym pewniku: że żaden teatr, dźwigający na budżecie swoim operę i balet, które wszędzie są rzeczami zbytku, *jeżeli tylko ma być prowadzony odpowiednio do godności pierwszorzędnej sceny*, nie tylko na zyski liczyć nie może, ale musi mieć w pogotowiu źródło do pokrywania corocznych niedoborów. Jestto prawda tak dotąd niezachwiana, że każdy pierwszorzędny teatr w stolicach europejskich jest albo rządowym, albo przez rząd subwencyonowanym i że przy wzrastających ciągle wymaganiach publiczności, subwencye rządowe okazują się jeszcze niedostatecznemi, tam nawet, gdzie teatr mniej od warszawskiego ponosi ciężarów. Cóż dopiero mówić o teatrach, uprawiających najkosztowniejsze formy

widowisk: operę i balet? Ale nietylko te gałęzie sztuki wymagają wyłożenia nieprocentujących kapitałów. W repertuarze dramatycznym każdej sceny, dbającej o swoją godność, znaleźć się muszą dzieła, które, nie przynosząc teatrowi materyalnych zysków, utrzymują go na pewnej literackiej i artystycznej wysokości. Wiele naprzykład dzieł Szekspira udaje się często jedynie dzięki suggestyi krytyki lub pod nęcącem działaniem gry znakomitych artystów; w zwykłych warunkach publiczność woli to, co ją łatwiej zabawi albo drastyczniej wstrząśnie. A jednak któryż poważny teatr ośmieli się ze względów finansowych wykreślić Szekspira z repertuaru? Otóż na to wszystko ośmieli się prywatny przedsiębiorca — i w tych właśnie razach rząd ma nad nim wyższość administratora, który o zyskach nie myśli, a na straty co rok jest przygotowany.

Tylko więc teatr rządowy lub przez rząd subwencyonowany sprostać może wielkim wymaganiom publiczności; w takim tylko teatrze, przy właściwym kierunku, spotkać się można z dobrą operą, z żywotnym repertuarem dramatyczno-komicznym, z talentami, które są wzorem i szkołą dla poczynających, z dążeniem wreszcie do wyższych celów i zadań sztuki, nieskrępowanem żadnemi względami materyalnemi. Jeżeli teatr rządowy czy też przez rząd subwencyonowany oddala się, tak jak u nas, od tych dążeń i celów — to tylko dowodzi, że niezbędne są w nim reformy, ale nie osłabia znaczenia teatrów rządowych lub subwencyonowanych wogóle, w żadnym zaś razie nie upoważnia do wniosku, że reformatorem może być każdy prywatny przedsiębiorca. Bo rozważmy jakie mogą być tytuły do pełnienia takiej misyi przedsiębiorcy X., najlepszemi nawet ożywionego chęciami. Przedewszystkiem, jakiekolwiek byłyby jego zasoby materyalne, jakiekolwiek poza nim kryłyby się kapitały (jeżeli jest osobą podstawioną), nigdy przedsiębiorca prywatny nie jest w możności stanąć na stanowisku właściciela, który nie troszczy się o wydatki, a w razie potrzeby chce i umie być rozrzutnym. Pobudki do protegowania teatru różne bywają: Hebert lubił powtarzać, że scenę trzeba podtrzymywać „chociaż jest siedliskiem kontrrewolucyi;“ Napoleon I uważał teatr za tak ważną instytucyę, że nie wahał się w Moskwie zajmować reformą komedyi francuzkiej; Napoleon III rzucał Paryżowi *panem et circenses*; rządy niemieckie wyznawały zasadę wyszlachetniających wpływów sceny; rzeczpospolita francuzka chętnie w niej widzi propagatorkę ideałów polityczno-społecznych; wszystkie rządy dla tych lub owych powodów nie myślą o zarobku.

Dla przedsiębiorcy prywatnego najważniejszą pobudką do zajęcia się teatrem musi być — zysk.

I nie można za to do nikogo mieć pretensyi. Nikt dziś nie poświęci swego czasu, nie zaryzykuje kapitałów własnych lub cudzych dla platonicznej nadziei podniesienia sceny krajowej i strzeżenia godności sztuki; trzeba się z tem pogodzić i brać rzeczy tak, jak są, nie tak, jakbyśmy je mieć pragnęli. Idzie więc o to, czy zysk, jeżeli już trzeba go przyjąć za najsilniejszą a prawdopodobnie jedyną sprężynę działalności przedsiębiorcy, może być zarazem podnietą do dobrego prowadzenia sceny. Stronnicy prywatnej inicyatywy w sprawach teatralnych twierdzili wówczas, że tak; my nie wahaliśmy się wypowiedzieć zdanie wręcz przeciwne, wiedząc dobrze, że pełna kasa jest interesem przedsiębiorcy, a interes kasy często, bardzo często nie ma nic wspólnego z interesem sztuki i że ilekroć sztukę poświęcić trzeba dla kasy, prywatny przedsiębiorca uczyni to zawsze.

Zachodzi bowiem między sceną i masą publiczności wzajemne działanie, skutkiem którego publiczność nie kierowana, sama kierować zaczyna i despotycznie narzuca teatrowi smak swój zepsuty, będący zawsze owocem finansowego kierunku sceny; słowem, przedsiębiorca wytwarza publiczność dla swego teatru, który znów musi być takim, jakim go chce mieć wyhodowana w ten sposób publiczność. Nie pomogą tu żadne artystyczno-literackie komitety z najpiękniejszemi dążeniami; dążenia te bowiem uwzględniane będą tylko do chwili, kiedy staną w kolizyi z interesem przedsiębiorcy. Począwszy od tego punktu, — teatr stać się musi aferą, a kwestya kierunku zamknie się w dylemacie: bankructwo sztuki albo bankructwo przedsiębiorcy. Co przedsiębiorca wybierze, przewidzieć nietrudno.

Tak stała kwestya w 1880 roku i takie przy rozpatrywaniu jej musiały snuć się wywody. Dziś przedstawia się nieco inaczej i odmienne też nastręcza motywy krytyczne. Przedewszystkiem, w dzisiejszym stanie rzeczy zaciera się różnica między urzędową administracyą a przedsiębiorstwem prywatnem. Jeżeli antreprener miałby na pierwszym planie pieniądze, to nie na dalszym ma je też dyrekcya obecna. Inne jest zapewne źródło tych finansowych aspiracyj. Wiadomo dobrze, że nie chodzi tu o umieszczanie zysków w papierach procentowych i o zamykanie ich w szafach ogniotrwałych; nikomu też nie jest tajnem, że są długi, które się pragnie za jakąbądź cenę zaspokajać. Ale nie zastanawiając się nawet nad przyczynami tej krytycznej sytuacyi materyalnej, trudno nie zaznaczyć, że teatrowi to wszystko jedno dla czego wymagają

od niego więcej pieniędzy aniżeli zarobić może i przy tych wymaganiach dyrekcya jest dlań niczem więcej, tylko zwyczajnym, żądnym zysków antreprenerem, co zresztą stwierdzałaby i sama pogłoska o dzierżawie, która, w razie sprawdzenia, byłaby tylko sposobem zdobycia sobie stałego rocznego dochodu. Jeżeli teraz zastanowimy się nad treścią owej pogłoski, według której dzierżawa objęłaby tylko teatr Rozmaitości, a zatem uwolniłaby dzierżawcę od takich ciężarów nad siły, jak opera i balet, to nastręcza się pytanie: czy wobec zupełnego zobojętnienia dyrekcyi na wyższe zadania literatury i sztuki i na poziom artystyczny teatru Rozmaitości i wobec zapewnionych dzierżawcy podstaw materyalnych tego teatru, z dochodów wcale pokaźnych, które np. w 1903 r. doszły do 50,000 rubli, dramat i komedya nie zyskałyby na prywatnem kierownictwie artystycznem i finansowem? Kapitały może byłyby śmielsze, nie czując nad sobą groźby nadmiernych wydatków na utrzymanie zbytkownych gałęzi teatru; do użycia ich rozumnie i artystycznie na cele sztuki, możeby się znalazła osobistość z odpowiednią kulturą; i możeby się w końcu pokazało, że teatr dramatyczny, dobrze prowadzony, jest u nas dobrym interesem?

Jakie szanse dorobienia się majątku na naszym teatrze może mieć dzierżawca; czy możliwem jest, aby je rząd bezinteresownie ułatwiał, oddając mu w ręce wszystko: gmach, inwentarz w dekoracyach, kostiumach, rekwizytach i bibliotece — nad tem obecnie rozwodzić się nie będziemy, bo nas los prywatnej kieszeni mało obchodzi, a na sercu mamy losy naszej sceny, losy sztuki polskiej. To też mimo wszystko, stawiamy jedno jeszcze zapytanie: czy z obecnego w naszym teatrze położenia niema innego wyjścia, prócz utrzymania opłakanego *status quo* z niefortunnym „reżyserem głównym“ lub wplątanie sceny dramatycznej w ryzykowną bądź co bądź kombinacyę? czy nie pozostaje zawsze droga reform wewnętrznych, zmian w kierownictwie dramatu i komedyi, o których konieczności nikt już chyba wątpić dziś nie może?

Jakiej natury mają być owe reformy, o tem w swoim czasie pisaliśmy obszernie w „Bibliotece;“ zajmuje się tem zresztą Komisya, której działań dziś jeszcze przesądzać nie można. Co do jednej tylko reformy radykalnej, ale koniecznej uważamy za stosowne zdanie nasze z silniejszym wyrazić naciskiem. Cokolwiek stanie się z pogłoską czy też z projektem objęcia teatru Rozmaitości przez jakichbądź prywatnych przedsiębiorców, sądzimy, że w interesie tego teatru leży zniesienie monopolu rządowego na widowiska sceniczne i wydanie koncesyi na teatr, prowadzony siłami prywatnemi. Monopol był, według naszego widzenia rzeczy, za-

bójstwem teatru warszawskiego. Z braku wszelkiego współzawodnictwa wyrodził się w nim właśnie ten zgubny duch ospałego, apatycznego konserwatyzmu, to niezachwiane przeświadczenie o niedoścignionej doskonałości, przy którem praca, rozwój, dążenie do jakichbądź artystycznych ideałów są tylko wyjątkowemi objawami.

Zniesienie monopolu zbawiennem wstrząśnieniem wyrwać musi z odrętwienia cały organizm i obudzić do zapasów rywalizacyi. Stanie się wtedy zadość i wyższym zadaniom sztuki i swobodzie inicyatywy prywatnej, która również na współzawodnictwo oglądać się będzie, a mogąc sobie wybrać szczuplejsze pole działalności, łatwiej interesy sztuki z interesami własnemi pogodzić zdoła.

Słowem, ideałem stosunków teatralnych na obecną chwilę byłoby: żeby oba istniejące teatry warszawskie *z gruntu zreformowane* pozostały nadal w zawiadywaniu dyrekcyi rządowej i żeby oprócz nich stanął trzeci teatr z inicyatywy prywatnej. Tym sposobem przedsiębiorca prywatny stałby się nie dzierżawcą monopolu, jak arendarz akcyzny, nie *zastępcą* rządu, ale jego *współzawodnikiem*, co zupełnie zmienia postać rzeczy, inaczej normuje prawa i obowiązki współzawodnika, a w rezultacie scenie i sztuce pożytku przysparza.

III.

Dalekie rzeczy — a tu niedawno na scenie teatru Rozmaitości ukazały się „Upiory.“ Wiemy, jak szerokie filozoficzno-społeczne znaczenie zamknął Ibsen w tytule swego „dramatu rodzinnego.“ Materyalna zgnilizna, przekazywana z pokolenia na pokolenie, najczęściej jako przyczyna albo skutek zgnilizny moralnej; przeszłość mniej więcej zatruta, którą każdy człowiek dziedziczy, a mało kto otrząsnąć się z niej może; przesądy najróżniejsze, przeżyte zapatrywania, prawdy z obiegu wycofane, zamarłe poglądy, stare wierzenia; to, co kłamstwu byt swój zawdzięcza, co nie jest do życia uprawnionem, bo nie pochodzi ze światła, z radości i życie w zarodku zabija — wszystko mieścić się ma w tem określeniu „upiory.“ Czy jednak do tej bardzo rozciągliwej definicyi nie wypadłoby dziś wcisnąć „upiorów“ literackich? Taką wątpliwość nastręcza w tej chwili przedstawienie najgłośniejszej niegdyś ze sztuk norweskiego poety.

Dziwne były losy tego dzieła. Narodzinom jego towarzyszyły krzyki oburzenia, wrzaskliwe protesty, klątwy patetyczne, które mu długo nie pozwalały ze stronic książki zstąpić na deski teatralne; kiedy zaś teatr otworzył „Upiorom“ podwoje, pokazało się, że dramat Ibsena prześcignęła już spełniająca się w umysłowości europejskiej ewolucya. Coś się w nim przeżyło i mimowoli przychodziły na myśl słowa bohatera „Wroga ludu“ o krótkiem życiu prawd, które „po szesnastu latach stają się niechybnie kłamstwami.“ Rozgłośne dzieło powstało w dobie, kiedy atmosfera literacka przepełniona była naturalistycznemi symbolami, wytwarzanemi przy pomocy biologii i fizyologii. Teorya Darwina o rozwoju wraz ze społecznem przystosowaniem „walki o byt“ wtargnęła zwycięzko do sztuki w jakiejś mytologicznej postaci. Hypoteza dziedziczności chorób i cech charakterowych wystąpiła w grozie mistycznego tragizmu. Na miejscu greckiego *ananke*, ścigającego z dopuszczenia bogów bohaterów za winy przez nich niepopełnione, ale tkwiące w rodzie, do którego należeli (Edyp, Thyestes), zawisła nad nimi fatalność instynktów, popędów, skłonności odziedziczonych po przodkach. Dramat rozwijał się według cieszącej się sympatyą naturalistów poetyki starożytnej, przyrządzonej oczywiście na sposób nowoczesny. Powrócił na scenę Arystoteles poprawiony przez autora „Pochodzenia gatunków.“ Tymczasem przeszło więcej niż szesnaście lat doktora Stockmanna — i zarówno nauka, jak literatura na widok tego wszystkiego szepcą, spoglądając na siebie: „upiory,“ a widz śmielszej natury odważa się nawet na zapytanie: dlaczego za nieszczęście młodego Alwinga ma być odpowiedzialny wyłącznie stary Alwing, skoro stary musiał swoje skłonności odziedziczyć po jeszcze starszym i tak dalej wstecz, po falach odruchów deterministycznych — z czego wynikłoby, że najwinniejszą bohaterką dramatu była płocha protoplazma?

Nie światopogląd jednak rozstrzyga tu o dziele poety; trzeba go przyjąć takim, jak jest, zgodzić się na ową mytologię determinizmu, jak się godzimy na fatum tragedyi starożytnej, z wszelką gotowością uznania w nim kosmicznej potęgi, kierującej losami ludzkiemi, a wtedy ludzie wyrosną w naszych oczach do niespodzianej wysokości. Samotny, zatopiony w sobie Norwegczyk był mistrzem w suggestyjnej sztuce narzucania czytelnikom i widzom wrażeń walącego się świata, kiedy właściwie przewracał się wobec nich małomieszczański domek z kart. Czy to chodziło o zbankrutowanego przemysłowca, który odsiedział karę w więzieniu, czy o rozcyganionego prywatdocenta albo o nie-

szczęśliwie za mąż wydane kobiety, zawsze „mag północy“ umiał budzić przerażenie, jakby przed zbliżającym się dniem sądu ostatecznego. „Tworzyć — to znaczy sprawować sądy“ — tak brzmiało *credo* Ibsena. I sprawował też sąd nad drobnemi filistrami, których właśnie gniew sędziego symbolicznie wyolbrzymiał.

Ten gniew miewał swoje fazy, miewał przypływy i odpływy. Kiedy Ibsen pisał „Upiorów“ wierzył jeszcze w wyzwalającą moc prawdy. Brzmiały mu jeszcze w ustach słowa Liny Hessel: „duch prawdy i wolności — to są podpory społeczeństwa.“ Ale świat nie był już wyłącznie dla poety przykładem moralnej arytmetyki; dostrzegał bowiem w życiu człowieka ukryte działanie potęg natury, w której ręku wola ludzka była wątłą, łatwo psującą się zabawką. Więc i kłamstwo życiowe wydało mu się nietyle osobistą winą jednostki, ile raczej niepokonaną fatalnością, sprawiającą, że z kłamstwa kłamstwo rodzić się musi. Za kłamstwem małżeńskiem, w którem żyła pani Alwing, idzie kłamstwo macierzyńskie, popychające syna do zguby, zamiast go uratować.

Od szczegółowego powtarzania dróg życiowych, po których te kłamstwa śledził nieubłagany badacz, uwalnia nas drukowane na tem miejscu przed laty studyum o twórczości Ibsena; przypomnimy tylko, że chory na rozmiękczenie mózgu Oswald Alwing, jest upiorem własnego ojca, którego grzechy, nałogi i niemoce odziedziczył, będąc owocem rozgorzałych zmysłów życiodawcy i ślepej rezygnacyi rodzicielki; upiorem swej matki jest pokojówka Regina, spadkobierczyni jej lekkomyślności i zepsucia. Gdy dodamy, że ojcem Reginy był stary szambelan Alwing, który rozpusty swojej nie wahał się uprawiać w domu, gdzie sobie również usługującą dziewczynę upodobał, o czem wie dokładnie pani Alwing, mamy rodzinną sytuacyę dramatu między „upiorami.“ Dochodzi ona do kulminacyjnego punktu w scenie, kiedy pani Alwing, lękająca się o zmysły syna, ulega jego naleganiom i zasiadłszy przy jednym stole z blizkim już obłędu jedynakiem w towarzystwie Reginy, którą nieszczęśliwy chce mieć za kochankę, — bo ona jest „radością życiową,“ a zatem jedynym jego ratunkiem — musi patrzeć na rosnącą pod działaniem szampana kazirodczą żądzę syna. Katastrofę sprowadza wybuchające u Oswalda pomięszanie zmysłów i straszne wahanie się pani Alwing: czy spełnić daną synowi przed objawieniem się szaleństwa obietnicę, że mu nie pozwoli żyć w stanie zezwierzęcenia i własną ręką poda zbawczą truciznę.

Jakim sposobem do tego przyszło?

Syn pani Alwing, który w Paryżu uprawiał był malarstwo, cierpi na chorobę mlecza i mógłby powiedzieć tak samo, jak doktór Rank w „Norze:“

— Cała historya jest istotnie warta śmiechu. Biedna moja niewinna kolumna pacierzowa musi pokutować za porucznikowskie uciechy mego ojca!

Ale Oswald o niczem nie wie — matka bowiem taiła przed nim ojcowskie orgie; sądzi więc, że sam jest przyczyną swej niemocy i wyrzucając sobie to ustawicznie, pogorsza jeszcze swój stan. Powróciwszy do domu jako złamany już młodzieniec, widzi nęcący rozkwit Reginy i roznamiętnia się do dziewczęcia, nie wiedząc naturalnie, że pożąda własnej siostry. Przychodzi zatem chwila, kiedy trzeba nieodzownie odsłonić trwożliwie dotąd strzeżoną tajemnicę. Rozczarowanie jest dla Oswalda jednem cierpieniem więcej; Regina odwraca się niemiłosiernie od chorego brata i nawet ta resztka życiowego kłamstwa pani Alwing,—niezabezpieczony od ognia przytułek imienia szambelana Alwinga, wybudowany przez żonę dla uświęcenia w oczach tłumów reputacyi podrobionego dobroczyńcy — ginie w płomieniach. Wszystko runęło, a na gruzach życia podkopanego kłamstwem, w ostatnim paroksyzmie obłędu, pada zdziecinniały Oswald w objęcia nieszczęśliwej matki.

Wśród tej nawałnicy rozpętanych sił natury słychać ostrzegający głos apostoła prawdy; tylko ten apostoł nie ma już pretensyi do opanowania życia przemocą; poprzestaje na przedstawianiu go w świetle przestrogi. I kłamstwo życiowe ma też teraz inną zgoła fizyognomię. Zapewne, pani Alwing kłamie również świadomie, jak konsul Bernick w „Podporach społeczeństwa;“ kłamie jednak nie dla pokrycia własnych grzechów, lecz dla zatajenia cudzej winy, nie z marnych materyalnych pobudek, w celu zdobycia pieniędzy, znaczenia, godności, ale z miłości macierzyńskiej, ratując synowi czystość ojcowskiego imienia. Gdy zaś głębiej zstąpimy do duszy matki, kłamstwo jej inaczej jeszcze nam się przedstawi. Pani Alwing kłamie dlatego, że cała jej istota otrząsa się na myśl o przeżytej przeszłości, którą pragnęłaby daleko od siebie odrzucić, zniszczyć do szczętu; w gruncie rzeczy zatem nieszczęśliwa kobieta kłamie z miłości dla prawdy, pragnie kłamstwo pokonać kłamstwem, ażeby w przyszłości pod hasłem prawdy nowe rozpocząć życie. I oto zamiast zwycięztwa przyspiesza tylko wtargnięcie fatalności, która na synu mści grzechy ojcowskie i jej własne życie czyni podobnem do bezsłonecznego pustkowia. Oba bieguny, między któremi bujają się

wahadłowo czyny ludzkie nad otchłanią wieczności, nagle się zespoliły. Dobro i Zło, Życie i Śmierć, zwykle światem całym przedzielone, stapiają się w jedno. Czy wobec tego można tragiczny punkt ciężkości dramatu przenieść z chorego waryata na stosunek pani Alwing, przedstawicielki myśli, oswobodzonej z przesądów, do pastora Mandersa, reprezentującego, jak zwykle u Ibsena, świat konwencyonalnych obowiązków, krępujących rozwój jednostki? Pani Alwing jest Norą, która nie opuściła męża. Wprawdzie, przekonawszy się, że ją los związał z niegodziwcem, chciała zerwać pęta; ale dzięki zasadom kochanego przez nią skrycie pastora, zostaje w jarzmie wstrętnych dla siebie powinności. Wtedy pierwsze tego związku kłamstwo rozłącza matkę z synem, chowanym rozmyślnie zdala od skandalów domowych i wikła ją w laokonowe sploty winy tragicznej, rujnującej szczęście całego jej życia. Wszystko to, jako rzeczy minione, wychodzi na jaw w kapitalnej rozmowie pani Alwing z Mandersem, wiążącej przeszłość z teraźniejszością i streszczającej w dwóch zapytaniach ten dramat duszy, zbuntowanej przeciw rygorom społecznym.

— A co będzie z prawdą? — pyta pani Alwing.

— A co będzie z ideałami? — odpiera to zagadnienie pastor Manders.

— A gdzie jest prawda, gdzie jest ideał? — mógłby dorzucić pytanie widz.

I miałby do tego prawo.

Wszak usłyszał z ust doktora Rellinga w „Dzikiej kaczce“ znamienne słowa:

— Nie używaj że Pan cudzoziemskiego wyrazu „ideał,“ przecie mamy na to ojczysty rzeczownik „kłamstwo.“

Wszakże ten sam doktór Relling nazywa fanatyka prawdy Gregersa „chorym na ostrą gorączkę prawości,“ a różnym prawdom, po których szczeblach jednostka dąży do coraz doskonalszego rozwoju, doktór Stockman krótkie, jak widzieliśmy, wyznacza życie.

W te rozmyślania jednak widz długo zatapiać się nie będzie. Przed oczyma jego roztoczył dekorator widok, przemawiający trochę smutną, trochę dziką pięknością. Na tle skalistego krajobrazu północnej Norwegii widać w melancholijnym spokoju pogrążoną wielką nagą salę; w głębi oszklony ogród zimowy, a za nim przez deszczowe smugi majaczą kontury zasępionego fiordu. Wśród bladego światła, sączącego się przez szarą oponę słoty, rysują się sceny, z których ma się rozwinąć dramat. Widz patrzy, jak gdyby oglądał tkaninę wypłowiałego kobierca, gdy nagle

uczuł, że go coś za gardło chwyciło, że mu trudniej oddychać, że jakiś ciężar legł na jego piersiach. To z nikłego tła gobelinu odczepiła się jedna, druga, trzecia postać i po scenie zaczynają chodzić „upiory,“ każdy ze swoją *idée fixe*, każdy ze swoim *leitmotiwem*, a wszystkie w atmosferze coraz duszniejszej hypnotyzują się między sobą, hypnotyzując zarazem widza, któremu coraz trwożniej, coraz straszniej i który w końcu, gdy go całego ten *trans* ogarnie, poddaje się przerażeniu, pod ciężarem tłoczącej go zmory. Wtedy to wstrząsa nim bohater, dopominający się od matki, żeby mu oddała siostrę na kochankę; wtedy przykuwają go szpitalne efekty, panującej nad całą akcyą *paralisis progressiva*; wtedy wydaje mu się, że niewiele we współczesnej literaturze znajdzie się równie tragicznych postaci, jak matka nieszczęśliwego Oswalda.

Mistrz suggestyi zwyciężył.

Do zwycięztwa — zaznaczamy to skwapliwie — dopomogli mu u nas artyści. Pani Alwing znalazła w pannie Barszczewskiej pełną dramatycznej siły przedstawicielkę, pan Żelazowski wystudyował pracowicie patologiczną figurę Oswalda, pan Rapacki jako pastor miał dużo prostoty, ale zamiast naiwności życiowej, zbyt często akcentował dobroduszność, co nie zawsze na jedno wychodzi. Dobrym Enstrandem jest p. Szobert.

IV.

Nie wychodźmy z atmosfery dramatycznej nie zajrzawszy do „Małego domku“ który wystawił pan Tadeusz Rittner na scenie teatru Rozmaitości. Odwiedziny mogą być tem bardziej interesujące że autor „Maszyny,“ wprowadzając nas pod dach, gdzie ze spokojnego nieba mieszczańskiego zacisza spada piorun i druzgocze życie całej rodziny, tworzy do pewnego stopnia Ibsenowską metodę. Kontrasty tła i obrazu odwrotnie tu wprawdzie działają. Posępny Norwegczyk lubi dekoracyę zamglonych fiordów, od której odbijają podrobioną jasnością pozory szczęścia domowego; p. Rittner przeciwstawia słoneczny, umajony kwiatami krajobraz, szarzyznie filisterskiej wegetacyi, na którą nieznacznie, wśród akcyi prawie żadnej, występują krwawe plamy. Tragedya „W małym domku“ kładzie trupem w akcie drugim niewierną żonę, w trzecim męża, jej zabójcę; nie jest to jednak zwyczajny dramat wiarołomstwa; autor bowiem potrafił przedstawić stary temat w świetle niezwy-

kłej psychologii obojga bohaterów. Czy psychologia, przyznana heroinie nie jest dla niej zbyt wielkim zaszczytem, czy nie wystarczyłaby do jej charakterystyki fizyologia,—to się może później pokaże, kiedy panią „małego domku“ inna zagra aktorka; dziś trzeba się domyślać różnych intencyj autora i drogą tych domysłów śledzić duszę czy też temperament bohaterki.

Małżeństwo mieszkańców „małego domku“ skojarzyło się w warunkach trochę anormalnych. On, jako student mieszkał na stancyi u wdowy, której córka lubiła studentów. Wdowa niedość pilnowała dzieci i stało się co się stać musiało: trzeba było związać ręce stułą *in extremis*. Szczęściem student nie cofnął swojej ręki: pierwszy synek miał jeszcze czas urodzić się z nazwiskiem a przyjście na świat następnych dzieci, określiło już ostatecznie stanowisko ich matki. Pilnowała ogniska domowego... w kuchni, skąd wraz ze służącą kierowała edukacyą swego drobiazgu. On tymczasem, jako lekarz, zabiegał około praktyki w prowincjonalnem miasteczku; między wizytą u chorego a dyżurem w szpitalu—pogłaskał po głowie dziecko, matkę z niemiecka wziął pod brodę, śmiejąc się z jej roztarganej głowy i zaniedbanej tualety i dreptał dalej w zawodowym kieracie. Zdawało się więc obojgu że tak być powinno: jej—bo przecież uwodziciel mógł uwiedzioną rzucić na wstyd i poniewierkę, zamiast się z nią ożenić; jemu—bo przecież spełnił heroicznie obwiązek uczciwego człowieka, i pełni go ciągle, pracując na żonę idzieci. I takby im się zdawało dalej, gdyby nie Nemezis w postaci inżyniera, który zjechawszy na czasowy pobyt do miasteczka, gdzie ma budować most, najmuje pokój od doktorów. Postawiona w tej samej jak przed małżeństwem sytuacji, pani doktorowa, podobnie jak wówczas, nie ma sił wyjść z niej obronną ręką. Byliż-by sublokatorowie specyalną jej słabością? a może padanie im w objęcia—to jakiś organiczny *tic* wątłego jej ustroju? Bynajmniej. Tylko jeżeli doktór ze swojem filisterskiem zadowoleniem z siebie, które mu życie wypełnia, ma nieco pokrewieństwa z Helmersem z „Lalki,“ to żona jego nie jest ową „lalką“ kryjącą w swej duchowej treści materyał na człowieka. To wątła roślinka, kwitnąca wtedy tylko kiedy ją słońce ogrzeje. Gdyby była znalazła to ciepło w domu, zakwitłaby dla męża; nie znalazłszy, zwróci się tam, gdzie słońce zaświeci; i kwiat zerwie kto inny. „Królowo!“ powiedział do niej inżynier, obrzucając zalęknioną kobietę spojrzeniem kabotyna,—i ona to spojrzenie wchłonęła zdziwionemi oczyma, jak promień ożywczy; a kiedy zasłona spada, niewątpimy już ani na chwilę że podczas międzyaktu stanie się znów, co się stać musiało, i że ta powracająca fala pomści na dzisiejszym mężu

grzech dawnego kochanka. Przygotowane jest do tego wszystko z niepospolitym darem spostrzegawczym. Mąż, bezwiedny samolub, regulujący wszystkie tempa życia według mechanizmu społecznego; żona bezwiednie zmysłowa istotka, której serce dostraja się w tętnach do rytmów natury i „ten trzeci“ kwaterujący się ze świadomym cynizmem do niezajętego kąta w trójkącie—wszyscy żyją w doskonałej plastyce scenicznej, charakteryzującej zarówno atmosferę umysłową i moralną „małego domku,“ jak ludzi z niej wytworzonych i nawzajem odtwarzających odpowiednie tej atmosferze żywe środowisko. Pokazuje się jednak że i w twórczości łatwiej jest przyrzec niż dotrzymać, — bo cały drugi akt dziwnie mało uzasadnia przygotowania pierwszego.

O ile odgadnąć można zacierane ustawicznie złą grą pani Przybyłko intencye autora, zamierzył p. Rittner umotywować czyny owładniętej namiętnością doktorowej niepoczytalnością kobiety-dziecka. Zadanie niezwykle trudne, wymagające subtelności wirtuoza, któryby grał na samych psychologicznych półtonach, oddzielających bierną niepoczytalność duszy gnuśnej, bezczynnej, niezdolnej nawet do odruchów etycznych, od zupełnego zaniku zmysłu moralnego w naturze zepsutej i wojującej swojem zepsuciem. Głównym czynnikiem takiej psychologii musi być naiwność dziecka; a jak tu obudzić w widzu wiarę w tę naiwność u kobiety, która sama rodziła dzieci w warunkach, rzucających z konieczności jakieś światło etyczne na wszystko, co te narodziny poprzedziło i która przy powrocie pewnych sytuacyj musiała, bodaj bezwiednie, spojrzeć na nie pod kątem życiowego doświadczenia. Naiwność mogła towarzyszyć przygodzie ze studentem; w awanturze z inżynierem jużby ją inaczej nazwać wypadło. A jednak autor unikał trwożliwie rysów, zbliżających szczerość do cynizmu i zdawał się raczej marzyć pod wpływem Ibsena o jakiejś istocie, uosabiającej „radość życia,“ wchłaniającej w siebie z tego życia jedynie słoneczne blaski, jasne barwy, harmonijne dźwięki i odurzające wonie. Tylko że Ibsen kazał takim mózgowym kreacyom żyć poza wszelkiemi stosunkami społecznemi i silny ich indywidualizm opierał właśnie na świadomej tych stosunków negacyi; tymczasem p. Rittner wkłada na swoją bohaterkę pęta społeczne niemal niewolnicze, a w nieświadomości zarówno tych więzów, jak siły, która je zrywa, stara się wdzięk uwydatnić. Jedno z drugiem kłóci się w fizyognomii kobiety-dziecka i odbiera jej wszelką wyrazistość, zwłaszcza przy interpretacyi fałszywej i nad wyraz pospolitej. Pan Rittner chciał mieć kwiatek, swobodnie, dziko rosnący; pani Przybyłko zrobiła z roślinki... zwierzątko.

Mąci się również rysunek bohatera pod koniec drugiego aktu. Mąż zabijający z zazdrości żonę w której cenił przedewszystkiem... kucharkę, jest tu bardzo jaskrawą niespodzianką. Prawda, że to bezmyślne stworzonko, rzucające przez cały akt w histerycznym śmiechu echa przeżywanych rozkoszy i niemal wieszające się na szyi kochankowi wobec męża i jego gości, może do passyi doprowadzić najobojętniejszego widza, a cóż dopiero człowieka, przekonanego, że wstępując niegdyś na stopnie ołtarza z matką swego dziecka spełnił czyn bohaterski; ale przy danych psychologicznych, skombinowanych w akcie poprzednim, ta passya objawiłaby się prawdopodobnie w innej formie, w każdym razie bez maski Otella, równie fałszywie wykrzywiającej twarz doktora, jak fałszywie rysują się i brzmią wszystkie sceny, które poprzedzają samą katastrofę.

Ma jednak ta katastrofa jedną, istotnie interesującą stronę: odsłania nam w ostatnim akcie głąb duszy doktora i wysuwa go na pierwszy plan, w charakterze głównego bohatera dramatu. Uniewinniony przez sędziów przysięgłych, rozgrzeszających krwawy czyn spełniony „w afekcie,“ doktór wraca po pewnym czasie z zagranicy na miejsce przestępstwa, wraca nie jako zbrodniarz, trawiony żądzą znieprawionej duszy, przeżywającej powtórnie doznane wrażenia, ale jako człowiek chory, z raną w sercu, której sprawiedliwość ludzka zabliźnić nie zdołała. Myśl i uczucie robią co do wyroku tej sprawiedliwości ustawiczne zastrzeżenia; gdy zaś uniewinniony winowajca dostrzegł w otaczającej go próżni te same restrykcye, czynione przez ludzi, którzy mu dali absolucyę, pozostaje mu tylko na krawędzi moralnej, gdzie kończy się powaga ułomnej sprawiedliwości ludzkiej „stać się swoim własnym sędzią.“ Skazuje się więc sam na śmierć za zabicie „niepoczytalnego dziecka.“ Do rozjaśnienia znękanego sumienia użył p. Rittner nietylko błyskawicy rewolwerowego strzału; pada bowiem na nie światło w chwili wyszlachetniającego procesu z dwóch naraz stron: od naiwnej i dla tego może głębokiej duszy nauczyciela szkółki elementarnej, figury potrochu Ibsenowskiej, żyjącej nie poza lecz ponad ustrojem społecznym, na wyżynach, dokąd dźwignęły go uczuciowe wizye wewnętrznych, idealnych światów; i od praktycznej filozofii starego sądownika, któremu życie wykazało względność sądów ludzkich. Prześwietlona temi dwoma promieniami dusza bohatera przedstawia się w perspektywie psychologicznej, wydobywającej z postaci plastykę całego człowieka; i gdyby nie zbyteczne nieraz w tej plastyce rysy nowelistycznej drobiazgowości, gdyby nie rozpędy felietonisty, wtrącającego na-

wet do psychologii efektowne literackie nawiasy, pierwszy i trzeci akt „Małego domku“ byłyby wytworem dojrzałego dramatycznego talentu.

Z wyjątkiem Pani Przybyłko, grającej rolę Maryni sposobami jaskrawo aktorskiemi, znalazł p. Rittner dobrych przedstawicieli w p. Żelazowskim, który opracował postać doktora, w trzecim zwłaszcza akcie, jak myślący artysta i w p. Śliwickim, bardzo zajmującym w roli nauczyciela. Pan Frenkiel gra małą epizodyczną figurkę sędziego; ale wystarcza mu jedna tylko scena w ostatnim akcie żeby skromnemi rysami odtworzona charakterystyka sądownika wryła się w pamięć widza. Pani Trapszo-Chodowiecka potrafiła grą subtelną ożywić bladą trochę postać kuzynki doktora.

W opustoszałym świecie komedyi, tak się jakoś u nas dziwnie wydarza, że ilekroć szczery śmiech odezwać się ma na scenie, trzeba go wydobyć z dawniejszych pisarzów lub z dawniejszych czasów; trzeba naprzykład sięgnąć choćby do Kraszewskiego lub z Kozłowskim cofnąć się do Warszawy, bodaj tylko z przed kilkudziesięciu lat. I wtedy śmieją się ludzie z Radziwiłła „Panie Kochanku,“ albo cieszy ich Fukier i jego piwnica.

Cokolwiek trzymalibyśmy dziś o proteście głoszonym ongi przez Kraszewskiego w przedmowach i wstępach do „Miodu Kasztelańskiego“ i do „Panie Kochanku,“ przeciw uroszczeniom nowożytnej komedyi, która „chce być dramatem, tragedyą, poematem, rozprawą, liryką i epopeą, słowem wszystkiem prócz tego czem była pierwotnie,“—nie ulega wątpliwości, że ten protest jest jednym z dowodów legitymacyjnych „komedyi kontuszowej,“ choć może u Kraszewskiego nie jedynym. Drugiego szukaćby wypadało w stopniowem układaniu się w umyśle pisarza wszystkich konturów, wszystkich barw życia, wszystkich jego planów blizkich lub perspektywą historyczną w przeszłość oddalonych, do łagodnej harmonii, w której wygładzają się chropowatości charakterów, słabnie naprężenie sytuacyi, a w komizmie odbija się, podobnie jak w dramatyczności Kraszewskiego, trzeźwe jakieś pojęcie o względnem w życiu znaczeniu żałości i wesela łzy i smutku.

W ramy komedyi kontuszowej ujmuje Kraszewski anegdotę historyczną, okruszynę z opoki dziejowej tradycyi, wypryskującą z pod dłuta bądź dziejopisarza, bądź artysty, która w takiem ujęciu tworzyć ma „komedyę historyczną.“ Że tam, gdzie przeważa anegdota, nie może być mowy o komedyi właściwej ze stopniowaną akcyą, z rozwijającemi się charakterami,—nad tem oczywiście rozwodzić się nie potrzeba. Ale anegdota ma w takim razie pewną

nieocenioną właściwość: wydobywa odrazu z pośród świateł i cieni historyi te zwłaszcza rysy postaci dziejowej, które jej prawie dotykalną nadają wypukłość. Taką właśnie plastykę posiada wojewoda wileński w trylogii, znanej na scenie naszej w dwóch tylko częściach: „Panie Kochanku“ i „Radziwiłł w gościnie.“ Jaka strona dziwacznego charakteru księcia Karola, występuje w trzecim, nieznanym obrazie,—nie wiemy; to pewna że w dwóch pierwszych spotykamy najgłówniejsze rysy tego charakteru: fantazyę rozbujaną do dziecinnych niemal majaczeń i butę magnacką, nie znającą nigdzie i w niczem żadnych ograniczeń. „Radziwiłł w gościnie,“ trafia jednak, niby kosa na kamień, na szlachcica równego wojewodzie. Kurcewicz nie chciał ustąpić Radziwiłłowi z popasu, pierwej w karczmie zajętego. Ze starcia tych dwóch ambicyj wysnuwa się szereg scen, ożywionych rosnącą siłą komiczną. W pierwszym akcie Panie Kochanku, ścięty ostrym językiem Kurcewicza z despektem karczmę opuszcza; w drugim zgryźć musiał afront od zawziętego sąsiada z Siennej Wólki, który nietylko nie przyjmuje zaprosin Radziwiłła na barszczyk z rurą, ale sam naodwrót śmie wojewodę na zrazy inwitować. W trzecim akcie kniaź Hrehor Koryatowicz Kurcewicz fantuje się do koszuli aby tylko gościnnie przyjąć księcia Radziwiłła i jego dwór, zajeżdżający w czterysta koni. Kto zwycięży? „Widzisz Panie Kochanku, mówi Radziwiłł, wyściskawszy przemocą Kurcewicza, jak nie mogę siłą, to wezmę sercem.“ Zwycięża więc serce, *ultima ratio*, grunt polskiej natury i może główne tło charakteru wojewody wileńskiego. To *może* uwydatnia w grze pełnej prostoty pan Rapacki ze szczególnym akcentem, poświęcając nawet dla jowialności magnacką fantazyę Radziwiłła. Tem zamaszyściej wygląda przy takim dobrodusznym wojewodzie, droczący się z nim szlachcic na zagrodzie, któremu pan Leszczyński dał zewnętrzne życie świetną charakterystyką. I zająłby każdego żywo ten pojedynek, gdyby pan Leszczyński nie był wybrał sobie zbyt głośnego sekundanta w suflerze; gdyby zresztą scenerya tych szlacheckich zapasów nie przypominała lekceważeniem i niedbalstwem trzeciorzędnej sceny prowincyonalnej.

Komedye Stanisława Kozłowskiego, ku którym skierowała się w tej chwili twórczość poety, mają pewne z kreacyami Kraszewskiego pokrewieństwo. Zbliża je w tę stronę pogoda tła, z innych może źródeł płynąca u autora „Alberta Wójta,“ ale dająca jednakową przewagę jasnym barwom, słonecznym blaskom i spokojnym kontrastom światłocienia; zbliża również atmosfera, pełna dodatnich pierwiastków, w której śmieszności ludzkie nie

niweczą dla ludzi sympatyi, a wady nawet nie zamykają drogi do pobłażania; zbliża wreszcie anegdotyczny sposób traktowania postaci dziejowych, który, przy pewnym nieosobistym charakterze rysunku, obywającym się nawet bez wyraźnych nazwisk, akcentuje jakby rodzajem leitmotywów biograficznych, dziejowe ich znaczenie. Nie pomijajmy w końcu jednej jeszcze analogii: cyklicznego w pomysłach rozpędu. „Dyana," naprzykład, „Reduta" i ostatnia nowość „Pod Okrętem" mają między sobą pewien ideowy związek, nić, łączącą arystokratyczną Warszawę z „pod Blachy," gdzie wśród falowania jedwabiów, błysku drogich kamieni, woni kwiatów, wśród migotu ognistych męzkich spojrzeń, ślizgających się po odsłonionych łonach kobiet, ponętnie uśmiechniętych, przygotowuje się lipska tragedya; Warszawę-inteligencyę, witającą zorzę romantyzmu z niedośpiewaną jeszcze legendą Świętej Heleny; wreszcie Warszawę demokratyczną, żyjącą wspomnieniami minionych heroizmów, które zapisuje do ksiąg handlowych pod *debet* i *credit*, Warszawę pracującą i w pracy szukającą podstaw do nowego życia. Trylogia więc?—Nie, to za wiele, jak za wiele byłoby określać tą definicyą cykl Radziwiłłowski; ale tryptyk,—boć to przedewszystkiem obrazy, w których motywy obyczajowe występują na tle nastrojowym każdej doby; pastele o konturach lekkich, barwach spokojnych, o kolorycie przezroczystym. Bohaterowie trzech części obrazu skromnieją stopniowo w rozmiarach; szarzejące czasy gaszą wszelkie aureole i daleko stoi jowialny gospodarz winiarni „Pod Okrętem" od rycerza *sans peur ni reproche* z „bitwy narodów," a nawet od wiarusa napoleońskiego, padającego bez czucia na wieść o śmierci wielkiego jeńca na bezludnej skale. Ten stary Fukier, jednak, ze swojem cudzoziemskiem nazwiskiem uosabiający dzielność skrystalizowanego już polskiego mieszczaństwa, sprawia wrażenie żywej, młodej siły społecznej, którą taki działacz jak Steinkeller, bratający wszystkie warstwy we wspólnym, owocnym znoju, zwróci ku podźwignięciu zbiedzonego kraju. Figura winiarza tryska życiem, i plastyką przewyższa może wszystkie inne w całym tryptyku. Bajka, snująca się około tej postaci podrzędną tam odgrywa rolę; mniej też o nią zwykle dba Kozłowski, któremu zupełnie wystarcza jeżeli sceny tak się szeregują i jedne o drugie zaczepiają, żeby mu dostarczyły sytuacyj, drgających giestami ówczesnych obyczajów, echami myśli i uczuć przeszłości, uwięzionej na chwilę w latarni czarnoksięzkiej. Cechy, naprzykład, i ich korporacyjne obrządki nastręczyły się poecie w ciągu ilustrowania anegdoty o arystokracie, który wyzwolił się na bednarza, żeby zyskać względy

pięknej bednarczanki;—i cechom poświęcił autor akt cały, nawiązując barwną ich charakterystykę do romansu panicza z wychowanką Fukiera. Co tu potrzebniejsze: cechy dla kochanka czy też kochanek dla cechów, — mniejsza o to; dość że jest obraz z zajmującemi i małoznanemi szczegółami, który efektowne wywołuje kontrasty z salonem pana referendarza, gdzie w następnym akcie, handel i przemysł w osobach Fukiera i Steinkellera, legitymują się ze swoich praw do obywatelstwa w kraju, potrzebującym ludzi nie przywilejów. I tak między piwnicą a gospodą cechową przesuwają się, zaczepiwszy chwilowo o pałacowe progi, sylwetki niezbyt już od nas oddalonych pokoleń, mkną w ruchach i liniach, sharmonizowanych z potoczystością wiersza i z jego Fredrowskiemi niekiedy akcentami. Nic więcej, jak się zdaje, nie zakładał sobie Kozłowski, pisząc „Pod Okrętem,“ — ale też to co zamierzył powiodło mu się szczęśliwie.

Nie małą cząstkę tego powodzenia zawdzięcza autor artystom, którzy dali na scenie doskonałą reprodukcyę dawnej Warszawy. Frenkiel nieoceniony w roli Fukiera z której wymodelował skończony typ mieszczański; pan Ładnowski, pełen powagi referendarz; pani Ludowa jako romantyczna nieco referendarzowa; pani Trapszo Chodowiecka, z wdziękiem grająca pupilkę Fukierów; pan Bednarczyk, przedstawiający epizodycznie Steinkellera, pp. Śliwicki i Roland, którym w osobach panicza i rzemieślnika wypadło walczyć o uśmiech Fukierowskiej wychowanki, p. Szobert wyborny kiper i p. Fertner pocieszny praktykant piwniczny — wszyscy dostroili się do stylu, nadającego obrazowi cechy niezwykłej oryginalności.

V.

W operze głośno od nazwisk wirtuozów, włoskich oczywiście, i niemniej włoskich kompozytorów, wśród których, dzięki konkursowi Sonzogna, wypłynęło i francuskie nazwisko. To świeże, urągające trójprzymierzu braterstwo święcili niedawno w Medyolanie p. Filiassi autor „Manuela Menendeza“ i p. Dupont, twórca „Pasterki Kóz,“ po Medyolanie zaś, poza granicami Włoch, pierwsza podobno Warszawa powitała obu laureatów.

Powitanie było powściągliwe, temperaturą nie przewyższające poprawnego *succès d'estime;* i nie mogło być inaczej, bo w obu utworach nie wybłysnęły iskry natchnienia, wywołujące wybuchy

zapału; w obu czuć i widać „porządną robotę,“ skierowaną za prądem dzisiejszym, ku wszechwładztwu symfonii, z poddaniem pod jej despotyzm głosu ludzkiego wraz z jego nieprzedawnionem prawem wyrażania ludzkich uczuć. A w tej symfonii siła materyalnego brzmienia utożsamiana jest zawsze z siłą uczuciowej ekspressyi, której brak pokrywają jaskrawe efekty barw instrumentalnych i krzykliwość kolorytu orkiestrowego. Na takiem ogólnem tle, wspólnem obu kompozytorom, ujawniają się naturalnie odrębności temperamentów i charakterów narodowych. Włoch, rzucający się w samych superlatywach à la Mascagni, niema jednak żywiołowo-namiętnej siły twórcy „Rycerskości,“ ale pod tem szamotaniem czuć solidniejszego niż Mascagni muzyka i w tym kierunku Fillassi zbliża się więcej do Pucciniego; Francuz dba więcej o formę, jest wytworniejszym, subtelniejszym, orkiestrę artystyczniej wplata do akcyi i zręczniej wyzyskuje efekty teatralne. Obaj niezaprzeczenie zdolni; ale jeden tylko Dupont, zapowiada talent, który, oby miał czas rozwinąć się u młodzieńca, dotkniętego podobno ciężką chorobą piersiową. Z pod szczegółowego rozbioru wymykają się te jednoaktówki, rozsnute na kanwie niedołężnych libret i pomnażające tylko nowelistyczną, że się tak wyrażę, literaturę operową, bez widoków przetrwania dłużej, niż trwają dziś wszelkie nowelle z muzyką i bez muzyki. Produkt gorączkowej doby, usiłującej nawet dźwięki ująć w styl telegraficzny, przeznaczone są oba te express-dramaty na efemerydalne przemknięcie się przez scenę, zwłaszcza u nas, gdzie, jak się zdaje, jedyną racyą ich ukazania się była gościna Gemmy Bellincioni, nieporównanej zarówno w „Manuelu Menendezie“ jak w „Pasterce kóz.“

Tymczasem, jeżeli chodzi o konkursy, posiadamy i my powtórnego w tej chwili laureata w osobie p. Romana Statkowskiego, autora ocenionej obszernie na tem miejscu „Filenisy,“ który zdobył nagrodę Konstantego Wołodkowicza za partycyę „Maryi.“ Staną tedy obok siebie dwaj śpiewacy „Maryi:“ Henryk Melcer i Roman Statkowski; powtórzy się turniej Pucciniego i Leoncavalla o „Cyganerję,“ a na tym turnieju opera polska zyska, jak zapewniają sędziowie konkursowi, dzieło niepospolitej wartości. Czekajmy więc.

Czekajmy cierpliwie, zwłaszcza że czas nam skraca Filharmonia, która potrafiła wprowadzić na estradę nawet pilnie strzeżonego przed wszelką reprodukcyą „Parsifala“ Wagnera. Eksperyment był ryzykowny. Probowano go już z „Walkyrią,“ ale to ogniwo z cyklu Nibelungów tkwi może głębiej w ludzkich uczu-

ciach aniżeli mistyczny poemat „o nieświadomym bez zmazy,“ miało zatem więcej widoków trafienia do słuchacza bez przyborów teatralnych. Taki jednak jest czar tej łabędziej pieśni Wagnera, że znikał stopniowo z przed oczów publiczności konwencyonalizm koncertowego aparatu, i dusza słuchacza, uniosłszy się na szczyt Monsalwatu przeżywała tam niewidzialny dla oka Dramat Odkupienia. Uduchowniona ta muzyka porywa w jakieś sfery pośrednie między ziemią i niebem. Piekielne namiętności i niebiańskie zachwyty dźwięczą tam w odcieniach subtelnych, z natężeniem prawie bolesnem. Niewinna naiwność dziewiczego bohatera, jego przejmujące współczucie dla wszystkiego co cierpi; przynęty, śmiechy demoniczne, żale i łkania grzesznicy, jęki jej duszy obumierającej z żądzy, wezbranej niszczącą falą; zaklęcia dyabelskie czarownika, wyrzuty trawiące Amfortasa, którego wszystkie usiłowania wzniesienia się ku czystości duchowej kończą się nowym pod jarzmo żądzy upadkiem; dźwiganie się mozolne całego uroczystego pochodu ku Monsalwatowi wskroś wnętrzności opoki, w takt tragicznych rytmów marsza pogrzebowego, w którym orkiestrę zdaje się obciążać brzemię cierpienia całego świata; wreszcie rozbrzmiewające ekstazą wiary pienia w świątyni, gdzie żywa krew Odkupiciela rzuca ze świętego naczynia purpurowe światło na wtajemniczonych, — wszystkie te uczucia snują się wśród instrumentów i głosów ludzkich w motywach o konturach tak słodkich a tak zarazem wyrazistych, jak mistyczne malowidła Memlinga.

Z jakiego źródła trysnęło to cudowne natchnienie w pogańskiej duszy Wagnera? Kiedyś, bodaj jaknajprędzej, przy sposobności przedstawienia na scenie „Parsifala“ we wszystkich blaskach jego idealnych piękności, zastanowimy się może szerzej nad tem pytaniem; dziś niech wystarczy zaznaczenie kapitalnych sprzeciwieństw w naturze Wagnera, kontrastów między człowiekiem z rozpętanemi namiętnościami a artystą spragnionym przeanielenia. Z usiłowań pogodzenia tych sprzeczności powstał bohater „Okrętu Widma,“ ocalony poświęceniem kobiety; „Tannhäuser“ również przez kobietę wyrwany z więzów zmysłowości; „Lohengrin“ bohater-anioł, którego kobieta nie zrozumiała; a przedewszystkiem typowe dzieło „Trystan i Izolda,“ poemat miłości, tak zdumiewająco w genezie swej rozjaśniony, dzięki wydanej niedawno korrespondencyi Wagnera z Matyldą Wesendonk. W tych listach uprzytomniających rozpaczliwą walkę ognistego kochanka, z artystą, pnącym się na szczyty idealizmu, wypowiada się cały Wagner, wyswobodzony ze swoich męczarni dopiero przez stworzenie arcy-

dzieła. Ostatnia faza tych zapasów przypada na spóźnione już lata Wagnera; temperament przestaje w nich być interesowanym czynnikiem, kobieta widziana z wysokości przedstawia się naprzemian jako Cyrce i Magdalena, a dusza artysty zatapia się głębiej w zagadkę odrodzenia duchowego i odsłania wreszcie tajemnice Świętego Grala.

Czy znalazła w publiczności warszawskiej wielu szczerze wtajemniczonych? Nie wiem; to pewna że sama próba inicyacyi, podjęta u nas z tak wybitnemi siłami jak sprowadzeni z zagranicy artyści: pani Litwin, pp. Schmedes, Kaschman i Zawiłowski, jest niewątpliwą zasługą Filharmonii, zawsze jednakowo dbałej o muzykę w wielkim stylu. Ale niemniej ta próba stała się dla Zygfryda Wagnera pewnikiem: że ciężko jest być synem genialnego twórcy i wnukiem znakomitego muzyka. Odczuła to widocznie i publiczność, darząc gorętszem uznaniem kapelmistrza, kierującego świetnie dziełami Wagnera i Liszta, aniżeli kompozytora który nie przekracza w twórczości tego, co w gwarze artystycznej znane jest pod nazwą *Kappelmeistermusik*.

Nie pomińmy wrażeń jednej jeszcze uroczystości muzycznej: symfonii Czajkowskiego „Manfred," wykonanej poraz pierwszy pod dyrekcyą Czelańskiego. Co piękniejsze, potężniejsze, „Patetyczna" czy „Manfred?" W tem pytaniu streszczały się wrażenia słuchaczów a już sama możliwość porównania daje miarę mocy i natężenia tych wrażeń. To nie olśniewające wirtuozowstwo techniki, jak np. Straussa „Symphonia domestica" z tematami *pana, pani i dziecka*, z „wesołym sporem" małżeńskim, prowadzonym w orkiestrze z furyą, która przypomina rewolucyę francuską; to olbrzymi wzlot duszy na szczyty lodowców, gdzie w blaskach zorzy, zdala od ludzkich mrowisk, posępny samotnik śledzić może we własnem sumieniu tragizm przypadkowego na tym świecie istnienia człowieka. Jeżeli gdzie odzywa się patos namiętny, bolesny, rozpaczliwy, — to w tem dziele Czajkowskiego, które najznamienniej może charakteryzuje twórczy nastrój genialnego poety.

Ten nastrój udziela się i naszym młodym kompozytorom. Nie uniknął go w pewnej mierze i tak oryginalny, samodzielny talent jak pan Mieczysław Karłowicz. Panuje w jego utworach orkiestrowych (Symfonia „Odrodzenie" i poemat symfoniczny „Powracające fale") niepokój z akcentami tragizmu, któremu ciasno w ciągłości zaokrąglonej melodyi i który szuka sobie ujścia w zwięzłych frazesach, wypowiadających się bez zależności od jakiegoś skończonego tematycznego rysunku. Wszystko to płynie,

jak burzą miotane, na falach ruchliwej i zmiennej w swych głębiach harmonii, wszystko zostawia wrażenie wyprawy po nowych drogach, na których talent zdobywa sobie nowe formy, wypełnione piękną uczuciową i myślową treścią. Jedna i druga przenika na wskroś symfonię „Odrodzenie," poprowadzoną z artyzmem przez tragiczną nawałnicę ku tryumfalnej apoteozie, oblanej słonecznemi blaskami. Z Manfredowej rozpaczy wyrwał p. Karłowicz słuchacza na jaśnię życia, dźwięczącego radosną pieśnią, która bodaj była wróżbą odrodzenia polskiej symfonii.

W. Bogusławski.

Żydzi w beletrystyce dzisiejszej.

Kwestya żydowska to jedna z najpoważniejszych i najzawilszych zarazem zagadek dnia dzisiejszego i — jutra. Co począć z tymi milionami, co żyją wśród nas od kilku wieków, obcy nam duchem i kulturą, religią i językiem, charakterem plemiennym i temperamentem, tworząc jakby naród w narodzie, wyodrębnieni tem wszystkiem, co składa się na istotę ducha narodowego? jak złagodzić wzajemną niechęć, nienawiść, odrazę? jak ułożyć schemat koniecznego współżycia?

Jeszcze ćwierć wieku temu rozlegające się często hasła wzajemnego zbliżenia, asymilacyi, uobywatelenia żydów dodawały otuchy, że przepaść, dzielącą plemiona, zasypiemy kiedyś wreszcie rękami własnemi, pracując pod hasłem współżycia duchowego.

Dziś zaczynają zmieniać się stosunki. Naprzekór złudnym nadziejom staliśmy się nagle świadkami nowych, wcale nieoczekiwanych objawów pośród ludności żydowskiej; powstał w ostatnich czasach zorganizowany, solidarny, ruchliwy a rosnący ciągle w liczbę zastęp syonistów i nacyonalistów żydowskich, którzy w imieniu swych współwyznawców wyrzekają się jawnie wszelkiej łączności obywatelskiej z naszym ogółem narodowym, uważając kraj nasz za miejsce czasowego jedynie dla siebie pobytu. Ruch w tym kierunku musiał, oczywiście, wywołać poważne zaniepokojenie wśród społeczeństwa chrześcijańskiego, któremu prosta logika wskazywała, że, pomimo szumnie zapowiadanej emigracyi do „Syonu," osiadła wśród nas od wieków masa żydowska, jak przedtem, tak i nadal pozostanie z nami, tylko już nie w domniemanym charakterze Polaków wyznania mojżeszowego, ale jako milionowy tłum przybyszów, nie poczuwających się do żadnych obowiązków moralnych względem prawowitych gospodarzy. Z drugiej strony rozlegające się dokoła hasła syonistyczne wyświadczyły zapewne niemałą przysługę tej nielicznej u nas garstce an-

tysemitów, której głosu dotychczas słuchano obojętnie lub nie słuchano wcale.

Czyż w samej rzeczy niema innego wyjścia, jak tylko otwarta i zacięta walka z ludnością napływową, lecz od wieków już osiadłą na naszej bogatej ziemicy, na tym, jak mówi poeta, „żyznym zagonie... jakby u Boga na łonie?“

Orzeczenie to wyszło z ust Klonowicza-Acerna, jedynego bodaj przedstawiciela antysemityzmu w poezyi naszej XVI stulecia; dodać należy, że więcej mu zapewne chodziło o lichwiarzysmoków, wysysających krew ze swoich ofiar, niż o całą ludność żydowską.

Zresztą w literaturze staropolskiej nie było nienawiści plemiennej. Rzeczpospolita nasza, otworzywszy gościnnie wrota na ścieżaj przed nieszczęsnem plemieniem Semitów, które wszędzie doznawało srogiego prześladowania, nie mogła wprawdzie nadać im pełni praw obywatelskich, ale też i krzywdzić ich nikomu nie pozwalała; a „hece“ żydowskie, urządzane od czasu do czasu przez uczniów szkół jezuickich, były jedynymi wybrykami namiętności religijno-plemiennych.

Gdy przyszedł czas na reorganizacyę społeczną, pomyślano też i o żydach, czego ślad widzimy w mądrych i humanitarnych zasadach Sejmu Czteroletniego, otaczających żydów troskliwą i przezorną opieką. Jednocześnie jeden z najświatlejszych mężów schyłku XVIII i początku XIX stulecia, Tadeusz Czacki występuje ze znakomitą rozprawą historyczno-publicystyczną „O żydach i karaimach,“ w której składa dowód wielkiego rozumu obywatelskiego i szlachetności serca.

Dzieło Czackiego było hasłem pojednania, które odtąd zaczyna rozbrzmiewać coraz donośniej w naszej literaturze publicystycznej i beletrystyce.

Pierwszy pochop dał ku temu umysł niezmiernie wrażliwy na prądy i potrzeby społeczne, a przytem niezmiernie humanitarny, pełen obywatelskości najlepiej pojętej—Julian Ursyn Niemcewicz. Powieść jego na tle życia i obyczajów rzeszy żydowskiej p. t. „Lejbe i Siora“ tchnie szlachetnym duchem pojednania i wspólności cywilizacyjnej i społecznej, głosi hasło uobywatelenia tłumów żydowskich, rozorania miedz plemiennych i religijnych.

Pierwsze więc słowo, z którem beletrystyka polska zwróciła się do żyda, było: „witaj mi, bracie!“ A chociaż Niemcewiczowi brakło talentu literackiego, aby na podstawie publicystycznej nawskroś wznieść dzieło sztuki, w każdym bądź razie wywarł on

duży wpływ na późniejsze pokolenia poetów, którzy podjęli jego bardon, aby grać na nim „strojem Ursyna.“

Najgenialniejszy z nich, Mickiewicz w duchu „Lejba i Siory“ począł wspaniałą, majestatyczną postać Jankiela-cymbalisty; był to „żyd stary i powszechnie znany z uczciwości,“ który przytem „miał także sławę dobrego Polaka,“ jednoczył się we wspólnych uczuciach i ideałach z wszystkimi bohaterami poematu, a jako wykonawca „koncertu nad koncertami,“ stał się wcieleniem najszczytniejszych dążeń i najżywotniejszych drgań życia społecznego. Jankiel, oczywiście, nie może uchodzić za typowego przedstawiciela ludności żydowskiej w naszym kraju, jest cały wymarzony w wyobraźni poety, wykołysany w jego złotem sercu; ale jest wyobrazicielem tych idealnych pragnień genialnego twórcy „Pana Tadeusza,“ które wylał on w jednym z listów: „Książę, hrabia, chłop i żyd równie są nam potrzebni; każdego z nich należy przerobić na Polaka.“ Jankiel nie wyobraża pospólstwa żydowskiego takiem, jakie ono jest, ale takiem, jakiem ono być powinno, żyjąc wśród nas i spełniając uczciwie swe obowiązki obywatelskie.

Tą też drogą szła beletrystyka polska aż do dzisiejszych czasów. Zmieniały się czasy, prądy, dążenia życia codziennego, ale poezya nie zstąpiła z tego górnego szlaku.

Zjawiały się wprawdzie w naszej literaturze pięknej ostatnich czasów ujemne typy żydowskie: przedewszystkiem wszelkiego rodzaju „pijawki,“ „pająki“ „pasożyty,“ panoszący się cudzą krzywdą, lichwą i zdzierstwem, nienawistni nie dlatego, że są żydami z pochodzenia, ale dla swej szkodliwości społecznej; a potem przeróżne okazy dorobkiewiczów, wielkich przemysłowców, wielkich kupców i bankierów, mechesów lub niechrzczonych jeszcze, przeróżnych Sandsteinów i Apflów, których drobne ambicye, pychę parweniuszowską, bałwochwalcze uwielbienie złotego cielca wyśmiewa się dowcipnie, lecz najczęściej bez złośliwości. Ale znajdą się pomiędzy tymi ludźmi postacie wysoce szlachetne, niemal idealne, co świadczy, że nawet satyra nasza przeciw-żydowska pozbawiona jest żądła nienawiści rasowych. Zresztą satyra nasza nie zwracała się nigdy wyłącznie przeciw żydom, chłoszcząc jednocześnie też arystokracyę, szlachtę, większe i drobne mieszczaństwo, chłopów; nie było w niej dążności ku podniecaniu wzajemnych niechęci. Można nawet powiedzieć, że beletrystyka nasza satyryczna zajmowała się sprawą żydowską za mało, za powierzchownie, tak, jak na taką poważną kwestyę przystało.

Jednocześnie raz wraz rozlegają się głosy inne zupełnie, a wychodzą one z ust najszlachetniejszych duchów naszej dzisiejszej twórczości. I mówią o nędzy, i mówią o upokorzeniu, i gromią nienawiść bezrozumną, i nawołują do miłości, nie tych zbogaconych krzywdą ludzką „macherów," ale paryasów społecznych, obok których przechodzimy z odrazą, w najlepszym razie z obojętnością.

Dzisiaj możemy doskonale zdać sobie sprawę z tych dążeń humanitarnych, a to dzięki zabiegliwości grona ludzi, którym los i przyszłość obu społeczeństw leży na sercu. Celem tych ludzi było przypomnieć dzisiejszemu światu o tem, jak w kwestyi żydowskiej wyrażali się i wyrażają beletryści nasi dnia wczorajszego i dzisiejszej doby.

Owocem tych zabiegów jest duży tom, o 400 przeszło stronicach, p. t. „Z jednego strumienia[1])." Na tom ten składa się szesnaście nowel dziesięciu autorów, których imiona dobrze są znane ogółowi: Aleksander Świętochowski, Eliza Orzeszkowa, Marya Konopnicka, Adam Szymański, Klemens Junosza, Wiktor Gomulicki, Gustaw Daniłowski, Feliks Brodowski, Kazimierz Zdziechowski, Wanda Dalecka.

Z jednego strumienia? Jak rozumieć tę alegoryę? Wyjaśnia to przedmową pióra autorki „Meira Ezofowicza" i „Elego Makowera," Elizy Orzeszkowej. „Jest to jeden z tych strumieni, którymi płynie życie ludzkie," mówi zasłużona powieściopisarka. A choć strumień ten jest mętny, nie odwracajmy się od niego z pogardą, bo taki to los wszystkich strumieni. „Jeżeli żaden strumień życia ludzkiego nie płynie czystym kryształem, to żaden również nie toczy na swych falach samych tylko mętów. W każdym, fale kryształowe połyskują ziarnkiem złota, odbiciem lazuru niebieskiego, perłą lub nad perłę drogocenniejszą łzą."

Te męty, kalające kryształowe zwierciadło wód, to namiętności. „Namiętność—mówi Orzeszkowa—bywa czasem skrzydłem, unoszącem człowieka na te wyżyny, z których widać wszystko, ale bywa też często skorupą, zasłaniającą człowiekowi oczy tak szczelnie, że nie mogą już one widzieć nic, krom obrazów, wymalowanych na skorupie."

---

[1]) *Z jednego strumienia*, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej. Warszawa, MCMV. Skład główny w księgarni: E. Wende i Spółka, 4°, str. XVI + 420, okładka, również inicyały i zakończenia wedle rysunków Jana Bukowskiego, odbito w drukarni narodowej w Krakowie 1905 r.

Ale są ludzie o orlim wzroku, przenikający jednem spojrzeniem, bystrem i pełnem umiłowania ogromy ludzkości; skorup żadnych nie znają, a oko i serce mają otwarte na wszystko, co piękne i wzniosłe. Ci właśnie badacze i poeci, „dostrzegając w strumieniach życia męty, dostrzegają w nich również kryształy, lazury, perły, krople krwi czerwone, krople łez ciężkie, a dostrzegłszy, dobywają je z mętnych toni i w akcie służby składają u stóp dobra, prawdy, sztuki,—u stóp idei i ideału. Te są mocarstwa, którym oni służą i które przed hufcami najezdników niezliczonych bronią orężem przenikliwej myśli i artystycznego piękna.“

Po takim wstępie autorka przechodzi do wyjaśnienia celu i rodzaju wydawnictwa. „Zebrane w tej książce obrazy z życia ludu żydowskiego, obrazy postaci, dusz, doli, dostrzeżonych w strumieniu, którym płynie życie tego ludu, są aktem takiej służby.“ I dalej kreśli Orzeszkowa ewolucyę myśli humanitarnej w naszej literaturze, od „Żeńców“ Szymonowicza do „El-Mole-Rachmim“ Gomulickiego, a wreszcie tłómaczy układ książki i doniosłość zawartych w niej idei. A te idee — to spójnia duchowa wszystkich ludzi, bez różnicy kast, stanu majątkowego, pochodzenia, religii, narodowości, bo — wszyscy jesteśmy ludźmi, jednakowo biją dla nas zegary życia, wszystkich nas czeka we wspólnej ziemi mogiła. I oto są ogniwa, co łączą nierozerwalnymi śluby wszystkich ludzi na ziemi. To jest prawda wiekuista, jasna i prosta. „Lecz ludzie— takiemi słowy kończy Orzeszkowa swe przemówienie—są najmniej zdolni do wyrozumiewania takich właśnie prawd, najbardziej jasnych i prostych. Ludzie są bardzo mało zdolni do wyrozumiewania prawd, sprzeciwiających się ich grubym interesom, ich krótkim pojęciom, ich ślepym uprzedzeniom i nieuświadomionym złościom. Przeznaczenie, jak kowal przepotężny, wykuwa niezmordowanie swe straszne, niezłomne ogniwa. Leniwie, nietrwale, wiotko wydobywają się z pod rąk ludzkich, niedołężnych i razem szalonych, jedyne ogniwa ratunkowe. Cóż czynić? Usnąć w pogardzie, czy w rozpaczy? Nie! niech ziarno pada na rolę twardą! W powietrzu zatrutem zbawcza pobudka — niech gra!“

Umyślnie przytoczyliśmy kilka dłuższych urywków z tej przedmowy; jest ona bowiem streszczeniem poglądów, uczuć i ideałów wszystkich utworów, zawartych w zbiorze „Z jednego strumienia.“ Wielka miłość ludzi, jeszcze większa litość nad nędzą i opuszczeniem, smutna zaduma na zgliszczach, pozostałych po pożarach nienawiści, oto zasadnicze nastroje tych obrazków.

A wszystkie one nasiąkłe są uczuciowością wielką i serdeczną, która udziela się i czytelnikowi. Tak! gotowiśmy pokochać

ten szary, nędzny, brudny tłum istot bezimiennych, które w trudzie i mozole zdobywają każdy kęs chleba, poniewierane przez wszystkich, odepchnięte od wszelkiego wspólnictwa w rozkoszach ciała i w rozkoszach ducha. Autorowie przemawiają w ich obronie z takim ogniem, z taką przejmującą prawdą odtwarzają żywot tych nędzarzy, że trudno nie zapomnieć, bodaj na chwilę o wszelkich niechęciach i odrazach plemiennych i nie podzielić sercem losu nędzarzy, którzy nigdy nie doznali litości ni współczucia. Budzić te szlachetne instynkty natury ludzkiej jest właśnie celem autorów nowel.

Na czele zbiorku czytamy znany powszechnie obrazek Aleksandra Świętochowskiego: „Chawa Rubin," wyjęty z cyklu „O życie." Smutny to wizerunek, jak wszystkie niemal utwory, wchodzące w skład niniejszego tomu, wizerunek nędznej żydówki-przekupki, co z ciężkiej, wyczerpującej pracy musiała utrzymać pięcioro bezradnych istot: męża, doskonałego w apatyi i lenistwie chasydę, i czworo drobnych dzieci. I zginie Chawa, padnie od ręki zbrodniczej w proch przydrożny, a na jej zapomnianą mogiłę autor rzuci kwieciem litości i przebaczenia: „Biedna Chawo, ja ci to, żeś w moim kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje żywić chciała — przebaczam."

Znajdziemy też w niniejszym tomie i znanego powszechnie „Mendla Gdańskiego" Maryi Konopnickiej. Stary to, ubogi introligator z cichego zaułka Warszawy: ćwierć wieku przeżył w tym samym warsztacie, przywykł codzień patrzyć na te same widoki — i pokochał całem sercem prostem, niezdolnem do obłudy ten kąt swój i to miasto. „Ty się w to miasto urodził - mówi do wnuka — toś ty nie obcy, toś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz. Ty się wstydzić nie masz, żeś żyd. Jak ty się wstydzisz, żeś ty żyd, jak ty się sam za podłego masz, dlatego, żeś żyd, nu, to jak ty możesz jakie dobro zrobić dla to miasto, gdzie ty się urodził, jak ty jego kochać możesz?... Nu?..." I zaraz dodaje złote słowa prawdy, godne, aby je wypisać na czele księgi „Z jednego strumienia": „Uczciwym żydem być jest piękna rzecz!"

A co najważniejsza, Mendel czuje głęboko i szczerze swą przynależność do tego miasta, w którem się urodził, do tego społeczeństwa, które przygarnęło jego braci-tułaczy; oburza się też, gdy sąsiad zegarmistrz nazywa żydów obcymi: „Pan dobrodziej powiada, coby żyd nie był obcy? Nu, i ja tak samo powiadam. Czemu nie? Niech un nie będzie obcy. Na co un obcy ma być, na co mu obcym się robić, kiedy un i tak swój? Pan dobrodziej

myśli, co jak tu deszcz pada, to un żyda nie moczy, bo żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, co jak ten wiatr wieje, to un piaskiem nie sypie w oczy temu żydowi, bo żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, że jak ta cegła z dachu leci, to una żyda ominie, bo żyd obcy? Nu, to ja panu dobrodziejowi powiem, że una jego nie ominie. I wiatr jego nie ominie i deszcz jego nie ominie!"

I nie dziw, że serce Mendla kruszy się od wielkiej żałości, kiedy w cichą zazwyczaj uliczkę wpada dziki tłum istot półludzkich z okrzykiem nienawiści na zapienionych wargach, kiedy kamień godzi w jego ukochanego wnuka... A na ciepłe wyrazy pocieszenia odpowie głosem złamanym i bolesnym: „Pan powiada, co u mnie nic nie umarło? Nu, u mnie umarło to, z czem ja się urodził, z czem ja sześćdziesiąt i siedem lat żył, z czem już umierać myślał... Nu, u mnie umarło serce do tego miasto!"

Konopnicka udzieliła do zbioru „Z jednego strumienia" jeszcze jednej noweli, również z dawniejszych, p. t. „Jakton," w której pokazuje, że i wśród pospólstwa żydowskiego znajdziesz piękne dusze, zdolne do najszlachetniejszych porywów współczucia i samozaparcia.

Orzeszkowa prócz przedmowy dała cztery nowele: „Daj kwiatek," „Gedali," „Silny Samson" i „Ogniwa." W pierwszej z nich mamy sympatyczny typ starej łachmaniarki Chaity, którą uszlachetnia miłość do wnuczka Chaimka, mamy obraz ciężkiej pracy i nędznego życia, co wyniszcza i zatruwa fizycznie i moralnie.

„Gedali" jest obrazkiem prawdziwie wzruszającym, nie tyle może dla postaci tytułowej, nędznego kramarza wędrownego, postaci pospolitej w niniejszym zbiorze, ile dla tej sceny prawdziwie pięknej, która rozgrywa się przed naszemi oczami w drugiej połowie utworu: Gedali dostaje się do izby szlachcica szaraczkowego, Ignacego Korejby, doznaje tam niezmiernie serdecznego przyjęcia, zasiada niemal w gronie rodzinnem, prawi przypowieści, marzy głośno o szczytnej przyszłości człowieczeństwa, kiedy to „na świecie nie będzie ani głodu, ani kłótni, ani takich, co głupi, ani takich, co płaczą i w sercu swojem krzyczą, że im bardzo źle!"

Inny znów typ przedstawia utwór: „Silny Samson." Bohater tego opowiadania, Szymszel talmudysta podobny jest nieco do męża Chawy Rubin ze swej bezczynności i braku uzdolnienia do życia praktycznego, ale jest od tamtego o wiele wznioślejszy. Szymszel to filozof, i to filozof mistyk, zaczytany w swych księgach, zagłębiony w abstrakcyach aż do ekstazy, w której miewa cudowne widzenia. Pewnego razu, podczas uroczystego święta Purym w przygodnym teatrze amatorskim Szymszel odegrał

rolę biblijnego Samsona; i oto widzimy, jak pod tchnieniem poezyi, zawartej w tem podaniu, dusza jego uszlachetnia się, wzrok duchowy zaostrza, „uczony“ po raz pierwszy poznaje nędzę żywota i rajski blask ideału. Innym się teraz stał człowiekiem. „Zakosztował życia czynu, ofiary, dręczących, lecz zarazem rozkosznych kolei cierpień i szczęścia, klęsk i tryumfów. I cóż? był to sen tylko. Wracać teraz musi do martwych kart, o zżółkłem obliczu, do siedzącej wiecznie, półnartwej postawy, do dumań nieskończonych, rozróżniań subtelnych, studyów bezdennych. — A co z tego wszystkiego dla ludzi? co? Pomyślał o ludziach... A cóż on pocznie teraz z tą gorącą miłością dla ludzi, która tam, na deskach teatralnych, płonęła w potężnem łonie Samsona i pozostała już w słabej piersi Szymszela — czuje silnie, że pozostała na zawsze! Czem ją wyrazi? ku czemu jej użyje? Jakimi czynami zdoła uspokoić jej palące żądze? A cóż pocznie z przeczuciem tej innej miłości, które roznieciło płomienne oko Daliliwidma, z przeczuciem miłości tkliwej i upalnej, które, błysnąwszy w wielkiem sercu Samsona, napełnia serce Szymszela westchnieniami tęsknoty niewymuszonej...“

Oto jak brzydka poczwarka przeistacza się w barwnego motyla!

Zamykająca tom nowela Orzeszkowej p. t. „Ogniwa“ najwięcej daje do myślenia. Nie napróżno też umieszczono ją w epilogu. Jedna niemal tu tylko scena, ale scena niezmiernie wymowna. W szczupłej, nizkiej izdebce zegarmistrza, wśród szmeru cykających zegarów spotykają się dwaj starcy, stojący nad grobem: możny hrabia i ubogi żyd, spotykają się po latach kilkudziesięciu. I zaczyna się ciekawa a wzruszająca rozmowa.

Znali się niegdyś, gdy jeszcze obaj byli małymi chłopcami, jeden — jasnym paniczem we dworze, drugi — Berkiem, synem pachciarza; dwóch siwowłosych starców zaczyna snuć złotą nić wspomnień radosnych, promiennych, do których dzisiejsze ich życie tak zgoła niepodobne; i jednoczą się obaj w tych wspomnieniach i rozpamiętywaniach; bo chociaż tak różne ich stanowisko społeczne, stan majątkowy, przekonania, religia, obyczaje, losy ich w wielu razach tak rażące wykazują podobieństwa: obaj smutni są na starość i samotni, bo choć mają rodziny, rodziny i sercem, i przestrzenią od nich dalekie; dla obu jednakowo biły godziny życia, zbliżając obu ich do — mogiły. „Nu — mówi żyd o zegarze czasu—dlaczego on nie miał ich wybijać? My byli daleko od siebie i nie widzieli się nigdy, i zapomnieli o sobie, a czas na zegarkach bił godziny i co którą wybił, to i dla jasnego pana i dla mnie, bo on dla wszystkich godziny bije...“

Wzruszający jest prawdziwie widok tych dwóch starców, przypatrujących się z zaciekawieniem staremu zegarowi z kukułką, schylonych nad wspólną robotą przy warsztacie, jakby dwóch przyjaciół i towarzyszów. A potem epilog: Berek na pogrzebie hrabiego ze smutkiem duma o losie ludzkim, o początku i końcu człowieka na ziemi, ze wzgórza Powązek patrzy na swój cmentarz, a „dwa cmentarze, jeden cały w drzewach i krzyżach, drugi ze sterczącymi kamieniami na piaskach żółtych, jedno wspólne niebo skuwało ogniwem wysokiem i szerokiem.“

Mimo pomysłu nieco wyszukanego, mimo pewnego nieprawdopodobieństwa zasadniczej sytuacyi, utwór ten samą już swą ideowością, szczytną i humanitarną, sprawia głębokie wrażenie.

To samo, w większym może jeszcze stopniu, można powiedzieć o popularnym niegdyś i do dziś dnia jeszcze „Srulu z Lubartowa.“ Tylko spotkanie dwóch bohaterów obrazka w „stolicy mrozów“ jest bardziej uzasadnione, tylko tutaj wspólność wspomnień i tęsknot, jeszcze bardziej przypada nam do serca. I jak szczere, jak wezbrane uczuciem po brzegi są słowa, z którymi chrześcijanin zwraca się do chasyda:

— Więc to o tem pogadać ze mną chciałeś? Więc ty nie myślisz o ludziach, o swej doli ciężkiej, o biedzie, która cię gniecie, lecz tęsknisz do słońca, powietrza, ziemi rodzinnej?... Myślisz o polach, łąkach i lasach, o ich mieszkańcach bożych, których w życiu swem biednem nie miałeś nawet czasu poznać dobrze, i dziś, gdy obrazy miłe znikają z twej pamięci, boisz się pustki, która cię otoczy, sieroctwa wielkiego, które cię dotknie, gdy się zatrą drogie wspomnienia? Chcesz, żebym ci je przypomniał, odświeżył, chcesz, abym ci opowiedział, jaką jest ziemia nasza?...

— O tak, panie, tak, panie! po to tu przyszedłem... i ściskał me ręce i śmiał się, jak dziecko, radośnie.

— Słuchajże, bracie!

Z nowelek Klemensa Junoszy wybrano dwie, najbardziej odpowiadające charakterowi zbioru: „Łaciarza,“ sympatycznie skreślony typ ubogiego krawca wędrownego, Judki Silberknopfa, co pracuje mozolnie po nocach całych, aby uczynić zadość najpierwszym potrzebom życia licznej rodziny, i „Cud na kirkucie,“ obrazek o pogodniejszym już nastroju, wypromieniony właściwym Junoszy humorem; mamy tu spożytkowane ciekawe szczegóły wierzeń, podań i zabobonów żydowskich.

Wreszcie ze starszego pokolenia beletrystów zamieścił tu jeszcze Gomulicki piękną nowelę p. t. „Chałat,“ także już znaną z dawniejszych cyklów: woźnica żydowski okrywa własnym cha-

łatem chłopca chrześcijanina, ratując go w ten sposób od zmarznięcia, a za ten czyn szlachetny i miłosierny nie otrzymuje nawet podziękowania. „Joskowi nie powiedziałem nawet: Bóg zapłać!- tak kończy swój utwór Gomulicki.—Nie spodziewał się on zresztą tego i—nie liczył na to. A jednak mówią, że oni zawsze na coś liczą...“

Znaczną część tomu wypełnili powieściopisarze młodszego pokolenia. Pomiędzy nimi wyróżnia się S. Daniłowski, którego nowela p. t. „Nad urwiskiem“ jest głęboką i śmiałą alegoryą. Nędzny, bezradny sadownik Lejba chwyta potwornego niemowę w swoim sadzie na gorącym uczynku rabowania owoców. I zaczyna się zacięta walka między temi dwiema niedołężnemi istotami, walka okrutna, nad brzegiem stromego urwiska, nad którem krzyż wyciąga swe zbolałe ramiona. Wtem osuwa się pod nimi ziemia, i obaj chwytają się podnóża krzyża, który nie wytrzymał ciężaru ich ciał i zwalił się wraz z nimi na dno. „Wyniszczonych, niedołężnych, pozbawionych głosu — takie refleksye wypowiada autor w zakończeniu utworu — przez los obdartych nędzarzy wyrok dziejów sprowadził nad straszne urwisko. Grunt się osuwa pod nogami, oparcie stóp przepaść chłonie—a oni zamiast wzmocnić się, zabezpieczyć i w pojednaniu spożywać wspólnie dojrzały owoc z drzew ojczystych—w szale walki i zaślepieniu nienawiści wyważają ostatnią podporę: święty symbol miłości, przeobrażają go w godło obustronnej hańby, z którą znienawidzeni toczą się w przepaść na wieczną zgubę...“

Młody beletrysta, od niedawna występujący na niwie literackiej, p. F. Brodowski: zamieścił tu dwie nowele, wyjęte z niedawno wydanego zbioru p. t. „Chwile,“ a mianowicie: „Dziecię Symchy“ i „Strącone liście.“ Pierwszy z tych utworów treścią zbliżony jest do „Chawy Rubin,“ „Gedalego“ i t. p., przedstawia nędzną dolę przekupki wędrownej i jej córki, pięknego dziewczęcia, które ginie przedwcześnie w okrutnej i bezlitosnej walce o byt; „Strącone liście“ są obrazem szlachetnej duszy starego żyda, Netela Bauma, jego marzeń, dumań i smutków.

Dopełniają zbioru dwie jeszcze nowele. W jednej z nich p. t. „Perła“ p. Kazimierz Zdziechowski kreśli typ młodej i inteligentnej żydówki o żywym temperamencie i gorącej wyobraźni, padającej ofiarą swych altruistycznych zabiegów; w drugiej p. t. „Nowy Abraham“ p. Wanda Dalecka przedstawia pełną tragizmu sytuacyę z życia rodziny ubogiego krawca, targającego zdrowie na strzępy w pracy nad siły.

Taka jest zawartość zbiorku „Z jednego strumienia,“ wydawnictwa bądź co bądź znamiennego i zasługującego na uznanie

najzupełniejsze. Świadczy ono, że i dzisiaj, mimo zaostrzonych stosunków są ludzie, rozumiejący swe obowiązki obywatelskie, obowiązki, na ludzkich uczuciach gruntowane; świadczy też, że piśmiennictwo nasze nie zboczyło z drogi, wskazanej przez Ursynów i Mickiewiczów.

Ale po przeczytaniu tego tomu nowel ogarnia serce dziwny smutek. I to nie dlatego, że ich bohaterowie są tak nędzni, bezbronni, z duszą, przeżartą rozpaczliwą walką o byt; i nie dlatego, że tło tych utworów jest tak dalekie pogody, słoneczności, wesela. Ale smutek dlatego zapada nam w duszę, że mimowoli musimy przyjść do przekonania: wszystkie te szlachetne, humanitarne usiłowania nie zdadzą się na nic.

W samej rzeczy, w życiu praktycznem nie postąpiliśmy bodaj ani kroku w ciągu całego wieku, od chwili ukazania się „Lejba i Siory.“ Czy stało się to z naszej winy? Wszak literatura nasza zawsze stała na straży ideałów, głosiła najwznioślejsze hasła współżycia, nie splamiła się nigdy nienawiścią; przeciwnie, najlepszych swych bojowników posyłała na bój o prawdę, o szczęście wspólne dla wszystkich. Cóż więcej uczynić mogła? możnaby zapytać smutnem pytaniem Skargi.

Ale druga strona co może przeciwstawić tym szczytnym usiłowaniom? kto wskaże wśród tych, co przodownikami są rzeszy żydowskiej, taki zastęp wielkich pojednawców, jak Niemcewicz, Mickiewicz, Słowacki, Konopnicka, Świętochowski, Orzeszkowa? znajdzież się choć jeden utwór w literaturze hebrajskiej i żargonowej, któryby, jak „Chawa Rubin,“ jak „Mendel Gdański,“ jak „Gedali,“ uczył kochać chrześcijan i mieć ich za braci? kochać tę ziemię, na której urodziły się dziady i pradziady?

Co się kryje w tej ciemnej, nikomu niedostępnej literaturze, jakie ziarna rozsiewa ona po płodnej glebie, nie wiemy i wiedzieć nie możemy. I nikt żądać od nas nie może, byśmy dla tego celu uczyli się hebrajszczyzny lub żargonu. Pragnieniem naszem byłoby przemawiać do tych rzesz — po polsku, ale do tego bodaj jeszcze bardzo daleko.

W jakiż więc sposób trafimy do tych umysłów ciemnych, ciasnych, sfanatyzowanych, które o tych dążeniach nie wiedzą i wiedzieć nie mogą? Czy możemy im dawać nasze pisma, nasze książki, naszą poezyę?

I do niniejszej książki, choć rozsłonecznionej wielkim blaskiem ideału, wkradły się cienie i mroki, mimo wiedzy nawet autorów. Gedali np., choć umiera niemal z głodu i wycieńczenia, nie zasiądzie do wspólnej z chrześcijanami wieczerzy, bo to —

trefna strawa, a odchodząc, tak będzie się modlił: „Dziękuję ci, Panie świata, żeś naród mój wybrał pomiędzy narody“!... Dopóki żyd tak będzie się modlił do swego Jehowy, dopóki pielęgnować będzie ducha wyłączności, dopóty wszystkie nawoływania, choćby odbijały się echem tysiąckrotnem w naszych sercach, będą głosami wołających na puszczy.

Albo inny przykład. Stary Netel Baum, szlachetny idealista w noweli p. Brodowskiego: „Strącone liście“ ma dwu synów: Wigdora i Szlomę, lichwiarzy i zdzierców, co „we dwóch dźwigali na swych sumieniach więcej ludzi, rozpaczą zabitych i rękami ich do zbrodni popchniętych, niż wyliczyćby mógł najstraszniejszy rozbójnik, ukarany sprawiedliwością ludzką;“ a i wnuk ukochany Netela, Joel też został bankierem, z duszą „pełną wzgardy dla strąconych liści.“ Cóż więc po szlachetnych ojcach, jeśli takie płodzą potomstwo?

Tu przypomina się złośliwy komentarz, dodany przez Tarnowskiego do „Chawy Rubin:“ „Chawa Rubin miała brata. Ten siedział na karczmie, faktorował, prowadził handelki, chłopów poił, a spojonym przypisywał coraz nowe procenty, tak że w końcu połowa gruntów przeszła na jego własność, a połowa wsi na żebry lub do Ameryki.“ I słowom tym, choć dalekim wszelkich ideałów, trudno odmówić słuszności, prawdy życia codziennego.

Mendel Gdański, choć mądry i zacny starzec, myli się pod jednym względem, kiedy mówi: „Te dziure, to nie żydki zaczęły pierwsze drzeć. Nu, że uni ją potem darli, to ja wiem, to ja nie skłamię, nie powiem, że nie! Ale najpierw, to ją zaczęła drzeć zapomniałość na to, co wszystkie ludzie od jednego Boga stworzone są.“ O tem, kto pierwszy darł, mówić wcale nie można, bo suknia nigdy nie była zeszyta, ale Mendel nie wie zapewne, że my chcieliśmy ją łatać i ciągle łatamy, choć przychodzi to nam z niezmierną trudnością, gdy jego współwyznawcy w swej wielkiej „zwartej większości“ nigdy o tem naprawdę nie myśleli.

Ale przyklasnąćby z duszy całej temuż Mendlowi, gdy z dumą powiada o sobie: „Czy ja tu przyszedł, jak do karczmy? Zjadł, wypił i nie zapłacił? Nu, ja tu nie przyszedł, jak do karczmy! Ja tu tak w miasto urósł, jak ta brzezina w lesie! Zjadł ja tu kawałek chleba, prawda jest. Wypił też wody, i to prawda jest. Ale za tego chleba i za tej wody ja zapłacił... Nu, ja temi rękami zapłacił za każdy kęs chleba i za każdy kubek wody, co tu zjadł i wypił.“

Ależ tak! dawajcie nam takich Mendlów jak najwięcej, niechaj wszyscy żydzi tak, jak on, myślą i czują, niech nie tylko pracą

rąk, ale i sercem płacą za ten kawałek chleba z naszego zagona, a wtedy będziemy mówili o syonizmach i antysemityzmach, jak o zabytkach przeszłości: inkwizycyi albo prawie pierwszej nocy.

I jeszcze jedno. Nowele niniejsze mówią wyłącznie niemal o nędzarzach, pasierbach losu. „Niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo — mówi Orzeszkowa w noweli: „Daj kwiatek“ — jak znać historye, całe, od początku do końca, historye wszystkich nizkich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych.“ Dla tych ludzi słusznie powinniśmy czuć litość ogromną i serdeczne współczucie.

Ale co zrobimy np. z liczną rzeszą półcywilizowanych, ćwierćkulturalnych „szajgeców,“ co zrzucili stary strój swoich ojców, a nie przejęli od nas ani jednej iskry naszego ducha, przeciwnie, wszystkiego, co nasze, z rozmysłem i tendencyjnie unikają? co zrobić z tym wielotysięcznym zastępem kupców, rzemieślników, drobnych przemysłowców, subjektów, pracowników kantorowych i t. p.? jak trafić do nich ze słowem miłości i braterstwa?

I znowu nasuwa się nieznośne pytanie: czyżby cała praca wiekowa, której celem uobywatelenie żydów, była dotychczas całkiem bezowocna? czy może nawet nie należało jej wcale podejmować? Na pierwsze pytanie odpowiedzieliśmy już przecząco, ale co do drugiego, przeciwnie: każda praca ku uszlachetnianiu ludzkości pożądana jest, bo bez niej nie byłoby postępu, który prędzej czy później przyjdzie, przyjdzie niezawodnie, choć obecnie do tego jeszcze bardzo daleko. Postulaty społeczne i uczucia, przepełniające nowele „Z jednego strumienia,“ nie są dla nas doraźną regułą postępowania na dziś ani na jutro, ale idealnym wskaźnikiem przyszłości. I dlatego słusznie i szlachetnie czynią ci, co wykreślają światu lepsze, rozleglejsze horyzonty myśli i uczucia.

W życiu praktycznem główna część pracy musi stanowić zadanie przewodników ludności żydowskiej, kwiatu jej inteligencyi i uduchowienia, szlachetnej cząstki jej młodzieży, bo im tylko będą wierzyły tłumy i pójdą za nimi. Dotychczas stosunek inteligencyi izraelickiej do ogółu żydowskiego spoczywa na fałszywych podstawach: jedni wyodrębniają się ze swojej sfery i już nie troszczą się o losy i sumienie swych współwyznawców; inni utrzymują wprawdzie nić sympatyi z tłumem, ale nie starają się, a przynajmniej nie dość starają się zaszczepiać w masie współbraci poczucie i rozumienie obowiązków obywatelskich, natomiast nęcą ich sprawy i zadania najzupełniej obce naszym potrzebom narodowym.

Henryk Galle.

PIŚMIENNICTWO.

Piętnaście lat w legionach. Pamiętniki KAZIMIERZA TAŃSKIEGO, generała b. wojsk polskich, z przedmową i przypisami Stanisława Wojciecha Turowskiego. Warszawa 1905.

W „Cmentarzu Powązkowskim“ Kazimierza Wójcickiego znajdujemy wzmiankę, że po generale Tańskim pozostały pamiętniki, skreślone ręką jednego z zakonników, domowników generała. „Czytaliśmy je — pisze Wójcicki — fakta ciekawsze są tu zachowane, ale najważniejsza część żywotna uleciała z nich, bo w opowieści brakuje tej zdolności ujęcia pismem owych szczegółów i wdzięku, jakie miało opowiadanie samego wojownika. Ceniony i szanowany w obywatelstwie po wyjściu z wojska, jak włożył surdut i buty t. zw. kroju napoleońskiego, jakie były w modzie za czasów Księstwa Warszawskiego, tak donosił do zgonu, pomimo różnych krojów, jakie moda z zagranicy przynosiła. Do chwil ostatnich niemal zachował czerstwość myśli i ciała, zahartowanego w tyloletnich trudach wojennych.“ Tyle słów Wójcickiego. Pamiętniki Tańskiego pozostawały w rękopismie aż do przeszłego roku, w którym najstarszy wnuk generała powierzył je p. Stanisławowi Turowskiemu, który pisze o nich słowa następujące: „Pamiętników swoich generał nie pisał, bo pisać nie lubił i miał charakter tak niewyraźny, że sam nie przeczytałby tego, co napisał. Wzięła się więc do tego ręka domownika Łagiewnickiego, księdza reformata Orłowskiego i opowiadania generała zapisywała. Gdyby się na tem tylko skończyło i gdyby zapisane słowa były oddawane do redakcyi generała, możnaby było być pewnym, że w pamiętniku jego brakowałoby tylko dat. Lecz ksiądz reformat postępował inaczej. Sam coś przeczytał w bibliotece Łagiewnickiej i przeczytane dodawał do opowiadania gene-

rała, nie oddając mu nic do redakcyi.“ Skutkiem tego w pamiętnikach pozostała masa błędów, tak co do faktów, jak i co do dat, które p. Turowski starał się pousuwać. W końcu przedmowy znajdujemy wzmiankę następującą: „Częstym gościem w Łagiewnikach bywał pułkownik Józef Paszkowski, były profesor artyleryi w szkole aplikacyjnej. Pozostawił on po sobie kilka artykułów treści naukowo-wojskowej i jakiemiż to byłyby pamiętniki generała Tańskiego, gdyby je zechciał napisać pułkownik Paszkowski.“

Tański, jak się z pamiętników dowiadujemy, urodził się w r. 1774, a w r. 1788, mając lat czternaście, zaciągnął się do brygady 2-ej kawaleryi, pozostającej pod dowództwem brygadyera Biernackiego. Przyjęty został do brygady w stopniu towarzysza i umieszczony w 19-ej chorągwi szefostwa Mniewskiego, kasztelana kujawskiego. Brygada Biernackiego, a z nią i Tański, odbyła kampanję w r. 1792, a w r. 1793 udała się na Wołyń i stanęła w miastach: Włodzimierzu, Kowlu i innych. W r. 1794 brygada Biernackiego połączyła się z armią główną i walczyła z nią pod Szczekocinami a później w okolicach Rawy i Sochaczewa pilnowała komunikacyi z oddziałem Henryka Dąbrowskiego. W r. 1795 Tański z własnego popędu udał się do Lwowa, a stamtąd pod różnemi pozorami robiąc wycieczki nad brzegi Dniestru, przedarł się przez granicę i stanął na ziemi wołoskiej. W okolicach Czerniowiec znalazł już około 500 oficerów dawnego wojska polskiego, którzy umyślili zrobić dywersyę na korzyść rządu francuskiego, ale po traktacie w Campo-Formio plan ów zupełnie upaść musiał, w następstwie czego cały oddział polski się rozwiązał. Zanim jednak ostateczne rozejście się nastąpiło, oficerowie polscy doznali wielu udręczeń z powodu braku funduszów i grasującej dżumy. W rozpaczliwem położeniu udała się reszta oficerów pod opiekę rządu tureckiego, a Tański z dwoma jedynie towarzyszami przedzierał się przez ogromne stepy i prawie niedostępne oczerety do Galacza, gdzie znalazł 20 kolegów, różnemi drogami tam przybyłych.

W Galaczu wsiadł Tański z towarzyszami swymi na okręt turecki i płynął aż do ujścia Dunaju, gdzie zastał kozaków zaporoskich, trudniących się rybołóstwem, którzy go zaopatrzyli w żywność. Wielu z pomiędzy naszych — pisze Tański — patrząc z blizka na burzliwe morze Czarne, na pływające resztki rozbitych okrętów i trupy ludzkie, straciło odwagę i wytrwałość i zaniechało podróży do Konstantynopola. Kilku zaledwie zdobyło się na to ryzykowne postanowienie. W tej wyprawie spotkała

Tańskiego straszliwa burza morska. Okręt został uszkodzony, a Tański wysiadłszy na ląd w Bulgaryi, zmuszony był udać się piechotą do portu Kowarna, gdzie przybył w wielkiem zmęczeniu i z pokaleczonemi nogami. Po krótkim odpoczynku wsiadł Tański na inny turecki okręt, ale i na nim spotkał się z poważnem niebezpieczeństwem i był blizki zatonięcia. W końcu cudem prawie wpłynął do Bosforu, a w Konstantynopolu zastał generała Rymkiewicza, który wspierał i pielęgnował licznych rozbitków polskich. Pobyt Tańskiego w Konstantynopolu trwał do 21 września 1797 roku, skąd po uzyskaniu paszportów od ambasady Rzeczypospolitej Francuskiej wsiadł na okręt raguzański i po wielu niebezpieczeństwach zawitał znękany do portu Spezzia, w którym musiał odbyć kwarantannę.

W Medyolanie zastał Tański cztery bataliony pod dowództwem generała Wielhorskiego i Władysława Jabłonowskiego; zapisał się zaś do legii pierwszej generała Dąbrowskiego, która otrzymała rozkaz uwięzienia legatów papieskich i zajęcia Państwa Kościelnego. Tański został wykomenderowany do miasta Fano w celu zaaresztowania kardynała Severas Testa Ferrata. Niemiły rozkaz wykonał z możliwą dla dostojnego więźnia względnością, zyskując sobie tym sposobem jego przychylność i trwałą wdzięczność. Gdy Pius VI wywieziony został z Rzymu, legia Dąbrowskiego spotkała go w Tolentino. Po oddaniu honorów wojskowych otrzymała od niego błogosławieństwo. W Rzymie zastali Polacy ulice puste i domy pozamykane. Pokazało się, że Francuzi rozpuścili wieści o Polakach, że to są dzicy barbarzyńcy i tym sposobem rozpowszechnili obawę przed nimi. W Rzymie legia Dąbrowskiego nie zażyła wielkiego spoczynku, ani doznała dostatecznych wygód, oddziały bowiem polskie wysyłane były nieustannie do prowincyi Państwa Kościelnego, dla poskromienia nieprzyjaznych poruszeń przeciw rządowi francuskiemu.

Powstanie w Neapolitańskiem, następnie bitwy pod Trebbia, Novi, Hohenlinden opisał Tański pobieżnie, nie dodawszy od siebie ani jednego charakterystycznego szczegółu. W r. 1800 przeniesiono Tańskiego do brygady Rożnieckiego, ale otrzymał on urlop, w celu pojechania do Petersburga i załatwienia ważnych spraw majątkowych. Dopiero w r. 1804 ujrzał się znowu Tański w brygadzie Rożnieckiego i w Neapolu doczekał się strasznego wybuchu Wezuwiusza, skutkiem którego zniszczone zostały trzy prowincye neapolitańskie. W tej żywiołowej katastrofie zginęło w samym Neapolu dużo ludzi, a Tański tylko jakby cudem ocalony został. W hotelu bowiem, w którym stał, już 33 osoby

w gruzach walącego się domu śmierć znalazły i wszystkie schody runęły, a Tańskiemu nie pozostało nic innego, jak z balkonu wyskoczyć na ulicę. W gwałtownym upadku nabył dotkliwego kalectwa, które go nie opuściło do śmierci, i schronił się do portu Neapolitańskiego, gdzie był przyjęty przez fregatę rosyjską, która się tam znajdowała z Tatiszczewem, nadzwyczajnym posłem rosyjskim do króla Ferdynanda.

Tański przebywał aż do 1806 r. we Włoszech, przeważnie w Neapolitańskiem, uczestniczył w bitwie pod Castel-Franco, gdzie rozbitym został generał austryacki de Rohan i został nawet w tej bitwie dokuczliwie rannym. Wszystko to jednak nie przeszkadza, że w pamiętniku swoim nie zapisał ani jednego ciekawego czy oryginalnego szczegółu i pozostał wyłącznie na stanowisku kronikarza, notującego obojętnie, w porządku chronologicznym, wypadki i zdarzenia osobliwsze. Po utrudzającym marszu przez drogę z Włoch do Szląska, generał Lefebvre rozkazał brygadzie Rożnieckiego uderzyć na zbrojne kupy ludzi, wraz z armatami, które się pod Salzbrunn znajdowały. Brygada niezwłocznie zaatakowała nieprzyjaciela, zabrała wszystkie armaty i z tryumfem weszła do Wrocławia. Waleczny i w bojach zahartowany pułk nasz ułanów — pisze Tański — sławny w dodatku tylu świetnymi czynami, wielkie zrobił wrażenie na mieszkańcach Wrocławia i był postrachem dla Niemców. Hieronim Bonaparte polubił niezmiernie polskich ułanów, używał ich nieustannie do opasania twierdz szląskich, a służba taka wiele kosztowała ofiar, tak, że w pułku zaledwie połowa ludzi została.

Po skompletowaniu należytem pułku i nazwaniu go legią nadwiślańską, wysłanym on został pod dowództwem słynnego Konopki na pobojowiska hiszpańskie. W Paryżu, na polu Marsowem, odbywając rewię, pułk ułanów zrobił niezwykłe wrażenie. Wydano nawet w Paryżu mnóstwo rycin, które z zadziwiającem podobieństwem przedstawiały żołnierzy, pozycye i obroty pułku. Po rewii nastąpiły festyny, na których Cambacères, wielki kanclerz Państwa, zastępował cesarza i fetował wystawnie ułanów. W Bayonnie przedstawił się pułk cesarzowi. Przyjęcie pułku naszego ułanów w Bayonnie — pisze Tański — na zawsze będzie pamiętnem dla tych, co wtedy w nim służyli. Najprzód cesarz odbywszy rewię, przyszedł do nas pieszo. Pułk nasz, zsiadłszy z koni, przyjął go z otwartymi szeregami. Po odbytej lustracyi i zapytaniu się każdego dowódzcy kompanii o listę obecnych i nieobecnych, gdzie są, i o stan obuwia, bielizny, masy wszystkich szczegółów, tyczących się administracyi, a innych oficerów sztab-

lernów, z których są części Polski? jak długo służą? i t. p., wsiadł cesarz na rosłego konia normandzkiego, w mundurze piechoty i zaczął maszerować z pułkiem, ale kazał wykonywać tylko te obroty, które są przepisane dla piechoty. Napróżno generałowie adjutanci przypominali mu, że tego nie ma w regulaminie, że niepodobna, ażeby to jazda uskutecznić mogła; on się tylko uśmiechał, nowe komendy pułkownikowi Konopce podawał, a my to uskuteczniali. Szczęściem było, iż te komendy pułkownik Konopka rozumiał, bo dawniej służył w piechocie, również jak grosmajor Klicki i szef szwadronu Ruttier. Po tym szczegółowym przeglądzie nastąpiły znowu obfite fety, podczas których cesarz niespodzianie się ukazywał, witany frenetycznemi okrzykami.

Tański nie dojechał tym razem do Hiszpanii, lecz dzięki protekcyi Chłapowskiego otrzymał urlop, ażeby w Petersburgu załatwić powikłane sprawy majątkowe, które go już raz powołały do tego miasta. W Petersburgu bawił Tański aż do 12 marca 1809 r. W tym czasie wyprawił go Caulaincourt, ambasador francuski, jako kuryera z ważnemi depeszami do Napoleona. Dnia 23 marca wjechał Tański do Paryża, w chwili, gdy się odbywała wielka rewia gwardyi cesarskiej. Cesarz, gdy dostrzegł konie galopem pędzące, domyślił się, że to kuryer z Petersburga i wysłał do niego adjutanta z zawiadomieniem, że go oczekuje. Gdy Tański stanął przed cesarzem, tenże go zapytał, kiedy wyjechał z Petersburga, a otrzymawszy odpowiedź, rzekł łaskawie: „Pokazuje się, że nie traciłeś czasu na toaletę, doskonaleś jechał, pilnie wykonałeś swój obowiązek i przeszedłeś w pośpiechu wszystkich moich kuryerów.“ Zwracając się następnie do marszałka Duroca, rozkazał cesarz, aby Tańskiego zaopatrzono w posiłek i zgotowano mu należyte wytchnienie.

Tański nie powrócił już do swego pułku w Hiszpanii, ale został wysłany do Eugeniusza, wicekróla włoskiego, dowodzącego naówczas armią włoską przeciw Austryakom. Tański otrzymał do Eugeniusza rekomendacyę od cesarzowej Józefiny, dostarczoną mu przez doktora Markowskiego, który swego czasu generałową Beauharnais ocalił od gilotyny. Cesarzowa Józefina dochowała doktorowi Markowskiemu szczerą wdzięczność przez całe życie, ale Markowski korzystał z niej tylko dla dopomożenia swoim rodakom, będącym w potrzebie lub kłopotliwem położeniu. Kiedy też Tański doręczył list Markowskiego cesarzowej, ta nie tylko napisała natychmiast list do swego syna, ale ostrzegła z nieporównaną dobrocią i uprzejmością, aby zaniechał drogi na Konstancyę, bo w całym kantonie wybuchło powstanie przeciw Francuzom,

ale żeby podążał do Eugeniusza przez mały Saint-Bernard i most Simplon do Medyolanu, albowiem ta droga była dobra i bezpieczna. Eugeniusz przyjął z rąk Tańskiego listy od matki z prawdziwem rozrzewnieniem i ofiarował się nim zająć, otaczając go względami i staraniem.

W szeregach armii wicekróla włoskiego uczestniczył Tański w batalii pod Wagram, ale znowu nie zapamiętał ani jednego charakterystycznego szczegółu, który mógłby wzbogacić legendę napoleońską. W r. 1810 przyłączony znów do legii nadwiślańskiej, udał się do Hiszpanii i w Królestwie Leonu ścigał naczelnika gerillasów, księdza Merino. Z Puebla de Senaberya udał się Tański ku Benewento, gdzie się znajdowało regularne wojsko hiszpańskie. Chcąc otoczyć oddział, Francuzi zaatakowali Hiszpanów, a Tański przy pierwszem natarciu został ciężko ranny w nogę, co go zmusiło do opuszczenia pułku i udania się do Francyi dla poratowania zdrowia. Przyszedłszy cokolwiek do zdrowia, udał się Tański z prośbą do ministra wojny, aby mógł być przeniesionym do wojsk Księstwa Warszawskiego. Zamiar pożądany został nareszcie doprowadzonym do skutku i Tański otrzymał rozkaz udania się do 11-go pułku ułanów, którego garnizon znajdował się w Tarnowcu nad Wisłą.

W tym pułku odbył Tański kampanię w r. 1812. W pamiętniku jego znajdujemy tylko jeden szczegół, dotyczący Konopki, zasługujący na przypomnienie. Konopka dowodził świeżo zorganizowanym pułkiem gwardyi litewskiej, a Bron, gubernator grodzieński, zawiadomił go, że Czaplic, generał nieprzyjacielski, czatuje na niego z przeważającemi siłami. Konopka zamiast maszerować według drożnej karty na Mińsk, samowolnie udał się na Słonim, gdzie, jako w rodzinnem mieście, zanadto długo bawił i nie słuchał przyjacielskiej rady, a nawet gdy mu Tański z obowiązku przedstawiał potrzebę szybkiego opuszczenia Słonima, jeżeli całego pułku nie chce zgubić, silnie się na niego rozgniewał, rozkazując mu wrócić do Grodna. Tymczasem tejże samej nocy zarozumiały Konopka napadnięty został przez Czaplica i zgubił cały pułk gwardyi, a sam wzięty został do niewoli, przez co jedynie uniknął wyroku sądu wojennego za nieposłuszeństwo. Tański zaledwie się oddalił dwie stacye od Słonima, usłyszał huk armat, a wkrótce potem rozbitkowie donieśli mu, że wszystko stracone.

W r. 1813 Tański został przed cesarzem oskarżony, iż dopomógł partyzantowi pruskiemu, Lützowowi, do wydostania się z matni. Pułkownik Carrion de Nisas chciał własną winę spę-

dzić na Tańskiego, ale marszałek Saint-Cyr z rozkazu cesarza przeprowadził surowe śledztwo i uznał Tańskiego niewinnym. Wkrótce potem, gdy pułkownik Stokowski został w Moguncyi przypadkowo pochwyconym do niewoli, na przedstawienie Caulaincourt'a, Tański został mianowany dowódzcą pułku, czego mu książę Poniatowski i cały generalitet polski szczerze winszowali, jako wielkiego odznaczenia, albowiem pułk zyskał sobie sławę nielada i Hiszpanie zwali go: „Los infernes picadores.“ Na czele pułku ułanów brał Tański udział w bitwie pod Dreznem i zaznacza jedynie ten szczegół, że Murat żywił zawsze dla tego pułku niekłamane uznanie i życzliwość. Reszta pamiętnika zawiera jedynie wiadomości, dotyczące prywatnych stosunków Tańskiego i dlatego bez straty dla legendy napoleońskiej pominąć je możemy.

Do czynów wojennych, nawet tych, w których Tański bezpośrednio brał udział, wspomnienia jego mało dorzucają nowych uwag, czy charakterystycznych szczegółów. Za to, do życia pułkowego, rewii, przeglądów i stosunku pułku do Napoleona spotykamy dość interesujących wzmianek i pod tym względem pamiętniki Tańskiego nie są bez wartości. Przytem przypiski p. Turowskiego ujawniają męża oczytanego należycie i zaznajomionego gruntownie z literaturą wojskową napoleońską. W przypiskach jego znajdujemy też niejednokrotnie dokładne objaśnienia.

A. R.

BRONISŁAW GEMBARZEWSKI. *Wojsko polskie.* Księstwo Warszawskie 1807—1814. Warszawa 1904.

Dotychczas w literaturze naszej nie posiadaliśmy pracy, któraby nam przedstawiła historyę organizacyi wojsk polskich z czasów Księstwa Warszawskiego. Liczne pamiętniki wyższych i niższych wojskowych zawierały sporą ilość rozrzuconych wiadomości, ale tego niedostatecznego, a często i bałamutnego materyału nie można było nazwać historyą wojska, tylko, zaledwie źródłem przygotowawczem dla historyka wojskowości. Dopiero p. Gembarzewski dał nam pełny i bogaty obraz historycznego rozwoju wojska od 1807—1814 r. i w obrazie tym przedstawił nietylko wszystkie instytucye wojskowe, całą administracyę wojenną, ale oznaczył dokładnie o ile przepisy prawodawstwa zostały wykonane w rzeczywistości. Praca p. Gembarzewskiego oparta została na bogatym materyale źródłowym, archiwalnym i drukowanym.

Autor spożytkował pilnie i starannie kilka archiwów w Warszawie, archiwum ministeryum wojny w Paryżu, nieodzowne dla historyi tych pułków polskich, które walczyły za granicami Księstwa i korzystał z wielu zbiorów rękopismiennych prywatnych, które odszukiwał przez lat kilkanaście z godną uznania gorliwością. Szereg druków, którymi się autor posługiwał, jest również poważnym oraz imponującym. Na druki owe składała się literatura polska, zarówno jak i francuska. W pamiętnikach marszałków, czy to wyższych oficerów francuskich, znajdujemy cenne przyczynki do oceniania wartości bojowej naszych pułków i bez ich pomocy legenda napoleońska w Księstwie nie może być wiernie odtworzona. Pamiętniki francuskie przekręcają niemożliwie nazwiska naszych wojskowych. Kąsinowski pozostanie dla nich na zawsze Kasinowskim lub Kosinouskim, Klicki — Kliskim, Chłopicki — Chlopiskim, Dąbrowski — Dabrowskim a Zajączek — Zayonchek'iem, ale zachowanie się ich na czele wojsk zostało dokładnie opisanem, a tem samem zdolność bojowa wojsk gruntownie oceniona. I wśród polskich druków, któremi się autor posiłkował, spotykamy wiele rzadkości bibliograficznych, z któremi nie łatwo się spotkać można w zbiorach antykwarskich. W dodatku część historyczną przyozdobił autor bogatemi ilustracyami, odtwarzającemi drobiazgowo i dokładnie umundurowanie wojsk Księstwa. Autor spożytkował należycie bogate zbiory Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, uzupełniając swe wiadomości tem, co w zbiorach polskich zdołał odszukać.

Pierwszy rozdział książki p. Gembarzewskiego został poświęcony sztabom i ogólnej organizacyi wojska. Spotykamy się tu nasamprzód z organizacyą sztabów legii Dąbrowskiego, Zajączka i ks. Józefa. Przyczem autor nie zaniedbał dać nam dokładnej charakterystyki tych trzech wysokich wojskowych polskich, którzy nie bardzo sympatyzowali i harmonizowali z sobą. Szefem sztabu głównego wojsk Księstwa był generał Józef Fiszer, o którym się autor wyraża, że był pracowity, wielkich zdolności i nadzwyczajnej odwagi, zdatny równie do pracy gabinetowej, jak do służby w polu. Usposobienia zimnego i umysłu metodycznego oraz konsekwentnego, był nadzwyczaj pożytecznym przy naczelnym wodzu, który też polegał na nim. We wszystkich szczegółach służby surowo przestrzegał karności wojskowej i energią w służbie naprawiał to, co miękkość księcia Poniatowskiego częstokroć psuła, lecz za swą surowość i popędliwość nie był lubiony przez oficerów niższych stopni. Fiszer pełnił jednocześnie czynności inspektora piechoty.

Drugi rozdział poświęcony został piechocie. Przedstawił w nim autor początki organizacyjne piechoty; o legii północnej podał wiele interesujących szczegółów, które pomnożył wiadomościami o pułkach, walczących w Hiszpanii, które w archiwach paryskich odszukał. Lefebvre, dowodzący polską piechotą w Hiszpanii, uskarża się na nią nieustannie. Gdyby Polacy mogli maszerować,—pisze Lefebvre do majora generalnego (Berthier),— byłbym przybył o jeden dzień wcześniej do Avila. Niepodobna ich używać, gdy chodzi o marsz. Dobrzy są do służby garnizonowej; inaczej Bogu samemu pozostawiam możność zrobienia z nich czegokolwiek. Nie mają ani ubrania, ani obuwia i niepodobieństwem jest znalezienie tego dla nich, gdyż mają stopy za wielkie i za długie. Trzeba robić umyślnie. Do zaspokojenia potrzeb polskiej piechoty nie poczuwała się jednak administracya francuska. Na przedstawienia pułkowników, francuski minister wojny zabronił im cokolwiek sprowadzać z Francyi, twierdząc, że dosyć środków znajdą w Hiszpanii dla ubrania swoich pułków. Pomimo jednak tak dotkliwych braków i nędzy, waleczność i poświęcenie się pułków polskich wpływały rozstrzygająco na najważniejsze bitwy. Zaraz w 1808 r. miało to miejsce w potyczce pod Almaraz a w r. 1809 pod Talavera i Almonacid. Poświęciwszy miejsce polskiej piechocie wogóle, autor następnie skreślił dzieje każdego pułku poszczególnie, podając komplet jego oficerów i wyliczając pobojowiska, na których się pułk odznaczył. Tym sposobem autor nadał swemu rozdziałowi o piechocie niezwykły interes, ratując wiele nazwisk zasłużonych od zapomnienia.

Załatwiwszy się z piechotą, autor poświęcił uwagę jeździe. Pomimo wybornego składu jazdy — powiada autor — do której przeważnie garnęła się szlachta, zżyta od dziecka z koniem, i pomimo męstwa, okazywanego w boju, naogół pułki konnicy Księstwa Warszawskiego w owej epoce były gorzej wyćwiczone od pułków piechoty. Winę tego przypisywali ówczesni generałowi Rożnieckiemu, który, jak pisze generał Weyssenhoff, zakładał sobie jakieś odmiany i poprawki w ćwiczeniu jazdy, ale nie miał nigdy czasu do przedstawienia ministrowi wojny coś ułożonego w tym względzie. Każdy pułkownik uczył podług swojej myśli, lub wedle niezrozumiałych instrukcyj ustnych pana inspektora jazdy. Co się tycze innych urządzeń, te lubo były i jeździe posłane, nigdy nie weszły w porządne wykonanie, gdyż inspektor wolał stan niepewny, w którym łatwiej mu było decydować podług swojej własnej myśli, a w szczególności podług swojej korzyści. Z tego powodu jazda była co do administracyi zgorsze-

niem dla piechoty, a co do porządku i nauki daleko za nią. Właściwie mówiąc, pułki jazdy Księstwa dopiero w kampanii 1813 i 1814 r. zdobyły należyte doświadczenie i wyćwiczenie. Przedtem jednak jazda Księstwa, pomimo świetnej postawy, składała się przeważnie z pułków młodych, nieumiejących maszerować i które nigdy nie były w ogniu.

Po przedstawieniu ogólnej charakterystyki jazdy Księstwa, autor skreślił w krótkości historyę każdego pułku, podając skład kompletny jego oficerów. Co do pułku kirasyerów polskich podał nam autor bardzo interesujące szczegóły. Pułk ten był formowany w r. 1809 w Końskich, dobrach Stanisława Małachowskiego, jego kosztem. Pułk ten liczył tylko dwa szwadrony, lecz bardzo piękne i dobrane. Sformowany później od innych pułków galicyjskich, pułk ten nabrał należytej postawy wojskowej. Wprowadzenie do wojska polskiego nowej broni, kirasyerów, w tak nielicznym komplecie i to znacznie kosztowniejszej od strzelców lub ułanów, podlegało zarzutom, skutkiem czego wydał król r. 1810 dekret następujący: Pułk kirasyerów Księstwa Warszawskiego, w aktualnym swoim co do liczby i organizacyi stanie, na pułk strzelców konnych przeistoczony zostanie. Książe Poniatowski widział jednak trudność w tej zamianie i podał projekt, aby pułk kirasyerów przemieniono na pułk dragonów. Jednakowoż nowy dekret królewski ponownie nakazał zamianę kirasyerów na strzelców konnych. Z tego powodu książe Poniatowski wydał następujący rozkaz dzienny do pułku 14-go kirasyerów: Z okazyi nastąpionej odmiany, mam sobie za obowiązek oświadczyć temu pułkowi, że było mi przyjemnie widzieć w nim formującą się pod mojem okiem nową broń, która, biorąc miarę po duchu, którym pułk ten tchnie, po porządku i instrukcyi, do której przychodzić zaczynał, pewny jestem, iż byłaby, równie jak inne bronie, doskonale odpowiedziała oczekiwaniom Króla i ojczyzny. Lecz ponieważ was było mało, rzadka wam byłaby sposobność dystyngowania się i nigdy prawie nie mielibyście jej sami, tak zaś stawszy się szaserami i porównani z resztą jazdy, z jeszcze większem ukontentowaniem będę was miał i podać wam przy zdarzonej okazyi zręczność łatwiejszą i równie skuteczną do wzniecenia emulacyi w drugich i należytej dla siebie chwały.

W końcu jednak przeważyło zdanie pierwotne i pułk 14-ty jazdy został pułkiem kirasyerów a zaliczony do tej broni wyruszył w 1812 r. w sile 456 ludzi na wojnę. W bitwie pod Możajskiem pułk Małachowskiego, tworząc brygadę z pułkiem kirasyerów saskich, pod dowództwem generała Thielmanna, brał świetny

udział w wiekopomnych szarżach ciężkiej jazdy na reduty rosyjskie. Pułk 14-ty, liczący przed bitwą 365 ludzi, przy zdobyciu bateryi wziął przeszło 300 jeńców i jedną zagwożdżoną armatę, którą pułkownik oddał zaraz do kwatery cesarskiej. Opanowane były cztery inne armaty, lecz nie można było ich uwieźć, z powodu braku koni. Według świadectwa dowódzcy pułku, nie było w pułku żadnego oficera, któryby albo sam nie był ranny, albo nie miał rannego konia. Zginął wtedy szef szwadronu, Jabłoński, doskonały instruktor jazdy, pułkownik Małachowski miał pod sobą dwa konie ranne, jednego od kartacza, drugiego od kuli karabinowej, a kirys jego miał trzy zagięcia od kul. Po bitwie pod Małojarosławcem, pułk, liczący tylko 46 kirasyerów, eskortował 24 armaty. Dnia 11 listopada pułkownik Małachowski, jako niemający już pułku, otrzymał pozwolenie jechania do Warszawy, lecz wkrótce potem został wzięty do niewoli pod Dąbrowną, wraz z majorem Ossolińskim. W lipcu r. 1813 z pułku kirasyerów utworzono jeden szwadron, liczący 180 ludzi i tyleż koni pod dowództwem pułkownika Dziekońskiego, który wraz z krakusami stanowił korpusik przedniej straży generała Umińskiego. Szwadron ten nie używał wtedy kirysów.

O pułku krakusów umiał nam autor opowiedzieć także wiele interesujących szczegółów. Pułk ten był uformowany z jeźdźców 50-dymowych, dostarczanych przez departamenty Księstwa, niezajęte przez nieprzyjaciela. Jeźdźcy ci mieli służyć do kompletowania dawnych pułków jazdy, lecz gdy się okazało niepodobieństwem postawienie tych ludzi, na bardzo lichych koniach siedzących, obok jeźdźców pułków liniowych, postanowiono z nich utworzyć pułk oddzielny, pod nazwą krakusów. Komendę nad tym pułkiem objął pierwotnie major Rzuchowski, doświadczony oficer, lecz niejako duszą tej formacyi został kapitan Boka. Temu ostatniemu należy się chlubne wspomnienie; on umysł swój zastosował do umysłu ludzi, z których miał w tak krótkim czasie utworzyć żołnierzy. On im wpoił ufność w samych siebie, nie używając ich do zbyt mozolnej musztry, lecz ułożeniem ruchów, dla nich właściwych i które łatwe były do pojęcia. Między innemi zaprowadził to, że wszelki ruch odbywał się kłusem, zamiast stępa. Nie było w pułku trębaczy, lecz buńczuczni z buńczukami, na których znaki, odbywały się wszelkie ruchy. Pułk składał się z czterech szwadronów, po 220 koni i wraz z kirasyerami stanowił straż przednią, dowodzoną przez generała Umińskiego. Pierwsza potyczka, w której udział brali krakusy, była pod Friedland w r. 1813, gdzie się odznaczył szef swadronu, Płoszczyński, na-

stępnie walczyli krakusi w ciągłych potyczkach przednich straży. Dnia 25 września 1813 r. Napoleon po raz pierwszy ujrzał krakusów. Na widok ich małych koni, nie mógł wstrzymać się od śmiechu. Generał Umiński pospieszył ku niemu dla zdania raportu. „Chcę zlustrować ten pułk; jest on dobry, wyborny; czy wiesz pan jaka jego siła?“ — rzekł do Umińskiego. Podjechawszy przed front, przyjęty został okrzykiem: „Niech żyje cesarz!“ Po zlustrowaniu koni i ludzi, rozkazał jednego konia rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wojłokiem, jeszcze bardziej śmiać się począł, a obróciwszy się do Caulaincourt'a, zawołał: „Oto ludzie, co na takich koniach biją kozaków i zabierają im sztandary! To przecie dzielna jazda i dzielny naród, ci Polacy!“ Do Umińskiego zaś powiedział: „Generale, muszę mieć takich 3000 ludzi.“ A gdy Umiński odrzekł, że takich koni nie znalazłby w Saksonii, cesarz zauważył: „Za pieniądze można dostać wszystkiego. Każę panu dać odpowiednie fundusze i nie ma o czem gadać; muszę mieć takie konie.“ Księciu Poniatowskiemu, który na ten czas nadjechał, powiedział: „Właśnie oglądałem pańską jazdę pigmejską; muszę mieć 3000 podobnej!“ Pod Lipskiem w d. 19 października mały oddział krakusów wraz ze szwadronem kirasyerów stanowił eskortę księcia Poniatowskiego.

Jednocześnie z innemi broniami wojska polskiego powstała w r. 1806 i artylerya. Już w grudniu 1806 r. stanęła w Poznaniu pierwsza kompania artyleryi. Generał Aksamitowski zajmował się jej organizacyą. Kompania ta należała do legii Dąbrowskiego. Jednocześnie formowano kompanie artyleryi w legii Zajączka. Co się tycze artyleryi należącej do księcia Poniatowskiego, to jedna kompania z siedmiu dostarczonymi jej przez Francuzów działami, wyruszyła już w styczniu 1807 r. do bateryi na Pradze. We wrześniu 1807 r. Napoleon przeznaczył dla artyleryi polskiej pewną ilość armat z parku, zabranego Prusakom w Poznaniu. Pierwszy transport tych dział przybył do Warszawy d. 20 października. Te działa forteczne były rozmieszczone na Pradze, w Modlinie, Serocku i Toruniu. Transportowali je przedsiębiorcy i prywatni furmani. W początkach 1808 r. artylerya oblężnicza była zupełnie zorganizowana, lecz z 80 dział polowych połowa była w stanie zadawalającym co do dział samych, był przytem brak koni i zaprzęgów, t. j. brakowało wtedy około 1800 koni, oraz około tysiąca zaprzęgów. Artylerya wówczas dzieliła się na trzy bataliony, z których każdy należał do jednego legionu wojska. Każdy legion posiadał trzy kompanie artyleryi pieszej, z których każda obsługiwała 6 dział, jedną kompanię saperów i jedną pociągu.

Artylerya posiadając dobrze wyrobionych żołnierzy, którzy po większej części pochodzili z dawnej służby, liczyła na ogół mało oficerów wykształconych w swojej specyalności. Okazała się zatem potrzeba dodania oficerów francuskich, jako instruktorów w broniach specyalnych. Takimi byli Pelletier, Mallet, Bontemps, Daret i inni. W grudniu 1808 r. marszałek Davout, wskutek prośby Księcia Poniatowskiego, postawił na czele artyleryi polskiej pułkownika Pelletier, ze służby francuskiej, dotychczasowego instruktora tejże artyleryi. W r. 1809 artylerya Księstwa postawiona na stopie wojennej, wynosiła zaledwie 32 działa polowe, zaprzężone i gotowe do boju, a podczas wojny w tym roku artylerya spełniła należycie swój obowiązek i niejednokrotnie się odznaczyła. Po wojnie z 1809 r. powiększono artyleryę Księstwa o 68 dział, zdobytych na nieprzyjacielu. W r. 1810 Napoleon przeznaczył dla Księstwa 50 sztuk armat żelaznych różnego kalibru z arsenału w Szczecinie. W r. 1811 stosownie do życzenia Napoleona, utworzono na wzór francuski artyleryę pułkową przez dodanie do każdego pułku piechoty, po dwa działa trzyfuntowe. W r. 1812 pułkownik Pelletier został wzięty do niewoli, a na jego miejsce do komenderowania artyleryą powołany został pułkownik Riedel. Pod Krasnem kazał Napoleon korpusowi polskiemu oddać połowę swych dział włoskiemu korpusowi księcia Eugeniusza, który stracił całą swoją artyleryę. Dla korpusu polskiego było istotnie dosyć 30 dział, które też doprowadził szczęśliwie do kraju, pomimo krwawego boju pod Berezyną. Artylerya Księstwa odznaczała się na polach bitew w kampanii saskiej 1813 r. W katastrofie lipskiej niezbyt wiele ucierpiała i oprócz kilku dział, wziętych w alejach, przeszła cała spokojnie do Lindenau. Ostatnim czynem wojennym artyleryi Księstwa była obrona Paryża. Znajdowała się ona wówczas pod dowództwem Walewskiego i była tak czynną, że kanonierowie do koszul się porozbierali i potem oblani jaknajśpieszniej ognia dawali.

Do r. 1810 nie było w Księstwie Warszawskiem ludwisarni, żadnej fabryki broni tak palnej jak i białej, żadnej saletrarni, prochowni i t. p. W tym celu jednak rząd, uznawszy potrzebę założenia ich, przedstawił królowi projekt, w którym wyrażał pogląd, że zakłady te powinny być otwierane przez partykularne osoby, skarb zaś powinien dawać fabrykantom żelazo i miedź, a odbierać wzamian broń, kule i działa, za robotę tylko i inne mniej kosztowne materyały do tych fabryk potrzebne, płacić byłby obowiązany. W r. 1811 była już założona fabryka pałaszów i innych narzędzi wojskowych w Michałowie, w Suchedniowie poczęto wyrabiać pi-

stolety, prywatna fabryka wyrabiała broń w Pomykowie, dziedzicznej wsi Małachowskiego. Również w 1810 r. ogłoszono dekret królewski względem fabryk saletry i w tymże roku istniały już w Szczebrzeszynie fabryki oporządzenia wojskowego. W ogóle jednak wojsko Księstwa uzbrojone było w broń, w jaką Napoleon ją zaopatrzył, a broń ta najczęściej pochodziła z fabryk austryjackich lub pruskich i była zdobytą na nieprzyjacielu.

W r. 1808 zaczęto w Księstwie formować artyleryę konną, broń nieznaną dotychczas w wojsku polskiem za wyjątkiem kompanii, utworzonej za Stanisława Augusta, w wojsku litewskiem, która jednak jedynie nazwę konnej artyleryi posiadała. Kompanię tę sztyftował własnym kosztem Włodzimierz hr. Potocki, z upoważnieniem wybierania do niej żołnierzy z całego wojska. W dniu zaś 1 Grudnia 1808 r. podpisany został dekret organizujący artyleryę konną. W rok później artylerya konna liczyła 50 ludzi i 75 koni. Na początku wojny w r. 1809 wojsko polskie miało 12 dział zaprzężonych artyleryi konnej wraz z obozem artyleryjskim do tego potrzebnym. W artyleryi konnej służyła młodzież najpierwszych rodzin i broń ta wydała wielu wykształconych i uczonych oficerów. Uczucia honoru jeszcze może staranniej były tu pielęgnowane niż w innych korpusach i niewolno było nietylko już uderzyć żołnierza, lecz nawet użyć względem niego obelżywych wyrazów. Urazy osobiste roztrzygane były pojedynkiem, a areszt, wydalenie, oddanie pod sąd i kula były jedynemi karami służbowemi. Artylerya konna odebrała zaszczytny chrzest bojowy pod Raszynem. Obok 6 dział saskich, odpowiadała z korzyścią przez cały dzień, do późnej nocy na silny ogień licznej artyleryi austryjackiej. W r. 1810 nastąpiła reorganizacya artyleryi konnej. Z dwóch kompanij utworzono cztery, czyli dwa szwadrony, które nazwano pułkiem artyleryi konnej. Na konsystencyę przeznaczono im Łęczycę, później przeprowadzono do Łowicza. Artylerya konna Księstwa odznaczała się zaszczytnie na wszystkich pobojowiskach i jedynym bolesnym wypadkiem w jej dziejach była utrata 5 dział pod Medyną z winy generała Lefebre-Desnouettes.

Dyrektorem generalnym inżynierów był Mallet, a roboty ważniejsze następujące. Przedewszystkiem obrona wałów Warszawy w r. 1809. W Broku założono most i szaniec przedmostowy na Bugu. Mallet umocnił szaniec przedmostowy pod Górą, a w Maju wzięto się do przywrócenia stanu obrony twierdzy Zamościa wziętego szturmem. Dość rozległe roboty przedsięwzięto również w celu umocnienia Sandomierza przez powiększenie i uzupełnie-

nie istniejących już tam umocnień naturalnych. W czerwcu 1809 r. zbudowano most łyżwowy na Wiśle, o pół mili poniżej Puław, naprzeciw wsi Jaroszyna, w celu przeprawy wojsk na prawy brzeg rzeki, zbudowano również szaniec przedmostowy dla osłony mostu. W r. 1812 komendę nad inżynierami 5 korpusu ks. Poniatowskiego, objął z rozkazu cesarza pułkownik Bron, lecz wkrótce na miejsce jego wezwano Malleta, który prowadził roboty w Modlinie. W r. 1813 oficerowie inżynieryi polskiej sypali wielki obóz oszańcowany na drodze między Gabel i Pragą. Do najważniejszych jednak prac inżynierskich w tym okresie należało umocnienie Modlina, Zamościa, Torunia, Serocka i Częstochowy.

Pierwotnie w wojsku Księstwa były tylko trzy kompanie saperów, z których każda należała do jednej legii wojska. W r. 1808 jedną kompanię posłano do Hiszpanii, a na jej miejsce utworzono nową. W r. 1810 powiększono liczbę saperów tworząc z nich batalion, złożony z 6 kompanij, z których jedną pontonierów. Dowódcą został mianowany major Kubicki, następnie zaś liczba kompanij doszła do siedmiu, nie licząc pontonierów. W r. 1812 kompanie saperów postawione były w komplecie po 170 ludzi. Czynem prawdziwego poświęcenia się wojsk inżynierskich w kampanii 1812 r. była budowa mostów na Berezynie, przez pontonierów francuskich i kompanię saperów polskich z dywizyi generała Dąbrowskiego.

Obszerny rozdział w swej pracy poświęca autor szkołom wojskowym. Na pierwszem miejscu spotykamy się z korpusem kadetów w Kaliszu. Korpus ten założony był przez Fryderyka II, dla młodzieży szlacheckiej południowo pruskiej. Już w 1793 r. otrzymał major Schack polecenie udania się do Kalisza wraz z budowniczym, przydanym mu przez kamerę Poznańską, w celu obejrzenia walącego się gmachu kolegium pojezuickiego i sporządzenia planów przeróbki tegoż na pomieszczenie korpusu kadetów. Już w r. 1793 znalazło się dosyć miejsca na mieszkanie dla dyrektora szkoły, kilku urzędników i 12 kadetów z dwoma guwernerami. W latach następnych pomnażano stopniowo liczbę kadetów z guwernerami oraz nauczycielami. W r. 1797 wszystko było skończone a liczba kadetów i urzędników uzupełnioną. W r. 1804 powiększono liczbę kadetów do 125, a liczbę guwernerów do 15. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego korpusy kadetów w Kaliszu i Chełmnie przeszły pod władzę Komisyi rządzącej, która powierzyła opiekę nad kadetami Stanisławowi Potockiemu, prezesowi izby edukacyjnej. Potocki rozszerzył nauki w tych zakładach, podwyższył dotychczas nadzwyczaj szczupłą pensyę nauczy-

cielom, lecz zmniejszył liczbę kadetów do 80. Nie było na razie broni do ćwiczenia kadetów, znaleziono jednak w Kaliszu skład starych karabinów kawaleryjskich. W roku 1809 wypadło tę broń oddać strzelcom. Rada departamentowa sprawiła następnie kadetom broń inną. Z chwilą zaprowadzenia rządów polskich, dostęp do szkoły był otwarty dla wszystkich stanów. Zostawiono jednak pierwszeństwo do umieszczenia synów na funduszu krajowym — zasłużonym wojskowym. Drugiego stopnia prawa w tym względzie otrzymali urzędnicy cywilni, trzeciego—obywatele, którzy ponieśli straty wskutek wypadków politycznych; czwartego—młodzież okazująca większe zdolności i przygotowanie w naukach. Wymagano aby kandydaci umieli czytać po polsku, dość ortograficznie pisać i znali cztery działania arytmetyczne.

Dnia 1 Sierpnia 1808 r. książe Poniatowski otworzył w Warszawie w gmachu arsenału szkołę zakładową artyleryi inżynierów, przy pierwszym batalionie artyleryi, mającą na celu kształcenie przyszłych oficerów do korpusu artyleryi i inżynierów. Organizacyę tej szkoły powierzył książe Józef radzie dyrekcyjnej, na której czele stał podpułkownik Riedel. Chociaż ta szkoła przeznaczona była dla wojskowych, jednakże książe Poniatowski zezwolił, aby połowa miejsc zachowaną była dla cywilnych słuchaczy, którzy mieli nosić nazwę uczniów zewnętrznych. W dniu 11 Lutego 1809 r. książę podpisał dekret nakazujący formacyę nowej szkoły aplikacyjnej artyleryi i inżynierów, oraz szkoły praktycznej poligonowej. Dnia 28 marca 1809 r. generał Hebdowski wydał ogłoszenie o otworzeniu tej szkoły. Urządzoną ona została podług zasad rozkładu nauk, sposobu ich dawania i przepisów szkoły artyleryi i inżynierów francuskich w Metz. Po założeniu Księstwa Warszawskiego założono także szkołę chirurgiczno-wojskową pod dyrekcyą rady głównej zdrowia wojska polskiego i umieszczono ją przy szpitalu w koszarach, zwanych kadeckiemi, w Warszawie. Założycielami tej szkoły byli: Bergonzoni, naczelny lekarz, nauczyciel i rządca tej szkoły, oraz Lafontaine, naczelny chirurg wojska polskiego.

Z chwilą utworzenia władz krajowych ster administracyi wojskiem i dozór nad służbą wewnętrzną, czyli dyrektorstwo wojny, powierzono księciu Józefowi Poniatowskiemu. Tytuł dyrektora wojny zamieniony został 1 Października 1807 r. na tytuł ministra wojny. W Grudniu tegoż roku wyszło rozporządzenie królewskie, określające władzę ministra wojny, oraz urządzenie administracyi legionów. Administracya wojska licznego w stosunku do zasobów krajowych, przedstawiała wiele trudności. Zwiększały się

one z każdym rokiem aż nareszcie w r. 1812 dosięgły szczytu. Wielhorski tak pisze o ówczesnych stosunkach: „Żadnej służby utrzymać w biegu niepodobna. Roboty w twierdzach lada chwila przerwane będą, o żołdzie niema nawet co myśleć. Ledwo udało mi się wydobyć od ministra skarbu fundusz na żywność dla szpitalów, aby chorym nie dać z głodu umrzeć. Jednem słowem okazał się brak wszystkiego naraz, a potrzeby na wojsko, w stosunku do przychodów skarbu, miały się jak 100 do 10.“

Oprócz trzech kompanij pociągów artyleryjnych w r. 1811, postanowiono utworzyć oddzielną kompanię pociągów dla przewożenia szpitali, pościeli koszarowej, oraz do innych posług administracyi wojskowej. W r. 1812 wystawiono nowy batalion pociągów kosztem skarbu francuskiego, a jednocześnie Księstwo Warszawskie miało dostawić ludzi do formujących się w Gdańsku dwóch bataliowych pociągów francuskich. W dalszym ciągu pracy Gembarzewskiego spotykamy rozdziały poświęcone poborowi rekruta, pospolitemu ruszeniu, gwardyi narodowej, żandarmeryi, gwardyom honorowym, weteranom, inwalidom, oficerom dymisjonowanym i reformowanym, a wreszcie orderom wojskowym. W końcu dzieła spotykamy interesujący przypisek, przedstawiający nam losy wojska polskiego po bitwie lipskiej, podług relacyi generała Dąbrowskiego, a w samym końcu zamieszczono wykaz źródeł, któremi się autor posługiwał i pełną listę oficerów wojsk Księstwa Warszawskiego.

Autor przedstawił nam w swej pięknej i bogatej treścią pracy dokładny obraz historyczny organizacyi armii Księstwa. Niewątpliwie brakuje w tym obrazie niejednego szczegółu i nie jedno źródło ukryło się przed badawczym wzrokiem autora. Z tem wszystkiem całość pracy wskazuje najważniejsze podstawy ustroju wojskowego w historycznym rozwoju i wzbogaca naszą wiedzę mnóstwem cennych i charakterystycznych szczegółów. Dzieło Gembarzewskiego wojsku polskiemu Księstwa Warszawskiego poświęcone, pozostanie też wymownem świadectwem wytrwałości i zamiłowania, z jakiem autor do przedmiotu naukowego przystępował. Praca jego pozostanie miłą pamiątką nie tylko dla serca, ale i dla oka naszego. Odtwarza nam bowiem napoleońsko-polskie rycerstwo nie tylko w bojowym czynie, ale i w barwnej bojowej szacie, oraz w uzbrojeniu. Część illustracyjna książki potęguje niewątpliwie interes, jaki budzi obfita i cenna treść.

A. R.

DANILEWSKI. *Plan oblężenia i obrony miasta Smoleńska z objaśniającym tekstem.* Petersburg, 1904.

Władysław IV, jak objaśnia Łaski, postanowił wydać dzieło strategiczne, któreby rozgłosiło jego czyny wojenne w kampanii 1633—34 roku. W tym celu wykonane zostały na miejscu przez inżyniera Tomasza Pleytnera plany odsieczy Smoleńska i powierzone sprowadzonemu z Holandyi Hondiusowi, jako bardzo biegłemu w rytowaniu kart geograficznych. Wspaniałe to dzieło, do którego potrzebnych objaśnień miał dostarczyć znany niemiecki poeta Marcin Opitz, zajęło mu blizko dwa lata pracy i wyszło w Gdańsku w r. 1636. Obejmuje ono na 16 arkuszach szczegółowy plan Smoleńska, z okolicami ożywionemi wojskami i utarczkami, co niewątpliwie jest układu i pomysłu Hondiusa. Miał słuszność Łaski utrzymując, że istnieją odbicia nowe wzmiankowanych planów, albowiem w 1821 r. „Allgemeine preussische Staatszeitung“ (Nr. 139) zamieściła wiadomość, że przy porządkowaniu cesarskiej biblioteki w Petersburgu, odnaleziono kilka płyt tych ciekawych topograficzno-strategicznych rysunków, które zabrane zostały do Petersburga przez Piotra I, wraz z całą biblioteką Książąt Radziwiłłów ze Słucka. Widocznie, po r. 1821 odbito w Petersburgu plany Hondiusa; które to nowe egzemplarze posiadają w Warszawie biblioteki ordynacyi hr. Zamoyskich i Krasińskich. W r. 1637 wydrukowano przygotowawcze dla Krzysztofa Radziwiłła objaśnienia do powyższych planów, obejmujące 216 faktów. Objaśnienia planów wydane zostały w języku polskim, francuskim, niemieckim i łacińskim, a muzeum w Smoleńsku posiada egzemplarz w tłómaczeniu rossyjskiem p. t.: „Wyobrażenia ataku i obrony Smoleńska.“ Objaśnienia planów Hondiusa są, jak się zdaje, nieznanemi dotychczas naszym bibliotekom i jedynie stary, próbny egzemplarz planów ma się znajdować w bibliotece książąt Czartoryskich. Jednem słowem, gdy w r. 1895 wydawałem Dyarjusz wojny moskiewskiej Moskorzewskiego, nie mogłem zasięgnąć żadnej wiadomości o tem, czy istnieją w jakiejkolwiek bibliotece objaśnienia planów, drukowane w języku polskim, francuskim, niemieckim lub łacińskim. Tłómaczenie rossyjskie znanem mi było w odpisie, a u Pisarewa znalazłem wzmiankę, że wyszło w Petersburgu w r. 1847.

Wydawca obecny objaśnień planów Hondiusa, Danilewski, nie wie nic o wydaniu z 1847 r., tak samo też pozostała mu obcą Historya Smoleńska Pisarewa. Można mu jednak z łatwością wy-

baczyć to opuszczenie, albowiem wydanie z 1847 roku, zniknęło prawdopodobnie od dość dawna z handlu księgarskiego. Żadna z naszych bibliotek nie posiada powyższej książeczki i gdyby nie nowe wydanie Danilewskiego, nie posiadalibyśmy owych cennych 216 wyjaśnień numerów, znajdujących się na planach. Wydanie Danilewskiego jest staranne, wydawca spożytkował umiejętnie wszystkie źródła rossyjskie, które mogły go objaśnić i oświecić w tej ciekawej i nieco zawiłej sprawie. Danilewski jednak pominął zupełnie źródła polskie i posiłkował się jedynie Herbarzem Kaspra Niesieckiego, co nie było w żadnym razie wystarczającem. Przedmowa moja do Dyaryusza wojny moskiewskiej Moskorzewskiego była wydawcy nieznaną i dlatego pozostawił na uboczu ważną kwestyę, a mianowicie: czy wydrukowane przez niego objaśnienia planów Hondiusa z 1637 r. są tymczasowemi, czy też są objaśnieniami późniejszemi, uzupełnionemi przez Hetmana litewskiego Krzysztofa Radziwiłła. W czasopiśmie niemieckiem p. t. „Preussische Provinzialblätter herausgegeben von dem Vereine zur Rettung verwahrloseter Kinder zu Königsberg“ (1829 r.) znajduje się wzmianka podana przez Schmidta pod tytułem: „Nachricht von einem merkwürdigen alten Kupferstiche.“ Schmidt odszukał przypadkowo w jakiejś starej zbrojowni równie starego zamczyska, uszkodzony nieco egzemplarz planów odsieczy Smoleńska z taką samą jak z 1636 r. intytulacyą, tylko że w końcu był wymieniony rok 1640, a nie 1636, jako chwila wykonania całego dzieła.

Na brzegach owych planów z 1640 r. w dwóch szpaltach znajdował się opis pozycyi i główniejszych wydarzeń w języku niemieckim, a jaką owe objaśnienia, wraz z planami stanowiły pouczającą i harmonijną całość, najlepiej przekonywa zdanie Schmidta, który utrzymywał, że plany owe objaśniały czytelnika lepiej o przebiegu kampanii, aniżeli wielotomowe dzieła. Porównywając objaśnienia owych planów z odpisem egzemplarza zachowanego w muzeum Smoleńskiem, przyszedłem do przekonania, że objaśnienia te, o których Schmidt podał nam wiadomość, były obszerniejszemi i dokładniejszemi, aniżeli te, które Danilewski przedrukował z egzemplarza w Smoleńsku zachowanego. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na to, że Schmidt opisał jedynie te objaśnienia, z któremi się przypadkiem spotkał, a Danilewski wydał całkowicie objaśnienia do planów, które się w Smoleńsku znajdowały, to będziemy musieli przyznać, że wydawca przysłużył się naszej literaturze, zwłaszcza, że objaśnienia wydał starannie i zaopatrzył je w cenne, specyalne uwagi. Dopiero dzięki wydawnictwu objaśnień planów z 1640 r., które Danilewski usku-

tecznił, możemy zrozumieć należycie plany Hondiusa i pojąć dokładnie przebieg akcyi wojennej pod Smoleńskiem. Plany z objaśnieniami tworzą pełną i pouczającą całość a wątpliwość owa: czy powyższe objaśnienia należą do hetmana Krzysztofa Radziwiłła, czy też kto inny je pisał, jedynie przyszłość rozstrzygnąć będzie w stanie. W każdym jednak wypadku, wydawnictwo Danilewskiego okaże się dla nas pożytecznem.

A. R.

GERMAN JULIUSZ. *Lilith.* Bajka w trzech aktach. Lwów 1905

Poemat uzyskał drugą nagrodę na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego w bieżącym roku, a w październiku ze znacznym przepychem i sukcesem odtworzyła go na scenie lwowskiego teatru grupa artystów dyrektora Pawlikowskiego. Myślę, że jako dramat nie utrzyma się długo na scenie, jeżeli który z naszych muzyków nie stworzy dlań operowej partytury. Ale zejście ze sceny nie zmniejszyłoby wartości literackiej. W bajce tej drga, błyska i mieni się wszystkimi płomykami drogocennych skarbów złoto szczerej poezyi. Prawdopodobieństwo? Niema go. „Sztuka— pisał niegdyś Oskar Wilde — zdobywa doskonałość swą w sobie, nie zaś w świecie zewnętrznym. Nie można jej oceniać wcale zewnętrzną miarą prawdopodobieństw. Ona jest raczej welonem, niż zwierciadłem. Ma kwiaty, nieznane żadnej puszczy, i ptaki, niewidywane w żadnym lesie. Ona stwarza i burzy światy, i może złotą nicią przyciągnąć księżyc z nieba. Ma na zawołanie obrazy realniejsze, niż żywi ludzie, rozporządza wielkimi arcytypami, przy których wydają się przedmioty rzeczywiste tak, jak niedokończone kopie. Sztuka działa cudy: wyzywa z otchłani potwory — i wychodzą; zimą osypuje kwieciem drzewo migdałowe i śniegiem okrywa łany dojrzałych zbóż. Na jej skinienie ziąb nakłada srebrny palec na płonące usta czerwca i skrzydlate lwy wypełzają z czeluści górskich.“ Podobnie tu. Lilith—średniowieczny symbol żądzy zmysłowej—powstała z czarnej perły, obudzona zaklęciem Królewicza z bajki. W oczach ma „węże zielone i ciało od ognia złote.“ Zabiła oczami królewnę, porwała harfę i pomknęła w dal. Krew młodą pije, piętrzy wał trupów młodzieńczych, a upiorne dyabliki smagają i męczą ją żelazem...

Gniew ją przeklął.

Lilith—niech będzie twe imię—przeklęta,
Niech twoich białych członków zginie wstyd,
Oto w szatańskie na zawsze idź pęta,
Niech cię po lasach goni zmarłych zgrzyt.
Lilith—niech będzie twe imię—przeklęta,
Niech drogę twoją znaczy śmierci szlak,
Żeś w białych duchów uroczyste święta
Wniosła pożądań tajemniczy znak. (37).

Właśnie jedno takie upojenie i jedną śmierć maluje udramatyzowana baśń. Student marzyciel po rozstaniu się z ukochaną poznał tęsknotę i wtedy ujrzał Lilith.

O Lililth—błagał—jasna moja pani,
Otom posłuszny u twych stóp,
Niech mnie twych oczu stal porani,
Niech mi otworzy leśny grób.

Królewicz kazał ich wsadzić do swej złocistej karocy, zaprzężonej wichrowymi końmi, dał wspaniały poczet, rozwiesił nad nimi płaszcz bajki, wskrzesił jasność brylantową i popłynęli. Gdy byli nad górskimi szczytami dostrzegł ich Wielki Góral, potężny władca Tatr. Puścił swe wichry i roztrącił wiotką łupinę w drzazgi. Lilith i Student nie zginęli; orły przywiodły ich do pieczary Wielkiego Górala. Lilith, owiana gorącą miłością i uwielbieniem Studenta, przeistacza się. Jej krwi zamglony wstyd zbudził się w ciszy zadumanej i rozbłysła świetlanie, korna wdzięcznością. (60)

Ale wówczas Wielki Góral, którego żylaste ręce sieją zniszczenie, wyziębia zapały i sinym mrozem ścina krew w żyłach studenta. Lilith szaleje z rozpaczy:

Więc tylko *chcieć* mi wolno słońca
jasnego,
daremnie *chcieć*.
Więc znów ty czaru żagwio skrząca
krwawego
nademną świeć... (70).

Zły porywa ją w swą moc, a ona idzie posłuszna, „powolna swej męce“—i pierwszą jej ofiarą staje się student, którego swym żarem ze skostnienia ocuca, lecz wnet zabija szałami upojeń. Kiedy poszukuje grobu jego, chwyta ją królewicz, poznaje w niej

zabójczynią królewny i każe uciąć szkarłatne włosy, w których się kryły tajemne moce złud i poetycznych uniesień.

Lilith uczuwa wstręt, oczy jej ślepną bezmiarem wstydu, białość jej mroczy się pogrzebnym całunem, a głowa w proch się chyli. Staje pod nią *Postać* — ni to sternik zbłąkanych okrętów, ni to chodzący w światłości sen, ni to smutek—i ta *Postać* każe obmytej żalem Lilith budować przez ciemnie życia złoty most z tęczowych rojeń. Taka jest z tajemnic i mgieł odarta, o ile można—w prostą linię ułożona treść trzech aktów bajki p. Juliusza Germana.

Główna figura, podrzędne niektóre, są symboliczne i cały utwór składa się z symbolów i jest allegoryą. Lilith—to owa Dziewica z *Nieboskiej*, która oplątała czarami „wielkie serce i dumne,“ ale przyznać należy że prosty i dość nikczemny twór szatański Krasińskiego otoczył młody poeta urokami nieprzemożonej siły i uczynił wcieleniem niemal kosmicznej potęgi. Jeśli czytelnik zada sobie nieco trudu i wgłębi się w dzieło, wówczas szczegółowe symbole się rozświetlą, kreacya Lilithy nabierze jakiejś demonicznej wielkości i stanie w rzędzie tajemniczych cudów i zagadnień bytu, dotąd kryjących się jako tajniki niedocieczone rozumem, dostępne chyba artystycznej wyobraźni. „Jest w naszej duszy morze wewnętrzne—pisał Maeterlinck—prawdziwe *mare tenebrarum*, kędy szaleją dziwaczne burze tego, co nie daje się ująć w dźwięki ani opisać, a to, co nam uda się wypowiedzieć, zapala w niem niekiedy coś, jakby odbicie gwiazdy w rozkipieniu fal ciemnych. Temiż to jedynie niememi wodami polewamy martwą glebę sztuki?“ [1]) I p. German, podobnie jak belgijski mistrz, pragnie zbadać, co niesformułowane w rzeczywistości, co szuka głosu w sercu, chyli się ciekawie nad instynktem, nad przeczuciami, nad motywami niewyrozumowanymi, nad cudami życia i śmierci, nad tajemnicami snu, nad wszystkiemi nieznanemi potęgami duszy. Jedną z nich usymbolizował w Lilith—z niepospolitym talentem. Zaprawdę z jednego dzieła (nie licząc aktu pt. *Dramat* i kilku pięknych sonetów) trudno sądzić o przyszłości. Dzieło to wszelako roztoczyło taki przepych wyobraźni, że czytelnik, owładnięty i porwany jej przemocą, gotów święcić narodziny nowego talentu na miarę Wyspiańskiego.

Nie dość, że w tych trzech aktach rozwija się ze szczupłego wątka składna, szykowna, logicznie pomyślana kompozycya, nie

[1]) Wybór pism. Przesmycki. str. 47.

dość, że pojedyńcze jej ogniwa od większych — jak wtargnięcie w grę Królewicza z bajki, Wielkiego Górala aż do najmniejszych, jak gnomy, rycerz, rusałki mają swoje role i swoją racyę, nie dość, że całość i szczegóły zestrojone z tłem, na którem odbywa się akcya, ale poeta umiał chwilami w marzenie i fantazyę wsnuć szary i z pozoru zgrzytliwy ton rzeczywistości, podnosząc efekt samem prawem kontrastu. Tak czynił Słowacki w *Balladynie* i Hauptmann w *Dzwonie zatopionym*. Możnaby nawet i p. Germanowi radzić to, co radził Krasiński Słowackiemu: marmur rzuć pod twoje stopy. *Lilith* nie uniknie zarzutu mglistości; eteryczne jej zjawisko zbyt mało ziemskie i zbyt osnute cudownością dekoracyi, aby stało się dla ogółu odrazu zrozumiałe. Czuł to sam autor, dodając komentarz: *bajka*. Żywię to najgłębsze przekonanie, że młody poeta w następnych dziełach odda skarby swej wyobraźni na usługi naszego życia, którem dotąd gardzi, w tem—kto wie, czy słusznem mniemaniu, jakoby sztuka, „mająca jakiś cel moralny lub społeczny – była *biblia pauperum*.“ [1]).

Dopiero wówczas wyszłyby zapewne z pod tego złotego pióra niepospolite dzieła. Mickiewicz w jednej z lekcyj, mówiąc o Zaleskim, powiedział: Czemże jest liryczna poezya bez liry? Muzyka w utworach lirycznych, to nie przygrywanie, ale główna, istotna część poezyi; ona jest jej duszą, życiem, światłem. Cały zaś poemat p. Germana pisany wierszem, którego melodyjność i efekty muzykalne dadzą się porównywać ze Słowackim i Wyspiańskim. Polot wyobraźni, bogate i posłuszne wezwaniu słownictwo, dozwalają mu nie tylko tworzyć nowe pomysły i kombinacye obrazów, ale co moment zmieniają tok wiersza, budują najrozmaitsze kształty wrotek, słowem wybornie posiłkują treść, w marzeniu się rozgrywającą. Niektóre pieśni, niektóre przemówienia Lilithy, studenta czy Królewicza przedziwne są górnością obrazowania; niektóre przenośnie aż rażą nieprzyzwyczajone ucho swoją śmiałością. „Nie miałem siły z poza snów zasłony chwycić pierś nagą szczęścia“—mówi student; „w głębi jej oczu śpią pomordowanych ostatnie żądze“—mówi Lilith. Są to obrazy niezwykłe, nowe, znamionujące talent oryginalny. Śpiewność i rozmaitość wiersza, którym poeta włada bez zarzutu [2]) świetny jego koloryt, bogactwo motywów oraz włączenie niektórych naszych motywów ludowych,

---

[1]) Przybyszewski. *Confiteor*.

[2]) Wyłączyłbym tylko nieosobliwą pieśń Lilith w III akcie z niefortunnem „bim bam, bim bam“ i z wierszem: „i w makach *gom* ukryła.“ (str. 103).

głęboko pojęta a tak poetyczna myśl usymbolizowania żądz zmysłowych, czynią dramat p. Germana zjawiskiem niepowszedniej miary, a blask i siła, z jaką wyobraźnia wciela w kształty języka i wiersza swoje pomysły, każą widzieć przyszłego twórcę dzieł, które oby stały się chlubą i bogactwem naszej literatury. Nastąpi to niezawodnie, o ile poeta... marmur rzuci pod swe stopy.

ANTONI MAZANOWSKI.

ALEKSANDER JAN RODKIEWICZ. *„Pierwsza politechnika polska 1825—1831."* Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Kraków i Warszawa 1904 r. Druk W. L. Anczyca i spółki. 16-ka, str. 267+XXI.

Ubogiej literaturze naszej w zakresie szkolnictwa doby Królestwa Kongresowego przybyło dzieło nowe, godne szczególnej uwagi nietylko historyków oświecenia w Polsce, ale w równej mierze techników, ekonomistów, przemysłowców, a dzięki umiejętnemu opracowaniu, powiem nawet — wszystkich ludzi inteligentnych, dla których nieobojętnym jest pozyskanie nowego, poważnego przyczynka do dziejów naszej kultury narodowej. Dzięki ruchliwej zapobiegliwości Wydawcy, zarazem bacznego kierownika prac swoich uczniów, nauka polska pozyskała dzieło będące chlubnem świadectwem pracowitej sumienności autora „Pierwszej politechniki polskiej" — p. A. J. Rodkiewicza.

Monografię młodego, po raz pierwszy z większą pracą występującego autora, zgodnie z przyjętym zwyczajem wydawnictwa, prof. Szymon Askenazy poprzedził przedmową, szczodrą ręką rzucając światło na całą epokę, w której ówczesne szkolnictwo rozwijając się stopniowo, doszło nareszcie do fazy najsilniejszego swego rozwoju, wydając z łona swego ludzi, którym w przyszłości pierwszorzędne sądzone było zająć stanowiska społeczne.

Monografia pierwszej politechniki polskiej sięga doby z przed lat 70-ciu, dzieje instytutu mimo to czyta się z dziwnem jakiemś odczuciem mało odległej spółczesności, mało nawet baczny czytelnik zauważy jednak, iż przyczyny takiego wrażenia szukać należy w przedmowie prof. Askenazego, który z dziwną, właściwą sobie umiejętnością, wiąże z sobą epoki przeszłe z teraźniejszością. Zaranie wątku spraw obecnych, prof. Askenazy umie zawsze odnaleść w czasach minionych, nadając tem silniej cechę aktualności traktowanym naukowo sprawom dziejowym.

Kreśląc dzieje pierwszej politechniki polskiej p. Rodkiewicz nie ograniczył się na ścisłem odpowiedzeniu jedynie tytułowi pracy. Monografia p. R. jest historyą więcej niż jednego instytutu, autor przedmiot swój traktował szerzej i dla lepszego uwidocznienia związków pochodnych, dał niemal całe dzieje szkolnictwa technicznego w Polsce w ostatniem stuleciu. Początek uczelniom specyalnym dała szkoła akademiczno-górnicza, założona w Kielcach w r. 1816 pod egidą tamtejszej Głównej Dyrekcyi Górniczej. Zadaniem szkoły było „sposobić w kraju urzędników górnictwa i zarazem ułatwić prywatnym obywatelom, szczególniej posiadającym kopalnie, sposobność nabycia wiadomości w rzeczach górnictwa.“ Kurs szkolny trwał trzy lata, zbytnia jednak „nowość“ przedsięwzięcia na owe czasy nie pociągała jeszcze młodzieży, choć frekwencya stale się zwiększała i z 9 uczniów w r. 1816, dochodzi liczby 47 w roku 182⁴/₅. Troskliwa piecza obywatelska rządów Królestwa Kongresowego nie pozwoliła jednak ograniczyć się na jednym specyalnym zakładzie naukowym w Polsce. Piecza o rozwój rolnictwa, kunsztów, przemysłu i techniki pobudzała wciąż myśl społeczną do kołatania o nowe placówki, o nowe uczelnie fachowe. Zabiegi te nie pozostawione były bez skutku. W roku 1818 powstaje szkoła leśnictwa, następnie w tymże roku przy wydziale nauk i sztuk pięknych powstają kursy budownictwa i miernictwa, podczas kiedy w innych kołach stopniowo dojrzewa śmiała myśl powołania w Warszawie do życia *Instytutu politechnicznego*. Już samemu projektowi nie sposób odmówić nazwy wysoce śmiałego, jeśli się zważy, że nawet w Zachodniej Europie zakłady naukowe tego rodzaju były naówczas jeszcze całkowitą nowością. Trzeba przypomnieć, że pierwsza szkoła politechniczna na świecie powstała w Paryżu zaledwie w r. 1794, w Wiedniu w r. 1815, a w Anglji pierwszy instytut techniczny założono w Glasgowie w r. 1820, w Londynie w r. 1824.

Przemysł w Królestwie, dzięki zabiegom wielu ówczesnych czynników spółczesnych, stawał się jednak z dnia na dzień potężniejszym, wzrastał w siły i wymagał właściwych udogodnień. Stworzenie łatwiejszych dróg komunikacyjnych, stawało się rzeczą palącą. Przenikliwy wzrok Staszyca nie przeoczał tej potrzeby, jednocześnie wszakże wszelkie zabiegi o pozyskanie linij lepszych i łatwiejszych spotykało się z brakiem odpowiednio wykwalifikowanych techników drogowych. Sprawa była ważna i niecierpiała zwłoki, Staszyc wnosi więc słynny projekt założenia w Warszawie Szkoły inżynieryi cywilnej dróg i mostów. Jakoż na skutek domagań się Staszyca, w r. 1823 powstają specyalne

katedry politechniczne przy uniwersytecie, zaś w rok później Komisya Oświecenia poleca Towarzystwu do ksiąg elementarnych opracowanie planu, któryby obejmował urządzenie całkowitego, odrębnego instytutu. Politechnika „łączyć miała wszelkie środki naukowe i praktyczne, za pomocą których przemysł narodowy pod trojakim względem: rolnictwa, rękodzieł i handlu miał być następnie rozwijany i doskonalony dla dobra powszechnego i szczególnych osób.“ W dniu 26 lipca 1824 r. Komisya przesłała plan namiestnikowi, który reskryptem z dnia 22 listopada poleca ułożenie stosownego projektu. W tymże celu powstaje specyalna Rada Politechniczna, na której czele w początku zasiada Staszyc, a po jego śmierci godność tę obejmuje Ludwik hr. Plater, któremu do pomocy przydają cały zastęp bardziej lub mniej pożądanych osobistości.

Już samo układanie projektu politechniki w Warszawie z miejsca jednak napotykało na wielkie przeszkody. „Jednem z najtrudniejszych zadań — pisze p. Rodkiewicz — było stworzenie stojącego na wysokości zadania *ciała profesorskiego*. Profesorów nauk pomocniczych, matematycznych i przyrodzonych można było zrekrutować z pośród profesorów i wychowańców uniwersytetu. Lecz skąd wziąć nauczycieli nauk technicznych?“ Dotąd posługiwano się w takich razach cudzoziemcami, ale Rada Politechniczna chciała iść nową drogą i w tym celu przedstawiła projekt wysłania 10 kandydatów z pośród magistrów uniwersytetu, na studya zagranicę. Tymczasem zaś, nie chcąc tracić próżno czasu, Rada, wykołatawszy koncesyę i uzyskawszy na rok 1825 etat w sumie 60.000 złp., przystępuje do otwarcia kursów przygotowawczych do Instytutu politechnicznego. Dyrektorem zostaje Garbiński i ten dobiera sobie profesorów, głównie z łona ciała, wykładającego na uniwersytecie. Rada politechniczna składa tymczasem plan całkowicie opracowanego projektu Instytutu, obejmującego szerokie pole działalności, zarówno pedagogicznej, jak i naukowej, a w pewnym zakresie nawet piśmienniczej (własne wydawnictwo „*Dziennika Politechnicznego*“). W roku 1828 wyszedł pierwszy zastęp wychowańców kursów przygotowawczych do Instytutu. Sprawa urzędowego utworzenia Politechniki stawała się więc rzeczą nieodzowną. Nieprzewidzianie Rada spotykała trudności w sferach, które o wiele mniej od całego kraju potrzebę takiego Instytutu odczuwać chciały. Pomimo wszystkiego jednak, w dniu 1 paźdz. (1828 r.) rozpoczęły się właściwe wykłady Instytutu politechnicznego. „Chociaż więc prowizoryczna nazwa Szkoły przygotowawczej — pisze p. Rodkiewicz na str. 64 swojej monografii — nie zo-

stała jeszcze zastąpiona przez odpowiedniejszy tytuł, jednakowoż właściwa politechnika na wszystkich wydziałach, oprócz handlowego, została już faktycznie zorganizowana; wszystkie katedry specyalne obsadzone przez właściwych profesorów; liczba godzin każdego przedmiotu odpowiednio ustosunkowana; laboratorya pozakładane.“ Tak więc istotna *politechnika już egzystowała* i pod nazwą tą występuje nawet w raportach dyrektora Garbińskiego. Instytut istniał i owoc swej pracy niósł wbrew zabiegom Nowosilcewa, i życzeniom Grabowskiego, Szaniawskiego, Lindego.

Instytut politechniczny w Warszawie istniał zaledwie trzy lata, żywotnych zabiegów i szczerej pracy ówczesnych profesorów starczyło jednak na to, aby wydać takich uczniów, jak Antoni Wysocki, Andrzej Przewodowski, Adam Kulczycki, Leopold Kronenberg i w. in.

Piękna przeszłość politechniki warszawskiej zasługiwała na większą kartę w historyi naszej. Zbadanie jej dziejów wymagało tem pilniejszych studyów, że w społeczeństwie naszem nie tylko mało kto wiedział o istnieniu tego zakładu naukowego, ale nawet ci, którzy o nim może wypadkiem czytali gdzieś w kalendarzyku politycznym, wręcz odmawiali Instytutowi prawa nazwy politechniki. Przykładem podobnie małego obznajomienia się z całokształtem tyle ciekawej epoki Królestwa Kongresowego, choćby wycieczki p. St. Krzemińskiego, przeciw prof. Askenazemu. Pan K. wiedział co prawda o istnieniu Szkoły przygotowawczej, ale obce mu były jej losy już po przekształceniu „Szkoły“ na *istotnie pierwszą Politechnikę* polską.

Pan Rodkiewicz dobrze zasłużył się i nauce i społeczeństwu, dając pracę pierwszorzędnego znaczenia historycznego. Wypadki z r. 1831 przecięły nić życia pierwszego Instytutu politechnicznego, ale i z tego krótkiego istnienia instytucyi dumni jesteśmy, próżno zestawiając, ile pożytku przemysłowi naszemu, tak pod względem ekonomicznym jak i narodowym przyniósłby instytut warszawski, gdyby, sądzono mu było zwycięsko przetrwać dalsze koleje. Autor monografji specyalne dwa rozdziały poświęca dziejom szkolnictwa technicznego po zamknięciu pierwszej politechniki. Tu jednak dla dokładności obrazu należy się małe uzupełnienie: na trzydzieści lat przed powstaniem dzisiejszej politechniki w Warszawie, czyniono zabiegi o utworzenie instytutu w Łodzi. Sprawa była już na jak najlepszej drodze. Przybyły jednak w r. 1868 do Łodzi minister hr. Tołstoj orzekł, iż „proponowane urządzenie instytutu politechnicznego nie przyniosłoby korzyści rzeczywistych. W miejscowości tej rozwinięty jest wyłącznie przemysł

tkacki, a dla tego jedynie przemysłu nie ma potrzeby urządzać zakładu z tak rozległymi celami i tak kosztownego, jak instytut politechniczny. Nie mówiąc już o wydatkach na budowę gmachu i na opatrzenie we wszystkie potrzeby różnych gabinetów, samo utrzymanie instytutu kosztowałoby 120 tys. rb. rocznie. Tymczasem — zdaniem ministra — nawet gimnazyum realne w mieście Łodzi okazuje się zbytecznem“... (por. „Dziennik ministra oświaty“ za styczeń 1869 r., str. 23).

Wobec podobnie zredagowanego raportu, politechnika w Łodzi nie została otwarta, a większość zawczasu nabytych już dla niej przyrządów i utensyliów przeszła na własność powstałej następnie szkoły rzemieślniczej. Drobny ten szczegół dodaję nawiasowo, ile że p. Rodkiewicz chciał objąć całokształt historyi szkolnictwa technicznego. Celu swego autor dopiął całkowicie, opracowując rzecz źródłowo, podług materyałów archiwum Okręgu naukowego, izby Skarbowej, rady administracyjnej, jako też zasobnych zbiorów Czartoryskich w Krakowie. Materyał w książce p. Rodkiewicz podzielił na dwie części: w pierwszej dał ogólne opracowanie, w drugiej pomieścił źródła i bogaty dział przypisów. Praca zaleca się znajomością przedmiotu i bogactwem szczegółów małoznanych. Co do przejrzystości opracowania postawiłbym autorowi zarzut, iż nie dość umiejętnie rozszeregował rozdziały, zbyt mało oddzielił akcyę projektową Rady politechnicznej od samego biegu zajęć w Instytucie. Są ustępy, z których czytelnik nie wywnioskuje, czy dana działalność stała się czynem, czy też pozostała jedynie teoretycznem żądaniem Rady.

Stefan Gorski.

Kronika miesięczna.

Dla głodnych i potrzebujących pracy. — Upadek publicystyki a Szkoła dziennikarska. — Wystawa Maryańska. — List otwarty p. A. B. Brzostowskiego w sprawie... nazbyt już nas kompromitującej. — Przytułek dla idyotów. — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Maurycy Orgelbrand; prof. Jacob Caro; ś. p. Rudolf Ottmann.

Rozpoczynamy rok nowy pod grozą widma głodu i nędzy. Czy potrafimy je oddalić, klęskę, idącą ku nam zmniejszyć, fatalnym jej skutkom zapobiedz?

Zależy to oczywiście od naszego wyrobienia społecznego, od naszej zdolności do przedsięwzięcia obrony zbiorowej na punktach zagrożonych. Jeżeli wszyscy staniemy na wałach — rezultat tej obrony będzie niewątpliwy, jeżeli zaś będziemy leniwi, opieszali i obojętni — walki nie wytrzymamy.

Oto właśnie leży przed nami wydana w grudniu r. z. odezwa „Czasowego komitetu ratunkowego dla głodnych i potrzebujących pracy," zawiązanego przy W. T. D.

Odezwę tę podpisali między innymi: Henryk Sienkiewicz, ks. Zdzisław Lubomirski, hr. Adam Krasiński, Antoni Osuchowski, dr. Karol Benni, hr. Maurycy Zamoyski, Henryk Radziszewski i t. d.

Brzmi ona, jak następuje:

„Skutkiem niebywałego zastoju w przemyśle, rzemiosłach i handlu, datującego się od paru lat, a spotęgowanego w roku bieżącym przez długotrwałą wojnę na Dalekim Wschodzie, stajemy wobec groźnej klęski.

„W samej Warszawie i przedmieściach mamy dziesiątki tysięcy skazanych na głód i bezrobocie przy zbliżających się miesiącach zimowych.

„Grozę położenia zwiększają ostatnie lata klęsk, które nawiedziły niemal cały kraj — zeszłoroczna powódź i tegoroczna susza, wpływające na znaczne podniesienie ceny produktów, służących do zaspokojenia najpierwszych potrzeb najuboższej klasy ludności.

„Akcya ratunkowa w szerokim zakresie staje się wobec tego nieodzowną, naglącą.

„Zadaniem dobrze zrozumianej i racyonalnej pomocy społecznej winno być dostarczenie odpowiedniego zajęcia jednostkom zdrowym, zdolnym do pracy, — niezdolnym zaś do pracy, a cierpiącym głód i nędzę—udzielanie wsparcia przedewszystkiem w naturze, a więc w artykułach żywności, w odzieży, w opale i t. d. i t. d.

„Akcya ta wymaga znacznych zasobów i spółdziałania ogółu całego społeczeństwa.“

Podpisani na odezwie odwołują się też do „wszystkich szczęśliwych członków naszej społecznej rodziny, do wszystkich warstw naszego społeczeństwa, do każdej niesamolubnej duszy, do każdej dobrej woli — o poparcie, o umożliwienie swą ofiarnością akcyi ratunkowej.“

Ofiary składać można na rachunek komitetu:

1) do Kasy Warsz. Tow. Dobroczynności przy ul. Krak. Przedmieście Nr. 62,
2) do Banku Handlowego w Warszawie,
3) do Redakcyi wszystkich pism w Warszawie i na prowincyi i
4) na ręce członków Komitetu.

Nie wątpimy, że odezwa ta znajdzie szeroki oddźwięk w społeczeństwie, odwołuje się ona jednak do miłosierdzia, a miłosierdzie czasem zawodzi, a jeśli nie zawodzi, to ma swoje granice.

Społeczeństwo nasze, a właściwie ta jego część, która dzięki posiadanym środkom materyalnym może być więcej lub mniej szczodrą, atakowana jest ciągle. Na ofiarności zbiorowej opierają się u nas wszystkie instytucye humanitarne, o charakterze filantropijnym i społecznym. Z niej czerpią soki odżywcze wszelkie ideje szersze i szlachetniejsze. Kto wie zatem, czy wytężenie ofiarności społecznej w tym jednym kierunku nie odbije się źle na pozostałych dziedzinach naszego życia, czy, dając na głodnych, nie zapomnimy o chorych na gruźlicę, o dzieciach z kolonii letnich, o lecznicach bezpłatnych i t. d.

Naturalnie — głód i nędza wołają głosem największym i do zażegnania są najpilniejsze, ale dla tego właśnie trzeba się zastanowić zawczasu nad tem, czy droga, obrana do walki z niemi jest wystarczająca?

Naszem zdaniem na wszelki wypadek godziłoby się zastanowić poważnie nad myślą, którą rzucił bezimienny projektodawca na łamach *Kuryera Warszawskiego*.

Myśl ta dotyczy urządzenia loteryi na rzecz dotkniętych klęską, loteryi, zorganizowanej na wzór tych, jakie już niejednokrotnie rozgrywały się w Cesarstwie. Zapewne — nie jest to najmoralniejsza droga do osiągnięcia celu, ale — bądźmy szczerzy — droga bardzo pewna. Przykład stałej loteryi klasycznej może być tu rękojmią powodzenia. Chętnych do wzięcia losów nie zabraknie nigdy, a nie zabraknie ich zwłaszcza wtedy, gdy bądź co bądź będzie to połączone z dobrym czynem. Społeczeństwo nasze lubi zaglądać w oczy Fortunie i należy z tego skorzystać dla dobra sprawy.

Kto wie zatem, czy Komitet ratunkowy, zbierając składki dobrowolne, nie powinien jednocześnie rozważyć i powyższego projektu, który, w razie urzeczywistnienia, szybko i napewno dostarczy takich sum, na jakie sącząca się powoli ofiarność nie tak łatwo się zdobędzie.

*

* *

Od czasu do czasu na szpaltach naszych dzienników i tygodników pojawiają się artykuły, sygnalizujące upadek publicystyki.

Niema publicystów, niema artykułów ideowych, niema zasad, niema walki o te zasady. Płytka, szeroko rozlana woda i nic więcej. Inteligentny czytelnik wobec tego odwraca się od prasy i nie szuka w niej nic ponad informacye o zdarzeniach dnia.

Tak mniej więcej sformułował ostatnio swoje zarzuty przeciw prasie warszawskiej p. Kazimierz Bartoszewicz na łamach „Gazety Polskiej.“

Nie myślę tu kruszyć kopii w obronie publicystyki naszej, chociaż — stan rzeczy nie jest może tak rozpaczliwy, jak go p. Bartoszewicz odmalował. Nie przeczę jednak, że podniesienie poziomu naszej prasy jest i pilne i nieodzowne, a ponieważ zależy ono nietylko od dobrej woli wydawców, ale w głównej mierze od dobrego współpracownictwa, a zatem od sumiennie, wytrwale i ideowo pracujących publicystów, więc z wrzawy, którą uczynił p. Bartoszewicz jestem rad, ponieważ oświetla ona jaskrawo rze-

czy, o których należy mówić często i nad któremi trzeba zastanawiać się poważnie.

Cokolwiek jednak mówilibyśmy o tem, zawsze przyjdziemy do jednego wniosku, mianowicie, że skoro publicystów dobrych brak, to należy ich stworzyć, odpowiednio przygotować, dać im warunki do pracy i pracą tą pokierować tak, aby stanowiła istotnie łącznik pomiędzy jednostką a społeczeństwem, t. j. spełniała tę rolę, do jakiej prasa wogóle jest powołana.

W ten sposób formułowaliśmy już nasze zapatrywania niejednokrotnie, nawiązując do potrzeby założenia *Szkoły dziennikarskiej*, t. j. do naśladowania w tym względzie innych społeczeństw, które oddawna już uciekły się do tego środka.

I u nas projekt takiej szkoły kołatał się już od lat kilku, dopiero jednak w roku 1903 ujął go w pewne konkretne kształty młody publicysta p. Stefan Gorski, poruszając tę sprawę na lwowskim zjeździe Tow. Dziennikarzy polskich. Okazało się jednak, że wydział T-wa, jako wydział instytucyi humanitarnej, nie czuł się powołanym do załatwienia tej sprawy. Zdawało się więc, że została ona pogrzebaną.

Na szczęście dowiadujemy się obecnie, że tak nie jest.

Oto — Kółko dziennikarskie, istniejące w łonie lwowskiej *Czytelni akademickiej* — nadesłało nam świeżo kopię odezwy, złożonej przez się Zarządowi Szkoły nauk politycznych we Lwowie i przyjętej przez ten Zarząd przychylnie.

Młodzi członkowie kółka, którego samo istnienie już świadczy o tem, że materyał na publicystów *jest*, tylko trzeba nim pokierować, — między innemi tak mówią:

„Dziennikarstwo — czytamy w odezwie — nie może być traktowane jako praca, której ktoś poświęca się w chwilach wolnych od zajęć. Dziennikarz całą duszą oddać się musi swej pracy, siły swoje i zdolności jej poświęcić, stać wytrwale na swym posterunku, śledząc z uwagą pulsujące życie społeczeństwa. Dziennikarstwo — to zawód. Godzimy się na to w teoryi, ale to za mało. Musimy także dążyć do tego, aby i życie mówiło nam to samo. Podejmować musimy każdą myśl, która uprawnia nas do nadziei wyrugowania z życia publicystyki przygodnej. Ludzi, którzyby w zawodzie dziennikarskim widzieli nie ostatnią deskę ratunku po rozmaitych zawodach życiowych, ale— zawód ciężki a zaszczytny, którego praca zamyka się w granicach od apostołowania wartościowych ideałów społecznych — do uczciwej historyografii dnia — nie jest dużo. Sądzimy, że *Szkoła dziennikarska* mogłaby po części to złe usunąć.

Gdy się zaczyna mówić o takiej szkole, trzeba sobie najprzód powtórzyć, że dziennikarze, *rodzić się powinni samorodnie.* W ten sposób unika się zarzutu niechętnych, że szkoła talentów nie stwarza. O tem wiemy i nie myślimy aksyomatu tego obalać. Niemniej jednak widzimy potrzebę założenia u nas *szkoły dziennikarskiej.*

Istniejące liczne szkoły za granicą, jak w Berlinie, Paryżu, Lille, Heidelbergu, New-Yorku i t. d. świetnie rozwijają się, co wymownie świadczy o potrzebie tego rodzaju instytucyi. Szkoły te jednak *nie mogą* stwarzać polskich publicystów. Dziennikarz bowiem powinien wczuć się w społeczeństwo własne, jeżeli chce mu służyć godnie i uczciwie, powinien być krwią z jego krwi. Dla tego sądzimy, że założenie szkoły dziennikarskiej u nas, jest istotną a nie urojoną potrzebą.

Zastanawiając się nad tem, gdzie taką szkołę założyć, projektodawcy zwracają uwagę na lwowską szkołę nauk politycznych, jako na instytucyę, w której łonie powstaćby mógł łatwo zawiązek przyszłej szkoły dziennikarskiej, przyczem mówią tak:

„Program wykładów powinienby mieć charakter, uzupełniający wiedzę, nabytą w Uniwersytecie. Nacisk kładziemy na to, że sprawa nie cierpi zwłoki i dobrzeby było, gdyby kilka prelekcyj dało się wciągnąć już w program letniego półrocza szkoły politycznej. Takiemi prelekcyami mogłyby być: Historya prasy w Polsce, o metodzie w dziennikarstwie, Administracya czasopism, Technika w dziennikarstwie, Prasa polska w Ameryce, Rozwój publicystyki zagranicznej, Etyka w dziennikarstwie, Prawodawstwo prasowe i t. d.

Jak wiemy, Zarząd szkoły nauk politycznych żądania te już uwzględnił i przyobiecał rozpocząć już w kwietniu r. b. seryę wykładów z zakresu dziennikarstwa. Tym razem więc sprawa weszła na dobrą drogę i dalszy jej rozwój jest prawie zapewniony.

Szkoła dziennikarska stanowi tu jednak tylko połowę kwestyi — drugą jej stroną jest skierowanie ku jej podwojom ludzi zdolnych, utalentowanych, posiadających już wykształcenie uniwersyteckie i świadomie, nie z przypadku, obierających sobie zawód publicystyczny.

Czy jest to możliwe? Naturalnie, ale nie bez pewnych zastrzeżeń.

Przedewszystkiem stosunki materyalne w zawodzie dziennikarskim nie mogą jeszcze nęcić ludzi, przed którymi otwiera się życie. Wprawdzie w ciągu ostatnich lat kilkunastu polepszyły się one u nas znacznie, ale daleko im jeszcze do tego, aby mogły rywalizować ze stosunkami, panującemi gdzieindziej. Wśród polskich dziennikarzy i publicystów np. jest zaledwie kilkunastu

takich, którzy żyją z pióra dostatnio, a tylko życie bez odczuwania ciągłych, trapiących braków może zapewnić publicyście spokój, niezbędny do jego pracy. Reszta *dziennikarzy* zarabia 100 do 200 rubli miesięcznie, co nazywa się u nas zarobkiem *dobrym*, ale co żadną miarą w dzisiejszych czasach nie może wystarczyć na utrzymanie rodziny. Przytem dobry publicysta powinien być ciągle na straży i nigdy nie tracić kontaktu z życiem, a utrzymanie tego kontaktu naraża go na wydatki, których pozbawiony jest lekarz, adwokat i urzędnik z tym samym dochodem miesięcznym.

Przypuszczam jednak, że ludzie o skromnych wymaganiach, a przejęci do głębi ideą, poprzestaną na tych warunkach i zaczną się garnąć do zawodu publicystycznego. Naturalnie przyjmiemy ich z otwartemi rękami, ale nie możemy zamykać im oczu na to, że zarobek publicysty tylko do pewnego czasu wzrasta, potem długo stoi w mierze, a wreszcie spada gwałtownie. Starość nasza i straszniejsza od niej niezdolność do pracy, nie są jeszcze należycie zabezpieczone, drobny bowiem kapitalik, jaki przy oszczędności i ścisłym rachunku można sobie zgromadzić w kasie literackiej, wystarczyć może na rok lub dwa — a co potem?

Wydaje nam się więc rzeczą słuszną, że, zachęcając ludzi wykształconych i mających z tego tytułu prawa do zaspokojenia swoich potrzeb kulturalnych w pewnym zakresie, do poświęcenia się publicystyce, jednocześnie dbać należy także i o to, aby warunki materyalnego bytu polepszyć. W ten sposób jednak tworzy się jakby *błędne koło* — warunki tu bowiem zależą całkowicie od rozwoju prasy, rozwój zaś prasy zależy od dobrych publicystów.

Czy i jak potrafimy z tego wybrnąć—czas dopiero okaże...

Drugą kwestyą, która wiąże się bezpośrednio z tem, co już powiedzieliśmy, jest wynikająca z miernego honorowania artykułów— *nadpłodność* naszych publicystów.

Kto chce żyć z pióra, ten musi pisać dużo, a wiadomo, że praca publicystyczna, o ile ma stać na wysokości zadania, musi oprzeć się na odpowiedniem opracowaniu myślowem każdego tematu. Nieraz do dobrego artykułu, liczącego 200 lub 300 wierszy trzeba przeczytać kilka książek, poszukać materyałów w bibliotece, porobić zestawienia statystyczne i t. d. Sumienne nasze przygotowanie się może zabrać nawet kilka dni czasu. Praca tymczasem, wyłożona na to, nie opłaca się wcale, za taki bowiem artykuł dostaje się od 3 do 5 kop. od wiersza, czyli od 6 do 15 rubli. Byłoby to bardzo dobre, gdyby publicysta mógł napisać miesięcznie 30 takich artykułów, ale—takiej pracy żaden mózg nie podoła.

A tymczasem pisać trzeba. Kto chce zarobić 200 rb. miesięcznie, a nieraz je *musi*, bo ma żonę i dzieci, ten przy przeciętnem honoraryum, wynoszącem 4 kop. od wiersza musi napisać miesięcznie 5000 wierszy, co stanowi mniej więcej tom o 10 arkuszach druku.

Winszuję! Dwanaście takich tomów rocznie, czyli 60,000 wierszy. Wobec tego zawodowy publicysta, który oddaje się „całą duszą swej pracy i poświęca jej wszystkie swoje siły i zdolności“ żadną miarą nie mógłby podźwignąć takiego ciężaru, gdyby nie liczne ułatwienia w pracy, do których uciekać się musi.

Oto jest główne i zasadnicze źródło powierzchowności naszej publicystyki z jednej strony, a z drugiej braku w niej ludzi, którzyby posiadali głębsze przygotowanie i umiejętność.

Kto daje z siebie rocznie 60,000 wierszy, ten przynajmniej $^3/_4$ musi dać takich, które odgrywają rolę wody, dolewanej do mleka przez fałszerza nabiału, kto zaś poprzestaje na 15,000 wierszy — ten może pisać artykuły poważniejsze, lepiej opracowane i wartościowe, ale—musi jednocześnie szukać innego zajęcia, musi zostać adwokatem lub urzędnikiem, bo z pióra nie wyżyje i nietylko rodziny, ale nawet siebie samego nie utrzyma.

Poruszamy tę kwestyę, bo należy ona do tych, którym wydawcy dzienników nie lubią poświęcać miejsca, ale którą zająć się powinna kasa literacka i ci z pośród naszych redaktorów, którym zależy na podniesieniu poziomu publicystyki.

Inaczej—kwestya nie załatwi się nigdy, nawet przez najlepszą szkołę.

*

* *

Kult Najświętszej Maryi Panny należy u nas do najdawniejszych i najsilniej wkorzenionych w zbiorową duszę narodu.

Literatura nasza poczyna się od pieśni *Bogarodzica*. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej znajdzie się w każdym domu—od pałacu do najuboższej chaty wieśniaczej, *szkaplerz* święcony stanowi relikwię dla ludu, majowe nabożeństwa na cześć Maryi mają w sobie do dziś najwięcej poezyi ze wszelkich obchodów religijnych, Święto Matki Boskiej Zielnej porywa swoją malowniczością i nastrojem, święcenie gromnic jest uroczystością bardzo piękną

i t. d. Wszystko słowem, co wiąże się z imieniem Maryi związane jest ściśle z naszym bytem narodowym w przeszłości i w teraźniejszości i nie da się oddzielnie od niego traktować.

Dla tego z radością witamy projekt „Wystawy Maryańskiej," która ma się odbyć z wiosną r. b. *ex re* jubileuszu Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny.

Komitet przyszłej wystawy już się zawiązał, a oto owoc dotychczasowych jego działań.

Na pierwszym planie była kwestya omówienia warunków wynajmu sali muzeum przemysłu i rolnictwa na czas trwania wystawy i dalej sprawa ubezpieczenia przedmiotów, jakie się znajdą na wystawie, wynajmu lub wypożyczenia odpowiednich na umieszczenie tych przedmiotów szaf, kiosków, i gablot; porządku i sposobu przyjmowania, i numeracyi okazów, sporządzania właściwych w tym celu kwitaryuszów, deklaracyj, raptularzy i t. d.

Jednocześnie też obmyślane zostały jaknajszczegółowiej środki ostrożności, jakie będą zastosowane podczas urządzania wystawy i w czasie jej trwania, iżby żaden z przedmiotów, nadesłanych na wystawę, nie uległ uszkodzeniu lub zaginięciu. Odpowiedzialność pod tym względem komitet przyjmuje na siebie i poręcza za całość i bezpieczeństwo wszystkich przedmiotów, jakie znajdą się na wystawie.

Do dnia 15 kwietnia wszystkie nadesłane na wystawę przedmioty będą pozostawały pod troskliwą opieką w domu J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza, z chwilą zaś przeniesienia ich do sali muzealnej znajdą się one pod opieką dyrektora muzeum.

Po tem zapewnieniu, komitet wyjaśnia, jakie mianowicie przedmioty zamierza wystawić.

Największą bez wątpienia liczbę okazów, nadających się na wystawę Maryańską - pisze ks. Skimborowicz—sekretarz komitetu, posiadają nasze świątynie, oraz znaczniejsze u nas zbiory prywatne. Sprawa więc zaopatrzenia wystawy w odpowiednie przedmioty, znajdujące się po naszych kościołach, zależną będzie od rozporządzeń Ich Ekscelencyj księży biskupów. Co zaś do znaczniejszych u nas *prywatnych* zbiorów, to kilku ich właścicieli przyrzekło już komitetowi swój udział w nadesłaniu tego wszystkiego, cokolwiek w zbiorach tych kwalifikować się będzie na rzeczoną wystawę. Chodzi więc teraz o zachęcenie szerszego ogółu, ażeby nie odmówił wzięcia udziału w ofiarowaniu na wystawę Maryańską wszystkich posiadanych przez siebie przedmiotów, mających jakibądź związek ze czcią Bogarodzicy, a jednocześnie przedstawiających wartość artystyczną, historyczną lub archeologiczną.

Że przedmiotów takich w posiadaniu prywatnem znajdzie się u nas bardzo a bardzo wiele, to chyba najmniejszej nie ulega wątpliwości. Iluż bo np. jest u nas mniej lub więcej gorliwych zbieraczy dawnych pamiątek, którzy w zbiorach swych, choć może ilościowo małych, posiadają jednakże rzeczy niezmiernie cenne. U każdego z nich z pewnością znajdzie się przedmiot z wyobrażeniem imienia lub postaci Bogarodzicy, kwalifikujący się na wystawę Maryańską.

Lecz obok miłośników-zbieraczy, ileż mamy rodzin, które posiadają po swych przodkach liczne nieraz i bardzo cenne pamiątki, w postaci zbroi, ryngrafów, napierśników, medali, rzeźb, obrazów, obrazków, wydawnictw ozdobnych, sztychów, stalorytów i t. d. Prawdopodobnie niejedna z tych pamiątek ma łączność ze czcią Matki Boskiej, na niejednej z nich widnieje już to ekspiacyjny jaki napis ku chwale Bogarodzicy, już to Jej imię i postać, odtworzona za pomocą pędzla, dłuta lub pióra.

Oprócz wspomnianych zabytków starożytnych i pamiątkowych, podobnież w posiadaniu prywatnem znajdzie się u nas bardzo wiele tejże treści przedmiotów nowoczesnych, zwłaszcza z zakresu malarstwa i rzeźby, posiadających mniej lub więcej wysoką wartość artystyczną.

Komitet wystawy niepłonną żywi więc nadzieję, że wszyscy posiadacze tego rodzaju przedmiotów, zarówno pamiątkowych, jak i artystycznych, zechcą wziąć udział w projektowanej wystawie, która z wielu względów posiadać będzie bardzo doniosłe znaczenie i dla tego właśnie przedstawić się winna, o ile nas stać tylko, możliwie jaknajokazalej.

Posiadacze znaczniejszych zbiorów pamiątkowych proszeni są o powiadomienie o tem Komitetu i jednoczesne nadesłanie mu wykazu przedmiotów, które ze zbioru swojego przeznacza na wystawę. Właściciele zaś jednego, kilku i kilkunastu okazów, nadających się na wystawę Maryańską, raczą przedmioty te nadesłać wprost do kancelaryi Komitetu, z dołączeniem do każdego z nich deklaracyi, ułożonej według schematu następującego:

1) Imię i nazwisko właściciela przedmiotu.
2) Miejsce zamieszkania i adres.
3) Nazwa przedmiotu, nadesłanego na wystawę.
4) Historya tego przedmiotu (autor, data, pochodzenie).
5) Wartość przedmiotu.
6) Podpis właściciela.

Przytem, jeżeliby kto z posiadaczy danego przedmiotu życzył sobie zbyć go za cenę, przez siebie wskazaną, zechce zaznaczyć na tejże deklaracyi.

Każdy z okazów nadesłanych otrzyma numer porządkowy i pod tymże numerem wydany będzie właścicielowi odpowiedni kwit sznurowy o przyjęciu danego przedmiotu pod opiekę komitetu wystawy.

Okazy te podlegną następnie zakwalifikowaniu na wystawę przez poszczególne Sekcye Komitetu. Przedmioty zaś, znajdujące się w większych zbiorach w Warszawie, a zaofiarowane na wystawę, Komitet przez swoich delegatów oceniać będzie na miejscu, czyli w domu ich właściciela.

Dla upamiętnienia wystawy Maryańskiej powstał projekt sporządzenia o niej katalogu rozumowanego. Wielce zatem pożądaną byłoby rzeczą o pochodzeniu zwłaszcza *przedmiotów pamiątkowych* posiadać obszerniejsze dane. Z pewnością każdy z tych przedmiotów ma krótką przynajmniej swoją historyę. Zapewne jednak znajdą się i takie pamiątki, z któremi łączy się niejeden ciekawy szczegół historyczny, o którym nie wiedzą nawet nasi szperacze historyczni, a który przekazany został w tradycyi, lub przechowuje się w aktach danej rodziny, posiadającej ową pamiątkę z czasów dawnych. Dokumenty w tym względzie dostarczone, lub też wiarogodne świadectwa o danej tradycyi — mogą się stać poważnym przyczynkiem dla badań historycznych.

Z tego wszystkiego widać już, że wystawa będzie bardzo pouczająca i dla zwiedzających nad wyraz ciekawa.

Nie wątpimy też, że ogół poprze ją ze wszystkich sił przedewszystkiem w kierunku dostarczania godnych wystawienia eksponatów.

W końcu nadmienić należy, że wszelkich wyjaśnień osobom zainteresowanym sprawą wystawy Maryańskiej, udziela Kancelarya Komitetu, mieszcząca się w domu J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza, przy ul. Krak. Przedmieście № 1.

*

* *

Pan A. B. Brzostowski, dawny bibliotekarz J. I. Kraszewskiego i autor ciekawych wspomnień o tym pisarzu, ogłosił świeżo broszurę p. t. „W sprawie... nazbyt już nas kompromitującej.“

Jest to list otwarty do redaktorów pism polskich i przewodniczących naszych Towarzystw naukowych i literackich.

Autorowi, który jest gorącym zwolennikiem idei języka międzynarodowego, chodzi o obojętność, z jaką u nas traktuje się język *Esperanto*, będący jego zdaniem najlepszym ze wszystkich języków sztucznych.

P. Brzostowski w wywodach swoich powołuje się na powagę Akademii Francuskiej, na znane dzieło profesorów: Ludwika Couturat i Leopolda Leau p. t. „Histoire de la langue Universelle“ i na cały szereg rozmaitych innych wydawnictw, przyczem podkreśla na każdym kroku zaniedbanie u nas tej sprawy i każe się społeczeństwu rumienić za to.

Nie stoimy na stanowisku przeciwnem samej idei języka międzynarodowego. Przeciwne — radzibyśmy, aby język taki powstał, rozwinął się i utrwalił, ale — pomimo to przyznać musimy, że pretensye autora broszury nie trafiają nam do przekonania.

Powodują tu nami trzy względy zasadnicze.

Przedewszystkiem o *lekceważeniu* samej idei nie może być mowy, skoro prasa nasza od czasu do czasu informuje ogół o tej sprawie. Sam p. Brzostowski przyznaje, że wydrukował w pismach polskich 42 artykuły o języku *Esperanto*, nadto zaś, o ile wiemy, omawiali tę samą sprawę i bardzo poważni publicyści, jak p. Bol. Koskowski w *Gazecie Polskiej* przed dwoma laty. Jestto chyba aż nadto wystarczający dowód, że nie stoimy całkowicie poza obrębem usiłowań cywilizacyjnych ludzkości w tym kierunku. Zresztą — twórcą tego języka jest... Warszawianin. Drugi wzgląd — to niezliczona ilość spraw, daleko bliżej nas obchodzących i ściśle związanych z naszem życiem, które zajmować nas powinny daleko więcej, niż język *Esperanto* i którym musimy dać przed nim pierwszeństwo. Nasz postęp kulturalny odbywa się bardzo powoli i na niejednem polu stoi znacznie w tyle poza Europą zachodnią, pierwszem więc zadaniem naszem *cywilizacyjnem* jest dorównać innym krajom i społeczeństwom w dziedzinach pracy wytwórczej i urządzeń społecznych.

Po trzecie, wreszcie — świadomi jesteśmy dobrze tego, że nasz głos w ostatecznem załatwieniu tej sprawy, wcale lub bardzo mało zaważy. Przypuśćmy bowiem, że, przychylając się do życzeń p. A. B. Brzostowskiego, potrafimy rozbudzić w całem społeczeństwie zapał dla *esperantyzmu* i wszyscy zaczniemy posługiwać się tym językiem, głosząc światu, że uznaliśmy go za najlepszy, za jedyny, za prawdziwie międzynarodowy — to co z tego wyniknie?

Czy usłuchają nas Anglicy, Francuzi, Niemcy, Włosi, Amerykanie i t. d.? Zdaje się, że nie.

Nie mamy więc powodu spieszyć się tak bardzo z wypowiedzeniem swego zdania stanowczego. Będzie na to czas zawsze, wówczas nawet, kiedy inne narody kwestyę tę już załatwią między sobą, nic bowiem łatwiejszego, jak zastosować się do uchwały powszechnej. Nadto wtedy nasz *obowiązek cywilizacyjny* połączy się z naszym *interesem własnym*, co sprawie odrazu zapewni powodzenie.

Nie grzeszymy więc tak ciężko, jak to się wydaje p. Brzostowskiemu, nie jesteśmy bowiem powołani do rozstrzygania w tej mierze i możemy śmiało trzymać się tu w pewnej rezerwie.

Idea języka międzynarodowego nic na tem nie straci. Jeżeli dojrzeje ona i stanie się istotną potrzebą wszystkich narodów, to potęga jej porwie za sobą ludy całego świata, ale — to nie nastąpi jeszcze dziś. Jeżeli ma ona w sobie zadatki życia na przyszłość, to nietylko naszą pokona obojętność, ale wszelkie zwalczyć potrafi przeszkody i koniec końców zwycięży. Na to zwycięstwo też musimy czekać, zanim przyłączymy się do koła jej wyznawców bez zastrzeżeń.

Na razie jednak — powtarzam — mamy czas na to, bo ani p. Brzostowski, ani nawet Akademia Francuska nie mogą jeszcze przesądzać, czy językiem międzynarodowym, *uniwersalnym* będzie język *Esperanto* czy może jaki inny, jeszcze lepszy język sztuczny, czy wreszcie którykolwiek z języków żywych np. angielski? a może nawet do tej roli powołana zostanie na nowo łacina? Niedawno jeszcze we Włoszech nie bez zasady poruszono myśl wskrzeszenia t. n. *łaciny handlowej*. Ma ona za sobą argument bardzo silny, gdyż dla wszystkich narodów romańskich przyswojenie jej byłoby bagatelą, nadto zaś na całym świecie w szkołach średnich wykładana jest łacina, więc ogromna większość ludzi wykształconych we wszystkich krajach posiada gotowy zapas słów tego języka. Trudno więc przewidywać, jak się sprawa wyboru języka zakończy, a dopóki to nie nastąpi, nie mamy powodu płonić się rumieńcem wstydu za nasze wstecznictwo. Należy to czynić, ale z wielu innych, daleko ważniejszych i poważniejszych względów.

*

* *

Kobieta-lekarz, Dr. P. Popławska zamierzyła dobre dzieło. Oto—jak donoszą dzienniki—zabiega ona około utworzenia w Warszawie *przytułku dla idyotów*.

Że przytułek taki jest bardzo potrzebny, o tem nie można wątpić, lekko bowiem licząc w kraju naszym jest od 5000—6000 urodzonych głuptaków, którzy z jednej strony cierpią prawdziwe męki wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z nimi otoczenia, z drugiej są ciężarem rodzin niezamożnych, które nie mogą zabezpieczyć ani bytu materyalnego ani opieki tym nieszczęśliwym, wydziedziczonym, pozostającym niejako poza obrębem społeczeństwa istotom.

Zająć się niemi, zaopiekować, przytulić w zakładzie, gdzie znajdą za opłatą skromną, lub w razie ubóstwa rodziców zupełnie bezpłatnie—i dach nad głową i kierownictwo umiejętne i jakieś zatrudnienie fizyczne, odpowiadające nizkiemu poziomowi ich umysłów — stanowi niewątpliwie rzecz prawdziwego miłosierdzia.

Społeczeństwo więc, za którego grzechy w postaci alkoholizmu, przymiotu, morfinizmu i t. d. cierpią niewinne dzieci, powinno zakład taki poprzeć ze wszystkich sił swoich.

Powstaje on z niczego. Dźwiga go tylko dobra wola i zapał inicyatorki i zgrupowanego dokoła niej komitetu. Ale—pierwsze lody już przełamane. Przy ul. Hożej pod № 78, w sąsiedztwie ogrodu pomologicznego wynajęto lokal przestronny i słoneczny. Dzięki ofiarności ludzi, uznających społeczną doniosłość idei, propagowanej przez Dr. Popławską, do zakładu zaczynają już napływać dary, wobec czego jest nadzieja, że całe umeblowanie i urządzenie wewnętrzne nie pociągnie za sobą kosztów zbyt wielkich. Sądzimy też, że ofiarność w tym kierunku nietylko nie osłabnie, ale wzmoże się, skoro tylko zakład stanie się popularniejszym. A w miarę rozwoju i wzrostu będzie mu potrzeba środków, środków i jeszcze raz środków.

Dr. Popławska bowiem, do której zwróciliśmy się z prośbą o zaznajomienie nas z obecnym stanem projektu, słusznie zwróciła nam uwagę na fakt, że w tego rodzaju przedsięwzięciach potrzeby rosną szybciej, niż sama instytucya. Zanim powstanie zakład, obliczony na 40 pensyonarzy—już jest 100 kandydatów, zanim wybuduje się dom na pomieszczenie tych 100, już jest ich 400, zanim dla tych 400 pomyśli się o rozszerzeniu budynku i postawieniu nowych pawilonów, cyfra kandydatów dochodzi już do 1000 i t. d.

Otóż nie ulega wątpliwości, że to samo będzie i z przytułkiem dla idyotów, który w Warszawie jest dopiero drugą tego rodzaju instytucyą.

Pierwsza — powstała niedawno staraniem tutejszego Zboru ewangelickiego i pod kierunkiem p. Wolfle, doświadczonej kiero-

wniczki, rozwija się pomyślnie, ale liczy dopiero 7 pensyonarzy. Cały zaś zakład obliczony jest zaledwie na 24 wychowańców, jest to więc kropla w morzu potrzeb. Pod tym względem stoimy daleko w tyle poza Europą zachodnią.

Dość powiedzieć, że w samych Niemczech, jest 104 takie schroniska (według statystyki z r. 1901) z 20142 pensyonarzami!

Sprawa więc opieki nad umysłowo upośledzonymi, należy u nas do najbardziej palących i najbardziej zaniedbanych, zwłaszcza, że brak tej opieki niejednokrotnie pociąga za sobą fatalne skutki.

Wśród idyotów np. bardzo dużo jest *pyromanów*. Pozostwieni sami sobie, dopuszczają się oni podpalań i mogą nieraz zupełnie nieświadomie stać się przyczyną wielkiego nieszczęścia. Statystyka kryminalna zna również cały szereg zbrodni ohydnych, popełnionych przez zwyrodniałe lub zidyociałe jednostki, których prawo nie karze, bo karać nie może, ale które powinny być stanowczo izolowane od społeczeństwa, wymaga bowiem tego samoobrona społeczna. Jedyną zaś drogą tej samoobrony w kierunku powyższym jak zakładanie jaknajliczniejszych przytułków dla tych nieszczęśliwych.

Niewątpliwie przyjdzie czas, że społeczeństwo zrozumie to i wówczas, łącząc miłosierdzie chrześcijańskie z własnym interesem, z większą niż dotychczas świadomością dążyć będzie do rozwiązania tej kwestyi na drodze wysiłków zbiorowych.

Zanim to wszakże nastąpi, inteligentniejsza część naszego ogółu, ta część, która już dziś zdaje sobie sprawę mniej lub więcej dokładną z tego rodzaju potrzeb, winna okazać jaknajgorętsze poparcie inicyatywie prywatnej, stawiającej pierwsze kroki na tem polu.

Sądzimy też, że nadzieje co do tego nie są płonne i że Zakład Dr. Popławskiej dozna tego właśnie poparcia w całej rozciągłości.

*

* *

Dnia 4 grudnia r. b. zmarł w Warszawie znany i zasłużony wydawca, ś. p. Maurycy Orgelbrand.

Przed laty 50 założył on wespół z bratem swoim Samuelem księgarnię nakładową w Wilnie, a od r. 1865 takąż samą księgarnię prowadził w Warszawie, gdzie rozwinął pożyteczną działalność.

Z firmą Orgelbrandów łączy się wspomnienie o wielu cennych wydawnictwach, przedewszystkiem zaś o pierwszej u nas *wielkiej*

Encyklopedyi Powszechnej, obejmującej 28 tomów. Encyklopedya ta, dotychczas posiada jeszcze wartość niemałą, szczególnie w dziale artykułów historycznych.

Bardzo popularnem wydawnictwem Orgelbrana był również „Słownik języka polskiego.“ Nadto firma ta wydała „Geografię powszechną ilustrowaną“ Schweiger-Lerchenfelda, „Wojnę polsko-rosyjską 1831 r.“ generała Puzyrewskiego, „Historyę literatury polskiej“ Maryana Dubieckiego i t. d.

Ś. p. Maurycy Orgelbrand, który dożył sędziwych lat, cieszył się szczerą sympatyą w szerokich kołach.

*

* *

Z Wrocławia nadeszła wieść o zgonie prof. Jacoba Caro, wysoce cenionego historyka i uczonego pierwszej miary.

Zmarły profesor był naszym ziomkiem. Urodził się we Włocławku w r. 1836, jako syn rabina żydowskiego, całe życie jednak spędził na obczyźnie. Nie zerwał pomimo to nigdy nici, która go łączyła z polakami. Odbiło się to na szeregu jego prac historycznych, z zakresu dziejów Polski średniowiecznej. On też po śmierci słynnego autora „Dziejów Polski,“ Roeppla podjął się kontynuowania tej pracy w duchu prawdy i bezstronności, które wśród pisarzów niemieckich w stosunku do Polski tak nie wiele miały i mają hołdowników.

Z pośród innych prac prof. Caro wymienić należy: „Das Interregnum im Jahre 1587,“ „Beata und Halszka,“ „Ostroróg,“ „Johannes Longinus,“ „Aus den Tagen Elisabeth von England“ (o bytności Olbrachta Łaskiego w Anglii) i t. d.

Zmarły uczony był członkiem naszej Akademii Umiejętności w Krakowie, a w r. 1900 reprezentował uniwersytet Wrocławski na jubileuszu uniwersytetu Jagiellońskiego.

Cześć jego zasługom, jego cichemu, pracowitemu życiu, które zbiegło na sumiennem oddaniu się nauce, którą kochał, cześć jego pamięci i czystemu sercu, które umiało wznosić się zawsze ponad niesnaski dnia i wolne było od wszelkich namiętności, cześć *prawdzie*, którą głosiły jego usta...

*

* *

Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie ubył jeden z pożyteczniejszych pracowników.

Umarł kustosz jej, dobrze znany wszystkim, którzy kiedykolwiek zaglądali do tej książnicy—ś. p. Rudolf Ottmann.

Urodzony w r. 1844 w Przemyślu, ś. p. Ottmann uniwersytet kończył we Lwowie i tam rozpoczął służbę biblioteczną.

Do Biblioteki Jagiellońskiej przeszedł w r. 1876, zajmując tam urząd skryptora. Po zgonie D-ra Wisłockiego, zajął jego miejsce i, jako kustosz pracował pilnie i z korzyścią dla instytucyi aż do chwil ostatnich.

Pochłaniające wiele czasu obowiązki, nie przeszkadzały mu jednak zwiększać powoli i własny dorobek naukowy.

Z pod pióra D-ra Ottmanna wyszedł cały szereg pism, które wprawdzie nie są dziełami pomnikowemi, ale stanowią cenne przyczynki do badań historyczno-literackich.

Należą tu prace następujące: „Adam z Brusiłowa Kisiel“ (Kraków 1886), „Dyaryusz Taszyckiego drogi Tureckiej“ (1883—*Kłosy*), „Jan Paweł Woronicz“ (Kraków 1883), „Juljan Korsak i jego życie (1882—*Przegląd polski*), Erazm Gliczner (1886—*Przewodnik naukowy*), „Stefan Witwicki. Życie i pisma.“ „O Rzewuskim hetmanie“ i t. d., że wymienimy jeszcze „Zur Emancipation der polnischen Frauenwelt“ w *Slavische Rundschau*.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

— Dnia 17 listopada 1904 r. odbyło się posiedzenie Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, pod przewodnictwem Prof. *M. Sokołowskiego.*

Przewodniczący zdał naprzód sprawę ze swej naukowej wycieczki do Petersburga.

W Ermitażu przechowane są trzy miecze, należące niegdyś do król. skarbca polskiego. Jest tam przedewszystkiem dawny miecz koronacyjny „szczerbiec.“ Autentyczność jego wykazała już praca I. N. Sadowskiego. Interesujący w tym sławnym mieczu szczegół odkrył jeden z konserwatorów Ermitażu, p. Lentz, a mianowicie, że po usunięciu dwóch blaszek pod rękojeścią, ukazała się szczerba, poniżej zaś niej dwie dziurki, przez które przeciągnięte były druty, służące zapewne do przytrzymania relikwii.

Drugi miecz w Ermitażu, o przepysznej wschodniej klindze, był własnością Zygmunta I, trzeci wreszcie należał do Jana III, darowany królowi temu wraz z czapką, do dziś dnia świetnie zachowaną, przez Innocentego XI po zwycięstwie wiedeńskiem.

W zbiorze kosztowności Ermitażu znajduje się szkatułka, ofiarowana przez Zygmunta I Joachimowi brandeburskiemu z okazyi ślubu jego z córką Zygmuntową. Dla historyi złotnictwa przedstawia szkatułka ta pierwszorzędne znaczenie ze względu na mnóstwo klejnotów tualetowych, wprawionych w jej srebrne, grawirowane ścianki.

W Akademii sztuk pięknych na szczególniejszą uwagę zasługuje cały szereg tek z rycinami i rysunkami, należącemi niegdyś do Stanisława Augusta. W tekach, poświęconych architekturze, które referent szczegółowo przeglądał, uderzają projekta (Kamsetzera, Kubickiego, Merliniego i innych) wspa-

niałych budynków, częścią wzniesionych, częścią nigdy nie wykonanych. Materyał ten, zupełnie dotąd nieznany, opracować zamierza Dr. Emanuel Swieykowski, który w tym celu na wiosnę 1905 r. uda się do Petersburga na kilka miesięcy.

Referent podał następnie ciekawe szczegóły o t. zw. „Potopie," t. j. słynnej kolekcyi arrasów Zygmunta Augusta, znajdującej się w cesarskiej rezydencyi w Gatczynie.

Kolekcya wspomniana składa się z 22 arrasów, których rysunek i kompozycya idą o lepsze ze świetnością barw, niezbladłą, pomimo upływu wieków. Kartony do tych arrasów wyszły prawdopodobnie z pracowni uczniów Rafaela: Francesco Penni i Giovanni da Udine. Zwłaszcza z dziełami tego ostatniego mają wiele analogii stylistycznej.

Z rzeczy z Polską związek mających, znajduje się nadto w Gatczynie piętnaście obrazów Canaletti'ego, t. j. widoków Warszawy, Wilanowa i okolic.

P. *Adam Chmiel* mówił następnie o kaflach, znalezionych przy zakładaniu fundamentów domu XX. Salezyanów w Oświęcimiu. Znalazło się tam wiele fragmentów i kilkanaście całych, doskonale zachowanych. Kafle te są glazurowane polewą zielonu, z płaskorzeźbami doskonale modelowanemi, przedstawiającemi sceny ze św. Jerzym i postacią św. Olafa (czy św. Władysława, jak to w dyskusyi zaznaczył p. Lepszy). Niektóre z nich mają na gotyckich tarczach modelowane herby, z których p. Chmiel zdołał na podstawie materyału sfragistycznego wykazać, że jeden jest herbem m. Bielska, drugi, z lwem czeskim ukoronowanym, może być herbem m. Kładzka, lub kilku innych miast śląskich, niektóre zaś mają w herbie Gryfa z koroną na szyi, Pelikana, dwie zaś tarcze czteropolowe wyobrażają rycerza na koniu i orły śląskie, których to herbów oznaczyć się nie dało. Kafle wspomniane pochodzą z XV w. i jak referent przypuszcza, są wyrobem śląskim, w Bielsku lub w Cieszynie wykonanym. — Fragmenty takich kafli znaleziono także dawniej (1884 r.) w zameczku Wołek na gruntach wsi Kobiernice koło Kęt.

P. *E. Świeykowski* przedstawił następnie fotografię pomnika księcia Stanisława Radziwiłła w kościele pobernardyńskim w Wilnie, wystawionego przez syna, ks. Wojciecha Radziwiłła. Jak na późną epokę, w której powstał (koniec XV w.), odznacza się nagrobek ten niezwykle prostą i szlachetną kompozycyą.

P. *Ludwik Puszet* przedłożył wreszcie zdjęty przez siebie odcisk woskowy, który rozstrzygnął ostatecznie sprawę napisu na dzwonie w Ludźmierzu. Na dzwonie tym znajduje się napis: *Jesus Christus, Maria*, a następnie, jak Łepkowski podaje, data: 1209, którą w ślad za nim podaje też wielu autorów. Autor artykułu o Ludźmierzu w „Słowniku geograficznym," zamiast daty, czyta *Mater Eius*. Odmiennie od zapatrywań powyższych twierdził p. St. Tomkowicz na posiedzeniu Grona konserwatorów dnia 7 listopada 1895 r., że rzekoma data jest poprostu minuskułą XV w. (a w każdym razie nie z XIII), o słuszności zaś tego ostatniego zdania świadczy w zupełności przedstawiony przez referenta odcisk — istotnie minuskuły XV w.

NOWE KSIĄŻKI.

— Niedawno ukazało się nowe powiększone wydanie ogólnie znanego dzieła Władysława Łozińskiego „Prawem i Lewem.“ Studyum to, dotyczące prawa i obyczajowości w ziemiach Ruskich, a oparte wyłącznie na zapiskach sądowych, zaczerpniętych z Archiwum Bernardyńskiego, roztacza jaskrawy obraz stosunków prawnych i obyczajowych na Rusi w XVI i na początku XVII w. Obraz częstokroć zbyt jaskrawy, bo oparty na źródłach sądowych (pozwach, protokółach, manifestach, remanifestach), gdzie nie brak przesady i stronniczości. Tem niemniej dzieło zasługuje na wyróżnienie ze względu na obfitość materyału i staranne jego zużytkowanie. Obecne wydanie obejmie 2 duże tomy (T. I, 8-o, str. XII + 411. T. II, str. XII + 560) ozdobione licznemi rycinami (widoki, portrety, pamiątki) i obszernym indeksem nazwisk i miejscowości. Wydanie to różni się znacznie od pierwszego tak zasobem treści jak i jej układem. Pierwszą zwłaszcza część książki autor nietylko przerobił, ale i w dwójnasób prawie pomnożył. Tak samo w tomie drugim znajdzie czytelnik liczne uzupełnienia pierwotnej treści. Tłómaczy się to przyrostem materyału z rozszerzenia granic chronologicznych opowiadania, które w pierwszem wydaniu zamykało się z panowaniem Zygmunta III, w niniejszem zaś kończy się dopiero na r. 1650.

— Znaczna liczba wydawnictw heraldycznych powiększona została nowem dziełem nie małej wagi. Jestto herbarz *hr. Uruskiego* b. prezesa deputacyi szlacheckiej w gub. Warszawskiej poprzedzony wstępem pióra *A. Rembowskiego.*

Dotąd opuścił prasę tylko tom 1-szy obejmujący rodziny Abakanowicz—Broniewicz, nosi on tytuł: Rodzina. Herbarz Szlachty Polskiej opracowany przez Seweryna hr. Uruskiego przy współudziale *Adama Amilkara Kosińskiego* wykończony i uzupełniony przez *Aleksandra Włodarskiego* wydany staraniem i kosztem córek autora. T. I. Warszawa, 1904. 4-o, str. XIII + 400.

Obszerna przedmowa A. Rembowskiego zawierająca spis bibliograficzny dotychczasowych polskich wydawnictw heraldycznych i ich krytyczny rozbiór, wyjaśnia przyczynę dla której podjęto wydanie herbarza Uruskiego, gdy jednocześnie wychodzi niedokończone jeszcze, a pomnikowe dzieło A. Bonieckiego. Przyczyna ta leży w charakterze specyalnym pracy Uruskiego, opartej głównie na materyale urzędowym, jakiego dostarczyły autorowi archiwa komissyi legitymacyjnych w Cesarstwie i w Królestwie Polskiem. Uzupełniając ten materyał, autor korzystał jeszcze z innych archiwów publicznych i prywatnych oraz źródeł drukowanych, których spis znajdujemy na początku książki. Szkoda jednak że w poszczególnych opisach rodzin autor rzadko kiedy wskazuje odnośne źródła. Ten sposób powiększyłby zapewne rozmiar wydawnictwa i tak obliczonego na kilka tomów, ale nadałby mu bardziej naukowy charakter i ułatwiłby poszczególne studya. W każdym razie dzieło zaliczyć należy do poważnych prac naukowych. Obejmuje ono:

1) Kompletny spis szlachty polskiej wylegitymowanej przed Heroldyą Kr. Polskiego aż do 1864 r. i przed Radą Stanu Królestwa do 1867 r. 2) Kompletny spis szlachty polskiej, wylegitymowanej przed deputacyami szlacheckiemi w Cesarstwie rosyjskiem do r. 1835 i 3) kompletny spis szlachty polskiej wylegitymowanej przed departamentem Heroldyi w Cesarstwie do 1878 roku.

Poprzednio wydane już były spisy nazwisk szlachty królestwa i poszczególnych gubernii Cesarstwa, ale wszystkie okazały się niedostateczne. Herbarz Uruskiego przynosi nauce nowy materyał heraldyczny, dotyczący wielu rodzin ominiętych w dawniejszych herbarzach. Wydany został staraniem i kosztem córek autora: ks. Włodzimierzowej Czetwertyńskiej i ks. Janowej Sapieżyny.

Panna MARYA ZIELEWICZÓWNA znana czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ z rozprawy o Raffie Eldo Emersonie filozofie amerykańskim wydała niedawno pod pseudonimem LITAWY broszurę zatytułowaną: „KSIĄDZ W POLSKIEJ POEZYI I POWIEŚCI“ (Poznań, 1904, 8-o, str. 83). Pobieżną zdając sprawę z utworów XVI i XVII w., przedstawiających księdza polskiego, utalentowana autorka zatrzymuję się głównie nad epoką romantyzmu, gdzie obszerne znajduje pole dla swoich badań. Kilkoma udatnemi rysami przypomina czytelnikowi dobrze znane postacie księdza Piotra, Robaka, ks. Marka, w kilku słowach charakteryzuje ich wartość duchową i znaczenie ich w literaturze. Następnie roztrząsa postacie duchowieństwa polskiego z powieści Kraszewskiego, T. Jeża, i wybitne typy mistrzowsko odtworzone przez Sienkiewicza, wreszcie zwraca się ku piśmiennictwu ostatniej doby, gdzie najwięcej miejsca poświęca „Księdzu Piotrowi“ Tetmajera. Cała broszura czyta się z nieustającem zajęciem.

— „SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO I NIEMIECKIEGO,“ opracowanego przez FRANCISZKA KONARSKIEGO i ADOLFA INLENDERA ze współudziałem d-ra Alberta Zippera, a wydawanego nakładem Maurycego Perlesa w Wiedniu i G. Centnerszwera w Warszawie, wyszły dalsze zeszyty, od 42 do 47.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BIBLIOTEKA NAUKOWA (dwutygodnik) Warszawa—Lwów.—W zeszycie № 22, pomieszcza: *J. Lewkowicza*: „John Locke i jego filozofia;“ — *W. Makowskiego*: „Mickiewicz, Słowacki i Towiański“; — *W. Szukiewicza*: „Ruch współdzielczy podług Karola Gide'a;“ — *Ernesta Haecka*: „Zarys filozofii monistycznej.“ Ciąg dalszy tej ostatniej rozprawy, wypełnia cały następny zeszyt 23-ci Biblioteki Naukowej.

— HOMILETYKA, pismo miesięczne, poświęcone kaznodziejstwu i życiu duchownemu, pod kierunkiem literackim ks. *Maryana Massalskiego*, Mag. Teol. Rok VII, Zesz. XI, Listopad, 8-o, str. 489 — 542.

— PRZEGLĄD LITERACKI, czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej, wydawane przez *Towarzystwo Literackie imienia Adama*

Mickiewicza ze stałem współpracownictwem: Aleksandra Brücknera, Ignacego Chrzanowskiego, K. M. Górskiego, Józefa Kallenbacha, Stanisława Ptaszyckiego, Stanisława Windakiewicza pod redakcyą *Wilhelma Bruchnalskiego, Bronisława Gubrynowicza i Edwarda Porębowicza.* Rocznik III, zeszyt II, Lwów 1904. 8-o, str. IV + 185 — 343. Po krótkiem wspomnieniu pośmiertnem jakie redakcya poświęca ś. p. Piotrowi Chmielowskiemu, spotykamy się w zeszycie bieżącym z następującemi rozprawami: *Przem. Mączewskiego*: „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki (Szkic Literacki, dok.).“ — *Konst. Wojciechowskiego*: „Bernatowicza „Nierozsądne śluby“ jako pierwszy objaw Werteryzmu w Polsce.“ *Edwarda Dubanowicza*: Słowackiego „Ksiądz Marek.“ Studyum historyczno-literackie (c. d.). — W dziale zatytułowanym *Notatki* pomieszczono: *J. Czubka*: I „Kto jest autorem Proteusa abo Odmieńca,“ II „Streugnäs,“ III „Szołtys z Klechą z r. 1598.“ — *Al. Brücknera*: „Ze studyów nad Kochanowskim.“—*Bron. Czarnika*: „Nieznany druk Hozyusza.“ — *Ign. Chrzanowskiego*: „Krasicki, jako autor Monitora z r. 1772.“ — *Wikt. Hahna*: Aloizego Felińskiego „Kora i Alonzo“ i „Kodrus.“ — *Wojc. Grzegorzewicza*: „Czas akcyi w Wallenrodzie.“—*Wł. Jankowskiego*: „Mickiewicz a podania ludu białoruskiego.“

Resztę zeszytu wypełnia obszernie traktowany dział *Recenzyj i Sprawozdań* (str. 307 — 341) — oraz polemika F. Hösicka contra A. Mazanowski.

— Przegląd Sądowy i Administracyjny wychodzący we Lwowie pod redakcyą prof. *Ern. Tilla*, pomieszcza w zeszycie Grudniowym dokończenie rozprawy *Stefana Zembrzuskiego* p. t. „Rossya i Królestwo Polskie. Stosunek prawnopaństwowy od roku 1815 — 1832.“

— Przegląd Uniwersalny (Rok I Kraków) w zeszycie listopadowym pomieszcza następujące artykuły: 1) *Dr. Bronisława Olearskiego*: „Nędza dzieci;“ 2) *ks. Włodzimierza Piętkiewicza*: „Z Neapolu;“ — 3) *dr. Feliksa Koneczneg*o: „Nowiny z historyografii polskiej. IX. Z panowania Jana Kazimierza;“ — 4) *ks. K. Czaykowskiego*: „Pod dzisiejszą apologetykę: Papiestwo jako wszechwładza państwowa“ (c. d.); — 5) *ks. St. Załęskiego*: „Jezuici w Kamieńcu Podolskim;“ — *ks. Wiktora Wieckiego*: „Sprawy kościoła;“ — 7) *dr. St Zdziarskiego*: „Towarzystwa naukowe i literackie 1903;“ — 8) *ks. S. Kobyłeckiego*: „VI kongres międzynarodowy fizyologów w Brukseli 30 Sierpnia — 3 Września 1904 r.“ — Po za tem dokładny przegląd piśmiennictwa polskiego i obcego oraz Zapiski bibliograficzne. Zeszyt obejmuje 11 arkuszy druku in 8-o (str. 161 — 328).

— Wisła, miesięcznik ilustrowany, poświęcony krajoznastwu i ludoznastwu pod redakcyą *Erazma Majewskiego*. Tom XVIII. Zeszyt za Listopad i Grudzień (8-o, str. 408 — 570 + 14), zawiera między innemi następujące prace: *Erazma Majewskiego*: „Nasze sześciolecie 1899 — 1904“ (jest to zdanie sprawy z działalności „Wisły“ w ciągu ostatniego sześciolecia, t. j. od objęcia jej przez dzisiejszego redaktora). — *B. Malewskiego*: „Próba charakterystyki ubiorów ludowych“ (dokończenie artykułu streszczającego odczyty w tej kwestyi miane przez autora w Tow. Hygien. Warszaw. w 1902 i 1903 r.). — Przekład rozprawy *Andrewa Langa*: p. t. „Początek nazwisk i wierzeń totemowych“ dokonany przez *Z. A. Kowerską*. Ważne to dla folkloru studyum drukowane poraz pierwszy w 1902 w „Folk-Lore Journal“ znajduje tu należyte oświetlenie i powiadamia czytelnika o wszystkich teoryach totemizmu czyli nazw gromad ro-

dowych. — *I. Kibarta*, d. c. artykułu p. t. „Istoty mityczne na Żmudzi.“ — *Aleksandry Rumelównej*: „Zabawy, baśni i pieśni wsi Masiów.“

W dziale sprawozdań zwracamy uwagę na recenzyę dr. *Wojciecha Kętrzyńskiego* roztrząsającą wartość naukową dzieła *Kaz. Wachowskiego* wydanego nie dawno p. t. „Słowiańszczyzna Zachodnia.“

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA — FILOZOFIA.

Cathrein Wiktor S. J.: Filozofia moralna. Przekład wolny z trzeciego pomnożonego i uzupełnionego wydania niemieckiego przez *Gostomskiego*. Cz. II Filozofia moralna poszczególna i stosowana, Tom III-ci, 8-o, str. 267. Warszawa 1904.

Fleury Dr.: Dusza dziecka. Podług... Napisała Zofia Sennewald. 16-ka, str. 57. Warszawa, 1904. Książki dla wszystkich Nr. 220. Nakł. M. Arcta.

Konstytucye Braci Mniejszych seraficzkiego Ojca Franciszka ś. Kapucynów, approbowane i potwierdzone od Urbana VIII papieża, z włoskiego na polski język wytłomaczone... 1733 dnia X mies. grud. 1 wydanie w Krakowie, 2 wyd. nakładem oo. Kapucynów, 8-o, str. 154. Kraków, 1904.

Kopyciński Adam Ks. Dr.: Nasza młodzież szkolna. Odb. z „Gaz. kość.“ 8-ka, str. 14. Lwów, 1904. Nakł. „Gaz. kość.“ księg. Z. Jelenia w Tarnowie.

Lancaster E. G.: Wiek młodzieńczy. Studyum psychologiczno-pedagogiczne. Przełożyli z angielskiego A. Grudzińska i K. Król. Dodatek do „Przeglądu Pedag.“ w r. 1904. 8-ka, str. 123. Warszawa, 1904. Wyd. kasy im. Mianowskiego.

Penzig Rudolf Dr.: Jak odpowiadać na zapytania dziecięce. Tłomaczyły z niemieckiego *Zofia Rotszajnowa i Marja Lipska*. Warszawa, 1905. Nakł. księg. M. Borkowskiego. 8-o, str. 242.

Rauschen Gerard: Zarys patrologii ze szczególnem uwzględnieniem historyi i dogmatów. Przełożył *ks. Jan Gajkowski*. 8-o, str. 234 + 9. Warszawa, 1904. (Bibl. dzieł Chrześciańskich).

HISTORYA LITERATURY. — SZKOLNICTWO. — FILOLOGIA.

Bernacki Ludwik Przyczynki do dziejów najdawniejszej powieści polskiej. Odb. z „Pamiętn. liter.“ 8-ka, str. 47. Lwów, 1904. Nakł. Tow. lit. im. Mickiewicza.

Baudouin de Courtenay J.: Kwestya alfabetu litewskiego w państwie Rossyjskiem i jej rozwiązanie. Kraków, 1904. 8-o, str. 44.

Hausner Bernard Dr.: Gramatyka języka hebrajskiego. 8-o, str. 93. Lwów, 1904.

Pilecki Antoni: Poeta i świat. Odczyty... wygłoszone w r. 1903 na rzecz Tow. Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych. 16-ka, str. 122. Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta, Ks. dla wszystkich Nr. 213.

Pypin A.: Historya literatury słoweńskiej. Podług... Napisała Wł. Dobeld. 16-ka, str. 128. Warszawa, 1905. Ks. dla wszystkich Nr. 183. Nakł. M. Arcta.

Sprawozdanie ogólne z działalności Uniwersytetu ludowego im. *Adama Mickiewicza* za czas od 1 Czerwca 1903 do 1 Października 1904 r. 8-o, str. 39.

Tarnowski St.: Cześć Matki Boskiej i dzisiejszy czas. 8-ka, str. 46. Kraków, 1904. Spółka wyd. pols.

Zaleski Józef Bohdan: Korespondencya... wydał Dyonizy Zaleski. T. V. 8-ka, str. 358 + XI + 5 nl. + 34. Lwów, 1904. Nakł. wydawcy Księg. Gubrynowicza i Schmidta.

Zamenhof L. Dr.: Język międzynarodowy Esperanto. (Książki dla wszystkich Nr. 197). Warszawa, 1904. 16-a, str. 99.

H I S T O R Y A.

Chołodecki Białynia Józef: Księga pamiątkowa, opracowana staraniem komitetu obywatelskiego w 40 rocznicę powstania r. 1863/1864. 8-ka, str. 487. Lwów, 1904. Nakł. Komitetu. Gubrynowicz i Schmidt.

Grabowski Józef: oficer sztabu cesarza Napoleona I. Pamiętniki wojskowe 1812—1813—1814... opracował Wacław Gąsiorowski. 8-ka, str. XIV i 344. Warszawa, 1905. Nakł. Kasy warsz. pomocników księg., Gebethner i Wolff.

H. M.: Zbory i senatorowie protestanccy w dawnej Rzeczypospolitej. Z mapą dawnej Polski pod względem kościelnym ewangelickim. Warszawa, 1905. 8-o, str. 139 i mapa.

Historya Masoneryi i innych towarzystw tajnych. 8-o, str. 455+II. Warszawa, 1904. Nakł. Synów St. Niemiry.

Karasiewicz Dr.: Bory tucholskie i krótka historya Pomorza. „Bibl. słowiańska“ 2. 16-a.

Kętrzyński Wojciech: Der deutsche Orden und Konrad von Masovien (1225—1235) Deutsche vermehrte Ausgabe. Lemberg. Gubrynowicz i Schmidt, 1904. 8-o, str. 188 + 1.

Kościelski Józef: Prusy a Polacy. Rzecz ogłoszona w „The national review.“ w zeszycie lipcowym 1904 r., z ang. przełożył Zygmunt Słupski. 8-o, str. 48. Kraków, 1904. Nakł. i druk W. L. Anczyca.

Krotoski-Szkaradek Kazimierz Dr.: Św. Stanisław biskup i jego zatarg z królem Bolesławem Śmiałym, przyczynek do walki kulturalnej w Polsce z końcem XI wieku. 8-o, str. 197 i 2 nl. Lwów, 1905. Nakł. autora. G. Gebethner i Sp. w Krakowie.

Radzikowski Stanisław Eliasz Dr.: Powstanie chłopskie w r. 1846. Lwów, 1904. Polskie Tow. Nakładowe. 8-o, str. 132, z rycinami.

Szelągowski Adam Dr.: O ujście Wisły. Wielka wojna pruska. Warszawa. Gebethner i Wolff. Str. 462.

*

PRAWO. — EKONOMIA.

Grabski Stanisław: Istota wartości, jako zjawiska społeczno-gospodarskiego. Kraków, 1904. (Odbitka z XVIII t. Rozpraw wydziału historyczno-filozoficznego Ak. Umiej.) 8-o, str. 83.

Makarewicz Juliusz Prof. Dr.: Walka z spekulacyą parcelacyjną (Odbitka z „Przegl. powsz.“ 8-o, str. 15. Kraków, 1904. Nakł. autora.

Simmel J.: Filozofia pieniądza. Przełożył z niemieckiego Leo Belmont. 8-o, str. 569 + VII. Warszawa, 1904. Skł. gł. w red. „Prawdy.“

Till Ernest. Obrady komisyi wschodnio-galicyjskiej o kodeksie cywilnym z r. 1797, przyczynek do materyałów kodeksu cywilnego austryackiego. Odb. z „Przegl. Prawa i adm.“ 8-o, str. 95. Lwów, 1904.

S Z T U K A.

Dóleżan Wiktor: Historya sztuki, podręcznik do nauki szkolnej. 8-o, str. 344 i k. nl. 4 z 120 ryc. Kraków, 1904. Nakł. W. Korneckiego. Spółka wyd. polska.

Roux Alfons: Życie artystyczne ludzkości. Tłómaczył *Jan Lorentowicz* z illustracyami (Bibl. Tygodn. Illustrow. Nr. 11). Warszawa, 1904. 8-o, str. 156.

Tenże: Życie artystyczne ludzkości. Streściła Wł. Jasieńska-Zaremba. 16-o, str. 167. Warszawa, 1905. Ks. dla wszystkich Nr. 181. Nakł. M. Arcta.

Muczkowski Józef Dr: Jak konserwować zabytki przeszłości. Odb. z „Architekta.“ 8-o, str. 24. Kraków, 1904.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Aspiro: Pod pantoflem. Odbitka z Kurjera Codziennego. Warszawa, druk Rubieszowskiego i Wrotnowskiego, 1905, 8-o t. I str. 318. T. II str. 299.

Brieux: Wykolejeni. Sztuka w 3-ch aktach. Tłómaczył z oryginału Zygmunt Morawski. 16-ka, str. 135, Warszawa, 1904. Nakł. M. Arcta, Ks. dla wszystkich, № 158.

Czechow Antoni: Opowiadania, (Wybór). Przełożył i słowem wstępnem opatrzył Józef Jankowski. 8-ka, str. 228, Warszawa, 1904. Nakł. księg. M. Borkowskiego.

Deotyma: Sobieski pod Wiedniem cz. III (Biblioteki dzieł wyborowych № 360). 8-o, Warszawa, 1904, str. 157.

France Anatol: Wybór pism II. Gospoda pod królową Gęsią-Nóżką. Lwów, Polskie Tow. Nakładowe, 1905. Skład główn. księgarnia Narodowa we Lwowie. 8-o str. 393.

W. Gąsiorowski: Było to pod Somosierrą, opowieść dziejowa z 32 reprodukcyami obrazów i portretem. Nakładem księgarni Konstantego Treptego. Warszawa.

Grocholski Ludgard Hr.: Z myśli i marzeń. 8-o podł., str. 74. Kraków, 1905.

Korzeniowski Józef: Cyganie, dramat w 5-iu aktach. „Bibl. powsz.“ № 484. 16-o, str. 78. Złoczów, 1904. Nakład i druk W. Zukerkandla.

Krechowiecki Adam: Mrok. Powieść na tle historycznem XVII w. Z cyklu „O tron.“ 8-o, str. 355. Warszawa, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Maupassant Guy de: Na wodzie. Przekład *Ireny Łopuszańskiej* z przedmową *Wł. Jabłonowskiego*. Warszawa, 1904. („Biblioteka dzieł wyborowych,“ 357), 8-o, str. 159.

Or-Ot: Kordecki, Obrońca Częstochowy, powieść historyczna J. I. Kraszewskiego, streszczona dla młodzieży. Warszawa, nakładem K. Treptego.

Pietrzycki Jan: Refleksy światła. Z rysunkami *Stanisława Wyspiańskiego*. Nakładem Tow. Wydawniczego we Lwowie, 1905. 8-o, str. 80.

Tenże: Poezyi serya pierwsza. Gebethner i Wolff, 1901.

Piniński Mieczysław: Nowiny. Ankieta. Stary (Szkice z życia wiejskiego). Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga 1905. 8-o, str. 333.

Reymont Władysław St.: Ziemia obiecana, powieść. Tom I i II. Wyd. 2. 8-o, str. 441 + 410. Warszawa — Kraków, 1904. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Rzewuski Henryk hr.: Pamiątki pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego. „Bibl. powsz.“ Nr. 489 — 496. 16-o, str. 526. Złoczów, nakł. i druk W. Zukerkandla, 1904.

Scheechan P. A. ks.: Mój nowy wikary. Opowieść z urywków pamiętnika proboszcza irlandskiego. Przekład z angielskiego. Warszawa, 1904. Wydawnictwo ks. *M. Godlewskiego*. 8-o, str. 294.

Słoński Edward: Okruchy. Wilno, 1904. 16-o, str. 48

Tenże: Pieśń nad Pieśniami. Warszawa, 1904. 16-o, str. 32.

Szimaczek M. A.: Obrazki z życia. Z czeskiego przetłómaczyła *J. Kietlińska-Rudzka* (Biblioteka dzieł wyborowych Nr. 359). 8-o, str. 126.

Turczyński Juliusz: Dramat bezprawia, obraz historyczny z 2 połowy XVIII w. Tom I — II. 8-o, str. 142 + 225. Lwów, nakł. wydaw. „Mód paryskich,“ 1904.

(Zapolska Gabryela) Masoff Józef: Jesiennym wieczorem. 8-o, str. 31. Lwów, 1904. Pols. Tow. nakł. Księg. Narodowa.

NAUKI ŚCISŁE.

Droba Stanisław: Badania nad mieszanem zakażeniem gruźlicy płuc i nad udziałem w niem beztlenowcowych mikrobów. Odb. z t. XLIV ser. B. „Rozpr. wydz. mat.-przyr. Akad. Umiej.“ 8-o, str. 31. Kraków, 1904. Nakł. Akad.

Drzewiecki Józef Dr.: Terapia homeopatyczna, czyli podręcznik obejmujący ważniejsze wskazówki lecznicze według zasad homeopatji. Napisał... 8-o, str. 404. Warszawa, 1904. Nakł. Tow. Zwolenników Homeopatji.

Duchowicz Bronisław Prof: Jakościowa analiza chemiczna zastosowana do potrzeb akademij handlowych i wyższych szkół realnych. Lwów, 1905. 8-o, str. 52.

Jewald Walter: Dzieje elektryczności. Przełożył z angielskiego *Henryk Wernic*. Warszawa, 1904. 8-o, str. 164.

Leduc A.: Telegraf bez drutu. Odczyt wygłoszony w dniu 25 Maja 1904. Z 9-iu rysunkami w tekście. Przełożył *St. Bouffał*. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i Sp. 1905. 8-o, str. 45.

Nawroczyński Roman Kazimierz Dr.: Dna albo Łamiec (*Arthritis*) jego istota, objawy, przebieg i leczenie. Gościec przewlekły (*Rheumathismus chronicus*). Tężec przyrannny (*Tetanus traumaticus*). Warszawa, druk Al. T. Jezierskiego, 1904. 8-o, str. 287 + I + IV + I (z rycinami).

Rzętkowski Kazimierz Dr.: O odporności w stanach zakaźnych. Łódź. (Odbitka z czasopisma Lekarskiego Nr. 5, 6) 1904. 16-o, str. 23.

Tardieu Emil: Znudzenie. Studyum psychologiczne. Przekład z francuskiego i przedmowa *Maryana Massoniusa*. Warszawa, druk Aleks. Tad. Jezierskiego (Bibl. dzieł wyborowych Nr. 358). 8-o, str. 240.

Wells H. G.: Wizye przyszłości czyli o wpływie rozwoju wiedzy i mechaniki na życie i myśl ludzką. Spolszczył *Jan Kleczyński*. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904. 8-o, str. 156.

R Ó Ż N E.

Jeleński Szczepan: Młody do młodych. Warszawa 1905. 8-o, str. 67.

Kalendarz lubelski na rok zwyczajny 1905. Lublin, nakładem Kossakowskiej. 8-o, str. 48 + 95 + 64.

Myśl, księga zbiorowa, wydana staraniem redakcyi „Ogniwa“ 1904. Warszawa. 8-o, str. 476 + II.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Istota, nastrój zasadniczy i znaczenie romantyzmu.

Z powodu książki Tadeusza Sierzputowskiego: „Romantyzm polski, jego fazy, istota i skutki. Próba syntezy, uzupełniona rozbiorem literatury krytycznej, poświęconej temu przedmiotowi.“ Lwów. Księgarnia Narodowa. 1905. Str. VIII i 278.

Zdaje się, że zarówno materyalizm, jak i spokrewniony z nim pozytywizm ze swemi dążnościami nietylko na polu filozofii, ale i literatury wogóle, oraz życia, ustępują i u nas coraz bardziej żywszym prądom idealistycznym. Wiadomo dobrze, że zwrot taki w zakresie filozofii jest dzisiaj powszechnym, dzięki szczególniej wynikom krytycyzmu Kanta, który uwagę myślicieli od świata zewnętrznego zwrócił ku wewnętrznemu życiu człowieka, jego treści umysłowej, a przez to rozbudził na nowo dążności, mające na oku zaspokojenie idealnych potrzeb ducha.

Rozumie się samo przez się, że wobec zdobyczy wiedzy przedmiotowej ostatnich czasów, a w szczególności wskutek postępów przyrodoznawstwa, mowy być nie może o zwrocie do dyalektycznego idealizmu, jaki się w początkach 19-go wieku wywiązał z filozofii Kanta, wywołując następnie reakcyę materyalizmu i pozytywizmu. Dzisiaj, żaden głębszy myśliciel nie lekceważy już badań przedmiotowych, ani nie buja po przestworzu ducha bez szukania oparcia o realny grunt wiedzy i życia. Jeżeli tedy dążności, mające na widoku przedewszystkiem świat zewnętrzny, o ile swemi zjawiskami oddziaływa na zmysły nasze, nazwiemy wogóle *realizmem*, to o jego zupełnem wyrzeczeniu się na korzyść abstrakcyjnego idealizmu dziś nikt zgoła na seryo myśleć nie może. Zwolennicy idealizmu, w najrozliczniejszych, filozoficznych

i życiowych jego odcieniach,—nie wyłączając przedstawicieli wznowionego heglizmu, — domagają się dziś tylko wyrównania swych dążności z uprawnionym realizmem; domagają się tedy w gruncie rzeczy owej syntezy, która faktycznie jest daną w samym człowieku i w dziejowym rozwoju jego życia umysłowego, a której teoretyczne sformułowanie przedstawia dotąd jeszcze tyle trudności, dla tego, że znajdujemy się ciągle pod wpływem owych jednostronnych kierunków: bądź realizmu, wyłączającego idealizm, bądź idealizmu, wyłączającego realizm.

Wahadło dziejów ciągle nanowo zaznacza ruch umysłowego życia człowieka pomiędzy temi dwiema ostatecznościami, wynikającemi z przyrodzonej przeciwstawności jaźni ludzkiej i jej przedmiotowego otoczenia. Czas jednak pomyśleć w końcu o zasadniczej jedni samego ustroju bytu, który taki a nie inny ruch w rozwoju ducha ludzkiego powoduje. Synteza, określająca bliżej tę jedność, staje się coraz bardziej potrzebą filozoficznej świadomości człowieka i ujawnia się też coraz dobitniej we wszystkich dziedzinach życia umysłowego, a więc i w zakresie twórczości artystycznej i poezyi.

Na tem polu przeciwstawność między podmiotem i przedmiotem, jaźnią i jej otoczeniem, a więc między idealizmem i realizmem, — przybrała konkretną formę dziejową antagonizmu między *romantyzmem* i *klasycyzmem*. W samej rzeczy, jeżeli zdamy sobie sprawę z właściwej istoty tych dwóch prądów twórczości, natenczas spostrzeżemy łatwo, że romantyzm opierał się zawsze na podmiotowych czynnikach jaźni, na jej treści idealnej, podczas gdy klasycyzm miał przeważnie charakter przedmiotowy i kładł główny nacisk na formę utworu w przeciwstawieniu do jego treści. A jeżeli w zakresie filozofii *synteza* idealizmu i realizmu jest niewątpliwie najważniejszem zadaniem przyszłości, coraz głębiej pojmowanem, — to należyte wyrównanie podmiotowych i przedmiotowych czynników twórczości artystycznej staje się również koniecznością dziejową i uwydatnia się wyraźnie we współczesnych dążnościach sztuki i poezyi, wahających się dotąd ciągle pomiędzy owemi ostatecznościami.

Prawda, że na tem polu synteza nie daje się urzeczywistnić prostem teoretyzowaniem, najgłębszemi nawet badaniami estetycznemi nad wzajemnym do siebie stosunkiem treści umysłowej, idealnej utworu i jego formy zmysłowej, realnej. Tylko w bezpośrednich utworach geniuszu może być urzeczywistnioną ta wyglądana synteza z należytą prawdą i pełnią. Pomimo to i teoretyczny rozbiór owych przeciwległych kierunków twórczości na tle

ich dziejowego rozwoju może się skutecznie przyczynić do postępu sztuki i poezyi. To też z tego stanowiska pożądane są wszelkie studya, wnikające głębiej w istotę jednego lub drugiego z tych kierunków i zdające sobie sprawę z ich wzajemnego do siebie stosunku.

I.

Takie studyum, godne ze wszech miar uwagi, ogłosił autor wymienionej na czele książki, *Tadeusz Sierzputowski*. Ma on wprawdzie głównie na oku *syntezę* samego romantyzmu, ale dochodzi do niej na podstawie porównania tego prądu twórczości z klasycyzmem. A chociaż studyum jego nosi napis: *Romantyzm polski*, to jednak opiera się na ogólnym rozwoju romantyzmu i usiłuje określić istotę, t. j. zasadniczy nastrój umysłowy tego prądu. Przypatrzmy się tedy tej pracy nieco bliżej i zobaczmy o ile się przyczynia do rozwiązania jasno postawionej kwestyi.

Książka T. Sierzputowskiego rozpada się na pięć rozdziałów. Pierwszy (str. 1—36) zawiera ogólny pogląd autora na poezyę zachodnio-europejską ze szczególnem uwzględnieniem epoki pseudoklasycznej oraz romantyzmu niemieckiego, angielskiego i francuzkiego. Drugi rozdział (str. 37—136) obejmuje starannie opracowany przegląd krytyczny literatury, dotyczącej romantyzmu polskiego, począwszy od pracy *Wężyka* z r. 1815 aż po obecną chwilę. Trzy zaś ostatnie rozdziały poświęcone są głównemu przedmiotowi całej pracy, t. j. syntetycznemu poglądowi na istotę romantyzmu, mianowicie polskiego i na znaczenie jego w porównaniu z objawami klasycyzmu. Stosownie do naszego założenia zatrzymujemy się tu głównie na tej kwestyi zasadniczej co do istoty i znaczenia romantyzmu.

Rozbiór tej kwestyi zagaja autor temi słowy (str. 139): „Pomimo mnóstwa, jakie widzieliśmy, prac różnej objętości, poświęconych wyjaśnieniu romantyzmu polskiego, zauważyliśmy, że zupełnej i wyczerpującej definicyi naukowej tego rodzaju poezyi nie dał nikt. Mało kto, zresztą, kusił się o nią, a ci, którzy to czynili, byli albo zbyt jednostronni, jak *Kaczkowski*, opierający się tylko na stronie społeczno-politycznej i *Cegielski*, określający za Heglem tylko filozofię romantyzmu, — albo też żyli zawcześnie, aby mogli objąć całokształt prądu, jak *M. Mochnacki*.

Ten ustęp nasuwa nam przedewszystkiem pytanie, dla czego w owem „mnóstwie“ autor nie uwzględnił poglądów na roman-

tyzm współczesnych znakomitych badaczów historyi naszej literatury, ani *Spasowicza*, ani *Chmielowskiego*, ani *Tarnowskiego*, ani *Brücknera*? Oni to już chyba byli w lepszem położeniu niż Mochnacki i mogli objąć całokształt prądu romantycznego. Dla czego o ich poglądach nie ma mowy wcale?

Autor usprawiedliwia wprawdzie swoje milczenie w tym względzie co do trzech pierwszych, — a do nich i *Brücknera* zaliczamy, — tą okolicznością, że nie napisali dzieła, należącego wprost do tak zwanej „literatury przedmiotu," a nadto mówi, że „*compendia* ich poglądów na historyę i na poszczególne kwestye literatury naszej zbyt są znane, aby zachodziła potrzeba streszczać je i rozbierać na tem miejscu (str. 136)."

Usprawiedliwienie to nie wydaje się nam wystarczającem, bo choć wzmiankowani badacze nie ogłosili monograficznych studyów nad romantyzmem polskim, to jednak w swych obszernych dziełach dotknęli tego kierunku twórczości w sposób dość wyczerpujący, więc ze wszechmiar zasługiwali na uwzględnienie. A jeśli ich odnośne poglądy są powszechnie znane, to mógł je autor tem treściwiej przedstawić, nie wyrzekając się jednak ich rozbioru ze swego stanowiska, jak to czynił z całą pozostałą literaturą przedmiotu. Skłonni tedy jesteśmy do zdania, że raczej skromność młodego autora była istotną przyczyną, że nie zajął sie krytyką owych „wielorybów," — jak się wyraża, — w przedmiocie historyi literatury polskiej, lecz rozwinął wprost swój własny pogląd na istotę i znaczenie romantyzmu.

Ponieważ, według trafnej uwagi autora, żaden prąd historyczny nigdy nie ujawnia się w stanie czystym, typowym, lecz zawsze zawiera w sobie pewne resztki prądów panujących przed nim i zarazem nosi w swem łonie przyszłość, więc pewne zawiązki nowych prądów, przeto o ścisłych definicyach historycznych, na wzór definicyj matematycznych, mowy być nie może. Tu tylko znajomość historyczna stopniowych przemian może nas przekonać o pewnej wspólności ideowej i formalnej szeregu objawów i doprowadzić do wyjaśnienia ich cech charakterystycznych. Dla tego też autor jak najsłuszniej wyprzedził określenie istoty i znaczenia romantyzmu polskiego poglądem na różne fazy jego rozwoju i z nich dopiero wyprowadza wnioski co do zasadniczych czynników tego objawu.

Sierzputowski rozróżnia cztery fazy czyli epoki romantyzmu polskiego (Rozdział III-ci, str. 137—184).

Pierwsza epoka od r. 1816 do 1822 obejmuje przeważnie panowanie wpływów niemieckich, gdy *Brodziński* swe poglądy teo-

retyczne czerpał ze *Schlegla*, a *Mickiewicz* wprost z samej poezyi niemieckiej. Naturalnie, że nie brak w tej epoce i innych, drugorzędnych objawów tego wpływu niemieckiego, szczególniej w ówczesnej baladomanii. Wogóle jednak uwydatnia się w tym pierwszym okresie zwrot do ludowości z dążeniem odbicia narodowości w literaturze, a z tem łączy się szczera wiara poetów w utwory fantazyi ludowej.

Druga epoka od r. 1823 (ukazanie się „Dziadów“) do r. 1831 (pierwsze utwory *Słowackiego*), zaznacza zbliżenie się poezyi polskiej do autorów romantycznych angielskich, zwłaszcza do *Byrona* i poczęści do *Walter Scotta*. Przytem jednak ujawnia się widoczny postęp od ludowości i narodowości do patryotyzmu. Ten ostatni uwydatnia się teraz już bardziej dosadnie, szczególniej w malowidłach przeszłości. Nadto występuje w tym okresie pierwiastek, nieznany ani Anglikom, ani Niemcom, a mianowicie oryginalny odcień cichego smutku, który często przechodzi w głęboką melancholię, a który towarzyszy i późniejszym fazom romantyzmu polskiego. Smutek ten dźwięczy w „Sonetach krymskich,“ czuć go w dumkach *Zaleskiego*, ale z największą siłą przejawia się w „Maryi“ *Malczewskiego*. W talentach drugorzędnych żyją jeszcze i rozwijają się cechy okresu poprzedniego.

Trzecia jest epoką najwyższego i najoryginalniejszego rozwoju romantyzmu polskiego od r. 1832 (III-cia część „Dziadów“) do 1848 (ostatni „Psalm“ *Krasińskiego*). Tu patryotyzm gorący, płomienny łączy się z żądzą czynu i poświęcenia własnego „ja“ na ołtarzu dobra ogólnego. I w pierwszym okresie, oraz poprzednio u Legionistów występował ten czynnik, ale z małemi wyjątkami w sposób dość jeszcze nieudolny i blady. Nadto i w drugim okresie przemawiało to uczucie patryotyczne silniej i artystycznie, szczególniej w pieśniach filareckich, a zwłaszcza w „Konradzie Wallenrodzie.“ Ale patryotyzm Wallenroda ma charakter byroniczny, nie jest oryginalnie polskim; takim staje się poraz pierwszy dopiero w niektórych utworach mniejszych Słowackiego z r. 1831 i w drobnych utworach Mickiewicza z r. 1830—31.

Tym duchem przejęte są najwydatniejsze utwory tego okresu, *Mickiewicza*, *Krasińskiego*, *Słowackiego* i wielu innych, drugorzędnych poetów. Ale wraz z tem uczuciem patryotycznem wzmaga się i ów cichy smutek, o którym powyżej mowa była. Poeci pocieszają się wprawdzie wiarą w przyszłość, w przyjście królestwa Bożego na ziemi; wogóle uznają wyższość uczucia nad rozumem, przejmują się swem posłannictwem proroczem, i dzięki temu dochodzą do mistycyzmu i mesyanizmu. Atoli wszystkie te

pociechy nie przezwyciężają owej głębokiej melancholii, która nimi zawładnęła i ich nie opuszcza w najwspanialszych utworach. Obok tych najwydatniejszych cech występują tutaj i inne drugorzędne, wykazujące wpływ to *Shakespeare'a*, to *Dantego*, *Ariosta*, *Calderona*, *Chateaubrianda*, *W. Hugo* i innych, szczególniej francuzkich poetów.

Nareszcie, okres czwarty jest okresem przekwitu romantyzmu od r. 1840 do 1864. Jestto romantyzm krajowy, rozwijający się po części równolegle z emigracyjnym i przeżywa go jeszcze szeregiem lat. Był on także dosyć oryginalnym, nie miał wiele wspólnego z literaturami obcemi, ale był to już okres upadku. Wynoszono wprawdzie wysoko wszystko, co swojskie, co ojczyste, ale czyniono to i odnośnie do najbardziej ujemnych stron życia. Więc zachwycano się nawet brudnemi drogami, mostkami połamanemi, chatami kurnemi ze strzechami nawpół zniszczonemi i t. p. Z dziejów zaś dawnych wychwalano szczególniej burzliwe sejmiki i sejmy, pijatyki, prawo pańszczyźniane, władzę batoga i t. d.

Do najbardziej gorliwych apologetów tego rodzaju objawów należeli *Henryk Rzewuski* i *Wincenty Pol.* Ujawnia się u nich znaczne obniżenie polotu poetyckiego oraz obniżenie pojęcia o powołaniu i zadaniach poety. Inne grupy poetów krajowych doszły do ekstrawagancyi pod innemi względami. Drudzy, jak np. *Zmorski*, powrócili do romantyczności pierwotnej, wznowili duchów, czary, upiory i doszli w tym kierunku do absurdów. Drobna część tylko poetów wytknęła sobie cele zupełnie nowe, jak *Lenartowicz*, który wyśpiewał prześliczne pieśni, osnute na motywach mazurskich; jak jego rówieśnik litewski, *Syrokomla*, „lirnik wioskowy," jak *Włodzimierz Wolski*, który z zupełną świadomością wprowadzał do poezyi tendencye demokratyczne. „Ale, dodaje autor (str. 183), ci, najzdrowsi, rzec można, przedstawiciele romantyzmu polskiego krajowego, który właściwiejby było *zaściankowym* nazwać, i liczebnie i szczupłym zakresem swych wpływów nie mieli tego znaczenia, co tamci i nie oni charakteryzują tę fazę, fazę romantyzmu *wybujałego* i *przekwitłego*."

II.

Powyższa charakterystyka stanowi tło, na którem autor określa bliżej istotę i znaczenie romantyzmu polskiego. Tło, jak widzimy, starannie i z wszechstronną znajomością rzeczy dobrane.

Może ten lub ów wśród samodzielnych badaczów historyi literatury naszej nie zgodzi się na powyższy podział, ani na oświetlenie, w jakiem tu różne epoki tego objawu twórczości przedstawiono. Ale, ogółem wziąwszy, obrazowi autora nie można odmówić trafności, a charaktetystyka jego obejmuje wszystkie wydatne momenta, jakie znakomici dziejopisarze naszej literatury w poezyi romantycznej wykazali. Więc „próba syntezy," czyli ostatecznego określenia istoty romantyzmu na tej szerokiej podstawie okazuje się zupełnie uprawnioną.

Poświęca jej autor rozdział czwarty (str. 185 — 242), stanowiący jądro całej pracy. Tu zajmuje się przedewszystkiem charakterystyką *pseudoklasycyzmu*, aby jasno przedstawić stan rzeczy, przeciwko któremu wystąpiła reakcya romantyczna. Autor powołuje się w tym względzie głównie na znane dzieło *Taine'a*, *„L'ancien régime"* i według niego rozwija wydatne rysy szczególniej francuskiego klasycyzmu, który i u nas był wzorem dla tego kierunku twórczości. Rutyna, brak życia, prostoty, szczerości i naturalności, skostniałe formy „rozumu rozumującego" i jednostajnej logiki, wreszcie etykieta, nazwana „dobrym tonem," – oto czynniki ówczesnego nastroju umysłowego, które się uwydatniały i w twórczości poetyckiej. To doprowadziło do zupełnej niwelizacyi wszelkich odmian indywidualnych i na polu poezyi i sztuki. Język blednie, traci wyrazistość, sprowadza się do konwencyonalnych ogólników. Opisy przyrody są zmanierowane. Wszystkie osobistości, bez względu na różnice stanu, narodowości, czasu, w którym żyły, przemawiają w powieściach i utworach dramatycznych temi samemi tyradami, poruszają się jednakowo, czynią te same giesty według wskazówek profesorów tańca. W ten sposób klasycyzm nowoczesny tworzy same tylko szablony. Sylwetki tętniące życiem stanowią kontrabandę i występują niezmiernie rzadko jako osoby trzecio i czwartorzędne. Wszystko redukuje się do *jednostajności*, która stanowi istotę pseudo-klasycyzmu.

Otóż, tej jednostajności przeciwstawiają się, według autora, *rozmaitość* i *różnostronność* romantyzmu, płynące z *naturalności*, jako jego cechy zasadniczej. Poezya romantyczna jest *naturalną*, *prawdziwą* poezyą, zaś pseudoklasyczna jest *sztuczną*, *fałszywą*, słowem *pseudo-poezyą*.

Z *naturalności* romantyzmu, tak powszechnego, jak i polskiego, wyprowadza autor wszystkie inne jego cechy, do których wraz z powyższemi zalicza i *realizm*, nadając tej nazwie odcień odstępujący od przyjętego znaczenia tego terminu, o czem pomówimy niżej.

Będąc *naturalną*, poezya romantyczna, według słusznej uwagi autora, musi być inną w każdym narodzie; więc i naród polski przedstawia odrębne cechy naturalności, ściśle związane z jego charakterem i dziejowym rozwojem. Zgodnie zaś z przedstawionym powyżej poglądem historycznym do najważniejszych rysów romantyzmu polskiego zaliczono, jako wypływające również z naturalności: *patryotyzm*, *religijność*, *mistycyzm*, *ukochanie natury ojczystej* i wreszcie *melancholię*. „Suma tych rysów, mówi autor (str. 225), mieszana w najrozmaitszych proporcyach, jest nieodzowną częścią składową romantyczności polskiej.“

Takie sprowadzenie istoty romantyzmu do *naturalności* i wyprowadzenie z niej wszystkich innych cech, w przeciwstawieniu do sztucznej jednostajności pseudoklasycyzmu, nie trafia, według naszego widzenia rzeczy, w cetno tej kwestyi. Charakterystyka pseudoklasycyzmu jest zupełnie trafna, podobnież nie można odmówić romantyzmowi tego, co autor nazywa naturalnością. Ale przedstawione rysy obydwóch tych przeciwległych objawów nie stanowią, według nas, zasadniczej, pierwotnej ich istoty, lecz mają charakter *pochodny*, są skutkami głębszych przyczyn, których szukać należy w samym nastroju umysłowym, w *duszy* głównych przedstawicieli tych kierunków, a więc w *psychologii* romantyzmu i klasycyzmu. Tylko ścisły rozbiór stanów psychicznych, które doprowadzają do tego lub owego objawu twórczości poetyckiej, może nas pouczyć co do ich właściwej istoty i rozwiązać kwestyę przez autora jasno postawioną.

Wnikając zaś bliżej w te stany psychiczne, przekonywamy się, że zaznaczona przez nas na wstępie przeciwstawność między jaźnią i jej otoczeniem, między treścią podmiotową i formą przedmiotową, wskazuje drogę do należytego zrozumienia tych sprzecznych ze sobą prądów. Co się zaś tyczy przedewszystkiem poezyi romantycznej, to istota jej sprowadza się, ze stanowiska psychologicznego, jak najwyraźniej do nastroju, który określić należy mianem *subjektywizmu*, jako objawu zwrotnej, refleksyjnej działalności duszy, dążącej do możliwie pełnego rozwoju i wyrażenia swej treści wewnętrznej, a więc swych uczuć i ideałów. Wszystkie owe rysy poezyi romantycznej, obcej i polskiej, o których autor mówi, więc naturalność, prawdziwość, rozmaitość, wielostronność, dalej patryotyzm, religijność, mistycyzm, miłość natury, melancholia i t. p. są objawami *subjektywizmu*, zwrotnych, refleksyjnych poruszeń duszy, zajętej własną swoją treścią.

Poeci romantyzmu zagłębiali się w samych siebie, w treść swego ducha i odtwarzali możliwie żywo i wyraziście tę swoją

treść wewnętrzną, i to właśnie nadawało im charakter naturalności, prawdy, szczerości; to doprowadzało do owej rozmaitości i wielostronności, do owego bogactwa umysłowego, które się uwydatnia w ich utworach. Każdy z nich był innym i wyśpiewał swe własne radości i męki; każdy, jako odrębna, samoistna dusza, jako jednostka, odczuwał i odzwierciadlał swe otoczenie, więc przyrodę, ludzi i dzieje na swój sposób, według swego indywidualnego widzenia. Z nieprzebranych głębin swej duszy czerpał ciągle nowe pomysły, a to wznosiło go ponad świat realny, w dziedziny nadprzyrodzone, często w świat guseł i fantasmagoryj. Jaźń jego, zajęta sobą, wskutek rozwoju stosunków życiowych, obejmowała zarazem jego świadomość społeczną i narodową. Dzięki tedy uświadomieniu swej treści indywidualnej przejmował się dążnościami całego społeczeństwa, jednoczył swe poczucie osobiste z losami narodu, żył jego życiem, radował się jego zwycięstwami, bolał nad jego cierpieniem, żył z milionami i za miliony.

Wystawmy sobie, że poeci romantyczni pozbawieni byli tej zwrotnej działalności, zajmującej się przedewszystkiem własną treścią umysłową, a natomiast zwracali się wyłącznie do świata przedmiotowego i jego rozlicznych objawów, czyżbyśmy napotkali u nich choć jeden z owych rysów? A jeśli to tak, natenczas w tym właśnie subjektywizmie, który polega na zwrotnej czynności umysłu i serca, uznać należy istotę psychicznego nastroju romantyków. Bez tego subjektywistycznego nastroju nie byliby tem, czem w rzeczy samej są i nie obdarzyliby nas owemi utworami, które nas dotąd do żywego przejmują zarówno głębokością uczucia, jak i szerokim polotem wyobraźni, jak wreszcie wzniosłem pojęciem własnej, ogólnie ludzkiej, narodowej i osobistej godności.

Jeżeli w jakiejkolwiek epoce twórczości, to w epoce romantyzmu *osobistość*, *dusza*, *jaźń* poetów, artystów występuje na pierwszy plan i jednoczy się w sposób nierozerwalny z ich utworami. Podczas gdy utwory klasycyzmu, zarówno starożytnego, jak i nowoczesnego, zrozumiałe są zazwyczaj same przez się, przy pomocy przedmiotowych danych, bo twórca pozostaje, że tak powiem, za kulisami i wysuwa na scenę tylko swoje dzieło; to, przeciwnie, najwspanialszych utworów romantyzmu nie można należycie zrozumieć, nie wnikając w *duszę* poety, artysty, nie zdając sobie sprawy z warunków jego bytu i rozwoju, z jego stosunków osobistych, z jego narodowości, stanu, doświadczeń życiowych.

Utwory romantyka są tylko echem tego, co sam przeżywa, odblaskiem jego ducha. Wskutek panującego w nim subjektywizmu nic go w świecie zewnętrznym nie zajmuje, co nie odpowia-

da jego indywidualnemu nastrojowi, co nie znajduje odgłosu w środowisku jego życia wewnętrznego, w jego własnej jaźni. Żadne refleksye logiczne, żadne przedmioty, pochodzące z zewnątrz, żadne badania i poglądy naukowe nie przemawiają do jego duszy same przez się, swoją treścią, od niego niezależną, swym objektywizmem. Tylko, gdy wzmacniają przebieg jego własnej treści nastrojowej, gdy się łączą z prądem jego wezbranych uczuć, zasilając je i podnosząc ich poziom,—tylko wtedy zajmują go i stają się współczynnikami jego twórczości. Wtedy wydaje na świat nieraz utwór podobny do wielkiej rzeki, która płynie spokojnie szerokiem korytem koło łanów, starych grodów, wiosek i miast, odzwierciadlając je w swych nurtach, jako wspaniała ozdoba przyrody, jako świadek życia, tętniącego nad jej brzegami. Ale i w takich utworach główna siła, poruszająca całość, stanowiąca o jej charakterze i kierunku, sprowadza się do dążności i tendencyj podmiotowych i znajduje w nich najwymowniejszy swój wyraz. Więc twórczość romantyczna nie występuje nigdy po za zakres owego refleksyjnego subjektywizmu, który stanowi jego istotę psychiczną.

Nawet tak zwany przez autora *realizm* poezyi romantycznej, o ile bez względu na tę nazwę należy rzeczywiście do jej rysów charakterystycznych, tkwi ostatecznie w zaznaczonym powyżej subjektywizmie. Bo też to, co autor nazywa realizmem, jest w gruncie rzeczy idealizmem, jeżeli wogóle odróżnimy jasno te dwa terminy i nadamy im znaczenie nowoczesne, a nie wznowimy terminologii średniowiecznej, która istotnie mianem realizmu oznaczała skrajny idealizm, uznający realność przedmiotową ogólnych pojęć i wytworów umysłu, t. j. idej. Dziś nazwy realizmu używamy dla oznaczenia poglądu, przyjmującego byt niezależnego od nas świata zmysłowego za podstawę wszelkich pojęć, dotyczących przedmiotowej rzeczywistości. To też realizmem w poezyi i sztuce przyjęto nazwać wierne odtworzenie świata przedmiotowego, wolne o ile można, od dodatków podmiotowych, osobistych. A czegoś podobnego właśnie u romantyków nie napotykamy; u nich nastrój podmiotowy łączy się zawsze bezpośrednio z najwierniejszem nawet odtworzeniem przedmiotów, osób, oraz faktów dziejowych.

Sierzputowski sam przyznaje (str. 204), że złączenie realizmu z romantyzmem jest „twierdzeniem śmielszem,“ aniżeli przypisywanie go klasycyzmowi, bo, dodaje, że klasycyzm grecki, jak i cała sztuka grecka, był realizmem, wątpliwości niemasz. Pomimo to obstaje przy realizmie romantyzmu i dowodzi, że ten

nawet w balladach fantastyczno-cudownych jest *realnym*. W tym względzie powołuje się na *Odyńca*, który powiedział, że poeta romantyczny wiernie czyli *realnie* odtwarza świat ludu i jego wierzeń.

Jeżeli jednak w tym duchu nawet ballady *fantastyczno-cudowne* zaliczymy do twórczości realistycznej, dlatego, że są oparte na wierzeniach ludu, — to w samej rzeczy trudno będzie określić, co należy nazwać wytworem umysłowym, niemającym cechy realizmu, wypływającym wprost z subjektywizmu duszy ludowej, z jej stanów psychicznych, odczuwanych przez poetę? W czemże, w takim razie, wyraża się ów nastrój ludu i poety, doprowadzający do idealistycznego, subjektywnego poglądu na świat i ludzi, w przeciwstawności do realnego i przedmiotowego? Czy to realizm: zaludniać świat duchami, przyznawać istnienie potęg, odstępujących od ustalonego porządku rzeczy, powodujących cuda?

Zresztą, nie myślę zaprzeczać, że i romantycy bardzo często i z wielkim artyzmem odtwarzali rzeczywistość, przyrodę i dzieje, a więc różne ich utwory niewątpliwie posiadają ustępy o charakterze realistycznym. Nie byliby prawdziwymi poetami, gdyby pozbawieni byli zdolności żywego przedstawienia przedmiotów, któremi się zajmują, ich wiernego odtworzenia, z całą plastyką świateł i cieniów, niezbędną dla wywołania odpowiedniego wrażenia. Ale ten rys nie stanowi istoty romantyzmu, bo właściwy jest i klasycyzmowi, szczególniej starożytnemu. Jest to jeden ze środków pomocniczych wszelkiej wogóle poezyi, więc nim posiłkuje się i poezya romantyczna dla uwydatnienia właściwego celu swych utworów; a celem tym jest zawsze, nawet i przy odtwarzaniu rzeczywistości, wyrażenie treści wewnętrznej ducha, jego nastroju podmiotowego, jego subjektywizmu.

Charakter różnych objawów twórczości zależy głównie od zasadniczej dążności twórcy, a nie od środków technicznych, jakiemi się posiłkuje dla urzeczywistnienia swych dążności. Realizm poezyi romantycznej jest co najwięcej tylko takim środkiem technicznym, więc nie charakteryzuje istoty tego kierunku twórczości.

Przedstawiając genezę romantyzmu północnego (str. 209 i nast.), autor sam wykazuje jego charakter podmiotowy, idealistyczny. Można się nie godzić na metereologiczny wywód tego nastroju psychicznego, ale wynikom jego należy przyznać słuszność. Dolegliwości fizyczne, mówi autor, usposabiają ludy północne do pocieszenia się *myślą*, że są gdzieś, w innym może świecie, stany o wiele szczęśliwsze [1]). To jest zaczątkiem tworzenia

się ideałów oderwanych [1]). Wzmaga je religia, zrazu przeniesiona zkądinąd, ale wkrótce wybornie przystosowana do danych wymagań i warunków. Odbija się to wszystko i na twórczości. *Myśl* jej jest rzeczą najważniejszą, forma podrzędną. *Myśl* coraz bardziej *uduchownia się, idealnieje.* Twórczość północna czyli romantyczna dba więcej o piękno *idealne*, niż formalne. Nadto autor pojmuje dobrze (str. 207), że poezya powinna unosić czytelnika w krainę *ideałów*, uszlachetniać jego duszę, przyzwyczajać ją do obrazów pięknych i wrażać w niej tęsknotę do czynów szlachetnych. Z tego też stanowiska występuje jaknajsłuszniej przeciwko zboczeniom *naturalizmu.*

Czyż wobec takich poglądów samego autora można mówić o *realizmie*, jako o istotnym i zasadniczym rysie twórczości romantycznej? Sądzimy, że nie. Tylko *wierność prawdzie*, którą autor miał głównie na oku u romantyków, w przeciwstawieniu do pseudoklasycznego fałszu naprowadziła go na myśl o *realizmie.* Ten zaś kierunek sam przez się nie może być zestawianym ani z ową estetyczno-etyczną szczerością i wiernością prawdzie, która charakteryzuje romantyków, ani z owym nastrojem *idealistycznym*, zaznaczonym powyżej przez autora. Wreszcie, nacisk, jaki romantycy, szczególniej nasi, kładą na *serce* i *uczucie* w różnicy od rozumu i rozsądku, następnie ich przeczucia i jasnowidzenia, dalej ich antropomorfizm w odtwarzaniu przyrody, — co wszystko sam autor bardzo trafnie podnosi (str. 213, 217, 218, 220), świadczą o ich subjektywizmie, o idealistycznym, a nie realistycznym poglądzie na świat i życie. Zostawmy tedy nazwie realizmu jej powszechnie przyjęte znaczenie i nie podciągajmy pod nią, dla tego, że jest popularną, takich objawów, które z istoty swojej mają charakter wprost przeciwny.

III.

Że subjektywizm, jako zwrotna czynność umysłu, doprowadzająca do idealistycznych poglądów na świat i życie, stanowi w rzeczy samej istotę psychiczną nastroju romantycznego, o tem przekonywa też charakterystyka tego objawu przez najznakomit-

[1]) Tu możnaby nawiasowo zapytać, co też wywołało w ludach wschodnich i południowych tę samą myśl o innym, lepszym świecie? Czy ten skutek pojawił się tam dzięki gorącemu klimatowi?

szych naszych krytyków, począwszy od Mochnackiego. Charakterystyka ta nie jest wprawdzie jednorodną i zgodną, obejmuje najrozliczniejsze strony romantyzmu; ale pomimo to napotykamy w niej zawsze cechy, ściśle związane z zaznaczonym przez nas rysem zasadniczym. Potrzebujemy w tym względzie tylko zajrzeć do podanego przez autora starannego przeglądu literatury krytycznej, dotyczącej romantyzmu (Rozdział II-gi str. 37—136).

I tak, *Mochnacki* określał początkowo romantyzm, jako opuszczenie zimnej rzeczywistości i przeniesienie się w krainę ułudy i marzeń; ale później, bez porównania głębiej, widział w nim, jak wogóle w literaturze, uznanie się narodu w jestestwie swojem, dążność do wyodrębnienia własnej istoty narodu, jego wyobrażeń, pojęć i uczuć, objaw jego *sumienia*.

Michał Grabowski dowodził, że poeta romantyczny nie jest naśladowcą; nie naśladuje on nawet natury; wzory jego dzieł i kreacyj leżą w głębi jego duszy własnej i te tylko wzory swej duszy naśladuje poeta; on chce odtworzyć człowieka i jego treść wewnętrzną.

Cegielski uczył, że artysta składa w sztuce myśli czyli ideje swoje, odtworzone w duchu, na wzór idei odwiecznych. Według Hegla rozróżnia on wyobraźnią plastyczną starożytnego klasycyzmu od wyobraźni *idealnej* romantyzmu. Ta ostatnia pojmuje świat umysłowo, podnosi się w sfery duchowe, w świat nieskończoności. To też w utworach romantyzmu duch przemaga nad formą i przelewa się niejako pełnią swoją poza krańce formy.

Zygmunt Kaczkowski mówi, że romantyzm jest to prąd ducha, mający na celu wyswobodzenie naturalnego ludzkiego *uczucia* z narzuconych mu form i formułek, przyprowadzenie go do *samowiedzy* i oddanie mu najwyższej władzy w poezyi, literaturze i sztuce.

Wojciech Cybulski widzi w romantyzmie *piękno* i *dobro*, a za główną zaletę jego i cnotę uważa to, że stał się wyrazem pragnień i życia narodu. Aby zaś ugruntować poezyą narodową, romantyzm zeszedł na najniższy stopień *samowiedzy* ludowej, by stąd coraz wyżej, aż do najwyższego szczebla wiedzy ją podnieść.

Wreszcie *J. Tretiak* zaznacza, że poezya romantyczna była o wiele żywsza i ruchliwsza od klasycznej, a nadto *wrażliwsza* na różne wpływy postronne lub wewnętrzne.

Podobne rysy wykazują i najnowsi historycy literatury polskiej, których Sierzputowski, jak widzieliśmy, bliżej nie uwzględnił.

Spasowicz dowodzi, że romantyzm uczył odtwarzać plastycznie nie tylko zewnętrzne strony bytu, lecz *myśli* i *uczucia*

minionych pokoleń, że potężna *osobistość*, cechująca najświetniejsze chwile rozkwitu sztuki, należała do jego najważniejszych objawów.

Piotr Chmielowski widzi w romantyzmie nowy prąd *uczuciowo-fantazyjny, podmiotowością* silnie przeniknięty; zestawia go też z filozofią idealistyczną, a w najwyższym jego rozkwicie u nas podnosi jego serdeczne i głębokie przejęcie się sprawami narodowemi, ogarniające, w rozleglejszym niż poprzednio zakresie, *uczucia, myśli* i *ideały* wszystkich stanów.

Tarnowski zaznacza, że przez ogłoszenie pierwszych dwóch tomików Mickiewicza romantyczność nasza poznała, że jest, jaka jest, i zaczęła żyć naprawdę, ze świadomością siebie. O *Gustawie* mówi, że był wzięty zupełnie z osobistych uczuć, o *Maryi Malczewskiego*, że natury bardziej ożywionej *uczuciem* człowieka rzadko spotkać w poezyi, rzadko nawet w malarstwie. Co zaś do krytyków z obozu romantycznego powiada między innemi, że zapuszczają się w wywody filozoficzne, radzi prawią o *ideach*, o idei piękności w świecie starożytnym i nowym.

Brückner wreszcie przeciwstawia klasycyzmowi świat nowoczesny z ideałami chrześcijańskiemi braterstwa ludów, swobody i równości płci i stanów, poszanowania pracy, uznania praw *uczucia* i *serca*. Zamiast szablonu jednostronnie intelektualnego, domagano się głębokiej analizy psychicznej, skruszenia bałwanów płytkiego *realizmu* i mądrości zdawkowej, dążenia ku *ideałom*, choćby nieziemskim, ku celom wszechbytu, badaniu rzeczy niezbadanych. W tym duchu poezya romantyczna ujawniała niezadowolenie formami życiowemi, pragnienie ideału, rozdarcie duszy tęskniącej ku sferom nadziemskim, a w objawach rozwichrzenia romantycznego występowały przesada fantastyczna, uczuciowość nadtkliwa, jednostronne uwielbienie wieków średnich, szukanie ideałów „kwiatu niebieskiego," idealizacya namiętnych wybuchów skarg i żalów.

Czyż to wszystko nie objawy, dające się psychologicznie wyprowadzić jedynie z owego subjektywizmu, który, przejmując się treścią, nurtującą w głębiach duszy, szukał zaspokojenia swych potrzeb i dążności serdecznych w ujawnieniu tej treści idealnej, w nadaniu jej form najponętniejszych podmiotowo? W każdym razie, jest to nastrój zasadniczy, który dźwięczy poprzez wszystkie utwory poezyi romantycznej, począwszy od najwspanialszych, stojących na wyżynach czasu, aż do objawów nieudolnego naśladownictwa, lub przesady w tym kierunku.

Do tego samego wyniku doprowadza bliższe porównanie romantyzmu z klasycyzmem i określenie ich wzajemnego do siebie stosunku, jako objawów twórczości.

Podaliśmy powyżej charakterystykę francuskiego pseudoklasycyzmu według Sierzputowskiego. Widzieliśmy, że jest to kierunek, który doprowadza do ostateczności czynnik formalny twórczości. Czerpiąc swe wzory z utworów starożytnych i trzymając się niewolniczo pewnych ustalonych prawideł, klasyk nowoczesny wyrzekał się wszelkiej indywidualnej samodzielności, krępował twórczość podmiotową, więc wszelkie żywsze objawy uczucia i namiętności swą rozwagą rozsądkową i beztreściowym formalizmem. Nie dziw, że wskutek tego wydawał na świat zazwyczaj sztywne, skostniałe manekiny, pozbawione życia wewnętrznego, będące raczej karykaturą rzeczywistości, niż jej wiernem odtworzeniem; — a to wszystko, pomimo zasady klasycznej, zaczerpanej z Arystotelesa, że sztuka powinna być naśladowaniem natury.

Pierwotny klasycyzm starożytnych, szczególniej Greków, nie miał wprawdzie tych wad; zestawiono go nawet co do prostoty, szczerości i żywej twórczości z romantyzmem. I nasz autor odróżnia jasno klasycyzm od pseudoklasycyzmu (str. 202) i uznaje w pierwszym te same czynniki zasadnicze, co i w romantyzmie, a przedewszystkiem *naturalność* i *wielostronność*. Z tem wszystkiem nie brak i różnic bardzo poważnych. Sierzputowski sprowadza je głównie do objawów, wypływających z różnej przyrody Południa i Północy. „Południe, mówi (str. 208), jasne, wesołe, świetlane, musiało wywołać poezyę równie jasną promienną. Ciepły klimat, pozwalający na szaty lżejsze, przejrzystsze, na częściowe obnażenie ciała nawet, wywołać musiał dążenie artysty do odtwarzania piękna cielesnego, zwłaszcza, jeśli religia, także wytwór warunków fizycznych, jest właściwie uosobieniem piękna zmysłowego.“ Wręcz przeciwnie ma się z Północą; ona to, jak widzieliśmy powyżej, ma usposabiać ludzi do ideałów oderwanych, do uduchowienia myśli, do nadania *formie* znaczenia podrzędnego w twórczości.

Bez względu na takie klimatyczne wyjaśnienie istoty klasycyzmu w przeciwstawieniu do poezyi romantycznej, należy i co do tego objawu zdać sobie sprawę z nastroju umysłowego, jako przyczyny jego cech zasadniczych. Czemże ten nastrój różni się od nastroju romantycznego? Na czem polega ich przeciwstawność z psychologicznego punktu widzenia? Wywód bowiem tego nastroju, jak i nawet religii, z warunków fizycznych wpada w za-

kres metafizyki i oddala nas tylko od bezpośredniego rozwiązania zasadniczej kwestyi co do charakteru umysłowego tych objawów.

Wszystkie cechy główne zarówno klasycyzmu jak i pseudoklasycyzmu, w różnicy od romantyzmu i jego odmian i zboczeń, sprowadzają się, według powszechnego uznania, do tego, że w ich utworach *forma* góruje nad treścią. U starożytnych Greków ujawnia się to przedewszystkiem w przeważnym rozwoju sztuk plastycznych, architektury i rzeźby, które obejmują najwspanialsze objawy ich twórczości artystycznej. Ale i poezya Greków, począwszy od Homera, odznacza się przedewszystkiem swym ustrojem formalnym, pewnym spokojem plastycznym w przedstawieniu najburzliwszych nawet poruszeń duszy. Pseudoklasycyzm już zupełnie popadł w formalizm, naśladując wzory starożytne głównie ze względu na ich stronę zewnętrzną. Podczas, gdy w starożytnym klasycyzmie przewaga formy nie krępowała treści ideowej, lecz z nią, o ile istniała, swobodnie się łączyła, to w pseudoklasycyzmie treść ideowa sprowadzoną została do minimum dla samej formy, a wskutek tego przewaga tej ostatniej doprowadzała do bezdusznych szablonów.

Jeżeli się teraz zapytamy, jaka czynność umysłowa, jaki kierunek jej rozwoju, uwydatnia się w takiem górowaniu formy zewnętrznej, — to nie trudno spostrzedz, że jest on wynikiem zajęcia się duszy swem otoczeniem, danemi świata przedmiotowego, w przeciwstawieniu do zwrotnej czynności umysłu.

Wszelka *forma*, najbardziej nawet uduchowiona, ma charakter zewnętrzny, a więc *przedmiotowy*, opiera się na danych, których umysł sam nie tworzy, lecz je z otoczenia swego przejmuje; umysł conajwięcej przekształca tylko ten czynnik przedmiotowy według wymagań podmiotowych. Górowanie tedy formy nad treścią jest zawsze wynikiem zajęcia się umysłu nie sobą, lecz swem otoczeniem, a więc wynikiem *objektywizmu* w przeciwstawieniu do *subjektywizmu*. Zarówno artyści jak i poeci starożytni, szczególniej greccy, byli objektywistami, a kładąc główny nacisk na zaczerpnięte ze świata przedmiotowego dane, odtwarzają takowe możliwie wiernie, wyrzekając się przez to, o ile można, swej własnej podmiotowej treści. Ich utwory odzwierciadlają ostatecznie bardziej ich otoczenie, niż ich duszę i to nadaje im ów charakter przedmiotowego spokoju, który się przedstawia w górowaniu formy nad treścią.

Ten czynnik formalny twórczości artystycznej, więc i poezyi, ujawnia się wprawdzie w najrozliczniejszych odmianach, bo for-

mą nie jest tylko widzialny i dotykalny kształt zewnętrzny utworu, ale i materyał jego, osnowa, o ile staje się środkiem wyrażenia pewnej samodzielnej treści. Więc ten lub ów zewnętrzny przebieg faktów historycznych lub też fabuła poematu, powieści, dramatu, stanowią często zewnętrzną formę tylko, a mianowicie wtedy, gdy nie zajmują twórcy same przez się, swą treścią, lecz dobrane zostały, że tak powiem tendencyjnie, dla odpowiedniego uwydatnienia niezależnego od nich nastroju podmiotowego twórcy. W tym duchu przebieg faktyczny w takich utworach, jak: *Wallenrod*, *Grażyna*, *Pan Tadeusz*, *Marya* Malczewskiego i t. p. jest formą, za pośrednictwem której poeta wyraża swoją własną treść idealną, swój nastrój podmiotowy. Tymczasem, czyny bohaterów w epopejach i dramatach starożytnych nie stanowią tylko *formy* tych utworów, lecz obejmują zarazem ich *treść*, ale treść czysto przedmiotową, bo twórca miał na oku same te czyny, a poza niemi nie chciał wyrazić żadnej innej treści, idei. Widzimy tu tedy jasno zasadniczą przeciwstawność objektywizmu klasycznego i subjektywizmu romantycznego na polu twórczości. W tej też przeciwstawności tkwi istotne znaczenie obydwóch tych prądów, oraz wpływ ich na rozwój sztuki i poezyi aż po chwilę obecną.

IV.

Kwestya wartości i znaczenia romantyzmu stanowi przedmiot ostatniego rozdziału książki Sierzputowskiego (str. 243—262). Tu podnosi autor przedewszystkiem bogactwo poezyi romantycznej pod względem treści. „Twórczość romantyków, mówi (str. 246), dotknęła wszystkich stron życia narodowego.“ Liczny dobór trafnych przykładów stwierdza to zdanie. Język romantyków szwankuje wprawdzie niekiedy z powodu neologizmów i używania germanizmów i rusycyzmów, szczególniej u Krasińskiego, następnie też u Ujejskiego, a czasem i u Słowackiego. Przykłady i tutaj ilustrują dobrze ten zarzut. Ale z tem wszystkiem autor wyznaje, że pomimo tych, niewielu zresztą, usterek, język pod piórem romantyków nie tylko nie zepsuł się, jak o to obawiał się Jan Śniadecki, ale naodwrót, doszedł do najwyższego stopnia doskonałości, muzykalności, bogactwa i piękna, co wcale nie zmniejszyło jego męzkiej siły.

Wogóle żywotność romantyzmu i wielką jego wartość literacką ujawnia, według autora, najlepiej ten fakt, że kiedy pseudo-

klasycyzm, skoro raz upadł, nic nie jest i nie będzie w stanie wskrzesić; — *romantyzm*, który po okresie pozytywistycznym zdawało się, iż powinien skonać na wieki, wskrzesa, jak feniks z popiołów w naszych czasach. Nie mówiąc o licznych w chwili obecnej naśladowcach Mickiewicza, Krasińskiego, a zwłaszcza Słowackiego, posiadamy mnóstwo talentów pierwszorzędnych i mniejszych, które dalej rozwijają ducha romantycznego. Wymienia tu autor *Prusa*, *Konopnicką*, *Sienkiewicza*, *Orzeszkową*, *Sieroszewskiego*, *Asnyka*, a do nich przyłącza się cała plejada autorów o talencie drugorzędnym.

Dalej podnosi autor wielkie zasługi moralno-społeczne romantyzmu, wskutek zaszczepienia w narodzie ideałów szlachetnych. Zarzucano wprawdzie romantykom, że zachęcali do zdrady, co jest nieprawdą, że się nie wznosili ponad politykę, że podniecali utopijne dążności, które sprowadzały na naród tylko nowe klęski, że wogóle podszeptom serca większy dawali posłuch, niż chłodnej rozwadze i wywodom logiki. Ale to wszystko także nie było wyłącznie ich winą, bo niezależnie od nich działały inne powody zewnętrzne i padały jak iskry płonące na całe stosy prochu. Zresztą, choćby to wszystko i zaważyło na szali win romantyzmu, przebaczyć im to należy wobec ogromnej zasługi, że zbudzili z letargu zasypiający naród, doprowadzili go do polityczno-społecznej samowiedzy i powołali do nowej organicznej pracy na polu życia umysłowego i oświaty. To też autor kończy swą, wielce zajmującą książkę podniosłą zachętą do wdzięczności i miłości dla tych wielkich przedstawicieli życia narodowego, którzy objęci są pod ogólną nazwą romantyków.

Jak główne cechy romantyzmu, tak i te słuszne bardzo uwagi autora co do jego znaczenia znajdują swe ostateczne wyjaśnienie oraz niezbędne dopełnienie jedynie w owym zasadniczym nastroju umysłowym, o którym mówiliśmy powyżej, w *subjektywizmie* romantyków. W nim tkwią ich wielkie, nieocenione zasługi, ale i pewne wady, złączone zawsze z przeważnym rozwojem jednej działalności umysłu kosztem reszty. Wzniosłe ideały, głębokie przejęcie się ich treścią, uświadomienie przy ich pomocy potrzeb umysłu i serca, wreszcie energiczna dążność do ich życiowego zaspokojenia, — oto objawy, mające najwyższe znaczenie dla kultury umysłowej a ściśle związane ze zwrotem duszy ku samej siebie, z górowaniem życia wewnętrznego nad swem otoczeniem, nad materyałem przedmiotowym, z niego zaczerpanym. Ale ten zwrot pociąga też za sobą często zboczenia i wady, gdy nie znajduje wskazanego przez naturę, koniecznego do-

pełnienia w należytem uwzględnieniu przedmiotowych danych otoczenia.

Jednostronny subjektywizm wpada zbyt łatwo w utopie wszelkiego rodzaju, często bardzo szlachetne, wzniosłe, budzące serdeczną sympatyą, lub nawet uwielbienie, ale pomimo to rozchodzące się z *prawdą*, a więc szkodliwe w swych skutkach, nadwerężając zdrowy rozwój życia umysłowego. *Mistycyzm* naszych romantyków, a w szczególności ich *mesyanizm* jest wymownym objawem takiego zboczenia. Nie rachując się z rzeczywistemi warunkami bytu, ani z przedmiotowemi danemi dziejów, romantycy nasi, — nie tylko poeci, ale i filozofowie, — doszli do przesadnych pojęć o roli, jaką naród odgrywa w społeczeństwie innych narodów. Świadomość indywidualna i narodowa, zajęta subjektywistycznie sama sobą, wyniosła sama siebie ponad swe otoczenie, wmawiała w siebie jakieś posłannictwo wyjątkowe, zamiast zrozumieć, że dosięga szczytu swego przeznaczenia, gdy w gronie innych narodów, według swych zdolności i swego usposobienia, przyjmuje czynny udział w rozwiązaniu najwyższych zadań ludzkości. Realizm prawdziwy, złączony z idealizmem, byłby w tym względzie pouczył romantyków i nadał ich twórczości charakter szerszy, pełniejszy, zgodniejszy z prawdą.

Owi poeci współcześni, których autor wymienił, jako dalej rozwijających ducha romantycznego, a do których doliczyć należy koniecznie autorkę *Polski w pieśni*, a mianowicie poematu o Sobieskim, *Deotymę*, nie są już właściwie romantykami, choć naturalnie przejęci są czynnikami idealnemi, wyprowadzonemi na widownią życia narodowego przez naszych wielkich poetów i myślicieli. Okres materyalizmu i pozytywizmu, który oddziela współczesną twórczość od romantyzmu, nie mógł pozostać bez wpływu na nią, dzięki swym czynnikom realistycznym. Jak w zakresie filozofii, tak i na polu współczesnej poezyi, pierwszorzędni jej przedstawiciele nie idą poprostu szlakami subjektywizmu romantycznego, lecz łączą z nim na każdym kroku ów przedmiotowy realizm, który, pomimo polotu na wyżyny ideału, sprowadza ich jednak, w miarę potrzeby, i na niziny rzeczywistości, codziennego życia. Twórczość tych naszych współczesnych wielkości ma tedy charakter *syntetyczny*; łączy daleko ściślej, niż to romantycy czynili, wierność ideałowi z wiernością prawdzie, głęboko odczute tęsknoty ducha z realnemi warunkami bytu i życia. Na tem polega ich samodzielna potęga w rozwoju literatury, ich pełna oryginalność, w różnicy od naśladowców romantyzmu.

Tylko ci ostatni, epigonowie romantyzmu, wznawiają subjektywizm w sposób jednostronny, lubują się w nim, szukają przy jego udziale nowych dróg i dochodzą przez to często do samowoli i cudactwa. Naturalne uczucie subjektywne romantyków staje się u tych *modernistów* różnych odcieni jakiemś nieokreślonem, mistycznem *przeczuciem*, które, zamiast zaczerpać z otoczenia realnych sprawdzianów swej treści, usiłuje przeniknąć świat przedmiotowy i wcielić w niego swój nastrój mistyczny. Tacy to subjektywiści, których nie brak i na polu teoryj estetycznych, patrzą z zasady na wszystko przez pryzmat swych chwiejnych i zmiennych nastrojów. Dziś to wydaje im się pięknem, prawdą i dobrem, jutro owo, coś wręcz przeciwnego. Nic nie uznają stałego, niezmiennego, prawdziwie realnego w świecie; bo wszystko w nim zależy wyłącznie od ich podmiotowego usposobienia, a to ich usposobienie nie ma żadnych zgoła kryteryów dla oceny własnej treści, — więc staje się w istocie kaprysem, chimerą, bez poważnego znaczenia dla rozwoju życia umysłowego i twórczości.

Nie trudno spostrzedz, że są to objawy chorobliwe, zboczenia subjektywizmu, mające raczej charakter parodyi owego nastroju romantycznego, który wydał na świat tyle utworów wspaniałych o treści wzniosłej, idealnej. Są to objawy sztuczne, wymuszone jakiegoś pseudoromantyzmu, znajdującego się w tym samym stosunku do pierwotnego, naturalnego romantyzmu, jak pseudoklasycyzm do klasycyzmu starożytnego. W tym kierunku nie można się spodziewać zdrowego postępu, nowych, wielkich zdobyczy. Przyszłość na polu sztuki i poezyi, podobnie jak i w zakresie filozofii, należy jedynie do pokolenia, które przejmie się pełnią bytu ludzkiego, nie tylko jaźnią, ale i jej otoczeniem, i rozwiąże zagadkę ich nierozerwalnej, faktycznej jedni.

Henryk Struve.

PRZEMIANY.[1]

Powieść współczesna.

XIX.

I przyszło na Pawła zniechęcenie, tak jak po pogodnych i pracowitych dniach lata nastają jesienne szarugi.

Nie stracił wiary w cele swoje, w program, w działalność ziemiańską, nie zachwiał się w zamiarach, nie wypuścił z rąk sztandaru „oświeconego konserwatyzmu“ i „szlacheckiej ludowości,“ stoczyłby o sztandar ten, o cele, o program zawzięty bój z takim np. Turowskim albo hrabią Tobiaszem, nie cofnąłby pod naciskiem najenergiczniejszego chciażby musu albo najpoważniejszej potrzeby żadnego z rozporządzeń swoich: co do procesu ze wsią, bezpłatnej pomocy lekarskiej dla fornali, odnowienia kaplicy grobowej hrabiów Naborowskich, zamknięcia wszystkich szynków i wydalenia wszystkich żydów, osiedlonych w granicach dóbr Naborów i t. p. — ale zapału nie posiadał i pracę swoją odrabiał jak gdyby zadanie konieczne a nudne i uciążliwe.

Zamykał się w swoim pokoju, nie poto wszakże, ażeby jak dawniej mozolnie kleci‍ć długie okresy odczytu, szperać w słownikach, wertować encyklopedye i niemieckie podręczniki rolnicze, wodzić palcem po mapach majątku (sporne grunta były oznaczone

[1]) Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417; — styczniowy, str. 26.

krzyżykiem), wymierzać cyrklem szerokość nowych czworaków, przerysowywać drzewo genealogiczne hrabiów Naborowskich... Przewracał karty własnego dziennika.

Z kufrów i szuflad wyjął grube, oprawne w kosztowną skórę, ponumerowane na grzbietach tomy, ułożył je symetrycznie podług porządku dat na biurku i zabrał się do czytania. Przez pierwszych dni kilka czytał uważnie i wolno, kreśląc coś na marginesach (stawił nawet znaki pisarskie, których brakło wszędzie) jak gdyby szukał czegoś (rysów duszy? uciech i uśmiechów przeszłości? krzywd losu?) albo jak gdyby, zdjęty tkliwem współczuciem dla samego siebie, pragnął obcować z sobą i pieścić siebie miłującem wspomnieniem (był przecież sam jeden na świecie i niepotrzebny nikomu)—po tem ujawniał coraz częściej zniechęcone roztargnienie i jął zapadać w długie zadumy. Ze spojrzeniem, zatrzymanem na jakiejś obojętnej dacie, pod którą zapisał przed laty mróz albo upał, tytuł ćwiczenia albo cenę nowego ubrania, myślał przez długie godziny, pełen goryczy, przerażenia i dziwnego osłupienia...

Te pożółkłe i poblakłe, zasmarowane dużem, niekształtnem, dziecinnem jeszcze pismem stronice, uczyniły na nim wrażenie, którego się nie spodziewał, uderzyły w niego groźnem a nieoczekiwanem przypomnieniem. Zaczął przewracać je w litosnem rozrzewnieniu nad sobą, nad samotnością swoją, nad chłodem, który go otaczał, chciał obcować z sobą i z przeszłością, tak jak obcuje się z drogiem dzieckiem, które się usadza na kolanach i pieści — a stanęła przed nim śmierć, pustka i znikomość życia... Dlaczego?

Pamiętał te dawne czasy, i dom rodzinny w Borku i matkę i pierwsze nauki, szkołę, kolegów, podróże i choroby, obrazy na ścianach, kolor pieców, twarze nianiek i bon — wspomnienia wracały z daleka wyraźne, ale to wszystko było widmem żałosnem, marą grobową, rozwiewnym cieniem... To było stracone na zawsze, to przestało należeć do niego, nie było już jego własnością... Minęło i niema.... Tamto ciemnowłose o dużej głowie dziecko, które wstawało z ciepłego łóżka, odmawiało z matką pacierze, cieszyło się z kożuszka na mleku, z gustem zabierało się do łatwych lekcyj, biegało do kucharza pytać o ostatnią potrawę, sypało wały ze śniegu — umarło; umarł tamten pilny, ostrożny, uważny, zawsze czysty chłopczyk, którego chwaliły nauczycielki, który gryzł jak marchew wszystkie gramatyki; umarł uczeń gimnazyum; umarł młodzieniec...

— Więc czem że jest życie — pytał siebie z trwogą — jeżeli przeszłość nie należy do nas, jeżeli dnie dzieciństwa i młodości opadają tak jak liście z drzewa? chwilą teraźniejszości? A za

lat dziesięć i ta chwila teraźniejszości, każda w przeciągu lat dziesięciu posiadana teraźniejszość, rozkruszy się w nicość, i znowu nie będzie nic prócz momentu obecnego, prócz świadomości momentu... Potem nastąpi kres...

Chłód ogarnął Pawła. Nie znał jeszcze tych myśli.

— Oto dnie przechodzą—dumał dalej—i każdy bezpowrotnie, z każdym uchodzi życie. Życie składa się z dni, jak tkanina z nici. Przeżył już połowę. I połowa przepłynie i będzie tak, jak gdyby nie żył wcale. Trochę wspomnień niby od przeczytanej książki albo od snu... Życie jest świadomością jednej teraźniejszej chwili... Gdybyż można było każdy przeżyty dzień chować do skrzyni i zbierać i nagromadzać i posiadać i rozsiąść się na przeszłości tak jak skąpiec rozsiada się na kupie złota, żeby ją ukryć przed złodziejem, żeby jej nie oddać... Ale złodziej zabiera nam dzień po dniu... Człowiek, idąc w lata, idzie po drabinie, która pali się od dołu, która runie zetlała, gdy człowiek stanie na szczeblu ostatnim. Wówczas pod nogami ukaże się przepaść...

Były to myśli zwyczajne, jak razowy chleb, ale Pawła przejmowały ziąbem, niby białe zimne tumany nad moczarami. Nigdy jeszcze pracowitym oczom jego nie ukazywała się znikomość żywota, nigdy jeszcze za plecami swemi nie czuł śmierci... Żył, pracował, zdobywał, dążył...

Teraz mrok niezmierny, mrok słotnej, jesiennej nocy nad pustemi polami, zasłaniał przed nim wszystko: i dziennik i drzewo genealogiczne hrabiów Naborowskich i rękopis odczytu i księgi rachunków i mapę majątku, rozpostartą na stole ze spornemi gruntami, oznaczonemi krzyżykiem i krzewy bzu, które chwiały się za oknem, na wprost biurka.

— Śmierć.

Dnie umierają, umarły dzieciństwo i młodość, przeminie życie—i Pawła Naborowskiego nie będzie!

Widział ciemną nicość, w której pogrążał się na zawsze, czuł beznadziejną trwogę, krzyk ciała, które tonie — potem gasła i stygła świadomość, osłupiała, lodowata...

— Śmierć...

Na długo zamikała w nim wszelka myśl, niby płomień zdmuchnięty mocnym powiewem. Pocóż myśleć? nad czem? dokąd płynąć myślom, jeżeli niema wyjścia?

Droga, u której kresu przepaść, drabina, zawieszona nad otchłanią, fala na bezdennym mrocznym, odmęcie...

Tamowało mu oddech, jak niegdyś w cyrku, gdy kobieta w trykocie stawała jedną nogą końcem palców na trapezie pod

drewnianą kopułą budynku... Nie utrzyma się, straci równowagę— runie... Tam, w cyrku przymykał oczy...

Śmierć...

Ludzie szukają od niej ratunku w wierze religijnej, w snach o niebie, w tęsknotach do błogiej nieśmiertelności, i wszystkie systematy religijne powstały, jak czytał gdzieś, zapewne u Spencera, ze strachu śmierci, z faktu śmierci. Wiara w Boga wynika z wiary w zagrobowe istnienie, która potrzebna jest ludziom, ponieważ koi żal, zasłania próżnię, łagodzi bojaźń. Szczęśliwi, którzy wierzą...

Ale jego wiara została w Borku, w pokoju dziecinnym razem z zabawkami i nie może po nią sięgnąć tak samo, jak nie sięgnie po pacholęcą piłkę... Przerósł... Człowiek nauki nie otworzy drzwi dla przyjęcia twierdzeń bezpodstawnych, które nazywa „przesądami," człowiek nauki nie pieści złudzeń, chociażby te złudzenia były pociechą...

Zresztą, rozumiejąc i oceniając znaczenie dogmatów religijnych dla mas nieoświeconych, które nie wyszły jeszcze z wieku dzieciństwa, dla których etyka jest dostępną jedynie pod postacią przepisów religijnych, obywał się dotychczas znakomicie bez wiary, nie szukał jej i nie łaknął... Uznał ją, jako pierwszorzędny czynnik społeczny i polityczny — nie zgłębiał i nie rozpatrywał, nie potrzebował zgłębiać tej sprawy w sobie i dla siebie... Przerósł...

Ale teraz stanęła przed nim śmierć...

Za lat kilkanaście urwie się szereg dni jego, z których każdy jest życiem, każdy pierwszym i ostatnim dniem jedynego, krótkiego życia, (bo ani przeszłości, ani przyszłości człowiek nie posiada) — i Pawła Naborowskiego nie będzie. Zostanie nazwisko, zapisane w metrykach — dźwięk bez treści — zostanie na jakimś cmentarzu nagrobek—kamień ze złotemi literami, w paru gazetach ukaże się nekrolog — i już na wieki nic...

Myśl Pawła szła prastarym szlakiem przerażenia i ziemskiej żałości.

Nie będzie Pawła Naborowskiego tak jak niema ojca jego, jak niema dziada Alfreda, który w tych samych pokojach uczył dzieci, suszył zioła i cieszył się z życia, jak niema tych wszystkich, których imiona, nazwiska, daty urodzeń i zgonu czytał na cmentarzach...

Gdzież oni są, ci wszyscy? Minęli, jak minęły ich lata, minęli jak gdyby nie byli nigdy... A może nie byli nigdy?

Odwiedzał dawniej w wielkich miastach cmentarze, chodził śród mogił, przebiegał z roztargnieniem nadpisy grobowców, ale

kamienna ciżba pomników, miasto umarłych nie były dla niego wówczas żadnym memento. Wiedział przecież, że człowiek jest śmiertelny, że ludzie umierają... I podziwiał marmury pięknych rzeźb, misterne koronki żelaznych balustrad, starannie pielęgnowane klomby kwiatów, podobały mu się ład i pieczołowitość...

Miał dobre złudzenie, i niewyrozumowaną a niezbitą pewność, że jego, Pawła Naborowskiego nie jest udziałem tak zgasnąć, że tamci — co innego, on — co innego, że ludzie, których imiona odczytywał, nie byli rzeczywistymi, takimiż samymi, jak on ludźmi... Teraz pojmował, że każde z wyrytych na grobowcu istnień było życiem zupełnie takiem, jak jego, życiem, złożonem z dni, z miesięcy, z lat, z dążeń, z zamiarów, z trudów, życiem jedynem i najdroższem dla tego, który je posiadał... I rozwiało się, jak gdyby nie było nigdy! I miną jego własne dnie, minie życie, skończy się wszystko!... nowi ludzie, nowe lata, mogiły, tak samo słońce i noc, sen, gazety, pociągi, walki...

Więc poco ten krótki moment istnienia, ten błysk chwilowy? jakaż może być myśl życia?

— Szczęście — odpowiadał sobie — chyba szczęście... W człowieku mieszka pragnienie szczęścia, ludzie kochają życie, to dowód, że żyjemy dla szczęścia, że życie jest szczęściem...

Zapadł w zadumę...

Gdzież są ślady szczęścia w dzienniku? Byłoż kiedy to szczęście w jego życiu?

Ponury z powodu choroby i zgryzot ojca — dom, ojca, który jedną ręką grał i tracił mienie, drugą — gorączkowo a niefortunnie robił na spekulacyach pieniądze, łzy i niepokój matki podczas nieobecności ojca; powroty ojca, które wywoływały popłoch, sceny, przerażenie służby, posępna cisza, tamten zawsze zamknięty straszny pokój, w którym ojciec chorował... Były uśmiechy i jasne smugi...

Potem śmierć ojca (strzał za drzwiami strasznego, zawsze zamkniętego pokoju) pogrzeb, ubóstwo, oszczędność, długi, których ciężar odczuwał intuicyą... w domu zabrakło naraz połowy sprzętów, zabrakło służby, i przyjaciół... potem umarła matka... Wyjazd do wielkiego miasta, gimnazyum, samotność, nienawistne lekcye gimnastyki, na których był pośmiewiskiem... Kolegom było wesoło, ale on może przedwcześnie dojrzał... Nie miał domu rodzinnego, nie znał ich uciech... Uczył się, brał dodatkowe lekcye języków i gimnastyki, oszczędzał (chodziło mu o spłacenie długów ojca i już wówczas o podźwignięcie fortuny Naborowskich), jeździł nad morze dla wzmocnienia zdrowia... Ta przeszłość wydaje się

ciemną... Piątki i pochwały nauczycieli, nagrody, rozkoszne wówczas, teraz, zbladły... Smutne i zimne dnie... Może przedwcześnie dojrzał? Wszyscy dokoła niego żyli inaczej...

Uczył się przykładnie i sumiennie — przez obowiązkowość i z zamiłowania—polecił opiekunom, którzy podziwiali skromność jego wydatków, spłacać długi, zaoszczędzony grosz odkładał na przyszłość dla podźwignięcia rodu, dbał o zdrowie, gimnastykował się, kąpał się w morzu, przewietrzał pokój, chodził na spacery... Przyjaciół nie miał... (pracowici między kolegami byli głupsi od niego, rozumni i zdolni nie zajmowali się naukami szkolnemi, zresztą wszyscy razili jego, wychowanego wykwintnie, rubasznością form, hrabia Tobiasz był dziwakiem) Zimne i smutne dnie...

Potem przekonany o swojem naukowem powołaniu, udał się za granicę dla studyów. Pracował i tak samo wietrzył pokoje, gimnastykował się, kąpał się (w zakładzie hydropatycznym), tak samo był samotny... Nawet niemka staruszka, której był lokatorem, wyrażała mu swoje współczucie, nawet lokaj dziwił się, że Herr Graf nie odbiera listów... Dzierżawcy Naborowa i Borka dwa razy do roku przysyłali raty do banku... Z gotową rozprawą zjechał do Krakowa—w złą godzinę...

— Gdzież szczęście? — pytał, szybkiem skrzydłem pamięci ogarniając przeszłość — gdzie szczęście? Były powodzenia i zwycięstwa, piątki i nagrody, pochwały nauczycieli i profesorów—to mało, to mało...

— Człowiek zostawia owoc czynów, żyje w pożytku, który przyniósł ludzkości swojem istnieniem — rozumował dalej — atom znika, lecz całość macierzysta—ludzkość trwa. Uczciwe i wytrwałe pełnienie obowiązku daje nam strawę zadowolenia, wyzbycie się egoistycznych uczuć jest zadaniem uświadomionego człowieka..; trzeba położyć cegiełkę we wspaniałym gmachu postępu...

Tak wierzył; ale te myśli, wydobyte z książek, sztucznie związane w całokształt, nie wypróbowane w żadnym ogniu, były obecnie niby obumarłe płatki kwiatu, który zwiądł od niewiadomej przyczyny... Brał je po kolei w palce, patrzał w nie, szukał w nich pokrzepienia—kwiat wydawał się znużonym czy martwym... Nie mógł wzbudzić w sobie zapału, z którym wybiegał jeszcze niedawno ku przyszłości, ku urzeczywistnieniu zamiarów i planów...

Skończy odczyt, zyska nim zastęp zwolenników, stanie się głośnym ziemianinem, wybitnym działaczem—i cóż? Uporządkuje i podniesie Naborów, oświeci kilka wsi, doprowadzi do wysokiej kultury rolnej zakątek kraju—i co z tego?

Gdyby był został na polu naukowem, osiągnął wysokie zaszczyty, zgromadził obfite plony wiedzy — także mógłby zadać sobie to samo zniechęcone, beznadziejne pytanie. I co z tego?

Jeżeli szczęście jest treścią życia, to jego własne życie nie posiadało tej treści. Czy przyjdzie kiedy ta treść napełnić jego dolę tak jak światło dnia przychodzi napełnić co rana ciemny w nocy pokój?

— Rodzina, ognisko domowe, dzieci—myślał jeszcze czasami przelotnie—radość odradzania się... Rodzice żyją w dzieciach, które są przedłużeniem ich doczesnego wieku... nieprzerwany łańcuch pokoleń snuje się przez dzieje... słodkie i mądre prawo natury...

Ale tylko ciemniała mu twarz, jak wówczas, gdy w drodze z Jaworowa był pytany przez stryja Michała, i odpowiadał sobie samemu, tak samo, jak wówczas:

— Nie ożenię się nigdy.

Na ciemnych wodach istnienia nie było blasku...

I szedł, żeby oderwać myśl od dziennika między ruiny byłego pałacu, na którego widok wzdrygał się do niedawna, patrzeć na smutne zniszczenie, na poniewierkę i upadek, pewny, iż nikt mu żadnym „interesem“ nie przerwie tu jałowych, niemocnych, trawiących rozmyślań... Snuł, niby robak we wnętrzu rozkładającego się trupa, (nasuwało mu się to porównanie) po zgniłych belkach, po spróchniałych deskach, pod pękniętemi, porysowanemi, osypującemi się sufitami, śród ścian, z których tynk opadł przed laty, śród brzydkiego kalectwa, ohydnej zgrzybiałości, żałosnej pustki... Co można było zabrać: klamki, okucia, zawiasy, drzwi, ramy okienne, nawet gwoździe, tafle parkietów—pokradli chłopi i służba, i trwały tylko grube, odwieczne, spleśniałe, krwawe, gdzie obleciały tynki, mury, trzymały się sklepienia piwnic podziemnych, trwał mocny dach z dachówki. Gdzieniegdzie, niby niespodziany a znikomy promień słońca, uśmiechały się wątłym uśmiechem poblakłych farb, freski: to jasne kędziory jakiejś głowy — może bóstwa—która się starła, to ramię niewieście, wyciągnięte ruchem przesadnym w próżni, to oczy, same jedne żywe, jakieś łagodne, oczy bez twarzy... Najlepiej zachowała się sala jadalna, komnata największa ze wszystkich. Ocalało trochę posadzki, przedziwnie kunsztownej z różnokolorowego drzewa (widocznie nie mogła nikomu się przydać), ocalały rzeźbione ozdoby drewnianego plafonu, ocalały misterne oddrzwia. I w ścianach tkwiły jeszcze haki, na których ongi wisiały zapewne portrety przodków...

Gdzie podziały się same portrety, gdzie jest ta galerya martwych, nieruchomych, uroczystych twarzy? Niechby były tu i spo-

glądały ze ścian na zjadliwe szyderstwo czasu, na koniec wszystkich rzeczy...

Były niegdyś uczty, przez te wysokie drzwi wchodziły pary, huczała kapela, lały się strugi wina, strzelały moździerze, zajeżdżały złociste karoce... Teraz cisza i milczenie gruzów, kurz i pajęczyny.. W noce jesienne jęczy, świszczy, zawodzi tu wicher, długie słoty ścielą tu śliskie i zimne pokrowce pleśni, dmą śnieżyce i rozkładają u okien na cudownych wzorach posadzki białe błamy, zaspy i wały... na murach szkli się skorupa lodu, która taje potem, i ciche drobne krople ściekają wolno, niby łzy, gwarząc... Przychodzi wiosna, co rok budzić ziemię—i pomija ten grób...

Chłopak wioskowy narysował ręką niewprawną kawałkiem węgla olbrzymią głowę z ogromnym nosem w profilu. Zawiesisty wąs i oko bezmyślne w kształcie trójkąta... Może to złośliwy symbol?

Poco żyli ci ludzie, którzy pracą lat wznosili, budowali, zdobili, złocili ten przybytek uciechy? Gdzie jest chociażby nikły ślad ich zabiegów? Alboż on, Paweł Naborowski, który jest ich potomkiem, wie o nich cokowiek, alboż oni żyją w nim? Pokolenia następują po sobie jak łany zboża na zagonie, płynie wiekuisty potok dziejów...

Oto ogromna głowa z zawiesistym wąsem, bezmyślna, bezmyślnie uśmiechnięta przygląda się zniszczeniu swojego dzieła. Przeszłość, wystawiona na urąganie... Próżny jest trud żywota, próżny jak pisanie na piasku. Czas zetrze, zetrze...

Nigdy jeszcze Paweł, który wierzył i czcił tradycye, kochał chwałę rodu Naborowskich i marzył o podźwignięciu go z nizin, nie dotarł do tak beznadziejnego kresu. Był jak człowiek, którego pochwycą niespodzianie śród białego dnia, śród pracy lub podróży ręce nieznanych zbirów, zwiążą i strącą na dno czarnego lochu, gdzie zakutemu w kajdany zostaje jedno—patrzeć w mrok.

Chodził zwolna po olbrzymiej komnacie, budząc gromkie i zuchwałe echo, dotykał niewiedzieć poco kalekich ścian, pytał o coś spłowiałe uśmiechy fresków, spoglądał we drzwi, oddawna i na zawsze otwarte, jak gdyby spodziewał się jeszcze, że naraz poczną sunąć przez nie długim korowodem pary strojne, barwne, świetne... Stanąłby między niemi i płynął z ich orszakiem milczącym bez dźwięku i szelestu po pustych pokojach, okrążyłby tak jak one ze smutnem zdziwieniem ruinę pałacu, odszedłby w ich ślady...

Odszedłby—i byłby już koniec... Cóż mu bowiem po tych latach, które jeszcze przyjdą? kilka tysięcy dni? Trochę daremnych wysiłków i nudy?

Słyszał turkot fur, zwożących snopy, stuk siekier, które ciosały drzewo na nowe czworaki, nawoływania fornali, żarty mularzy, odnawiających kaplicę grobową, któregoś wieczora spłonął nawet młyn, podpalony przez jednego z żydów, których wysiedlał— ale to wszystko nie wytrąciło go z apatyi, ze stanu niemrawej bezwoli, z posępnego osłupienia, poranki spędzał wciąż w swoim pokoju, przy biurku, niby nad dziennikiem, który przestał przeglądać, popołudnia w pałacu albo gdzieś daleko w polu, na jakiejś miedzy ukryty. I przeżuwał wciąż te same myśli, ten sam nastrój tak jak bezczynny majtek przeżuwa gorzki tytoń. Nie wyprowadzał żadnych wniosków, nie układał postanowień, nie dokonywał odkryć—patrzał poprostu w szarzyznę życia własnego, którą zasnuł wszystko, dokoła, i nudził się. Kochał przedtem i życie i przeszłość swoją i siebie, siebie ze czcią i z dumą, z przywiązaniem bałwochwalczem do każdego szczegółu i drobiazgu dotyczącego jego osoby—dowodem dziennik, prowadzony niestrudzenie, nieprzerwanie przez szereg lat, dziennik, w którym zapisywał każdy fakt, najbardziej pośledni z życia, a mający dla niego tę samą wagę, którą dla zbieracza ma każdy numizmat, chociażby lichy i starty—teraz odwrócił się z odrazą i jakby z rozczarowaniem. I trapiły go dwa uczucia, na pozór sprzeczne: z jednej strony z przerażeniem widział kres, ostatnie nieodzowne rozwiązanie każdego życia, niewzruszony dogmat śmierci—z drugiej z gorzkiem powątpiewaniem mówił sobie, że, obróciwszy na marne wiek młody, nie osiągnie celów swoich i jedynego celu—szczęścia, że na jałowych dążeniach zejdą mu dnie jego.

Aż przyszło przebudzenie.

Któregoś dnia, gdy tak samo zgnębiony i zniechęcony, pełny nudy wewnętrznej deptał tafle posadzki we wspaniałej komnacie jadalnej, coś pchnęło go ku jednemu z otworów okiennych. Wsparł się o framugę, zasypaną kawałkami odwiecznych szyb, wychylił głowę... Uderzyły w niego skwar i ostra woń chwastów, rosnących między gruzami. Patrzał... przez tyle czasu nie widział, pogrążony w błotnem zalewisku nudy, pięknego oblicza lata, zapominał, że te brzydkie ruiny były jak martwa i naga skała, która tkwi śród błękitnych wód rozkosznego jeziora.

Było popołudnie dnia letniego, był widok przedziwny w przeciwstawieniu do posępnego rozkładu dzieł ludzkich dokoła, czarowny, jak gdyby sen wiecznej młodości, jak gdyby obraz krainy z tamtego brzegu. Z daleka raziły wzrok świecącą, rozgrzaną w upale pozłotą gładkie rżyska, na których uwijała się pracowita ciżba, i biegły śniadą roztoczą w daleki przestwór, stykały się

z lazurem niebios złote, zda się przepyszne złotolite lamy u błękitnego płaszcza królewskiego, który jest wdziany w uroczystej chwili świętego dnia... Bliżej skoszona łąka, cała w słońcu, słała szmaragdowy kobierzec, miękki, jasny, prześwietlony; każde piórko trawy świeci i skrzy iskrą słoneczną; od ciemnych olsz, tworzących gęsty szpaler na skraju, kładzie się cień i duma w chłodnem zaciszu.. Łąka szczęścia, kobierzec wesela, kobierzec godów, ustronie nieskończonej radości... oto, muskając stopą czubki roślin, idzie marzącym krokiem cudna istota w bieli, płynie powiewny płaszcz jej szat... Niema nikogo... Widać tylko roje motyli, słychać upalny gwar owadów, które sennym brzękiem mówią o rozkoszy, o gorącu, o krótkiem, szczęśliwem istnieniu...

Lato i życie, sama radość i moc życia zaśmiały się do Pawła z tego obrazu. Oto rzeką lazurową i słoneczną, rzeką zieleni i kwiecia płynie przez świat lato, oto dzieje się codzienny cud życia, oto bije w tajemnem łonie ziemi wiekuiste pracowite tętno bytu. Paweł wsłuchiwał się. Jak gdyby dotknięty wskrzeszającą ręką, jakgdyby olśniony, jakgdyby rozweselony puharem wina, wychylonym duszkiem i do dna — ocknął się. I mimowoli ruchem zachwyconym wyciągnął obie ręce rzekłbyś w naiwnym dziecięcym zamiarze przygarnięcia, zagarnięcia, przyciśnienia... Kędy tylko spojrzeć, widać rozlew wszechżywotnej mocy, bujny rozkwit, upojenie, radosne święto istnienia... Przepotężna, młoda fala życia...

Dokoła pałacu świergolą jaskółki, troskliwe o gniazda, ulepione pod dachem; kwilenie piskląt...

Dwie brzozy młodziuchne, wysokie, wiotkie, proste, srebrnopienne pochylały ku sobie na wprost okna przecudne wierzchołki i całowały się śród lazurów cichem muśnięciem, słodkiem wzruszeniem lśniących liści. Mijała chwila—i znowu nieruchome marzyły, potem szły ku sobie i chwiały prześlicznemi głowy i pieściły siebie, pieszczotą ledwie znaczną i brały pocałowanie — i cichły w upojeniu.

Paweł doznał dreszczu, jak gdyby to do niego tuliły się te cudne głowy, jego to pieściły nieśmiałem dotknięciem, jego łechtały lękliwym pocałunkiem. I nie mógł już zostawać dłużej tu wpośród gruzów i pajęczyn, kurzu i pleśni, w cieniu śmierci, w posępnem milczeniu przeszłości... szukał życia.

Ruszył, pełen bezpodstawnej otuchy, krokiem ucieczki przed siebie w słońce, w pole, w upał. Rozradował go tam widok zwózki gorączkowej, turkotliwej, gwarnej. Wrzała praca, brzmiały śpiewy i nawoływania, rozmowy; wozy skrzypiały, kołysząc się na zagonach, jakieś źrebię rżało, uganiając się w podskokach za

matką, wprzężoną w drabinę... Paweł przyglądał się z wesołością, potem walcząc z nieśmiałością, stanął w szeregu. Rozpierały mu piersi żądza ruchu i rzadka, chłopięca prawie uciecha, w sercu miał kochanie, dobre, proste, bratnie, którym ogarniał i tamtą szpetną kobietę z podbitym okiem, w przedostatnim miesięcu ciąży, i chude szkapięta, co rade z chwilowego wytchnienia,—wyciągają szyję dla skubnięcia traw z miedzy, opędzają się muchom długiemi, kołtuniastemi ogonami i rżącego źrebaka, i wyrostka bez czapki w koszuli aż do pięt, i starą dziką gruszę, osypaną okrągłemi, sztywnemi liśćmi, i bezmiar pogodnych niebios, i bezmiar świata, skąpanego w słonecznej ciszy, w błogosławionym spokoju... Dobra chwila, jedyna...

Nikła chmurka sunie zaledwie widzialnie przez modre odmęty, powoli, jak niewinne dziecię, które pełza, bo chodzić nie umie, zatrzymała się nad samą gruszą—idzie dalej... Paweł przestał szukać jej wzrokiem. Wszczepił się w robotę z całych sił ramienia, z całej ochoty serca, niby żołnierz rozgrzany bitwą we wroga. Nic to, że snopy wysuwały się z rąk, że podrzucone nie dosięgały szczytu wozu, i z szelestem leciały na ziemię, że pryskało przewiązło niezgrabnie ujęte, że dziewczyna uśmiecha się do jego niepowodzeń, — odpowiada jej szczerym uśmiechem... Będzie pracował do samego wieczora, i jutro od rana, i każdego dnia; pójdzie z pługami, z kosą, przy bronach... Alboż jest większa uciecha, niż oblewać się potem, czuć gorący bieg krwi, nie ustępować, walczyć z trudem roboty!

Naładował już jeden wóz, dwa wozy, trzeci, czwarty...

Ludzie poglądają ku niemu z uznaniem... ośmielili się... w tamtym końcu pola ktoś zanucił... Kochani ludzie... objąłby ich wszystkich w tym momencie za głowy i uścisnął, jak braci, jak druhów... I oni płoną dla niego tem samem uczuciem... Stary formal w czarnej „żakietce,“ w butach, wciągniętych na zgrzebne spodnie o żółtej, obrośniętej, zgryźliwej twarzy raz po raz patrzy w jego stronę, uśmiecha się i mruga porozumiewawczo oczami... Zdobył ich...

— Panoczku! — odzywa się stary formal — pan widzi, my i w niedzielę pracujemy, „kab“ żyto nie zmokło... trzeba nam na „borysz“ panoczku starzec uśmiecha się przebiegle.

— Jakto w niedzielę?...

— Dziś niedziela panoczku — zgryźliwa twarz formala roztapia się w jaśniejącym uśmiechu.

— Ja nie chcę, żebyście pracowali w niedzielę...

— „Komisar“ kazał...

Paweł przestał pracować. Stał chwilę w niepewności. Rządca p. Skiwski bez upoważnienia złamał święto, trudno już cofnąć dane rozporządzenie, ale nie zgadza się to z zasadami .. praca w niedzielę, wódka...

Paweł zawrócił do domu. Szedł wolno, żałując roboty, ludzi, dobrej chwili.. Znowu samotność, gorzkie myśli, dziennik, szydercze widmo przeszłości...

Przechodząc koło stajni kazał zaprządz sobie konie. Nie miał do kogo jechać, nie wiedział jeszcze dokąd pojedzie, czuł tylko, iż musi wyrwać się z beznadziejnego koła nicujących dumań, chciałby zapomnieć, zatracić siebie... Zapragnął rzeczy niedoznanej, zapragnął żyć, jak żyją inni, żyć poprostu, rozgrzać stygnącą krew, słyszeć bijące serce, odetchnąć... Bywały takie godziny i dawniej. W miastach zazdrościł wówczas tym, którzy siedzą dokoła stołów, w szynkach, w dźwiękach hałaśliwej muzyki, w zaduchu, w pijackim gwarze, zazdrościł, że wychodzili, zataczając się, krzykliwą czeredą z brzydką pieśnią na ustach, że brali napotkane kobiety, zmykające z piskiem, wyrządzali skandale, plądrowali w ciemnym zaułku .. Szedł za nimi jak szpieg, jak głodny szpieg... Ciemny zaułek pełny był muzyki, grającej do tańca...

Spiłby się teraz. Ale tu na wsi panowała świąteczna, senna cisza. Stał przed biurkiem i marszczył czoło. Dziecinne łzy cisnęły mu się do oczu.

— „Nigdy nic, nigdy nic!..“ — szeptał... sobie samemu.

A gdy powóz zaszedł pod ganek, zamigotała w nim na chwilę zdradziecka myśl... „Kamieńczyce... Byłby tam przed wieczorem z krótką sąsiedzką wizytą... nawet wypada... zresztą... moment radości...“ Dotkliwie zabolała szarpnięta blizna.

— Daleko stąd do Pepłowa? — zgaszonym głosem spytał woźnicę.

— Dwie mile, ale droga „letka“ — odparł stangret zgadując myśl pana. Służba lubiła jeździć do Opolskich. Paweł spojrzał na zegarek. Było pół do piątej.

— Jazda. Na szóstą stanąć w Pepłowie.

Ogromne, gniade (świeżo kupione) konie ruszyły z miejsca w tęgiego kłusa. Zadudniła ziemia pod migającemi kopytami; szybka jazda sprawiała Pawłowi szczerą przyjemność. Z lubością patrzał na swoje konie, liczył słupy wiorstowe i czas podług zegarka.

Mknęli jednym tchem. Nie dochodziła jeszcze szósta, gdy śród drzew zabielał, widny zdala, murowany dom Pepłowski.

— Pepłów—rzekł furman, ukazując biczem—dobre konie!— i zwrócił do Pana uśmiechniętą, zadowoloną twarz.

— Dobre konie!—z takim samym uśmiechem, połechtany po dziedzicznej szlacheckiej żyłce koniarskiej, potwierdził Paweł i kazał zwolnić. Chciał przyjrzeć się choć przelotnie ósmemu cudowi świata, którym podług zgodnej opinji całej okolicy Ugodzińskiej miał być Pepłów. Ale nie widział tymczasem nic nadzwyczajnego, tylko piękne urodzaje na polach, gdyż trzeba było doświadczonego rolnika na to, ażeby ocenić rzeczy na pozór pospolite a zaprowadzone z olbrzymim nakładem pracy i kosztów, jak oto: rowy wzdłuż dróg, aleje, murowane mosty, doskonałe drogi, gdzie niegdzie nawet ubite na podobieństwo szosy, łąki gładkie jak kobierzec i t. p. Za to czworaki z cegły, kryte dachówką, o dużych oknach, otoczone drzewami, każdy z ogródkiem i własnem obejściem, wzbudziły zazdrość Pawła. Żywo stanęły mu w oczach nędzne, smrodliwe, rozwalone chałupy Naborowskie. Więc jego działalność nie była ani nowatorską, ani reformatorską? A zresztą jaka działalność? Zupełnie jałowa dotychczas, zupełnie daremna... Nie mógł odegnać pesymizmu dnia tego...

Tymczasem powóz zatrzymał się już przed domem, dużym, długim, za długim, murowanym, o spuszczonych markizach.

Żwawy i gościnny lokaj zaprowadził Pawła do państwa, a raczej do Opolskiego, bo ten samotnie koło dzbana kryształowego z kruszonem, w salonie zażywał upalnego wywczasu.

Nie poznał Pawła, wlepił w niego osowiałe, niechętne spojrzenie, nie wstał na powitanie, nie prosił siadać, nie częstował kruszonem, do którego gość po kilku godzinach jazdy w upał, wzdychał z upragnieniem. Paweł, oczekując na gospodynię rozrywał się widokiem rzeźb i obrazów, których pełno było w salonie, i cedził przez zęby jakieś ogólniki o skwarze i urodzajach, o dobrych i złych drogach, które to zdania, Opolski czasami zbywał głuchem milczeniem, czasami kazał sobie głośno powtarzać.

— Pan z daleka?—wybełkotał nagle, jakby coś sobie przypominając.

— Z Naborowa - krzyknął Paweł.

Senne oczy Opolskiego ożywiły się.

— Alfred dawno umarł—mruknął.

— Jestem bratankiem stryja Alfreda...

— Alfred był nieżonaty— zaprzeczył gospodarz—fiu, fiu i stuknął siebie w czoło, może pomawiając Pawła o pomieszanie umysłu, albo o jawne oszustwo.

— Ja też jestem nie synem, ale tylko bratankiem — wrzeszczał Paweł — stryj Alfred - *grand oncle* — miał brata Tadeusza, który był moim dziadem.

Opolski pociągnął napoju i jął rozmyślać nad słowami Pawła.

— A pan żonaty? — spytał potem nagle.

— Nie.

— Znajdź-że pan sobie taką żonę, jak moja...

Paweł zamilkł zdziwiony.

— Znajdź - że pan—powtarzał Opolski, uśmiechnięty, figlarny, szczęśliwy.— Nie znajdziesz! i pewno kochasz się w mojej żonie? Co? kochasz się, jak wszyscy... a ona we mnie — uderzył się w piersi—stary, a jeszcze coś wart...

I zapił swoją dumę kruszonem.

W tej chwili szybko, szeleszcząc jedwabiem jasnej obcisłej sukni weszła pani Anna. Wchodząc miała swój zwykły światowy, uprzejmy a prześliczny uśmiech.

— Pan już oddawna — witała gościa — nikt mi pana nie zameldował i dlatego tak się spóźniłam. Proszę pana — wskazała krzesło — Nadczekiwaliśmy pana już oddawna. Z Naborowa do Pepłowa, tak blisko, a pan się ociągał... Dlaczego? Chyba że uwięziono pana w Kamieńczycach?

— Wyjechałem zaraz po odjeździe państwa.

— Ach, tak?... Dobrze panu idzie w gospodarstwie?—zmieniła temat, widząc cierpki grymas Pawła.

— Jak zwykle...

I rozprawiali czas jakiś o rolnictwie.

— O czem to mówicie? — odezwał się Opolski.

— O gospodarstwie.

Opolski gniewnie machnął ręką.

— Gospodarstwo, to wiatrak w czas bezwietrzny — bełkotał, wytrzeszczając swoje blade oczy.—Opłacaj młynarza, a mliwa niema. Płać i płać .. Koteczek uparty... Jabym tego filozofa oddawna za kołnierz — wykonał jakiś niedołężny ruch —jego nasze pieniądze nie bolą, bo cudze...

Pani Anna patrzała w dywan.

— Stefan Modrzec zajmuje się u państwa — rzekł Paweł— znałem go w szkołach i spotkałem w wagonie, jadąc po raz pierwszy w te strony.

Pani Anna nie podniosła spojrzenia.

— To pracowity i niezaprzeczenie uczciwy człowiek — ciągnął dalej Paweł, rad, iż ma o czem mówić—Znałem go dobrze. Wywierał wpływ na młodzież olbrzymi, zgromadzał, uwijał się, kazał. Słuchali go i nosili na rękach i wszędzie było go pełno. Myślałem nieraz, że on obywa się bez snu i bez jadła. W wypłowiałym szynelu, w wytartej czapce, w stukającem obuwiu, biegał od

rana do nocy... — Paweł urwał, może wpatrzony w ten obraz daleki. Po chwili uśmiechnął się i dodał:

— Kochały się w nim wszystkie pensye, nazywano go Adonisem czy Antinousem... Miał powodzienie...

— A on?—cicho spytała pani Anna—czy on... korzystał z tego powodzenia?

— Był zaręczony—odparł Paweł i, niewiadomo dlaczego, utknął. Chwilę było milczenie.

— Może pan kruszonu—przerwała ciszę pani Anna, z wysiłkiem dźwigając ciężki, kryształowy dzban.

Potem znowu prowadzili rozmowę, która rwała się, zmieniając wciąż tematy, wnet w jakiemś krótkiem zdaniu wyczerpane. Paweł spostrzegł, że pani Anna była roztargnioną czy smutną, że miała zgaszone oczy i jakąś cierpką rysę koło wąskich ust. Usiłowała wszakże zapanować nad sobą i udawała ożywienie.

— I ona — myślał Paweł, który od niejakiegoś czasu zaczął zastanawiać się nad odwrotną stroną, nad tajemnicą istnień ludzkich—i ona także! Rozwiązała zadanie życia tak świetnie, i zbrakło jej czegoś...

Za to Opolski rozruszał się na dobre. Zapytywał i kazał sobie powtarzać słowa Pawła, żartował, gładził żonę po ramieniu, gromił zbytki, wyrzekał na modnych agronomów i upały, na medycynę i doktorów.

— Płacę im pięć razy drożej niż wszyscy, a każdy patrzy na zegarek i śpieszy, byłem u wszystkich, żaden nie pomógł... — opowiadał z żalem.

Panią Annę ten jego dobry humor nużył widocznie. Kręciła się niespokojnie na krześle, przeglądała fotografie, wreszcie wstała.

— Może pochodzimy trochę — zaproponowała Pawłowi po francusku—pokażę panu dom.

— Właśnie chciałem panią prosić...

— A ja?—kapryśnie zapytał Opolski.

— Zaraz wrócimy...

Pocałowała go w głowę, on zaś objął ją jakimś gwałtownym, a zarazem bezsilnym ruchem, i przycisnął do piersi.

— On kocha się w tobie — mówił wytykając Pawła palcem i mrugając jednem okiem—jak wszyscy. Ja wiem, że on zakochany...—śmiał się...

Pani Anna wymknęła mu się.

— Mój mąż bredzi czasami—szepnęła we drzwiach, jak gdyby chcąc przeprosić Pawła.

— Mówił mi już to samo przedtem i cieszy się. Pani obudziła w mężu zachwyt i uwielbienie bezgraniczne.

— Widzi pan—przerywając szybko zaczęła pani Anna — oto jest wypożyczalnia i biblioteka. Nie uznaję książek nieruchomych i kapitałów nieruchomych. I jedne i drugie winny iść między ludzi. Są tutaj cenne, rzadkie dzieła tak zwane białe kruki, ale pożyczam, kto tylko się zgłosi. W tym pokoju książki mądre, w tamtym — łatwe, tanie, cienkie — w tym więcej kurzu, bo mniej abonentów.

— Pani musi być ogromnie szczęśliwą przez to poczucie użyteczności, przez tę siejbę dobra... pani osiągnęła wszystko, zdobyła wszystkie cele... — z zajęciem, trochę przebiegle mówił Paweł.

— Przedewszystkiem, panie, to nie ja, ale pan Stefan — zmrużyła oczy—tak, panie, to wszystko pan Stefan — powtórzyła z naciskiem... jabym nie umiała... — kreśliła coś paznogciem na zakurzonym, dębowym stole — zresztą, gdyby nawet... za każdym wlecze się jakiś cień...

— Hilary Kamieniecki dowodził, że pani nie odrzuca cieniu...

— Tem gorzej. Zna pan powiastkę o człowieku, który szukał swego cieniu—odparła bez wesołości.

— Co pani rysowała na stole?

— Nie wiem...—pochyliła się nad stołem—Napisałam: „cień.“

— Zdaje mi się, iż każdy szuka cieniu...—zauważył Paweł.

— A widzi pan...

Była roztargnioną i nie prosiła nawet o wyjaśnienie tej mglistej myśli. Nastało milczenie. Pani Anna znowu coś pisała.

Duży, ustawiony, dębowemi szafami, pełny zakurzonych ksiąg, pokój przypominał Pawłowi biblioteki uniwersytetów i muzeów, w których spędził tyle lat. Był tu ten sam, odrębny, jedyny na świecie zapach, było to samo powietrze, trochę chłodne i zatęchłe, to samo oświetlenie. Czy dochodzą tu kiedy niekiedy promienie słońca?... Paweł odsunął wspomnienia, które szły same.

— Czy samodzielność daje szczęście kobiecie? — zapytał — zwykle bywa tak, że kobieta żyje cudzem szczęściem, szczęściem męża, dzieci...

Uśmiechnęła się..

— Więc kobiety, zdaniem pana, są jak planety?..

— Ale cywilizacya zbliża te dwa odrębne typy, upodobniając kobiety mężczyznom i odwrotnie. Kobiety mężnieją, mężczyzni niewieścieją...

— Niestety.

— Czy i w jednym i drugim wypadku — niestety?

— Tak w obu.

— Zdawało mi się, że pani...

Nie słuchała go. Wodziła ręką po książce, ogarnięta zamyśleniem, dawała odpowiedzi bezbarwne i wymijające. Paweł zaś, rad, iż po tylu tygodniach samotności może mówić, że obcuje z tą piękną i mądrą i sławną kobietą, stawiał pytanie po pytaniu i chciałby zapuścić w jej duszę ciekawe a chytre spojrzenie.

Nie jemu jednemu, jest źle i ciężko... oto ona, zdawałoby się na szczycie szczęścia — i kryje jakieś smutki, i ma blade gorzkie uśmiechy, zmarszczki cierpienia na czole... Nie on jeden... Może odczuwa pustkę w życiu, ponieważ jest bezdzietna... może... a jaka piękna!—myślał, przyglądając się jej w jakiejś chwili milczenia,— z temi włosami, w tej sukni obcisłej... posąg... tylko nieuprzejma...

— Panu jest dobrze w tej atmosferze książek — odezwała się naraz pani Anna — nieprawdaż? panu przypominają się lata minione... urok wspomnień... Może siądziemy u okna i pan — opowie mi coś...

— Wiem trochę o panu — zawahała się — od pana Stefana... Pan przechodził niepospolite koleje... Niech pan opowiada! Będę słuchała... życie ludzkie to najciekawsza z książek... mówiła z czarownym uśmiechem, pochylając się do gościa i zaglądając mu w oczy, przeistoczona nagle z zimnej i znudzonej gospodyni domu w przyjaciółkę serdeczną i zaufaną.

Znużona natarczywym egzaminem Pawła, chciała, żeby on się rozgadał, żeby prawił o czemś długo i jednym ciągiem, pozwalając jej milczeć, nie zabawiać i odbiegać myślą tam, kędy od niejakiegoś czasu szły wszystkie jej myśli, żeby wydobył dla niej ze swojej przeszłości jedno imię i jedną postać i opowiadał i wtajemniczał ją... Tego pragnęła najbardziej...

— Życie ludzkie to najciekawsza z książek... Tylko że nie my sami ją piszemy a ktoś inny... Kto panie? Pan Bóg? Kto, panie pisze tę książkę naszą za nas? — pytała — traf czy opatrzność? tę dziwną książkę, która kończy się zawsze tak samo — śmiercią, w której tyle jest złudzeń na początku, a taki smutny uśmiech pobłażliwości przed kresem... I nikt nie korzysta z cudzych doświadczeń...

Paweł wyprostował się, sztywniał, milczał. Pani Anna dotykała miejsc obolałych, które on sam rozszarpał w ostatnich tygodniach, otwierała drzwi potajemne, za któremi w posępnych zasiekach piętrzyły się stosy gorzkiego ziarna, pchała go w ciemny kurytarz, z którego rad był wydostać się choć na krótko. Chrząkał.

— Pan posmutniał—mówiła znowu—pan nie lubi tego tematu, przepraszam... chciałam pójść z panem w aleje przeszłości, po-

znać pana... możebym znalazła jakie rady i środki, możebym uzdrowiła jakiem drogocennem zielem... Niech się pan nie smuci... Pan taki młody! Pan odwrócił zaledwie kilka kart... Jeszcze dobre czekają pana, jeszcze najlepsze karty... — uśmiechała się wciąż swoim prześlicznym uśmiechem do gościa, przesycała słowa swoje miodem serdeczności.

Łzy zakręciły się w oczach Pawła. Skorupa skrytości roztajała na sercu jego, ogarniała go słodka radość... Ma do kogo mówić, znalazł istotę bliską i dobrą...

— Pani chce wiedzieć, jaką jest treść tej mojej książki! Dobrze... opowiem pani... powiem szczerze...

I począł opowiadać dzieje życia swego, dzieciństwo i młodość, tak jak myślał o nich w samotnych pokojach Naborowskich, ze zwątpieniem i goryczą; wynurzał tęsknoty swoje, wyrywał z serca smutek długich lat, wyliczał krzywdy, nagromadzone przez zimne lata tułactwa, wszystek żal... słowa jędrne i dosadne, których brakło mu zwykle, znachodziły się same...

Pani Anna przełożyła nogę, splotła białe ręce z pierścionkami na kolanie, pochyliła ku Pawłowi swoje cudne przedzielone przez środek włosy. Pierwiej roztargniona, w miarę jak mówił, stawała się coraz uważniejszą. Od czasu do czasu tylko poglądała ku białemu popiersiu jakiegoś greczyna, które stało na jednej z szaf.

— Oto wszystko—kończył Paweł—przyjechałem tu z zamiarami, z planem, z programem... postanowiłem wytężyć usiłowania na pożytek społeczeństwa, ratować wieś od upadku, powstrzymać rozwój proletaryatu rolnego... Ale to są rzeczy zewnętrzne, treść wewnętrzna, zawartość duszy pozostały bez zmiany... to samo...

Zapanowało milczenie. Pani Anna dumała nad czemś.

— Był pan bardzo biedny — rzekła potem i znowu popadła w zamyślenie. Patrzała w ziemię, marszcząc czoło.

— Chłód i pustka—cicho powiedział Paweł—dzieciństwo rozumne, jak paragraf gramatyki, młodość—niby ptak bez piór...

— Zato praca, panie, szlachetne dążenia—bezbarwnie pocieszała pani Anna.

— Praca...

Nastała cisza. Ucisk nie do zniesienia kładł się na sercu Pawła. Żałował spowiedzi...

Splatał i rozplatał swoje suche, gorące ręce, rad byłby uciec stąd, od zapachu biblioteki, od sztywnych chłodnych szaf, od nudy nieskończonych szeregów grubych, starożytnych tomów... Czy dochodzi tu kiedy niekiedy promień słońca...

Żałował spowiedzi. Piękna i rozumna słuchaczka nie przeniknęła słów jego do głębi, nie odczuła, nie chciała odczuć... Z tamtą cichą, nieśmiałą, bladą Hanką Skibowską było mu lepiej, lżej, serdeczniej... Byłaby mu siostrą... Wciąż trwało milczenie.

— Rozumiem pana — zaczęła wreszcie pani Anna - rozumiem życie pana i typ pana jej mądre, szare oczy spoczęły na Pawle — Pan ma ogromną wolę i wielką moc myśli. Pan nie może stać na miejscu. Pan dąży, pan musi koniecznie dążyć... ambicya... I prowadzić siebie pan nie da, prawda?

— Nie wiem, pani.

— Tak. Jest pan także naturą bardzo jednolitą - badała pani Anna, a chłód wiał od niej na Pawła. I ideolog z pana. Pan szuka celu, a utworzywszy go sobie pracą myśli, pan idzie... pan ustawicznie pracuje wewnętrznie, kształtuje się, rośnie—przemiany... — urwała pogrążając się w zadumę.

Teraz Paweł patrzał ku białej, z gipsu, powleczonej pyłem, zwłaszcza w zmarszczkach, pod powiekami i na brodzie głowie greczyna o martwem spojrzeniu. Nie takich słów, rozumnych, przenikliwych, jak te, które słyszał, było mu potrzeba, nie takich...

— A nie świecił też panu płomień, żaden płomień uczucia? — trochę niepewnym głosem spytała pani Anna.

Paweł nie odpowiedział.

— Jeśli nie, to niedobrze — dodała po chwili — rozumiem serce pana. Gdyby dziecka nie nauczono mówić w pierwszych latach życia, miałoby wielkie trudności w późniejszych... Ale pan się wyuczy. Jeszcze czas! Tylko trzeba, żeby pan się starał, żeby pan szukał nauczyciela, dobrego nauczyciela! - uśmiechnęła się.

Paweł ciągle milczał.

— I to nie jest takie trudne — mówiła jeszcze — to musi przyjść... czyjeś oczy uśmiechną się do pana... niech pan szuka! Trochę dobrej woli, trochę radości życia, trochę zapomnienia o sobie. Niech pan mi wierzy, że dobrej woli potrzeba przedewszystkiem. W tych rzeczach nie można być ideologiem i szukać podług obmyślonego wzoru. Pobłażliwość, panie... czyjeś oczy uśmiechną się do pana - i niech pan bierze... Wówczas zaświecą oczy życia pana—wskazała palcem popiersie - pan patrzał i ja patrzałam w tę głowę... głowa bez oczu a raczej o martwem wejrzeniu... te oczy zapalą się blaskiem... pan mnie rozumie?

— Niektórzy bez trudu i bez szukania, bez pobłażliwości— głuchym głosem wtrącił Paweł — znajdują, posiadają, cieszą się...

— Tak. Ale to ci, którzy nauczyli się mówić w dzieciństwie, a my z panem, a pan — poprawiła się szybko — pozbawiony tej

łaski... I trzeba się śpieszyć, panie, bo przyjdzie chwila pustki, chwila znużenia i wyczerpania, gdy żadne wawrzyny, żadne zaszczyty i zdobycze nie ukoją... Takie chwile przychodzą...

Urwała, twarz jej zaszła niespodzianie cieniem, zwiesiła głowę. Patrzała w podłogę ze zmarszczką na czole. Ręce z pierścionkiem, splecione na kolanie, rozplotły się i opadły. Zdawało się, iż zapomniała o obecności gościa. Jakiś ukryty, tajony czujnie przed obcymi smutek, brał ją w swój wir...

Potem drgnęła i, opanowaszy siebie, zaczęła już zgoła innym tonem, lekko, żartobliwie, po światowemu.

— Ożenię pana, obiecuję panu, a gdy kobieta weźmie się do czego! pan przekona się... przyjedzie pan do nas na moje imieniny... ja urządzę... upatrzyłam już kogoś... chce pan? — nalegała ożywiona i rozbawiona tą myślą—nie „baklowałam“ jeszcze nigdy małżeństw. Ale z panem sprobuję...

Paweł prostował się coraz sztywniej na swojem krześle.

— Pani jest bardzo dobra—odparł zimno i sucho.

— Dobra? Chciałabym tylko dopomódz panu—nic wiecej. Zawarliśmy z panem dziś przymierze, prawda? To będzie pierwszy mój czyn przyjaźni - i wyciągnęła do Pawła rękę.

Paweł ukłonił się.

— Rozumiem pana, odczuwam pana wybornie, domyślam się i zgaduję to, czego pan nie dopowiedział... bo może... może...— dodała naraz poważnie—jesteśmy do siebie podobni... może...

— Ale idźmy już na herbatę — przerwała sobie samej z pośpiechem - idźmy na herbatę...—uśmiechała się znowu swoim zwykłym a prześlicznym światowym uśmiechem. I szeleszcząc jedwabiem poszła ku drzwiom. Paweł ruszył za nią, pełen goryczy, zawodu i wstydu... poco otwierał serce tej zimnej, światowej kobiecie, poco wprowadzał ją w ciemne, zawiłe przybytki swojej duszy?.. Chylił się ku niej jak umęczony brat do siostry... Chłód wiał od niej... pocieszała go projektem ożenienia i będzie knuła intrygę „baklowania,“ do której, jak wszystkie kobiety, ma zapewne zamiłowanie... Upatrzyła już kogoś!...

Naraz pani Anna zatrzymała się, odwróciła się do Pawła i rzekła:

— Widzi pan ten pachnący biały kwiat na wysokiej łodydze? Kwitnie w pięknym salonie w kosztownym, najkosztowniejszym wazonie. Musi być szczęśliwy w tem otoczeniu i przez to, że rozlewa wokoło swoją rozkoszną woń! Jak panu się zdaje? Ten kwiat jest szczęśliwy?..—i uważnie patrzała Pawłowi w oczy.

Paweł machinalnie powąchał kwiat. Poszli dalej.

Przy herbacie pani Anna znowu prowadziła lekką salonową rozmowę. Raz po raz tylko przerywała, zapadała w zamyślenie, marszczyła swoje śliczne, niskie, białe czoło.

Paweł mylił się. Słowa jego wraziły się głęboko, wyryły się głęboko w pamięci pani Anny, tknęły ją przerażeniem. I oto bała się, że ona może... może jest nieco do niego podobna.

XX.

Pani Anna bała się tego podobieństwa — i nawet po odjeździe Pawła — na werandzie przy boku męża, który bełkotał nudne i dawne historye o Naborowskich, wciąż dumała jeszcze nad charakterem Pawłowym, nad jego opowieścią, nad losem, który czekał takiego, jak on człowieka. Nie domyślała się w Kamieńczycach, na majówce, gdzie Paweł uczynił na niej wrażenie nudnego pedanta, nieśmiałego samotnika, brzydkiego starego kawalera i ciasnej, upartej głowy, że zadzierżgnie się między nim a nią, świetną, piękną, uwielbianą, szczęśliwą (nadzwyczaj szczęśliwą!) panią Anną Opolską, węzeł tajemnego pokrewieństwa... Wyzwała go sama na spowiedź, ale on obdarzył ją zaraz na pierwszej wizycie szczególną sympatyą... Czyżby poczuwał się do braterstwa z nią? Byłoby to co najmniej dziwnem... Wielu ludzi zwierzało jej tajemnice serca (miała dar wywoływania wyznań) — słuchała wszystkich z zajęciem, z chytrą ciekawością, pobłażliwie, z miłem przeświadczeniem o wyższości i nieskazitelności własnej — dziś lekarz, badając chorego, dostrzegł w sobie zarazków tej samej niemocy. Przeraziła się. Lubiła przebywać z sobą i wpatrywać się w siebie, miała w charakterze dużo spokojnej i jasnej rozwagi, ale w obcowaniu z sobą samą nie dochodziła nigdy do zbyt wielkiej poufałości, nie szperała głęboko, ani docierała zbyt daleko. Umiała zastanawiać się i rozbierać, zachowywała jednak w analizie, jak we wszystkim zresztą, potrzebną, zbawienną, zdrową i roztropną równowagę. Dziś Paweł wziął ją za rękę i poprowadził przez próg. Usiłowała cofnąć się...

„Nie kochałaś nic i nikogo prócz siebie, nie miałaś żadnych celów prócz celów ambicyi i próżności, rosłaś jak sztuczna, spaczona roślina cieplarniana dla ozdoby wazonu, której nigdy wiatr nie kołysał, która nigdy nie więdła w słońcu upalnym...“ Był to głos, zbudzony zwierzeniem Pawła, głos własnych, najbardziej

ukrytych, najmniej znanych, najbardziej nieobłudnych myśli... Tłumiła je.

— Warunki życia podobne tu i tam, u Pawła i u niej, i stąd pozór pokrewieństwa, a przecież tylko warunki życia—powtarzała sobie, wpatrując się w słońce, czerwone, okrągłe, brzydkie, które staczało się szybko za wzgórza. — Miała samotną i może nieco chłodną młodość... zato teraz nie może się uskarżać na brak przyjaciół, na chłód ludzi... sami przyjaciele naokoło, same pochwały, uznanie... a uznanie ogółu jest poniekąd miarą wartości i zasług... Tak. Tylko, że w oczach człowieka, o którego dbała, jęła spostrzegać zimne światło szyderstwa, tylko że jeden z przyjaciół odwrócił się od niej...

„Ból z powodu utraty jednego starego przyjaciela jest stokroć większy aniżeli radość, płynąca z pozyskania dziesięciu nowych.“ — Przypomniało się jej stare, pospolite wyczytane gdzieś zdanie... — Tak...

Zapuściła spojrzenie w obszarach parku i wędrowała oczami od drzewa do drzewa, od alei do alei, po klombach, gazonach, białych posągach. Na pierwszej terasie, zlanej bursztynowym rozblaskiem, krzyżowały się cienie, jak ostre dzidy, jak grube maczugi, jak cienkie lance i włócznie; wysoka postać Dyoniziosa wystawiała głowę pod krwawy pocałunek ostatnich promieni; niektóre wierzchołki drzew płonęły; na najniższej terasie daleka woda, ciemna, bezdennie głęboka w otoczeniu jasnych pozłoconych brzegów była niby olbrzymi, czarny, posępny grób, już przygotowany, już otwarty...

Ten park kunsztowny, kosztowny, zawiły należał najniepodzielniej do dzieł pani Anny. Założyła go i wypracowała na przekór woli męża, pomimo opozycyi Stefana, który żałował ogromnych wydatków i dowodził, że sztuczne wdzięki nie dorównają nigdy naturalnym, pierwszego lepszego zakątka przyrody. Spierali się o to nieraz tu, na tej samej werandzie.

— Sztuczne parki—mówił raz a bywał brutalnie szczerym—są zimnem dziełem rozumu, modą wieku osiemnastego, kłamnego, obłudnego, suchego, dowodzą braku rzetelnej miłości natury, stanowią ulubiony szczegół toaletowy strojnych dam... eleganckie panie ubierają się w park, tak jak ubierają się w koronki, używają parku za tło do własnej osoby, strzygą drzewa tak, jak fryzują włosy, układają klomby tak, jak przypinają kokardy do staników... to zawsze tylko zajęcie własną osobą, to brak ideałów, brak polotu...“ Bywał brutalnie szczerym, był wrogiem estetyki drobiazgowej... Spierali się nieraz tu, na tej samej werandzie. Tu na tej

samej werandzie, zaszła w nim przed kilku tygodniami ta dziwna zmiana... w jednej chwili i bez jakiejkolwiek widocznej przyczyny prysło między niemi coś (co? przyjaźń, zażyłość, serdeczny stosunek, uznanie jego?) z czego nie zdawała sobie sprawy, dopókąd było, czego brak odczuwa dziś, gdy rozwiało się. Od tamtego dnia spostrzegła pustkę dokoła siebie, nudę za sobą, przed sobą i w sobie — i mimo wysiłków rozumu i woli poddała się, szydząc z siebie, dziwiąc się i nie pojmując siebie samej, temu niespodzianemu nastrojowi... Bo to był tylko niezwykły, niezrozumiały nastrój... Mijały dnie, ołowiane, jak gdyby jesienne i dżdżyste, jak gdyby chore — i nie umiała znaleść lekarstwa. Spełniała te same czynności: dobrej pani i dobrej żony, zasłużonej obywatelki — ziemianki i t. p., rozdawała te same uśmiechy, wkładała te same suknie, była wciąż piękną, rozumną, pełną cnót, świetną — ale jak gdyby naraz zabrakło jej celu, do którego dążyła, dla którego ubierała się, czesała się, uśmiechała się, czytała, pisała, zwiedzała chaty, ochronki, szpitale... Nie mogła tego objąć... Im bardziej oddalał się ten skromny przecież i nic nieznaczący człowiek, tem więcej zapełniał wszystkie jej myśli, tem wyżej rósł, tem ważniejszym stawał się w jej oczach. I to było dziwne!

Przedtem lubiła go, lubiła jego zapał, jego piękną twarz, jego gorącą wymowę, ale zapominała o jego istnieniu na całe tygodnie, odjeżdżała z domu z lekkiem sercem, traktowała go czasami może trochę z góry, gdy mówił jej swoim zwyczajem prawdę prosto z mostu, miała własne zdania i poglądy (przecież stworzyła park), i nie imponował jej rozumem, sławą uczonego i pisarza, wyższością charakteru, słowa jego szły często mimo jej uszu... Teraz...

Pracowali jeszcze jak dawniej, jeździli, naradzali się, wydawało się jej tylko, iż każde jego zimne spojrzenie szydziło z niej, nazywało ją pogardliwem imieniem, bez ceremonji coś wytykało. Był pełny należnych względów i szacunku, grzeczny i uprzejmy, po nad wszelki wyraz correct, ale zarazem sztywny i chłodny. Ani razu i ani na chwilę nie wyszedł po za granicę zajęcia, obowiązku, urzędowych sprawozdań, jak gdyby na przekór i na złość, gdy teraz ona chciwie zaczepiała go z każdej strony, natarczywie wypatrywała duszy jego, łapała siebie na gorącym uczynku (na gorącej śmieszności!) obcowania z nim nieobecnym przez długie godziny, dumała nad typem jego, nad przeszłością, z szacunkiem rozważała każde jego słowo, ze czcią odczytała wszystkie jego dzieła, które jej niegdyś ofiarował, korzystała z każdego nieraz zmyślonego powodu, ażeby przywołać go do pałacu, zapy-

tać o jakiś folwark, nie słuchać odpowiedzi, dokładnej, zwięzłej, uprzejmej, i obrzucać go niecierpliwem, naglącem o coś spojrzeniem...

Radość pozyskania dziesięciu nowych przyjaciół nie dorównywa bólowi nad utratą jednego starego... To był stary, wierny, oddany przyjaciel... Nie umiała go cenić, gdy czuła iż kornie klęczy u jej stóp... Teraz zapóźno!... Chwilami zdawało się jej — w nocnych godzinach — iż za ścianą pałacu szeleszczą kroki nieznanego przybysza — cierpienia. Odpędzała go bronią najskuteczniejszą — drwiącym śmiechem. On skradał się... I teraz tamta, daleka, ciemna, posępna woda na ostatniej terasie parku, patrzała ku niej niby grób niedoli, niby czarna głęboka czara smutku... wzdrygnęła się... Opolski gadał ciągle o Alfredzie Naborowskim jakobinie i Marcelim Naborowskim, który strzelił sobie w łeb a miał tę samą chorobę, co i on Opolski, i wyleczył się podobno na kilka miesięcy przed zgonem w Genewie, i śliską, zimną dłonią gładził żonę po ręce. Pani Anna zbudziła się z zadumy, zadzwoniła na służbę i kazała poprosić pana rządcę; potem, jakby nie słysząc pieszczotliwych nalegań męża, żeby nie odchodziła na długo, wstała i wyszła. W jednym z salonów rzuciła okiem na biały, pachnący kwiat na wysokiej łodydze, przed którym zatrzymała Pawła.

„Sztuczna, spaczona roślina wypielęgnowana ku ozdobie wazonu... ani razu słońce upalne, ani razu wiatr, wielki, huczny, szumiący wiatr...“ — pomyślała.

— Ale Pawłowi nie należało tego mówić. Każde niebaczne słowo mści się — karciła siebie — niedobrze jest, gdy z przepełnionego kielicha przelewają się kiedy-niekiedy krople szczerości... niedobrze... co zaś napełnia kielich?

W gabinecie, na pół męskim, na pół kobiecym, wysłanym dywanem na cały obszar pokoju, z obrazami na ścianach, z ciężkiem i dużem biurkiem, na którem obok kalendarza terminowego, obok grubego tomu encyklopedyi i spodków z nasionami, wdzięczyły się prześliczne, codziennie świeże bukiety — pani Anna zasiadła do ksiąg rolniczych. Przyjazd Pawła przerwał im comiedzielne rachunki. Przyglądając się kwiatom, dziwacznym georginiom chryzantemowym, myślała znowu o nienawiści, z którą Stefan napadał na estetykę drobiazgów, na zamiłowanie niezwykłych kwiatów i roślin, na stylowe meble i sztukę zdobniczą, i nadczekiwała.

Nie przychodzi... Może wyjechał do jakiego folwarku, przypuszczając, że gość zostanie dłużej? Pracuje teraz ze zdwojoną gorliwością... Nie przyjdzie!... Długi, nudny wieczór... Idzie... Może usunąć bukiet?...

Ale nie zdążyła tego uczynić.

— Pani na mnie czekała?... przepraszam... siadałem już na konia...

— I pan się przebierał! A tyle razy prosiłam pana przychodzić do mnie bez ceremonii—wymawiała mu z naciskiem. Lubiła go w długich butach. W tem ubraniu odświętnem i niekoniecznie modnem, wyglądał banalnie.

— W obec dam... w butach... — tłómaczył się.

— Nie jestem damą, lecz kolegą pana, kolegą-rolnikiem...

Uśmiechnęła się, ale jego twarz została bez zmiany, więc dokończyła sztywniej:

— Niech pan siada. Mamy jeszcze dużo do roboty.

Na otwartych księgach leżał ołówek w tem właśnie miejscu, gdzie zatrzymali się, gdy nadjeżdżał Paweł — ociągała się jednak. Ciągle patrzała mu w twarz. Stefan przesypywał nasiona jakiegoś zboża na spodku.

— Nie miał pan listu od brata?—zapytała, żeby coś powiedzieć.

Ożywił się nieco, gdy odpowiadał;

— Otrzymałem dziś, przed chwilą.

— I cóż?

— Pisze, że kuje, że już jest gotów do egzaminów...

— Byleby nie mordował się zanadto — zauważyła serdecznie— takie upały! w mieście... Niech pan poradzi, żeby pił dużo mleka... Możeby przyjechał do Pepłowa...

— Dziękuję pani... wspomina, że wychudł jak chart, ale ma dobre mieszkanie, w ogrodzie, nad rzeką...

Była chwila ciszy. Badała go przenikającem, odrobinę gniewnem spojrzeniem, gniewna o jego lakonizm.

— Pan ogromnie kocha brata. Pan rozpromienił się, gdy zapytałam.

Znowu odparł krótko:

— Dwu nas jest na świecie. Nie mam nikogo bliskiego. Starczy mi za rodzinę, za cel...

I wyjął z kieszeni jakieś papiery, zapewne dla zaznaczenia, że pora już zabrać się do roboty.

— Starczy panu za cel — powtórzyła — chyba w braku innych, panie... Dlaczego pan wyrzeka się, skazuje siebie...—urwała, Stefan przeglądał swoje notatki i nie rzekł nic. Pani Anna zamilkła także. Jedno pytanie tkwiło jej na wargach. Drżącemi palcami kreśliła ołówkiem kółka na rachunkach.

— Paweł Naborowski — zaczęła — opowiadał mi o panu, o sukcesach pana, o zaręczynach — ołówek złamał się.

Stefan poruszył się na krześle.

— Niech pani pozwoli, zatemperuję.

— Pan zagaduje!

— Nie boję się żadnego tematu...

— Rolniczego?

— Nawet tamtego, zaręczynowego — wesołość skruszyła twardość jego głosu.

Zrozumiała, iż to nie było prawdą. Podniosła na niego oczy. Spojrzenia ich zetknęły się.

Stefan ujął teraz ołówek, ustawił go na biurku i, nachyliwszy swoją kędzierzawą czuprynę, wprawnie wodził ostrzem scyzoryka.

Jej wzrok powoli szedł po nim, zatrzymywał się na dużej opalonej ręce w oprawie białego mankieta, zawisł na wargach, dziwacznie ściśniętych od wysiłku przy temperowaniu, muskał miękkie, jedwabne, kędzierzawe włosy, ślizgał się po czole z rysunkiem wypukłych żył... Nigdy go jeszcze tak nie rozglądała...

Pan jest zawzięty? — odezwała się.

— Nie wiem, pani.

— Mam dowody, przekonałam się, mam dowody powtórzyła cicho.

Milczał. Tylko oczy jego, korzystając z jej zadumy, biegły ku niej niepohamowane, głaskały ją lękliwą pieszczotą, tuliły się, korzyły się... Jak mur, płukany przez fale, kruszało żelazne, uparte postanowienie.

W pokoju czyniło się już trochę ciemno.

— Niech mi pan powie - zaczęła wytężając rozumne spojrzenie - gdyby dziecka nie nauczono mówić w dzieciństwie... ale nie o to chciałam zapytać—przez chwilę szukała słów, któreby dokładnie wyłoniły jej myśl.

— Nieraz trudno jest znaleźć określenie — mówiła dalej — brakuje wyrazu... czy jest jakieś prawo życia, jednakie dla wszystkich, które, będąc przekroczonem, mści się... Nie można żyć, panie, jednostronnie, dla samej tylko idei... Ambicya świeci, ale nie grzeje, ambicya rzuca blaski na drogę — wnętrze zostaje ciemnem...

— Tak, pani — potwierdził, myśląc o czem innem.

— Pan Naborowski opowiadał mi dzisiaj zupełnie szczerze dzieje swego życia... Pan zna to życie, zimne, ambitne, pracowite... To człowiek nieszczęśliwy obecnie i zastanawiałam się... — przerwała na chwilę, potem mówiła cicho.

...I zastanawiałam się, że największy smutek w życiu, to brak przyjaznych serc i że największą krzywdą z tych, które

człowiek może zadać człowiekowi, jest cofnięcie komuś przyjaźni bez dostatecznych powodów — drżał jej głos — Myślałam o tem przed godziną na werandzie, patrzałam w wodę, która była czarna i posępna... Takiem bywa życie bez serdeczności ludzkiej... ciemna i głęboka czara smutku, z której trzeba pić...

Pani Anna Opolska nie przemawiała tak nigdy.

— Ale nie pani, nie dola pani — wstawił miękko.

Żałował jej i słabł z każdą chwilą i czuł, że ulegnie. Trzymał siebie na mocnej wodzy, ale chciało mu się powiedzieć jej coś serdecznego, pocieszyć ją dobrem słowem.

— Każdy ma chwilę — rzekł — w której zażąda szczęścia, w której przechodzi obok swego szczęścia, w której patrzy oko w oko w swoje szczęście. Wyciąga rękę... Nieraz idzie dalej z próżnemi rękami i wówczas może stać się użytecznym działaczem, szlachetnym myślicielem, lecz wszystko, cokolwiek uczyni, będzie miało jeden cel: oto zasłonięcie próżni...

— A jeżeli nawet nie wyciągnie ręki po swoje szczęście?

— Często niewolno i chcieć szczęścia...

Zapadło milczenie. Mrok wieczoru letniego cichą falą zapływał świat. W ciemności bielały ich zadumane, odwrócone od siebie twarze.

— I człowiekowi wydaje się — odezwał się jeszcze — że będzie zawsze takim, jakim jest w danej chwili, w chwili, gdy wykreśla sobie przyszłość, a to jest duży błąd. Nie można robić zapasu sukien na całe życie... to samo z duszą... człowiek rośnie, może maleje, odbywają się przemiany...

— Przemiany... — powtórzył.

— Pamięta pan nasze spory?

— Jaśnie pan prosi jaśnie panią — niespodzianie zabrzmiał głos lokaja.

Drgnęli oboje zmieszani.

— Proszę powiedzieć, ze zaraz przyjdę.

— Mój Boże! jeszcze tyle pracy! — szybko zwróciła się do Stefana — więc pan znajduje, że aż 20 sztuk trzeba wybrakować we Florentynowskiej oborze. Dlaczego?

Podał jej jedną z notatek i począł zwięźle tłomaczyć sprawy rolnicze.

— Dziękuję panu. Na dzisiaj dość... już późno i ciemno... — Wstali oboje.

— A pan się myli — dodała prędko, wyciągając do niego rękę.

I wyszła, śpiesząc do męża.

— Znowu tak długo! — narzekał Opolski — i twarz masz w ogniu... Zamęczasz się...

— Za to tobie z każdym dniem lepiej... puls doskonały, chodzisz coraz pewniej... doskonały puls — trzymała rękę na tętnie— jak u dziecka, mocny, równy...

— Koteczek!... uszczypnął ją zimnemi, śliskiemi palcami za policzek koteczek!

— Może i bez kuracyi się obejdzie... Trzeba tylko, żebyś wysiadywał na słońcu. Mamy upalne lato....

Plotła prędko nerwowo, podniecona, trapiona nieokreślonem poczuciem winy.

— Czego Naborowski przyjeżdżał? — zapytał mąż.

— Z wizytą.

— Już ja wiem. Już mnie... Kocha się w tobie... Widać... Wszyscy... I Modrzec także... Wszyscy... A koteczek tylko mnie. Prawda?

— Prawda.

— Cóżeście rachowali tak długo — coraz senniej bełkotał Opolski—i poco te rachunki? Gdzie dochody? Niema dochodów!.. Gdzie dochody?...

I kiwał głową w takt do tych codziennych zrzędzeń. Wkrótce, prowadzony przez lokaja, udał się na spoczynek. Pani Anna nie poszła za nim dnia tego, jak było we zwyczaju, żeby wymierzyć mu lekarstwo, przykryć nogi pledem, poprawić poduszki, i przeżegnać na sen. Była pełna niepokoju, wrzawy wewnętrznej, bezładnych myśli, nieśmiałych oczekiwań...

Wydawało się jej, iż coś się spełniło, to znowu, że coś ma się spełnić, że jakieś szczęście woła na nią z głębin ogrodu, że ona coś przedsięweźmie. Smutek ciemny, jak nurt nocy w gąszczach drzew, chwytał ją na chwilę, szept przerażenia napełniał jej uszy, rozpacz czyhała na nią w jaskiniach czasu... To znowu ogrom radości wybuchał w sercu..

Spoglądała w ciemnie parku... Potem szybko zbiegła po białych kamiennych schodach werandy... Wieczorem chodziła zawsze jedną i tą samą aleją, niską, z młodych, strzyżonych, kulistych lip, która, okalając drugą terasę parku, dotykała folwarku. Z granatowych niebios odzywały się ku niej złocistem, nieśmiałem migotaniem nieliczne gwiazdy, z dołu, od klombów wzbijały się wonie kwiatów, odurzające w tę upalną noc; płynęły: serdeczny jak mocne braterskie uściśnienie zapach lewkonji, koronkowa perfuma wątłej tkliwej werbeny, pomieszana ze słodkiem tchnieniem cichych goździków, namiętne westchnienie jaśminów, zawrotny nektar nikociany,

białemi gwiazdami patrzącej w mrok—i zrzadka niby echo pieśni polnej i smętnej, tęskne szemranie, więdnącej skoszonej trawy. Na horyzoncie wyrastała powoli ciężka i groźna chmura.

Pani Anna z rękami splecionemi na głowie—było to jej nawyknienie niedawne—szła wolno, (niecierpliwił ją szelest jedwabnej sukni), słysząc jak niespokojnie tętni serce, jak dziwnie chrzęszczą na żwirze jej stopy. Chwilami zdawało się, jej, że ktoś idzie za nią—przyśpieszała kroku—brały ją radość i lęk...

Nikogo niema!.. Chodzi już długo, oddawna, oddawna... Nic się nie spełniło i nic się nie spełni... W ogrodzie jest cisza upalna, wonna. Kilka złotych gwiazd śród niebios... Chmura rośnie...

Nic niema. Cisza i mrok... Napróżno...

Wsparła umęczoną głowę o konar lipy... Z serca podnosił się płacz...

Kamień na polu, kamień śród pustego pola—powtarzała wyrazy, które niby akord muzyczny tłómaczyły daleką myśl—kamień na polu...

Ona — taka szczęśliwa i słynna i świetna, taka szczęśliwa... Z serca podnosił się płacz...

Osunęła się na suchą trawę. Zalały ją wonie kwiatów, niby głęboki nurt.

Zgubiła myśli, utraciła władzę myślenia—i marzenie, możne jak żądza, błogosławione, jak szczęście, okrutne, jak zbrodnia, otuliło ją w swój płaszcz gorejący.

Z klombu kwiatowego wybuchał chór woni.

Płynęła pieśń i brzmiał w niej jeden ton, jeden wyraz, ciągle ten sam, namiętny, natarczywy, odurzający. Niby słodki, nieskończony pocałunek pieści ją jaśmin...

Błyska...

Zerwała się i szybko ruszyła w stronę folwarku. Zastukała w okno jeszcze oświetlone.

— Kto tam? — zawołał Stefan.

— To ja...—odpowiedziała tak cicho, że musiał niedosłyszeć. Wyszedł na ganek.

— Kto tam?.. To pani... przepraszam... Nie poznałem... — i jął zapinać marynarkę na wszystkie guziki.

Chodziłam po ogrodzie—mówiła, chwytając oddech—chmura... żyto zmoknie, jeśli nie zwiezione... Chciałam zapytać...

Zbiegł ze stopni i stanął koło niej.

— Żyto w folwarkach sprzątnięte, tylko w samym Pepłowie jeszcze na polu—tłómaczył urzędowym tonem—ale to nic! Jeden deszcz nie zaszkodzi. Na słotę się nie zanosi. Z pani troskliwa gospodyni!..—ironia zabrzmiała w głosie jego.

Należało już odejść.

— Boję się!—szepnęła pomimowoli.

— Pani boi się burzy? Może panią odprowadzić?

— Dobrze... Nie, dziękuję... pójdę sama...

Ale nie odeszła znowu.

— Taka dziwna noc! Kwiaty pachną... głowa boli...

— Może pani spocznie. Na ganku jest ławka...

Z trudem weszła na schody i usiadła. On stał, oparty o słup, sztywny i zamknięty.

— Pan pracował?

— Tak. Pisałem artykuł do pisma rolniczego.

Było milczenie.

— Rolnictwo zapełnia panu życie...

— Jak każde zajęcie, które się lubi.

Pani Anna zaśmiała się dziwnie.

— Dobranoc panu... przepraszam, że przerwałam — rzekła po chwili—już pójdę.

— Może panią odprowadzić?

— Wolę sama.

Obojętnie skinąwszy głową, już pewnym krokiem zeszła na ścieżkę i zniknęła śród drzew.

— Dobrze, dobrze—szeptała—dobrze...

Szła prędko, knując zamiary, ciesząc się na rozkosz zemsty... Ale z serca podnosił się płacz...

Zagrzmiało...

Stefan zszedł z ganku. Chciało mu się uklęknąć i całować piasek, proch jej stóp.

Słyszał, jak stuknęły daleko drzwi na werandzie pałacu. Teraz była cisza, pustka i mrok...

Patrzał w ciemność i zdało się mu, iż spoglądają ku niemu z krzewów jakieś świecące, złośliwe, urągliwe ślepia... Sam szatan...

(d. c. n.). KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

NOWA TEORYA

zadań społecznych macierzyństwa.

Mania rodzicielstwa jest zupełnie nowym objawem w życiu współczesnem i posiada, o ile dziś już sądzić można, wszystkie zadatki przyszłej potęgi społecznej. Ojcem jej jest ewolucyonizm, a matką emancypacya kobiety.

Zaratustra, wielki prorok ewolucyonizmu, mówiąc o krainie przyszłości, której tam gdzieś, za morzami żagle naszej tęsknoty szukać mają, o krainie nadczłowieka, nie przypuszczał zapewne, że słowa te zabłysną płomiennemi zgłoskami ponad wiodącemi w „stulecie dziecka“ białemi wrotami, wzniesionemi rękoma słabej kobiety, dla której pieśni jego miały najczęściej słowa pogardy. Świat nadczłowieka był mu ziemią obiecaną, o której marząc, zapominał trawiącą tęsknotę za wielkiem i heroicznem życiem, ową pogardę arystokraty dla naszej teraźniejszości mieszczańskiej i tragiczną zagadkę własnego życia. Dlatego to wzrok jego tułaczy szukał z wytężeniem na wielkim oceanie życia nikomu dotychczas nieznanych wybrzeży, których obraz czarodziejski nawiedzał sny jego o człowieku przyszłości. Dlatego, będąc zdeklarowanym indywidualistą i wielbicielem bezwzględnych instynktów, był zarazem altruistą na korzyść nadczłowieka. Sny o nadczłowieczeństwie były mu zarówno z jego teoryami o „wiecznym powrocie wszechrzeczy,“ o „moralności panów i moralności niewolników“ niczem innem, tylko jednym środkiem więcej do spotęgowania indywidualnej odrębności nowoczesnego człowieka.

Przypomnijmy sobie słowa Zaratustry:

„Ty“ starsze jest od „Ja.“ Ty — jest uświęcone, lecz Ja — nie jeszcze; tak więc człowiek tłoczy się do bliźniego. Czy doradzam

wam miłość bliźniego? Doradzam wam raczej ucieczkę przed bliźnim i miłość najdalszego. Wyżej niż miłość bliźniego stoi miłość ku najdalszemu i przyszłemu.“

Czyż z powyższego nie wynika, że myślą przewodnią Nietzschego było podniesienie indywidualizmu do potęgi ideału przez miłość ku przyszłemu pokoleniu, ...ku — nadczłowiekowi?

Najwyższym ideałem ludzkim była niegdyś miłość dla przeszłości. Kult przodków i ponury autorytet odwiecznych obyczajów był znamienną cechą owych czasów, podczas których przeszłość nadawała teraźniejszości prawa obywatelstwa. Chrześcijaństwo wzamian za to postawiło miłość bliźniego na ołtarzu adoracyi. Nie potrzeba chyba specyalnie zaznaczać o ile ta nowa miłość przyczyniła się do rozszerzenia widnokręgów duchowych; nawet wrogowie altruizmu zgodzić się na to musieli, że jemu to zawdzięcza ludzkość ową zadziwiającą wielostronność, jaką się odznacza nowożytna indywidualność, której rozkwit już w utworach Danta i Petrarki podziwiać można. Ponad miłość bliźniego, którą Nietzsche nazwał „złą miłością własną,“ wzniesiono obecnie miłość ku przyszłym pokoleniom, ku nadczłowiekowi, a jednym z najnowszych objawów tej nowej miłości jest idea znakomitej szwedzkiej feministki, Ellen Key o „Stuleciu dziecka.“ W ten sposób dokonywa się na polu emancypacyi kobiecej, powstałej na gruncie altruizmu, powrót w myśl ideałów Nietzschego.

Słynne i wszechstronnie podziwiane dzieło Ellen Key „Stulecie dziecka“ ma wszelkie dane po temu, ażeby się stać podstawowem dziełem nowoczesnego systemu wychowawczego, a wpływ jego na rozwój przyszłych pokoleń będzie niezawodnie głęboki i pomyślny. Dlatego też należy je z radością powitać, jako przedświt nowej ery, obietnicę spotęgowania władzy ludzkiej, bogactwa duchowego, piękności i rozkoszy życia, gdyż usunięcie wad kardynalnych wychowania dotychczasowego — jest to mówiąc nawiasem głównym celem powyższego dzieła — wad, które przyczyniały się do tego, że dom rodzicielski i szkoła były częstokroć więzieniem duchowem, w którem siły i polot młodych pokoleń karłowaciały, jest bez wątpienia ważnym krokiem naprzód na drodze postępu. W „Stuleciu dziecka“ nadała Ellen Key nadziejom nowożytnym rzeczywiste kształty. Lecz o ile każdy człowiek nowożytny z podziwem i radością towarzyszył jej na tej drodze, o tyle idee wypowiedziane w jej ostatnim dziele „O miłości i małżeństwie“ w niejednym wywołać mogły pewne wątpliwości. Dzieło to przedstawia nam słynną autorkę z zupełnie innej strony, a jednostronność, jaką nacechowane jest jej rozumowanie, może stać się w swem

zastosowaniu do życia społecznego przyczyną nowych zboczeń.— Jednolitość życia duchowego jest świadectwem siły i harmonii, jednostronność jednakże zewnętrzną oznaką naruszonej wewnętrznej równowagi i harmonii. Rzecznikiem tej dysharmonii staje się Ellen Key w swem dziele „O miłości i małżeństwie," opierając teorye małżeństwa i miłość jedynie na podstawie miłości rodzicielskiej.

Geneza tych poglądów jest następująca. Doświadczenie nabyte na polu walki o prawa kobiety oraz doskonała znajomość stosunków współczesnych dają Ellen Key możność, widzieć poza trofeami tej walki także pewne usterki, które są jej bezpośrednim wynikiem, których jednakże większa część walczących kobiet dotychczas jeszcze nie widzi. Ellen Key uznaje uszlachetniający wpływ, jaki ruch kobiecy, oraz wyzwolenie kobiety wywarły na nowożytne społeczeństwo, ale zalety te nie są w stanie zrównoważyć w jej oczach usterek, które z tegoż źródła powstały. A usterki te są: brak zrozumienia przez kobietę nowożytną odrębności męskiej, oraz dążność do oswobodzenia się od obowiązku macierzyństwa.

Nowoczesna kobieta szuka tęsknym wzrokiem mężczyzny, któryby odpowiadał jej ideałom, z drugiej strony znów nowoczesny mężczyzna oddawna już wyrzekł się krótkiego szczęścia przy boku „niewinnej" gąski i marzy o kobiecie-człowieku, o towarzyszce życia, którąby nietylko potrafiła dzielić jego uczucia, myśli, nadzieje, sny, ale i zarazem samodzielnie umiała myśleć, działać i żądać. „Ale jeżeli taki mężczyzna, pisze Ellen Key, znajdzie swój ideał, „to najczęstszem następstwem zjednoczenia tych dwóch nowożyt- „nych istot na drodze życia jest, że dwa rozwinięte systemy „mózgowe wspólnie analizują miłość i dwa przepracowane, wy- „czerpane aparaty nerwowe prowadzą pomiędzy sobą bezskuteczną „walkę." Odmówić pewnej słuszności Ellen Key i pod tym względem niepodobna. Nowe pojęcia o miłości, spotęgowany indywidualizm jednostki, utrudniły bezwątpienia warunki szczęśliwej miłości pomiędzy nowoczesnym mężczyzną a nowoczesną kobietą, odsłaniając przepaście i sprzeczności, które dotychczas starano się w pożyciu małżeńskiem o ile możności ukrywać lub ignorować, jak np. podwójną moralność małżeńską, upoważniającą mężczyznę do czynów, które kobiecie są surowo zakazane. Nic dziwnego, że przez to i łatwość zawierania małżeństw pomiędzy nowożytnymi ludźmi oraz sposobność ich składania ofiar na ołtarzu przyszłych pokoleń, została ogromnie ograniczona. Ta okoliczność właśnie napełnia Ellen Key trwogą ewolucyonistki, która w swem pragnieniu wychowania nadczłowieka stoi przed zagadką sfinksa, czy

każde udoskonalenie nie jest zarazem wierzchołkiem i końcem, czy z wyżyn osiągniętych przez rozwój indywidualny można znaleźć drogę prowadzącą bezpośrednio ku nowym, jeszcze wyższym wierzchołkom. Genialność samodzielnej jednostki tak niezmiernie jest oddalona od powierzchni przeciętnej inteligencyi, że, patrząc na tę przestrzeń, mimowoli przychodzi chęć uznania paradoksalnej prawdy Nietzschego, że cały rozwój ludzkości jest jedynie rozwojem spowodowanym przez genialne jednostki, za aksyomat.

Ale powracając od wyjątków do reguły t. j. do przeciętnych jednostek społecznych, których rozwój, przy pomyślnych warunkach i przy szczęśliwym doborze, jest bezwątpienia gościńcem postępu ludzkości, widzimy, że postęp ten, zależny w zupełności od indywidualnego współudziału, posuwa się nader wolnem tempem naprzód. Ellen Key, robiąc na tem polu spostrzeżenia, przychodzi do wniosku, że feminizm był dotychczas strasznym wrogiem wzrostu ludności, a przez to i zdrowego rozwoju ludzkości. Świat kobiecy północno-amerykańskich Stanów Zjednoczonych, gdzie ruch kobiecy powstał najwcześniej i najwyższą fazę rozwoju osiągnął, budzi w niej bardzo poważne obawy co do dążności nowożytnej kobiety oswobodzenia się od obowiązku macierzyństwa. Specyalny rozdział w jej dziele traktuje wyczerpująco o tej kwestyi. Akceptując możność ewolucyi instynktów macierzyńskich, uważa ona przepowiednie myślicieli-pesymistów o dobrowolnem wymarciu rodu ludzkiego za rzecz możliwą i szuka środków, mogących zapobiedz temu zanikowi rodu człowieczego. Dzieło jej „O miłości i małżeństwie“ należy rozpatrywać jako wynik tego odwrotnego Maltuzyanizmu.

Głównym celem Ellen Key jest wzmożenie w kobiecie nowożytnej uczucia macierzyńskiego do potęgi kulturalnej, która w macierzyństwie społecznem (patrz odpowiednio zatytułowany rozdział we wspomnianem dziele) znaleźć ma swe najwyższe urzeczywistnienie. Jednostki zdrowe, starające się obniżyć normalną liczbę potomstwa, potrzebną dla stałego wzrostu i rozwoju ludności, postępują, jeżeli rozpatrywać prąd ten z punktu widzenia Ellen Key, niespołecznie, a zatem nieetycznie, dlatego nowe prawa małżeńskie winny, zdaniem jej, tym instynktom szkodliwym postawić bezwzględne veto.

Wolna miłość i swoboda rozwodów w najszerszem i najlepszem tego słowa znaczeniu, którym Ellen Key poświęca dwa specyalne rozdziały w swojem dziele, są fundamentami projektowanego przez nią prawodawstwa małżeńskiego, którego zadaniem ma być zażegnanie grożącego niebezpieczeństwa stopniowego za-

niku rodu ludzkiego. W ten sposób toruje Ellen Key drogę w krainę przyszłości, którą nazwała „Stuleciem dziecka.“

Znamienną cechą tych teoryj, które przez swoją jednostronność upoważniają nas do nazwania ich manią rodzicielstwa, jest dążenie skoncentrowania wszystkich nadziei i całej miłości wyłącznie na pokolenie przyszłe. Miłość, której celem ostatecznym nie jest dziecko, jest zdaniem Ellen Key nienaturalnym i szkodliwym objawem.

Niegdyś człowiek w ucieczce przed zagadką własnego „ja“ szukał ratunku w miłości bliźniego; dzisiaj miłość ku przyszłym pokoleniom ma być oswobodzicielką z chaosu bezwyznaniowej teraźniejszości. „Wasza przesadna miłość przyszłych pokoleń jest złą miłością własną,“ możnaby parafrazując Nietzschego powiedzieć. Chora teraźniejszość szuka mostów zbawczych, wiodących w obiecaną krainę przyszłości, gdzie wszystkie dolegliwości dni dzisiejszych zamienić się mają na lepsze. Temi mostami mają być wszystkie fazy szczęśliwego doboru płciowego, i w obawie, że wysubtelniony indywidualizm może nadziejom tym stanąć na przeszkodzie, utrudniając warunki intelektualnego doboru, bezwzględni czciciele ewolucyonizmu powitają z radością pojawienie się manii rodzicielstwa.

Dziś już dają się słyszeć głosy domagające się bezwzględnego uprawnienia macierzyństwa każdej normalnej kobiety, nietylko poza obrębem związku małżeńskiego, ale nawet, w razie ostatecznym, poza obrębem miłości, ponieważ dziecko jest samo w sobie celem, mężczyzna zaś tylko środkiem do tego celu. Literatura, propagująca te poglądy, wzrosła w ciągu ostatnich lat do bardzo pokaźnych rozmiarów i świadczy o coraz większym rozprzestrzenieniu się. Bardzo ciekawe są pod tym względem dzieła: „Prawo macierzyństwa“ przez Ruth Brée, „Wołanie o dziecko“ Inge Marya, poetyczne utwory niemieckiej poetki Małgorzaty Bentler, „Kobieta i świat“ Ryszarda Dehmela i wiele innych.

Na korzyść Ellen Key przyznać trzeba, że nie jest ślepą wielbicielką tych prądów; ale pomimo tego wywarły one na nią wpływ znamienny, który uwydatnia się szczególniej w jej poglądach na poligamję i monogamję. Poligamja wydaje jej się pod pewnym względem nader pożytecznem urządzeniem społecznem, dającem silnym i zdrowym jednostkom możność przekazania możliwie wielkiej ilości nowych jednostek swych zalet. Społeczeństwo, w którem mężczyzna kochając swoją żonę, stara się równocześnie z drugą kobietą, która bardziej się do tego nadaje, mieć potomstwo, lub odwrotnie kobieta szuka poza małżeństwem mężczyzny, który posiada większe zalety jako „ojciec,“ jest według jej przekonania

nie tylko naturalną, ale jak na teraz bardzo pożądaną fazą rozwoju ludzkiego. System ten przypomina teoryę masztalni, pomimo że autorka stara się poprzeć swoje wywody cytatami ze Spinozy i Goethego, pomimo że przeprowadza niezmiernie interesujące badania historyczne nad ewolucyą monogamii. Wywody swoje kończy jednakże następnemi znamiennemi słowami: „Monogamia ten „klejnot, uważany dziś za najdrogocenniejszy skarb cywilizacji, „dopiero po wielu spiralnych zwrotach będzie mógł być objęty zło„tym pierścieniem jedności. Co będzie mogło jednakże dopiero „wtedy mieć miejsce, gdy każdy mężczyzna i każda kobieta nada„wać się będą do zabezpieczenia ciągłości gatunku.“

Dzieło Ellen Key „O miłości i małżeństwie“ znajduje się w swych głównych zarysach pod wpływem tej wiary w nieomylność doboru płciowego. Pod tym względem nie różni się ono w niczem od innych utworów ewolucyonizmu, które w rozkrzewianiu rodzaju ludzkiego widzą najlepszy środek spotęgowania jego rozwoju. Że droga ta jest rzeczywiście drogą rozwoju dowiódł oddawna już darwinizm; nie jest ona jednakże równoznaczną z drogą nowożytnego indywidualizmu, który w każdej pojedyńczej jednostce szuka swych najwyższych zadań. Wysoko przed płaskowzgórzem doboru płciowego wznoszą się szczyty indywidualnej doskonałości, czego najwidoczniejszym dowodem są geniusze i talenty. — Jak drzewo, które jesienną porą upuszcza ku ziemi owoc i dalej ku słońcu wyciąga swe sękate ramiona, tak każdy pojedyńczy człowiek jest nie tylko rodzicielem, ale i budowniczym swego własnego „ja.“ Prawo owocu nie jest równoznaczne z prawem rozwoju. Posiadają one wiele wspólnych cech, wiele podobieństwa, pomimo tego jednakże są to dwie zupełnie niezależne potęgi. Każdy kształt bytu jest celem sam w sobie; w każdym drzemie przeczucie doskonałości, będącej harmonią wszystkich elementów, wchodzących w skład jego jestestwa, każda jednostka powinna przedewszystkiem szukać w sobie samej udoskonalenia. Skąd weźmiemy siłę stwarzania bogów, jeżeli sami do potęgi boskiej wznieść się nie potrafimy? O tem zapominają ci, których umysłem owładnęła mania rodzicielstwa. Po przyszłości spodziewają się wszystkiego, a chora teraźniejszością tęsknota ich szuka zbawienia tam, gdzie ono dla jednostki nie da się nigdy osiągnąć. Na doborze płciowym opierają swe najśmielsze marzenia, pomimo że teorya ta jest księgą pełną tajemnic. Nikt jeszcze nie znalazł recepty na stworzenie geniusza, a tablica genealogiczna większej części wybitnych jednostek jest dotychczas gmatwaniną najsprzeczniejszych hipotez. Dla każdego, kto zna dokładnie dzieła i życie wielkiego poety-filozofa

Nietzschego nie jest dziś tajemnicą, że idea o nadczłowieku była wynikiem jego pogardy dla teraźniejszości, a pieśni Zaratustry natchnionym aktem twórczym, dokonanym na własnej duszy, heroicznym optymizmem *quand même*. Tak jak on, wielu innych, niezadowolonych teraźniejszością, wyciąga dziś ramiona ku nadziejom przyszłości.

Niegdyś miłość przeszłości była najwyższym ideałem ludzkim, miłość bliźniego zajęła jej miejsce, a dziś święci ludzkość narodziny kultu przyszłości. — Zawsze zapominano dotychczas o najlepszem, o wielkiej miłości własnej, która w sercu własnem szuka i znajduje rozwiązanie zagadki, drogę doskonałości, rozkosz bytu i niebiańską harmonię.

Epikurejczycy i Buddyści mogliby nam pod tym względem dać niejedną pożyteczną wskazówkę.

Miłość, o której tutaj mowa, w harmonii „Ja - Ty," w stopieniu w jedną całość dualizmu: „mężczyzna-kobieta" święci swe najwyższe tryumfy. Nie poza nami, obok nas lub przed nami, ale w nas samych, w głębi naszego serca leży tajemnica bytu, dostępna dla nas. Szukać jej gdzieindziej jest chimerą, niekiedy może bardzo pięknem, ale zawsze zwodniczem złudzeniem.

Bądź co bądź przyznać musimy, że ludzkość nowoczesna znajduje się na drodze do nowej fazy rozwoju. „Stulecie dziecka" wstępuje w swoje prawa. Nie będzie ono nigdy w stanie zadowolnić naszych najgłębszych pragnień, ale pomimo tego może przynieść ludzkości duże korzyści, dając młodym pokoleniom dogodniejsze warunki harmonijnego rozwoju indywidualnej odrębności.

Wiara w życie, które dotychczas zawsze potrafiło odnieść zwycięstwo przed złudzeniem i ślepotą ludzkich doktryn, daje nam możność widzenia po przez mgły manii rodzicielstwa nowej piękniejszej przyszłości, która już dzisiaj w każdej pojedyńczej jednostce może stać się rzeczywistością i którą nam nasze własne życie duchowe gwarantuje.

Przyszłością tą, której śnieżne szczyty lśnią ponad wzgórzami dzisiejszych pragnień, jest wiek najwyższego indywidualnego rozwoju dualizmu: „mężczyzna-kobieta" i zwycięskiego zjednoczenia się tych dwóch odrębności płciowych w monizmie duchowym „Ja-Ty." Wiek ten możnaby w porównaniu do „stulecia dziecka" nazwać „stuleciem duszy."

Jan Kaczkowski.

NIEDOKONANY UTWÓR

Leonarda da Vinci.

I.

Jest we florenckich Uffizi, w pobliżu portretu Rafaela, cudnego jak nadziemskie widziadło, inny portret, przedstawiający człowieka w wieku dojrzałym, w takiej pełni męskiej piękności i powagi, że raz weń wpatrzywszy się, trudno potem oko i myśl od płótna oderwać. Z pod podobnej, jak u Rafaela czarnej aksamitnej czapki florenckiej, dobrze znanej z obrazów Quattrocento, spływają na ramiona miękkie, jedwabiste sploty włosów i długa broda okrywa całą pierś lekko kręcącemi się kędziorami. Z ust wystających trochę, bardzo pięknie zarysowanych, przemawia silna wola i energia czynu; oczy głęboko osadzone, aksamitne, promienne, świecą z pod brwi nasuniętych, jak gwiazdy. W całej twarzy, o rysach bardzo regularnych i szlachetnych, jest jakiś dziwny majestat i istnie pańska wspaniałość, jest także i wprost przygniatająca widza, niby piorunem, siła myśli, ślad pasowania się, walk i prac twórczego geniuszu. Może to być bardzo wielki pan, władca życia i śmierci milionów, mądrością i zręcznością własną wspinający się po szczeblach fortuny, ruszający ramionami na etykę, sumienie i Boga, rozumowi tylko i pięknu stawiający ołtarze — jakiś Este, Sforza Malatesta czy Borgia lub inny Principe z czasów odrodzenia, wedle serca Machiawela; może być także Faust w pełni męskiego piękna, mądrości i siły, Faust geniuszem swym ujarzmiający naturę, sięgający do głębi wszystkich zagadnień świata. Nie tak urocza, jak Rafael, nie tak harmonijna i pogodna, ale nieskończenie bardziej potężna i męska; nie tak

tytaniczna, jak Michał Anioł, ale mniej wymęczona i niespokojna, bardziej skupiona i świadoma swych celów postać ta, jak w zwierciadle odbija ducha po nad ludzką miarę. Na zmienną falę życia zdaje się ona patrzeć z bezgranicznem lekceważeniem tego wszystkiego, przed czem ogół zwykł cofać się bezsilnie, zdaje się świat cały wyzywać do walki, aby zgnieść go bez trudu i z królewską pogardą stopę na nim postawić po łatwem zwycięstwie.

Wśród rysunków medyolańskiej Ambroziany spotykamy profil tej samej twarzy, o lat dwadzieścia starszej i bardzo odmiennej. Robi wrażenie przygasłej i skamieniałej. Została w niej klasyczna szlachetność rysów i powaga wyrazu, znikła świeżość życia, ufającego sobie i przyszłości. Wypaliły ją snać ognie namiętności, może burze walk i przeciwieństw, może nadmierny trud zgłębiającej wszystko myśli — i stała się twarz ta, jakby marmurową maską, stężałą pod przeorującym wszystko pługiem życia.

I znowu ta sama twarz, kilkoma rysami sangwiny rzucona na kartę, uderza nas w zbiorach król. Pinakoteki w Turynie, twarz zgrzybiałego niemal starca, z obnażonem czołem, z siecią fałdów i zmarszczków, ze śnieżną zasłoną włosów, okrywającą piersi i ramiona. „Całe życie zawodów i rozczarowań, niespełnionych nadziei i pragnień z niej przegląda.“ Ale pełna majestatu starości, pod której łagodzącą dłonią wichry życia i wichry duszy ułożyły się i ucichły, twarz ta nie ma jeszcze grobowego spokoju, zwykłego ostatnim dniom starców. Z jam, zapadłych głęboko, wyglądają te same oczy, pełne nieprzyćmionych blasków i niezmożonej potęgi, i jak na jaśniejącym świeżością i czarem portrecie florenckiej galeryi wiążą przy sobie wzrok i wyobraźnię widza. Tak wyglądaćby musiał Prometeusz po wiekach męki, gdyby starzeć się mogły tytany.

W tych trzech portretach Leonarda da Vinci, z których ostatni tylko jest własnem jego dziełem, maluje się dobrze charakter mistrza i żywot. Charakter bardzo niezwykły, mający coś z Fausta i coś z Hamleta, żywot niezwykły także, a kryjący w sobie dziwną tragiczność. Ten wielki pan, arystokrata i urodzony dworzanin ma plamę urodzenia, a dworakiem być nie umie. Wprawdzie rozluźnienie obyczajów, którego tak charakterystyczne próbki dają nam nowele Boccacia i Bandella, a może tylko brak dzisiejszej hipokryzyi towarzyskiej i większa, naiwna otwartość form życiowych, wywoływały we Włoszech XIV i XV wieku poglądy i zwyczaje w tej kwestyi dość od naszych odmienne. Dzięki temu też w rodzinnych swych stosunkach Leonard nie doznał

podrażnień i rozdźwięków, jakie spotkałyby go zapewne dzisiaj: nie mogło mu ich jednak braknąć we Florencyi, przynajmniej wśród epigonów chrześcijańskiej reakcyi, wywołanej przez Savonarolę; tem mniej zaś na dworze Ludwika Mora i Franciszka I.

Gorzej było z niezależnością charakteru, który ani do koleżeńskich wymagań artystów, ani do zmiennych upodobań florenckiej signorii lub władców medyolańskiego i francuskiego dworu, nie umiał się nagiąć. Więc też ten ulubieniec i protegowany florenckiego gonfaloniera, niemniej jak Ludwika Sforzy i króla Franciszka, usuwa się wciąż z Florencyi zniechęcony, zostawiając za sobą niechętnych; w Medyolanie miesiącami nie widuje księcia opiekuna, on, arranżer wykwintnych fet dworskich w smaku odrodzenia, uosobienie dworskości i talentów towarzyskich; we Francyi pozostaje bez wpływu i znaczenia u dworu — umiera w osamotnieniu, przy dworze, ale przez dwór zapomniany niemal.

Fatalizm dziwny, i bodaj że choć w znacznej części niezawiniony, ściga go przez całe życie. W pełni męskiego wieku, opuszcza on rodzinną Florencyę i prowadzi życie wykwintne zapewne i świetne, ale tułacze, pełne rozczarowań i zawodów. Rzucają nim polityczne wypadki, jak liściem, miotanym przez burzę, aż w końcu rozstrzygającym czynnikiem jego losów staje się ta sama potęga, którą fatalizm jego życia zrobił bezmyślnem narzędziem zniszczenia dla dwóch jego dzieł największych i najbardziej ukochanych. Schronienie i królewską opiekę daje starcowi władca tych samych Francuzów, którzy za życia Leonarda zniszczyli model pomnika Franceska Sforzy, a trzy wieki później mieli zniszczyć *Wieczerzę*.

Ale tragiczność życia Leonarda niczem jest wobec tragicznych losów całej jego twórczości. Ci ludzie z czasów Odrodzenia, tak od dzisiejszej powszedniej miary krawca a nie Fidyasza dalecy, mają nieraz życie pełne rozdźwięków i tytanicznych walk. Dość przypomnieć historyę Brunelleschа i kopuły S. Maria dei fiori, albo gromowładnego twórcę Mojżesza, gotowego każdej chwili wybuchnąć, jak Zeus, olimpijskim gniewem. Ale w niespokojnej i różnobarwnej kolei swoich losów, mistrze ci miewali przynajmniej chwile królewskiej wielkości. Walczono z nimi, ale walczono i o nich, a sama walka była nieraz jednym więcej dowodem uznania dla ich geniuszu. Michał Anioł, nieznajdujący w całem chrześcijaństwie schronienia przed gniewem tego innego tytana, jakim był Juliusz II, i zmuszony już niemal do szukania opieki u Turków, ma przecie wśród swych przeciwieństw tryumf

miłości własnej, gdy o niego dwie największe potęgi Włoch o mało nie wydają sobie wojny. Dante, pożerany goryczą prześladowań i wygnania, umierając zdala od Florencyi, swej „matki mało umiejącej kochać,“ może się przynajmniej krzepić myślą o nieśmiertelności swego dzieła. Dzieła Giotta w znacznej części zaginęły dla potomnych: prześladował je i niszczył wielekroć los zawistny; zostawił przecie dość dla chwały mistrza, zachowując nam kaplicę Scrovegnich w Padwie i Cnoty Św. Franciszka w Assyskiej bazylice. Z całej plejady mistrzów Quattrocento, tak świetnej a nieraz tak genialnej, nie jeden zapewne w życiu zbyt krótkiem nie jest w stanie wykonać wszystkich zamiarów i planów, nie jednemu sama olbrzymiość rozpoczętych kreacyj nie daje ich doprowadzić do końca — po każdym jednak zostaje w spuściznie większa połowa jego dzieł, przynajmniej część znaczna.

Z Leonardem inaczej. W talentach swych i pracach jest on niewątpliwie najbardziej wszechstronnym ze wszystkich uniwersalnych geniuszów epoki, która tylu ich miała, równocześnie Mistrz jego Verrochio był zarazem dobrym malarzem i niepospolitym rzeźbiarzem, Rafael budowniczym i inżynierem, Michał Anioł tem wszystkiem i jeszcze poetą, Alberti poetą, filozofem, matematykiem i budowniczym. Leonard był największym swego czasu malarzem, którego pędzlowi, chcąc nie chcąc, ustąpić musiał palmę nietylko Michał Anioł, ale „boski“ Rafael, i Tycyan, i Dürer. W rzeźbie chciał prześcignąć największych: Donatella, Verrochia, Michała Anioła, a gdyby mu danem było dokonać głównego jego dzieła, byłby im przynajmniej dorównał. Jak wszyscy rzeźbiarze tego czasu znał gruntownie złotnictwo, i jego dziełem była słynna srebna lutnia nowego całkiem pomysłu i kształtu, bo przedstawiająca końską głowę, jaką przywiózł w podarku od Lorenza Medici, Ludwikowi Mor przy pierwszej swej podróży do Medyolanu. Nietylko zaś robił lutnie, ale ich używał, jako znakomity muzyk i śpiewak — obok tego zaś był poetą, a nawet improwizatorem, oraz bardzo czynnym literatem. Zamiłowany w badaniu tajemnic przyrody, ten poprzednik Bakona i Galileusza przenikał je, jak nikt ze współczesnych. Wynalazca kamery obskury, twórca w całem słowa znaczeniu naukowej hydrauliki, doskonale znał on mnóstwo praw statyki i hydrostatyki, prawa ruchu fal, dźwięku, światła, o wiele lat zanim je światu, jako własne odkrycia obwieścili inni. Największy swego czasu fizyk, chemik, botanik, największy też anatom i pierwszy, który poznał i ułożył w naukowy system anatomię zwierząt i roślin i matematyk pierwszorzędny, zalecający swym uczniom studya nauk ścisłych, jako niezbędny warunek poważnej,

artystycznej produkcyi; — budowniczy, inżynier cywilny i wojskowy, wynalazca nowych środków prowadzenia wojny, wynalazca bomb eksplodujących i mnóstwa wojennych i innych maszyn, z których niektóre do dziś są w użyciu, jak piła do krajania marmuru; regulator koryta Arna i systemu wodnego Lombardyi, ten genialny mechanik, próbuje równocześnie, i nie bez powodzenia, odkraść przyrodzie tajemnicę lotu ptaków. Przytem geolog w czasach, gdy o tej nauce nikomu się nie śniło: geograf, śledzący pilnie drogi i zdobycze naukowe podróżników; astronom, a wedle ducha czasu i astrolog, wreszcie zaś, jak rysunki jego stwierdzają, niezaprzeczenie pierwszy wynalazca maszyny parowej, Leonard da Vinci mógł powiedzieć o sobie słuszniej niż ktokolwiek z ludzi, że nic ludzkiego nie było mu obcem. Przytem cudnie piękny, pełen zdrowia i siły, jak Dawid Michała Anioła, rozrosły i potężny, jak Dawid Donatella, uroczy i smukły, typ doskonałego dworzanina, o którym myśleć musiał Castiglione pisząc swoją księgę, hojny, wspaniały, wielkoduszny, otoczony tłumem służby, kochający się w wykwincie, w pięknych koniach, w rzadkich zwierzętach i sprzętach, a tak miękkiego serca, rzecz w tych czasach niezwykła, że największą sprawiało mu przyjemność kupować i całemi stadami z klatek wypuszczać na wolność więzione ptaki. W tych czasach, gdy artyści bywali przyjaciołmi królów i nieraz prawdziwymi panami świata, któż więcej do tego panowania rościć miał prawo od niego, kto równie słusznie jak on, nazwać się mógł największym z ludzi? I oto z tego bezmiaru wiedzy, pracy, twórczości i geniuszu—co zostało? Jak samotna, zapomniana starość w Cloux pod Amboise, w porównaniu z przedwczesnym, ale iście królewskim końcem Rafaela, z pogodnym i wspaniałym zachodem Tycyana i Michała Anioła, tak i cała duchowa spuścizna Leonarda w porównaniu z tem co zostawili jego współcześni, robi wrażenie przejmujące bolem.

Ten inżynier genialny nie miał w swych robotach powodzenia; jego wojenne wynalazki nie zostały zużytkowane; wynalazki z dziedziny fizyki i chemii przywłaszczyli sobie inni; przedziwny zmysł wynalazczy w mechanice doprowadził jedynie do robienia szkiców i zabawek latających maszyn i zwierząt. W naukach ścisłych dziś dopiero odkrywają jego zasługę i geniusz, na którym współcześni nie umieli się poznać, ani go wyzyskać. Poezye zaginęły lub przypisywane mu są fałszywie. Z rzeźby nie zostało nic, nic z dzieł architektury i inżynieryi. A w malarstwie? Wiemy, że malował nietyle, ile jego współcześni mniej uniwersalni i rozproszeni w swem działaniu, ale przecież malował wiele, nie usta-

jąc aż do końca swego długiego żywota. Ambroziana i wiedeńska Albertyna, Louvre, Windsor, Uffizi i prywatne zbiory przepełnione są rysunkami i szkicami, w znacznej części odnoszącemi się do zamierzonych lub wykonanych obrazów. Niektóre z kartonów były przez długie lata wzorem i szkołą dla całych pokoleń artystów. Sam Rafael podług słynnego kartonu do S. Anny tworzył swą Madonnę z barankiem, znajdującą się obecnie w madryckiem Prado, podobnie jak na *Bitwie pod Anghiari* wzorował *Bitwę pod Ostią*. Inni, mniejsi, tak przejmowali się genialną indywidualnością Leonarda, typem i nastrojem jego figur, jego charakterystycznym kolorytem, właściwościami kompozycyi i układu, że poprostu tworzyli kopie Madonn i Janów Chrzcicieli, Led i Bachusów, Monny Lizy i La belle Ferronniere. Niepewność i chaotyczność w ocenie autentyczności dzieł przypisywanych Leonardowi, pochodzi stąd właśnie, że niejednokrotnie za autentyki, o których wspominają biografowie mistrza: Vasari, Lomazzo i Bandelli, brane są te kopie, albo też, że w innych utworach naśladowców maniera Leonarda pochwycona jest nieraz do złudzenia. Wykonał on niewątpliwie mniejszą część tylko utworów, które rozpoczął i przygotowywał: dokonać je przeszkadzała mu charakterystyczna skłonność do syntezy, do idealnego wykończenia, niemniej jak nadto rozwinięty zmysł krytyczny, jak zbytek sumienności, przygotowawczych studyów i dłubania się w drobiazgach. Wiemy jednak o kilkudziesięciu skończonych przezeń dziełach. Z tych wiele doszło do nas? W Luwrze, w petersburskim Ermitażu, w Uffizi cały szereg płócien nosi imię Leonarda, po jednym lub po dwa w galeryi Borghese, w galeryi Lichtensteinów w Wiedniu, w narodowej galeryi w Londynie, w monachijskiej Pinakotece. Kilka wyjąwszy, najnowsza krytyka obchodzi się z niemi nielitościwie. Najgruntowniejszy znawca Leonarda, Müller Balde, najbardziej intelligentny jego krytyk, Morelli, niemniej, jak najnowszy kompilator popularnego podręcznika, Rosenberg, są bardzo stanowczymi, ilekroć chodzi o zaprzeczenie autentyczności jakiegoś dzieła, pełni skrupułów i zastrzeżeń, gdy mają autentyczność tę przyznać. W ten sposób słynny fresk w rzymskim klasztorze S. Onofrio ma być dziełem Beltrafia, Zbawiciel świata w galeryi Borghese—Marka d'Oggione, Zwiastowanie w Uffizi—Ghirlandaja, Madonna z ważkami w Luwrze—Cezara da Sesto, jeden z portretów w Ambrozianie—Ambrosia de Predis, inne mają być kopiami zaginionych oryginałów lub naśladowaniem kartonów Leonarda. W rezultacie oprócz rysunków, szkiców, karykatur, tak charakterystycznie malujących niespokojną a wrażliwą naturę Leonarda, obok owego anioła na

obrazie Verochia we florenckiej Akademii i młodzieńczego zwiastowania w Luwrze — z dzieł twórcy Wieczerzy przechowały się napewno, oprócz tej ostatniej, znany portret Monny Lizy w Luwrze, najcudniejsze z dzieł Leonarda, choć poczęści nieszczęśliwą restauracyą popsute, drugi portret, równie dobrze znany pod nazwą La belle Ferronière, i Jan Chrzciciel tamże, jedna z dwóch Vierge aux rochers, Adoracya magów w Uffizi i — już wszystko. Reszta należy do zakresu krytycznych sporów i polemiki. Strasznie mało zaprawdę — tyle tylko, aby mieć pojęcie o geniuszu Leonarda, nie dosyć, aby geniuszem tym w rozwoju jego twórczości się cieszyć.

II.

Wśród kompozycyj rozpoczętych przez Leonardą da Vinci dwie największe, te, do których najwyższą przykładał wagę, nie zostały przezeń dokonane. Obok *Bitwy pod Anghiari*, malowanej w Palazzo Vecchio we Florencyi, jest to konny posąg Francesca Sforzy w Medyolanie.

Leonard miał lat trzydzieści w chwili, gdy opuścił Florencyę, udając się do Medyolanu. Było to w r. 1482, a więc w cztery lata po spisku Pazzich i zamordowaniu Juliana Medici. We Florencyi panował bezspornie popularny, hojny, rozmiłowany w pięknie, a pojmujący je na sposób Greków, Lorenzo Magnifico, otoczony dworem artystów, literatów i uczonych. Za wielkiego Kozmy jeszcze powstała Platońska Akademia, łączyła takich ludzi, jak Marsicio Ficino, jak Policyan, jak wydawca Horacego i Wirgiliusza Landini, jak historyk Giorgio Cavalcanti, słynny Pico della Mirandola i inni. W Akademii sztuk pięknych mieli punkt oparcia artyści, dla których ogród Ś. Marka, zapełniony przez Medyceuszów arcydziełami sztuki starożytnej, dawał odpowiednie pole do klasycznych studyów. Zaczynał je tam właśnie pod opieką Lorenza a kierunkiem starego ucznia Donatella, Bertolda, młody Buonarotti. Wykwintnych, karnawałowych zabaw, maskarad i festynów, było mniej niż za życia Juliana, ale szeroką, barwną falą płynęło życie, opromienione wszystkiemi czarami estetyki, z więzów etycznych zato wyzwalające się coraz to zupełniej. Dlaczego z tego ogniska wieku umysłowego i artystycznego usunął się taki artysta jak Leonard, dla czego pośpieszył do Medyolanu nie w charakterze artysty lub uczonego, zmęczony świetnemi propozycyami, nadzieją hołdów i powodzeń, ale li tylko jako śpiewak i wytwor-

ny dworzanin? Dla czego wypuścił go Lorenzo Medici, on, który ściągał tak pilnie wszystko co świeciło talentem po nad ogół? Być może arystokratyczna natura Leonarda nie mogła się nagiąć do demokratycznego ustroju republiki, w której Medyceusze zawsze jeszcze byli tylko pierwszymi obywatelami. Być może jego uniwersalny geniusz nie zdał się praktycznemu Medyceuszowi dość produktywnym, a bardzo niezależny charakter artysty zraził do niego. Lorenzo był zawsze pełen taktu i umiarkowania: świadkiem jego stosunek do Savonaroli, ale wielcy panowie gotowi są często schlebiać tłumowi i chwilowo oczy zamykać na zniewagi potężnych przeciwników, nie przestając jednak wymagać giętkiego karku od *swoich* ludzi, za jakich uważał oczywiście Lorenzo otaczające go grono artystów.

Jakkolwiek bądź, Leonard da Vinci znalazł się w Medyolanie i pozostał tam przez lat siedemnaście, aż do upadku Ludwika Mora.

Ciekawy, bardzo ciekawy i charakterystyczny, bardzo renesansowy i włoski typ, ten książęcy uzurpator, wcielenie doskonałe szatańskiego ideału politycznego Machiawela, kwintesencya zbrodniczego a wytwornego geniuszu Viscontich i Sforzów. Pełen sprzeczności, jak wszyscy ludzie tej epoki, z duszą czarną jak jego przydomek i ciałem tak pięknem, jak tylko wtedy i w Grecyi Fidyasza można było spotkać, z umysłem bezgranicznie przewrotnym i zakamieniałym na wszystkie szlachetne, a choćby ludzkie tylko uczucia, a zarazem bezgranicznie wytwornym i odczuwającym jak nikt inny, najsubtelniejsze wrażenia piękna. Intrygant niezrównany, polityk nieszczęśliwy dla tego bodaj, że zanadto politykę identyfikował z intrygą, Ludwik Czarny, świeżo właśnie przywłaszczył był sobie regencyę księstwa i opiekę nad swym synowcem, cichym, nieszczęśliwym, Gian Galeazzo. Ożeniwszy go, przez jedną z charakterystycznych niekonsekwencyj zbyt subtelnej polityki, z Izabellą Aragońską, córką księcia Kalabryi, późniejszego króla Neapolu, ścieśniał z dniem każdym bardziej swobodę książęcej pary, naprzód na Medyolańskim zamku, potem w Pawijskiej Certozie, będącej dla nich złotem, ale ciężkiem i upokarzającem więzieniem.

Wyniosła i piękna Madonna Beatrix d'Este, córka księcia Herkulesa z Ferrary, miała w dziesięć lat po przybyciu Leonarda stać się małżonką księcia Bari, jak się tytułował regent medyolański. Jej przybycie, przyjście na świat bliźniąt, następców upragnionego tronu, kollizye o pierwszeństwo dwóch niewiast, jednakowo dumnych i energicznych, księżnej z prawa i imienia, i żony istotnego władcy kraju, wywołały coraz ostrzejsze kroki przeciw

zatopionemu w księgach Galeazzowi, a w końcu zdecydowały Ludwika na pozbycie się go trucizną. Tymczasem jednak zbliżyło się inne rozwiązanie tragicznego konfliktu. Ludwik, inwestowany na księcia Medyolanu przez cesarza Maksymiliana, za którego wydał siostrzenicę, po chybionej wyprawie do Włoch swego sprzymierzeńca, Karola VIII, znalazł się w zatargu z jego następcą Ludwikiem XII. Chwiejny zawsze, odrzuciwszy z lekkomyślnem zuchwalstwem proponowane sobie korzystne warunki, za chwilę stchórzył haniebnie i zostawił kraj na pastwę wrogowi, w którego mocy, jako więzień, kilka lat później życie zakończył.

Wszystkie te wypadki jednak dalekie jeszcze były w chwili przybycia Leonarda do Medyolanu. Tymczasem zaś świeżo dobiwszy się władzy, Ludwik Mor starał się ją utrwalić i uprawnić, i w obec ludzi, i w obec sąsiednich dworów i całych władz. Starał się zaś o to, jak wszyscy uzurpatorowie i parweniusze tego czasu i kraju, który miał ich tylu i tak niepospolitych, stwarzając na podstawie nieprawnego *fait accompli* stan rzeczy lepszy i świetniejszy od tego, jaki był przedtem, lub jakiego można było oczekiwać od słabego Gian Galeazza. W tym celu dążył gorączkowo a wytrwale do zrobienia z Medyolanu, pod względem cywilizacyjnym i estetycznym, stolicy godnej swego królestwa, Insubrii i Ligurii, o którem marzył. Ściągał więc zewsząd ludzi talentu, obdarzał ich hojnie i zasypywał wspaniałemi zamówieniami, a jako doskonały znawca i ludzi i sztuki, pierwszych wybierał dobrze, drugiej umiał nadać wysoki i szlachetny kierunek. W przeciwieństwie do klasztornego dworu, prawego władcy, dwór księcia Baru był po dworze Medyceuszów, najwyższym we Włoszech wyrazem tej towarzyskiej kultury i tej wspaniałej wytworności form życiowych, których włoskie Odrodzenie daje nam tak czarowny obraz.

Było to zresztą w owym czasie regułą panujących. Na dworze Estów w Ferrarze znajdował schronienie i przyjazną opiekę Ariost, a ściany pałacu Herkulesa I i kościoły jego stolicy świadczą dziś jeszcze o wykwintnym smaku i królewskiej hojności tego wielkiego mecenasa literatury i sztuki. Na dworze Fryderyka z Montefeltro, w Urbino było skromniejsze, ale bardzo żywe ognisko umysłowego i estetycznego ruchu, żywsze jeszcze za syna jego Guidobalda, pod potężną protekcyą Juliusza drugiego, szwagra jego siostry, Joanny della Rovere. Dwie niepospolite kobiety, Joanna, protektorka Rafaela i heroiczna, piękna i mądra Elżbieta Gonzaga, żona Guidobalda, nadają temu dworowi, brakującą tak często gdzieindziej, etyczną wartość obok uroku prawdziwej kobiecości. Tak samo świeci dwór Gonzagów w Mantui, a nawet

pod skrzydłami takich kondotierów, jak Cezar Borgia i Zygmunt Malatesta, lub tak zbrodniczych dynastyj, jak aragońska w Neapolu, literatura i sztuka dochodzi do najwyższego rozkwitu: świadkiem Rimini i klasyczna Akademia Pontiniana w Neapolu. Niestety! Mądrość i estetyka w literaturze i sztuce nie miały nic wspólnego z moralnością, zbyt często zaś celem ich właśnie było brak jej zastępować.

W Medyolanie działo się podobnież, tylko świetniej jeszcze. Życie dworskie było jedną uroczystą tkanką śpiewu, muzyki, improwizacyi, komedyi, tańców, turniejów, a obok księżnej Beatrice i jej siostry, jednej z najrozumniejszych i najbardziej uroczych kobiet swego czasu, Izabelli Mantuańskiej, wybitne miejsce w areopagu dworskich piękności zajmowały dwie z kolei piękne przyjaciółki księcia regenta, Lukrecya Crivelli i Cecylia Gallerani, wszystkie ścisłemi artystycznemi stosunkami połączone z Leonardem, wielbicielki jego geniuszu i albo uwiecznione jego ołówkiem i pędzlem, albo przynajmniej szczycące się posiadaniem jego utworów. Grono książęce uzupełniał słynny z intryg, ale i z politycznego rozumu oraz hojności dla artystów, brat Mora, kardynał Ascanio, który podług planów Bramanta budował pawijską katedrę, a zapewnioną ma nieśmiertelność przez cudny grobowiec Sansovina w rzymskiej S. M. del Popolo. Krótko przed upadkiem Mora przybył też arcybiskup medyolański, brat jego żony, niemniej od innych członków rodziny zamiłowany w rzeczach pięknych, kardynał Hipolit Este, na którego cześć Ariost ułożył swego *Orlando furioso*.

Dokoła panującej rodziny, otoczonej magnackiemi rodami Boromeów, Belgiojosów, Pallavicinich, Sanseverinich i Melzich, z których jeden stał się ukochanym uczniem, towarzyszem podróży, wygnania oraz uniwersalnym spadkobiercą Leonarda — skupiali się liczni literaci, poeci i artyści. Niewielu ich pochodziło z Medyolanu, gdyż w ogóle przed Ludwikiem Morem Medyolan zajmował bardzo skromne miejsce w rozwoju cywilizacyjnym półwyspu. Brakło mu dwuwiekowego przygotowania i stopniowego wyrabiania się duchowego Florencyi. Literatura i poezya były i pozostały ubogie, język — ciężki i twardy. Sztuka miejscowa reprezentowana była przez artystów poważnych i sumiennych, ale bardzo średnich, jak Vincenzo Foppa i Bernardo Zenale, obaj uczniowie znakomitego padewsko-mantuańskiego realisty, Andrea Mantegua. Wybitniejszym talentem jest jeden tylko bardzo nieraz szlachetny i wytworny w pojedyńczych swych typach, Borgoguone. Ale ani on, ani jego towarzysze, współcześni Leonardowi, świadkowie jego działalności w Medyolanie, nie umieli tego genialnego sąsiedztwa

wyzyskać, przejąć się nowym duchem mistrza i oczy otworzyć ku jego szerokim widnokręgom. Pozostali też ze swym anherizmem i miernością bez następców, a szkoła medyolańska odżyła w uczniach i naśladowcach Leonarda, zwłaszcza w Cezarze da Sesto, w Ferrarim, w Sodomie, a nadewszystko w Licinim.

Jeżeli jednak miejscowy żywioł nie miał na dworze Ludwika Mora wybitnych reprezentantów, obcy artyści, poeci i uczeni nadawali dworowi temu świetność. Takimi byli muzyk Gaiori, poeci Bellincione z Florencyi i Visconti, słynny hellenista Filelfus, greccy humaniści Chalkondylas i Konstanty Laskarys, włoscy Barbaro, dwaj Simoneowie i matematyk Pacioli, historycy Calco i Corio. Ze sławnych architektów, zamiłowany w budowach Ludwik sprowadził ze Sienny Martiniego, z Mantuy nadwornego artystę Gonzagów Fancellego, z Florencyi założyciela całej dynastyi architektów, Juliana di Sangallo. Jednym z nadwornych rzeźbiarzy był Gian Crisfotoro Romano, równie świetny dworak jak artysta; złotnikiem wytworny Caradosso. Wreście perłą po Leonardzie w całej tej koronie artystów najcenniejszą, był Bramante.

III.

Takiem jest tło, na którem widzimy twórcę *Wieczerzy* podczas pobytu w Medyolanie.

Dziwna ironia losów! Ten największy z żyjących podówczas malarzy przybywa na dwór Ludwika w charakterze lutnisty, a ofiarowuje swe usługi księciu, jako wojenny inżynier i mechanik. Trzyma się od dworu cokolwiek na uboczu, mieszka w mieście razem z kilkoma uczniami. Urządza jednak i dekoruje dworskie festyny, towarzyszy dworowi w ucztach i zabawach, w polowaniach, w świetnych wycieczkach do Pawii, Vigevano, Sforzesca — a modą i zaszczytem staje się u osób, wysoko stojących, posiadać jego dzieła, portrety, a choćby szkice.

W akademii sztuk pięknych, założonej przez Ludwika Mora pod imieniem Leonarda da Vinci, skupiają się do koła mistrza wszyscy młodzi adepci sztuki, wielbiciele jego i naśladowcy i podczas, gdy we Florencyi malarstwo doszedłszy do najwyższego rozkwitu zaczyna powoli obniżać się i wpadać w manierę Botticellego i Filippina Lippi, tutaj pod ożywczem tchnieniem i wzorami Leonarda dochodzi do największej doskonałości studyum natury. Dogmatem staje się tu zasada, że piękno w sztuce opierać się musi na

poznaniu i wiernem odtwarzaniu ciała ludzkiego, zarazem zaś na przeniknięciu i pochwyceniu jego duszy. I w przeciwieństwie do tak w tych czasach zwykłych we Florencyi madonn i aniołów z wydłużonemi i przekrzywionemi szyjami, bardzo słodkich i uroczych, ale czasem wprost szablonowych — tu drga w całej tej młodej szkole pełń życia, sił i prawdy. Dowodem najlepszym zaś, jak dalece cała szkoła Leonarda wzorowała się na naturze, jest fakt łatwo dający się stwierdzić, że charakterystyczne jej typy w okolicach jeziora Como można dziś jeszcze napotkać.

Z największym po nim artystą, którym się cieszył Medyolan, złączyło się imię Leonarda przy tym klasztorze i kościele, przy którym powstała Wieczerza Pańska, podczas gdy obok ospedale maggiore, babtysteryum Satiro i krużganków S. Ambrożego Bramante podnosił ku niebu najwdzięczniejsze może cacko architektury, słynną kopułę S. Maria delle Grazie.

Czy równocześnie wraz ze sprowadzonymi przez Mora artystami niemieckimi ze Strasburga, Leonardo był budowniczym katedry, czy nie, to pewne, że wraz z Wieczerzą, nad której powolnem malowaniem tak ubolewał biedny przeor klasztoru, zajmował się mistrz, olbrzymiem dziełem, mającem przejść o wiele wszystkie inne podobne. Ludwik postanowił wznieść pomnik ojcu swemu księciu Franciszkowi i Maryi i powierzył tę pracę Leonardowi. Zajmowała go ona lat blisko siedemnaście t. j. tak długo jak był w Medyolanie i z wyjątkiem czasu poświęconego *Wieczerzy*, zajmowała przeważnie. Zawistni i ciaśni malarze medyolańscy starej szkoły oskarżali go wprawdzie przed regentem, że czas marnuje na urządzanie fet i dekorowanie salonów, zamiast go poświęcać zamówionemu dziełu. Było inaczej. Leonard oddał się jemu całą duszą: owszem, zanadto nawet, bo chciał je mieć zbyt pięknem i doskonałem, zbyt tytanicznem. Wspomniany już hyperkrytycyzm i dążność do tworzenia rzeczy niedoścignionych rozmiarów i niedoścignionej doskonałości, stała się i tutaj, a raczej zwłaszcza tutaj, powodem, że geniusz i twórczość mistrza niewcieliły się w życie.

Posąg miał być konny. Plan ten poddał księciu zapewne Leonardo, wielki miłośnik i znawca koni, który zawsze kilka, i więcej, bardzo pięknych i rasowych sam posiadał, które jeszcze we Florencyi lubił studyować. Mistrzem jego był Verrochio, lepszy rzeźbiarz niż malarz, a wsławiony przedewszystkiem konnym posągiem Colleonego. Wiemy też z Vasarego, że już w pracowni Verrochia Leonard odznaczał się znajomością anatomii i modelunku konia i że towarzyszom swym udzielał pod tym względem wskazówek i pomocy. Dla tej natury rycerskiej, ener-

gicznej a wytwornej, najszlachetniejsze ze zwierząt musiało być wdzięcznym i pożądanym tematem. Sam jeździec doskonały, ten reżyser turniejów i fet przy zaślubinach dworskich i innych uroczystych okazyach, chętnie zapewne odtwarzał konia, będącego niezbędną ozdobą takich malowniczych uroczystości.

Dwa konne posągi, słynne na całe Włochy, przedstawiały mu się z jednej strony, jako wzór, z drugiej, jako dotychczasowa meta, którą należało prześcignąć: posąg Gattamelaty Donatella w Padwie i Colleonego w Wenecyi. Z Donatellem spowinowacony był Leonard przez swego mistrza Verrochia, który był jego uczniem. Przedziwny geniusz twórcy Ś. Jerzego we florenckiem Or-San-Michele musiał go nieraz pobudzać do podziwu i współzawodnictwa. Ale bardziej jeszcze pobudzał go do tego Colleone Verrochia.

Jak przedwcześnie zgasły Massaccio w malarstwie, tak w rzeźbie Donatello jest punktem wyjścia nowej epoki, a zarazem dzięki wyjątkowo potężnej duchowej organizacyi — punktem kulminacyjnym dla całej epoki następnej, próżno silącej się mistrzowi swemu dorównać. Raczej nawet trzebaby go pod tym względem zestawić z Giottem, bo jak u tego ostatniego rola jego w sztuce jest wprost stworzeniem jej z niczego, gdy u Masaccia jest ona tylko wprowadzeniem malarstwa w nowe, wyższe stadyum doskonałości, duchowej i technicznej swobody. Ale niedościgniony w ś. Jerzym, w bronzowym Dawidzie, w Dzieciach grających, może w ś. Marku, którym tak zachwycał się Michał Anioł, Donatello w konnym posągu prześcignięty został przez Verrochia... Nie żeby nie był pięknym i wspaniałym jego koń i jego jeździec. Owszem: na wysokiej, pustej, o wdzięcznych liniach podstawie, stoi posąg konnego rycerza imponujący, pełen prawdy i powagi — bodaj nawet mający tej powagi i tego spokoju za wiele. Kiedy się widzi fidiaszowe konie z bronzu rwące się z rąk trzymającym je młodzieńcom, ma się przez mgnienie oka wrażenie: co będzie, jeśli się wyrwą? Tu niema obawy. Michał Anioł tego sennego jeźdźca nie spytałby pewno, czemu nie przemawia i czemu w bój nie rusza.

O kondottierze Verrochia stojącym do dziś na małym placyku przed kościołem Jana i Pawła w Wenecyi, powiedzieć musi każdy, że jedzie świat podbijać. Trudno doprawdy o większą potęgę w koncepcyi jeźdźca i konia, o doskonalsze ich zjednoczenie i wyższą szlachetność. Koń się nie zrywa, nie wspina, nie parska. Ściągnięty potężną, ale spokojną dłonią jeźdźca, schyla lekko głowę wyniosłą i bardzo szlachetną i ruchem pełnym świadomej siebie siły i wdzięku, uderza o ziemię przednią lewą nogą. Ruch

ten nader szczęśliwie pochwycony, nadaje mu życie, brakujące posągowi Gattamelaty, podobnie jak podniesienie zwróconej w bok głowy jeźdźca z zuchwałym i wyzywającym wyrazem twarzy, oraz ruch ręki, zdającej się miecz z pochwy wyciągać, nadają tej postaci tyle charakterystyki i dramatycznego interesu, ile ich ma bardzo niewiele dzieł sztuki na świecie.

Studyując nieustannie konia przez kilkanaście lat swego pobytu w Medyolanie, mając u przyjaciela całą stajnię najpyszniejszych rumaków, których godzinami zmuszali masztalerze w oczach jego wspinać się i rzucać, Leonard miał kolejno cały szereg pomysłów, co do postawy konia, do której oczywiście stosowałaby się postawa jeźdźca. Mnóstwo rysunków i szkiców, rozproszonych po galeryach i prywatnych zbiorach, odnosi się do zajmującego myśl Leonarda modelu. Rozpatrując się w nich bliżej, możemy je podzielić na trzy grupy. Jedna, najmniejsza, obejmuje szkice konia, stojącego nieruchomo, i widocznie powstała pod wpływem posągu Donatella; druga bardzo wybitnie odbija działanie Verrocchia i pokrewieństwo duchowe z posągiem Colleonego; trzecia wreszcie przedstawia konia w pełnym wieku, wspinającego się do góry lub podnoszącego w galopie przednie kopyta.

Jakim był model? Nie wiem, czy jest zawilsza kwestya wśród tych, o które polemizują współcześni krytycy sztuki. Z jednej strony parę małych modeli, zachowanych dotąd, zwłaszcza model posągu, znajdujący się u pani André w Paryżu, przemawiają za tem, że był pokrewny posągowi Colleonego. Z drugiej świadectwo Giovia i parę starych sztychów przedstawia nam ten model wedle trzeciego typu. Skoro jednak wiemy z wielostronnych świadectw, że Leonard pracował nad modelem przez całych lat 16, t. j. do r. 1499; dalej zaś wiemy z równie pewnego źródła, że już w r. 1493, podczas zaślubin siostrzenicy Mora, Bianki Sforza, z cesarzem Maksymilianem, model ten (t. j. koń, bo do roboty jeźdźca Leonard nie przyszedł nigdy) był już skończony i stanowił główną ozdobę wystawionego z powodu uroczystości tryumfalnego łuku—możnaby przypuścić, że Leonard zrobił z kolei dwa modele, nie będąc zadowolony z pierwszego. Przypuszczenie to tem jest prawdopodobniejsze, że opiera się na charakterze Leonarda, na jego zamiłowaniu oryginalności, oraz na zmyśle krytycznym, niedającym się łatwo zaspokoić.

Jeśliby tak było, pierwszy model wyglądał zapewne tak, jak go przedstawia paryska statuetka pani André, ze złoconego bronzu. Oryginalny całkiem model ten, pozostaje przecie w związku z arcydziełem Verrocchia. Odrębny od konia Colleonego i temperamen-

tem, i ogólnym zarysem linij, zbliża się do niego koń Leonarda postawą. Koń Verrocchia przedstawia od szczytu wysoko podniesionej głowy jedną niemal pochyłą linię, bardzo wdzięczną dla oka. Cały zresztą jest w konturach swych prosty, a zgięcia nóg i głowy tworzą u niego ścięte kąty. Jest w nim zapał i ogień, ale niema kaprysu i ruchliwego temperamentu. Przeciwnie, koń Leonarda jest cały tym temperamentem, ogniem, życiem. Linie jego zaokrąglone, zaokrąglone zgięcia nóg i schylenie głowy. Ale ruch podniesionej nogi zupełnie taki, jak u Verrocchia i jak u Verrocchia dziwna w pojęciu konia prostota i szlachetność, dziwna umiejętność wywołania niepospolitego efektu bez użycia żadnych niezwykłych, żadnych nawet w ogóle pomocniczych środków.

Drugi model wyglądałby zapewne tak, jak go przedstawia sztych monachijski, od poprzedniego zupełnie inaczej. Pierwszy był smukły, lekki, ognisty: ten jest bojowym rumakiem o niezmiernie rozrosłych, ociężałych członkach. Ciężki mtakże jest ruch, jakim w galopie podnosi przednie kopyta, tratując leżącego pod nim rycerza. Jeździec, którego na żadnym modelu Leonarda nie było, znajduje się na sztychu i mógłby stać się poważnym argumentem przeciw wyrażonemu przezemnie przypuszczeniu. Jest on równie jak koń potężny i smuklejszego rumaka przygniótłby pewnie swym ciężarem. Ruch jego ręki z wyciągniętym mieczem przypomina znowu podobny ruch Gattamelaty; twarz o klasycznym profilu, ale nalana i martwa, zbyt wiernie odtwarzająca zapewne ówczesne portrety Francesca Maryi, nie wytrzymuje porównania z przepyszną twarzą Colleonego, tkwiącą w pamięci każdego, kto ją raz zobaczył.

Przypuszczając istnienie dwóch modeli, niema się żadnych danych co do losu, jaki spotkał pierwszy z nich. Czy go sam artysta zniszczył, jak Verrochio, gdy połamał nogi swego konia, czy zniszczenie było dziełem przypadku? Niewiadomo. Natomiast wiemy dobrze, co stało się z modelem, który w r. 1499 Leonard musiał za sobą zostawić opuszczając Medyolan po ucieczce Mora. Łucznicy gaskońscy wzięli go za cel dla swoich strzałów i obeszli się z nim, jak w trzy wieki później grenadyerowie jedynej i niepodzielnej republiki z *Wieczerzą*. Model został zniszczony. Chciał go później nabyć czy dla odrestaurowania, czy tylko na pamiątkę książę Ferrary; podobny zamiar objawił i późniejszy opiekun Leonarda Ludwik XII. Widocznie jednak model nadto był zrujnowany, aby można go było przewieść i w jakikolwiek sposób zużytkować.

Praca Leonarda pozostała więc daremną, dźwiękiem bez echa, ziarnem, któremu nie było sądzono wyrosnąć w kłos bujny i obfi-

ty? Nie. Nawet o utworach, których nie dokonał, nie można tego powiedzieć. Nic w naturze nie ginie, nic też nie jest daremne z działania człowieka. I nietylko w dziedzinie pojęć moralnych, każdy, choćby niedokonany, zamiar człowieka jest czynem i to czynem nieśmiertelnym, dającym się naprawić, zagładzić i zmazać co do winy lub zasługi, ale niedającym się zmazać co do istnienia. To samo jest i odnośnie do realnego życia. Mniejsza o to, czy zejdzie plon z ziarna, które rzucał siewca: zasługa jest niezmienna, jeżeli ze swej strony niczego nie szczędził, aby plon otrzymać. Jeżeli zaś gdzie, to u nas, w narodzie, w którego najnowszych zwłaszcza dziejach karty najczystsze i najpiękniejsze są najmniej szczęśliwe, nie godzi się wartości człowieka lub jego dzieła mierzyć powodzeniem.

Powodzenia Leonard da Vinci nie miał, a z czterech największych dzieł jego życia, żadne nie ostało się losom przeciwnym. Ideał niewieściego piękna, najwyższy w całem malarstwie odrodzenia, bo najgłębiej pojęty i najdoskonalej odzwierciadlający duszę, Monna Liza, przemalowaniem zniszczona, daje nam raczej domyślać się, niż czuć czem być musiała Wieczerza, zatarta niemal doszczętnie: znamy ją bodaj już ze sztychu Rafaela Morghena, jaką była, podczas gdy na przeciwnej ścianie tego samego refektarza jaśnieje bezczelną świeżością barw i linij zupełnie mierne, tuzinkowe Ukrzyżowanie Giovanniego Donata Montorfano. Bitwa pod Anghiari na ścianie wielkiej sali radnej Palazzo Vecchio we Florencyi zniszczona bez śladu i tylko parę zatartych szkiców i sztych Marcantonia della Torre dają o niej trochę wyobrażenia. Bez śladu zniszczony i model posągu Sforzy.

Bez śladu, ale nie bez pożytku. A nie sam to tylko idealny pożytek, jaki przynosi promienna wizya geniusza pełnego harmonii i duchowej głębi, ale pożytek realny. Taka jak jest Gioconda, będzie do końca swego istnienia sama jedna całą szkołą dla artystów. Rafaellowskie madonny będą ich zachwycać i uczyć piękna, ona zaś będzie się uczyć patrzeć w duszę. *Wieczerza* otwarła świat nowy dla artystycznej kompozycyi. Gdyby jej nie stworzył Leonardo nie byłoby Veroneza i całej jednej, najwspanialszej części weneckiego zwłaszcza malarstwa z drugiej połowy odrodzedzenia. Podobną szkołą dla współczesnych batalistów była bitwa pod Anghiari, była nią wiemy już i dla Rafaela. A jeżeli o konnym posągu Sforzy nie możemy tego samego powiedzieć na podstawie autentycznych źródeł, czyż nie każe nam tego powtórzyć logika faktów, wpływ iście magnetyczny, jaki Leonard wywierał na swe otoczenie zawsze, a tem bardziej na uczniów Academiae

Vincianae jak długo wśród nich przebywał. Leonard nie byłby tym półbogiem, za jakiego go uważały Włochy XVI w., gdyby jego koń nie odbił się swym wpływem obok koni Verrocchia i Donatella na całem pokoleniu rzeźbiarzy, podobnie jak na malarzach — konie z Bitwy pod Anghiari.

Ostatecznie nie mamy prawa zwracać przeciw Leonardowi ostrza znanego twierdzenia, że „nur das Schaffen macht gross, nicht das Wollen," bo nigdy u niego siła nie była mniejszą od woli i zamiaru. W ogóle im bardziej z kolosalnej a tajemniczej postaci mistrza coraz to ściślejsze badania uchylają zakrywającą ją dotąd zasłonę, tem ona w oczach naszych rośnie, tem potężniej działa na nas wpływ jego geniuszu — i w przyszłości niewątpliwie im bliżej Leonarda znać będzie ludzkość, tem niżej schyli przed nim czoło. Ale w społeczeństwie, na którem sprawdzała się już tak często grecka bajka o Ikarze, godzi się z historyi Leonarda i jego niedokananych utworów, wyciągnąć dwie nauki. Jedną, że hasło „mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił" jest nietylko szlachetnem, ale i uprawnionem, i praktycznem, jeżeli je wypowiada Mickiewicz lub Leonard da Vinci, że jednak powtarzać je za nimi i do siebie stosować temu tylko wolno, kto im jest równy i jak oni — geniuszem; drugą, że i dla tych, którym je wymówić wolno, hasło to przecież stać się może niebezpieczne, boć nietylko o własną bezsilność rozbić się może praca twórcza człowieka, ale i o zewnętrzne okoliczności i warunki. Do tego, kto jak Leonardo był nawet kosztem swej chwały i nawet w dziełach dla chwały tej straconych, światłem, dźwignią i chwałą całej jednej epoki w dziejach ludzkości i to epoki takiej jak odrodzenie, godzi się zastosować słowa poety:

„I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu."

Jan Łada.

Młodość Słowackiego[1)]

1809—1836.

IV.

Wzmaganie się pesymizmu. Wyjazd z Warszawy.

Nowy świat go otoczył, atmosfera drażniąca w stopniu wysokim objęła w około, oddech stolicy, skupiającej całą umysłowość polską, gasnącą już w Wilnie, pobudzał do gorączkowej roboty. Było to już po wyjściu *Konrada Wallenroda* i petersburskiej przedmowy Mickiewicza, która spadła jak kij w mrowisko klasycyzmu i wywoływała zatargi nieustanne. Byron, Walter Scott, Goethe, Schiller, Wiktor Hugo i burza romantyczna szalejąca nad Sekwaną, byli przedmiotem rozpraw młodych; coraz namiętniejsze krytyki, ukazujące się w pismach codziennych, wskazywały na napięcie polemiki, krańcowe zawichrzenie pojęć, wybujałość indywidualizmu, nad którymi bolał nie bez słuszności czasem Brodziński. Dzięki Odyńcowi, znanemu sobie z Wilna, wszedł młodziutki adept poezyi w koła literatów i zaczął rozpalać się myślą o tworzeniu mającem zadowolnić jego dumę, żądną sławy. Egotysta, zamknięty w sobie, subtelny marzyciel, musiał niejednokrotnie zrażać się polemiczną atmosferą polityczną i literacką tu panującą; rozwijał w sobie teraz te zarody charakteru, które wydobyliśmy poprzednio i „coraz smutniejszy," bo coraz bardziej byronizujący, czuł potrzebę samotności, która mu dokuczała w Krzemieńcu. Gorączkował czasem i pisał w tym stanie *Mnicha*, tęsknił za czasami wileńskimi, słuchał opowiadań starego sługi i nastrajał się niekiedy bohatersko, opowiadaniami Grzegorza i teraz, jak sam mówi w pamiętniku, „łatwo pojąć, jak

[1)] Patrz zeszyt styczniowy, str. 1.

takie nudne życie wróciło mnie do kraju imaginacyi. Siły wyobraźni wzięły przewagę nad wyniszczonemi fizycznemi siłami. W imaginacyi zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem, i raz zacząwszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie zawarte w dwóch tomach poezye w przeciągu półtora roku, to znaczy do połowy roku 1830 lub co najwyżej do jesieni.“

By zgłuszyć tedy trawiące go nudy, pisał nie domyślając się, jak jest podobny do Chateaubrianda, skarżącego się wiecznie na nudę i *manie d'être* na nieskończone sposoby. Zawód urzędniczy nie mało mu sprawiał przykrości; jedyną rozkoszną chwilą było tworzenie pospieszne, pełne gorączkowości, podmiotowe do krańcowości i cenne, głównie ze względu na psychologię poety. Prof. Zdziechowski w swym *Byronie i jego wieku* wybornie ocenił charakter tych tworów; do jego charakterystyki poety, tam zawartej, trudno dorzucić nowe uwagi. Czy taki nastrój i zamiłowanie zgadzały się jednak z nastrojem ówczesnej młodzieży? Chyba nie i, jak słusznie zaznaczył niedawno prof. Askenazy, młodzież ówczesna była prostsza, jednolitsza, zdrowsza i skłonniejsza do czynu niż do pesymizmu. Wynikało to z temperamentu poety, nawskroś egotycznego i chorobliwego; ten temperament pragnął tylko wrażeń artystycznych i wyznawał sceptycyzm polityczny w całej pełni. I tu źródło niesnasek między nim a społeczeństwem. A tymczasem w około wrzało od politycznych polemik, a atmosfera czyniła się zapalną i nastrajającą serca na rytm przyspieszony. Warszawa wyglądała, jako zbiorowisko tajnych kółek i kół, które poruszały nawet chłodnych, a wybuch groził nieuchronnie, zwłaszcza, że do przygotowanych lontów sposobiły ogień: rewolucya lipcowa nad Sekwaną, zakończona upadkiem burbońskiej reakcyi, przykład oswobodzonej Grecyi i zrewolucyonizowanej Belgii.

Że poeta stronił od polityki i burzliwych starć rażących go swą brutalnością, wiemy; nie był przecież wprost obojętny na sprawy ogólne i jego pessymizm, znany już z czasów wileńskich, nie dozwalał mu tylko na oddanie się agitacyi i polityce czynu. Był na to za dumny, za pogrążony w sobie samym, za rozczarowany i znudzony. „Zajmował mnie świat poetyczny — mówi w pamiętniku — ale nie tak silnie, aby mi zasłonił zupełnie *nudną i smutną rzeczywistość*.“ I gdy się zetknął z nią w domu panny Kickiej lub Węgrzeckich, nudził się. Nudził się, jak Chateaubriand, nudził się jak zblazowany arystokrata, tęsknił za przeszłością i wyczekiwał czegoś lepszego od przyszłości. Jego wzór był zadowolony, gdy siedział, grzejąc się na słońcu, a on zapadając w marzenie poetyczne. Przypuszczamy, że czytał wtedy

zbyt namiętnie *Natchez* swego duchowego przewodnika, które wyszły właśnie przed czterema laty i w których patryarcha francuskiego romantyzmu podkreślał jaskrawo to znużenie życiem, tę nudę, której nie rozpraszały sława ani geniusz, praca, ani wczas, pomyślność, ani nieszczęście. On opowiada o tej nudzie z szczerością i wdziękiem, które każą wierzyć jego wyznaniom. Jej źródłem była duma, jak u Chateaubrianda, duma tyrańska, nieposkromiona, gorzka, nieuleczalna, obojętna i wynaturzona. Ona to wiodła dwudziestoletniego młodzieńca do kroków niewłaściwych i zrażała do niego ogół. Odyniec w swym sądzie o nim jest jednostronny, ale to co mówi o jego wiecznie ironicznym sarkazmie w liście do Ignacego Chodźki, może mieć w sobie krztę prawdy. A on sam, choć w objaśnieniach do *Mindowego* usilnie krył się niby za osoby działające w powieściach, przecież pisząc *Mnicha* w największem rozgorączkowaniu, jak Chopin, komponujący niedługo później preludyum Nr. 2, mówił tylko o sobie. Między tymi dwoma genialnymi młodzieńcami zachodziło wielkie podobieństwo wyobraźni i uczuciowości. Jak tamten, nie mógł Słowacki, zwłaszcza wtedy, utrzymać miary, musiał być zawsze podmiotowym i tworzył niby w hallucynacyi. Mógł się chwilowo zapalić dla haseł ogólnych, ale gasł szybko i o sobie nie zapomniał mając własną dumę, jako motyw kierujący tworzeniem. Do wewnętrznej harmonii było mu daleko, a do rozstroju tej nerwowej natury mogło się też przyczynić rozpamiętywanie o świeżym zawodzie miłosnym:

Marzyła dusza. Ileż razy w spieki,
Ścigałem w stepach zniknione obrazy;
Często myślałem, że już niedaleki,
Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy.
Płoche to było i marne złudzenie!

A więc życie go nudziło, jak Renégo, a może i kochać nie umiał, jak Eudove w *Martyrs* Chateaubrianda, znanych mu niewątpliwie już wtedy. Nuda go pożerała i był duszą niespokojną, pałającą żądzą wrażeń nieokreślonych, zbyt wyrafinowaną, by ją mogły zadowolnić zwykłe zabawy i małe przyjemności życia. Przed oczyma widział przepaść między marzeniami a rzeczywistością i żarła go rozpacz groźna, i gotowa znienawidzieć ludzi i świat, gotowa wydać im walkę na zabój, gotowa zamknąć się w odosobnieniu pysznem i patrząca na wszystko, jak na widowisko ucieszne i bez interesu dla artysty.

A postać Śniadeckiej, która wzgardziła nim jak Mary Chaworth Byronem, stała mu, jak myślę, ciągle w pamięci. Więc chce być pesymistą i wchodzi w swą rolę doskonale, odsuwając od siebie lepsze pierwiastki swej natury. Smutnym jest naprawdę, jak René, rozczarowanym, kochającym sławę i lekceważącym ją, a jego pamiętnik jest pełen cierpienia istotnego. Cierpienie to mniej silne niż de Vigny'ego i Leopardiego, ale prawdziwe, skoro przywiodło go do takiego obłędu moralnego, jaki nie stał się nawet udziałem Byrona. A ten obłęd moralny zbliżał się szybko, obwieszczając się zrazu pragnieniem ucieczki od otoczenia. Rzecz dziwna, że *Hugo*, jako najpierw napisany, nie zawiera go wcale i odznacza się jedynie wedle słusznej uwagi jednego z krytyków, tajemniczością intrygi, właściwą Byronowi; wystąpi ono w *Mnichu*, a jeszcze bardziej w *Mindowem*, gdzie przekształci się w rodzaj nihilizmu moralnego, szpetnego i nieznanego Mickiewiczowi, pod którego wpływem, począł tworzyć poeta:

Tyś spokojna? ja nie chcę widzieć cię spokojną.
Szczęśliwa? nie chcę, żebyś ty była szczęśliwa.
Niech serce twoje zawre sprzeczną uczuć wojną,
Niech je niszczy rdza cierpień, zgryzota rozrywa.

Może to echo uczuć poety dla Śniadeckiej; bądź co bądź psychologia tak *Mnicha*, jak *Mindowego*, ma wiele podobieństwa nietylko z bohaterami takiego *The Giaour*, czytanego właśnie w oryginale z gorączkowym zapałem, ale i z ówczesnem usposobieniem twórcy. Spostrzeżono to już dawniej, a obecnie wykazano nawet szczegółowo reminiscencye byrońskie[1]). Cechą zaś wspólną romantyków było, że ich charaktery były mniej więcej dokładnymi obrazami stanów ich osobowości. Byron natchnął poetę więcej niż Szekspir, pod którego natchnieniem może pierwszy polski dramaturg, wedle wzoru romantycznego, prawdy nie wynaturzył, choć był już blisko tej granicy, gdy przez usta Mindowego skarżył się gorzko:

Ach matko! ciężkie! ciężkie moje było życie,
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko:
Nikt mnie nie kochał.

I rzecz szczególna, że pamięć chłopięcej miłości będzie się odzywać w poecie życie całe... W lecie 1830 r. odwiedził strony

[1]) Stanisław Zdziarski: *Szkice literackie*. Lwów-Warszawa 1903 str. 195—259.

rodzinne i, jak przypuszcza Hoesick, pisał tam *Jana Bieleckiego*. Prawdziwy romantyk nie mógł nigdy zapomnieć o sobie i dlatego w naturze bohatera, szczególnie po spełnionej zdradzie, przeważa gorycz, zresztą usprawiedliwiona i pełna dziwnej poetyczności:

Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa — od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.

Myśl o dramacie nie opuszczała go wtedy stale. Wszakże Byron napisał ich ośm i w nich wyraził najczęściej swe najtajniejsze myśli i bunt ducha; we Francyi i Niemczech była to ulubiona forma poetycka, a choć poeci lubili ją naginać do nastroju swej duszy, dbali o koloryt miejscowy, szukali punktów stycznych z ogółem, stwarzali jednem słowem jakąś atmosferę idealną, prawdopodobną i poetycką w stopniu wysokim.

Więc i uczucia poety przeglądać będą, jak Wiktora Hugo, w jego teatrze. *Marya Stuart*, która nastąpiła teraz, wiąże się tedy z jego życiem uczuciowem, marzeniami i przejściami, krążącemi po dziele, jak krew w żyłach. On analizuje siebie samego, jak Musset, pod różnemi nazwami, i raz przedstawia się naiwnie, jak paź, raz namiętnie, jak Rizzio, raz ponuro, jak Botwel. Jak stany jego usposobienia są subtelne, tak subtelne są i figury dramatu, a kreślone ze zmysłem psychologicznym, jakiego nie posiadał żaden w tym stopniu z polskich dramaturgów dawniej, wtedy i później. A Marya, luźnych zasad i wątłej moralności kobieta, nie jest czasem podobna do jego ideału? Słowa pazia do astrologa przypominają wrażenia jaszuńskie:

Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jej stopach — nieraz na kolana
Spadnie mi róża na półuwiędła z jej czoła;
Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną...

On miał jednak wyobraźnię nadzwyczajną i coraz nowe pomysły wyrastały po sobie. Tej wyobraźni nie miał nikt z romantyków może i ona była dla niego klęską i szczęściem zarazem. A uczuciowość, która jest w poecie jednym z głównych źródeł sztuki, doszła teraz do drugiego stadyum natężenia w kierunku byrońskiego, a może więcej jeszcze Chateaubriandem natchnionego pesymizmu. Jego echem *Arab*, nakreślony jako ostatni w cią-

gu owego pamiętnego, półtora roku może bezpośrednio przed nocą listopadową i stanowiący coś wręcz przeciwnego od nastroju byronizującego Mickiewicza oraz całego ogółu polskiego. Byronizm tamtego był więcej dekoracyjnym od samego początku i później; Malczewskiego trapiła rozpacz posępna, ale rezygnacyjna i chrześcijańska. Tu był pesymizm bezwzględny, złowrogo odzywający się już dawniej, a mogący iść w porównanie z pesymizmem tylko de Vigny'ego lub Leopardiego. W okresie rozpłomienionej atmosfery patryotycznej egzaltacyi rewolucyjnej, spotęgowanie idei społecznych, ekscentryczna mizantropia tego rodzaju—była czemś odosobnionem. Byron mógłby podpisać, jak sądzę wbrew zdaniu prof. Zdziechowskiego, *Araba*, Shelley nigdy. Zanadto wiew helleńskiego ducha przenikł go w młodości i do ostatnich konsekwencyj nie doszedł nigdy w zawziętym egotyzmie. Pesymizm uniósł tu wrażliwego młodzieńca zbyt daleko i zamiast zwyciężyć go, stał się jego ofiarą. A i Vigny kładł za dogmat rozpacz spokojną, a nie zniszczenie wszystkiego. To już pesymizm absolutny, bez pół lub ćwierć nastrojowości, zbliżony do nihilizmu Leopardiego, choć mniej głęboki; poeta miał mniej powodów do niego, a smutek mu wrodzony rozgorzał tylko zbyt jaskrawo i ponuro. Był tedy, jak de Vigny, idealistą bez wiary, myślicielem bez dogmatów, mizantropem krańcowym, młodzieńcem bez młodości, niby cierpiącym dumnie, a czasem pałającym chęcią zemsty złowrogiej:

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,
Wesołych cierpień widokiem przerażam;
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi bledną i śmiać się nie mogą.

Wśród kamiennych ludzi skamieniało jego serce, zabił w sobie nadzieję i zbuntował się przeciw Bogu i jego stworzeniu, które nienawidzi, jak de Vigny w *Maison du Berger*.

Wielka wyobraźnia dolewała jeszcze oliwy do ognia i tworzyła sytuacye, jeżeli nie nieznane, jak utrzymuje mniej słusznie Małecki, to jako objaw moralnej choroby, niebezpieczne. Mógł ten pesymizm zaciężyć bardzo nad twórczością, a nawet zaszkodzić poecie w opinii tem więcej, że był afektacyą i pozą w dużej części, nie miał przyczyn poważnych i kazał w lat dziewięć później odpowiedzieć poecie na zaczepkę złośliwego i jednostronnego krytyka z pewną pokorą, że „teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc wzrostu sobie przy-)

mnożył.“ A więc pesymizm obecny był tylko pozą artysty dla ludzi, którzy bynajmniej o „artystostwie“ nie myśleli? W tem wyznaniu poety było przecież nieco dumy, ukorzenia się nieco wyniosłego, pogardy tłumu pozbawionego, miłości sztuki, jak u parnasistów francuskich. A ten tłum, to przecież nie mieszczaństwo paryskie, syte i zadowolnione, ale naród nieszczęśliwy i żądny wolności. Samo wyznanie poety, że zbłądził, dowodziło niezbicie, że w zarzutach jego przeciwników była szczypta prawdy, i że obojętnie dla sprawy ogólnej nastrojony był wtedy istotnie. Więc *Arab* był tylko dalszym ciągiem jego autobiografii. Rozpoznać w nim można poetę *Godziny myśli*, zdradza się on w nim z swą goryczą, mizantropią, nudą, odosobnieniem, dumą, zamiłowaniem samotności, pragnieniem szczęścia nieokreślonego i melancholią niepocieszoną i krańcową:

Nie! nie chcę raju — lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrące promieniami słońca...

Zostawiają te wylewy wrażenie głębokie; nihilistyczna mizantropia podyktowała poecie zapewne najpiękniejsze wiersze, jakie dotąd napisał. Nienawiść świata, przepełniająca poemat, przytłacza nas, jak głaz, razi jak bluźnierstwo, przejmuje grozą swym spokojem i brakiem ludzkiego uczucia i cieszymy się, że to ostatnie stadyum uczuciowości jego, którą rozwinął w nim zwłaszcza Rousseau i Chateaubriand z dodatkiem Byrona, że nie zatrzyma się on, jak de Vigny w stoicyzmie, ale zwróci zwolna, i z trudem z obranej drogi i wydobędzie z siebie skłonności lepsze.

I wtedy zaszedł wypadek równie tajemniczy i zagadkowy, jak pierwsza pieśń poematu, a nierównie smutniejszy i komentowany przeróżnie, a zawsze, jak sądzę, z niewłaściwym w takiej kwestyi liryzmem. Nie myślę stawiać nowej hipotezy o przyczynie wyjazdu poety z Warszawy; wywód Małeckiego, jak się zdaje, może dotyczyć tylko zewnętrznej pobudki, która ten wyjazd wywołała. „Wyjechałem w podróż — pisał nasz zbieg do matki 17 marca 1831 r. — 8-go tego miesiąca; nudną miałem drogę, czas dosyć brzydki, wyjechałem w nocy, smutno mi było, zdawało mi się, że uciekam i teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumieniem. Mamo moja kochana, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić.“ Słuszne przeczucie, a podobne do tego, które żywił Chopin, opuszczający Warszawę. Wielcy poeci

nie zawsze byli wielkimi charakterami, a nieugiętość przekonania tyle imponująca u nader słabego artysty Goszczyńskiego, obcą była Słowackiemu. Jego usposobienie obecne uniemożliwiało wiarę stalszą w cokolwiek; czuć w tym kroku, jak myślę, tylko egotystę, sceptyka, pesymistę, z arystokratycznym uśmiechem spoglądającego na sprawy tłumu. Byron nie mógł zapomnieć o swem lordowstwie, jego wielbiciel o swym pesymizmie, rozstroju, mizantropii. Nie tłómaczyć więc tegu wyjazdu zewnętrzną pobudką, ale sięgnąć do jego ówczesnej psychologii trzeba i należy; w niej znajdzie się klucz zagadki. Uczuciowość i wyobraźnia, oto z czego składa się on cały. Drugiej ma więcej, niż pierwszej, a pierwsza ma charakter więcej osobisty i skierowany do siebie samego. Nie znaczy to, że nie umie kochać; ale jego przywiązanie ma niekiedy formę zbyt poetycką i odrębną.

Kocha swe marzenie, bawi się niem, cofa się i zamyka się w sobie, bo nie może oddać się z całą namiętnością. On, największy psycholog między naszymi dramaturgami, widoczny jest przecież wszędzie, jak Chateaubriand; urywek z niego jest w każdem jego dziele. A wszędzie jest dumny, melancholiczny, znudzony często, analizujący siebie i krańcowy, jak René lub Eudove. On lubił jednak swą drażliwość, promieniował nią w całej poezyi, wpajał ją czytelnikom. A rzeczy na świecie nie są podobne do marzeń; raziło go i razić mogło w powstaniu wiele, jego egotyzm i zamiłowanie samotności czuły się źle w atmosferze naprężonej, potrzeba było większej siły ducha, by to znieść i cofnął się. „Trzeba było iść do wojska — pisze 12 kwietnia t. r. — miałem aż nadto do tego chęci. Los jakiś rządzi moją karyerą i widzę, że zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał.“ Ten los, to jego indywidualizm bez miary, lekceważenie czynu, nuda, mizantropia, rozczarowanie, gorycz, smutek. Zbyt ferment objął jego istotę, by zdobył się na energię, i postąpił wedle sumienia, które go gryzło. „Przez jakiś czas — pisał znów 23 maja t. r. — miałem zamiar do was powrócić; teraz już o tem nie myślę, wreszcie napiszcie mi, co ja mam robić, gdzie się obrócić, jaki jest stan waszych interesów.“ A więc najpierw ukartował plan wyjazdu, jeżeli zapewnił sobie weksel od matki w Dreznie, a potem wahał się i walczył z sobą.

V.

Wrażenia podróżnika. Przesilenie pesymizmu.

Jechał więc Słowacki na Zachód, skąd przyszedł do nas romantyzm zwyciężający wtedy ostatecznie pseudoklasycyzm i obchodzący właśnie wraz z malarstwem tryumf zupełny. Reakcya romantyczna ogarnęła wszystkie rodzaje literackie, a jako hasło podawała przedewszystkiem koloryt i efektowność, w obec których ekspresya formalna ma tylko znaczenie drugorzędne. Indywidualizm nieograniczony niczem, miał być odtąd zasadniczym motywem twórczości, a życie, natura, wyobraźnia utożsamione z światem zewnętrznym, stanowić moment decydujący. Rozwiały się pojęcia miary, harmonii, określoności, bezosobistości, realizmu, plastyczności — zaczerpnięte z literatur klasycznych, a romantyzm zbliżał się do granic swej ewolucyi indywidualistycznej, której krańcowym wyrazem byli Novalis w Niemczech, Byron, Shelley, Keats, Poë na gruncie brytańskim, Hugo i Musset we Francyi, Słowacki u nas. Macaulay z ironią mówi o szerzącej się chorobie byronizmu nad Tamizą, która udawała bardziej dekoracyjną romantyczność Walter Scotta i stawała się manierą; nad Sekwaną, dokąd dążył właściwie poeta, było podobnie. W ten sposób rozchodziły się drogi dwóch wielkich mistrzów polskiego romantyzmu, nim jeszcze znaleźli się w jednem umysłowem środowisku. Romantyzm Mickiewicza stał w związku z pojęciem poezyi Goethego, Schillera, Herdera, nie wykluczających wcale rozumu i nie dających wyobraźni i uczuciu wyłącznych przywilejów. Wszechstronnie wykształcony, prosty, zdrowy temperament litewski Mickiewicza oparł się na tem pojęciu zaczerpniętem po części od Groddka i Borowskiego, po części, jak tego dowiódł Chmielowski, od Schleglów; wszakże w r. 1822 chwalił „grecką równowagę między imaginacyą, uczuciem i rozsądkiem," nie radził zrywać z zasadniczymi prawidłami klasycznej sztuki, choć wyśmiewał pedantyzm pseudoklasyczny. Twórca *Grażyny* umiał być klasykiem w epoce największej brytanomanii i wykluczyć swą osobistość, co nie udawało się zbytnio twórcy *Mindowego*, jak to widzieliśmy dopiero. Zbliżał się wtedy Mickiewicz do zenitu rozwoju i choć potępiał *Braut von Messina* Schillera i nie chciał neoklasycyzmu, pobyt w Rzymie, studya nad Winckelmannem, rozmowy z Krasińskim, dowodzą, że zaszedł w nim zwrot do realizmu bardziej przedmiotowego. A jak Improwizacya Konrada była chrześcijańską parafrazą tragicznych wyle-

wów ajschylosowego Prometeusza, i uznaniem słabości rozumu ludzkiego obcem Byronowi i jego naśladowcom, tak i niebawem mająca powstać epopeja więcej przypomina Homera, Wergiljusza, Tassa przedmiotowością rzadko tylko naruszaną, wypukłością, plastyką, wyrazistością i spokojem, niż Byrona. Mickiewicz wyprzedził zwrot do realizmu wśród romantyków europejskich i nim popadł w mistycyzm, dał najdoskonalszy pomnik tworzenia w duchu tradycyj helleńskich.

Natchnienie jego było jednak czysto romantyczne, jeżeli za romantyzm uważa się zwrot do przeszłości, przyrody, metafizyki religijnej lub mistycznej. Słowacki poszedł dalej już od dawna i nie zatrzymał się dotąd ani na chwilę. Wezbrana fala podmiotowości nie opadała w nim wcale, a choć pesymizm jego wzmożony lekturą Chateaubrianda i Byrona przesilił się niebawem, niemniej pojęcie sztuki nie zmieniło się prędko i jak ówcześni romantycy nadsekwańscy, dbał więcej o jaskrawy koloryt niż rysunek, efektowność niż prostotę i ekspresywność linij. On sądzi, że w naturze nie ma linij, że kontury mieszają się z sobą, że natura zawiera efekta niesłychanie świetlne i rozlewne, że nie kontur rozstrzyga, ale charakter, nastrój, ruch, namiętność, ton, drganie. I dlatego Słowacki jest Delacroix polskiej poezyi, rozwichrzonym, namiętnym, unoszonym falą nastrojowości zmiennej, jak pogoda wiosenna, suggestywnym, błyskotliwym, wymownym ogromnie a rzadko chłodnym, zrównoważonym, skupionym, dokładnym, harmonijnym, imponującym kompozycyą, rozkładem efektów i czystością rysunku, jak Ingres walczący współcześnie z Delacroix o palmę pierwszeństwa w sztuce malarskiej. A *Apothéose d'Homère* Ingresa stworzona po powrocie z Rzymu, o dobrej kompozycyi, świetnym rysunku, kolorycie będącym, jak w Mickiewiczu, akcesoryum przynajmniej do pewnego stopnia, stoi w takiej sprzeczności z fantastyczną *Barque de Dante* Delacroix, jak poezya mickiewiczowska wtedy i później, z twórczością ówczesną i przyszłą Słowackiego. By to zauważyć, nie potrzeba uciekać się aż do Veronesa na wzór Klaczki albo Moreau lub Boecklina na wzór Matuszewskiego; sztuka plastyczna i poezya miały wtedy cechy podobne. Więc i Słowacki, jak Delacroix, umie być głębokim, umie roztoczyć obraz burz wewnętrznych, umie poruszyć do trzew, ma dar czarodziejski wywoływania wizyj strasznych, szarpiących, bolesnych i nie mieszczących się prawie w ramach utartych wyrażeń i form. Delacroix potrzebował plafonów, i kopuł dla swych pomysłów, nie lubił też świata rzeczywistego i wolał „tęczową kopułę myśli," rozwiewność, nieokreśloność, nieskończoność fantastyczną i nad-

zwyczajną. On jest Delacroix naszej poezyi i Puvis de Chavannes; jak tamci rozpętany, nie cierpiący powszedniości, idealista i egotysta do ostatnich krańców; dlatego też realiści poetyccy i trzeźwe umysły—nie pojmą go nigdy... Na razie nasz pesymista wędrował przez Niemcy, tęskniąc do swoich i kątów rodzinnych. Gdy nad Wisłą toczyły się krwawe zapasy z coraz złowróżbniejszym wynikiem i zbliżały się fatalne wypadki 15 sierpnia, on bawił się w Dreznie, czytał w bibliotece, snując w wyobraźni wątek drugiej pieśni *Żmii*. Wszak mógł wrócić jeszcze, ale zamiast tego utyskiwał tylko bez wielkiego bólu, że „źle jest trochę, żem wyjechał za granicę, ale już się stało.“ Czuł, że nie ma siły do powrotu i choroba pesymizmu zbyt go opanowała, by teraz już szukał „sposobu zyskania szacunku w kraju.“ Tęsknota już go rwała jednak i kazał sobie opisywać „Krzemieniec tak spokojny między górami, po których wiatr świszcze.“ Humorystyczny ton ówczesnej korespondencyi każe mniemać, że nawet niespodziewanej podróży do Londynu, która miała wedle Małeckiego być rodzajem misyi dyplomatycznej, nie brał na seryo; na wstępie do Francyi w Metz uderzył go tylko obchód rocznicy rewolucyi francuskiej, będący objawem zwycięstwa idei demokratycznych francuskiego mieszczaństwa, które opanować miały właśnie sztukę, nadać jej charakter rewolucyjny, by przypomnieć choćby wystawioną wtedy *Barricade* Delacroix, polemiczną i jeszcze mniej spokojną i akademicką niż twory dotychczasowe...

Gdyby Słowacki był ślepym naśladowcą Byrona, wpadłby w rutynę; on tymczasem, wbrew płytkiemu twierdzeniu Zaleskiego, szedł naprzód wchłaniając wpływy najróżnorodniejsze. Już pierwsze jego poezye cechowała wedle głębokiej uwagi prof. Brücknera „nie byrońska cecha, smutek, tęsknota, godząca nas niemal z nimi, bo przejmująca nas głęboko.“ Teraz postęp będzie szybki i widoczny. Nim nastąpi jednak przemiana jego w entuzyastę, upłynie jeszcze sporo czasu. Czuł już niesmak do egotyzmu, skrupuły sumienia budziły się w nim żywo, tęsknota za krajem dokonywała reszty. Ale do sądu nad sobą nie doszedł jeszcze, trwał w własnym świecie i polskim René być nie przestał. Pesymizm wybucha w nim ciągle i lubił, jak tamten, uchodzić za rozczarowanego, obojętnego, samotnego w tłumie choćby dla konwenansu:

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy,
Niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia...

Przypomina się Chateaubriand, pesymista z instynktu i gardzący wyniośle wszystkiem z wyjątkiem siebie; współczucie, ukochanie, altruizm społeczny, nie zagościł jeszcze w sercu poety, gdy upajał się wrażeniami londyńskimi i Szekspirem, widzianym raz pierwszy na scenie po angielsku. Paryż, rzecz dziwna, nie zachwycił go wcale i zamiast interesować się nim, jak Londynem w przytoczonym dopiero urywku z wstępu do *Jana Bieleckiego*, żył w odosobnieniu studyując w oryginale Cerwantesa, a marząc o Calderonie. Lubili go romantycy niemieccy jak Tieck, czerpali z niego, jak ze źródła poetyckiej fantastyczności, poeci francuscy, jak Hugo; więc i on, jak oni pokrewni mu bardzo, rozkoszuje się jaskrawym realizmem, ciętą ironią, pomysłowością i temperamentem południowca. Szukał w nim tej jaskrawości, która odpowiadała jego nastrojowi krańcowemu i gardzącemu pseudoklasycznym konwencyonalizmem. Nosił się nawet z myślą podróży do Hiszpanii, jeżeliby mu się „szczęśliwie z wydaniem poezyj powiodło.“ Ale żądza samotności i mizantropia nie opuszczały go również. „Potrzeba mi spokojności—pisał 20 października 1831 r.—nieraz sobie myślę, iż nawet w Krzemieńcu mógłbym mieszkać szczęśliwy i powiadam sobie nieraz z Chateaubriandem: *si j'avais encore la folie de croire au bonheur, je le chercherais dans l'habitude.*“ A pisząc swój *Paryż*, streszczający wrażenia nadsekwańskie, wyglądał chmurnie i zionął nieustannie goryczą, jak dawniej:

Twarze z marmuru — serca marmurowe,
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod nim głowę,
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

Wyjątek z korespodencyi świadczący, że wpływ Chateaubrianda nie działał nań pośrednio przez Byrona, ale wprost dawniej i teraz, dowodzi, że poezye były zgodne ze zwierzeniami poufnemi. Twórca *Renégo* i Słowacki byli naturami bardzo pokrewnemi, a poczucie zupełnej nicości życia podzielali wspólnie. Obaj byli dumni do nadmiaru, obaj mieli wdzięk poetyczny, gdy mówili o swej dumie, obaj byli trawieni goryczą i lekceważeniem czynu, obaj nie umieli oddzielić siebie od swych utworów. W tej dumie leżał psychologiczny powód porzucenia Warszawy, w tej dumie często sofistycznej i lubiącej siebie samą, jak chwalebną ranę, tkwił powód obecnej nudy, rozczarowania, dekadencyi moralnej. Ale ewolucya już zbliżała się niepostrzeżenie i pragnienie wiary w cokolwiek nurtowało poetę nie bez skutku; przeszedł już kilka faz pesymizmu,

a przecież zapalał się niekiedy dla sprawy ogólnej. Marzył o mieście bardziej malowniczem niż mieszczański Paryż; tymczasem zachwycał się obrazami Luwru i kształcąc swój smak estetyczny marzył o sławie, która była już udziałem romantyków jego kierunku, jak Lamartine lub Hugo. „Z poetami tutejszymi — pisał jednak 10 grudnia 1831 — nie myślę się poznawać, bo teraz nieznajomy cierpiałbym, *nie mogąc sobie należnego między nimi zająć miejsca.*“ A szczególnie drugi zwracał jego uwagę, jako teoretyk i głowa romantyzmu; jego poezye i powieści, nie wyjmując głośnych dramatów o charakterach również byrońskich, oblały go wtedy blaskiem niezmiernym. Nie mogły też nie uderzyć Słowackiego natężenie obrazowości, potęga uczuciowości, technika formy i pomysłowości rytmiczne takich *Orientales* nie dawno wydanych i pełnych niewypowiedzianego czaru w swym oryentalizmie tak ulubionym przez romantyków. I on, jak Hugo, marzył więcej niż widział, a z fragmentów rzeczywistości przeistoczonych mistrzowsko składał nowe pomysły.

Więc i *Żmija*, którego kończył wtedy, raził manierą byrońską, która nie umiała wydobyć z siebie akcentów szczerszych i chciała olśnić tylko bogactwem szczegółów malowniczych i tajemniczością zużytą już i nie stojąc w harmonii z ówczesnem usposobieniem poety. Zimno, nieszczerość, sztuczność wieje z tego niby ukraińskiego poematu, który był tyle prawie ukraiński, co Wschód romantyka francuskiego. Ale Słowacki bywa czasem więcej interesujący niż jego dzieło. On nie miał jeszcze siły moralnej stanowiącej potęgę w rękach artysty, a jest nią oddanie się jakiejś idei, obchodzącej ogół lub pewną warstwę w narodzie; jeżeli nie umiał kochać, oddawał się swej twórczości i opowiadał o sobie bez rezerwy i poetycznie. Wszakże był duchowem dzieckiem Rousseau, Chateaubrianda, Byrona i każdy niemal moment jego życia odnajdzie się w dziele. Więc i Żmija przypomina swym sceptycyzmem, nienawiścią świata, myślą zemsty nad winnymi i niewinnymi psychologię poety, ale w sposób daleko mniej skoncentrowany, natężony, efektowny. Nie czuje się litości dla jego cierpienia, grozy z powodu jego nieszczęścia. To już pesymizm, szary i spospolitowany, jak długo noszona suknia. Nadał on jednak właściwy ustrój poematowi i pochodził z wyłącznego ciągle zajęcia się sobą począwszy od pierwszej młodości. Nie zniknie ono nigdy, ale wyszlachetnieje i oczyści się z egoizmu i mizantropii krańcowej do niedawna. Ale teraz znajdzie się Słowacki, jaki był lub chciał być, zawsze dumny, niespokojny, ścigany jakąś fatalnością i pełen zgrzytów ironicznych i przykrych. „Wszystko dobre mam od cie-

bie—pisał do matki 24 stycznia 1832 r.—wszystkiemu złemu sam jestem winien; *wszystko mnie znudziło*, musiałem wszystko porzucić i jak waryat gonię za jakąś tam urojoną nieśmiertelnością; nieszczęśliwe jest to skierowanie moich myśli w dzieciństwie.“ Takim był René, którego nuda wiecznie pożerała, jak sam wyznawał w *Natchez*, takim Słowacki. Ale on roił o sławie i nie był jak Chateaubriand obojętnym na jej powaby. Nie było w jego wyznawaniu nawet egzaltacyi; spowiadał się z rzadką otwartością i szczerze. Ale często przesadza swe cierpienia, by się nimi cieszyć i tworzy poezye wszędzie, czego się tylko dotknie. A dowodem rosnącego w nim nieznacznie altruizmu i przemiany duchowej był *Lambro*... Począwszy od r. 1820 filhellenizm szerzył się w Europie a pieśni nowo greckie entuzyazmowały wprost Lamartine'a, Chateaubrianda, Quineta, Hugo, który w *Orientales* sławił dzielność powstańców i malował Grecyę krzycząco i konwencyonalnie. Cały repertuar nowych obrazów, iskrzący się w tej poezyi, miał zabłysnąć znów w poemacie Słowackiego, którego bohater znów wbrew prawdzie historycznej miał być jak jego poprzednicy tylko „obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań. Jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego podobne do życia wielu.“ Nie mamy powodu wątpić w prawdę zapewnienia poety, bo i bez przedmowy do poematu byliśmy tego pewni. Poeta żył ciągle życiem wewnętrznem, a jego wyobraźnia i uczuciowość promieniowały teraz świetniej niż kiedykolwiek. Dusza jego sceptyczna i zwątpiała wylała się cała w jego dziele, a koloryt nabrał natężenia i blasku niebywałego. Wszakże jak zaznaczył już Hoesick, przestudyował wtedy romantyków francuskich, a szczególnie Hugo musiał go olśnić swą kolorystyką pełną jaskrawości i wirtuozyi. Nie powtarza się tedy i mając dar odnawiania swych barw i efektów, idzie za popędem swego wewnętrznego *ja*, stwarzając wizyę artystyczną nieskończenie. Pesymizm odzywał się w nim jeszcze silnie i stanowił kierujący motyw natchnienia. Wstęp poematu był jednak jak widzieliśmy sądem na siebie, a miał siłę i poetyczność nastroju niepoślednią.

Egotyzm krańcowy nie dozwolił, by postać Lambra wypadła inaczej, jak w duchu psychologii twórcy; Lambro jest też z tej samej rodziny, ale z zadziwiającą odmianą. To człowiek wyższy od Żmii, bo mający jakiś cień miłości Grecyi, ale zbyt słaby, gorzki, ponury, by znosić ciężar obowiązków, jak Słowacki. Miłość dziecinna dla Śniadeckiej tętni tu żywo w rozmowie bohatera z Greczynką na cmentarzu, a mizantropia i niechęć nieco łagodniejsze niż dawniej:

O świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy
Dla tych, co płaczą, czy to krwią, czy łzami.
Chroń się ty świata — bo on nie był z nami
W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;
Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy
I nie przebaczy tym, co toną w błędzie.

Wedle rozumowania poety, przemawiającego przez usta Lambra niesprawiedliwość panuje wszędzie, a odpowiedzią jak u de Vigny'ego w *Mont des Oliviers* może być tylko milczenie, zobojętnienie, pogrążenie się w sobie samym. Ale pesymista może mieć też chwile litości dla cierpień drugich i dla tego Lambro jest mścicielem uciemiężonych:

Wyście mnie wpletli w koło Ixyona,
Wyście się po mnie wiele spodziewali;
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w *tłumu* zanurzony fali,
Nie mogłem czoła wznieść nad *tłumem*...

Rzecz zadziwiająca, jak poeta w przeciwstawieniu do de Vigny'ego, pesymisty jak on, był nieustannie pomysłowym i obfitym w rozwijaniu jednego i tego samego typu, to jest siebie. Nic go nie wstrzymuje, wykonanie zadziwia łatwością, nie widać nigdzie wysiłku, pracy, potrącania o przeszkody. Obrazy i myśli spieszą się jedne za drugimi; on ich nie szuka, lecz znajduje. Są miejsca nieco mniej poprawne, ciemne, poplątane, ale czasem dziwna delikatność, szlachetność, wielkość stylu. Słowacki otwierać się lubi cały, bez rezerwy i nie lubi dyskrecyi de Vigny'go. Nie zamyka swych wzruszeń w sobie i wyrzuca z siebie, co jest w nim mętnego, bolesnego, szarpiącego serce i nerwy. Zapewne wtedy uspakaja się i cieszy się, że w jego poezyach poznaje go ona — Śniadecka. Spodziewam się — pisał do matki 9 grudnia 1832 r., — że jak wydrukuję *Lambra*, to mnie nie będzie obwiniać, abym się krył z mojemi uczuciami; myślę tylko nad tem, że trudno go będzie przesłać.“ Nigdy dotąd, z wyjątkiem *Araba*, poeta nie odkrył swej duszy żartej pesymizmem, nie tylko nabytym, ale i wrodzonym. To też pesymizmu tego nie ugasi ani walka za Grecyę, ani opilstwo w duszy Lambra; dla niego, jak dla poety, wszystko jest okazyą do cierpień, a w około wszystko jest głuchem i obojętnem, jak w znanym już poemacie de Vigny'ego. Wylewy liryczne Lambra, to krzyk samego poety, równie przenikający i buntowniczy, jak dawniej, i w równie, a może w piękniejszych wierszach, niż tam.

Czuć tu jego głos, dech jego istoty dręczącej nudą i cierpieniem. Wobec tych zgrzytów narzekania Gustawa wydadzą się sielanką i gdy de Vigny radzi stoicyzm i wytrwanie, gdyż

> Gémir, pleurer, prier, est également lâche!
> Fais énergiquement ta longue et lourde tâche,
> Dans la voie où le sort a voulu t'appeler,
> Puis après, comme moi, souffre et meurs sans parler,

bohater Słowackiego kończy wallenrodycznie opilstwem. Że prototypem Lambra był René, może prawdopodobniej niż Manfred wskazywany przez Tretiaka—nie ma wątpliwości.

Obaj są zapaleni, niespokojni, wyniośli, szukają wielkiej sprawy, by jej służyć, a gdy znajdą, wpadają w rozczarowanie na myśl o marności i próżności wszystkiego, cierpią na przeczulenie uczuciowe i nie czują, że na świecie są rzeczy dobre obok złych, nie tracą pewnego czaru artystycznego, ale duszę mają pełną przesytu i nudy nieuleczalnej. Jeżeli jednak Lambro był nieuleczalnym, był nim Słowacki.

Mimo wrodzonego pesymizmu, podsycanego lekturą, jak sądzę, de Vigny'ego i jemu podobnych, budził się w nim człowiek inny niedość silny i poczynała przemiana dostrzegalna już od wyjazdu z Warszawy. Czuł, że koło niego we Francyi górują idee polityczne i społeczne w poezyi romantycznej, że ogół emigracyjny patrzy na niego zainteresowany wydanymi pierwszymi tomami poezyj, i szukał formuły swej ewolucyi. Dzięki temu ogólnemu nastrojowi, nie zmieniając się na pozór, był już innym człowiekiem. Wszakże był to czas, gdy Lamennais, zwany dzieckiem burzy, i również, jak nasz poeta romantyk, wychowany duchowo przez Rousseau i Chateaubrianda, zachował swą wiarę wśród ogólnego sceptyzmu pozostałego po wieku ośmnastym i zwalczał w swym *Essai sur l'indifférence en matière de religion* wymownie, logicznie i z polotem deizm wolteryański i obojętność religijną. Uderzając na indywidualizm szukał prawdy w tak zwanej zgodzie ogólnej, w Kościele i papieżu i od r. 1830 wydawał z Montalembertem i Lacordaire'm *Avenir*, by podkopać materyalizm ówczesny. Słowacki nie mógł nie być wzruszony proroczym tonem uczuciowym, patetycznym i symbolicznym stylem publicysty i choć pisząc wnet swą przedmowę do trzeciego tomu poezyj wątpił, by „szkoła De la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku,“ stał w sprzeczności z sumieniem mówiącem mu, że nie tylko Byron może być obrazem wieku. Współczucie dla cierpień ogółu, którego Lamennais, a za

nim inni domagali się w poezyi, budziło się w nim, ale bez podniety dość silnej chwiało się i nie miało punktu oparcia. Były już w nim dążenia nieokreślone, ale brakło im spoistości, był poryw, ale brakło mu siły, był instynkt, ale brakło mu przykładu. Lepsze jednak skłonności budziły się w nim, o czem świadczy choćby wiersz do *Michała Rola Skibickiego* dość harmonijny i potępiający zbytnie ironizowanie:

Tu śmiech jest znakiem życia... Śmiać się nauczyłem
Gorzko — mszczę się — skonam i nie powiem: żyłem.

Bo też był on jak prawdziwy romantyk pesymista nie z rozumowania filozoficznego; jego pesymizm nie był systemem, ale objawem jego uczuciowości często indywidualnym i jako taki musi być ze stanowiska psychologicznego podciągnięty pod nazwę moralnej skłonności osobistej, bliskiej niekiedy zboczeniu w kierunku antyspołecznym, jak w *Arabie*. Ale że skłonności społeczne, przeciwne osobistym, rozchodzą się od człowieka do człowieka, przeto wzbieranie ich w społeczeństwie francuskiem i polskiem, a zwłaszcza w poezyi polskiej, której najwyższą formę piękna przedstawiał Mickiewicz, nie mogło choćby przez instynkt naśladowczy, wrodzony każdemu, nie oddziałać na poetę. Tak wytłómaczyłby tę poczynającą się w nim przemianę Ribot; tak wyobrażam sobie ją na podstawie współczesnego rozwoju idei i uczuć nad Sekwaną.

Ten zwrot, jak słusznie zaznaczył Brunetière w swej charakterystyce talentu de Vigny'ego, uwolnił Słowackiego od wyłącznego i ciasnego analizowania siebie samego; maniera byrońska kończyła się i opiewanie samego siebie, uczuciowość poety obejmowała szersze koła i nie wpadając w rutynę wpuszczała do mrocznych głębin własnego *ja* nieco światła może bladego i błękitnego, jakie ma panować w otchłaniach morskich wedle niektórych hipotez, ale światła koniecznie, światła, w którem musiała się roztopić wszelka retoryka grożąca już tej poezyi. Teraz dopiero rozpoznajemy w niej kontury nam nie znane dawniej, swojskie, bliskie i działające na naszą wrażliwość narodową, gdyż dotąd była ona rozczynem byronizmu, zindywidualizowanym i subtelnym, ale nie polskim, naszym, odświeżającym po szarej prozie życia. A praca nad francuskim dramatem *Beatrix Cenci*, na krótko przed wyjazdem z Paryża, dowodzi, że psychologiczna ewolucya poety postępowała jeszcze słabo i że idąc za gorączkową twórczością romantyków, jak Hugo, fantazyował na temat ponurej tragedyi rodzinnej włoskiej i mając genialny temperament dramatyczny, chciał laurów Dumasa i oklasków choćby francuskiego tłumu. Ale on, jak Dumas, miał nie tylko zmysł sceniczny, umiał olśnić kolorytem lokal-

nym; miał to, czego nie miał Hugo i Dumas, tworzący konwencyonalnie charaktery, dar wniknięcia w duszę. Jego dramaty nie ratował jedynie liryzm stylu albo wizyonerstwo archeologiczne, bo o to ostatnie nie dbał, jak Musset, dostrajając czas i miejsce niejako do swej fantazyi i akcyę do swego nastroju zmiennego, jak niebo polskie; ratował je on sam, wcielony w swe dramaty, jak Musset, widzialny tam w różnych chwilach i momentach psychicznych, często przebierający się najrozmaiciej, zawsze nowy a stale znudzony, rozczarowany, zmęczony, namiętny i poetyczny, jak mussetowski Fortunio, Valentin, Perdican, Fantasio, Lorenzaccio. A kiedy miłość, ów wieczny temat poezyi, przynajmniej od czasów melików greckich, ma objąć swą rolę w dramacie, liryzm poety prześciga wszystko, co jest w poezyi polskiej subtelnem notowaniem stanów, rozkosznem fantazyowaniem erotycznem, dyalogiem pełnym finezyi, o wdzięku nie do naśladowania i jedynym u nas. Takimi były może też nieznane dotąd fragmenty francuskiego dramatu. Usposobienie poety musiało być podobnem do tego, które towarzyszyło de Vigny'emu, piszącemu *Eloa*, a jego wnętrze duchowe roiło się pewnie od kolorystycznych fantasmagoryj w duchu sztuki dotąd wyznawanej, gdy padł na niego grom w postaci — trzeciej części *Dziadów*.

Poecie, który snuł podobno wtedy prócz dramatu jakieś historyozoficzne fantazye, może pod wpływem suggestywnej lektury, poczynającego być już głośnym Micheleta, wypadek ów rozerwał brutalnie tkankę rojeń samotnych, a jego wrażliwość była poniekąd źródłem jego natchnień. Gorycz wezbrana niespodzianie wylała się, jak myślę, w kończonym właśnie *Lambro*. Rzecz dziwna, że nie ma jej w korespondencyi, ale trawiła się ona w sobie pamięcią o doznanej krzywdzie, pierwszej w życiu prawdziwej, a przynajmniej znacznie przykrzejszej, niż mało znana broszura Lelewela, mająca wedle Małeckiego być powodem wyjazdu z kraju:

Paziu! daj mi czarę!
Za mało trucizn rozpalonych piłem,
Bo myślą ziemską wę śnie się rozbiłem...
Że nie zginąłem, życie mam za karę;
A to piekielna kara niebios — życie...
Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,
Co razi serca tonące w zachwycie!
Być jako wieko przysypanej trumny,
Co zrazu każdej garści zapomnienia
Posępnym, głuchym jękiem odpowiada;
A potem milczy...

Rozpaczliwy nastrój zakończenia *Lambra*, tu ma pewnie swój powód. Pesymizm, łagodniejący zwolna, rozgorzał teraz na chwilę strasznie ponuro i zionął dymem zabójczym w splątanych wynurzeniach pijanego korsarza greckiego. Pogarda tłumu, gorycz dotkliwa, żądza samotności, wściekły żar nienawiści przeciwnika, wzbiły się, jak kurzawa, zakrywająca słońce i rzuciły cień posępny na cały poemat. A poeta spełnił teraz jedno ze swych życzeń. W końcu grudnia 1832 r. znalazł się sam ze sobą, jak Lambro ze śmiercią — w Genewie.

VI.

Samotność genewska. Uspokajanie się wewnętrzne.

„Donoszę Ci, kochana Matko — pisał 6 czerwca 1833 r. — że od dni 20 wyszedł na świat tom III-ci moich poezyj... Przemowa krótka i gryząca, trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednem z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo, ale nie wiem, jak o nim u nas sądzić będą ludzie; o ten tom bardziej jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze.“ Pięć miesięcy upłynionych od fatalnego wyjazdu z Paryża, nie przeszły więc bezczynnie. W ustronnem zaciszu genewskiego przedmieścia, na tle najcudniejszej przyrody, otoczony czułą opieką pań Patteg, był smutny i nie czuł się swojsko, ale gryząca go gorycz złagodniała i żył wedle własnego wyznania „dosyć przyjemnie i spokojnie.“ Po wielkiem wstrząśnieniu szła reakcya, znużenie, chęć odpoczynku i życie z dnia na dzień, płytkie pozornie, ale w głębi kryjące rój pomysłów. Wyraziły się one na razie w *Godzinie myśli* świadczącej, jak trafnie zauważył Hoesick, że poeta przebywał w tym czasie więcej w przeszłości, a nadto, że paryski epizod z Korą Pinard i nowa znajomość z Eglantyną nie mają właściwie znaczenia, w dziejach jego serca, w którem panowała niepodzielnie, jako mara wyobraźni raczej niż rzeczywistość — Śniadecka. List od niej „długi, ogromny“ jest dla niego teraz jeszcze wypadkiem „w nudnem, choć spokojnem życiu, a co więcej, że znajdował w nim wiele czucia i wiele pokarmu“ dla swej dumy. Wiemy, że smutek stanowił u niego tło stałe charakteru; dowodziły go dzieła i o szczerości tego smutku, jak u Chateaubrianda, wątpić trudno. Ale rozbierając istotę tej duszy, widzieliśmy, że duma stanowi też jej ważną

cechę i znów analogia z Chateaubriandem występowała wyraziście. Zajęcia literackie każą mu zapominać o tym smutku i dumie, które wyradzają gorycz, niechęć do świata, żądzę odosobnienia. Jego pojęcia i sposób myślenia w Wilnie i Warszawie odpowiadały wyobrażeniom pokolenia, które odziedziczyło po poprzedniem sceptycyzm wieku ośmnastego, rozpłomieniony lekturą Byrona bardziej jeszcze wpływowego niż Chateaubriand, choćby ze względu na swą formę poetycką; wchłonąwszy te idee na wstępie swego życia umysłowego, zmieniał je i przerabiał stosownie do swego temperamentu i wpływów zewnętrznych. W Paryżu, jak myślę, rozpoczął się proces przetwarzania Słowackiego sceptyka, w Słowackiego wierzącego nie w dogmat jeszcze, ale pociągniętego ku chrześcijaństwu i metafizyce pod działaniem Lamennais'go, szukającego nowej formy piękna, w której pesymizm nie miałby już miejsca. Wszakże i w chrześcijaństwie tkwiła doza sceptycyzmu w odniesieniu do spraw świata; polot wyobraźni, potężniejszy w poecie, podobał sobie w tajemnicach religijnych, przesyt zwątpienia raził uczuciowość, tradycye dzieciństwa odzywały się i ten temperament burzliwy i ruchliwy dążył ku nowej drodze. Już w Warszawie przeklinał niedowiarstwo a teraz, choć chwalił jeszcze dawnych mistrzów i wręcz wypierał się katolicyzmu i naśladowców Lamennais'go, przecież dążąc do narodowej poezyi, która jego dotąd nie była, protestuje przeciw żądaniu narodowego wątku w poezyi, bo chyba ten wątek, te „wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata."

A jednak czuł, że jego egzotyzm poetycki nie jest na miejscu, że wygląda nieco chudo w obec swojskości i narodowego charakteru poezyi mickiewiczowskiej, że nawet owe mgławice, owi satelici, kołujący koło wielkich gwiazd poezyi, są więcej narodowi niż on, rywal litewskiego wieszcza, Słowacki. Jego *Lambro* był aktualnym jak *Orientales*, ale nie łączył się tak ze stanem narodu, nie był tragedyą duszy współczesnej, wyrazem pokolenia emigracyjnego. Myśl poety marzyła o tym wyrazie, a właśnie wulkan wypadków narodowych wyrzucił tyle wrzącej lawy, że materyał był gotowy i samotnik genewski żył jakby w hallucynacyi, rojąc o dziele w duchu swych pojęć dalekich już od bezwzględnego pesymizmu, ale równie odległych od mickiewiczowskiego dogmatyzmu. „Wiesz Matko — pisał 15 lipca 1833 r. — że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa, że przyjdzie na mnie nędza, że mnie duma moja zabije, to prawdziwie, że mnie okropność takiego losu przera-

ża.“ A więc potępiał swe dawne życie, zwątpienia i obojętności, mizantropie i nienawiści, modlił się i wstydził się dumy, będącej początkiem wszystkiego, co w życiu jego razić mogło natury prawe i szlachetne. A nie tylko w życiu, ale i w poezyi egotycznej do nadmiaru, egzotycznej zbytecznie, pesymistycznej i ziejącej goryczą nieskończoną. Wiara ogółu, to wedle Lamennais'go siła, która gwarantuje indywidualnemu rozumowi zasady, na których się wspiera; nad rozumem indywidualnym jest powszechny, a on stwierdza istnienie Boga. Wszystko to wypowiedziane z niezwykłym polotem uczuciowo, a złączone z politycznym liberalizmem odsunęło Lamennais'go od ówczesnego ustroju i postawiło go w sprzeczności z polityką niedość rozważną Rzymu, z rządem sprzymierzonym z Rzymem i bojącym się ideału demokracyi teokratycznej. Wszelcy mistycy, utopiści, republikanie szli pod chorągiew nowego apostoła wrogiego sceptycyzmowi i obojętności religijnej, a *Paroles d'un croyant* miały wnet wzburzyć do reszty zaniepokojoną opinię. Romantyzm egotyczny, nie uznający nic nad siebie, był zachwiany; zamiast syntezy dawał analizę, zamiast życia rozkład widoczny w *Lambro*. Świat zewnętrzny poczynał interesować więcej, sztuka zwana *juste milieu* zdobywała sobie zwolenników, oryeantalizm blakł i wydawszy mnóstwo fałszywych klejnotów, nie bez blasku zewnętrznego jednak, wymagał odmiany palety. Zgoda malarstwa z literaturą była widoczna... Słowacki zajmuje się filozofią niemiecką, która tyle wpłynęła na ewolucye romantyzmu niemieckiego w kierunku spirytualistycznym; wspomina o tem wprawdzie zbyt lakonicznie, ale sama wzmianka pozwala przypuszczać, że idealizm Kanta, Fichtego, Schellinga i innych badaczy, otwarty sprzymierzeniec mistyków w rodzaju Wrońskiego zaczynał się podobać jego wyobraźni. Wszakże kantowska doktryna przeciwna sceptycyzmowi wieku ośmnastego otwierała wolne pole spekulacyi mimo „czczych marzeń idealizmu,“ jak wyrażał się nasz sceptyk współcześnie, entuzyazmowała już Schillera, Jacobiego i innych, zwróciła Fichtego do filozofii bardziej religijnej, a romantyków Schlegla i Nowalisa do postawienia, zamiast czystej jaźni, genialnego indywiduum, do kultu genialności. W sztuce widział Fryderyk Schlegel wzniesienie nad pospolitość, szukał zadowolenia w katolicyzmie, a pokrewny im duchem Schelling przejął się już ideami platońskiemi i mistyków dawniejszych i nowszych. A był to właśnie czas rozgłosu Schellinga, teozofa objawiającego prawdy raczej niż filozofa, którego *System des transscendentalen Idealismus*, ogłoszony jeszcze w r. 1800, poeta czyta teraz pewnie z zajęciem, skoro mówi o duszy świata

mającej odbijać się w jego dziele. Schelling właśnie odróżniając podmiotowy idealizm od realizmu przedmiotowego chciał zgody obu kierunków dotąd nieistniejącej w poezyi Słowackiego. Jego filozofia transcendentalna uważała w naturze jedność zupełną; dostrzegała w niej jedynie stopniowanie, którego przyczyną jest dusza świata, organizujący pierwiastek i zapożyczony od Platona. Materya jest wygasłym duchem, każda jednostka, to część Boga czyli duszy świata. Nieskończoność wyobrażona skończenie, to sztuka, którą tworzą geniusze; łączy ona doskonale realizm z idealizmem i jest najbliższą filozofii.

Schelling, jak ogół idealistów w filozofii zwracał się jednak coraz wyraźniej do mistycyzmu Böhmego i Saint-Martina. Wedle niego człowiek tylko w Bogu zdolny jest do wolności, a człowiek jest centralną istotą świata. Słowacki mógł zaznajomić się z jego zmienionymi poglądami, choćby z *Fragments philosophiques* Cousina ogłoszonymi właśnie w r. 1832, gdzie głośny francuski idealista zaznajamiał ogół swego narodu z niemieckiemi ideami; Schelling zwalczał wtedy hegelianizm, a poglądy jego podzielali głębocy myśliciele nietylko w Niemczech, jak mistyk Schubert, estetyk Solger, teozof Baader, teolog Schleiermacher, ale wielu interesujących się filozofią we Francyi. W tym kierunku szła cała filozofia francuska, a więc mistyk Ballanche, symbolizujący z zapałem eklektyk Cousin, Quinet, historyk Michelet uwielbiający otwarcie *chère Allemagne*, poeci jak Hugo i inni. Słowacki myśli też o czytaniu Kochanowskiego, tyle sprzecznego z jego nastrojem, bo czuje potrzebę lektury orzeźwiającej swym spokojem i prostotą. Śledzi ruch literacki w dziennikach i pisząc *Kordyana* zwierza się, że jeżeli „sława łechce trochę moją próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie, bo sławy nie dla mnie lecz dla mojej kuzynki biednej pragnę.“ Tą kuzynką, to sprawa ogólna. Słowacki osądził już siebie, jest innym człowiekiem; współczucie szczere a żywe dla sprawy przybrało u niego odcień religii, przekonania, idei głównej. Nie filozofuje nad tem, nie analizuje tej przemiany, nie szuka powodów tajnych ewolucyi; siebie i sztukę pojmuje inaczej od czasu przybycia do Paryża, odczytania trzeciej części *Dziadów*, lektury pism Lamennais'go i Schellinga. Znalazł cel i kroczył do niego z determinacyą dawniej nieznaną, a o której roił bohater tworzonej teraz tragedyi:

Otom ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści,
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć zwiędnienie; głosem uczuć szumy

Bez harmonii wyrazów... Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśl jaka myśl wielką zapali...
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę... i cel duszy wyprorokuj...
Jedną myśl wielką rozniecić, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem.
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami, i dokończę życiem.

Pesymista zamierał w Słowackim i z dna rozpaczy wzlatywał w bezkresy entuzyazmu i miłości niby de Vigny w *Eloa*. Wskazuje to na rozległość i ruchliwość jego temperamentu a choć nigdy nie brak mu smutku poetycznego niezmiernie, jego psychologia rozszerzy się niejako i zyska na wielostronności, wola stężeje i wzrośnie, uczuciowość rozwinie się i zróżniczkuje, intelligencya wzmocniona studyami filozoficznymi i literackimi ogarnie horyzonty szersze niż dotąd. Życie wśród natury, oderwanie od gorączkowego środowiska paryskiego, dadzą pewien spokój poezyi, uwydatnią kontury, odmienią jej koloryt i przekształcą treść. Dawniejsze tragedye, pisane w Warszawie, zbliżały się swą techniką do tragedyi schillerowskiej; teraz wzorem jest pewnie teatr romantyczny francuski, poznany w Paryżu, teatr romantyczny *par excellence* i wprowadzający świat nadnaturalny i naturalny, jak u Szekspira, nieregularny w kompozycyi, mieszający lirykę do dramatu, wyobraźnię i uczucia twórcy do psychologii bohatera. Trzeba wstrząsać nerwami, więc na scenę wyprowadza się podziemia, dom obłąkanych, egzekucyę skazańca i w ogóle jak w dramacie takiego Hugo ducha rewolucyjnego, nastrój aktualny, efekta zmysłowe.

Zdarzało się to w melodramacie dotąd; wyróżni tragedyę Słowackiego od poprzednich zbliżonych więcej do pseudoklasycznych swą względną przynajmniej przedmiotowością, a także teatru szekspirowskiego i schillerowskiego. Ale, pomijając kompozycyę wskazującą na zależność też od *Dziadów* drezdeńskich, rozbiór charakteru bohatera wykazał już dawno pokrewieństwo z duszą poety. To tylko fragmenty jego autobiografii, jak u Mickiewicza nie tylko w Dreznie, ale i Kownie; samotnik genewski patrzy jeszcze w siebie i mało ma zrazu związku z światem zewnętrznym. Wszystko, co przeżył z Śniadecką, w Londynie, podczas i po powstaniu jako egotysta i Polak, jest materyałem, który przyjmuje tu kształty poetyczne. A ponieważ w jego duszy ferment trwa, więc i forma odpowiada treści. Widać to po budowie dzieła umyślnie nieregularnej i nastroju usiłującym wzbić się z dna zwąt-

pienia w wyżyny ideału; mistyk czytający Schellinga budzi się w nim znów choć na chwilę:

. . . ale jest świat drugi!
Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek koła
Rozpryśnionych promieni; ale jasny cały,
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła.
Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży,
Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy,
Aż przestanie zaglądać w *ciemną wspomnień trumnę*...

Może to przeczucie Anhelego? Słowacki, jako prawdziwy artysta, nie może się pogrążyć w absolutnym pesymizmie, mającym główne swe źródło w pismach sceptyka Voltaire'a i Byrona. Metafizyka pociąga go, a mistycyzm, to tylko forma metafizyki, najpoetyczniejsza może. Ulegali mu realiści nawet, jak Balzac; więc i Słowacki, jak on i romantycy francuscy i niemieccy, skłania się niekiedy do doktryny, wedle której świat widzialny jest tylko transpozycyą mistyczną, zaludnioną rojem duchów różnych stopni i kategoryj. Z pod pesymisty wyłania się mistyk z pobudek nie tylko uczuciowych, ale i artystycznych. On wie, że sceptycyzm materyalistyczny był złą podstawą sztuki, ograniczał poetę do obserwacyi zjawisk zmysłowych i po pochyłości reakcyi w kierunku przeciwnym od zaprzeczenia nadzmysłowości zsuwał się jak dziś Huysmans i symboliści w zawrotne głębie znanego poglądu. Artysta w każdym atomie swej jaźni, potrzebował poeta tego żywiołu; był mistycyzm dla niego jakby mgłą, bezdenią, nieokreślonością jego poezyi delikatnej i działającej na dusze wrażliwe. Odczuwał sam te aspiracye i żył w nich czasem, jak Balzac, w rodzaju *milieu moral*, eterycznem, wytwornem, zmiennem. Był wszakże, jak de Vigny, wyobraźnią samotną, a pomysłowość rozsadzała w nim formy konwencyonalne, wystarczające dotąd. Jednakże pesymista tak świeżej daty nie potrafił się zdobyć na czyn, gdyż gardził nim dotąd i analizował siebie wiecznie i bez przerwy; uczynił wysiłek, by go wykonać, ale byłby nie tylko sprzeczny z historyą, lecz i z psychologią.

Uczuciowość delikatna i wyrafinowana towarzyszyła mu stale; gdy domieszał do niej nieco goryczy i zwątpienia, był jedynym w swoim rodzaju u nas, jak Musset we Francyi. On jest teraz szczerszy niż dawniej i dlatego działa na nasze dusze, zgorzkniały i rozbolały, i dlatego bliski nam i drogi, rozstrojony i wątpiący, i dlatego potrzebny w pewnych stanach, odpowiadających jego

stanowi. Coraz mniej w nim retoryki byronicznej i dlatego *Kordyan* niekiedy porywa swą treścią, gdyż słyszymy w nim te same krzyki bólu, czujemy tę samą skrzydlatość marzeń, widzimy te same ikarowe wzloty, które cechują życie każdego z nas i które, by zrozumieć, trzeba zajrzeć w siebie i mieć duszę jak poeta i nie stosować siebie i twórczości do z góry przyjętej konwencyi i szablonu moralnego czy poetyckiego. „Mamo! to dziwnie — pisał 27 października 1833 r.—*że imaginacya moja jest jedynem źródłem wszystkich moich nieszczęść* i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę, każdego ranka, kiedy chodzę po suchych liściach ogrodowej alei.“ Z uczuciowością najsubtelniejszą z naszych poetów łączył wyobraźnię wybujałą do miary nieznanej, ogarniającą nieskończone widnokręgi, twórczą niesłychanie, jak u geniuszów. W kraj wyobraźni wchodził teraz w swych kreacyach dramatycznych, które pochłaniały wszystkich romantyków i skarżył się ujmująco, że w jego uczuciach „nic nie ma wielkiego.“ To smutne wyznanie było powodem próżni w sercu, podobnej do mussetowskiej; pesymista nie ugiął się jeszcze przed entuzyastą i rewolucyonistą i gdy tylko pierwszy otarł się o brutalną rzeczywistość, wnet znikał drugi i wybuchał rozgłośnie pierwszy. Ledwo skończył jedną tragedyę, zaczynał drugą o *Wallasie* z dziejów szkockich, równie smutną, jak poprzednia i wedle słów poety, „przynajmniej niepospolitą,“ a dla nas zaginioną może na zawsze. Rzecz szczególna, że on widział sam siebie doskonale, jak Musset; rozumiał i analizował przenikliwie a z wprawą. „Otóż widzisz, Mamo — pisał 24 marca 1834 r. — że ja zawsze taki sam. Ciągle układam kamyki na własny grobowiec, a życie puszczam mimo siebie.“ Rana serca, odniesiona w chłopięctwie, broczyła jeszcze chyba, a wspomnienie Śniadeckiej i czasów wileńskich, oblegały go, jak rój mar drogich, i odsuwały od otoczenia. Groziła recydywa, powrót do dawnego zwątpienia; czas robił jednak swoje i marzenie napełniało pustkę. Więc tworzy gorączkowo i wkłada, jak Chateaubriand, swą duszę w bohaterów, a ciągle rozmaicie. Już postać Kordyana, w którym ukazał nam jej dno, w sposób znacznie głębszy niż dawniej, zwiastowała spotęgowanie talentu; dążenie do wielkości było już, i poeta szukał bohatera odpowiedniego swemu nastrojowi. A poznania właśnie Wodzińska nastrajała go na ton miękki, daleki od zwątpień i nudy, rozwiniętych lekturą pesymistów. Ten ton podtrzymywały w nim też powieści pani Sand, zachwalane przed matką i stawiane nad temi, które wykarmiły jego lata wileńskie.

Od lat kilku już powtarzano nazwisko pisarki, będącej jak całe pokolenie romantyczne, naśladowczynią Rousseau i indywidualistką, jak Słowacki. Bujna wyobraźnia, namiętność uczucia, znajomość siebie samej, nie mogły nie zachwycić poety, który szczególnie jeden jej romans uważał za „dziwny i bardziej do poematu niż do romansu podobny.“

Tym romansem była *Lelia*, pokrewna pomysłom Chateaubrianda a także Lamartine'a, de Vigny'ego, Byrona. Krajobrazy szczególnie celowały i były istnym kultem przyrody. Kobiety tu były w ogóle energiczne a mężczyźni słabsi, a mimo to kochani do zapamiętania, a już najcudowniej wypadały figury młodych dziewcząt, pojęte mistrzowsko i z prawdziwem zrozumieniem kobiecej istoty. A poeta miał właśnie blizko siebie taki skarb i wyobraźnia jego roiła o szczęściu z taką a nie inną; uśmiechały mu się lipa czarnoleska, żona i dzieci, atmosiera błogiego spokoju, tyle wielbionego w pieśniach starego poety. „Ja teraz zmierzam do spokojności—pisał 27 kwietnia 1834 r.—i wszystkie moje nauki i książki, zmierzają do tego, bym sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Dotąd już tyle w nauce tej postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka.“ Czy nie byłby to nowy ślad studyów filozoficznych poety? Poeta, sceptyczny dawniej w rzeczach wiary, podoba sobie w metafizyce, bronionej przez Cousina argumentami Kanta; zwracały go do niej nie tylko tradycye dzieciństwa, może rady matki, wpływ Lamennais'go, rozumującego jak Schelling o jedności świata i twierdzącego, że celem filozofii nie jest dowieść, ale poznać Boga. Człowiek jest wolny wedle metafizyki niemieckiej, ale dwie rzeczy winny go przejmować podziwem i strachem: gwiaździste niebo i moralny obowiązek. Postulat nieśmiertelności płynie z praktycznie koniecznego warunku zastosowania trwania w celu pełnego wykonania moralnego obowiązku; moralne prawo wymaga świętości, to jest pełnego dostosowania woli do moralnego prawa. Tak uczył Kant, znany poecie może za pośrednictwem wykładu Cousina, dla Fichtego był już świat uzmysłowionym materyałem obowiązku, Schelling, czerpiący swe zasady z Platona i mistyków w rodzaju Boehmego, Swedenborga, Saint-Martina i widzący w człowieku istotę wolną w Bogu, podsycał w nim skłonność do mistycyzmu i odwracał od popadnięcia w negacyę. A życie też płynęło mu mniej samotnie niż dotąd. Gdy przyszło lato, zebrało się gronko, w którem, żył pewnego ranka na brzegu lazurowych wód Lemanu i powędrowało statkiem przez jezioro w głąb gór, które wysławiali już Rousseau, Byron, pani Sand a teraz miał

zakląć w pieśń niesłychanej piękności ich duchowy brat, Słowacki, Jego byt układał się na chwilę w słoneczną sielankę; on sam był w niej z Wodzińską, niby postacią wyjątkową, romansową i wyrażającą wszystkie szały i uniesienia duszy romantycznej. Jak Rousseau, którego pamięć towarzyszyła mu w Genewie wszędzie, tęsknił do cichej idylli wiejskiej, tyle sławionej w *Nouvelle Heloïse* a teraz miał już i romans, jak Saint-Preux, i wielką naturę, w obec której i z której ta najdelikatniejsza u nas uczuciowość poetycka wydobyła najżywsze klejnoty poezyi. Rousseau odkrył Szwajcaryę, ale jako, dusza czuła i łagodna, nie powędrował zbyt daleko, w krainę lodowców i śniegów; uczynił to za Byronem Słowacki zrobiwszy z tej chwili życia, jak Rousseau romans, wizyę jedną z najcudniejszych w poezyi świata, liryczną w pojęciu i wykonaniu, pełną wzruszeń raczej niż analiz, melancholiczną i pełną przeświadczenia o znikomości wszystkiego, traktowaną już w takiem *Lac* Lemartine'a, ale nigdy tak subtelnie i z takiem idealizowaniem uczucia. Rzeczywistość znikła w tej wielkiej elegii, jak mgła i wystąpiło tylko to co szlachetne, piękne, malownicze; miłość opromieniona została aureolą dziwnego blasku, postawiona nad konwenansami, określona, jako najwyższy wyraz idealizmu.

Miłość ta gwałtowna, trawiąca, wielbiona przez panią Sand, jako *droit de passion*, zeszła z góry z przeznaczenia niebios, nie rozumującą i będącą rodzajem religii:

Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasna była od promieni słońca!

Żądza kochania wzbierająca w poecie była tem silniejszą, że poemat odtwarzający wycieczkę z Wodzińską miał powstać dopiero później, a teraz była rzeczywistość. Nuda i zniechęcenie opuściły poetę tak dalece, że jak sam mówił, uskarżanie się na los „byłoby ciężkiem bluźnierstwem," a poezya Kochanowskiego stała się „niewyczerpanem źródłem pociechy" dla liryka, którego

Wszystkie uczucia gwałtownemi loty,
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...

Malczewski, Zaleski, Mickiewicz przed nim odczuwali przyrodę; ale on jako romantyk w duchu szkoły francuskiej pojmuje ją inaczej. Jego krajobrazy, które malował dawniej i widzi teraz,

by je odtworzyć później jak Chateaubriand, są bardziej uczuciowe, indywidualne, symboliczne. Oczyma i sercem, jak pani Sand, je pojmuje, wchłania i przerabia na wzruszenia duszy. Mają one coś nieokreślonego, jak u tej ostatniej, lśnią kolorami i śpiewają jakby dusza poety, są liryczne tak, jak nigdy dotąd i pogodne też, jak nigdy, mimo melancholii:

A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.

A gdy wrócił do Genewy, cieszył się z swych wrażeń, które stanowiły gotowy materyał do snucia poetyckiej przędzy. „Obrazy gór i lasów—pisał 28 września 1834 r.—zostały w mojej pamięci; imaginacya moja, jak salon pałacowy, ustrojona jest nowemi malowidłami... Staraj się Mamo dostać *Indianę* i drugi romans *Valentine* przez G. Sand, a przepędzisz kilka godzin rozkosznie.“ Nikogo z romantyków francuskich nie wielbił tak poeta, a psychologicznie tłumaczy się to rozbudzoną w nim skłonnością do harmonii, dobra, idealizmu, podniesienia ducha, piękna nieskończonego i boskiego, w myśl dążeń idealistycznych filozofii niemieckiej, a idealistką była też pani Sand. Potrzebował tylko pobudki, by stworzyć poemat elegijny, czuły, pieszczący zmysły, młodzieńczy w całej pełni, przepojony smutkiem, niepodobnym do dawnego i rezygnacyjnym. I tu nie brakło poczucia niezmiernego odosobnienia, które towarzyszyło uczniowi Chateaubrianda wszędzie i wtedy, gdy po dniach sielanki wrócił do samotni genewskiej:

Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie!

To samo uczucie, choć bardziej monotonne, odzywa się w lamartinowskich *Isolement* i *Golfe de Baïa*, czytywanych niegdyś w Jaszunach z Śniadecką.

„Zmiłuj się, Mamo — pisał znów 7 listopada 1834 r. — staraj się czytać romans *Indiana* i drugi *Valentine*, a zobaczysz, co to za śliczne romanse. Zresztą mało teraz nowego w literaturze tutejszej, prawie cała literatura krwawa i nienaturalna.“ A przecież niejednokrotnie, prócz pani Sand, której wpływ był nieobliczalny, właśnie ona była dla niego wzorem. Zwłaszcza w powieści ekscentryczność święciła wiek bohaterski; nawet Balzac nie był wtedy innym i dopiero nie dawno począł się wyzwalać z pod wyłączne-

go panowania fantastyczności czczej, i bez głębi. I dramat szedł drogą podobną, choć imponował scenicznością, a zarazem efektami melodramatycznymi, jak trumny w *Lucrèce Borgia*, drzwi tajemne, trucizny, by nie zapomnieć wreszcie o cudnym dyalogu miłosnym niby fragmentach własnej uczuciowości poety. Słowacki zna te wady i zalety i stosuje je, a jego wyobraźnia ma tam swój pokarm wyborny i żyje nim, gdyż dla niego „trzeba koniecznie jakiegoś poetycznego świata, trzeba koniecznie włożyć na nos inne okulary niż te naszych oczu soczewki.“ Byron podobał sobie w awanturniczej postaci Mazepy; więc i poeta pisze o nim tragedyę i to w stylu romantycznym francuskim. W duchu tego dramatu leżały kontrasty i oto całą brzydotę i degradacyę istoty ludzkiej streścił poeta w Wojewodzie, jak Hugo w Triboulecie; całą piękność cnoty i niepokalaność w Amelii. Hoesick widzi w niej reminiscencyę schillerowską, ale w istocie George Sand więcej tu dokonała, niż Schiller. Jak u powieściopisarki francuskiej, Amelia jest istotą wyjątkową podobnie, jak bohaterka cudnej elegii szwajcarskiej, a wyobraźnia twórcy otoczyła ją nimbem znanym w kreacyach wielkiej romantyczki; Amelia, to dusza romantyczna z jej zapałami i szałami. Wynalazł ją, nie obserwował w istocie; była ona wyrazem idealizmu, który w stosunku Amelii do Zbigniewa odniósł tryumf niepośledni. Świadomość moralna twardsza tu, niż wszystko; wszystko stanęło też przeciw Amelii, podejrzenia opadły ją jak mrowie, ale ona pozostała czysta do końca i cierpiąca straszliwie. Jeżeli uczucia Amelii i Zbigniewa przypominają nieco stosunki Walentyny i Benedykta z *Valentine*, to Balzac, dobrze znany poecie, dał mu wzór takich kobiet przeznaczonych, by kochać i ginących bez szczęścia; tyle duszy, tyle cierpienia, tyle poezyi nie miała może Amelia z pierwszej redakcyi *Mazepy*, a zyskała pewnie pod wrażeniem takich przepysznych figur, jak pani d'Aiglemont, pani de Mortsauf, pani Graslin. Dumę, szlachetność, milczenie ich ma Amelia w całej pełni i majestacie, choć Mazepa znów przemawia tak cudnie, jak rzadko u Balzaca. Chmielowski wywodzi pomysł zamurowania z tego ostatniego; większej wagi jest struna psychologiczna, której brakło w tej mierze niewątpliwie pierwszej redakcyi, a jej źródłem mogła być na przykład *Lys dans la vallée*. Najbardziej to anielska i nadziemska postać z kobiet balzacowskich; czystość jej uczuć, poświęcenie przez boleść, stałość przekonań, to cechy jej i Amelii. Tylko Balzac, jako genialny znawca serc kobiecych i jak Słowacki romantyk mimo realizmu, umiał otoczyć taką postać pozorami prawdopodobieństwa; poślubiona o wiele starszemu od siebie, przebyła życie na odmawianiu sobie szczęścia i na oszu-

kiwaniu pragnień wewnętrznych. Amelia ma gest, głębokość, pewność swego wzoru uwielbianego wtedy w całej Europie, gdy mówi do króla, jak równie w swej miłości dla Zbigniewa. Ta miłość rośnie z postępem brutalności męża; ale ona zostaje czysta, a wyraz tych uczuć olśniewa prostota, jak u pani de Mortsauf. Chwila pożegnania ze Zbigniewem wznosi się do wyżyn poezyi dotąd nieznanej u Słowackiego, poezyi mającej w sobie coś mistycznego, idealistycznej do dna i głębokiej nieskończenie. A Zbigniew niemniej przypomina Feliksa de Vandenesse, gdy daje uczuć Amelii swą zazdrość, a przemawia tak poprostu i rozdzierająco, jak tamten. Smutek wezbrany w tragedyi odpowiada nastrojowi poety, w którym łagodna melancholia górowała po przesileniu pesymizmu. Pochłaniała go zresztą praca wytężona i nie dająca wiele myśleć o sobie.

Więc nowa tragedya, choć balladowa i z silnemi reminiscencyami szekspirowskiemi, miała być przecież tak swojska, by wyrazić tęsknotę rosnącą w twórcy do kraju, i tak umyślnie nieprawdopodobna, by zbliżyć się do baśni ludowej, a ludzie tak wychowani, aby przecież „byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serce.“ Narodowy pierwiastek przeważał teraz i tworzył poeta tę tragedyę, w ciszy pożądanej i upragnionej, w chwilach o których mówił, że Szekspir i Dante są teraz mojemi kochankami i już tak jest od dwóch lat.“ Rzecz ciekawa, co cenił w Dantem; sądzimy, że przeżyta uczuciowa część musiała go bardziej pociągać wtedy, niż oderwana mistyczna, a całość wpływała uspokajająco na to usposobienie, przedmiotowość dantejska oderwała go od kultu siebie, a miłość opromieniona przez genialnego allegorystę rodzajem glory wpływała na kształcenie się nowych pomysłów. Więcej tu działał jeszcze Szekspir, który wedle zdania Goethego daje nam poznać świat i jego cnoty i zbrodnie, małość i wielkość, przewrotność i prostotę. Szekspir usuwał z jego duszy wpływy byrońskie, dawał dojrzeć umysłowi; tkwił odtąd w tej głowie marzącej, jak goethowski duch świata, który *durchdringt die Welt wie jener, beiden ist nichts verborgen.* Sztuka bezosobista zajmowała go więcej i ten indywidualista krańcowy malował coraz genialniej dusze innych. Szekspir odgadywał dusze obce i on to czynił za nim, a choć i ukryć siebie nie umiał, jak Chateaubriand, potrafił to lepiej niż dawniej. Kochanowski zbyt często powracał mu na pamięć, by nie śnił o kątku, w którym jak stary poeta tworzyłby spokojnie i w cieniu drzew krzemienieckich; tęsknota rozpalała to pragnienie i dlatego Kirkor czuje, że jest

stworzony do ciszy wiejskiej
I prostoty. Niechby mi dościgał
Sad owocowy, niechbym małe chłopię,
Dzieciątko moje na rękach kołysał,
Oto się modlę!

I dlatego Filon fantazujący o Dyannie nie istniejącej na tym świecie i niepoprawny idealista bez odczucia rzeczywistości, wypada w *Balladynie* drwiąco i komicznie. On nie jest już echem Chateaubrianda lub Byrona; jest artystą wprawdzie więcej, niż człowiekiem, ale jako człowiek tęskniącym do właściwego słowiańskiej naturze ukojenia i wczasu. On jest artystą, a potem dopiero kochankiem, który nie oddaje się miłości cały nigdy i dlatgo mówić o jego miłości, jak przy Mickiewiczu lub Krasińskim, nie uważam za właściwe. Tamci kochali po męsku, duszą i ciałem, idealnie i zmysłowo; gdy Mickiewicz był jednak po litewsku dyskretnym w korespodencyi, Krasiński bez miary otwartym i wielomownym, Słowacki nigdy nie wpada w ekstazę, a o Wodzińskiej, z którą przestaje teraz bezpośrednio, mówi tak, jakby na dramat serca nie zanosiło się wcale. Bo też takiego dramatu nigdy nie było. On jest uczuciowy, ale jak Chateaubriand więcej w stosunku do siebie, wewnątrz tej duszy mieszkała na prawdę tylko mara, fikcya, urojenie, wizya kochanki lat młodości. Taką wizyą nie żyliby dwaj inni poeci. Jego uczuciowość ma formę poetycką do stopnia, który jest najwyrafinowańszem marzeniem o miłości, ale nie miłością samą, ludzką, wżerającą się w każdy kątek duszy, drażniącą każdy nerw ciała, pochłaniającą duszę jak gorączka i mającą swe ujście w jej spełnieniu albo złamaniu duszy na długo lub na zawsze. Egotysta, mimo zwrotu do poezyi bezosobistej, wierzy w jakieś dość rozwiewne ideały, a choć niepokój ducha, dręczonego pesymizmem, pozostał na długo, znał swój stan i działał przeciw niemu. „Wina to mego odludnego życia — pisał 5 lutego 1835 r. — wina miejsca, w którem żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakimś cichym klasztorze; *dlaczego nie dał mi tej mistycznej pochodni*, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności.

Miała zabłysnąć niebawem i ona, bo pragnienie jej było w poecie wielkie. On lubi tylko swe marzenia i o sobie opowiada wymownie, ale nie o swej miłości dla innej istoty i wie o tem, gdy przez usta Filona skarży się jękliwie:

Miłość — to światło, to niebo, to życie!
A jam nie kochał, o biada mi! biada!

Filón jest formą jego uczuciowości i dlatego figuruje w balladowej tragedyi; jest w nim uczuciowość rozmarzona, egzaltowana, żyjąca w sobie, egoistyczna, wylewająca się poetycznie, nieokreślona. Tak samo czuł René, gdy rozkoszował się samotnością i odosobnieniem, a odmładzał w zetknięciu z Dantem i Szekspirem swe rojenia, wystarczające za rzeczywistość. Ale w ogóle górowały w poecie uspokojenie się stałe, czasem nieco goryczy wysychającej pesymisty, ironia łagodna i nie gorzka, nastrój żartobliwy i fantazyjny a widoczny w tworzonem właśnie dziele. A że krajobraz dawniej i teraz był u niego symbolem ducha, więc gorący, jaskrawy, ponury ton dawnego pejzażu przedzierzga się w wielki, ciepły, jasny, błyskotliwy. Widać go w przemowie Goplany do Grabca, w określeniach Skierki i indziej; w obec przyrody poeta jak Chateaubriand odczuwa tylko miłość dla niej. Gdzie tylko się ruszy w swej wędrówce po świecie, o nie mu chodzi szczególnie i niemi zapełnia swe twory, jak Rousseau i jego naśladowców. A właśnie ten ostatni przychodził mu wtedy często na myśl, gdyż w Genewie postawiono mu wtedy pomnik z wielką uroczystością, która wzruszyła poetę nadzwyczajnie. Był nastrojony więc sielankowo i w pokoju kazał zawiesić cztery wielkie sztychy illustrujące *Nouvelle Heloïse*. „Głównem zatrudnieniem mojem – pisał 7 marca 1835 r. — teraz są marzenia, ale marzenia te ograniczają się do bardzo małej rzeczy; oto do własnego byle gdzie domku. Chciałbym mieć coś swojego na tej ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów i drzew i zieloności. Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné we Francyi o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, maleńki, wśród łąk, otoczony małą, błękitną rzeczką, z ogrodem, słowem, ładna, mała pustelnia na pustyni.“ O tem nie marzyli pesymiści; z dawnego stanu ducha pozostały poecie tylko duma, zamiłowanie samotności i odosobnienia, pragnienie życia w marzeniu i mistyczne tendencye serca.

VII.

Echa dawnego stanu. Dążenia do nowej sztuki.

Słowacki jak ówcześni romantycy nadsekwańscy był romantykiem krańcowym i podmiotowość jego sprawiała, że wszystko widział przez pryzmat własnej osobowości. Ale ta właśnie cecha jego, jako człowieka, sprawiała, że życie mieszało się w nim z poe-

zyą. Wszędzie jest poetyzowanie i wszędzie nieco prawdy, bo przecież taki Filon i on to jedno, wszędzie on bytuje w poezyi, bo przecież Kirkor to też on, a także bohater szwajcarskiej elegii miłosnej. W korespondencyi można spotkać ustępy, które potem przejdą do poezyi i odwrotnie. A i ten kącik realistyczny, jakim jest marzenie Kirkora o cichem szczęściu domowem, maluje poeta za swym duchowym ojcem Rousseau tęskniącym jak on za sielskością, ogrodem, krowami, źródłem i *une petite maison blanche aux contrevents verts* odmalowanym idylicznie i pamiętnym każdemu czytelnikowi. Rousseau, jako pierwszy prawdziwy malarz w literaturze europejskiej, zwracał go nieustannie ku niej, kazał wydobywać z niej najczystsze radości duszy, odwracał go od otoczenia do żywiołu zawsze spokojnego mimo żywości, cudnego z swymi wschodami i zachodami słońca, z pogodą niezamąconą nocy letnich, z miękkim tonem zielonych łąk, z tajemniczym cieniem borów i tą całą kalejdoskopowością, splecioną z barw, świateł, podmuchów wiatru, szelestu strumieni, na którą składała się okolica Genewy. I dlatego poeta pogrążony w wizyi tej natury roi o jeździe do „Clarens, gdzie była kiedyś Heloiza“ i jeżeli jego wyznania nie zgadzają się czasem z faktami, prawda uczuć tkwi w jego marzeniach i jak lirycy romantyczni należy do rodziny, która jak bogowie wedyjscy z Brahmy wyszła z myśli i uczuć wielkiego indywidualisty genewskiego. Brunetière od niego wywodzi początki romantyzmu europejskiego, którego składnikami są: brak posiadania siebie, przeczulenie nerwowe, egzaltacya, mizantropia, pesymizm, ironia, rozstrój widoczny wszędzie, a nie przeczy tej opinii krytyka dzisiejsza. Te składniki widać szczególnie w Słowackim, który wzrósł w atmosferze przesiąkniętej nimi zwłaszcza pod działaniem naśladowców Rousseau. „Wszystko — co mnie spotyka — pisał 4 kwietnia 1835 r. — zdaje się podobne do jakiegoś czarodziejskiego zdarzenia... Dziwną taką mam naturę, że zawsze ogląda się w przeszłość i przyszłość, a teraźniejszość lekko waży. Trudno się dokładniej opisywać i być bardziej romantycznym niż on; to tłómaczy nam też wszystko, co w *Balladynie* wedle słów Krasińskiego jest fantastycznie niepodległe i co jest rewelacyą jego kaprysnej indywidualności. Życie uczuciowe poety krążyło w niej i świadczyło o jego sztuce mimo wszystko egotycznej i odrębnej.

„Piszę teraz więcej — pisał 24 maja 1835 r. — niż kiedykolwiek, a co dziwniejsze, że piszę prozą... Bóg wie dla kogo piszę i kiedy wydrukuję. Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie i stąd więcej może będzie naturalności i bardziej rozwiane zarysy.“ Pisał tedy dla siebie i o sobie prawdopodobnie *Horsztyńskiego* i żył

cały w tem unikając frazeologii, hypnotyzując wprost, wlewając własną krew w żyły swego tworu. Wcielał się w swego bohatera tem łatwiej, że jak Musset malował siebie; czuje się tu prawdę, nieco upoetyzowaną w postaci melancholii bezgranicznej, nieuleczalnej, głębokiej, choć bez dawnej goryczy. Słowacki cierpiał często i leczył się pisaniem, jak jego wzory. Ta postać Szczęsnego, najtragiczniejsza może w jego teatrze, wzięła wszystko od niego tak jak René od Chateaubrianda: dumę, zwątpienie, szlachetność, drażliwość wylewające się jak lawa i przejmujące. Pisał prozą, bo czynił tak Hugo niekiedy i Musset wtedy właśnie, prozą liryczną nawskroś, prostą, naiwną, idącą z serca i naturalną. A nie był to ton impertynencki, wytworny, dowcipny tego ostatniego zwłaszcza. Ten ton miał zwłaszcza Chateaubriand równie melancholiczny, jak poeta; był to ton pesymisty szlachetnego przecież, a żyjącego w atmosferze upodlenia i szarpanego zgryzotą beznadziejną. Ale René cierpiał z powodu swej drażliwości, dumy, występnego uczucia dla Amelii, wrodzonej mizantropii; Szczęsny cierpi z innych powodów i w tem jego różnica i wyższość. Ale duchem bliski jest swego wzoru, a nie Hamleta, z którym dzieli tylko los podobny. Jak René głosi wobec gości Hetmana, że „duma jest duszą duszy jego i że duma jest to harfa, która ma tysiąc strun — tysiąc wielkich i cienkich tonów, tysiąc wzniosłych i błahych tryumfów.“ Byłoby to śmiesznem, gdyby znalazło się jako kontrast z całością; na szczęście znalazło się w dziele będącem wprawdzie torsem, ale torsem genialnym. Słowacki ma ten gest dumy, zawsze nie bez czaru przecież, i będący jego stałą skłonnością od dzieciństwa do śmierci, jak u Chateaubrianda. A stosunek Szczęsnego do Amelii nie jest wprawdzie tego rodzaju co u tamtego w *René*, ale dla obu siostra jest ideałem kobiety, obie znają duszę swych braci do dna, obie widzą w nich coś niedoścignionego, z powodu czego nie znają też pewnie innej miłości. Podobieństwo jest bijące i nie ostatni raz dowodzi duchowego pokrewieństwa obu pisarzy i wzajemnego wpływu pierwszego na drugiego. Patryotyczny powiew obudzony za granicą odezwał się i teraz w poecie; niemniej szukał on zawsze kontrastu między sobą a otoczeniem i w szatę dumy odziewał się z zadowoleniem. „Czyż też ja kiedy dojdę — pisał 30 czerwca 1835 r. — do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś w moczarach pińskich, obwijające się w koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć.“ A więc tęsknił do śmierci także, jak René pisząc swój dramat i była ona jak dla tamtego

la dernière planche sur laquelle j'aurais espéré me sauver. Wszystko stało mu się wstrętnem, jak tamtemu, gdyż nie miał nawet siostry, która *tenait de la femme la timidité et l'amour, et de l'ange la pureté et la mélodie.* Zbliżał się tedy, ale na krótko, tylko do ostatniego kresu pesymistycznej myśli, do pragnienia unicestwienia, jako zamknięcia tragicznego dramatu duszy. Był teraz podobny do de Vigny'ego z tworzących współcześnie; z innych podobnie myślał tylko Leopardi. Ale u ostatnich była to już doktryna filozoficzna; głosiła, że wszystko jest złudzeniem i śmierć sama kończy godnie nieskończoną próżność życia. Polski pesymista był bliższy Chateaubrianda; gdy bowiem Renégo od myśli samobójstwa ratowała siostra przyoblekająca sama habit mniszy, jego, żądza odrodzenia duchowego, którego zazdrościł może Mickiewiczowi i innym. I Chateaubriand odpoczął w chrześcijaństwie napisawszy *René*; sceptycyzm religijny był już od niego daleko i pragnienie wiary nurtowało potężnie. I można tu opowiadać teraz o miłościach poety na wzór Małeckiego lub Hoesicka? Miłość u naszego pesymisty stawała się wprost niepodobieństwem; mówił o niej chłodno i drwiąco w listach i bawił się jedynie swem położeniem kochanka uciekającego od jednej, a tęskniącego do drugiej.

Opuściwszy Genewę dla Veytoux, niby chroniąc się przed Eglantyną zazdrosną o Wodzińską, bierze z sobą Szekspira i Byrona i jedzie studyować krajobrazy. „Nie ma w tem za grosz prawdy — pisał 23 sierpnia 1835 r. — ponieważ z tobą najdroższa kuzynko, mówię otwarcie. Otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka domu, widząc mnie *dosyć zajętego* panienką młodszą od niej i widząc tę dosyć mi sprzyjającą, zaczęła schnąć i zachorowała niebezpiecznie“... A więc był dosyć zajęty a my twierdzimy, że nie umiał na prawdę zająć się kim po ludzku, jak Chateaubriand. Pożyczał się na chwilę, ale nie oddawał. Wnet po ucieczce z Genewy zachwyca się nad okolicą, do której się schronił, marzy o Rousseau i Byronie, ma ton szczęśliwej swobody i — wraca ale nie pod przymusem serca, lecz z powodu mgieł i deszczów dość częstych w tej stronie jeziora. Jego miłość jest więc tylko jak u Chateaubrianda formą jego egotyzmu; kochać się, to pięknie, a co piękne nadaje się do poezyi i dlatego w Veytoux snuje swe brylantowe liryki, najcudniejsze w liryce polskiej, zwłaszcza miłosnej. Kochać się, to rzecz modna, treścią życia i poezyi jest miłość i ten wielbiciel dziecinnego ideału uosobionego w Śniadeckiej wyobrażał sobie, że się kocha w innej, że się kocha w ogóle, że odniósł ranę serdeczną, że powinien się pomścić na natrętnej, a opromienić szczęśliwszą, bo młodszą rywalkę. Było coś mniej

szlachetnego w tym postępku względem tej, którą nazywał tylekroć siostrą; gorzka ironia, czułość, zapał, skłębiły się w obłok pysznego blasku. Dawny pesymizm odzywał się i teraz po świeżem przejściu; została w nim dawna tęsknota za latami dzieciństwa, mniej samotnymi niż obecne, i wyraziła się cudnie w owych lirykach miłosnych w *Ostatniem wspomnieniu do Laury*. Niema wątpliwości, że chodzi tu o tę, którą kiedyś opiewał w petrarkowskich sonetach w Wilnie. Ton był teraz więcej męski, bolesny, głęboki i wyrażał cierpienia nie mniejsze może od Leopardiego w jego *Dialogo della Natura e di un Islandese:*

Więc niech mię prędko chmury czarnemi
Porywa wicher nicości,
Bo już przeklątem wszystko na ziemi,
Wszystko *z aniołem przeszłości*...
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,
Nic za mną i nic przedemną.

Ale było to tylko jedno z ostatnich ech pesymistycznego nastroju. „Czuję potrzebę większej doskonałości — pisał 20 października 1835 r. — rozwinęło się bowiem we mnie jakieś *nowe piękności uczucie*. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale staram się, by ono napełniało moje karty, aby więcej też było w słowach. Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia, było wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonją, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego.“ Dusza artysty przebija się w tych słowach wyraźnie. Przyroda, jedna z najpiękniejszych w Europie, uspokaja go i on sam żąda spokoju, harmonii, wzniosłości, które tak rzadko gościły w jego poezyi. Jego instynkt artysty pożądał jednak tych zalet dla innego też powodu; sceptycyzm filozoficzny przesycił go bowiem i nie dał nic prócz goryczy i nirwanicznego marzenia takiego de Vigny'ego lub Leopardiego.

Znanym jest pogląd Mickiewicza zwróconego po epoce sceptycyzmu do chrześcijaństwa i głoszącego już w r. 1833, że „ksiądz Lamennais, *Schelling*, Lamartine, Chateaubriand i mnóstwo innych, jak chorągwie na wieżach pokazują, zkąd wiatr zaczyna wzmagać się.“ On marzy o powszechnej przemianie społeczeństw w duchu katolicyzmu oswobodzonego i ożywionego. A ideę tę wypowiedział w jego wieku najpiękniej właśnie Chateaubriand, a za nim poszli

romantycy. Słowacki był katolikiem z wielu względów, i jeżeli przestał nim być w latach rosnącego pesymizmu, potrzebował tylko ożywić, a nie rozbudzić swą wiarę. Wolteryanizm ośmieszał chrześcijaństwo, Chateaubriand łączył go z najwznioślejszemi rzeczami, wolnością, sztuką, literaturą. A Słowacki, jak Chateaubriand, czuł też więcej niż myślał i jego idee były odblaskiem jego uczucia i wyobraźni. On chce teraz odtwarzać jedność wszystkiego w sztuce, a idea jedności stanowiącej właśnie duszę świata, była dogmatem filozofii Schellinga. Sztuka wedle niego jest uświadomionem naśladowaniem nieświadomej jedności natury; sztuka i nauka mają ten sam cel, mogą ją tworzyć tylko geniusze, nieskończoność przedstawiona skończenie, jest właśnie sztuką. I Schelling prowadził też niezawodnie poetę do studyów filozoficznych tak odpowiadających jego nastrojowi, w których przeważać mieli oczywiście ulubieni idealistom filozoficznym Plato i neoplatonicy, Böhm, Swedenborg, Saint-Martin i ówcześni mistycy w rodzaju Wrońskiego Czuł się zresztą sam na szerokim świecie i umęczony pustką otaczającą, szukał odetchnienia po przebytych świeżo niepokojach serca i odjeździe Wodzińskiej, było mu przykro z powodu oziębienia stosunków z Eglantyną i rwał się w świat nastrojony więcej jednak elegijnie i melancholicznie. A znaleźć mógł ukojenie tam, gdzie szukał już Chateaubriand, Lamartine, Mickiewicz i inni, gdzie wielkie wspomnienia klasyczne odsuwały myśl od teraźniejszości, gdzie jego dusza artysty mogła żywić się do nadmiaru ziemią, niebem, sztuką. We Włoszech nie było tych mgieł i burz szalejących gdzieindziej, a nawet rozpaczny ton Leopardiego miał w sobie dużo jasności i, skupienia, prostoty, przejrzystości klasycznej. A poeta był usposobiony właśnie jesienno, tego dnia rezygnacyjnie i skarżył się bez afektacyi i z przekonaniem, że za wiele poezyi poświęcał sobie i że zarzuty Mickiewicza miały nieco słuszności. „Ja mam także sumienie — pisał 29 listopada 1835 r., — a jeżelim stetryczniał, to nie mało się do tego przyczyniła ta myśl, *że nieużyteczny byłem jak chwast*, a każdy smutek w mem życiu zdaje się być słuszną karą Bożą.“ Ścigał go teraz srogi wyrzut za niespełniony obowiązek narodowy, a choć odnosił się on w większej jeszsze mierze do jego antagonisty Mickiewicza, to przecież ten ostatni w poezyi dokonał więcej niż on mógłby dokonać nawet z bronią w ręku. Był na drodze do duchowego odrodzenia, ale się nie spieszył jak Durtal Huysmansa, a zbyt odczuwał rosnący w poezyi Europejskiej zwrot do metafizyki, mistyki, idei społecznych, by chciał zostać i teraz w tyle.

W tym kierunku dążył Mickiewicz zatapiający się w Saint Martinie, w tym Krasiński skłaniający się również do wyobrażeń

Schellinga o sztuce; Chateaubriand zwraca go do czytania Biblii jak ogół romantyków francuskich, a współcześnie Lamartine, poetyzujący coraz bardziej na ton filozoficzny, ogłasza *Voyage en Orient* i jest również w punkcie zwrotnym swego życia. Jego miękka i melancholiczna dusza ma te same wątpliwości, co Słowacki. I w polskim poecie wytwarza się pokrewny lamartinowskiemu panteizm w poglądzie na świat i wytwarza nastrój rezygnacyjny równocześnie z żądzą działania na ogół. Podróż do Rzymu morzem, kędy nie dawno dążył też Lamartine w podobnym celu, potrafiła go nawet nastroić wesoło, co zdarzało się dawniej rzadko, ale zbliżywszy się do celu podróży witał go nie bez wzruszenia Żył teraz czas jakiś wspomnieniami młodości spotkawszy się z wujostwem Januszewskimi, tu go czekającymi, a nawet, poznany właśnie Krasiński przypomniał mu żywo kochanego niegdyś Spitznagla. A i ruiny wiecznego miasta nasuwały mu myśl rzewną i poważną:

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spotkało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg, czy Rzym widziałem?...

Pogoda łzawa i tęskna nastawała w jego zmęczonej duszy. Negacya nadzmysłowości raziła go i na grobie Schelleya osądził, że lepiej mu będzie „na krzemienieckim cmentarzu pod śliwą babuni“ niż żyć ateistą jak twórca *Prometheus Unbound*. Czy może czytał go wtedy jak i Keatsa, którego grób odwiedzał w Rzymie równocześnie? Prawdopodobnie, zauważył niewątpliwie wtedy różnicę między pierwszym a Byronem opierającą się na mniejszej dozie podmiotowości, która umiała się wznieść nad własne bóle i męki. Mimo indywidualizmu nie rozdzierał Schelley swego serca, nie mówił nieustannie o sobie, ale dążył do spokoju, jedności, prostoty helleńskiej. A Keats pojęciem swej sztuki zbliżył się też do Schelleya i mógł wpływać kojąco na rozigrany egotyzm poety. Najwięcej jednak imponował mu Krasiński, wydający wtedy *Irydyona*. „Wiesz, droga, — pisał, 28 maja 1836 r. — że dusza najmędrsza wiele ma miłości własnej i choć się jej broni, jak może, mimowolnie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej walce z imaginacyą ostygającą potrzeba czasem, aby obcy dostali jaką skrę, aby obronili człowieka od rozpaczy...“ A on doznał tego niezrozumienia od wielu, od swoich nawet, i teraz dopiero lał w jego duszę balsam poeta pod miotowy nawskroś, poeta genialny i pełen głębokiej sympatyi dla pokrewnego sobie duchem samotnika genewskiego. Sojusz tych dwóch duchów stanowi świetlany moment naszej poezyi. Ale bar-

dziej świetlany w życiu poety, którego wdzięczność upamiętniła dedykacya *Balladyny*. Wyraził się w niej żal twórcy, którego poezya dotąd, „żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia“ wśród ziomków nie wydarła; wyraziło się przekonanie, że źródło natchnień jego ma pochodzenie boskie w myśl idei Schellinga i ono to dopomogło mu, by z Polski dawnej tworzył fantastyczną legendę. Królewski to był dar ale i niepoślednim musiał być wpływ Krasińskiego na poetę.

Uspokajało się serce „pełne łez i boleści, przywykłe do jakiejś samotności, albo wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapiecowego życia.“ Poiło milionem wrażeń ze zwiedzanych z Krasińskim galeryj i nic dziwnego, że w takiem towarzystwie wujostwo Januszewscy stracli wiele, jako przedstawiciele średniości ducha. Faguet powiada, że Lamartine rzucał na wszystko, co tworzył, gazę purpurową; Słowacki miał też rodzaj gazy okrywającej wszystko co tworzył światłem mrocznem i chimerycznem. Nie umiał zżyć się z ludźmi i chciał, by go rozumiano. To prawo artysty i człowieka, któremu brakło było, jak Mickiewiczowi i Krasińskiemu, koła przyjaciół i wielbicieli. On żył sam, znany mało, dumny ogromnie, drażliwy i zgorzkniały obojętnością ogółu, szukający z trudem środków na wydanie dzieł. Zbytek wrażeń niepokoił go nawet, bo odzwyczaił się od nich, jak pustelnik i żył zbyt gorączkowo. „Myśl moja — pisał 20 czerwca 1836 r. — która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym zatrudniam i męczę.“ Pisał to już z Neapolu okazując, że źródło jego twórczości tkwi, w nim samym, że dzięki tylko przedziwnemu odnawianiu się swej osobowości jest ciągle odmienny, że świat nużył go w przeciwieństwie do żyjących w nim chętnie Mickiewicza i Krasińskiego, że jest jak Chateaubriand duszą samotną z instynktu, wychowania i powołania. A dusza samotna nie potrafi wyrzec się siebie i pesymizmem tchnąca młodość poety przyzwyczaiła go do liczenia na swe własne uczucia. Więc nie umie oddawać się swemu otoczeniu, unika stosunków z światem zewnętrznym i wśród rozkosznych wrażeń neapolitańskich nie przestaje marzyć o przeszłości. Tą przeszłością były lata dzieciństwa, a nie wizye Wodzińskiej, jak przypuszcza bezpodstawnie Hoesick. On bawił się najlepiej sobą, swymi wspomnieniami i pisał — *Wacława* [1]). Z Malczewskim

[1]) Argumenty p. Jareckiego, jakoby poemat powstał wcześniej, nie zdają mi się dość przekonywające.

sympatyzował już może w Wilnie, a pesymizm tamtego był równie rezygnacyjnym i łagodnym, jak jego obecnie. On się modli teraz na Wezuwiuszu, czego nie czynił dawniej, i jakiś mimowolny pociąg pcha go do przeniesienia się duchem w zwiedzane kiedyś strony w czasie wędrówki do Odessy. On sam przypominał niekiedy Wacława i z siebie czerpał cały rój uczuć przenikających serce nieszczęsnego. Może i w nim odezwała się znów dawna wina opuszczenia sprawy ogólnej, a wyobraźnia rozogniała tę winę do rozmiarów tragicznych. Był zawsze przecież krańcowy i dlatego jego poemat drży od wzruszeń osobistych poety. Obrazy, jak zwykle u genialnego fantasty, gromadziły się jedne na drugich i lał się potok improwizacyjny szybko i żywiołowo. Potępiał swój sceptycyzm w sprawach narodowych i ostrzegał przed nim i przed jałową melancholią, która gasi tylko maskę energii:

Niech tylko wprzódy nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w sidłach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży;
To chyba w końcu na takich Aniołów,
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

Może to przeczucie Anhellego. Duma, odosobnienie, gorycz, cechują Wacława i stanowiły też psychologię poety. Ale wyraz ich zdaje się być bledszym, płytszym, bardziej retorycznym niż dawniej.

To niewątpliwie skutek przemiany duchowej wywołanej tylu złączonymi wpływemi. On już roił, jak Lamartine współcześnie o poświęceniu siebie i pisze czasem tak wzniośle i pięknie o miłości ojczyzny, czystszej niż każda inna, że Wacław nie mógł tak chyba czuć i mówić. A był to czas, gdy *Paroles d'uns croyant* Lammenais'ego obiegały z rąk do rąk i wszędzie czyniły wrażenie swym stylem apokaliptycznym, uczuciowym, poetyckim, wizyonerskim, symbolicznym. I Słowacki użyje wnet tej formy w ślad za nim, a teraz czyta pewnie bez ironii właściwej mu kiedyś, że miłość wzajemna ludzi daje szczęście niepoślednie i trwałe. Równość, wolność, sprawiedliwość i miłość, oto prawa społeczne. Dzięki ruinie chrystyanizmu na świecie, zapanowało przewrotne państwo szatańskie. Urok przypowieści i napomnień, obrazy istotnie dantejskie, pełne natężenia formuły biblijne i mistyczne, wiara w bezsilność rozumu, nie mogły wstrząsnąć wrażliwego poety. On wątpi czasem, ale do wiary tęskni i wyrywa się, by spełnić niebawem jej akt gorący i właściwy duszom romantycznym:

I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczy,
Może Bóg wspomni na to i przebaczy!
Żalu mojego najlepszą jest próbą
To upodlenie się moje — przed sobą.

„Wyznaj, droga moja, — pisał 24 sierpnia 1836 r. — że mię jakiś niewidomy duch z miejsca na miejsce spędza jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiądę. Pomimo oporu, jaki nieruchawość moja stawi tej niewidomej władzy, ona mię wystrychnąć gotowa na wielkiego wojażera.“ Zajrzawszy do biblii, jak prawdziwy romantyk, ruszył tedy w drogę odbytą dopiero przez Lamartine'a i począł wchłaniać taką masę wrażeń, jak nigdy dotąd. W tej drodze jest raz swobodny jak dziecko, raz ponury jak pesymista, raz melancholiczny elegijnie, raz ironiczny, a ciągle zmienny i rwący się do tworzenia. Przypominały mu się marzenia dziecinne o Wschodzie, nasuwała pamięć Śniadecką i wtedy pamięć tego bliskiego trzydziestki młodzieńca łączyła zgasłą przeszłość z promienną teraźniejszością. Kult dziecka kochanki tkwił głęboko ukryty w tej duszy czasem dziecinnej, mimo lat dwudziestu siedmiu, i wyrywał mu wiersze jedne z najpiękniejszych w *Podróży na Wschód:*

Bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie,
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

Chateaubriand uważał się za istotę wybraną wśród stworzeń na cierpienie. I Słowacki będzie się uważał niekiedy za taką, a tymczasem nie był już podobny do dawnego pesymisty w duchu Renégo i całego legionu wyrosłych z tego ducha istot. Młodość uchodziła widocznie z swymi zawodami i rozpaczami i nadchodziły lata dojrzalsze, podobne do młodości, ale i inne pod nie jednym względem.

Tadeusz Grabowski.

Czytelnictwo wśród studentów

UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO.

Przyczynek do statystyki życia umysłowego.

I.

W znajomości naszego życia zbiorowego pozostaliśmy daleko po za nauką Zachodu. Fakt ten, ciągle stwierdzany, stał się przedmiotem bezustannych, banalnych utyskiwań. Znamiennem przeto będzie, że nie tyczy się to t. zw. kwestyi studenckiej. U nas, rzec można, zapoczątkowano ją; posiadamy parę poważnych przyczynków do kwestyi poznania warunków bytu studentów [1]), gdy na Zachodzie dopiero teraz około niej żywiej zaczynają się krzątać [2]). Fakt ten jest dość zrozumiały na tle warunków życiowych młodzieży. Studenci innych krajów, np. niemieccy, do niedawna rekrutowali się przeważnie ze sfer zamożnych; troska o niepewne jutro nie istniała tam — nic nie rodziło też potrzeby zaznajamiania się z istniejącemi stosunkami. Dopiero w ostatnich czasach zrywają się tradycye dawniejsze, występują inne żywioły w obrębie młodzieży (porówn. poszukiwania Conrada), urasta nowa kategorya niezamożnych, zmuszonych utrzymywać się własną pracą — a z nią powstaje i *kwestya studencka*.

---

[1]) A. Kowalski: Stan zdrowia i warunki hygieniczne studentów uniwersytetu warszawskiego. Warszawa, 1899. A. Potocki: O uposażeniu warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej. W zbiorze: W naszych sprawach, t. II.

[2]) Mianowicie: Ankieta o położeniu studentów uniwersytetu wiedeńskiego (Braun's Archiv, t. XVIII); próby ankiety w Pradze Czeskiej.

Podobne stosunki spotykamy we Francyi, Anglii [1]) i t. d. Tylko w Cesarstwie [2]) niema dobrobytu wśród sfer studenckich — i u nas działo się wprost odwrotnie. Niemniej jednak dalecy jesteśmy od wyczerpania kwestyi. Dotychczasowe prace uważać należy za próby raczej, pozostawiające cały niemal obszar badań nietkniętym [3]).

Obie cytowane powyżej prace objęły niejako fizyczno-ekonomiczne warunki egzystencyi studentów warszawskich, — dotknęły zaledwie niektórych stron życia umysłowego; w przyczynku niniejszym właśnie nad tą dziedziną chcielibyśmy się zatrzymać.

Chodzi nam o studya młodzieży. Przedewszystkiem o tę ich cząstkę, gdzie największe jest pole do samodzielnej pracy, samokierownictwa — o *czytelnictwo*. Nie obejmie ono wprawdzie całej sfery życia umysłowego, ale może być niejako miernikiem tego życia. Rola czytelnictwa i znaczenie jego w studyach były przedmiotem wielokrotnych omawiań, poprzestających atoli na konstatowaniu doniosłości faktu, bez wnikania w jego analizę. Wszyscy, poruszający kwestyę studyów młodzieży, podkreślają tylko znaczenie „tego nowego zbytku," co „wkroczył przed pół wiekiem" (Fichte). Istotnie, minęły już czasy owe bezpowrotnie, kiedy w studyach książka była zbytkiem nietylko wśród młodzieży, lecz i profesorów-uczonych [4]). Ostatnio Paulsen, ogólnikowo wprawdzie, formułuje zadania czytelnictwa w studyach uniwersyteckich: „jako drugi ważny środek (pierwszy: wykłady i ćwiczenia) studyów, występuje w nauczaniu uniwersyteckiem lektura." „Użytkowanie jej tworzy obecnie obok nauczania akademickiego

---

[1]) Lot: L'enseignement supérieur en France 1892. Dane o stypendystach zawiera również dziełko prof. w Marsylii, Schoen'a: „Die französischen Hochschulen seit der Revolution. Monachium, 1896.

[2]) Ankieta rektora Bunge'go w uniwersytecie kijowskim 1872 r. oraz rezultaty poszukiwań komisyi dla zbadania uniwersytetów rosyjskich w 1875 r. (p. Żurn. min. narodn. prosswieszcz., 1876/10).

[3]) Bliżej zaznajamia artykuł „O położeniu młodzieży kształcącej się." Promień, 1903, № 4.

[4]) Ciekawym do tej kwestyi przyczynkiem jest drobne studyum D-ra Kohfeldt'a, o użytkowaniu biblioteki w XVII wieku (w Centr. f. Bibl. 1901 r.). Obliczenia, zrobione według pozostałych spisów biblioteki w Rostok, między 1650—1690 r., wykazały, że nie więcej jak jeden student rocznie wypożyczał do domu jedną książkę (przeciętna liczba studentów—130). Zresztą i profesorowie, częściowo poważni ówczesni uczeni, niewiele wypożyczali (10 książek rocznie), przytem połowa nic wypożyczała wcale.

część niezbędną i istotną studyów. Zadanie jej: poznanie takie z własnego doświadczenia najważniejszej literatury zawodowej, by można się w niej ze swobodą poruszać [1]).

Jeżeli tyle doniosłą rolę wyznaczają czytelnictwu w studyach na uniwersytetach niemieckich, to z tem większą pewnością i naciskiem da się to powtórzyć przy trybie i środkach nauczania w uniwersytecie warszawskim.

Chcielibyśmy więc uczynić próbę zapoznania się ze stanem czytelnictwa wśród naszej młodzieży uniwersyteckiej. Mniemamy, że możność poznania rzeczowego roli i charakteru czytelnictwa dać może tylko materyał statystyczny, oparty na obserwacyi masowej. Cyfry, jakiemi rozporządzamy i materyał, na jakim je oparliśmy, zgromadzony jest według danych wypożyczalni biblioteki uniwersyteckiej, za rok akademicki 1899/900.

Obrachunek nasz wypadnie prawdopodobnie z ujmą, gdyż nie uwzględniamy tu źródeł ubocznych czytelnictwa; dzieła wypożyczane z biblioteki uniwersyteckiej stanowią część zaledwie książek, będących karmią umysłową studentów, nie podajemy bowiem dzieł, wypożyczanych na miejscu (w sali publicznej), oraz całego szeregu czytelń i księgozbiorów prywatnych, służących często jako najbardziej pomocniczy środek w studyach. Z góry więc możemy przewidzieć, że statystyka nasza nie obejmie całej pełni życia umysłowego młodzieży uniwersyteckiej, owszem, wiele stron wcale nie będzie dotkniętych, mianowicie, choćby stopień zainteresowania się kwestyami bieżącemi, publicystyką, a to dlatego, że większość podobnych prac młodzież zazwyczaj nie wypożycza, lecz kupuje.

Dane nasze dadzą, zapewne, najwierniejsze pojęcie o rozmiarach czytelnictwa naukowego, to bowiem, co studenci wypożyczają z literatury pięknej, nie może stanowić o ilości przeczytanych przez nich dzieł w tej dziedzinie, gdyż niemal każdy wypożycza jeszcze w bibliotekach płatnych, dla literatury naukowej zaś bibl. uniw. jest jedynem niemal obfitem źródłem [2]); — w Warszawie podówczas nie było po za niewielką „czytelnią naukową“ żadnej o szerszym zakresie, dostępnej dla wszystkich wypożyczalni. Statystykę więc naszą usprawiedliwia fakt, że bibl. uniw., jako naj-

[1]) Lexis i Paulsen: Die deutschen Uniwersitäten, str. 100 i 407.

[2]) Bibl. uniw. w początku 1896 r. zawierała przeszło 450 tysięcy tomów. Uważana jest za najbogatszą bibl. uniw. w Państwie Rosyjskiem. (Żurn. min. narodn. prosw., 1897, № 1).

zasobniejsza w dział naukowy, dostępna dla ogółu studentów instytucya, bezwątpienia jest najpoważniejszym czynnikiem czytelnictwa naukowego — a tę przedewszystkiem stronę pragniemy oświetlić.

Zgodzimy się również, że dane nasze nie uchwycą istotnego stanu rzeczy i dlatego, że gdy wypożyczanie pewnych dzieł nie świadczy jeszcze o ich czytaniu, tak znów skądinąd niekorzystanie z biblioteki nie może być właściwie uważane za negowanie czytelnictwa wśród danych sfer studentów. Skoro zamierzamy jednak operować wielką liczbą, indywidualne te wahania w znacznej mierze znikają, zdarzenia wyjątkowe ulegają jakby wyrównaniu, cyfry pozwalają, ze znacznym stopniem prawdopodobieństwa, mówić o zjawiskach masowych, jakby o stosunkach rzeczywistych. Dane nasze o czytelnictwie będą zawsze tylko skąpsze od istotnych; wielu bowiem, nie obywających się bez dzieł naukowych, nie wypożycza ich jednak do domu wcale wskutek skomplikowanego i utrudnionego systemu otrzymywania książek. Fakt ten, wysoce anormalny, przyczynia się nadzwyczaj do sztucznego zwężenia „spożycia“ książkowego, — cyfry nasze podkreślają go nawet w pewien sposób i statystyka akcentuje.

Samej metodzie obliczania należy się kilka słów. Za jednostkę statystyczną braliśmy każde wypożyczone dzieło lub pismo, niezależnie od tego, z ilu tomów się składało. Toż samo dzieło, wypożyczone kilka razy, uważaliśmy za oddzielne jednostki. W podziale dzieł na grupy naukowe kierowaliśmy się przeważnie wskazówkami „Poradnika dla Samouków.“ Granice jednak klasyfikacyi są trudne i zawodne, wielokrotnie więc nie wyrażają właściwej zależności i wzajemnego ustosunkowania dzieł i *mogą być często dowolnie w jedną lub drugą stronę przekraczane.* Wiele prac trudno bywa zaliczyć do jakiejś określonej kategoryi — ścisłe przegródki między naukami nie istnieją — musieliśmy więc w takich razach kierować się pewnemi przypuszczeniami i dowolnie klasyfikować. Oczywiście metoda taka odbija się na rezultatach, ale jest jeszcze dziś nieodłączna przy traktowaniu tak subtelnych zjawisk, jak umysłowe, miarą liczbową [1]). Statystyczne ujęcie zjawisk życia intelektualnego do dziś jest czemś ekscentrycznem, dziedziną objawów nietkniętą prawie, i każdy, chcąc w niej pracować, musi stwarzać niejako własną metodę poszukiwań, czynić próby i po-

[1]) Patrz Sm.: W sprawie statystyki życia umysłowego (czytelnictwo). Warszawa, 1904. (Odbitka z „Ogniwa“).

sługiwać się nazbyt jeszcze niedokładnymi i pierwotnymi środkami w mierzeniu tych zawiłych i trudnych do ujęcia zjawisk, zbyt kierować się, jak mówi Westergaard — kryteryami powierzchownej jeszcze natury. Wobec tego wszelkie próby, czynione na tej drodze, wyświetlenia poszczególnych momentów życia umysłowego, analizy złożonych masowych objawów, noszą wybitne piętno osobowości autora, jego uprzedzeń i sympatyi, zależne są ogromnie od jego widnokręgów, pomysłów i oceny — dalekie od charakteru „powszechnie wartościowych," nie mają w sobie tej objektywizacyi, jaką do pewnego stopnia nauka uzyskała w badaniach nad stosunkami rzeczowymi. Tem też się tłómaczy brak opracowań ściśle fachowych; zazwyczaj badań imają się ludzie nie wyszkoleni statystycznie.

Nie łudzimy się jednak — wiemy, że analiza nasza nie dotrze rzetelnej głębi, da jeno grube kontury, zarysy...

II.

Oficyalny, imienny spis słuchaczy uniwersytetu w omawianym 1899/900 roku wymieniał 1187 osób, w tej liczbie jednak 14 słuchaczy wolnych, nie mających praw korzystania z biblioteki. Możemy więc wziąć pod uwagę 1173 studentów (w tej liczbie i 81 farmaceutów). Przebieg roku był normalny, przeto i zmiany w składzie były zaledwie jednostkowe. Liczbę powyższą śmiało możemy przyjąć za podstawę dalszych obliczeń.

Ogół wypożyczających: 748 studentów, co w stosunku do liczby studyujących wynosi 62,8%. Zatem 425 (37,2%) osób zupełnie nie korzystało z biblioteki, co, jak wzmiankowaliśmy, równa się w Warszawie zupełnej niemożności samodzielnej pracy naukowej [1]). Zwłaszcza posępny wyraz przybiorą cyfry, skoro się uwzględni, że w sumie tej studentów pierwszych dwu kursów, co do których można jeszcze przypuszczać, że zadowalają się „kuciem" kursów, jest tylko 250, nieco więcej nad połowę zatem nie czytających; resztę zaś, czyli 42%, stanowią słuchacze kursów

[1]) Stosunek ten bynajmniej nie jest wyjątkowy. W sprawozdaniu z roku 1894 (Żurn. min. narodn. prosw., 1896, № 1) podano liczbę korzystających z biblioteki na 661, t. j. 58,1% ogółu ówczesnego (1142 studentów). Stosunki powyższe są prawie identyczne.

wyższych, o których nie możemy mieć żadnych złudzeń, by istniały środki, zdolne zastąpić i pozwalające obywać się im bez studyów książkowych. Przy wstępie więc utykamy na jakąś anomalię.

Różnem też bardzo jest ustosunkowanie wzajemne korzystających i nie korzystających z biblioteki na różnych wydziałach, gdyż jeżeli studenci wydziału historyczno-filologicznego *wszyscy* korzystali z niej, to inne fakultety wykazują już tylko pewien odsetek czytających:

Z liczby	216	fiz.-matem. tylko	58%
„	486	prawnego „	85,5%
„	352	lekarskiego „	42,3%
„	81	farmaceutów „	25%

Uwidoczniona tutaj różnorodność udziału w czytelnictwie, w zależności od fakultetu, da się często wyjaśnić charakterem zajęć, np. dla medyków i przyrodników — przewagą zajęć praktycznych, wypadających u medyków nawet po za murami uniwersytetu (w szpitalach), co ogromnie tamuje, jeżeli już nie zupełnie uniemożliwia korzystanie z biblioteki, otwartej w tych samych godzinach. Sprawozdania uniwersyteckie wskazują też, że obciążenie zajęciami i wykładami jest na medycynie dwa razy niemal większe, jak na innych wydziałach. Przeciążenie to studyami obowiązkowemi, bez uwzględnienia wszelkiej specyalizacyi — wogóle zła organizacya wydziału jest tu najbardziej winna. Na nizki odsetek czytelników wydziału przyr.-matematycznego wpływa prawdopodobnie i to, że wielu lokuje się tu tymczasowo przed przejściem do politechniki i poprzestaje tylko na podręcznikowem przygotowywaniu się do egzaminów konkursowych. Nizki odsetek farmaceutów da się prawdopodobnie wyjaśnić po części przeciążeniem, po części wypływa też może i z niewiadomości, czy, jako wolni słuchacze, mają prawo korzystania z biblioteki. W każdym razie nizka liczba farmaceutów, posiłkujących się biblioteką, jest charakterystyczną i świadczy o najzupełniej niewystarczającem przygotowaniu do samodzielnego czytelnictwa naukowego.

Dostrzedz można w przeglądzie powyższym jakby zależność czytelnictwa od organizacyi każdego wydziału: rozwinięte jest ono bardziej na wydziałach ze swobodniejszą atmosferą naukową, z możnością specyalizowania się, jak np. wśród filologów, mających najbardziej luźną organizacyę wydziału, najbardziej podobną do odpowiednich w uniwersytetach zagranicznych. Szczegół ten wyjaśnia wiele stron życia umysłowego naszej młodzieży.

Ogólna forma, w jakiej podaliśmy powyższe stosunki, nie daje może dość wyraźnego obrazu w układzie szczegółów. Uciekamy się do bardziej jeszcze zróżniczkowanego schematu, obejmującego wydziały i kursy, wraz z podziałem narodowościowym studentów. Tablica I ujmuje to w dość pstrą mozaikę cyfr i uklasyfikowań.

TABLICA I.

W roku 1899/900 liczba studentów:

Kurs i wydział	Liczba stud. wogóle:				Liczba czytających:			
	Ros.	Pol.	Żyd.	Ogółem	Ros.	Pol.	Żyd.	Ogółem
Prawo I	44	87	13	144	36	85	11	132
II	20	84	12	116	11	73	8	92
III	25	93	18	136	21	90	11	122
IV	29	53	8	90	13	52	5	70
Medyc. I	4	92	14	110	3	40	13	56
II	5	32	21	58	2	22	8	32
III	4	26	13	43	3	14	5	22
IV	3	46	18	67	3	18	5	26
V	—	55	19	74	—	7	6	13
Przyr. I	25	104	14	143	18	46	11	75
II	11	12	3	26	9	10	2	21
III	8	16	2	26	4	9	1	14
IV	5	10	6	21	2	10	3	15
Hist.-fil. I	3	6	—	9	3	6	—	9
II	9	1	—	10	9	1	—	10
III	9	2	—	11	9	2	—	11
IV	5	3	—	8	5	3	—	8
Farm. I	—	43	8	51	—	4	6	10
II	—	22	8	30	—	4	6	10
	209	787	177	1173	151	496	101	748

Przedewszystkiem rzuca się niemal w oczy, że odsetek wzajemny czytających nie odpowiada dokładnie liczbie słuchaczów na danych wydziałach, tak więc np. medycy, tworzący 30,9% ogółu, stanowią tylko 19,9% czytających, farmaceuci—6,9% ogółu — 2,7% czytających, przyrodnicy już tylko z 18,4% ogółu — 16,8% czytających. Największy odskok ujemny tworzą, jak można spostrzedz, farmaceuci i medycy — odwrotnie rzecz ma się z filologami i prawnikami; udział ich wśród czytających przenosi nawet ich stosunek procentowy do ogółu studentów (filolodzy 3,3% studentów a 5% czytających, prawnicy 41,5% ogółu — 55,6% czyt.).

Powróćmy jeszcze do podziału na kursy. Daje się zauważyć, że czytelnicy pierwszych dwu kursów wynoszą 59,6% ogółu czytających, gdy odsetek czytających od studyujących wogóle na tych kursach jest 64,1%. Następne kursy tworzą 40,4% (301), a w stosunku do reszty kolegów stanowią 67,4% ogółu. *Udział w czytelnictwie przeto kursów wyższych nie jest intensywniejszy, niż na kursach niższych i nie wskazuje tendencyi wzrostu, wzmagania się.* Nie jest to jednak zjawisko współrzędnie obserwowane na wszystkich wydziałach — na lekarskim np. obniżanie się ilości czytelników jest najwidoczniejsze: jeżeli liczba czytających na kursie pierwszym wynosi połowę ogółu, to następny kurs wskazuje już zniżkę do $^1/_3$, a ostatni do $^1/_6$ nawet! Z drugiej znów strony na wydziałach prawnym i przyrodniczym daje się zauważyć bądź względną równowagę, bądź nieznaczny przyrost; wydział filolologiczny wykluczony od wahań, gdyż wszyscy tam czytają; wreszcie u farmaceutów zauważyć można przyrost (I kurs czytających $^1/_5$, II — $^1/_3$ ogółu). Nie należy, co prawda, zapominać, że, mówiąc o różnicach w rozwoju i rozmiarach czytelnictwa w zależności od kursów, operujemy cyframi jednego tylko roku, że nie śledzimy zmian, zachodzących w gronie tych samych osób, w szeregu lat, lecz czynimy, jakby przekrój, obserwując poszczególne uwarstwienia.

Z wielką nieśmiałością i zastrzeżeniami popróbowaliśmy jeszcze jednego zróżniczkowania, mianowicie zależnego od narodowości, a raczej odpowiadającego bardziej stosunkom wyznaniowym, — obliczenia bowiem oparto na danych wyznaniowych, co oczywiście nie daje dostatecznej pewności, by odpowiadały zupełnie narodowościowym. Jeżeli jednak z gruba uchwycić w liczby stosunek Rosyan, Polaków i Żydów, to okaże się on następującym:

Z liczby	209	(17,9%)	Rosyan	czytało	151	czyli 72,2%	ogółu Ros.
„	787	(67,1%)	Polaków	„	496	„ 63%	„ Pol.
„	177	(15,0%)	Żydów	„	101	„ 57%	„ Żyd.

Zestawienie powyższe wykazuje największy udział czytających wśród Rosyan, potem Polaków, wreszcie Żydów.

Zauważyć należy jednak, że interpretacya tego faktu nie byłaby ścisłą, gdybyśmy pominęli okoliczność, że nie jednakowem jest rozmieszczenie narodowości według wydziałów — od czego, jak powyżej uwydatniliśmy, czytelnictwo najbardziej się uzależnia; np. Żydów nie spotykamy zupełnie na wydziale hist.-filolog., gdzie czytelnictwo jest najintensywniejsze, gdy najbardziej przez nich obsadzonym jest wydział medyczny, gdzie znów czytelnictwo jest niemal najszczuplejsze; Rosyanie zaś jakby odwrotnie — zapisani są na wydziały hist.-filolog. i prawniczy, nie posiadają zaś nikogo wśród farmaceutów (najniższy odsetek czytających). Następnie, pomimo że Żydzi sumarycznie wykazują niższy udział od Polaków w czytelnictwie, to znów na oddzielnych kursach (zwłaszcza pierwszych) wykazują wyraźną przewagę (również wśród farmaceutów!); co do Rosyan odwrotnie: ci znów wykazują mniejszy udział od Polaków na wydziale prawnym. Słowem, uwzględniając powyższe szczegóły struktury pierwiastków narodowościowych, możemy znaczne różnice w zainteresowaniu się czytelnictwem nieco złagodzić, a może i sprowadzić do jednego niemal poziomu. Zresztą niejednokrotnie jeszcze uwzględniać będziemy możność sprawdzenia, jakie oblicze posiadają poszczególne kwestye w zależności od czynników narodowościowych. Poniekąd chcemy możliwie wszechstronnie wyzyskać całkowity posiadany materyał surowy.

III.

Rozpatrzmy, jak przedstawiają się stosunki wśród wypożyczających. Liczba dzieł wypożyczonych wyniosła w roku omawianym 5051 w 7671 tomach, co w stosunku do wypożyczających stanowi przeciętnie 6,7 dzieł w 10,2 tomach na każdego [1]).

Frekwencya roczna biblioteki tworzy liczbę 3005 zgłoszeń, t. j. przeciętnie każdy wypożyczający zmieniał czterokrotnie książki (w 1894 r. przeciętnie każdy wypożyczał 3,5 razy). Oczywiście,

[1]) Odpowiednie dane dla roku 1894 wynoszą: wypożyczono około 5400 tomów, czyli przeciętnie wypada 8,3 tomów na wypożyczającego.

liczby powyższe ulegają licznym wahaniom, w pierwszym rzędzie w zależności od wydziałów:

	Ilość zgłoszeń.	Ilość tomów wypoż. rocznie.
Hist.-filolog.	410 (10,8)	987 (26,5)
Prawny	1624 (3,9)	3974 (9,5)
Przyrod.	447 (3,6)	1189 (9,5)
Farmac.	63 (3,1)	194 (9,7)
Medycz.	461 (3,1)	1327 (8,9)

Studenci wydziału histor.-filolog. jaskrawo odcinają się od reszty kolegów innych fakultetów pod względem intensywności czytelnictwa. Charakterystycznem jest to, że co do ilości wypożyczanych przez każdego dzieł, farmaceuci zajmują drugie miejsce, podczas gdy medycy ostatnie. Różnice te jednak są nieznaczne. Co do częstości zmieniania dzieł wypożyczonych, *żywości* czytelnictwa, okazuje się, że tylko wśród filologów odbywa się ono co miesiąc, u prawników co kwartał, a na innych wydziałach jeszcze rzadziej. Słowem, *natężenie czytelnictwa wśród filologów przenosi trzykrotnie każdy inny wydział.*

Ze względu na technikę zajęć uniwersyteckich byłoby niezmiernie ciekawe poznanie wahań w wypożyczaniu, zależnie od miesięcy — do tego jednak momentu nie zebraliśmy danych odpowiednich. Na podstawie tytułów dzieł wypożyczanych można przypuszczać, że najintensywniejszy ruch odbywa się natychmiast po rozpoczęciu zajęć uniwersyteckich; zazwyczaj wtedy każdy z profesorów, wprowadzając słuchaczów do swego przedmiotu, zapoznaje ich z odpowiednią literaturą. Ruch ten przerywa się wcześniej lub później w okresie przedegzaminowym. Egzaminy i czas przedegzaminowy tyle pochłaniają energii i mozołu, że czytelnictwo wtedy przeciętnie zanika. Gdy uwzględnimy, że wczasie świąt i wakacyj biblioteka bądź wcale, bądź bardzo rzadko jest dostępna — to oceniny techniczne warunki pracy naukowej w Warszawie.

Stosunek wypożyczań pierwszych dwu kursów do następnych nie wykazuje wielkich różnic: przeciętnie czterokrotnie zmieniano książki i na każdego czytającego pierwszej kategoryi wypadło po 10,3 tomów (4623), drugiej 10,1 (3048) [1]. Czytelnictwo więc

[1]) Występuje ona nieco silniej, jeżeli wyłączymy farmaceutów, nie mających właściwie odpowiednika na kursach wyższych — przeciętna pierwszych kursów wynosi wtedy 10,4 tom.!

zarówno na wyższych, jak i na niższych kursach jest niemal jednakowe, można nawet dostrzedz pewną *tendencyę obniżania się jego natężenia na kursach wyższych.*

Jeżeli uwzględnimy podział narodowościowy, intensywność czytelnictwa przybierze inne oblicze. Pierwsze miejsce zajmą znów Rosyanie, przeciętnie 14 tomów, drugie Żydzi — 11,9, wreszcie Polacy, poniżej przeciętnej, bo 8,8.

Gdybyśmy zechcieli przyjrzeć się powyższym stosunkom, uwzględniając liczbę dzieł wypożyczonych, to stosunki ułożą się podobnie: powyżej przeciętnej 6,7 dzieł wypożyczali jednak tylko Rosyanie (10,7), Polacy (5,3) i Żydzi (6,4) już poniżej.

Zaznaczyliśmy, że wypożyczający stanowią 62,8% ogółu młodzieży uniwersyteckiej; liczba ta jednak jest właściwie za wysoka. Z pośród 748 wypożyczających, systematycznie biorących dzieła było znacznie mniej — wielu zaś zapisanych brało 1, 2, 3 książki w ciągu roku całego (najczęściej, zdaje się, na początku), co właściwie może być uważane, jako zupełne niekorzystanie z biblioteki. Mianowicie:

biorących od	1—5 razy	593
	6—10 „	103
	11—15 „	35
	16—20 „	12
	21 i dalej	5

Biorący zatem raz miesięcznie lub częściej (od 11) tworzyli 1/15 ogółu czytających, liczba zaś uczęszczających poniżej 5-iu razy, t. j. raz kwartalnie, jest przeważająca, ale jeszcze na liczbę tę składają się głównie uczęszczający 1—2 razy:

biorących	1 raz	204
	2 razy	157
	3 „	113
	4 „	67
	5 „	52

Nie bez słuszności więc możnaby wszystkich jeszcze biorących 1—2 razy wyłączyć nawet z obliczeń (stanowią 48,2%), przez co kontyngens czytelników właściwych zmniejszyłby się o połowę; gdybyśmy zaś pierwotną liczbę biorących ograniczyli tylko do wykluczenia raz jeden wypożyczających, musielibyśmy ją o 28,6% zmniejszyć (do 544 czyt.).

Możnaby spotkać się tu z zarzutem pewnej nieścisłości w stawianiu przypuszczeń, wypożyczający bowiem nawet raz jeden

do roku mógł zaopatrzyć się w dzieła gruntowne i w dostatecznej ilości, by przez czas dłuższy módz pracować, nie zmieniając dzieł. Pomijamy, że w bibl. uniw. można jednorazowo wziąć najwyżej 5 dzieł, a więc liczbę dość nizką i właściwie z terminem miesięcznym — możemy jednak dla stwierdzenia danych naszych przytoczyć inny szereg liczb, obejmujący ilość wypożyczonych tomów:

Od	1–5	tomów 337
	6—10	„ 188
	11—15	„ 95
	16—20	„ 36
	21—25	„ 29
	26—30	„ 20
	31 i dalej	43

Według zestawienia powyższego występuje wymownie, że gdy liczba osób biorących ponad 10 tomów rocznie tworzy tylko $^1/_3$ część czytających, a ponad 20 — $^1/_7$, to biorący poniżej 5-iu tomów stanowią niemal połowę czytającego ogółu, co dość ściśle potwierdza poprzednio uczynione przypuszczenie. Przytem można też zauważyć, że wypożyczający 1– 2 tomów stanowią 20% w tej liczbie, mianowicie:

wypożyczających	1	tom 71
	2	tomy 74
	3	„ 61
	4	„ 53
	5	tomów 78

Wszystkie te obliczenia i zestawienia doprowadzają nas do wniosku, że *stałego, systematycznego zapotrzebowania książek wśród ogółu studentów niema*, że tylko nieznaczny odsetek posiłkuje się w studyach pracą biblioteczną, ogół zaś żywi się surogatami nauki (skrypta i t. p.), które mu wystarczają.

IV.

Wymieniliśmy poprzednio liczbę dzieł wypożyczonych: 5055 tytułów — jednak o 143-ch nie posiadamy bliższych danych (nie mogliśmy odnotować tytułów), należało więc je wyłączyć z dalszych

obliczeń (2,8%), uwzględniamy zatem 4912 dzieł. W zależności od treści dadzą się one ułożyć w tablicę II.

TABLICA II.

Kurs i wydział	DZIAŁY:														
	Filozoficz.	Matemat.	Przyrodn.	Geografia Antrop. i Etnol.	Medycz.	Filologicz. Język.	Historycz.	Pedagog.	Społecz.	Prawn.	Technicz.	Sztuka	Lit. Pięk.	Varia	Suma
Przyr. I	31	45	109	7	2	7	51	—	12	5	2	—	162	4	437
II	4	25	36	3	—	—	4	1	6	2	—	—	47	—	128
III	—	15	28	1	—	—	4	—	—	—	—	—	15	1	64
IV	1	23	14	—	—	—	2	6	3	—	—	—	19	—	68
H.-Fil. I	22	—	1	—	—	10	45	—	8	—	—	—	34	1	121
II	2	—	—	—	—	13	73	3	4	—	—	—	61	—	156
III	21	—	2	—	—	1	62	—	12	4	—	2	66	—	170
IV	2	1	—	2	—	8	61	—	—	1	—	6	49	—	130
Praw. I	63	13	26	14	8	17	97	3	84	247	4	—	275	17	868
II	16	1	15	13	7	—	75	3	113	164	—	—	166	9	582
III	43	—	9	1	5	—	44	1	129	349	3	—	75	3	662
IV	15	—	8	3	11	1	44	2	20	360	—	—	120	2	586
Med. I	20	—	95	4	25	4	18	2	8	4	—	3	138	1	322
II	2	—	69	1	16	—	11	1	8	2	—	4	91	—	205
III	7	—	9	—	67	1	10	—	3	—	—	3	23	—	123
IV	2	1	7	—	78	1	2	—	2	2	—	—	25	—	120
V	—	—	6	—	47	—	—	—	—	—	—	1	2	—	56
Farm. I	1	—	14	1	—	—	2	—	3	—	—	—	45	—	66
II	—	—	13	—	10	1	—	—	1	—	—	—	23	—	48
	252	124	461	50	276	64	605	22	416	1140	9	19	1436	38	**4912**

Tablica uwzględnia podział wedle wydziałów, kursów i dziedzin, na jakie rozklasyfikować można dzieła wypożyczone. Pozwala więc dostrzedz stopień natężenia i kierunek w czytelnictwie na każdym z wydziałów i kursów, różnorodność w zainteresowaniu się temi lub innemi przedmiotami studyów. Należy jednak mieć na uwadze nie tylko cyfry absolutne — zbyt mało one mówią bez uwzględnienia ilości czytelników na każdym kursie (p. tabl. I).

Przystępując do charakterystyki czytelnictwa studentów, należy przedewszystkiem skonstatować przemożny w niem dział literatury pięknej (około 30%), która na wszystkich wydziałach i kursach stanowi dominującą pozycyę; fakt ten należy tem więcej podkreślić, że, jak wzmiankowaliśmy, właściwie biblioteka niechętnie dostarcza książek beletrystycznych, że trudności, jakie się nastręczają przy wypożyczaniu wogóle, nie zachęcają bynajmniej do tego. Po za tem daje się dostrzedz, że struktura czytelnictwa ściśle wiąże się z podziałem na fakultety korzystających z nich. O ile więc na przyr.-mat. dzieła fachowe (przyroda, matem.) a poniekąd i historyczne są najczęstsze, to znów sztuka, nauki stosowane, prawo, medycyna — wcale, albo prawie wcale nie spotykają się. Czytelnictwo znów wydziału hist.-filol. obfituje najbardziej w nauki historyczne, filozoficzne i filologiczne — po części może społeczne, nie spotykamy wcale dzieł lekarskich, technicznych, etnograficznych, i t. d. Medycy wypożyczają wyłącznie prawie lekarskie i przyrodnicze — nieco historycznych i filozoficznych, najwięcej też dzieł odnoszących się do sztuki. U farmaceutów prócz beletrystyki (prawie $^2/_3$) spotykamy zaledwie dzieła przyrodnicze i medyczne. Tylko prawnicy objęli najbardziej różnorodne i liczne działy — nie spotykamy tylko sztuki — zresztą po za prawem (niemal $^1/_2$ prac wypożyczonych) i beletrystyką ($^1/_3$), najczęściej wypożyczano dzieła z nauk społecznych, historycznych i filozoficznych.

Umieszczamy tutaj tabliczkę, ułatwiającą oryentowanie się w gmatwaninie cyfr tablicy II — wyobraża ona poczytność we wszystkich dziedzinach na każdym z wydziałów, w cyfrach procentowych.

Odsetek dzieł wypożyczonych na wydziałach:

Nauki	Ogółem	Przyr.	Filol.	Praw.	Medyc.	Farm.
Filozof.	5,0	5,0	8,2	5,0	3,7	0,9
Matemat.	2,4	15,0	0,2	0,5	0,1	—
Przyrod.	9,7	29,0	0,5	2,1	22,5	23,8
Antrop.	1,0	1,3	0,3	1,1	0,6	0,9
Medyc.	5,5	0,3	—	1,1	28,3	8,3
Fil. i jęz.	1,2	1,0	5,5	0,7	0,8	0,9
Historya	13,0	8,3	41,6	9,6	4,9	1,8
Pedag.	0,3	1,0	0,5	0,3	0,4	—
Społ.	8,3	3,0	4,2	13,2	2,5	3,7
Praw.	23,1	1,0	1,0	41,5	1,0	—
Technika	0,1	0,3	—	0,2	—	—
Sztuka	0,3	—	1,4	—	1,3	—
Lit. Pięk.	29,5	34,1	36,4	23,6	33,8	59,7
Varia	0,6	0,7	0,2	1,1	0,1	—
	100	100	100	100	100	100

Różnice tak wybitne napotykamy nie tylko przy uwzględnianiu podziału na fakultety — uderza również odmienność czytelnictwa wśród kursów pierwszych i następnych. Gdy przeglądamy spisy dzieł, przeczytanych na kursach pierwszych, uderza przedewszystkiem, mile nawet, rozmaitość, barwność, co do treści — bliższe jednak wejrzenie odrazu daje w tem poznać niepewność, nieumiejętność wyboru; książki dostają się do ręki przypadkowo, student nie oryentuje się przeważnie w kierunku i charakterze swych studyów, nie tworzy planu, nie stawia wytycznych, nie uświadamia następczości studyów i czytania. Uwagę jego rozrywa cały szereg kwestyj, pociąga świat różnorodnych zagadnień, zwłaszcza, że słucha szeregu wykładów, odległych od siebie treścią, z których każdy jednocześnie i jednakowo pociąga, a żaden nie rozwija specyalnych zamiłowań, specyalnej chęci wniknięcia w subtelną budowę danej nauki, czy kwestyi.

Pstrokacizna wykładów, różnorodność przeżywanej treści, powierzchowne ogarnięcie przedmiotu studyów — wszystko składa się i na ową mozaikowość w wyborze, a raczej nieumiejętność doboru.

Odbija się to również przedewszystkiem w wypożyczaniu podręczników, dzieł ogólnych, a nawet popularnych (o czem niżej), z zupełnem zaniedbaniem lektury dzieł źródłowych i monografij.

Stan taki spostrzedz się daje na 2, 3 a czasem i ostatnich kursach (zwłaszcza u medyków i prawników). Przyczyny tego masowego objawu doszukać się chyba nie trudno — tkwi ona po za uniwersytetem: oto szkoły średnie, gimnazya nie dają dostatecznego przygotowania i wyrobienia umysłowego, niezbędnego przy studyach uniwersyteckich, nie uzdalniają do zrozumienia odrębności podobnych studyów. Zjawisko to dość dawno zauważono. Jakób Grimm np. w 1864 r. pisze: „Przejście z gimnazyum do uniwersytetu to nie zwykły postęp, lecz przeskok.“ Zresztą skarga ta ponawia się niejednokrotnie, a w najnowszych czasach wypowiedział ją podobnie Paulsen: „skok między szkołą a uniwersytetem jest u nas rzeczywiście bardzo wielki, jest on dla wielu niebezpieczeństwem życiowem.“ Konstatuje fakt powyższy i organ rosyjskiego ministeryum oświaty (lipiec 1901 r.), nadaje mu tylko odmienny, swoisty koloryt: „z ukończeniem gimnazyum następuje ostre przejście od dyscyplinarnych urządzeń szkoły średniej do mniejszej lub większej swobody stosunków w wyższym zakładzie naukowym;“ skutki tego, że „wychowańcy wyższych zakładów naukowych, zwłaszcza kursów pierwszych, zdradzają wielką skłonność do zakłócania porządku i odrzucania wszelkiej dyscypliny, bez której nie może istnieć żadne rozumne połączenie ludzi...“

Znamiennem jednak jest, że rozdźwięk ten uwydatnia się tak silnie u nas, gdzie zdawałoby się, że uniwersytet jest tylko dalszym ciągiem obowiązującej rutyny szkoły średniej, gdyż w dalszym ciągu nakłada na studya pewien ściśle przestrzegany i obowiązujący program – czem tak zasadniczo różni się od podobnych uczelni zachodu, gdzie, jak w Niemczech np., studyujący ma zupełną swobodę wyboru przedmiotów, kierunku studyów; nie krępują, ani ograniczają bowiem żadne przepisy egzaminacyjne i t. d....

Ta „swoboda uczenia się i nauczania“ stała się najbardziej zasadniczą cechą organizacyi uniwersyteckiej. „Studyować, znaczy przeto chcieć dowolnie wybierać,“ pisze Erdmann w swoich wykładach o studyach i życiu akademickiem (1858), dla tego też brak swobody w studyach jest to sprzeczność sama w sobie, zarówno gdy brak swobody występuje, jako przymus, czy jako oba-

wa.“ Praktyka uniwersytetów niemieckich wciąż stwierdza prawdziwość tego sądu, gdy pozornie zdawałoby się, że system warszawski jakby usuwa (może nasuwa?) owe kłopoty, jakie spotykają słuchacza niemieckiego zaraz na wstępie do uniwersytetu przy swobodzie, a nawet konieczności samowyboru studyów. Ale, gdy na zachodzie pierwsze tylko kroki są tak niepewne, gdyż w dalszym ciągu studyów student wchodzi w blizki stosunek z docentami z jednej strony, z drugiej zaś, rozwijając zakres swych własnych studyów koncentrycznie, przechodząc przez sfery pokrewnych kwestyj i zagadnień, skupia się i opanować może łatwo przedmiot studyów inaczej jest u nas. Obowiązujący program, dla wszystkich jednaki i wszystko w skrawkach obejmujący, krępuje swobodę samodzielnej pracy naukowej, a narzucając coraz nowe przedmioty nieściśle powiązane ze sobą, które student, chcąc nie chcąc, studyować musi — zazwyczaj dość naiwnie i nieumiejętnie je rozpoczynając, nie wzwyczaja do trybu myślenia i metod danych nauk i pozostawia wciąż po za właściwym „warsztatem pracy naukowej,“ nie oryentującego się w niej i nie uzdolnionego do twórczości samoistnej. Rostrzygającym tutaj jest brak ścisłego związku między studyami oficyalnemi a rozwijaniem własnej obserwacyi.

Wyborny obraz żądań ustosunkowania tego daje Sybel[1]): „nie jest to pożądane, ani możliwe, by młody człowiek w sześć do ośmiu semestrów przestudyował cały obszar swej nauki. Podobnie encyklopedyczne dążenie wiodłoby przez swą szerokość, zamiast do pogłębiania, tylko do powierzchowności. Istotnem w studyach jest to, by student zyskał jasną świadomość o zadaniach nauki i sposobach, w jaki ona rozwiązuje zagadnienia; niezbędnem, aby na kilku, przynajmniej na jednym punkcie, owe operacye sam przerobił, by kilka problematów prześledził, aż do ostatnich konsekwencyj, aż do punktu, gdzieby mógł powiedzieć, że niema nikogo na świecie, ktoby go w tej dziedzinie zdołał czegoś nauczyć. Tutaj stałby on twardo i bezpiecznie na własnych nogach i roztrzygał własnym sądem. Świadomość takiego dopięcia duchowej samodzielności własnemi siłami, jest wprost nieoszacowanem dobrem. Niemal jest to obojętne, jaki przedmiot napotkało poszukiwanie, które do tego doprowadziło: wystarczy, że choć na tym drobnym punkcie złamano zależność od szkoły.“

Jak daleką jest praktyka warszawskich studyów od podobnie formułowanych wymagań? Czytelnictwo na tej glebie urastać nie

[1]) Vorträge und Aufsätze. Berlin 1875 r. str. 47.

może, nie przeistacza się nigdy w praktykę życia, chłonie tylko pierwiastki dalekie, książkowe.

Poczytność różnych działów naukowych pomiędzy narodowościami nie zarysowywa zbyt wyraźnych różnic. Polacy czytali najbardziej równomiernie z pośród wszystkich działów, Żydzi prawie wcale nie dotykali sztuki, techniki i pedagogiki, Rosyanie zaś wcale nie czytali techniki. Najpoczytniejszemi były: wśród Polaków prawo, nauki społeczne i historya; wśród Rosyan historya, prawo, filozofia; wśród Żydów prawo, przyroda, nauki lekarskie. W ugrupowaniu tem - wiele przypadkowości; ogólnie da się zauważyć, że wśród Żydów, a poczęści Polaków przeważają działy praktyczne (prawo, przyroda, medycyna), tylko wśród Rosyan kształtuje się to odrębnie.

V.

Ogólnie naszkicowane powyżej różnice w czytelnictwie wśród studentów, uwidocznią się bardziej, gdy rozejrzymy się w poszczególnych grupach fachowych.

Zauważyliśmy, że przedewszystkiem uderza ogromny procent literatury pięknej (29,2%). Ogarnia ona największą ze wszystkich działów ilość tytułów, co o tyle jest jeszcze dziwne, że ilość źródeł otrzymywania jej jest dość obfita i nie ogranicza się, jak przy literaturze naukowej, jedynie do bibl. uniw.

Literatury pięknej wypożyczono 1436 tytułów, w tem: 137 pism literackich, 220 dzieł klasyków literatury wszechświatowej oraz 1079 dzieł literatury współczesnej, czyli że w sumie książek wypożyczonych z literatury pięknej współczesna stanowi 76,2%, gdy klasycy 15,3% (prawie pięć razy mniej!), pisma 9,5%.

Spróbowaliśmy wyosobnić jeszcze cechy następujące: z pośród przeczytanych dzieł wypadło na tłómaczenia 21% (304 tyt.), w tem $^1/_3$ stanowiły dzieła klasyków, t. j. 101 tytułów, a więc *połowę przeczytanych klasyków nie czytano w oryginałach!* Z dzieł np. klasyków zachodnio-europejskich 23 tylko [1]) wzięto w oryginale, 85 zaś w tłómaczeniu rosyjskiem, 15 w polskiem. Zależnie

[1]) Czyli że nawet $^1/_5$ tylko!

od literatur i języków, w jakich czytano, stosunek przedstawia się następująco:

po rosyjsku	1214
„ polsku	144
„ francusku	49
„ łacinie	12
„ niemiecku	8
„ włosku	5
„ angielsku	4

Okazuje się więc, że przeczytana beletrystyka stanowi 84,4% w języku rosyjskim, 10% w polskim, a we wszystkich innych 5,6%! Nadmienić należy, że ogromna większość dzieł w języku rosyjskim przypada na dzieła oryginalne, współczesne (więcej niż $^3/_4$), a tylko 14,6% na tłómaczenia; w polskim języku również około $^2/_3$ dzieł przypada na prace oryginalne [1]).

Przeważnie zatem wypożyczana jest literatura rosyjska lub przekłady również w języku rosyjskim. Fakt tej nieproporcyonalności potrosze da się tem wytłómaczyć, że największy udział w „spożyciu“ jej przypada na Rosyan, chociaż i wśród Polaków stosunek jest bardzo nierównomierny (przeszło $^2/_3$), a wśród Żydów jeszcze większy ($^6/_7$ prawie). W polskim i innych językach najwięcej jeszcze czytali Polacy. Mianowicie czytali:

	Ogółem	Po rosyjsku	Po polsku	W innych językach
Rosyanie	597	568	7	22
Polacy	623	486	18	18
Żydzi	216	180	119	38
	1436	1214	144	78

Do roztrząsań powyższych dodać należy jeden jeszcze szczegół — oto czytelnictwo literatury pięknej nie rozkłada się jednolicie pomiędzy wszystkich studentów. Owszem, gdy wielu wcale

[1]) Ściślej: wypożyczono dzieł rosyjskich oryginalnych 828 (klas. 83, współcz. 745), tłómaczeń 262 dzieła (85 klas. i 177 bieżących) oraz 124 pism. Z polskich prac oryginalnych 99 (12 klas., 87 współcz.), pism 8. Z innych literatur współcześni tworzą 48 tytułów.

nie korzysta w tym względzie z bibliot. uniw., to inni wyłącznie tylko lub przeważnie wypożyczali beletrystykę. Okazuje się, że tworzą oni spory nawet odsetek: 36 jedynie, a 101 wyłącznie prawie zadowalało się literaturą piękną, a więc 18,3% nie korzysta wcale z dzieł naukowych. Bezwzględnie największą ilość dostarczyły tu wydziały: prawny (42), przyrodniczy (39) i lekarski (36); potem farmaceuci (11) i filolodzy (9). Stosunkowo jednak najczęściej spotyka się ten objaw wśród farmaceutów, aż u połowy wypożyczających!

Można też spostrzedz, że punkt ciężkości leży tu na dwu pierwszych kursach: 107 faktów (I kurs więcej niż połowę — 76); na inne wypada zaledwie 30. Udział poszczególnych narodowości najwięcej wykazuje Polaków — 48% (66 fakt.), Rosyan 33% i Żydów 18%. Inaczej jednak wypadnie układ ten, gdy odniesiemy je do ogółu czytającego wśród każdej narodowości: Polacy stanowią wtedy 13,3%, gdy Rosyanie prawie 30%, a Żydzi 25,7%.

Dotychczasowe rezultaty poszukiwań zdają się pesymistycznie wróżyć o stanie lektury naukowej: liczba czytających systematycznie zmniejsza się do połowy wszystkich wypożyczających, poprzestających zaś wyłącznie na beletrystyce dochodzi niemal do piątej części czytających. Wszystko to nie stanowi dość pomyślnych zapowiedzi.

Zanim wejrzymy w szczegóły architektoniki czytelnictwa naukowego, nim poznamy subtelności jego budowy, należy oświetlić kilka jeszcze ogólniejszych zagadnień.

Lektura naukowa przedewszystkiem przedstawia się, jako nie czerpiąca u samych źródeł — dość choćby zwrócić uwagę na tablicę co do rozkładu językowego dzieł wypożyczonych wogóle, aby fakt ten skonstatować, mianowicie:

Czytają:	Rosyanie	Polacy	Żydzi	Ogółem
Po rosyjsku	1360	1752	411	3523
„ polsku	18	476	80	574
„ niemiecku	46	182	91	319
„ francusku	55	193	56	304
„ włosku	1	3	—	4
„ czesku	9	7	—	16
„ angielsku	4	9	4	17
„ łacinie	18	21	4	43
„ grecku	2	—	—	2
	1623	2643	646	4912

Okazuje się, że literatura, jaką się studenci posługują, jest wyłącznie prawie rosyjska: stanowi 71,7% wszystkich dzieł, polska już tylko 11,7%, niemiecka 6,5%, francuska 6,2%, a wreszcie w innych językach 1,6%! Zdawałoby się, że szczupłość własnego naszego piśmiennictwa zmusza przedewszystkiem do zapoznawania się z literaturami zachodnio-europejskiemi. Tymczasem odsetek dzieł w językach tych wynosi zaledwie dziesiątą część wypożyczeń — jest więc tak nizki, że gra jedynie przypadkową rolę w czytelnictwie. Punkt ciężkości leży w obfitującej w przekłady literaturze rosyjskiej. Mała znajomość języków obcych wśród młodzieży [1]) nie pozwala korzystać bezpośrednio ze źródeł nauki europejskiej, lecz zdaje ich na łaskę i niełaskę wydawców i tłómaczów, uzależnia od sztabu pośredników i całego szeregu okoliczności często niesprzyjających, zmusza do niekrytycznego posiłkowania się lichemi przekładami lub nawet „oryginalnemi“ elukubratami. Powtarzam, jest to objaw niesięgania bezpośrednio do zrębu nauki europejskiej, lecz czerpania jej cudzemi sagankami. Do jakiego stopnia wystarczać muszą przekłady, wzmiankowaliśmy już przy literaturze pięknej. Ogólnie da się powiedzieć, że ilość dzieł czytanych w przekładach wynosi od $^1/_4$

[1]) Wystarczy podać dla uzupełnienia tych twierdzeń, jaka część studentów włada językami zachodnio-europejskimi, czyli posiłkuje się niemi. Korzystających z piśmiennictw nowoczesnych w oryginałach było 174, zatem nieco więcej nad $^1/_5$ (przytem tylko z niemieckiej 73, francuskiej 66, z obu 31, wreszcie 4 ang.-niem., ang.-fran.-niem., włos., wł.-fran.). Uwzględniając podział na fakultety, otrzymamy największy udział prawników — 55%, dalej medyków 21%, przyrodników 14%, filologów 10% i żaden z farmaceutów; co zaś do czytających największy udział wykazują filolodzy, bo niemal $^1/_2$ swej liczby (18), gdy na innych stosunek ten nie dosięga $^1/_5$. Pomiędzy niższe i wyższe kursy rozkłada się po połowie. Uwzględniając dalej stosunki narodowościowe otrzymamy ciekawe zróżniczkowanie: największy odsetek posiadających znajomość języków obcych wykazują Żydzi — 34,6% (35), Rosyanie zaś najniższy — 18,6% (28). Środkowe miejsce, blizkie bardzo ogólnej przeciętnej, zajęli Polacy — 22,8% (113). Pocieszać się należy, że stan podobny panuje i na Zachodzie; często i tam dają się słyszeć skargi na nieznajomość języków nowożytnych wśród studentów. Na III Zjeździe bibliotekarzy niemieckich (1902) Hackler z Drezna wzmiankuje, że dzieła nieniemieckie „są wypożyczane tylko przez specyalistów, nie przez studentów.“ Toż samo spotykamy i na uniwersytetach w Cesarstwie. W oficyalnie wydanem dziełku (Die Reform der russischen Universitäten) autorowie notują: „wobec braków rosyjskiej literatury naukowej i nizkiej znajomości wśród studentów języków obcych, wykłady muszą niekiedy zastępować całą literaturę fachu.“

do $^1/_5$ wypożyczeń. Wśród prac naukowych stosunek przekładów wynosi $^1/_4$ część (745 dzieł). Stosunek ten olbrzymi uwydatnia tylko, że istotnie nauka u nas jest tylko czemś *egzotycznem*.

Staraliśmy się czytelnictwo dzieł naukowych jeszcze bardziej zróżniczkować — grupy naukowe (tabl. II) rozłożyć na pojedyńcze dyscypliny. Nasuwa to wiele trudności i w dużo większym jeszcze stopniu zostawia pole dowolnościom. Rezultaty nasze dalekie są też od ścisłości; chcąc jednak utrzymać ten podział, jako jasno oświetlający stan czytelnictwa, przytoczymy tu dane ogólne.

Najwięcej przeczytanych dzieł z grup naukowych notują nauki prawne — wyłącznie prawie przytem przez prawników, tylko coś około 2% przeczytano na innych wydziałach. Jakie dyscypliny i w jakich stosunkach złożyły się na ten dział? Najwyższy odsetek tworzą prawo karne i cywilne (po 22%), prawo państwowe i administracyjne już 13,5%, rzymskie 9%, prawodawstwa słowiańskie 8%. Dzieła ogólne, encyklopedyczne 7%, sądownictwo 6% — filozofia prawa 4,5%, międzynarodowe prawo 3,5, handlowe 3 — oraz reszta 1% w minimalnych ilościach z prawa kościelnego, fabrycznego i hypotecznego. Można też spostrzedz, że o ile dzieła charakteru ogólnego (encyklop., filoz. prawa) jednakowo są reprezentowane w czytelnictwie różnych kursów, to wyraźne różnice znaczą się w prawie rzymskiem (1 kurs) i prawodawstwach słowiańskich (2 pierwsze), oraz karnem i cywilnem i sądownictwie (kursy wyższe prawie wyłącznie). Inne gałęzie nie wskazują w swem ukształtowaniu żadnej prawidłowości.

Drugą, podobnie izolowaną grupę fachową, tworzy literatura medyczna, czytywana znów przeważnie przez medyków. Największa liczba dzieł przypada na patologię ogólną (20%), a wraz z dyagnostyką i terapią ogólną tworzą 39%. Nauki farmaceutyczne (farmacya, farmakognozya, farmakologia) 16%, psychiatrya i neurologia 15%. Znacznie mniej wypada już na inne działy: 6% tworzą choroby skórne i weneryczne, po 4% hygiena, akuszerya, med. sądowa i choroby wewnętrzne, po 3% chirurgia i oftalmologia oraz 2% choroby dziecinne. Rozkład co do kursów w naukach ogólnych jednakowy mniej więcej — specyalne gałęzie głównie na wyższych, z wyjątkiem chorób wenerycznych, akuszeryi i umysłowych. — Inne fakultety (prawo) głównie psychiatrya i med. sądowa, potrosze akuszerya (?!) i chor. weneryczne.

Językoznawstwo i filologia tworzą również umiejscowioną na jednym wydziale grupę, składającą się w $^1/_2$ z dzieł z filozofii klasycznej, oraz w $^1/_3$ (28%) z teoryi literatury i stylistyki. Na językoznawstwo porównawcze wypada 7%, a słowiańskie 15%. Naj-

intensywniejsze czytelnictwo daje się dostrzedz w tych gałęziach na kursach pierwszych, zwłaszcza z filol. klasycznej, tylko dzieła stylistyczne bardziej czytano na ostatnich kursach.

Matematyka zamyka powyżej naszkicowane grupy fachowe, czytywane wyłącznie niemal przez studentów pewnego wydziału. Dzieła ogólne matematyczne, lub obejmujące kilka działów, elementarne wreszcie, wyniosły 30%, rachunek różniczkowy i całkowy 28%, wyż. algebra 12, geometrya z trygonometryą, mechanika i analiza po 10%. Nie wkluczyliśmy tu dzieł należących do astronomii, przenosząc je do działu przyrodniczego, który przedewszystkiem wyodrębnia się od powyższych grup brakiem owego rysu wyłączności wydziałowej – i rozkłada się dość równomiernie pomiędzy kilka fakultetów.[1]) Chemia jest najbardziej poczytną: 1/4 część wypożyczeń (23%), potem fizyologia 16%, fizyka 15%, anatomia 11%, zoologia 8%, astronomia 7%, tyleż botanika, nieco mniej 6% biol. ogólna, 3% mineralogia, 2 geologia i histologia. Anatomia i fizyologia, głównie wypożyczane były przez medyków (3/4), wśród przyrodników nauki fizyko-chemiczne i astronomia, wśród farmaceutów botanika i zoologia. Prawnicy korzystali ze wszystkich działów równomiernie. Obok przyrodoznawstwa postawić należy nauki historyczne – również czytane równomiernie prawie na wszystkich wydziałach (główn. filol. 45%). Przeszło 1/2 dzieł przypada na historyę powszechną, około 2/5 na hist. literatury, koło 8% na historyę kultury i 2% na filozofię historyi.

Podobnie ma się i w naukach społecznych — choć tu prawnicy przeważają w czytelnictwie (3/4 dzieł). Najwięcej poczytnym był dział ekonomii politycznej (38%), 27% tworzyła statystyka, skarbowość 22 i wreszcie socyologia 13%.

Ostatnia liczniejsza wreszcie grupa, jaką poddaliśmy dalszemu różniczkowaniu – nauki filozoficzne najbardziej jednolicie układają się między wydziały, przytem przeszło połowa (56%) przypada na ścisłą filozofię (w tem 1/4 klasycy). Następne miejsce zajmuje psychologia 21%, etyka około 11%, estetyka 10% i wreszcie logika tylko około 2%!

Z pozostałych działów najzasobniej wygląda jeszcze geografia wraz z antropologią i etnografią. Dział to najpoczytniejszy wśród prawników, zawiera około 40% dzieł ściśle geograficznej treści (najczęściej powtarza się tu nazwisko Reclus); oba pozostałe działy wynoszą około 60%.

[1]) Przyrodniczy 40%, medyc. 39%, prawo 14%, farmacya 7%.

Resztę grup, jako już mniej więcej jednolite, nie poddawaliśmy dalszemu podziałowi – zresztą grają one i w czytelnictwie młodzieży naszej przypadkową niemal rolę. Zwrócić należy tylko uwagę na dość znamienne ugrupowanie w zależności od fakultetów. Okazuje się, że dzieła z zakresu sztuki czytywane były tylko wśród medyków i filologów, dzieła pedagogiczne — na wszystkich wydziałach, z ogromną przewagą u prawników, potem przyrodników, gdy technika — tylko wśród dwu ostatnich grup.

Możemy zamknąć drobiazgowe te roztrząsania, poświęcając kilka słów wyjaśnieniu, co pomieściliśmy w ostatnim dziale tabl. II: Varia. Są to przeważnie pojedyńcze dziełka, których nie umieliśmy wtłoczyć do żadnego z działów (jak 2 biblie, Żywoty Świętych ks. Prokopa, Reussnera metody nauki języków, podręcznik stenografii, libretta oper etc.) lub dzieł pomocniczych przy studyach, jak kilka słowników i wreszcie różne „osobliwości," w rodzaju: „Snowidienija," „Tajny żenskago monastyria," „O bolezniach diewic," oraz wypożyczony w karnawale „Deklamator" Starkmana! Prawdopodobnie ilość ta dałaby się znacznie jeszcze wzbogacić tytułami z grup innych, zwłaszcza dodaniem różnych „Poradników dla mężczyzn," „andrologii," dziełek o chorobach kobiecych i t. p. niewypożyczanych przez medyków.

Rzuciliśmy obraz stosunków czytelnianych wśród młodzieży, jakości studyów, obraz jednak rozstrzępiony na szczegóły. Chcąc ująć całość, zarzucić musimy dotychczasowy analityczno-statystyczny rozbiór i spróbować pewnej syntezy, pochwycenia momentów indywidualnych, tułających się po za szeregami cytowanych cyfr. Trzebaby rozluźnić związek między temi kategoryami kolektywnemi, jakie wykryła statystyka; zbiorowości te nie istnieją w układzie równomiernym wśród żywych indywiduów, owszem układają się w nieznane i najróżnorodniejsze kombinacye, z których dopiero wyrasta cała pełnia życia zbiorowego. Ogarnąć ten tłum intelektualnych istnień, tę mnogość różnic umysłowych prawie niepodobna na podstawie tak skąpego materyału, jaki posiadamy. Tu niezbędne jest wypowiedzenie się — a więc materyał, dostarczony przez ankiety. Jest to właśnie niezrównana ich wyższość ponad zwykły materyał bibliotek, ta możność oparcia się bezpośredniego na mniemaniach i sądach — gdy nam pozostaje bardziej przypadkowa sfera *skojarzeń* w doborze dzieł, w układzie czytelnictwa osobniczego. Otóż i tu poprzestać trzeba na uwydatnieniu niektórych tylko jakby typowych (może wyjątkowych?) zjawisk. Wśród większości zbyt słabo zarysowuje się jakikolwiekbądź charakter

pracy umysłowej — wypożyczenie kilku dziełek zbyt szczupłym jest podścieliskiem, by zeń coś snuć dalej można; próbujemy więc tego wśród mniej licznych, lecz wiele wypożyczających osobników.

Nie chcielibyśmy tu jeszcze wprowadzać nowych kategoryj, klasyfikować; niezbędną jest jednak rzeczą wskazać na istnienie pewnych typów gatunkowych, różniących się charakterystycznie w czytelnictwie *formalnem*. Mamy więc przedewszystkiem stłoczoną grupę poprzestających na wypożyczaniu dzieł z zakresu specyalności, najczęściej nawet nie sięgającą w głąb fachu — to dopełnianie kursów. Tu właśnie ciekawie się przedstawia zależność wyboru od wpływu wykładów. Na tych samych kursach spotyka się często bardzo identyczne wprost spisy rzeczy pobranych, ogromną jakąś monotonię. Przemawia to silnie za postawionym wyżej przypuszczeniem, że grają tu przemożną rolę wpływy obce, że własna inicyatywa, umiejętność doboru, oryentowanie się w przedmiocie, są rzeczami drugorzędnemi. Inny znów świat ujrzymy, gdy dotkniemy czytelnictwa wśród uprawiających „włóczęgostwo umysłowe," jak to trafnie nazwał Liard — niema tu żadnego ośrodka, punktu krystalizacyjnego, ale niema też owego specyficznego szablonu, tak odcinającego grupę poprzednią. Przelewa się pełnia życia intellektualnego, moc różnorodnych potrzeb, budząca gorączkę twórczą i pomysłowość doboru. Pożądania rozlały wartko, daleko po za możność jednoczesnego ścisłego ujęcia tych fal — i tu przestaje osobnik panować nad przedmiotem — ale z nawału nie zaś absenteizmu. Specyalizacya jest tu w pogardzie.

Można też dostrzedz i trzecią grupę najbardziej zrównoważonych — tych, co zda się opanowali przedmiot studyów, kierują się pewnym planem — nie robią tych olbrzymich skrętów i odchyleń we wszystkie strony, lecz nie poprzestają na dopełnianiu wykładów. Ale jest to też typ niejednolity; są tam możni, dla których wszelkie te sploty dążeń, zapatrywań, miar, ocen, krzyżując się, stworzyły jakieś nowe istnienia, odrębne od pierwiastków składowych, od tworzywa — jakiś zlew mocny, syntezę — dały ujście napiętej pracy naukowej. Są jednak i bojaźliwe, mniej samodzielne osobniki, które nie przetrawiły same tej z zewnątrz narzucającej się różnorodności, popchnięte, dostały się na dróżkę mierności. Chwiejne typy, najbardziej jałową uprawiające metodę średniactwa, wodzone na pasku cudzej myśli w cudzym rynsztunku faktów. Nie zamyka to bezmiaru indywidualnych odchyleń i różnic — typów kowali i rozproszeńców, rodzajów umysłowości, temperamentów — daremną jest próba ujęcia barwności tłumu...

Ogólne te rysy należy zdemonstrować, przedstawić konkretne postaci. Pocznijmy od owych średniaczych wzorów. Jako rys wysoce znamienny dla tej grupy to fakt, że przy studyach fachowych wypożyczają oni dzieła z dziedzin ubocznych nierównej wartości, np. przyrodnik prócz dziełek ogólnych przyrodniczych, podręczników, nie wkraczających ściśle w zakres uniwersyteckich (np. Potylicyn, Chemia), wypożycza też prace najzupełniej ścisłe z innej dziedziny (Klaus, Zoologia), fundamentalne (jak dzieła Darwina) i znów zupełnie odległe i co do miary i charakteru (Bodouina de Courtenay, Rozprawę o staropolskim języku, i Tarnowskiego Studya z XIX w.). Na tym samym wydziale ktoś inny prócz „Kapitału," wypożycza parę podręczników medycznych i przyrodniczych i znów parę broszur o zagadnieniu szczęścia i Szczapowa — Rys historyczny wierzeń ludowych. Jeżeli chodzi o historyę i jej teoryę, to tłuką się najczęściej dzieła Drapera rzadziej Buckla, Kolba — wypożyczają je licznie na wszystkich kursach, nie zdając sobie chyba sprawy z ich historycznego znaczenia; nigdzie niema dalszego rozwinięcia tych prób, nie spotykamy dawniejszych lub nowszych myślicieli. Inni z tej grupy poprzestają często na przedmiotach studyów danego kursu czy wydziału, ale również z najróżnorodniejszych dyscyplin, jakby w poszukiwaniu czegoś... Np. medyk dotknął histologii, chemii fizyologicznej, psychofizyologii, anatomii porównawczej, anatomii patologicznej, chemii fizycznej i bakteryologii — nie zmieniamy porządku wypożyczeń; wysoce to uderzająca, ta pozorna być może, a stale spotykana bezładność. Jeszcze kilka przykładów — znów medyk: bakterye, embryologia, fizyologia, chemia, kobieta Plossa i listy Liebiga. Prawnik obok dzieł z historyi i literatury polskiej interesuje się kwestyą włościańską (z zagadnień społecznych najbardziej może wogóle studyowaną), pozytywizmem w historyi, ziemstwami, katolicyzmem i zakonem krzyżackim; ktoś znów inny na tym samym kursie i wydziale zajmuje się jezuitami, historyą zach. Europy (najczęściej wypożyczano dzieło prof. Kariejewa), Filipem II, Grecyą i Rzymem, Turkami, położeniem ekonomicznem Rosyi i t. d.; jeszcze jakiś filolog: jezuityzmem, Ign. Loyolą, Filipem II, historyą zach. Europy. Przekraczamy powoli granicę, oddzielającą tych, co utrzymywali jeszcze pewną miarę i granice w doborze a istotnymi włóczęgami po obszarach wiedzy — bezsilnie szamocących się jakby o wszechwiedzę. Przyrodnik, biorąc najwyżej dwie książki z jednego działu, wypożyczył: dziełko Drapera, o spirytyzmie, o laboratoryum domowem, mikroorganizmach, balladach Szyllera, życiu zwierząt, elektryczności, Ziemia i Ludzie (Reclus), dziełka Flamma-

riona i nieco powieści. Jeszcze inny przyrodnik (III kurs) prócz powyższej książki Reclus'a - wypożycza podręczniki histologii, chemii, geologii, o cywilizacyi pierwotnej, teoryi literatury, hist. polskiej i „Pamiętnik fizyograficzny.“ Przykłady bardziej jeszcze potarganych usiłowań spotykamy wśród tych, u których nie widać śladów studyów fachowych - to tylko wędrowcy po odległych od siebie nawet dziedzinach. Prawnika np. zajmują zagadnienia przestrzeni, literatura, pozytywizm, pomoc własna (dzieła Smilesa nie stanowią wogóle rzadkości); innego prawnika: kwestya włościańska, filoz. przyrody, rozwój umysłowy Europy (Draper), Walka o prawo (Ihering), hist. cywilizacyi (Guizot), rozwój kapitalizmu, statystyka, socyologia i t. d.; przyrodnika: Buddyzm, budowa materyi, hist. stos. wiary do rozumu; medyka: prócz kilku podręczników ekonomii, studyum o własności, socyologia Spencera, szkice psychologiczne, dziełka o materyalizmie — parę tylko książek z przyrody (o cieple i życiu zwierząt). Inne jeszcze odchylenia tworzą zbaczający jakby do lubowania się w sensacyi: prawnik, wypożyczający np. Tajny żenskago monastyria, kilka powieści: Tragedye Paryża, Żyd wieczny tułacz, obok Tołstoja, Niekrasowa, Byrona, dalej dzieła Reclus, Puzyrewskiego (rok 31), pamiętniki Berga i kilka podręczników akuszeryjnych i chorób sekretnych. Jest to zlew jakby jednoczesny lichot i dzieł wartościowych, niezrozumiały kompleks różnych uwarstwowień. Podobny przykład medyka (I kurs): wypożyczył on tylko parę książek o chor. wenerycznych, Andrologię, poradnik dla mężczyzn i dziełko „O pripadkach sła dostrastia.“

Nieliczną grupę tworzą ci, co widać jasno zdają sobie sprawę z zakresu i rozległości swych studyów, umiejętnie i z opanowaniem techniki czytelnictwa umieją pracować — wysunę kilka postaci. Wielu interesuje świat Grecyi i Rzymu — literatura i sztuka jednych, filozofia lub historya innych. Część zatrzymała się na odrodzeniu, Włoch zwłaszcza, czuje się jakby koncentryczność ich studyów — przeważnie też posiadają znajomość języków nowoczesnych. Kilku studyuje historyę i literaturę, inni psychologię (często w związku z psychiatryą i med. sądową) i filozofię, zwłaszcza nowożytną. Najczęściej też wiele wypożyczają, np. prawnik IV kursu 166 tomów! Studya gruntowne, prawie wyłącznie prawne. I w tej grupie poważnych już studyów dostrzegamy czasem włóczęgostwo, ale jakby wyższego stopnia—wypożyczają rzeczy różnorodne, ale wysokiej wartości np. dzieła Darwina, Kapitał, albo dzieła Wagnera, Malthusa, Buffona i Fischera (o Fauście Göthego), inny historyę Mommsena, psychologię Spencera, Hegla

estetykę i... Struvego logikę. Nad grupą na samym wstępie charakteryzowaną, nie zatrzymujemy się — typ to „kowali“ dość pospolity i nieoryginalny.

Musimy zrzec się chęci wyrazistego odtworzenia najczęstszych nawet postaci; aby wyczerpać tu odcienia i różnice, trzebaby bogatszego, żywszego, bardziej plastycznego materyału. Dostarczyć go mogłyby tylko wywiady — umiejętnie przeprowadzona ankieta. Może ktoś jeszcze oświetli z tej strony studya młodzieży.

Chcąc wniknąć całkowicie w morfologię czytelnictwa, nie można poprzestać na pozytywnem stwierdzeniu faktów, studyów nad tymi lub innymi przedmiotami. Należałoby oświetlić i negatywną stronę: czego w nich brakuje. Czyniliśmy to poniekąd pośrednio — materyał jednego roku nie pozwala czynić zbyt ryzykownych w tym kierunku prób — zwracamy tylko uwagę na możliwość osiągnięcia tego punktu widzenia przy obfitszym, z lat kilku zgromadzonym materyale. „Nic nie zdaje mi się bardziej znamiennem dla duszy jakiegoś narodu kulturalnego, — pisze w dość ciekawym o tej kwestyi przyczynku p. Laban[1]) — przynajmniej dla jakiegoś ukształtowania w pewnym przeciągu czasu, jak okoliczność, jakich książek uporczywie *nie chce* czytać. Rozumie się myślę tylko o dziełach najwyższej wartości, o dziełach ogólnie ludzkiej treści, o horyzoncie obejmującym światopogląd, w którym genialna jednostka wyraża całą wysokość i głębię swej wiedzy i odczuwania.“ Dzieła takie byłoby, jak zaznaczyliśmy, zbyt ryzykowne wymieniać, ale są działy całe, które istotnie nie weszły zupełnie, lub prawie zupełnie w skład czytelnictwa.

Co uderza przedewszystkiem — charakterystyczne dla wszelkich, nawet najpoważniejsze studya prowadzących — to brak studyów nad historyą nauk, brak znajomości rozwoju, studyowanych gałęzi naukowych (niema odpowiednich katedr). Dzieła przestarzałe przyjmowane są na równi z dorobkiem i systematyzacyą dzisiejszą. W takim sprzężeniu spotykamy często filozofię przyrody Herschla, dzieła Buckle'a Drapera. Prawnicy wśród najbardziej poczytnych i używanych dzieł mają prace Maciejowskiego, pogrzebanego przez krytykę oddawna (tu wpływ wykładów o praw. słowiańskich). Wypożyczanie wszystkich tych utworów na równi z nowszemi badaniami z innych dziedzin, nie w związku historycznym, świadczy jakby o nieoryentowaniu się w ich właściwej roli. Następnie,

[1]) Ungelesene Bücher, als Zeichen der Zeit“ Deutsche Rundschau 1902, str. 431.

dość wymienić, że w okresie tak żywych sporów i dyskusyj (również w sferze studentów) o sztuce, tylko kilka dzieł o niej wypożyczono, dalej, że przy wzroście mistycyzmu i prądów okultystycznych nie tknięto ani jednej bodaj o tem pracy. Toż samo da się powiedzieć o teologii i umiejętnościach pokrewnych. Przy natężonem dość czytelnictwie w zakresie społecznoznawstwa tknięto ledwie tyle dziś omawiany kierunek materyalizmu dziejowego — kilka razy spotykamy tylko nazwisko autora Kapitału, a zupełnie na uboczu pozostała kwestya wartości. Wypożyczano zaledwie popularne streszczenia. Wkraczamy jednak tu w granice sztucznych ograniczeń... W związku ścisłym z temi warunkami stoi brak publicystyki, co dowodziłoby jakby zupełnego nieinteresowania się sprawami dnia, życia bieżącego. Dane biblioteki nie są tu miarodajne — z jednej strony, gdyż książki do biblioteki dostają się po pewnym czasie, tracą zazwyczaj już swą aktualność, zresztą są w ilości ograniczonej, z drugiej strony są to książki, jakie studenci najczęściej kupują. Złe warunki materyalne sprawiają, że przeciętnie student warszawski rzadko ma niezbędne podręczniki, ale posiada każdą z prac ulotnych, interesujących go.

(d. n.). KONSTANTY KRZECZKOWSKI.

Druki litewskie.

Dzień 24 kwietnia (7 maja) 1904 roku rozpoczyna nową erę w kulturze ogromnej większości narodu litewskiego, mieszkającej w granicach państwa rossyjskiego, otwierając dostęp legalny do niej piśmiennictwa litewskiego, drukowanego czcionkami łacińskiemi, stanowiącemi wiekową jej przynależność.

Zadaniem niniejszej rozprawki jest próba ujęcia w ramy cyfrowe dotychczasowego dorobku wydawniczego w języku litewskim oraz krótkie skreślenie dziejów, poprzedzających ten epokowy dla narodu litewskiego wypadek.

Źródłami, na których oparłem moje obliczenia, były następujące trzy wydawnictwa: 1) Bałtromajtis S.: *„Spisok litowskich i drewnie-prusskich knig, izdannych z 1553 po 1891 god,“* Petersburg 1892 r. 8-o str. 96, odbitka z rocznika ces. tow. geograficznego; 2) Chronopolitanus: *„Lietuviškoji bibliografija“* w czasopiśmie „Warpas“ 1893 r., zeszyt 5 (uzupełnienie spisu Bałtromajtisa) i 3) Zanavikutis A. Jonas: *„Catalogue des Livres lithuaniens imprimés dès 1864 à 1899 hors de Russie, où les impressions lithuaniennes sont interdites,“* Paryż 1900 r., 8-o, str. 28.

Ruch wydawniczy litewski dziś da się podzielić na trzy zasadnicze okresy, spowodowane zarządzeniami w państwie rossyjskiem.

Okres pierwszy, trwający lat 320, rozpoczyna się od wyjścia w Królewcu z pod tłoczni drukarskiej Hansa Weinreicha w r. 1545 pierwszej niewątpliwej książki litewskiej w narzeczu staro-pruskiem p. t. „Catechismus“ aż do r. 1865, w którym zapadł znany

zakaz używania w drukach litewskich pod berłem rosyjskiem czcionek litewskich; *okres drugi* zupełnej banicyi druku litewskiego z granic Rosyi w ciągu lat 40, aż do r. 1904 i wreszcie *okres trzeci*, zapoczątkowany w roku bieżącym, przez zniesienie zakazu.

I.

Za pierwszego autora, piszącego w języku litewskim, dotychczas uważany jest Stanisław Rapagellan pierwszy profesor wszechnicy królewieckiej, zmarły w r. 1545, który przełożył na ten język pieśni polskie i niemieckie; wszakże niewiadomem jest czy te pieśni wydane zostały za życia jego.

Wogólności dotychczas niemamy żadnej pewności, ażeby przed rokiem 1545 wyszła z druku jakabądź książka litewska. Wprawdzie Teodor Narbutt w swych *„Dziejach Narodu Litewskiego“* (t. IX, str. 287) zapewnia, że widział *„Wyprawę duszy na tamten świat i t. p.“* t. j. agendę, drukowaną w Wilnie u Andrzeja Lesciciusa (Leczyckiego) w r. 1533 po polsku, łacinie, litewsku i niemiecku, lecz twierdzenie to wydaje się mocno fantastycznem, zwłaszcza, że drukarz o podobnem imieniu i nazwisku nigdy w Wilnie nie istniał. Przeczy też temu stanowczo sumienny badacz literatury litewskiej Maurycy Stankiewicz w swej *„Bibliografii litewskiej.“*

Dla tego też dotąd za pierwszy druk litewski, aczkolwiek w narzeczu pruskiem, uważać musimy *„Catechismus in preüssnischer sprach, gecorrigiret und dagegen das deüdsche. Gedruckt zu Königszberg inn Preüssen durch Hans Weinreich. MDXLV.“* (in 4-o, str. 15), którego, zdaje się jedyny, egzemplarz znajduje się w Ces. Bibl. Publ. w Petersburgu. Dopiero we dwa lata potem, z tejże oficyny królewieckiej, wychodzi pierwszy druk w narzeczu górnolitewskiem Marcina Mosvidius'a: *„Catechismusa Prasty Szadei, Makslas skaitima raschta yr giesmes del krikszczianistes bei del bernelin iaunu nauicy suguldítas. Karalianczui, VIII dena Menesas Sausia Metu uszgimima Diewa MDXLVII* (dnia 8 stycznia 1547 r.). *Ischbruktas Karalauczui per Jana Weinreicha metusu ijr dienagi, kaip aut pradzias Knigielin ijra“* (16-o str. nlb. 79). Jest to pierwszy elementarz, katechizm i śpiewnik w jednej książce.

A więc w r. 1905 ubiega 360 lat od wyjścia w świat pierwszej, znanej nam, książki litewskiej.

W porównaniu z polskim, druk litewski jest o 70 lat młodszy od niego, literatura polska bowiem w r. 1875 obchodziła

400-lecie pierwszego swego druku: „*Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę,*“ napisanego w języku polsko-czeskim i dołączonego do statutów synodalnych biskupa wrocławskiego z r. 1475.

Królewiecki drukarz *Jan Weinreich* jest tedy pierwszym drukarzem litewskim, z którego oficyny w d. 20 kwietnia 1549 r. wychodzi trzecie z rzędu i zarazem ostatnie jego dzieło w tym języku p. t. „*Giesme S. Ambroszeijaus, bey S. Augustina, kure vadin: Te Deŭ laudamus. Su gesmemis ape ischnumirusiu priekelima Jesaus Christaus. Isgulditas per M. Mossuida Waitkuna etc. Aut naudos Ragaynes Baszniczey ir Kitu etc.*“ Mała ta książeczka w 16-o o 12 stronach nieliczbowanych, jak tytuł opiewa, zawiera przekłady hymnu „Te Deum laudamus“ i pieśni o Zmartwychwstaniu Pańskiem, sporządzone przez, znanego już nam, Marcina Mosvidius'a (*Mažwyds* według Ostermeyera i *Mastwidas* według Karłowicza było jego nazwisko w pierwotnem nieskażonem brzmieniu) na użytek kościoła w Ragnecie. Natrafił na nią przypadkowo dr. Zygmunt Celichowski, kustosz biblioteki kórnickiej w oprawie Postyli Seklucyana, drukowanej w Królewcu w r. 1556 przez Augezdeckiego. Podobizna jedynego jej egzemplarza wydaną została nakładem biblioteki kórnickiej w Poznaniu w r. 1897.

Następcą Weinreicha w Królewcu został *Johan Deubner vel Daubman*, który w r. 1559 wydaje formularz chrztu i w r. 1561— Katechizm Marcina Lutra w przekładzie dla Litwinów. Po nim od r. 1579 do r. 1600 *Georg Osterberg* wypuszcza w świat 7 ksiąg litewskich.

Język litewski pod ten czas cieszył się już tak wielką powagą, że nawet rząd pruski w r. 1578 ogłasza drukiem w tym języku manifest margrabiego brandeburskiego Jerzego Fryderyka, datowany w Tylży w d. 6 sierpnia tegoż roku.

Dopiero w r. 1595 ukazuje się pierwszy *wileński* druk litewski. Jest nim katechizm Jakóba Ledesmy Jezuity w przekładzie ks. Mikołaja Daukszy na narzecze dolno-litewskie czyli żmujdzkie. Najstarszy w tem narzeczu i przez to nieoceniony dla badaczy języka litewskiego ten zabytek poza miejscem i rokiem nieposiada wymienionej drukarni. Zdaje się atoli być niewątpliwem, że wyszedł on z oficyny akademii O.O. Jezuitów, we cztery lata bowiem potem jezuici wileńscy wydają „*Postillę katolicką*“ w tłómaczeniu tegoż Mikołaja Daukszy.

Literatura litewska zawdzięcza drukarni jezuickiej w Wilnie dwa dzieła, posiadające dla niej pierwszorzędną wartość. W roku 1629 ukazują się „*Punkty kazań od Adwentu aż do Postu Litewskim językiem z wytłómaczeniem na Polskie*“ i pierwszy „Słó-

wnik", polsko-łacińsko-litewski. Autorem obu dzieł jest głośny na swój czas kaznodzieja, jezuita Konstanty Szyrwid, urodzony na Żmujdzi.

Rok ten stał się w drukarstwie litewskiem rokiem zwrotnym, dotąd bowiem wszystkie książki litewskie drukowano czcionkami o charakterze gotyckim, gdy zaś *w r. 1629* Kazania Szyrwida w połowie tekstu odbite zostały *poraz pierwszy czcionkami łacińskiemi.*[1]) Nieznanem jest wcale pierwsze wydanie słownika Szyrwidowego, domyślać się jednak wolno, że będąc dziełem jednego autora i drukarni z „*Kazaniami*" i wydanym w tymże, co i one, roku — musiał być również czcionkami łacińskiemi obok gockich odbity.

Zmiana być może spowodowana została chęcią jezuitów wyróżnienia druków katolickich od luterskich i kalwińskich, których ilość, w zależności od potęgowania się ruchu reformacyjnego na Litwie, zastraszająco dla katolicyzmu wzrastać pod ten czas zaczęła, znajdując miejsce w Wilnie, lub w pobliżu niego.

Tak w r. 1598 wilnianin *Stanisław Wierzeyski* drukuje „*katechizm polsko-litewski,*" a w r. 1600 opuszcza oficynę wileńską *Jakóba Morkunasa* „*Postylla litewska*" wydana nakładem księcia Krzysztofa Radziwiłła. W radziwiłłowskich Kiejdanach w r. 1653 z rozkazu i sumptu księcia Janusza *Joachim Jerzy Rhetas* drukuje odrazu aż cztery książki religijne kalwińskie: kancyonał, ewangelie, modlitewnik i katechizm, zaś z polecenia zboru kiejdańskiego w r. 1660 rozpoczęto w Londynie druk Biblii, niedokończonej jedynie z braku funduszów, której jedyny egzemplarz przechował się w księgozbiorze Akad. Duchownej Katolickiej w Petersburgu.

Tymczasem w Królewcu w dalszym ciągu zatrudnieni są wydawnictwem ksiąg litewskich drukarze XVII-go stulecia: *Johan Fabricius* w r. 1612 (3 druki); *Lorenz Segebad* w 1625 r. (1 druk) i *Fryderyk Reyzner* od 1666 do 1701 r. (4 druki).

Wiek XVIII liczbę książek pomnożył prawie w czwórnasób, zawdzięczając usilnej w tym kierunku pracy duchowieństwa katolickiego. W Wilnie stale rozwija swą działalność wydawniczą drukarnia jezuicka, która po kassacie zgromadzenia, jako drukarnia akademicka, nadal drukuje w języku litewskim i do r. 1799 włącznie wydaje ok. 32 dzieł, oczywiście treści wyłącznie religijnej. W r. 1765 *X.X. Franciszkanie* drukują jedną książkę, a od r. 1779 zaczynają stale się ukazywać druki z oficyny *O.O. Bazylianów* wileńskich.

[1]) Później w drugiej połowie w. XVII-go z oficyny jezuickiej wyszło jeszcze parę książek, drukowanych czcionkami gockiemi.

W Królewcu drukuje w dalszym ciągu Fryderyk Reyzner; *Eckart* w 1727 r. (1 druk); *Filip Cristup Kauter* w 1755 r. (1 dr.); *drukarnia królewska* w 1757 (1 dr.); *Johan Endricus Hartung* w latach 1755 i 1757 i *G. L. Hartung* od 1763 r.

Za granicą w tym wieku wychodzi w Berlinie w r. 1724 odezwa królewska z d. 9 sierpnia tegoż roku i w Halli w latach 1736 i 1740—pieśni pobożne luterskie.

Dopiero w pierwszych latach XIX stulecia ruch wydawniczy litewski czyni skok nagły ilościowo i ogniskuje się w stolicy gedyminowej dokoła renomowanej wszechnicy litewskiej. Duchowieństwo wileńskie w ruchu tym bierze stale znaczny udział: *O.O. Bazylianie* aż do r. 1835 (ok. 23 książek), a *X.X. Misyonarze* od r. 1805 do 1845 (ok. 32 książek). Wszakże w r. 1805 powstaje księgarnia świecka *Józefa Zawadzkiego*, drukarza uniwersyteckiego, który, wydawszy w r. 1806 pierwszą książkę litewską, w pół wieku potem ujął w swe ręce prawie cały ruch wydawniczy i księgarski litewski w państwie rosyjskiem — do r. 1865 wyszło z jego drukarni około 110 książek i broszur, czyli około połowy wszystkich druków do tego czasu w Wilnie wydanych.

Obok drukarń powyższych odbijają w Wilnie książki litewskie: *Antoni Marcinkowski* od 1823 do 1859 r. (ok. 7 książek); *S. Neumann* od 1828 do 1853 r. (6 ks.); *M. Zymelowicz* od 1830 do 1861 r. (11 ks.); *Romm* od 1839 do 1864 (17 ks.); *Abraham Dworżec* od 1844 do 1862 r. (35 ks.); *S. Blumowicz* od 1845 do 1864 r. (10 ks.); *Maurycy Orgelbrand* w 1859 r. (2 ks.); *Adam Honory Kirkor* w t. zw. „drukarni obywatelskiej," założonej w r. 1860, od 1860 do 1864 r. (6 ks.); *Syrkin* od 1860 do 1865 r. (9 ks.); *Solec* w 1861 r. (1 ks.) i *drukarnia przy ulicy św. Jana Nr. 431* w 1823 r. (1 ks.).

W Kownie: filia *M. Zymelowicza* w r. 1848 (1 książka) i *Sokołowskiego* w r. 1862 (1 ks.). W Poczajowie u *O.O. Bazylianów* w 1802 r. (1 ks.). W Mitawie od r. 1803 do 1864 (11 ks.). W Rydze u *Wilhelma Ferdynanda Heckera* w latach 1833 i 1863 (2 ks.) W Warszawie od 1836 do 1863 r. (4 ks.). W Suwałkach od 1836 do 1862 r. (6 ks.). W *drukarni narodowej wojew. augustowskiego* w r. 1864 (4 druki).

Po przeniesieniu się Szymona Dowkonta do Petersburga, zaczynają tam opuszczać różne drukarnie dzieła jego; a więc *K. Hintza* w r. 1837 — „*Podręcznik jęz. litewskiego*" i w r. 1845 — głośne „*Zwyczaje starożytnych litwinów*" („*Budgsenovies Letuvu*"); *K. Kraya* w r. 1842 — „*Elementarz*" i w r. 1846—„*Śpiewy żmujdzkie*"; *E. Pratza* w 1848 — „*O pszczołach*" i w r. 1849 — „*Jak zbierać nasiona*

drzew.“ Wreszcie w r. 1861 Akademia Nauk wydała w Petersburgu gramatykę litewską Jana Juszkiewicza.

W Prusach Wschodnich drukarstwo litewskie koncentruje się głównie w Królewcu, gdzie w tym czasie trudnili się niem: *M. Gottlieb Mielcke* od 1800 do 1808 r. (2 ks.); *Eberland* od 1801 do 1802 r. (2 ks.); *Librecht Eryngk* w 1806 r. (1 ks.); *von Schultz* w 1838 r. (1 ks.) i największa drukarnia litewska w Królewcu *G. L. Hartunga*, która do r. 1865 wydała ok. 30 książek. Nadto wychodzą książki w jęz. litewskim w Tylży od r. 1802-go, Kłajpedzie (Memel) od r. 1831-go, Prökulu w latach 1860 i 1865, Gumbinie w latach 1814 i 1825, Szylokrug w 1865 r. i Ragnecie (Heidekrug) od r. 1861 do 1864.

Wreszcie w Zachodniej Europie wydano w XIX-em stuleciu aż do r. 1865: w Berlinie od r. 1844 do 1865 (11 druków), Frankfurcie nad Menem od 1853 do 1863 r. (4 dr.), Lipsku w latach 1860 i 1862 (3 dr.), Halli w r. 1865 „*Nowy testament*“ Fryderyka Kurschata i w Paryżu w r. 1833 (2 dr.).[1])

Wykaz powyższy daje miarę stopniowego wzrastania liczby drukarń, odbijających książki litewskie. Nadmienić tu wypada, że jakkolwiek w drukarniach wileńskich i wogóle na Litwie rosyjskiej, zaczynając od początku wieku XVIII-go zupełnie się ustaliły czcionki łacińskie, wszakże dość częstem zjawiskiem były w Prusach Wschodnich — gotyckie, gdzie szczególnie popierane one były, zwłaszcza w drugiej połowie XIX-go stulecia, w celach germanizacyi.

W okresie pierwszym istnienia książki litewskiej odbito:

w wieku	XVI	—	—	22	druki
„ „	XVII	—	—	31	„
„ „	XVIII	—	—	97	„
„ „	XIX (do r. 1865 włącz.)			571	„
Razem	—	—	—	721	druk.

Z tej ogólnej liczby 721 druków, wydanych od r. 1545 do 1865 włącznie, przypada na Litwę rosyjską 473, a z nich na samo Wilno — 420. Dla uzupełnienia powyższej wiadomości dodaję, że

[1]) Ilość druków, podana przy drukarniach jest względną, obliczoną bowiem została tylko na podstawie książek, w których drukarnie są wymienione, zaś znaczna liczba książek litewskich nieposiada nazwy oficyny, w której odbitą została. Takich właśnie książek, wydrukowanych w Wilnie, mamy przeszło 100, a w Królewcu około 90.

według anonimowego autora „*Développement de la Littérature lithuanienne d'après le nombre des volumes*“ (wydany zdaje się w roku 1900 na wystawę powszechną paryską) liczba egzemplarzy wydawnictw litewskich do r. 1865 włącznie sięgała *238 tysięcy*. Za ścisłość tej liczby ręczyć trudno, wiadomo bowiem, że dotąd niewykryto żadnych źródeł, do obliczenia druków z wieków XVI — XVIII służyć mogących.

Jakkolwiek zadaniem pracy niniejszej jest danie czytelnikowi statystycznego obrazu dorobku drukarskiego Litwinów, pozwalam sobie atoli dla charakterystyki piśmiennictwa litewskiego z tego okresu wtrącić poniższych cyfr kilka.

W 721 tytułach zawiera się: teologii (katechizmy, książki do nabożeństwa, dzieła treści religijno-moralnej) - 548, czyli przeszło 70%; elementarzy (licząc od pierwszego przy katechizmie Mosvidius'a z r. 1547) — 69; kalendarzy (od r. 1846) 20; rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelarstwa i rad gospodarczych — 14; Historyi — 6; pedagogii — 5; medycyny i hygieny — 2; rozporządzeń rządowych i odezw politycznych — 16, reszta zaś należy do innych działów.

II.

Zakaz używania w państwie rosyjskiem czcionek łacińskich zapadł w chwili przełomowej dla literatury litewskiej, gdy, wyzwalając się stopniowo z wyłączności służby religijnej, zaczynała ona obejmować coraz szersze kręgi potrzeb życiowych społeczeństwa swego.

Jak dalece srogim ciosem był dla niej ten zakaz, udowodnićby mogły najlepiej tablice graficzne. Gdy w dziesięcioleciu, poprzedzającem zakaz, wyszło u pod prasy 254 książki, czyli przeciętnie po 25,4 w roku, to w dziesięcioleciu następnem zaraz po ogłoszeniu banicyi druku litewskiego zaledwie 172 książki, czyli mniej niż połowę.

Historya zakazu jest krótką.

W lutym 1864 r. do nowomianowanego Kuratora wileńskiego okręgu naukowego I. P. Korniłowa zgłosił się *Jan Juszkiewicz* inspektor ówczesnej szkoły „audytorskiej“ w Petersburgu z rękopisem gramatyki rosyjsko-litewskiej i prośbą o przyjęcie go do szkolnictwa gubernii kowieńskiej, zkąd był rodem.

Jan Juszkiewicz, brat ks. Antoniego Juszkiewicza, wybitnego pracownika na polu badań języka litewskiego, sam był już zna-

ny jako autor gramatyki litewskiej, wydanej w r. 1861 przez petersburską Akademię Nauk. Propozycya jego wypadła podczas zajęcia się sfer rządzących *alfabetem wszechsłowiańskim*, skomponowanym przez uczonego ideologa, profesora Aleksandra Hilferdinga, za pomocą którego zmodyfikowanych zgłosek rosyjskich miały być kiedyś zespolonemi wszystkie ziemie słowiańskie. Marzenia Hilferdinga stały się już dla wielu drogowskazem w dalszym rozwoju kulturalnym krajów, objętych granicami państwa rosyjskiego.

Pod wpływem chwili Korniłow zaproponował Juszkiewiczowi zastąpienie w tekście litewskim liter łacińskich rosyjskiemi, na co Juszkiewicz przystał chętnie i wkrótce nadesłał do Wilna parę arkuszy, zmienionej przez siebie, gramatyki.

Oczywiście próba ta została zaakceptowana przez jenerała Murawiewa, wszakże prośbie Juszkiewicza o przeniesienie na Litwę nie zechciał on uczynić zadość. Obrażony Juszkiewicz teraz ze swej strony wręcz odmówił dalszego pisania gramatyki, chociaż mu to nie przeszkodziło w r. 1868 wydać za pomocą Akademii petersburskiej zbioru pieśni litewskich, drukowanych czcionkami rosyjskiemi.

I być może, że sprawa inowacyi w piśmiennictwie litewskiem na tem by się zakończyła, gdyby los nie zesłał na miejsce Juszkiewicza człowieka nowego — *Stanisława Mikuckiego*, lektora warszawskiej Szkoły Głównej.

Imię jego jest tak ściśle związane z pierwszą książką litewską, drukowaną czcionkami rosyjskiemi, że przypuszczam, iż nie od rzeczy będzie przypomnienie na tem miejscu jego duchowej sylwetki, niedawno skreślonej przez prof. J. Baudouin de Courtenay'a: „Z pochodzenia szlachcic zaściankowy z gub. łomżyńskiej, niegdyś uczeń seminaryum katolickiego, zkąd go wypędzono, żołnierz, nauczyciel elementarny, w stosunkowo późnym wieku student uniwersytetu, stypendysta Akademii Nauk w Petersburgu i t. d. napełnił swą dużą głowę mnóstwem chaotycznych wiadomości z zakresu języków i bawił się w dzikie etymologie i zestawienia wyrazów. Jednocześnie uprawiał sport demoralizowania i deprawowania młodzieży. Osobistość nasiąknięta jadem nienawiści do ludzi wogóle, a zarazem zdolna do najszlachetniejszych czynów. Wielbiciel jedynie siły fizycznej, miał niskie wyobrażenie o inteligencyi ludzkiej i sądził, że w każdego człowieka można wszystko wmówić i wszystko mu narzucić. Akademia Nauk za niewypełnienie instrukcyi pozbawiła go stypendyum i wyrzekła go się, więc pałał żądzą zemsty i żądzą zrobienia karyery jakimkolwiek sposobem“ (Kraj“ 1904 r. Nr. 27, str. 3).

Polecony gorąco Milutinowi przez kolegę uniwersyteckiego Hilferdinga, a Murawjewowi przez Milutina, przybywa Mikucki do Wilna w kwietniu tegoż roku i obejmuje redakcyę książek litewskich, drukowanych czcionkami rosyjskiemi. Niezupełnie jednak mu dowierzano, gdyż dano mu do pomocy komitet wydawniczy, składający się oprócz Mikuckiego jeszcze: z protojereja *Antonija Pietkiewicza* (dawniej kapłana katolickiego), *Wawrzyńca Zwińskiego* — nauczyciela szkoły ludowej w Retowie w pow. rosieńskim i wydawcę kalendarzy litewskich i *Jana Kreczyńskiego* b. nauczyciela szkoły ludowej w Taurogach w pow. telszewskim i jedynego naówczas rosjanina, znającego język litewski.

Pierwszym drukiem, zredagowanym przez Mikuckiego a wydanym przez komitet powyższy, jest elementarz żmujdzko-litewski, noszący dziwaczny tytuł: „*Abecele Żemajtiszka-Letuwszyka.*“ Wyszedł on w r. 1865 z nowozałożonej oficyny obywatelskiej pod firmą Adama Honorego Kirkora w 6000 egzemplarzy, z których jeden tysiąc rozesłano do szkół ludowych dyrekcyi wileńskiej a resztę do dyrekcyi kowieńskiej. W tym samym czasie, przybyły do Wilna w r. 1864, *Jan Sprogis* — łotysz z urodzenia i dzisiejszy dyrektor wileńskiego centralnego archiwum akt dawnych — poraz pierwszy użył czcionek rosyjskich do języka łotewskiego, w wydanym przez siebie, kalendarzu. To też I. P. Korniłow czyni uwagę, że „wprowadzenie w użycie alfabetu rosyjskiego do książek żmujdzkich i łotyskich zostało dokonane nie przez uczonych rosyjskich, lecz przez filologów litewskich: Juszkiewicza, Mikuckiego i łotysza: Sprogisa“ (*Russkoje dieło w siewiero zapadnom kraje.*“ Petersburg 1901 r. str. 257). Nadmienić należy, że jednocześnie z rozkazu Milutina drukuje się w Petersburgu po raz pierwszy czcionkami rosyjskiemi elementarz polski p. t. „*Elementarz dla dzieci wiejskich*“ (1865 r. 8-o, str. 120).

Komitet wydawniczy wileński za czasów jenerał-gubernatorstwa Murawiewa zdołał wypuścić w świat zaledwie kilkanaście drobnych książeczek, były to: elementarz, kantyczki, książka do nabożeństwa, ewangelie i t. p. W celu zapewnienia im większego zbytu wydany został komitetowi cenzuralnemu wileńskiemu ustny rozkaz, ażeby odtąd, aż do nowego rozporządzenia, zezwalał na druk książek litewskich i łotewskich, jedynie alfabetem rosyjskim pisanych. Głównym kolporterem tych książek wśród szkół litewskich był ówczesny kurator wileński I. P. Korniłow, który głęboko wierzył, że „w starożytności Litwini naukę czytania i pisania posiedli od Rosyan i pisali w swym języku literami rosyjskiemi“ (*„Russkoje dieło w siewiero zapadnom kraje,*“ str. 258).

Następca M. N. Murawiewa jenerał von Kauffman przywiązywał wielką wagę do idei wprowadzenia do piśmiennictwa litewskiego liter rosyjskich i w d. 6 sierpnia 1865 r. (Nr. 96) wydał okólnik, zakazujący druku i handlu oraz przywożenia z zagranicy książek litewskich, odbitych czcionkami łacińskiemi, który w d. 13 września tegoż roku (Nr. 141) uzyskał potwierdzenie ministra spraw wewnętrznych. Pomimo to jednak Akademia Nauk jeszcze w tymże samym roku drukuje w Petersburgu czcionkami zakazanemi rozprawę Schleichera o poecie litewskim Donalejtisie.

Ponieważ wywiązała się kwestya podręczników szkolnych jęz. litewskiego w gub. augustowskiej, więc w styczniu 1866 r. minister Milutin zakomunikował ustnie ministrowi oświaty, iż z woli Monarszej wydawnictwa „rządowe“ winne być drukowane czcionkami rosyjskiemi i dopiero w d. 22 kwietnia 1880 r. uczyniony został wyjątek dla wydawnictw Akademii petersburskiej.

Z powodu wykrytych w r. 1866 kilku nowowydanych książek litewskich, pochodzących z drukarń wileńskich, w d. 23 lipca tegoż roku ogłoszony został okólnik, nakazujący niezwłoczną *kasatę czcionek polskich* we wszystkich drukarniach kraju.

Było to ostatnie zarządzenie jenerała von Kauffmana w tym kierunku. W d. 9 października 1866 r. jenerał-gubernatorem wileńskim został Baranow, który zaraz na wstępie zaznaczył różnicę zdania swego i jego poprzedników. Niestety nie był mocen do skasowania zakazu, poprzestał więc na rozwiązaniu komitetu wileńskiego, przez co przerwał bezużyteczne a kosztowne jego wydawnictwa.

Stanisław Mikucki zupełnie zawiedziony i zniechęcony powrócił do Warszawy.

Ze względu, iż zakaz dotyczył li tylko książek, drukowanych czcionkami *łacińskiemi*, księgarnie Prus Wschodnich zaczęły zaopatrywać pogranicze pruskie w znaczną ilość druków, odbitych czcionkami *niemieckiemi*, które w braku tamtych, zwłaszcza wśród Litwinów-protestantów, znalazły chętnych nabywców. Zwrot ten wywołał nowy zakaz z d. 20 grudnia 1872 r. (Nr. 5907) głównego komitetu cenzury, zamykający wstęp do państwa rosyjskiego i tym drukom litewskim.

Atoli wszystkie te usiłowania nie zdołały wyplenić wiekowego przyzwyczajenia do starego alfabetu, a co więcej nie zdołały zamknąć granicy państwa tak szczelnie, by sąsiednie Prusy nie potrafiły dostarczać książek litewskich drogą przemytnictwa.

Od r. 1865 cały ruch wydawniczy i księgarski litewski ześrodkował się w pruskiej prowincyi litewskiej w Tylży, Królewcu

i Kłajpedzie (Memlu), a nawet, ze stale wzrastającą liczbą ludności litewskiej w Stanach Zjednoczonych, i w Ameryce. W r. 1879 w Nowym Jorku wychodzi pierwszy tygodnik „*Lietuviszka Gazieta*," a w r. 1883 dr. J. Rassanowicz w pruskiej Ragnecie rozpoczyna wydawnictwo popularnej „*Auszry*" (Jutrzenka), w której, zaznaczając o staraniach, przedsiębranych w celu cofnięcia zakazu, zwraca się z prośbą o pomoc w tym względzie do jenerała Hurki przez pamięć „na jego pochodzenie z narodu litewskiego" (1883 r. Nr. 4).

Tymczasem na Litwie rosyjskiej zakaz przestrzegany jest przez administracyę z coraz większą ścisłością, niezważając, ze w Petersburgu między latami 1870 a 1880 ukazało się kilkanaście popularnych książeczek litewskich, a w r. 1879 uniwersytet Kazański wydał cenny zbiór pieśni litewskich ks. Antoniego Juszkiewicza (brata Jana) czcionkami inkryminowanemi.

W tej epoce stan oświaty wśród ludu litewskiego, zamieszkującego państwo rosyjskie, zaczął stale chylić się ku upadkowi. Konserwatywny aż do szpiku kości Litwin odrzucał podawane sobie książki, pisane literami nowemi, i wolał zapominać czytać, lub ograniczać się zachowanemi staremi wydawnictwami. Analfabetyzm wzrastał z zastraszającą szybkością, któremu nie zdołała zapobiedz również mnożąca się liczba szkół. Przemytnictwo z Prus książek wprawdzie nie ustawało, pomimo nadzwyczajnych trudności i niebezpieczeństwa, nie mogło atoli uczynić zadosyć potrzebom przeszło trzymilionowego narodu. Według obliczeń, sporządzonych do pawilonu litewskiego na wystawie powszechnej w Paryżu w r. 1900, od r. 1864 do końca 1896 r. przewieziono z Prus do Rosyi 3,705,250 egzemplarzy książek litewskich za 1,384,109 rubli, nie licząc kilkudziesięciu tysięcy wydawnictw amerykańskich („Kraj" 1902 r. Nr. 39). Napozór liczba ta wydaje się olbrzymią, gdy atoli się zważy 33-letni okres czasu, trzymilionową ludność i to, że nie wszystkie przewiezione książki trafiły do rąk przeznaczonych, gdyż od r. 1891 do 1902 włącznie jedne tylko komory celne pogranicza pruskiego skonfiskowały 173,000 egzemplarzy („*Nowoje wremia*" 1903 r. Nr. 9698), to ilość powyższa skurczy się do przysłowiowej kropli w morzu.

Jednocześnie chwilowe wydawnictwo książek o czcionkach rosyjskich od r. 1865 do 1891 włącznie, dosięgło zaledwie okrągłej liczby 30 (obliczone na podstawie spisu Bałtromajtisa).

Zdaje się, że gdyby był Hilferding zdołał przewidzieć wszystkie te ewentualności, wyrzekłby się niewątpliwie swej utopii stopienia Litwinów z rzeszą słowiańską—tymczasem, nie danem mu by-

ło oglądać owoców swego pomysłu, bowiem już w r. 1872 żyć przestał. Natomiast należy oddać zupełną słuszność znacznemu gronu przedstawicieli rosyjskiej administracyi, nauki i publicystyki, zaznaczających śmiało i wytrwale swą niesolidarność z banicyą druku litewskiego, jako wywołaną jedynie przez chwilowe a niefortunne środki administracyjne.

Minister Wałujew, jenerał-gubernator wileński Baranow, kurator okręgu naukowego warszawskiego Apuchtin, nawet jenerał-gubernator warszawski Hurko, który w r. 1896 na posiedzeniu warszawskiego Komitetu statystycznego wyraził wątpliwość „czy czasem nie było błędem ze strony władz, że zmuszały Litwinów do przyjęcia czcionek rosyjskich“ (*„Trudy warszawskawo statisticzeskawo komitieta“* zeszyt 11 z r. 1896), stawali w obronie prastarego abecadła litewskiego.

Ze świata uczonego największą zasługę ma w tym względzie Edward Wolter, docent uniwersytetu petersburskiego i głęboki znawca i wielbiciel języka litewskiego, którego odczyt o piśmiennictwie litewskiem, wygłoszony w grudniu 1887 r. w petersburskiem Towarzystwie Filologicznem, zwrócił powszechną na sprawę druku litewskiego uwagę i wywołał obszerne i przychylne jej omówienie w *„Nowom Wremieni“* (Nr. 4221) i *„Wileńskom Wiestnikie,“* który nie wahał się dodać od siebie, że „26-cioletnie doświadczenie dowiodło całej bezowocności wprowadzania dla ludu czcionek rosyjskich.“ Zarówno prof. petersburski W. I. Łamanskij dwukrotnie w r. 1892 i 1896 wzywał do zniesienia zakazu. Najwyższa instytucya naukowa rosyjska — petersburska Akademia Nauk wyraźnie tym głosom sprzyjała, drukując w swych rocznikach prace Woltera, a w r. 1898 wyborną rozprawę *„O języku i słowniku litewskim“* pióra ks. Biskupa Antoniego Baranowskiego, która, odbita osobno, rozesłaną została wszystkim uczonym i osobom wpływowym rosyjskim. Biskup Baranowski, sam litwin rodowity, władający mową ojczystą po mistrzowsku i autor popularnych utworów poetyckich, w rozprawie swojej udowodnił całą bezpodstawność nazywania abecadła litewskiego „polsko-łacińskiem,“ gdy jest ono tylko i wyłącznie „litewskiem“ i zarówno jest niedostatecznem do wyrażenia słów polskich i łacińskich, jak alfabety polski i łaciński do wyrażenia słów litewskich (str. 78). Tegoż zdania jest i Wolter, a stwierdzają to mniemanie badania Schleichera, Kurschata, Karłowicza i ks. Jawnisa.

W prasie rosyjskiej, w sprawie czcionek litewskich, zdaje się, że pierwszy głos zabrał Jan Aksakow w r. 1884, w redagowanej przez siebie, *„Rusi“*; za nim w szeregu stoją: *„Nowoje Wremia“*

w 1887 r. (Nr. 4221) i 1903 r. (Nr. 9698), „*Pietierburskija Wiedomosti*“ od r. 1896 kilkakrotnie, „*Wileńskij Wiestnik*“ od r. 1887, „*Birżewyja Wiedomosti*“ w r. 1903 (Nr. 323), „*Syn Otieczestwa*,“ „*Ruskija Wiedomosti*“ i inne.

Od r. 1900 widzimy pewną tolerancyę administracyi dla druków litewskich, które zaczynają się od czasu do czasu ukazywać nawet w kraju. W d. 2 sierpnia tego roku cenzura wileńska zezwala drukarni wileńskiej Józefa Zawadzkiego na odbicie podania do biskupa wileńskiego o przeznaczenie kościoła św. Mikołaja w Wilnie na nabożeństwa — wyłącznie w języku litewskim oraz odpowiedź biskupa z tekstem w języku rosyjskim i przekładzie litewskim, drukowanym czcionkami łacińskiemi. W r. 1901 z drukarni petersburskiej Akademii Nauk ukazuje się E. Woltera „*Lietùviszka Chrestomatia.*“ Zaś w d. 5 czerwca 1903 r. jenerał-gubernator książe Światopołk-Mirski zezwala zakładowi litograficznemu Matza w Wilnie na wydrukowanie kalendarza rybackiego P. Matulanisa z tekstem w językach rosyjskim i litewskim, wydanego nakładem wileńsk. oddziału Ces. towarz. rybackiego. Jednocześnie książe Mirski w tymże roku przesyła do Petersburga gruntownie opracowany memoryał, żądający uchylenia zakazu.

Ostatnich lat kilka okresu drugiego dziejów druków litewskich zaznaczyło się trzema rozprawami sądowemi, sięgającemi do Senatu, których zakończenie zdaje się miało wpływ decydujący na pomyślne rozwiązanie palącej kwestyi.

W r. 1900 w zakładzie kartograficznym Iljina w Petersburgu odbitą została „*mapa ziemi litewsko-łotewskiej*“ inżyniera *Antoniego Maciejewskiego*. W niespełna rok potem, z powodu, że napisy na mapie były wydrukowane czcionkami „łacińsko-polskiemi,“ na mocy zlecenia dyrektora zarządu głównego do spraw prasowych księcia N. W. Szachowskiego z d. 26 listopada 1900 r. policya petersburska rzeczoną mapę w ilości 1185 egzemplarzy skonfiskowała. Wydawca p. Maciejewski w d. 2 maja 1901 r. zaskarżył ks. Szachowskiego do Senatu o zwrot straty w ilości 1200 rubli, pretensyę swoją opierając na zasadzie, iż konfiskata winna była być dokonana nie później nad osiem miesięcy od chwili ukazania się wydawnictwa, jak tego wymaga ustawa prasowa. W d. 14 grudnia 1902 r. senat przyznał p. Maciejewskiemu prawo poszukiwania na osobie ks. Szachowskiego strat, poczynionych jego rozporządzeniem.

W 1902 r. student uniwersytetu petersburskiego *Paweł Wyszyński* rozlepił w miasteczku Janiszkach (w pow. szawelskim gub. Kowieńskiej) afisze, wydrukowane w Mitawie za pozwoleniem wła-

dzy policyjnej, zawiadamiające w jęz. litewskim o mającem się odbyć w Mitawie przedstawieniu amatorskiem litewskiem (komedya „Dyabeł w sidłach"). Policya pow. szawelskiego zapozwała p. Wyszyńskiego przed sędziego, a potem do zjazdu sędziów pokoju za rozpowszechnianie druku litewskiego o alfabecie „łacińsko-polskim." P. Wyszyński skazany przez obie instancye na zapłacenie kary w kwocie 3 rubli, przeniósł sprawę do departamentu Kasacyjnego senatu, broniąc się tem, że okólnik ministra spraw wewnętrznych z d. 13 września 1865, zakazujący używania czcionek łacińskich, został wydany do gubernatorów *poufnie* i przeto nie mógł być znany przez osoby prywatne, zarówno i wola Monarsza z r. 1866 i 1880 w sprawie druków litewskich rządowych nie została podaną do ogólnej wiadomości drogą należytą i zawarowaną przez zasadnicze prawa państwowe. W d. 13 maja 1903 r. senat skasował wyroki sędziego pokoju i zjazdu sędziów i p. Wyszyńskiego od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

Wreszcie p. *Antoni Reklis* kierownik sklepu włościańskiego narzędzi rolniczych w Maryampolu, skazany przez sędziego pokoju i zjazd sędziów na zapłacenie kary, za niewypełnienie żądania naczelnika straży ziemskiej i nie zastąpienia na szyldzie sklepowym liter „łacińsko-polskich" napisu litewskiego na rosyjskie, został w d. 1 listopada 1903 r. przez Senat od odpowiedzialności zwolniony na mocy poprzedniego wyroku senatu w sprawie p. Wyszyńskiego.

W końcu w d. 24 kwietnia (7 maja) roku 1904 nastąpiło Najwyższe zatwierdzenie uchwały komitetu ministrów, zgodnie z którą rozkazano „uchylając wszystkie wydane dawniej ograniczające postanowienia i rozporządzenia rządowe w stosunku do piśmiennictwa litewskiego i żmujdzkiego, zezwolić na używanie w jego utworach, oprócz rosyjskiego również łacińskiego lub innego alfabetu." Dzień ten zamyka okres drugi, prawie trzydziestoletni, upadku piśmiennictwa litewskiego i otwiera, poczynający się dopiero, okres trzeci.

Obliczenie ilości wydanych druków w tym minionym okresie jest bardzo trudnem. Na podstawie spisu Bałtromajtisa, uzupełnionego przez bibliografię Chronopolitanusa, dowiadujemy się, że od r. 1866 do końca 1891 r. ukazało się 677 druków czcionkami łacińskiemi i 30 czcionkami rosyjskiemi odbitych.

Natomiast liczbę druków, które się ukazały po r. 1891 określić możemy tylko na podstawie przypuszczenia, za ścisłość więc jej ręczyć niepodobna.

Jedynem źródłem w tym względzie mógłby być „*Catalogue des livres lithuaniens imprimés dès 1864 à 1899 hors de Russie*,“ wydany w r. 1900 w Paryżu, wszakże po skonfrontowaniu go ze spisem Bałtromajtisa, jak wiadomo niekompletnym, widzimy jego niezupełność:

U Bałtromajtisa od r. 1864 do 1891 r. włącznie zapisane są 672 dr.
W „*Catalogue'u*“ „ „ „ „ „ „ „ 339 „

czyli jest on o połowę niekompletnym i dla tego liczby z lat późniejszych, obliczone na jego podstawie, również winne być podwojone, co jest zupełnie prawdopodobnem, gdy spojrzymy na tablicę graficzną, wskazującą na olbrzymi wzrost ilości wydawnictw litewskich w przedostatniem dziesięcioleciu zeszłego wieku.

Według „*Catalogue'u*“ w czasie od r. 1892 do 1899 r. włącznie ukazało się 360 druków, czyli przeciętnie po 45 rocznie. Jeżeli liczbę tę podwoimy do 720 i dodamy, również podwojoną, do 90 liczbę druków, wydanych w r. 1900, to otrzymamy za czas od 1892 r. do 1900 r. włącznie — około 810 druków.

Ogólna więc liczba druków, jakie się ukazały od r. 1545 do końca XIX stulecia wynosi:

w wieku	XVI	—	22 druki
„	XVII	—	31 „
„	XVIII	—	97 „
„	XIX do 1865 r. włącznie	—	571 „
„	„ od 1886 r. do 1891 r. włącznie		677 „
„	„ od 1891 r. do 1900 r. włącznie	około	810 „
Razem	—	około	2208 druków

w 4,500,000 egzemplarzy, jakby wypadło według „tablicy graficznej ilości egzemplarzy,“ dodanej do „*Catalogue'u*.“

Około 2208 druków, odbitych czcionkami gotyckiemi i łacińskiemi i 30 — czcionkami rosyjskiemi w przeciągu trzech i pół stuleci — to dorobek zbyt szczupły. Przypomnieć sobie atoli należy jak zmienne koleje i jakie zawady na swej drodze piśmiennictwo litewskie spotykało.

We wrześniu 1904 r. główny zarząd do spraw prasowych udzielił koncesyi na wydawnictwo w Wilnie inżynierowi Wiłejszysowi gazety codziennej „*Wilniaus Zinjos*“ i w Petersburgu p. Šmilgo tygodnika ilustrowanego „*Lietuviskas Łajkrastis*“ pod redakcyą S. Bałtromajtisa. Rozpoczęła się tedy nowa era w życiu kulturalnem narodu litewskiego i mieć można niechybną nadzieję, że przywrócenie mu jego prastarego i tak dlań drogiego alfa-

betu pobudzi całe społeczeństwo litewskie do tem usilniejszej pracy, by co prędzej zasiać ziarno jędrne a plenne na leżących od lat wielu odłogiem, niwach swoich. Wspierać go w tem będzie serdeczna życzliwość wszystkich, komu drogiem jest prawdziwe światło...

*

* *

Na zakończenie gwoli uzupełnienia i *ad perpetuam rei memoriam* zapisuję tytuły pierwszych druków litewskich, wydanych po uchyleniu zakazu.

W d. 23 czerwca 1904 r. zastępca gubernatora kowieńskiego P. W. Wieriewkin podpisał zezwolenie na druk „*Sprawozdania telszewskiego towarzystwa spożywczego*“ (gub. Kowieńska). Pierwszy ten druk litewski *en regard* przy rosyjskim wyszedł z drukarni Kowieńskiej M. Sokołowskiego. Po nim w parę miesięcy później ukazał się z pod tłoczni drukarskiej H. Landsberga w Mitawie *cennik ilustrowany* libawskiego „*Consumverein'u*,“ lecz z tekstem w jednym już tylko języku litewskim.

Michał Brensztejn.

PIŚMIENNICTWO.

SZYMON ASKENAZY. *Książe Józef Poniatowski 1763—1813.* Warszawa, 1904.

W roku 1904 w łamach „Biblioteki Warszawskiej“ ukazał się, jako zapowiedź poważnego dzieła, szkic pracy prof. Askenazego, księciu Józefowi Poniatowskiemu poświęconej. Mniemam, że zamieszczenie szkicu nie przeszkadza bynajmniej temu, ażebym na tychże samych łamach poświęcił uwagę samej pracy, która, jako oparta na studyach gruntownych i sumiennych, ze wszech miar na to zasługuje. Prof. Askenazy zaznacza zaraz na początku swej pracy, że książe Józef, choć po raz pierwszy otworzył oczy w Wiedniu, jako generałowicz austryacki, a po raz ostatni zamknie je pod Lipskiem, jako marszałek francuski, choć mu było przeznaczonem pierwsze i ostatnie tchnienie wydać na obczyznie, jednak naprawdę sam się uczynił ukochanem dzieckiem Warszawy, uczynił się wcieleniem pewnych najrdzenniejszych, nieśmiertelnych czynników swojej narodowości i został jednym z najświetniejszych, lecz najbardziej swojskich, najbardziej polskich jej przedstawicieli. Zastanawiając się nad jego dzieciństwem, postacią zewnętrzną, oraz przymiotami umysłu i serca, autor przychodzi do przekonania, że najbardziej wydaje się on „z siebie zrodzony“ i wydaje się tylko nieodrodnym tworem własnego społeczeństwa.

Książe Józef wcześnie został sierotą. Losem sieroty zajął się troskliwie Stanisław August i przelewał na niego, o ile mógł, wakujące starostwa. Nie ograniczał się król na opiece nad jego majątkiem, rozciągał ją również na edukacyę młodzieńca i wchodził w najdrobniejsze szczegóły jego wykształcenia fizycznego i umysłowego. Z pierwszem było łatwiej, bo chłopak był dziwnie zręczny i żywy; trudniej z drugiem, bo do studyów książkowych mało okazywał chęci, choć zresztą przynaglony, roztropnie odrabiał swoje pensum. Król go zachęcał, na-

ganiał, kazał sobie donosić o jego przewinieniach, odznaczeniach, postępach, zwłaszcza w zakresie wojskowości i historyi. Wychowywanie księcia było przeważnie w ręku cudzoziemców: Niemca, Francuza i Anglika. Kierownictwo naczelne zachował sobie król Stanisław August i wśród najcięższych kłopotów nie przestawał z nimi prowadzić szczegółowej korespondencyi. Na polskość synowca król, sam niedość mający jej w sobie, pilne i chwalebne dawał baczenie. Nie pozwalał mu żadną miarą zniemczyć się, zaustryaczyć, o Polsce mu prawił, do Polski sprowadzał, w Polsce wskazywał przyszłe powołanie i pod tym względem najzbawienniejszą pono wyświadczył mu przysługę.

Miało w sobie coś całkiem wyjątkowego, coś wzruszającego i zasmucającego zarazem, to szczególniejsze, głębokie, czujne, niesłabnące, owszem, z biegiem lat coraz to żywsze przywiązanie Stanisława Augusta do ukochanego Pepi. Ani dzieci własnych, ani nikogo w ten sposób król nie kochał. Względem księcia Józefa szedł za popędem serca, a zarazem za mimowolną i nieodpartą reakcyą niespokojnego sumienia. W tym świetnym młodzieńcu on kochał nie tylko krew swoją, ale samego siebie, takim, jakim byłby chciał być, a jakim nie został. Widział go wstępującym w życie z impetem, z blaskiem, jak sam był przychodził ongi, w swojej dobie wiosennej. Takim, jak ten synowiec młody, piękny i ubóstwiany i on był niegdyś, ale nie był nigdy takim, jakim był nadto ten młodzieniec szlachetny, rycerski, ofiarny, czysty. Kochał w nim stary król to połączenie swoich błyskotliwych zalet i swoich nieodżałowanych braków; kochał tego niedoścignionego dla siebie ducha prawości, bohaterstwa, poświęcenia, którego sam nigdy posiąść nie umiał i ten honor, który sam utracił. W jego osobie on jakgdyby brał odwet za samego siebie, jakgdyby zasłaniał się przed ścigającą go własną samowiedzą moralną.

W roku 1777, na manewrach pod Pragą, został książe Józef przedstawiony cesarzowi Józefowi II i choć niedorostek jeszcze, zachęcony aby wstąpił do służby wojskowej austryackiej, do której skwapliwie ściągano młodzież polską szlachecką i wielkopańską. Król zezwolenia do przyjęcia służby nie odmówił, ale poczynił zastrzeżenia. Stanisław August przedewszystkiem zastrzegł, że jego synowiec wstępuje do służby austryackiej jedynie czasowo, dla tem lepszego wyćwiczenia się na wypadek, jeśli przyjdzie potrzeba służenia ojczyznie własnej; że w takim wypadku na pierwsze wezwanie z pod obcego sztandaru pod ojczysty się stawi. Dalej, że regularnie za urlopami do kraju zjeżdżać będzie; że nie wstąpi do korpusu gwardyi szlacheckiej galicyjskiej, sformowanego w świado-

mych, wynarodowiających celach politycznych, lecz do jakiego zwyczajnego, dobrego pułku jazdy, przyczem będzie się starał, niezawiśle od służby kawaleryjskiej, nabyć dokładnej znajomości także innych rodzajów broni. Rozumne te zobowiązania książe Józef chętnie przyjął i zawsze ściśle wykonywał. W początku 1780 roku zaliczony został do armii austryackiej i to jako podporucznik konsystującego w Czechach drugiego pułku karabinierów imienia Franciszka Toskańskiego, własność feldmarszałka Lacy, sędziwego wodza, w którym znalazł opiekuna i kierownika militarnego. Awansował szybko, dzięki cenionej przez przełożonych sumienności służbowej, a bardziej jeszcze, dzięki osobistej o niego pamięci cesarza. Już w 1781 roku posunięty został na rotmistrza, w r. 1782 na dowódzcę szwadronu, a w r. 1784 na majora. Kawalerzysta nadzwyczaj śmiały, w służbie bardzo gorliwy, padłszy z koniem, nogę złamał, lecz dość rychło do zdrowia wrócił. W r. 1785 został podpułkownikiem i przeszedł do szwoleżerów cesarskich imienia Józefa II.

W r. 1787 został książe Józef wezwany przez Stanisława Augusta, aby z Wiednia przybył towarzyszyć monarsze w podróży do Kaniowa. W Kijowie przedstawiony Katarzynie II, otrzymał z jej ust uznanie, że jest podobnym do Stanisława Augusta, ale dodała zaraz, zwracając się do posła austryackiego, kiedy był takim, jakim widziałam go przed dwudziestu kilku laty W styczniu 1788 roku mianowany został doraźnie, na czas kampanii, adjutantem przybocznym cesarza Józefa II, z rozkazem stawienia się w połowie marca w Peszcie, w pełnym rynsztunku bojowym. Pierwszą tedy swoją kampanię w 1788 r. rozpoczynał 25-letni książe Józef przy boku i pod okiem cesarza. Jednak mniej czynna rola adjutanta cesarskiego niezupełnie odpowiadała jego intencyom. Wyrywał się on raczej do samodzielnej akcyi bojowej, ofiarował się nawet razem z Lignem zebrać w Galicyi oddział ochotniczy ze szlachty polskiej i na jego czele prowadzić na własną rękę walkę podjazdową z Turkiem. Projekt ten upadł, skutkiem oporu Lacy'ego, który nie chciał pozbywać się oficera zdolnego z armii czynnej. Zaraz przy następnem oblężeniu twierdzy Sabacza, bronionej uparcie przez agę janczarskiego, Mehmeda, zgłosił się na ochotnika do pierwszego szturmu; uczestniczył przy wzięciu przedmieścia warowni, ale 24 kwietnia 1788 r. zrana, prowadząc osobiście z nadzwyczajną brawurą kolumnę szturmującą na sam zamek i przedostawszy się zaledwie z kilkoma ludźmi przez rów forteczny aż pod sam parapet twierdzy rażony ogniem nieprzyjacielskim, został ciężko ranny kulą w udo i ledwo uratowany przez prostego szeregowca, Körnera,

później zaufanego sługę. W listopadzie posunięty został przez cesarza na nadliczbowego drugiego pułkownika szwoleżerów cesarskich „w łaskawem uwzględnieniu wyświadczonych nam i domowi naszemu a i nadal spodziewanych gorliwych i pożytecznych usług, okazanej chwalebnej wobec nieprzyjaciela odwagi i innych posiadanych dobrych zalet i t. d....“

Uchwała sejmowa o wojsku stutysięcznem z grudnia 1788 r. spowodowała konieczność wezwania oficerów rodaków z obcych służb. Książe Józef podczas ostatniej bytności w kraju musiał ponowić przed stanami, królem i prymasem pierwotne zobowiązanie powrócenia do kraju na pierwsze żądanie. Na sesyi sejmowej w czerwcu r. 1789, deputacya do egzaminowania etatu wojskowego, zalecając przywołanie oficerów polskich z zagranicy do wojska Rzeczypospolitej, upomniała się w szczególności o księcia Józefa, „w służbie wojskowej cesarskiej zostającego, który i sobie i narodowi przynosi sławę, ażeby ten w krajowem wojsku mógł być pomieszczonym.“ Poparli tę rekomendacyę liczni posłowie. Stanisław August pisał nazajutrz do synowca: „wczoraj senatorowie i posłowie przez sejm wyznaczeni do utworzenia projektu o składzie wojska, żądali odemnie publicznie na sesyi sejmowej, abym cię odwołał do służby ojczyzny. Po tym publicznym kroku nie mogę, jak tylko oświadczyć ci życzenie i wolę moją, abyś nam tu powrócił.“ To zdecydowało ostatecznie o losie księcia Józefa, który ledwie na kilkanaście dni przedtem wybierał się jeszcze na Turków. Wkrótce otrzymał on dymisyę od cesarza i znalazł się wreszcie na stanowisku właściwem, w służbie kraju własnego.

W sierpniu 1789 r. stanął książe Poniatowski w Warszawie, a 3 października uchwałą sejmową został mianowany generał-majorem wojsk polskich; następnie został szefem gwardyi pieszej i konnej i członkiem deputacyi do ułożenia regulaminu wojskowego. Wszedł odrazu w dużą, niewprawnie jeszcze prowadzoną a pierwszorzędnej wagi czynność organizacyjną, tem samem zaś pośrednio w zawiłą robotę polityczną, toczącą się dokoła wielkich przedsięwzięć sejmowych. Wiosną w r. 1790 objął dowództwo IV dywizyi bracławskiej, następnie i kijowskiej, z kwaterą główną w Tulczynie. Dobrze mu to zrobiło i na duchu i na zdrowiu. Tutaj, na krańcach, zajął się czynnie wyćwiczeniem wojsk, sobie powierzonych, zwłaszcza kawaleryi, broni dobrze mu znanej ze służby austryackiej. Szczególną uwagę zwracał na kozaków granowskich, przysłanych mu przez księcia Czartoryskiego, musztrował ich pilnie i połączył z kozakami berszadzkimi i korsuńskimi. Książe Józef wyższych wiadomości wojskowych ze służby austryackiej nie wy-

niósł, posiadał jednak wyborną znajomość techniki kawaleryjskiej, przedewszystkiem zaś wniósł z sobą wrodzony oryentacyjny instynkt bojowy, uzdatniający go do wyrobienia się z czasem na wybitnego, nawet na wielkiego wodza. Sam on zdawał sobie sprawę ze swych braków i niedostatków i nad nimi ubolewał. „Bardzo jest dla mnie pochlebnem zaufanie, pisał ze skromnością królowi latem 1790 r., jakie we mnie pokładają, ale wyznaję, że mam najwyższą niespokojność co do sposobów, jakimi potrafiłbym nie zawieść go. Może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumem pułk prowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapełnienie tak ważnego miejsca. Nie łudzę się wcale pod tym względem i ze drżeniem czuję, jak wielkie zobowiązania mam wypełnić. Nie śmiem odmówić stanowiska, jakie mi dają; oby okoliczności nie sprawdziły obaw moich.“

Książe Józef wyjeżdżał w r. 1792 na Ukrainę, przekonany o niepodobieństwie skutecznego dotrzymania trzykroć naogół, w linii zaś dwakroć liczniejszemu, a nierównie sprawniejszemu przeciwnikowi. Prosił Stanisława Augusta, aby powierzył dowództwo „jakiemu bieglejszemu odemnie obcemu wodzowi, chętnie pod nim służyć będę.“ Mówił królowi na wyjezdnem: „mamy czem się bić, nie mamy czem wojować.“ Szedł w 20,000 nieopatrzonego i niedoświadczonego żołnierza na 60,000-ną doskonałą armję, nawykłą do zwycięstw w wojnach tureckich. Odbywał tę kampanię, jak sam powiada, bez kwatermistrzostwa głównego, bez intendentury, bez sztabu generalnego. Co gorsza, na samym kresowym terenie walki, podkopanym przez wrogie wpływy targowickie, spotykał się ze złą wolą w najżywotniejszych sprawach prowiantowych i wywiadowczych, a nawet, co najgorsza, spotykał się z niekarnością we własnych szeregach. W warunkach, w jakich musiał prowadzić kampanię, i Laudon z trudnością dałby sobie radę. Z tem wszystkiem, w tak wyjątkowo trudnem położeniu młody wódz uniknął katastrofy. Pod Zieleńcem w najgorszej chwili osobiście prowadził w ogień batalion imienia Potockiego, stałym odtąd swoim zwyczajem, dając z siebie przykład szeregowcom, dając też upust swojej impetycznej brawurze żołnierza. Otrzymawszy wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy, odpisuje mu książe Józef natychmiast: „Wielki Boże, czemuż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon?“ Ale w posłuszeństwie zatrzymał się książe u granicy, nakazywanej mu przez obowiązek i honor. Podał się natychmiast do dymisyi wraz z całą generalicyą. Stanisław August ledwo co pocieszony poprze-

dniemi ustępstwami, które ratowały jego osobę, strasznie był dotknięty tą decyzyą, która obnażała jego fatalne odosobnienie. W Kozienicach wojsko pożegnało księcia Józefa krótkiemi, lecz niezapomnianemi słowy: „Dopóki imię żołnierza nie wygaśnie, dopóki cnota wdzięczności ludziom miła będzie, zaręczamy mu tem pismem naszą nieśmiertelną wdzięczność, głębokie uszanowanie i niczem niezatarte przywiązanie nasze. Aby zaś niniejszy hołd, który męstwu, cnocie, talentowi i szlachetności duszy jego oddajemy, całemu światu był wiadomy, medal ten załączamy i t. d.“ Po tem zaszczytnem rozstaniu się, tegoż dnia wyjechał książe do stolicy.

W r. 1794 książe Józef nie spieszył z przybyciem do kraju. Samem pojawieniem się swojem mógł mimowoli przybrać barwę pretendenta do utraconego naczelnictwa i wprawić w zakłopotanie prawdziwego naczelnika, mógł wprost nie być pożądanym. Ale i król, który go tak niedawno przegnał, aby się uwolnić od jego nieprzyjemnego, moralnego nagabywania, teraz z tych samych pobudek samolubnych, osamotniony, w pośrodku wzburzonej Warszawy, nagwałt wzywał go do powrotu, aby skryć się za jego moralną zasłoną. Książę Józef spotkał się z Kościuszką w opactwie Jędrzejowskiem. Spotkanie było suche ze stron obydwóch. Czego sobie książe życzysz? spytał Kościuszko. Służyć prostym żołnierzem—odrzekł Poniatowski. Kościuszko zaraz zaofiarował mu dowództwo na Litwie, książe Józef odmówił, odstępując je Wielhorskiemu, a sam wyraził życzenie udania się bezzwłocznego do Warszawy, gdzie go pragnął mieć wystraszony król. Podczas tej rozmowy Sanguszko w obozie przygotowywał starszyznę i żołnierzy na obecność Poniatowskiego. „Zrazu szlachta zacięła się i milczą,“ skoro przecie ukazał się książe, nagle na jego widok szeregi wystąpiły pod broń, po staremu ozwały się wiwaty, zadużo zapewne dla gościa w cywilu, trochę nawet wbrew subordynacyi, potem znowu wnet nastąpiła reakcya, cofnięto się. Książe zamknął się w namiocie Sanguszki, gdzie przenocował a nazajutrz udał się do Warszawy. W starciu pod Błoniem przyznano mu część zasługi. Z kwatery swojej na Powązkach kierował energicznie czynnościami swego kilkotysięcznego korpusu. Na stanowisku, bardzo z tej strony narażonem, ucierał się prawie co dnia z nieprzyjacielem, osobiście prowadził śmiałe wycieczki, wziął nawet trochę niewolnika, ale niebawem odwróciła się fortuna. W drugiej połowie sierpnia, Prusacy, rozpoznawszy słabe strony pozycyi Poniatowskiego, przypuścili do niej całą siłą niespodziewany atak nocny, opanowali góry Szwedzkie i Wawrzyszew, zdobyli bateryę z ośmiu dział. Była w tem po części wina podwładnego dowódcy bateryi, lecz po części także błąd takty-

czny i nieopatrzność Poniatowskiego, który nadto, przypadkiem, w chwili rozpoczęcia ataku nie był przytomny. Gdzie był tej nocy próżnoby dociekać, próżno złe plotki sprawdzać. Tyle pewna, że po pierwszych wystrzałach znalazł się natychmiast na stanowisku, walczył do dnia, miał konia pod sobą postrzelonego, mundur i kapelusz przeszyte kulami i odniósł lekką kontuzyę. Rozpacz jego, wedle świadków naocznych, była nadzwyczajną. Rozumiał, że ze stratą szańców i armat stracił resztę powagi. Usunął się nazajurz książe z posterunku, zdawszy dowództwo Dąbrowskiemu i udział jego w kampanii 1794 r. pozostał już do końca drugorzędnym.

Rozdziały pracy Askenazego, poświęcone księciu Józefowi, w epoce od 1795 do 1806, opuszczę zupełnie, nie dla tego jednak ażeby były bez znaczenia i nie przynosiły żadnych nowych i ważnych szczegółów. Przeciwnie, w rozdziale powyższym znajduje się dużo cennego materyału, odnoszącego się jednakże do stosunków prywatnych: towarzyskich i majątkowych księcia Józefa. Wolę jednakże poświęcić więcej miejsca publicznym sprawom i dla tego rozpoczynam od roku 1806, gdy z długiego letargicznego uśpienia zbudziły księcia Józefa, wstępujące do Poznania i Warszawy wojska francuskie. Wjeżdżającego do Warszawy Murata, witał książe Józef obwieszony jeszcze pruskimi orderami. Z Davoutem było przywitanie się jego zimne i nieufne. Nazajutrz jednak rozmówił się książe Józef otwarcie z Muratem, pociąganym ku niemu niektórymi wspólnymi rysami charakteru. W drugiej połowie grudnia powitał Poniatowski w Warszawie Napoleona. Przyjęty był w pierwszej chwili dość chłodno, nawet surowo Nie występował wszakże, jako dworak, ale jako sługa swego kraju. Zdał cesarzowi ścisłą sprawę techniczną ze stanu rzeczy wojskowych, a nie wahał się także przyjąć wyższego, obywatelskiego obowiązku, przekładając mu otwarcie i mocno ogólniejsze zagadnienia narodowe. W r. 1807 książe Józef, zbliżywszy się do Napoleona, złożył mu zasadniczy memoryał polityczny. Przemawia w nim ze szczerością roztropną i silną, przedstawia rzecz ze spokojną i przekonywającą powagą z punktu widzenia czysto francuskiego, apeluje nie do sentymentu, ale do rozumu. „Przyszłość Polski (jego słowa) oczywiście krew moją pochłania, moja krew, moje życie do niej należą, lecz okoliczności obecne nakazują mi przytłumić w głębi mej duszy uczucia wyłącznie polskie.“ Tem dobitniej wystawia natomiast argumenty rozliczne, domagające się ziszczenia pragnień uczuciowych, wykłada interes francuski i europejski najściślej zgodny z interesem polskim. Odwołuje się przytem do dawnych przyrzeczeń generała Bonapartego i dosadnie maluje niejasne, rostrzelone położenie kraju. Ja sam, powiada, czyliż

nie jestem generałem rosyjskim, pruskim i austryackim. W końcu książe Józef zaleca ustawę majową, zaleca objęcie rządów nad 14 milionami polaków, jeśli nie przez samego cesarza, to przez członka jego rodziny, wyrzekając się na razie conajwyżej obojga Galicyi, ze względu na niebezpieczeństwo austryackie. To był czysty, mężny i mądry głos obywatela. W tym samym czasie odzywano się inaczej do Napoleona. Zajączek doręczył cesarzowi pismo, całkiem odmiennie brzmiące, tchnące myślą dworacką, partyjną, emigracyjną. Dopraszał się on ustawy i praw francuskich, oskarżając ustawę majową o niedostateczną dla włościanina troskliwość.

Jako dyrektor, a później jako minister wojny, objawiał książe Józef energiczną czujność na honor i interes krajowy. Kiedy w pierwszej chwili była mowa o nadaniu wojsku polskiemu kokardy francuskiej, oparł się temu z całą stanowczością i przeparł utrzymanie kolorów narodowych. W sprawie regulaminu przyjął wprawdzie znakomite ustawy francuskie służby obozowej i garnizonowej, urządzające musztrę, szyk, kontrolę i gospodarstwo w linii, ale co do karności i porządku wewnętrznego, gdy kraje różnią się między sobą charakterem szczególnym, zachował artykuły wojskowe polskie według regulaminu dawniej przez Komisyę wojskową obojga narodów zaprowadzonego. Pracował bez wytchnienia po dniach i nocach całych. Nie zaznał i odpoczynku ani też, co gorzej, wewnętrznego spokoju. Nie był w zupełnej harmonii z Komisyą rządzącą. Doznawał drobnych i większych ukłóć, wśród nieprzyjemnej jego sytuacyi podwójnie dotkliwych. W szczególności narażony był na ustawiczne kłopoty z powodu absolutnej niemożliwości utrzymania należytej dyscypliny i zapewnienia sobie posłuszeństwa wśród krzyżujących się potrójnej kreacyi oficerów. Namnożyło się pełno „generałów ziemiańskich, szefów, brygadyerów“ którzy po prostu żartowali sobie z rozkazów dyrektora wojny. Książe zmuszony był chwytać się surowych środków represyi, czem znowu ściągnął na siebie tysiączne nowe pretensye i oskarżenia. W tym okresie przejściowym, organizacyjnym zyskał sobie może najwięcej nieprzyjaciół, a jednak gdzie tylko było podobnem, sam dogadzał i służył nie oglądając się na osobę.

W politycznych czynnościach księcia Józefa uderzała jego prawość z rzadką połączoną trafnością i ten duch tak zręczny rycerskiej otwartości, co bez pozoru tajemnicy umiał to tylko, co chciał objawić, kiedy na pierwszy rzut oka przenikał skrytość i cienie obłudy. Książe żołnierz miał nieskazitelną, najszacowniejszą i najrzadszą subtelność szlachetności. Poniatowski prócz czynności zawodowych w ministeryum wojny, stale brał udział bezpośredni

i czynny w zbiorowej działalności rządu w Radzie stanu i ministrów. W wyborze i użyciu ludzi postrzegać się dawała w księciu Józefie, wraz z większem doświadczeniem, obszerna rozwaga. Trudno zaś sobie wyobrazić szlachetniejszy i cieplejszy stosunek wodza do armii, aniżeli ten, jaki snadnie wytworzył, zwłaszcza pod koniec, począwszy od czasu zwycięskiej kampanii galicyjskiej. Obchodzenie się jego nie tylko z oficerami, ale i z prostym żołnierzem, było na poły braterskie, na poły ojcowskie. Częstym bywał gościem w koszarach, uważnie zaglądając w najdrobniejsze szczegóły gospodarcze i służbowe, a po mustrze zazwyczaj zsiadał z konia, wchodził między szeregi, troskliwie rozpytując szeregowców o ich odzieży, pożywienie, pracę, traktowanie przez przełożonych, poczem nieraz brał dwóch wiarusów pod rękę i prowadził ich do siebie na obiad. Nie były to ze strony księcia proste demonstracje, obliczone na popularność, był to wyraz serdecznego ze swoją bronią zespolenia się, a zarazem głębokiego przekonania, że ta broń w ówczesnych warunkach stanowiła najważniejszą podstawę bytu oraz przyszłości kraju.

Na wiosnę 1809 r. znalazł się książe Józef bez żadnego przygotowania, bez żadnej prawie możności skutecznej obrony, wobec niespodziewanego ataku austryaków, zalewających połowę kraju. Świeża, ledwo zorganizowana armia polska, nie mogła obronić ani Krakowa, ani Warszawy. Na kogo zwalić winę? oczywiście na wodza. Głucha nieufność ogarniała stolicę, przenikała do armii, zatrutym oddechem otaczała każdy krok ks. Józefa. On odpowiedział na wszystko, wydając Austryakom bitwę pod Raszynem, gdzie wziąwszy bagnet od szeregowca, prowadził osobiście w ogień batalion pierwszego pułku piechoty Małachowskiego. Bitwa pod Raszynem ta odruchowa decyzya, raczej honoru niż rachuby, okazała się i pod względem praktyczno-wojskowym i moralno-politycznym, nie tylko natchnieniem pięknem, ba, co ważniejsza, zbawiennem. Tegoż wieczora rozpoczęto odwrót, książe po północy wrócił do Warszawy. Nikt w mieście nie spał, wszyscy potracili głowy, wszyscy radzili, wszyscy po nad głową księcia podejmowali się ratować rzecz publiczną, nikt nie rozumiał, że on ją tego dnia uratował naprawdę. Nazajutrz, gdy zjechał się z arcyksięciem Ferdynandem, w karczmie za rogatkami Jerozolimskiemi, usłyszał od niego natarczywe namowy do porzucenia sprawy napoleońskiej. Wszystkie te propozycye otrzymały należytą odprawę. W układach zaś okazał czujność i uzyskał warunki nadzwyczaj korzystne. Szczęśliwie wykonał dywersyę galicyjską, myśl bardzo śmiała, nie własna wprawdzie, którą łatwiej było uplanować podkomendnym, aniżeli wodzowi urzeczywistnić, wziąć na swoje barki, na swoją odpowiedzialność. Organi-

zacyjna działalność księcia Józefa w Galicyi, wzięta na ogół, zasługuje nie tylko na absolutoryum, ale i na chwalebne uznanie. Kampania z r. 1809, zdwajając niemal Księstwo, okryła sławą całą armię księstwa, oczyściła atmosferę, sprostowała opinię, na prawdziwie naczelne stanowisko wyniosła księcia Józefa. Odbierał też książe zaszczytne dowody uznania od swoich i obcych. Najważniejszem jednak jest to, że od tej chwili odnaleziony był i ubezpieczony w dziejowem sercu Polski tradycyjny ks. Józef.

W r. 1811 Adam Czartoryski wtajemniczył księcia Józefa w plany cesarza Aleksandra względem Księstwa Warszawskiego, pragnąc go dla nich zjednać, a odciągnąć od Napoleona. Książe Józef stanowczo odmówił, a w początku kwietnia, korzystając z urodzin króla Rzymskiego, udał się osobiście do Paryża. To poskutkowało, albowiem otworzyły się oczy Napoleonowi. Natychmiast zarządzone zostały nadzwyczajne środki ostrożności w Księstwie, a następnie rozpoczęto olbrzymie zbrojenie Warszawy. Zachowanie się Poniatowskiego w tych przejściach krytycznych 1811 r. tem większą posiada doniosłość, im jaśniej ukazuje się cały dalekonośny zakres naszego przesilenia. Trudny obowiązek, jaki w tej trudnej dobie spadł na jego barki, wypełnił z zupełnem zaparciem się siebie, a co większa z rdzennie narodowem przeczuciem, z mądrością serca. Jednakże jedna jego dobra rada nie znalazła posłuchu u Napoleona. Książe Józef, na konferencyach w Paryżu z cesarzem, kładł nacisk na prowincye południowo-zachodnie, jako pierwszorzędny objekt strategiczny, sam ofiarował się z całą armią Księstwa Warszawskiego maszerować na Wołyń. Ale ta myśl Poniatowskiego, podobnie jak pokrewny plan Sokolnickiego, została odrzucona przez cesarza. Zachowanie się Poniatowskiego w r. 1812 było bez zarzutu. Pod Smoleńskiem, Borodinem i Czarykowem korpus jego szedł w zawody z najbitniejszemi wojskami francuskiemi, a pod Woroneżem ocalił od zagłady skrzydło Murata, a może i sam środek wielkiej armii.

W 1813 r. gdy książe Józef pociągnął na czele wojska do Krakowa, znaleźli się ludzie najgodniejsi, równej cnoty, a nawet większej od Poniatowskiego rozwagi i doświadczenia, co pragnęli zerwać z Napoleonem i pociągnąć księcia Józefa za sobą. Widziano w tem jedyną deskę ratunku i nie pojmowano, że tą drogą nie uratowanoby niczego, że nie tylko nie zabezpieczonoby tym sposobem interesów Polski, ale nawet w gruncie rzeczy istotnych interesów Rosyi, bo pracowanoby na prawdę „pour le roi de Prusse.“ Pomimo, że z każdą chwilą powiększała się pustka wokoło księcia Józefa, i pomimo że wysyłano do niego z namową coraz to wpływowsze osobistości, książe Józef postanowił nie ulegać pokusom zwodniczych

obietnic, pragnących jedynie wyzyskać trudność chwili bieżącej i wyruszył na saskie pobojowiska. Znowu zachowanie się jego w kampanii 1813 r. było bez zarzutu. Dnia 19 Października, czterokrotnie ranny, odpowiadał na wszystko „il faut mourir en brave.“ Następnie, pieszo idąc przez błotniste ogrody do Elstery, zapewne śmiertelnie ranny, miał już śmierć w spojrzeniu i wyrazie. Na widok nadciągającej piechoty nieprzyjacielskiej porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą stronę piersi, przeszyty na wylot, osuwa się z konia i po krótkiem pasowaniu się znika pod wodą.

Literatura nasza posiadała już dwa studya biograficzne dotyczące księcia Józefa, nie licząc mnóstwa artykułów drobniejszych, które się kryły po różnych encyklopedyach, lub żywotach sławnych polaków. Pierwsze studyum, napisane przez pułkownika Bogusławskiego (1831), zawiera nieco materyału archiwalnego, oświecającego kampanie z 1792 i 1809 r. Drugie, Franciszka Paszkowskiego, zawiera znowu dość szczegółów interesujących z czasów służby austryackiej księcia Józefa. Obie biografie jednak nie mogą być dzisiaj uważane za wystarczające i opierają się na skąpym materyale źródłowym. Prof. Askenazy przedewszystkiem starał się wyszukać materyał archiwalny, dotychczas niewyczerpany, i to mu się w znacznej części udało. Petersburg, Warszawa, Berlin, Wiedeń, Paryż, Jabłonna, Krzeszowice, Kraków dostarczyły mu wielu cennych szczegółów i na podstawie rozległego materyału źródłowego dał nam pełny, wierny i wyczerpujący portret historyczny księcia Józefa.

Autor nie rozproszył swej uwagi i nie zgubił się wśród mnóstwa drobnostek, jakich mu dostarczył bogaty materyał, oświecający obficie wszystkie epoki życia księcia Józefa. Dał nam on wytworny portret historyczny, w którym spostrzegamy wyraźnie i dobitnie najważniejsze przymioty charakteru, serca i umysłu księcia Józefa. W portrecie tym poznajemy Poniatowskiego, jako wodza, czy na polu bitwy, czy przy pracy gabinetowej, czy w obozie lub koszarach, troskliwie wdającego się w zaspokojenie potrzeb szeregowca. Widzimy go, z jego trzeźwym, a jak sam się wyrażał, „głupim umysłem“ wśród poważnych obrad ministeryalnych i Rady Stanu, a wreszcie poznajemy go, jako obywatela prawego w czasach najsmutniejszych, czującego wstręt do wszelkiej targowicy, łudzącej naród podstępnemi obietnicami chwilowych korzyści. Jednem słowem, prof. Askenazy dał nam w swej pracy mistrzowski portret historyczny księcia Józefa. W książce jego odtworzona została wzo-

rowo cnota obywatelska i żołnierska Poniatowskiego i niewątpliwie zyska ona uznanie trwałe i wysokie w literaturze naszej historycznej.

A. R.

FELIKS KUCHARZEWSKI. *„Czasopiśmiennictwo techniczne polskie przed rokiem 1875.“* Warszawa 1904, drukiem Rubiszewskiego i Wrotnowskiego. 8-ka, str. 105. Skład w księgarni E. Wendego i S-ki.

Studya nad historyą prasy polskiej, pozostają wciąż kopciuszkiem w badaniach nad dziejami piśmiennictwa polskiego. Wdzięczny też, a tem pożyteczniejszy, że zaniedbany u nas trud podjął p. Feliks Kucharzewski, przysparzając nam dzieło, będące cennym przyczynkiem nietylko do historyi piśmiennictwa technicznego, ale i źródłową pracą w zakresie dziejów prasy w Polsce.

Wybornie obeznany z przedmiotem, autor wielu dzieł specyalnych z niniejszego zakresu, p. Kucharzewski przedstawił obraz czasopiśmiennictwa, szeroko uwzględniając nie tylko wydawnictwa ściśle techniczne, ale i mające z nim pośredni związek—organy przemysłowe i ekonomiczne. Zarys przedstawionych przez autora dziejów czasopism rozpoczyna się od zaznaczenia artykułów technicznych, drukowanych w łacińskiem wydawnictwie *„Mercurius Polonicus,“* ogłoszonem w r. 1698, prawdopodobnie w Krakowie (Lechiopolis). W Priamowskiem piśmie umiejętności techniczne były jednak traktowane dorywczo, nie stanowiąc bynajmniej programu wydawnictwa. Szerzej sprawy te uwzględniały Mizlera „Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone“ (1758—61), choć i tu umieszczone artykuły „o occie,“ lub „maszynach pływających po stawie,“ nie mogą pozować na rozprawy naukowe.

Zawiązkiem czasopisma fachowego okazał się zaledwie w r. 1766 w Gdańsku wydawany zbiór rozpraw p. t. *„Solutiones problematum.“* W trzy lata później w Warszawie u Gröla wychodzą „Różne uwagi fizyczno-chymicznego warszawskiego towarzystwa na rozszerzenie praktycznej umiejętności w fizyce, ekonomii, manufakturach y fabrykach.“ Pisemko to pierwotnie po niemiecku, a następnie w przekładzie polskim wydawane, pragnęło służyć technice i przemysłowi krajowemu. „Różne uwagi,“ ożywione były jak najlepszemi chęciami, a pragnąc żywiej pobudzić pracę technologiczną, proponowały nawet założenie specyalnego laboratoryum „w którymby nietylko w innych już znajome, ale u nas jeszcze nieświadome

sposoby niektórych sztuk i rzemiosł należycie i z wszystkiemi fortelami tych ćwiczono, którzyby nie żałowali tą albo ową fabrykę czyli manufakturę założyć, ale w którymby też usiłowano nowe zaś i nie wydoskonalone jeszcze manufaktury odkryć i polepszyć, ba i niektóre subtelne rzeczy np.: subtelne farby, lak i pokosty, czego jeszcze nie wiele robiono i przedawano."

Prawie jednocześnie bo od grudnia 1768 r. Krone drukował „Uwagi tygodniowe warszawskie, ku upowszechnionemu pożytkowi przełożone, o pomnożenie ekonomii w Królestwie Polskiem." Było to przecież czasopismo głównie rolnicze, choć p. Kucharzewski niesłusznie nie wymienia takich artykułów, jak „Doświadczone przepisy wysuszania bagnów i błót" (№ 4), „O pługu" (№ 8), albo „O bronie" (№ 12), które zarówno z rolnictwem, jak techniką w bezpośrednim zostawały związku. Wydawnictwa te były krótkotrwałe, i dopiero od r. 1786 ogłaszany „Dziennik Handlowy" znalazł lepsze poparcie, choć odbiorców nigdy nie miał za dużo i utrzymywał się głównie z ofiarnej pracy redaktora. „Dziennik" lubo zajmował się przemysłem, był organem bardziej ekonomicznym, niż technologicznym. Z takiego też zakresu artykuły pomieszczał „Pamiętnik historyczny" i „Magazyn warszawski," czasopismo, redagowane przez ks. Piotra Świtkowskiego.

Szersze uwzględnienie znalazły umiejętności techniczne w prowadzonym przez Kukolnika, a następnie inż. W. Gutkowskiego, zamojskim „Dzienniku Ekonomicznym" (1803 — 4), choć i tu po za artykułami o zasadach gospodarczości, ledwie gdzie niegdzie trafi się rozprawa, głównie z zakresu budownictwa. Wogóle, aż do chwili ukazania się w Warszawie w r. 1820 świetnego czasopisma p. t. „Izys Polska," wszystkie rozrzucone po różnych miesięcznikach i tygodnikach artykuły techniczne mają charakter przygodny i nie znajdują należytego uwzględnienia w redakcyach. Ogłoszenie nadzwyczaj starannie redagowanej „Izydy" jest też prawdziwą erą w polskiej literaturze technicznej i przynosi zaszczyt zarówno nauce, jak prasie. W rocznikach „Izydy" spotykamy artykuły najbardziej uzdolnionych ówcześnie specyalistów w zakresie wiedzy technicznej. Wraz z „Izydą" ożywia się ruch w Warszawie, powstaje „Pamiętnik Umiejętności, Sztuk i Nauk" (1824 — 26), specyalny organ leśniczy „Sylwan," później „Pamiętnik warszawski umiejętności czystych i stosowanych" (1829), w tym też czasie powstaje „Sławianin," „Piast," a nadto „Pamiętnik fizycznych, matematycznych i statystycznych umiejętności, z zastosowaniem do przemysłu" (1830). Rozkwit czasopiśmiennictwa w Warszawie, w dobie Królestwa Kongresowego natychmiastowo upada jednak wraz z nadejściem wypadków z r. 1830. Po silnych przejściach politycznych „następuje przeszło dwu-

dziestoletni peryod błąkania się prac i artykułów technicznych po pismach rolniczo-technologicznych, naukowych, ogólnej treści i kalendarzach“ (str. 55).

Zastój w czasopiśmiennictwie technicznem ustaje dopiero z chwilą, kiedy Bolesław Podczaszyński podejmuje w r 1850 „Pamiętnik Sztuk Pięknych,“ po którym w dziesięć lat później ukazuje się „Dziennik Politechniczny.“ Wokół pisma obok redaktorów, braci Marczewskich, zgrupowało się grono współpracowników, ktorych większość tworzyły osobistości ówczesnego świata naukowego, technicznego. Jeszcze „dziś — pisze p. Kucharzewski — z pożytkiem zaglądamy do tego zbioru prac cennych, odnoszących się do rzeczy krajowych i zachowujących zawsze swą wartość.“ Z upadkiem „Dziennika“ w r. 1862 następuje przerwa — bez organu specyalnego, ale już w r. 1866 powstaje „Przegląd Techniczny (dawny), stanowiący zdaniem p. K ogniwo pośrednie pomiędzy „Dziennikiem Politechnicznym,“ a obecnym „Przeglądem Technicznym,“ założonym przez p. St. Kosutha, a wzorowo prowadzonym przez autora omawianego dzieła. Wogóle po r. 1864 budzi się żywszy u nas ruch techniczny; fachowe czasopisma widzimy w Galicyi i Wielkopolsce, a w ostatnich latach jesteśmy świadkami specyalizowania się tych wydawnictw,— założono więc „Chemika,“ „Gazetę Cukrowniczą,“ „Przegląd górniczo-hutniczy,“ „Architekta“ i t d.

O najnowszem piśmiennictwie p. Kucharzewski nie wspomina, co zresztą nie było jego obowiązkiem, skoro w tytule zastrzegł sobie omówienie prasy technicznej tylko po rok 1875. W książce p. K. czytelnik znajdzie wiele interesującego, często zupełnie nowego materyału, choć pracy tej nie można nazwać całkowitą, ile że autor nie o wszystkich wspominał wydawnictwach. I tak np pominięto zupełnie „Krakowskie Kommeligencye y Wiadomości, tak dla łatwiejszego sposobu w rządach publicznych handlu y żywności, jako też Kunsztów y Nauk podane.“ Pismo to wydawane od dnia 29 lipca 1769 r. (in IV-to), sądząc z pierwszego numeru, jaki miałem w ręku, mieściło wiele wiadomości z zakresu przemysłu i rzemiosł. Niesłusznie też autor pominął „Dziennik rolniczo-ekonomiczny“ (Warszawa 1793) Podlewskiego, i „Dostrzegacz ekonomiczny“ a następnie „Pamiętnik Gospodarczy i Naukowy Lubelski“ (1816–17). Pisma te już ze względu na swój czas wychodzenia zasługiwały na szerszą wzmiankę. Te drobne braki, jakie wyłaniają się z „Czasopiśmiennictwa Technicznego,“ w niczem nie mogą zresztą obniżyć wartości dzieła, za które autorowi szczere należy się uznanie.

Stefan Gorski.

E. PRATT. „*The Organization of Agriculture*“ London. Murray 1904 str. 403.

Jak powszechnie wiadomo, Anglia była pierwszem państwem, które zniosło wszystkie cła rolnicze około połowy zeszłego wieku; rząd wytrwał niezłomnie przy tej zasadzie aż do obecnej chwili. Z początku zmiana położenia nie zbyt dała się we znaki angielskiemu rolnictwu, ceny zboża były stosunkowo wysokie, a rząd starał się złagodzić przejście od systemu protekcyjnego do systemu wolnego handlu szeregiem administracyjnych zarządzeń; udzielał rolnikom taniego kredytu na przeprowadzenie drenowania, a później gdy bydło i mięso amerykańskie zaczęło się pojawiać na targu angielskim, starał się zwalczyć współzawodnictwo zamorskie surowymi przepisami, policyi sanitarnej i weterynaryjnej, niejednokrotnie uniemożliwiającymi przywóz bydła, a utrudniającymi przywóz mięsa. Ale i te środki wystarczyły nie nadługo. szybko wzrastający import drobiu, jaj i masła stał się dla rolnictwa angielskiego nową klęską, którą trzeba zwalczać innymi sposobami.

Angielscy rolnicy dopatrują się jednej z głównych przyczyn zwycięskiego współzawodnictwa wielu zagranicznych towarów w kolejowych należytościach przewozowych, obliczanych ich zdaniem znacznie wyżej dla wytworów rolniczych angielskich, jak dla innych.

Edwin *Pratt* stara się wykazać mylność tego rozumowania. Zagraniczne towary występują na kolejach w formie wielkich, zazwyczaj całowagonowych przesyłek, powtarzających się regularnie w peryodycznych odstępach czasu.

Nic więc dziwnego, że zarządy kolejowe udzielają większych refakcyj zagranicznym przesyłkom, jak towarowi miejscowemu, nadawanemu nieregularnie w drobnych ilościach przez poszczególnych wytwórców. Zamiast tracić czas na bezowocnem narzekaniu, angielscy rolnicy powinni brać przykład z ościennych krajów i łączyć się w stowarzyszenia, celem wspólnego dowożenia na targ wszystkich produktów wytworowych przez członków, a wówczas uzyskają z pewnością te same refakcye, co zagraniczni dostawcy. Te nieliczne spółki, które już powstały, korzystają ze zniżek frachtowych.

Pratt zwraca uwagę swych współziomków na okoliczność, że nadawcami towarów zagranicznych, których współzawodnictwo daje się tak bardzo we znaki angielskim rolnikom, są w wielu wypadkach, a liczba właśnie tych wypadków coraz bardziej wzrasta, stowarzyszenia, a nie osoby prywatne. Zdaniem autora, jednym z najważniejszych powodów, niezadawalniającej rentowności gospodarstw rolnych w Anglii, jest niestosowanie formy współdzielczej, która tak znako-

mite usługi oddała rolnictwu innych krajów, współzawodniczącemu z powodzeniem wytworami miejscowymi. Chcąc tezę swoją poprzeć przykładami, Pratt przedstawia czytelnikowi obraz rozwoju kooperacyi zagranicą w najogólniejszym zarysie Dla nas kwestya wysokości angielskich taryf kolejowych, opłacanych przez tamtejszych wytwórców, niema znaczenia bezpośrednio aktualnego, ale porównawczy szkic stowarzyszeń rolniczych w różnych krajach jest nader pouczającym, ponieważ jest to, o ile mi wiadomo, pierwsza próba przedstawienia całokształtu współczesnej kooperacyi rolniczej, co w znacznej mierze tłómaczy, nawiasem mówiąc, nieuwzględnienie wielu ważnych momentów w książce. Dotąd zadawalniano się zazwyczaj opisem i rozbiorem objawów kooperacyi w granicach jednego państwa lub kraju, *Pratt* przełamał tę tradycyę, potrąca także mimochodem i o stosunki polskie.

Zastanawiając się nad dowozem jaj zagranicznych do Anglii, wspomina w kilku zdaniach o znacznych dostawach z Galicyi, o organizacyi handlu jajami w naszym kraju i o stosunkach przewozowych. Wedle niego ajenci firm angielskich, zamieszkali w miastach galicyjskich, mających stałe targi na jaja, skupują jaja od żydów, którzy pośredniczą między nimi, a chłopami, wreszcie wspomina o trzech fabrykach albuminu w Podwołoczyskach. Działalność towarzystw rolniczych w Królestwie również nie jest obcą angielskiemu autorowi. Wiadomość o nich czerpie on ze sprawozdań konsulów angielskich; zwraca uwagę angielskich fabrykantów maszyn rolniczych na towarzystwa, jako na wielkich i pewnych odbiorców tego towaru. O galicyjskich towarzystwach rolniczych niema osobnej wzmianki, natomiast znajdujemy kilka ogólnych, a bardzo charakterystycznych spostrzeżeń o austryackiej organizacyi, tamtejsze stowarzyszenia rolnicze okazują mało tego ducha samopomocy, który stanowi podstawę rozwoju angielskiej kooperacyi, przeciwnie opierają się przeważnie, na znacznych zasiłkach rządowych.

Pratt stwierdza z niepomiernem zdziwieniem, że posiedzenia miejscowych władz administracyjnych (krajowych, powiatowych i t. d.) celem rozdziału zasiłków rządowych między stowarzyszenia rolnicze rozmaitego rodzaju, uchodzą w Austryi za objaw zupełnie normalny Wszyscy starają się oświecać ludność włościańską o korzyściach associacyi: namiestnicy, starostowie, rady powiatowe, krajowe, c. k. towarzystwa rolnicze, duchowni, a nawet nauczyciele szkół ludowych wiejskich, próbują swych sił na tem polu z mniejszem lub większem powodzeniem

Autor zaznacza istnienie podobnych dążeń na Węgrzech, ale uważa je za uzasadnione wyjątkowemi stosunkami, a mianowicie bar-

dzo niekorzystnemi warunkami życia gospodarczego, zwłaszcza brakiem dogodnego kredytu. *Pratt* ma tu na myśli w pierwszym rzędzie powiaty północno-wschodnie, bardziej górzyste zamieszkałe przez Słowian i Rumunów, w których osiedliło się wielu żydów z Galicyi i Królestwa, trudniących się kramarstwem wiejskim, sprzedażą napojów alkoholicznych i dawaniem pożyczek na bardzo wysoki procent. Autor opisuje stowarzyszenia kredytowe, spożywcze, wielce zbliżone do sklepików galicyjskich, kółek rolniczych i inne mniej rozpowszechnione, stwierdza zmniejszenie się lichwy i pijaństwa skutkiem działalności stowarzyszeń.

Ze szczególnem zamiłowaniem zajmuje się *Pratt* kooperacyą rolniczą dworską; nie szczędzi jej uznania. Duńskie spółki mleczarskie stały się wzorem, który mieszkańcy Europy, Ameryki, Australii starają się naśladować w miarę sił i możności. Nic więc dziwnego, że zwiedzanie Danii i opisywanie jej urządzeń staje się, coraz częstszem. Zastanawiającem jest fenomenalnie szybki postęp na tem polu. W r. 1882 zakłada Stilling Andersen pierwszą spółkę mleczarską, a w r. 1887 rolnicy duńscy zawiązują pierwszą spółkową rzeźnię świń, a zatem mamy tu do czynienia z urządzeniami najświeższej daty, które mimo braku tradycyi i doświadczenia, ogarnęły cały kraj w krótkim czasie i doprowadziły do świetnych, powszechnie znanych wyników. Doniosłość tych zdobyczy gospodarczych uprzytomnimy sobie w całej pełni, gdy uwzględnimy, że Dania nie broni swego rolnictwa wysokimi cłami, wbrew niemal ogólnej praktyce innych państw, i że odrodzenie kraju nastąpiło po przegranej wojnie, która stała się hasłem nie zniechęcenia, lecz przeciwnie napięcia wszystkich sił celem powetowania poniesionych strat. Duńska kooperacya rolnicza jest wynikiem niezwykle wysoko rozwiniętego poczucia solidarności społecznej, rzeźnie spółkowe wymagają znacznego kapitału, który zbierają nie udziałami, lecz pożyczką, zabezpieczoną solidarną gwarancyą członków za wszystkie zobowiązania stowarzyszenia. Członkowie zobowiązują się dostarczać cały swój przychówek wspólnej rzeźni. Jestto jedynie skuteczny środek przeciwdziałania konkurencyi, ofiarującej lepsze ceny za świnie, jak spółka, ale jego zastosowanie możliwem jest tylko w razie wielkiego zaufania do kierownictwa spółki i silnego poczucia wspólności interesów wśród członków. Najlepszym dowodem rozwoju spółek dla sprzedaży jaj i masła jest fakt, że Duńczycy całą swoją produkcyę wysyłają zagranicę, głównie do Anglii, a sami zadawalniają się tańszymi jajami i masłem, importowanem do Danii. Liczne stowarzyszenia spożywcze wiejskie są charakterystycznym objawem pracy współdzielczej duńskiej. Jak wiadomo, w innych krajach, prócz Szwajca-

ryi, ta forma stowarzyszeń jest niemal nieznaną, aczkolwiek istnieją liczne stowarzyszenia spożywcze miejskie. W Galicyi sklepiki kółek rolniczych mają podobny zakres działania, przeszły jednak przeważnie w ręce prywatne.

Kooperacya rolnicza w Szwecyi, Norwegii i Finlandyi wzorowała się na duńskich spółkach, zwłaszcza pochlubić się może dobrymi wynikami Finlandya, dzięki usilnej pracy towarzystwa: „Pellervo," które postawiło sobie za zadanie rozbudzenie dążności kooperacyjnych wśród ludności rolniczej. Spółki mleczarskie znalazły najpodatniejszy grunt i najlepsze warunki rozwoju w tych trzech krajach. Także w Holandyi, Belgii, w Niemczech, nawet we Francyi, spółki mleczarskie mnożą się szybko w ostatnich latach. Dla państwa niemieckiego, dla krajów koronnych austryackich, dla Węgier i Serbii, charakterystyczną jest w pierwszym rzędzie kooperacya kredytowa, liczne stowarzyszenia typu Raiffeisena lub podobne, przeznaczone do zaspokojenia potrzeb kredytowych ludności, mniej potrzebne w Danii lub Anglii, ze względu na wielki rozwój tamtejszych kas oszczędności, względnie banków. W krajach romańskich kooperacya rolnicza stoi gorzej, na ogół rzecz biorąc, najbardziej rozpowszechnione są stowarzyszenia dla wspólnego zakupna wszelkich potrzeb rolniczych: maszyn, nasion, zwłaszcza nawozów sztucznych.

Ustępy poświęcone stosunkom angielskim, irlandzkim, amerykańskim i australskim zawierają dużo mniej znanych szczegółów, znać, że autor pisze o przedmiocie, który dokładnie zna przeważnie z autopsyi lub na podstawie źródeł pierwszorzędnych. Pisząc o Stanach Zjednoczonych, daje nam opis stowarzyszeń wzdłuż linii kolejowej Chicago—New-Orleans, zawiązanych celem wspólnego przewozu i sprzedaży produktów ogrodniczych, chodzi o ujednostajnienie ceny i uzyskanie tańszych taryf dla przesyłek całowagonowych przez załadowanie wspólne towarów, wytworzonych przez wszystkich członków i ich łączną sprzedaż, zapobiegającą zbytniemu obniżeniu cen przez konkurencyę.

Rok 1890 jest początkiem irlandzkiego ruchu kooperacyjnego, który ujawnił się przedewszystkiem w zawiązaniu licznych spółek mleczarskich, trudniących się także równocześnie zbytem jaj, i kredytowych. Wypracowanie i wprowadzenie w życie tego programu odrodzenia ekonomicznego jest zasługą „towarzystwa dla organizacyi rolnictwa" specyalnie zawiązanego w celu agitacyi za łączeniem się w spółki. Towarzystwo, nawet w obec najbiedniejszych irlandzkich włościan, nie odwołuje się w pierwszym rzędzie na bezpośrednie materyalne korzyści (tańszy kredyt i tańsze zakupna maszyn, nawozów i innych towarów, lepszą sprzedaż jaj i masła), które

spółka daje swym członkom, lecz zwraca się przedewszystkiem do poczucia solidarności i obowiązku wzajemnego popierania się — ten argument trafia do przekonania. To też irlandzkie spółki stawiają sobie także i cele ogólno-kulturalne, zakładają czytelnie książek i czasopism, są ogniskami życia towarzyskiego, dbają o moralne podniesienie członków podobnie, jak angielskie stowarzyszenia spożywcze robotników miejskich. Za wzorem Irlandyi zawiązano także przed czterema laty „towarzystwo organizowania rolnictwa“ w Anglii; autor opisuje jego działalność.

Pratt, pojmuje zbyt obszernie „organizacyę rolnictw,“ w pierwszym rzędzie ma na myśli stowarzyszenia, ale tu i owdzie przedstawia fakta zupełnie innego rodzaju, wspomina o udzielaniu kredytu hypotecznego rolnikom przez rządowe instytucye australskie, o szkolnictwie rolniczem. Ta niesystematyczność umniejsza nieco teoretyczną wartość pracy, ale przysparza cennego materyału faktycznego. Ostatecznie *Pratt* dochodzi do wniosku, że jedną z głównych przyczyn powodzenia zagranicznego rolnictwa na targach angielskich jest jego organizacya spółkowa, której brak stanowi Achillesową piętę rolnictwa angielskiego. Przeżył się typ dawnych towarzystw rolniczych, ograniczających swą działalność do wystaw i nagród. Podstawą nowożytnej assocyacyi musi być praca współdzielcza w stowarzyszeniach, której oddziaływanie na życie gospodarcze jest znacznie skuteczniejsze. Jak wielkie znaczenie ma dziś problem kooperacyi, najlepszym dowodem, że w miesiąc po ogłoszeniu tej książki okazała się potrzeba drugiego jej wydania, do czego zapewne przyczyniło się i nazwisko autora. *Pratt* ogłosił niedawno głośną książkę o szkodliwości przesadnych żądań związków robotniczych „(trade-unions),“ umniejszających zdolność eksportową angielskiego przemysłu.

Adam Krzyżanowski.

Kronika miesięczna.

Pierwsze w kraju muzeum hygieniczne w Częstochowie. — Biblioteki w miastach prowincyonalnych. — Decentralizacya towarzystw rolniczych. — Biuro pośrednictwa pracy. — Konkurs dramatyczny Tow. teatralnego w Łodzi. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Maksymilian Jackowski. — Ś. p. Wacław Pawliszak. — Ś. p. prof. Henryk Wernic.

W dniach 6, 7 i 8 stycznia r. b. odbyły się w Warszawie narady hygienistów nad środkami, zmierzającemi do uzdrowienia naszych miast i miasteczek.

W szeregu wygłoszonych tam referatów największe obudził zajęcie referat mecenasa Rakowieckiego, poświęcony sprawie muzeum hygieny ludowej w Częstochowie.

Po dłuższej dyskusyi nad tym projektem, uchwalono, co następuje:

1-o. Sprawa muzeum hygieny ludowej w Częstochowie jest obecnie jedną z najważniejszych spraw Tow. hygienicznego.

2 o. Rada Towarzystwa wraz z wydziałem hygieny ludowej, i oddziałem Częstochowskim T. H. powinny przedsięwziąć wszelkie środki w celu najrychlejszego skompletowania oraz otwarcia muzeum *tymczasowego* w lokalu wynajętym.

3-o. Rada Towarzystwa oraz oddział Częstochowski powinny poczynić energiczne i niezwłoczne starania, w celu otrzymania bezpłatnie, na własność T. H. placu miejskiego na rynku przed Jasną Górą, z przeznaczeniem tegoż placu pod budowę wzorowej chaty włościańskiej i urządzenia w niej stałego muzeum.

4-o. W razie otrzymania rzeczonego placu pod Jasną Górą, Rada Towarzystwa winna niezwłocznie ogłosić konkurs na wzorową chatę włościańską, która byłaby wybudowana na tym placu.

Z uwagi na doniosłość muzeum w Częstochowie dla sprawy zdrowia ludu, jako muzeum ogólno-krajowego, T. H. Warszawskie, jako też wszystkie oddziały prowincyonalne, winny zapewnić muzeum w Częstochowie poparcie materyalne i moralne, a mianowicie:

a) Każdy oddział prowincyonalny powinien wyznaczyć pewną sumę, na budowę muzeum i na gromadzenie okazów.

b) Każdy członek starać się powinien o spopularyzowanie projektu muzeum wśród ogółu myślącego, o zachęcanie do przysyłania okazów i do składania ofiar na muzeum w Częstochowie.

c) Gromadzenie okazów dla muzeum Częstochowskiego odbywać się winno według stałego programu.

Widzimy z uchwał powyższych, że sprawa muzeum odrazu postawiona została na właściwym gruncie.

Zobaczmy taraz, jak wygląda sam projekt i jakie są jego dotychczasowe dzieje w oświetleniu p. Rakowieckiego.

Cel muzeum polega na przedstawianiu poglądowem — za pomocą rysunków, fotografii lub modeli w naturze — wszelkich okazów, czyli przedmiotów, mających związek z hygieną ludu, przyczem zwiedzającym będą udzielane krótkie wyjaśnienia o znaczeniu okazów.

Stosownie do instrukcyi muzeum Częstochowskiego, zatwierdzonej w dniu 22 lutego 1904 r. przez p. generał-gubernatora warszawskiego, zakres tegoż muzeum jest szeroki, gdyż obejmuje on zarówno hygienę życia codziennego włościanina, jako też i dział hygieniczno-dydaktyczny: 1) w sprawie mieszkań i sprzętów domowych, wiejskich; 2) w sprawie pokarmów i napojów wieśniaka; 3) w sprawie ubiorów ludu; 4) w sprawie utrzymania czystości ciała; 5) w sprawie hygieny wychowawczej, ochron i szkółek wiejskich; 6) w sprawie zachowania przepisów hygieny przy chorobach zakaźnych; 7) w sprawie hygieny szpitalików wiejskich i ratownictwa i 8) w sprawie wszelkich innych zabiegów hygienicznych.

Projekt założenia rzeczonego muzeum został jednogłośnie przyjęty w końcu roku zeszłego przez oddział Częstochowski T. H., a następnie przez Radę tegoż Towarzystwa, poczem niezwłocznie rozpoczęto u władz rządowych starania o zatwierdzenie instrukcyi dla muzeum.

Po uzyskaniu tego zatwierdzenia, grono osób interesujących się tą sprawą, rozpoczęło starania o gromadzenie okazów do muzeum.

Do chwili obecnej T. H. otrzymało dla muzeum Częstochowskiego następujące dary:

1) od muzeum etnograficznego — model domu żydowskiego (z urządzeniem i umeblowaniem) z osady Łaszczów w pow. Tomaszowskim, gub. Lubelskiej, jako typ ujemny pod względem hygie-

nicznem. Model ten był wystawiony przez p. Bronisława Koskowskiego na II-iej wystawie hygienicznej w 1896 r, zkąd przesłany był do muzeum etnograficznego. 2) od budowniczego Makowskiego – wypracowany przez niego z wielką starannością ciekawy plan wioski – z lotu ptaka – zdrowotnie pobudowanej. 3) od d-ra Ciechomskiego—model natrysków, funkcyonujących w fabryce warszawskiej Bormana i Szwedego; 4) od d-ra Tchórznickiego – model łaźni wiejskiej w dobrach Cieleśnicy; 5) od d-ra Bączkiewicza – słupy z poglądowem przedstawieniem zawartości mleka; 6) od inż. Szczeniowskiego – próbki materyałów budowlanych złych i dobrych; 7) od d-ra Sawickiego — tablice budowy ciała i tablice ratownictwa; 8) od Towarzystwa opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi— kollekcyę lalek w strojach ludowych; 9) pozostałe po II-iej wystawie hygienicznej z 1896 r. *album*, składające się z licznych, starannie wykonanych tablic *pasorzytów i drobnoustrojów*; 10) wreszcie w ostatnich czasach muzeum Częstochowskie otrzymało dar znamienny i pocieszający: piękny model szkoły wiejskiej, opracowany przez włościan gminy Klimontów, pow. Miechowskiego. Model ten był przedtem własnością p. Dziedzickiego z Klimontowa i jako taki znajdował się na wystawie włościańskiej w Miechowie, kiedy zaś wydział hygieny ludowej zwrócił się do p. Dziedzickiego z prośbą o ofiarowanie wspomnianego modelu dla muzeum Częstochowskiego, p. Dziedzicki odpisał, że model ten przeszedł na własność gminy, ale gmina na mocy uchwały formalnej ofiarowała go dla muzeum Częstochowskiego.

Po za tem budowniczy Makowski wypracował szczegółowe plany chaty wiejskiej, podług których obecnie wykonywa się model chaty dla muzeum. Wreszcie wydział hygieny ludowej, staraniem przeważnie d-ra Chełchowskiego i mecenesa Kazimierza Rakowieckiego, przygotował przeszło 30 tablic, przedstawiających fotografie chat włościańskich, plany więcej postępowych chat, szpitalików wiejskich, szkoły wiejskiej, czworaków dla służby folwarcznej, plany ulepszonych gnojowisk, rysunki postępowych studni, pomp; plany i rysunki łaźni wiejskiej, tablice śmiertelności na ospę, tablice strawności i pożywności pokarmów i t. d.

Wymienione okazy, których mniejsza część znajduje się w Częstochowie, większa zaś będzie w krótkim czasie wysłana do miejsca przeznaczenia, łącznie z innemi okazami, które Tow. hyg. ma nabyć dla muzeum Częstochowskiego – będą stanowiły dostateczny materyał do zapoczątkowania i otwarcia tymczasowego muzeum w lokalu wynajętym.

Nie należy jednak zapominać o głównym celu — o stworzeniu *stałego* muzeum w wybudowanej specyalnie wzorowej chacie włościańskiej.

Na wykonanie tego potrzeba będzie względnie znacznych środków pieniężnych. Towarzystwo hygieniczne, rozporządzające niewielkiemi na cele ogólne środkami — nie podoła temu. Z tych więc względów odwołuje się ono do ofiarności publicznej, wierząc mocno, że hasło jego: „zdrowie ludu“ znajdzie żywy oddźwięk w sercach i w myślach wielu jednostek i pobudzi je do czynnego w tej sprawie współdziałania.

Sądzimy, że nadzieje te nie są płonne, zamierzona instytucya bowiem posiada istotnie dla kraju znaczenie doniosłe, nietylko dla tego, że będzie nią *muzeum hygieniczne*, ale i dla tego, że powstanie ono w Częstochowie. Przy licznym, corocznym napływie pielgrzymów do tej miejscowości, pielgrzymów, którzy przybywają z najdalszych i najmniej kulturalnych okolic, muzeum Częstochowskie stanie się prawdziwym rozsadnikiem pojęć o zdrowiu i potrzebach zdrowotnych i otworzy szerokim warstwom ludu oczy na jego liczne braki i niedomagania.

Posłannictwo to prawdziwie społeczne i zasługujące na poparcie wszystkich ludzi, społeczeństwo swoje miłujących.

*

* *

Jeżeli biadamy dość często nad tem, że inteligencya nasza prowincyonalna nie bierze żadnego udziału w ruchu umysłowym, który całkowicie skupia się w Warszawie, wcale nie tworząc ognisk pomniejszych, rozrzuconych po kraju, to w biadaniu tem przeoczamy zazwyczaj fakt, że wszelka praca umysłowa musi się odbywać w warunkach umożliwiających ją — gdy tymczasem u nas, na prowincyi, warunków tych niema wcale.

Wiadomą jest np. rzeczą, że kto pracuje umysłowo, ten niepotrafi obejść się bez biblioteki i to biblioteki zasobnej.

Warszawa posiada trzy wielkie księgozbiory — bibliotekę uniwersytecką, bibliotekę Krasińskich i bibliotekę Zamoyskich, — Nadto zaś cały szereg drobniejszych księgozbiorów prywatnych. Pomimo to jednak, często narzekamy, że biblioteki te nie wystarczają do pracy naukowej i — narzekamy słusznie, gdyż bywają wypadki, że

ktoś, piszący książkę naukową, w celu zaznajomienia się gruntownie z literaturą przedmiotu, nad którym pracuje, musi wyjechać na jakiś czas do Krakowa lub do Berlina.

Cóż więc dopiero mówić mamy o prowincyi? Czegoż możemy wymagać od ludzi, którzy nie mają pod ręką nawet najskromniejszej „wypożyczalni“ książek naukowych.

Jeżeli niektórzy z nich pracują, to jest to połączone z wysiłkiem bohaterskim, przed którym należy czoło pochylić. Jeżeli mamy pośród inteligencyi prowincyonalnej takie jednostki, jak prof. Łopaciński i d-r. Olechnowicz w Lublinie, jak mecenas Parczewski w Kaliszu, jak p. H. Wiercieński w Nałęczowie, jak A. Drogoszewski gdzieś w zabitym kącie Ukrainy i t. d., to musimy przyznać, że ci ludzie dokonywają cudów.

O ileż wydatniejszą i łatwiejszą byłaby ich praca, gdyby posiadali odpowiedni warsztat do niej — bibliotekę naukową.

O takie właśnie biblioteki dla miast prowincyonalnych, dopomina się w świeżo wydanej staraniem *Ogniwa* księdze zbiorowej p. t. „Myśl,“ prof. Oswald Balzer, twórca lwowskiego Towarzystwa popierania nauki polskiej.

Przemawia on w imieniu inteligencyi prowincyonalnej, w imieniu tych „profesorów, prawników, lekarzy, inżynierów“ i t. d., których obowiązki rzuciły na prowincyę, a którzy mają wszelkie dane do tego, aby jeżeli nie pracować naukowo, to trzymać rękę na pulsie nauki. Tymczasem, odcięci od świata, dochodzą oni powoli do zupełnego odrętwienia i apatyi na sprawy nauki. Powoduje to „nawet w ważniejszych środowiskach na prowincyi pewne obniżenie umysłowości, pewien spadek pod względem kulturalnym, częstokroć nawet bez winy jednostek.“

Powołując się dalej na przykład takich krajów, jak Francya, Szwajcarya i Niemcy, gdzie prowincyonalne biblioteki publiczne są zjawiskiem dość pospolitem i znajdują się w miastach departamentowych, kantonalnych i obwodowych, utrzymując się z funduszów publicznych danego okręgu, lub — co wypadek najczęstszy—z dotacyi samych miast, — prof. Balzer zachęca inteligencyę polską do zastanowienia się nad sprawą stworzenia i u nas takich bibliotek publicznych i do podjęcia stosownej akcyi celem urzeczywistnienia tej myśli. Żeby zaś sprowadzić rzecz odrazu na pole obliczeń praktycznych, rozpatruje pytanie, czego potrzeba, ażeby jedna biblioteka prowincyonalna mogła być założoną i na stałe utrzymaną.

Warto obliczeń tych posłuchać.

Przedewszystkiem — mówi prof. Balzer — potrzeba pewnego znaczniejszego odrazu substratu w książkach, nietylko jako jądra

i zawiązku biblioteki, ale zarazem jako materyału, który na pewien czas pozwoliłby jej w skromnej mierze spełniać zadanie. Zawiązek taki, obliczony na jakie 20,000 – 30,000 tomów mógłby na początek wystarczyć.

Ten zasób książek dałby się z pewnością zgromadzić, z wielką łatwością i bez znacznych kosztów, przez nadsyłanie darów w książkach na rzecz owych bibliotek. Instytucye naukowe, redakcye dzienników i czasopism, księgarze, wydawcy, autorowie niewątpliwie z chęcią ustąpiliby bezpłatnie po jednym egzemplarzu swych publikacyj na cel powyższy, byleby ktoś zajął się ich zbieraniem. Wszystkie inne jednostki prywatne mogłyby na tenże sam cel ofiarować, czy to pewne, wydzielone ze swoich zbiorów książki, czy też biblioteki całe, z któremi nieraz nie wiedzą co począć. Pewne uzupełnienie zebranego w ten sposób materyału przez zakup rzeczy brakujących, w bibliotece publicznej najpotrzebniejszych, okazałoby się niewątpliwie koniecznem w chwili założenia biblioteki, sam koszt jednak byłby z pewnością nieznaczny.

Następnie potrzeba stosownego budynku na umieszczenie biblioteki, tudzież odpowiedniego urządzenia go dla celów bibliotecznych. Gmach biblioteczny, gdyby go miano stawiać z nowa, obliczony na stosunkowo skromny księgozbiór prowincyonalny, łącznie z samem urządzeniem bibliotecznem, dałby się postawić za cenę 30,000—40,000 rubli. Oczywiście musiałby on dawać zupełne bezpieczeństwo ogniowe dla złożonych w nim zbiorów. Gdyby zaś jakiś gotowy już budynek został odstąpiony na pomieszczenie biblioteki, należałoby tu przeprowadzić nietylko zwykłą adaptacyę, ale i stosowną rekonstrukcyę dla uchronienia przed niebezpieczeństwem pożaru. Dla tego wydatek na ten cel przeznaczony, z doliczeniem wydatku na samo urządzenie biblioteki, należałoby określić cyfrą 10,000 – 15,000 rubli.

Po instalacyi biblioteki samej potrzeba będzie corocznego stałego wkładu na utrzymanie i zarząd gmachu, na personal zarządzający i służbę biblioteczną, wreszcie też stałej dotacyi na zakupno i oprawę książek.

Na czele biblioteki, jako jej zarządcę, należałoby koniecznie postawić człowieka, odpowiednio do tego uzdolnionego, a więc takiego, który odbył już praktykę biblioteczną, np. w którejś z bibliotek zamiejscowych i sam poświęca się uprawie jakiejś gałęzi nauki. Jeden i drugi warunek są konieczne. Praktyka biblioteczna sama nie wystarczyłaby tu jeszcze, niema bowiem dla biblioteki większego nieszczęścia — zdaniem prof. Balzera — jak kiedy na jej czele stanie człowiek, który sam nauki nie kocha, zrozumienia dla jej potrzeb niema, sam dla niej nie pracuje.

Przytem należałoby dążyć do tego, ażeby los bibliotekarza związać na stałe z losem powierzonej mu instytucyi, żeby zajęcia swego nie uważał z konieczności tylko za rzecz chwilową i przejściową. Tylko w tym razie ma się rękojmię prawdziwie sumiennego pełnienia obowiązków i szczerego zajęcia się dobrem biblioteki. Odpowiednio do tych wymagań nie należałoby tedy zbytnio oszczędzać na rocznej płacy bibliotekarza i gdyby tu nawet można zacząć od sum stosunkowo niższych, np. 1000—1200 rb., to należałoby mu zapewnić, w miarę lat służby, dalsze dodatki, skutkiem których płaca mogłaby być podniesioną mniej więcej do 2500—3000 rb.

Ażeby się trzymać granic możliwie skromnych i ograniczyć cały *stały* personal biblioteczny do tego jednego funkcyonaryusza, trzebaby mu przecież koniecznie dodać do pomocy jednego lub dwu prowizorycznych pomocników, o wynagrodzeniu rocznem około 300 rb., co pociągnęłoby za sobą dalszy wydatek 300 — 600 rb., do czego dodać należy roczną płacę sługi bibliotecznego (który zarazem mógłby być dozorcą gmachu) — 300 — 400 rb.

Co do rocznej dotacyi na zakup i oprawę książek, nie możnaby chyba oznaczyć jej niżej 1000 — 1500 rb.

Samo wreszcie utrzymanie budynku wraz z opałem i oświetleniem kosztowałoby rocznie zapewne około 500 rb.

Na ogół zatem biorąc, przy *najskromniejszych* obliczeniach, samo założenie biblioteki wymagałoby jednorazowego wydatku około 30000—40000 rb. lub 10000—15000 rb., a dalsze jej utrzymanie, stałej rocznej dotacyi około 3100 — 6000 rb. „Sumy to, jeżeli nawet nie najmniejsze, w rzeczywistości jednak uderzająco małe w stosunku do olbrzymich korzyści, jakie biblioteka taka przynieść może i musi“ — kończy prof. Balzer.

Zapewne. Ale czy sumy te znajdą się u nas! Czy w dzisiejszych warunkach naszego istnienia możliwe jest zakładanie *bibliotek miejskich?*

Na to mogą dać dopiero wystarczającą odpowiedź rezultaty starań, podjętych na odpowiednich drogach, sami bowiem nie możemy w tej mierze decydować.

Wobec tego wezwanie prof. Balzera, acz w zasadzie gorąco myśl jego popieramy, wydaje nam się zanadto optymistycznem.

Prawda. Ofiarność publiczna! Ale ofiarność ta jest rzeczą względną i za siłę jej napięcia ręczyć nie można. Mogą się znaleźć hojni ofiarodawcy, mogą z pod ziemi wyrosnąć fundatorowie, którzy własnym kosztem wybudują w jednem i drugiem mieście biblioteki i uposażą je w tysiące tomów, ale tych ofiarodawców i fundatorów może nie być wcale.

Miasta zaś, jako takie, nie są przygotowane do podejmowania spraw tego rodzaju. Płock przecież nie mógł sobie długi czas poradzić z ofiarowaną mu biblioteką Zielińskich, a Częstochowa nie bierze żadnego udziału w powiększeniu zasobów biblioteki Jasnogórskiej, dla której ks. przeor Rejman zdołał uzyskać prawo publiczności.

Przenosząc zatem sprawę na grunt więcej realny, musimy przedewszystkiem zaznaczyć, że skromny z punktu widzenia doniosłości kulturalnej bibliotek, rachunek prof. Balzera, na obecne środki nasze jest jeszcze za wysoki.

Takiemu ciężarowi nie podoła inteligencya żadnego z miast prowincyonalnych, a tylko i wyłącznie na jej dobrej woli biblioteki prowincyonalne oprzeć by się mogły.

Częściowo wszakże projekt dałby się urzeczywistnić już teraz, gdyby wyjednano u władz odpowiednich zezwolenie na zakładanie towarzystw naukowych, wzorowanych choćby na lwowskiem Tow. popierania nauki.

Towarzystwa takie, grupując dokoła siebie inteligencyę prowincyonalną i rozbudzając w niej zamiłowanie do nauki, mogłyby stopniowo tworzyć własne *biblioteki*, naturalnie w granicach szczuplejszych, niż to przewiduje prof. Balzer. Biblioteki te jednak z czasem daleko już łatwiej mogłyby się przekształcać w księgozbiory wielkie, w gmachach własnych umieszczone i zasobne.

Ta droga wydaje nam się odpowiedniejszą o tyle, że zapewnia rezultaty na bliższą metę, co wobec palącej potrzeby rozbudzenia i podtrzymania ruchu umysłowego na prowincyi nie jest rzeczą bez wagi. Gdyby zaś ruch ten umiał się zogniskować dopiero w przyszłych, *wielkich* bibliotekach — to bardzo być może, że wypadnie nam czekać na to jeszcze całe dziesiątki lat.

*

* *

Jednym z najbardziej dodatnich objawów naszego życia zbiorowego doby ostatniej jest ruch współdzielczy, który ogarnął sfery ziemiańskie i sfery rolnicze wogóle.

Ruch ten, zaznaczył się w dwóch kierunkach. Przedewszystkiem włościanie, o czem pisaliśmy już na tem miejscu przed kilku miesiącami, mówiąc o projektach spółki rolniczej płońskiej,

zaczęli z całą świadomością ekonomiczną i społeczną dążyć do zakładania kółek rolniczych, na wzór „Jutrzenki,“ stworzonej w kieleckiem przez p. Godlewskiego.

Dziś mamy już sporą ilość takich stowarzyszeń w kraju, a niema miesiąca, żeby jedno lub dwa nowe nie przybyły.

Jednocześnie i sfery ziemiańskie obudziły się z długiej drzemki, korzystając z danej im możności zakładania stowarzyszeń rolniczych, opartych na ustawach normalnych z r. 1897 i 1898.

Już w r. 1899 powstały stowarzyszenia w Kielcach, w Siedlcach, w Radomiu, w Lublinie, w Łomży i w Kaliszu.

W następnym, 1900 roku, przybyły stowarzyszenia: w Warszawie, w Piotrkowie i w Suwałkach.

Wreszcie w r. 1901 zorganizował się syndykat rolniczy w Płocku.

W ten sposób w ciągu niespełna trzech lat wszystkie miasta gubernialne w Królestwie posiadły stowarzyszenia rolnicze, rozciągające swoją działalność na obszarze gubernii.

Działalność ta rozwinęła się odrazu pomyślnie, ale też i odrazu napotkała na pewne przeszkody.

Okazało się mianowicie, że *gubernia* jest obszarem zbyt rozległym, aby jedno stowarzyszenie mogło objąć wszystkie jej sprawy i skupić dokoła siebie wszystkich posiadaczy większej własności.

Byłoby to możliwe przy lepiej rozwiniętych środkach komunikacyjnych i przy wyższej ogólnej kulturze kraju. W obecnych jednak warunkach syndykaty gubernialne musiały z konieczności poprzestawać na działaniu w najbliższym promieniu swej siedziby.— Im dalej od niej, tem działalność ta stawała się słabsza, a do t. zw. „kątów zapadłych,“ położonych daleko od miasta gubernialnego i nie połączonych z niem koleją, nie mogła nawet wcale docierać. W tych okolicach ziemianie nie kwapili się nawet z przystępowaniem do stowarzyszeń, nie widząc dla siebie możności korzystania z udogodnień, które stowarzyszenia zapewniają swoim członkom.

Taki stan rzeczy wywołał myśl o potrzebie *decentralizacyi*. Zasadę tę wprowadziło w czyn Towarzystwo rolnicze płockie, uzyskując po odpowiednich staraniach zatwierdzenie ustaw dla syndykatów powiatowych w Płocku, Rypinie i Mławie.

W jesieni roku ubiegłego syndykaty te rozpoczęły już swoją działalność.

Nie wątpimy, że za tym przykładem pójdą wkrótce i inne stowarzyszenia rolnicze, korzystając z względnie szerokich ram ustawy normalnej z dnia 30 czerwca 1897 r.

O korzyściach, płynących z zakładania stowarzyszeń powiatowych—mówić nie potrzeba. Należy jednak podkreślić jeszcze jedną dobrą ich stronę, leżącą po za granicami właściwej ich działalności.

Oto—stowarzyszenia powiatowe, już przez samo istnienie swoje w obrębie powiatu będą wywierały dodatni wpływ na okolicznych włościan, którzy w ten sposób, drogą żywego przykładu, otrzymają niejedną dobrą i cenną wskazówkę dla swoich gospodarstw.

Włościanin w mieście gubernialnem bywa rzadko, ale w powiecie zawsze ma jakieś interesy i kilka razy do roku zajrzy tam z pewnością. Należy z tego skorzystać i udostępnić mu zobaczenie, czy to nowych narzędzi rolniczych, czy prób zboża, czy wreszcie zachęcić go do uprawiania nowej rośliny pastewnej i t. d.

Nie ulega wątpliwości, że powiatowe stowarzyszenia rolnicze potrafią to urządzić tak, aby ogólna kultura kraju miała z tego pożytek.

Z czasem—zadanie to będzie dla nich znacznie ułatwione przez istnienie „muzeów rolniczych," których zakładanie leży w planach syndykatów. Narazie jednak można innemi drogami trafić do włościan.

Jedną z tych dróg stanowią dobrze zorganizowane odczyty popularne. W roku ubiegłym odbywały się one w niektórych miasteczkach, a ogłoszone niedawno sprawozdanie świadczy, że powodzenie tych odczytów było znaczne. Z doświadczenia tego trzeba skorzystać, podejmując pracę w szerszym zakresie.

Gdzieindziej posłannikami wiedzy rolniczej są specyalni instruktorowie, wysyłani na wieś z ramienia władz krajowych autonomicznych. U nas — niema ani takich instruktorów, ani nawet szkół rolniczych — a rolnik potrzebuje oświecenia, wskazówek, zachęty. Praca jego, o ile ma przynieść owoce, nie może już odbywać się w dawny, uświęcony rutyną sposób, ale musi oprzeć się na podstawach zdobyczy wiedzy nowoczesnej. Wiedza ta dostępna jest dla wszystkich, którzy są przygotowani do jej czerpania z książek i pism fachowych. Dla nieprzygotowanych jednak — jest to księga zamknięta na siedem pieczęci i trzeba, żeby ktoś im tę księgę otworzył. Może uczynią to Towarzystwa rolnicze, może same spółki włościańskie — nie wiem, ale — czas na to wielki.

* * *

Dziedzina pośrednictwa w pracy była u nas dotychczas w zaniedbaniu Kraj, posiadający przemysł fabryczny, kulturę ekonomiczną na dość wysokim stopniu, wytwarzający rocznie za setki miljonów rubli rozmaitych towarów i spożytkowujący dla tych celów znaczną siłę roboczą, reprezentowaną przez kilkaset tysięcy robotników, nie umiał zdobyć się na organizacyę, obejmującą podaż tej siły i popyt na nią. Były wprawdzie usiłowania na tem polu, ale zaliczyć je należy raczej do prób mniej lub więcej szczęśliwych, niż do organizacyi prawidłowej w ścisłem znaczeniu tego słowa. Taką próbą była podjęta przed dwoma laty myśl stworzenia przy Towarzystwie przemysłu i handlu „towarzystwa dostarczania pracy," niestety, nie urzeczywistniona. Taką próbą jest także Oddział wyszukiwania pracy przy W. T. D., który niewątpliwie spełnia wiele dobrego i w ostatnich zwłaszcza czasach, dzięki umiejętnemu kierownictwu i opiece p. Henryka Radziszewskiego, zaznaczył swoją działalność dodatnio, ale — z natury rzeczy nie może stanąć na wysokości zadania.

Jedynie biura pośrednictwa istniejące przy stowarzyszeniach fachowych, jak stowarzyszenie pracowników handlowych, ratują nasz honor w tym względzie. Ale — to niewystarcza. Za granicą tymczasem sprawa pośrednictwa oddawna stanęła na właściwym gruncie i zorganizowana została w sposób, budzący zazdrość.

Francya np. posiada w Paryżu swoją *bourse de travail*, która mieści się we wspaniałym gmachu, zbudowanym dla niej przez miasto i pod opieką miasta, korzystając z jego subwencyi, rozwija się z ogromnym pożytkiem dla warstw pracujących. Obok tej centralnej instytucyi w Paryżu, istnieje około 40 *giełd pracy* na prowincyi, we wszystkich większych ogniskach handlu i przemysłu.

Tak samo jest w Belgii, Holandyi i Szwajcaryi.

W Niemczech biura pośrednictwa istnieją przy wszystkich niemal związkach robotniczych. Nadto niektóre miasta założyły „miejskie biura pośrednictwa." O Anglii nie ma co i mówić Tam — organizacya klasy robotniczej stoi bowiem na tak wysokim stopniu, że związki i stowarzyszenia robotnicze samodzielnie załatwiają sprawę pośrednictwa.

Austrya w ostatnich latach także poszła naprzód w tym względzie, a za jej przykładem i Galicya.

We Lwowie, który w stosunku do Warszawy jest miastem małem, powstało przed 8 mniej więcej laty „miejskie biuro pośrednictwa" i rozwija się podobno bardzo dobrze.

My tylko pierwsze dopiero kroki stawiamy na tem polu.

Zapewne — doraźnem rozwiązaniem sprawy byłoby powierzenie jej magistratowi i utworzenie „miejskiego biura.“ Ponieważ jednak na razie projekt taki nie ma widoków na urzeczywistnienie, więc musimy go zaniechać, ciesząc się jedynie tem, że prywatna inicyatywa zaczyna tu działać z energią i zrozumieniem rzeczy.

To „zrozumienie rzeczy“ ujawnia się w regulaminie świeżo właśnie otworzonego w Warszawie „prywatnego biura pośrednictwa pracy,“ które chociaż w części zaspokoi istniejącą w tym kierunku potrzebę społeczną.

Biuro — czytamy w regulaminie — ma na celu ułatwianie pracownikom wszelkich rodzajów i fachów znalezienie pracy, a pracodawcom znalezienie pracowników.

Warunki pośrednictwa są następujące:

W oddziale nauczycielskim a) dla pracowników: wpisowe 50 k. i 2% rocznej pensyi. Od lekcyi i korepetycyi cena jednej godziny, bez wpisowego; b) dla pracodawców: wpisowe 50 k. i 3% rocznej pensyi. Od lekcyi i korepetycyi cena 1 godziny bez wpisowego.

W oddziale rolnym, handlowym i przemysłowym — 50 k wpisowego i 2% rocznej pensyi dla pracowników; dla pracodawców zaś — wpisowe tej wysokości i 3% rocznej pensyi.

W oddziale pracy kobiet — 50 k. wpisowego i 2%, dla pracodawców 3% rocznej pensyi. Od zajęć dziennych 15 kop. bez wpisowego.

W oddziale rzemieślniczym dla pracowników i pracodawców warunki jednakowe, od uczniów 15 k. bez wpisowego, od czeladników cena jednego dnia roboczego bez wpisowego.

W oddziale służbowym i robotniczym: a) dla pracowników — 10 k. od 1 rb. miesięcznej pensyi, bez wpisowego; b) dla pracodawców — 10 k. wpisowego i 15 k. od 1 rb. miesięcznej pensyi.

W obsadzaniu posad biuro kierować się będzie jedynie istotną wartością klijentów, a nie wysokością komisowego, które dla tego w regulaminie oznaczonem zostało.

W miarę rozwoju ma biuro dążyć do zniesienia wpisowego i do zniesienia opłaty za pośrednictwo. Zniesienie opłaty przedewszystkiem dotyczyć będzie pracowników.

Opłaty, pobierane przez biuro, winny być uiszczane przy zawarciu umowy o posadę. Gdyby jednak osoby, potrzebujące zajęcia, nie były w możności uiścić opłaty z góry, to opłata może być odroczona do czasu otrzymania pierwszej płacy zarobkowej. Pracownik może być również uwolniony od wpisowego za zezwoleniem dyrektora biura.

Pracownicy, zgłaszający się do poszczególnych oddziałów, wypełniać będą sami odpowiednie formularze, uzupełnione kopiami

świadectw. Do wypełniania formularzy niepiśmiennym, obowiązany jest urzędnik oddziału. Na żądanie urzędnika kandydat winien przedstawić świadectwa oryginalne.

O każdym, zgłaszającym się do biura, winna być ściągnięta *opinia poufna*, do której to czynności powołani będą oddzielni urzędnicy.

Biuro może też odmówić pośrednictwa bez wymieniania przyczyn.

Biuro pośredniczy wszystkim bez różnicy wyznań i narodowości, cudzoziemców jednak do kraju sprowadzać nie będzie. W dziale nauczycielskim sprowadzane będą zamiast niemek — polki, wychowane w Niemczech, a zamiast francuzek, córki rodzin polskich, we Francyi zamieszkałych.

Najniższą cenę za korepetycye studentów i uczniów ustanawia biuro na 10 rb., a w razie niezamożności rodziców na 8 rb. miesięcznie. Najniższą cenę za lekcye od nauczycieli i nauczycielek prywatnych stanowić będzie 30 kop. za godzinę. Ofert na cenę niższą biuro przyjmować nie będzie.

W dziale służbowym nie będzie t. zw. *kantorowych*, wyzyskujących i demoralizujących służbę. Kandydaci zgłaszać się będą do pracodawców sami z poleceniami piśmiennemi biura.

W biurze znajdować się będą dwie księgi zażaleń: z nich jedna na czynności biura, w której nazwiska osób trzecich, po za funkcyonaryuszami biura wymieniane być nie mogą. Księga ta każdemu na żądanie dla wpisania skargi, lub do przeczytania skarg już napisanych, przedstawioną być winna. Druga księga zażaleń, wynikających z wzajemnego stosunku pracodawców i pracowników znajdować się będzie u dyrektora biura i tej nikt, nawet wpisujący ostatnią skargę, przeglądać nie ma prawa. Prócz tego znajdować się będzie w biurze księga do wpisywania ogólnych uwag, dotyczących działalności biura. Skargi i uwagi, nadsyłane piśmiennie, będą do odnośnych ksiąg wpisywane.

W końcu dodać należy, że biuro prowadzić będzie statystykę podaży pracy i popytu na takową we wszystkich jej gałęziach i że statystykę tę ma zamiar peryodycznie ogłaszać. Rzuci to niewątpliwie światło na stosunki zarobkowe szerokich warstw, tak niedostatecznie jeszcze zbadane.

Tak się przedstawia w zarysie regulaminowym nowa instytucya. Jak widzimy ramy jej są szerokie i pomyślane dobrze, a zasady na których opiera się jej działalność, najzupełniej wytrzymują krytykę. Naturalnie - ideałem pośrednictwa jest pośrednictwo nie obciążające zupełnie pracowników, tego jednak nie można żądać ani od instytucyi prywatnej, ani od instytucyi, rozpoczynającej dopiero życie. Swoją drogą kierownicy jej z ideału tego zdają sobie dokład-

ną sprawę i to przemawia na ich korzyść. Wogóle z regulaminu wieje duch humanitarny, zupełnie obcy dotychczasowym prywatnym tego rodzaju przedsięwzięciom i to nadaje instytucyi tak pożądaną cechę społeczną. Zaznaczając to z prawdziwą radością, życzymy jej pomyślnego i jak najszerszego rozwoju.

*

* *

Zarząd polskiego Towarzystwa teatralnego w Łodzi, pragnąc w miarę sił i środków, przyczynić się do rozwoju ojczystej literatury dramatycznej, oraz do zapewnienia scenie polskiej w Łodzi zajmującego repertuaru oryginalnego, zamierza systematycznie ogłaszać konkursy dramatyczne, na zasadzie przepisów ustawy Towarzystwa.

Pierwszy właśnie z tych konkursów świeżo został ogłoszony na warunkach następujących:

Do współubiegania się o nagrodę dopuszczone są utwory, należące do wszelkich rodzajów twórczości dramatycznej, mogące być wystawione na scenie krajowej.

Przedstawiony na konkurs utwór winien wypełnić cały wieczór.

Do konkursu będą dopuszczone tylko utwory, które nigdzie do chwili ogłoszenia wyniku konkursu nie były grane, ani też nie pojawiły się w druku.

Każdy utwór musi być zaopatrzony w godło, które winno się znajdować na kopercie listu, zawierające imię i nazwisko autora, oraz adres jego.

Utwory należy nadsyłać pod adresem Prezesa Tow. teatralnego (p. Teodor Trenkler, Łódź, Ewangelicka 16), w przesyłkach rekomendowanych.

Termin ostateczny do przesyłania utworów kończy się w dniu 1 czerwca 1905 r. przyczem obowiązuje data stempla pocztowego.

Nagród wyznacza się trzy, a mianowicie: pierwsza 600 rb., druga 300 rb. i trzecia 100 rb., które wypłacone zostaną *nieodwołalnie* autorom trzech z uznanych za najlepsze utworów.

Rozdrabnianie nagród stanowczo jest wyłączone.

Komisya, powołana przez Tow. teatralne w liczbie 16 osób, po przeczytaniu rękopisów, kwalifikuje sztuki do wystawienia na scenie.

Po odegraniu każdej takiej sztuki, zebrana w teatrze publiczność ma prawo wyrazić swe zdanie o utworze na osobnych kartkach, załączonych do biletów.

Wyrażone w ten sposób opinie stanowić będą dla sądu konkursowego materyał do zużytkowania przy ostatecznem przyznawaniu nagród.

Utwory, polecone do grania, pozostają własnością autorów. Za sztuki wystawione autorowie otrzymają od dyrekcyi teatru 5% od dochodów *brutto*, jako honoraryum, niezależnie od nagród, jakie będą przyznane.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi nie później, jak do dnia 1 marca 1906 r.

W końcu polskie Towarzystwo teatralne zastrzega w interesie sceny łódzkiej wyłączne prawo grania w Łodzi lub gdzieindziej sztuk nagrodzonych i wyróżnionych dla dyrekcyi subwencyonowanego przez się teatru po dzień 1 września 1906 r., za osobnem porozumieniem się z autorami.

*

* *

W Poznaniu zmarł d. 15 stycznia r. b. jeden z najbardziej zasłużonych w Wielkopolsce ludzi — ś. p. Maksymilian Jackowski, długoletni „patron“ tamtejszych *kółek-włościańskich*, które w walce kulturalnej ludu polskiego z falą zatapiającej go niemczyzny, tak dodatnią i wybitną odegrały rolę.

Urodzony w r. 1821 w niezamożnej rodzinie ziemiańskiej, ś. p. Jackowski wcześnie, bo zaraz po ukończeniu gimnazyum, rozpoczął pracę na roli. Oddawał się jej z zamiłowaniem w rozmaitych stronach a przez czas pewien mieszkał nawet na Ukrainie. Powróciwszy stamtąd w strony ojczyste, nabył majątek Pomarzanowice pod Pobiedziskami i jako wytrawny już agronom rozpoczął szerszą a tyle owocną działalność społeczną.

Podniesienie kulturalne i ekonomiczne ludu wielkopolskiego stało się jego ideą, której poświęcił wszystkie wytężone siły swojego długiego życia. Idei tej służył — słowem, piórem i czynem. Nauczał, zachęcał, organizował lud wiejski, prowadził go i opiekował się nim, budząc wszędzie zamiłowanie do pracy i ulepszeń rolnych.

Dwieście pięćdziesiąt kółek rolniczych powstało przy nim. Ale te cyfry nie dowodzą jeszcze niczego — są martwe, pisze dr. Al. Czechowski w *Gaz. Polskiej*: „Trzeba przejechać się po wsiach poznańskich, przyjrzeć się uprawie roli, łanom zboża i inwentarzowi,

porównać gospodarstwa polskie z sąsiedniemi niemieckiemi, wziąć udział w kilku posiedzeniach kółek, wysłuchać kilku odczytów zawodowych, wygłoszonych przez prostych włościan, i przysłuchać się dyskusyi, ażeby zrozumieć, ile nauki, doświadczenia, ładu, a w ostatecznym rezultacie *korzyści* spłynęło z działalności kółek na polski lud włościański, jak silnie ugruntowany materyalnie jest wskutek tego ten lud w walce z wydzierającą mu ziemię germanizacyą.“

„Ale pozatem wszystkiem kryje się jeszcze w dalekiej przeszłości szczegół inny, nie mniej ważny, z którego doniosłości mało kto już zdaje sobie dziś sprawę. Oto — kto widzi, jak zbierają się na wspólne obrady zawodowo-rolnicze gospodarze wiejscy, rządcy, właściciele dóbr i przedstawiciele duchowieństwa, jak jedni popierają drugich w usiłowaniach, dają nauki i wskazówki, służą radą i czynną pomocą, jak ufność i zgodność łączy z sobą te trzy warstwy społeczne, ten nie myśli zazwyczaj o tem, jak przedstawiały się stosunki przed kilkudziesięciu laty, jakie były początki pracy nad zjednoczeniem ludu, ile setek i tysięcy razy Maksymilian Jackowski musiał włóczyć się wózkiem ze wsi do wsi, perswadować jednym i drugim, zachęcać poważnie, żartem i humorem do porozumienia się, przynaglać, nieraz przymuszać do zrobienia próby, do założenia kółka, któreby sprowadziło wszystkich na wspólne pole pracy zawodowej, usunęło przez swą pożyteczną działalność spory i podejrzliwości.“

Taka oto była działalność Jackowskiego i taki człowiek odszedł na wieczny spoczynek

Nie dziw też, że zgon jego wywołał powszechny smutek, a echo tej straty rozległo się szeroko.

Mąż takiego ducha obywatelskiego, tak nieskażonego charakteru, takiej pracy i wytrwałości, takich ukochań, jakie w swem sercu pielęgnował Jackowski, godzien jest pamięci i czci w społeczeństwie, którego był synem wybitnym i zasłużonym...

*

* *

Dn. 18 stycznia r. b. zmarł w Warszawie śmiercią tragiczną zdolny i ceniony artysta-malarz ś. p. Wacław Pawliszak.

Urodzony w r. 1866, wcześnie, bo już jako 18-to letni młodzieniec zwrócił na siebie Pawliszak uwagę pracami wykonanemi w Krakowskiej szkole sztuk pięknych, której podówczas był uczniem.

Wróżono mu znakomitą przyszłość, jako dobremu koloryście, co też w części sprawdziło się Resztę nadziei zniweczyła śmierć, przecinając w 38 roku życia dni artysty, który mógł był długie jeszcze lata z pożytkiem dla sztuki polskiej pracować.

Na kartach tej sztuki pozostaje jednak po nim imię dobre. Służył on jej wiernie i wytrwale, a kochał ją szczerze i prawdziwie.

*

* *

Również w Warszawie zmarł w styczniu r. b. ś. p. Henryk Wernic, sędziwy i zasłużony pedagog.

Urodzony w r. 1829 w Warszawie, po ukończeniu studyów objął Wernic posadę nauczyciela języka polskiego i geografii w tutejszej szkole realnej. Następnie wyjechał za granicę i czas jakiś przebywał w Anglii i w Niemczech, badając najnowsze zdobycze pedagogiki. Po powrocie do kraju wiadomości te zużytkował w całym szeregu podjętych prac, z których ważniejsze są: „Przewodnik wychowania," „Wychowanie dziecka do lat 6-iu," „Nauka o rzeczach," „Pierwszy rok nauczania," „Historya powszechna" i t. d.

Pracował ś. p. Wernic w warunkach ciężkich, utraciwszy bowiem wzrok, musiał posługiwać się pomocą lektora i pisarza. Pomimo to długie życie jego wypełnione było po brzegi trudem, podejmowanym zawsze z wielkim zapałem. Ze śmiercią czcigodnego profesora zszedł do grobu człowiek zdolny, prawy i szlachetny, rozumny i wytrawny przewodnik młodzieży, szczepiący dokoła siebie prawdę i dobro.

Cześć jego pamięci.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Wydział Towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury w Krakowie odbył posiedzenie w d. 22 grudnia 1904 r. Omawiano w dalszym ciągu sprawę podtrzymania ruin zamku odrzykońskiego, co jak się zdaje, wkrótce zostanie uwieńczone pomyślnym skutkiem, dzięki ofiarności właścicieli ruin pp. Jana hr. Szeptyckiego i Stanisława Starowiejskiego, jako też dzięki pracy architekty p. Jana Zubrzyckiego.

Dyrektor Zygmunt Hendel wygłosił dwa zajmujące referaty o ruinach zamku trockiego i o kościele św. Michała w Wilnie. Dokonane na miejscu staranne badania pozwoliły odkryć nadzwyczaj ważne i doniosłe szczegóły o nieoszacowanej wartości naukowej. Badania te wykazały, że na jeziorze trockiem istniały właściwie trzy zamki, budowane kolejno w XIII, XIV i XVI wieku, stanowiące razem obronny kompleks fortyfikacyjny, uderzający ogromem, siłą murów i piękną architekturą, wzorowaną na krzyżackiej. Jest to, jak twierdził prelegent, drugi Malborg polski czy litewski, godny szczególniejszej pieczy społeczeństwa i podobnego odnowienia, jakiego się tamten doczekał. Jeżeli ruiny zamków trockich mogą imponować, wywoływać podziw i smętną zadumę, to kościół św. Michała w Wilnie ze wspaniałymi grobowcami ks. Sapiehów wywołuje tylko żal, smutek i rozgoryczenie na widok spustoszenia, jakie w nim panuje. Powyrywane popiersia posągów, potrzaskane tarcze herbowe i piękne marmury z ołtarzy i nagrobków, nawet posadzki — oto obraz dzisiejszego stanu kościoła. Dlatego z ogromnem uznaniem należy podnieść, że rodzina ks. Sapiehów nie szczędzi kosztów i starań, by ten dom Boży, niegdyś przez ich przodków fundowany, do należytego stanu doprowadzić. Prezes Tow. prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski ofiarował w tej mierze po-

moc wydziału ks. Janowej Sapieżynie z Bilki, w ślad zaczem p. Zygm. Hendel, jako delegat Towarzystwa, zbadał jesienią z. r. cały kościół. Mimo smutnego obecnego stanu, da się on w zupełności uratować, a mający prowadzić zamierzoną restauracyę p. Z. Hendel daje rękojmię, że przywróconą zostanie dawna okazała postać tego zabytku.

— Towarzystwo naukowe w Toruniu wydało tom XI-ty swego Rocznika. W wydawnictwie tem pomieszcza następujące prace: *ks. Stanisława Kujota:* „Kto założył parafie w dyecezyi chełmińskiej d. c.;“ — *Wincentego hr. Łosia:* „Książe Fryderyk Wilhelm von Holstein-Beck, feldmarszałek Fryderyka W-go i jego polskie stosunki;“ — *dr. Władysława Semkowicza:* „Zagadkowy pierścień średniowieczny;“ — *ks. Kazim. Chmieleckiego:* „Wycieczka do grobowisk przedhistorycznych w pow. kałuskim“ i *Kaz. Nitscha:* „Patronimika na—óc,—ic,—éc w gwarach Prus Zachodnich;“ — *Konst. Kościńskiego:* „Inwentarz Człuchowskiego stwa z 1746 r.“ i *ks. Stan. Kujota:* „Numerus sacerdotum ecclesiarum Gedanensium.

Jednocześnie towarzystwo wydało tom VIII źródeł, w którym pomieszcza dalszy ciąg wizytacyi biskupstwa warmińskiego przez Andrzeja Olszowskiego (1667—1672).

NOWE KSIĄŻKI.

— Spadek piśmienniczy po generale Maurycym hr. Hauke, z rękopisu wydał i przedmową poprzedził *Aleksander Rembowski.* Warszawa, 1905. 8-o, str. LXI + 421 i 6 rycin.

W obszernej przedmowie zapoznaje nas autor z życiorysem Haukego, streszcza całą działalność wojskową znakomitego z czasów napoleońskich generała, później ministra wojny za rządów W. Ks. Konstantego, ministra, o którym tak ujemnie się nieraz wyrażano, a jednak bezzasadnie. Dokumenta z archiwów wydobyte świadczą, że byłto człowiek nietylko wielkich zdolności wojskowych, ale i zasłużony obwatel kraju. Na dowód tego twierdzenia autor snuje przed czytelnikiem całe pasmo życia Haukego.

W 1790 r. jako 14-letni chłopiec Hauke wstępuje do wojska, odznacza się w kampanii 1792 r.; we dwa lata później zostaje podporucznikiem, a kiedy nadeszła wieść o formowaniu się legionów Dąbrowskiego, wyjeżdża do Włoch, by stanąć w szeregach nowej armii i służyć sprawie Napoleona. W tej służbie spadają nań wielkie obowiązki i wielkie zaszczyty. Bierze udział w kampanii 1807 i 1809 r. zostaje kolejno pułkownikiem, generałem, wreszcie komendantem Zamościa. Na tem stanowisku los najbardziej go doświadcza. Otoczony przez przemagające siły z garstką wojska w najtrudniejszych warunkach, broni twierdzy w ciągu całych dziesięciu miesięcy i kapituluje dopiero wtedy, gdy całe księstwo Warszawskie (z wyjątkiem Modlina) znajdowało się we władzy wojsk rosyjskich. Znakomita obrona twierdzy, wywołuje jednakowe uznanie dla gene-

rała, zarówno u Napoleona, jak u Aleksandra.—Za czasów Królestwa, po dymisyi Wielhorskiego, zostaje ministrem wojny. W. Ks. Konstanty obdarza go zupełnem zaufaniem. I słusznie. Ma bowiem Hauke pierwszorzędne zalety naczelnika wojskowego. Jest skrzętny, zapobiegliwy, pełen zaparcia się siebie. Zakłada instytucye wojskowe, buduje szkoły, koszary, a z samych zaoszczędzonych przez siebie pensyj, składa na rzecz ministeryum wojny 1,195,164 złp., kapitał na owe czasy bardzo znaczny. To wszystko przemawia na korzyść Haukego i stawia go w rzędzie zasłużonych ludzi swego wieku.

W drugiej części wydawnictwa znajdujemy po raz pierwszy drukiem ogłoszone następujące pisma Haukego:

1) Księga minut, obejmująca rozkazy, korespondencye, rozporządzenia i ogłoszenia z roku 1807 (od maja do lipca).

2) Dziennik oblężenia twierdzy Zamościa 1813 z dołączonym protokółem rady obrończej i korespondencyą Haukego z generał-lejtnantem von Rath.

Są to materyały pierwszorzędnego znaczenia dla dziejów kampanii 1807 i oblężenia Zamościa. W księdze minut Hauke pomieszcza odezwy, raporta, rozkazy, korespondencye i inne dokumenta urzędowe; w dzienniku obrony Zamościa, odtwarza wybornie ducha garnizonu, całą działalność komendanta, oficerów i żołnierzy; kreśli z wzorową dokładnością obraz wszelkich dolegliwości i cierpień załogi. Pisma te noszą charakter urzędowy pozbawiony wszelkiego pamiętniczego indywidualnego charakteru, tem więc większe mają znaczenie jako materyał historyczny. *f.*

— Jeske-Choiński Teodor: „Neofici polscy.“ Materyały historyczne. Warszawa, druk P. Laskauera, 1905. 8-o, str. 289 + XX.

Jest to pierwsza część wydawnictwa poświęconego zinwentaryzowaniu rodzin polskich żydowskiego pochodzenia. Korzystając z obfitego materyału, jaki przedstawia element żydowski w naszem społeczeństwie, autor wprowadził do swego „słownika neofitów“ tysiąc pareset nazwisk. Plon zaiste znaczny — godzien pracy „lat czterech“ — ale jak dotąd nie zupełny. Nie napotykamy bowiem wielu ogólnie znanych rodzin, rozsiadłych w rejonie najsumienniejszych studyów autora — w „naszej“ Warszawie. Tłómaczy to autor oświadczeniem, że pomieszcza tych tylko neofitów, których metryki „na własne oczy“ oglądał. Inne więc... głębiej zapadły w pyłach archiwalnych, — autor nie zdążył ich odnaleźć chociaż czas znalazł na przejrzenie, jak dotąd... kilku milionów (!) metryk...

Pierwszy rozdział książki nosi tytuł: „Neofici XVI i XVII stulecia.“— Znajdujemy tu ustęp: „Gdyby się przejrzało wszystkie księgi kościelne XVI stulecia, znalazłoby się niewątpliwie tu i owdzie jakiego neofitę pochodzenia żydowskiego, praca to jednak nad siły jednego poszukiwacza.“ Mybyśmy dodali, wprost niemożebna, bo większość ksiąg kościelnych z tego czasu już nie istnieje, wartoby jednak skorzystać z metryki koronnej i z dokumentów metryk litewskich częściowo ogłoszonych w dziele Berszadskiego „Dokumenty k istorii litowskich jewrejew,“ tom I i II 1388—1569, i tegoż „Dokumenty k istorii polskich i litowskich jewrejew 1364—1569,“ tom III (1903 r.).

W następnych rozdziałach zaznajamia nas autor z historyą żydów w Polsce, w głównych zarysach daje dokładne wiadomości o znanych mu neofitach, podaje daty ich chrztów, a w końcu książki pomieszcza dokładny wykaz wszystkich wzmiankowanych w dziele rodzin żydowskich. Znajdujemy tu pięknie brzmiące nazwiska: Czarnecki, Dąbrowski, Różycki i skromniejsze, mniej wojownicze: Cwij, Cymes, Majde, Pincas i t. p. *f.*

— Szymon Rundstein Dr.: „Studya i szkice prawne.“ Lwów, 1904. Polskie Tow. Nakładowe. 8-o, str. 235.

Dzieło to ma na celu zapoznanie szerszego ogółu z najważniejszemi zagadnieniami prawnemi ostatniej doby. We wstępie czytamy „...chciałbym, by szkice niniejsze znalazły czytelników w kołach szerszych, nie fachowych. W miarę sił i możności przykładałem się do tego, by ów dla laików zwykle niewidoczny związek prawa z życiem rzeczywistem uprzystępnić: związek ów wykazać się starałem przy rozbiorze zagadnień o znaczeniu bezpośrednio praktycznem, a też wtedy, gdy napozór ściśle teoretyczne, oderwane poruszałem kwestye. Publiczność zwykle utożsamia prawoznawstwo z suchą wykładnią, z zasklepieniem się w dyalektyce kazuistycznej i niemyli się, gdy ma na myśli dogmatykę prawa.“ Autor jednak omija w niniejszej pracy konstrukcye dogmatyczne, a główną zwraca uwagę na kwestye ogólnego znaczenia i zadania, które prawoznawstwo w bliższej lub dalszej przyszłości rozwijać winno. Znajdujemy więc rozprawy: o ogólnej teoryi prawa, o teoryi administracyi w stosunku do polityki społecznej, o sądach polubownych i autonomii prywatnej.

— Zemmrich: „Die Polen im Deutschen Reich.“ Globus zesz. październikowy 1904. 8-o, str. 213.

Do rozprawy dodano dwie mapy, na pierwszej oznaczył autor sześcioma kolorami rozmieszczenie ludności polskiej w Niemczech podług spisu z r. 1900, ale tylko powiatami, bo ilu polaków w pojedyńczych gminach się znajduje, nie ogłoszono. Na takiem tle w wielu miejscach błędny występuje obraz, tem błędniejszy, o ile statystyka urzędowa sama przez się dokładnie stosunków narodowościowych nie zebrała. Na drugiej mapie uwydatniono wzrost i cofanie się ludności polskiej od r. 1890 do 1900.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Biblioteka dzieł chrześciańskich wydawana pod kierunkiem *ks. Zygmunta Chełmickiego* pomieszcza w XI i XII z. swoich wydawnictw dalszy ciąg „Podręcznej encyklopedyi kościelnej“ mianowicie tom III i IV od słowa „Augustyn św. do Bobadilla Mikołaj.“

— Ostatni zeszyt „Ekonomisty“ z r. 1904, wyszedł z pewnem opóźnieniem. Za to objętość zeszytu została powiększoną. Na czele numeru widnie-

je aktualna praca *St. A. Kempnera:* „O obecnem przesileniu gospodarczem.“ Wywody autora, poparte bogatym materyałem cyfrowym, zasługują na baczną uwagę całej naszej prasy wobec groźnych rozmiarów tej klęski ekonomicznej, która dotknęła kraj cały. — Dziedzinę studyów historycznych reprezentuje praca *J. Kindelskiego* o „przemyśle solnym,“ która stanowi cenny przyczynek do dziejów wewnętrznych Królestwa Kongresowego. — W dalszym ciągu bogaty materyał cyfrowy podaje *C. Łagiewski* w swej ciekawej pracy o „Stowarzyszeniach Kredytowych w Królestwie Polskiem,“ a *M. Handelsman* i *Z. Nagórski* w źródłowej monografii „O wsi Bochotnicy kościelnej pod względem ludnościowym.“

Wyczerpujące studyum statystyczno-społeczne *Dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej* o „Własności rolnej w krajach Austryi“ rozpatruje stan kwestyi w Czechach i na Morawach. — O „Ruchu współdzielczym w Anglii“ referuje *J. Lutosławski.* — O „Stanowisku Galicyi pod względem produkcyi żyta i pszenicy w stosunku do ilości mieszkańców“ — *J. Arnold.* — Studyum o „Banku Rzeszy Niemieckiej“ zamieszcza *Dr. St. Pernaczyński* z Poznania. — Wreszcie doniosłą kwestyę ze względu na zapowiadane reformy, mianowicie sprawę „Ubezpieczenia robotników w Europie Zachodniej“ porównawczo zestawia *Bohdan Wasiutyński.*

Dział „Kroniki ekonomicznej“ został opracowany przez *S. Dziewulskiego, W. Zwolińskiego, K. Kasperskiego* i *St. A. Kempnera* i porusza tematy najbardziej aktualne.

W końcu zeszytu znajdujemy obszerny dział „rozbiorów i sprawozdań“ i „Przegląd czasopism“ poświęconych przeważnie ekonomii i sprawom społecznym.

— Poradnik językowy w zeszycie styczniowym br. podaje na czele zajmujący artykuł *Piotra Jaworza* p. t.: „O znianie znaczenia rzeczowników.“ Jest to bardzo jasne streszczenie książki profesora Uniw. Jag. D-ra Jana Rozwadowskiego p. t.: „Wortbildung u. Wortbedeutung,“ którą ogłosił, polemizując ze słynnem dziełem Wundta „Völkerpsychologie.“ Prof. Rozwadowski stawia własną teoryę, która ma wybitne znaczenie dla psychologii języka. W artykule „Teorya a praktyka językowa w naszych pismach codziennych,“ redakcya zwraca uwagę na niedbałość niektórych pism o poprawny język. W rubrykach „Zapytania i odpowiedzi“ zestawia redakcya obfity materyał, już to prostując błędne sposoby mówienia, już też wyjaśniając znaczenie właściwe pewnych wyrazów i zwrotów. Naprzykład wyraz „wylądować;“ piszą teraz często dzienniki: „Japończycy wylądowali silny oddział.“ Jest to błąd, źle po polsku, bo wylądować nie jest słowem przechodniem; mówić możemy: „wylądowaliśmy szczęśliwie,“ ale nigdy wylądować kogoś lub coś. Na to jest wyraz inny: „wysadzić wojsko na ląd.“

— Przegląd Polski pomieszcza w zeszycie za styczeń b. r. następujące artykuły: Z epigramatów greckich. Przekłady wierszem *W. Klingera;* — Marcin Bielski i Erazm z Rotterdamu przez *D-ra Tad. Sinkę;* — Z dziejów Stolicy św. za Piusa VII przez *X. Fran. Starowiejskiego;* — Z ostatnich dni Polski i Kurlandyi, pamiętniki barona Karola Heykinga (1752—1796) przez *Teresę z Potoc-*

kich Wodzicką (ciąg dal.); — Sprawy krajowe: Po sejmie, II. Stosunki szkolne przez *D-ra Wład. Leop. Jaworskiego;* — Kronika literacka; — Teatr krakowski przez *D-ra F. Konecznego;* — Muzyka przez *Witolda Noskowskiego;* — Przegląd polityczny przez ***.

Artykuł D-ra Tad. Sinki odsłania stosunek Bielskiego do Erazma z Rotterdamu. Autor udowadnia, że źródłem „Sejmu niewieściego" Bielskiego jest utwór słynnego humanisty „Senatulus sive Gynajkosynedrion" w książce „Familiaria Colloquia," stwierdza przytem, że Bielski nie miał na myśli wcale jakiegoś ruchu feministycznego w Polsce XVI w., lecz poprawę rzeczypospolitej, a mianowicie egzekucyę praw.

— Przegląd powszechny zeszyt za styczeń 1905 r., pomieszcza następujące artykuły: „Jasełka" akt II, *Lucyana Rydla;* — Z naszych spraw społecznych, *D-ra Leopolda Caro;* — Towarzystwa etyczne, *X. K. Krokoszyńskiego T. J;* — Nowiny z historyografii polskiej (c. d.), *D-ra Fel. Konecznego;* — Pod dzisiejszą apologetykę: papiestwo, jako władza państwowa (dok.) *X. K. Czaykowskiego T. J.;* — Cud Madonny, nowela *Zofii Mrozowickiej.* Kończą zeszyt zasobne w treść rubryki stałe: Przegląd piśmiennictwa i Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— W bieżącym miesiącu ukaże się w Krakowie pierwszy zeszyt nowego czasopisma poświęconego specyalnie sprawom słowiańskim, a wychodzącego pod redakcyą *d-ra Feliksa Konecznego.* Miesięcznik ten będzie nosił tytuł „Świat Słowiański" i według programu ma zawierać:

1) Artykuły i studya treści ogólnej, tyczące się dziejów, literatury i kultury oraz współczesnych prądów życia duchowego we wszystkich krajach słowiańskich.

2) Przegląd prasy słowiańskiej ze szczególnem uwzględnieniem prasy rosyjskiej.

3) Korespondencye z ziem słowiańskich ze szczególnem uwzględnieniem walki słowian z germanizmem, zwłaszcza na pograniczu polsko-niemieckiem.

4) Recenzye dzieł tyczących się Słowiańszczyzny.

5) Bibliograficzne notatki.

6) Kronikę.

Pismo to stawiające sobie za zadanie roztrząsanie spraw słowiańskich, ma dążyć do skupienia obok siebie wszystkich badaczy i znawców rzeczy słowiańskich, a szczególnie tych, którzy się zajmują sprawą rusińską w Galicyi i na Ukrainie, oraz kwestyą litewską.

Redakcya między innemi kreśli następujące uwagi:

„Kwestya Słowiańska nabiera coraz większej doniosłości. Wysunęła się na pierwszy plan szczególnie w ostatnich wraz z rozrostem militarnej potęgi Prus, pod której opiekuńczem skrzydłem germanizm, dążąc otwarcie do wytępienia polskości w obrębie państwa pruskiego, zwraca zarazem swe zaborcze aspiracye w stronę Czech, marzy o Tryeście, Adryatyku i Bałkanie. Z drugiej strony Rosya wkraczała w ciągu XIX stulecia coraz dalej i głębiej w sprawy Słowian, a rosyjscy przedstawiciele idei słowiańskiej, usiłując pozyskać pobratymców naszych dla celów polityki swojej, stale przedstawiali

i przedstawiają nas, jako odstępców od sprawy słowiańskiej. Wobec tego zabranie głosu w Słowiańszczyźnie staje się dla nas potrzebą naglącą. W tym celu i pamiętając, że sama *idea łączności słowiańskiej jest w znacznej mierze naszym polskim wytworem*, i nie jeden raz wycisnęła piętno na dziejach naszych, zakładamy nasz miesięcznik, który będzie przeglądem rzeczy i spraw Słowiańskich ze stanowiska polskiego."

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PEDAGOGIA.

Bandrowski Bronisław: O metodach badania indukcyjnego, szkic historyczno-krytyczny. Sprawozdanie dyrekcyi c.-k. gimnazyum im. Franciszka Józefa we Lwowie za rok szk. 1904. 8-o, str. 104 i 2 nl. Lwów, 1904. Nakł. fund. nauk.

Gajkowski Jan Ks.: Listy świętego Hieronima do Heliodora i Nepocyana o życiu pustelniczem, kapłańskiem i zakonnem. Z łaciny na język polski przełożyli alumni kursów teologicznych seminaryum sandomierskiego. Przejrzał, poprawił i wydał... 8-o, str. 41. Warszawa, 1904.

Lombroso Paulina: Życie dzieci. Studyum psychologiczno-wychowawcze. Z upoważnienia autorki przełożył z włoskiego *Kazimierz Król*. Warszawa, 1904. 8-o, str. VIII + 185 + II.

Nitobé Inaro Prof. Dr. (Tokio): Bushido—dusza Japonii („Wiedza i Życie," wydawnictwo związku naukowo-literackiego we Lwowie. Ser. III, tom III). Lwów, 1904. 8-o, str. 117.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Najogólniejsze ideały życiowe. Wyd. drugie, przejrzane. 8-o, str. 296. Warszawa, 1905. Nakł. J. Fiszera.

Tardieu Emil: Znudzenie. Studyum psychologiczne przez... w przekładzie z francuskiego i z przedmową Maryana Massoniusa. 8-o, str. 234. Warszawa, 1904. „Bibl. dzieł wyb." № 358.

Witwicki Władysław Dr.: Analiza psychologiczna objawów woli. Z 4-a figurami w tekście i 1-ą tablicą. (Archiwum Naukowe. Wydawnictwo Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. Dział I, tom III, zeszyt 2-gi). Lwów, 1904. 8-o, str. 127.

Zdziechowski M.: „Pestis perniciosissima." Rzecz o współczesnych kierunkach myśli katolickiej. Warszawa, 1905. 8-o, str. 95.

HISTORYA LITERATURY.

Brückner Aleksander: Apokryfy średniowieczne. Część II. Odb. z t. XL Rozpr. wydz. filol. Akad. Umiejęt. 8-o, str. 85. Kraków, 1904. Nakł. Akad. Spółka wyd. pols.

Tenże: Różnowiercy polscy. Szkice obyczajowe i literackie. Serya I. 8-o, str. 280. Warszawa, 1905. Nakład księgarni Naukowej.

Feldman Wilhelm: Współczesna literatura polska 1890—1904. Tom I z 35-a ilustracyami w tekście i 2-a rycinami kolorowemi. Tom II z 18-a ilustracyami w tekście i 2-a rycinami. Wydanie trzecie. 8-o, t. I str. 292, t. II str. 251. Warszawa, 1905. Nakład J. Fiszera.

Nałkowski Wacław: Sienkiewicziana. Szkice do obrazu. Kraków, 1904. 8-o, str. 87.

Paczosa Franciszek: Ks. Franciszek Bohomolec. S. J. życie i dzieła. Sprawozdanie dyrekcyi c.-k. gimnazyum w Jaśle za rok szkolny 1904. 8-o, str. 64. Jasło, 1904. Nakł. fund. nauk.

Towarzystwo wyższych kursów wakacyjnych. Sprawozdanie zarządu z czynności od 1 października 1903 do 30 sierpnia 1904. 8-o, str. 19. Kraków, 1904. Nakł. Tow.

Wasilewski Zygmunt: Śladami Mickiewicza. Szkice i przyczynki do dziejów romantyzmu. Lwów, 1905. 8-o, str. 300.

H I S T O R Y A.

20 listopada 1904 r. Na pamiątkę uroczystości poświęcenia kaplicy króla Jana Sobieskiego i odsłonięcia tablicy na Kahlenbergu pod Wiedniem. 8-o, str. 40. Wiedeń, 1904. Nakład Komitetu.

Gąsiorowski Wacław: Pamiętniki wojskowe *Józefa Grabowskiego*, oficera sztabu cesarza Napoleona I, 1812—1813—1814. Za zezwoleniem biblioteki im. Ossolińskich we Lwowie opracował Wacław Gąsiorowski. Warszawa, 1905. 8-o, str. XIV + 344.

Gembarzewski Bronisław: Wojsko polskie. Księstwo Warszawskie 1807—1814, z przedmową Szymona Askenazego. 4-o, form. duży, str. XII, 362 i LIII, z licznemi rycinami. Warszawa—Kraków, 1905. Gebethner i Wolff.

Łagowski Stanisław Dr.: Radzymin, miasto powiatowe gub. Warszawskiej. Od czasu jego założenia aż do naszych dni, z 11-a rysunkami. Warszawa, 1905. 16-o, str. 48.

Konic Henryk: Komisya rządząca 1807 r. Przez... (Odb. z „Wielkiej Encykl. Powsz. ilustr.“). 8-o, str. 115. Warszawa, 1904, Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Niemcewicz J. U.: Żywoty znacznych ludzi w wieku XVIII, wydał dr. A. M. Kurpiel. 8-o, str. 40. Kraków, 1904. Nakł. wyd. „Nowej Reformy."

Rakowski Kazimierz Dr.: Dzieje W. Księstwa Poznańskiego w zarysie (1815—1900). Z portretem autora i mapką Poznańskiego. Kraków, 1904. G. Gebethner i Spółka. 8-o, str. 286.

Rembowski Aleksander: Spadek piśmienniczy po generale Maurycym hr. Hauke. Z rękopismu wydał i przedmową poprzedził Aleks. R. Z 6-iu rycinami. Warszawa, 1905. 8-o, str. LXI + 419.

Szelągowski Adam: O ujście Wisły. Wielka wojna Pruska (Sprawa Północna w wiekach XVI i XVII. Cz. III). Kraków — Warszawa, 1905. 8-o, str. XVI + 463.

Udziela M. Dr.: Wodociągi przemyskie w XVI w. Przyczynek do dziejów miasta Przemyśla (ze źródeł archiwalnych przemyskich). 8-o, form. wydł., str. 19. Przemyśl, 1904. Nakł. autora.

PRAWO. — EKONOMIA.

Borzemski Antoni: Powiat Sanocki w cyfrach (Studyum statystyczne) Sanok 1904. 8-o, str. 116.

Butler Józef: Mój pochód krzyżowy. Zarysy autobiograficzne żywota i pracy. Z przedmową *S. Posnera* (Biblioteka abolicyonistyczna. Dodatek Ogniwa, kwartał IV, 1904). Warszawa, 1904. 8-o, str. 131.

Cohn Ad. J.: Stosunki ekonomiczne żydów w państwie rosyjskiem. Odbitka z „Izraelity." Warszawa, 1905. 5-o, str. 77.

Dąbkowski Przemysław Dr.: Rękojemstwo w prawie polskiem średniowiecznem. (Archiwum Naukowe. Wydawnictwo Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. Dział I. Tom III. Zesz. I). Lwów, 1904. 8-o, str. 254.

Pietkiewicz Zenon: Siły i środki ludu naszego. Zarys warunków ekonomicznych ludności włościańskiej w Królestwie Polskiem. 8-o, str. 202. Warszawa, 1905. Wyd. z zapomogą Kasy im. J. Mianowskiego. Księg. Naukowa.

Regulamin dla czynności rad gminnych w miastach i znaczniejszych miejscowościach, objętych ustawą gminną z 3 lipca 1896 dz. u. kr. Nr. 51. 8-o, str. 12. Wadowice, 1904. Nakł. gminy miasta Andrychowa.

Rundstein Szymon Dr.: Studya i szkice prawne. Lwów, 1904. Polskie Tow. Nakładowe. Str. 235.

S Z T U K A.

Lepszy Leonard: Muzeum dyecezyalne w Tarnowie. Odb. z Teki grona konserwatorów II. 8-ka duża, str. 24 z 22 ryc. Kraków, 1905.

Muther Ryszard Prof.: Historya malarstwa. V. Malarstwo w epoce rokoka tudzież wielkiej rewolucyi. Przełożył *Stanisław Wyrzykowski*. Warszawa. Nakładem T-stwa, 1905. 8-o, str. 168.

Muzeum narodowe w Krakowie: Przewodnik pobieżny po wystawie zabytków ceramicznych. 8-o format wydł., str. 19. Kraków, 1904.

Springer A.: Powszechna illustrowana historya sztuki przez... przekład polski *Kazimierza Broniewskiego*. Tom IV. Część II. Sztuka czasów nowych. W tekście 292 illustracyj. 8-o f. duży, str. 333 + VI. Warszawa, 1904. Dodatek do „Gaz. polskiej.“ Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp.

P O W I E Ś Ć.

(Asnyk Adam) El...y: Wybór poezyi. Wyd. 2-ie. 16-ka, str. 338. Warszawa-Kraków, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Brodowski Feliks: Liote. Nowelle: (Liote.—Dziecię Symchy.—Ponad wszystkiem.—Tomasz Sitok.—Po co dzień ich budzi). Warszawa, 1905. 8-o, s. 257.

Brodziński Kazimierz: Wiesław. Sielanka. Wyd. czwarte. 8-o, str. 32. Warszawa, 1905. Nakł. księg. St. Bukowieckiego.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska): Polska w pieśni. Sobieski pod Wiedniem. Cz. IV. Warszawa, 1904. (Biblioteka dzieł wyborowych Nr. 361). 8-o, str. 159.

German Juliusz: Lilith. Trzy akty. Lwów, 1905. Polskie Towarzystwo Nakładowe. 8-o, str. 131 + 4.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Pisma. Wydanie Jubileuszowe. 8-o, t. I str. 351, tom II str. 312, t. III str. 345, t. IV str. 283. Warszawa, 1904. Wydanie drugie. Skł. w księg. Gebethnera i Wolffa.

Jankowski Czesław: Wspomnienia. 8-o, str. 55. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. Gebethnera i Wolffa.

Jasiński Stanisław: Poezye. Wyd. nowe, powiększone. T. I. 8-o, str. 147. Lwów, 1905. W. Zukerkandel. Z portretem autora.

Jednodniówka ku czci Juliusza Słowackiego. (Dochód przeznaczony na sprowadzenie zwłok jego do ojczyzny). Kraków, 1905. 8-o, str. 151 + 2.

Kasprowicz Jan: Uczta Herodyady. Poemat dramatyczny w trzech aktach. Z cyklu „Na wzgórzu śmierci.“ Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, Wende 1905. 8-o, str. 194.

Lagerlöf Selma: Legendy Chrystusowe, przekład Wandy Młodnickiej. 8-o, str. 2. Lwów, 1905. Księg. Polska, E. Wende i Sp. w Warszawie.

Lenartowicz Teofil: Żywot starego żołnierza. Pogadanka zimowa podchwycona i powtórzona wierszem. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Antoni Eus. Balicki. 8-o f. mały, str. 59. Kraków, 1905. Nakład A. Piwarskiego i Sp.

Maciejowski Józef: Grzech. Dramat w IV aktach. Kraków, 1904. Nakładem księgarni Fabiana Himmelblaua. Warszawa, Jan Fiszer. 16-ka, str. 96.

Marcinowska Jadwiga: Przebłyski. Kraków, 1905. 8-o, st. 114 + 1.

Or-Ot: Z teki Jana Olszewskiego miłośnikom pamiątek, z wierszem wstępnym i zakończeniem, przez... Folio podł. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff.

Przecławska Janina: Dusza. Fantazya dramatyczna w czterech obrazach. Warszawa, 1905. 8-o, str. 112 + 1.

Renan Ernest: Dzieła. (Wybór). Dramaty. Przekład G. Centnerszwerowej. 8-o, str. 96. Warszawa, 1905. Wyd. „Przegl. Tygodn.“

Sienkiewicz Henryk: Na marne. (Pisma tom LXXIV). Warszawa, 1905. 8-o, str. 202.

Szimaczek M. A.: Obrazki z życia. Z czeskiego przetłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka. 8-o, str. 126. Warszawa, 1904. „Bibl. dz. wyb.“ Nr. 359.

Tetmajer-Przerwa Kazimierz: Poezye I. Wyd. 3. 8-o, f. mały, str. 170 i 3 nl. Warszawa—Kraków, 1904. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Weyssenhoff Józef: Syn Marnotrawny. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1905. 8-o, str. 447.

Żmudzki Wacław: Księga bytu. Lwów, ks. narodowa 1905. 8-o, str. 69.

Żuławski Jerzy: Eros i Psyche. Lwów, Altenberg 1904, z rycinami. 8-o, str. 268.

NAUKI ŚCISŁE.

Landerer A. Dr.: Dyagnostyka chirurgiczna dla praktyków i studentów. Spolszczył dr. Kazimierz Niedzielski. Część II. Dyagnostyka szczegółowa. Z 66 rysunkami w tekscie. 8-o, str. 223 + III. Warszawa, 1904. Nakł. „Bibl. Lek.“ „Bibl. lekarska“ rok II. Tom VII.

Rocznik c.-k. centralnego biura hydrograficznego. IX rocznik. 1901, XII. Dorzecze Wisły. 4-o, str. 191 z mapą poglądową 1:750,000. Wiedeń, 1903. W. Braumüller.

— XIII. Dorzecze Dniestru i Dniepru. 4-o, str. 101 z mapą poglądową 1:750,000. Wiedeń, 1903.

— XIV. Dorzecze Seretu i Prutu. 4-o, str. 61 z mapą pogl. 1:750,000. Wiedeń, 1903.

Rostafiński Józef: Prowincyonalne polskie nazwy roślin XVIII w. z Prus Książęcych, głównie z rękopisu Andrzeja Helwinga.

Simroth H.: Biologia zwierząt tłómaczył *Jan Sosnowski*. Warszawa, 1905. 8-o, str. 293.

Sonnenberg E. Dr.: O błędach lekarskich ze stanowiska nauki i w obliczu prawa. (Odb. z „Czasopisma Lek." Nr. 1—5). 8-o, str. 94. Łódź, 1904. Skł. gł. w ks. Rychl. i Wegnera. Skł. gł. w ks. J. Fiszera w Warszawie.

Tański Julian: Kilka słów w sprawie sanitarnej z powodu działań wojennych. 8-o, str. 36. Warszawa, 1905. Skł. gł. w księg. J. Fiszera.

Vries Hugo de: Nowa teorya powstania gatunków. Mutacye i okresy mutacyjne. Przełożył i wstępem opatrzył B. Hryniewiecki. Z 8 rysunkami w tekscie. 8-o, str. 55. Warszawa, 1905. Nakł. księg. Naukowej.

Weyberg Z.: Wiadomości początkowe z krystalografii według dzieł *G. Wulffa i T. Lebischa.* Warszawa, 1905. 8-o, str. 251 (z liczn. rycinami).

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Walka z „nadczłowiekiem."

(Z kresów zachodniej Polski).

Po Sedanie Francya niespodziewany pogrom swej chwały wojennej tłómaczyła frazesem — zwyciężył nauczyciel pruski.

Frazesem tym obrażona duma społeczeństwa, pamiętającego bitwę pod Jeną, przesuwała zagadnienie na teren współzawodnictwa kulturalnego. W rzeczywistości zwycięstwo było tylko wynikiem lepszej organizacyi wojskowej i większych zdolności strategicznych u wodzów jednego z obu wysoce kulturalnych narodów.

Inaczej mają się rzeczy na wschodniem skrzydle germańskiej potęgi. Tu oddawna nie wojenne zapasy, ale właśnie walka dwóch kultur, współzawodnictwo duchów dwóch ras stanowi o obustronnych sukcesach i porażkach.

I trudnem, zaprawdę, zadaniem jest charakterystyka tej walki, której istota składa się, obok grzmiących uderzeń żelaznej pięści, z odcieni subtelnych, z objawów sięgających głęboko, aż do rdzenia duszy ludów. Ale zadaniem wdzięcznem. Jedynie bowiem z istoty rozprawy na kresach wschodnich Niemiec, a zachodnich Polski i Słowiańszczyzny, można wnosić o dalszym walki przebiegu i przyszłych wynikach.

Po obu stronach, tak polskiej, jak niemieckiej, widzimy w czasach ostatnich poważne usiłowania w kierunku wytworzenia sobie syntezy całego zjawiska walki rasowej u nas.

Po stronie niemieckiej punktem zwrotnym w tej mierze stała się sprawa wrzesińska. Krzyk dzieci pobitych nietylko dotarł do serc uczciwych, nietylko obudził sympatyę w szerokim świecie dla ofiar pruskiego systemu szkolnego, nietylko poruszył niejedno drzemiące sumienie i wzbudził tu i owdzie platoniczną obronę.

Jego odgłosy podziałały także w sposób odmienny, zniewoliły do zastanowienia się umysły tych, którzy uznają tylko rozum stanu, a których sumienie, zaprawione filozofią Nietzsche'go, chce prawdę poznać, by i z niej uczynić narzędzie przemocy.

Ten, w którego imieniu bito we Wrześni, nadczłowiek germański, usłyszawszy na polu bitwy głos nowy, nieznany mu dotąd, głos idący już nie z ruin warowni szlacheckich, ale z pól i łanów, z tej samej ziemi, o którą bój się toczy, zastanowił się i spojrzał wkoło siebie.

I zobaczył rzeczy dziwne. Nadstawił ucha i usłyszał jeszcze dziwniejsze. Oto z chat włościańskich, z warsztatów rzemieślniczych wychodzą nowe postacie i stają do szeregu. Nie od dziś stanęły, bo ich już dużo, bardzo dużo, jak okiem sięgnąć. Tylko on ich dotąd nie widział, lub spojrzawszy na nie przelotem, nie ocenił ich zastępu. Zajęty był zanadto waleniem starych szeregów.

A tymczasem nowe wstają nieustannie, a nie tylko nowe, lecz także inne. Hasło mają dawne, te same, ale na nutę odmienną. Zamiast konfederatki na głowie, w ręku lemiesz lub wagę kupiecką, a zamiast szabli przy boku — ołówek w zanadrzu i notatnik z rubrykami *debet* i *credit*.

I nadczłowiek, że rozumem się rządzi, zafrasował się wielce. Bo im dłużej patrzał, tem smutniejszem zdało mu się pole walki, tem więcej spostrzegał błędów w dotychczasowej taktyce zdobywczej swoich, bardziej krzepkich, niż roztropnych ziomków. Ujrzał hakatę, na którą dotąd spoglądał, jako na taran i przedmurze niemieckości, nagle w świetle innem, jako bezrozumną a wściekłą tłuszczę, pędzącą na oślep, dmącą dniem i nocą w tysiące trąb, które musiałyby zbudzić choćby umarłego wroga, podpalającą, by się ogrzać trochę przy ogniu, całe bogate żniwo, które, po części, już, już czekało na germańskiego żniwiarza.

Lecz hakata nie sama. Leci za nią junkier, który rozumie tylko obcesem rzucać się na przeciwnika, leci student zawadyaka, nawet mieszczucha filistra ogarnął jakiś szał. Podskakuje niezgrabnie i woła: *All Heil*.

A rząd królewski? Ba, minęły dawno czasy starego Fryca, gdy opinia publiczna odzwierciadlała się w lustrach królewskiego gabinetu w Sans-souci. Dziś opinia jest królową, z nią trzeba żyć w zgodzie. Ją trzeba zająć koniecznie czemś, co ona lubi, inaczej bowiem zaczęłaby nudzić się i sięgnęłaby po zabawki bardzo niebezpieczne, po rzeczy najbliższe, najbardziej osobiste tych, którzy władzę dzierżą najwyższą.

Więc na boisko wielkiego amfiteatru puszcza się ofiarę, wielkopolskiego konika, na którym jeździ, kto chce z publiczności, a nawet czasem wysokie towarzystwo z pierwszych lóż. Opinia cieszy się, ludek klaszcze w dłonie, w lożach radość, że naród ma *panem et circenses*, a tymczasem po za amfiteatrem dzieją się już nie zabawki, rozszalała sfora leci na wschód, nad granicę i fundament potęgi pruskiej i tam hula, nie bacząc na skutki. Nadczłowiek dba zaś tylko o skutki, więc patrząc na to, co się dzieje, widzi, że dzieje się źle i, zagniewany, czyni z sobą rachunek sumienia, by poznać swe błędy i naprawić je, ile można, ile *jeszcze* można.

Bo stracono już, zmarnowano bardzo wiele. Zbudzono czujność i odporność przeciwnika, a prócz tego zatracono świetną tradycyę wiekowego systemu germanizacyjnego na wschodzie. Tradycya ta dziś zagubiona, zda się, niepowrotnie, wypływała z ducha narodu germańskiego, wynikała z naturalnego instynktu kolonizacyjnego u Niemców, który praktyczną drogą wzbogacił olbrzymiemi nabytkami swą ojczyznę.

Powoli, nieznacznie, infiltracyą kulturalno-ekonomiczną zniemczał był Szląsk w swej większości zupełnie, w jednej trzeciej przynajmniej w wyższych warstwach. Zniemczały bardzo znacznie Prusy królewskie, w których, pomimo że dopiero w ośmnastym wieku Niemcy niemi politycznie zawładnęły, niebawem germanizacya takie poczyniła postępy, że przed laty kilkudziesięciu w niewielu tylko polskich dworach wyłącznie polskim posługiwano się językiem. W Księstwie samem kolonizacya niemiecka od XIII wieku postępowała nieprzerwanie. Panowie polscy przez pięćset lat chętnie sprowadzali osadników niemieckich. Rzeczpospolita na oścież roztworzyła swe bramy dyssydentom, napływającym po wojnach religijnych w Niemczech. Miastom zakładanym dla nich i przez nich nadawano prawa większe, niż osadom polskim.

Nawet rozbiory nie powstrzymały tego prądu autogermanizacyjnego wśród Polaków. Pomnikiem jego jest reskrypt króla pruskiego do ordynata Andrzeja Zamoyskiego, który dobrowolnie uposażył 80 rodzin kolonistów niemieckich. Drukowane to i w swoim czasie szeroko rozpowszechnione pismo chwali polskiego pana za patryotyczne niemieckie usposobienie. A nie był ten magnat jedynym. Kolonizacya szła aż w głąb Małopolski, powstawały osady i miasta niemieckie. Rosły aż do ostatnich niemal czasów punkty oparcia dla niemczyzny w Królestwie. Wielkopolska zaś nietylko, że bez żadnego oporu przyjmowała kolonizowanie z ra-

mienia rządu, które, mianowicie, powiaty nadnoteckie w wysokim stopniu zniemczyło, ale nawet, pomimo rozpoczynającej się już hecy rasowej, pomimo drażniących i ostrzegających występów administracyi pruskiej przed wojną francusko-niemiecką i przed rozrostem obecnego szowinizmu wielkoniemieckiego, nieznacznie lecz stale przejmowała się zwyczajami i kulturą specyficznie niemiecką. Dzisiejsza generacya pamięta z lat młodzieńczych, że nie wielu poczuwało się do obowiązku popierania nielicznych zresztą wówczas handlów i składów polskich. Starsi pamiętają, że nawet sprzedaż ziemi w ręce obce nie hańbiła nikogo. Mówiono wiele i rozprawiano o patryotyzmie, chowano jak relikwie szablice z powstań, ale w gruncie rzeczy otwierano napływowi niemieckiemu drzwi i okna. Jeszcze wcale nie dawno temu zupełnie zwykłem zjawiskiem był domowy lekarz Niemiec w polskim domu. Uczono się języka niemieckiego więcej, niż tego szkoły żądały. Goethe, Szyller i Heine byli równie popularni wśród inteligencyi wielkopolskiej, jak wśród niemieckiej. Z dziś żyjących i czynnych osobistości politycznych wiadomem jest o dwóch bardzo znanych, że za młodu w domu rodzicielskim mówiły przeważnie po niemiecku.

A teraz! Na Szląsku budzi się milion ludu polskiego, a w Księstwie i Prusach królewskich coraz bardziej uświadomiony chłop, zszeregowane wyższe i niższe mieszczaństwo, w miasteczkach powstaje jeden handel polski po drugim, szlachta resztki swego dobytku uważa za własność narodową i broni ich jak nigdy poprzednio. Marnotrawca i niezdarny rolnik wytykany jest palcem przez swoich. Cała ta falanga wyrabia się moralnie. Hartują się jednostki, społeczeństwo całe przechodzi twardą lecz skuteczną szkołę, która czyni z niego zbiorowisko indywidualności coraz tęższych, coraz lepiej zaprawnych do odporności. Niemiec ogląda się coraz więcej na pomoc państwową. Miliony kolonizacyi i przeróżne kształty, które przybiera ingerencya państwowa, osłabiają jego energię, przyzwyczajają go do polegania na złotodajnym opiekunie, który nigdy nie zawodzi, coraz hojniejszy, coraz rozrzutniejszy na jego korzyść. Wybrednym stał się niegdyś dzielny i przedsiębiorczy pionier niemieckości na Wschodzie. Potrzeba mu wygody i wczasu. Rolnik niemiecki większe ma potrzeby osobiste i domowe, niż polski. Właściciel większy spekuluje coraz częściej na to, że ziemię swoją sprzeda po wysokiej cenie rządowi. Kolonizacya bezustannie wykupuje całemi tuzinami dobra niemieckie i jeżeli tak dłużej potrwa, za lat dwadzieścia będą Niemcy prawie zupełnie pozbawieni niezależnego stanu

większych właścicieli na spornym wschodzie. Ekonom rządowy zastępuje samoistnego posiadacza zżytego z krajem, jak drzewo z ziemią z której czerpie swe soki. Parcelacya zaś, na którą izba uchwaliła już czterysta milionów, sprowadziła dotąd zaledwie pięćdziesiąt tysięcy Niemców do obu dużych dzielnic. Ci znów osadnicy, to nie koloniści dawni, wolni od przeciwieństwa do ludności miejscowej. To nie kwiat, nie najruchliwsze, najdzielniejsze, najbardziej przedsiębiorcze żywioły w rolnictwie i, kupiectwie germańskiem, ale te, które u siebie sprostać nie mogły trudnym wymogom położenia społeczno-ekonomicznego i zwabione przynętą dobrodziejstw urzędowych, idą na wschód, bo wierzą, że tam łatwiejsze będą miały życie.

A tymczasem życie to nie tylko nie łatwiejsze, ale nieraz dla kolonisty bardzo ciężkie. Trzeba znać osobiście cały szereg nowych osad niemieckich, szczególniej nad samą granicą Królestwa położonych, by zrozumieć i odczuć rzeczywiste niedomagania tego szablonowego systemu osadniczego. Pieniędzy oczywiście nie brak. Płyną one nieustającem korytem z kas rządowych. Powstają domy i gospodarstwa, zbudowane porządnie. Osadnik najczęściej dostaje wszystko gotowe, rolę, dom, nawet bydło. Dostaje opiekuna pod postacią urzędnika rządowego, który słucha wszystkich skarg, spełnia ile może, wszelkie żądania. Ale nie dostaje, bo tego nikt mu dać nie może, dzielności osobistej, tak wybitnej, takiego hartu i panowania nad sobą, by w zmienionych nagle a zupełnie warunkach życia, w nowej atmosferze podarunków i pieczonych gołąbków umiał jednak zachować własną osobistą produktywność, by, usunięty pozornie z terenu walki o życie, zachował jednak zdolności do tej walki potrzebne.

I dzieje się z kolonistą to, co się dzieje z każdym Niemcem na wschodzie, słabnie jego energia, rosną potrzeby i wymagania, maleje odporność wobec jakiejkolwiek przeciwności. Biura komisyi kolonizacyjnej przepełnione są skargami i coraz nowemi żądaniami. Jeden osadnik po drugim występuje z oświadczeniem, że ponosić nie może nawet drobnych ciężarów finansowych, które na niego przypadają, a częstokroć zaledwie rozdana parcela znów powraca do rąk rządowych. Pomimo szalonych zaiste wydatków rządu na te cele, pomimo amerykańskiej iście reklamy, która nawet ściany dworców kolejowych i wagony pociągów osobowych zdobi nęcącemi ogłoszeniami, nowoczesna kolonizacya coraz mniej znajduje amatorów w rdzennie niemieckich krajach, gdzie listy już osiedlonych i skargi powracających ustaliły jej poprostu złą reputacyę. Doszło do tego, że chcąc zaradzić brakowi osadników postanowio-

no przywabić kolonistów z dalszego wschodu, z gubernii imperium rosyjskiego i z Galicyi. Atoli i tu i tam po pierwszych próbach zapał wcześnie ustał, a galicyjscy Niemcy z wiosek podlwowskich niedawno temu na zebraniu ad hoc odbytem uchwalili ogłoszenie odezwy do swych osiedlonych w pobliżu współrodaków, przestrzegając ich przed złudzeniem, jakoby przeniesienie się pod skrzydła opiekuńcze poznańskiej komisyi kolonizacyjnej było dla nich połączone z jakimkolwiek pożytkiem. Tyle tylko osiągnęła akcya rządu pruskiego w tym kierunku, że pierwsi koloniści galicyjscy zwabieni do księstwa, sprzedali swoje grunta galicyjskie tamtejszym chłopom polskim lub rusińskim. W ten sposób w zwarte od stu lat osady niemieckie wniknął obecnie żywioł miejscowy słowiański torując drogę zupełnemu spolszczeniu lub zrusińszczeniu owych wiosek.

Tak zatem cały proces kolonizacyjny opiera się na niezdrowych podstawach. Sztucznie forsowana sprawa z coraz nowemi liczyć się musi przeciwnościami, coraz więcej inicyatorowie jej dbać muszą o uratowanie pozorów i o poświęcanie dla nich istotnej treści swych pierwotnych dążeń. Materyał ludzki w osadnictwie coraz nieodpowiedniejszy, nakłady rządu coraz większe. Ztąd też pochodzą owe powtarzające się utyskiwania na fantastyczność bilansów kolonizacyi, która korzystając z tego, że bilans przedsiębiorstwa rolniczego z natury rzeczy trudno jest ułożyć w sposób dający absolutną gwarancyę co do rzeczywistości zysku i straty, składa reprezentacyi ustawodawczej coroczne sprawozdania tak silnie koloryzowane, że coraz częściej nawet sprzyjające rządowi czynniki przejęte są wobec nich niepokojem.

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa w osadach z dawna niemieckich. Tam rządowy róg obfitości nie działa już tak niepośrednio. Wpływ jego jednak uwydatnia się pośrednio jeszcze niekorzystniej. Chłop niemiecki wychowywany obecnie w zasadach, że stanowi rasę wyższą, stworzoną do używania, czytający bezustannie w pisemkach hakatystycznych skargi, że rząd jeszcze za mało ponosi ofiar dla wzmocnienia dobrobytu niemców na wschodzie, słabnie w swej przedsiębiorczości, oczekuje wiecznie jakichś nadzwyczajnych zasiłków i subwencyi i ma ciągle uczucie, że mu się dzieje krzywda. Nieraz pozbywa się swego gruntu na rzecz Polaka, a syn jego, gdy idzie na robotę, na zachód, coraz częściej żeni się tam i osiedla, podczas gdy Polscy robotnicy, gdy tylko mogą, wracają do kraju i trzymają się roli. W książkach niemieckich, na ten temat pisanych, nieustannie widzimy utyskiwania na to, że kawałek roli, który wyżywi zaledwie jedną rodzinę niemie-

cką, wystarcza, podzielony, kilku rodzinom polskim. Statystyki niemieckie z dwudziestopięciolecia 1870 do 1895 stwierdzają, że wśród ludności zajętej na obszarach dworskich Niemców ubyło 10% Polaków przybyło 14,5%. W gminach wszystkich Niemców ubyło 3%, polacy wzrośli o 14%. W miastach zaś, gdzie wpływ stosunków ogólnych społeczno-narodowych jeszcze silniej się uwydatnia, wzrosła ilość polaków o 30%, podczas gdy ludność niemiecka powiększyła się tylko o 1%. Zważyć zaś trzeba, że statystyki te są tendencyjne, że gdzie tylko istnieje choćby cień jakiegoś uprawnienia lub pozoru, zapisuje się ludzi jako Niemców, choćby przeciwko temu sami protestowali. Tem większą zatem wagę mają te dane pod względem ubytku ludności niemieckiej w księstwie, do których się przyznają Niemcy sami.

Nienajmniej objawiają się ujemne dla Niemców skutki panującego systemu repressyi w dziedzinie administracyi. Niezdrowe i niemiłe stosunki w dzielnicach wschodnich od dawna już sprawiają, że kto tylko może, uchyla się od przyjęcia posady urzędniczej poza dzielnicami rdzennie niemieckiemi. Rząd prawdziwą pressję wywierać musi na urzędników, by ich zniewalać do przesiedlenia się na wschód. To też napływają tam przedewszystkiem te żywioły urzędnicze, które wśród swoich nie spodziewają się powodzenia i karyery. Wysłanie do prowincyi nadgranicznych wschodnich nazywa się, utartem w sferach urzędniczych wyrażeniem, Verbannung nach Polen, wygnaniem do Polski. Nawet w wojsku przeniesienie do garnizonów poznańskich jest dla oficera prawdziwą przykrością. Niezależni zaś od rozkazów z góry członkowie niemieckiej arystokracyi, posiadający u nas dobra ziemskie, wogóle i zasadniczo w nich nie mieszkają, oczywiście dla tego tylko, że warunki życia są dla nich mniej przyjemne, niż na zachodzie.

Typowym pozostanie przykład księcia Stolberg Wernigerode, właściciela dóbr Borzęciczki w powiecie Koźmińskim, który lat temu kilka przybywszy do swoich dóbr rozejrzał się wśród sąsiadów i przeważnie wśród Polaków znalazł domy, z któremi towarzysko mógł obcować. Że zaś obcowanie takie źle jest widziane przez sfery dworskie, więc książe co prędzej zwinął manatki i wyniósł się z powrotem do ojczystych stron niemieckich. Przyczyniła się do tego zapewne też okoliczność, że zaprosiwszy sąsiedztwo na uroczysty inauguracyjny obiad, z towarzyskich względów zaprosił kilku panów z arystokracyi polskiej, a ze względów narodowych kilku Niemców okolicznych, pomiędzy nimi pastora sąsiedniego. Ten ostatni, niesłychanie zaszczycony zaproszeniem tak wielkiego pana zapragnął wyrazić mu swą wdzięczność i uczynił to w taki

sposób, że wzniósł toast na cześć księcia, jako dowódcy Niemców okolicznych przeciw Polakom. Książe przeprosił gości polskich za niegrzeczność źle wychowanego Niemca, jego zaś zgromił wobec wszystkich. Potem jednak zrezygnował z przyjemności dalszego pobytu w uroczej atmosferze hakatystycznych kresów wschodnich.

Jednemu ze znajomych skarżył się oficer, że nie może w Poznaniu nawet zjeść obiadu, tam gdzie lepsza kuchnia, w Bazarze Poznańskim, bo Bazar ten jest polskim. Kto tam idzie, źle jest notowany u góry. W ten sposób od chłopa do oficera i medyatyzowanego księcia wszyscy Niemcy odczuwają nawet w drobnych szczegółach życia codziennego nieznośny stan rzeczy, wytworzony przez hecę hakatystyczną. Odczuwają go także Polacy, ale u nich wywiera on skutek odmienny. Ich podtrzymuje uczucie, że walczą o ziemię ojców, o kraj rodzinny, dla nich każda przeciwność, każde prześladowanie czyni tę ziemię, ten kraj jeszcze droższym, jeszcze bardziej ukochanym.

Więc bystrzej patrzący Niemcy, ludzie typu zachłannego, którego uosobnieniem jest nadczłowiek Fryderyka Nietzschego, z przerażeniem zaczynają zestawiać bilans akcyi zdobywczej Germanów na wschodzie. Pozorne tryumfy, skupienie uczuć i dążeń i niepokojów narodu na wygodnym dla polityki wewnętrznej terenie walki rasowej nadgranicznej, oto zyski chwilowe, przemijające, obliczone na potrzeby dnia. A straty! Poprostu niezmierzone. W ogniu trzy przedtem apatyczne prowincye, rozbudzony „fanatyzm“ polski, zniszczona, bodaj na zawsze, łączność z dawnym, mądrym po części świadomym, po części instynktowym procesem infiltracyjnym, który całe dzielnice Polski pchał poprostu w ramiona germańskiego żywiołu. Otwarta w tych nadgranicznych, a zarazem tak bliskich stolicy ziemiach wiecznie drzemiąca, a przecież wiecznie grożąca kwestya słowiańska, a nietylko otwarta, ale nawet wyraźnie ex cathedra przez dziedzica wielkich mistrzów krzyżackich z wyżyn baszty maryenburskiej całemu światu ogłoszona.

I im ogólniejszem rozpatrywanie, im głębszym namysł, im dalszym rzut oka w przyszłość, tem smutniejszym jej horoskop, tem liczniejszemi przeróżne zawikłania, które wyniknąć muszą z przyłączenia się do samej walki rasowej innych czynników. Oto już na Szlązku zaczyna się ona wikłać z kwestyą socyalną. Dziewięć dziesiątych mieszkańców, cały lud roboczy, to Polacy, jedna dziesiąta, właściciele, Niemcy. Polskiem wszystko, co pracuje, niemieckiem wszystko, co pracy tej zbiera owoce. Rozdział podwójny, rasowy i społeczny t. j. tak głęboki, że podobnego prawie nigdzie w zachodniej i środkowej Europie nie można spotkać. Co

z tego wyniknie, co musi wyniknąć, gdy się te dwa czynniki rozdwojenia społecznego w swej działalności złączą, na to odpowiedź jest dla każdego myślącego człowieka ponura, najbardziej zaś dla tego, który sobie uprzytamnia, że według jego pojęć, jemu tylko samowładne panowanie i używanie w tej krainie przystoi, gdy od lat mu już przysługiwało.

Patrząc jeszcze szerzej, jeszcze dalej, widzi otrzeźwiony German, że zarysy podniecanej tak przez swoich szowinistycznych ziomków walki rasowej sięgają daleko po za granice cesarstwa niemieckiego. Cofa się niemczyzna na Węgrzech, przestała postępować w granicach imperium rosyjskiego, w Cislitawii zaś, w Czechach, na Morawach, na Szlązku austryackim, w krajach graniczących z Rzeszą niemiecką, a blizkich jej polskim wschodnim kresom, upadek żywiołu germańskiego coraz jawniejszy, zamieniający się już niekiedy w zupełną nagankę na wszystko, co tchnie niemczyzną. Tam wszędzie zupełnie ta sama walka, co na wschodnich kresach Prus, tylko walka bez sztucznej osłony rządowej niemieckiej mise en scène. Walka jawna i prosta sił żywotnych współzawodniczących narodowości. I tam też wynik jasny, wyraźny, klęska na całej linii żywiołu germańskiego, tego samego żywiołu, który przecież w czasach poprzednich w te kraje tak głęboko wniknął, a po części je na wpół zgermanizował. Czyż to nie jest żywą ilustracyą przyszłości pruskich kresów wschodnich w razie ustania impulsu oficyalnego ze strony rządu wskutek zdarzeń polityki zewnętrznej lub zmian ustroju wewnętrznego. W jednem z pism nam najbardziej wrogich czytaliśmy z zajęciem okrzyk boleści wydany w chwili szczerości—Gdyby sto lat temu— biada ów organ — niemieckich urzędników odwołano z dzielnic polskich, byłoby się znalazło dużo Polaków, którzy byliby ręce wyciągali za odchodzącymi i tęsknili za naszą administracyą. Dziś, gdyby rząd dla tych lub owych powodów ujrzał się zmuszonym zaniechać swej polityki protekcyjnej wobec Niemców na wschodzie, nie potrwałoby długo, a ostatni Niemiec wyniósłby swoje manatki do ściślejszej ojczyzny, albo też posłałby swoje dzieci do szkoły polskiej, by z nich uczynić patryotów polskich. To nam przyniosła nasza mądra polityka na wschodzie. Z matematyczną dokładnością śledzić można równoległość postępów rozwoju ducha polskiego z postępem etap antypolskiej polityki w Niemczech. Z tego wynika, że zabieramy się źle do rzeczy dla nas niesłychanie ważnej, a w której interes narodowy niemiecki wymaga od nas, byśmy zwyciężyli nie tym to owym sposobem.

Ten głos rozumny, zimny, nielitościwy, bardziej ludzki w swej formie, choć rdzenniej jeszcze nam przeciwny i gruntowniej zachłanny, odzywa się coraz częściej ze szpalt liberalnych a nawet nieraz i konserwatywnych gazet, z trybuny parlamentu, który odmawia dodatków pensyjnych dla urzędników na kresach wschodnich, nawet z szeregów katolickich, które widzą, ile same na tem muszą stracić, że uczucie narodowe zwycięża nad faryzeizmem księdza nadniemca, używającego, a raczej nadużywającego, czynników religijnych, by głęboko religijny lud polski nadal trzymać przykutym do swego rydwanu germańskiego. Zaprzecza stanowczo widocznemu stanowi rzeczy tylko jedna hakata i pionki jej w sferach urzędniczych i rządowych. I wśród tych ostatnich jednak zwrot umysłowy myślących sfer niemieckich nie przemija bez śladu. Dobrze poinformowane źródła twierdzą, że kanclerz hr. Bülow dokładnie sobie zdaje sprawę z bezcelowości obecnej polityki antypolskiej na wschodzie. Obiega nawet na poważnych podstawach oparta wersya, że pierwszy minister lat temu cztery na mocy dokładnie przedsięwziętych ankiet miał zamiar rozpocząć drugą edycyę bismarkowskiej Canossy, tym razem wobec świeckich przeciwników i że cofnął się tylko z obawy przed przemożnemi wpływami t. z. drugiego, pobocznego rządu t. j. bractwa trzech liter, popieranego przez potężny odłam berlińskich sfer giełdowych. Cofnął się, jak mówiono, na zasadzie łacińskiego cytatu *video meliora probogue, deteriora sequor*. Prawdopodobniejszem jednak jest, że nie ten cytat, a w każdym razie nie dwa pierwsze w nim słowa, są wyrazem zapatrywań kanclerskich. Co innego bowiem jest widzieć fatalne skutki błędnej polityki, a znów co innego wybrnąć z drogi złej, na której się już od tak dawna ugrzęzło. I tu właśnie objawia się i objawi się jeszcze bardziej nemezis historyczna, która bodaj czy uprawni kiedy niemieckiego męża stanu do postawienia sobie jasnego i rozsądnego programu działalności na wschodzie i zawołania dumnie *video meliora*. Dziś raczej inne przysłowie bardziej jest zastosowanem do tych, którzy, choć myśl ich dalej sięga, kierują jednak nadal nawą państwową z utartem krótkowidztwem swych poprzedników i swego otoczenia. Przysłowie to brzmi *après nous le déluge!* Wszystko na dziś, na sukces chwili, a nic na jutro, dla potomków, którzy obejmą ciężki spadek po dzisiejszem zhakatyzowanem pokoleniu. To też światlejsze czynniki w rządzie świadomie, ciasne zaś w nim umysły na ślepo brną dalej w obranym fałszywie kierunku. Jak w beczkę Danaid tak płyną nadal miliony państwowe na cele nieproduktywne, a reklama dla tych celów, oficyalna i nieoficyalna nie przestaje pra-

cować, jak maszyna nakręcona, która mechanicznie swe koła obraca. Ministrowie w coraz niezgrabniejszy sposób bronią hakatyzmu. Coraz mniej w ich słowach rozumowania, coraz więcej frazesów, bądź to usiłujących zatuszować śmieszności i niepowodzenia wielkiego aparatu germanizacyjnego na wschodnim pasie granicznym, bądź też naśladujących butą swych wyrażeń wielkiego mistrza politycznej przemocy, tego, który w izbach niemieckich żelazną rękawicę rzucił Polakom, księcia Bismarka.

Ale kopia nie dorównuje pierwowzorowi, owszem chcąc bardzo być wierną, oddala się od niego. Trudno odmówić słuszności pismu południowo-niemieckiemu, które pod adresem junkrów wojowniczych, zasiadających na ministeryalnych krzesłach pruskich, takie pełne krwawej ironii zamieściło słowa: „Sądzicie, że naśladujecie Bismarka, a w rzeczywistości odgrywacie rolę aktora, który włożył pancerz Barbarossy i miecz jego chwycił w rękę, lecz Barbarossą nie jest, a po przedstawieniu bierze od dyrektora zaliczkę na pensyę. Bismark był olbrzymem, wy jesteście karłami. On był lwem, a wy w fonografie zachowaliście sobie odgłos jego ryku i od czasu do czasu otwieracie maszynkę, by widzów wychodzącym z niej głosem przestraszyć. Lecz sprobujcie tylko naprawdę go naśladować, zróbcie to, co ten człowiek potężny sam jeden mógł zrobić. Zmieńcie śmiałym rzutem sterującej ręki kierunek polityki, która nie przynosi owoców, miejcie, jak on, odwagę, ale miejcie i moc, którą on miał, przyznania się do błędu, pójścia do Canossy, tak jak on to uczynił, choć warczała cała sfora rozpuszczonych na hecę psów! Sprobujcie, jak ten potentat uczynił genialnym zwrotem z opozycyjnego i roznamiętnionego centrum wierną gwardyę rządową, tak teraz na wschodzie z idealnie konserwatywnej w swoim właściwym charakterze ludności polskich kresów uformować sobie szyki sprzymierzone. Sprobujcie, a zobaczycie całą waszą niemoc, całą czczość waszej działalności. Gdyby dziś żył Bismark, ten największy wróg Polaków i żywiołu słowiańskiego, byłby z pewnością swą potężną dłonią zatrzymał wóz germanizmu toczący się na pochyłej drodze. Ale wy, naśladowcy, jego rutyną, lecz nie myślą i potęgą czynu potrafilibyście co najwyżej wywrócić osobiście wielce pocieszngo koziołka, któryby wam umożebnił napisanie na waszych biletach wizytowych: excellenz a. D. excellencya dymisyonowana.“

Słowa powyższe niemieckiego organu trafnie malują stan obecny polityki szowinistycznej w Niemczech. Impuls dany przed laty przez wielkiego kanclerza trwa dalej niezmieniony. To co było dla tamtego środkiem, dla jego epigonów staje się celem.

Twórca jedności Niemiec spróbował zgodnego z swoją naturą niepohamowaną środka przemocy do prędszego utorowania drogi Niemcom na wschodzie. Ale on nigdy ze środka, ze sposobu, nie czynił swego bożyszcza, nigdy dla niego nie poświęcał celu. I gdyby na dni dzisiejsze przypadała epoka jego pełnej działalności, widzielibyśmy zapewne jedną z tych nagłych zmian dekoracyi, któremi tak często ten mistrz nad mistrzami świat zadziwił. Następcy zaś jego zapatrzyli się jak w gwiazdę przewodnią na odruch starości dymisyowanego kanclerza, który w popieraniu rządu pobocznego i stworzeniu opozycyjnej wówczas hakaty znajdował mściwą przyjemność. Zapatrzyli się w tę gwiazdę, choć ona dawno zgasła, a raczej stała się błędnym ognikiem, który wodzi na manowce.

Le roi me reverra zawołał Bismark, gdy śmiano go zniewolić do ustąpienia z kanclerstwa. A dziś wyobrazić wolno sobie urzeczywistnienie tych gorzkich słów, ujawniające się w rosnącej przemocy w państwie, liczebnie nieznacznej, lecz wybornie zorganizowanej potęgi, ówczesnej, za jego impulsem powstałej frondy, dzisiajszej wysoce urzędowej, rząd cały przed sobą zginającej hakaty. Cień Bismarka równie jest dla szowinizmu niemieckiego wygodnym, jak żywy Bismark byłby dziś dla niego niebezpiecznym — pisała przed kilku laty angielska „Pall Mall Gazette.“

Jednym z powodów przewagi żywiołów szowinistycznych w Niemczech nad trzeźwemi, jest brak programu u tych ostatnich. Hakatyzm programu na przyszłość nie potrzebuje i o niego też nie dba. On żyje z czynu bieżącego, a jeżeli mówi o przyszłości, to tylko w sposób reklamowy, dla gawiedzi. Ale prawdziwy wielbiciel rozrostu niemczyzny, ów typ Nietzschego, który nam uosobił rozumno-drapieżne instykta germańskie, ten bez programu działania, bez świadomości lekarstwa na szowinistyczną gorączkę, wobec tej gorączki staje się bezsilnym. Ze źle się pokierowały sprawy dla Niemców na wschodzie, to widzi wielu z pomiędzy nich. Jak jednak postąpić, by na nowo skutecznie nawiązać nici do dawnej mądrej tradycyi germanizacyjnej, to jest zagadką, której bodaj nikt dziś nie potrafi rozwiązać.

Bo co dawniej było łatwem, dziś trudnem. Do czego niegdyś Polacy sami dopomagali najchętniej, to dziś stało się przedmiotem ich czujności najdraźliwszej. Proste nawrócenie z systemu obecnej repressyi do łagodniejszych rządów nie dałoby wcale tych rezultatów, o które jedynie chodzi rozumnemu i rozumującemu niemcowi, nie byłoby dziś przy rozbudzonym poczuciu narodowym u Polaków kresowych, krokiem do ich zniemczenia.

Rozpatrywania i uwagi w tym kierunku bardzo stanowcze spotykaliśmy niejednokrotnie. W dodatku, ponieważ polityka jest sztuką rzeczy możliwych, a szowinizm wschodnio-niemiecki zbyt dziś jest rozpanoszonym, by go można skutecznie a szybko spętać, przeto akcya tego rodzaju musi obecnie zupełnie wypaść z rachuby. Dalsza repressya ze strony rządu i popieranie oficyalne hakatyzmu muszą pójść i pójdą swoją drogą. Atoli obok tego rośnie zrozumienie w kołach myślących niemieckich, że równolegle z repressyą jawną żywiołu słowiańskiego powinien postępować czynnik nowy, a raczej wznowienie czynnika dawnego, powinien wystąpić na arenę kulturalny podbój tego od niemieckiej kultury coraz bardziej oddalającego się społeczeństwa.

Jak już na zaznaczono wstępie niniejszej rozprawy, poczucie konieczności duchowego postępu niemczyzny na kresach obudziło się szczególniej po skandalach szkolnych we Wrześni. Wiadomem jest, że w miarodawczych kołach berlińskich zastanawiano się wówczas na ten temat obszernie i że od tego czasu zapatrywania w tym względzie nietylko się nie zmieniły, ale nawet po części zamieniły się już w czyn. W jakim stopniu usiłowania w tej mierze podjęte zniweczone zostaną przez równolegle postępujące drażnienie Polaków na polu administracyi państwowej, pokaże przyszłość. To jednak pewnem, że ten odłam akcyi niemieckiej na kresach, który polega na podnoszeniu kultury i ducha niemieckiego, zasługuje na baczną uwagę z naszej strony, ile że stanowi po latach bezmyślnej hecy, pierwszy odblysk rozumnej germanizacyjnej polityki na wschodzie. Odblysk tylko, gubiący się dotąd wśród ogromnej łuny powstałej z pożaru wzniecanego przez hakatyzm oficyalny i prywatny, ale zawsze objaw instynktu trzeźwości narodowej niemieckiej, z którym społeczeństwu polskiemu należy zawczasu się liczyć.

Walka dwóch kultur, oto prawdziwy teren sporu, który ów odblysk, choć częściowo tylko i ukradkiem, ale niemniej rzeczywiście oświeca i oczom umiejących patrzeć odsłania. To też ważnem jest, by i z polskiej strony zdano sobie z tego sprawę. A pod tym względem, o ile chodzi o abstrakcyjne zrozumienie rzeczy, należy przyznać, że u nas słuszna ocena istotnego charakteru walki na kresach ujawniła już niejednokrotnie, choć nie dość często i ogólnie, by mogła wpłynąć na czyn konkretny w takim stopniu, w jakim należałoby koniecznie.

Zdaliśmy sprawę w ogólnych zarysach, z zapatrywań niemieckich umysłów myślących na niepowodzenia polityki niemieckiej na wschodzie. Zapatrywania na ten sam temat ze strony

polskiej z natury rzeczy odmiennie muszą być zabarwione. Im też, zanim określić sprobujemy obustronną akcyę i obustronne wymogi w zapasach dwóch walczących kultur, słów kilka poprzednio musimy poświęcić. Że szowinizm niemiecki nie przyczynił się do rozwoju panowania germanizmu na wschodzie, że owszem rozbudził wśród nas ducha odporności, o tem nie ma dziś u nas nikogo wątpiącego. Że jednak ten sam szowinizm stał się przyczyną stanu rzeczy dla nas wprost nieznośnego, że ta edukacya za pomocą hakatystycznego bicza nie jest dla narodu normalną, o tem również chyba dwóch zdań być nie może. Wprawdzie budzi się odporność w kierunku negatywnym, a wynikiem jej jest także wiele objawów pozytywnego czynu, ale bądź co bądź, postęp, którego głównym czynnikiem jest napór wroga i który utożsamiać trzeba z zbudzeniem się poczucia samozachowawczego, jest sam w sobie biernym, a rozwój jego ogranicza się na dążeniu do wyrównywania szkód poczynionych przez przeciwnika. System obrony stosować się przy tem musi ściśle do systemu ataku, a że ten ostatni najgroźniejszym się okazał na polu ekonomicznem, przeto na temże polu odporność narodowa polska ześrodkowała główną część swoich wysiłków. Drugiem zaś skrzydłem jej działalności jest organizowanie politycznej strony obrony narodowej. Wszystko to jednak jest li tylko akcyą obronną, której samo rozbudzenie i istnienie uważanem jest, co prawda, z myślącej strony niemieckiej jako klęska pochodząca z fałszywie poprowadzonego niemieckiego ataku. Dla Polaków atoli przedstawia się obrona ta ciągle jeszcze jako niedostateczna, a w każdym razie nie może uchodzić za objaw rozrostu narodowego. Niemcy słusznie zaliczają sobie jako stratę każde przez własną winę udaremnione lub nieodniesione zwycięstwo. Polacy jednak ubytku w zyskach wroga nie mogą sobie zaliczyć jako zysk własny. Nigdzie na całym terenie walki pochlubić się nie możemy zdobywaniem posterunków w własnym wroga obozie, równoważącym tym, które on niegdyś zdobył wśród nas samych. Budzimy i ratujemy lud polski przed germanizacyą, korzystając przy tem z pomocy drażniącego systemu szowinistycznego, ale mowy o tem niema, byśmy gdziekolwiek wkraczali na istotny teren niemczyzny, by gdziekolwiek rdzennie niemiecki czynnik stał się łupem postępującego polonizmu. Nie o to też chodzi, i nie to winno być przedmiotem naszych żalów lub zamiarów, choćby tylko teoretycznych, gdy rzeczywisty stosunek walczących ze sobą sił, z góry uniemożebnia praktyczne w tym kierunku zabiegi. Owszem zadowoleni być musimy, że akcya obronna przybrała te rozmiary, które dziś przeciwnika tak

przestraszają. Ale, gdy na tle ekonomicznem i politycznem w pewnym stopniu wyrównało się dziś napięcie obustronnej energii, gdy potężnej pomocy, udzielanej przez rząd słabnącej przedsiębiorności prywatnych czynników niemieckich, przeciwstawił żywioł polski wzmocnienie wydatności swej działalności prywatnej, coraz baczniejszą winniśmy zwracać uwagę na nowy teren walki, który się obecnie przed nami otwiera, na nowy atak który rozumne niemieckie czynniki przeciw nam przedsięwzięły, na taran niemieckiej kultury duchowej, który, nieodparty należycie wzmocnieniem naszych szańców pod tym właśnie względem, groźniejszym mógłby się stać od wszystkiego, co przeciw nam przedsięwzięto od rozpoczęcia jawnej walki rasowej na kresach.

Przypatrzmy się teraz, jak na tem polu przedstawia się rozmiar sił obu walczących czynników. Na tle ogólnem tej walki stają naprzeciw siebie dwie bogate i zasobne kultury, polska i niemiecka. Nie ścierają się one jednak ze sobą całokształtem swych sił. Obie mają swoje środowiska najżywsze nietylko oddalone geograficznie od pola kresowych zapasów, ale także instynkta ich twórcze rozbiegają się daleko na drogach, które się wprawdzie nie zchodzą, ale też wzajemnie się nie krzyżują. Nie walczy tu ruch i rozwój umysłowy Warszawy, Krakowa i Lwowa z Berlinem, Lipskiem lub Monachium. Tak ze strony niemieckiej, jak polskiej, a polskiej szczególnie, walczą ze sobą tylko odległe od głównych obozów, placówki. Nie całokształt wydatności obu kultur należy nam zatem porównywać, lecz zestawiać i porównać ze sobą te cząstki obustronnych sił, te czynniki, które na samem polu walki kresowej ze sobą się potykają i jedynie wchodzić mogą w rachubę.

Zestawić tu wypada najpierw status quo wprowadzonych w linję bojową czynników kultury umysłowej obu obozów, a następnie rozważyć, w jakim stopniu czynniki te z samego terenu walki czerpać mogą dalsze zasiłki, a niemniej oczekiwać pomocy od głównych armii, z środowisk wielkich kultury polskiej i niemieckiej.

W tej walce niekrwawej obie strony znajdują się w położeniu z góry niekorzystnem. Pole zajęte walką materyalną, ekonomiczno administracyjną, z natury rzeczy nie posiada warunków korzystnych dla rozwoju wielkiego współzawodnictwa umysłowej kultury. Olbrzymia większość naszego społeczeństwa zachodnio polskiego stanęła przed alternatywą, być albo nie być, a znów dla niemieckiego Gargantuy zasadniczem jest pytanie—pochłonąć, albo być głodnym. To też z polskiej strony stwierdzić należy, jako wynik tego stanu rzeczy, rosnącą apatyę na polu umysłowem,

z niemieckiej zaś jeszcze o wiele wyraźniejsze przeciwieństwo do kulturalnego systemu rozprawy rasowej, bo wprost negatywne pod względem kulturalnym ubóstwianie bożyszcza materyalnej przemocy. I dopiero, gdy to bożyszcze nie spełnia pokładanych w nim nadziei, zaczyna się germanizm późno i ostrożnie oglądać za bronią zdawna zarzuconą, za bronią duchową.

Nie wiele jej znajduje na samym terenie walki. Szkołę, ten walny czynnik rozwoju umysłowego, pozbawiła heca szowinistyczna bardzo w znacznym stopniu wpływu, który wywierał dawniej na kształcącą się młodzież polską. Zaiste nie na Niemców wychowali nauczyciele wrzesińscy dzieci sobie powierzone, a to co we Wrześni stało się dramatem głośnym na całą Europę, w innych szkołach ludowych z mniejszym rozgłosem, ale z tym samym skutkiem podziałało na młodzież polską w kierunku przeciwnym od zamierzonego przez apostołów przemocy. Nie ma dziś pewno ani jednej wsi polskiej, w którejby dzieci nie nauczyły się spoglądać krytycznie z punktu widzenia narodowego na działalność pedagoga, mającego z nich uczynić pruskim duchem przejętych obywateli państwa. Coraz krytyczniej sądzą dzieci nauczyciela, coraz gwałtowniej, lub też apatyczniej, w miarę osobistego temperamentu, zachowuje się tenże wobec nich. Traci na tem najwięcej niemieckość, ale cierpi też istota rzeczy, nauka sama. Bo jasną jest rzeczą, że opozycya dzieci wobec nauczyciela, której zarzewie zasiały wybryki szowinizmu niemieckiego, nie ogranicza się tylko na samej odporności wobec wszczepiania pojęć niemieckich. Owszem całokształt nauk szkolnych staje się dla dziecka czemś wrogiem a nawet same w sobie ujemne objawy naturalnej u wielu dzieci niechęci do nauki przybierają barwę ogólnej opozycyi przeciwko germanizującej władzy. Co zaś na wsi rozpoczęło się dopiero od niedawna, kwitnie w miasteczkach i miastach daleko bujniej. Młodzież szkół niższych przebywając w szkole przebywa obecnie, rzeczywistą szkołę patryotyzmu polskiego, a zarazem opozycyi na tle politycznem, wcale dla szkoły nieodpowiedniej. Wlewa ją w nią nauczyciel hakatysta, utwierdza solidarność biernej odporności kolegów. To samo powiedzieć można o gimnazjach klasycznych i realnych. Błędnem zaś z gruntu jest mniemanie, rozszerzane przez czynniki niemieckie, jakoby rodzice polscy sami odgrywali rolę agitatorów wobec dzieci. Oczywiście w wypadkach drastycznego występowania nauczyciela tu i owdzie rodzice ujmują się energicznie za dzieckiem, a gdy wypadek taki dotknie sfery ludowe, jak we Wrześni, oburzenie rodziców staje się powodem ruchu, który graniczy z rozruchem. Ale ten przykład odosobnio-

ny nie może stanowić miary sądu o przeciętnem zachowaniu się rodziców w sprawach szkolnych. Ogół rodziców przeciwnie, z drżeniem przyjmuje od dziecka wiadomość o sporach pomiędzy niem a władzą szkolną. Nie brak nawet ojców, którzy wolą syna oddać do gimnazyów w Księztwie najmniejszy liczących procent uczniów polskich, dla tego, że tam przeciwieństwa narodowościowe w szkole objawiają się mniej jaskrawo. Nie rodzice, lecz sam system szkolny, budzi w młodzieży ducha opozycyi.

Jaskrawy w tej mierze przykład zdarzył się niedawno temu w jednem z gimnazyów wrocławskich. Szlązak polskiego pochodzenia, lecz syn prawie zupełnie zgermanizowanych rodziców, którego domowym językiem był niemiecki, poskarżył się przed władzą szkolną, że złe odbiera klasyfikacye z niemieckiego, choć w innem gimnazyum, w którem był poprzednio, należał do najlepszych uczniów w tym właśnie przedmiocie. Na to odebrał odpowiedź, że od niego, jako Polaka, należy więcej wymagać na punkcie niemczyzny, niż od innych. Wyjaśnił wtedy pokrzywdzony uczeń, że tylko nazwisko nosi polskie, sam zaś po polsku prawie wcale nie umie. I od tej chwili zmieniło się postępowanie władzy wobec niego. Ale i on zmienił się także od tego dnia do niepoznania. Oburzony tem, co zaszło, zaczął rozważać, że przecież niegdyś jego rodzina była polską, rozpoczął natychmiast kurs prywatny lekcyi języka polskiego, a wróciwszy do domu, przemówił tak do serca rodzicom, że i oni przyznają się dziś do polskości. Gorącego pracownika dla idei polskiej stworzyła w ten sposób gimnazyalna władza niemiecka.

Ten stan rzeczy, którego wziętym z życia przykładem jest powyższe zdarzenie, wiadomym jest dobrze kołom miarodawczym w niemczech. To też czynniki wpośród nich trzeźwiejsze, mianowicie od czasu zajść we Wrześni, starają, się. ile mogą, wpływać, gdzie należy, na większą ostrożność w postępowaniu władz szkolnych. Do wyników tych usiłowań należy zaliczyć tajne i jawne rozporządzenia władz centralnych do władz poznańskich, by starały się zapobiegać kompromitującym niemczyznę i szkodzącym jej drastycznym wydarzeniom w szkołach. Że jednak wobec naprężonych dziś stosunków szkolnych, przeprowadzenie dalej systemu obecnego, bez wywoływania ciągłej reakcyi wśród młodzieży jest rzeczą więcej niż trudną, dowodzić nie potrzeba. Na tem więc polu dla Niemców i w przyszłości nie świetne otwierają się widoki. Dla nas zresztą nie mniej smutne, gdyż w takich warunkach o normalnem wychowaniu szkolnem, szczególnie w szkołach niższych, mowy być nie może. Z prawdziwym przestrachem spoglą-

damy w przyszłość, na chwilę wystąpienia na arenę życia obecnego młodego pokolenia. Nie darmo już teraz pisma socyalistyczne eskontują korzyści, które wynikną dla socyalizmu z wyrabiania w ludzie przez system pruski ducha wiecznej oporności przeciw władzy, która staje się dla niego synonimem idei wrogiej. Nie darmo obliczają konieczne wyniki tej pedagogicznej metody, która sprawia, że dzisiaj dziecko naukę religii, udzielaną sobie z dodatkiem kar cielesnych w języku obcym, uważa jako przedmiot nauki najwstrętniejszy, tak że dziś w bardzo wielu szkołach *tacito consensu* obu stron lekcye religii traktowane są tylko pro forma, by uniknąć niemiłych zajść à la Września.

Na polu zatem szkół ludowych i gimnazyów rząd pochlubić się nie może kulturalnemi zdobyczami. Inaczej się ma rzecz z resztą zakładów naukowych. Przedewszystkiem szkoły wyższe, czy to zawodowe, jak akademie rolnicze i techniczne, czy też uniwersytety, na których się kształci nasza młodzież, są bez wyjątku położone w środowiskach niemieckich. W nich wprawdzie także nie niemczeją nasi synowie, ale, bądź co bądź, czerpiąc swą wiedzę wyłącznie z źródeł niemieckich, przejmują się mimowoli duchem kultury germańskiej. Samo przez się nie byłoby to niczem złem, bo przecież każda kultura wartą jest poznania, ale ostatecznie jak w całem szkolnictwie, tak i w szkołach wyższych odczuwamy boleśnie niemożność zrównoważenia wpływów kultury germańskiej, wpływami kultury naszej rodzimej. I smutnym wynikiem naszych nienormalnych stosunków upatrywać chyba będziemy korzyści dla polskości w tem, że ta jedyna kultura, która dla młodzieży naszej jest przystępną, nie przeniknie jej. Nie ze względów poczucia narodowego, ale ze względu kultury narodowej jest monopol germanizmu w szkolnictwie dla nas wprost straszny. Skutki też jego odbijają się nietylko na młodszej, ale także i na starszej generacyi. Aż nazbyt często spotkać można gorących miłośników sprawy polskiej, którzy mówiąc, a jeszcze więcej, pisząc po polsku niemieckiej zupełnie używają budowy zdań, tak że każde ich odezwanie się wygląda na doraźne tłómaczenie z niemieckiego.

Ten skutek tak bolesny germańskiego wychowania umysłowego nie jest jedynym, zanim jednak wspomnimy o towarzyszących mu innych, przypatrzmy się dalej umysłowej broni używanej przeciw nam ze strony niemieckiej. Cztery lata temu powstał w kołach rządowych zamiar założenia wszechnicy niemieckiej w Poznaniu. Odstąpiono jednak od niego, nie chcąc w ten sposób zgromadzić akademików polaków w jednem środowisku. Za to założono w stolicy Wielkopolski akademię niemiecką, w której

wykłady są na poziomie nieco popularniejszym niż wykłady uniwersyteckie, a tem samem przystępniejsze dla warstw szerszych. Myślą przewodnią założycieli oficyalnych nie było przytem wpływanie głównie na żywioł polski za pomocą tego instytutu naukowego, ale przedewszystkiem wykształcenie własnych ziomków. Wykłady w akademii poznańskiej obejmują bardzo szeroki zakres umiejętności, odznaczają się starannością, a korzystają z nich żywioły inteligentne niemieckie z zawodów dość rozmaitych. Spotkać tam można lekarza, urzędnika państwowego, a także technika i teologa. Nie brak i Polaków, uczęszczających na akademię, jak np. kleryków z seminaryum arcybiskupiego, a także i wielu świeckich. Objawiająca się w tej mierze opozycya sfer postępowych polskich ucichła niebawem na mocy zasady, że nie mogąc przeciwstawić akademii niemieckiej równorzędnego instytutu polskiego, winniśmy korzystać przynajmniej z źródła obcej wiedzy.

Prócz akademii założył rząd w ostatnich latach wspaniałe, jak na miasto prowincyonalne, muzeum imienia cesarza Fryderyka. W pięknym renesansowym gmachu przy placu Wilhelmowskim mieszczą się na parterze bogate zbiory etnograficzne i archeologiczne, a prócz tego znakomita w swoim rodzaju galerya kopij dzieł dłuta z wszystkich krajów i epok, ułożona w sposób poglądowy. Pierwsze piętro zajmuje wielka galerya obrazów współczesnych i dawniejszych, której lwią część dostarczyły zbiory hr. Atanazego Raczyńskiego, zapisane w swoim czasie Berlinowi, a obecnie przewiezione do Poznania. By dać miarę wartości tej galeryi obrazów wystarczy przytoczyć, że znajdują się w niej płótna Velazqueza, Ribeiry, Zurbarana, Francii, Metsysa, Norblina, Corneliusa i t. d. Inne sale pierwszego piętra zapełnione są zabytkami przemysłu artystycznego wielkopolskiego. Prócz tego znajduje się tamże osobna wystawa sprzedażna obrazów, makat, bronzów a nawet mebli artystycznych nowożytnych, nadsyłanych zarządowi muzeum przez najpierwsze firmy niemieckie. Wreszcie są w gmachu muzealnym sale przeznaczone do studyów specyalnych. Jak zaś korzysta publiczność przeważnie niemiecka z nowej instytucyi, wskazuje cyfra zwiedzających, która wynosi przeciętnie pięćset osób dziennie.

Trzecią wielką fundacyą kulturalną ostatnich czasów w Poznaniu jest biblioteka cesarza Wilhelma, dla której zbudowano milionowym nakładem wzorowo urządzony gmach przy ulicy Rycerskiej. Złożyły się na nią istniejące już biblioteki krajowe i miejskie, dalej biblioteka królewska w Berlinie, która nadesłała bardzo wielką ilość swoich duplikatów. Za jej zaś przykładem

poszły inne biblioteki publiczne w Niemczech, a niemniej i osoby prywatne, w szczególności zaś wielkie firmy wydawnicze niemieckie. Obecnie po dwuletniem istnieniu liczy Biblioteka cesarza Wilhelma około 180000 tomów. Nie będziemy rozszerzali ram niniejszej rozprawy szczegółowym opisem urządzenia biblioteki. Zaznaczymy tylko, że jest ono wprost znakomite. Z dalekich stron Niemiec zjeżdżają się znawcy, by technikę tej instytucyi badać i według tego wzoru przeprowadzać ulepszenia w innych niemieckich bibliotekach. Zajmującem jest też w wysokim stopniu, szczególniej dla Polaka, odwiedzanie czytelni i sal przeznaczonych do studyów w Bibliotece. Obszerne komnaty zapełnione są czytającymi i piszącymi. Osobne sale przeznaczone dla gazet i czasopism, osobne dla różnych kategoryi książek. Nieraz stokilkadziesiąt osób równocześnie korzysta z zasobów bibiioteki. Publiczność zażywa tam takiej wolności, że w części księgozbioru sama jest gospodarzem, sama książki bierze z półek i znów je tam odkłada. Urzędnicy biblioteczni tak są uprzejmi, że na żądanie podejmują chętnie trudną nieraz, a wszędzie gdzieindziej klientowi pozostawioną pracę, zestawiania spisu źródeł potrzebnych do studyów nad danym przedmiotem. Rozpożyczanie książek na miasto jest tak liberalnie pojmowanem, że zazwyczaj nie bywa wymaganą żadna legitymacya od pragnącego zabrać do domu książkę. Nawet nadużycia, które zdarzyły się w tej mierze, nie zmieniły uprzejmości zarządu.

Biblioteka ma zostać powiększoną aż do zawartości 500000 tomów, a już dziś dołączonym jest do niej osobny magazyn, zawierający książki przeznaczone do rozsyłki na prowincyę, w której istnieją liczne wypożyczalnie książek. Ciekawą jest także rzeczą, że można dziś znaleźć komplety wszystkich poznańskich polskich gazet w obu bibliotekach niemieckich, a mianowicie Bibliotece Cesarza Wilhelma i drugiej hr. Raczyńskich. W pierwszej z nich nie brak też *Bibliotcki Warszawskiej*, która, jak zauważyliśmy, niejednokrotnie pilnie wertowaną jest przez niemców rozumiejących po polsku. Razem wziąwszy, nowozałożona instytucya stanowi potężny czynnik kulturalny, z którego niemcy słusznie są dumni.

Do tej samej kategoryi nowych wysiłków na polu kultury umysłowej należą świeże wielkie inwestycye na cele teatru niemieckiego w Poznaniu. Dotychczasowy teatr pobierał już wielkie subwencye, nowy zaś, na którego budowę przeznaczono ogromne summy i który stanąć ma u wejścia do śródmieścia na miejscu zniesionych bastyonów fortecznych otoczonym będzie jeszcze więk-

szą opieką rządu. Zasiłki też pobiera szereg pism niemieckich, wychodzących w stolicy Wielkopolski. Wskutek tego mogą te pisma, mianowicie w dziale korespondencyj lokalnych, z całego księstwa bogatemi rozporządzać informacyami, które oczywiście zabarwione są następnie ad usum delphini t. j. sprawy niemieckiej. W ostatnich też latach zawładnęli Niemcy ostatecznie polską niegdyś fundacyą, biblioteką Raczyńskich, liczącą kilkadziesiąt tysięcy tomów.

Te wszystkie objawy dbałości Niemców o zawładnięcie jaknajzupełniejsze terenu umysłowości w naszym kraju patrzącego w dal przejmują większym jeszcze niepokojem, niż ich administracyjno-ekonomiczne zakusy. Przeciwko tym ostatnim rozwinęło społeczeństwo nasze całą energię, na którą potrafi się zdobyć, i choć walka ciężka i niebezpieczna, to jednak bynajmniej nie beznadziejna. Sam fakt, że dziś największa instytucya finansowa, związek spółek zarobkowych, licząca blisko 300 milionów marek rocznego obrotu, znajduje się w rękach polskich, jest tego wymownym dowodem. Ale jakże inaczej przedstawia się rozwój naszej żywotności na polu umysłowem. Pobieżnie tylko zaznaczyliśmy główne objawy nowego a tak już silnego impulsu germanizmu na polu kultury umysłowej, wyczerpujący ich spis przekraczałby ramy niniejszego artykułu. To jednak, co wymieniliśmy, wystarcza, by wykazać, że w tym kierunku napór niemczyzny rozpoczął się na dobre, a choć polityczno-administracyjny szowinizm niemiecki niweczy nieustannie owoce tego kulturalnego impulsu, to jednak niweczy je tylko częściowo, mianowicie w stosunku do Polaków. Niemiecki zaś żywioł, jako taki, niewątpliwie już dziś poważne w tej mierze odnosi korzyści. Barbarzyńskiemu obniżeniu wśród Niemców poziomu kulturalnego przez erę hakatyzmu przeciwstawia rozsądniejszy, ale zarazem i dla nas niebezpieczniejszy prąd duchowy germański pracę kulturalną, podnoszącą społeczeństwo, wśród którego powstaje. Że zaś w sprawach publicznych liczyć się trzeba ze zmiennością okoliczności, przeto z góry wolno twierdzić, że procent trzeźwiej myślących zdobywców germańskich, wobec coraz widoczniejszych złych skutków obecnego systemu germanizacyjnego będzie raczej rosnąć, niż słabnąć, a wcale niemożliwą nie jest nawet jego przyszła przewaga w miarodawczych kołach. Nie brak też dziś już Polaków upatrujących niemiecką taktykę przyszłości właśnie w możliwem pozornem złagodzeniu represyi administracyjnej, a za to zalaniu nas falą kultury niemieckiej. Przewidują te, niestety nie dość liczne, jednostki w pośród nas, że niemcy widząc, iż nie mo-

gą nas zgnębić dość prędko za pomocą środków materyalnych, chwycą się powolniejszej, lecz pewniejszej, drogi zabicia w nas wszelkiej produkcyi duchowej, wszelkiego ruchu umysłowego. Nadczłowiek niemiecki, rozumny, trzeźwy, chcący rosnąć i władać i życiem innych własne życie wzmacniać, wie o tem dobrze, że śmierć ducha poprzedza śmierć materyi i dla tego rozwój tego obcego sobie ducha, ducha polskiego, tego przedmurza słowiańszczyzny, skrępować pragnie i zniweczyć. Głos jego i zachłanność przebija nawet z po za pozornie nam życzliwych odezwań się w publicystyce i na trybunie parlamentarnej. Głównym argumentem nieraz otwarcie wyznawanym, częściej z po za frazesów oratorskiej swady przezierającym, jest zawsze ten — obecna polityka ucisku nie przynosi owoców spodziewanych. Zaniechajmy jej, bo ona szkodzi nam, którzy przecież już tak daleko zaszliśmy w naszem opanowaniu kresów, postępując dawniej mniej gwałtowną, lecz skuteczniejszą taktyką. I zmniejsza się obecnie wdzięczność za taką obronę okazywana ze strony polskiej i przekonanie wśród nas żywione, że to idea sprawiedliwości międzynarodowej natchnęła niemieckich krytyków niemieckiego szowinizmu. W rzeczywistości nadczłowiek germański, jakąkolwiek przywdzieje szatę, czy togę wolnomyślnego myśliciela, czy czerwoną koszulę radykalnego socyalisty, czy wreszcie w ręku trzyma sztandar zmateryalizowanej religii, żąda tego samego, do tego samego dąży celu, zastąpienia barbarzyńskiego i nie prowadzącego do zwycięstwa środka germanizacyjnego innym, lepszym, wzbudzającym mniej czujności i odporności wśród przeznaczonych do zagłady. Bo ciało, w którem zamarła dusza, niezdolnem staje się do czynu. A jak on rozumuje, on, symbol rasy panów i władców, tak i my rozumować winniśmy w naszej niedoli i naszym ucisku, ale i w naszem pragnieniu życia i prawie do życia.

Lat temu pięćdziesiąt pisał Karol Libelt do jednego z pracowników umysłowych wielkopolskich — „upadek kultury umysłowej poprzedza zawsze upadek dzielności ekonomicznej. Baczmy staranmie, by pierwsza nie została zaniedbaną, a pewni być możemy, że i drugiej nam nie zabraknie. Lecz niestety, jakże smutno u nas pod tym względem.“ Tak pisał pół wieku temu gorący miłośnik spraw ojczystych i zaprawdę dzieje naszego kraju aż nadzbyt potwierdziły jego głębokie i prorocze słowa. Właśnie te warstwy, w których ręku spoczywało dziedzictwo kultury, równocześnie zaniedbywały jej rozwoju i upadały ekonomicznie. Przegląd nazwisk najbogatszych wówczas rodzin, lecz zarazem tych, w których upadek duchowy był największym, to istna wędrówka

cmentarna. Senatorskie siedziby, w których dziś gospodarzy bankier berliński; groby ojców zaprzedane obcym handlarzom ziemi,—oto obraz, który się przedstawia oczom potomnych. A tym potomnym, jakkolwiek biczem hakatyzmu ocknionym do obrony i dzielniejszym w niej od ojców, znów staje przed oczami to samo memento, znów uchylić się nie mają prawa od obowiązku zastanowienia się nad skutkami rosnącego uśpienia umysłowego i ciszy ducha, która dziś większa i ogólniejsza, niż wtedy, gdy przed jej rozwielmożnieniem się przestrzegał Libelt. Szlachta nasza nie powinna zapominać, że wśród niej najdzielniejsza dziś pozostała część, to właśnie spadkobiercy tych środowisk rodzinnych, które wówczas najbardziej dbały o kulturę ducha. I postawić sobie powinni zapytanie ci spadkobiercy, czy sami taki spadek tradycyi intellektualnej pozostawią swoim następcom, by oni również żyć mogli i działać resztkami żywego ducha ojców. Ogół zaś nasz zarówno przejęty być winien troską o rozwój całokształtu naszej sprawy narodowej na naszych wielkich i rozległych kresach, jeżeli czynem nie będzie kierował duch oparty na własnej kulturze, na własnej i zdrowej myśli.

Nie jest i nie może być naszem przeznaczeniem zostania na granicznym pasie potęgi germańskiej polską Irlandyą, politycznie tylko walczącą o swoje prawa, lecz zjednoczoną językiem i kulturą duchową ze społeczeństwem obcem. Zbiorowisko ludzkie nie żyjące własnem życiem duchowem, jest w połowie, i to w połowie ważniejszej, twórczej, umarłem. Nam zaś instynkt samozachowawczy, instynkt trwania i działania przekazuje prawo i obowiązek życia pełnego, a więc także w równej i ważnej mierze, życia umysłowego.

Nie obojętną w tej mierze jest okoliczność, że skrępowanie ruchu umysłowego przez obce i wrogie siły jest bez porównania trudniejszem od prześladowania na polu materyalnem. To też w dziedzinie umysłowej liczyć się musimy daleko więcej z własną apatyą, a rosnącem zrozumieniem jego ważności u wroga, jak z rzeczywistym uciskiem. Rzut oka na obecny stan umysłowości na naszych kresach każdego nieuprzedzonego musi w zdaniu tem utwierdzić. Prawdą jest, że zamkniętą dla nas droga oficyalnego budzenia kultury duchowej, ale po za nią pole działalności jest dla nas względnie wolne, a niestety coraz zupełniej puste, przynajmniej, o ile wchodzą w grę warstwy wyższe. Wśród warstw średnich i ludowych bowiem zapisują dzieje ostatniego półwiecza nie tylko dzielną w podnoszeniu kultury umysłowej inicyatywę ale i powodzenie tej ostatniej pod wieloma względami świetne.

Powodzenie to stanowi prawdziwą pociechę wobec fatalnego i obniżającego dziś poziom umysłowy ludu, wpływu systemu szkolnego. Obok dobroczynnych skutków organizacyi zawodowej, których najwybitniejszemi objawami są kółka rolnicze, związek spółek zarobkowych i świeżo z nową energią podjęte szeregowanie robotników miejskich w stowarzyszeniach, nie tylko korzystnych dla nich pod względem ekonomiczno-społecznym, ale także jednoczących niewątpliwie ich poziom kulturalny, obok prywatnej działalności, szczególniej w Księstwie, księży, dworów i inteligencyi miejskiej, udzielaniem nauki prywatnej i w miastach urządzaniem wykładów i odczytów treści popularnej, obok takich instytucyj, jak towarzystwo czytelni ludowych i samopomocy, pierwszorzędną rolę w krzewieniu oświaty wśród ludzi odgrywa nasza prasa ludowa wszelkich odcieni. Wynik to nietylko podatności naszego ludu do postępu kulturalnego, ale także działalności części warstw wyższych. Obawa wyjałowienia umysłowego tych ostatnich zwiększa się, gdy widzimy, co one potrafiły zdziałać, gdy i o ile wśród nich kultura umysłowa do zdrowego przodownictwa ludowi stawała się podnietą. Oby w tej mierze przyszłość nie okazała się smutniejszą.

Pism przeznaczonych dla ludu mamy dziś przeszło trzydzieści, a niektóre z nich rozchodzą się w liczbie prawdziwie imponującej. *Przewodnik Katolicki*, wychodzący w Poznaniu, liczy przeszło 60000 abonentów; *Gazeta Grudziądzka*, organ zachodnio-pruski, tej samej niemal dosięga cyfry. Dziesiątkami tysięcy rozchodzi się *Katolik* górnoszląski i tygodniowa *Praca* poznańska, a znów w innych, jak w poznańskim *Orędowniku*, spotkać można artykuły, wymagające ze strony czytelnika takiego przygotowania umysłowego, że, zaprawdę, po za granicami zachodniej Polski niejeden nie uwierzyłby, że to pismo przeznaczone dla ludu. Ponieważ u nas abonament uskutecznia się przeważnie przez urzędy pocztowe, przeto poczta, a zatem rząd, dobrze wie, jakie krocie tysięcy egzemplarzy pism polskich niosą w lud poczucie polskości. I ta świadomość jest też powodem coraz częstszych odezwań się ze strony hakatystycznej, by skrępować prasę polską, zmuszając ją do używania języka niemieckiego. Pod hasłem *die slavische Gefahr* (niebezpieczeństwo słowiańskie) czytaliśmy niedawno w piśmie polakożerczem ubolewania nad faktem, że ustawa prasowa jest, niestety, tak niedostępną dla ingerencyi rządu pruskiego, należące do zakresu praw zasadniczych konstytucyi Rzeszy. Do tych uwag pisma nam wrogiego dodać należy stałą troskę o nietykalność prasy, żywioną przez większość stronnictw parlamentarnych.

Hodie mihi, cras tibi. O prawdziwości tego aksyomatu nie wątpi nikt z pomiędzy tych, którychby rząd w danym razie zapragnął pozyskać do zasadniczych zarządzeń przeciwko prasie polskiej i dlatego, w tej mierze przynajmniej, dość bezpiecznymi możemy być na przyszłość. Władzom pruskim pozostaje jedynie droga bezustannych procesów przeciw redaktorom i wydawcom za artykuły sprzeciwiające się ich pojęciom, a w których treści znajduje się haczyk odpowiedni do zaczepienia pisma, jako przekraczającego którykolwiek z paragrafów ustawy. Ale i ta broń z czasem stępieje. W samem bowiem społeczeństwie polskiem częste narażanie się na procesy i wynikające stąd koszty bynajmniej nie są pismom poczytywane jako zasługa, a wzbogacanie kieszeni niemieckiej w ten sposób polskiemi pieniędzmi uważane jest raczej jako dowód niewielkiej zręczności ze strony redakcyi, gdy przy pewnem staraniu wcale trudną nie jest rzeczą uszanować literę prawa, a jednak napisać co należy. Stąd też obecnie spostrzedz można dość wyraźny zwrot w tym kierunku, a pisma, które dawniej, chlubiąc się swoją rolą męczeńską, kilka razy w miesiącu wzywane bywały przed sąd, dziś zrzadka tylko spotykają się z ramieniem pruskiej sprawiedliwości. Mniej pocieszającym jest rzut oka na sposób pisania organów ludowych. Tu rozpacz prawdziwa ogarnia nieraz dbającego o język rodzimy czytelnika. Z zaszczytnemi, lecz nielicznemi, wyjątkami artykuły naszych pism ludowych pisane są wprawdzie w duchu szczerze polskim, ale częstokroć w języku, który nie jest ani polskim, ani niemieckim, lecz jakiemś niemiłem narzeczem, wytworzonem z mieszaniny ich obu. Słowa są polskie, ale budowa zdań, ale składane wyrażenia doprawdy nie polskie. A gorzej jeszcze przedstawiają się rzeczy, gdy wkraczamy w dziedzinę umysłową inteligencyi krajowej. Stwierdzamy z boleścią, że redakcye obu pism codziennych większych, jedynych w swoim rodzaju na całym obszarze ziem polskich pod panowaniem pruskiem, bezustannie walczyć muszą z brakiem rodzimych sił piszących, a nadsyłane artykuły sprawiają utrapionym kierownikom tych pism niekończące się kłopoty, wskutek konieczności poprawek językowych, równających się nieraz niemal przeróbkom. Zapytajmy w redakcyach poznańskich, jak uciążliwą jest zazwyczaj próba poruszenia inteligencyi krajowej do chwycenia za pióro w kwestyach żywotnych. W dodatku, jedno z obu większych pism, dla braku poparcia ze strony inteligencyi krajowej, kończy obecnie swe istnienie.

Optymizm tworzy, pessymizm krytykuje, i jest bezpłodnym. W ocenie jednak kultury umysłowej naszych warstw wyższych

trudno się oprzeć usposobieniu pessymistycznemu. Apatya umysłowa z roku na rok staje się większą. Przeglądając nieliczny szereg ludzi u nas czynnych na polu naukowem i literackiem, nie mówiąc już o artystycznem najbardziej zaniedbanem, lecz z dawien dawna na naszych kresach jałowem[1]), stwierdzamy ze smutkiem, że wśród starszego pokolenia można ich spotkać więcej niż wśród młodszego, dziś na arenę życia występującego. Odznaczają się w tej mierze dwory na wsi, niegdyś ogniska, z których się rozchodziła kultura umysłowa na kraj. I tu są wyjątki i to zaszczytne, ale one potwierdzają tylko regułę. Ogółem wziąwszy czyta się we dworach mało, tak mało, że utarło się u nas przysłowie — w Wielkopolsce oszczędność rozpoczyna się od książki. Nie mówię już o domach, w których nietylko rozpoczyna się ona ale i kończy się na książce i drukowanem słowie. Lecz i w wielu innych, sztuka czytania rzadkim jest tylko przywilejem. W tem współzawodnictwie apatyi mniejszą, to jest dodatniejszą rolę odgrywa inteligencya miejska, lekarze, adwokaci, dziennikarze. Wśród nich procent ludzi żyjących wspólnem życiem umysłowem z ogólną społecznością polską jest daleko większym, szczególniej w samym Poznaniu. I oni jednak odczuwają ogólną apatyę umysłową, która się rozpostarła w naszym kraju. I oni, choć czytają więcej, pod względem twórczości umysłowej nie wiele przewyższają inteligencyę wiejską. Ruch wydawniczy na polu literackiem i naukowem, niegdyś pokaźny, upadł dziś w Poznaniu prawie zupełnie. Główne większe oryginalne dzieło wydawane u nas w ciągu lat bieżących, to dzieło zmarłego od lat wielkiego myśliciela, dzieło wydawane troskliwością i zasłużonem staraniem syna, *Ojcze nasz* Augusta Cieszkowskiego. A lepiej przemilczeć, ile egzemplarzy

[1]) Zbiorów dzieł sztuki posiada księstwo w ręku polskiem tylko 3. Z tych jeden, należący do tow. Przyjaciół nauk, jest w Poznaniu, przystępny dla publiczności. Drugi, daleko znaczniejszy, w Rogalinie pod Mosiną, należy do Hr. Edwarda Raczyńskiego, trzeci zaś w Gołuchowie pod Pleszewem, własność ks. Witolda Czartoryskiego, miał być przeniesiony do Poznania. Podobno jednak obecnie zamiar ten niestety został zaniechany. Taksamo z bibliotek znaczniejszych, należących do Polaków, jedna tylko, tow. Przyjaciół nauk, pozostaje w stolicy Wielkopolskiej. Biblioteka Kurnicka bardzo poważna, jako odległa od miasta, z natury rzeczy mało jest przystępną dla szerszej publiczności. Inne księgozbiory należą już zupełnie do kategoryi prywatnych. Jest ich jednak stosunkowo nie wiele, a w niejednym z nich stwierdzić można, obok znacznej liczby książek zakupionych przez dawniejsze pokolenia, niemal zupełny brak dzieł z ostatnich dziesięcioleci.

pierwszych tomów tego obecnie na obce języki tłomaczonego dzieła rozeszło się wśród rodzimego społeczeństwa wielkopolskiego.

Milkną nawet te talenta, które już dały miarę swej wartości. Obarczony ciężką i odpowiedzialną pracą swego wysokiego urzędu zamilkł niestety znakomity badacz historyi kościoła na wschodzie, a inni z pomiędzy starej gwardyi naszych ludzi myśli i pióra odzywają się coraz rzadziej, coraz mniej znajdują podniety w zainteresowaniu się społeczeństwa umysłową twórczością. Tem większa cześć, tem większe uznanie należy się tym, którzy w takich warunkach jednak nie ustali w swej twórczości. Ale jakże ich mało, jak odosobnionemi są ich odezwania się. Prawdziwie *rara avis in gurgite vasto* będzie wydawnictwo dzieł wielkopolskich pisarzy, przygotowywane przez kierownika Biblioteki tow. przyjaciół nauk. Wymieniając jeszcze kilka nazwisk z nielicznego szeregu tych sił starszych, które większemi publikacyami wzbogaciły zachodnio-polski ruch umysłowy, wspomnimy o wydawnictwach biblioteki kurnickiej pod kierownictwem D-ra Z. Celichowskiego, o pracach na polu historyi literatury prof. Nehringa, który, jakkolwiek działalność swoją poświęcił uniwersytetowi Wrocławskiemu, jednak zaliczonym być może do zachodnio-polskich pracowników umysłowych, kilku autorów wydawnictwa ekonomiczno-polityczne. Siły te jednak po części dziś także już przestają czynną odgrywać rolę na polu większych wydawnictw. A choć do ich szeregu moglibyśmy dołączyć jeszcze nazwiska inne, szczególniej na polu wydawnictw mniejszych, to jednak razem wziąwszy, wydatność ich nie odpowiada znaczeniu, które w życiu ogólno narodowem posiada blizko czteromilionowe społeczeństwo zachodnio-polskie. Znakomite publikacye prof. Brücknera w Berlinie nie podpadają pod kategoryę umysłowości wielkopolskiej. Działalność bowiem tego uczonego należy do zakresu tak znacznego exportu sił umysłowych z naszego kraju, który, aczkolwiek wywołany okolicznościami i nie podpadający pod krytykę indywidualną, jest jednak jednym z najsmutniejszych objawów upadku naszego na polu umysłowem. Lepiej znów nieco, jak wszystko co dotyczy warstw szerszych, przedstawiają się wydawnictwa dzieł popularnych, ale zastąpić one nie mogą jałowości, która się rozpowszechnia w dziedzinie twórczości umysłowej sfer wyższych. Chcąc atoli nie pominąć tego, czem w tej dziedzinie możemy się pochlubić, wymienimy, prócz kilku dzieł treści kościelno-naukowej, wydawane przez kapłanów peryodyczne publikacye p. t. *Przegląd katolicki* i *Ruch chrześcijańsko społeczny*, a niemniej i nieliczny poczet dziełek i broszur treści poetycznej lub też literackiej

prozy, które w ostatnich kilku latach ujrzały u nas światło dzienne.

Jakże potężnym jest za to zastęp sił twórczych, które z wielkopolskiego społeczeństwa wyniosły swą działalność i swe zdolności do innych części Polski. Prawdziwa to emigracya talentów, świadcząca, że nie grunt w naszem społeczeństwie jest w tej mierze bezpłodny, ale że atmosfera w niem panująca nie sprzyja rozwojowi wyższej kultury ducha[1]). A, niestety, nie we wszystkich wypadkach tego opuszczenia zagrożonego martwotą umysłową rodzimego posterunku powodem była konieczność oparcia się o nieistniejące u nas prawie wcale instytucye publiczne naukowe, lecz raczej właśnie przekonanie, zresztą słuszne, że nie tam, gdzie broń ducha najrzadsza jest i najpotrzebniejsza, najbardziej też ją cenią. Wymownym przykładem w tej mierze jest obojętność ogółu naszej inteligencyi wobec powstałego przed dwoma laty tow. literacko-dziennikarskiego.

Po zajściach wrzesińskich, gdy przedstawiciele pism zagranicznych odwiedzali często nasze strony, jeden z nich w rozmowie z gronem członków inteligencyi polskiej wyraził zdziwienie, że Polska cała nie zdobywa się na energię założenia na swych zachodnich kresach intelektualnej warowni. Gdyby Słowianie mieli w sobie przedsiębiorczość i rzutkość rasy anglo-saskiej — mówił ów przybysz — nie byliby dopuścili do emigracyi z tych kresów tak znacznej liczby talentów, lecz byliby im umożliwili skupienie się wokoło towarzystwa przyjaciół nauk i pism, poświęconych pracy naukowej i literackiej. Znalazła się pomoc na cele rolnicze, czemużby niewykonalnym był wysiłek bez porównania mniejszy pod względem materyalnym, któryby zwrócił w kierunku powrotnym intelektualną falę emigracyjną, w życiu umysłowem innych, zasobniejszych pod tym względem dzielnic polskich tak poważną odgrywającą rolę. Szlachetna ta utopia zagranicznego

[1]) Emigracya pracowników umysłowych z zachodniej Polski stała się chroniczną. Za przykładem bowiem swych poprzedników, którzy dziś w ruchu umysłowym Warszawy, Krakowa i Lwowa tak poważne zajmują miejsce, ulegają jedna za drugą także młode, wyrabiające się, siły prądowi emigracyjnemu. Kilka z nich w ostatnich czasach przeniosło swoją działalność naukową i literacką po za granicę zachodniej Polski, nie znalazłszy w naszem społeczeństwie podniety i sposobności do pracy na coraz bardziej opuszczonym gruncie rodzimym. Niejeden znamy wypadek emigracyi na wschód młodzieńców, zawdzięczających swe wykształcenie funduszom tow. pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego.

przyjaciela Polaków zawiera w sobie rzeczywiste jądro prawdy. Nie skarżylibyśmy się dziś na wychodźtwo umysłowe z Wielkopolski; nie byłby sobie poważny zastęp mężów nauki zamknął drogi do powrotu przyjęciem obcego poddaństwa, gdyby zawczasu była przeniknęła naszą społeczność troska, która przed półwiekiem niepokoiła Libelta. Dziś jednak liczyć się musimy z istniejącym stanem rzeczy. A ten i nas zniewala do wstrzymania się z wyrzeczeniem hasła, którego brak zaznaczyliśmy u Niemców — *Video meliora.*

Wierzyć nam atoli należy w prawdziwość zasady, że jasne rozpoznanie i uznanie potrzeby społecznej jest pierwszym krokiem do jej spełnienia i że z samego tego uznania wyłoni się inicyatywa do zaradzenia według możności złemu. Martwota umysłowa warstw wyższych w kraju tak rozległym, jak zachodnia Polska, równającym się swoim obszarem Galicyi, a liczącym półczwarta miliona ludności polskiej, grozi na przyszłość wielkiemi niebezpieczeństwami. Z trzech dzielnic naszych pod panowaniem pruskiem, dwie niemal zupełnie pozbawione są inteligencyi polskiej. Wszędzie u nas rośnie samowiedza warstw ludowych, coraz mniej oparta na duchowem przodownictwie warstw wyższych. Oby społeczność nasza zachodnio-polska nie stała się z biegiem lat podobną do ciała, którego siła wzrasta, ale którego oczy oślepły. Organizm taki, choć żywotny, działa na ślepo, narażony jest na wszelkie zboczenia z drogi, której jasno nie widzi przed sobą. W pracy naszej narodowej, w działaniu i rozwoju naszego społeczeństwa niech nam przyświeca pochodnia duchowej kultury, owe światło, za którem lat temu siedmdziesiąt, umierając, wzdychał wielki duchowy działacz dziś tak wrogiego nam narodu niemieckiego.

Franciszek Morawski.

PRZEMIANY.[1]

Powieść współczesna.

XXI.

W życiu pani Anny zaszła zmiana: oto zaniechała zupełnie rolnictwa. Nie chodziła jak dawniej po folwarku, nie zaglądała do wspaniałych obór rasowego bydła, do wzorowych chlewów, do stajni, nie pilnowała (z notesem w ręku) zwózki snopów na gumnie, nie odbywała wycieczek w pole. Koń wierzchowy niesiodłany nudził się w boksu, dziwiła się służba, najbardziej może dziwił się Stefan. Nie wzywano go już do pałacu na t. zw. narady, a nawet śniadania i obiady posyłano mu do mieszkania pod pretekstem niezdrowia Opolskiego. Otrzymał także dyspozycyę (w uprzejmym i sztywnym liście) administrowania na własną odpowiedzialność (miał tylko przysyłać szczegółowe sprawozdania na piśmie raz na miesiąc) w najszerszem znaczeniu wyrazu, bo z prawem nieograniczonego czerpania z kasy, a z obowiązkiem kierowania instytucyami, tak mało nawet mającemi wspólnego z zarządem rolnym, jak szpitale, ochronka, szkoła tkactwa, przytułek położniczy i t. p. które to wszystkie zakłady zawdzięczały swój byt jego pomysłom, zamiłowaniu i pracy. Pani Anna natomiast przerzuci-

[1] Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417; — styczniowy, str. 26; — lutowy, str. 225.

ła się do dziedziny zajęć, zaniedbanych do niedawna, a tych właśnie, które Stefan bądź wyszydzał, bądź potępiał, od których odciągnął ją swoim wpływem, swoją szczerą, ognistą wymową. Spędzała znowu wiele czasu w parku, który miał być znacznie rozszerzony przez dołączenie kilku łąk i zagajników, w towarzystwie nowego ogrodnika francuza, w towarzystwie architekta, który przybył dla kierowania budową skrzydła pod ogród zimowy, w oranżerji. I codziennie szły do Stefana kartki z żądaniem tylu a tylu dziesiątków ludzi, tylu a tylu par koni do robót około zimowego ogrodu i parku, do plantowania, kopania, podwożenia kamieni, cegły i wapna. Stefan spełniał rozkazy, i robota wrzała. Przesadzano drzewa, trzebiono gąszcze, przenoszono jakąś budowlę, która zdaniem francuza zasłaniała widok, tysiące fur i taczek torfu sypano na piaszczystą smugę między jednym zagajnikiem a drugim, ażeby na niej rosnąć mogły wybredne krzewy. Panią Annę przez pierwszych dni kilka napełniały zadowoleniem gwar i ruch roboty ludzkiej, i po wiele godzin nieraz wystawała na słońcu, żeby doglądać, czy też wprost tylko dla rozrywki, i sama wytykała linie nowych alei, wskazywała przyszłe trawniki i klomby, rozszerzała perspektywę, wydobywała niespodziane efekty... Biały, bardzo wysoki krzyż, stanął gdzieś daleko śród pola, widny z werandy, a był o pewnych godzinach, w pewnem oświetleniu, w dnie słoneczne błękitny, wieczorami zaś na tle purpurowych zórz stawał się świecący i krwawy — o zmroku posępniał i rysował się linią prawie żałobną... Pani Anna chciała wyryć na nim jakiś napis, szukała odpowiedniego aforyzmu, ale żaden ze znanych nie przypadł jej do smaku i poprzestała tylko na wypisaniu daty 15-go czerwca roku 18..., który to dzień był rocznicą jej ślubu...

Na tych zabawach około krzyża, około parku, około skrzydła pod ogród zimowy zbiegł, tydzień — i Pani Anna jęła coraz rzadziej wychodzić z domu. Znalazła nowe zajęcia. Zabawiała męża, pisała listy, przygotowywała pokoje gościnne na coroczny bliski już zjazd imieninowy, rozpakowała paki z nowemi książkami, rozcięła pisma, nieporuszone od paru miesięcy, próbowała czytać... Roboty było niemało, a mimo to czasu ciągle było za wiele. Dnie wlokły się... Grała także na fortepianie zapomniane utwory z zapomnianych nut, a z tak zawziętą starannością, jak gdyby gotowała się do występu publicznego. Z dźwiękami płynęły przypomnienia dawnych czasów, gdy dawała w Warszawie lekcye muzyki, gdy żyła w ubóstwie, gdy torowała sobie własnym przemysłem, rozumem i pięknością ambitną drogę, gdy szła zdobywając... I zdobyła po nad wszelkie spodziewanie...

Otacza ją zbytek, uznanie ogółu, miłość męża—czegoż więcej? Tego szukała i pragnęła: bogactwa, stanowiska, spokoju — o to walczyła—i znalazła. Czegoż więcej?...

Ale Pani Anna wolała teraz wspomnienia wcześniejsze, wspomnienia zarania młodości, nie dotykane oddawna, dziś pełne szczególnego uroku, owiane wonią szczególną, budzące nieznaną tęsknotę... Jeszcze matka, dobra, zawsze wesoła, skora do śmiechu, gadatliwa, żyła wówczas. Mieszkały skromnie, w ubogiej dzielnicy, ona chodziła na pensyę, w niedzielę do kościoła Wszystkich Świętych, czasami do ogrodu Saskiego i do Łazienek, przyjaźniła się z koleżanką, córką nauczycielki-emerytki, kobiety suchej, spłowiałej, schorowanej... Potem, po śmierci matki, stryj wprowadził ją w wysokie sfery, do których należała z urodzenia (ubóstwo pozostało ubóstwem, zmieniły się tylko stosunki, pozory, dążenia i myśli)—i wszystko się urwało... Pani Anna wydobyła z rozmaitych szuflad listy przyjaciółki, albumy, w których przepisywały poezye, fotografię matki, własną fotografię—i pogrążała się w przeszłość. Zwłaszcza lubiła patrzeć na siebie samą w krótkiej sukni, w białych pończochach, opartą o jakiś płotek, z koszykiem kwiatów w ręce... Te same były rysy... Ogarniał ją smutek, pomieszany z tęsknotą, z żalem, z dziwnem rozrzewnieniem... Wyrosła, wypiękniała zapewne, nabrała rozumu, oczytania, nauczyła się kilku języków, stała się panią Opolską... Wyrosła... Była niegdyś tą dziewczynką w krótkiej sukni, w białych pończochach, z grzywką na czole... Wyrosła... Potem pani Anna brała wyblakłą fotografię matki i wyłaniały się przed nią tamte dnie w dwu pokojach, z których jeden był sypialnym a drugi salonem i jadalnią, które matka umiała ozdobić, upiększyć, uszlachetnić swoim przedziwnym darem czy zmysłem estetycznym, w których uczyła się obok szumiącego samowaru, przy cichem nuceniu matki..

W albumie świeciły kalkomanie naklejone nad wierszami, wypisanemi ręką przyjaciółki.

„Święć się, święć się wieku młody...“

Pani Anna postanowiła odbyć wycieczkę do Warszawy zupełnie incognito—bez męża, bez lokaja, bez panny służącej i toalet—zamieszkać w podrzędnym hotelu, chodzić tamtemi ulicami w ubogiej dzielnicy, być w niedzielę w kościele Wszystkich Świętych, być na grobie matki na Powązkach, odwiedzić zapomnianą od wieków przyjaciółkę (z jej własnej winy) która wciąż trudniła się lekcyami... I ciągle trapiła ją gorzka myśl, że matka i tamta odepchnięta koleżanka były jedynemi osobami, które kochały ją

naprawdę... Może i ona sama kochała naprawdę tylko te dwie osoby?..

Ale i czar wspomnień wyczerpał się niebawem — i znowu ukazała się próżnia. Pani Anna zwróciła się do miłosierdzia. Znajdowała dawniej pewną sumę radości w czynieniu dobrze. Cieszyły ją poniekąd i szpitale, w których zdrowieli chorzy, albo wypoczywali po trudach życia nieuleczalni, i przytułek położniczy i ochronka i szkoła tkactwa i widok wsi zamożnych, doskonale zabudowanych, i półki ze zbrukanemi książeczkami w wypożyczalni...

Teraz i ta radość odjęła się jej.

Siadała u wezgłowia chorych, zmieniała im okłady, studziła jadło, gawędziła z niemi, lecz z jakąś suchą obojętnością, z jakiemś zamknięciem zatrzaśniętego serca czy duszy.

I dobrze było, gdy dzień się skończył i przychodził sen długi, mocny, leniwy. Nigdy jeszcze w życiu pani Anna nie spała tak dobrze, i nie ociągała się z wstawaniem tak do późna. Budziła się, pierwsze spojrzenie padało na jakiś sprzęt w sypialnym pokoju — którykolwiek — na krzesło, kryte adamaszkiem fraise ecrasée, na lustro z inkrustacyami, na feston firanek — i stawała przed nią nieubłagana nuda rzeczywistości. Wydawało się jej, iż szara płachta grubego sukna przykrywa ją od stóp do głowy— przywierała powieki i leżała bez ruchu.

Dopiero potem, wyliczywszy obowiązki, powtórzywszy naszkicowany z wieczora plan dnia, wysilała wolę i dzwoniła na pannę służącą, na miłą i ładną Olesię, (jej szczebiotliwa wesołość szczególnie cieszyła panią Annę w te dnie) wstawała, wdziewała jakąś strojną suknię i szła, pełna spokojnej władzy nad sobą, do jakiegoś zajęcia i nagle stawała w pół drogi, żeby oprzeć się o jakiś sprzęt, zamyślić się i potrzeć sobie czoło dla odegnania myśli, albo podczas rozmowy z interesantem ogarniało ją ziewanie uporczywe i częste, i podnosiła co chwilę rękę dla zasłonięcia ust...

Tymczasem śród tego tygodnia, który nie miał kresu, zdarzyło się coś w rodzaju rewolucyi pałacowej. Służba, jak zwykle i wszędzie, dzieliła się na pokłócone, nienawidzące siebie obozy, i ktoś z jednego z tych obozów przydybał faworytę pani Anny, miłą i ładną Olesię, na schadzce z jakimś drabem in flagranti, przeprowadził śledztwo, wcale dla oskarżonej niekorzystne, i wytoczył formalny proces przed panią.

Pani Anna była zwykle w takich wypadkach surową z zasady, i winowajczynię wydalano. Rozkaz wyszedł i tym razem,— i Olesia przyszła do niej na pożegnanie.

Stała u drzwi spłakana, zalękniona, czy udająca zalęknienie, ze spuszczonemi oczami, zgrabna, w zeszłorocznej sukni pani Anny, ściśnięta szerokim, skórzanym, żółtym pasem, miła, ładna i biedna.

Stała tak już dosyć długo, czekając na jakieś słowo z ust pani, która napróżno szukała w sobie gniewu, oburzenia i ostrych wymówek. Pani Anna odczytywała już niewiadomo który raz służebną książeczkę Olesi, na której błękitniał stempel kasyera: „opłacono.“

— Źle Olesiu!—odezwała się wreszcie zcicha.

Teraz Olesia podbiegła ku niej, rzuciła się jej do nóg, wybuchnęła płaczem, głowę wtuliła w jej suknię. Ten ruch i ten płacz były szczeremi.

— Nie płacz, Olesiu, nie płacz!—mówiła pani Anna gładząc dziewczynę po włosach.

— Pani moja, pani moja!..—szlochała tamta.

— Widzisz, Olesiu, jak to źle — bez przekonania, bezdźwięcznym głosem wnioskowała pani — jak to źle! I ja ciebie żałuję i ty mnie żałujesz... Lubiłam ciebie...

— Pani moja, pani moja...

Pani Anna dumała.

— Wyjdziesz za niego za mąż?—zapytała.

— Nie można pani — odparła dziewczyna, podnosząc mokrą, pałającą twarz.

— Dlaczego?

— Żonaty...—szepnęła Olesia, spuszczając oczy.

Pani Anna znowu popadła w zadumę. Ręka jej wciąż gładziła dziewczynę po włosach.

— Kochał ciebie?—nagle, cicho zapytała pani Anna.

Olesia parsknęła śmiechem, wnet stłumionym. Nie spodziewała się tego pytania.

— Tak — szepnęła, nanowo ukrywając śmiejącą się twarz w sukni swojej pani.

— Młoda jesteś, ładna... mogłabyś wyjść za mąż... i być szczęśliwą... a teraz co? po co to było?!—bez zapału i przekonania karciła pani Anna.

— Taki „dur“ pani... Broniłam się, nie pozwalałam, nie chciałam... Dur przyszedł.. — i Olesia prędko, trzpiotliwie, z płaczem i nagłemi uśmiechami, wstydliwie opowiedziała jej historyę swego przejścia.

Pani Anna zwiesiła głowę, bawiła się włosami dziewczyny, dumała.

— Po co to było... po co to było?!—szepnęła potem.

Znowu Olesia długo czekała na rozkaz stanowczy.

— Idź Olesiu, — cicho powiedziała pani Anna — książeczka zostanie u mnie.

Ku wielkiemu zdziwieniu całego dworu i zgorszeniu obozów niechętnych, panna służąca nie straciła miejsca; czeladź kiwała głowami, wspominając zdarzenia podobne, w których pani dotychczas nie dała się ułaskawić.

I znowu życie popłynęło trybem spokojnym. Było ranne śniadanie, potem obiad, potem podwieczorek, słońce świeciło z jednej strony domu, potem—z drugiej,— zachodziło... Pani Anna patrzała w zachodnie zorze i łany, w zachodnie blaski i, gdy płynęły przecudne różane obłoki, przypominały się jej, jak na majówce u Kamienieckich, marzenia młodości i sny, wiosenne nadzieje, wiośniane łzy szczęśliwej tęsknoty za czemś dalekiem niepojętem i niespełnionem, przeczysty poranek serca...

Biegły obłoki, gasły—zbiegły lata... Gdzie jest ten sen, sen—obłok, sen—zorza?..

Któregoś dnia po południu lokaj przyniósł na tacy list od pana rządcy. Pani Anna gorączkowo rozerwała kopertę.

„Jaśnie Wielmożna Pani -pisał tamten drobnem, ładnem, czytelnem pismem — (dawniej tytułował ją mniej oficyalnie) wczoraj nadeszła żniwiarka nowego typu, sprowadzona na rozporządzenie Pani z dnia 25/V r. b. a ponieważ JW. Pani była jej ciekawa, pozwalam sobie donieść, że dzisiaj o godzinie 4-ej odbędzie się próba w Kryłowiczach. Pełny poważania sługa.“

Pani Anna kazała natychmiast osiodłać konia, już miała przebrać się w amazonkę...

Odczytała list raz i drugi...

Stanęła u okna, splotła swoim zwyczajem ręce na głowie, zatopiła wzrok w zielonej ciżbie parku, ważyła...

Widziała oczami radości błękit nieba, złoty żar dnia, nieruchome łany dostałych zbóż, czuła drogi zapach suchych szeleszczących pod stopą ścierni, słyszała granie świerszczy... strzykają koniki polne, dumają w słońcu ciche złociste niwy... chyży skok konia, pęd, rozkoszny rytm na siodle... zespolenie z koniem...

Znalazła sto przyczyn, dla których odmówić swojej obecności na próbie nie mogła. Jak ptak z klatki, rwała się dusza z nudy istnienia do tej jednej, krótkiej chwili...

Tyle jeździli dawniej... takie dobre godziny!..

Ale gniewnie zwarły się usta, gniewnie zmarszczyły się brwi. Dobrze jej jest i bez tego!

„Proszę próbę urządzić bezemnie — odpisała na bilecie wizytowym—Jeśli żniwiarka jest zła, nie warto patrzeć, jeśli dobra— będzie chodziła i ja każdej chwili będę mogła ją widzieć...“

I szukała nerwowo rękawiczek, kapelusza i parasolki, żeby iść dokądkolwiek, żeby zabić czas... Szpital był najbliżej.

Od tygodnia leżała tam staruszka z sąsiedniego miasteczka, z tak zwanej klasy wyższej, która wogóle przyjmowaną nie była, lecz uczyniono tym razem wyjątek, ile że chora na prawdę przymierała z głodu.

Była to osoba tak nadmiernie wysoka, iż musiano sporządzić dla niej specyalne łóżko, bardzo chuda i wycieńczona, cicha, cierpliwa mimo bólów, które folgowały jej rzadko, nadzwyczajnie nabożna. Modliła się od rana do wieczora we dnie, modliła się w nocy, w godziny bezsenne, na pamięć i ze starych pożółkłych książek, przez złote okulary, biła się w piersi wyniszczoną ręką, wzdychała, szeptała różańce i nowenny, sylabizowała litanie, pościła trzy dni w tygodniu, pomimo zakazu doktora.

— To na pewną intencyę—mówiła z uporem—nie mogę, zrobiłam ofiarę...

Opowiedziała pani Annie historyę swego życia. Była wdową po urzędniku, miała syna jedynaka, utrzymywała się z emerytury i z procentów od jakiegoś kapitału. Syna oddała do seminaryum. Nauka kosztowała drogo, kapitał szczuplał, ale syn podrastał. Do święceń kapłańskich zostawało niewiele—marzenie jej życia miało się urzeczywistnić... Naraz otrzymała od syna list, w którym zawiadamiał ją, iż porzuca seminaryum. Ożenił się z osobą innego wyznania...

W tem miejscu staruszka urwała. Znieruchomiało jej wygasłe, znużone spojrzenie, zacisnęły się usta... Spoglądała w przestrzeń z trwogą, może ze zgrozą... Bała się...

— Odesłał mi potem—kończyła—w dużej pace książki swoje, łacińskie i polskie. Nie sprzedałam ich, nie otworzyłam paki... Chciałam oddać jakiemu klerykowi, któryby inaczej... Może pani po mojej śmierci znajdzie kogo...

Po za tem odzywała się rzadko. Z rzeczy tego świata nie zajmowało ją już nic zgoła... Ale pani Anna lubiła do niej przychodzić. W izdebce, małej i schludnej, jak celka zakonna, z jednem łóżkiem, krzesłem i stołem gościła cisza łagodna i dobrotliwa... Staruszka witała ją niezmiennie tem samem Bożem pozdrowieniem, kończyła swoje pacierze, odkładała modlitewniki albo różaniec, żegnała się i zdawała się na coś czekać. Pani Anna siadała na jedynem krześle i także milczała. Patrzała w bladą wy-

nędzniałą twarz staruszki, na jej białe, chude, pomarszczone, o wydatnych, niebieskich żyłach ręce, spokojnie spoczywające na kołdrze, jak gdyby w książkę jaką, w starą, w mądrą książkę... Upływały ciche chwile... Zegar na korytarzu wybijał kwadranse... Powoli, wązką ścieżką pieszą, przez łąkę, na przełaj od tamtego cmentarza, gdzie szumią brzozy, szła śmierć, pełna spokoju, i dobroci, pełna miłosierdzia... Pochyli się nad bladem czołem staruszki, łagodną dłonią dotknie srebrnych, wątłych włosów, złoży pocałunek... Idzie śmierć... Pani Anna słyszała stąpanie... I staruszka jak gdyby słuchała...

Nie okazywała bojaźni. Nikły uśmiech przewijał się przez jej oblicze, gdy pani Anna pytała ją o zdrowie.

— Już prędko — odpowiadała zwykle.

I znowu słuchała ciszy, w której tak cicho, jak tchnienie jej piersi, zbliżała się śmierć.

Panią Annę ogarniał spokój w jej obecności i widziało się jej, że już nie pragnie niczego, że radaby była odbijać już od brzegu, że oddalałaby się z takim samym świetlanym uśmiechem, jak staruszka...

Brała ją za rękę, gładziła tę biedną, strudzoną rękę, chciała nieść ją do ust... Czasami wspierając łokcie na kolanach, z głową w dłoniach, długo, zbliska, uważnie, badawczo wpatrywała się w nieruchome, znużone, wygasłe, ale pełne w pewnych chwilach światła, oczy chorej... Skąd jest ten blask dziwny, ten płomień świecący, skąd w tem ciele, już prawie obumarłem, ogień życia, które nie gaśnie, które wie, że nie zgaśnie, ogień który się wzmaga, rozpala.. Skąd jest ta moc?..

Promienne spojrzenie chorej przenikało ją, mówiło jej o czemś, pytało ją, wstydziło... Pani Anna odsuwała się...

— Pani jest bardzo cierpliwa — zagadywała swój strach.

Chora uśmiechała się.

— Cóżbym ja była warta, gdybym i tej małej biedy znieść nie mogła?

— I pani nic a nic się nie boi?

— Czego?

— Śmierci—szepnęła pani Anna.

— Ja czekam, ja radość mam wielką — cicho poruszały się sine wargi chorej.

Pani Anna bała się, a ta, po którą ostrożnie, wolno a nieodzownie zbliżała się śmierć, — nie.

— Doktor mówił, że pani jest lepiej, że pani wyzdrowieje— kłamała raz pani Anna, ciekawa wrażenia, wywołanego nadzieją.

— Oni nic nie wiedzą — spokojnie i stanowczo odpowiadała staruszka—ja wiem, że już blisko—śniło mi się surowe mięso—to na śmierć... Ale ja i bez tego wiem...

— Pani wie—powtarzała pani Anna i oglądała się na drzwi, jak gdyby tam już stała — tamta, cicha, groźna, obecna a niewidzialna postać...

Dnia tego pani Anna usiadła i nie przemówiła nic.

Apatycznie zwiesiła głowę.

— Pani moja smutna dzisiaj — niespodzianie pierwsza odezwała się chora.

— Chyba nie... jak zwykle...

— To źle, to niedobrze... nie powinno tak być... — nieśmiało mówiła staruszka.

— Dlaczego?

— Pan Bóg dał pani tyle łask: zdrowie, bogactwo, rozum, dobroć...

— A ja na panią patrzę z zazdrością—z bladym uśmiechem odparła pani Anna.

— Jakto pani?—przeraziła się staruszka—ja chora, opuszczona, nędzarka. Pani taka szczęśliwa, Bóg pani dużo dał, bo On wiedział, że pani odda...

— Odda?—ze zdziwieniem powtórzyła pani Anna — komu?

— Jemu—krótko, poważnie powiedziała staruszka.

Pani Anna zamyśliła się.

— Żyć i oddawać Bogu—szepnęła, słuchając własnych myśli.

Chora spoglądała na nią uważnie.

— Bóg daje — rzekła cicho, zaledwie poruszając ustami—i trzeba oddać... człowiek jest grzeszny... — zmarszczyła się, chwyciły ją boleści.

Pani Anna podała jej jakieś lekarstwo, zadzwoniła na dozorczynię i wyszła.

Rozważała nieśmiałe słowa chorej, przechadzając się pod drzewami parku.

Alboż zawierały nową naukę, głębię mądrości? Były tylko powtórzeniem katechizmu.

Kto ciebie stworzył?—Pan Bóg. Poco stworzył ciebie Pan Bóg? Żebym Go kochał, chwalił... Umiała to wszystko na pamięć... A jednak w nieznanem oświetleniu stanęło przed nią życie... Żyć i oddawać Bogu... Co oddawać? Całego siebie... każdą myśl, każde pragnienie, każdy trud...

Tak żyła tamta uboga, prosta, niewykształcona staruszka... i tego wymaga od niej; karciła ją wzrokiem, karciła słowami—

Więc w jej przekonaniu ona, Anna Opolska, nie żyła podług przepisów Bożych, i zasługiwała na naganę!.. Oddawać Bogu!.. Wyrzec się wszystkiego i wszystko oddać Bogu... Nikt nigdy nie wymagał tego od niej.

Od najwcześniejszych lat była gorliwą i wierną córką kościoła, nie opuszczała mszy, zachowywała posty, spowiadała się, spełniała wszystkie dziesięć i wszystkie pięć przykazań... Znała swoje grzechy, swoje usterki i skazy i wyliczała je zwięźle a rozumnie na spowiedziach—jakiś spowiednik nazwał ją naturą przejrzystą— kładła je na karb niedoskonałości ludzkiej i miała przeświadczenie, iż życie jej jest dobrem, a to przeświadczenie było jednem z warunków jej szczęścia.

Pani Anna mówiła zwykle, iż na jej miejscu nie każdy potrafiłby iść tak jak ona bez błędu i tak spełniać obowiązki... Pytana nieraz od siebie samej, czy jest dobrą żoną, odpowiadała spokojnie i nieobłudnie, nie spuszczając oczu, że w obec człowieka, któremu, nie kochając, przysięgła przed ołtarzem, czyni wszystko, czego od niej wymaga kościół i własny, moralny dogmat duszy... Co do reszty, niech mówią za nią pochwały ludzkie, uznanie społeczeństwa...

W pewnych chwilach pani Anna Opolska była nawet dumną z siebie... Dziś usłyszała wyraźny zarzut... A może jej się wydało!?

Zresztą nie poto szła do staruszki, nie poto, żeby wstrząsnąć sumieniem, przejąć się skruchą, nauczyć się cierpliwości i poddania się. Serce jej rozrywa wołanie nieutulone, niby wołanie dziecka na pustych ulicach śpiącego miasta... Kto jej da to, czego pragnie, kto jej powie, jakiem jest to wołające pragnienie?..

Powiodła okiem dokoła. Błękitny dzień. Pszczoły brzęczą, miodne wonie kołyszą się w powietrzu, białe, jasnolice smugi słoneczne drżą na ścieżce, jak gdyby coś szeptały, drżą jak struny. Nad trawnikiem sterczą w tem ustroniu, dawno niekoszonem, szczawie brunatne i żółte dmuchawce, gdzie niegdzie już przekwitłe. Powiew strąca ze sztywnych łodyg puszki. Te puchy wieją w przestrzeń i spływają wolno na ziemię — lekkie, skrzydlate, znikome... Ciche, olbrzymie drzewa...

Na niebie białe, świecące w słońcu obłoki, które są jak senne myśli na marzącem czole, jak biało kwiaty szczęścia, jak ciche dźwięki słodkiej symfonji jakiejś nadziemskiej, niebieskiej symfonji, której się słucha oczami... i płyną te dźwięki, płyną powoli białym szeregiem, akord po akordzie i pieśń trwa, lazurowa pieśń niebios, której słucha się oczami... morze błękitu... ciche olbrzymie drzewa...

Wróble świergocą w wiśniowych kuszczach, czasami wzbije się przedziwnie słodkie i przedziwnie tęskne wołanie wiewilgi... Tak w bezmiarze szczęścia tęskni samo szczęście, ogarnięte przeczuciem końca... Gdzie szczęście, które trwa bez końca?

Znowu woła wiewilga... morze błękitu, białe obłoki, ciche, olbrzymie drzewa...

— Oto jest dzień radości, godzina szczęścia, chwila zachwytu—powtarzała cierpkiemi wargami — była surowa zima lodowej niewoli, mroźnego nieszczęścia, zmartwiałej nudy, potem była wiosna nadziei i oczekiwania, wiosenny sen o lecie, o gorącem, wonnem słonecznem lecie, sen o takim dniu szczęścia... i spełnił się sen, stały się nadzieje, przyszło lato... przyszedł dzień radości, godzina zachwytu... A człowiek? Przychodziż w życiu człowieczem po zimie i wiośnie szczęście lata?

Cierpki wyraz osiadł na poszarzałej, zmęczonej jej twarzy.

XXII.

W dniu swoich imienin pani Anna otrzymała kolczyki od męża, kosz kwiatów od Leona Niezaminowskiego, dawnego wielbiciela, pełny słodkich pochlebstw list od pani Henryetty Kamienieckiej, która zapowiadała swoje przybycie „avec toute sa bande,“ mnóstwo telegramów i listów,—i, ku wielkiemu zdziwieniu swemu, od chorej staruszki bardzo starą książkę do nabożeństwa, wydaną w Wilnie roku 1824-go z następującą dedykacyą, wypisaną trzęsącem się pismem, z błędami ortografii: „Pani mojej, opiekunce i dobrodziejce, pokorna sługa w dniu świętej patronki Anny, z modlitwą na jej intencyę na uproszenie łaski.“

Przychodziły także, jak co roku, deputacye od ochronki, od szpitala, od przytułku, od szkoły tkactwa... Były to nudne ceremonie...

Potem trwały narady z ogrodnikiem co do kwiatów i z kucharzem w sprawie obiadu, który musiał być wykwintny i wystawny, bo taka już była tradycya, bo tego wymagał Opolski, bo do tego przywykli tłumnie zjeżdżający się goście... Pani Anna wolałaby zamknąć się w piwnicy, wolałaby pojść z pasztuszkami na cały dzień w pole, wolałaby może zachorować obłożnie, niż celebrować tę uroczystość z uśmiechem na twarzy w świetnych szatach, w tłoku i gwarze... Dawniej lubiła tę fetę... Dziś, po załatwieniu naj-

niezbędniejszych czynności zamknęła się w swoim gabinecie, żeby nie patrzeć na olbrzymi stół w podkowę, na gorączkę służby, na stosy kwiatów... Komu to było potrzebne, dla kogo ma być to święto i ta uczta? Przed laty, zaraz po zamążpójściu chodziło jej o to, żeby stanąć mocną stopą na nowem stanowisku, żeby zdobyć okolicę i położyć kres gawędom tych, którzy wiedzieli o niej tylko, że była ubogą, i że dawała lekcye, i krzywili się na t. zw. mezalians Opolskiego, więc rada była sposobności, iż może olśniewać, zachwycać, podbijać, nawracać.. Lecz teraz, jakże mało grzeją ją te pochwały i hołdy!..

Wejdzie do salonu — myślała—w nadzwyczajnej sukni, sprowadzonej niedawno z Paryża, w brylantach, perłach i szmaragdach, jakich nie posiada nikt może i w Warszawie — i co? Leon Niezaminowski będzie się nasuwał, starzy panowie otoczą ją kołem— będzie czuła na sobie ich świecące, brzydkie, przykre spojrzenia!.. Tak samo niegdyś na karnawałach w Warszawie otaczali ją panowie, tylko, że nie rozumiała jeszcze wówczas ukrytej treści tych spojrzeń...

Powoli jęły panią Annę osnuwać wspomnienia i powoli płynęło przed zamyślonym jej wzrokiem życie sącząc się przez smutek serca, zaprawione goryczą żalu.

Od czasu śmierci matki, od chwili, gdy stryj wziął ją pod swoją opiekę, była zawsze samotną. Skończyły się tamte, być może mieszczańskie, być może pospolite, jasne wszakże dnie w dwu pokojach na wysokiem piętrze, a w niskiej dzielnicy pod skrzydłem—tak pod skrzydłem — serdecznem i dobrem matki, zawsze wesołej, zawsze mównej, zawsze pełnej śmiechu. Na oknach były tanie kwiaty w wazonach (matka kochała kwiaty, muzykę i poezyę) na ścianach oleodruki, na etażerce—tomiki wierszy—słuchała poezyi, cichego śpiewu matki, uczyła się lubić kwiaty... Matka polewała je, ocierała z kurzu, przenosiła z okna na okno pod słońce, czekała, żeby zakwitły, cieszyła się..., wtajemniczała ją w życie rośliny, brała jej małą, dziecinną rączkę i głaskała nią liście... czasami matka opowiadała jej o wsi, o polach, o runiach, na które sypie śnieg, o pierwszym kiełku wiosennym, o białych motylach, które w dnie słoneczne fruwają dokoła kwitnących bzów... Chodziły do Łazienek, patrzeć jak topnieje śnieg, jak ukazują się z pod zimy trawniki, jak słońce płonącym pocałunkiem budzi ziemię, jak drżą radością drzewa, i powoli dzień po dniu rozchylają się pąki...

Marzyły obie o własnym kawałku ziemi, które mogły dostać chyba na księżycu, o tem, że będą chodziły własnemi miedzami śród własnych zbóż, które „chylą się do stóp z szelestem powi-

talnym," że będą sadziły kwiaty i drzewa, że „usiądą między kwitnące jabłoni, w słodkim deszczu płatków, w słodkiej woni"...

— Zobaczysz—mówiła matka ze swoim bezprzykładnym optymizmem—to wszystko przyjdzie... Nie wiem jak, ale to przyjdzie... Będziemy miały ogrody i pola i drzewa i sad...

— Mamo — rozsądnie zaprzeczała córka — Pani Końska (to była matka koleżanki, nauczycielka-emerytka) była biedną, jest biedną i będzie. Są bogaci i biedni, i nic się nie zmienia.

— Zmienia się... Byliśmy z ojcem twoim bogaci, straciliśmy— i znowu powróci... Zobaczysz...

I dalej tkały świecącą tkaninę nadziei i marzeń...

To skończyło się ze śmiercią matki (czy rosną tam kwiaty na jej grobie? A może przewieźć jej prochy tu pod szumiące drzewa parku? Szkoda, iż nie uczyniła tego dawniej). Stryj, równie biedny jak ojciec i z tej samej przyczyny, nie przeniósł jej w dostatki bo nie mógł, ale przeniósł w wysokie sfery społeczne, w których tkwił, z któremi zerwać nie chciał, do których pragnął, aby należała i ona, córka wielkiego rodu hrabiów Starzechowskich. Był to człowiek dobry, ale, jak teraz sądziła go pani Anna, nad wszelki wyraz próżny i światowy, a także zimny i ograniczony. Żył, oddychał i jadał (miał kilka domów, do których chodził bez ceremonii na obiady i śniadania) tylko w wielkim świecie, tam tylko rozumiał życie, dzielił ludzi na dwa gatunki, na tych, których się „spotyka" i tych, których się „nie spotyka," i sam starał się, aby go wszędzie spotykano. Nie było w kraju rezydencyi, w którejby nie przebawił kilku letnich miesięcy, nie było rodu, któregoby początków i historyi nie umiał na pamięć, nie było uroczystości, w którejby nie brał ważnego udziału. On był drużbą na wszystkich ślubach arystokratycznych starszego pokolenia, on trzymał do chrztu wszystkie możne jedynaczki i wszystkich możnych jedynaków; on czuwał nawet podczas połogów... Tak opowiadał... W nagrodę za to wszystko otrzymał synekurę, skromnie płatną ale dożywotnią, dzięki której mógł nająć jakie takie mieszkanie, ubierać się podług mody u pierwszorzędnego krawca (miał rzadki dar noszenia i nie znaszania ubrań), kupować u antykwarjuszów porcelanę i sztychy i zająć się wychowaniem synowicy. Zaczął od tego, iż przebrał ją w nową suknię, i zawiózł do wszystkich znajomych domów i polecił względom wszystkich matron. Potem posyłał ją na naukę — nie na pensyę, co uważał za niedarowaną profanacyę nazwiska Starzechowskich, ale do wielkich domów, gdzie mała „Anne" przysiadała się do rówieśnic na lekcyach i słuchała wykładów... Była zdolną, więc korzystała i zawsze

wszystko umiała lepiej od koleżanek. Nauczyła się mówić biegle kilku językami, nauczyła się grać, nauczyła się modnych podówczas gier sportowych, nabrała form... Tak mijały lata. Wakacyjne miesiące spędzała zwykle ze stryjem w jednym z licznych przyjaznych pałaców, zimę — w Warszawie dzieląc czas między lekcye, „zabawy na świeżem powietrzu,“ które zaczęły właśnie wchodzić w modę, importowane z Anglji, a obiady i śniadania.

Stryj prawie zawsze brał ją ze sobą. Jeżeli zostawała w domu, jadła okropne zupy, które przynosiła jej żona portyera, i nudziła się w ponurem, zimnem, źle opalonem mieszkaniu stryja. To były godziny najnieznośniejsze. I teraz przebiegał ją dreszcz na samo ich wspomnienie. Głód, nuda i chłód... posępne pokoje, pełne kosztownej porcelany, cennych mebli, sztychów, i kurzu... Nuda, niby olbrzymi pająk, snuła dokoła niej okropną pajęczynę, która pętała ją, ściskała, dławiła... Płakała nieraz... Stryj wracał późnym wieczorem, elegancki, podniecony dobrem winem, mówny. Opowiadał jej ostatnie nowiny dnia... Warunki życia niekoniecznie były normalne: szare ubóstwo w domu, obracanie się śród bogatych i szczęśliwych, przyjmowanie łaski, życie na cudzy koszt... Mogły spaczyć charakter, napoić goryczą, nauczyć zawiści... Czystych radości, szczerych uciech, prostych, młodocianych wybuchów i zapałów nie było przez tamte lata, nie było także przyjaźni, gorących zwierzeń serca, które są jak deszcz obfity w czas posuchy, i marzeń wspólnych, które wznoszą duszę niby skrzydła... Z kim że było marzyć? I serce schło a zazdrość czołgała się każdej chwili, tak jak czołga się wąż spodem wysokich traw ogrodu...

Pani Anna nie miała nigdy rubla na własne przyjemności, nie kupiła nigdy kwiatów, ni książki, nie była nigdy w teatrze... Na loże pieniędzy nie starczyło, a Starzechowscy nie mogli pospolitować się w ostatnich rzędach krzeseł. Tylko suknie i kapelusze były modne, tylko trzeba było zawsze mieć nowe rękawiczki...

Wówczas to dojrzało w niej postanowienie zdobycia bogactwa i stanowiska. Była piękną, stryj wierzył w możliwość zrobienia świetnej partyi, opowiadał po dziesięć razy znane historye o ubogich pannach, które znalazły los na karnawale. Z kapitału, który został po matce, zrobiono kilka sukień—i pani Anna wystąpiła w świecie na balach. Była piękną, śmiałą i rozumną, panowie garnęli się do niej tłumem, tańczyła, słyszała pochwały i zachwyty. Wówczas to zakochał się w niej na zabój Leon Niezaminowski, obecny prezes Ugodzińskiego Towarzystwa Rolniczego— ale wolał wziąć posag i zaręczył się z kim innym... Nie lubi tego człowieka... Zapewne dlatego, że podobał się jej—on jedyny,— że

imponował jej chłodnemi błyskami rozumu, zwycięską zdobywczością charakteru... Nie lubi tego człowieka...

Karnawał wyczerpał ostatki funduszu, stryj gryzł się i trapił ją wymówkami za brak sprytu i zręczności — przyszły ciężkie czasy. Pani Anna zaczęła dawać lekcye w warszawskiej haute finance, wysoko płatne, nie przestając bywać... potem znalazł się Opolski, bardzo bogaty, stary i skąpy, ale łagodny i rozmiłowany w niej—i poszła za niego... Zdobyła...

Przeżywała teraz na nowo te gorzkie czasy, które przedstawiały się jej jak gdyby doganianie na piechotę po błocie ulicy pędzących karet. Co było w nich najbardziej gorzkiem? Ubóstwo, upokorzenia, łachman pozorów, zawiść, nieustająca nigdy samotność serca? albo może to, że znosiła to wszystko, że zgodziła się znosić to wszystko? Więc na samem dnie duszy leżały te same, co u stryja ideały, ta sama filozofia życia? Więc tak samo, jak stryj, chciała wygodnie i świetnie wydać siebie za mąż, nie widząc innej drogi dla siebie... Nie było hartu i męstwa, nie było siły i dumy... I jeszcze jedno. Do tego najtrudniej przyznać się... Nie było także prawdy i serca...

Stryj, człowiek ograniczony i próżny, pełny przesądów, człowiek starej daty, nie mógł myśleć i pragnąć inaczej — ale ona! Każdy postępek, każdy zamiar podlegał sądowi szczegółowemu, badaniom rozważnym i trzeźwym, krytyce, opartej na „moralnym dogmacie duszy...“

I nie opierała się. Dążyła z własnej woli, własnym przemysłem torowała sobie drogę — do upragnionego, jedynego celu, który się wówczas przed nią rysował. Człowieka poznaje się nie po tem, co osiągnął, ale po celach jego... Cel był wzniosły!..

Bała się podobieństwa do Pawła Naborowskiego, ale ten przecież mierzył dalej i sięgał wyżej...

Mroczne rozmyślania pochłonęły panią Annę. Docierała do ostępów i uroczysk, do kryjówek, których unikała starannie podczas obcowania z sobą, i nieledwie pogarda — najboleśniejsza pogarda dla własnej duszy, przejmowała ją na wskroś... podarłaby na strzępy przeszłość, tak jak się drze suknię...

Była tak zadumaną, że nie zauważyła lokaja, który jej kogoś meldował, że zapomniała, iż ruchem głowy kazała tego kogoś prosić. Stefan ukazał się na progu.

Drgnęła, mimowoli poprawiła sobie włosy, dotknęła kolczyków, dotknęła chustką czoła i twarzy, jak gdyby chciała zetrzeć tamte myśli...

Stefan wyglądał odświętnie w tużurku, z krawatem niedzielnym, zawsze tym samym, błękitnym w żółtą kratkę, ze szpilką w krawacie, niekoniecznie gustowną, niekoniecznie cenną... Potknął się o jakąś fałdę na dywanie, ukłonił się niekoniecznie elegancko...

— Przyszedłem złożyć Pani doroczne życzenia — mówił bardzo spokojnie, dobitnie i zimno — pochylił się do jej ręki i zaledwie musnął ją ustami.

— Dziękuję... proszę, niech pan siada...

I siedzieli na przeciwko siebie, jak w tamtą niedzielę, w tym samym pokoju, na tych samych krzesłach — w milczeniu.

— Gorąco?—zapytała pani Anna.

— Tak, trochę...

— A barometr?

— Stoi na pogodzie.

— To bardzo pomyślnie.

— Tak, zbiory... owies, jęczmień...

Odpowiadał bez zmieszania, pewny siebie i zimny, patrzał jej nawet prosto w oczy. Zdało się, iż wzrok jego w jakimś momencie dotknął szyderczo jej nowych z olbrzymiemi szmaragdami kolczyków... kolczyki zadrżały w uszach...

— A żniwiarka panie?

— Użyteczna. Jest mniej skomplikowaną niż dawniejsze, więc będzie trwalszą.

— Ale zapewne droga? I rachunek w składzie narzędzi rolniczych rośnie!

— Przysłałem go pani w zeszłą niedzielę.

— Przejrzałam. Mój mąż ciągle narzeka na olbrzymie wydatki i brak dochodów...

Po raz pierwszy powołała się na męża — była to także wyraźna nagana. Krew trysnęła mu do mizernej, jak gdyby po długiej chorobie twarzy, ale pohamował się.

— Każda rubryka wydatków gospodarczych była w swoim czasie przedstawiona pani—rzekł bardzo obojętnie.

— Ależ tak... Ja rozumiem i nie narzekam... Mój mąż wolałby po staroświecku...

— Pozwolę sobie zapytać panią, dlaczego pani bez uprzedniego porozumienia się ze mną oddaliła kasyera, który, że tak powiem, był z mego ramienia...

— Tak chciałam... zresztą były przyczyny — odparła oschle.

Nastało milczenie.

— Mam nadzieję, że pan nie odmówi nam swojej obecności dziś na obiedzie i wieczorem...

— Dziękuje pani... Bardzobym chciał, ale nawał zajęć...—tłómaczył się z pewnym przymusem.

Badała go uważnie.

— Nawał zajęć — kończył już obojętnie — tembardziej, że muszę doprowadzić rachunki i interesy do porządku, jak zwykle przed przejściem zarządu w inne ręce... Przyszedłem właśnie prosić panią... raczej zapowiedzieć, że nie mogę nadal pozostawać na stanowisku—zimno szczękały jego słowa.

— Tak--powiedziała.

— Bardzo żałuję, bardzo żałować będziemy—dodała po chwili.

— Zastępcę mogę wyszukać śród swoich kolegów...

— Dziękuję panu. Nie może pan odmówić nam pomocy w tej sprawie... Nie byliśmy przygotowani...

— Dziś, zaraz napiszę listy... Mam nadzieję, iż za parę tygodni najdalej...

Nie miała nic więcej do powiedzenia.

Stefan ukłonił się i, potknąwszy się o tę samą fałdę na dywanie, wyszedł.

Pani Anna splotła ręce na głowie.

— Tak, tak—powtarzała bezmyślnie—tak, tak...

Patrzała w przestrzeń, może w świetlisty, ukośny, od okna idący słup kurzawy, w atomy pyłu drżące na promieniu słonecznym.

— Oto czem my oddychamy — wyłoniła się w próżni jej głowy pierwsza myśl—i długo nie było żadnej innej.

— Kurz, tyle kurzu, kurz!..—myślała wciąż. I przypomniało się jej okno z taniemi wazony, które matka skrapiała wodą, żeby rośliny nie cierpiały od kurzu... Wartoż jej samej było rosnąć i oddychać, wciągać do płuc taką mnogość brudu? Wartoż było? Gdzie tamto okno, przez które wychylała się wówczas — szczęśliwa... Wyrosła...

Na widok tego ukośnego słupa pyłu chciało się jej płakać, jak dziecku. W pokoju jej dzieciństwa był taki sam słup o rannych godzinach... Gdybyż mogła rozpłakać się jak dziecko!.. Ale nawet dzieckiem nie umiała płakać. „Gdyby dziecka nie nauczono mówić...“ zabrzmiało jej w uszach... I dobrze.

Skończy się ta nieznośna rozterka, ustąpią myśli natrętne, przyjdzie spokój, uczyni się cisza... Zostanie znów sama w Pepłowie, w tym „raju,“ który zdaniem ogółu stworzyły jej serce i rozum, odpocznie, zapomni, pójdzie dalej swoją drogą, jak dawniej niezmącona, wyniosła i jasna... Raj będzie rajem... Naprawdę istny raj...

A w tym „raju“ było źle jedynemu człowiekowi, temu, który to wszystko ukochał, dźwignął—i odjeżdża.

Bawiła się z nim w ideały, w pracę, w przyjaźń — potem... Niech odjeżdża! Tylko to jest niewłaściwem, iż może czuje się pokrzywdzonym, obrażonym, zawiedzionym, że on może piastuje jakieś złudzenia...

A jest jej tak nadzwyczajnie obojętnym, iż, chcąc nawet, nie mogłaby obrazić go albo skrzywdzić. Przestał dla niej istnieć. Więc źle jest, iż on sobie coś roi, że na karcie ich stosunku zapisuje jakieś wspomnienia i żale, jakieś rachunki. Ta karta powinna być czysta i zimna, jak ćwiartka niezapisanego papieru... Tymczasem ona sama poczęła wikłać... Dumała...

Myśli chłodne, jak rzeka w pierwszy mróz, gdy toczy się wązkim strumieniem pomiędzy lodem, krzepnącym u brzegów, myśli chłodne biegły przez serce, myśli rozsądku i dumy, myśli gniewu i cierpienia. Dumała...

Naraz wstała i posłała po Stefana. Powiedziała sobie, iż trzeba, żeby pożegnała go dziś, zaraz z prostotą i słowem serdecznem dla rozwiania wszelkich złudzeń, odparcia każdego przypuszczenia, zburzenia niewłaściwych pozorów, tak jak pożegnałaby każdego życzliwego i przyjaznego człowieka, który położył niepospolite zasługi... Postanowiła być spokojną a zarazem serdeczną i prostą... Tymczasem dziwnie biło w niej serce i niepomiernie dłużyły się chwile czekania i bała się, że nie przyjdzie. Chodziła po gabinecie, zbliżała się do okna, wyjmowała z za paska zegarek na grubym, złotym łańcuchu... Stefan przyszedł natychmiast, w tym samym tużurku, którego nie zdążył zrzucić. Był zdumiony i zmieszany. Już oczy jego nie mierzyły jej spojrzeniem wyniosłem i obojętnem. Drgały mu mięśnie na twarzy, chmura kładła się na czole.

— Pani mnie wzywała?—zapytał.

— Tak, panie... Zamiar... decyzya pana zaskoczyła mnie znienacka — usiłowała patrzeć w niego spokojnie — nie podziękowałam panu, jak należało za tyle trudów, za zapał, za wszystko, co pan stworzył...

Wydawało się jej, iż mówi z prostotą, serdecznie, a zarazem obojętnie, jak tego chciała, tymczasem łamał się jej głos i słowa padały niepewne, nieśmiałe, ciche, prawie błagalne.

Stefan zwiesił głowę i gniótł wzruszonemi dłońmi jakąś fotografję, wziętą ze stołu.

— Postanowienie pana zaskoczyło mnie znienacka i nie wyraziłam wdzięczności—powtórzyła.

Zabrakło jej naraz treści. Myśli rwały się i znikały, okresy, przygotowane zawczasu, zapadały w próżnię, była bezradna i słaba, patrzała tylko w niego.

— Obowiązek... spełniałem tylko obowiązek — cicho rzekł Stefan, nie podnosząc głowy.

— Tak,—powiedziała echowo, głosem bezwiednym.

— Gorąca wdzięczność należy się i pani odemnie... — urwał.

Milczeli.

— A nie mógłby Pan jeszcze zmienić, odłożyć... zostać?... — poprosiła cudzemi wargami, spełniając cudzą wolę.

Stefanowi dziwnie poczęło marszczyć się czoło i dziwnie mrużyły się oczy, jak gdyby od męczącego blasku.

— Nie mogę, pani — szepnął.

Nagle w jednym momencie stajał w niej lód rozsądnego postanowienia; opanowały ją ogromny żal i ogromna litość, litość nad nim, nad sobą, nad życiem, nad wszystkim...

Nie warto cierpieć, nie warto!.. Życie mija... Nuda i pustka... Nie miała nigdy nic... jeszcze chwilę szczęścia...

Niby błyskawica zajaśniało nad jej duszą.

— Panie—prosiła cicho, błagalnie, pochylając się ku niemu — Dlaczego? Com panu zrobiła? Pracowaliśmy razem... Było nam dobrze... prawda? Pokochaliśmy trudy nasze... było nam dobrze... prawda? Nagle pan... Dlaczego? Co będzie bez pana? Ta praca, to wszystko i ja? Życie mija, krótkie, ciężkie, panie... nie warto!.. —położyła mu rękę na ramieniu. Pasował się z sobą... Biała, droga ręka dotyka go, cudna umiłowana twarz pochyla się, biedna, umęczona, blada, bolesna twarz... Taką nie była nigdy... To dla niego, za niego... Biedna, zmęczona, blada, bolesna twarz...

— Panie—prosiła z prostotą trochę jak dziecko — niech pan zostanie... rok, dwa... potem, nie wiem... nie warto, panie...

Było nad siły jego. Biedna, bolesna, blada twarz...

Zsunął się na kolana i w jakiemś bezpamiętnem rozmodleniu duszy, całował rąbek jej sukni, potem tę rękę białą, drogą, biedną...

— Nie mogę, pani... pani widzi, że nie mogę... nie mogę...— szeptał.

XXIII.

Na gościńcu, wiodącym do Pepłowa unosiły się kłęby kurzawy i turkotało bez ustanku. Zjazd gości był liczniejszy niż kiedy. Przyjeżdżał każdy, kto mógł, kto miał parę koni, jaką taką „dryndę“ i tużurek, (eleganckie towarzystwo było we frakach), gdyż pani Anna Opolska w dniu tym z zasady przyjmowała wszystkich i wszystkim była rada.

Stefan na ganku od wjazdu w zastępstwie gospodarza witał, wysadzał, rozbierał, wprowadzał — z zamaszystemi giestami, z jakąś nadzwyczajną radością na promieniejącem obliczu, ze szczególnym zapałem.

Rękę Hanki Skibowskiej przetrzymał w dłoniach i zajrzał jej w twarz pod słomkowy kapelusz tak natarczywie i serdecznie, że potknęła się na schodach i wypuściła parasolkę; sztywnego Pawła przycisnął do piersi, Turowskiego, który konno, ostrym galopem, z ekscentrycznie rozwiewającemi się połami długiego surduta zajechał pod dom, całował długo i głośno... W salonie nie mógł zagrzać miejsca. Snuł od grupy do grupy, zaczepiał panie, nawet mało znane, dobrotliwie żartował z panami, przysiadał się i wstawał i szedł do służby niepotrzebnie naglić o obiad, brał garściami kwiaty z obrusa i wąchał je gwałtownie, jak gdyby wychylał z kieliszka wino, stawał u otwartych okien...

Tam, nad aksamitem trawników, nad zielonemi festonami alei, nad całą panoramą parku marzyła cisza, marzyły niebiosa; na błękicie wody migocą skry słoneczne, rzekłbyś płonące wyrazy miłosnego szeptu; kwiaty z klombów patrzą tysiącem płomiennych ócz, senne drzewa umilkły w upojeniu — już im niczego nie trzeba: oto są obok siebie na wieki, oto trwają w nieskończonem niemem uściśnieniu, tylko liście, najwyższe liście samych wierzchołków drżą w lazurze i szemrzą z rozkoszy... Biedne drzewa, rosnące samotnie, biedne drzewa — w rozłące... oto jedno, drugie, trzecie... samotne drzewa...

I znowu, jak wówczas w godzinie rozpaczy, gdy tkwił nieruchomy pod drzewem, odezwała się w duszy Stefana mowa niepojęta, otworzyło się jakby ucho uważne i czujne, którem pojmował i mowę duszy własnej i mowę niebios, tajemną mowę rzeczy niewysłowionych... Nie wiedział tylko, czy to było szczęście, czy bezmiar boleści... Szczęście, niezmierne szczęście...

W salonie pani Anna po raz pierwszy bez brylantów, pereł i szmaragdów (nie zmieniła także swojej popołudniowej sukni na ową paryską — nie chciała) pełniła swoje obowiązki... Jak królowa płynęła śród gości. Była świetną... Cudny jej śmiech brzmiał co chwilę. Czasami szukała oczami Stefana. Po nad głowami gości całowały się ich szybkie spojrzenia, i porozumiewały się niby w uścisku przelotnym serca.

„Tak, tak — mówiły ich oczy — tak, tak...“

A dusze, jak ptaki, szybowały w przyszłość, pławiły się w szczęściu, jak ptaki w niebiosach i, bijąc skrzydły, zlatywały na drzewo zielone nad wodę, wielką i czystą... Nad tonią błękitną,

nad tonią wielką i czystą, śniły ich dusze swój sen, sen nieprzerwany, jedyny sen...

Rozmawiali każdy z osobna, śmiali się, zabawiali gości, mówili słowa rozumne i głupie, czuwali nad porządkiem i programem przyjęcia, nawet przebiegle unikali siebie—a sen wciąż trwał i dusze ich były razem i nie mijała tamta, pierwsza, poranna chwila szczęścia i nie było godzin, ni zmiany — było szczęście...

A towarzystwo, jakkolwiek nad wszelki wyraz mieszane, zabawiało się wybornie. Zaraz utworzyły się grupy, kasty, klasy i kółka—podług reguł krystalizacyi salonowej—i, zapanowały wesołość i gwar, i każdy robił, co mu się żywnie podobało.

Stary, malutki, siwy, jak gołąb, o drobnej głowie gołębiej, marszałek ze wstęgami orderów na gorsie i fraku, rozglądając się po ludziach, powtarzał dobrodusznie: „wszystkie narody, wszystkie narody“ i wypatrywał prezesa Niezaminowskiego, żeby go zamówić na partyę drogiej pikiety; olbrzymi szambelan przechadzał się oparty na ramieniu córki, Niezaminowskiej, zwiesiwszy swoją niedołężną głowę sennego lwa i stękał głośno, znudzony i chory od wielu lat, a mimo to obecny na każdej uroczystości; Hilary Kamieniecki tarł rude bokobrody, mrugał zaczerwienionemi powiekami i nadskakiwał dostojnemu gościowi z Warszawy, którego uważano powszechnie za wodza stronnictwa umiarkowanych — samo stronnictwo co kilka lat zmieniało nazwę — i pani Henryetta w moire antique wciąż podprowadzała do kogoś swoje dwie córki niezamężne i prezentowała niezmiennie temi samemi słowy: „voilà ma grande et ma petite“ — córki dygały. Aga jak anioł, Maryńcia—nerwowo i niecierpliwie; hrabina Hubertowa, nie ruszając się z fotelu i nie przestając wyszywać (za co przeprosiła panią Annę, tłómacząc, że dla kościoła można pracować i na imieniny) rozwodziła przed marszałkową, garbatą staruszką, która była pogrążona w najgorliwszej pobożności, dzieje choroby père Meuillot, którego wielbiły obie; Opolski, odmłodzony i odświeżony suwając nogami, snuł za prezesową Niezaminowską niską blondyną „un peu boulotte,“ do której miał słabość; Marcin Turowski w tużurku stał samotnie pośrodku pokoju z rękami w kieszeniach i spoglądał na wszystko z takim wyrazem, jak gdyby gwizdał, i żałował już, że przyjechał, a przyjechał dla Hanki Skibowskiej; Lolo i Klara szeptali z sobą, odosobnieni od towarzystwa; Hanka Skibowska gdzieś w dalekim kącie milczała między pannami. Czekała... Tam, na ganku, gdy zajrzał jej w oczy tak dziwnie, serce jej, „głupie“ serce stanęło w ogniu, stanęło w blasku nadziei... czekała...

Słuchając francusko-polskiego szczebiotu panien—które wszystkie jedwabne i strojne, odsuwały się od jej skromnej, pomiętej, niemodnej i dlatego pretensyonalnej sukni—wciąż patrzała ku drzwiom... Przyjdzie, jak tamtych lat, jak każdego roku, litując się nad jej opuszczeniem i bezradnością... Tu przed rokiem, koło tego obrazu Malczewskiego, świeciły jej niezapomniane, drogie godziny...

Nie lubiła tych imienin, na które jeździła z matką, pierwej podlotkiem, potem już panną, zawsze z trwogą i niepokojem, zawsze z przykrym wstydem z powodu powozu, toalety matki (i dziś wyróżnia się śród wszystkich tą koronkową chustką na włosach) i własnej sukni, zawsze z upokorzeniem z powodu nieceremonialnych, lodowatych, taksujących spojrzeń panów, skierowanych ku nim, gdy wchodziły do salonu. I te imieniny były jak choroba, którą trzeba było przebyć raz do roku, jak wyrwanie zęba... Aż zjawił się gość cudowny, gość błękitny, aż przyszło szczęście i zapaliło te godziny ogniem, tak jak słońce zapala szare przedtem obłoki... Tu był początek, tu poznała radość i tęsknotę, tu usłyszała śpiew marzeń... Takie też szczęście!.. Było i zgasło... Ból został...

Jeszcze czekała...

Rok temu—szeptała pamięć—gawędzili we troje, on, Maryńcia i ona... Rok temu poszli w ogród... Rok temu — wspominało serce, wołając ku przeszłości...

Spojrzała w obraz Malczewskiego. Przedziwna głowa, chuda, zniszczona, zjedzona przez smutek, czarna; na zapadniętych skroniach sieć żył, zmarszczki, oczy suche, bez łez, mądre, głębokie, — boleść...

Może tak trzeba — myślała — może tak trzeba...

— Pani wygląda jak zakonnica, która odmawia zapomniane pacierze — nagle przemówił koło niej Turowski.

— Tak?...

— Nie przeszkadzam pani — i cofnął się z ukłonem tak uroczystym, że aż obejrzały się na nią panny.

— Może to wszystko potrzebne — myślała dalej, z niewymownem uczuciem wpatrując się w bolesną głowę Malczewskiego — cierpieć, poznawać, pojmować...

Ale Marcin Turowski nie oddalił się. Mierzy ją urągliwym wzrokiem, który ją krępuje.

— Pani skończyła pacierze?—zapytał, zbliżając się po chwili.

— Tak — odparła znowu.

— W takim razie mogę zostać...

Nie odpowiedziała mu nic. Nie widzieli się od tamtej sceny.

— Jakże tam w domu—drwiąco badał ją Turowski—po pożarze? Kłopoty i troski... Ojczulek zrzędzi, siostry kapryszą, Kamieniecki dusi... Wiem... Pani znosi to wszystko z rezygnacyą, z pokorą — a jakże! Budujący przykład!

Nie broniła się.

— Pani jeszcze pożałuje! — jął szeptać, przysuwając się—pani przypomną się moje słowa, moja groźba... Człowiek nie wytrzyma... Żyć, to znaczy rozwinąć skrzydła, gnać, tętnić, mieć moc... życie to moc...

Było milczenie.

— Pani pożałuje! — szeptał.

Zbliska wpatrywał się w jej twarz z gniewem drapieżnym, z żądzą, z urąganiem, z groźbą, z kochaniem — i mąciło mu się w sercu... Nie widział jej od tak dawna... Miał już raz tę głowę na piersi, już całował te ciche, ubogie włosy, te usta kapryśne...

— Rok przejdzie, dwa lata przejdą—szeptał—w pani obudzi się człowiek, obudzi się sumienie... pani nie wytrzyma! Zapragnie pani, tak jak ja teraz, zapragnie pani!..

— Pani! — mówił coraz ciszej — pani ma religię i serce, pani mogłaby pożałować... ja proszę... ja nigdy nikogo... złamany człowiek...

Stała nieporuszona, ciągle topiąc spojrzenie w Malczewskim.

— Obiecałem pani życie, obiecałem lot górny i wolny, obiecałem walkę w blasku... Pani woli marny proch powszedniej ścieżki, szarą nicość, smrodliwą pokorę, uległość... Nie wierzę już pani! Nikczemny obłęd uwiódł panią... Nie wierzę!.. Pani jeszcze mówi o twórczych tęsknotach, o pragnieniu... Nic niema! — wołał już prawie głośno — Pani nie stworzy tu nic, jęcząc na uwięzi, wzdychając, cierpiąc... Duch twórczy, duch mocny zrywa...

Te słowa szarpały najgłębszą tajemnicę jej serca. Drżała... Widziała niewymowne, bezdenne spojrzenie obrazu.

— Wytrwam w mocy... Stworzę... — szepnęła.

Lokaj przedzielił ich jakąś tacą z napojami. Skorzystała z tego, odwróciła się i, jakby uciekając od niego, szybko skierowała się w tę stronę salonu, gdzie odurzona gwarem, tłumem osób i tłumem wrażeń, drzemała w fotelu, zapomniana przez wszystkich, nikomu niepotrzebna pani Krystyna, w uroczystej koronkowej chustce na głowie, w jeszcze bardziej uroczystej mantyli aksamitnej, z ostatnią, jedyną złotą broszą.

Marcin Turowski został sam, na tem samem miejscu, olbrzymi, barczysty, dziwny w długim surducie pomiędzy frakami.

— Panie Turowski! zaatakowała go drżącym ze wzruszenia głosem panna Maryńcia - czy człowiek słaby ma prawo istnienia?

Popatrzał się na nią pochmurnie z pod obwisłych brwi, potarł czoło i odparł krótko:

— Nie.

— I ja myślałam tak samo — z zachwytem szepnęła panna.

— A silny — pytała po chwili — winien zetrzeć w dłoniach wszystkie przeszkody i przesądy.

— Tak. Zwalczyć, zdeptać, zmiażdżyć, skopać, zgnieść, złamać — potwierdził, jakby lubując się w tych mocnych, czynnych słowach, z akcentem nienawiści.

— I ja myślałam tak samo.

— Bo słabość płynie z podłego tchórzostwa — mówił może do siebie samego — ulegać nie wolno, cierpieć nie warto. Gdy człowiek poczuje, iż zdobyć nie może, gdy pojmie, że żyć nie może bez tego, czego pragnie — niech żyć przestanie.

— Panie - szepnęła znowu Maryńcia, która dygotała ze szczęścia — wpatrzona w Turowskiego, jak w łunę — ale nie dopowiedziała zdania.

— Panie — rzekła po chwili — wielkich czynów potrzeba!

Znowu zmierzył ją pochmurnem wejrzeniem z pod obwisłych brwi i zaczął mówić. Ożywiał się stopniowo i zapalał się, budził się w nim trybun. Słowa gromowe biegły. Wylewał jady goryczy, war nienawiści, rozpacz buntów daremnych, wstręt, którym przejmował go widok świata, wskazywał cele, których nie zdołał osiągnąć, wskazywał burze i przyszłość w łoskotach burzy... Pannie Maryńci pałały policzki, trzęsła się...

Tymczasem pani Anna wędrowała po salonach, żeby rozdawać uśmiechy, spojrzenia, uprzejme słowa. Nie mijała nikogo. Była, piękniejszą niż kiedy, piękna tem wewnętrznem jaśnieniem, które prześwietlało jej twarz. I była dobrą, i kochała tych wszystkich zebranych i była im rada...

— Pan marszałek wkrótce nie będzie miał gdzie pomieścić swoich orderów—żartowała pochylając się ku białej, małej, gołębiej głowie staruszka — co rok przybywa nowy...

— Szkoda, że kobiety nie dostają orderów — odparł ten z galanteryą — miałaby ich pani więcej.

— Za co?

— Za dobroć, za rozum i... za piękność.

Pogroziła mu palcem.

— Pani marszałkowa słucha i czuwa.

Staruszek śmiał się, śmiała się i pani Anna, patrząc jak dziwacznie przecinały się zmarszczki na jego czole. Dziś pocałowałaby tę malutką, gołębią głowę o miękkich, białych włosach, chociaż wiedziała, iż była próżną i pustą — i co gorzej — że znała od lat niepamiętnych tylko jeden ruch: posłusznego, czołobitnego pochylenia.

— Elle a pris son parti — żartował marszałek.

— I zrzekła się jedynowładztwa!

— Jedynowładztwo uznaję tylko na tronie a nigdy w małżeństwie.

— Co państwo mówią? o polityce? He?.. — stękał ogromny, znudzony szambelan, stając koło nich.

— O wszystkiem i o niczem... Jakże pan ze zdrowiem, panie szambelanie? — uśmiechała się do olbrzyma pani Anna.

— Je vais très mal... Je m'en vais.

— Proszę mnie zabrać ze sobą...

— Dokąd?

— Tam, dokąd szambelan się wybiera... zapewne w jaką ładną podróż... pan przecie o podróży... za granicę... Nie pozwalam myśleć o żadnej innej...

— Pani nie pozwala — sennie uśmiechnął się szambelan — ale ja wzdycham... La vie d'outre tombe, le repos de la mort... j'aspire.

— I pan szambelan coraz gorzej wygląda — wtrącił Lolo, który wyrósł, jak z pod ziemi.

— Vous dites? — przeraził się szambelan.

Pani Anna była już koło Pawła.

— Pan markotny?

Paweł nie odpowiedział. Od samego przyjazdu trzymał się wyłącznie towarzystwa mężczyzn. Wysłuchał długich opowiadań szambelana o chorobach i rozmyślań na temat upragnionej śmierci, zdawał przed marszałkiem egzamin z zapatrywań, zaczepił prezesa Niezaminowskiego, który słuchał go z roztargnieniem, prezentował się dostojnemu gościowi z Warszawy, który był otoczony, przed chwilą nudził się z jakimś nieznanym panem, sąsiadem Pepłowa, myśliwym i karciarzem... Myślą i spojrzeniem unikał tamtego jasnego zjawiska z krwawemi kwiatami we włosach, z krwawemi kwiatami na sukni — i widział ją ciągle... Widział, że rozmawiała z panią Anną, że śmiała się z jakimś pięknym młodzieńcem, że kazała sobie przynieść pelerynę i przykryła obnażone ramiona... Kaszlała...

Widział wszystko i sto razy szedł do niej, sto razy zostawał na miejscu... Ten sąsiad-nudziarz prawił mu bez przerwy

o psach i szlemach w bez atu... Ani razu i ani na chwilę jej spojrzenia nie zatrzymały się na nim. Wszyscy Kamieniecey stronili od niego... Dumna jest i gniewna... „Może jeszcze czas — idź zaraz... przebłagaj... bierz szczęście...“ Niepokój jego wzmagał się.

Pan markotny? — powtórzyła pani Anna — Nie posłuchał pan mojej rady, mojej nauki... Pamięta pan posąg o martwem wejrzeniu? Życie ucieka, panie... Będzie pan prowadził do stołu pannę Agę Kamieniecką — znacząco dokończyła pani Anna i odeszła ku panu Hilaremu.

— Jakże pan znajduje dzisiejsze imieniny? — pytała uprzejmie, wdzięcząc się do Kamienieckiego.

Szukała go oddawna na sali, wiedziona bezwiednym instynktem chytrości. Bała się tego giętkiego, jak pręt trzcinowy, przebiegłego, rozumnego wielbiciela.

— Wszystkie narody, jak mówi marszałek — śmiał się Kamieniecki.

— Pan może wybrać z nich jakiś ulubiony.

— Wolałbym przebywać tylko z królową tych narodów — tembardziej, że królowa jest dzisiaj w niezwykłej aureoli...

Skrofuliczne jego oczy tkwiły w pani Annie.

— Będzie pan ją miał u stołu.

Kamieniecki skłonił się. Spojrzenie pani Anny pobiegło mimowoli ku drzwiom, w których stał — sam jeden w tej chwili — Stefan. Wzrok p. Hilarego zwrócił się w tym samym kierunku.

— Ze zdziwieniem widzę tu pana Stefana — przemówił.

— Dlaczego?

— Przecież pani wspominała, mąż pani wspominał...

— Nigdy nic nie mówiłam — trochę za żywo zaprzeczyła.

Kamieniecki mrugnął powiekami.

— Jak pani się oburza!

Dostrzegła w głosie jego odcień złośliwości.

— Oburzam się—rzekła bardzo spokojnie,— patrząc się w bystre o rudych powiekach oczy Kamienieckiego — bo u nas tak łatwo psują ludziom opinię. Pan Modrzec jest u nas, może nie być u nas i byłby człowiekiem zgubionym, gdybym tak gorąco nie stanęła w jego obronie.

— W sprawach, gdzie w grę wchodzą pieniądze, wierzę tylko sobie samemu. Kobiety są łatwowierne, nawet pani — najrozumniejsza z kobiet... Zresztą jestem przekonany, iż p. Stefan nie odejdzie stąd nigdy, chyba...

— Dlaczego?

— Przecież mu ofiarowywano w zimie katedrę na wydziale rolniczym w Krakowie — i odmówił.

— Tak?—z zajęciem podchwyciła pani Anna—i odmówił!?

— Nie wiedziałam o tem—dodała zaraz spokojnie.

— On kocha się w pani — cicho mówił Kamieniecki—byłby chyba z kamienia...

Pani Annie uczyniło się zimno.

— To może najprzyjemniejszy z hołdów—tłómaczył p. Hilary badając ją wzrokiem — taki cichy, nieśmiały a zarazem taki wierny, gorący... Niczego nie wymaga, a wszystko daje...

— Czy pani Klara nie tęskni do męża?—złośliwie przerwała mu.

— Dlaczego pani pyta?

— Poto, żeby pan nie odpowiadał—i Pani Anna oddaliła się.

— Pan nawraca czy utwierdza, chrzest czy bierzmowanie?—rzuciła przechodząc koło Turowskiego i panny Maryńci.

— Obrzezanie—cynicznie odciął się Marcin, czyniąc aluzyę do żydowskiego pochodzenia Kamienieckich.

— Dlaczego pan powiedział: obrzezanie? — naiwnie pytała panna Maryńcia.

Turowski zaśmiał się.

— Bo pradziad Pani był z żydów — rąbnął.

— Jakże to dobrze! — ucieszyła się panienka — ja tak lubię żydów... Oni biedni... Prześladowani od tylu wieków, zawsze w pośmiewisku... Tylko to dziwna, że Papo jest takim antysemitą!

— Zwykle tak bywa, proszę pani...

Prezes Niezaminowski, wysoki, cienki, zupełnie bez zarostu znalazł się na drodze pani Anny.

— Szukam panią.

— To pan mnie nie znajdzie!

— Nigdy?

— Nigdy!

— Kiedy jużem panią znalazł...

— Odchodzę...

— Pani nie pójdzie...

Uległa stanowczemu głosowi, który poruszał ją niegdyś, któremu była posłuszną. Ale mierzyła go śmiałym, może odrobinę szyderczem spojrzeniem. Patrzali sobie w oczy.

— Nie poznaję pani...

— Może pan nigdy mnie nie znał?

Ciągle patrzali sobie w oczy.

Bała się niegdyś tych ostrych, rozkazujących, zimnych oczu, była niegdyś tym oczom posłuszną... Cierpiała niegdyś z powodu

tego człowieka... Był gorzki zawód, było upokorzenie... A teraz napełnia ją wielka radość, że to już się skończyło. W spojrzeniu jej były błyski chłodne i szydercze, niby błyski na stali miecza.

— Nie poznaję pani!—powtórzył Niezaminowski.

— Ja znam pana.

— Ta pewność siebie, to jakieś zwycięskie szczęście... c'est peut être la maternité — zapytał cicho — albo może pani w kimś kocha się—pytał dalej.

Pani Anna nie spuściła oczu, ale spojrzenie jej — czuła to— zmąciło się.

— W kim pani się kocha?—pytał Niezaminowski — i wzajemnie... widzę to...—rzucił wzrokiem po salonie, domyślam się, nie wiem, łamię sobie głowę...

— Pamięta pani w Warszawie?—mówił znowu, przysuwając się.

— Nic nie pamiętam...

— Dlaczego pani nigdy nie miała takich oczu w Warszawie —nalegał Niezaminowski — Dlaczego pani nigdy nie patrzała tak na mnie—ja bym pół życia...—sucha, bez zarostu twarz Niezaminowskiego drgała, oczy jego ślizgały się po całej postaci pani Anny—... wówczas nie... szczęście i bezgraniczne oddanie się jest w spojrzeniu pani... Mnie nigdy... Pani kochała mnie.

— Nigdy - gwałtownie zaprzeczyła pani Anna.

— W Warszawie, na balu..

— Nie.

— Inaczej niż dziś, ale pani kochała... Inaczej niż dziś... Niech pani powie, czemu inaczej niż dziś... Pani pamięta, tam na schodach, między palmami? — szeptał Niezaminowski.

— Pan prowadzi do stołu panią Hilarową Kamieniecką— głośno, pośpiesznie przerwała mu pani Anna.

— A pani?

— Ja pójdę z panem Kamienieckim.

— Niech oni idą z sobą—a pani ze mną...

Lokaje rozwarli drzwi, ukazując perspektywę ogromnego stołu w podkowę, który bielił się obrusem i kwiatami. Z talerzy dymiła płytko nalana zupa.

Muzyka grała poloneza.

— Zupełnie obiad ślubny—żartował koło pani Anny Kamieniecki - brakuje tylko młodej pary.

— I miłości...

— Miłości chyba nie brak! Mąż pani i Niezaminowska po pierwsze, szambelan i marszałkowa, po drugie—złośliwie wyliczał p. Hilary — panna Skibowska i pan Stefan...

Pani Anna spojrzała w tamtą stronę. Stefan z zapałem dowodził coś swojej sąsiadce. Sama przypuszczała między niemi sentyment i nawet namawiała Stefana do żenienia się. Potem, w tajemnicy przed samą sobą była zazdrosną. Teraz przez krótki moment poczuła zadowolenie, które było jak ukąszenie jadowitej żmii, na myśl, że ona zwyciężyła, że posiada już bezgraniczną pewność, że tamta przestała być groźną... Żmija wnet zczezła... Hanka Skibowska ma bladą twarz... Czyżby i ona wiedziała?... Biedna! przyjęła miejsce lektorki, potem cofnęła się — wspominała pani Anna.

Z dalekiego końca stołu oczy Stefana patrzą w nią, jak dwie gwiazdy... Korzą się, proszą, przypominają, mówią...

Od orkiestry z za okien tętni marsz z „Fausta,“ i potężna, zwycięska, tryumfalna melodya brzmi niby mosiężny krzyk oszalałego wesela... Całem jestestwem swojem czuje tę pieśń radości, ten wrzask szału...

Zaledwie mogła słuchać dowcipnych, subtelnych rozumowań Kamienieckiego na temat miłości.

— Miłość w człowieku — dowodził—jest jak atrament w kałamarzu. Jeśli atramentu nie używać — wysycha i nic niema, samej możności kochania już niema. Nieraz człowiek żałuje, gdy już zapóźno... Lepiej używać!..

— Byleby nie brać zawiele atramentu naraz — rzucił Lolo— bo będzie żyd...

Pani Anna śmiała się ze złośliwej aluzyi. Wszystko bawiło ją dnia tego.

— Mógłbym panią podejrzewać o upojenie w winnicy pańskiej — po francusku zaczepił ją Niezaminowski.

— Le raisin est trop vert—odparła bez żadnej myśli.

— Dla kogo? — zjadliwie podchwycił Niezaminowski — dla mnie, czy dla pani?

— Dla pana — odcięła się zuchwale.

Tymczasem Stefan mówił bez przerwy do panny Hanki Skibowskiej. Pełen własnego szczęścia nie widział jej bladej, znużonej twarzy, jej wciąż spuszczonych oczu, białości jej przedziwnie rumianych, zwykle wydatnych, kapryśnie wysuniętych naprzód warg. Była mu dzisiaj jak druh wierny, jak dobry brat, który się cieszy razem, który podzieli radość...

— Pocieszałem panią w alei prawił — pamięta pani, że my dźwignięmy się—i dźwignęliśmy się. Niema nocy bez dnia i cierpienie istnieje może poto, ażeby z niego mogło wyniknąć szczęście...

— Nie zawsze—cicho powiedziała Hanka.

— Przepraszam... nie dosłyszałem... taka huczna muzyka...

Ale nie powtórzyła mu swojej uwagi.

— Pani jest typem śniącym—gawędził dalej Stefan — dusza pani wciąż kołysze na swojem łonie jakieś marzenie. Każde serce ma sny i każda dusza, swoje marzenie, ale są ludzie, którym wystarcza marzenie, dla których świat marzeń jest równie rzeczywistym, jak ten prawdziwy... Wszak tak?

— Nie wiem, panie.

— I tacy ludzie żyją w świecie snów i są szczęśliwi. To tak, jak gdyby kto patrzał nie na brzeg rzeczywistości, ale na jego odbicie w wodzie, w przeczyste, zwierciadlane odbicie. Fantazya ludzka zaludniła dno wód, baśń mówi o cudnych krainach, o zatopionych miastach..

— Pan jest poetyczny...

Nie dostrzegł ironii w tej uwadze.

— Każdemu wolno, pani powiedział—i każdy czuje potrzebę poezyi.

— Pan jako człowiek czynu chyba mniej, niż inni — rzekła nieśmiało — pan tyle działał, tyle stwarzał. Pan pewno zawsze czuł wewnętrzne zadowolenie, pan zawsze szedł... żołnierzom w bitwie nie do poezyi...

— Tak pani — potwierdził.

Nie obejmował już czasu, nie liczył godzin, nie pamiętał przeszłości. Wydawało mu się, że było zawsze to, co jest, że zaczęło się przed wiekami, że on sam zaczął się w owym momencie szczęścia, że ono jedno tylko trwało, że trwać będzie...

— A po co jest człowiek, panie pytała cicho — który pragnie a nie może, poco ptak bez skrzydeł... po co życie, w którem nie ma czynów, nie ma pracy, w którem nic niema...

— To do czasu pani, do czasu, aż spełni się oczekiwanie, aż nastąpi przebudzenie... Im prędzej, tem lepiej, bo tęsknota jest próżnią, po której słaniają się rozczarowania, w której człowiek działać nie może. Trzeba oddychać pełną piersią, a tylko w szczęściu oddycha się pełną piersią.

Był coraz mniej subtelnym, ranił ją swojem hałaśliwem zadowoleniem i przestała go słuchać. Dlaczego usiadł koło niej? żeby się pastwić nad nią? Ten obiad był jak katusza, jak długa kaźń.. Brzęczący strumień muzyki, zapach konwalii, i białych bzów, promienne, szczęśliwe oczy pani Amy, które trapiły ją, trapiły ich oboje nieustannem spojrzeniem... Wesołe tony walca, woń kwiatów, słodka, niby drogie przypomnienie rzeczy umarłej, tamte cudne, szczęśliwe, zwycięskie oczy... Boże, Boże!..

Białe konwalie i bzy, wonne wieczory wiosenne, gwiazdy, marzenia, pieśń walca, łódź szczęścia na wodach, na wodach błękitnych, toń kołysze się cicho... tamte oczy... cierpienie nie miało miary... Boże, Boże!..

Mimowoli poszukała matki. Jak w salonie na fotelu, tak samo drzemała tu z otwartemi oczami, jeszcze bardziej odurzona i znużona. W swojej uroczystej koronkowej chustce, w uroczystej mantyli aksamitnej, drobna i niska, samą twarzą tylko sięgała po nad wysoki stół. Oczy mrużą się od światła i ze snu, cienkie nici marszczek wikłają się na żółtej cerze skóry... zmęczenie, apatya...

— Oto jest życie—myślała Hanka – oto co czyni życie! Śród cieląt i kur, prosiąt, serów i masła, w kuchni i w śpiżarni, nad igłą i bielizną zbiegło jej życie... Kłopoty i troski... Znużona jest... Zapomniała wszystkich słów i myśli prócz tych—o cielętach, kuchni, bieliźnie i mleku... Tak upłynęły jej lata... Była młodą... starość, długi sen zgaszonego ducha... oto, co czyni życie!

Kędy wyrwać się, kędy uciec, gdzie jest droga na szczyt, na którym rozwija się, na którym kwitnie żywot?..

— Marcin Turowski! — myślała chwilę potem, dostrzegłszy jego olbrzymią, ciemną, ponurą głowę – puhar, nalany młodością, walka w blasku, wolny lot... Gdyby stanął teraz koło niej i poprosił – poszłaby... Dobrze... w cierpieniu zwiędną jej dnie, złamią się marzenia, wypali się do szczętu moc... Obiecał jej... pójdą w świat...

Spotkała jego pochmurne z pod obwisłych brwi wejrzenie. Urąga jej, nienawidzi ją... za co? za co?

— Oto życie – powtarzała—„pod wodę, pod wodę...“

Woń kwiatów, niby słodkie przypomnienie drogiej rzeczy, która umarła, pieśń walca, pieszcząca, rozkołysana, tamte promienne, szczęśliwe oczy... Cierpienie nie miało miary... Teraz ujrzała nagle wzrokiem pamięci tamtą głowę z obrazu, suchą, wynędzniałą, wysokie, wypukłe czoło z siecią cienkich żył, tamte oczy, bolesne, mądre, jak sam ból, jak sama wiedza... Pochyliła się... Cisza szła ku niej... Może tak trzeba?

O kilka krzeseł dalej Paweł trącał się kieliszkiem z panną Agą.

Skoro tylko usiedli obok siebie w hałasie kapeli prysły w nim sztuczne rzemienie postanowień. Zapomniał. Oto była koło niego ta, o której myślał w nocnych ciszach, w gorących godzinach bezsennych, którą widział snując się po zimnych, nudnych, starokawalerskich pokojach... Oto były jej niezgłębione czarne oczy—i łechcą go spojrzeniem niby pieszczotą, oto były jej białe, przecudne,

drżące ramiona, oto jej cudne ręce — tak blisko... We włosach kwiaty jak krew, nad łonem krew kwiatów... Oto jest ona...

— Daj mi upić się!—wołałby...

Muzyka szalała i szalało w nim serce.

— Przez długie lata, na obczyźnie, w samotności, w smutkach chłodnych, jak mgła jesienna, czekałem ciebie, marzyłem o tobie... Śniłaś mi się i śniła mi się ta godzina... Byłem niczyj — twój jestem dziś... Bierz mnie... Tyś jest, którą pragnęło serce, którą widziałem, nie znając, którą obejmowały ramiona mojej tęsknoty... Całowałem obraz twój, byłem u stóp Twoich... Tyle dni byłaś daleką... Jak w obłoki, które mijają, patrzałem na każdą kobietę — wiedziałem, że nie jest Tobą — i szedłem do Ciebie... Szukałem drogi Twojej, śladu stóp Twoich na gościńcu życia, na piasku wydarzeń... Nocą bezgwiezdną, nocą chłodną i słotną był mi czas czekania... W szeleście drzew słyszałem imię Twoje — moją jesteś!..

Tak prastaremi słowami mówiłby do niej...

Milczał. Tylko patrzały w siebie ich oczy.

— Pijmy — szeptał czasami, gdy u szczytu stołu wznoszono nudne dytyrambv toastów na cześć gospodyni.

— Wino czy ocet?—pytała swoim chropowatym głosem (nie czuł już jego chropowatości) przypominając mu chwilę z majówki.

— Wino... pani... kiedyż?

Muzyka szalała i szalało w nim serce.

(d. c. n.). KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

Rej a Zamoyski.

Patrz, jeśli to lekka rzecz, gdy czasy przychodzą,
Iż królowie pustopas bez potomstwa schodzą;
Iż nie mamy ni pisma ani obyczaju,
(Tak, jako to rzecz zacna w każdym inszym kraju),
Jakoby Pana obrać i coby z tem począć
I skądby jako tako ten porządek zacząć.
A jaki to upadek Pospolitej Rzeczy,
Snadnie się w tem obaczy, kto to ma na pieczy.

Rej: *Przemowa królka.*

Gdy mowa o elekcyi „viritim," zaraz nasuwają się na myśl dwie postacie — Rej i Zamoyski. Według zwykłego pojmowania rzeczy, mieli to być wybitni reprezentanci dwóch sprzecznych z sobą kierunków. Pierwszy bowiem odznaczył się na sejmie unii lubelskiej [1]) jako propagator wyboru króla przez reprezentacyę, Zamoyski zaś uznany jest za apostoła zupełnie przeciwnego systemu, dopuszczającego jak najszersze masy do udziału w głosowaniu. Pierwszemu historya niesie dank za to, że choć wniosku swego nie przeparł, — przynajmniej jednak pragnął i proponował rzecz dobrą; na drugiego rzuciła przekleństwo za to, że jego niefortunny wniosek zwyciężył, a uznany za „żrenicę" wolności szlacheckiej, stał się powodem wielu nieszczęść i klęsk dawnej Rzeczypospolitej.

Dziś, gdy w jednym i tym samym roku schodzi się 400-letnia rocznica urodzin Reja z 300-letnią rocznicą śmierci Zamoy-

[1]) Źródłopisma do dziejów unii (sejm 1569) str. 159.

skiego, godzi się przypomnieć i rozważyć stosunek tych dwóch wniosków i ocenić ich znaczenie dziejowe.

Według popularnego rzeczy przedstawienia, w całem wspaniałem pasmie żywota Zamoyskiego, ten wniosek o elekcyi viritim miał być wielkim jego błędem, miał to być jego pierwszy, lekkomyślny, młodzieńczy, a nieprzebaczony nigdy krok. Jakkolwiek wniosek Zamoyskiego uważa się za tak ważny fakt w jego życiu, a nadto za fakt epokowego znaczenia w naszej całej przeszłości, mimo to dotąd nie doczekał się wyczerpującego opracowania i wszystko co dotąd o tem powiedziano, opierało się li tylko na jedynym historyku — Heidensteinie [1]).

I tu nasuwają się zaraz pytania: czy ostatecznie można w tym względzie polegać na Heidensteinie? Czy Zamoyski od początku swego wystąpienia był stronnikiem elekcyi viritim? Czy istotnie on pierwszy rzucił hasło takiego systemu wyborów? Czy Heidenstein, piszący dla pomnożenia sławy Zamoyskiego, nie podkreślił nazbyt tego kroku Zamoyskiego, który spółczesna Heidensteinowi opinia uważała za bardzo dodatni?

Kto chce zrozumieć dzieje pierwszego bezkrólewia, ten musi rzucić wzrok w tył i spojrzeć na przeobrażenia, jakie nastąpiły w Rzeczypospolitej za rządów dwu ostatnich Jagiellonów,—rozważyć, jakie już wtedy porobiono przygotowywania, jakie zjawiły się wówczas zwiastuny następnych przemian. Trzeba nie zapominać, że wówczas rozpoczął się ruch, którego „wolna“ elekcya była tylko rezultatem i konsekwencyą — jego „ukoronowaniem.“ Przedewszystkiem z całym naciskiem trzeba sobie uprzytomnić ową zażartą walkę, jaką *szlachta* (szczególnie od wojny kokoszej) *prowadzi z senatem.* Walka ta prowadzona była z zaciekłością bez granic; wszak wówczas w czasie wojny kokoszej, według słów naocznego świadka, szlachta porywała się do rozsiekania magnatów, oburzona na nich za to „iż chcieli rozdwoić stan szlachecki i jedne znaczniejsze domy, drugie podlejsze, po czesku, uczynić [2]).“

Całe następne dzieje ruchu ekzekucyi dóbr — to jedna namiętna walka z magnatami, prowadzona z zapamiętałością i uporem, nieczęstym u nas. Wpośród tej to gorącej walki zja-

---

[1]) „Rerum polonicarum libri“ i „Vita Zamoiscii.“

[2]) Lubieniecki: Poloneutychia, str. 21.

wiają się projekty uregulowania (na przypadek śmierci Zygmunta Augusta) przyszłej elekcyi, a okoliczność, że właśnie zrodziły się w takiej chwili rozbratu, wpłynęła i na charakter i losy tych projektów.

Nie czemu innemu, jak tylko tej walce szlachty z senatem przypisać trzeba to, że nie ostał się projekt elekcyi przez reprezentacyę: szlachta obawiała się, że możnowładcy potrafią na elekcyi wpłynąć i steroryzować drobną garstkę posłów tak, że zostanie wybrany król „senatorski“ a nie „szlachecki“ i dlatego to chciała przeciwstawić na przyszłej elekcyi przewadze senatu jak największą, o ile możności, ilość posłów, a więc podwójną a nawet poczwórną ich liczbę, a gdy się to nie udało, pchnąć na pole elekcyi „viritim“ całe masy szlachty. Ale, co prawda, w tym ostatnim, najradykalniejszym środku (w tej elekcyi viritim) tkwiło i dla samej szlachty niebezpieczeństwo. To była broń obosieczna, bo senatorzy mogli wprowadzić na wirylną elekcyę szlachtę, będącą u nich na służbie i w ten sposób wpłynąć na przebieg wyborów[1]). Rozprawy sejmowe o elekcyi dlatego tak wzburzały szlachtę, bo prawo elekcyi „viritim“ szlachta mogła zdobyć li tylko przez złamanie przywilejów senatu, gdyż poprzednio prawem wyboru króla cieszył się tylko sam senat. Prawo elekcyi „viritim“ szlachta zdobyła też istotnie na senacie i to w zasadzie zdobyła je dawno już przed śmiercią Zygmunta Augusta.

„Modus eligendi regis“ z r. 1501 postanawia, aby króla wybierał w miejscu zamkniętem sam senat[2]), a dopiero po dokonanym już wyborze miał marszałek ogłosić sam wynik wyczekującym tłumom, których rola ograniczała się tu na wzniesieniu okrzyku.

Podobnież Zygmunt I został wybrany tylko przez „optymatów“[3]). Pierwsze przeobrażenie w tym kierunku zaznacza się dopiero wówczas, gdy Zygmunt I za inicyatywą Bony[4]) postanawia za jakąbądź cenę przeprowadzić za życia swego wybór syna.

---

[1]) Wszak szlachtę przestrzegał prymas Uchański: quomodo — quaeso — libertas nostra non pesecliteretur, si senatores ac potentiores, famulis suis stipati... leges... imponere possint. Uchansciana II, str. 285.

[2]) Oczywiście 12 nie-senatorów, mających (według tego projektu) brać udział w elekcyi, nie mogło decydująco wpłynąć na przebieg wyboru. (Szujski: „Jeszcze o elekcyi w epoce Jagiellonów“).

[3]) Wapowski.

[4]) Krzysztof Warszewicki: De optimo statu libertatis, str. 67.

Ten wyjątek dla królewicza, to przekroczenie „wolnej elekcyi“ musiał Zygmunt I okupić wielkiemi ustępstwami i obietnicami na przyszłość. Za ten jeden wyjątek Zygmunt I darował szlachcie wszystkie przyszłe elekcye.

Już w samym wyborze królewicza Zygmunt I robi ważne ustępstwo szlachcie. Królewicza obrał bowiem królem już nie sam senat, ale cały sejm Piotrkowski (1529), a więc nie tylko dostojnicy, ale i posłowie ziemscy, i tym sposobem do elekcyi wciągnięto tu i izbę poselską [1]).

Pomimo jednak tego ustępstwa, już na tym sejmie objawia się niezadowolenie i opozycya z powodu tego rodzaju przejścia elekcyi w fazę desygnacyi [2]), w fazę bardzo niebezpieczną dla zasady elekcyjności wogóle. Przeciw temu faktowi obioru następcy jeszcze za życia poprzedniego króla, protestował sam prymas Łaski [3]) i zapewne jego całe stronnictwo szlacheckie [4]).

I wskutek tej to wzmagającej się opozycyi król Zygmunt I wydaje dwa statuty, jeden 1530 r., a po wybuchu całej burzy niezadowolenia i okrzyków protestu, wznoszonych w czasie wojny kokoszej—na sejmie zaraz potem zwołanym r. 1538. Tymi statutami ustanowił raz na zawsze elekcyę „viritim.“ Tak w statucie r. 1530 postanowiono, że odtąd nigdy nie będzie można tak niespodzianie przeprowadzać wyboru, jak to zrobił z wyborem Zygmunta Augusta, ale że zawsze odtąd senat musi wprzód uprzedzić *wszystkich* o mającej nastąpić elekcyi tak, aby na nią przybył *każdy ktoby chciał*. Odtąd ta zasada „unusquisque qui vellet“ staje się kamieniem węgielnym elekcyi viritim, powtarzanym na wszystkie nuty przez jej zwolenników.

W statucie z roku 1530 nie było jednak powiedziane, jaki udział w elekcyi mają brać ci wszyscy, którzyby dobrowolnie na nią przybyli: czy każdy ma mieć głos; czy każdy ma brać czynny udział w samem głosowaniu, czy też może według dotychczasowego zwyczaju ma być tylko biernym świadkiem elekcyi, dokonanej przez reprezentacyę; czy, jednem słowem, ma stać za drzwiami w czasie elekcyi, a ujawnić zgodę ma dopiero po jej odbyciu tylko jakimś okrzykiem „aklamacyą?“

Otóż dopiero dalej idące żądania wygłoszono wyraźnie na wojnie kokoszej i stąd to na sejmie zaraz potem (1538) zebranym,

---

[1]) „etiam et terrarum nuntii.“ Acta Tomiciana XI, № 429.

[2]) Por. Rembowski: Konfederacya i rokosz, str. 248.

[3]) Krzysztof Warszewicki: De optimo statu libertatis, str. 67.

[4]) Acta Tomiciana XI, № 441.

na sejmie sankcyonującym „zdobycze“ tej „wojny“ — uchwalono, że to ma być wolna elekcya (electio Regis libera) i że na niej konieczna jest *„zgoda“* (consensus et voluntas) tych *wszystkich*, którzykolwiek na ten sejm przybędą. To nie miał być okrzyk, ale, jak później mawiano, „wolne wolenie“ (= zezwolenie) [1]). Zatem juz od r. 1538 datować można prawo o udziale wszystkich w elekcyi, a więc dawno już przed wystąpieniem Zamoyskiego wojna kokosza usunęła możliwość wyboru przez reprezentacyę i tak też rozumieją sens tego statutu senatorowie na sejmie 1558/9 r., oświadczając, że w tym statucie z r. 1538 „to rozumieją być szkodliwym, iż do tej elekcyi wszyscy się zjechać i *wszyscy króla obierać* mają [2])“.

Za czasów Zygmunta Augusta zjawiła się z wielu stron reakcya przeciw zadaleko idącym ustępstwom Zygmunta I, z wyraźną tendencyą, aby wbrew statutom z r. 1530 i 1538 ilość elektorów ograniczyć. Właśnie też wspomnianym dopiero co sejmie 1558/9 r. senatorowie czynili przedstawienia posłom, że „to jest rzecz niepodobna, aby in tanta multitudine porządek i zgoda być miała,“ i że dlatego też powinno się obmyśleć taki projekt, „jakoby *żadnego stanu* od tego nie odciskając, był mianowany *poczet* ludzi, którzyby się na tą elekcyę zjechać mieli, naznaczon ze *wszech stanów*, bo inaczej trudna-by zgoda i granice-by się zewsząd ogoliły (t. j. pozbawionoby granic obrony przed napadem), gdyby się

[1]) Dzienniki sejmów, str. 184.

[2]) Wprawdzie tu jeszcze nie przewidziano, że każda jednostka ma osobno oddawać swój głos: owszem, nie wykluczono tu tej możliwości, że po przybyciu wszystkich na pole elekcyi, wybierze się z tłumów jakowąś reprezentacyę, jakiś wydział, który dopiero króla obierze, ale zawsza właściwym wyborcą będzie tu ta masa szlachty, a nie senat. Pod wyrazem „wszyscy“ niejednokrotnie rozumiano wówczas tylko „wszystkie stany,“ t. j. reprezentacyą wszystkich stanów w przeciwstawieniu do dotychczasowej wyłączności senatu. Tak np. rozumie autor sprawozdania z przebiegu sejmu 1558/9 r. (Uchańscina IV, str. 204), oświadczając: „wszyscy należą k'temu (elekcyi), tak panowie radni, jako i pospolity człowiek rycerski, iżby wszyscy obierali i wszyscy o tem wiedzieli, kiedy ma być król obieran,“ bo kiedy „wszystkim króla potrzeba,“ to trzeba „aby też wszyscy króla obierali.“ Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że autor chce zatem elekcyi viritim; tymczasem nie: te słowa, akcentujące udział *wszystkich*, są tu splątane z żądaniem, najwyraźniej zaraz potem wyłuszczonem, aby szlachta brała udział w elekcyi — przez reprezentacyę, przez posłów. (Posłowie bowiem — to szlachta; por. Broel-Plater, Pam. II, 48: „Rzeczecie, posłowie — szlachta).

na *jedną kupę wszyscy* obywatele zjechać mieli.“ Domagają się tego panowie nie dlatego „żeby się stany wszytki do tego należące przyłożyć nie mieli, albo przeto, żeby który (stan czy obywatel?) miał być z tego wyrugowan,“ ale tylko dlatego, aby jakiś ład wprowadzić, „bo w tej wielkości ludu porządek żaden zachowan być nie może,“ bo „ubi multitudo, ibi confusio [1]).“ Posłowie, godząc się na ten punkt wyjścia, uchwalili jednozgodnie [2]) i przedstawili szczegółowy projekt sposobu elekcyi — przez reprezentacyę. Według tego projektu [3]) wybierać mają króla wszyscy senatorzy i posłowie, wybrani w większej liczbie niż zwykle, bo w poczwórnej [4]), gdy sama szlachta pod komendą zastępcy wojewody ma leżeć zbrojnie w polu na granicach państwa i to dotąd, pokąd króla się nie obierze.

Ten projekt, jakkolwiek polega na systemie reprezentacyi, był zwrócony wyraźnie przeciw senatowi i ograniczał jego wpływ

[1]) Dzienniki 180, str. 184.

[2]) Noailles III, 238.

[3]) Ten projekt podają Dzienniki sejmowe, Kraków 1869, 189 — 209, Uchańsciana IV, 204 i Noailles III, 238 (tu błędnie rok 1556, gdyż w innej kopii, znajdującej się w Bibl. Ord. Krasiń. [kopia Albertrandego] jest r. 1558). Projekt podany w Uchańsciamach różni się cokolwiek od innych; tak np. podaje za miejsce elekcyi Kraków zamiast Piotrkowa. Również i Zygmunt August miał własnoręcznie skreślić projekt elekcyi, ale pokazał go tylko niektórym. Krz. Warszewicki: De optimo statu libertatis, str. 51, 57.

[4]) Według Ms. Bibl. Dzikow. (półka 3, № 12) „Namowy de interregno na sejmie piotrkowskim r. 1558/9“ w projekcie podana była liczba podwójna, a nie poczwórna. Czytamy bowiem: „wszakoż do tego to jeszcze przyłożyli przestrzegając jakiej niezgody między pany radnemi z jednej strony i też między posły ziemskimi z drugiej strony, aby sobie byli równi. Iż jest liczba senatorów koronnych tak duchownych biskupów, jako panów świeckich, wojewod, kastellanów 100 osób i kilka, tedy też uradzili, aby posłów ziemskich także też wielka liczba była. A iż posłów nie bywa, jedno 50 citra ultra (przed unią!), tedy w tych ziemiach albo województwach, kędy bywało na sejm 7 posłów, aby było 14, jako w krakowskiej ziemie; także similiter i w inych ziemiach, żeby byli obrani *in dupło*, tedy ich takież jako i senatorów będzie osób 100 i kilkanaście a tak będą sobie równi. Jeszcze też tego dołożyli, i do tego to przydali, aby panowie senatorowie, wielkiej zgraje albo służebników z sobą tam nie brali etc....“ Na tej też podstawie oparty Pilński (Bezkrólewie, Kraków 1872, str. 13), wie tylko o projekcie podwójnej liczby posłów, a nie o poczwórnej, o której mówią wszystkie inne źródła. Może to były stopnie ustępstw i targowania się izby z senatem? Według tegoż Ms. Dzikowskiego, mają obwieścić śmierć królewską nie urzędnicy dworscy, ale prymas.

na elekcyi jak najbardziej. Czuć w tym projekcie to tętno walki, jaką wówczas toczyła szlachta z senatem. Każdy punkt tego programu ma na celu osłabienie przewagi senatu na korzyść szlachty.

I tak: nie prymas, nie najwyżsi dostojnicy, ale zwykli urzędnicy, przebywający w czasie śmierci króla przy dworze (a potem starostowie) mają donieść o śmierci królewskiej. Senatorom nie wolno przyprowadzić z sobą więcej orszaku służby, ponad przepisaną liczbę—z obawy, aby za pomocą swych „służebników“ nie wpływali na losy wyborów. Wojewodom odebrano komendę nad pospolitem ruszeniem województwa, hetmanom kazano rozpuścić na czas bezkrólewia wojsko, aby za pomocą jego nie mogli wywrzeć presyi na elekcyi. Nie głosy senatorów, ale głosy posłów ziemskich rozstrzygną o rezultacie elekcyi, bo liczbę senatorów przewyższała zupełnie poczwórna liczba posłów, którzy przybywali tu nadto ze swymi orszakami. Wobec tego, że na elekcyi rozstrzygać miała większość [1]), a głos senatora miał zupełnie tyle ważyć, co i głos posła, zatem liczebną przewagę mieli zupełnie—posłowie.

Projekt ten – to projekt partyi „poselskiej,“ tej garstki inteligentnych posłów, którzy za Zygmunta Augusta dokonywali wszystkich przeobrażeń Rptej na posiedzeniach izby poselskiej. To też według ich projektu nie tłum, ale reprezentacya, to jest izba poselska miała rozstrzygać na elekcyi. Znamienne, że posłowie nie obstawali za obecnością tłumów na elekcyi. Bali się niezawodnie, że te tłumy dadzą się powodować senatorom, a co więcej, że dadzą się użyć biskupom, że zwrócić się mogą przeciw posłom-protestantom. Dlatego według ich programu cała masa szlachty jest odepchnięta precz od pola elekcyi i posłana daleko na granice państwa; co więcej, ten projekt najdobitniej *zabrania* komukolwiek pod jakimkolwiebądź pozorem przybywać na elekcyę ponad ściśle oznaczoną liczbę osób: „a mimo (oprócz) te osoby już sub poena nominationis hostis patriae nie ma żaden do Piotrkowa (na miejsce elekcyi) przyjechać, ani żadnego pretekstu ku przyjechaniu, by największą potrzebę miał mieć [2]).“

Mimo całej niechęci do tłumów—ten projekt jest już jednak wielkiem ustępstwem na rzecz mas, bo według niego poczwórna

---

[1]) Ms. Bibl. Dzikow. l. c.: „i kłuść wota na jedno miejsce, a na którego pana więcej się ich zgodzi, ten za pana obran będzie.“

[2]) Dziemiki, str. 192.

liczba posłów może nadto jeszcze z sobą wprowadzić na elekcyę orszaki, tak, że na elekcyę przybyć miało 2400 szlachty.

Oczywiście, że tak ten ostatni wniosek, jak i cały projekt, mający na celu podkopanie powagi magnatów, nie mógł znaleźć uznania w łonie senatu. Senatorowie woleli już raczej elekcyę „viritim," ustanowioną statutami 1530 i 1538 r., niż tego rodzaju projekt. Wszak na elekcyi wirylnej, nieograniczonej mogli wprowadzić tłumy swej służby i zależnej szlachty, mogli wywierać wpływ na szlachtę własnego województwa i t. d.

Nie omieszkali jednak senatorowie w odpowiedzi na projekt posłów przedstawić im i swój ideał — biegunowo przeciwny. Ideałem ich był sposób elekcyi, praktykowany w Wenecyi, a więc taki, przy którym w ostatniej instancyi decyduje tylko 4 lub 6 dostojników [1]).

Nie było mowy, aby posłowie zgodzili się na taką propozycyę; uważali ją za dowód, że z senatem do porozumienia w żaden sposób dojść nie zdołają. I wówczas już straciwszy wszelką nadzieję, postanowili przynajmniej wyrwać „senatowi" rządy w razie bezkrólewia i w tym celu zaproponowali, aby nie senatorowie (jak chcą statuty 1530 i 1538) zwoływali własną powagą przyszłą elekcyę, ale aby z góry były stale oznaczone tak miejsce elekcyi jak i termin, w tyle a tyle dni po śmierci króla. Ale i ten wniosek upadł, dzięki oporowi senatu, który postanowił zostać przy starem: „ostać przy przywilejach, które są dane od nieboszczyka sławnej pamięci Zygmunta króla i *sub dubio* już to zostawić [2])."

Z następnych głosów za systemem reprezentacyjnym uwydatnić trzeba projekt, jaki zjawił się na sejmie r. 1569 — projekt Reja. Sejm ten, sejm unii lubelskiej, naprowadził wszystkich na myśl, aby dla zuniowanej teraz Rzeczypospolitej raz na zawsze jasno określić sposób przyszłej elekcyi. Sam król ostrzegał, że bez tego unia może się rozerwać. Wśród obrad nad tą sprawą zjawił się projekt Reja [3]).

Rej oddawna zajmował się sprawą uregulowania elekcyi. Brał już żywy udział w debatach na owym sejmie 1558/9 r., któ-

---

[1]) Szujski (l. c.) nie zwrócił uwagi na tę odpowiedź senatorów, którą szczególnie podkreśla autor relacyi w Uchanse. IV, 204.

[2]) Dzienniki, str. 245. Ten wyraz „sub dubio" wskazuje, że jednak i współcześni nie zupełnie jasno tłómaczyli sobie statuty 1530 i 1538.

[3]) Był podany „in privato colloquio nostro." Źródłopisma do dziejów unii (sejm 1569), str. 159.

rego osią była kwestya elekcyi. Porwany ogólnym wirem walki szlachty z magnateryą, przejął się zupełnie tendencyami izby poselskiej, a więc wraz z nią walczy z senatem o wpływ w czasie przyszłego bezkrólewia, zarzuca „panom,“ że im się zachciewa wyłącznych i niepodzielnych „rządów,“ że wskutek tego nie przyjmują projektów, któreby trochę te ich „rządy“ ukrócić mogły.

Zupełnie też po myśli izby poselskiej rzuca się w swym wierszu „Elekcya króla“ [1]) na panów, przezywając ich „żubrami,“ „kaczorami,“ „panią kokoszną“ [2]). Wskazuje, że to obowiązek „kaczorów“ (senatorów) a nie „cyranek“ (szlachty) dbać o bezpieczeństwo stada, a więc kaczorowie mają z góry zaradzać grożącym niebezpieczeństwom bezkrólewia, a więc zgodzić się na ustanowienie raz na zawsze sposobu elekcyi. Przekonywa ich i przedstawia:

Izażby to nie lepiej formułę uczynić,
Gdy przypadną te czasy, coby wżdy z tem czynić.
Na nędznego pisarza elekcyją mamy
A tego nie baczymy, w czem upadek znamy,
Bo kto tego doczeka, widzi przed oczyma,
Jako wtenczas nieszczęsna będzie mięszanina.

Ale panowie nie chcą tej „formuły,“ bo upierają się przy swych „rządach,“ przy swej niepodzielnej przewadze.

A ktoż tego przyczyną? jedno ci żubrowie,
Co się im coś dziwnego zawżdy mięsza w głowie,
Zda się im, iż na ten czas wszytko *rządzić* mają,
Ano ich połowica! przedtem pozdychają!
Aby chcieli przeczytać, co się więc dziewało
Z takiemi, co się im też takież *rządzić* chciało.
Jakie w ich majętnościach szarpaniny były,
I jako się ich domy sromotnie kurzyły.

Senatorów natura już taka, że

Zda się jej, iż na wieki tak wszytko ma *rządzić*,
A wszytko mieć po myśli, a nigdy nie zbłądzić.
Ano się nam dały znać nieraz takie *rządy*,
A wiele kroć koronę zawodziły w błądy.

---

[1]) „Krótka przemowa“ na końcu „Zwierciadła.“

[2]) Rej zazwyczaj, atakując senatorów, używał przenośni ze świata zwierzęcego, zwąc ich lwami lub wilkami, duszącymi jelenia i t. p. Por. Dropiowski: Nicolaus Rey als Politiker, Brody 1901, str. 10—11.

Ażeby raz rzecz uregulować, Rej tedy na sejmie 1569 r. przedstawia projekt, w którym podobnie jak r. 1558/9, o ile możności uszczupla „rządy“ senatu na czas bezkrólewia, bo nie senat ma zwoływać elekcyę, ale z góry naznacza się jej tutaj termin i miejsce. Rej (protestant!) nie godzi się tu na pierwszeństwo prymasa, ale (zupełnie jak w projekcie 1558/9) mają oznajmić o śmierci królewscy urzędnicy, przebywający na dworze.

Co do samej metody obierania, to w 2 tygodnie po uwiadomieniu o śmierci królewskiej „każdy szlachcic“ obowiązany jest podążyć na ogólny zjazd całego województwa i to zbrojnie (in armis). Tam na zjeździe ma się wybrać posłów i obdarzywszy ich zupełnem pełnomocnictwem do obrania króla (posłów „sowitych“), wysłać ich do Krakowa, który słusznie powinien być miastem elekcyjnem, kiedy jest już koronacyjnem (gdzie korona“). Tam w Krakowie zbiorą się oczywiście, obok posłów, także wszyscy senatorowie. Tam największy wpływ będzie miała szlachta sąsiednia, krakowska-protestancka!

Nowość, jaką wprowadza tu Rej, tkwi w tem, że dzieli on wszystkich posłów szlacheckich na dwie serye, na dwie równe połowy. Skąd taki pomysł? Geneza tego pomysłu najprawdopodobniej była taka: ponieważ według uchwały, właśnie na tym sejmie lubelskim zapadłej, na skutek unii z Litwą ilość posłów ziemskich miała poskoczyć aż do sumy 150 [1]), a senatorów (bez kasztelanów mniejszych, którzy zwykli byli trzymać z „bracią młodszą“) było 90 (80 a 10 ministrów), więc na przyszłej elekcyi, przy takiem głosowaniu, w którem głos senatora miał tyle znaczyć co i głos posła, — posłowie mieliby kolosalną przewagę nad senatorami. Niezawodnie, że z tego powodu musieli senatorowie podnosić skargi i wytykać, że na przyszłej elekcyi byłaby senatorów tylko *„połowica“* w stosunku do liczby posłów, a to tem więcej, że zdarzyć się muszą w czasie bezkrólewia wypadki śmierci senatorów (a przecież dopiero wybrany król może rozdać wakanse i luki w senacie zapełnić, gdy szlachta zawsze pełną liczbę posłów wybierze).

Niezawodnie, że tego to rodzaju utyskiwania senatorów ma Rej na myśli, kiedy w swym wierszu „Elekcya króla“ przytacza ich zarzuty:

„Ano ich połowica, pierwej pozdychają...“

[1]) Por. spis, Noailles III, 63.

Aby więc uspokoić senatorów, Rej wygotował projekt, według którego tylko „połowica“ posłów miała wraz z senatem należeć do elekcyi. Tym swoim wnioskiem Rej robi bardzo wielkie ustępstwo senatorom, szczególnie jeśli się zestawi projekt 1558/9 r., według którego miało być posłów 4 razy tyle, ile ich przed unią zasiadało w izbie. Rejowi, jako protestantowi, niezawodnie nie zależało na dopuszczeniu jak największej liczby uczestników, owszem, zapewne bał się dopuszczenia wszystkich, bo masa katolicka mogłaby nieszczęśliwie zaciążyć na losach protestantyzmu polskiego.

Pomimo takich ustępstw, projekt Reja, podany „in privato colloquio,“ upadł; może nawet te tak daleko idące ustępstwa zraziły doń samą szlachtę, tak, że przeszedł — rzec można — bez wrażenia. Autor innego rodzaju dyaryusza tegoż sejmu lubelskiego [1]) zupełnie nawet na ten projekt nie zwrócił uwagi i pomija go milczeniem. Sam projekt [2]) już się nie zjawił więcej na sejmie, bo twórca projektu, Rej, umiera tegoż roku. Co więcej, widoczne, że wyobrażenia przeciwne Rejowskim, głosy przemawiające za jak najliczniejszym udziałem mas coraz więcej znajdywały zwolenników, i to nietylko wśród szlachty, ale i wśród magnatów; kiedy bowiem Chodkiewicz, starosta żmudzki, w swem wotum, wypowiedzianem na tymże sejmie, domaga się, aby przyszłe elekcye odbywały się „gdziekolwiek, tylko nie w *murzech* [3]),“ a więc w polu, to chyba ma na myśli zjazd konny t. j. taki, jak na polach rakosz na Węgrzech.

Oto najlepszy dowód owej niejasności położenia, owej sprzeczności dążeń przy końcu lat sześćdziesiątych. Dlatego to nuncyusz Ruggieri jeszcze r. 1568, mimo usilnych swych starań, mógł się ledwie tyle wywiedzieć od ludzi o sposobie przyszłej elekcyi, że wybór króla ma się dokonać „za powszechną zgodą“ (według statutu 1538 r.), ale ile, jakie osoby i jaka większość stanowić mają o tej „powszechnej zgodzie,“ tego już nie umiano mu wyjaśnić, dodawano jednak, że po staremu głos mają tylko—senatorzy [4])!

---

[1]) Wyd. Kojałowicza.

[2]) Inny projekt (czy z r. 1572?) również przez protestanta podany, ale więcej skomplikowany, przytacza Szujski w rozprawie: „Jeszcze o elekcyi.“

[3]) Źródłopisma, 204. Zestawić Łuk. Górnickiego „Rozmowa o elekcyi“ (Dzieła wszystkie, 16): „A iż *wszyscy* do tego należymy, nie część jaka korony, przeto obieramy Pana w polu.“

[4]) „solamente che li vescovi, palatini et castellani concorrono a tali elettioni,“ Tad. Piliński l. c., str. 12 i Rykaczewski, Rel. I, 173.

Senatorzy woleli pozostać w takich wątpliwościach („sub dubio," jak mówili 1558/9) niż podwczesną decyzyą zrzekać się raz na zawsze dawnego uprzywilejowanego stanowiska. Zdaje się że i szlachta wolała rzecz całą odłożyć na później i dopiero w czasie nastania bezkrólewia całą sprawę przeprowadzić po swej myśli. Każdy spodziewał się, że wówczas łatwiej mu będzie przeprzeć własne projekty. Szlachta boi się jakichś porozumień dworu habsburskiego z Zygmuntem Augustem, boi się, żeby za życia króla nie desygnowano już następcy i dlatego to poleca swym posłom sejmowym jak najostrożniej postępować w tej materyi i bezwarunkowo zabrania im cokolwiek bądź stanowczego uchwalać.

Tak sejmik lubelski wysyłając posłów na sejm 1570, poleca im: „De modo electionis regis: mają panowie posłowie z innemi posły namawiać ostrożnie de interregno et de modo eligendi regis, a nic inego, wsakze oni wsytki namowy pospolite, sejmowe tu do braciej, nic nie kondludując, przynieść mają. O miejsce electionis regis postanowić i o niem konstytucyą uczynić mogą" [1]).

Dzięki tej to niechęci szlachty do ustanowienia czegoś stanowczego — w chwili gdy król zamknął powieki na zawsze — nikt nie wiedział, co właściwie począć, kto ma objąć kierownictwo w sprawach bezkrólewia. Wszystko było zdane na wolę losu, rozbieżnych tendencyi i wygórowanych ambicyi.

Jedno tylko było z góry do przewidzenia, to to, że walka o elekcyę między magnateryą a szlachą, nieukończona za Zygmunta Augusta — a zawsze dotąd przez uśmierzającą i pośredniczącą rękę królewską ukrócana — wybuchnie teraz z większą niż przed tem zawziętością [2]).

Walka szlachty z senatem za czasów bezkrólewia mogła przybrać rozmiary tem większe, że walka nie miała się już teraz odbywać za pośrednictwem izby poselskiej, ale do walki występowa-

[1]) Artykuły sejmiku województwa lubelskiego w Lublinie 9 III 1570 „kopia spółczesna w Bibl. Ord. Krasiń."

[2]) Wszak obie strony rozgoryczone — zapowiedziały sobie, że dopiero w czasie bezkrólewia pokaże się, kto mocniejszy. Siemicki wódz szlachty 1565 wytknął senatorom, że na sejmie 1558/9, dzięki ich oporowi upadł projekt reprezentacyjny „tameście nas WM. odprawili (tymi słowami) „niechaj po staremu będzie" (t. j. niech zostanie rzecz przy statutach 1530 i 1538) bo właśnie jego zdaniem chcieli biskupi utorować drogę do tronu kandydatowi swojemu (Habsburgowi). Na to biskupi odpowiedzieli, że takiego króla sobie obiorą, jakiego im potrzeba, na co zapewnił ich znowu Siemicki, że szlachta przeciwnie obierze sobie króla „szlacheckiego" (Dyaryusze 1565 str. 293—5).

ły bezpośrednio same masy szlachty. Odtąd nie sejm, ale sejmiki wojewódzkie miały trzymać prym. Ta jedna okoliczność niejako z góry przesądzała, w jakim kierunku rozstrzygnie się spór między systemem elekcyi wirylnym a reprezentacyjnym. Jeśli bowiem nie ubito i nie roztrzygnięto sprawy na korzyść systemu reprezentacyjnego wtenczas, kiedy jeszcze izba poselska była czynnikiem roztrzygającym i przewodnim — to teraz, gdy masy na tysiącznych zjazdach wystąpiły na widownię, daleko już korzystniej przedstawiała się prespektywa dla dopuszczania tłumów bezpośrednio do prawa głosowania.—Tu już nie będą roztrzygać o wszystkiem jak za Zygmunta Augusta posłowie, teraz roztrzygać będzie tłum sejmikujący, on teraz zechce wziąść udział bezpośrednio w elekcyi, nie chcąc obdarzać posłów zaufaniem w rzeczy tak ważnej, jak wybór króla.

Co to był za człowiek Zamoyski i jakie miał ideały w chwili nastania pierwszego bezkrólewia?

Czy miał już znaczenie i poważanie? Wiedziano o nim, że był „rektorem padewskim“ i autorem dzieła „De senatu Romano“ ale to jeszcze nie pasowało go na wybitnego wodza szlachty. — Jaką drogą nim został?

Geneza jego przyszłej karyery zaczyna się i wypływa z uporządkowania archiwum koronnego. Dzięki tej bowiem pracy — Zamoyski mógł dawać wyjaśnienia prawne na stawione mu niejednokrotnie z wielu stron trudne zagadnienia w czasie ówczesnego przeobrażenia Rzptej.

Wielu patrzyło na Zamoyskiego jak na wyrocznię, jak na wybornego znawcę dawnych praw i przywilejów, umiejącego je wyjaśnić i przystosować. Ta znajomość praw szczególnie potrzebną była w chwili pierwszej elekcyi, kiedy nikt nie wiedział co począć. Jak wiemy z ust Lubienieckiego, żyjącego w bliskich z nim stosunkach, istotnie to znawstwo Zamoyskiego „i na sejmie unii i sub interegno i na elekcyach siła Rzptej pomagało. [1])

Tą to drogą z sekretarza, z cichego pracownika, z urzędnika pracującego w archiwum — Zamoyski pomału wyrasta na przewodnika mas szlacheckich, na rzecznika w zatargach szlachty z senatem.

---

[1]) Poloneutychia str. 59. Zamoyski nawet jadąc w poselstwie do Francyi wozi się z księgą statutów i daje z niej wyjaśnienia por. Uchanciana I 138.

Szlachta musiała go cenić, bo ona zawsze dokonywując przewrotów, lubiała akcentować, że wypełnia dawne prawa, że dąży do ich „ekzekucyi," że tylko uchyla ich „exorbitancye" — a więc i teraz w czasie bezkrólewia pragnęła, aby Zamoyski dla każdej „nowości" znalazł uzasadnienie w dawnych prawach.

Zapewne już na tym samym sejmie, na którym Rej postawił swój projekt, — na sejmie unii lubelskiej Zamoyski musiał zająć się kwestyą przyszłej elekcyi, gdyż był na tym sejmie i brał w nim żywy udział (sam król Zygmunt posługuje się nim, wysyłając go wraz z kasztelanem płockim Anzelmem Gostomskim, do izby poselskiej)[1]), a jak wiadomo jednym z głównych punktów obrad była tu kwestya zniesienia dziedziczności książąt litewskich. Przychodziło tu nawet w sprawie uregulowania elekcyi do gwałtownych sporów i scen. Tak kiedy sam król parł do rychłego a stanowczego załatwienia tej kwestyi, a nawet Czarnkowski, marszałek izby poparł zdanie królewskie, podobno wówczas Drohojewski z kijem w ręku chciał rzucić się na Czarnkowskiego i niedopuścić do tego. [2])

Gdybyśmy mogli przeniknąć zamysły samego króla, to byłoby poniekąd to dla nas zarazem i wskazówką co do zapatrywań samego Zamoyskiego na elekcyą; wiadomo bowiem nam, że wówczas Zamoyskiego łączyły z Zygmuntem Augustem bardzo silne węzły. Właśnie bowiem w czasie tego sejmu biskup poznański, Adam Konarski nazywa Zamoyskiego „*Maiestatis Regiae dilectissimum*"[3]) a w żywocie Zamoyskiego skreślonym pod jego okiem[4]) czytamy, że miał go król „in intimis."

Jakież tedy były plany królewskie w kwestyi przyszłej elekcyi? Nie mówimy o kandydatach, czy to o zamysłach wprowadzenia na tron polski Habsburga, czy to o poleceniu królewskiem, aby Polacy brali sobie króla z północy—poleceniu, jak wiadomo spełnionem początkowo przez Zamoyskiego, który jechał

---

[1]) Źródłopisma (1569) str. 77 (262, 271).

[2]) Czacki.

[3]) W liście z 20 I 1569 z Lublina do Ludwika Monti, dawnego sekretarza Bony (Bibl. Ord. Krasińskich, oryginał).

[4]) Elegium Zamoyscii (Archiwum Jana Zamoy. I str. XXVIII) zaznaczono tu, że gdyby król dłużej pożył, pewnieby już wówczas Zamoyski został kanclerzem (f. XXIX).

na pierwszą elekcyę „ut pro Moscho laboraret.“ [1]) Nie chodzi nam powtarzam o kandydatów do tronu, o których myślał Zygmunt August, ale o to za jakim systemem elekcyi był król.

Wiemy od Krzysztofa Warszewickiego,[2]) że król do tego stopnia wziął do serca sprawę uporządkowania przyszłej elekcyi, że nawet własnoręcznie skreślił projekt sposobu elekcyi jeszcze na pamiętnym sejmie 1558/9, ale pokazał go tylko niewielu osobom a to dlatego, że szlachta podejrzewała go (zapewne o zapewnienie sukcesyi Habsburgom). Niezawodnie królewski projekt 1558/9, na którym nietylko senat, ale i sama szlachta godziła się na system reprezentacyjny, opierał się na tym systemie, a nie na wirylnym. Król jednak nie dążył, jak może niektórzy magnaci, do odepchnięcia szlachty i ich posłów od udziału w elekcyi; owszem na pamiętnym sejmie unii lubelskiej zaznaczył wyraźnie że jest za *wolną* elekcyą i za udziałem szlachty, że chce „aby wolne obieranie było a nie *poniewolne*, gdyż się to i za przodków moich dziewało (co uważa za złe), że nie kogo *wszyscy*,[3]) ale kogo *kilka* obrali, panem zostawał.“[4])

Z wszystkiego tego widać, że król był przeciw wyłączności senackiej, ale chyba za systemem reprezentacyjnym.

Czy Zamoyski, najulubieńszy (dilectissimus) wówczas królewski sekretarz, wysyłany przezeń na tymże sejmie lubelskim do pertraktacyi w jego imieniu z izbą (zob. wyżej), czy ten Zamoyski nie podzielał zapatrywań króla, słowem, czy nie był też za systemem reprezentacyjnym, wówczas, kiedy przecież sam wyraziciel haseł szlacheckich Rej przedstawiał projekt reprezentacyi i to tak skromny („połowica“)?

Wszak Zamoyski tak nie dawno wrócił z Wenecyi, tak się tam z jej urządzeniami zżył, tak często im się przypatrywał (jako „rektor padewski“ mający ciągłe stosunki z rządem) — że musiał chyba przylgnąć do wyborów przez reprezentacyę dokonywanych w państwie „dożów“ — tem więcej że sam został tam wybrany rektorem przez reprezentantów „nacyi“... Wiadomo skąd-

[1]) Heidenstein, Vita Zamoyscii 15—16.

[2]) De optimo statu libertatis. Cracov. 1598 str. 51 i 57—8.

[3]) To jest wszystkie stany, nietylko senat, ale i szlachta, por. wyżej.

[4]) Co więcej nawet podzielą zdanie szlachty: „hetman aby był przysięgły, aby przyciągnąwszy z ludźmi, gwoli sobie i komuś drugiemu nie obrał pana, jako to bywało przedtem, czego nie chcę wspominać“ (Kojałowicz, Dziewnik lublin. str. 592—633.

inąd, że Polacy wróciwszy z Wenecyi, wychwalali na pierwszej elekcyi urządzenia weneckie i radzili je w kraju zastosować,[1]) czy do nich nie należał i Zamoyski?

Wszystkie te wskazówki składają się na jedno bardzo prawdopodobne przypuszczenie, że Zamoyski późniejszy nieugięty apostoł głosowania wirylnego, był poprzednio stronnikiem systemu reprezentacyjnego, tak samo jak Rej. To przypuszczenie staje się prawie pewnikiem przez to, że mamy świadectwo, według którego Zamoyski przy pierwszym swym publicznym występie po śmierci Zygmunta Augusta (mianowicie w 2 tygodnie po niej w czasie zawierania konfederacyi województwa bełskiego) jeszcze wyraża zgodę na system reprezentacyjny.

Ta bełska konfederacya (z 21/VII 72)[2]) jest bardzo znamiennem świadectwem dla ocenienia zapatrywań Zamoyskiego i ich przeobrażeń. Przedewszystkiem trzeba uwydatnić, że Zamoyski w tej konfederacyi bierze udział nader żywy, co jest zresztą rzeczą zrozumiałą, boć przecież był starostą bełskim. Co więcej on jest nawet inicyatorem zawiązania się tej konfederacyi.

Opowiada bowiem Heidenstein, że nawet sam Zamoyski chciał zwołać zjazd szlachty, nie bacząc na to, że są przecież i inni starsi dygnitarze w województwie bełskiem, a że chciał zwołać niby na tej podstawie, że dawnymi czasy, kiedy ziemia bełska należała jeszcze do księstwa mazowieckiego to starostowie bełscy mieli wielkie znaczenie, jako opiekunowie (paedagogus, piastun?) dzieci tych książąt.[3]) Chociaż od tego przywileju zwoływania własną powagą sejmików ustąpił Zamoyski - na przedstawienia Andrzeja Tęczyńskiego, kasztelana bełskiego,[4]) już jednak w tym pierwszym

---

[1]) Por. Rykaczewski, Rel. I 263.

[2]) Tekst zob. Arch. J. Zamoy. str. 439. Traczewskij błędnie daje datę 17/VII.

[3]) Jul. Bartoszewicz (Prawo o elekcyi. Dzieła X 236) mylnie podaje, jakoby za czasów bezkrólewia Zamoyski opiekował się jeszcze jakimś potomkiem książąt mazowieckich.

[4]) Tęczyński nie był jeszcze wówczas wojewodą bełskim, jak go zwie Heidenstein (Rerum. polon.). Wojewodą był wówczas teść Tęczyńskiego, Andrzej Dembowski, ale dla podeszłego wieku („prze zeszłość lat“ jak brzmi tekst konfederacyi) już nie bierze udziału w sprawach publicznych. Ostate-

kroku dowiódł, że umie dla każdej pretensyi wyszukać nawet w odległej przeszłości dowody przemawiające po jego myśli.

Wpływ Zamoyskiego w czasie zawiązywania tej konfederacyi bełskiej widoczny choćby w tem, że do boku Tęczyńskiego, jako sprawiającego (w zastępstwie wojewody Dembowskiego) „regiment,“ — dodała szlachta i Zamoyskiego, a o żywym udziale Zamoyskiego w poszczególnych uchwałach tej konfederacyi pisze wyraźnie Heidenstein, według którego cały punkt [1]) o urządzeniach sądowych w czasie bezkrólewia był pomysłem Zamoyskiego.

Co więcej Zamoyski brał udział w układaniu samego tekstu — co nic dziwnego jak na „człowieka pióra“ i „uczonego autora.“ [2])

Nawet takie zwroty jak zdanie, że występującemu przeciw tej konfederacyi „dobra jego spustoszym“ „dobra jego zniszczymy,“ że uchwały te zapadły „jednostajnemi sercami i myślami“ i t. p. — to są zwroty, które — jak gdzieindziej wykażę — wydobył Zamoyski z aktu konfederacyi 1436 r. i które on tylko mógł znać, bo sam je odszukał. A zresztą przez całe bezkrólewie sejmik bełski jest zawsze tylko posłusznym wykonawcą projektów Zamoyskiego — czyżby więc i w czasie pierwszego zebrania nie uchwalił tego, co proponował starosta bełski?

Dla tego tak tutaj podkreślam żywy udział Zamoyskiego w ułożeniu tej konfederacyi bełskiej, bo w tej właśnie konfede-

---

cznie w konfederacyi bełskiej wyrażono, że szlachta zebrała się „wolnie i sami z swej chęci“ a tylko na wieść o śmierci królewskiej, rozpowszechnioną przez Tęczyńskiego. Co do przewagi starostów bełskich w województwie bełskiem nad innymi dostojnikami, to zaznaczył Zamoyski w naszkicowanej przez siebie kroniczce województwa bełskiego (Inwentarz Ms. Bibl. Ord. Zamoyskich 1603 t. III f. 915), że dopiero od 1434, od czasu zrównania szlachty ruskiej z polską „najduję w przywilejach i aktach zminki częste wojewód, kasztelanów, podkomorzych i innych cześników i urzędników ziemskich nakształt polskich we wszystkich ziemiach ruskich, których do tego czasu żadnej zminki nigdziem nie nalazł, tylko *starost* i podkomorzych, na których wszystkie odprawy natenczas znać, że należały...“ Zdaniem więc jego i sprawa zwołania sejmików była w rękach starostów...

[1]) Arch. J. Zamoy. I, str. 441. Ten punkt właśnie wskazuje, że zjazd konfederacyi bełskiej, o którym wspomina Orzelski a zjazd wzmiankowany u Heidensteina (Vita 13) są jednym i tym samym zjazdem, a nie dwoma różnymi, jak chce Jul. Bartoszewicz. Prawo o elekcyi. Dzieła X 237.

[2]) Historyk Zamoyski widnieje już w zwrocie wstępnym akcentującym że dziedziczność nie istniała nigdy dawniej w Polsce, ale zawsze elekcyjność, że Polska brała „z domu Jagiełłowego siedm królów, jednego po drugim, nie mocą prawa jakiego dziedzicznego, ale za naszą wolną elekcyą...“

racyi — oświadczono wyraźnie zgodę i na system reprezentacyjny [1]) elekcyi, co niewymownie ciekawe rzuca światło na owoczesne jeszcze zapatrywania Zamoyskiego.

Poznajmy bliżej ten akt konfederacyi. Jest on najwidoczniej interpretacyą statutów 1530 i 1538. Uderza nas używany tu kilkakroć zwrot że „*wszyscy* mają brać udział w elekcyi," że ma ona być bez obrony, bez woli „wszech" i t. d. Ale jak już zaznaczyliśmy, pod wyrazem wszyscy — rozumiano wszystkie stany i uważano że posłowie zupełnie dobrze mogą reprezentować wszystką szlachtę. [2])

Uderza nadto w tej konfederacyi po kilkakroć używany zwrot, że król ma być obrany „*porządnie*" i „wolnie" — połączenie tych dwu wyrazów widocznie wskazuje na umiarkowany ton u twórców tej konfederacyi. Przeciwnicy bowiem udziału tłumów w elekcyi — akcentowali zawsze, że elekcya tylko bez tłumów odbyć się może „porządnie," że „in multitudine confusio" i t. p., gdy zwolennicy elekcyi viritim znowu nawoływali ciągle, żeby elekcya była *wolna!* Więc żądanie Bełżan, aby ją odbyć „porządnie i wolnie" wskazuje na ich pośredniczące stanowisko.

Ostatecznie najwyraźniej tendencyę tej konfederacyi oznaczono w tem postanowieniu, że będą mieć za króla tylko tego, „któryby od wszech *stanów* wszystkiej tej Rzlptej, które do obierania króla podług prawa i zwyczajów należą, którzyby, będąc wszyscy przodków naszych obyczajem wezwani, zjechali się *albo posły dostateczną mocą posłali*, porządnie i podług praw i wolności naszych obran, oznajmion i obwołan był" [3]) To znaczy: staje ta konstytucya na gruncie statutu 1530, według którego wszystkich należy wezwać na elekcyę, [4]) ale nie rostrzyga, czy wszyscy istotnie mają na nią pośpieszyć, czy też tylko posłów z pełną plenipotencyą posłać.

---

[1]) Piliński (str. 61 uw. 16) znał nie tylko ten urywek konfederacyi, jaki jest u Noailles'a III, ale cały tekst konfederacyi z Ms. Dzikowskiego i przepisał je do swych notat (Ms. Bibl. Akadem. w Krakowie Nr. 1146 str. 14) i dla tego wie, że była mowa w tej konfederacyi o reprezentacyi. Zupełnie jednak nie poruszył tej myśli, że przecież Zamoyski musiał być jednym z głównych jej autorów, a więc stronnikiem systemu reprezentacyjnego.

[2]) Porównaj wyżej, str. 478 uw. 2.

[3]) Arch. J. Zamoys. 440.

[4]) „Omnibus membris et ordinibus Regni pro tempore denuntiarent."

Żadnego systemu w tej konfederacyi specyalnie nie zalecono; obojętna, który się obierze.[1])

Możnaby wprawdzie konfederacyę bełską uważać, za owoc starcia się 2 prądów, z których jeden przedstawiałby stronników systemu reprezentacyjnego pod wodzą np. Tęczyńskiego, a drugi za systemem wirylnym pod wodzą Zamoyskiego (wszak kłócił się z Tęczyńskim o zwołanie sejmiku). Ale nic nie uprawnia do przypuszczenia, że Tęczyński był przeciwnym elekcyi powszechnej. Owszem wiadomo jest, że już przed opisaniem konfederacyi bełskiej, bo 14 VII 1572 w sąsiedniem województwie lubelskiem kasztelan Słupecki wydał uniwersał, w którym podudza szlachtę do udania się „viritim“ na przyszłą elekcyę,[2]) a rzecz znamienna — ten uniwersał wydaje Słupecki (jak sam zaznacza) w porozumieniu ze starostą lubelskim a kasztelanem wojnickim, Janem Tęczyńskim, który był bratem owego kasztelana bełskiego.

Przypuścić się godzi, że obaj Tęczyńscy, tak blisko z sobą sąsiadujący, nie byli odmiennego zdania, a zresztą sam już fakt, że Zamoyski na konfederacyi bełskiej nie protestował przeciw systemowi reprezentacyjnemu i to właśnie w tych czasach, kiedy — jak później zobaczymy — w 3 województwach małopolskich padło już hasło „pospolitego ruszenia“ na elekcyą — dowodzi jasno, że Zamoyski na początku elekcyi — a Zamoyski z czasów późniejszych — to są jakby dwaj ludzie różni.

Zgoda Zamoyskiego w Bełzie na system reprezentacyjny tem jaskrawiej się uwydatnia; że tuż w sąsiedniej ziemi chełmskiej w 4 dni przed zawiązaniem tej konfederacyi bełskiej, zawiązała (17/VII 1572) szlachta również konfederacyę[3]) ale najwyraźniej w niej zawarowała, że wszystka szlachta musi wyruszyć pospolitem ruszeniem na elekcyą, gdyż każdy uchylający się od tego będzie pociągnięty do odpowiedzialności i — ukarany!

Zaznaczono bowiem tam wyraźnie:

„A my tymczasem gotować się będziemy, jako każdy najlepiej może i powinien, obyczajem wyprawy wojennej zjechać pod swą chorągiew na miejsce zjazdu pospolitego koronnego pod winami prawa koronnego.“

Zamoyski sam kasztelanic chełmski, musiał doskonale wiedzieć, że takie postanowienie zapadło w sąsiedniej chełmskiej zie-

[1]) Na pierwszem miejscu postawiono elekcyę „viritim,“ ale trudno z tego cokolwiek wnioskować.

[2]) Uniwersał Słupeckiego w Bibl. Ord. Krasiń. (kopia Albertrandego).

[3]) Noailles III 157—8.

mi, gdyż jakkolwiek ta ziemia należała do innego województwa ruskiego, a nie bełskiego, to jednak z województwem bełskiem łączyły ją zawsze blizkie węzły. Najlepszym tych blizkich węzłów dowodem fakt, że w czasie zawiązywania właśnie omawianej tu konfederacyi bełskiej, zjechała do Bełza i szlachta chełmska i podpisał tę konfederacyę sam kasztelan chełmski, Michał Łysakowski, i sam starosta chełmski, Aleksander Łaszcz. Od nich Zamoyski doskonale wiedział o postanowieniu elekcyi „viritim“ w ziemi chełmskiej—a jednak nie stanął pod tym sztandarem, nie wygłosił hasła przymusowego udziału w elekcyi, ale uwzględnił i system reprezentacyjny.

Ciekawość zbiera, kto to z ziemi chełmskiej rzucił hasło elekcyi viritim? Przyznać trzeba, że ziemia chełmska była jakby zrodzona na to, aby wyhodować czysto szlacheckie, anti-senatorskie hasła, bo właściwie magnatów w niej nie było. Wojewoda ruski był zawsze daleko, a z senatorów był tu tylko jeden duchowny: biskup chełmski, który zapewne wówczas — w epoce reformacyi nie cieszył się zbyt wielkiem poważaniem u szlachty. Był tu wprawdzie kasztelan chełmski, ale toż to był senator drążkowy, a z tych każdy zwykle trzymał raczej z obozem „młodszej“ szlachty, jak z senatem.

Nic dziwnego, że w takiej „bezsenatorskiej“ ziemi, przywykłej do szlacheckiego „samorządu,“ nie obawiającej się żadnej zemsty ze strony „panów“ wyrósł wódz szlachty z doby Zygmunta Augusta, „Demostenes“ posłów szlacheckich, nieustanny prawie marszałek izby poselskiej: podkomorzy chełmski, Mikołaj Siennicki.

On to był marszałkiem owego sejmu 1558/9, na którym szlachta toczyła zapasy z senatem w kwestyi elekcyi, on to, dostrzegłszy, że dzięki uporowi senatu upadł projekt szlachecki a senatorowie postanowili odbywać elekcyę „po staremu“ (t. j. według 1530 i 1538 = viritim) zawziął się i oświadczył magnatom, że kiedy senatorowie postanowili przeprzeć senatorskiego króla, to szlachta postara się naprzekór o szlacheckiego, a świat zobaczy, czy senat czy szlachta wygra... [1])

Nic więc dziwnego, że on też teraz pierwszy po śmierci królewskiej zabrał się do walki z senatem, pobudził szlachtę chełmską do zebrania się na sejmiku i pierwszy rzucił hasło „pospolitego ruszenia“ na elekcyę. [2])

[1]) Dyaryusz 1565 str. 293—5.

[2]) Z tekstu konfederacyi chełmskiej łatwo wyrozumieć, że Siennicki był tej konfederacyi twórcą.

A jednak na sejmie 1558/9 ten sam Siennicki był za systemem reprezentacyjnym (coprawda bardzo szerokiem, poczwórna ilość posłów). Widocznie że zmieniło się położenie, kiedy już tacy dowódcy izby poselskiej i protestanci, jak Siennicki — opuszczają dawny projekt wybierania przez posłów i przerzucają się na stronę elekcyi viritim?

Kto wie czy sam Rej, gdyby był dożył bezkrólewia, nie uznałby wraz z Siennickim, że „pospolite ruszenie“ szlachty na elekcyę, — najlepiej jej posłuży w walce z senatem o przewagę na polu elekcyjnem...

Z wszystkiego tego chyba jasno wynika, że niesłusznie uważa się Reja, jako przedstawiciela systemu reprezentacyjnego elekcyi, w przeciwieństwie do Zamoyskiego. Gdy wychwalany przez Reja (w Zwierzyńcu) i jego współwyznawca — Siennicki już przerzucił się na rzecz elekcyi viritim, wówczas jeszcze Zamoyski był dla elekcyi viritim obojętny i godził się i na wybór przez reprezentacyę.

Zamoyski stanął na tem stanowisku z całą rozwagą, gdyż już wówczas patrzyła nań szlachta, jako na swego proroka. Dowodem tego fakt, że choć jeszcze nie rzucił był w konfederacyi bełskiej popularnego hasła elekcyi viritim, a zaraz jego postanowienie wyrażone w konfederacyi bełskiej, przyjęły prawie bez zmiany województwo ruskie i podolskie (30/VIII) na konfederacyi w Glinianach,[1]) a tak samo województwo wołyńskie i kijowskie, a nawet sandomierskie.[2])

Podczas gdy w Wielkopolsce było aż 4 biskupstwa, to w Małopolsce było początkowo tylko jedno. Skutek tego w XVI wieku był taki, że całą Wielkopolską trzęsła hierarchia duchowna, podczas, gdy w Małopolsce na czoło wysunęli się protestanccy magnaci, którzy w walce z episkopatem kokietowali zawsze — szlachtę.

[1]) Heidenstein (Rer. polon. str. 16—17). W Glinianach był okok bełskiego i wołyński poseł (Nonilies III 162). Piliński też zaznacza (czy na podstawie porównania tekstu?) że postanowienia zjazdu wołyńskiego z 27/VII 1572 są naśladowaniem bełskich (Ms. Pilń. w Akademii Umiej. Krakow. Nr. 1146 f. 14 i 97). Konfederacya glinińska zupełnie nie wspomina o sposobie elekcyi.

[2]) Traczewskij str. 163 z Ms. Petersburskiego.

Ten stan rzeczy szczególnie uwydatnia się w czasie pierwszego bezkrólewia. Magnaci protestanccy, aby nie dać się pobić duchowieństwu i niedopuścić prymasa do steru państwa — starają się o poparcie u mas szlacheckich. Nie tylko zaczynają szlachcie swego województwa schlebiać, ale wprost zamyślają pociągnąć ją na samo pole elekcyi, aby za pomocą tych powolnych sobie tłumów wpływać po swej myśli na wybór króla. W Małopolsce występuje nawet rzecz dziwna: oto sami panowie narzucają szlachcie hasło elekcyi „viritim," gdy sama szlachta się ociąga i zupełnie nie rwie się ochotnie do ciężkiego obowiązku „pospolitego ruszenia," do którego zazwyczaj królowie musieli ją zmuszać „karami." I teraz choć tu chodziło o pochód nie na niebezpiecznego nieprzyjaciela, ale na ciekawe targowisko — o koronę polską, — szlachta leniła się, nie chciało się jej wlec daleko w ordynku wojennym...

Na tem tle zrozumieć dopiero można, dlaczego to sami możnowładcy małopolscy wygłaszają najpierwej [1]) hasło elekcyi viritim i wyrywają pod tym względem palmę pierwszeństwa Zamoyskiemu. [2])

I tak pierwszy, który rzucił hasło elekcyi nie był Zamoyski, ale najwybitniejszy przedstawiciel tego rodu, z którym właśnie Zamoyski miał w przyszłości stoczyć walkę na śmierć i życie — Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski.

Piotr Zborowski najpierwszy rzucił przed szlachtą swego województwa hasło elekcyi. Uczynił to w uniwersale, który w zbiorach współczesnych nosi tytuł „uniwersału *najpierwszego*." [3])

Wojewoda w tym uniwersale przedstawia się jako typ magnata, starającego się o popularność wśród szlachty swego województwa. On już dawniej uprawiał politykę kokietowania mas szlacheckich i teraz „najpierwszy" zrozumiał jaką drogą można zająć dominujące stanowisko na polu elekcyi. W tym uniwersale, który wydaje (11/VII 1572) a więc jeszcze przed śmiercią — (a tylko na wieść o dogorywaniu) króla, już wojewoda oddaje się zupełnie w ręce masy szlacheckiej i opiera się tylko na niej. Nic też dziwnego, że w skutku ten ród Zborowskich, który „najpier-

[1]) Jak wspomniałem str. 493, pierwszy ze *szlachty* (w czasie bezkrólewia) wypowiedział to hasło Mik. Siennicki, ale uprzedził go chronologicznie jak zobaczymy Zborowski, wojewoda sandomierski.

[2]) Zamoyski pierwszy raz wystąpił z tem hasłem — o ile można było dojść — dopiero 29/IX 1572.

[3]) Noailles III 82.

wszy“ odczuł „ducha czasu,“ wznosi się szybko na tej fali „demokratycznej“ i odgrywa pierwszorzędną, decydującą rolę w czasie 2 pierwszych bezkrólewiów.

W tym uniwersale Zborowski najwyraźniej akcentuje, że

a) chce głosować „z wszystkim gminem,“ co więcej domaga się, aby do elekcyi stanąć *musiał każdy* z jego województwa. A więc nie jak się później utarło: każdy, który chce, może brać udział w elekcyi. Wojewodzie to nie wystarcza, domaga się przymusu: każdy *musi pod karą śmierci i utraty majątku* jechać na elekcyę, a tylko szlachta zagrodowa własnoręcznie uprawiająca rolę może głosować przez posłów (z każdej wsi po 2 lub 1);

b) Już tu zaznaczono wyraźnie, że sposób głosowania ma być taki, aby najpierw głosowanie odbywało się w każdem województwie, a potem dopiero obliczać się będzie same głosy województw;

c) Przy tem wszystkiem wojewoda zaznacza — rzecz znamienna — że nie większość — ale jednozgodność rostrzygać będzie na elekcyi!

Wszystko to wypowiedziane w chwili, kiedy Zamoyski był jeszcze gotów zgodzić się na system reprezentacyjny!

Piotr Zborowski te hasła uporczywie powtarza i w późniejszych miesiącach wprost agituje za elekcyą viritim...

W drugim bowiem uniwersale 13/IX. 72 (a więc jeszcze przed pierwszym śladem przechylenia się Zamoyskiego na stronę systemu elekcyjnego), Piotr Zborowski zachwalić wprost nie może szlachcie swobody viritim, ukazuje ją jako klejnot drogocenny, zachęca do niej i zagrzewa [1]) a opierając się na statucie Zygmunta I 1530, gdzie mowa, że „omnibus“ (wszystkim) ma się o terminie elekcyi ogłosić i wszystkich na nią wezwać — wykazuje, że każdy ma brać udział w elekcyi.

Pisze: „Przytem wszech, którzyby się jeno krwie szlacheckiej czuli, napominam, aby pomnieli na stan swój i na tę *jedyną (z której wszystkie inne płyną) wolność* naszę, co ją „*omnes*“ zową, iż wszyscy jednako mamy do wolnego obierania Pana należeć, które to „*omnes*“ szlacheckie, byśmy raz, czego Panie uchowaj, utracić mieli, jużbyśmy zaraz i z wolnościami wszystkimi zginąć musieli. Co wspomniawszy i uważywszy u siebie, wszystkiej krwie szlacheckiej proszę i napominam, *aby się każdy do tego go-*

[1]) Noailles III 126—7.

łował, jakoby na czas omieniony na tem miejscu elekcyi się stawił i tam z powinności swej o nowym panie z innem *wszem* rycerstwem radził...“ „A tam w dzień elekcyi gdy się zjedziem w łasce bożej, ja między WMciami bracią swą na pole wyjadę i od WMciów nie tylko rzeczą, ale da li P. Bóg ani pomyśleniem nawet, ni w czem się nie oderwę.“ [1])

Jeszcze echo uniwersału „najpierwszego“ nie przebrzmiało a już w 3 dni potem (14 VII) kasztelan lubelski, Stanisław Słupecki (w zastępstwie nieobecnego wojewody lubelskiego[2]) wydaje uniwersał do swego województwa lubelskiego.

Ten uniwersał wydany w porozumieniu ze starostą lubelskim, Tęczyńskim Janem, kasztelanem wojnickim — jest wprost powtórzeniem myśli i zwrotów wypowiedzianych przez Zborowskiego; a więc i Słupecki podkreśla, że nie chce takiej elekcyi, którejby dokonano „krom szlacheckiego stanu,“ a więc poleca zebrać się do „kupy“ całej szlachcie województwa, aby mógł ją pod chorągwią[3]) zaprowadzić na pole elekcyi, a tylko wyjątkowo (podobnie jak Zborowski) uwalnia od pospolitego ruszenia szlachtę zagrodową, której pozwala 1 lub 2 posłać reprezentantów.

„A ktobykolwiek z WM. do tej spólnej gromady i pod chorągiew województwa tego nie przyjechał, okrom wielkiej a znacznej choroby, nie za jakiem rozkazaniem mojem, ale z swej powinności, takie albo takiego *w tym spólnem zjeździe wszystkich województw* opowiemy i będziemy pronuntiować hostem patriae i zdrajcą Rptej i matki swej i tamże o gardle i majętności *jego radzić* będziemy.“

Więc znowu *przymusowa* elekcya viritim! nie kto chce, ale każdy musi jechać na elekcyę.

Mniej wysunął się naprzód, ale niezawodnie w tym kierunku działał i potężnie zaważył, wielmoż trzeciego województwa małopolskiego — Firlej, wojewoda krakowski, który, będąc wodzem wszystkich protestantów—walczył o pierwszeństwo w czasie bezkrólewia z prymasem...

---

[1]) Noailles III 126—7.

[2]) Maciejowskiego. Słupecki pisze „gdy starszego urzędnika tego powiatu albo województwa nam nie staje.“ Uniwersał ten dotąd nieznany znajduje się w kopii XIX w. Bibl. Ord. Krasiń. (kopia Albertrandego).

[3]) „Dla Boga! pan chorąży naszego województwa, aby z chorągwią gotową przyjechał, kiedy ja naznaczę i oznajmię.“

Jego to dziełem był zjazd knyszyński, jego to dziełem było podburzenie tam szlachty przeciw senatorom[1]), jego dziełem było postanowienie, aby elekcya odbyła się w bliskości jego dóbr koło Lublina, aby w ten sposób lubelska szlachta protestancka, której on był kierownikiem, mogła zaważyć na przyszłej elekcyi...

Stąd też i zjazd knyszyński sądząc, że istotnie pod Lublinem odbędzie się przyszła elekcya i chcąc jak najwięcej pobliskiej szlachty protestanckiej ściągnąć na elekcyę — rzuca hasło jaknajliczniejszego w niej udziału mas.

Zjazd knyszyński w uniwersale (31 VIII 1572) zwołuje na elekcyę „wszystkich ludzi jakiegokolwiek stanu ze wszystkich państw koronnych, którzy według prawa i nadanej z dawna wolności do tego należą.“ [2])

Nie ma tu mowy o przymusowym udziale „viritim“ w elekcyi, bo nie chciano pobudzać dalekich Wielkopolan, lub katolickich Mazowszan do pochodu pod Lublin; autorom tego uniwersału chodziło o podniecenie tylko szlachty z najbliższych województw do przybycia, tak aby na elekcyi Małopolska i protestantyzm — mogły zwyciężyć.

Z tego też względu Firlej[3]) jest teraz zasadniczo przeciwny systemowi reprezentacyjnemu, a widać to stąd, że występuje przeciw zwoływaniu przed elekcyą jakichkolwiek sejmików (na których tylko przecież możnaby było wybrać posłów). Oznajmiając bowiem szlachcie swego województwa o terminie zbliżającej się elekcyi pod Lublinem, między innymi zaznacza[4]): „iż w prawie pospolitem koronnem nie znajduje się to, aby przed taką elekcyą *sejmiki powiatowe* miały być składane i *posłowie od rycerstwa ku obieraniu sobie pana nowego posyłani być mieli*, jedno iż *wszytcy* obywatele *wszytkiej* korony polskiej, stanu rycerskiego społem z JM. pany radami do elekcyi takowej należą i za obwieszczeniem panów rad koronnych, na czas i miejsce wyznaczone zjechać się mają, nie zdała się tedy JM. być rzecz potrzebna, *aby przed*

[1]) „Z tego zjazdu Knyszyńskiego to urosło naprzód, iż Ich M. przywiedli mas, rady (t. j. senatorów) do młodszej braci w jakieś mniemanie, jakobychmy albo tak leniwi, albo tak niedbali byli, żebyśmy o Rpltej wiernie a pilnie radzić i o miejsce starać nie chcieli, jako Ich M. czynić raczą (Uchań. IV 271).

[2]) Noailles III 117, Sienkiewicz, Skarbiec II 31—40. Por. Piliński str. 23, 31.

[3]) Podobnież: Zborowski 13 IX 1572 Noailles III 125.

[4]) Uniwersał z 29 VIII 1572 (kopie Albertrandego z Bibl. Ord. Krasiń.). Byli jednak w Knyszynie niektórzy za zwoływaniem sejmików por. Noailles III 123.

tą elekcyą, gdy wszytcy do niej należą, sejmiki powiatowe miały być składane."

Już Piliński uwydatnił tą agitatorską rolę Firleja, który prowadząc walkę z prymasem i katolikami, musiał użyć do pomocy szlachty protestanckiej.

W roli tej utrzymywał się Firlej aż do czasu zebrania się konwokacyi warszawskiej. Gdy na niej uchwalono, że miejscem elekcyi ma być nie Bystrzyca pod Lublinem ale Warszawa, że więc wpływać mają na elekcyę sąsiednie tłumy najzagorzalszych katolików, Mazowszan, a nie lubelskich protestantów, od tej chwili staje się Firlej wrogiem elekcyi „viritim" i stara się o zwycięstwo dla systemu reprezentacyjnego, ale już było „po harapie." Przeciwnicy jego, a przedewszystkiem Karnkowski z swymi Mazowszanami, pobili go jego własną bronią,

W przeciwieństwie do wspomnianych trzech magnatów małopolskich, do Firleja, Zborowskiego i Słupeckiego,—panowie wielkopolscy (szczególnie hierachia duchowna i to przed zjazdem knyszyńskim) nie okazywała zupełnie zachwytów względem systemu „viritim" [1]). System reprezentacyjny był więcej na rękę tym w Wielkopolsce[2]), którzy chcieli przeprzeć Habsburga, gdyż kandydatura ta nie była popularną śród mas szlacheckich. Na oko jednak udawali obojętność i dlatego prymas Uchański, wydając [3]) wraz z panami wielkopolskimi uniwersał z Chróślina do panów małopolskich, godzi się w nim na oba systemy, bo domaga się, aby „każdy ktoby chciał, z województwa swego na sejm walny (elekcyą) z zdaniem swem do opatrzenia praw i wolności naszych (jakieby mu się zdało najlepsze) w pokoju a zgodzie jechał, *albo aby z pośrodka siebie stali.*"

Kiedy jednak panowie wielkopolscy ujrzeli, że z Małopolski (i z innych stron) panowie postanowili pchnąć całe masy na elekcyę, wtedy i oni także zaczęli nakłaniać swą szlachtę do pochodu powszechnego na elekcyę, aby zrównoważyć siły małopolskie...

Przyszło im do tego nie łatwo, bo szlachcie *się nie chciało sunąć* pospolitem ruszeniem tak daleko (aż do Bystrzycy!) Dowodzi tego nader charakterystyczna scena, jaka się odbyła na sejmiku w Środzie (8 IX 72).

---

[1]) Edykt łowicki 23 VII 1572 oświadcza, że na elekcyą „ze wszystkich stanów" mają się zjechać (Sienkiewicz, Skarbiec 20), coby wskazywało na system reprezentacyjny.

[2]) Mosbach, Wiadomości do dziejów Polski, Ostrów 1860 str. 82.

[3]) 14 VIII 1572, Noailles III 112.

Tu obradowano w 2-ch kołach, osobno senatorowie a osobno szlachta i właśnie z wymiany przedstawiań i odpowiedzi między tymi dwoma kołami pozostały nam protokóły[1]).

Panowie pobudzają tu najwidoczniej szlachtę przeciw urządzaniu elekcyi pod dalekim gdzieś Lublinem, przyczem uderzają w ton popularności, podkreślając prawa młodszej braci do udziału w wyborze króla[2]).

Oświadczają przytem zgodnie panowie: „A iż też p. sędzia ustnie nam od WM. takowe zdanie odniósł, aby na elekcyą, *ktoby chciał, jechał*, a ktoby tu został, aby taki każdy *na granice* ruszyć się był powinien, tedy się nam to niezda z tej przyczyny, iżby *więcej tych było, którzyby tu zostali*. A iż niebiezpieczeństwa takiego na granicach nie baczymy, przez które więcejby niż do elekcyi (gdzie nam o wszystko idzie) potrzeba, tedy się nam zda *i o to WM. prosimy i napominamy, abyście na elekcyą jechać raczyli, słysząc, jako się panowie Litwa i kto drugi, do czego się bierze.*“ Ale i te namowy okazały się bezskuteczne, i szlachta upierała się przytem, aby część ich została w domu, niby to dla obrony granic. W odpowiedzi bowiem żąda „co się obrony pogranicznej dotycze, ażebyście też WM. uchwalenie swe to do nas, braciej swej młodszej, odesłać raczyli dla wiadomości spólnej naszej i w tej mierze porozumienia.“

Wszystkie powyżej zaznaczone głosy za elekcyą viritim dały się słyszeć przed oświadczeniem się Zamoyskiego (za elekcyą viritim)—a i owszem w chwili, kiedy on się godzi jeszcze na system reprezentacyjny!

Zatem nie Zamoyski stworzył elekcyą viritim, ale stworzyła ją *rywalizacya* magnatów protestanckich z duchowieństwem, magnatów małopolskich z wielkopolskimi, Firleja z prymasem,—rywalizacya wreszcie różnych części Rzptej, które jedna nad drugą chciały się przesadzić i na elekcyi wystąpić z większą masową potęgą,—każdy magnat chciał, aby jego szlachty było na elekcyi najwięcej, aby za jej pomocą mógł bronić interesów swej ściślejszej ojczyzny, swego wyznania, i nie dać się innym zagłuszyć...

---

[1]) Kopie z XIX w. w Bibl. Ord. Krasiń. „Podanie od rycerstwa wszystkiego poznań. województwa JM.P. Coronnym na zjeździe srzedzkim 8 7-bris 1872 (też kopia P. Pilińskiego Ms. Dzikowskiego w Bibl. Akadem. krakow. Nr. 1146 f. 19—20).

[2]) Wskazują, że trzeba zająć się „elekcyą i publikacyą (o niej) rycerstwa wszystkiego, gdyż do tego jednak wszytcy należą.“

Rywalizacya samych panów i zawiść śród magnatów, wydobywała na wierzch tłumy szlacheckie, tworzyła z nich czynnik rozstrzygający, który jednano sobie coraz dalej idącymi ustępstwami. W ten sposób partye walczące z sobą w łonie samego senatu, przelicytowały – tłum szlachecki.

Oczywiście jak tylko jedna część postanowiła iść ławą, musiała i druga dla zrównoważenia i własnej obrony też iść masą— a potem cofnąć się już było nie sposób, bo już sami panowie podburzyli masy przeciw sobie, już rozjątrzyli szlachtę, sami przeciw sobie podsunęli jej, posądzenia o praktyki z „Habsburgami“ [1]). I wówczas dopiero z tej masy wysunął się jej trybun: Zamoyski, przyszły pogromca „popularnych“ magnatów — Zborowskich...

Co więcej! Rywalizacya magnacka i partyjna miała niebawem sięgnąć do jeszcze niższych warstw szlacheckich i wywieść je przeciw sobie na pole elekcyjne.

Z początku bowiem — jak już napomknąłem — magnaci małopolscy nie wzywali jeszcze szlachty zagrodowej do udziału powszechnego w elekcyi, owszem zaznaczali, że ta najbiedniejsza szlachta może poprzestać na wysłaniu tylko posłów.

Dopiero to hasło najbardziej „demokratyczne“ miało paść ze strony partyi katolickiej. Hierachia duchowna, widząc, że szlachta wielkopolska ociąga się od pospolitego ruszenia na elekcyę, (istotnie na samą elekcyę przybyli z poznańskiego i kaliskiego województwa tylko posłowie) postanowili gdzieindziej szukać mas, któreby mogli przeciwstawić protestantom. Wówczas to Karnkowski i Warszewicki wpadli na pomysł, którym istotnie pognębili protestantów — postanowili pchnąć na pole elekcyi całe tłumy biednej szlachty mazowieckiej.

Zastrzedz tu jednak muszę, że do urzeczywistnienia tego pomysłu zabrano się dopiero wtedy, kiedy już Zamoyski miał sposobność wypowiedzieć się jasno za elekcyą viritim [2]), i dlatego Warszewicki zupełnie niesłusznie uzurpuje sobie pod tym względem palmę pierwszeństwa.

Opowiada bowiem, że na końcu już roku 1572 [3]) cała szlachta mazowiecka zjechała się pod Warszawą w Zastowie i tu Warsze-

[1]) O tych praktykach wspomina już uniwersał wzmiankowany Słupeckiego.

[2]) O całem wystąpieniu Zamoyskiego za elekcyą viritim — rozszerzę się w książce „Trybun ludu szlacheckiego“ (pod prasą).

[3]) Teod. Wierzbowski: Niewydane pisma str. 23. Czy to nie identyczny zjazd że zjazdem w Grochowie 23 XII 1572.

wicki, dzięki swym stosunkom rodzinnym, przeparł, że zobowiązała się do udania się viritim na przyszłą elekcyę, i to pod *przymusem*, pod groźbą kar...

Chwali się Warszewicki, że to była „rzecz nowa,“ i że dopiero inne województwa poszły za tym przykładem, choć obawiały się, że wskutek nagromadzenia takiego mnóstwa ludzi na jednem miejscu nastanie wielka drożyzna...

Warszewicki tu nazbyt wiele sobie przypisuje, gdyż inne województwa znacznie uprzedziły postanowienia Mazurów, a nowość tylko w tem tkwiła, że pospolitem ruszeniem podążyć musieli na elekcyę nawet ci, co własną ręką ziemię uprawiali.

W. Sobieski.

POLITYKA SZKOLNA

terezyańsko-józefińska w Galicyi.

Cesarzowa Marya Teresa, głosząc zasadę, że szkoła jest agendą rządową, [1]) wyznaczyła temsamem sprawom szkolnictwa jedno z pierwszych miejsc, jeżeli nie co do czasu, to pod względem ważności w szeregu reform państwowych, wypełniających w zakresie zarządu wewnętrznego krajów habsburskich jej czterdziestoletnie panowanie. Równało się to bowiem urzędowemu z wysokości tronu uznaniu szkoły za narzędzie do osiągnięcia naczelnych widoków państwowych. Te widoki dla Austryi owoczesnej sprowadzały się w dziedzinie wychowania publicznego do tego, ażeby całą ludność od lat najmłodszych wciągnąć w karby najsilniejszej centralizacyi biurokratyczno-administracyjnej, a zarazem stopniowo dojść do przetopienia tak różnolitego ogółu mieszkańców dzierżaw habsburskich na jeden naród pod względem uczuć i pojęć, może nawet do zaszczepienia mu z czasem jednego wspólnego języka niemieckiego. Taka dążność miała swoje źródło w ogólnej oryentacyi państwowo-politycznej, ustalonej przez wszystkich panujących z domu Habsburgów począwszy od XVI wieku, a zmierzającej ku zespoleniu ich posiadłości, nader niejednolitych pod względem narodowościowym, w jedną, organiczną całość.

Na tak doniosłem dla osiągnięcia tych celów polu szkolnictwa, o które tutaj chodzi, przyniosła druga połowa w. XVIII w Austryi nadzwyczaj znamienne, a nawet radykalne, zmiany w pojęciach i praktyce państwowej. Rząd oświeconego absolutyzmu,

[1]) Die Schule ist ein Politicum.

poznawszy, jak znaczne usługi mogła mu oddać szkoła, kształcąca przyszłe pokolenia jego poddanych, musiał za wszelką cenę dążyć do ujęcia jej steru w swoje ręce i do zapewnienia jej najważniejszych podstaw, na których chciał to wychowanie oprzeć. Starając się zaszczepić swym poddanym takie zasady i poglądy, któreby mu ułatwiały osiągnięcie wytkniętego celu, musiał to uczynić na gruncie oświaty i moralności: najpierw kształcić ludzi, a potem wyrabiać ich na obywateli. Tak wyraził zadanie państwa na polu oświaty jeden z głównych organizatorów monarchii terezyańsko-józefińskiej, J. v. Sonnenfels.[1])

Stworzenie nowego systemu naukowego, nakreślenie planów, zorganizowanie szkół i obmyślenie odpowiednich funduszów, wreszcie zebranie nauczycieli były to zadania ważne i nie łatwe do spełnienia. Po za instytucyami kościelnemi, po za duchowieństwem świeckiem, które się zajmowało szkołami początkowemi i zakonnikami, prowadzącymi zakłady wyższe, nawet uniwersytety, po za duchowieństwem, uważającem nauczanie za przywilej swego stanu, za wyłączną niemal swoją atrybucyę — nie było ludzi zdolnych służyć państwu jako kierownicy oświaty i nauczyciele. Należało tedy specyalny stan nauczycielski wytwarzać dopiero z niczego, a na razie wezwać do pełnienia jego obowiązków księży. Trzeba było wybrać jednostki do pracy pedagogicznej z tej grupy ludzi, która przez kilka wieków wytworzyła praktykę nauczycielską i system wychowania, obecnie niewystarczający i wadliwy, ale jedyny, jaki był, pozostawić je przy dawnem zajęciu, zaszczepiając im jednakże nie tylko nowe teorye, ale i odmienne cele: zmusić do służenia przedewszystkiem idei oświaty i państwu, a nie kościołowi. Pierwszy krok w tym kierunku uczyniła Marya Teresa przez pośrednie uwydatnienie wpływów państwowych na studya teologiczne, a w dalszym ciągu wprost już zmierzał do tego celu Józef II zakładając na własną rękę seminarya generalne w miejscu dawnych dyecezyalnych. Tak znaleziono nauczycieli, którzy w dodatku z organizacyi kościelnej wynieśli karność i uległość wobec władzy, dwie cechy bardzo pożądane u urzędników absolutyzmu.

---

[1]) G. Wolf. Das Unterrichtswesen in Österreich unter Kaiser Josef II nach einer Darstellung von J. v. Sonnenfels aus dem Jahre 1786.

Die Bildung zum Bürger setzt die Bildung zum Menschen voraus. Diesen bildet der Moralist. Jeder Bürger muss solche moralische Grundsätze haben, welche mit den Gesetzen des Staates in Übereinstimmung stehen.

Cesarzowa, mimo swych poglądów politycznych, które niekiedy stawiały ją w kolizyi z kompetencyą Kościoła, była osobiście nader pobożną i pragnęła poddanym swym zapewnić wychowanie religijne. Natomiast syn jej i współregent, a późniejszy następca, cesarz Józef II był wprawdzie nierównie od matki wolnomyślniejszym i po objęciu rządów nosił się też z myślą usunięcia wręcz kleru od wychowania młodzieży, był jednak przedewszystkiem praktycznym i oszczędnym. Pragnąc zatrudnić wszystkich poddanych w sposób najbardziej dla państwa użyteczny, uważał pozostawienie duchowieństwu zajęć wyłącznie religijnych za marnowanie ich czasu i zdolności; przytem księża, uposażeni przeważnie dostatnio, mogli jego zdaniem ponosić tem większe ciężary na cele oświaty, im bardziej sami przez pozostawienie im wpływu na nią, byliby do tego zachęcani. Z majątku kościelnego, nie licząc wielu mniejszych i większych fundacyj, przeznaczonych pierwotnie na naukowe lub zamienianych na nie później, powstał i w Austryi pierwszy stały fundusz naukowy skutkiem konfiskaty dóbr skasowanego zakonu Jezuitów, po którym rząd objął spełniane przezeń obowiązki filantropijne i wychowawcze.[1]) Skołatany przez długoletnie wojny i kosztowną gospodarkę skarb austryacki nie byłby zapewne bez tej pomocy podołał nowym wydatkom na cele oświaty; mając jednak w ten sposób zapewniony fundusz i siły nauczycielskie, mogła Marya Teresa wykonać powzięty zamiar reformy szkół w duchu, jaki uznała za najlepszy dla swego państwa. Prace nad nakreśleniem planu prowadzone były przez szereg lat, poddawane wielokrotnym rewizyom i zmianom, jak wszystkie projekty ustaw austryackich w tej epoce, a jak w wielu innych działach zarządu państwa, tak i na polu szkół ludowych, szukała cesarzowa wzoru u swego wielkiego przeciwnika, Fryderyka II.

Zwłaszcza w prowincyi świeżo przez Prusy na Austryi zdobytej, na Śląsku, powstały szkoły ludowe, które zwróciły na siebie uwagę cesarzowej i zdawały się najbardziej odpowiadać potrzebom austryackim. Twórca ich, ks. Ignacy Felbiger, opat żegański, uzyskawszy wskutek żądania Maryi Teresy pozwolenie na

[1]) Zbiór rozporządzeń i ustaw dla królestw Galicyi i Lodomeryi wydawany przez Pillera. R. 1774 27/I: „Majątek ten słusznie jest przyłączony Najjaśniejszej C. K. Mości Najwyższemu Skarbowi, który obejmuje *staranność o przeszłych zniesionego Towarzystwa częściach*, wykonanie dawnych *S. P.* i *miłych* fundacyi i szkoły.“

Powyższy ustęp, przytoczony dosłownie, może służyć za przykład tłómaczeń ustaw dla Galicyi w owym czasie i później.

dłuższy wyjazd za granicę, przybył do Wiednia i jego dziełem był pierwszy projekt nowego systemu szkolnego dla krajów habsburskich. Praca Felbigera nie uzyskała w zupełności aprobaty cesarzowej, jako zbyt liberalna pod względem religijnym, stała się jednak podstawą do innych, już zupełnie odpowiadających żądaniom monarchini i wprowadzonych w życie.

Reformy te objęły głównie szkoły ludowe, pozostające pod wpływem księży świeckich. O ile skutkiem zniesienia zakonu Jezuitów przeszły i uniwersytety z ich rąk pod bezpośrednią opiekę rządu, pozostawiono z drugiej strony szkoły średnie, t. zw. łacińskie, zakonom, które je dotychczas prowadziły. Dopiero po śmierci Maryi Teresy podlegają one większemu wpływowi rządu, a od r. 1785 całkiem ustępują miejsca gimnazyom rządowym i w tych jednak nauczycielami bywają członkowie zgromadzeń zakonnych, nawet byli członkowie zakonu Jezuitów.

Między wykonawcami pomysłów Maryi Teresy i organizatorami szkół ludowych na wzór tej, która powstała w Wiedniu, nikt może nie potrafił tak wniknąć w myśli monarchini i równie trafnie ich wykonać, jak ks. Ferdynand Kindermann, kierownik szkoły i proboszcz, później dziekan w Kaplicach, w północnych Czechach, a z czasem biskup litomierzycki. Przejęty wielką czcią dla cesarzowej i wierząc w doskonałość jej planów, umiał on, będąc sam gorliwym księdzem i gorliwym pedagogiem, wlać w nie oba pierwiastki, t. j. religijność i oświatę, których do wychowania młodzieży żądała Marya Teresa. Szkoły Felbigera poznał Kindermann według szkoły normalnej w Wiedniu i na miejscu w Żeganiu, dokąd dla dokładnego przyjrzenia się im pojechał, a następnie sam zorganizował szkołę parafialną w Kaplicach, która niebawem stała się obok wiedeńskiej normalną, wzorem dla innych powstających w państwie. Tam, pracując wśród dziatwy szkolnej pod kierunkiem Kindermanna kształcili się przyszli nauczyciele ludowi — była to podówczas jedyna droga do nabycia uzdolnienia, wiadomości i prawa do zawodu nauczycielskiego — przyswajając sobie w praktyce i teoryi szczegółowo opracowaną t. zw. normalną metodę nauczania (Normalschulmethode), podług której miała być prowadzona nauka we wszystkich szkołach niższych całego państwa. W Kaplicach też kształcili się pierwsi nauczyciele, przeznaczeni na kierowników szkół galicyjskich.[1])

[1]) W r. 1774 wysłało gubernium lwowskie 4 kandydatów na kurs przygotowawczy do Kaplic. Byli to późniejsi nauczyciele szk. nom. we Lwowie: Padlewsky, Guerick, Laib i Wickler — (Bibl. Ossol. Rps. 525a str. 311 i nast.)

Prócz kształcenia nauczycieli, odpowiadających wymaganiom rządu, mógł Kindermann wywierać wpływ na szkolnictwo także i w inny sposób; w r. 1785 opracował on na wezwanie Nadwornej Komisyi Szkolnej projekt zmian w szkolnictwie galicyjskiem, nadesłany z Wiednia do Lwowa i oddany tamtejszemu inspektorowi szkół ludowych ks. Hoffmanowi, celem przeprowadzenia zawartych w nim uwag, o ile okażą się one korzystnemi w stosownej chwili przy regulacyi parafii.[1]) Znamiennem jest dla charakterystyki epoki, iż Kindermann pisał swój memoryał, znając Galicyę tylko z opisu. Centralistyczna biurokracya wiedeńska, o ile możności nie lubiła uwzględniać stosunków odrębnych, panujących w poszczególnych krajach; do wydania opinii w sprawach szkolnych wystarczało być uznanym za dobrego pedagoga i znawcę przyjętego systemu szkolnego, a takim był Kindermann bezwątpienia.

Jakie były owe „opisy,“ według których autor memoryału mógł sobie wyrobić pojęcie o Galicyi, trudno dziś powiedzieć. Sądząc z aktów urzędowych od najpierwszych chwil rządów austryackich t. j, od r. 1772, wnosić można, iż smutny, opłakany stan tego kraju pod względem oświaty, starano się przedstawić w gorszem jeszcze świetle. Czem jednak wyjaśnić, iż w r. 1785, a więc po 13 latach rządów austryackich, wcale się on nie podniósł? Kindermann wychodzi z założenia, że w Galicyi duchowieństwo świeckie i regularne do nauczania nie może być użyte, że w kraju brak zupełnie oświaty i funduszów na jej zorganizowanie.[2])

Więc gdzież rezultaty lwowskiej szkoły normalnej, dla której on sam przed 11 laty przygotowywał nauczycieli? Czy ludność Galicyi nie umiała z ich pracy korzystać, czy też po za

[1]) Archiw. Namiestn. we Lwowie. Normalia. Dekret Nadworny z 10/III 1785 zawiera powyższy memoryał p. t. „Mittel wie die allgemeine Schul- und Nationalverbesserung in Galizien einzuleiten und zu gründen wäre“ zaopatrzony przez gubernium w uwagę dla ks. Hofmanna: damit ein schicklicher Gebrauch von dem Nutzbaren, so dieser Antrag enthält gemacht werde, hauptsächlich bey der künftigen Pfarrregulierung.

W końcu memoryału autor zaznacza, iż pisał te uwagi „über ein Land, welches ich nur der Beschreibung nach kenne.“

[2]) „das man in Galizien die dermalige Kloster- und Seelsorgegeistlichkeit wenig brauchen könne, dass bei der Nation so wenig Licht vorausgenommen sey, als im Lande zur allgemeinen Schul- und Seelsorge Fond vorhanden ist.

Lwowem, mimo rozporządzeń i nakazów, szkół nie zakładano? Wszystkie akta z pierwszych lat panowania Józefa II (1780 - 85) wywołują w czytającym jedno wrażenie, że do r. 1780 nic nie powstało, niczego nie zrobiono dla szkół i podniesienia oświaty; zdaje się, że rząd wiedeński zaczyna te sprawy organizować po raz drugi, a nad pracą poprzednich lat przechodzi do porządku. O ile jednak można sądzić, pierwsze te lata panowania austryackiego zaznaczyły się usunięciem z Galicyi funduszów pojezuickich, przeznaczonych na potrzeby oświaty, i złączeniem ich z funduszem naukowym czeskim. Tak świadczy odpowiedź Kancelaryi Nadwornej z r. 1780 na zapytanie cesarza, dla czego nic zdziałano nic w Galicyi dla podniesienia oświaty.[1]) Na brak sił nauczycielskich i kandydatów do tego zawodu narzekają wszyscy namiestnicy i radcy gubernialni zarówno, jak na brak środków pieniężnych. Nie można się też dziwić, że i Kindermannowi przedstawiał się cały kraj jako „tabula rasa.“

Z natury rzeczy wynika, że nie znając potrzeb ani środków, do których miały się zastosować projektowane przez niego zmiany, nie mógł Kindermann opracować szczegółowych wskazówek i ograniczył się jedynie do zasadniczych uwag, a choć nie wiemy, czy i o ile potem je wykonano, bo rządy biurokratyczne obfitowały w rozporządzenia, których nikt następnie nie stosował, są one bardzo zajmujące. Dowiadujemy się z nich, jakie były podówczas zapatrywania na najważniejsze sprawy szkolnictwa ludowego nie tylko w Galicyi, bo system był jeden i ten sam dla całego państwa; skoro zaś pochodzą one od jednej z największych i za taką uznawanej powagi na tem polu, skoro pozyskały uznanie i polecone zostały do wykonania, wolno przypuszczać, że są wyrazem opinii sfer rządowych. Kindermann, jak i większość ludzi w tym czasie, wychowanych pod rządami Maryi Teresy, był przejęty jej dążeniami i polityką i nieraz wyraża poglądy, nie mogące w zupełności odpowiadać zamiarom Józefa II. Przedewszystkiem jest on zwolennikiem pracy wytrwałej i długiej, aby najpierw z żywiołu miejscowego, „aus denen Nationalisten,“ wyrobić zdatnych nauczycieli, zaszczepić im obok zamiłowania do pracy

[1]) Haus- Hof- u. Staatsarchiv. Staatsratsakte z r. 1780 № 1279 „bemerket die Hofkanzley: Über die Erinnerung, dass in Galizien für die Nation gar nichts, weder zur Beruhigung, noch zu einer Aussicht auf das künftige, noch zur Consolidierung oder deren Bildung geschehen sey: *In Betreff der Bildung der Jugend habe bey Verwendung des Exjesuiten-Fonds zur Aushilfe [des Böhmischen bei den besten Willen nichts geschehen können.*“

pedagogicznej, obok zrozumienia zadań, którym mają służyć, także i tendencye wychowania ludności w duchu państwowym i w sposób przyjęty przez rząd. Mimo, że uznaje gwałtowną potrzebę zwiększenia liczby nauczycieli w jaknajkrótszym czasie i nie występuje wprost przeciw nasyłaniu do Galicyi obcoplemieńców, czego żądał cesarz, nie obiecuje sobie po nich takich korzyści, jak po krajowcach, wykształconych w Wiedniu lub Pradze. Zdaniem jego tylko ci mogli pozyskać ludność miejską i wiejską dla szkoły i oświaty.

Myślą przewodnią wspomnianego projektu jest ścisły związek, mający łączyć szkołę z kościołem, a księdza z nauczycielem. Kindermann, który sam był księdzem, uważał za pierwszy, najważniejszy i najszczytniejszy obowiązek swego stanu, po za spełnianiem funkcyj religijnych, nauczanie i wychowanie i dla tego w każdym księdzu rad był widzieć nauczyciela. „By podnieść stan umysłowy i moralny narodu galicyjskiego," tak mówi w swojej pracy, „należy zacząć od tych instytucyj, które kształcą nauczycieli i księży, t. j. od seminaryum wraz z konwiktem kleryków i od szkoły normalnej." Jak szkoła wiedeńska dla Austryi właściwej i dla całego państwa, tak szkoła normalna, założona we Lwowie w r. 1775, miała być nietylko wzorem dla innych szkół galicyjskich, ale także miejscem kształcenia się teoretycznego i praktycznego przyszłych nauczycieli. Kursa t. zw. „preparandy," urządzane w niej corocznie, miały dać kandydatom możność wyćwiczenia się w przedmiotach wykładowych, zasadach pedagogii, oczywiście i w uznanej za niezbędną normalnej metodzie nauczania.

Żądaniem memoryału jest ścisłe połączenie seminaryum generalnego ze szkołą normalną tym węzłem, który potem ma łączyć księdza ze szkołą początkową w jego parafii. Ksiądz, tak jak dawniej, winien pozostać głównym opiekunem i kierownikiem szkoły, a właściwy nauczyciel jego pomocnikiem, jakim bywał organista lub inny sługa kościelny, uczący czytania i pisania. Mając nieraz takich niezbyt wyrobionych pomocników powinni tembardziej księża sami być dobrymi i wykształconymi pedagogami, a tego seminaryum im nie da, jeżeli nie będzie połączone z zakładem wychowawczym. I jako duszpasterz, jako moralny kierownik powierzonej sobie ludności, powinien ksiądz umieć nauczać, a na to jest mu koniecznie potrzebną uprzednia praktyka nauczycielska. [1])

[1]) „Der Seelsorger soll und muss ein guter Volkslehrer sein, er wird es aber nicht werden, wenn er vorher kein geübter Jugendlehrer war."

Wykształcenie zawodowe nauczycieli i księży, którzy potem mają oddziaływać na młode, a równocześnie i na starsze pokolenie, było według Kindermanna pierwszą potrzebą Galicyi.[1]) Mimo to nie pochwala on myśli, by wprowadzić w tym kraju rozporządzenie cesarskie, nakazujące klerykom jako warunek konieczny do pozyskania stanowiska wikarego, spędzać wakacye podczas 6-ioletniej nauki w seminaryum generalnem na kursach preparandy nauczycielskiej. Środek ten, choć w zasadzie dobry, dla Galicyi nie wydawał mu się odpowiednim. Przez takie obowiązkowe ćwiczenia w nauczaniu i metodzie normalnej, stanowiącej podwalinę przyszłej jego pracy, pozbawiony był alumn w ciągu całego czasu swych studyów jedynych w roku tygodni wolnych, przeznaczonych na odpoczynek. Przymus, wywierany w tym kierunku, mógł młodzież galicyjską, na razie mniej od niemieckiej przejętą doniosłością celu, który miano w ten sposób osiągnąć, odstręczyć od zawodu nauczycielskiego i duchownego, dla tego też radzi Kindermann postępować wolniej i łagodniej. Galicya potrzebuje dobrych księży, a więcej jeszcze dobrych nauczycieli, więcej nauki niż kazania, i dla tego też Kindermann wymagał od księży raczej więcej znajomości pedagogiki i umiejętności nauczania, niż właściwych nauk teologicznych.[2]) Ale dla wyrobienia takich księży-nauczycieli należy w nich rozbudzać zamiłowanie do tego stanu, a unikać wszystkiego, coby ich mogło do niego zniechęcić. Tak chowany ksiądz, gdy z czasem zostanie proboszczem, będzie uważał szkółkę parafialną za pierwsze i najważniejsze pole swej pracy, wymagające jak największej uwagi i staranności.

Wszystkie te argumenty przytoczone są dla uzasadnienia konieczności połączenia nauki seminaryjnej z nauczaniem początkowem i katechizacyą — praktycznym wykładem religii. Należy się starać, by dyrektor seminaryum generalnego we Lwowie mógł równocześnie objąć kierownictwo tamtejszej szkoły normalnej, co dawałoby alumnom możność i zachętę do zbliżania się z tą ostatnią. Gdyby takie połączenie nie dało się przeprowadzić, choćby ze względu na brak odpowiedniego pomieszczenia, powinna przy seminaryum powstać szkółka najniższego typu, trywialna, i w niej powinni bywać alumni. W tej szkole ma uczyć katechizmu

[1]) „Erst muss man die belehren, welche andere belehren sollen.“

[2]) „Ich würde den jungen Geistlichen eher Fehler in der spekulativen Theologie, in der Kunst zu predigen, als in der Pädagogie, in der Katechisation und Erziehungskunst nachsehen.“

dyrektor seminaryum lub katecheta szkoły normalnej, a naukę prowadzić w języku ojczystym alumnów; przytem dbać o to, by i oni do katechizacyi się wkładali.

Tak jedynie, przez połączenie nauki teologii z wykształceniem nauczycielskiem w teoryi i praktyce, można osiągnąć cel szkoły, szerzenie prawdziwej oświaty, cel równie ważny dla państwa pod względem politycznym, jak i kulturalnym. Inaczej nie zdobędą sobie księża tych doniosłych wiadomości i zamiast pracować z rzeczywistym pożytkiem ludu, szliby doń jedynie z dogmatyką scholastyczną, którejby on zgoła nie rozumiał.[1]) Zachowanie dawnego systemu nauki scholastycznej, odsunąć może zdobycie oświaty dla całego państwa na długie lata, jeżeli nie udaremni w zupełności tego zadania, jakie sobie państwo postawiło.

Nauka w szkołach początkowych powinna być prowadzona tylko w języku ojczystym dzieci, a nie w obcym dla nich, choćby niemieckim. Dzieci nie władają żadnym językiem, oprócz swojego, i żadnego innego nie rozumieją, a gwałtownem narzucaniem go można na zawsze zniechęcić do szkoły i rodziców i dzieci.[2]) To też i książki szkolne, przyjęte do nauki w krajach niemieckich, należy dla galicyjskich szkół początkowych przetłómaczyć na polskie; w szkołach wyższego typu, t. zw. szkołach głównych (Hauptschulen) i normalnych (Normalschulen) można już rozpocząć naukę niemieckiego. Nie ucierpi na tem pozostawieniu języka polskiego w niższych szkołach, sprawa germanizacyi kraju. Znajomość niemczyzny będą szerzyły szkoły średnie, t. zw. łacińskie i uniwersytet, gdzie już tylko ten język będzie wykładowym. Do rozpowszechniania go zresztą musi się przyczynić uznanie go za urzędowy w sądach i wszystkich urzędach, tak że bez władania nim nikt do posad rządowych nie będzie mógł być dopuszczonym; a ostatecznym bodźcem w tym kierunku mógłby się stać zwyczaj zachęcania księży i nauczycieli do nauczania niemieckiego przez rozdawanie nagród i pochwał tylko za taką pracę w godzinach wolnych od nauki.

Dokonawszy reorganizacyi szkoły normalnej i seminaryum we Lwowie, należy zakładać szkoły główne w miastach obwodo-

---

[1]) „würden sie dem Volke nur gut scholastisch vordogmatisieren, ohne dass dieses etwas davon verstehe."

[2]) „Wäre zu befürchten, dass man den Eltern und Schülern durch das Aufdringen einer fremden, z. B. der Deutschen Sprache das ganze Schulwesen nur verhasst macht."

wych — liczba ich wyniosłaby razem z lwowską szkołą normalną 18, bo na tyle obwodów kraj był podzielony. Co do zakresu i sposobu nauki, odpowiadałyby one szkole normalnej, a służyłyby za wzór dla szkół trywialnych, znajdujących się w każdym obwodzie, z czasem dałoby się może i w szkołach głównych zaprowadzić kursa przygotowawcze dla nauczycieli ludowych. Podobne kursa, urządzane w Pradze, pociągają za sobą wydatek ze skarbu w kwocie 500 fl.; z tej sumy opłaca się i mieszkanie dla kandydatów na czas trwania kursu, przyczem 8 kandydatów dostaje wspólne pomieszczenie i strawne w ilości 7 kr. dziennie na każdego kandydata. 500 fl. wydanych co roku z funduszów pojezuickich na podobne kursa w Galicyi opłaciłyby się państwu wielokrotnie, bo mogłyby oddać nieobliczalne usługi sprawie oświaty.

W dalszym ciągu memoryału Kindermanna znajdujemy projekt, by z pośród kandydatów stanu duchownego wysłać 12-tu na 3 lata do seminaryum praskiego i wiedeńskiego. Tam mieliby oni możność dokładnego poznania metody normalnej i ogólnego kierownictwa zakładów, prowadzonych zupełnie według wymagań państwa, poznaliby język i kulturę niemiecką i przyswoiliby sobie obok wiadomości pedagogicznych, znajomość zajęć praktycznych (Industriewissenschaften). Roboty ręczne, także i zajęcia kobiece, np. przędzenie, były przedmiotem nauki w szkołach, podległych Kindermannowi, gdzie przywiązywano do nich, równie jak i do wszelkich ćwiczeń fizycznych, nie mniejsze znaczenie, jak do zajęć umysłowych, — a wobec rodziców był to środek zachęcający do posyłania dzieci do szkoły. Tak samo powinien, zdaniem autora memoryału, i w Galicyi ksiądz, jako kierownik szkoły ludowej normalnej i trywialnej, być obeznany z temi zajęciami, by dzieci z ich nauki mogły tem więcej skorzystać.

Tych 12-tu kleryków, wróciwszy po upływie 3 lat do kraju, mogłoby stanowić poważny już zastęp nauczycieli w istniejących i mających powstać szkołach. Łączyliby oni w sobie znajomość potrzebnych do nauczania przedmiotów, nabytą u źródła, od twórców i krzewicieli nowej metody szkolnej, z większą znajomością świata i ludzi, (o czem jednak autor memoryału nie wspomina) i z tym bardzo ważnym względem, że jako krajowcy (Nationalisten) łatwiej mogli się wywiązać z podjętej pracy nauczycielskiej, niż obcy, nie znający ani kraju, ani ludzi, ani języka.

Trzy lata — był to jednak za długi okres dla Józefa II. Monarcha ten, odznaczający się gorączkowym pośpiechem w wykonywaniu powziętych zamiarów, zwłaszcza planów reformatorskich, nie byłby się zapewne zgodził na czekanie 3 lat do powrotu owych

12 księży, aniby przez ten czas chciał poprzestać na tych, co pokończyli lwowskie seminaryum generalne i szkołę normalną. Bezwątpienia kazałby on sprowadzić nauczycieli Niemców i Czechów, nie bacząc na to, jak się ci przybysze porozumieją z dziećmi, powierzonemi ich opiece i nauce. Działo się tak nieraz, przedtem i potem, zarówno w szkołach, jak i w urzędach. Wprawdzie sam cesarz, naówczas jeszcze współregent matki, bardzo był zdziwiony, dowiedziawszy się w r. 1773 o zamianowaniu na członka galicyjskiego rządu krajowego radcy Guerigiego,[1]) nie umiejącego po polsku, po niemiecku, ani po łacinie, lecz i za jego rządów napływ zupełnie obcego żywiołu urzędniczego i nauczycielskiego do Galicyi raczej się zwiększył, niż zmniejszył. Przewidując takie rozporządzenie, radzi Kindermann, by ci nauczyciele władali, jeżeli nie polskim, to choć jakim innym słowiańskim językiem, a przytem, by im wyznaczyć lepsze wynagrodzenie, gdyż mogąc za tą samą lub mniejszą zapłatą pozostać we własnym kraju, nie zechcą szukać posady w Galicyi, kraju obcym i mniej cywilizowanym.[2]) W ostatnim punkcie memoryału mówi autor o zmianach w szkolnictwie wiejskiem, wywołanych przez projektowaną regulacyę parafii.

Zamiast wikaryuszów, jak dawniej, radzi on mianować obok proboszczów t. zw. „geistliche Lehrer,“ duchownych, posiadających kwalifikacye na nauczycieli, mogących zatem być równocześnie duszpasterzami i kierownikami szkółek parafialnych. Zmiana ta byłaby już przez to samo korzystną, że ci ludzie podlegaliby podwójnej kontroli, ze strony biskupa i ze strony inspekcyi szkół ludowych. Utrzymanie takiego nauczyciela dałoby się pokryć w następujący sposób: pobierałby on 200 fl. z funduszów kameralnych, dominialnych lub pojezuickich, przytem stosowną ordynaryę w zbożu, bo ten sposób wynagradzania nauczycieli wiejskich był w powszechnem użyciu, a jako ksiądz i pomocnik właściwego proboszcza w sprawowaniu czynności duchownych

[1]) „Wie Graf Wratislaw der schon... und Guerigi aus Amsterdam der wohl alle Sprachen, ausgenomen die teutsche, pohlnische und lateinische inner haben wird als Gubernialräthe anderst, als um eine Besoldung zu ziehen, die Zahl zu vermehren und andere noch irre zu führen können angestellet werden, übersteiget meinen Begriff (Własnor. notatka Józefa II. Bibl. Ossol. Rps. 325a str. 52).

[2]) „Sie würden sonst bei dem halben Gehalte in ihrem civilisierten Vaterlande bleiben.“

miałby prawo do połowy dochodów z opłaty za nabożeństwa i innych iura stolae. Będąc zarządcą szkoły miał czuwać nad ogólnym biegiem nauki, nad zachowaniem metody normalnej, a przytem sam codziennie poświęcać 1 godzinę na naukę religii i zasad moralności. Inne przedmioty, t. j. czytanie, pisanie i rachunki prowadziłby w tej szkole jego pomocnik, równocześnie organista, zakrystyan i nauczyciel, pobierający wynagrodzenia rocznego 50 fl. oprócz innych dochodów sługi kościelnego.

Projekt złączenia szkoły ludowej z kościołem, w osobie głównego kierownika, bynajmniej nie równał się oddaniu jej pod taki sam wyłączny wpływ duchowieństwa, jak bywało przed epoką terezyańską. Przedewszystkiem miał nauczyciel teraz podlegać władzy szkolnej rządowej, pozostając pod nadzorem inspektora szkolnego, powtóre, byłby już on sam uczniem seminaryum generalnego, które podczas 5 lat swego istnienia wydało zastęp wyświęconych urzędników, księży, chowanych w zasadach iuris principis circa sacra, a i sami biskupi, którym narówni z inspektorami szkół oddany miał być nadzór nad tymi nauczycielami, wyznaczani byli z pomiędzy ludzi posiadających zaufanie rządu. Kindermannowi, choć sam był wiernym sługą władzy państwowej, chodziło jednak więcej, niż o stosunek tych księży-nauczycieli do rządu, o ich działalność pedagogiczną. Dla tego nie obiecywał sobie wiele po zwiększeniu parafij, których liczba miała się w Galicyi podnieść do 2500, jeżeli szkoły, mające powstać w każdej z nich, nie będą miały choć po jednym dobrym i wykształconym nauczycielu. Z tego też powodu w końcu swych uwag raz jeszcze wykazuje, jak ważnem jest zadanie dyrektora seminaryum, wychowującego tych przyszłych kierowników ludu. Nauczycieli powinno być wielu, ale powinni oni być też wszechstronnymi i nie zacieśniać swej działalności w jednym tylko kierunku, lecz owszem, dbać o wszystkie wymagania pedagogii, o rozwój fizyczny i uszlachetnianie serc swych uczniów, zarówno jak o ich wykształcenie umysłowe. [1])

Od takich ludzi, od tych, którzy podobnych pedagogów mają wykształcić, zależy teraz szybkość podniesienia poziomu oświaty i moralności przeszło 3 milionowej ludności Galicyi.

---

[1]) „Nur recht viele Pädagogen, welche es verstehn, den Leib nach den Gesundheitsregeln zu bilden, den Verstand aufzuklären und das Herz zu veredeln, welches alles die Pädagogie zum Endzwecke hat.“

Tendencye germanizacyjne rządu wobec zagarniętych prowincyj objawiły się od pierwszej chwili zaboru. Nie pojmowano państwa, któreby nie pracowało nad konsolidacyą ludności, choć uważano osiągnięcie tego celu za rzecz trudną i odległą.[1])

Lecz przytem dbano szczerze o szerzenie w tych krajach oświaty. Rząd wiedeński sam popierał szkoły niemieckie, nawet niższe — zakładał je przy powstających koloniach niemieckich, przy komendach wojskowych i w miastach, a wszystkie zostały otwarte i dla dzieci ludności polskiej, którym chciano „nie odbierając ich języka, dać możność nauczenia się po niemiecku.“ Jednakże praca nad szerzeniem nauki polskiej spotykała się z uznaniem i nagrodą. W r. 1783 obdarzył Józef II medalami 4 księży galicyjskich za dobrowolne nauczanie dzieci. Plebani z Monasterzysk i Nowego Martynowa za nauczanie początkowe po polsku, tak samo i ks. Jelicki, wikary z Niepołomic, uczący kilkunastu chłopców polskiego i łaciny dostali medale srebrne, a proboszcz ze Świerza medal złoty za utrzymywanie szkółki wiejskiej. Nagrody te zostały za rozkazem cesarskim ogłoszone w całym kraju dla zachęcania innych osób do podobnej pracy.[2])

Z natury rządów oświeconego samowładztwa wynika, iż dozwolona może być tylko ta nauka, którą rząd uznał za dobrą, ale wynika także przymus szerzenia jej wszędzie i wszelkimi sposobami.

Oprócz powszechnego przymusu nauki szkolnej, zaprowadzonego w r. 1781 wydano w epoce rządów Józefa II wiele przepisów mających ten cel na względzie; zwłaszcza chodziło o rozszerzanie nauki elementarnej i zakładanie szkół w każdej parafii, mającej 100 dzieci w wieku szkolnym. Szkół wyższych, łacińskich nie uważał cesarz za tak ważne, dla tego liczbę ich, w Galicyi np., zmniejszył znacznie. W jego pojęciu były to zakłady

[1]) Haus-Hof- u. Staatsarchiv. Staatsratsakte 1780 № 1279 Votum R. Geblera w sprawach szkół galicyjskich: Der Staat muss darauf hin arbeiten, nach und nach ein Volk zu werden. Ich weiss wohl dass halbe und ganze Seculen dazu gehören und *dass am wenigsten ein Zwang stattfinden darf.* Allein der Staat lebt ewig, das heisst über alle Menschen hinaus und nach dieser Aussicht, nicht für seine eigene Lebensdauer müssen Fürst und Staatsdiener denken und handeln. Ich halte die Nebeneinführung der deutschen Sprache durch die Schule für höchst nützlich.

[2]) Archiw. Namiestn. Lwowskiego. Fasc. 8 1784. Dekret Nadw. Kancel. 11/XII 1783.

ułatwiające jedynie wstęp do uniwersytetu. Że zaś uniwersytet miał być przedewszystkiem szkołą zawodową dla urzędników, lekarzy, nauczycieli, tak jak seminarya i studya teologiczne kształciły księży na potrzeby państwa, nadmierna ich ilość nie zdawała się pożądaną.

Czy jednak rozporządzenia te bywały wykonywane, na to bezwątpienia należy odpowiedzieć przecząco. I za rządów Józefa II działo się z niemi nieraz to, co w latach poprzednich i następnych, t. zn. że służyły tylko do zapełnienia półek w registraturze i archiwum. Autokracya w rozległem państwie zrodzić musiała biurokracyę, obok centralnej także i prowincyonalną, a wykonanie choćby najlepszej ustawy stawało się zależnem nie tylko od ekspedycyi wiedeńskiej, lecz i od lwowskiego namiestnictwa i podległych mu władz prowincyonalnych, to też znane braki w działaniu wszystkich tych urzędów odbiły się i na polu szkolnictwa. Jeszcze za panowania tego cesarza zdarzały się niekiedy wypadki, że prośby o pozwolenie założenia nowej szkoły, podawane przez osoby prywatne, czekały na załatwienie po pół roku i dłużej w urzędzie obwodowym, nie doszedłszy nawet do gubernium [1]) krajowego, lecz energiczny monarcha potrafił przy wykryciu podobnych braków choć od czasu do czasu nadać sprawom żywszy bieg.

Za jego następców, pozbawionych energii i stanowczości, któremi się on odznaczał, sprawy państwa spoczęły całkowicie w rękach nie tylko jednostronnych, lecz nawet zgoła nieudolnych a względem prowincyi otwarcie wrogich biurokratów-centralistów.

Żywioł urzędniczy tego gatunku, obejmując rządy w Galicyi, obok eksterminacyjnej walki wydanej polskości, a prowadzonej z użyciem wszelkich gwałtownych środków, potępionych przez rząd w poprzednim okresie, potrafił ponadto wnieść do tamtejszej szkoły nową zupełnie kwestyę antagonizmu narodowego między ludnością polską i ruską. I w rzeczy samej pierwsze pozytywne próby w tym względzie podsuwane były przez namiestnictwo lwowskie jeszcze przed ogłoszeniem dla Galicyi powszechnej ustawy szkolnej Maryi Teresy z r. 1774.

[1]) Haus- Hof- u. Staatsarchiv. Staatsratsakte 1783. № 3827 Vortrag der Ver. B. Ö. Hofkanzlei, womit die Bemerkungen des gal. Landesreferenten Margelick vorgelegt werden.

Zmiana rządu absolutnego na policyjno-biurokratyczny spowodowała tylko zmianę środków postępowania. Wynarodowienie i zniemczenie Galicyi i za następców Józefa II pozostało zadaniem, którego rozwiązanie w pierwszym rzędzie uskutecznić miała szkoła. [1])

Stefan Jantzen.
dr. iur.

[1]) . Das wahre Interesse des Österreichischen Staates besteht also darin, die Nation nach und nach zu einem deutschen Volke umzubilden, ihre Sitten, Denkungsart, Vorurtheile zu ändern, sie mit einem Worte zu denaturalisieren. Protok. pos. Kom. Nadw. w sprawach Galicyi z d. 21 i 28 stycznia 1791. Bibl. Ossolińskich Rpsm. 525 str. 676.

Sztuka i życie.

Prawdą jest niezaprzeczoną, że nie posiadamy jeszcze u siebie w domu dość wytwornej atmosfery artystycznej, ale z drugiej strony niewątpliwie w żalach i narzekaniach na to jest wiele przesady i niesprawiedliwości. Istotnie, ogół najszerszy zachowuje się obojętnie wobec dzieł sztuki, a zwłaszcza sztuki plastycznej i ujawnia często zupełny brak wyrobienia w sądach i upodobaniach, ale jednocześnie mamy spory zastęp artystów pierwszorzędnych, tudzież liczną sferę inteligencyi, dla której zagadnienia estetyczne nie są już niedostępne. Po zatem możemy się pochwalić takiem mnóstwem fanatyków, rozestetyzowanych do bezwzględności, jak chyba żaden inny z narodów. Ktoby, naprzykład, chciał sądzić o społeczeństwie, odbitem niby w lustrze w beletrystyce doby dzisiejszej, mógłby przypuszczać, iż składa się ono wyłącznie z samych artystów i tych, którzy istnieją po to jedynie, ażeby im filisterstwem swych poziomych natur życie uniemożliwić.

Poeta, malarz, rzeźbiarz, rzadziej muzyk, wyparli stanowczo z dramatu początków naszego wieku szlachetnego inżyniera zeszłowiecznego, który był typowym ideałem cnoty mieszczańskiej, owego inżyniera bez skazy i zmazy, lecz nizko urodzonego, więc traktowanego z tego powodu przez trzy pierwsze akty „przez nogę,“ a który jednak w akcie czwartym wyciąga wspaniałomyślnie z zanadrza gruby pugilares, płaci długi starego szlachcica i tem zdobywa sobie wdzięczność i szacunek dumnego potomka dawnego rodu, tudzież rękę jego córki, niby królewna zaklęta, górnej i nieprzystępnej. Artysta z powieści i dramatu dzisiejszego jest może mniej szlachetny, w każdym razie mniej lapidarny, nie ma grubego pugilaresu, o ile oczywiście przypadkiem nie po-

znano się na nim w Anglii lub Ameryce, przyznaje się otwarcie do pewnych słabostek i ułomności, często mówi nawet chełpliwie o swych wielkich, demonicznych skłonnościach zbrodniczych, ale ma duszę przebogatą, niepojętą i nieodgadnioną, aż przeczuje ją mocą subtelnej intuicyi niewieściej piękna i wrażliwa, jak mimoza, hrabianka z pałacu i pokocha potężną, jak śmierć miłością. Rzecz prosta, okrutni mordercy talentów dla jakichś zwietrzałych przesądów odmówią mu upragnionego z nią szczęścia i zmuszą do samobójstwa lub ostatecznego sponiewierania się w odmętach upadku. Zresztą byłby on również nieszczęśliwy, gdyby mu dano wreszcie wymarzoną kochankę, gdyż okazałoby się, naprzykład, że owo mistyczne porozumienie się dwóch dusz wybranych było prostem nieporozumieniem, pociągającem za sobą straszne piekło wspólnego pożycia dusz źle dobranych. Będzie więc cierpiał i szamotał się w mękach piekielnych u pieleszy domowych zarówno ze światową damą, pustą choć wytworną lalką salonową, jak ze skromną dziewczyną z ludu, dawną modelką, która mu wytworzy nieznośne stadło orła z gęsią. Będzie więc wiekuiście łamał się i padał nigdy nie pojęty, jakby, nawiasem mówiąc, małżonkowie, czy nawet kochankowie, o niczem innem mówić ze sobą nie mogli, jak tylko o „istocie ducha.“

Pominąwszy, że czasem autorowie w tych razach w zacietrzewieniu się egotycznem nie umieją nas przekonać co do istotnej wartości marnujących się talentów, lecz z całą naiwnością przedstawiają niby targanie się w dusznej jakoby atmosferze powszedniości, zwykłego megalomana, bez cienia jakichkolwiek kwalifikacyj na bohaterstwo, dla którego moglibyśmy jeszcze znaleźć trochę współczucia, jako dla jednostki dotkniętej przykrą chorobą, gdyby nie starano się nam ukazać tego ze strony heroicznej. W takiem oświetleniu i ta drobna cząstka głębszego wzruszenia dla smutnych stron życia ludzkiego, rozwiewa się całkowicie wobec uśmiechu niedowierzania. Wogóle jednak najpoważniej biorąc dramat życia artysty rzeczywistego, przyznać wypadnie, iż częściej składa się on z pierwiastków wewnętrznych organizacyi psychicznej człowieka, niż przyczyn, zzewnątrz wypływających.

Artysta rodzi się z kainowem piętnem na czole, ze stygmatem jakiegoś przekleństwa fatalistycznego, że nie zasiądzie spokojnie nad misą codziennej strawy, nie pójdzie gromadnie utartą drogą powszednich zabiegów ludzkich, bo od kolebki prowadzi go na samotne ścieżyny kapryśna chimera, która mu szepce do ucha tajemnicze słowa przeznaczenia, podnieca ambicye twórcze, omracza duszę tęsknotą do krain dziwnych, niedosiężnych. To jest

tragedyą jego losów, przeszkodą do cichego szczęścia, w ogólnem rozumieniu tego pojęcia.

Stanisław Witkiewicz, sam artysta malarz i krytyk niezmiernie uświadomiony, człowiek, który poznał istotę twórczości plastycznej do najtajniejszych jej zakątków, w bardzo głębokiej pracy swej o Aleksandrze Gierymskim (drukowanej przed trzema laty w „Bibl. Warsz.“) dał wspaniały wyraz dramatu czysto malarskiego. Przedstawił on ogromnie plastycznie, wyraźnie i z nadzwyczajną mocą przekonania, jak ten przyjaciel jego, którego kroki w dziedzinie sztuki śledził uważnie, stał się tragiczną ofiarą własnej natury artystycznej, męczennikiem strasznego zmagania się w dążeniach do doskonałości malarskiego wypowiedzenia się.

A zdawać by się powinno, że ideały Gierymskiego, jako realisty, jako zwykłego kopisty natury, malarza, który w dziełach swych nie kusił się o zaklęcie wizyj zaziemskich, pozazmysłowych, nieuchwytnych, były blizkie i poziome. Wszak malował on tylko starą babę obdartą za straganem, kilku żydów w chałatach, lub z benedyktyńską cierpliwością oddłubywał szczegóły dekoracyjne we wnętrzu jakiejś kaplicy, to znowu znęcał się zaciekle nad efektem światła marnej latarni gazowej. Wogóle rzeczy te, jako tematy, nie przedstawiały się ani zbyt górnie, ani zbyt imponująco. Witkiewicz w książce swej dowiódł, iż Gierymski dla przedstawienia tych powszednich rzeczy, jako artysta, piął się na szczyty, które go przyprawiły o zawrót głowy. Pragnął on bowiem na dwuwymiarowej płaszczyznie płótna wyrazić w całej plastyce kształt brył trójwymiarowych, z ograniczonych zasobów palety usiłował wywołać rzeczywisty blask słońca. I myśl ta była nieodstępną towarzyszką w wędrówce artystycznej, to było jego chimerą, którą kochał i przeklinał, a która mu pierś okrutnie pazurami krwawiła i w namiętnych uściskach zdławiła ostatecznie. Było to jego opętaniem i przekleństwem, bo chciał nieudolnymi środkami ludzkimi wyrazić doskonałość rzeczy boskich. Tak wygląda prawdziwy dramat malarski, bez zawiedzionej miłości, knowań nieprzyjacielskich i fatalistycznego zbiegu wypadków — straszna historya walki i szarpań się z urojeniem, zakończona obłędem i przedwczesną śmiercią. Dramat taki może być niezrozumiały dla tych, którzy go widzą tylko w kolizyi erotycznych powikłań z udziałem zdradnych kochanic i czarnych charakterów. Witkiewicz sam, przeszedłszy ciężką walkę z opornym materyałem przy plastycznem wypowiedzeniu swej myśli, pozatem przenikliwy analityk i baczny obserwator najsubtelniejszych drgnień

duszy ludzkiej, umiał to odczuć głębiej niż ktokolwiek inny i przedstawić dokładniej.

Nie uznaje tego jednak p. Feliks Jasieński, prowadzący stale zawzięte, i przyznać trzeba, często bardzo owocne walki o sztukę i kulturę artystyczną u nas. Widzi on zawsze i wszędzie jedynego wroga artysty — społeczeństwo, jego obojętność i niechęć, które skazują najbardziej utalentowane jednostki na banicyę lub śmierć głodową. Właśnie w trzynastym zeszycie „Sztuki polskiej," w artykule swym do reprodukcyi z obrazu Gierymskiego, z powodu wyżej wspomnianego życiorysu artysty, pomawia Witkiewicza o niepoprawny optymizm, nie szczędząc przy sposobności dosadnych a cierpkich epitetów owemu nieszczęśliwemu społeczeństwu.

Nie mam bynajmniej zamiaru utrzymywać, iżby kraj nasz przedstawiał glebę bardzo podatną do uprawy sztuk pięknych i że tu właśnie znajdują one najodpowiedniejsze dla rozwoju swego warunki. Nie myślę również występować w obronie oskarżonego niesłusznie społeczeństwa, gdyż nikt mnie do tego nie upoważnił; pisując jednak od czasu do czasu artykuły z zakresu sztuk plastycznych, uważam za swój obowiązek stosunek artystów do ogółu oświetlić z własnego punktu widzenia, jako przyczynek do dziejów kultury i sztuki w Polsce. Stosunek ten oświetlany bywał dotąd purpurowo bengalskimi ogniami namiętnych uprzedzeń, a przypuszczam, że przy spokojniejszym świetle sądu objektywnego przedstawi się o wiele mniej groźnie i ponuro. Uważam sprawę tę za konieczną, gdyż zarzut morderstwa, popełnianego jakoby przez społeczeństwo na artystach swoich, przeszedł już w legendę, którą należy stanowczo obalić, wprost dla ścisłości historycznej. Tyczy się to zwłaszcza przedwczesnego zgonu dwóch wysoce utalentowanych artystów: Kurzawy i Podkowińskiego, zgonu, za który legenda owa czyni odpowiedzialnym cały ogół, a co powtarza przy każdej sposobności nietylko p. Jasieński, zasłużony dla sztuki polskiej bojownik, ale i cały legion innych, mniej zasłużonych, już poprostu do znudzenia wytyka nam owe rzekome ofiary. Jest to przykład niezmiernie jaskrawy i charakterystyczny. Nie zdarzyło mi się w ostatnich czasach, o ile sobie przypominam, spotkać pracy ogólniejszej o rzeźbie i malarstwie współczesnem, zwłaszcza z pisanych ogniściej z młodym temperamentem reformatorskim, ażeby autor odmówił sobie przyjemności energicznego kopnięcia społeczeństwa z zacytowaniem tych dwóch nazwisk.

Przyrodnicy uznają powszechne prawo, że wprawdzie ciężkie warunki w walce o byt zabijają osobniki słabe, w silnych nato-

miast wytwarzają większą odporność i prężność energii, co właśnie jest podstawą selekcyi gatunkowej. Tak samo mniej więcej dziać się musi w dziedzinie twórczości artystycznej. Tylko, że natura przez dziwny kaprys talent sam przez się mocny, potężny umieszcza czasem w organizmie fizycznie wątłym i mało odpornym. I wtedy człowiek taki, nie artysta, jest jak egzotyczna roślina, wymagająca troskliwej opieki i równej temperatury cieplarnianej. Społeczeństwa cywilizowane zapewnić winny, w miarę możności, młodzieży swej wykształcenie, ażeby się stała użyteczną, w miarę zdolności. Nie mówiąc zatem o zmarnowaniu talentu, który, jeżeli jest istotny, zmarnować się nie da, rzeczywiście, paść może na otoczenie pewna odpowiedzialność za przedwczesny zgon człowieka użytecznego, któremu odmówiono znośnych warunków istnienia, zanim mógł stanąć o własnych siłach. Otóż przed ostatecznem wydaniem wyroku potępienia na mniemanych morderców Kurzawy, Podkowińskiego i wielu innych, którzy zmarli, nie przebywszy normalnie drogi swej do końca, należałoby zbadać dokładnie czy naprawdę całkowicie odmówiono im tych warunków.

Kurzawa istotnie miał w swej karyerze artystycznej chwilę bolesnego zawodu, kiedy odrzucono mu na konkursie projekt do pomnika Mickiewicza. Nie wdają się w krytykę sądu konkursowego. Może istotnie pomysł Kurzawy nie posiadał warunków monumentalności, miał pewne błędy konstrukcyjne, choć był niezaprzeczenie najbardziej artystyczny ze wszystkich nadesłanych, był on jednak, niezależnie od tego, najukochańszym tworem jego marzeń, najbardziej umiłowanym płodem najwyższych wysiłków twórczych, streszczeniem się jego indywidualności artystycznej. Artysta odczuł głęboko brak uznania dla najdroższego dziecięcia swej wyobraźni; w przystępie uniesienia roztrzaskał dzieło i na długo pozostały mu w sercu żal i zniechęcenie. Nie zabiło to w nim talentu bynajmniej, otrząsnął się ze złej zmory, tworzył dalej i byłby stanął bardzo wysoko, gdyż talent jego był mocny, ale słabego człowieka podszedł zdradziecko demon nałogu i ciągnął w przepaść niechybną. I nieprawdą jest, żeby nie było w złych chwilach nikogo, coby nie chciał mu podać ręki. Gdyby społeczeństwo przed jakim trybunałem chciało zrzucić z siebie odpowiedzialność za tę smutną tragedyę, obowiązuję się dostarczyć świadków, którzy pod przysięgą zeznać mogą, że wiele jednostek, z grona oskarżanych tak bezwzględnie, wyciągało doń przyjacielsko dłoń pomocną, ale moc szatańskiego opętania przemogła wszystko.

Oczywiście, mówiąc o społeczeństwie w tym razie, mam na myśli pewne środowisko—najbliższe otoczenie artysty i tych, których sztuka obchodzić może, trudno bowiem podobne pretensye rozciągać na wszystkich przekupniów z ulicy Wołowej i z Sewerynowa, tudzież fornali i dziewki folwarczne z Koziej Wólki. Najlepsze intencye przyjaciół kruszą się nieraz w niwecz wobec pewnych osobistych objawów psychicznych, które są niby fatum okrutne a przemożne. Zwłaszcza wśród ludzi obdarzonych wyjątkową wrażliwością zmysłową, jakimi są artyści, dość często spotyka się jednostki, dotknięte jakąś straszliwą, upartą tęsknotą do samounicestwienia się, zatraceńców, dążących nieprzeparcie do samobójstwa bezpośrednio, lub drogą okólną. Wszak i w Paryżu, na tym klasycznym, najlepiej uprawionym i najbardziej przyjaznym gruncie sztuki, morfina, kokaina, alkohol i wszystkie trucizny z czary Lokusty wybierają liczne ofiary z pomiędzy tej szalonej rzeszy, a jednak nikt nie pomawia Francyi o morderczą obojętność dla twórczości artystycznej.

Znałem wielu takich. Mam przed sobą artykuł p. M. Golberga „Luźne kartki o symbolizmie“ (Sztuka, Listopad—Grudzień, 1904) i chcę powtórzyć, jak się też tam przedstawiają karyery artystów: „Na początku samym kroczy już symbolizm po rozpaczy — pisze p. Golberg – Rimbaud znika w szpitalu, marnie kończy Villiers de L'Isle Adam; Baudelaire w szaleństwie tonie; Verlaine rzuca się w odmęty, by zapomnieć walki i męki myśli; Mallarmé w banalności profesorskiej szuka „racyi bytu“ i „prawa do sztuki.“ Młodzi nie lepiej kończą: Corbière zamiera; suchoty niszczą Laforgue'a, Samaina, Signoreta; kokaina zabija Dubusa. Inni pouciekali na pustkowie, do kolonii, do podprefektur, jak Claudel, Valery, de la Tailhède, Retté, Le Cardonnel.“

Jakiż ponury obraz! Cóż za okropne społeczeństwo, które pozwoliło na zmarnowanie się tylu talentów, gdyż bądź co bądź byli to poeci wielkiego polotu. Są to także jakoby ofiary walki z tłumem. Symbolizm ostatecznie zwyciężył, stał się sztuką oficyalnie uznaną. Dziś prezydent Rzeczypospolitej inauguruje wystawy wczorajszych rewolucyonistów, „ale właściwy symbolizm— kończy p. Golberg — nie spoczywa na polu zwycięstw... lecz na polu walki; wśród rozpaczy, szamotania się i okrutnych cierpień, których doznali jego pierwsi mistrze, jego nieubłagani twórcy, twórcy tembardziej cenni dla sztuki, że mimo zwycięstw oficyalnych, młoda sztuka zwraca się ku kilku zmarłym przedwcześnie.“

Każda idea ma swoją rzeczywistą lub urojoną martyrologię. Walka jest istotą twórczości artystycznej. Sztuka musi mieć

wroga rzeczywistego lub urojonego, ażeby się z nim zmagać okrutnie, bo inaczej w wygodnym kwietyzmie zatyłaby, jak rzeźniczka za ladą sklepową. Artysta to wynalazca, odkrywca, to duch śmiały, który wybija okna w ślepej ścianie na nowe horyzonty. Cóżby wybijał, gdyby wszystko stało przed nim otworem? Niech że więc już pozostanie w społeczeństwie ten tłum, ażeby go mógł artysta zadziwiać, olśniewać, przerażać i oburzać. Jest to także jeden z czynników, bez których sztuka żyć nie może.

*

* *

Zapewne, stosunek ogółu do artystów — jego zainteresowanie się sztuką, tudzież pomoc materyalna i moralne poparcie, jakie twórcom udzielić może, są to, niewątpliwie, konieczne warunki ich egzystencyi. Warunki te, przyznaję, są niestety u nas, bezwzględnie biorąc, znacznie gorsze, niż gdzieindziej, co znowu jeszcze nie upoważnia do wniosku, że społeczeństwo morduje swoich artystów, a już najmniej tyczyć się to może Podkowińskiego.

Artysta ten, wyjątkowych rzeczywiście zdolności, umarł młodo, w epoce najwyższego rozwoju swych władz twórczych, i niewątpliwie sztuka polska przez przedwczesny zgon jego dotkliwą poniosła stratę, ale umarł, jako człowiek dojrzały. Przypuszczam, że nie ubliżę pamięci cenionego ogólnie artysty, sympatycznego i powszechnie kochanego człowieka, jeżeli powiem prawdę o mniemanem morderstwie: Podkowiński umarł śmiercią naturalną z suchot płucnych. Rzeczywiście manifestacyjnie lekceważył on rady i wskazania lekarzy, którzy się nim z najwyższą życzliwością w chorobie opiekowali i jakby umyślnie, jakby na przekór narażał się ustawicznie na przeziębienia. Nie mogę wnikać w pobudki wewnętrzne, jakie go pchały do tej samozagłady, pozostało to tajemnicą jego serca i duszy, ale stanowczo twierdzić mogę, że społeczeństwo najmniej w tem wszystkiem zawiniło.

Podkowiński, zewnętrznie sądząc, mógł uchodzić za dziecię szczęścia. Oczywiście, szczęście to rzecz tak względna, jak dobrobyt i sława. „Powiedz mi w którym roku zaczyna się nieśmiertelność — powiada pewien *wykolejony* u Schnitzlera — a po-

staram się o sławę.“ Gdzie się zaczyna bogactwo, gdzie kończy nędza? Co to jest szczęście? Na mnie robił wrażenie człowieka, któremu się wiodło w życiu i w stosunku do innych powinien był być z losu zadowolony.

Zeszliśmy się u progów przedsionka sztuki. W warszawskiej szkole rysunkowej studyowaliśmy razem gipsy, pod kierunkiem profesorów Gersona i Kamińskiego. Już wtedy zwracał uwagę swemi zdolnościami. Pracował łatwo i musiało mu być przyjemnie słyszeć za plecami uwagi kolegów: „jak się to u niego trzyma, jak to postawione, jakie to bajeczne w masach.“ Zapewne mógł mu czasem dokuczyć jakiś wybryk zawiści koleżeńskiej, która w tej sferze ujawniała się nieraz w formie iście małpiej złośliwości, ale na to nie ma sposobu.

Spotkałem go potem w Paryżu. Przyjechał tam już, jako artysta do pewnego stopnia uznany, który wystawiał obrazy w kraju i za granicą, pragnął jednak w tem przedziwnem środowisku sztuki najwspanialszej podnieść jeszcze poziom swej kultury estetycznej i rozszerzyć światopoglądy.

Jest to dziś, jak i dawniej, wprost konieczne dla początkujących artystów takie otarcie się bezpośrednie o sztukę Zachodu, w Paryżu lub gdzieindziej, co śmiem twierdzić stanowczo, mimo energicznego protestu, ogłoszonego w swoim czasie przez p. Eligiusza Niewiadomskiego, z powodu podniesienia przez grono artystów projektu akademii polskiej w Rzymie. Jeżeli wyjazd zagranicę okazał się rzeczywiście mniej owocny dla kilku niezbyt zresztą interesujących artystycznie osobników, to tylko dlatego, że nastąpił może zawcześnie, przed należytem przygotowaniem się ich do bezpiecznego żaglowania na ogromnie wartkich prądach ruchu artystycznego w Europie. Podkowiński uzbrojony był dostatecznie i mógł pełną piersią wdychać w siebie atmosferę sztuki w stolicy świata; bawił tu wszakże bardzo krótko — brak środków materyalnych zmusił go do rychłego powrotu do kraju.

I to jest rzeczą zadziwiającą, że artysta ten, tak utalentowany, tak już wtedy wyrobiony zawodowo, nie mógł ustalić sobie bytu niezależnego w Paryżu. Był on przedewszystkiem doskonałym rysownikiem i ilustratorstwo przedstawiało dlań wdzięczne pole sutych zarobków. Tylu przecież mniej zdolnych i mniej przygotowanych zdobywało wcale wygodną egzystencyę rysunkami do pism ilustrowanych, nie zaniedbując nawet malarstwa, które samo przez się, istotnie... nie tuczy, przynajmniej w początkach karyery. Ilustratorstwo paryskie, rzecz dziwna, spoczywa przeważnie w ręku cudzoziemców. Prócz Niemców,

względnie Alzatczyków, Hiszpanów i Włochów, jak Vogel i Mirbach, Parys i Verga, Marchetti i Amato, pracowało na tym gruncie wielu Polaków, jak Reichan, Loëvy Edward i Władysław, Merwart, Jankowski Czesław, Słomczyński, Górski i inni.

Podkowiński wstrętu do tego zajęcia nie miał, robił nawet, o czem wiem z pewnością, pewne kroki w kierunku zdobycia dla siebie „Illustration“ czy „Figara“ ilustrowanego, ale skoro go one zawiodły, zniechęcony rzucił Paryż i w kraju zaczął zarabiać rysunkami.

Szczerze mówiąc, zawód ilustratora w Warszawie, w stosunku do innych miast europejskich, nie jest godzien zazdrości, jak wogóle cała prasa nasza, wobec angielskiej lub francuskiej, wygląda jak skromna chałupa kolonisty przy feudalnym zamku barona. Jeżeli taki „Graphic“ lub „London News“ mogą fundować korespondentom swoim, w razie potrzeby, gdzieś na teatrze wojny specyalne pociągi, jeżeli taka „Illustration“ jednocześnie wysyła rysowników do Madagaskaru, Kochinchiny i Panamy, to nasze pisma ilustrowane grubo się namyślają, czy opłaci im się podróż ilustratora na miejsce katastrofy kolejowej, dajmy na to pod Grodziskiem. Wiadomość pocztą pantoflową idzie dość prędko, a wreszcie może się na miejscu znajdzie amator-fotograf z aparatem migawkowym.

Inna skala, inne wymagania. Podkowiński wszakże, jako ilustrator, był wysoko ceniony i oczywiście odpowiednio *toute proportion gardée* wynagradzany; a przynajmniej honoraryа jego należały do najwyższych w zwyczaju przyjętym, co już stanowi bardzo dużo, jeżeli nie dla kieszeni, to przynajmniej dla miłości własnej. W żadnym razie nie mogło tu być mowy o wyczerpującym zdrowie niedostatku. Nadto, jeżeli nie wystarczał mu ten rodzaj pracy, mógł swobodnie tworzyć wielkie obrazy, odpowiadające jego fantazyi i ambicyom artystycznym. Powstawały też kolejno jaskrawo impresyonistyczne pejzaże i sceny rodzajowe, potem pełne poezyi i fantastyczności utwory symboliczno-nastrojowe, jak „Nokturn,“ „Dzwony,“ mniej szczęśliwy w pomyśle „Taniec szkieletów“ i wreszcie „Szał,“ dzieło ostatnie, najpełniejsze w koncepcyi i w rozwinięciu artystycznem, jakby najwyższy wysiłek stojącego u celu swych dążeń ducha.

Ale był w dziejach jego karyery moment, który się stał punktem wyjścia do wyżej wspomnianych oskarżeń, a który dla mnie znowu będzie punktem wyjścia do pewnych uogólnień.

Podkowiński po powrocie z Paryża nadesłał do Towarzystwa Zachęty szereg obrazów, malowanych metodą impresyoni-

styczną, a obrazy te Towarzystwo odrzuciło. Los podobny spotkał również powstałe pod tymi samymi wpływami dzieła Pankiewicza.

W obozie ówczesnych młodych powstał krzyk, lament tudzież szat rozdzieranie nad filisterstwem i ignorancyą kierowników naszej jedynej instytucyi artystycznej, ubolewanie nad jej zakrzepłymi w rutynie przesądami, wreszcie złorzeczenie całemu społeczeństwu, które kamienuje proroki swoje. Pan Laurysiewicz, przyjaciel obu malarzy, w dodatkach do „Przeglądu tygodniowego," zaczął druk szeregu artykułów o impresyonizmie, w których z nadzwyczajną mocą przekonania dowodził, iż po za nim w malarstwie nie ma zbawienia. Zapewniał on, że prawdziwy malarz tylko czystemi barwami posługiwać się może, a wszelkie szare sosy, wszelkie ochry, ziemie sieneńskie, asfalty godne są pucybutów, lakierników, smarowozów i innej podobnej hołoty; że tylko przez ustawienie obok siebie niczem nie zmąconych plam barwnych, odpowiadających barwom zasadniczym rozczepionego widma słonecznego dać można w obrazie blask słońca i pożądaną jasność kolorytu natury; że tak właśnie malują Podkowiński i Pankiewicz, a wszystko inne, co dotąd było w malarstwie, to brudne, zakopcone ścierki.

Pominąwszy, że niedługo potem sami Podkowiński i Pankiewicz sprzeniewierzyli się słowom tej nowej ewangelii malarskiej i wrócili do tonów szarych, czarnych i to bardzo czarnych, jak np. w „Nokturnach" p. Pankiewicz, a Podkowińskiego sam widziałem używającego już przy „Szale" wyklętej przez p. Laurysiewicza raz na zawsze z palety malarskiej „sieny palonej," chcę się zastanowić nad wartością istotną samych obrazów, zakwestyonowanych przez Towarzystwo.

Nie ulega wątpliwości, że impresyonizm, jako teorya, przyniósł wiele ciekawych odkryć w sprawie pełniejszego przedstawienia w malowidle światła. Dając metodę badania udostępnił on dla oka mnóstwo przejawów barwnych, które przedtem wymykały się z pod obserwacyi i na tym punkcie zasługi kierunku tego są niezaprzeczone.

Podkowiński przywiózł z Paryża przedewszystkiem sposób. Obrazy owe były malowane metodą krańcową, t. j. że artysta wystrzegał się jaknajsurowiej używania jakiegokolwiek koloru zmieszanego, lecz wychodząc z zasady, że barwa jest właściwie światłem, różniącem się między sobą częstością drgań, usiłował wywołać ją za pomocą zestawienia pojedyńczych części rozszczepionego w pryzmacie widma, które jakby miały powtórzyć na obra-

zie owe drgania i zlać się dopiero na siatkówce oka w ton ogólny. Barwa i światło są to zjawiska identyczne — barwa stanowi pewien oznaczony rodzaj światła, podobnie jak ton każdy jest dźwiękiem o oznaczonej liczbie drgań na sekundę. Kiedy jednak ucho zdolne jest w mieszaninie tonów odróżnić każdy z nich osobno, oko łączy wrażenia, wywołane współcześnie przez różne barwy i widzi jedną—zmieszaną. Chodziło zatem, ażeby proces mieszania nie odbywał się na płótnie, ale właśnie na oku widza, przez co światło zachować miało swoją wibracyę i przejrzystość. To było podstawą tego kierunku, który w tej formie właściwej przyjął nazwę wibryzmu.

Nie zawsze analiza barwy była dość ścisła, a zwłaszcza nie zawsze zlewała się na oku widza na ton żądany, ale zato artysta, krępowany środkami, nie rozporządzając tonami ciemnemi, nie mógł zdobyć się na pogłębienia perspektywiczne i siłę plastycznego wyrazu. Teoretycznie rzecz rozwiązana najpomyślniej, w zastosowaniu praktycznem okazała się mniej szczęśliwą.

Pamiętam te obrazy. Były płaskie i bezbarwne, pomimo drapiącej wzrok jaskrawości plam kolorowych. Miały to być pejzaże bajecznie świetlane i powietrzne, a nie było w nich ani słońca, ani powietrza. Nadto, jako utwory tendencyjnie podciągane pod kanon pewnej teoryi, nie były one bezpośrednim wyrazem wrażeń osobistych, owszem, były to raczej wyrozumowane na zimno wypracowania, niż odczute gorącą wyobraźnią twórcy poczęcia i tem samem pozbawione siły przekonania. Pojmował to niewątpliwie sam artysta, gdyż pomimo gorliwej propagandy tych wierzeń artystycznych, głoszonych słowem i pismem przez grono licznych przyjaciół, potrochu odstępować zaczął od czystości zasad wibrystycznych, wprowadzał tony ciemne i następne już obrazy jego, jak „Spotkanie,“ „Konwalie,“ kilka doskonałych, pełnych charakteru portretów, tudzież cały szereg większych kompozycyj fantastycznych, posiadają więcej plastyki i miąższości, aż wreszcie kończy na ostatecznem pogodzeniu się w „Szale“ z tonami szarymi, z przecieraniem płótna cienką farbą, z laserunkami i tym podobnymi środkami, które przez teoretyków poprzedniego kierunku uważane były za okropności, wołające o pomstę do boskiej sztuki.

Artyście jednak nie o środki techniczne chodziło. Podkowiński musiał wypowiedzieć się szczerze, jako malarz o duszy płonącej gorączką twórczą, o wyobraźni żywej, rojącej wizye poczęć plastycznych, o istotnym temperamencie artystycznym, nie mógł się więc utrzymać w ciasnych szrankach teoretycznych for-

mułek. Bujna indywidualność jego zniosła tamy kanonu i wylała się żywiołowo bez wszelkich zapór w dziełach, wobec których pierwsze próby impresyonistyczne były rzeczywiście słabe, jako utwory malarskie.

Czy jednak Towarzystwo miało słuszność nie przyjmować ich na wystawę? Bezwzględnie rzeczy biorąc — tak. Były one suche i chłodne, nadto technicznie nie dość doskonałe, więc z artystycznego punktu widzenia — obojętne. Ale z drugiej strony Towarzystwo, jako instytucya zachęty do sztuk pięknych, powinno było znać autora wszechstronniej i wiedzieć do czego jest zdolny, gdyż już przedtem zaznaczył się on, jako rysownik wcale niepospolity. Ludzie, kierujący instytucyą taką powinni byli rozumieć, że talent młody, samodzielny, organizacya naprawdę artystyczna, więc tem samem niespokojna, nie pójdzie wygodnie szerokim gościńcem, lecz szamocąc się i zmagając, szukać będzie dróg nowych, niewydeptanych. Że w poszukiwaniach tych może ona błądzić, zbaczać, dziwaczyć nawet czasami, to jednak jeszcze wszystko razem wzięte jest estetycznie bardzo interesujące, gdyż odgadnąć łatwo, że nie są to nizkie pełzania niedołęstwa, ale wzloty górne ambicyj artystycznych, zasługujące na szacunek i uwagę ogółu. I z tego powodu przyjęcie tych mniej udatnych utworów na wystawę było najzupełniej wskazane. Zachodzi tu istotnie trudność oryentowania się; sprawę ułatwia ogromnie, jeżeli dzieło takie podpisane jest nazwiskiem dobrze znanego skądinąd artysty.

Niedawno na wystawie zbiorowej prac dyr. Fałata spotkałem rzeczy malowane farbami Raffaellego, które, gdyby nie podpis tak znakomitego artysty, kto wie czyby się były doczekały publicznego wystawienia w salonach Zachęty. Niezrównany akwarelista, stanąwszy wobec nowej techniki, wobec nieopanowanego należycie materyału, nie był w stanie ujawnić właściwych sobie zalet artystycznych. Obrazów Fałata nie przyjąć niepodobna — do Podkowińskiego snadź w owym czasie nie miano tyle zaufania. Jeżeli zatem Towarzystwo może mieć nawet pewne dane na swe usprawiedliwienie w niezbyt wysokiej wartości artystycznej rzeczonych utworów, to w każdym razie ciąży na niem zarzut braku przenikliwości.

Towarzystwo błąd swój uznało, wstydzi się zań od tego czasu i tak pilnie strzeże się powtórnej omyłki, że wpadło w drugą ostateczność i raczej odrzuci obraz poprawny, niż rzecz dziwaczną i niezrozumiałą.

Przed dziesięciu mniej więcej laty widziałem tam pejzaż młodzieńca, który dziś maluje bardzo poważnie doskonałe portrety, ale który wtedy jeszcze ani rysować, ani malować nie umiał. Miał on jednak wielką niecierpliwość publicznego występu, a, że kręcił się w kole, gdzie się kuły teorye artystyczne, spreparował więc wedle jednej z nich, najtańszym zresztą sposobem, coś, co nie wytrzymywało wprawdzie krytyki rzeczowej, ale wzięte pod kątem nieskończoności, mogło uchodzić za „nastrój.“ W kole urobiono natychmiast odpowiednią legendę i obraz pod wpływem jej został przyjęty na wystawę. Młodzieniec wyjechał potem zagranicę, gdzie się nauczył malować, a co najgłówniejsza, nadzwyczaj poprawnie rysować; tworzy dziś, jak się powiedziało, przepyszne portrety i już ani jednego nastroju nie wystawił. Co więcej, umocniwszy się w swoim rodzaju sztuki, zupełnie otwarcie przyznaje się dziś, że nigdy w życiu pejzażu nie czuł, że wprost nie może przekonać się do studyów krajobrazowych, gdzie wszystko jest takie okropnie zielone, zielone, zielone!

*

* *

Przytoczyłem te dwa przykłady nieporozumienia estetycznego, które widziane w perspektywie prawie już dziejowej dawności, mogą służyć za przesłanki do wniosków ogólniejszych w sądach o rzeczach sztuki. W epoce akademizmu sprawa oceny artystycznej była nieskończenie łatwiejszą. Możliwe zbliżenie się do pewnego ideału klasycznie doskonałego kształtu było miarą uzdolnień i wyrobienia artystycznego. Dobra szkoła, zdobycie tajemnic zawodowych, tudzież wirtuozowstwo techniczne stanowiło wszystkie warunki mistrza. Obecnie, w chwili ogromnego zróżniczkowania się przejawów twórczości plastycznej przyznać trzeba, że miara taka okaże się istotnie nie wystarczającą. Co więcej, wśród mnóstwa krzyżujących się prądów i kierunków, wobec panującej w danej chwili mody, upodobań, sympatyi i antypatyi, wobec mocy suggestyi, wytwarzanej przez otoczenie, często niepodobna odróżnić złego od dobrego, niepodobna zwłaszcza zgodzić się stanowczo i jednogłośnie na pewną klasyfikacyę wartości.

Wielki kościół sztuki rozpadł się jakoby na małe kapliczki, a w każdej z nich odprawiają nabożeństwa kapłani innej wiary,

podług innego rytuału i z fanatyczną namiętnością głoszą światu inne prawdy i objawienia.

Ściśle biorąc — to właśnie najbardziej namiętną propagandę idei malarskich biorą na siebie przeważnie literaci i temu to przypisać należy, że czasami w ich teoretycznych uzasadnieniach różnych kierunków sztuki zanika zupełnie istota samego malarstwa. Poezya, filozofia, muzyka w utworach pędzla zajmować zaczyna obecnie miejsce tak dominujące, że spycha na plan ostatni znaczenie rysunku i kolorytu. Dla symbolu, symfonii, nastroju przestajemy się liczyć z logiką kształtu i światła w dziełach malarskich i dzieła te staramy się odczuwać uchem, smakiem, powonieniem, nawet dotykiem, a najmniej właśnie wzrokiem.

Nie myślę tu bynajmniej ośmieszać teoryi synestezyi, która niewątpliwie doskonale wyjaśnia wiele zjawisk w dziedzinie odczuwania estetycznego, ale chcę położyć nacisk na to, że przecież malarstwo, jako sztuka, obejmująca sferę wrażeń przedewszystkiem wzrokowych, głównie na zmysł ten działać musi. Ludzie, nieposiadający sami dość wyrobionego oka do spostrzegania przejawów z zakresu kształtu i barwy, nie posiadają też możności objektywnego skontrolowania dokładności przetworzenia się ich w dziełach sztuki, łatwiej więc ulegają suggestyi pojęć narzuconych. Silna wiara w talent artysty, blizkiego często, nawiasem mówiąc, przyjaciela, ustawia ich pogląd na rzeczy plastyczne pod pewnym stałym kątem widzenia i prowadzi do krańcowości wniosków, najgłębiej zresztą szczerych i bezinteresownych. Jeżeli zabierają wtedy głos publicznie, a obdarzeni są darem gorącego słowa i mocą przekonywania, zdobywają prozelitów dla wybranego proroka i ustalają w mniejszym lub większym zakresie powodzenie jego twórczości. Powodzenie nęci naśladowców i wytwarza się kierunek.

Tak sobie tłómaczę powstawanie owych kapliczek, których dziś niepodobnaby wyliczyć. We Francyi zwłaszcza jest ich mnóstwo. Jakiś mocniejszy artysta z wybitniejszą indywidualnością grupuje obok siebie garść mniej wybitnych i pewne koło wielbicieli.

Przytoczyłem wyżej przykład krańcowości w literackiem głoszeniu teoryj malarskich z niedawnych dziejów naszej sztuki; mógłbym wymienić więcej takich z doby dzisiejszej, ale wolę zwrócić się znowu do Francuzów, bo przynajmniej nikogo to nie dotknie.

Mam przed sobą studyum Kamila Mauclair'a o Auguście Renoir'ze, w którem ten gorliwy i istotnie ognisty propagator nowej

sztuki, starając się podnieść zapoznawanego dotąd artystę, uważa za konieczne pognębić z kretesem wszystkie wielkości uznane.

„Renoir maluje — pisze p. Mauclair — nakładając farbę obficie, ale już wtedy, przez skupienie nieskończonej ilości małych dotknięć pędzla, drobniejszych niż u Klaudyusza Moneta, mniej energicznych, lecz więcej nerwowych; jest to istny deszcz malutkich plamek, który spada na płótno średniej grubości i pokrywa je gęsto swemi żywemi nierównościami, to w kierunku pionowym, to biegnąc za formą. Taki jest „Koniec śniadania,“ taki szeroki, a tak drobiazgowy, gdzie brodaty pan zapala papierosa zapałką, której tlenie drzewa widać na obrazie i to bez *meskineryi* w wykonaniu. W tym wypadku trudno się powstrzymać od myśli o zapałce, rzuconej na podłogę w „Akwaforcie“ Meissoniera, dla porównania tego *dziecinnego* tryumfu malarstwa wykończonego nad prawdziwym szczerym malarstwem.“

Nie mogę sobie wyobrazić, żeby prawdziwy, szczery plastyk, choćby był zdecydowanym wrogiem realizmu, choćby sam był najkrańcowszym syntetykiem, impresyonistą, wibrystą, pointylistą, jeżeli tylko nie jest kanibalem, posądzić mógł Meissoniera o meskineryę i dzieciństwo. Meissonier, mimo drobiazgowości w wykończaniu, był przecież indywidualnością potężną, wielkim malarzem, znakomitym kompozytorem i duchem szerokim, niespokojnym i wynalazczym, który w dziedzinie naprzykład postrzegania ruchu porobił zdumiewające, wprost genialne odkrycia i sztukę swego czasu ogromnie naprzód posunął. Renoir tymczasem jest może rzeczywiście bardzo ciekawą i oryginalną organizacyą twórczą, posiada szczególniejszą, właściwą sobie zmysłowość w przedstawieniu ciała kobiecego, któremu nadaje olśniewającą białość i jakieś dziwne połyski perłowej macicy, ale po za tem nie dorasta do kolan Meissonierowi pod względem wszechstronności objęcia zjawisk życia i władnej mocy ich przedstawienia. Może on sobie być wielkim, niedościgłym, okadzanym z trybularza jednostronnej adoracyi magiem w swej kaplicy, jak Gauguin, Debussy i tylu innych, dla których, jak pisze pan Slewiński, bardzo głęboki, tudzież świadomy swych środków i celów malarz, sztuka jest to „właściwość danego organizmu wysłowienia odczutego piękna danej chwili za pomocą zewnętrznych znaków, nie ujętych żadnem prawem. Dzieło sztuki jest tu niejako ostatecznym wynikiem i będzie *zrozumiane* tylko przez podobne do artysty organizacye a *odczute* będzie przez niewielką garstkę śmiertelników.“ Rzeczywiście, w tak wysokiej obecnie sztuce europejskiej, wśród prawdziwego potopu powszedniej poprawności, musiały się wyod-

rębnić upodobania specyalne, zamiłowanie do pewnych przejawów niezwykłych a subtelnych. Silne, oryginalne zamanifestowanie się indywidualności odmiennej pozwala zapomnieć o pewnych niedociągnięciach w ogólnem rozumieniu dążeń sztuki i stać się dla wybranych jednostek źródłem prawdziwej rozkoszy estetycznej. Z punktu widzenia smaku wydelikaconego, upodobań wyrafinowanych jest to najzupełniej usprawiedliwione i to mianowicie tłómaczy bezwzględne rozmiłowanie się ich w rzeczach, które częstokroć nie znajdują uznania u szerszego ogółu. Wyjaśnienie przyczyn, wywołujących ową rozkosz estetyczną, wskazanie tych pierwiastków estogenicznych może przyczynić się do rozszerzenia zakresu artystycznego odczuwania, ale nieprawdą jest, ażeby tem samem sztuka przez ogół uznana, z pogardą nazywana oficyalną, była niższą i nikczemną. Można nie uznawać kierunku, dajmy na to, realistycznego, można przekładać syntetyczne przedstawienia form najogólniejszych nad drobiazgowe opracowanie szczegółów, ale niepodobna nie przyznać mimo to, że Meissonier był wielkim malarzem i wielkim artystą, jak z drugiej strony najbardziej krańcowy realista nie odmówi zasług syntetykowi, jeżeli pozna w nim dobrego plastyka, który formę rozumie i czuje. Mówić tak może tylko jednostronny teoretyk-dyletant.

Ale sympatye artystów wszystkich, nietylko symbolistów, jak chce p. Gołberg, zwracają się nie do zwycięzców, lecz do zwyciężonych, na pola walk, rozpaczy, szamotań się; stąd też i literatura z liryczną tęsknotą wywołuje cienie egzystencyi zmarnowanych, upadłych, apoteozuje przedwcześnie zmarłych bojowników. Ale życie do prawdziwej świątyni sztuki wprowadza tylko zwycięzców. Świat należy do silnych i oni to tworzą historyę.

Michał Anioł był potężny, jak Tytan, fizycznie i duchowo; prywatne życie Rembrandta miało być smutne, samotne, pełne trosk i zawodów, ale w dziejach sztuki występuje, jako tryumfator. Wielkie etapy w pochodzie kulturalnym ludzkości znaczą, niby słupy kolosalne, nazwiska artystów zwycięskich: Giotto, Rafael, Rubens, Poussin, Velasquez, Goya, David, Delacroix, Meissonier, Matejko. Z nich powstaje historya — zwyciężeni przedstawiają wdzięczny materyał dla literatury.

T. Jaroszyński.

Ruch umysłowo-literacki we Francyi.

Od ostatnich sprawozdań o stanie współczesnej literatury francuskiej upłynęło kilka lat. Przez ten czas, ileż nowych książek przybyło, ileż nieznanych przedtem, lub początkujących autorów wyrobiło się i zajęło poczytne miejsce w tej olbrzymiej produkcyi literackiej, którą Francya rok rocznie wchłania w siebie! Sądząc według liczby czasopism i bibliograficznych spisów, należałoby się spodziewać coraz świetniejszej epoki: tak mnożą się książki i ich wydania. Gdy jednak rozpatrujemy jakościowo te stosy zadrukowanej bibuły, gdy przykładamy probierz moralnej wartości do książek nieraz najpopularniejszych, dochodzimy do wniosku, że jesteśmy w okresie dekadencyi i zaniku zdrowych pojęć etycznych, że mamy do czynienia z epoką większego upadku poezyi niż był nim czas poprzedni. W liryce brak zarówno ideałów ogólno-ludzkich, jak uczuć podniosłych i szlachetnych, które stanowią źródło prawdziwego natchnienia. Na deskach teatralnych brak tego, co stanowi koronę rodzaju dramatycznego: brak tragedyi. Zastępuje ją melo-dramat lub tragi-komedya. Z drugiej strony lekka farsa, satyryczny obraz paryskiego życia, nie bardzo dowcipny, często swawolny, a czasem śmieszny, wyrugowały dawną komedyę charakterów.

Poprzedni okres, nazwany modernizmem czy symbolizmem — mniejsza zresztą o nazwę—którego hasła pokutują jeszcze u wielu pisarzy, miał przynajmniej pewien świadomie wyrobiony kierunek, dążył do zrealizowania wysnutych z niego haseł. Nie rozstrząsam tutaj czy to był prąd dodatni czy ujemny, słaby czy silny, potrzebny czy zbyteczny? Stwierdzam jedynie fakt, że istniała grupa poetów, zszeregowana pod jednym sztandarem; że była wspólna dążność i wspólne idee, które złączyły większą ilość utalentowanych ludzi w szkołę poetycką. Dziś niema i tego: koniec ubiegłe-

go stulecia i początek bieżącego — to chaos przeróżnych prądów, nawzajem się wykluczających, to walka o myśl i formę, przy niesłychanej rozbieżności haseł. Anarchia literacka w całem tego słowa znaczeniu zastąpiła dawne zrzeszenie się poetów. Wszelkie kierunki ostatniej ćwierci XIX. wieku, jak naturalizm, parnasyzm, idealizm, neo-romantyzm skończyły się wybujałym indywidualizmem, rozpaczliwym okrzykiem pesymistycznym lub gorzką ironią sceptycyzmu. Każdy kroczy swoim osobistym szlakiem, nie oglądając się na innych. W teoryi nie możnaby nic mieć przeciwko temu. Owszem, należałoby się raczej cieszyć, że rozwinęła się taka bujna oryginalność umysłów, iż jeden nie naśladuje drugiego. W rzeczywistości taki stan oznacza brak potężnej jednostki, któraby zdołała narzucić innym cech swego talentu.

Wśród wielkiej liczby „natchnionych synów“ dzisiejszego parnasu francuskiego, niema ani jednego, któregoby rozmach poetyczny porwał za sobą innych i uniósł w prawdziwą sferę wiecznego piękna. Wśród powieściopisarzy niema nawet takiej indywidualności, jaką był Zola, który, — nie wchodząc zresztą w ocenę moralnej wartości wielu jego utworów, jak całego kierunku naturalistycznego—zdołał wycisnąć silne piętno na współczesnym sobie romansie.

Ten ogólny nastrój umysłów i stan niepewnego oczekiwania, ten zamęt przejściowej epoki wyświetlił trafnie Recolin w swym zbiorze charakterystyk współczesnych autorów, wydanym temu lat siedem, pod tytułem: „Anarchia literacka[1])“. Od owej chwili nie wiele wprawdzie zmieniło się na lepsze; w tem znaczeniu, że jeszcze ciągle wahają się nieustalone kierunki i prądy, a trudno przewidzieć, który z nich weźmie górę. W romansie święci tryumfy gorzki pesymizm i sceptyczny uśmiech, nawpół poważny, nawpół szyderczy, o czem przekonać się można z ogłoszonego niedawno zbioru studyów nad wybitniejszymi umysłami współczesnej literatury francuskiej[2]).

Nie da się jednakowoż zaprzeczyć, że niektóre hasła zarysowały się, w ostatnich trzech latach szczególnie, o wiele jaśniej i dobitniej, niż to miało miejsce dotychczas. Sprawa Dreyfusa była—że tak powiem—probierczym kamieniem, który rozklasyfikował na dwa obozy niezdecydowane do owego czasu umysły. Jednych popchnął ku nacyonalizmowi, drugich ku socyalizmowi.

[1]) Recolin: l'Anarchie littéraire. Paris 1898. (Perrin et C-ie éd.).
[2]) Reggio Albert: Au seuil de leur âme Paris 1904. (Plon éd.).

Wpływ tej afery na umysły francuskie jest daleko głębszy i o donośniejszem znaczeniu, niż się to mniema powszechnie. Odwróciła ona na lat kilka zdolnych pisarzy od właściwego pola, robiąc z nich niepowołanych polityków, lub rzucając ich na arenę publicystyczną. Z drugiej strony skrystalizowała zapatrywania religijne wielu innych. Pouczającem byłoby porównanie utworów takiego Lemaitra lub Anatola France'a przed tą sprawą i po niej — co prawda, nie wiele napisali po niej. Nie mniej interesuje nagła zmiana frontu u Brunetièra, który z pozytywisty stał się obrońcą wiary[1]).

Wpatrując się głębiej w te odznaki, poznajemy ze zdziwieniem, że mają one dziwne podobieństwo z początkiem ubiegłego stulecia. I wtedy, autor „Historyi dawnych i nowych rewolucyj“[2]) zmienia bezpośrednio sztandar i z pesymisty staje się gorącym popleczníkiem kościoła, pisząc hymn pochwalny o piękności wiary chrześcijańskiej[3]). Jak wówczas Chateaubriand i de Maistre byli chorążymi nowego kierunku, tak dziś wśród umysłów francuskich, znużonych chaosem niepewnych, częstokroć przewrotnych haseł, objawia się dążność do szukania trwalszych podstaw i przeciwstawienia rozpanoszonej anarchii niewzruszonych dogmatów religii. Dlatego też uczony redaktor „Revue des deux Mondes“ uzyskał pewien wpływ na młodszą generacyę krytyków, bo sam zawsze wierzył w zasady. Młodzież, oglądająca się za czemś pozytywnem, obrała jego właśnie za duchowego przewódcę. Byłoby zawcześnie chcieć odgadnąć, co z tych usiłowań i dążeń wyniknie; nie można jednak tego stanu rzeczy nie zauważyć i nie podkreślić, jako coś znamiennego, jak również nie wskazać na to, że poprzedni wiek rozpoczął się od podobnych zapowiedzi, a wydał—co każdy z nas wie dobrze — mocarzy słowa, jakich nie widziała literatura europejska od czasów Dantego. Ustaliwszy tedy te wytyczne punkta, zamierzam w niniejszych uwagach dać przegląd współczesnej literatury we Francyi. Nie podobna oczywiście w tym szkicu omówić wszystkiego, co pojawiło się w ciągu kilku lat od wydrukowania wyż wspomnianych artykułów. Z drugiej strony ograniczać się konsekwentnie do ostatniego roku, znaczyłoby przejść do porządku dziennego nad wieloma wybitnymi umysłami, którzy przypadkiem

[1]) Porównaj ostatnią broszurę „Sur le chemin de la croyance.“

[2]) „Essai historique, politique et moral sur les révolutions anciennes et modernes, considérées dans leurs rapports avec la révolution française. 1797.

[3]) Le Génie du christianisme. 1802.

w tym czasie nie ogłosili nic drukiem. Wybrałem drogę pośrednią. Obok nowości roku 1904, które wymagały rozbioru lub bliższej uwagi, scharakteryzuję także ostatnią publikacyę każdego głośnego pisarza, szczególnie, o ile odźwierciedla się w niej umysłowość autora lub fizyonomia czasu. Stąd podwójny punkt widzenia i oceny poszczególnych utworów. Przy jednych dziełach chodzi przedewszystkiem o ich wartość bezwzględną: co nowego wnoszą do literatury i czem się wyróżniają? przy innych — jaka ich idea moralna i wartość estetyczna. Oczywiście zależeć to będzie od poglądów filozoficznych, społecznych lub politycznych, jakie włożył autor w swój utwór. U pisarzy starszej daty wystarczy zaznaczyć to stanowisko, jako znane i nie wymagające bliższego uzasadnienia. Na szersze omówienie zasługuje wtedy tylko, gdy uległo przeobrażeniu. Więcej natomiast uwagi poświęciłem tym, którzy występują od niedawna na niwie literackiej, lecz których imiona zaczynają się stawać głośnemi. Ich utwory budzą zresztą największe zainteresowanie; tembardziej należało wykazać, jakie zawierają pierwiastki: dodatnie czy ujemne?

Zanim przejdę do rozbioru książek, chciałbym przypomnieć zasługi tych autorów, których stuletnią rocznicę obchodził tego roku naród francuski. Jest ich wielu. Do najgłośniejszych należą: Saint-Beuve, George Sand, Bossuet[1]). Pierwszego z nich znają czytelnicy Bibl. Warsz. z treściwego artykułu p. Jabłonowskiego, który, opierając się na najnowszych badaniach odtworzył znakomicie sylwetkę nestora nowożytnej krytyki francuskiej. O ostatnim, nie pojawiła się dotychczas żadna nowa praca, któraby oświetliła głębiej tę niezwykłą postać, niż to uczynił Lanson w swoich dwóch publikacyach o wychowawcy Delfina[2]). Dziwnem jest także że z wyjątkiem „Revue Bossuet“ rzadko które czasopismo wspomniało o nim, prawie żadne nie poświęciło obszerniejszej notatki niezrównanemu mistrzowi klasycznej prozy. A przecież znaczenie jego, jako pisarza, jest niepospolite. Język Bossueta dźwięczy takim rytmem, jego „Oraisons funèbres“ mają częstokroć taki rozpęd dramatyczny, że autor w zupełności zasługuje na miano poety,

[1]) Oprócz tych trzech wymienionych powyżej pisarzy można jeszcze wymienić: Eugeniusza Suégo (1804 — 1857); Karola de Bernard (1804 — 1850); Juliusza Janin (1804 — 1874), moralistę Duclosa (1704 — 1772).

[2]) G. Lanson: a) Bossuet. Paris 1891. (Lecène et Oudin éd.); b) Bossuet. Paris 1898. (Societé fran. d'imprimerie). Oprócz tego wyszła popularna monografia Alfreda Rébelliau. Bossuet. Paris 1900. (Hachette).

które mu daje wyż wzmiankowany biograf. W braku więc nowszych monografij przytoczmy niektore zdania krytyka, chyba zgoła nie podejrzanego o jakieś szczególne względy lub sympatye dla biskupa z Meaux.

W Bossuecie—powiada on—uderza każdego piękna i surowa jednolitość charakteru, wolna od pragnień i myśli osobistych. Jego życie było poświęcone najwznioślejszym i najbardziej powszechnym sprawom, życie zawsze czynne i ruchliwe. Dusza prosta i głęboka wiara przebijały się na każdym kroku. Stała i pewna siebie wola towarzyszyła jego czynom. Nienawidził zbytniego rezonowania i kłamstwa, lecz umiłował z całej siły pracę, którą uważał jako cel życia: żyć znaczyło dla niego działać. Niektórzy wyobrażają go sobie nieugiętym, dumnym, o ramionach podniesionych, by grozić i wyklinać—co za dziwne podobieństwo ze Skargą, do którego zbliża się pod wieloma innymi także względami — w istocie zaś był on wcieleniem miłości bliźniego i miłosierdzia. Obcem mu było pochlebstwo: kochał i czcił króla, lecz nie szczędził prawdy swemu władcy. Niemniej kochał kraj ojczysty. W jego mowach i kazaniach brzmi naprzemian struna patryotyczna i religijna. Wzruszenia chrześcijanina mieszają się z uczuciami radości czy smutku obywatela. Urodził się, aby działać; i dlatego odczuwał pewien wstręt do wszystkiego, co tchnęło jałową dyalektyką. Unikał subtelnej analizy i zaciekłego rozumowania, przez które osłabiają się poczucia obowiązku, wola i sumienie.

Na usługach niepospolitego serca stał umysł wyższy, otwarty i jasny, posłuszny atoli zawsze karnej woli. Jego pragnieniem była prawda bezwzględna, którą kochał całą potęgą swej duszy i do której dążył bez wytchnienia. A tą najwyższą prawdą był dlań Bóg. Oddany Mu od najwcześniejszej młodości, nie zaznał nigdy niepokoju i zwątpienia. Mimo głębokiej wiedzy, a może właśnie przez nią, zachował pokorną, naiwną, prostą wiarę dziecka.

Jako pisarz celuje niezwykłym darem obrazowania. Jego styl harmonijny, wolny od maniery i sztuczności, odpowiada zawsze myśli. Ta zgodność między treścią a formą stwarza niezrównany czar, który dotychczas bije z pism Bossueta. Jego mowa jest czasem naiwna jak pieśń pasterska, lekka i giętka jak powiew wiosennego wiatru, lecz nieraz burzy się i pieni jak potok górski, grzmi jak fanfara wojenna, a najczęściej uderza w hymn weselny lub dzwon pogrzebowy. Wszystkie odcienia, od najgórniejszych do najprostszych, znajdą się w kazaniach Bossueta; każdym tonem władał po mistrzowsku.

Można nie zgadzać się z jego poglądami na historyę powszechną i wykazać liczne błędy, których w XVII wieku trudno się było ustrzedz, można tu i owdzie znaleźć ustęp, w którym zapał dla sprawy zadaleko uniósł polemistę, mowcę czy historyka, ale niepodobna nie uznać jego prawości i potęgi jego wymowy. Pod tym względem jeden tylko Skarga z nowożytnych kaznodziejów nie ustępuje biskupowi z Meaux, a przewyższa go stroną polityczną sejmowych kazań. Nie znajdziemy u Bossueta tak silnych i złowróżbnych słów, nie znajdziemy tej głębokiej troski o los ojczyzny, która czyni Skargę tak sympatycznym i nadaje mu wyjątkowe znaczenie w dziejach naszej literatury. Z wyjątkiem tego, podobieństwo jest nadzwyczaj uderzające. Jeżeli Mickiewicz dopatrywał się głębszej różnicy między polskim a francuskim kaznodzieją jeszcze w tem, że „u Skargi formy nie widać," że „nie można dostrzedz jak się wytaczają jego okresy[1])," to dziś, dzięki świetnemu studyum Chrzanowskiego[2]) wiemy, że „wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu" autor „Żywotów Świętych" pracował nad formą swych kazań i dbał o stronę literacką swoich utworów[3])." Według Brücknera wcale tych kazań nawet nie wygłaszał[4]), tembardziej zatem mamy do czynienia z dziełem czysto literackiem, jakiemi są także mowy Bossueta. Jeżeli więc w tym kierunku biskup z Meaux nie ustępuje naszemu kaznodziejowi, to, zdaje mi się, przewyższa go delikatnem poczuciem piękna przyrody. Cecha u niego szczególna i godna podkreślenia; nie znajdziemy jej w tym stopniu nawet u największego i, prawdę powiedziawszy, jedynie lirycznego poety XVII wieku Racine'a, którego chóry są perłami uczucia. Klasyczna literatura nie odczuwała zgoła czaru natury, którą następnie tak się entuzyazmowali romantycy. Chlubnym poniekąd wyjątkiem jest autor „Oraisons funèbres." Na wdzięk niektórych jego obrazów zwrócił szczególną uwagę Delfour[5]), zestawiając idee klasyków i romantyków. Przytaczamy stamtąd jeden przykład.

„Wstałem wśród nocy, aby widzieć Twoje niebiosa, dzieło Twych rąk, księżyc i gwiazdy, które rozsiałeś po firmamencie.

---

[1]) Literatura Słowiańska, tłóm. F. Wrotnowskiego. Poznań 1865. T. I, str. 444.

[2]) Ks. Piotra Skargi: Kazania Sejmowe wydał i przedmową poprzedził Ignacy Chrzanowski. Warszawa 1904.

[3]) Pamiętnik literacki. Lwów 1903. Rocznik II, str. 115.

[4]) Pam. lit. Rocznik III, str. 142.

[5]) Catholicisme et romantisme. Paris 1905. Introduction str. XXIII.

Cóżem, o Panie, widział, jakiż to cudowny obraz Twego światła nieskończonego. Słońce zaczęło się wynurzać, a jego przyjście zwiastowała niebieska bladość, która się roztaczała na wszystkie strony. Gwiazdy znikły, a księżyc wychylił swój sierp srebrzysty tak piękny, tak świetlany, że oczy zachwycały się jego widokiem"...

Z Bossuetem proza francuska doszła w XVII wieku do szczytu swego rozwoju, na którym jednak nie mogła się długo utrzymać." Pod piórem jego następców staje się elegancką, wypolerowaną, ale zarazem bezbarwną i pozbawioną wszelkiej siły sugestyjnej. Dopiero Chateaubriand, jak słusznie zauważył Faguet, jest kontynuatorem jego harmonijnej mowy i po stu latach odnalazł na nowo sekret użycia dźwięcznych okresów[1]).

Inny jest los George Sand. Pisano o niej do ostatnich lat wiele, nawet za wiele, mimo to brak właściwego dzieła, któreby krytycznie i bezstronnie rozpatrzyło jej wpływ na współczesne umysły i jej znaczenie w literaturze, sprawia, że pogląd na jej działalność powieściopisarską i społeczną jest ciągle jeszcze jednostronny. Mamy albo bezkrytycznych wielbicieli albo zawziętych przeciwników. Natomiast z zacietrzewieniem, godnem lepszej sprawy, zajmowano się dotychczas jej stosunkiem do Musseta. Ciekawość karygodna, niekiedy brutalna, wyciągała z nieopisaną złośliwością po raz dziesiąty i dwudziesty wszelkie szczególiki i anegdotki, tyczące się awantury weneckiej i objaśniała je po swojemu. Działo się to niby w obronie pokrzywdzonej strony, w imię prawdy i sprawiedliwości. Powstała cała literatura polemiczna, która liczy kilkadziesiąt tomów[2]), oprócz artykułów roz-

[1]) Dix-neuvième siècle. Etudes littéraires. Paris éd. XXIX str. 69.

[2]) Oto spis ważniejszych dzieł odnoszących się do tej sprawy w chronologicznym porządku:

a) poety: Confessions d'un enfant du siècle; Les Nuits; Le Merle blanc.

b) powieściopisarki: Lettres d'un voyageur; Histoire de ma vie; Elle et lui.

c) Pawła Musseta: Lui et elle.

d) Vic. de Spoelberch de Lovenjoul: La véritable histoire de „Elle et lui."

e) Pawła Mariétona: Une histoire d'amour, George Sand et Musset.

f) Caboněs'a: Cabinet secret de l'histoire.

g) Alberta Le Roy'a: George Sand et ses amis.

h) Henryka Amic'a: George Sand, mes souvenirs.

Oprócz tego obszerniej omówiono tę „sprawę" w monografiach Musseta i jego przyjaciółki.

i) Arvède Barine: Alfred de Musset.

k) Włodzimierz Karénine: George Sand (1833—1838 t. II).

rzuconych po rozmaitych czasopismach. Istniała, i dla wielu istnieje jeszcze, kwestya George Sand i Musseta. Krytycy oraz publiczność dzielą się na dwa wrogie obozy, które z cyniczną niemal otwartością uganiają się za wiadomościami z życia nieszczęśliwych kochanków. To jedna, to druga strona woła z tryumfem, że ma niezbite dowody winy przeciwnika i powierza ich ogłoszenie biegłemu prawnikowi. Raz George Sand, drugi raz Musset staje przed niekompetentnym areopagiem, jakim jest chwiejna opinia tłumów i przez usta swego krytyka zdaje sprawę z najboleśniejszych chwil swego życia. Mamy istny trybunał średniowieczny, który bierze na tortury, rozbija na atomy i obraca na wszystkie strony owe zeznania, aby z nich wydobyć ukryte znaczenie, przyczem dyalektyka sofistyczna i zręczna szermierka językowa święcą prawdziwą orgię. Niestety sprawa kończyła się zawsze fatalną kompromitacyą dla obojga kochanków. Po przeczytaniu tych kilkunastu replik i duplik oskarżycieli czy obrońców pozostaje na dnie duszy jakieś gorzkie wspomnienie i ze smutkiem pytamy się: po cóż to wszystko? Nie lepiejby lepiej ów czas poświęcić na wyświetlenie jej stanowiska w europejskiem piśmiennictwie, lub jej poglądów na różne kwestye życia?[1]) To też z pewnem zadowoleniem czyta się ostatnią książkę Maurrasa[2]), który wprawdzie zajmuje się jeszcze głównie sprawą bohaterki, ale któremu nie chodzi o sensacyjne szczegóły ani o to, który z nich zawinił lecz na przykładzie George Sand i Musseta chce wykazać zgubne skutki romantycznego pojęcia miłości.

Nas obchodzi tutaj przedewszystkiem wizerunek heroiny. Jej „szlachetna i gościnna dusza," pisze Maurras, była niezdolna do wytrwania w jednem uczuciu, które prości ludzie nazywają miłością. Obejmowało ono raczej cały świat, nie wyłączając zwierząt i martwej przyrody. George Sand szła za swoją skłonnością i miała ten nieszczególny dar oddawania się z żywiołową siłą przedmiotowi, na który padł jej wzrok. Będzie nim raz społeczeństwo, drugi raz jednostka, raz idea, drugi raz krajobraz; lecz myliłby się ten, ktoby sądził, że jej życie to ciągły huragan uniesień i namiętności. Przypatrując się bystrzej widzimy na dnie jej du-

[1]) Czyni to Karénine, wykazując głęboki wpływ George Sand'a na pisma rossyjskich autorów, jak i na społeczeństwo, ale ogółem grzeszy bezkrytycznym zapałem.

[2]) Charles Maurras: Les Amants de Venise. Paris p. 274. (Foutemoing éd.).

szy stałą równowagę. Z listów, tchnących najwyższą napozór egzaltacyą wyziera niczem niezamącone uczucie spokoju i w chwili najżywszego uniesienia, po strasznem rozstaniu się z poetą, pisze: *Któż cię będzie teraz pielęgnował i kogóż będę ja pielęgnowała?* Jej serce, za szerokie na ludzką pierś, pragnęło wszystkiego z jakąś niepohamowaną żądzą. Było w niem obok chłodu, jakieś dziwne rozkiełznanie. W jej krwi — jak wiadomo — krzyżowały się różne sfery społeczne i rasy. Pośród spowinowaconych z jej przodkami lub krewnych liczyła króla Augusta II i rodzinę burbońską, obok nich zaś ptasznika z przedmieścia Saint-Antoine i śpiewaczkę z opery. Uczennica Roussa wielbiła, jak mistrz, naturę i głosiła z entuzyastycznym zapałem szczerość i otwartość, jako najwznioślejsze cnoty. Dumna ze swego protestanckiego dziedzictwa uważała się za rodzaj wyższej istoty i starała się zachować swoją wolność osobistą i swobodę, niekrępowaną żadnymi obowiązkami— o ile nie były podyktowane przez serce i naturę. Za ideał, do którego dążyła, uważała siłę charakteru, męską stanowczość w życiu i prawdę w mowie, co jej zresztą nie uchroniło od żadnego kłamstwa i wybiegu kobiecego. W „Historyi mego życia“ George Sand wzięła za hasło, które za nią powtarzają wszystkie jej bohaterki: Charité envers les autres, dignité envers soi-même, sincérité envers Dieu. Tymczasem miłosierdzie, godność i szczerość mogą żyć zgodnie obok siebie u ludzi bez gwałtownych popędów albo u takich, których przez dłuższy czas trzymała w karbach religia lub inna siła moralna. U George Sand Bóg był raczej sługą niż zwierzchnim panem jej niespokojnego serca. To też starając się o godność, zapominała często o miłosierdziu, a chęć okazania się szczerą szkodziła jednemu i drugiemu przymiotowi. Stąd ta fatalna omyłka w jej dążeniach i pismach; ten rozdźwięk między hasłem a urzeczywistnieniem. W życiu tej kobiety nie było nic trwałego, bo jej uczucie nie mogło się stale skoncentrować na jednej rzeczy. Wszystko przechodziło i mijało, jakby w wiecznym ruchu wszechświata [1]).

Skreśliwszy w ten sposób charakter George Sand, podaje krytyk z kolei sylwetkę Musseta i weneckiego lekarza. Z subtelną przenikliwością i dosadną werwą rozstrząsa pytanie: czy poeta widział swoją kochankę w objęciach Pagella, czy też była to tylko

[1]) Dans la vie d'une femme ainsi faite, les hommes devaient se suivre à peu près comme ils se succèdent dans le mouvement du Grand Tout. Ephémères, instants, secondes fugitives, bulles de l'écume infinie. Op. cit. str. 19.

halucynacya? i dochodzi do niespodziewanego wniosku, że bohaterka już wówczas, podczas choroby poety, oddawała się czułościom Włocha, ale Musset tego nie mógł widzieć w żaden sposób, bo ich oddzielał parawan, a George była zawsze ostrożna. Stąd tłómaczy się jej uporczywe zaprzeczanie pogłoskom i śmiałość, z jaką odpierała zarzuty kochanka. U poety zaś czuła imaginacya, podrażniona nieznacznemi podejrzeniami, snuła podczas choroby straszne obrazy z taką nieprzepartą siłą i wyrazistością, że później umysł jego, zdaje się, nigdy nie uzyskał pewności, czy był ofiarą złudzenia czy wyrafinowanej intrygi. Poeta naprzemian złorzeczył, przebaczał, unosił się gniewiem, płonął zemstą, przepraszał, lecz ostatecznie nie wyszedł po za sferę domysłów i mniej lub więcej trafnych przypuszczeń. W czterech rozdziałach, odpowiadających czterem aktom dramatu, a zatytułowanych właśnie ad hoc[1]), przechodzi Maurras wszystkie etapy tej miłości i z nieubłaganą konsekwencyą rozwija przed oczyma czytelnika przebieg psychicznego procesu w umyśle poety. Konkluzya, do której dochodzi krytyk, jest słuszna i pozostanie nią, choć później ogłoszone listy[2]) — będzie o nich mowa na innem miejscu—okazały fałszywość wielu twierdzeń i oczyściły raz na zawsze George Sand od pierwotnego zarzutu frymarczenia swoją łaską pod bokiem chorego przyjaciela.

Pozostaje bowiem prawdą to, że miłość, jak ją pojmowali Musset i George Sand, zatruła temu poecie życie i że już nigdy nie powrócił do równowagi umysłowej. Pozostaje prawdą to, że mu skrzywiła charakter, spaczyła serce i stała się złą gwiazdą na jego drodze poetycznej. Zawód napełnił Musseta goryczą, przejął go pesymizmem i okrył jego umysł mroczną melancholią. Lecz nie mniejszą winę ponosi ówczesny rozstrój umysłów. Był to we Francyi czas, zarażony do głębi niemiecką uczuciowością i przewrotnemi hasłami okresu „burzy i wrzenia.“ Dziecię wieku, jak mówiono podówczas, pokolenie to nie przestało nadużywać serca i jego quasi-przywilejów. I nasi dwaj bohaterowie głosili prawa wolnej, dumnej, niezależnej miłości. Przekonali się jednak niebawem, jak bolesnym jest powrót do pierwotnego stanu. Przekonali się, jak ta wielbiona natura jest bardziej złośliwa i okrutna w swej zemście niż społeczeństwo. Poeta przez swoje fałszywe pojęcia był z góry skazany na taki los, który byłby go spotkał prędzej czy później. Rozdźwięk między idealną miłością, głoszoną w gór-

[1]) Personnages, Tragédie, Comédie, Vérité et Poésie.

[2]) Correspondance de G. Sand. Bruxelles. 04 pub. p. Felix Decori (Demaród).

nych strefach natchnienia, a rzeczywistym obrazem, który się spotykało, był zanadto jaskrawy, aby pozostał bez fatalnych skutków. Pod ich wpływem zwątpił poeta w istnienie prawdziwego uczucia. Pogrążając się coraz niżej, tracił energię, wolę, życie, a równocześnie przechodził niesłychane męki rozpaczy i zawiedzionej dumy.

Tak przedstawia się zarys tej książki, którą krytyk kończy pięknem i pouczającem porównaniem. Miłość uważali starożytni mędrcy nie za boga lecz za demona zarazem dobrego i złego. Dzisiejsze doświadczenie uczy nas, że miłość nie jest regułą życia, lecz jedną z jego potrzeb. Powinno się więc ją traktować, jak samo życie, to jest jako zależną od otoczenia, powinno się ją podporządkować istniejącym prawom, które uświęciła religia i moralność. Miłość przenika wszechświat, lecz poruszając „słońce i inne gwiazdy,“ nie może sama ani ich zniszczyć ani odbudować nawet w samotnych marzeniach dwojga zakochanych serc. Romantycy, głosząc, że miłość jest głębokim i mistycznym związkiem dusz, wyższym ponad wszelkie względy, że należy się jej oddawać z całą namiętnością, bo ona stanowi cel życia, że należy jej szukać i upajać się nią, okazali dowodnie, że nie pojęli wcale prawdziwej jej natury. Goniąc wszędzie za miłością, żywiąc się melancholią i rozpaczą, poniżyli raczej, niż wywyższyli obraz starożytnego demona. Potomność osądzi ich może jeszcze surowiej. Oto, powie ona, ludzie, którzy byli dotknięci szałem kochania. Lecz cóż to za miłość, która szuka sama siebie, a napełnia bólem, męką, udręczeniem? Czy to miłość? Czy oni kochali?...

Omówiłem powyższą książkę obszernie, gdyż uwagi w niej zawarte zdawały mi się bardzo na czasie. Choroba wieku — „le mal du siècle,“ jak ją trafnie nazywają Francuzi — podniosła pod koniec ubiegłego stulecia znowu głowę. Jej fatalne tchnienie wieje wprawdzie z całej literatury francuskiej dziewiętnastego wieku, lecz w drugiej jego połowie po ustąpieniu romantyzmu, skurczyła się i przycichła nieśmiało, aby w ostatniem dziesięcioleciu wybuchnąć ze zdwojoną energią i fałszywszemi jeszcze pojęciami. Poeci i powieściopisarze unikają w swoich utworach tego, co silne, zdrowe i naturalne, a lubują się w objawach wyjątkowych, anormalnych, w uczuciach wynaturzonych. Rzadko który z nich postępuje w myśl pięknych i podniosłych słów ukraińskiego wieszcza:

Lecę — gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę;
Piękność, miłość, czucie, wiarę
Na ogniwa spajam złote.

Z „kwiatów życia“ należy zatem „spajać złote ogniwa,“ a nie z jego brudów.

Niemniej uderzającą jest strona ideowa i pojęcie sztuki. „Artystów słowa“ nie obchodzi społeczeństwo i jego zadania. Ktoby się tam troszczył o „tłum filistrów“! lecz to nie przeszkadza im jęczeć i uskarżać się ciągle na obojętność. Własne „ja“ stanowi alfę i omegę ich troski, którem się bezustannie zajmują i upajają. Z zachwytem głoszą nam swe wrażenia, swój ból, swoje majaczenia i dziwią się, że my tego nie rozumiemy. Rozumiemy może lepiej, niż to oni przypuszczają, tylko, że nas strasznie mało obchodzi to kwilenie i rozpamiętywanie urojonych boleści. To też i teraz jeszcze warto przytoczyć cięte lecz zgoła trafne wiersze Morawskiego, które nie utraciły nic ze swej aktualności, jako wyraz dzisiejszych i niedzisiejszych zapatrywań na pewne prądy literackie:

Ledwie że się z Infimy, a nawet z pieluszek
Jakiś tam romantyczny wyrwie Leniuszek,
Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi,
Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi,
Z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha,
Je dobrze, pije lepiej, a do grobu wzdycha.

Powyższe słowa dadzą się także odnieść do współczesnych dekadentów-epigonów, u których szczególnie zwyrodnieniu uległ pierwiast zmysłowy. Z jakiemś nadzwyczajnem upragnieniem, dającem się chyba wytłómaczyć anomalią stanu umysłowego, fantazya wielu pisarzy gmera w zbiorniku, nie zawsze czystym ludzkich popędów i namiętności. Miłość, odmalowana w jakimś wizyonerskim szale, w którym ciało tarza się w konwulsyjnych drganiach, przestaje być indywidualnem uczuciem a zamienia się w „kosmiczną potęgę“ niszczenia. Wściekła, bakchicznym zgrzytem przepojona erotomania wieje z wielu utworów tej epoki, które zresztą pod innymi względami nie są pozbawione pewnej wartości. Taka nadwrażliwość zmysłowa cechuje ów przeczulony i do najwyższego stopnia chorobliwy romans d'Annunzia, toż „nagą duszę“ Przybyszewskiego, który teoryę oddziaływania dwojga płci na siebie doprowadza do jakiegoś mistycznego absurdum.

Przeciwko temu znarłwychwstającemu upiorowi zwraca się książka Maurrasa. „Wielkim obowiązkiem — pisze on w przedmowie do swego studyum — naszego polityka i myśliciela jest zwalczać to, co zostało lub odradza się z popiołów chorobliwego romantyzmu.“ *Lecz czyżby to wyłącznie francuskie społeczeństwo wy-*

magało takiej propagandy lub byłobyż to obowiązkiem tylko nadskwańskiego myśliciela przypomnieć: caveant consules ne quid detrimenti respublika capiat.

Paryż ma rok rocznie kilka romansów, które budzą powszechny rozgłos i rozchodzą się w olbrzymiej liczbie egzemplarzy, choć, prawdę powiedziawszy, rzadko kiedy są one prawdziwie cennym dobytkiem w literaturze. Zawdzięczając swój popyt schlebianiu chwilowych namiętności, swej treści erotycznej lub aktualnej, ulegają prędko słusznemu zapomnieniu. Poprzedniego roku jedna tylko książka była wydarzeniem dnia: „La Maternelle“[1]) młodego autora, którego dwa pierwsze utwory nie zwróciły na siebie wielkiej uwagi[2]). Choć oficyalna krytyka przyjęła i tym razem autora bez zbytnich pochwał, publiczność entuzyazmowała się nowem dziełem, które w krótkim czasie rozeszło się w kilkudziesięciu wydaniach. Co dziwniejsze, mamy tutaj do czynienia z utworem nie obliczonym na wywołanie sensacyi i żadna reklama nie przyszła z pomocą tej książce do osiągnięcia rozgłosu. Skromna, jak tytuł wskazuje, nie przemawia ona ani do politycznych namiętności, jątrzących w obecnej chwili nieszczęsny kraj francuski, ani nie łechce rozpustnej fantazyi Paryżan swywolnymi obrazami zmysłowej rozkoszy. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej prostego. Ni to romans, ni powieść społeczna, ni studyum psychologiczne. Gdyby nie początkowe stronice, możnaby tę książkę uważać za szereg obserwacyj nad życiem dzieci w szkole. Krytyka niektórych urządzeń szkolnych nie gwałtowna, nie złośliwa, a czasem zadziwiająco trafna; wskazanie licznych wad w sposobie edukacyi na najniższym stopniu nauki — oto co wypełnia ten tom o 300 stronicach, który się czyta mimo to z niekłamanym zachwytem i z wzrastającą ciągle ciekawością. Bo też autor nie podaje nam tych uwag wprost, lecz przepuszcza je przez pryzmat niezwykle uroczy i poetyczny, jakim jest dusza młodej dziewczyny. Jej przeszłość może nas zainteresować, lecz pozwólmy, aby sama za siebie mówiła; gdyż w jej opowiadaniu, w jej języku leży główny czar książki: Je fus fiancée à vingt-trois ans. Il était temps.

Par une grâce, dit-on, assez rare, le surmenage des études classiques n'avait rien détraqué en moi, la longue attente virginale n'avait pas perverti mon imagination. Elevée sans mère de-

[1]) Léon Frapié. La Maternelle. Paris p. 304. Librairie universelle.

[2]) L'Institutrice de Province, Marcelin Gayard.

puis l'âge de douze ans, j'étais très simple, très saine, très „nature“: de visage coloré, de caractère gai, de gestes vifs. Mais enfin, il était temps que la certitude d'un prochain mariage vînt secourir la belle patience de mon tempérament.

Jej narzeczony o rycerskim profilu „d'un Louis XIII,“ miał usposobienie poetyczne i najpospolitsze okoliczności umiał odziać w górnolotną szatę natchnienia, co budziło u niej również egzaltacyę. Niestety, zbyt rychło prysł cały ten krąg czarodziejski. Utrata majątku i śmierć ojca pociągnęły za sobą ucieczkę młodego człowieka, którego poezya nie przetrwała ruiny finansowej. Los sieroty nie był zazdrości godny. Opuszczona nagle przez wszystkich, dostaje się pod opiekę wuja, spensyonowanego oficera. Sam przeciwnik emancypacyi kobiet, ma tylko gorzkie i szydercze słowa dla dziewczyny, która odebrała wyższą edukacyę (maturę i licencyat) i rwie się do życia, do działania, do pracy. Stara się o miejsce nauczycielki w szkole, lecz do tego trzeba mieć inne egzamina; ubiega się o niższą posadę, lecz znowu warunkiem dopuszczenia do niej jest nie być uczoną (a peu près illetrée). Biedna sierota jest gotowa podrzeć, spalić dyplomy, zapomnieć o świetnych marzeniach przeszłości, byle nie być nikomu ciężarem, byle wieść życie czynne; lecz wuj natrząsa się z niej. Wiedzy nabytej nie można zniszczyć, ona ryje niezatarte piętno na czole, w oczach. Przebija się na każdym kroku, w mówieniu, w wyrażeniach i w ruchach. Rezolutna dziewczyna nie dała za wygrane. Po długich staraniach udało jej się otrzymać posadę dla dzieci, oczywiście nie nauczycielki — do tego nie miała przepisanej kwalifikacyi — lecz dozorczyni, lub powiedzmy po prostu, służącej. Zaczyna się dla niej nowe życie wśród twardej pracy i pospolitych zajęć, lecz urozmaica je sobie od czasu do czasu, w nieregularnych zresztą odstępach, pisaniem dziennika, który daje niezwykle zajmujący przegląd duszy samej bohaterki i drobiazgowy opis życia dziecięcego w szkole, nazywanej u nas freblowską. Ta analiza duszy jest niezrównana. Powieściopisarze obierają zwykle do takiego studyum psychologicznego charaktery bardziej złożone, dusze więcej przerafinowane, co czyni analizę trudniejszą, zapewne, lecz zarazem zapobiega monotonii. Utrzymanie w napięciu czytelnika, kiedy się kreśli obraz tak mało bogatej indywidualności, jak nasza bohaterka, wymagało niezwykłego talentu. I tutaj zatryumfował dar pisania Frapiégo. Opowiadanie jego bardzo barwne, miejscami rzewne i smętne, przemawia do naszej wyobraźni wszystkimi tonami młodego serca. Nie nudzi nigdzie, a wzrusza często — oto w najogólniejszych sło-

wach charakterystyka utworu. Byłoby bezużytecznie streścić go, bo talent autora polega właśnie na umiejętnem pochwyceniu najdrobniejszych objawów dziecięcego życia, jego odrębnej psychologii i mowy, jego nawyknień i pragnień, i na subtelnem odtworzeniu tego obrazu, o którym żadne streszczenie nie może dać trafnego pojęcia. Na szarem tle murów szkolnych rozgrywa się dramat w duszy bohaterki. Dramat nie miłosny, o wcale nie, autor wykluczył ten pierwiastek ze swego „romansu“ — ale walka między chęcią opuszczenia szkoły i założenia ogniska rodzinnego, a troską o dzieci, dla których była najlepszą matką. Spowiedzi bohaterki mają w sobie coś wzniosłego. Jej cicha walka przejmuje nas do głębi, a obraz, smutny jak jesienna pora, która wypełnia ramy utworu, pozostawia niezatarte wrażenie na umyśle czytelnika. Przytem, z jaką nieubłaganą wyrazistością umiał młody powieściopisarz namalować moralną fizyonomię przedmieścia paryskiego, zamieszkałego przez najbiedniejszą ludność. Uczynił to w sposób najnaturalniejszy. Charakter rodziców ma swoje odbicie w zachowaniu się i w wyrażeniach dzieci; szkoła ponadto jest w ciągłej styczności z nimi. Stąd przesuwa się przed naszemi oczyma kilkanaście postaci. Widzimy je z boku, en profil, lecz kilka rysów, rzuconych niby mimochodem, doskonale nam odzwierciedla ich duchowe jestestwo. Wszędzie uderza nas ten szczególny dar obserwacyi i ta władza plastycznego przedstawienia. Zarówno starsze osoby, jak i dzieci, nie zlewają się w jakiś szary tłum, lub bezładną masę, w której wszystkie indywidualne cechy nikną bez śladu. Owszem, autor użyczył każdemu tyle odrębnej fizyonomii, że niemal każde dziecię przedstawia nam się inaczej, każde ma swoją właściwą naturę. I nie wiedzieć, co bardziej podziwiać w tej szczególnej powieści: czy proste słowa, czy znajomość psychiki dziecięcej, czy mistrzowską analizę duszy bohaterki. W tem wszystkiem objawia się talent samorodny, po którym wolno się spodziewać wiele, a w każdym razie rzeczy odmiennych niż zużyty trochę romans psychologiczny Bourgeta, lub pesymistyczny okrzyk Maupassanta czy Roda.

Do najmłodszych powieściopisarzy należy również Lichtenberger, którego imię po raz pierwszy znalazło się na szpaltach wielu czasopism. Jego powieść[1]) obudziła powszechne zainteresowanie i zwróciła na niego uwagę krytyków. Pod względem barwności krajobrazów i bogactwa kolorów, może śmiało rywalizować

[1]) Les Centaures. Paris p. 324. (Calman-Lévy éd.).

z arcydziełami tego rodzaju. Akcya odbywa się w zamierzchłej przeszłości, kiedy nad ziemią panowali Centaurzy, „naród o sześciu członkach,“ niezmiernie silny, waleczny lecz sprawiedliwy i miłujący pokój. Związek pokrewieństwa łączył go z faunami, zamieszkującymi lasy, gaje, dąbrowy, oraz z trytonami, którzy wzięli w swe posiadanie wodne przestrzenie. To potrójne pokolenie wywodziło swój początek od Boga-Słońca. Pod jego rządami zapanował pokój na ziemi, a kara śmierci groziła temu, ktoby przelał krew zwierzęcia. Drapieżcom wolno było żywić się tylko padliną. Wszystko, co żyło, poddało się temu prawu, lub ginęło, wytępione przez synów Słońca. Jak daleko sięgała ich władza, okolica stawała się rajem. Niegdyś to panowanie obejmowało większe obszary, lecz zimna i lody zmusiły Centaurów do wędrówki ku południowemu zachodowi. Dążyli oni zawsze za słońcem, które było dla nich ożywczem źródłem. Ziemie, opuszczone przez tych mytycznych bohaterów, zajmowały natychmiast istoty z natury słabe, o bladem ciele, nie pokrytem sierścią, któraby go broniła przed zabójczem zimnem, lecz zato o przedsiębiorczym umyśle, istoty chytre i podstępne. Są to, jak łatwo się domyślić, nasi praszczurowie. Centaurzy nadali im charakterystyczną nazwę: les écorchés. Z tym przeklętym rodem żyją synowie słońca w ustawicznej bezpardonowej walce, gdyż oni jedni odrzucili powszechne prawo pokoju. Oto niedawno ludzie zaskoczyli fauna i ubili go na miejscu. Jego krew woła pomsty. Centaurzy napadają z kolei na osady nieprzyjaciół i obracają go w perzynę. Wśród głuchych grzmotów przedpotopowej burzy i ryków wichru naród o sześciu członkach sieje straszne zniszczenie. Krwawe błyskawice oświetlają pobojowisko, z którego uchodzi tylko jeden człowiek. Widziała go córka Klévoraka, wodza Centaurów, i odtąd jej sercem włada nieznane dotychczas uczucie. Litość, żal, niepokój, miłość wstrząsają naprzemian duszą bohaterki. Obcym jej się stał własny naród.

Upłynęło wiele lat. Ludzie, ujarzmiwszy konia, zjawili się w niezliczonej liczbie, zbrojni w łuki i miecze. Walka na życie i śmierć zawrzała między tymi rodami, a skończyła się pogromem Centaurów. Tryumfujący wódz — a jest nim właśnie ów ocalony człowiek—kroczy na czele zwycięskich szeregów i podchodzi coraz bliżej, gdzie stał stary król z córką. Ona, drżąca, lękliwa, miotana podwójnem uczuciem: boleści i podziwu, lęku i miłości, bo oto poznała swego ukochanego. I on ją poznał, spieszy do niej, lecz zamiast objąć w miłosnym uścisku, zarzuca jej pętlicę na szyję. Król, oszalały pod wpływem tej hańby, wyrywa się otaczającym go ludziom, w kilku skokach jest przy dumnym zwy-

ciężcy, podnosi maczugę i za chwilę wódz będzie wykreślony z liczby żyjących. Ale dziewica uprzedziła nieuchronny cios, maczuga ojcowska spadając zmiażdżyła jej głowę. Z wyrazem „Naram“ jej dusza ulatuje w przestworze. W niemym bólu osiwiały król patrzy na śmierć córki. Lecz i Naram nie uszedł przeznaczenia. Stary Centaur porywa go w swe potężne ramiona i jednem uderzeniem pięści rozbija mu czerep, poczem w niedościgłym pośpiechu przybywa nad kipiące morze i tam, zanosząc modły do zachodzącego słońca, skacze w burzliwe odmęty. Płynie wartko ku zachodowi, aby połączyć się z prabytem—słońcem. „Na spotkanie siwego wodza gwiazda ojcowska zstępuje na niezmierne wody i w ogromnym blasku wyciąga do niego swe ramiona. Całe niebo okrywa się krwawą łuną, ognista atmosfera otacza Centaura, bezimienne głosy pieszczą jego uszy, boskie tchnienie owiewa jego istotę. Przed nim, dokąd wzrok sięga, od horyzontu do zenitu, wszystko jaśnieje złotem, purpurą, światłem. Gwiazda zapełnia niebo, zapełnia morze, otacza ostatniego potomka, obejmuje go i ciągnie za sobą. Wśród ogromnej łuny powszechnego pożaru Klévorak czuje uchodzącą duszę, podnosi jeszcze raz ramiona i z okrzykiem na cześć praojca zatapia się w Słońcu. [1])

Poznawszy tedy nastrój i treść książki, starajmy się wydobyć z pod fantastycznych osłonek istotę rzeczy, myśl i ideę autora. Pierwszy rzut oka wystarcza, abyśmy poznali, że mamy tutaj do czynienia z utopią. Uwydatniła się ona może słabiej w powyższem streszczeniu, niż występuje w samej książce, lecz nie ulega wątpliwości, że o nią chodziło autorowi. Ludzie, według niego, to — niszczyciele, ciemiężcy, okrutnicy. Gdzie ich niema, panuje raj, za nimi kroczy widmo śmierci i zniszczenia. Opis spokojnej krainy pod rządami Centaurów, ich obyczajów i zapatrywań wypełnia książkę. Intryga miłosna jest tylko pozorem, aby tem silniej uwydatniły się szlachetne uczucia i prostota owych mieszkańców, a przewrotność i chytrość ludzi. Taka jest tendencya książki, ale to nie wszystko.

Od „Respubliki“ Platona, „Utopii“ Morusa, urojonego państwa w „Telemaku,“ do „Przypadków Doświadczyńskiego,“ romansów socyalnych XIX wieku i fantastycznych marzeń o przyszłości, niezliczone mnóstwo dydaktycznych romansów przewija się w literaturze powszechnej. Ich celem jest przeciwstawić zepsutemu społeczeństwu inne, żyjące w patryarchalnych stosunkach, szczęśliwe,

[1]) Op. cit. str. 324.

oddane naturze i użytecznym zajęciom. Europa jest zła, udamy się na wyspę Nipu po wzory. Nasze społeczeństwo porzuciło dawne obyczaje, popłyniemy do Liliputów, którzy je zachowali w nienagannej czystości. Lichtenberger idzie dalej. U niego cały ród ludzki od swych początków jest zły, podstępny, rozbójniczy. Chytrością narzucał swe jarzmo otaczającym go istotom, tępiąc wszystko, co mu nie chciało uledz dobrowolnie. Ironia losu! ludzkie uczucia znajdują się tylko u jego przeciwników, on jeden jest pozbawiony wszelkich szlachetnych porywów. To też książkę młodego autora czyta się z wrastającem zainteresowaniem, lecz odkłada się z jakiemś smutnem pytaniem, które przygnębia człowieka. Nie zdajemy sobie może odrazu sprawy z tego przykrego wrażenia, jakie na nas wywarła lektura na pozór niewinnego utworu, lecz ostatecznie dochodzimy do świadomości, że to natura nasza instynktownie się oburza. Zdaje nam się, że jakiś drogi przedmiot uległ zhańbieniu, że napiętnowano kogoś, z którym łączy nas blizkie pokrewieństwo. Podobnie jak czytając „Lillę Wenedę“ oburzamy się na myśl, że okrutni Lechici mają być praszczurami narodu polskiego, a nasze serce zwraca się do nieszczęśliwych Wenedów, tak tutaj obraz ludzkości, odmalowany w najczarniejszych barwach, przygnębia swoją ohydą wobec niby spokojnych i idealnych istot otoczenia. Sympatya odwraca się zawsze od ciemiężcy, a jest nim tutaj cały ród ludzki. Stąd ten niepokój, który chwyta naszą duszę, to dręczące pytanie, które nam się ciśnie na usta: czy ludzkość od swych początków była naprawdę taką w stosunku do swego środowiska. Wprawdzie każdy wie, że człowiek pierwotny podobniejszy był do dzikiego zwierza i Lichtenberger nie omieszkałby się na te znane fakta powołać, gdyby mu zarzucono przesadę, lecz wiadoma to rzecz, że tło nadaje dopiero charakterystyczne zabarwienie. Człowiek otoczony groźną przyrodą, która czyha na jego zgubę, sam bezbronny, słaby i niedołężny wobec olbrzymich potworów, zaludniających ówczesną ziemię, nie dziw, że chwyta się podstępu i broni się chytrością. Budzi on raczej litość i troskę, z zaparciem śledzimy te powolne narodziny historycznego człowieka, który ujarzmia surowe siły natury. Lecz ten sam człowiek wobec idealnych istot, które wymarzyła bujna fantazya powieściopisarza, wydaje nam się z kolei straszliwym potworem. Przeraża nas ten ponury, niczem zresztą nieuzasadniony pesymizm i ta krwawa walka o byt, w której okrucieństwo i chytrość odnoszą zwycięstwo. A z jaką siłą umiał autor oddać smutek ginącego narodu! Te ostatnie chwile nieszczęśliwych Centaurów i ich braci faunów, odmalował on w tak pa-

tetycznych wyrazach, że choć świadomi jesteśmy, iż to nawskroś wymyślone postacie, niesłychany żal napełnia nam duszę. Znowu mimo woli przypomina się tragedya Słowackiego, gdzie Wenedzi w rozpaczliwej rezygnacyi spieszą w objęcie śmierci. Jeden i drugi utwór przenika ten najwyższy tragizm, nie jednostki, nie rodziny, ale tragizm całego pokolenia, skazanego na nieuniknioną zagładę. Potrzeba rzeczywistego talentu na oddanie tego nastroju, Lichtenberger okazał go w całej pełni. Pomijając tedy pesymistyczną tendencyę, nie możemy nie podziwiać jego powieści. Czyta się ją zrazu niby rozkoszną sielankę na tle bujnej przyrody. Za panoramę służą dziewicze lasy, słoneczne wzgórza, urocza toń błękitnego morza i modre fale jezior. Autor zdumiewa bogactwem wyobraźni, barwnością opisów i złocistym kolorytem krajobrazów. Jakieś żywiołowe upajanie się naturą cechuje go na każdej stronicy i z każdego obrazu bije czar niewysłowionego piękna w swej pogańskiej czystości. Pod tchnieniem czarodziejskiej różdżki pisarza zmartwychwstał jeszcze raz zamierzchły świat wyobraźni greckiej. I rzeczywiście, Grek starożytny nie inaczej musiał sobie wyobrażać swoich satyrów i trytonów, swoje dryady i syreny. U naszego pisarza owe postacie nie są symbolami, jak w klasycznej lub raczej pseudo-klasycznej poezyi, to nie są martwe figury, ozdoby retoryczne, manekiny, poruszające się z woli autora, lecz działające osoby, zaklęte w czarodziejskie kształty pogańskiego świata. Przytem co za tło niezrównane. Opisowy talent Lichtenberga święci tryumfy, jego delikatne poczucie barwy i cieniowania będzie zachwycało tego, kto się kocha w krajobrazie i formalnem pięknie rytmicznej prozy. Weźmy pierwszy lepszy obraz, choćby początek utworu: Na lśniącem niebie iskrzy się zachodząca gwiazda. Przez zieloną kopułę olbrzymich dębów i buków przedzierają się skośne promienie. Pod wpływem ich ciepła zaczyna się gorączkowe życie. Szare i brunatne pnie oblewają się światłem. Mchy i paprocie błyszczą, otoczone kwiatami różowymi, żółtymi, niebieskimi. Od czasu do czasu fiołki rozlewają balsamiczny zapach. Wśród gałęzi, które się tulą w miłosnym uścisku, ptaki świergocą. Krzewy trzeszczą pod stopami leśnego zwierza, który, roztrącając krzaki i ciernie wciąga w siebie chciwie świeży powiew...

Takich obrazków pełno w powieści. Niemniej barwne są opisy zwyczajów dziwnego narodu Centaurów. Kiedy nam autor przedstawia wojenną obradę czy ceremonię pogrzebową, mamy wrażenie, że je widzimy przed sobą. Wyprawa przez odległe morza, lęk i drżenie narodu przed czemś nieznanem, są odtworzone

z niezwykłą plastycznością. Czasem zdaje nam się, że czytamy jakiś poetyczny fragment Oddysei lub Illiady, a czasem, że to smętna pieśń północnego barda. Możemy tedy z ufnością oczekiwać od młodego pisarza utworów jeszcze większej wartości, w których wyjaśni się jego punkt widzenia, jego zapatrywania na życie i jego filozofia, gdyż byłoby niesłusznem sądzić go według dzieła, będącego nawpół poematem, korzystającego ſzatem z praw poetyckiej licencyi. Możemy natomiast już teraz powitać w nim świetnego stylistę, który zajmie może godne miejsce obok pokrewnych mu umysłów, obok mistrzów dźwięcznej prozy francuskiej Chateaubrianda i Flauberta [1]).

Z fantastycznych mroków odległej przeszłości, gdzie igra nieokiełznana fantazya rozkochanego w starożytności pisarza, czas wrócić do rzeczywistego świata teraźniejszości. Rozpęd życia i gorączkowa działalność dzisiejszego pokolenia nie nadaje się do rozległych a epickich obrazów. To też nie w tem celuje obecny romans. Napróżnobyśmy także szukali wybitnego dzieła w dziedzinie historycznej powieści. Jego główna siła leży gdzieindziej: w subtelnej analizie ludzkiej duszy, oraz w bystrej obserwacyi

[1]) Aby dać wyobrażenie o języku autora, o jego giętkości i poetycznym nastroju, który się słabo odzwierciadla w tłomaczeniu, zamieszczam dwa wyjątki. C'est la joie puissante du printemps qui mûrit. *Au ciel radieux*, l'astre décline. *Le dôme vert* des chênes géants et des grands hêtres se transperce de rayons obliques. A leur flamme la vie s'exalte. *Les troncs gris et bruns* s'illuminent. *Les mousses et les fougères reluisent, semées de rose, de jaune et de bleu*, au hasard des fleurettes éparses. Par bouffées, *les violettes embaument*. Dans les feuillages qui s'embrassent, les oiseaux pépient. Les fourrés craquent: écartant les ronciers et les ajoncs, les quadrupèdes hument la fraicheur qui descend. Un grouillement de vie se hâte dans les sous-bois... Large comme un fleuve, *une coulée de soleil trouе la forêt*... Sur le sol engraissé de cendres, fertilisé par la lumière et l'infiltration des eaux, *la splendeur* des plantes nourricières *s'est épanouie*.

Albo zgoła odmienny obraz:

A la rencontre du vieux chef, l'astre paternel descend sur les eaux et, dans un flamboiement immense, lui tend ses bras de lumière. Tout le ciel brûle; une atmosphère de feu baigne le centaure, des voix indicibles bourdonnent à ses oreilles; des effluves divins l'enveloppent. Devant lui, à droite, à gauche, de l'horizon au zénith, tout est or, tout est pourpre, tout est lumière. L'astre emplit le ciel, emplit la mer, s'empare du vieux centaure, le recueille, le saisit, l'entraine avec lui. Le terme du voyage est atteint. Dans l'embrasement universel Klévorak le chef sent son âme se dissoudre. Il lève les bras avec un grand cri et s'engloutit dans le Soleil. (324).

drobnych wad i braków społeczeństwa. W pierwszym rodzaju górował do niedawna Bourget, mistrzem drugiego rodzaju — jest Anatole France. Wszelkie słabostki i śmieszne strony współczesnego społeczeństwa: czy to rozpanoszonej burżuazyi, czy ambitnego kleru, czy zawistnego militaryzmu, czy wreszcie bezrozumnej i pedantycznej biurokracyi, wszystko to stanowi niewyczerpane pole pomysłów, z których każdy uderza swoją oryginalnością i wdziękiem. Nieubłaganym biczem wykwintnego szyderstwa smaga Anatole France małostkowość i filisterstwo swoich rodaków, lecz w gruncie rzeczy nie jest satyrykiem-moralistą. Nie chodzi mu bowiem o poprawę. Nie wierzy zresztą w jej możliwość. Jego sceptycyzm nie pozwala mu oburzać się na nikczemność, wystawić ją pod pręgierz i napiętnować dosadnie. Zaledwie raczy ją ukazać pod lekką przykrywką attyckiego sarkazmu. Zanadto jest czuły na piękno i harmonię, ażeby się nie powstrzymywać od bezwzględnego okrzyku oburzenia, któryby raził jego estetyczne ucho. Nie daje on w swych utworach, ściśle wziąwszy, wiernego obrazu, lecz raczej odbicie, podniesione do wysokości idealnej karykatury. Anatole France mimo niezaprzeczonego talentu spostrzegawczego, nie jest głębokim obserwatorem, nie umie się skupić, lecz przeskakuje z jednego przedmiotu na drugi z wprawą wytrawnego dyalektyka. Jego cztery powieści, złączone w jedną całość pod tytułem „Historyi współczesnej“ [1]), — to bogata encyklopedya ciętych uwag, bystrych spostrzeżeń, lecz nie galerya typów, jaką jest „Komedya ludzka“ Balzaka, nie bezstronne malowidło epoki. Nie możemy się atoli dłużej rozwodzić nad tym cyklem, gdyż jego ogłoszenie przypada na lata 1893—1901. W ostatnim czasie wydał France zbiór nowel i opowiadań [2]), z których pierwsza powiastka była już kilkakrotnie drukowana [3]). W kilku późniejszych zaś widać pewien wysiłek. Brak im świeżości i polotu. Nie mówię oczywiście o Crainquebille, który jest małem arcydziełem artystycznej kompozycyi i subtelnej ironii; lecz w wielu innych czuć, że autor bądź porusza się nie na swoim terenie, bądź sili się na koncept. Do takich należy „Kamień rzeź-

[1]) „Histoire contemporaine“ która się składa z następujących czterech powieści: a) L'orme du mail; b) Le Mannequin d'osier; c) L'Anneau d'améthyste; d) Monsieur Bergeret à Paris.

[2]) Crainquebille, Putois, Riquet et plusieurs autres récits profitables. Paris. (Calmann-Lévy éd.).

[3]) Pod tytułem „Affaire Crainquebille.“

biony.“ Anatole France opowiada o magicznej własności tego kamienia, który unieszczęśliwiał właściciela, czyniąc go niewolnikiem zwiędłych wdzięków starej rozpustnicy. Coś z pierścienia Nibelungów, jakieś słabe wspomnienie naszyjnika królowej Antoniny—oto demoniczna strona nieudałej powiastki.

Do tegoż rodzaju zaliczyć należy inne opowiadanie, zatytułowane „Adryanna Buquet“ [1]), w którem autor głosi teoryę jasnowidzenia i podwójnego wzroku. Bohaterka widzi nagle w lustrze obok siebie postać nieobecnego przyjaciela. Zaniepokojona spieszy do niego i dowiaduje się, że właśnie owej chwili zakończył życie wystrzałem rewolwerowym. Na tem polu górował—jak wiadomo—Poe, który z niezwykłą mocą umiał przelać na papier owe wizye duchowe, przerażające swoją plastyką i sugiestyjną siłą, lecz talent France'a zgoła nie odpowiada temu zadaniu. Z poza utworu wyziera zawsze drwiący półuśmiech sceptyka.

Oceniając najnowszy utwór Roda, jeden ze znakomitszych krytyków nadsekwańskiej stolicy [2]) zauważył, że romans sili się odrodzić za wszelką cenę, będąc blizkim zgonu. Stąd tłómaczy się ten zalew socyalnych romansów. Sąd tylko do połowy trafny. Nie sądzę, ażeby tak źle było z romansem, jak również nie przypuszczam, ażeby miał kiedy umrzeć. Dzięki swej gętkiej formie dostraja się on do każdorazowego kierunku i szybkim krokiem dąży za modą lub ją nawet wyprzedza. Żyjemy w okresie zaciętej walki klas, w której z jednej strony niezrozumienie postępu i ducha czasu, a z drugiej zaciekłość i zaślepienie stwarzają szczególne sytuacye. Ustawodawstwo socyalne w wielu krajach dopiero w zarodku, w innych jeszcze nie rozpoczęte, nie może zapobiedz wyzyskowi i nadużyciom. Te kwestye społeczne i te konflikty mające w sobie element dramatyczny, a nieraz bardzo tragiczny, nie dziw, że oddawna nęciły wyobraźnię dramaturgów i powieściopisarzy. W ostatnich czasach utwory tego rodzaju stały się chlebem powszednim, bo zawsze dawały pewien rozgłos autorowi. Pisane dla reklamy, nie mają te dzieła wielkiej wartości, a czasem ich wpływ szkodliwie odbija się na społeczeństwie.

Rod nie szuka i nie potrzebuje reklamy. Wprawdzie uległ powszechnemu prądowi, lecz rychło z nim zerwał, chociaż ten znajdował się jeszcze wówczas u szczytu potęgi. Jego zmysł estetyczny nie znosił nigdy brutalnych obrazów naturalizmu. Rod

[1]) Adrienne Buquet, op. cit. str. 173 — 188.

[2]) Ernest Charles, Revue politique 1904. T. I str. 823.

jest subtelnym artystą o pesymistycznych poglądach na społeczeństwo i jego dążenia. Stąd u niego wieczna nuta niezadowolenia, stąd życie przedstawione w czarnych barwach. Lecz czasem tendencya jest niejasna i myśl nie występuje z należytą precyzyą. Dotyczy to szczególnie ostatniego utworu. Gdybyśmy się zapytali autora, co chciał przeprowadzić w swym romansie, zatytułowanym „Zwycięzca“ [1]), to nie wiem, czy jego odpowiedź by nas zadowoliła i czyby, co najważniejsze, wyświetliła nam dokładniej utwór, w którym postać najbardziej sympatyczna i interesująca od początku swoją marzycielsko-poetyczną naturą, znika w połowie. Rod da zapewne odpowiedź w następnym romansie, który będzie pewnego rodzaju dalszym ciągiem. Tymczasem nie wiedzieć, jak sądzić ten pierwszy tom, a zwłaszcza trochę niejasny tytuł. Czy go uważać za ironiczny? Zdaje się, że taka jest myśl autora, a przynajmniej taka się nasuwa po przeczytaniu powieści.

Alcide Délémont, niegdyś sam robotnik, ciężką pracą i niesłychaną energią doszedł do majątku i obecnie jest właścicielem szklarni. Z pierwszego małżeństwa miał troje dzieci, z których Bernard jest młodzieńcem nawskroś innego charakteru niż ojciec. Marzyciel, pełen szlachetnych pomysłów, przeniknięty altruizmem czuje się obcym wobec niego. Natomiast pokrewieństwo duszy łączy go ze starszą siostrą Alicyą. Młodsza zaś Estella była raczej usposobienia praktycznego, które wchodziło w kompromis z skrupułami i rozumiało, że na wiele „drobnostek“ można patrzeć przez szpary. Przytem niewymowna słodycz charakteryzująca Alicyę, czyniła ją dla wszystkich dobroczynnem bóstwem, zaś druga siostra, opanowana zazdrością, stawała się nieraz okrutną i zawziętą. Doskonale nakreślił autor tę różnicę charakterów w początkowych scenach, szczególnie w chwili, gdy fabrykant przyprowadza siostrzeńca, sierotę, który po śmierci matki znalazł się sam jeden na świecie, bez żadnej opieki. Dziecko, onieśmielone wśród obcych twarzy, drży febrycznie i łzy cisną mu się do oczu. Wówczas to Alicya pieszczotami w jednej chwili zyskuje sobie jego ufność, natomiast wobec Estelli malec okazuje się odpornym, czując instynktownie, że tamtej chodzi więcej o zaspokojenie ciekawości.

W pierwszej połowie romansu autor zajmuje się głównie opuszczonym sierotą, z którego Délemont chce zrazu zrobić robotnika w szklarni; na szczęście inspektor uznaje go niezdolnym i słabym do tak ciężkiej pracy. Na nalegania syna i córki fabry-

[1]) Edouard Rod. Un Vainqueur. Paris 1904. (Fasquelle éd. p. 384).

kant decyduje się oddać siostrzeńca do liceum. Ta część utworu jest zachwycającą. Mały Valentin należy do najpoetyczniejszych kreacyj, jakie kiedy skreśliła ręka powieściopisarza. O melancholijnem usposobieniu i rozmarzonej wyobraźni, biedny sierota czuje się tylko szczęśliwym w chwilach samotnych dumań. Z tęsknotą spieszy nad uroczy brzeg Sekwany, aby się kąpać w słonecznych promieniach i wsłuchiwać w śpiew ptasząt.

Tymczasem z jego odjazdem kończy się zarazem jego obecność w utworze—później mamy tylko krótkie wzmianki o nim,— autor porzuca go, jakby w połowie drogi, aby wysunąć na pierwszy plan inne kwestye. To sceny w fabryce, gdzie oszukańcza manipulacya metrykami zaprzęga niedorosłe dzieci do pracy, mimo że nie mają przepisanego ustawą wieku, to znowu intryga miłosna pod-dyrektora, za którego Délémont chce wydać starszą córkę, krzyżują się i przeplatają nawzajem. Lecz niema ścisłej jedności. Akcya plącze się i opóźnia dyskusyami o niesprawiedliwości państwa, które dozoruje biednych fabrykantów, ażeby przypadkiem nie wyzyskiwali robotników i t. p. rozmowy bardzo ciekawe, niepozbawione alluzyj politycznych, ale w gruncie rzeczy będące epizodami w powieści. Soutre, mimo że ma pewne zobowiązania wobec robotnicy, której obiecał, że się z nią ożeni, przyjmuje z radością projekt Délémonta. Jego despotycznej woli ulega także córka, która raczej odczuwa sympatyę dla szlachetnego inspektora. Termin ślubu się zbliża, gdy Alicya uwiadomiona o stosunku narzeczonego do robotnicy, zrywa zamierzony związek. Nie zdał się na nic gniew ojca. Tym razem córka postawiła na swojem. Délémont pociesza niedoszłego zięcia i nagle wpada mu „genialna“ myśl. Wszak ma drugą córkę! Posłuchajmy go tedy, bo żadne określenie nie scharakteryzuje go lepiej niż kilka tych słów: ... Et puis, vous savez.... j'ai une autre fille, après tout! — Estelle! Vous ne l'avais jamais regardée?... Naturellement vous n'y pensiez pas!... Peut être qu'elle ne dirait pas non, celle-là. Ma parole, je crois qu'elle ne dirait pas non! — Ah! fit Soutre, c'est Mlle Alice que j'aimais!

Oui, oui, je sais que vous êtes un brave garçon, que vous avez des sentiments très délicats!... Raison de plus pour que je tienne à vous, mon cher!... Dame, les employés dont on est sûr ne courent pas les routes!... Les gendres encore moins!... Et ça convenait si bien pour l'usine!... Alice vous plaisait depuis longtemps, je sais... Mais Estelle... lui ressemble!... Ma parole, elle lui ressemble!... Quand elles étaient enfants, je les confondais,

comme des jumelles!... Voulez-vous un petit congé?... Une semaine?... C'est ça, entendu jusqu'à lundi prochain [1]).

Soutre czuje przez jakiś czas niewłaściwość tej propozycyi, lecz w końcu zgadza się pojąć Estellę za żonę. W dniu ślubu, kiedy państwo młodzi wychodzą z kościoła, rozlega się strzał i kula przeznaczona dla dyrektora—przeszywa ciało Alicyi. Śmiertelnie trafiona pada martwa na miejscu. Pod wrażeniem tego wypadku druga żona Délémonta traci zmysły, okazując zresztą już oddawna skłonność do ponurej melancholii. Fabrykant czuje się złamanym na duchu. Przed jego wzrokiem odkrywa się czarna przeszłość, której dotąd nie widział. Zapowiada zmiany w fabryce dla uczczenia zmarłej córki i dla innych powodów, do niedawna dla niego niewidocznych, a teraz „jasnych jak kryształ.“ Bernard zacieka się w metafizyczne pytanie, dlaczego kula trafiła najniewinniejszą istotę i z boleścią dochodzi do wniosku, że to kara na ojca, który ubóstwiał fabrykę, a nie dbał o ognisko domowe. Tamta została, to uległo zniszczeniu. Można się było tego spodziewać! „Od początku architekt czuwał nad jedną, zaniedbywał drugie.“ To, co nastąpiło, musiało się stać koniecznie. Mimo to, nie jest zupełnie zadowolony z swego rozumowania. Czuje, że za tem wszystkiem kryje się jakaś głębsza przyczyna, jakiś nieuchronny związek między naszymi czynami a skutkami, które one wywołują. I kończy się utwór tajemniczem zapewnieniem: „być może dowiemy się pewnego dnia.“ Jak poznaliśmy z treści, utwór niema jednolitej kompozycyi i przeładowany jest szczegółami luźnie związanemi z właściwą akcyą. Niektóre jednak ustępy jak np. niedola małych Włochów, albo część odnosząca się do Valentina, mają niezwykłą plastyczność i siłę. Nie mogę się wdać w rozbiór poglądów polityczno-społecznych, ani w ocenę filozofii i to z wielu względów. Ale najważniejszy ten, że należy czekać rozwiązania wielu problemów, które da niewątpliwie autor w następnej powieści.

Henryk Reinhold.

[1]) Op. cit. str. 285.

Czytelnictwo wśród studentów

UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO.[1]

Przyczynek do statystyki życia umysłowego.

VI.

Gdybyśmy chcieli najtrafniej określić charakter czytelnictwa naukowego — należałoby wśród dzieł wypożyczonych skierować nacisk na ich *formę*. Uderzy nas tu natychmiast fakt, że systematycznych „studyów“ w istotnem pojęciu nie spotykamy, większość przygotowywuje się tylko do egzaminu. Świadczą o tem dostatecznie dane zebrane przez Kowalskiego[2]): „Studyowanie kursów“ zajmuje średnio w pierwszem półroczu blizko 2 godziny czasu, w drugim 3, w czasie egzaminów 9 i więcej. Studya polegają na odczytywaniu, uczeniu się ze skryptów litografowanych, w braku zaś ich lub po za niemi rolę tę spełnia jakieś kompendyum danej nauki. W znacznej mierze jest to zrozumiałe na tle urządzeń uniwersyteckich, gdyż przedmioty wykładane zmieniają się z kursu na kurs, uczęszczanie ich jest obowiązkowe i na wszystkich ciąży przymus egzaminu. Dopasowanie się do szablonu szkoły nie ustaje — uniwersytet w dalszym ciągu narzuca plan swój

[1]) Patrz zeszyt lutowy, str. 320.

[2]) Stan zdrowia i t. d. str. 18, 19.

i układ studyów. Właściwe przeto studya rozpoczyna słuchacz zazwyczaj b. późno, na ostatnich kursach, gdy specyalne zajęcia np. laboratoryjne zmuszą go do samodzielnych, uniezależnionych od szkolnych i egzaminacyjnych wzorów i przepisów, studyów specyalnych — wtedy dopiero zrywa i z metodą czytywania kursów i kucia. Potwierdzenie tego znajdujemy w czytelnictwie. Jeżeli choć zgruba rozklasyfikujemy wszystkie dzieła naukowe na kategoryę *podręczników* (Rukowodstwo, Handbuch, Lehrbuch, Leitfaden, Traité, Manuel i t. d.), a z drugiej strony przeciwstawimy im poszukiwania źródłowe, bądź źródła same jak w historyi, monografie, przyczynki, a nawet podręczniki, o ile posiadają wartość nie tylko pedagogiczną, ale i dzieł badawczych np. Jellinka, Ogólna nauka państwowa i t. p.), to rezultaty wypadną zawsze z przewagą dla pierwszej kategoryi. Dowodnie to uwydatnia poprzestawanie na rezultatach, otrzymywanych z drugiej ręki, kontentowanie się surogatami pracy naukowej.

TABLICA III.

NAUKI	Podręczniki					Monografie					Czasopisma	OGÓŁEM
	Oryginalne		Tłómaczone		Ogółem	Oryginalne		Tłómaczone		Ogółem		
	Ścisłe	Popul.	Ścisłe	Popul.		Ścisłe	Popul.	Ścisłe	Popul.			
Filozoficz.	32	17	28	15	92	52	41	29	25	147	13	252
Matemat.	61	28	6	5	100	13	1	1	3	18	6	124
Przyrodn.	135	114	77	29	355	29	16	27	20	92	14	461
Antropolog.	3	7	3	—	13	5	15	8	8	36	1	—
Lekarskie	90	15	85	8	198	21	19	14	2	56	22	276
Filologiczne (i językozn.)	9	29	3	—	41	7	9	—	1	17	6	64
Historyczne	75	129	28	20	252	118	135	46	31	330	23	605
Pedagogicz.	8	3	1	—	12	—	3	1	1	5	5	22
Społeczne	70	66	13	18	167	97	83	25	17	222	27	416
Prawne	400	98	51	34	583	222	170	28	25	445	112	1140
Sztuka	2	5	2	1	10	—	3	6	—	9	—	19
Techniczne	1	6	—	—	7	1	1	—	—	2	—	9
	886	517	297	130	1830	565	496	185	133	1379	229	**3438**

Tablica powyższa obejmuje działy, przytoczone w tablicy II, w innem ugrupowaniu (prócz beletrystyki i Varia) — wyłącznie naukowe (ogółem 3438 tytułów). Na prace charakteru podręcznikowego wypada 53,2%, na wszelkie inne tylko 40,1%—wreszcie pisma naukowe 6,7%. Stosunek ten wzajemny nie jest jednakim we wszystkich działach, owszem widać tu owe uzależnienie od przymusu egzaminacyjnego, dzieł bowiem pierwszego rodzaju dostrzegamy najwięcej w naukach prawnych, lekarskich, matematycznych i przyrodniczych, drugiego—w społecznych, historycznych i filozoficznych, — właśnie w przedmiotach, nie objętych najczęściej planami [1]). Ale na tę pracę samodzielną w jakimś kierunku, czy na „ogólne kształcenie się“ zostaje nizki tylko procent książek, jeżeli bowiem nie uwzględnimy czasopism, a weźmiemy pod uwagę tylko lekturę książkową, to podręczniki wyniosą 57%. *Czytelnictwo* więc, stwierdzamy iwelokrotnie zaznaczany fakt, *zadowala się co najwyżej uzupełnianiem skryptów.*

Tablica III rzuca jeszcze na inne strony światło. Rezultaty co do nieznajomości obcych języków już wyżej podaliśmy, chcielibyśmy dodać jeszcze niejakie dane, świadczące o głębokości i wartości studyów książkowych. Mianowicie, chodzi tu o rzetelność studyów, rzeklibyśmy, o ich wyczerpywanie. Okazuje się, że tylko 60% (1933) dzieł stoi na poziomie uniwersyteckim, a reszta 40% (1276) to prace najczęściej elementarne, popularyzujące raczej, niż tworzące naukę, przytem największy ich odsetek, bo 46%, przypada właśnie na dział monografij. Uwzględniając to, że podręczniki rzadko stoją na poziomie wiedzy i że wniknięcie w istotne tajniki pracy naukowej, sięgnięcie do praźródeł nauki możliwe jest tylko przy takich studyach pozapodręcznikowych właśnie — wówczas otrzymamy, według danych powyższych, że tylko nieco więcej, jak połowę dzieł monograficznych, t. j. 23% wszystkich dzieł naukowych przeczytanych, można do tej grupy zaliczyć. Charakterystyczne, że połowa monograficznych prac filozoficznych, a połowa historycznych wogóle, i około 1/3 części przyrodniczych nie odznaczają się ścisłym charakterem. *Sumując, możemy bez przesady ilość dzieł, odpowiadających ścisłym, głębszym studyom, zredukować do* 1/4—1/5 pozostałych.

Potrąciliśmy tu o zagadnienia, co do których panuje najwięcej przesądów i uprzedzeń w sferze studyów. Poprzestawanie na podręcznikach, a przynajmniej rozpoczynanie od nich studyów

[1]) Kowalski, str. 19: O studyach pozaobowiązkowych.

stało się tradycyą — bez nich nie umieją sobie wytłómaczyć postępu wiedzy, życia naukowego. Oto czytamy np. w sprawozdaniu z jednego ze zjazdów młodzieży [1]): „poruszono i to, że wogóle mało mamy podręczników polskich w poszczególnych działach naukowych, co młodzieży uniwersyteckiej bardzo utrudnia studya.“ Rzekoma ta potrzeba niejednokrotnie była tylko wyrazem słabego oryentowania się w kwestyi, niezdawania sobie sprawy z istoty studyów naukowych. Uniwersytet coraz więcej staje się praktycznym, zawodowo kształcącym zakładem; młodzież, garnąca się tam „nie ma czasu na stracenie,“ na przeżywanie samodzielne jakichś zagadnień — bierze je w wygodnej, przeżutej już formie. Schleiermacher spostrzegł to już na początku wieku ubiegłego: „oczywiście właściwy uniwersytet, tworzący naukowe stowarzyszenie, mieściłby się na wydziale filozoficznym; trzy inne są to tylko szkoły specyalne.“ Dodawszy rozwielmożnienie się literatury podręcznikowej wogóle, we wszystkich dziedzinach poznania, znajdziemy źródło uprzedzeń. Najsilniej odbiły się one u Żydów: stosunek podręczników do prac innych rodzajów ma się u nich jak 2 : 1, gdy u Rosyan 4 : 3, u Polaków 7 : 5.

Należy zatrzymać się i nad czytelnictwem czasopism naukowych. Jeżeli tu i owdzie operowaliśmy porównaniami, chcąc tą drogą uwydatnić znaczenie danego faktu w życiu umysłowem studentów, to tu jesteśmy bezradni. Tablica nasza wykazała, że wśród przeczytanych dzieł naukowych mieści się 6,7% czasopism. Czy jest to ilość duża, czy nie wystarczająca — trudno orzec; zagadnienie o tyle zawiłe, że czytelnictwo czasopism wśród studentów nie wywalczyło sobie prawa obywatelstwa, wciąż jeszcze natykamy się na mniemania, w rodzaju wypowiedzianego przed laty przez Harmsa [2]): „czasopisma są wydawane nie dla młodzieży, lecz dla uczonych. Zawierają one naukę jeszcze nie gotową, lecz w momencie stawania się — dojrzałe i niedojrzałe prace... Lektura czasopism jest tylko z umiarkowaniem i wyborem do polecenia... Kto się zupełnie takiej lekturze odda, uzyska przedwczesne, niedojrzałe wykształcenie.“ Zaleca on przedewszystkiem studya książkowe. Wprawdzie już w XVIII w. spotykamy się ze zdaniami odrębnemi (Hecker), kwestya jednak sama w sobie pozostaje do rozwiązania, nikt jej szczegółowo nie omówił.

---

[1]) Teka, 1902, str. 35.

[2]) Methode des akademischen Studiums. Lipsk, 1885.

Sądzimy, że opozycyoniści popełniają kilka sprzeczności w swych rozumowaniach. Nie zalecają czasopism, gdyż tam znajduje się nauka w chwili tworzenia się, pisma posiadają prace niedojrzałe, hypotezy krótkotrwałe, jednostronne przypuszczenia — jednocześnie zalecają lekturę książkową, która bynajmniej nie jest od tego wolną, o ile nie mówić o podręcznikach, najczęściej odbijających stan myśli naukowej już *miniony*. Jeżeli zaś ograniczyć się do podręczników, bo te tylko mogą nie zawierać wszelkich powyższych herezyj (choć grzeszą może jeszcze cięższą — skamienieniem), to kiedyż znów student będzie „dojrzałym," aby bez „wyboru" mógł czytać inne prace i czasopisma? Czy właśnie owo stopniowanie nie jest tu karkołomne?...

Zapewne, dla wczytywania się w dzieła monograficzne, czy studyowanie czasopism naukowych, należy mieć pewną znajomość danej dziedziny; ale i bez tego, czy studyum żywe, cząstka owej tworzącej się nauki, nie daje zawsze lepszego o niej wyobrażenia, niż najdokładniejsze, z drugiej ręki czerpane i przesiane „zdrowe" tylko myśli? Czy nie jest to kopanie coraz większej przepaści między żywą i tworzącą się a przeżytą nauką? Rozpadlina ta zarysowuje się tem silniej, im mniej mostów, łączności między „najnowszymi wynikami" a utartymi już pewnikami, im trudniej każdy samodzielnie może je przebyć. A dość jest przyjrzeć się, jak przepastne i zawrotne wydają się każdemu, na podręcznikach wyszkolonemu umysłowi, drogi do pracy *badawczej*. Nigdy nie umie samodzielnie ich szukać, kraj badań jest dlań bezgranicznie odległym, nigdy niedoścignym; droga tuż u nóg się urywa — jest bezradny. Mówiliśmy powyżej o studyach monograficznych, źródłowych; taż sama reguła powinna rozciągnąć się i na czasopisma. Zdolność odnajdywania sobie potrzebnych materyałów, prac — świadczy tylko o sprawności umysłowej, o życiu istotą samej nauki, o uzdolnieniu do samodzielnej, badawczej pracy, bo kto tak oko w oko nie wejrzał w tajniki nauki, nie *wyczerpał* jej zawartości, ten nigdy z nią się nie zżyje, nie zbrata.

Co do studentów warszawskich, to czytelnictwo czasopism nosi takie cechy: Polacy wypożyczyli 57%, gdy Żydzi 17% a Rosyanie 26%; najwięcej wypożyczono w języku rosyjskim, bo 78%, gdy w polskim tylko 3% [1]) a w innych (francuskim, niemieckim) — 19%. Użytkowanie czasopism na kursach wyższych

[1]) Liczba ta bodaj jest i oskarżeniem na brak u nas czasopism naukowych.

(60%) intensywniejsze niż na pierwszych (40%), chociaż największą intensywnością odznaczały się kursy II i III (3/5); z wydziałów przeważnie prawniczy i filologiczny; z dziedzin prawo i nauki społeczne.

Dane posiadane nie pozwalają odpowiedzieć na wszystkie kwestye, zrosłe wprost z naturą czytelnictwa. W wielu razach uzyskać możemy przybliżone zaledwie przypuszczenia, — materyał nie wystarcza, by otrzymać ścisłe rozwiązanie. Ogromnej wagi byłoby np. rozejrzenie się w tem, w jakim stopniu *świadomy* wybór, znajomość celów i dróg kierowały czytelnictwem młodzieży, jak wpływają na ten wybór wykłady? Czy umieją studenci odnaleźć dzieła im potrzebne, czy są one podsunięte przez kogoś? Pośrednio odpowiadaliśmy na te pytania, rysując sylwetki studyujących — granice jednak tu jeszcze chwiejniejsze. Tryb pracy intelektualnej zbyt silnie wrył swoje kontury w indywidualne cechy i wskutek tego odbiera możność kreślenia schematycznych obrazów. Jeżeli jednak nie łudzimy się, to cząstka tych, co bez zewnętrznych pobudek wytwarza własne drogi, jest nieliczną. W szerokich sferach studentów brak własnolitego, świadomego wyboru. Uleganie dziwacznie kojarzącym się radom wykładających, kolegów, odbiło się w pierwszym rzędzie na *technice* wypożyczań, a więc i czytania. Przytoczone wyżej przykłady wystarczają, by odczuć niewspółmierność wyboru: po ścisłym podręczniku następuje jakiś lichy lub popularny; dzieło epokowego znaczenia oddziela od innej pracy wartościowej popularyzacya z drugiej ręki lub przestarzały podręcznik; badania spółczesne od dziełka historycznej tylko wartości i t. d. Mozaika podobna czyni wrażenie czegoś bardzo nieskrystalizowanego, niejasnych, niepewnych poruszeń; ginie tu wola jednostki, w wyborze roi się od przypadków. A spotyka się to niemal u przeważnej ilości czytelników; nie sądzimy, aby to było objawem normalnym, raczej skłonni jesteśmy do przypuszczenia, że tkwi tu jakaś sztuczna przeszkoda, bo znów sporo dowodów nieokiełznanej wprost rozlewności w poszukiwaniu wiedzy uprawniają do wiary w możność samodzielnej i twórczej pracy.

VII.

Dla pełnej psychologii czytelnictwa, niejedna strona dałaby się może jeszcze odnaleźć. Przedewszystkiem chcemy podnieść zagadnienie wzajemnego ustosunkowania w studyach fachowych

-i ogólnych. Musi się to odbić wybitnie w czytelnictwie. Trudność zachodzi tylko w ujęciu samego faktu: granice są tu nazbyt nieuchwytne, zmienne, dla każdego inne. Więcej, treść tych pojęć, przekształcająca się w czasie, wciąż się przeobraża. Zagadnienia te przeto ulegały wielokrotnej i różnorodnej interpretacyi. Należą one do najbardziej zbywanych ogólnikami wątpliwej wartości i prawdopodobnie na tej drodze dedukcyjnego wnioskowania nie wyjdą nigdy po za zakreślone dziś ramy.

Już Wawrzyniec Stein [1]) dostrzegł, że pojęcie: „wykształcenie ogólne nie ma żadnej określonej treści — obejmuje ono swą formalną definicyą wszystko, co czyn ludzki wydał w nauce i sztuce; objawia się jednak praktycznie w znajomości tego, co każdy pojedyńczy zawód życiowy łączy organicznie i wewnętrznie z innemi i zawiera dla tego obraz ogólny życia duchowego ludzkości, wyrażony i ukształtowany w świadomości jednostkowej.“ Gdzieindziej, jakby dla bliższego wyjaśnienia dodaje: „ogólne wykształcenie obejmuje w swym pojęciu ogół tych dóbr duchowych, które nie mają służyć dla celów zarobkowych lub zawodowych.“ Dla innych, jak Wundta [2]), pojęcie to posiada nietylko zakres, ale i treść określoną: „przyrodoznawstwo, wiedza społeczna i historya są to trzy obszary, które tworzyć powinny podstawę prawdziwego wykształcenia *ogólnego*. Dla wyższego stopnia przodujących posiadaniem, stanowiskiem i wpływami przyłączają się nadto filozofia, językoznawstwo i dzieje kultury, oczywiście wraz z rozleglejszem opanowaniem trzech poprzednio wymienionych, najogólniejszych przedmiotów kształcenia.“ Łatwo jednak dostrzedz, że wszelkie wtłoczenie pojęcia wykształcenia ogólnego w określone formy definicyi, nadającej pojęciu temu ścisłą treść, ma tylko wartość dla danego czasu i stopnia kultury. A nawet owa ruchomość pojęcia wykształcenia ogólnego, zależność jego od potrzeb i wymagań jednostki, od poziomu środowiska i stanu wiedzy w danym momencie, nie pozwala na dokładne oddanie treści, a nawet zakresu pojęcia, i zmusza do poprzestania na zarysowaniu konturów, sylwetki tylko. Granicami będą tylko fakty wzajemnej zależności nauk: sądzimy, że gdy wykształcenie ogólne przyrodnika wymaga dopełnień wiedzy o społeczeństwie, historyi, prawie i t. d., to dla historyka czy prawnika rolę tę będą odgrywały przedmioty nauk przyrodniczych; oczywiście,

[1]) Die Verwaltungslehre, V cz. Das Bildungswesen. Stuttgart, 1868.
[2]) Ethik, str. 524.

trzebaby tu wkluczyć cały szereg umiejętności, wspólnie niezbędnych dla jednych i drugich (nauki filozoficzne, sztuka etc.). Sztuczne te granice najbardziej bodaj pozwalają na ujęcie istoty rzeczy — chcemy bowiem wskazać to, jak studenci pojmują wykształcenie ogólne i ile mu miejsca przeznaczają [1]). Przypuszczamy, że najobjektywniej uwydatni to stosunek dzieł czytanych, nie pozostających w związku bezpośrednim z fachem. Rezultaty, nawet w tak pierwotny sposób uchwycone, pozwalają ogarnąć rolę obu czynników w kształceniu. Wykluczając literaturę piękną, osiągamy następujące dane: przyrodnicy, których fachowa literatura (matematyka, przyroda) wynosi 44% ogółu dzieł wypożyczonych; innym dziedzinom, a głównie filozofii i historyi, poświęcają pozostałe 22%, t. j. studya fachowe dwakroć przewyższają „ogólne“. Wśród filologów i prawników literatura ogólna tworzy nie więcej już nad 40% specyalnej. Jeszcze niższym jest ten stosunek u medyków — fachowa literatura wynosi połowę wypożyczeń wogóle, ogólno-kształcąca dochodzi ledwie 30% pierwszej. Najniżej jednak wypada ten stosunek wśród farmaceutów, lubo dzieła specyalne tworzą tu tylko 1/3 część wypożyczeń, atoli na studya ogólne przypada 25% dzieł pierwszej kategoryi. Biorąc zatem w powyższem rozumieniu pojęcie ogólnego wykształcenia, musimy zanotować wahania w zależności od wydziałów o 25% w uwzględnianiu filozoficznego kształcenia się, oraz że dzieła „ogólnie kształcące“ nie wynosiły więcej nad połowę fachowych. Oceniając niedostateczność i warunkowość uzyskanych rezultatów, chcemy je nieco jeszcze uzupełnić. Ograniczając zakres pojęcia wykształcenia ogólnego do zagadnień filozoficznej natury w zakresie jedynie nauk, które w skład fachu nie wchodzą (chociaż brak nam dostatecznie ścisłych sprawdzianów dla tego pojęcia, bo i wśród grup fachowych znajdują się dzieła filozoficznej natury, stosunek zaś nasz nie obejmie tego) jednak i tu ciekawe są dane: zainteresowanie się kwestyami filozoficznemi bezwzględnie najwyższe było na wydziale filologicznym, najniższe wśród medyków i farmaceutów. W stosunku do piśmiennictwa specyalnego rzecz się ma podobnie. Dział filozoficzny wśród filologów tworzy jeszcze

[1]) Ankieta Kowalskiego wykazała, że 1/3 część studentów (odpowiadających na ankietę) poświęca czas jeszcze na „nadprogramową“ pracę: 11% na przedmioty ojczyste, 10% filozofię i nauki społeczne, 2,6% psychologię, 9% języki nowożytne, 1,6% nauki przyrodnicze, 1,3% sztuki piękne. Dane te bardzo ogólnikowe i nie uwydatniają charakteru pracy.

17%, wśród przyrodników 11,3%, gdy u prawników już 8%, medyków 7%, a farmaceutów 2,8%. Wahania zatem znacznie jeszcze silniejsze, niż poprzednio, od 1/5 do 1/10, a nawet 1/33 zawodowego piśmiennictwa!

Chcąc właściwie oddać dążenia do kształcenia ogólnego pomiędzy młodzieżą warszawską, należałoby zakres dotychczasowo przyjmowany znacznie rozszerzyć. Czytelnictwo całej masy utworów literatury pięknej jest właściwie wyrazem tej samej potrzeby „światopoglądu," dalej ten sam prąd daje się wyczuć i w użytkowaniu książek popularnych, bodaj odnieśćby tu je należało, o ile nawet dotyczą samego fachu. Rozpowszechnione bowiem jest mniemanie, że właśnie taka wodzianka z cudzych myśli najstrawniejsza jest dla celów kształcenia filozoficznego. Przy tak rozciągniętym zakresie ginie nawet spożycie fachowej literatury. Wraz z literaturą piękną tworzą utwory treści ogólnej największy odsetek wśród farmaceutów — fakt to bardzo charakterystyczny, że pojęcie wykształcenia ogólnego, ostatnio przytoczone, najbardziej odpowiada wymaganiom tej grupy młodzieży.

Na innych fakultetach liczby są już znacznie niższe, chociaż wśród przyrodników i filologów przenoszą jeszcze 1/2 wypożyczeń, u medyków niemal się równają, a najniższą znajdujemy wśród prawników. Reasumując teraz wszystkie na tak różnorodnych podstawach zbierane obserwacye, możemy je sformułować w następujący sposób, że czytelnictwo dzieł ściśle odpowiadających wymaganiom „naukowego na świat poglądu" nigdy nie przekracza drobnego ułamka utworów ściśle fachowych, gdy pojęcie to, rozprzestrzenione na utarte wyobrażenia, wespół z literaturą piękną obejmuje przeważną część dzieł czytanych. Najsilniejsze więc parcie dostrzegamy wśród przyrodników i filologów — najsłabsze wśród medyków. Wyraźnie zaznacza się również granica między wyższemi kursami; na wszystkich wydziałach daje się dostrzedz, że na kursach wyższych zwęża się liczba działów, z jakich korzystali studenci, na niekorzyść wykształcenia ogólnego. Pomijając farmaceutów, gdzie różnice na obu kursach nieznaczne, na wszystkich wydziałach wyraźna różnica odbija się już na kursie drugim — czytelnictwo dzieł treści ogólnej spada na niektórych wydziałach do 1/4 tego, co czytano na kursie pierwszym — ogółem na pierwszych kursach wynosił stosunek 27%, gdy na drugim tylko 10. Sumarycznie dla obu pierwszych kursów otrzymujemy 21% (bez farmaceutów), tymczasem następne wykazują 15%. Dodajmy, że literatura piękna ma również więcej zwolenników na pierwszych kursach (34% — następnie 20%), skonstatować możemy łatwy do przewidzenia

rezultat; ustosunkowanie w czytelnictwie specyalnem i ogólnem zmienia się na coraz wyższych kursach na korzyść pierwszego [1]).

Wyodrębniając dyscypliny filozoficzne, spróbujemy jeszcze uchwycić prąd kształcenia filozoficznego w stosunku do różnic narodowościowych.—Dla porównań bierzemy tylko dziedziny odległe od przedmiotów fachowych (filozofia, sztuka). Okazuje się że działy te najwyższy odsetek wskazują u Rosyan (15%), u Polaków zaś i Żydów znacznie niższy (po 10%). Kombinując powyższe rezultaty z czytelnictwem literatury pięknej, otrzymamy pokrewne rezultaty dla Rosyan (53%), odsetek odpowiedni u Żydów podnosi się do 38%, gdy u Polaków tylko do 34%. Zatem Rosyanie, a po nich Żydzi najwięcej miejsca poświęcają studyom ogólnym, — dążność ta, jak zauważyć można, idzie w parze z czytelnictwem literatury pięknej.

VIII.

Ścisłych i szczegółowych danych, któreby charakteryzowały studya i czytelnictwo wśród studentów za granicą nie posiadamy. Nigdzie zdaje się dotąd nie gromadzono ich celowo. Zazwyczaj biblioteki uniwersyteckie posiadają tylko ogólnikowe wiadomości i to nie zawsze nawet zróżniczkowane do wydziałów. Najobfitszy jeszcze materyał posiadamy co do Niemiec. Kongres II bibliotekarzy tamtejszych ułożył dość wyczerpujący schemat i postawił kwestyę statystyki bibliotek oraz frekwencyi ich, jako wymaganie od każdej biblioteki publicznej. Na podstawie schematu powyższego opracował Bollert tablice statystyczne [2]) dla dziesięciu bibliotek uniwersyteckich państwa pruskiego. Tablice powyższe z kilku uniwersytetów oświetlają pewne ciekawe dla nas szczegóły.

Przedewszystkiem uderza nizki odsetek studentów, korzystających z bibliotek; wprawdzie statystykę tę prowadzą semestralnie i cyfry byłyby wyższe, gdyby dane wzięto dla roku całego, w każdym jednak razie są one niewysokie, niższe od warszawskich.

---

[1]) Obserwacye nasze głównie uwydatniły wzajemną zależność obu stron studyów, nie oświetliły faktu najbardziej może żywotnego — jakie zagadnienia, pytania ogólne chcą studenci rozwiązywać, jakie kwestye najczęściej powtarzają się i tłoczą. Dostępne to jednak za pomocą wywiadów.

[2]) Centr. f. Bibl. XIX, str. 44 i n. Dane dla lat od 1894—1900.

Weźmy po kolei: w Berlinie np. w ciągu siedmiolecia (1894—1900) wypożyczało książki najwyżej 52% ogółu (semestralnie!) — najmniej 40%. Między obu temi wielkościami układają się przeciętne innych lat. Wrocław posiada cyfry znacznie niższe — tu tylko 25 — 29% studentów rocznie korzysta z biblioteki uniwersyteckiej. Cyfry Getyngi wskazują wahania między 48—a 33% semestralnie, w Halli 26 — 34, również semestralnie. Inne biblioteki nie posiadają danych szczegółowszych o czytelnikach; dla porównań wystarczą chyba i powyżej przytoczone. Niezwykle nizkie są odsetki czytelników-studentów — nie trzeba jednak tracić z uwagi i tej okoliczności, że w żadnem z tych miast biblioteka uniwersytecka nie jest *jedynym* źródłem, skąd czerpać mogą studenci; pomijam Berlin, nadzwyczaj bogato uposażony pod tym względem, ale każde inne miasto ma przynajmniej jeszcze miejską bibliotekę.

Uwzględniając tę poprawkę, dodać jeszcze należy, że każdy uniwersytet, prócz biblioteki ogólnej, posiada cały szereg seminaryjnych, umiejętnie, a często i obficie zaopatrzonych. Wobec tych udogodnień cyfry przytoczone nie wydadzą się zbyt nizkie — nie obejmują one właściwego czytelnictwa, nie są dlań miarodajne, zwłaszcza, gdy dodamy jeszcze ogromną frekwencyę sal czytelnianych na miejscu: np. w Getyndze w 1900 r. 53583 tomy, w Berlinie przeciętnie bywało 179 osób, które wypożyczyły około 47 tys. dzieł na miejscu. Porównanie cyfr tych z warszawskiemi daje smiesznie nizkie stosunki: w 1894 r. w Warszawie studentom do sali wydano tylko 2272 tomy, to jest mniej jak połowę wypożyczonych do domu, gdy wszędzie cyfra ta o wiele przewyższa ilość wypożyczeń. Nie gra więc ona roli poważnej, zwłaszcza gdy np. do porównań wciągniemy Paryż; liczba wypożyczeń do domów bardzo tam nie znaczna — 1/6 zaledwie korzysta z tego, lecz olbrzymią wprost jest masa korzystających z sal czytelnianych (1899/1900 codzień 1495 osób po 2304 tomów [1]). Stosunki zatem pod tym względem są w Warszawie wyjątkowe — i tłómaczą się wprost brakiem miejsca, sal.

Przyjrzeć się należy, jakim jest współudział poszczególnych fakultetów w czytelnictwie. Stwierdzić się przedewszystkiem daje fakt, spotykany w Warszawie, że najniższej ilości czytelników dostarcza wydział lekarski. O ile w Berlinie tworzą oni 25 — 44% ogółu medyków, to w Getyndze już wahają się między 13 — 23%,

[1]) XVIII Bd. Zentr. f. Bibl.

w Halli 11—20% wreszcie we Wrocławiu od 10—16%! Pomijając obcy naszym urządzeniom wydział teologiczny, którego słuchacze zresztą wykazują przeważnie najwyższy odsetek czytających w Getyndze np. 1896 r. 86% (semestralnie!), w innych uniwersytetach najwyższe dane spotykamy wśród filozofów: w Getyndze 57%, Halli 48, Wrocławiu 58, Berlinie 54. Prawnicy tworzą węzeł przejściowy między nimi a medykami, od 55—30%. Porównywając odpowiadające powyższym kategorye czytelników naszych, a przedewszystkiem prawników i medyków, widzimy co do ostatnich zupełną zgodność rezultatów, dysproporcyę zaś u prawników.

Chcemy jeszcze dotknąć intensywności czytelnictwa. Dane posiadane nie zupełnie odtwarzają rzeczywistość: są sumaryczne dla studentów i osób postronnych. Odsetek studentów jest wszędzie przeważający (Berlin 82%, Getynga 40 i t. d.). Rezultaty nie wszędzie jednak zbliżone, podlegają poważnym wahaniom. — W Getyndze np. wypożyczał każdy 18 dzieł w 24 tomach rocznie, gdy w Berlinie ledwie 5 dzieł w 7 tomach. Uwzględniając, że w Getyndze bibl. uniw. stanowi najpoważniejsze źródło, gdy w Berlinie posiadają studenci o wiele jeszcze obfitsze (królewska bibl.), będziemy mieli poczęści wytłómaczenie faktu. Dane podobne jak w Getyndze, spotykamy też i w innych uniwersytetach: Greifswaldzie, Królewcu, Marburgu, gdzie stosunki przypominają Getyngę. Są to cyfry o wiele od naszych wyższe.

Tyle porównań. Cyfry czynią w ogólnych zarysach wrażenie zgodności i podobieństw czytelnictwa wśród naszej i niemieckiej młodzieży; są to jednak powierzchowne tylko cechy, nie dostarczające dość wątku do dalszych wnioskowań. Sądy jednak wypowiadane o niej są może bardziej bezwzględne. Bernheim np., krytykując system urządzeń uniwersyteckich Niemiec, zaznacza[1]): „poruszę jeszcze jeden ważny punkt. *Brak wiedzy książkowej* jest prawdziwie wstydliwą stroną dzisiejszego naszego życia akademickiego. Niemało bywa tytułów z katedry studentowi dyktowanych, lecz kiedy poczyna on zżywać się z tym warsztatem uczonego i nauczyciela? Najzwyklej dopiero w ostatniej godzinie, gdy zabiera się do prac egzaminacyjnych i to w najskromniejszych rozmiarach. Każdy bibliotekarz może opowiedzieć dziwaczne fakty o strasznym bibliograficznym nieuctwie studentów, przechowuje

[1]) Der Universitäts Unterricht und die Erfordernisse der Gegenwart Berl. 1898 str. 42 i n.

jako curiosa różne zamówienia książek, dające zamawiającemu prawdziwe testimonium paupertatis stwierdzone podpisem. „Bibliograficznym“ jest właściwie za wysokie wyrażenie: słuchacze wyższych i najwyższych semestrów mają tak mierne wiadomości o książkach, że nie potrafią posługiwać się indeksami, a najczęściej spotykane skrócenia w cytatach są im obce.“

Bernheim przyczynę tego widzi w dzisiejszym systemie, stosowanym na uniwersytetach niemieckich i żąda zmian *metody*: w dzisiejszem nauczaniu integralną część zajmują wykłady i to głównie obejmujące całokształty danej nauki (t. zw. Stoffkollegien). Bernheim odmawia im dzisiaj już wszelkiej wartości wobec tylu istniejących znakomitych pomocy naukowych, a żąda poświęcenia czasu zaoszczędzonego na zajęcia praktyczne i seminaryjne już od I-go semestru, wymagające *czynnego* bezpośredniego udziału studenta, gdy wykłady nie są w stanie oddziaływać ze względu właśnie na bierność słuchacza. Proponuje przeto krótkie, oryentujące w danej materyi wykłady, połączone z zajęciami praktycznemi. Bliżej plan swój uzasadnił na przykładzie historyi[1]): „Najbardziej bezpośrednia droga, jako wprowadzenie do nauki, jest czynny udział w ćwiczeniach praktycznych, poczynając od pierwszego semestru. Celem tych zajęć dla początkujących nie powinno być wciąganie studentów do przedwczesnej specyalizacyi i przygotowywanie do większych prac o rezultatach wartości naukowej, lecz odwrotnie, nadawanie im oryentującego rzutu oka na przedmiot, pomoce i metody fachu, na drodze wspólnego opracowywania typowych przykładów i zagadnień ręka w rękę z przygotowywaniem się w domu i pracą poboczną. Ostatnie nie powinny w żadnym razie nosić charakteru szkolnych wypracowań, lecz badań naukowych na drobną skalę, różniących się tem tylko od wyższych poszukiwań naukowych, że, odpowiadając umiejętnościom i przygotowaniu, są określonej treści i objętości i nie więcej zabierają czasu, jak od jednych ćwiczeń do innych.“ Za najbardziej odpowiednie do tego uważa ćwiczenia ze źródłowymi pisarzami: „tylko początkujący nie powinien ich przyjmować biernie w formie wykładu, jako nieżywą naukę, lecz samodzielnie w postaci ćwiczeń do pewnego stopnia przeżywać zmiany od jednego do drugiego sposobu pisania.“

„Nieporównana wartość ćwiczeń praktycznych na pierwszym semestrze polega właśnie na tem, że student odrazu uczy się, co

[1]) Entwurf eines Studienplans für das Fach der Geschichte... Greifswald 1901.

się nazywa naukowo pracować i jakie wiadomości do tego są konieczne.“

Stanowisko Bernheima wywołało żywe poruszenie w sferach akademickich; obudził się ruch, powołujący nawet do życia mniej już owocne stowarzyszenie reformistów „Hochschulpädagogik“ — w projektach znaleziono pod wielu względami praktyczne i teoretyczne uzasadnienie dawno odczuwanych niejasno potrzeb, które odbiły się nawet i u nas w żądaniach reform w wykształceniu uniwersyteckiem, ale w kierunku wprowadzenia „repetycyi,“ stosowanych na technikach (nawet Kowalski: „Najracyonalniejszym byłby.... system repetycyi“). Niemożna pomyśleć nic wsteczniejszego: wszak usuwanie egzaminów dorocznych dla wprowadzenia jeszcze częstszych, to stworzenie z uniwersytetu istotnej instytucyi „kucia“ i szkolarstwa. A choć z jednego pnia wyrosłe, jak płodnemi i dalekiemi od tego są propozycye Bernheima...

IX.

Wyczerpaliśmy, zda się, wszystkie najbardziej istotne objawy życia umysłowego młodzieży, o ile uwydatniły się one w czytelnictwie wśród studentów; szło nam o danie jakby morfologii tego życia, musieliśmy nawet na niej poprzestać, gdyż zbyt mało poznane są te sfery, by można przeprowadzić studya porównawcze. Ponowione próby w kierunku wytkniętym dałyby dopiero odpowiedni materyał, tymczasem ograniczyć się należy do *opisu* tych zjawisk, jak staraliśmy się, możliwie wszechstronnego. Rezultaty pracy naszej są przeważnie smutnym stwierdzeniem w sferze studyów młodzieży tego, co dawniej ogłoszono o warunkach pracy i położeniu ekonomiczno-materyalnem studyujących. Cały szereg niepokojących przyczyn układa w najnienormalniejszy sposób te stosunki. Podkreślmy główne rysy czytelnictwa studentów raz jeszcze.

Ledwie $^3/_5$ ogółu bierze w niem udział, reszta usuwa się jakby z pod obserwacyi — chwytamy jeno, że niemal połowa przypada na studentów kursów wyższych, gdzie studya książkowe wydawałyby się niezbędnemi. Wyodrębniające różnice, zachodzące w czytelnictwie wydziałów, dostrzegamy całą skalę odcieni, nierównomierność; czytelnictwo waha się tu pomiędzy ogarnięciem wszystkich słuchaczy danego wydziału (hist.-fil.) a jedną czwartą tylko (farmac.).

Ilość czytających dalej nie wzrasta w miarę posuwania się po szczeblach kursów — owszem, na niektórych wydziałach wyraźnie się zmniejsza. Z pośród narodowości Rosyanie wykazują największy udział, Żydzi—najniższy, w intensywności jednak czytelnictwa, w ilości przeczytanych przeciętnie przez każdego dzieł ostatnie miejsce zajmują Polacy—pierwsze, jak poprzednio, Rosyanie. Natężenie to czytelnictwa jest najwyższe wśród filologów i trzykrotnie przenosi czytelnictwo innych fakultetów, gdzie w dodatku daje się dostrzedz niewyraźna tendencya zniżki.

Spostrzegliśmy, że pierwotna cyfra wypożyczających topnieje nieomal do połowy, gdy oddzielimy wszystkich niesystematycznie, przypadkowo tylko korzystających z biblioteki. Niedostrzega się stałego zapotrzebowania książek, zwłaszcza dzieł naukowych, wśród czytających, piąta część bowiem nie korzysta z nich wcale, poprzestaje tylko na liter. pięknej, tworzącej wogóle najliczniejszy dział wypożyczeń; najwyższy odsetek przypada tu na literaturę spółczesną, cząstka tylko na klasyków, z których nb. czytano tylko piątą część w oryginałach. Korzystano przeważnie z literatury rosyjskiej. Wogóle ilość korzystających bezpośrednio z zachodnio-europejskich literatur przenosiła tylko trochę piątą część, a ilość dzieł przeczytanych wynosi ledwie dziesiątą część wypożyczeń. Niemożność korzystania z orginałów zmusza do intensywnego posiłkowania się przekładami.

W czytelnictwie naukowem wyróżniają się swym izolowanym charakterem pewne dziedziny — głównie fachowe — czytywane są one tylko na pewnych wydziałach. Powszechne zainteresowanie występuje głównie do działów społeczno-historycznego i przyrodniczo-filozoficznego; zależy przytem bardzo od układu kursowego. Pierwsze zwłaszcza lata studyów charakteryzuje mnogość obejmowanych dziedzin, które maleją w miarę posuwania się lat — nie można pomijać też, że w dziełach tych, nie objętych tak surową dyscypliną programu egzaminacyjnych przepisów, najbardziej samodzielnie i swobodnie układają się studya. Nader znamienną jest rzeczą, że w zakresie studyów specyalnych wystarczają przeważnie surogaty właściwej pracy naukowej, poprzestawanie najczęściej na skryptach litografowanych, korzystanie zaledwie z podręczników i kompendyów, dopełniających jakgdyby tylko słuchane wykłady; brak tam głębszego wniknięcia i dążności do wyczerpywania, opanowania przedmiotu. O ileż rozleglejsze są i bardziej w głąb wnikające studya w tych nieprzymusowych przedmiotach. Opierają się one na bezpośredniem stykaniu ze źródłami nauki lub na monograficznych opracowaniach. W układzie sprawności in-

tellektualnej natykamy się również na silne różnice: obok tych, co tylko, jak wzmiankowaliśmy, dopełniają obowiązujące ich przedmioty specyalne, obok tych, co bez planu wałęsają się po najróżnorodniejszych dziedzinach, gnani gorączką poznawczą — najliczniejszych — jest nie wielu tylko władających metodą i celowo pracujących. Brak zbieżności ze stosunkami zagranicznemi uniemożliwia porównania; pod względem zewnętrznym istnieją pewne podobieństwa — zresztą i tam czytelnictwo uważane jest, jako niewystarczające i nieumiejętne.

Poprzednio zaakcentowaliśmy niewystarczający stopień studyów specyalnych, a bardziej przyjazne stosunki wśród przedmiotów nieprzymusowych. Niemniej jednak, zwłaszcza o ile chodzi o studya ogólne nad wyrobieniem „światopoglądu," dalekie są one od istotnych wymagań naukowych. Czytelnictwo dzieł filozoficznych, ścisłych nie przekracza nigdy drobnego ułamka dzieł specyalnych, najintensywniejsze jest przytem na wydziałach, gdzie i studya specyalne są żywe, idzie więc jakby w parze z niemi, wprowadzając jednak bardziej wulgarne, ale częstsze pojęcie, „wykształcenia ogólnego," zadowalającego się popularyzacyami i strawą beletrystyczną, która wynosi przeważną ilość dzieł czytanych wogóle. Pomijamy tu szereg cały szczegółowych poszukiwań, przypominamy tylko jeszcze nizki stopień samodzielności i techniki studyów książkowych.

Trudno wyrokować, jak daleko sięgać mogą otrzymane rezultaty. Odpowiedź na to dać mogą tylko dalsze systematycznie prowadzone poszukiwania, uzupełniane wywiadami, jeżeli jednak powyższe dochodzenia mogą mieć pewną miarodajność, lub nawet o ile jednostronnie się zakreślają—zawsze wskazują na cały szereg reguł ogólniejszych, uchodzących uwagi, czy może nie dość wyraźnie uświadamianych.

Wydobyto przeważnie ujemne lub zagrożone strony życia umysłowego młodzieży. Ograniczaliśmy się do opisu, ale byłby on niezupełnym, gdybyśmy nie doszukiwali się przyczyn ogólniejszych, tkwiących najczęściej po za młodzieżą nawet. Idzie tu o zjawisko złożone, o ich kompleks cały. Aby wybrnąć z trudności, postaramy się uwypuklić niektóre przynajmniej przyczyny, najbardziej tamujące normalny bieg rzeczy.

Pierwszym tym momentem będzie obowiązujący system uniwersytecki, narzucone urządzenia i plan studyów, przymusowe egzaminy kursowe i t. d. Zmurszałe i nigdzie już w tym stopniu nie spotykane przeżytki, ostatnie ślady których, np. dla Niemiec, przypadają na koniec XVIII i początki XIX wieku!

W wewnętrznem swym urządzeniu uniwersytet nie stosuje swobody wyboru zajęć. Główny nacisk (przynajmniej w umiejętnościach humanistycznych) położono na wykłady, lecz odebrano im właściwe znaczenie, zmuszając wszystkich do uczęszczania na wszystkie wykłady danego kursu, przytem zwykle każdy wyższy kurs przynosi nowe przedmioty studyów, wytwarza coraz nowe powierzchowne zainteresowania, których student opanować i ująć nie potrafi, nie może zaspokoić ani zadowolić. Studya obowiązujące odbywają się w kierunku odśrodkowym, rozbieżnym — gdy wgłębienie się, wyczerpanie czegoś wymaga dośrodkowości, skupienia, rozszerzania poznawania koncentrycznemi kręgami — tymczasem przymus egzaminacyjny stwarza szereg nie wiążących się z sobą kół ekscentrycznych. Brak przytem zupełnie najważniejszych ostoi samodzielnej pracy w nowożytnem rozumieniu — seminaryów, dających miejsce czynnemu udziałowi, spółpracy studentów. Nie mówiąc już o jakościowej stronie wykładów, mamy dostateczny obraz rutyny i spleśnienia. Łatwo przewidzieć, że instytucya podobna *nie uzdalnia do badawczej pracy*.

Przy skostniałym, przeżytym systemie uniwersyteckim, jako spółczynna przyczyna, występuje szkoła średnia, obca życiu i potrzebom swych wychowańców, dyscyplinarna i biurokratyczna, odległa od przygotowania do pracy samoistnej. Wszystko, co z sobą młodzież żywego przynosi do uniwersytetu, tkwi źródłami po za nią. Pośredni dowód na to posiadamy w studyum p. Lewina: Co czyta i czem interesuje się ucząca się młodzież[1]) w stosunkach rosyjskich.

Studyum podaje rezultaty ankiety (933 odpowiedzi) wśród uczniów gimnazyalnych z różnych stron Rosyi. Najżywsze zainteresowanie wzbudzają nauki przyrodnicze i humanistyczne. Ogromny względem nich entuzyazm—to nie dzieło szkoły, to raczej protest przeciw jej planom i zakresowi. Co stwarza i rozwija w lepszej części uczącej się młodzieży zajęcie się wiedzą i książką? W każdym razie nie system szkolny. Umysłowe zainteresowania, jakiemi żyje myśląca część młodzieży, posiadają mało wspólnego z nauką szkolną.

„Gimnaziści np. zajmują się z zapałem naukami przyrodniczemi i ekonomią polityczną“ — konstatuje autor i pisze dalej jeszcze: „potrzeby umysłowe uczących się bardzo dalekie są

[1]) Mir Bożyj, 1903. №№ 11 i 12.

szkoły"—mimo że młodzież ta „żyje całem uczuciem, wszystkiemi siłami swej duszy."

Trudno o bardziej przekonywające świadectwo.

Drugim, prawdopodobnie w równym stopniu działającym hamująco czynnikiem są warunki materyalne. Dość nam tutaj poprzestać na danych, zebranych przez Kowalskiego. Już w gimnazyum 19% musiało się całkowicie utrzymywać, a 58% otrzymywało tylko pewną część z domu — zupełnie zabezpieczonych było zaledwie 23%. W uniwersytecie liczba samodzielnie utrzymujących się dosięga 31,6%, a mogących nie pracować na swoje utrzymanie kurczy się do 28,6%—więc 71,3% musi po za nauką myśleć o zdobyciu zarobku. Głównem źródłem zajęć służą korepetycye, których liczba nie jest stałą: najwięcej udziela 2 — 4 godzin dziennie, ale są i posiadający 6 g. zajęć. Dodajmy, że połowa prawie nie przerywa tych zajęć i podczas wakacyj — dodajmy, że ten rabunek odbywa się przy jednoczesnem, systematycznem niedojadaniu, w warunkach zdrowotnych, w których połowa stale zapada na jakąś chorobę, a 3/5 czuje się zdenerwowaną — a będziemy posiadali sylwetkę i warunki pracy studenta. Przy systemie głodzenia się i wyjaławiającej, uciążliwej pracy zarobkowej, ani mowy być nie może o normalnych studyach; przeciążenie i wyczerpanie umysłowe zjawia się tu wcześniej niż student może zająć się własnemi studyami. Intensywność pracy jest z góry wykluczona.

Przedewszystkiem więc sztucznie utworzony cały splot warunków zewnętrznych nie dozwala na swobodne, szerokie rozrastanie się umysłowości. Nie można pominąć jednak istnienia i przyczyn wewnętrznych, tkwiących w studyujących — być może zjawiska pochodnego, wtórnego, występującego jednak dość jaskrawo. Jest w nim ta dziwna, wśród młodzieży uniwersyteckiej tak często spotykana, niezdolność zatrzymania się na pewnym momencie, aż do całkowitego wyczerpania szczegółów, niemoc przemyślenia czegoś aż do ostatecznych granic. Trawieni gorączką wiedzy, przesuwają się obok głębi zagadnień, spiesząc do coraz nowych, coraz bardziej oddalonych pytań, nigdzie nie mogąc nasycić pragnień poznawczych. Proces ten bezustannego rozszerzania zakresu wiedzy bez jednoczesnego wyczerpywania każdej kwestyi rodzi wreszcie zziajanie się pracą, wyczerpanie sił myślowych i zmęczenie wprost somatyczne. Jest to jakby jakaś neurastenia poznawcza.

Stany te, nierozerwalnie sprzężone z brakiem umiejętnej, świadomej metody studyów, są poważnym hamulcem pracy napię-

tej, rodzą dyletantyzm, a wśród umysłów bardziej refleksyjnych wywołują bezdeń pesymizmu, nieufność w swe siły, żrący ból niezaradności...

Można się sceptycznie odnosić do różnych środków zaradczych — lecz bez usunięcia tych ciasnych, ujednostajniających jednostki urządzeń zewnętrznych, bez zmian w warunkach bytu młodzieży — są one trudne do pomyślenia.

Zostaje tylko miejsce na przyczyny, warunkujące sam tryb studyów, brak zupełny oryentowania się samych studentów w metodzie pracy — brak czy skrzywienie metody. A jest ona jedną z najbardziej rozstrzygających, zwłaszcza w Warszawie. Student niemiecki pomimo całkowitej swobody w wyborze i sposobie studyów, ma zawsze możność osobistego porozumiewania się z profesorem w seminaryach, — inaczej studenci warszawscy; pomimo uzależnień pozostawieni są w tym względzie zupełnie sami sobie. Znajdują się przeważnie w położeniu samouków i dla tego wiele reguł, jakie praktyka samouctwa wyłoniła [1]), a przedewszystkiem ta swoista jej metoda, tak podobna ze swego charakteru do pracy badawczej, mogłoby służyć za wytyczne w czytelnictwie i studyach.

Konstanty Krzeczkowski.

[1]) Porówn. S. Michalski, Perspektywy samouctwa. Ogniwo, 1903, № 22.

PIŚMIENNICTWO.

Z nowszej literatury o Śląsku Cieszyńskim.

W ostatnich latach w miarę wzrostu ruchu narodowego na Śląsku Austryackim, rozrastać się również poczęła i literatura, dotycząca tego kraju, omawiająca jego przeszłość i jego stan dzisiejszy. Do szerszych warstw społecznych przedostawały się jednakowoż przeważnie książki i broszury, omawiające dzisiejsze stosunki polityczne na Śląsku Cieszyńskim,—takie, jak np. Piastuna (W. Naake Nakęskiego): „*Spór czesko-polski na Śląsku Cieszyńskim*," wydany w roku 1901 we Frysztacie (str. 108; nakładem Towarzystwa „Jedność"). Dość często spotkać się też można było i ze sprawozdaniami, omawiającemi szeroko tego rodzaju—t. j. publicystyczne — prace. Natomiast inne, częstokroć bardzo cenne i ważne, szczególniej, jeśli ogłaszane były li tylko w wydawnictwach peryodycznych, tonęły w niepamięci, że wymieniny tu np. tego rodzaju pracę dr. Józefa Buzka p. t. „*Ludność księstwa Cieszyńskiego podług narodowości*," wydrukowaną w wychodzącym od r. 1892, w Cieszynie „*Miesięczniku Pedagogicznym*," (tom z roku 1901).

Mało się też wie i o materyałach gwarowych i etnograficznych, dotyczących Śląska Cieszyńskiego. W tomie IV-ym „*Materyałów antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych*," (Kraków, 1900), wydawanych staraniem Komisyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie, ogłoszono drukiem „*Powieści ludu polskiego na Śląsku*" cieszyńskim, [1]) zebrane z ust ludu jesz-

[1]) Część I w tomie IV-ym zawiera materyały, zebrane na Śląsku Cieszyńskim i wydane przez ś. p. Jana Bystronia; cz. II w tomie V-ym zawiera materyały, zebrane na Śląsku górnym (pruskim), a wydane przez R. Zawilińskiego.

cze w roku 1869 przez profesora Lucyana Malinowskiego († 15 stycznia 1898 roku). W „*Wiśle*“ zaś w rocznikach XIV-XV z lat 1900 1901 (por. też rocznik VIII z r. 1894) Stanisław Ciechanowski ogłosił „*Pieśni śląskie z okolic Cieszyna*“ (z melodyami).

Materyał to jednak wszystko surowy. Pracę do pewnego stopnia syntetyczną dał nam w roku 1903 dr. Ernest Farnik w niewielkiej rozprawie p. t. „*O poezyi ludowej na Śląsku Cieszyńskim*“ („VIII Sprawozdanie dyrekcyi prywatnego gimnazyum polskiego za rok szkolny 1902-1903,“ str. 3—36, oraz osobna odbitka, Cieszyn 1904, in 8°). Rozprawka ta składa się z dwóch części poprzedzonych „wstępem,“ w którym autor omówił pokrótce dzieje zajęcia się u nas twórczością ludową, badaniem ludu wogóle — jego podaniami, pieśniami obyczajami i zwyczajami. W części pierwszej, zatytułowanej „O pieśni ludowej“ postanowił autor „zestawić najważniejsze myśli i idee, odsłonić niektóre tajniki ducha ludu polskiego w Cieszyńskiem.“ W tym też celu omawia treść pieśni miłosnych, weselnych, małżeńskich i pasterskich, zawartych w znanych mu zbiorach materyałów etnograficznych, mianowicie w zbiorach Andrzeja Cińciały „*Pieśni ludu Śląskiego z okolic Cieszyna*,“ Kraków 1885), Juliusza Rogera („*Pieśni ludu polskiego na Górnym Śląsku*,“ Wrocław, 1863; zbiór ten zawiera również i kilkanaście pieśni z Cieszyńskiego), wreszcie w zbiorze Józefa Londzina, nauczyciela ludowego z Zabrzega; ten ostatni zbiór spoczywa dotąd w rękopisie, a z treścią jego zaznajomił p. Farnik ogół w artykule ogłoszonym w „*Gwiazdce Cieszyńskiej*“ w №№ 42 i 43 z roku 1302. Żałować jednak należy, iż do swej pracy „*O poezyi ludowej.....*“ nie korzystał autor z wymienionych wyżej zbiorów, ogłoszonych w „*Wiśle*“ i „*Materyałów antropol.-archeolog. i etnograf.*,“ jak również z pracy L. Malinowskiego: „*Zarysy życia ludowego na Śląsku*“ (Warszawa, 1877).— W części drugiej swej pracy, zatytułowanej „O domorosłych poetach“ podaje dr. Farnik charakterystykę samorodnych utworów poetyckich: tkacza Adama Sikory z Jabłonkowa, Jana Kubisza nauczyciela ludowego z Gnojnika przy Cieszynie i innych.

W głębszą, subtelniejszą charakterystykę pieśni ludowej autor się nie wdaje, poprzestając przeważnie na streszczeniach; przytem nietyle obchodzi go sama pieśń, jako taka, ile człowiek, który jest przedmiotem tej pieśni. Sądy autora nie zawsze zostały dostatecznie uzasadnione; tu i owdzie popełnił autor błąd. W każdym razie, jako rzecz popularnie skreślona, przeznaczona dla szerszego ogółu, rozprawka dra Farnika „*O poezyi ludowej na Śląsku Cieszyńskim*“ wykonana została dość dobrze. (Por. nasz obszerny rozbiór w tomie XVIII „Wisły“ (1904), str. 278—391).

Wspomnimy też tu dalej i o bardzo pożytecznej i doskonale wykonanej książeczce, a mianowicie o „*Przewodniku po Śląsku Cieszyńskim*," ułożonym przez ks. Antoniego Macoszka (Lwów — Warszawa, 1901; str. 128). Oprócz zwyczajnych rad i wskazówek dla osób zwiedzających Śląsk Cieszyński, znajdujemy w „*Przewodniku*" tym kilka bardzo ciekawych rozdziałów, poświęconych topografii, etnografii i dziejom księstwa Cieszyńskiego. Szczególniej zasługują na uwagę rozdziały: „*Górale, Sałasze*" (str. 51 — 62), „*Strój ludności w ks. Cieszyńskiem*" (str. 93 99) i „*Język ludu polskiego w Cieszyńskiem*" (str. 99—105). Do tekstu, oprócz licznych mapek, dokładnie wykonanych i widoków miejscowości, dodano również fotografie przedstawiające stroje, zabudowania i hafty ludowe.

Na str. 102—103 swej książeczki stara się autor wykreślić granicę językową polsko-morawską (czeską). Porównaliśmy ową granicę z wykreśloną przez prof. Lucyana Malinowskiego około roku 1870 (por. „*Ateneum*" z roku 1877, tom II). Okazuje się, iż na północ od Wojkowic, mniej więcej od toru kolejowego (por. mapkę w „*Przewodniku*"), łączącego Cieszyn z Frydkiem, granica na obu mapkach jest identyczną. Natomiast na południe od oznaczonego punktu, terytoryum językowe morawskie, według mapki ks. Macoszka w stosunku do mapki prof. Malinowskiego, posunęło się bardziej na wschód, a więc na niekorzyść obszaru językowego polskiego. Owo dorzecze Ostrawicy, od działu wód Morawki i Łomny, aż do jej ujścia do Odry, prof. Malinowski uważał za terytoryum morawskie, ks. Macoszek zaś pisze o niem: „Sam lud nazwał narzecze, używane w powiecie Frydeckim — morawskiem; jest to gwara polska, najsilniej zeszpecona wpływami mowy czeskiej" (str. 102—103). Za miejscowości pograniczne, w których słychać język polski i „gwarę morawską," uważa on: Lhoty pod Praszywą, Bukowice, Kocurowice, Węcławice, Bartowice, Radwanice, Hermanice i Wirbicę, nadmieniając, że i dalej na wschód od tej linii jest jeszcze kilka wsi, w których język czeski panuje w kościele i szkole, np. Dobracice, Wojkowice, Domasławice, Szobiszowice, Średnia Sucha, Szonów, Pietrzwałd, Orłowa i Dziećmorowice, aczkolwiek ludność ich po za szkołą mówi „dosyć czysto" po polsku. Wogóle im bliżej granicy północnej i wschodniej i im dalej od miejsc przemysłowych, tem język polski ludu czyściejszy, mniej w nim naleciałości czeskich i niemieckich.

Co się tyczy ludności niemieckiej w księstwie Cieszyńskiem, to zamieszkuje ona przeważnie Bielsk i wsie okoliczne: Stary Bielsk, Kamienicę (Kamitz), Wapiennicę (Lobnitz), Komorowice (Batzdorf), Międzyrzecze Górne (Kurzwald) i inne. Są to potom-

kowie dawnych osadników niemieckich, których w XIII wieku sprowadzili książęta śląscy na niezaludnione obszary kraju. Gwara ich tworzy ciekawą mieszaninę języka polskiego z niemieckim. Mamy zatem w ks. Cieszyńskiem trzy narodowości. Ścieranie się ich wzajemne i upominanie się każdej o swoje prawa i przywileje wywołało nader oryginalne zjawisko: w szkołach ludowych we wsiach Łazach, Dziećmorowicach, Zabłociu i Wirbicy uczą aż w trzech językach — w polskim, czeskim i niemieckim.

Wszystkie te książki i prace, które wyżej wymieniliśmy, dotyczą przeważnie teraźniejszości, stanu dzisiejszego na Śląsku Cieszyńskim. Przeszłością się nie zajmują, a jeśli o nią potrącą, to o jaknajodleglejszą przeważnie, jak np. w „*Przewodniku*“ ks. Macoszka, — a przytem pobieżnie i konspektowo. Zresztą, poprzestaje się pod tym względem na faktach powszechnie znanych. Dla tego też i nowsze dzieje tego Śląska pomija się milczeniem, gdyż źródła do nich leżą odłogiem, w pyle archiwów — niewydane... Mamy tu szczególniej na względzie dzieje oświaty i stanowisko i losy języka polskiego w szkole i życiu prywatnem ludności księstwa Cieszyńskiego. Pod tym względem posiadaliśmy bardzo niedostateczne i błędne wiadomości. Do dziś nawet panuje wśród szerszego ogółu przekonanie, że np. język polski na Śląsku Austryackim w literaturze miejscowej, w książkach drukowanych na Śląsku, wszedł w użycie dopiero w *połowie* XIX wieku, że język polski używany był „prawie wyłącznie w życiu domowem, a nawet nie w kościele, gdyż według zwyczaju, sięgającego jeszcze owych czasów, gdy kraina ta do Czech należała, duchowieństwo obu wyznań wolało w kazaniach i pieśniach—czeskiej, niż polskiej używać mowy...“ (Włodzimierz Spasowicz: „*Dzieje literatury polskiej*“ w przekładzie A. G. Bema. Kraków 1891, str. 528).

Tak bardzo źle jednak w rzeczywistości nie było. A jak było dowiadujemy się o tem z kilku, niewielkich rozmiarami, rozpraw pióra ks. Józefa Londzina; rzucają one snop promieni na kwestyę, tonącą dotąd w mrokach domysłów lub zupełnej niewiadomości.

Mamy tu na myśli następujące prace: „*Kilka druków śląsko-polskich z zeszłego i pierwszej połowy bieżącego stulecia z szczególniejszem uwzględnieniem innych książek polskich używanych przez ludność polską w księstwie Cieszyńskiem*“ (Cieszyn, 1898; in 8°, str. 22), „*Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w księstwie Cieszyńskiem*“ (Lwów—Warszawa, 1901; in 8°, str. 41), „*Stan szkół ludowych w księstwie Cieszyńskiem na początku XIX stulecia*“ (Lwów—

Warszawa—Cieszyn, 1902; in 8°, str. 43) i „*Bibliografia druków polskich w księstwie Cieszyńskiem od roku 1716 do roku 1904*“ (Cieszyn, 1904; in 8°, str. 38).—Są to wszystko odbitki ze „Sprawozdań dyrekcyi prywatnego gimnazyum polskiego w Cieszynie“ za lata szkolne: 1897/8, 1900/01, 1901/2 i 1903/4.

Nim jednak zaznajomimy czytelnika z treścią tych rozpraw, pozwolimy sobie poświęcić słów kilka ich autorowi.

Urodził się ks. Józef Londzin dnia 3 lutego 1863 roku w Zabrzegu pod Dziedzicami, gdzie ojciec jego był ludowym nauczycielem i organistą przy miejscowym kościele. Po ukończeniu gimnazyum w Bielsku w roku 1885, studyów teologicznych w Ołomuńcu (1885—1889), pełnił obowiązki wikarego najpierw w Strumieniu, potem w Międzyrzeczu i nakoniec w Cieszynie do roku 1897. Jeszcze jako uczeń gimnazyalny pomagał w pracy nad uświadamianiem ludu polskiego zasłużonemu i głośnemu P. Stalmachowi. Jego to on wychowanek i niejako następca w tej pięknej pracy.

Zamieszkawszy w Cieszynie, ks. Józef Londzin zajął się sprawami polskiemi na Śląsku Cieszyńskim. W roku 1890 został wybrany sekretarzem „Macierzy szkolnej,“ a po śmierci ks. Świeżego — jej prezesem. Jest redaktorem „*Gwiazdki Cieszyńskiej*,“ pisma tygodniowego i katechetą w gimnazyum i polskiej szkole ludowej; należy do zarządu kilku towarzystw i zbiera przedmioty przyszłego „Muzeum śląskiego.“ Zajmował się też w swoim czasie sprawą utworzenia gimnazyum polskiego w Cieszynie; przed kilku laty zajął się założeniem w Cieszynie „Towarzystwa ludoznawczego,“ które w roku 1903 urządziło *pierwszą* wystawę etnograficzną w Cieszynie (por. broszurę p. t. „*Wystawa ludoznawcza w Cieszynie.*“ Cieszyn 1903, ze spisem przedmiotów; in 4°, str. 4); dała ona dowód dzielnego rozwijania się na Śląsku Austryackim poczucia narodowego wśród tamtejszego polskiego ludu. Na czele komitetu wystawy stał ks. Józef Londzin.

A teraz wracamy do wymienionych powyżej rozpraw tego niestrudzonego i zasłużonego pracownika na Śląsku Cieszyńskim.

„*Kilka druków śląsko-polskich*,“ to rezultat długoletnich i żmudnych poszukiwań po różnych zakątkach kraju, wśród ludu wiejskiego, książek drukowanych w języku polskim na Śląsku lub ziemiach sąsiednich, lecz przeznaczonych dla mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. W rozprawce tej opisał autor jedenaście takich odnalezionych przez siebie druków. Znaczna ich część nieznaną była do tego czasu naszym bibliografom. Najstarszym z tych druków jest: *Wierność Bogu y cesarzowi, czasu powietrza morowe-*

go, należąca á pokazana przez Janá Muthmaná, Sługę Ewanjeliey przi kościele JEzusowym przed Cieszynem. Drukował w Brzegu, Gottfried Tramp, 1716.“ Według świadectwa autora tej książki (na str. 80) w jego czasach bardzo rozpowszechnionym był wśród mieszkańców księstwa Cieszyńskiego „*Kancyonał Polski,*“ wydany w roku 1673 w Brzegu. Tej książki jednak nie udało się dotychczas odszukać.

Z opisanych dokładnie przez ks. J. Londzina w swej rozprawie jedenastu druków, pięć przypada na XVIII stulecie — są to książki treści religijnej,—sześć zaś na pierwszą połowę XIX wieku — są to książki treści religijnej i świeckiej.

Na tytule druku z roku 1785 „*Pieśń ku mszy świentey....*“ czytamy: „*teraz dla Xionżeństwa Tieszyńskiego na zwyczayny Jenzyk przełożona,*“ a na innym z roku 1788 p. t. „*Modlitwy...*“—„*przetłumaczone na jenzyk.... ten, który jest w Xionżeństwie Tieszyńskim zwyczajny.* Oczywiście owi tłómacze tych książek (z języków obcych) nie wiedzieli, że tłómaczą na język polski; a jednak tłómaczyli na język polski — i tylko na ten — jak o tem łatwo się przekonać z odczytania kilku ustępów dokonanego przez nich tłomaczenia. Naturalnie sporo w nich, jak zresztą i we wszystkich innych drukach śląsko-polskich, germanizmów i czechizmów. Jaskrawo też występuje tam i miejscowa gwara ludności księstwa Cieszyńskiego. Ks. Londzin słusznie, opisując owe druki, przytacza z nich wyjątki; dzięki tej okoliczności właśnie można się dość dokładnie zaznajomić i z samym językiem tych książek.

W końcu swej rozprawy podaje jeszcze autor spis książek treści religijnej, używanych przez ludność księstwa cieszyńskiego, a drukowanych przeważnie we Wrocławiu, lub innych, bardziej oddalonych od Cieszyna miejscowościach.

Pracę tę uważał ks. Londzin tylko „za pierwszą próbę odtworzenia obrazu piśmiennictwa śląsko-polskiego,“ w roku zaś 1904 dał nam dokładną „*Bibliografię druków polskich w księstwie Cieszyńskiem od roku 1716 do roku 1904.*“ W omówionej wyżej pracy opisał ks. Londzin—jak widzieliśmy—zaledwie jedenaście druków wydanych na Śląsku od roku 1716 do r. 1848; po sześciu latach dalszych poszukiwań, liczba ta wzrosła do dwudziestu; ich tytuły znajdujemy w owej właśnie „*Bibliografii.*“ Połowy tych druków, jak również i licznych broszur, odezw i wierszy okolicznościowych, osobno wydanych po roku 1848 — nie wymienia „*Bibliografia polska*“ dra Karola Estreichera. Jest więc rzecz ks. Londzina niejako dopełnieniem owej „Bibliografii.“

W swojej „*Bibliografii*“ zamieścił ks. J. Londzin „nietylko śląskie wydawnictwa polskie, bez względu na to, czy autor mieszkał na Śląsku lub nie, ale także rzeczy pisane przez ślązaków lub osoby zamieszkałe na Śląsku, a wydane gdzieindziej, poza Śląskiem.“ Znajdujemy w spisie tym również i druki czeskie i niemieckie, o ile odnoszą się do historyi i życia ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskiem.

Przy sposobności nadmienię, że dokładny tytuł (nie podany, str. 35) pracy Gustawa Wańka brzmi: „*Zum Vokalismus der schlesischen Mundart.* Ein Beitrag zur *deutschen Dialektforschung*“ (Bielsk 1880, in 8°, str. 52).

Dwie inne prace ks. Londzina: „*Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych*“ i „*Stan szkół ludowych*“ w księstwie Cieszyńskiem — również wzajem się dopełniają; omówimy więc treść ich jednocześnie.

W wiekach XVI, XVII i XVIII do czasów Maryi Teresy uczono w szkołach księstwa Cieszyńskiego po czesku. Od czasów zaś Maryi Teresy i cesarza Józefa II wprowadzono nadto do szkół język niemiecki, którego uczono głównie w szkołach miejskich, językiem zaś wykładowym dla szkół wiejskich w całem Księstwie Cieszyńskiem był z rozporządzenia rządu język czeski. Szkół katolickich parafialnych (trywialnych) było w kraju tym pod koniec panowania Maryi Teresy — 32. Cesarz zaś Józef II pomnażając liczbę parafij, pomnożył też *eo ipso* i ilość szkół. Już w roku 1808 szkół trywialnych i średnich (przy kościołach filialnych i tam, gdzie kościołów nie było) liczono 60; oprócz tego ewangelickich 28; w roku 1820 katolickich — 66, w roku 1836 — 83. Oprócz tych istniała jeszcze w Cieszynie „szkoła główna,“ otwarta w roku 1778, przy której znajdował się również trzymiesięczny kurs dla kształcenia nauczycieli. Z trzeciej klasy tej „szkoły głównej“ mógł uczeń wstąpić do pierwszej klasy gimnazyalnej, zatem równała się ona dzisiejszym szkołom wydziałowym. W roku 1822 otwarto podobną w Bielsku.

Sądzono dotąd powszechnie, iż ów nakazany w szkołach ludowych język czeski panował niepodzielnie aż do roku 1848. Otóż ks. Londzin wykazuje, iż uczono w szkołach tych i po polsku i że właśnie przed tym rokiem istniały już szkoły z językiem polskim, jako wykładowym, szczególnie w miejscowościach bliżej granicy galicyjskiej położonych, np. w Ligocie (założono tu szkołę w roku 1806), w Czechowicach, w Rudzicy, Zabrzegu (w pierwszych latach piątego dziesięciolecia), a nawet w roku 1875 założono w Mazańcowicach szkołę z językiem wykładowym polskim, jak twierdzi—

co do tego ostatniego faktu — miejscowa tradycya. Również w dwóch niższych klasach „szkoły głównej“ w Cieszynie, uczono przeważnie po polsku.

Samodzielna historya szkolnictwa ludowego w księstwie Cieszyńskiem rozpoczyna się, zdaniem autora, od roku 1804, t. j. od chwili, kiedy cesarz Franciszek II wydał dekret, na mocy którego oddawał kierownictwo szkół ludowych duchowieństwu. Każde dziekaństwo tworzyło wówczas osobny dystrykt szkolny, na czele którego stał dystryktowy dozorca szkół; najwyższą zaś władzą szkolną nad owymi dziekaństwami-dystryktami, w austryackiej części dyecezyi wrocławskiej był jeneralny wikaryat, którego referentem w sprawach szkolnych był naddozorca szkół.

Pierwszym takim naddozorcą, był zasłużony wielce ks. Leopold Szersznik, były jezuita, założyciel Muzeum, noszącego jego imię. Właśnie ks. Szersznik, widząc niedogodności w szkolnictwie, wypływające z używania książek szkolnych w języku czeskim, energicznie jął się upominać o zaprowadzenie książek polskich w szkołach trywialnych, mimo, iż wyższe władze szkolne uparcie obstawały przy języku wykładowym czeskim. Ale szło tu o załatwienie formalne tej kwestyi, albowiem — jak widzieliśmy — i wówczas już t. j. na początku XIX stulecia, w wielu szkołach nauczyciele, chcąc ułatwić uczniom zrozumienie wykładanych nauk, wykładali je w języku polskim. Wykładano też i język polski jako przedmiot. Szczególnie energicznie zaprowadzenia w szkołach ludowych języka polskiego zamiast morawskiego (czeskiego), domagać się poczęło duchowieństwo od roku 1845 począwszy, jak dowodzą tego dokumenty, przedrukowane przez ks. Londzina, a wyjęte z aktów szkolnych jeneralnego wikaryatu i dekanatu w Cieszynie.

W odpowiedzi na szereg podań tego rodzaju, dekretem z dnia 2 września 1848 roku Ministeryum Oświaty zgodziło się na zaprowadzenie książek polskich zamiast czeskich. Datę tę uważać należy — jak wyraża się ks. Londzin — „za dzień urodzenia polskiej szkoły ludowej Księstwa Cieszyńskiego.“ Oczywiście ludność polska powitała zmianę tę z radością. Trudności zaś, jakie się przy tym nastręczyły, polegały głównie na braku odpowiednich polskich książek szkolnych. O katolickie było jeszcze łatwiej, bo sprowadzono z Galicyi, ale ewangelicy musieli dopiero myśleć o własnych wydawnictwach. W roku 1850 nadeszło z Ministeryum rozporządzenie, na mocy którego język polski stał się w szkołach księstwa cieszyńskiego obowiązkowym. Dzięki tej reformie język polski zataczał coraz to szersze koła wśród ludności tego kraju na niekorzyść pochłaniającej go uprzednio czeszczyzny. Powoli

budziło się też i poczucie narodowe. Niestety, w roku 1853 wydano rozporządzenie o wprowadzeniu do szkół wiejskich jeszcze i języka niemieckiego, którego uczono do tego czasu li tylko w szkołach miejskich.

Co się tyczy statystycznych danych, to te w krótkości przedstawiają się w następujący sposób. W roku 1851 na całym Śląsku Austryackim przy 172 parafiach katolickich i 13 ewangelickich było 347 szkół katolickich i 43 ewangelickich; nadto jedna żydowska; ogółem więc 391; w roku zaś poprzednim (1850-ym) było 389 szkół ludowych, a w roku 1849 — 385. Wreszcie w roku szkolnym 1899—1900 liczba wynosiła: 520 publicznych i 62 prywatnych; razem — 582. W ciągu więc drugiej połowy ubiegłego stulecia szkolnictwo, jak widzimy, znacznie się rozwinęło.

Nadmienimy tu jeszcze na zakończenie, iż w jednym z rozdziałów rozprawy *„Zaprowadzenie języka polskiego i t. d.* kreśli autor ciekawy *„Epizod z pogranicza czesko-polskiego.“* W roku 1843/4 wynikł spór o język wykładowy—polski czy czeski? — w szkołach niemieckiej i polskiej Lutyni i Dziećmorowicach. Spór ten rozstrzygnięto na korzyść Czechów. Dodać tu należy, iż głównymi sprawcami podobnych zajść, które się niejednokrotnie powtarzały, szczególniej od czasów Maryi Teresy i Józefa II aż do roku 1848, byli nauczyciele: jeśli bowiem nauczyciel był ślązakiem, to nawet w szkołach z wykładowym językiem morawskim (czeskim), chociaż i podręczniki szkolne były czeskie, udzielał uczniom objaśnień w języku polskim, jeśli zaś nauczyciel był z Moraw, to zaprowadzał znów język czeski, chociaż podręczniki szkolne były polskie.

Sporo zatem nowych danych, przynoszą nam owe rozprawy ks. Józefa Londzina. Zmieniają one — jak widzieliśmy — dotychczasowe poglądy, dotyczące życia kulturalnego i narodowego na Śląsku austryackim.

Henryk Ułaszyn.

RUDOLF PENZIG. Dr. filoz. doc. Ak. w Ber. *Jak odpowiadać na pytania dziecięce*, tłómaczyły z niemieckiego Zofja Rotszajnowa i Marya Lipska. Warszawa 1905. Nakł. M. Borkowskiego.

Etyka wychowawcza, nowa gałęź umiejętnego wychowania, która w przyszłości stanie się prawdopodobnie najważniejszą częścią programu kształcenia, wprowadzi na miejsce szablonowej,

i kaznodziejskiej, nic z życiem nie mającej wspólnego moralności, żywą etykę czynu, wyrozumowaną własnem odczuciem, i zrozumieniem praw przyrody. Jej zadaniem—kształcić młodzież na ludzi z charakterem, na ludzi ideału, na ludzi wiary społecznej, na odważnych wyznawców prawdy w życiu. Ale etyka ta w wychowaniu tylko wtedy przynieść może plon, gdy ją ze zrozumieniem psychologii dziecka stosować będziemy. Książka p. Penziga, pół filozoficza, pół pedagogiczna, zadaniu temu nie odpowiada. Uczyć ma ona matki i wskazywać wychowawcom, jak odpowiadać na pytania dziecięce. W tym celu autor w szeregu ośmiu rozdziałów porusza różne dziedziny i stosunki nastręczające się umysłowi dziecka.

Mamy dziecko na tle rodziny, przyrody, społeczeństwa; dziecko w szkole, w stosunku do służby, wobec śmierci, Boga. Uzasadnienie obyczajowości dziecięcej. Kwestye prawdy i kłamstwa. Własność. Kwestye płciowe.

Ogrom zadania. Czytelnik szuka zaspokojenia i wskazówek, a znajduje tak nieprzystosowany do umysłowości dziecka materyał, że trudno zeń wydobyć te ziarna zdrowych, pięknych myśli, które w rozumowaniach filozoficznych książki się snują.

Autor wszechstronnie w kwestyach przyrodniczych i filozoficznych oczytany i jest wyznawcą najpostępowszych poglądów i kierunków. Umysł wyzwolony i obejmujący szerokie horyzonty myśli współczesnej, przytem tolerancyjny dla innych. Ale pozbawiony wszelkiej metodyczności, nieodzownej w pedagogice. Póki rozważa sprawy ludzkie i kwestye naukowe, jako myśliciel, teoretyk, ma jasne pojęcia o przyszłości rozwojowej idei ewolucyi, o prawach przyrody, o wartościach etycznych i zadaniach społecznych jednostki.

Słabą stroną książki jest zupełna nieznajomość psychologii dziecka. Rozmowy z dziećmi, które autor przytacza dla przykładu, są często humorystyczne, pedantyczne i wprost niedorzeczne.

Przypominają jakieś średniowieczne, scholastyczne dyalogi i wykazują zupełną nieznajomość umysłowości dziecięcej. Niewiadomo o jakie dzieci autorowi idzie. W jakim wieku mianowicie: dziecko ma wskutek filozoficznej rozmowy, zrozumieć i odczuć, że narzucony z góry przez starszych rozkaz nie ma być odczuty, jako niegodny przymus, ale jako świadoma poczucia konieczność. Jestto jakieś dyalektyczne tumanienie dziecka, rozwlekłe i nudne na temat abstrakcyi o nakazach, obowiązkach, i rozsądku, zgoła dla dziecka nieprzystępne.

Autor zapomina, że dziecko unika abstrakcyi jak ognia, ucieka od filozoficznych rozmów. Ono chce faktów prostych i widomych, obrazów jasnych i wyraźnych, barw, kształtów i dźwięków. Myśli obrazami i tylko konkretna forma myślenia przemawia do jego umysłów.

Zapatrywania na istotę kłamstwa i urządzanie w pokoju dziecinnym śledztwa z rodzajem przysięgi, świadkami i innemi akcesoryami spraw sądowych, uważam za wstrętne.

Miłość prawdy u dzieci rodzi się z przykładu.

Otoczenie winne jest kłamstw spełnianych przez nie. Gdzie dokoła panuje szczerość, tam i dziecko kłamać nie będzie. Miłość i zaufanie zabiją kłamstwo.

W stosunku do służby nie uwzględnia autor najważniejszych momentów tego stosunku, współpracy dziecka ze służącą i uznanie w niej duszy równej, człowieczej, a tylko nacisk kładzie na brak w niej kultury zewnętrznej.

Znaną jest rzeczą, jak mało odczuwają normalne dzieci, tragiczny moment rozłąki z życiem. Mózg, dziecka nie jest rozwiniętym, dojrzałym mózgiem dorosłego człowieka, ulega jeszcze ciągłym stopniowym zmianom, wzrostowi, nabiera tęgości, gromadzi wrażenia. Stąd, całe obszary zjawisk i spekulacyi myślowych dla umysłu dziecięcego niedostępne.

Rozmowa o śmierci należy do najsłabszych rozdziałów. Miejscami sentymentalna, miejscami tak abstrakcyjna, że w żadnej, przybliżonej nawet formie, nie nadaje się do naśladowania. Filozoficzną parafrazę przemiany materyi po śmierci, ma każdy inteligentny wychowawca pod ręką, i można ją bez tego wzoru daleko prościej przedstawić.

Przedstawienie w oświetleniu prawdy spraw płciowych wymaga tyle subtelnej miary, taktu pedagogicznego i takiego indywidualizowania w każdym pojedyńczym wypadku, że tu ogólne jakieś przepisy lub prawidła postępowania trącą zawsze sentymentalizmem albo brutalnością. Nie uniknął tych wad i autor.

Rozdział o Bogu, pedagogicznie jest niemożliwy. Ten Bóg abstrakcyjny, niewidzialny, niesłyszalny, twórcza siła, pierwsza przyczyna wszechrzeczy, którą uznaje przyrodnik i myśliciel, jest pojęciem wysoce abstrakcyjnem, do którego dochodzi umysł po przetrawieniu całego procesu przez jaki ludzkość przechodziła. Autor w obawie przed przeładowaniem religijnem, chce by dziecko wyrobiło w sobie samo pojęcie Boga i religijności, bez narzucanych z góry wierzeń, a nieświadomie podaje mu gotową me-

tafizykę, do duszy dziecięcej zupełnie nieprzystosowaną. Jestto droga wprost przeciwna drodze rozwojowej, przez jaką przechodziły pojęcia religijne ludzkości.

Szły te pojęcia zwolna i stopniowo od naiwnych i prostych wierzeń, od panteistycznego uwielbiania sił i zjawisk przyrody do prawd filozoficznych, które prawem i rozwojem określają postęp świata i ludzkości.

Niechaj dziecko tą drogą nauki, odczutych wrażeń, przejść życiowych i myśli, samodzielnie rozbudzonej, dosięgnie tej pełni religijnych wzruszeń, jaką daje dobro, miłość prawdy i piękno.

Chaotycznie stawia autor dziecko w stosunku do natury. Kocha ją namiętnie i dziecku otwiera cudowne widoki tej matki wszechrzeczy. Ale walka o byt kłóci się z ideą celowości i dziwna plątanina poglądów społecznych i przyrodniczych, pasuje się ze sobą.

Sympatycznym rysem książki jest miłość ludzi i chęć uszczęśliwienia ich dokoła.

Wogóle, książki zawierające wskazówki i rady, jak odpowiadać dzieciom na pytania, są w zasadzie chybione. Tu nie ma prawideł ani przepisów.

Najlepsza rada i wzór najlepszy nie pomoże matce i wychowawcy, którzy nie rozporządzają odpowiedniem wykształceniem, a nadewszystko tym zasobem inteligencyi i subtelności, darem odwagi prawdy i szczerości, jaki konieczny jest w obcowaniu z dziećmi. Tu wszystko jest nieuchwytne, okolicznościowe, naturalne, a tak subtelne, jak zaklęcie magiczne. W oddziaływaniu dodatniem na dzieci, działa wpływ postępowania i czynu, zrozumienie psychologii dziecka, a nie słowa, nauki i rozmowy dydaktyczne.

Matka obdarzona tą serdeczną intuicyą, powołana kapłanka prawdy i miłości, ma własną duszę i własny swój sposób zwycięskiego pokonania wszelkich trudnych i drastycznych sytuacyj, tak własnych, jak i w stosunkach z dziećmi.

Tłómaczki wywiązały się z swego zadania bardzo dobrze, ze zrozumieniem ducha książki, bez niewolniczego trzymania się tekstu, na czem zyskał język.

Stefania Wertensteinowa.

JAN STANISŁAW MAR. *Samotni*, powieść. Warszawa, nakładem A. G. Dubowskiego, 91 Marszałkowska 91, 1905, 8-o, str. 250.

Dramat sercowy, stanowiący osnowę niniejszej powieści, da się zawrzeć w kilku wyrazach. Doktor Jerzy Karbicz, szlachetny samotnik, ma wychowanicę, Zofię Brzosko, opuszczoną sierotę, której losem zajął się szczerze, zaopiekował się nią, wykształcił starannie, a w końcu w charakterze nauczycielki umieścił w zacnym domu obywatelskim. Zofia czuje ku niemu wielką wdzięczność, więcej nawet, zdaje się jej, że go kocha, i sama mu się pierwsza oświadcza. Jerzy jest nad wyraz szczęśliwy, bo i on oddawna kochał swą wychowankę nie ojcowskiem uczuciem.

Aliści wkrótce po zaręczynach Zofia przychodzi do przekonania, że wybranym jej serca jest nie Jerzy, lecz brat jego Bohdan, artysta-malarz. Pozostanie jednak wierną danemu przyrzeczeniu, nie chce bowiem unieszczęśliwić Jerzego, któremu tyle jest winna; wychodzi więc za niego, poświęcając na ołtarzu obowiązku swe własne szczęście i szczęście Bohdana. Pozostaną tedy oboje do końca życia nieszczęśliwi i samotni, jak również i Jerzy, który po niewczasie dowiaduje się, że serca żony nigdy posiadać nie będzie.

Nie można jednak powiedzieć, by postacie tych trojga osób uwypuklały się dostatecznie w powieści, chociaż cała akcya około nich się obraca. Nie celują one ani plastyką, ani subtelnością psychologiczną, są to poprostu powystrzygane z papieru figurki; na dobitkę złego, każe im autor wypowiadać w przydługich mocno dyalogach, płaskich, nudnych, sztywnych rzeczy tak nieskończenie banalne, że graniczą poprostu ze śmiesznością. To też ludzie ci nie przemawiają do naszej wyobraźni, a los ich, aczkolwiek tragiczny, nie wzrusza nas ani trochę.

Lepiej nieco postawione są figury drugorzędne, chociaż także zasługują zaledwie na miano poprawnych szablonów. Do takich należy np. profesor Czarski, zdziwaczały po śmierci ukochanego jedynaka staruszek, synowa jego Jadwiga, która przy teściu musi grać rolę mniszki, ale nie w smak jej to idzie, bo nie do ascezy i klauzuli stworzona, i kilka innych postaci. Wyróżnia się też ekscentrycznością pani hrabina Dora Wilczewska, kurtyzana w wielkim stylu, kochanka Bohdanowa, która aż z Włoch przyjeżdża doń na pierwsze wezwanie listowne, a potem wychodzi za niego, aby znów prowadzić romans z innym.

Mamy tu wreszcie kilka operetkowych postaci cyganów-artystów i literatów-dekadentów, niewiadomo po co wyprowadzonych na scenę.

HENRYK GALLE.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI. *Różni ludzie.* Pamiętnik.—O zachodzie.—Dla użycia.—Esteci.—Paweł Gamoń.—Curriculum vitae.—Co wypada?—Tani obiad.—Po walcu. Warszawa. Nakładem i drukiem Alfreda Zonera, 1904, 8°, str. 188.

Pisząc niedawno na tem miejscu o „Chimerze“ pana Jaroszyńskiego, zrobiliśmy uwagę, że jedną z najgłówniejszych cech jego talentu jest umiejętność trafnego podchwytywania charakterów i postępków ludzkich. W powieściach jego i nowelach czujemy, że stoimy na twardym gruncie bezpośrednich postrzeżeń i faktów życiowych. P. Jaroszyńskiemu nie chodzi snać o piękne „zmyślenie poetyckie,“ o idealizowanie życia; on nie znosi pustych balonów, nadymanych wielkim wysiłkiem wątłych płuc „ideowością“; podstawą jego twórczości jest zdrowy, jędrny realizm, daleki od wszelkiej pozy czy społeczno-dziennikarskiej, czy też symboliczno-modernistycznej lub wreszcie artystyczno-arystokratycznej.

W utworach p. Jaroszyńskiego niema nic z tego, co zwą pospolicie „literaturą,“ to nie „czytane rzeczy,“ lecz niezawodnie—„widziane“ i przeczute, to życie samo, a nie jego surogat, poczęty w wyobraźni autora, blady i niewyraźny, jak widziane przez mgłę obrazy.

Brak też tym utworom nudnego i płytkiego kaznodziejstwa—autor nie myśli za czytelnika, lecz rzuca mu przed oczy kawał życia; dumaj nad tem, jak chcesz, płacz lub raduj się, rozmyślaj rozumnie lub smętnie! A potem niema w nich także silenia się na nadzwyczajną efektowność formy, na budzenie „nowych dreszczy;“ p. Jaroszyński gardzi tymi środkami i środeczkami reklamiarstwa pseudo-literackiego i kuglarskiemi sztuczkami udających talent i wiedzę grafomanów. Przeciwnie, forma jego jest prosta, czasem może aż do przesady, bywa nawet szorstka i przykra, bo takiem jest i życie samo.

Nie idzie za tem, by p. Jaroszyński zupełnie potrafił się ukryć za swoimi bohaterami, chociaż łezki liryzmu starannie i z rozmysłu unika. Podmiotowość jego znajduje wyraz w lekkiej, subtelnej iro-

nii, która co chwila przebłyska w jego utworach; on przedrwiwa poprostu swoich ludzi, ukazując ich śmieszną, a nieraz i nizką stronę duszy.

W nowelach, zebranych w zbiorek p. t. „Różni ludzie“ ta cecha temperamentu autorskiego w p. Jaroszyńskim ujawnia się bardziej może, niż w powieściach i utworach dramatycznych.

Kilka przykładów stwierdzi prawdziwość tej obserwacyi.

Weźmy np. obrazek p. t. „Esteci:“ jakiś szlagon zatracony pisze do dawnego kolegi szkolnego, obecnie krytyka i literata, że ma do niego pilny i ważny interes — chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o to, aby mu poradzić, czy nie za drogo będzie zapłacić za dwa portrety siedm rubli, portrety „całkiem ręczne,“ naprawdę „artystyczne.“ Jakże zabawny jest ten mamut filisterski, który chwali się, że jest estetą, i żona jego estetka: książki i gazety czyta, a jakże! i dusze mają oboje poetyczne... „Ano, powiadam, siedzi się w takiej fabryce—tak od serca mówi do kolegi—smród, zaduch, brudy, to jak człowiek wyjedzie na wieś z żoną w niedzielę, do tej zieloności, do tej natury — to ci będę gadał z każdym ptaszkiem, z każdym robaczkiem, z tą świnią, co pod płotem, z każdem stworzeniem. Tak mnie bierze.“

Oto otwiera się dusza ślimacza.

Pesymizm przemawia też w noweli p. t. „O zachodzie,“ której treścią jest spóźniona miłość artysty-rzeźbiarza Henryka do pięknej a niebezpiecznej rozwódki, Laury; autor śmieje się z podstarzałego kochanka, i z lwicy salonowej, która w końcu okazuje się pospolitą gąską; kto wie, może szydzi i z miłości, jej idealnych porywów, które kończą się fałszywym akordem najpowszedniejszej prozy.

Podobna jest zasada obrazka p. t. „Co wypada?,“ gdzie również namiętny płomień miłości gasi się od jednego razu błotnistym strumieniem banalności i obłudy życiowej.

W „Pamiętniku“ ostrze ironii jest nieco stępione współczuciem dla bohatera, schyłkowca o skołatanych nerwach, którego drażni każdy drobiazg, każdy najlżejszy nawet objaw bezmyślności czy lichoty moralnej, przez co współżycie z nim staje się wprost niemożliwe; ale jednocześnie czuje się pewien odcień wzgardy dla tego człowieka, który nic nie zrobi ani dla siebie, ani dla społeczeństwa, a wobec przeciwności życiowych, błahych i drobnych zresztą, znajdzie jedyną ucieczkę w kuli rewolwerowej.

Podobny jest stosunek autora do przedmiotu i w innych nowelach jak; „Dla użycia,“ „Paweł Gamoń,“ „Curriculum vitae,“ „Ta-

ni obiad," a wszystkie one są obrazem ułomności ludzkich, śmiesznych i pogardy godnych.

Ale nigdy ironia p. Jaroszyńskiego nie dochodzi do sarkazmu; podniecać się, gniewać, błyskać i grzmieć, po co? ludzie i tak się nie poprawią, po dawnemu będą ludźmi, a nie aniołami, po co więc zadawać sobie tyle fatygi? po co zatruwać sobie życie?

I z tem uczuciem pół-smutnej, pół-drwiącej rezygnacyi zamykamy tom nowel p. Jaroszyńskiego, w których nierównie więcej goryczy, niż pustej i zadowolonej z siebie wesołości.

Henryk Galle.

Kronika miesięczna.

Z powodu zaburzeń.—Biuro konsultacyi adwokatów.—Jeszcze w sprawie szkolnictwa ludowego.—Projekt związku oficyalistów rolnych.—Spór o datę urodzin Reja.—Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Wacław Mańkowski. Ś. p. Hipolit Marczewski.—Ś. p. Pantaleon Szyndler.—Ś. p. Seweryn Lutostański.—Ś. p. Ignacy Krzyżanowski.

Wydarzenia, których świadkami byliśmy w Warszawie w ostatnich dniach stycznia, doprowadziły do ogłoszenia stanu ochrony wzmocnionej, na miasta Warszawę i Łódź, tudzież na gubernie: warszawską, piotrkowską, radomską, kaliską i siedlecką.

O charakterze tych wydarzeń, rozmiarach bezrobocia powszechnego, krwawem tłumieniu rozruchów przez wojsko i t. d.—pisać tu nie będziemy. Wszystko to bowiem, oparte na komunikatach *Dziennika Warszawskiego* znalazło już odbicie w prasie codziennej, moglibyśmy więc zaledwie powtórzyć to samo, co tam już było powiedziane.

Zato poświęcimy kilka słów stanowisku, jakie wobec rozruchów warszawskich zajęło Koło Polskie w Wiedniu i prasa polska w Galicyi i w Poznańskiem.

Przedewszystkiem Koło Polskie. Uchwaliło ono jednogłośnie następującą odezwę:

„Smutne wypadki, wywołane znową robotników w sąsiedniej dzielnicy, musiały wywrzeć głębokie wrażenie na mieszkańcach kraju naszego i były już przedmiotem rozpraw w Radzie Państwa. Koło Polskie wyraża przekonanie, że wszelkie manifestacye i wszelkie inne kroki, w kraju naszym przedsięwzięte, które mogłyby się przyczynić do wzmożenia niepokoju w sąsiedniej dzielnicy, albo do nadania charakteru narodowego ruchowi, wywołanemu przez stronnictwo socyalistyczne, byłyby rzeczą najszkodli-

wszą, a najbardziej przeciwną woli, ogromnej większości narodu polskiego, która postanowiła zachować spokój i oprzeć się wszelkim prowokacyom, skądkolwiekby one pochodziły, choćby usiłowały doprowadzić społeczeństwo do rozpaczy i tym sposobem wywołać wielkie rozruchy.“

„Ktoby się dał do nierozważnych kroków porwać, albo ktoby się dał do nich przez nieszczęsną lub wrogą a podstępną namowę nakłonić, może się stać nierównie większym winowajcą, sprowadzając powszechną, a w skutkach swoich nieobliczalną klęskę narodową.“

„Koło Polskie poleca swemu prezydyum i swojej komisyi parlamentarnej, aby przekonań, w uchwale tej wyrażonych, w razie potrzeby, w Izbie poselskiej i w delegacjach z naciskiem broniły.“

Odezwa ta, nacechowana zrozumieniem istotnych interesów narodowych i oparta na zdrowej, świadomej swych celów polityce, przyjęta została w Warszawie i w całem Królestwie Polskiem z zupełnem uznaniem, streszcza ona bowiem rzeczywiście poglądy i zapatrywania nietylko ogromnej większości inteligencyi, ale i wkraczającego na drogę uświadomienia politycznego ludu. Również korzystne wrażenie wywarło zachowanie się i stanowisko prasy galicyjskiej i poznańskiej, odnośnie do wypadków w Królestwie.

„Zrozumieliśmy—pisze korespondent *Gazety Polskiej* ze Lwowa, p. *Aes*, — że opinia polska w Królestwie ma prawo zasięgnąć w krytycznym momencie zdania u tejże opinii w Galicyi, która ma wprawdzie tylko rolę widza i obserwatora, ale sądzić może spokojniej i beznamiętniej, a przy możności wyrobienia sobie poglądów — sądzić będzie także wytrawniej. Dla tego zrozumiano, że jeśli opinia polska w Galicyi pogląd swój wypowie, Królestwo nie weźmie chyba tego za „mieszanie się w nie swoje rzeczy,“ bo tu chodzi o sprawy kardynalne i zasadniczej wagi, obchodzące cały ogół polski. Trzeba się więc było zdobyć na wypowiedzenie jasne, a zarazem jednomyślne.“

Pierwszym objawem tej jednomyślności opinii polskiej była zamieszczona we wszystkich pismach Galicyi, ks. Poznańskiego i Ślązka *deklaracya*, potępiająca dążenie do wywołania rozruchów w Królestwie. Deklaracyi tej nie zamieścił tylko socyalistyczny *Naprzód* w Krakowie i idący zawsze w ogonie socyalistów w sprawach ogólnych *Kurjer Lwowski*. *Nowa Reforma*, godząc się zasadniczo na treść deklaracyi, nie zamieściła jej, gdyż nikt jej nie udowodnił, jak pisze ten organ, aby szerzyła poglądy przeciwne. *Zasadniczo* jednak i to pismo na treść deklaracyi się godzi.

Ale samo wypowiedzenie się prasy nie mogło być wystarczające. Trzeba było, aby się wypowiedziała jeszcze bezpośrednio opinia publiczna całego społeczeństwa. Ozwał się przeto głos zebrania poufnego inteligencyi różnych stronnictw w Krakowie, odezwała się także inteligencya lwowska. Wszystkie głosy - i tam i tu—wypowiadały się zgodnie w duchu deklaracyi prasy.

„Tak więc—kończy p. *Aes*,—w sprawie ostatnich wypadków w Królestwie wypowiedziały się jednomyślnie: wszystkie organy prasy polskiej, z wyjątkiem socyalistycznych, polska reprezentacya parlamentarna w Wiedniu i zgromadzenia inteligencyi polskiej różnych obozów politycznych we Lwowie i w Krakowie. Rozległ się donośny, jednobrzmiący okrzyk polskiego serca i sumienia. Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.“

Jednocześnie i opinia publiczna w Królestwie uspokoiła się nieco. Życie, zdezorganizowane na przeciąg kilku tygodni, powoli zaczyna wracać do dawnych kolei. Wprawdzie różne jeszcze niespodzianki oczekiwać nas mogą, to jednak już dziś jest widocznem, że ruch, który się rozpoczął bez wyraźnego hasła, a ztąd dawał o sobie mniemanie, że jest ruchem ekonomiczno-politycznym, wszedł obecnie w łożysko czysto eknomiczne i - zdaje się — że z tego łożyska już nie wyjdzie.

Dobrze jednak, że przy tej sposobności wypowiedziano się w sprawach największej wagi.

* *
* *

Przy Sądzie Okręgowym Warszawskim powstała nowa instytucya, która obok zogranizowanej niedawno przez grono adwokatów przysięgłych *obrony nieletnich*, stanowi poważną zdobycz w naszem życiu prawno-społecznem. Instytucyą tą jest *biuro konsultacyi adwokatów*, czyli biuro porad prawnych.

Celem biura jest udzielanie *bezpłatnie* osobom niezamożnym wszelkiego rodzaju porad oraz opinij prawnych i to nietylko w sprawach ściśle sądowych, ale i w kwestyach z dziedziny przepisów administracyjnych, gminnych, włościańskich i t. d., która to sfera życia prawnego dotąd pozostaje bez żadnej prawie opieki.

Wiadomą jest rzeczą, że chcąc w całym zakresie z praw istniejących korzystać, trzeba przedewszystkiem te prawa znać.

W rzeczywistości jednak ludzi znających prawo jest stosunkowo liczba niewielka. Wykształcenie prawno-polityczne wśród ogółu inteligencyi, nie pracującej na polu prawnictwa *zawodowo*, jest u nas zaledwie w zalążku. Ludzie zkądinąd bardzo wykształceni nie znają najprostszych nawet zasad prawa cywilnego, karnego, państwowego i administracyjnego, a cóż dopiero mówić o znajomości ustaw. Prawodawstwo rosyjskie dość zresztą jest zawikłane, aby swoją niezliczoną ilością dopełnień, rozporządzeń, wyjaśnień, orzeczeń mogło ludzi niefachowych zachęcać do zagłębiania się w te labirynty bez z góry powziętego przekonania o zabłądzeniu. Każdy lęka się dotykać rzeczy, które pochłoną mu mnóstwo czasu, a mogą niedoprowadzić wcale do rozwikłania nastręczających się pytań. Kwitujemy więc ze znajomości prawa i udajemy się do adwokatów w każdej, najbłahszej nawet kwestyi prawnej.

Ludzie zamożni i ludzie mieszkający w wielkiem mieście mogą to uczynić łatwo, ludzie jednak ubodzy i mieszkający zdala od miast, w których skupiła się palestra, są albo zupełnie pozbawieni pomocy prawnej, albo wydani na łup doradzców pokątnych, którzy mimo tyloletniej, prowadzonej przeciwko nim kampanii, potrafili się jeszcze utrzymać. A tymczasem porada prawna dla mieszkańca wsi lub małego miasteczka jest równie potrzebna, jak i dla każdego innego obywatela, który pragnie w tym lub innym zakresie praw swoich dochodzić lub bronić.

W ostatnich czasach np. niejednokrotnie czytaliśmy w dziennikach o sprawach natury administracyjnej, których część znaczna wynikała z nieznajomości raczej dróg prawnych do przeprowadzenia słusznych żądań, aniżeli z wyraźnej, świadomie działającej woli przestępnej. Tak było np. w kilku sprawach o t. zw. *opór władzy*, gdzie włościanie, mając za sobą słuszność prawną, uciekli się do gwałtu, opuszczając drogę legalną, która niewątpliwie byłaby ich do właściwego celu dprowadziła, nie narażając nikogo na proces karny, a nawet, jak to bywało, i na więzienie kilkomiesięczne.

Otóż z chwilą otwarcia biura konsultacyi prawnej, do którego zgłosić się może o poradę każdy człowiek niezamożny bądź osobiście, bądź nawet piśmiennie (§ 10 przepisów konsultacyi), tego rodzaju sprawy powinny się stać o wiele rzadsze.

Nadto dla niezamożnej ludności Warszawy i jej okolic, biuro będzie ucieczką w każdej ważniejszej sprawie, czy to natury majątkowej, czy jakiejkolwiek innej i tę właśnie niezamożną ludność odbierze ono, jako klientelę, wszelkiego rodzaju doradzcom i „adwokatom,“ którzy żyją często z krwi i potu najbiedniejszych, a cie-

szą się powodzeniem wśród szarego tłumu tylko dla tego, że wydają mu się *tańsi* od adwokatów przysięgłych. Wobec tego *bezpłatność* biura jest jego ogromną zaletą, bo nie dość jest mieć siłę moralną do dochodzenia swoich krzywd, ale trzeba mieć także i siłę materyalną na przeprowadzenie tych dochodzeń, a biedni tej siły właśnie nie mają.

Biuro tymczasem albo załatwi ich bezpłatnie, albo wskaże im, do którego adwokata z daną sprawą należy się zwrócić tak, aby dostała się ona w ręce kompetentne i kosztowała jaknajmniej.

Dla idei sprawiedliwości, która jest podstawą wszelkich działań prawnych i dla której urzeczywistniania istnieją sądy, rzecz ta posiada również znaczenie pierwszorzędne, w obecnych bowiem warunkach często zdarza się, że ktoś jedynie z obawy przed kosztami, kłopotem i ewentualnemi konsekwencyami natury osobistej, najsłuszniejszej nawet sprawy nie kieruje do sądu i nie szuka sprawiedliwości tam, gdzie mu się ona słusznie należy i gdzie stanowi ona nietylko jednostkowy, ale powszechny interes.

I oto dla czego w biurze widzimy instytucyę o charakterze kulturalno-społecznym.

Witamy ją też z całkowitem uznaniem, na jakie zasługuje, życząc jednocześnie pomyślnego rozwoju ku pożytkowi szerokich warstw, które prawa nie znają i nie wiedzą nawet, że jego „nieznajomością tłómaczyć się nie można“ i że nieznajomość ta „wyrządza szkodę.“

*

* *

Powołując się na podaną przez nas w zeszycie listopadowym *Bibl. Warszawskiej* notatkę o szkolnictwie ludowem, wywołaną korespondencyą z Warszawy do dziennika petersburskiego *Nowoje Wremja* i odpowiedzią *Gazety Polskiej* na tę korespondencyę, p. G. G. zamieścił w tej ostatniej szereg uwag, które ze względu na doniosłość kwestyi uważamy za swój obowiązek streścić tutaj, aby czytelnikom dostarczyć jak najwięcej materyału w tym przedmiocie do rozważań, nastręczających się każdemu umysłowi w chwili obecnej z większą niż kiedykolwiek siłą.

W polemice *Gazety Polskiej* z korespondentem *Now. Wrem.* —p. G. G.—więcej widzi dowodów, opartych na logicznych zasadach, aniżeli z życia wziętych.

We wzmiankowanej korespondencyi zaznaczono między innemi, że w r. 1899 na 993 tysiące dzieci w gminach wiejskich dziesięciu gubernii Kr. Polsk. uczęszczało do szkół gminnych i gromadzkich tylko 177,000 czyli 17%. W obecnym zaś czasie, choć liczba tych szkół się zwiększyła, to jednak zupełnie nie stosunkowo do wzrostu ludności, a odsetek dzieci, korzystających ze szkół, stał się jeszcze mniejszy.

Korespondent zaznacza, że włościanie na ogół sprzyjają szkołom, ale nietylko zniechęcają ich koszta utrzymania szkoły, ale skarżą się, że dzieci nie uczą się tego, co koniecznie potrzebne w życiu włościańskiem, że ksiądz nie uczy religii, a język rodzinny tak zaniedbany, że dzieci nie mogą czytać swobodnie na książce do nabożeństwa.

Wydelegowana w celu zbadania złego komisya, upatruje przyczynę w opinii, wydanej przez komisarzy włościańskich, że „jeszcze nie wszystkie szkoły wioskowe zamieniono na gminne, a temu sprzeciwiają się obywatele ziemscy i koloniści Niemcy, ponieważ w razie przejścia szkoły w ręce gminy, wypada im płacić na szkołę, zupełnie im niepotrzebną.“

Gaz. Polska twierdzi i logicznie udowadnia, że obywatele ziemscy nie są i nie mogą być przeciwnikami oświaty, chociażby we własnym swoim interesie.

Ale — zdaniem p. G. G. — kwestya szła nie o to, tylko o *opozycyę* ziemian w przeistoczeniu szkół wioskowych na gminne, a opozycya ta, jest *konieczna*, „każdy bowiem kto zna dokładnie stosunki wiejskie, musi w tem niefortunnem przeistoczeniu szkół wioskowych na gminne znaleźć tamę w rozwoju szkolnictwa początkowego.“

Tak też to zrozumieli włościanie powiatu miechowskiego. Gdy w r. 1903 do tworzących się komitetów rolniczych gubernialnych włościanie nie zostali powołani i w komitetach tych radzono o nich bez nich, choć ministeryum głównie kładło nacisk na ich potrzeby, w roku następnym, 1904 podali oni sami od siebie prośbę na ręce prezesa ministrów Wittego o uwzględnienie najpilniejszych dla nich potrzeb, a między innemi o zreformowanie szkolnictwa początkowego.

Prośba ta brzmi, jak następuje:

„Każdy z nas, umiejących czytać i pisać, wie dobrze, jakie ma znaczenie oświata dla naszego dobrobytu, postępu naszych gospodarstw i rozwoju moralnego. O opiekę nad tą oświatą bardzo pana ministra prosimy.

„Mimo usiłowań władz rządowych a naszych pragnień, oświata ludu idzie żółwim krokiem. Dla tego też udajemy się z pokorną prośbą o pewne zmiany niezbędne w naszych warunkach.

„Do r. 1886 mieliśmy w naszym powiecie tylko szkoły gromadzkie utrzymywane kosztem jednej lub kilku wsi okolicznych. Stosownie do potrzeb i rozumu rodziców, we wsi powstawała szkoła, której utrzymanie nie obciążało zbytecznie mieszkańców wsi.

„W tym to czasie, na żądanie naczelnika powiatu i komisarza włościańskiego, wszystkie szkoły wiejskie zamieniliśmy na szkoły gminne, ufając obietnicom, że jak dwory będą opłacały składkę, będzie nam lżej, a szkół więcej przybędzie.

„Po kilkunastu latach cóż się okazało? że zmiana nazwy szkoły zagrodziła nam drogę do oświaty. Nauczycielom podniesiono pensyę od trzech do czterech razy. Ciężar nam się nie zmniejszył, ale znacznie zwiększył.

„Nie na tem jednak polega złe. Dziś, gdy potrzeba we wsi nową założyć szkołę, musimy z projektem tym udawać się na zebranie gminne, które zazwyczaj projekt taki odrzuca, a to dla tego, że te wsi, które mają szkołę gminną, opłacaną przez ogół mieszkańców gminy, nie mają żadnego interesu nakładać na siebie ciężar utrzymania nowej szkoły. Próbowaliśmy zakładać szkoły gromadzkie, z warunkiem, aby nas zwolniono od opłat na szkoły gminne, to jednak, jako sprzeczne z ustawą gminną, przyjęte nie zostało. Wobec tego niepodobna, aby wieś sama swoim kosztem utrzymywała u siebie szkołę, a prócz tego płaciła na 4 lub 5 szkół gminnych, z których nie korzysta wcale.

„Drugim, nader ważnym powodem, tamującym rozwój umysłowy dziecka, jest zniesienie ukazu 1864 r., mocą którego nauczyciel wykłady początkowe nauk prowadził w języku rodowitym.“

„Aż nadto dobrze znany doniosłość znajomości języka państwowego, abyśmy nie pragnęli, by dzieci nasze znały język rosyjski.

„Zważywszy jednak, że wykłady w szkołach gromadzkich lub gminnych, trwają zaledwie 5 miesięcy, to dziecko w pierwszym roku, idąc do szkoły, traci cały rok na to, aby zaledwie zrozumieć mogło nauczyciela. Po przerwie nauki siedmiomiesięcznej, zapomina wszystko i w drugim roku znów od początku zaczyna się nauka. To nawet zniechęca rodziców, gdy dziecko po kilku latach uczęszczania do szkoły nie potrafi w *żadnym* języku przeczytać lub napisać listu do brata, służącego w wojsku.

„Wobec tych danych najpokorniej prosimy pana ministra, aby w każdej gminie była tylko jedna szkoła w zakresie wyższym t. j. aby do niej przyjmowano dzieci, które skończyły i złożyły egzamin ze szkoły wioskowej. Aby kurs nauk w szkole wioskowej był dwuletni, z 6-iu miesiącami wykładów, a w szkole gminnej 3 letni — z ośmiu miesiącami.

„Na utrzymanie szkoły wioskowej czyli gromadzkiej pociągnąć wszystkich mieszkańców wsi, nie wyłączając dworów. Właściciele realności opłacaliby składkę w stosunku podatku gruntowego, a bezrolni — w stosunku ich dochodów; pensye zaś nauczycieli szkół wiejskich, aby mogły być tak, jak dawniej — w pieniądzach, zsypce zboża i ziemi, stosownie do zamożności gromady.

„Tak do szkół wioskowych, jak gminnych, najpokorniej prosimy o wprowadzenie wykładów w języku rodowitym, z obowiązkiem nauczania się języka państwowego.“

Dokument ten jest niewątpliwie znamienny i rzuca na sprawę światło lepsze, niż wszelkie dyssertacye gabinetowe.

Dalej p. G. G., przytoczywszy kilka z życia wziętych przykładów, zwraca uwagę na inne wadliwości obecnego systemu zakładania i utrzymywania szkół.

— Dziś — mówi on — gdy szkołę gmina ma budować, projekt i kosztorys wychodzi z dyrekcyi naukowej, która wydaje szablonowe plany, bez uwzględnienia zamożności mieszkańców. Koszty te wynoszą od 5000 — 6000 rb. i więcej. W ten sposób gmina, projektująca założenie 4 szkół, musiałaby wydać najmniej 20,000 rb. na budowę, a następnie płacić po 1600 rb. *rocznie* na nauczycieli i jeszcze na remont tych szkół łożyć. Czyż podobne dobrowolne opodatkowanie byłoby możliwe nawet w społeczeństwie kulturalnem?

To wszystko nie może wpływać na podniesienie oświaty.

I gdyby komisya wybrana do zbadania przyczyn analfabetyzmu u nas, zamiast dróg pośrednich, udała się wprost do włościan, prędzej znalazłaby przyczynę złego, jak również środki zaradcze.

Że lud nasz pragnie oświaty, najlepszym dowodem są liczne procesy i kary za pokątne nauczanie czytania i pisania. Przy zbieraniu cyfr statystycznych, co do analfabetów w pow. miechowskim z okazyi wystawy w Miechowie, p. G. G. osobiście przekonał się, że $^2/_3$ włościan, umiejących czytać i pisać *uczyło się w domu*, nie zaś w szkole.

Według niego też przyczyny stagnacyi w szkolnictwie wiejskiem należy szukać głównie w różnych cyrkularzach, które systematycznie paczyły ducha ukazu z 1864 r.

Monarcha ukazem tym powołuje „do nowego, obywatelskiego życia stan włościański Kr. Polskiego“ i przypuszcza go do „udziału w ważnem dziele urządzenia szkół początkowych.“

Wyraźną więc myślą przewodnią woli Prawodawcy było, aby włościanie sami organizowali te szkoły i stosownie do swej zamożności ofiary na oświatę składali.

Dalej w art. 38 postanawia Prawodawca, aby: „nauczyciele i nauczycielki szkół początkowych gminnych i wioskowych wybierani byli z pomiędzy osób znanych z nieposzlakowanego prowadzenia się, bądź przez samo zebranie gminy lub wioski, bądź też za wiedzą i zgodą tegoż zebrania przez wójta gminy z ławnikami i sołtysami.“

A więc według *ukazu* — do gromad i do zebrań gminnych należy wybór nauczycieli. Dzisiaj tymczasem są oni *mianowani*.

Dla czego to prawo wyboru — zapytuje p. G. G. odebrano mieszkańcom?

A przecież według § 42 do nich należy nietylko wybór, ale nawet usunięcie nauczycieli, jeśli ci zawiedli położone w nich zaufanie. Może więc władzy chodziło, aby na kresach mieć ludzi zaufania? Ale i to Prawodawca przewidział.

W art. 46 powiedziano: „Z powodu nadzwyczajnych okoliczności krajowych na naczelników dyrekcyj naukowych wkłada się obowiązek przy pierwszem przez nich zwiedzaniu szkół początkowych przekonać się, jak dalece dotychczasowi nauczyciele i nauczycielki odpowiadają położonemu w nich zaufaniu i zapowiedzieć właściwym zebraniom, że w razie, jeśliby osoby te okazały się winnemi rozsiewania szkodliwych wieści, albo podmawiania, lub jakichbądź innych, przeciwnych ogólnemu porządkowi zamiarów, *Zebranie* to ulegnie karze pieniężnej, wyrównywającej rocznej płacy, obecnie przez winnego pobieranej“ i t. d. Według tego art. nawet „w czasie niespokojnym“ — prawo wyboru pozostawało w swej sile.

Wreszcie w art. 8 powiedziano: „Zawiadywaniu zebrania wioskowego podlegają szkółki dla jednej tylko wioski założone i środkami tejże wioski utrzymywane.“ Ukazem tym gromada nie jest skrępowana wysokością pensyi nauczyciela; jeżeli podejmie się on nauczać dzieci czytać i pisać za nizką opłatą, to nikt mu tamy stawiać nie powinien.

Oto w skróceniu podane uwagi p. G. G. Rozpatrując się w nich, musimy dojść do wniosku, że rozwiązanie kwestyi szkolnictwa ludowego jest przedewszystkiem kwestyą przywrócenia mocy prawa, a ponieważ w tym właśnie duchu wypowiedział się

Najwyższy Manifest z dn. 25 grudnia r. z., więc możemy mieć nadzieję uregulowania w bliskiej przyszłości opłakanych zaiste stosunków, panujących u nas w tej dziedzinie.

*

* *

W ważnej sprawie zabezpieczenia bytu na starość wysłużonym oficyalistom rolnym podniósł się świeżo głos, który zasługuje na uwagę, jako inicyatywa jednostki. Oto p. Władysław Wroński ze Skrzeszowa w pow. słomnickim gub kieleckiej nadesłał pismom warszawskim następującą odezwę:

„Na wszystkich polach działalności powstały związki i stowarzyszenia pracowników. Adepci przemysłu, handlu, lekarze, prawnicy, farmaceuci, a nawet kelnerzy, kucharze, stolarze i krawcy potworzyli stowarzyszenia—tylko o *związku oficyalistów* głucho. A sprawa bardzo żywotna i nadzwyczaj paląca.

Widzimy, jaka jest przyszłość, jaka jest starość oficyalisty rolnego. Tych, którzy wysłużyli emeryturę, możnaby nieledwie na palcach policzyć. A reszta, te tysiące starców, te wdowy i sieroty po oficyalistach rolnych, na jakiż los są skazane?

Aż nadto jaskrawo występuje tu nasza niezaradność. A przecież mogłoby być inaczej, jeśli nie zupełnie dobrze, to w każdym razie daleko lepiej, niż jest.

Czas już wielki przebudzić się z drzemki. Jest nas dużo, ale rozproszonych. Otóż powinniśmy utworzyć związek, obejmujący cały kraj, z centralnym zarządem i biurami oddziałowemi. Celem takiego związku byłoby: zabezpieczenie starości pracownikom rolnym, ewentualnie utworzenie kasy emerytalnej lub pożyczkowo-oszczędnościowej, wzajemna pomoc w nieszczęśliwych okolicznościach, podniesienie poziomu etycznego, oraz pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy t. j. łatwiejsze wyszukiwanie jej, a zatem polepszenie bytu materyalnego. Biura stowarzyszenia powinny nam zupełnie i z lepszym skutkiem zastąpić dzisiejsze kantory rekomendacyjne. Obowiązkowe przyjmowanie posad tylko za pośrednictwem biura dawałoby związkowi dość poważny dochód, bo tak pracownicy, jako też pracodawcy chętnie ofiarowaliby 1%—2% od umówionego wynagrodzenia i obie strony byłyby zadowolone, bo ustałoby dość kosztowne poszukiwanie „po omacku,“ które się

praktykuje dzisiaj. Obecnie, gdy zawakuje posada, zgłasza się na nią kilkunastu kandydatów osobiście, a kilkudziesięciu listownie, tymczasem jeden tylko z kandydatów posadę otrzymał, reszta daremnie traciła czas i koszty podróży, a tego właśnie można uniknąć — trzeba tylko dobrej woli.

Do *Związku* mogliby przystąpić wszyscy oficyaliści rolni, leśnicy i gorzelani.

Następnie p. Wroński prosi interesowanych, aby zgłaszali się do niego piśmiennie, a po otrzymaniu pewnej, większej ilości zgłoszeń obiecuje zająć się praktycznem wykonaniem projektu.

Podajemy wiadomość o tem w nadziei, że czytelnicy nasi ze sfer ziemiańskich zechcą nietylko poinformować o projekcie swoich oficyalistów, ale i zachęcą ich do rychłego porozumienia się z inicyatorem samopomocy pracowników rolnych, sprawa ta bowiem na poparcie zasługuje.

*

* *

Z powodu przypadającej w r. b. 400-tnej rocznicy urodzin znakomitego poety Mikołaja Reya z Nagłowic, pomiędzy historykami literatury wywiązał się spór o ścisłe określenie daty urodzin poety, dotychczas nie ustalonej.

Spór ten rozwiązał bardzo szczęśliwie i trafnie, a zdaje się że i ostatecznie p. Gabryel Tołwiński, matematyk i astronom.

„Uczeni historycy — mówi p. Tołwiński — przy oznaczaniu ważnych dat, chętnie uciekają się do drobiazgowego roztrząsania faktów, mających jakikolwiek związek z wydarzeniem, którego datę należy określić, natomiast rzadko stosują metodę czysto astronomiczną, przy której pomocy w wielu razach można rozstrzygnąć kwestyę łatwiej, a przytem bardzo dokładnie.

W danym razie datę urodzin Reja można łatwo oznaczyć, wiedząc, że przyszedł na świat w mięsopustny wtorek 1505 roku.

Niedziela mięsopustna (*sexagesima*) przypada na 56 dni przed Wielkanocą. W roku 1505 Wielkanoc była w dniu 23 marca; odliczywszy 56 dni wstecz, otrzymamy dzień 26 stycznia (niedziela mięsopustna), zatem mięsopustny wtorek obchodzono dn. 28 stycznia.

Tą samą datę podaje p. Ignacy Chrzanowski, robiąc słuszną uwagę, że ci, którzy datę urodzin Reja kładą na dzień 4 lutego,

nie rozróżniają niedzieli zapustnej od mięsopustnej; ta druga przypada o tydzień wcześniej.

Zdawałoby się, że kwestya jest rozwiązana i datę urodzin wielkiego pisarza należy obchodzić w dn. 28 stycznia. Tak bynajmniej nie jest. W roku 1505 obowiązywał *stary* styl, gdy nowy był zaprowadzony przez papieża Grzegorza XIII w roku 1582.

Posiłkując się nowym stylem, jako znacznie dokładniejszym, powinniśmy również uwzględnić i tę okoliczność, że rocznica urodzin Reja przypada w dniu 28 stycznia według *starego* stylu. Od soboru Nicejskiego t. j. od r. 325 chwila wiosennego porównania dnia z nocą wciąż cofała się i na początku XVI stulecia przypadała w dniu 11 marca, cofnęła się więc o 10 dni. Błąd ten w rachubie czasu zauważono już za czasów Reja, gdyż w 1515 r. papież Leon X wezwał pomocy kilku Akademij, a w ich liczbie znajdowała się i Szkoła w Krakowie, która poleciła opracowanie odpowiedniego projektu Marcinowi z Olkusza, późniejszemu rektorowi.

Na początku XVI stulecia różnica pomiędzy kalendarzami wynosiła zatem 10 dni, czyli dacie 28 stycznia st. st. odpowiada data 7 lutego n. st. Odpowiednie wyliczenia wykazały nadto, że licząc według nowego stylu, dzień 7 lutego 1505 r. przypadłby we wtorek, gdyby zaprowadzenie ulepszonego kalendarza było przyspieszone o lat kilkadziesiąt.“

A zatem — nie powinno ulegać wątpliwości, że ścisłą datą urodzin Reja jest dzień 7 lutego i ten należałoby ustalić we wszystkich podręcznikach.

*

* *

Dnia 4 stycznia r. b. zmarł na Podolu ś. p. Wacław Mańkowski, ziemianin i filantrop.

Urodzony dn. 28 września 1820 r., ś. p. Mańkowski wcześnie, bo jako 17 letni zaledwie młodzieniec, rozpoczął pracę na roli, obejmując po śmierci rodziców administracyę rozległych ich interesów i opiekę nad licznem, młodszem rodzeństwem. Dojrzewał więc na zagonie ojczystym, a kształciła go najlepsza szkoła — życie.

W latach późniejszych, kiedy fortuna rodzinna nie wymagała już ustawicznej a troskliwej pieczy, a obowiązki opiekuńcze usta-

ły, chętnie poświęcał Mańkowski swój czas sprawom szerszym, obywatelskim.

Powołany dwukrotnie na stanowisko marszałka szlachty powiatu Jampolskiego, z godnością piastował ten wysoki urząd honorowy, będący dowodem zaufania i szacunku ziemian okolicznych.

W następstwie przez czas pewien był także honorowym kuratorem gimnazyum Kamienieckiego.

Nie obce mu było także i pióro.

Żyjąc w przyjaźni z Janem Koźmianem (późniejszym księdzem), który w Berlinie gromadził dokoła siebie młodzież i — odrywając ją od kart i hulanek — pracował nad moralnem jej podniesieniem, ś. p. Mańkowski przejął się również temi zasadami i zachęcony przez Koźmiana zaczął pisać w ich kierunku. Drukiem ogłosił dwie powieści. Jedna z nich nosi tytuł „Karolina,“ druga „W kraju i za granicą.“ Obydwie w swoim czasie miały powodzenie.

Nie literatura była jednak właściwem jego polem działania. Wyręczył go w tym względzie synowiec, chlubnie dziś znany powieściopisarz.

Ś. p. Wacław stworzony był do pracy na roli i jej całe swoje życie poświęcił, wzorowo administrując majątkami, które pod ręką jego rosły i mnożyły się.

Zdobywszy na tej drodze wiele, ś. p. Mańkowski wiele też łożył na cele publiczne. Sam nie mając dzieci, opiekował się cudzemi. W kronikach niejednego zakładu wychowawczego i przytułku imię jego zapisane zostało z wdzięcznością, a i Warszawa otrzymała od małż. Mańkowskich dar hojny, w postaci przytułku dla chłopców na Pradze.

Umarł, doszedłszy lat sędziwych, zachowując do ostatka żywą inteligencyę, która mu była wierną towarzyszką życia i której nawet późna starość nie zdołała przyćmić.

*

* *

Sztuce polskiej ubyło w ubiegłym miesiącu dwóch przedstawicieli: ś. p. Hipolit Marczewski i ś. p. Pantaleon Szyndler.

Ś. p. Marczewski, znany i ceniony rzeźbiarz, urodził się we wsi Dobra w Kaliskiem dn. 13 sierpnia 1854 r. Kształcił się

w Warszawskiej szkole rysunkowej, skąd przeszedł do pracowni rzeźbiarskiej Cynglera, gdzie praktycznie studyował przez lat kilka. W r. 1878, jako stypendysta Towarzystwa Zachęty wyjechał Marczewski do Rzymu i tam wstąpił do Akademii Królewskiej Ś-go Łukasza.

Atmosfera artystyczna wiecznego miasta oddziałała na talent młodego rzeźbiarza korzystnie. Zaczął tworzyć. Z tych czasów pochodzi jego figura ks. Kordeckiego, uwieńczona nagrodą na konkursie Zachęty.

W r. 1884 Marczewski powrócił do Warszawy i osiadł w niej, rozpoczynając twardą walkę z losem. Walka ta nie pozwoliła już rozwinąć się całkowicie jego szczeremu talentowi. Dzieła jego, jak popiersie Bohdana Zaleskiego, A. E. Odyńca, Homer, „Zalecanki," pomnik dla Moniuszki w foyer Teatru Wielkiego, grupy dekoracyjne dla odnowionej Bibl. uniwersyteckiej, dla Tow. wioślarskiego, na dom hr. Łubieńskiego, „Zośka," biust Chopina i t. d. mają niewątpliwie swoją wartość, ale nie zjednały artyście tego rozgłosu, do jakiego z pewnością byłby doszedł przy pomyślniejszych warunkach pracy.

O wiele większym rozgłosem i uznaniem cieszył się ś. p. Pantaleon Szyndler.

Urodzony w r. 1846 od najwcześniejszej młodości Szyndler poświęcił się malarstwu. Był to prawdziwy talent „z bożej łaski," który odbył wielce charakterystyczną, a dziś już niezmiernie rzadką ewolucyę. Oto Szyndler zaczął od malarstwa pokojowego, a skończył na trwałych dziełach, które imię jego dobrze zapisały w rocznikach naszej sztuki.

Porzuciwszy malowanie szyldów i sufitów, w r. 1866 wstąpił Szyndler do Warszawskiej szkoły rysunkowej, a w kilka lat potem wyjechał do Monachium.

W r. 1872 widzimy go już w Rzymie, gdzie maluje z powodzeniem prześliczne typy miejscowe i wystawia większą kompozycyę religijną: „Śmierć Św. Afry."

Z Rzymu przeniósł się artysta do Paryża. Tam oddaje się przeważnie malarstwu portretowemu i dochodzi do nadzwyczajnych rezultatów w malowaniu ciała kobiecego. Z Paryża jedzie jeszcze dla studyów do Florencyi, wreszcie w r. 1884 powraca do Warszawy, gdzie jako portrecista zyskuje sobie duże uznanie.

Obok całego szeregu portretów w tej dobie jego twórczości powstają znane obrazy: „Beata Puella," „Superba," „Dramat w seraju," „Kardynał," „Nubijczyk," „Opactwo Westminster," „Brzegi Atlantyku," „Ewa," nagrodzona w r. 1889 listem pochwalnym na

Wystawie Paryskiej i wiele rzeczy drobniejszych, zwłaszcza typów kobiecych.

W r. 1892 opuścił Szyndler Warszawę i przeniósł się do Częstochowy, zamierzając poświęcić się malarstwu religijnemu.

Talent jego znajdował się już wszakże na wyczerpaniu i ten ostatni okres życia artysty nie przyniósł już sztuce nic nowego.

*

* *

Dn. 2 lutego r. b. zmarł ś. p. Seweryn Lutostański, do niedawna członek Izby Sądowej Warszawskiej, a niegdyś asesor sądu poprawczego oraz sędzia apelacyjny i członek departamentów Senatu. Zmarły należał do najwybitniejszych u nas znawców prawa karnego i handlowego.

*

* *

Dn. 10 lutego r. b. zmarł w Warszawie najstarszy z współczesnych nam muzyków polskich, znany niegdyś kompozytor ś. p. Ignacy Krzyżanowski.

Urodzony w r. 1826 w Opatowie, ś. p. Krzyżanowski kształcił się w Krakowie gdzie około r. 1842 ukończył wydział filozoficzny na uniwersytecie Jagiellońskim. W r. 1843 wyjechał do Paryża, gdzie wstąpił do Konserwatoryum muzycznego, biorąc jednocześnie lekcye od Chopina.

W r. 1850 powrócił do kraju i osiadł w Warszawie, poświęcając się działalności pedagogicznej. Jako kompozytor wydał kilka nokturnów, fantazyi, mazurów, dwadzieścia kilka pieśni i t. d. W swoim czasie wszystkie te utwory cieszyły się zasłużonem powodzeniem, dzisiejszemu pokoleniu jednak nawet nazwisko Krzyżanowskiego było obce.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI i TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 9 grudnia 1904 r. w Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się posiedzenie Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, pod przewodnictwem Prof. D-ra *M. Sokołowskiego.*

Przewodniczący zdał naprzód sprawę ze swej wycieczki naukowej do Lublina, w jesieni t. r. odbytej.

W r. 1899 p. Józef Smoliński odkrył w kaplicy zamkowej (dzisiaj więziennej) w Lublinie, ślady malowań ściennych. Odkrycie to uzupełnił, a raczej przeprowadził, na najznaczniejszej części kaplicy, p. Pokryszkin, architekt rosyjski, wysłany w tym celu przez cesarską Komisyę archeol. w Petersburgu do Lublina.

Referent uzyskawszy zezwolenie Komisyi, zbadał dokładnie kaplicę oraz pokrywające ściany jej malowania. Już sama architektura budowli tej budzi niemały interes. Jest to bowiem gotycka kaplica podwójna, t. j. górna i dolna, o zupełnie tych samych wymiarach. Sklepienie wspiera się na jednym środkowym filarze, jak w krakowskim kościele Św. Krzyża. Kaplicę zbudowano pod wezwaniem Św. Trójcy — podobnie jak szereg kościołów i innych kaplic z czasów Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka. Jest to więc wezwanie jagiellońskie. Jeden z fresków, pokrywających jej ściany, na którym wyobrażono fundatora, skupia też przedewszystkiem uwagę badacza. N. P. Marya z Dzieciątkiem siedzi na tronie, po którego bokach stanęło dwóch Świętych; przed tronem Maryi klęczy król, któremu towarzyszą dwaj pachołkowie. Jeden z nich reprezentuje władzę wojskową króla, drugi (dziś Mistko) jego władzę świecką, a raczej kancelaryę ruską Jagiełły. Że królem tym jest nie kto inny, lecz Władysław Jagiełło, świadczy o tem szereg faktów, nad którymi referent szczegółowo się zastanawiał. I tak, król na fresku wygląda na mężczyznę 60 kilkoletniego, Jagiełło zaś liczył w r. 1415 t. j. w roku ukończe-

nia malarskiej dekoracyi kaplicy 65 lat. Postać króla na fresku odpowiada zupełnie wizerunkowi Jagiełły, skreślonemu przez Długosza, a nawet figurze jego na nagrobku. Za Jagiełłą wreszcie przemawia herb Pogoń, umieszczony na tęczy i przedstawiony w ten sposób, że anioł spadający z nieba, kładzie rycerzowi Pogoni na głowę koronę. Zachowany napis ruski mówi, iż dekoracyę kaplicy ukończył Andrzej malarz 10/8 1415 r. W końcu podniósł referent, że jeżeli napis ruski na ścianach kaplicy lubelskiej daje nam imię malarza ruskiego, to p. Marya Hruszewska w zapiskach „Towarzystwa Szewczenki“ ogłosiła dokument z aktów grodzkich przemyskich, którym król Wł. Jagiełło nadaje popowi nazwiskiem Heyl, grunta za zasługi położone na polu malarstwa w Sandomierzu i w innych miastach. W ten sposób mamy już dwóch malarzy ruskich, użytych do dekoracyi naszych kościołów, bliżej określonych.

W dyskusyi, jaka się nad referatem prof. Sokołowskiego rozwinęła, zabierali głos prof. Potkański i p. Ludwik Puszet.

P. Jerzy Kieszkowski przedłożył z kolei fotografie i opis nieznanej pamiątki odsieczy wiedeńskiej, którą udało mu się odnaleźć w Viareggio, koło Pizy. Na całość pamiątki składają się postacie Jana III, „Wiary,“ Turka oraz trzy inne allegoryczne figury, wznoszące się dzisiaj na słupach parkanu, okalającego hotel. Powyższe figury, wykute w karraryjskim marmurze, pochodzą z Bozzano (pod Lukką), gdzie zdobiły attykę willi Feliksa Talenti'ego, którą nabył właściciel wspomnianego hotelu. Nazwisko Talenti'ego wyjaśnia w niewątpliwy sposób całą genezę omawianej pamiątki. Przypomina ono nam bowiem sekretarza Jana III, Tomasza hr. Talenti, rodem z Lukki, tego samego, który towarzyszył królowi pod Wiedeń i odwoził po zwycięstwie chorągiew turecką do Rzymu. Otóż nasuwa się samo przez się przypuszczenie, że po śmierci Sobieskiego, Talenti wrócił do swej ojczyzny i na attyce willi swej w Bozzano kazał umieścić powyższe figury, pragnąc w ten sposób okazać przywiązanie swe do Jana III, a zarazem zostawić pamiątkę zwycięstwa, którego był świadkiem.

Przewodniczący przedłożył następnie pracę p. J. Smolińskiego o zabytkach w Płocku, wiążących się z nazwiskiem książąt Olelkowiczów. Praca ta, illustrowana własnoręcznymi rysunkami i akwarellami autora, wykonanymi z wielką starannością, zawiera szczegółowe opisy portretów i miniatur, ornatów, kielichów, armat, wreszcie szczegółowy inwentarz skarbca książęcego.

Sekretarz odczytał wreszcie udzielone Komisyi przez D-ra Klemensa Bąkowskiego, kronikarskie zapiski, wyjęte z dawnych gazet krakowskich z lat 1803—1847, podające ciekawe wiadomości z dziedziny sztuk pięknych w Krakowie, a interesujące nadto, jako wyraz ówczesnej krytyki i panujących pojęć estetycznych.

— Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii w dn. 13 lutego powzięto uchwałę wydawania greckich Ojców Kościoła IV wieku. Walną zapomogę zapewnił w tym celu Akademii hr. *August Cieszkowski*, który na spełnienie tego zadania ofiarował 10,000 koron. Prócz tego prof. *Sternbach* ofiarował bibliotekę pomocniczą i zobowiązał się do datku 1000 koron na jej zakupno. Dla przeprowadzenia wydawnictwa zawiązała się komisya, złożona z pp. Mio-

dońskiego, Morawskiego, Pawlickiego, Sinki, Sternbacha i Stanisława Witkowskiego, która niebawem przystąpi do pracy.

— Towarzystwo ludoznawcze we Lwowie zawiadamia: W roku ubiegłym minęło dziesięć lat od chwili, gdy grono ludzi dobrej woli założyło we Lwowie Towarzystwo ludoznawcze. Towarzystwo to zarówno przy pomocy posiedzeń naukowych, jak i swego organu „Lud," jak wreszcie i innych swoich wydawnictw, dążyło statecznie do pogłębienia nauki we właściwym sobie zakresie, a jeśli nic innego, to co najmniej dziesięć roczników „Ludu" świadczy, że praca Towarzystwa nie poszła na marne. Jest zwyczajem w instytucyach naukowych powszechnie przyjętym, że ważniejsze chwile w życiu tych instytucyj bywają uświetniane zjazdami naukowymi, które obchodom jubileuszowym tych instytucyj głębsze i trwalsze nadają znaczenie. To też zarząd Towarzystwa ludoznawczego postanowił w czerwcu b. r. urządzić obchód jubileuszowy, połączony ze zjazdem naukowym. Na zjazd ten zgłoszono do tej pory następujące referaty: *Dr. Zofia Daszyńska-Golińska:* „Demografia nadwiślańskiego miasteczka od XVII w.;" — *Kazimierz Moklowski:* „O charakterach wspólnych góralszczyzny karpackiej w budownictwie i sztuce;" — *Szymon Matusiak:* „O zbieraniu imion własnych; — *Grzegorz Smólski:* „Ślady słowiańskie w krajach dawnej Recyi i Windelicyi;" — *Jan Świętek:* „Liczby trzy i dziewięć w mitach, wyobrażeniach, mistycznych praktykach i w zwyczajach ludowych;" — *Dr. V. Tille:* „Ocenĕ českych sbìrek pohadkovych pro srovnavaci, studium literarne-historickè;" — *Adolf Černy:* „Mapa etnograficzna Serbów łużyckich."

NOWE KSIĄŻKI.

— Szymon Askenazy: „Książe Józef Poniatowski 1763—1813." Warszawa, Gebethner i Wolff, 1905. Z 22 rycinami i heliograwiurą według portretu Grassiego.

Piękna i ozdobnie wydana monografia. Autor, przestudyowawszy archiwa w Petersburgu, Warszawie, Jabłonnie, Krakowie, Krzeszowicach, Wiedniu, Berlinie i Paryżu, owładnął bardzo bogatym materyałem archiwalnym. Część jego w postaci korespondencyi ks. Józefa zamierza on wydać osobno. W niniejszej książce użył wszelkich zasobów swego niepospolitego talentu, ażeby plastycznie odtworzyć postać księcia Józefa, taką jaką była w rzeczywistości, jaką widzimy ją w dokumentach. I okazało się, że analiza historyczna nietylko nic nie ujęła Józefowi Poniatowskiemu, temu znanemu z tradycyi, ale przeciwnie dorzuciła nie jednego wawrzynu bohaterowi z pod Lipska.

Głębokie poczucie honoru było zawsze rysem zasadniczym jego charakteru, jest też w książce prof. Askenazego, wytłómaczeniem nie jednego czynu, nie jednej decyzyi ks. Józefa, tak nieraz trudnej w jego życiu.

Mówiąc o złych stronach charakteru, o tem, co za grzech poczytywano księciu, autor znajduje i tu słowa usprawiedliwienia, powiada, że była to „negatywna reakcya pięknej duszy... szukającej sobie upustu w wybuchach silnego temperamentu"...

— Feldman Wilhelm: „Piśmiennictwo Polskie 1880—1904.“ Wydanie trzecie. Lwów, 1905. Nakładem księgarni H. Altenberga. Okładka rysunku Stanisława Wyspiańskiego. Czcionkami drukarni Narodowej w Krakowie. 8-a. Tom I. K. nl. 7, str. 292. Z 35 ilustracyami w tekscie i 2 rycinami kolorowemi. Tom II. K. nl. 2, str. 249. 18 ilustracyj w tekscie i 2 ryciny kolorowe. Tom III. K. nl. 2, str. 143. 25 ilustracyj w tekscie i 4 ryciny kolorowe. Tom IV. K. nl. 2, str. 454. Z 12 portretami w tekscie.

Jest to nowe rozszerzone wydanie znanego ogólnie dzieła. Uprzednio obejmowało ono dwa tomy. W niniejszem wydaniu treść ich została znacznie powiększona i rozpadła się na trzy tomy. Po za tem autor dodał tom czwarty, obejmujący obraz krytyki literackiej w Polsce lat ostatnich. Tu, jak i w poprzednich tomach, po każdym rozdziale syntetycznym, w którym autor stara się scharakteryzować dany kierunek literacki, następuje rozbiór analityczny działalności każdego pisarza i najwybitniejszych jego utworów. W ustępach tych znalazło się miejsce na dane bio- i bibliograficzne; materyał to pomocniczy nie tylko dla czytelników, lecz także dla badaczy psychologów, którzy nie zwykli indywidualności oddzielać od dzieła.

W dziele niniejszem autor starał się ująć całokształt dziejów ducha i sztuki w Polsce za ostatnie ćwierć wieku (1880—1904). O ile zadanie to wypełnił, o ile w pewnych razach nie uniosły go za daleko pojęcia indywidualne, stronnicze—czytelnik sam osądzi.

— Gąsiorowski Wacław: „Pamiętnik Józefa Grabowskiego.“ Warszawa, 1905. 8-o, str. XIV + 344. Z dedykacyą Antoniemu Małeckiemu.

Do całej seryi pamiętników wojskowych epoki napoleońskiej, wydanych ostatniemi czasy, przybywa pamiętnik Józefa Grabowskiego, oficera sztabu i towarzysza ostatnich wojen Napoleońskich. Pamiętnik ten, przechowywany dotąd w bibliotece Ossolińskich we Lwowie nie był przez autora przygotowany do druku; wydawca zmuszony był poczynić pewne poprawki stylistyczne, miejsca niedość jasne uzupełnił przypiskami, a w końcu książki podał skorowidz encyklopedyczny dla łatwiejszego oryentowania się w całości. Pamiętniki te, jak w słowie wstępnem p. Gąsiorowski nadmienia—posiadają tę wielką wartość, że zaczynają się w epoce kiedy inne się kończą—dotyczą głównie ostatnich chwil tragedyi Napoleona, przynoszą bardzo wiele nowych szczegółów, wyświetlają wiele nieznanych dotąd epizodów. A szczegóły które Grabowski wyjaśnia są pierwszorzędnego znaczenia, był on bowiem oficerem sztabu Napoleona, był przyjacielem i kolegą Romana Sołtyka, Aleksandra Fredry i Andrzeja Niegolewskiego, miał więc szeroki punkt obserwacyjny, i widział przewroty tych czasów u samych ich źródeł. Przytem Grabowski opisuje tylko to, na co patrzył i co się dokoła niego działo, opisuje przedmiotowo, prawie nie robi pomyłek, ani w datach, ani w nazwiskach, oryentuje się w dziełach, które za jego czasów wyszły i co krok nowe szczegóły dorzuca. Takie są zalety pamiętnika, po za tem wydawca zaznacza rzadką bezinteresowność Grabowskiego, brak dążności do osiągnięcia zaszczytów i wysokich stanowisk, wreszcie niebywałe oddanie się Napoleonowi, dla którego Grabowski ma kult zupełny.

W pamiętniku nie spotykamy ani jednego wyrzutu, ani jednej wymówki za zachowanie się Cesarza Francuzów względem Polaków. To chyba już nie zaleta, nie dowód przenikliwości politycznej Grabowskiego...

Cała książka czyta się z nieustającem zainteresowaniem.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Biblioteka dzieł chrześciańskich w zeszycie 49-tym za Styczeń 1905 r. daje tom IV-ty Filozofii Moralności *Wiktora Gathrein S. J.* Tom ten rozpada się na dwie części zatytułowane: 1) Nauka o społeczeństwie 2) Nauka o państwie. (8-o, str. VIII + 218). W końcu zeszytu znajdujemy „Notatki bibliograficzne“ przez *ks. Stanisława Galla* i *ks. Antoniego Taucra.*

— Kosmos, zeszyt XI—XII, czasopismo Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika; zawiera rozprawy i artykuły następujące: 1) Kilka wycieczek w źródliska Bystrzycy, Łomnicy i Cisy Czarnej, z 2 tabl. cynkogr. napisał *E. Romer;* — 2) O tkance limfatycznej w nerce niektórych ryb, podała *A. Drzewina;* — 3) Prace naukowe ś. p. Władysława Satkego, podał *E. Romer;* — 4) Sprawozdania z prac polskich na polu fizyki za lata 1901 i 1902, opracował *M. Smoluchowski;* — 5) Sprawozdania z literatury przyrodniczej, podali *J. Dziędzielewicz, E. Romer, W. Friedberg, M. Smoluchowski,* i *S. Opolski.*

— Kronika dyecezyi przemyskiej, w zeszycie I, za styczeń 1905, (str. 37) między innemi zawiera następujące ważniejsze artykuły: Mowa ks. biskupa Józ. Sebastyana Pelczara, miana podczas dyskusyi sejm. o szkołach średnich;— Dzieje dyecezyi przemyskiej; — XLVI. Walenty Aleksander Czapski (1737—1742) XLVII. Hieronim z Bogusławic Sierakowski (1742—1760); — *X. W. K.:* O procesach małżeńskich słów kilka; — Wizytacya kanoniczna dekanatu mościckiego, dokonana przez biskupa-sufragana, Karola Józefa Fischera w r. 1904.

— Wydawnictwo Macierzy Polskiej z fundacyi im. Tadeusza Kościuszki w № 83 swoich publikacyj wydało niedawno zeszyt III-ci rozpoczętego w roku zeszłym dzieła „Polska, obrazy i opisy“ — (4-to, str. 219—344 z 56 ilustracyami).

Wydawnictwo to ma wypełnić ważną lukę w naszej literaturze.

Nie było dotychczas — piszą wydawcy — dzieła, któreby kreśliło dokładny, wszechstronny obraz ziemi, ludu, dziejów i kultury narodu polskiego. Inne ludy mają wydawnictwa wspaniałe, odzwierciadlające w sobie wszelkie przejawy ducha narodowego — myśmy żadnej takiej księgi dotychczas nie mieli. Brakowi temu postanowiła zapobiedz „Macierz Polska“ przez wydawnictwo p. t.: „Polska, obrazy i opisy.“

Zeszyt III-ci pomieszcza dwie prace: 1) *dr F. Koneczncgo:* Geografia Historyczna, gdzie autor w przystępnem opowiadaniu podaje zarys zewnętrzny dzielnic dawnej Polski, ozdobiony wielu rycinami, widokami miast etc. i 2) *dr. A. Winiarza:* Ustrój społeczny i polityczny Polski. Jest to początek pracy, która w dalszych zeszytach ukończoną będzie. Tutaj znajdujemy dwa pierwsze rozdziały: Okres I-szy od końca XI w. do początków XIII; Okres II od początków XIII w. do początków XVI.

— Poradnik językowy, zeszyt za miesiąc luty b. r. wraca ponownie do kwestyi poprawności języka w naszych pismach codziennych i przytacza artykuł *Kuryera Warszawskiego* w tej sprawie niedawno ogłoszony. Najlepszem rozwiązaniem rzeczy byłoby, gdyby każde pismo z osobna dbało o siebie i o poprawność języka. Upomnienia, wymowne artykuły nic nie pomogą, jeżeli każdy nie zacznie od siebie. Na czele zeszytu mieści się artykuł zajmujący *Rom. Zawilińskiego* o różnicy, jaka zachodzi pomiędzy brzmieniem, dźwiękiem a głoską czyli literą. W rubryce „Zapytania i odpowiedzi," wśród różnych błędów, zwraca redakcya uwagę na nadużycie przymiotnika „duży" zamiast „wielki." W „pokłosiu" wykazuje *M. Kryński* na przekładzie prof. Kaz. Twardowskiego dzieła D-ra Vaihingera „Filozofia Nietzschego," jak łatwo przez nieuwagę popełnić szereg usterek i błędów każących w sposób niemiły tok poprawny przekładu. Z nowych książek podaje zeszyt rozbiór poważnego dzieła słynnego lingwisty J. Baudouin de Courtenaya: Szkice językoznawcze. Tom I. Warszawa 1904, str. 464 i VII. W książce tej są rozprawki, które mogą zająć także i nie filologa.

— Przegląd sądowy i administracyjny, wydawany pod redakcyą prof. dr. *Ernesta Tilla* ze stałym współudziałem profesorów uniwersytetów lwowskiego i krakowskiego, oraz prawników zawodów praktycznych w zeszycie lutowym b. r. (8-o, str. 81—184) pomieszcza następujące rozpawy:

Dr. Ernesta Tilla: O naukowem przygotowaniu kandydatów sędziowskich; — *Dr. Piotra Stebelskiego:* Ułaskawienie młodocianych przestępców Austryi (dok.); — *Dr. Henryka Jaworskiego:* Stosunki ekonomiczne w Galicyi pod panowaniem Austryi (c. d.); — *Dr. Konrada Krukowskiego:* Kara celowa (c. d.); — *Dr Józefa Bühn:* O restytucyi podług obecnej procedury cywilnej. — W końcu Zapiski literackie i Kronika.

— Przegląd Uniwersalny, miesięcznik wydawany w Krakowie, pod redakcyą *ks. Jana Pawelskiego*, w zeszycie lutowym b. r. (8-o, str. 177—312) pomieszcza artykuły:

Dr. Karola Potkańskiego: Konstancya i Metodyusz; — *Dr. Leopolda Cara:* Z naszych spraw społecznych i Pomoc prawna; — *Ks. F. Krokoszyńskiego:* Towarzystwa etyczne (c. d.); — *Ks. Stanisława Dunin-Borkowskiego:* W ojczyźnie Spinozy. Resztę zeszytu wypełnia Przegląd piśmiennictwa polskiego, *Ks. Wiktora Wieckiego.* Sprawy kościoła; — *Ks. F. Hortyńskiego:* Ze świata nauk i wynalazków i *Ks. K. Czaykowskiego:* Z ruchu kobiecego.

— Świat Słowiański, miesięcznik, powołany do życia szczodrobliwością szlachetnego ofiarodawcy, p. K. Wołodkowicza, zaznaczył poważnie i sympatycznie swe istnienie pierwszym, świeżo wydanym zeszytem. Na polu sławistyki Polacy dotąd nie odgrywali wybitnej roli, a przecież jest to nauka równie ważna, jak romanistyka i germanistyka, a dla nas cenniejsza i bliższa jeszcze samą siłą faktu. Sądzimy przeto, że nowy organ, dozna szczerego poparcia. Zeszyt pierwszy za styczeń, 1905 (8-o, str. 1—88), zawiera prace: Klub słowiański w Krakowie, sprawozdanie z trzechlecia; — A. Grzymała Siedlecki, Aleksander Pypin, rzecz wygłoszona na posiedzeniu Klubu słowiańskiego w dniu 3 grudnia 1904 r.; — Dyskusya po odczycie p. Siedleckiego; — *Bene-*

sić Juliusz: Wrażenia belgradzkie; — *August Sokołowski:* Polacy w walce o niepodległość serbską; — Korespondencye: Z Wielkopolski przez *Franciszka Morawskiego;* — z Petersburga przez *St. Wrońskiego;* — z Paryża przez *dr. Z.;* — Idea słowiańska w prasie słowiańskiej; — Przegląd prasy słowiańskiej: ruskiej, czeskiej, chorwackiej; — Kronika.

— Wiadomości Matematycznych wydawanych przez prof. *Samuela Dicksteina* ukazał się tomu 8-go zeszyt 4, 5 i 6-ty (Warszawa, 1904, 8-o, str. 177—341). Treść jego:

Rozprawy: *L. Hordyński:* O wyznacznikach częściowo przetworzonych; — *P. Duchem:* Ewolucya Mechaniki; — *C. Stéphanos:* O pewnej kategoryi równań funkcyjnych; — *L. Böttcher:* Iteracye funkcyj liniowych; — *S. Dickstein:* Trzeci kongres międzynarodowy matematyków, odbyty w Heidelbergu 8—13 sierpnia 1904 r.; — *L Grabowski:* Zjazd Towarzystwa Astronomicznego w Lund 5—9 września 1904 r. W dziale „Przegląd literatury“ znajdujemy recenzye: *S. Dicksteina*· 1) *St. Brzozowski:* Jan Śniadecki, życie i dzieła, Warszawa, 1904, 2) *O. Linders.* Die für Technik und Praxis wichtigsten physikalichen Grössen, Leipzig 1904; *A. Witkowskiego: M. W. Travers:* Experimentelle Untersuchung von Gasen deutsch von dr. *Tadeusz Estreicher.* Braunschweig 1905.

— Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne, organ Towarzystwa Numizmatycznego, w № 3-cim 1904 r., pomieszcza następujące prace:

M. Marcinkowski: Inwentarz zamku krakowskiego, a. dni 1787 ultimis i unii spisany (c. d.); — *Walery Kostrzębski:* O denarach Słowian zwanych wendyjskimi; — *dr. Feliks Kopera:* Materyały do inwentaryzacyi zabytków sztuki i kultury w Polsce (c. d.); — *M. Gumowski:* Monety polskie w wiedeńskim gabinecie monet i medali; — *Adam Chmiel:* Materyały sfragistyczne. Pieczęcie żydowskie; — Dublety rycin w Muzeum narodowem w Krakowie do nabycia.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PEDAGOGIA.

Brzozowski St.: Zasady psychologii („Książki dla wszystkich“ № 186). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o for. m., str. 101, II.

Charszewski Ignacy Ks.: Kościół i obraz cudowny Matki Boskiej w Żurominie. Poprawiona odbitka z czasopisma „Maryawity.“ Kielce, 1904. 8-o, str. 36.

Directorium divini officii secundum ritum ... ordinis Praemonstratensis usui parthenonis ..., in Zwierzyniec accomodatum pro a. D. MCMV. Cracoviae, sumpt. Parthenonis, typis univ. Jagellon., 1904. 8-o, str. 51.

Höffding Herald: Zasady etyki, przełożyła dr. *Zofia Daszyńska*. Wyd. drugie. „Książki dla wszystkich“ № 161. Warszawa, 1905. Nakład. i druk. M. Arcta. 16-o, str. 104.

Lancaster E. G.: Wiek młodzieńczy. Studyum psychologiczno-pedagogiczne, przełożyli z angiel. *A. Grudzińska* i *K. Król*. Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego.“ Warszawa, 1904. Wyd. kasy im. J. Mianowskiego, E. Wende i S-ka. 8-o, str. 123.

Lombroso Paulina: Życie dzieci. Studyum psychologiczno-wychowawcze. Z upoważnienia autorki przełożył z włoskiego *Kazimierz Król*. (Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego“ w r. 1904. Z zapomogi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego). Warszawa, 1904. Drukiem Michała Arcta. 8-o, str. VIII + 185 + II.

Struve Henryk: Immanuel Kant oraz dziejowe doniosłości jego krytycyzmu. Odb. z „Biblioteki Warszawskiej.“ Warszawa, 1904. E. Wende i S-ka, druk. J. Sikorskiej. 8-o, str. 39.

Witkiewicz Stanisław: Chrześcijaństwo i katechizm. O nauce religii w szkołach galicyjskich. Nadb. z Reformy szkolnej. Kraków, 1904. Druk. Uniw. Jag. 8-o, str. 22—37.

Witwicki Władysław Dr.: Analiza psychologiczna objawów woli. Archiw. nauk. wyd. Tow. dla popier. nauki polsk., dział I, t. II, zesz. 2. Lwów, 1904. Nakł. Tow., Gubrynowicz i Schmidt, E. Wende i S-ka w Warszawie, druk. Uniw. Jagiel. w Krakowie. 8-o, str. 127 z 4 fig. i 1 tabl.

Żuławski jerzy: Xięgi niektóre z żydowskich pism starego zakonu wybrane, przekładania... Lwów, 1904. Nakł. H. Altenberga, druk. Narodowa w Krakowie. 8-o, str. 149 + 1 nl. kor. 4.

Rysunki Wilhelma Wachtla.

Treść: Widzenia Jecheskielowe, Z ksiąg Ijoba Cierpliwego, Z kaznodziejskiej księgi Salomona, Pieśń nad pieśniami.

HISTORYA LITERATURY. — JĘZYKOZNAWSTWO.

Dobek A.: Historya Literatury Słoweńskiej, podług *A. Pypina* napisał... („Książki dla wszystkich“ № 183). Warszawa, 1905. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o, for. m., str. 128.

Dubanowicz Edward: Słowackiego Ksiądz Marek, studyum historyczno-literackie. Odb. z „Pamiętnika Literackiego.“ Lwów, 1904. Nakł. Tow. lit. im. Adama Mickiewicza, księg. Polska, druk. E. Winiarza. 8-o, str. 48.

Feldman Wilhelm: O twórczości Stanisława Wyspiańskiego i Stefana Żeromskiego. Wygłoszone na wyższych Kursach Wakacyjnych w Zakopanem w sierpniu 1904 roku. Kraków, 1905. Księgarnia Naukowa. Skład główny w księgarni G. Gebethera i Spółki. Odbito czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie. 8-o, str. 168.

Galle Henryk: Grażyna Adama Mickiewicza, objaśnił... Arcydzieła poezyi polskiej w rozbiorach, streszczeniach i wyjątkach. „Książki dla wszystkich № 229. Warszawa, 1905. Nakł. i druk. M. Arcta. 16-o, str. 89.

Jaworski Tadeusz Dr.: Idea przewodnia w dramatach Wyspiańskiego: Wesele, Wyzwolenie, Akropolis. Poznań, 1905. Nakł. i druk. księg. Św. Wojciecha. 8-o, str. 20.

Katalog literatury naukowej polskiej, wydawany przez Komisyę Bibliograficzną Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. (Catalogue of Polish scientific Literature). Tom IV. Rok 1904. Zeszyt I i II. Kraków, 1905. Nakładem Akademii Umiejętności, pod redakcyą sekretarza Komisyi, D-ra Tadeusza Estreichera. W drukarni c.-k. Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego. 8-o, str. 32.

Koszutski Witold: Krótki zarys dziejów literatury polskiej. T. I—II. Warszawa, 1904. Nakł. „Ziarna," E. Wende i S-ka. 8-o, form. m., str. 168 + 168.

Łagowski Florvan: Historya Literatury Polskiej w zarysie. Część V: Wiek XVIII i XIX do Mickiewicza. („Książki dla wszystkich" № 172). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 181.

Trojanowski Adam: Słowniczek przędzalniczy w pięciu językach. Zebrał i opracował... Praca nagrodzona przez Stowarzyszenie Techników w Warszawie, na konkursie, ogłoszonym z inicyatywy inżyniera Feliksa Kucharzewskiego. (Odbitka z „Przeglądu Technicznego"; r. 1904). Warszawa, 1905. Druk. Rubieszewskiego i Wrotnowskiego. 8-o, form. w., k. nl. str. 53.

Uniwersytet ludowy im. Adama Mickiewicza. Sprawozdanie z działalności oddziału krakowskiego za rok 1903/4. Kraków, 1904. Nakł. Uniw. lud., druk. Związkowa. 8-o, str. 29.

Zamenhof L. Dr.: Esperanto, język międzynarodowy. Cz. I: Gramatyka i ćwiczenia. („Książki dla wszystkich" № 197). Warszawa, 1904. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o, form. m., str. 99, 1 nl.

Tenże: Esperanto, język międzynarodowy. Część II: Słownik. („Książki dla wszystkich" № 198). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 60, 4.

HISTORYA. — LUDOZNAWSTWO.

Atlas geograficzny ilustrowany Królestwa Polskiego, na podstawie najnowszych źródeł opracowany pod red. *J. M. Bazewicza*. Zeszyt III—IV. Warszawa, 1904. Map 16—31.

Z Czarnkowa Jan: Kronika... archidyakona gnieźnieńskiego, podkanclerza Królestwa Polskiego (1370—1384). Przełożył z łacińskiego, wstępem i przypisami uzupełnił *J. Żerbiło*. Z zapom. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1905. E. Wende i S-ka, druk. J. Cotty. 8-o, str. XVII + 196.

Estreicher Stanisław: Wypraszanie od kary śmierci w obyczajach naszego ludu. Odb. z „Ludu.“ B. m. i r. w. Kraków, 1904. Druk. uniwers. Jagiel. 8-o, str. 18.

Landmann Karol: Napoleon I. Przekład *Jana Kleczyńskiego*. (Biblioteka „Tygodnika Ilustrowanego“ № 13. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów). Warszawa, 1905. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 159, 1 nl.

Łoziński Bronisław Dr.: Galicyjski sejm stanowy (1817—1845). Lwów, 1905. Nakład. H. Altenberga, druk. Wł. Łozińskiego. 8-o, str. 139.

Rakowski Kazimierz Dr.: Dzieje W. Księstwa Poznańskiego w zarysie (1815—1900). Z portretem autora i mapką Poznańskiego. Kraków, 1904. G. Gebethner i S-ka, druk. W. L. Anczyca i S-ki. 8-o, k. t. 2, str. 286, 1 nl.

Szelągowski Adam: O ujście Wisły; wielka wojna pruska. (Sprawa północna w wiekach XVI i XVII. Cz. III). Warszawa, 1905. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Druk. W. L. Anczyca i S-ki. 8-o, k. t. 2, str. XVI + 463, 2 nl.

Ziemiałkowski Floryan: Pamiętniki. Część I—IV. R. 1848, 1863. Kraków, 1904. Nakł. Heleny Ziemiałkowskiej. Sp. Wyd. pols., druk. A. Koziańskiego. 8-o, str. 74 + 175 + 196 + 352, z portr. autora.

PRAWO. — EKONOMIA.

Adamski St. Ks.: Kasy oszczędności w obrębie towarzystw. Odcz. popularny dla Tow. pols. VII. Poznań, 1904. Nakł. i druk. księgarni Św. Wojciecha. 8-o, str. 21.

Tenże: Co wiedzieć należy o zabezpieczeniu od wypadków w rolnictwie i leśnictwie. Praktyczne wiadomości dla pracodawców i pracobiorców. Poznań, 1905. Nakł. Ruchu chrześc.-społecz., druk. i księg. Św. Wojciecha. 8-o, str. 56.

Tenże: Nowe zadania dla naszych towarzystw dobroczynnych. Odczyt popul. dla Tow. polskich. Poznań, 1904. Nakł. i druk. księg. Św. Wojciecha. 8-o, str. 16.

Benzelstjerna-Engeström Wawrzyniec: Maksymilian Jackowski, patron kółek rolniczych włościańskich w Wiel. Księstwie Poznańskiem. Wspomnienie pośmiertne. Napisał... Poznań, 1905. Nakładem i czcionkami drukarni Jarosława Leitgebera. 8-o, form. więk., str. 71.

Cohn Ad. J.: Stosunki ekonomiczne Żydów w Państwie Rosyjskiem. (Odbitka z „Izraelity“). Warszawa, 1904. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki, druk. Lepperta i S-ki. 6-o, form. podł., str. 44.

Doliński Aleksander Dr.: Austryackie prawo akcyjne. I Część ogólna. Lwów, 1903. Nakł. autora, Gubrynowicz i Schmidt, druk. Pillera i S-ki. 8-o, str. 183.

Podlasiak: Co nam przyniosły rady rolnicze Wittego z r. 1902/3. Wynik ankiety przy udziale koła kilkunastu ziemian. Lwów, 1905. Nakł. Tow. wydawn. druk. Związkowa w Krakowie. 8-o, str. 42.

S Z T U K A.

Benedyktowicz Ludomir: Rodowód secesyi w malarstwie i rzeźbie, jej kwiaty i owoce na naszej grzędzie. Kraków, 1905. Nakł. autora, Spółka wyd. Polska, druk. Związkowa. 8-o, str. 36.

Le Roux A.: Życie artystyczne Ludzkości. Streściła *W. Jasieńska-Zaremba*. Z 30 rysunkami. („Książki dla wszystkich“ № 181). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 167, 1 nl.

Zawirski Marek, prof. Instyt. Muzycz. Warsz.: Nauka harmonii w streszczeniu z przykładami. („Książki dla wszystkich“ № 185). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 169, 1 nl.

Zubrzycki S. J. Dr.: Zwięzła historya sztuki. od najpierwszych jej zaczątków po czasy najnowsze. Kraków, 1904. Nakł. autora, druk. A. Koziańskiego. 8-o, str. 423, z liczn. ryc.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Bartoszewicz Kazimierz: Słownik prawdy i zdrowego rozsądku. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff, druk. J. Cotty. 8-o, str. 142.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Najogólniejsze ideały życiowe. Wydanie drugie, przejrzane. Warszawa, 1905. Jan Fiszer. 8-o, str. XIX + + 296, 1 nl.

Keller Helena: Historya mego życia. (Autobiografia głuchoniemej i ociemniałej). Tłómaczyła *M. Pankiewiczówna*. („Biblioteka dzieł wyborowych“ № 365). Warszawa, 1904. Druk. Józefa Sikorskiego. 8-o, str. 133.

Kipling Rudyard: Listy z Japonii. Przetłómaczył *Maryan Poloński*. (Biblioteka „Tygodnika Ilustrowanego“ № 12. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“). Warszawa, 1904. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 154 + III.

Korzeniowski Józef: Zbiór powieści. T. 8 i 9. Nowe wędrówki oryginała, powieść w 2 tomach. Gródek, 1905. Nakł. i druk. J. Czajńskiego. Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie. 8-o, str. 278 + 285.

Krasiński Zygmunt: Pisma... za zezwoleniem rodziny poety wydał *Tadeusz Pini*. Wydanie krytyczne, zupełne, ze słowem wstępnem prof. d-ra *Józefa Kallenbacha*. T. I—IV (1833—1837, 1837—1859, 1833—1859, 1828—1829, 1829—1832, 1830—1847). Lwów, 1904. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i S-ka, druk. Uniwer. Jagiel. w Krakowie. 8-o, str. 383 i 1 nl. + 628 i 1 nl. + 287 + 447 i 2 nl. + 326 i 1 nl. + 406 i 1 nl., z portretami autora i podobiznami autografów.

Laskowski Kazimierz (El): Pozwól mi mówić!... Erotyki. Warszawa, 1905. Jan Fiszer. Lwów, księgarnia Narodowa. Czcionkami drukarni Narodowej w Krakowie. 8-o, form. m., str. 75, 2 nl.

Rodziewiczówna Marya: Dewajtis. Powieść współczesna, uwieńczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego.“ (Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Wędrowca“: Pisma M. Rodziewiczówny. Nakład „Wędrowca,“ Warszawa, 1905 rok. Warszawska Drukarnia Estetyczna). T. I. 8-o, str. 160.

Schechau P. A. Ks.: Mój nowy wikary. Opowieść z urywków pamiętnika proboszcza irlandzkiego. (Przedruk z „Roli“ 1902—1903). Przekład z angielskiego. Warszawa, 1904. Wydawnictwo ks. M. Godlewskiego. Druk Akcyjnego Towarzystwa Wydawniczo-Drukarskiego „Wiek.“ 8-o, k. t. 2, str. 294.

Sienkiewicz Henryk. Potopa, historický roman, přeložil *J. I Langner*. Díl I, sešit 1. Praha, 1905, Ed. Beaufort. 8-o, str. 40.

Sieroszewski Wacław: Brzask. Puszcza Białowieska. Grecka szczelina. Dno nędzy. Wyd. 2. Warszawa, nakł. autora.

Szimaczek M. A.: Obrazki z życia. Z czeskiego przełożyła *J. Kietlińska-Rudzka*. („Biblioteka dzieł narodowych“ № 359). Warszawa, 1904. Druk. Józefa Sikorskiego. 8-o, str. 126.

Weyssenhoff Józef: Syn Marnotrawny. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i S-ka. 8-o, str. 446.

Zapolska Gabryela: Modlitwa Pańska. Lwów, 1905. Polskie Towarz. Nakładowe. Skład główny w księgarni Narodowej. Drukarnia Narodowa w Krakowie. 8-o, k. t. 2, str. 179, z portretem autorki.

NAUKI ŚCISŁE.

Dieudonne A. Dr.: Przepisy hygieniczne w chorobach zakaźnych. „Odczyty kliniczne“ № 186—188. Warszawa, 1904. 8-o, str. 85.

Dieulafoy Georges (Jerzy): Podręcznik chorób wewnętrznych. T. III. Choroby narządu moczowego. Choroby układu nerwowego. Z 13-go zupełnie przerobionego wydania spolszczył dr. *Józef Zawadzki*. „Biblioteka Lekarska,“ t. VIII, rok II. Warszawa, 1904. Nakł. „Bibl. Lekarskiej,“ druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 635.

Landerer A.: Dyagnostyka chirurgiczna, dla lekarzy praktyków i studentów, spolszczył dr. *Kazimierz Niedzielski*. Cz. II. Dyagnostyka szczegółowa. „Biblioteka Lekarska“ T. VII. Warszawa, 1904. Nakł. „Bibl. Lekar.“, druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 224 + III, z 66 rys. w tekście.

Łazarowicz K. Dr.: Pielęgnowanie chorych w domu, podług d-ra *A. Stoeckera* opracował... Z 20 rysunkami. („Książki dla wszystkich“ № 196), Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. mały, str. 142 + II.

Niedźwiedzki J. Dr. Prof.: Geologia, wykłady w szkole politechnicznej we Lwowie. Cz. I. Spisał w streszczeniu *J. A.* Lwów, 1904. Nakł. katedry mineralogii w szkole polit. 4-o, k. 17, z 1 tabl.

Niedźwiedzki J. Dr. Prof.: Petrografia (opisowa nauka o skałach) w zakresie ograniczonym do niezbędnych potrzeb techników. Wyd. 2. „Bibl. podręczników szkoły politechnicznej“ t. V. Lwów, 1905. Nakł. autora. Gubrynowicz i Schmidt, druk. Związkowa. 8-o, k. nl. 2, str. 132.

Rzętkowski Kazimierz Dr.: O odporności w stanach zakaźnych. (Odbitka z „Czasopisma Lekarskiego“ № 5 i 6). Łódź, 1904. 8-o, form, mały, k. t. 1, str. 23.

Skwara Franciszek, inżynier-technolog: O kotłach parowych oraz ich obsłudze. („Książki dla wszystkich“ № 179). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o form. mały, str. 137, 1 nl.

R Ó Ż N E.

Anczyc Stanisław Dr.: W sprawie reorganizacyi Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie. Kraków, nakł. krakow. Towarz. technicznego, druk W. L. Anczyca i Sp., 1904, 8-o, str. 27.

A. R.: Nowoczesny ruch ludności z szerszem uwzględnieniem stosunków polskich. Odczyty popul. dla Tow. polsk. IX. Poznań, 1904. Nakł. i druk księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 23.

Łazarowicz Dr. K., lekarz Warszawskiego Pogotowia Ratunkowego: Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach. Z 50 rysunkami. („Książki dla wszystkich“ № 176). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, for. m., str. 153, II.

Nolaski M.: Słownik kieszonkowy francusko-polski, ułożony podług najlepszych źródeł słownikowych i gramatycznych w obu językach, zawierający obok każdego wyrazu francuskiego dokładną wymowę, zastosowaną do pisowni polskiej. Warszawa, J. Fiszer, 1904. 8-o, str. 567.

Okszyc A.: Japonia i japończycy. Podług Lauterera i innych opracował... („Książki dla wszystkich“ № 178). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o form. mały, str. 212.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1905.

HISTORYA.

Str.

DRUKI LITEWSKIE, — przez *Michała Brensztejna* 349

POLITYKA SZKOLNA TEREZYAŃSKO-JÓZEFIŃSKA W GALICYI, — przez D-ra *Stefana Jantzena* 503

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

NOWY ROK, — przez *Adama Krasińskiego* 1

NOWA TEORYA ZADAŃ SPOŁECZNYCH MACIERZYŃSTWA, — przez *Jana Kaczkowskiego* 255

CZYTELNICTWO WŚRÓD STUDENTÓW UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO, — przez *Konstantego Krzeczkowskiego* 320 i 559

SZKICE POLITYCZNE.

WALKA Z „NADCZŁOWIEKIEM“ (z kresów zachodniej Polski), — przez *Franciszka Morawskiego* 413

LITERATURA.

PRZEMIANY. Powieść współczesna (ciąg dalszy), — przez *Kazimierza Zdziechowskiego* . . . . . 26, 225 i 442

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Str.

MŁODOŚĆ SŁOWACKIEGO, — przez *Tadeusza Grabowskiego* . . . . . 1 i 279
IBSEN W ŚWIETLE SWOICH LISTÓW, — przez D-ra *Józefa Flacha* . . . 71
Z PARNASU HAMBURSKIEGO, — przez *J. K.* 101
NA SCENIE I NA ESTRADZIE, — przez *Wł. Bogusławskiego* 109
ŻYDZI W BELLETRYSTYCE DZISIEJSZEJ, — przez *Henryka Gallego* . 138
ISTOTA, NASTRÓJ ZASADNICZY I ZNACZENIE ROMANTYZMU, — przez Prof. *Henryka Struvego* 205
NIEDOKONANY UTWÓR LEONARDA DA VINCI, — przez ks. *Jana Gnatowskiego* 262
REJ A ZAMOYSKI, — przez *W. Sobieskiego* 474
SZTUKA I ŻYCIE, — przez *T. Jaroszyńskiego* 518
RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI WE FRANCYI, — przez *Henryka Reinholda* 534

NAUKI PRZYRODNICZE.

NEOWITALIZM DZISIEJSZY I JEGO GENEZA, — przez Prof. D-ra *Józefa Nusbauma* 49

KRYTYKA.

Piętnaście lat w legionach. Pamiętniki Kazimierza Tańskiego, generała b. wojsk polskich, z przedmową i przypisami Stanisława Wojciecha Turowskiego. Warszawa, 1905, — przez *A. R.* 151
Bronisław Gembarzewski: Wojsko polskie. Księstwo Warszawskie 1807—1814. Warszawa, 1905, — przez *A. R.* 157
Danilewski: Plan oblężenia miasta Smoleńska, z objaśniającym tekstem. Petersburg, 1904, przez *A. R.* 168
German Juliusz: „Lilith.“ Bajka w trzech aktach. Lwów, 1905, — przez *Antoniego Mazanowskiego* 170
Aleksander Jan Rodkiewicz: Pierwsza Politechnika polska 1825—1831. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Kraków i Warszawa, 1904, — przez *Stefana Gorskiego* 171
Szymon Askenazy: Książe Józef Poniatowski, — przez *A. R.* 365
F. Kucharzewski: Czasopiśmiennictwo techniczne polskie przed rokiem 1875, — przez *Stefana Gorskiego* 376
E. Pratt: The organisation of Agriculture, — przez *Adama Krzyżanowskiego* 379
Z nowszej literatury o Śląsku Cieszyńskim, — przez *Henryka Ułaszyna* . 578

Str.

Rudolf Penzig: Jak odpowiadać na pytania dziecięce, — przez *Stefanię Wertensteinową* 586
Jan Stanisław Mar: Samotni, — przez *Henryka Gallego* 590
Tadeusz Jaroszyński: Różni ludzie, — przez *Henryka Gallego* 591

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Dla głodnych i potrzebujących pracy. — Upadek publicystyki a szkoła dziennikarska. — Wystawa Maryańska. — List otwarty p. A. B. Brzostowskiego w sprawie... nazbyt nas już kompromitującej. — Przytułek dla idyotów. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Maurycy Orgelbrand. — Prof. Jacob Caro. — Ś. p. Rudolf Ottmann 179

LUTY:

Pierwsze w kraju muzeum hygieniczne w Częstochowie. — Biblioteki w miastach prowincyonalnych. — Decentralizacya Towarzystw rolniczych. — Biuro pośrednictwa pracy. — Konkurs dramatyczny Towarzystwa teatralnego w Łodzi. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Maksymilian Jackowski. — Ś. p. Wacław Pawliszak. — Ś. p. Prof. Henryk Wernic 384

MARZEC:

Z powodu zaburzeń. — Biuro konsultacyi adwokatów. — Jeszcze w sprawie szkolnictwa ludowego. — Projekt związku oficyalistów rolnych. — Spór o datę urodzin Reja. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Wacław Mańkowski. — Ś. p. Hipolit Marczewski. — Ś. p. Pantaleon Szyndler. — Ś. p. Seweryn Lutostański. — Ś. p. Ignacy Krzyżanowski 594

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ 195
LUTY 401
MARZEC 609